

# king stephen

CENĄ ZA ZREALIZOWANE MARZENIA JEST ZAPRZEDANIE DUSZY DIABŁU...

## sklepik z marzeniami



**STEPHEN KING**

**SKLEPIK Z MARZENIAMI**

Na pewno, pamiętam, pamiętam. Nigdy nie zapominam twarzy.

Podejdz no bliżej, niech ci uścisknę dłoń. Coś ci powiem, rozpoznałem cię po chodzie, jeszcze zanim zobaczyłem twoją twarz. Nie mogłeś wybrać lepszego dnia na powrót do Castle Rock. Ślicznie dziś, prawda? Wkrótce zacznie się sezon polowań. Bandy głupków będą strzelać do wszystkiego, co się rusza i nie nosi pomarańczowej kamizelki, potem spadnie śnieg, zaczną się zamiecie, ale to mamy jeszcze przed sobą. Na razie jest październik, a w Castle Rock wszyscy są za tym, by październik trwał tak długo, jak tylko zechce.

Jeśli o mnie chodzi, to najlepsza pora roku. Wiosna, owszem, bywa miła, ale zawsze wolę październik od maja. Kiedy lato się kończy, wszyscy na ogół zapominają o zachodnim Maine. Letnicy z domków nad jeziorem i ci z góry, z View, wracają do Massachusetts i do Nowego Jorku. Co roku ludzie z wyspy patrzą na ich przyjazdy i odjazdy — cześć, cześć, cześć, pa, pa, pa. Fajnie, że przyjeżdżają, bo przywożą miejskie dolary, fajnie, że odjeżdżają, bo przywożą też swoje miejskie zadry.

O tych zadrach chciałem właśnie z tobą pogadać, nie siądziesz na chwilkę? Tu, na schodach estrady, będzie nam doskonale. Słoneczko przygrzewa i stąd, z samego śródeczka miejskiego parku, widać nieomal całe śródmieście. Trzeba tylko uważać na drzazgi. Schody warto byłoby wyszlifować, a potem pomalować. To zajęcie Hugh'a Priesta, ale Hugh jakoś nie może się do niego zabrać. Pije. To żadna tajemnica. Oczywiście, w Castle Rock można i trzyma się parę rzeczy w tajemnicy, ale trzeba się nad tym cholernie napracować, a wszyscy wiemy, że wiele czasu minęło od chwili, kiedy Hugh i praca jakoś się ze sobą zgadzali.

Co to takiego?

A, to! Fajne, nie? Te ulotki znajdziesz w całym miasteczku. ' Moim zdaniem, Wanda Hemphill (jej mąż, Don, prowadzi „Hem-phill's Market”) sama rozklejała większość z nich. Zerwij jedną ze słupka i podaj mi, dobrze? Daj spokój, nikt jeszcze nie zrobił interesu tylko dlatego, że przykleił reklamówkę na estradzie w parku miejskim.

O, kurka! Tylko popatrz. HAZARD I SZATAN! — wydrukowane na samej górze. Wielkie, czerwone litery, z których unosi się dym, jakby to była przesyłka z samego piekła. Ha! Gdyby ktoś nie wiedział, jakim sennym małym miasteczkiem jest Castle Rock, mógłby pomyśleć, że rzeczywiście schodzimy na psy. Ale wiesz, że w takich miastach niektóre sprawy tracą proporcje. Wielebny Willie musiał w tym maczać pazury. Z całą pewnością. Kościoły w małych miasteczkach... chyba nie muszę ci mówić, jak to jest. Jakoś tam się tolerują — prawie tolerują —

ale nigdy nie czują się dobrze w swym towarzystwie. Przez jakiś czas jest spokój, a potem zaczyna się rozróżba.

Tym razem to wielka, piękna rozróżba. Ludzie mają sobie za złe mnóstwo spraw. W sali Rycerzy Kolumba, po drugiej stronie miasta, katolicy chcą otworzyć kasyno. Nazwali je „Casino Nite”. Z tego, co wiem, ma być czynne w ostatni czwartek każdego miesiąca; dochody przeznaczone będą na naprawę kościelnego dachu. To kościół pod wezwaniem Matki Bożej Spokojnych Wód, musiałeś go mijać przy wjeździe do Castle Rock, jeśli przyjechałeś od strony Castle View. Śliczny kościółek, nie?

„Casino Nite” wymyślił ojciec Brigham, ale tak naprawdę piłkę chwyciły Córy Izabeli, a zwłaszcza Betsy Yigue. Chyba już się zobaczyła w skąpej czarnej jedwabnej sukni, jak rozdaje karty przy pokerowym stole albo kręci kołem rulety i mówi: „Panie i panowie, proszę obstawiać, proszę obstawiać!”. W gruncie rzeczy kasyno podoba się chyba im wszystkim. Gra ma być na dziesiątą i ćwierćdolarówki, niewinna zabawa, ale Córom, mimo wszystko, wydaje się zakazanym owocem.

Z kolei wielebny Willie wcale nie uważa tej zabawy za niewinną ani za rozkoszny zakazany owoc. Wielebny Willie — tak naprawdę wielebny William Rose — nigdy nie lubił ojca Brighama. I wzajemnie. (To właśnie ojciec Brigham pierwszy nazwał wielebnego Rose'a „Parowym Williem”, o czym wielebny doskonale wie).

Starcia tych dwóch szamanów krzeszały iskry i przedtem, ale „Casino Nite” to już nie starcia, tylko pełny ogień. Kiedy wielebny

Willie dowiedział się, że katolicy mają zamiar uprawiać nocami hazard — w sali Rycerzy Kolumba! — podskoczył pod sufit, omal nie rozbijając sobie tej swojej spiczastej małej główki. Za ulotki HAZARD I SZATAN zapłacił z własnej kieszeni, a Wanda Hemphill z przyjaciółkami z kółka krawieckiego rozrzuciła je po całym mieście. Od tej pory katolicy i baptyści rozmawiają ze sobą wyłącznie za pośrednictwem rubryki „Listy” w naszym lokalnym tygodniku; tam się wściekają, wymachują pięściami i jedni drugim grożą piekłem.

Rzuć okiem, zaraz zobaczysz, o czym mówię. Tam, z banku, właśnie wyszła Nań Roberts, właścicielka kawiarenki „U Nań” i zdaje się najbogatsza osoba w miasteczku, od kiedy stary Pop Merrill przeniósł się na pchli targ w niebie. Nań jest baptystką, chyba od czasów kiedy Hektor był szczeniakiem. Z drugiej strony idzie wielki Al Gendron —• katolik, przy którym papież wydaje się heretykiem, i najlepszy przyjaciel Irlandczyka, ojca Brighama.



Patrz, patrz! Widzisz, jak nosy idą w górę? Ha! Ale kino! Założę się o niezłą sumkę przeciw zapalkom, że kiedy się mijali, temperatura między nimi spadła o kilkanaście stopni. Moja mamusia powtarzała, że ludzie mają swoje rozrywki, które zawstydziłyby zwierzaki.

A teraz popatrz w drugą stronę. Widzisz ten radiowóz z Biura Szeryfa, zaparkowany przy wypożyczalni wideo? Za kierownicą siedzi John LaPointe. Można pomyśleć, że pilnuje, żeby kierowcy nie przekraczali dozwolonej prędkości; ograniczenie obowiązuje w całym śródmieściu, a już zwłaszcza po lekcjach w szkole. Jeśli jednak przysłonisz oczy i spojrzysz dokładniej, zobaczysz, że wpatruje się w wyjęte z portfela zdjęcie. Stąd go nie widać, ale wiem, co na nim jest, równie dobrze, jak znam panięskie nazwisko swojej matki. Andy Clutterbuck zrobił je Johnowi i Sally Ratcliffe jakiś rok temu, na jarmarku we Freyburgu. Na tym zdjęciu John obejmuje Sally, a ona tuli do piersi pluszowego misia, którego John wygrał dla niej na strzelnicy. Oboje są tacy szczęśliwi, jakby mieli zaraz zakwitnąć. Ale, jak mówią, to było kiedyś, a teraz jest teraz; no więc dziś Sally jest zaręczona z nauczycielem wychowania fizycznego w liceum, Lesterem Pratterem, pełnej krwi baptystą, jak zresztą ona sama. John nie wyszedł jeszcze z szoku po tym zerwaniu. Widzisz, jak wzdycha? Sam sobie wypracował porządny przypadek depresji. Tylko ktoś nadal zakochany (albo taki co myśli, że jest zakochany) potrafi wzdychać równie głęboko.

Zauważyłeś, że kłopoty i zadry na ogół wynikają z drobiazgów?

Zwyczajnych, pospolitych spraw. Pozwól, że dam ci przykład. Widzisz tego gościa, wchodzącego właśnie po schodach do gmachu sądów? Nie, nie tego w garniturze, to przewodniczący naszej Rady Miejskiej, Dañ Keeton. Chodzi mi o tego drugiego, czarnego, w roboczym kombinezonie. To Eddie Warburton, nocny dozorca w Ratuszu. Nie spuszcza z niego wzroku jeszcze przez kilka sekund, zobaczysz, co robi. O! Widzisz, jak zatrzymuje się na samej górze i patrzy w dół ulicy? Założę się o jeszcze' więcej dolców przeciw zapalkom, że patrzy na stację Sunoco. Właścicielem i głównym mechanikiem Sunoco jest Sonny Jackett. Nie lubią się z Eddiem od czasu, gdy dwa lata temu Eddie chciał u niego naprawić przekładnię kierownicy.

Pamiętam ten jego samochód. Honda civic. Nic specjalnego, ale dla Eddiego była czymś specjalnym: pierwszym i jedynym w jego życiu nowiutkim samochodem. A Sonny nie tylko spaprał robotę, ale jeszcze zażądał jakichś strasznych pieniędzy. Tak przynajmniej opowiada Eddie. Sonny twierdzi, że Eddie próbował wykorzystać fakt, że jest Murzynem, żeby nie płacić za naprawę. Wiesz, jak to jest, nie?

No więc Sonny Jackett pozwał Eddiego Warburtona do sądu, pokrzyczeli na siebie zdrowo

najpierw na sali, potem na korytarzu. Eddie powiedział, że Sonny nazwał go dumnym czarnuchem, a Sonny na to: „Nie powiedziałem »czarnuchem«, ale reszta się zgadza". Z sądu żaden nie wyszedł zadowolony. Sędzia kazał Eddiemu zapłacić pięćdziesiąt dolców; Eddie twierdził, że to o pięćdziesiąt za dużo, a Sonny, że o wiele za mało. Nagle, nie wiadomo dlaczego, honda Eddiego zapaliła się od zwarcia w instalacji elektrycznej i dokonała żywota na złomowisku przy drodze miejskiej numer 5. Eddie jeździ teraz oldsmobilem na olej z 89 roku. Nigdy nie przestał wierzyć, że Sonny Jackett wie więcej o tym zwarcu, niż powiedział.

Chłopie, ludzie mają rozrywki, które zawstydyłyby zwierzaki, prawda? Niewiele więcej da się znieść w gorący dzień, nie?

A przecież to zwykłe życie w małym miasteczku, nazwij je jak chcesz: Peyton Place, Gover's Corner czy Castle Rock. Ludzie jedzą ciasteczka, piją kawę i za plecami obgadują się wzajemnie: Slopeya Dodda, że jest samiutki, bo inne dzieciaki wyśmiewają się z jego jąkania, i Myrtle Keeton, że sprawia wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie jest i co ma zrobić, a to dlatego, że jej mąż (facet, który wchodził do sądu przed Eddiem) od pół roku przestał być sobą. Widzisz, jakie ma spuchnięte oczy? Chyba

pląkała albo nie spała za dobrze, a może i jedno, i drugie? Jak sądzisz?

A tam idzie Lenore Potter. Wygląda jak z pudełeczka, nie? Pędzi do „Western Auto" sprawdzić, czy przyszedł już specjalny nawóz organiczny, który zamówiła. Ta kobieta ma więcej gatunków kwiatów w swoim ogródku, niż Carter zażył pigulek na wątrobę. Jest z nich strasznie dumna. Kobiety z miasteczka nie lubią jej. Z tymi swoimi kwiatami, humorami i bostońską trwałą za siedemdziesiąt dolarów uchodzi za zarozumiałą. I między nami mówiąc, skoro już siedzimy sobie na słoneczku na tych nieoheblowanych schodkach estrady, moim zdaniem całkiem słusznie.

Pewnie sądzisz, że wszystko to jest bardzo zwyczajne, ale nie każdy z problemów Castle Rock jest taki zwykły, powiedzmy to sobie od razu. Nikt tu nie zapomniał Franka Dodda, policjanta z dyżurów na przejściu przed szkołą, który dwanaście lat temu zwariował i pozabijał te wszystkie kobiety; nikt nie zapomniał psa, który dostał wścieklizny i zabił Joego Cambera i tego pijaczka, co mieszkał obok niego przy drodze. Pies zabił także dobrego, starego szeryfa George'a Bannermana. Teraz szeryfem jest Alan Pangborn, dobry człowiek, ale nigdy w oczach ludzi z miasteczka nie dorówna Wielkiemu George'owi.

To, co spotkało Reginalda „Popa" Merrilla, także trudno nazwać czymś zwyczajnym. Pop był starym skąpiradłem i często zaglądał do sklepiku ze starzyzną. „Emporium Galorium" — tak się

nazywał ten sklep — stało tam, gdzie teraz jest pusta parcela. Spaliło się jakiś czas temu. Są ludzie, którzy widzieli pożar (albo przynajmniej twierdzą, że go widzieli) i po kilku piwach w „Potulnym Tygrysie” opowiedzą ci, że „Emporium Galorium” i starego Popa nie strawił „zwykły” ogień.

Bratanek Popa, Ace, twierdzi, że tuż przed pożarem coś dziwnego przytrafiło się jego stryjowi — coś jakby wprost ze „Strefy Zmroku”. Oczywiście Ace'a nie było na pogrzebie starego, kończył czteroletnią odsiadkę w Shawshank za włamanie. Wszyscy wiedzieli, że Ace Merrill źle skończy! Kiedy chodził do szkoły, był chyba najgorszym rozrabiaką w historii Castle Rock. Chłopaków, którzy uciekali na drugą stronę ulicy, kiedy Ace podchodził do nich w tej swojej motocyklowej kurtce z brzęczącymi zamkami i nitami i w ciężkich butach stukających po asfalcie, można liczyć na setki. A jednak ludzie uwierzyli mu, wiesz... Może rzeczywiście coś dziwnego przydarzyło się Popowi, a może to tylko plotki u Nań, przy kawie i szarlotce.

Cóż, żyje się tu chyba bardzo podobnie jak w miasteczku, w którym dorastałeś, przyjacielu. Ludzi dzieli religia, zawiść, klóć się i mają do siebie żal... od czasu do czasu można pogadać o jakiejś niesamowitej historii, o tym, co mogło lub nie mogło przydarzyć się w sklepiku tej nocy, kiedy umarł Pop; chwila rozrywki na nudny wieczór. Castle Rock to mimo wszystko fajne miejsce, dobrze się tu żyje i wzrasta, jak mówią tablice przy każdej z dróg wjazdowych. Promienie słońca padają na liście drzew i na jezioro, a w wyjątkowo piękny dzień z Castle View widać nawet wszystkie drogi do Yermont. Letnicy wściekają się na siebie, kiedy zabraknie niedzielnych gazet, na parkingu „Potulnego Tygrysa” w piątki lub soboty (a czasami i w piątki, i w soboty) zdarzają się bójki, ale letnicy zawsze w końcu wyjeżdżają, a bójki ustają. Nasze Castle Rock to w gruncie rzeczy fajne miasteczko, a kiedy ktoś zaczyna się nagle wściekać, to wtedy mówimy: przejdzie mu, przejdzie jej.

Henry Beaufort na przykład ma dość Hugh'a Priesta, kąpiącego po pijaku jego szafę grającą... Ale Hughowi przejdzie. Wilma Jerzyck i Nettie Cobb są na siebie wściekłe, ale Nettie najprawdopodobniej przejdzie, a jeśli chodzi o Wilmę, to wściekłość jest po prostu jej sposobem życia, Szeryf Pangborn nadal oplakuje żonę i młodszego syna, którzy zginęli przedwcześnie. Była to straszna tragedia, ale szeryfowi też kiedyś przejdzie. Artretyzm Poiły Chalmers nie ma zamiaru ustąpić i z pewnością jej nie przejdzie, ale Poiły nauczy się z nim żyć. Jak miliony innych. Zawsze ktoś się z kimś klóci, ale na ogół sprawy idą dobrze. A przynajmniej szły, aż do dziś. Lecz teraz, przyjacielu, zdradzę ci tajemnicę. Zawołałem cię, kiedy zobaczyłem, że wróciłeś do

miasta. Sądę, że będziemy mieli kłopoty, prawdziwe kłopoty. Czuję je, czają się tuż za horyzontem, nieoczekiwane jak zimowa burza, gwałtowna i z mnóstwem błyskawic. Klótnie baptystów z katolikami o „Casino Nite”, okrucieństwo dzieci wyśmiewających biednego Slopeya-jąkałę, nieszczęśliwa miłość Johna LaPointe, rozpacz szeryfa Pangborna... moim zdaniem, wszystko to okaże się całkiem nieważne w porównaniu z tym czymś, co nadchodzi. Widzisz ten dom po drugiej stronie głównej ulicy? Trzy domy za pustą parcelą, gdzie kiedyś stało „Emporium Galorium”? Ten z zieloną markizą, tak, właśnie ten. Okna ma zamalowane, interes jeszcze nie ruszył. Szyld głosi: „Sklepek z marzeniami” — do diabła, co to właściwie ma znaczyć? Nie, ja też nie wiem, ale stąd płyną moje złe przeczucia.

Właśnie stąd.

Jeszcze raz spójrz na ulicę. Widzisz tego chłopca? Tego, który prowadzi rower i wygląda na pogrążonego w słodkich chłopięcych. marzeniach? Nie spuszcza z niego oka, przyjacielu. Moim zdaniem wszystko zacznie się właśnie od niego.

Nie, przecież mówiłem, nie wiem, co się zacznie... Zupełnie nie wiem. Ale nie spuszcza z niego oka z tego małego. I nie wyjeżdżaj z miasteczka, dobrze? Mam złe przeczucia. Jeśli coś rzeczywiście się wydarzy, dobrze byłoby mieć świadka.

Znam tego chłopca, który pcha rower. Nazywa się Brian jakoś-tam. Może ty też go znasz. Jego tata robi chyba wykończeniówkę domów w Oxfordzie i South Paris: instaluje drzwi, zakłada okładziny.

Nie spuszcza z niego oka, mówię ci. Nie spuszcza z niego oka z niczego! Już tu kiedyś byłeś, ale w powietrzu wisi zmiana.

Czuję ją.

Jestem jej pewien.

Nadchodzi burza.

## Rozdział I

W małym miasteczku otwarcie nowego sklepu to wydarzenie.

Dla Briana Ruska nie było jednak tak ważne, jak dla innych, na przykład jego matki. Słyszała, jak od mniej więcej miesiąca dyskutowała na ten temat (nie wolno ci używać słowa „plotkowała” —

zapowiedziała synowi — bo plotkowanie to wstrętny nawyk i ja nigdy nie plotkuję) bardzo zapalczywie ze swą najbliższą przyjaciółką, Myrą Evans. Pierwsi robotnicy pojawili się w budynku, w którym mieściła się niegdyś „Agencja Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine. Ubezpieczenia”, mniej więcej wtedy, kiedy znowu zaczęła się szkoła, i aż do dziś krzątali się tam jak pszczołki. Nikt właściwie nie wiedział, o co chodzi; pierwszą rzeczą, jaką zrobili, było wstawienie wielkich okien wystawowych, drugą — zamalowanie ich.

Dwa tygodnie temu na drzwiach pojawił się szyld, zawieszony na lince przymocowanej do przezroczystej plastikowej przyssawki. Głosił:

WKRÓTCE OTWARCIE!  
„SKLEPIK Z MARZENIAMI”  
CZEGOŚ TAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO!  
NIE UWIERZYCIE WŁASNYM OCZOM!

— Kolejny sklep z antykami — orzekła matka Briana w rozmowie z Myrą. Rozmawiała z nią rozparta na kanapie. W jednej ręce trzymała słuchawkę, drugą wyciągała wiśnie w czekoladzie z otwartego pudełka, gapiąc się jednocześnie w telewizor, gdzie szła właśnie „Santa Barbara”. — Kolejny sklep z antykami, pełny fałszowanych wczesnoamerykańskich mebli i tych starych telefonów na korbkę. Poczekaj, a zobaczysz!

Rozmowa miała miejsce wkrótce po tym, jak najpierw zamontowano, a potem zamalowano okna wystawowe. Matka mówiła z takim przekonaniem, że Brian nabrał całkowitej pewności, iż temat został wyczerpany. Tylko że z jego matką żaden temat nigdy nie był do końca wyczerpany. Jej domysły i podejrzenia ciągnęły się w nieskończoność jak problemy bohaterów serialu „Santa Barbara” lub „Szpitala miejskiego”.

W zeszłym tygodniu pierwsza linijka napisu na szyldzie została zmieniona:

WIELKIE OTWARCIE 9 PAŹDZIERNIKA PRZYJDŹCIE Z PRZYJACIÓLMI!

Brian nie interesował się sklepem tak bardzo jak jego matka (i niektóre nauczycielki; słyszał, jak rozmawiają na ten temat w pokoju nauczycielskim szkoły podstawowej w Castle Rock, kiedy wypadł tam jego dyżur), ale miał jedenaście lat, a zdrowego jedenastolatka interesuje wszystko co nowe, a poza tym fascynowała go nazwa. „Sklepek z marzeniami” — co to właściwie takiego?

Owo zmienione pierwsze zdanie przeczytał w zeszły wtorek, wracając do domu ze szkoły. We wtorki popołudniami zostawał w szkole. Urodził się z *zajęczą* wargą i chociaż operowano go w wieku siedmiu lat, nadal chodził na lekcje wymowy. Każdemu, kto go o to pytał, oznajmiał, że nienawidzi tych zajęć, ale w rzeczywistości było wręcz odwrotnie. Brian był do szaleństwa, beznadziejnie zakochany w pannie Ratcliffe i przez cały tydzień wyczekiwał jej lekcji. Wtorkowe przedpołudnie trwało dla niego tysiąclecie, z których ostatnie dwie godziny spędzał pogrążony w słodkim podnieceniu.

Oprócz niego na lekcje chodziło jeszcze czworo innych uczniów i wszyscy oni mieszkali po przeciwnej stronie miasteczka. Bardzo mu to odpowiadało. Po godzinie spędzonej w jednej sali z panną Ratcliffe był zbyt oszołomiony, by znieść czyjekolwiek towarzystwo. Lubił wracać do domu powoli, ciesząc się spokojem popołudnia; *zazwyczaj* pchał rower, zamiast na nim jechać, i marzył o pannie Ratcliffe, podczas gdy w skośnych promieniach październikowego słońca mieniły się żółto i złoto opadające liście.

Jego droga prowadziła główną ulicą Castle Rock na odcinku trzech przecznic, naprzeciw parku miejskiego. Od dnia, w którym zobaczył zawiadomienie o otwarciu „Sklepiku z marzeniami”, miał zwyczaj przykładać nos do szklanych drzwi, w nadziei że dostrzeże to, co znalazło się w środku zamiast masywnych biurek i urzędowych żółtych ścian nieodżałowanej „Agencji Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine. Ubezpieczenia”. Nie zaspokoił ciekawości. Wisząca na drzwiach roleta była zasunięta. Dostrzegał jedynie własne odbicie: twarz i przyłożone do szyby dłoń.

W piątek, czwartego, w wychodzącym w Castle Rock tygodniku „Cali” ukazała się reklama nowego sklepu, ujęta w ozdobną ramkę. Poniżej tekstu dęły w trąby dwa odwrócone do siebie plecami anioły. Reklama w zasadzie niczym nie różniła się od tej, która wisiała na przyssawce; sklep nazywał się „Sklepik z marzeniami”, otwarcie odbędzie się dziewiątego października rano i oczywiście — „Nie uwierzycie własnym oczom”. Nic nie wskazywało, jakim towarem zamierza handlować właściciel czy też właściciele „Sklepiku z marzeniami”.

Najwyraźniej szalenie zirytowało to Córę Rusk; zirytowało do tego stopnia, że choć była sobota rano, postanowiła zadzwonić do Myry.

— Ja tam uwierzę własnym oczom, bez obawy! — powiedziała. — Kiedy zobaczę te łóżka na sprężynach, które mają podobno dwieście lat, a tymczasem na ramie wybite jest „Rochester, New

York" i wystarczy tylko pochylić się i *zajrzeć* pod spód, żeby to zobaczyć. O tak, uwierzę własnym oczom, nie ma strachu!

Myra coś jej na to powiedziała. Córa słuchała, wyjadając wprost z puszek orzeszki w czekoladzie, po jednym i dwa, i żując je pracowicie. Brian i jego młodszy brat, Sean, siedzieli na podłodze oglądając telewizję. Seana pochłonął bez reszty świat Smurfów, Brian zaś, choć świątek małych niebieskich ludzików nie był mu całkowicie obojętny, jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie.

— Jaaasne! — ryknęła Córa Rusk. Myra musiała wygłosić właśnie szczególnie cenną uwagę, bowiem w głosie Córy więcej było tryumfalnej pewności niż zazwyczaj. — Wysokie ceny i te lefony na korbkę.

Wczoraj, w poniedziałek, Brian wracał ze szkoły z kilkoma kolegami. Kiedy mijali sklep, dostrzegł, że rankiem zainstalowano nad nim ciemnozieloną markizę, na której białymi literami było wypisane: „Sklepek z marzeniami”. Poity Chalmers, prowadząca w miasteczku pracownię krawiecką, stała na chodniku z rękami na swych jakże godnych zazdrości szczupłych biodrach, wpatrzona w markizę z wyrazem zdumienia i zachwytu jednocześnie.

Brian, który niejedno wiedział o markizach, uznał te za godną najwyższego podziwu. Była to jedyna „prawdziwa” markiza na głównej ulicy; dzięki niej sklep wyglądał... niezwykle. Określenie „z klasą” nie należało do czynnego słownictwa Briana Ruska, lecz natychmiast zorientował się, że drugiego takiego sklepu w Castle Rock nie ma — i nigdy nie było. Dzięki markizie „Sklepek z marzeniami” sprawiał wrażenie czegoś, co można obejrzeć w telewizji. „Western Auto” po przeciwnej stronie ulicy wyglądało przy nim na zaniedbane i prowincjonalne.

Kiedy wrócił do domu, zastał matkę na kanapie przed telewizorem, w którym szła „Santa Barbara”. Tym razem pochłaniała babeczki z kremem i dietetyczną colę. Córa zawsze piła dietetyczną colę lub pepsi; Brian nie bardzo rozumiał czemu, skoro popijała nią to, co popijała, ale wiedział, że pytać o to byłoby niebezpiecznie. Mama mogłaby nawet zacząć krzyczeć, a kiedy mama zaczynała krzyczeć, należało natychmiast rzucać się na poszukiwania głębokiej dziury w ziemi.

- Cześć, mama! — krzyknął, ciskając książki na kuchenny stół i wyciągając mleko z lodówki. — Wiesz co? Nad tym nowym sklepem jest markiza!

- Która z nich to markiza? — dobiegł go z pokoju głos matki,

pogrążonej w „Santa Barbara”.

Brian nalał sobie mleka i poszedł do dużego pokoju.

— Nie tu — powiedział. — Nad tym nowym sklepem, w centrum.

Córa usiadła wyprostowana, odszukała pilota i wyłączyła dźwięk. Al i Corinne nadal omawiali problemy w swej ulubionej restauracji w Santa Barbara, ale jakie to były problemy, mógł dowiedzieć się tylko ktoś, kto umie czytać z warg.

- Co? Nad tym „Sklepikiem z marzeniami”?
- Uhu — przytaknął Brian, który właśnie pił mleko.
- Nie siorb — nauczyła go matka, wpychając sobie ciasteczko w usta. — To obrzydliwe. Ile razy mam ci powtarzać?

Tyle, ile powtarzałaś mi, że bym nie mówił z pełnymi ustami, pomyślał Brian, ale zachował tę uwagę dla siebie. Bardzo wcześnie przekonał się, co jest złotem.

- Przepraszam, mamo.
- Jaka to markiza?
- Zielona.
- Tłoczona czy aluminiowa?

Brian, którego ojciec robił wykończeniówkę dla „Dick Perry Siding and Door Company” w South Paris, doskonale wiedział, o czym mówi mama, lecz gdyby markiza „Sklepiku z marzeniami” była tłoczona lub aluminiowa, w ogóle nie zwróciłby na nią uwagi. Aluminiowe i tłoczone markizy to masówka. Połowa do mów w Castle Rock miała je nad oknami.

• Nie, nie. Jest z materiału... płócienna chyba. Wystaje nad ulicę, rzuca cień na chodnik! I jest okrągła, o taka! — złożył dłonie w półokrąg, uważając, by nie rozlać mleka. — Na wierzchu ma nazwę sklepu. Wygląda bajecznie!

• No, niech mnie zarzną! — tymi słowami Córa wyrażała najczęściej podniecenie lub gniew. Brian cofnął się o krok na wypadek, gdyby chodziło o drugie z wymienionych tu uczuć.

- Mamusku, a co to będzie? — spytał. — Restauracja?



- Nie wiem. — Córa Rusk wyciągnęła rękę po stojący na stole różowy telefonik. Żeby go dosięgnąć, musiała zrzucić ze stołu kota imieniem Squeebles, gazetę z programem telewizji i litrową butelkę coli. — Niesamowite.

- Mamo, a co to znaczy „Sklepik z marzeniami”? Czy to coś jak...

- Nie przeszkadzaj mi teraz, Brian. Mama jest zajęta. W pudełku znajdziesz hot dogi, jeśli jesteś głodny. Zjedz jednego, ale tylko jednego, niedługo będzie kolacja. — Mówiąc to wykręcała numer Myry i już wkrótce obie panie z wielkim entuzjazmem dyskutowały kwestię markizy.

Brian, który nie miał ochoty na hot doga (bardzo kochał mamę, ale czasem patrząc na to, jak je, tracił apetyt), usiadł przy kuchennym stole, otworzył podręcznik matematyki i zabrał się do pracy domowej; był inteligentnym, obowiązkowym chłopcem i tylko matematyki nie zdążył odrobić w szkole. Metodycznie przesunął przecinki i dzielił, słuchając, co też mama ma do powiedzenia przez telefon. Mama po raz kolejny powtarzała Myrze, że w Castle Rock będą mieli jeszcze jeden sklep sprzedający stare, śmierdzące butle perfum i zdjęcia czyichś martwych krewnych i doprawdy wstyd, jak takie sklepiki powstają i znikają. Za wielu jest ludzi — twierdziła Córa — których życiowym mottem jest „nachap się i w nogi”, a kiedy mówiła o markizie, miało się wrażenie, że markizę wymyślono tylko po to, by obrazić ją osobiście... i że w tym względzie osiągnięto kolosalny sukces.

Moim zdaniem uważa, że ktoś powinien zasięgnąć przedtem jej rady, pomyślał Brian, podczas gdy pióro poruszało się systematycznie, dzieląc, przenosząc, zaokrąglając. Aha, o to właśnie

23

chodzi. Jest ciekawa — po pierwsze. I jest też wściekła—po drugie. Ta mieszanina ciekawości i wściekłości doprowadza ją niemal do szału. Wkrótce dowie się, o co tu chodzi. A kiedy się dowie, może i jemu zdradzi ten wielki sekret? A jeśli będzie zbyt zajęta, by mu go zdradzić, i tak dowie się wszystkiego, słuchając jej rozmów z Myrą. Okazało się jednak, że Brian poznał kilka sekretów „Sklepiku z marzeniami” przed matką, Myrą i w ogóle kimkolwiek z Castle Rock.

Zawzięcie pchał swój rower, wracając ze szkoły po południu w dniu poprzedzającym otwarcie „Sklepiku z marzeniami”. Tkwił głęboko w marzeniach (nie opowiedziałby o nich nikomu, nawet gdyby przypalano go gorącym węglem lub na przykład grożono tarantulami), w których zapraszał pannę Ratcliffe na jarmark w Castle Rock. Panna Ratcliffe przyjęła jego zaproszenie!

- *Dziękuję ci, Brian. — Łzy wdzięczności błyszczą w kącikach jej niebieskich oczu, oczu tak ciemnoniebieskich, że wyglądają niemal jak niebo przed burzą. — Ostatnio... bylam bardzo smutna. Straciłam ukochanego...*

- *Pomogę ci o nim zapomnieć— głos Briana jest jednocześnie szorstki i czuły — jeśli zechcesz mówić mi Bri.*

- *Dziękuję ci... — szepcze panna Ratcliffe, a potem, pochylając się tak, że Brian czuje zapach jej perfum — aromat polnych kwiatków wprost z marzeń — dodaje: — ...Bri. A ponieważ, przynajmniej dziś, jesteśmy dla siebie chłopcem i dziewczyną, a nie uczniem i nauczycielką, czy będziesz mi mówił Sally?*

*Brian bierze ją za rękę. Patrzy jej w oczy.*

*—Nie jestem dzieckiem. Pomogę ci o nim zapomnieć... Sally.*

*Jest niemal zahipnotyzowana tym niespodziewanym porozumieniem, jego nieoczekiwaną męskością; być może ma zaledwie jedenaście lat — myśli — ale jest mężczyzną, którym Lester nigdy nie będzie. Zaciska dłoń na jego dłoni. Ich twarze są blisko... coraz bliżej...*

- *Nie — szepcze, a jej oczy są tak bliskie, tak wielkie, że Brian niemal się w nich topi — nie wolno nam... nie wolno... nam... Bri...*

- *Wolno, kochanie — odpowiada chłopiec i przyciska usta do jej ust. Panna Ratcliffe odsuwa się po długiej chwili, szepcząc czule...*

*— Hej, gówniarzu, patrz, gdzie leziesz!*

Przywołany gwałtownie do rzeczywistości Brian zorientował się, że właśnie wlaź pod koła półciężarówki Hugh'a Priest'a.

—Bardzo pana przepraszam, panie Priest! — powiedział, rumieniąc się jak wściekły. Hughowi Priestowi także niewiele brakowało do wściekłości. Pracował dla Wydziału Robót Publicz

nych i miał opinię najgwałtowniejszego z mieszkańców Castle Rock. Brian przyglądał mu się spod oka. Gdyby tylko Hugh otworzył drzwi samochodu, natychmiast wskoczyłby na rower i znikł w perspektywie ulicy mniej więcej z prędkością światła. Nie miał zamiaru przeleżeć najbliższego miesiąca w szpitalu tylko dlatego, że marzył o zaproszeniu panny Ratcliffe na jarmark.

Ale Hugh Priest trzymał między nogami butelkę piwa, z radia leciał Hank Williams, Jr. śpiewając „Na haju, pod ciśnieniem”, i w ogóle było mu odrobinę za dobrze, by podjąć jakąś radykalną decyzję — na przykład wysiąść i sflekować gówniarza w to śliczne wtorkowe popołudnie.

— Lepiej szeroko otwieraj oczka — powiedział i łyknął z butelki, mierząc Briana złowrogim spojrzeniem — bo następnym razem mogę nie fatygować się naciskaniem hamulca. Po prostu rozsmaruję cię po asfalcie. Ale będziesz piszczał, malutki! — Wrzucił bieg i odjechał. Brian poczuł przemożną (choć na szczęście krótkotrwałą) pokusę, by krzyknąć za nim: „A niech mnie zarzną!”. Zaczekał, aż pomarańczowy samochód robót drogowych skręci w Linden Street, a potem ruszył przed siebie. Wszelkie marzenia o pannie Ratcliffe rozplynęły się, niestety, w powietrzu; Hugh Priest był niczym powiew rzeczywistości. Panna Ratcliffe nie pokłóciła się ze swym narzeczonym, Lesterem Pratem, nadal nosiła na palcu pierścionek zaręczynowy z maleńkim diamentem i nadal jeździła jego niebieskim mustangiem, czekając, aż jej własny samochód wróci wreszcie z naprawy.

Brian widział pannę Ratcliffe z Lesterem Pratem zaledwie wczoraj po południu. Przyklejali te ulotki, HAZARD I SZATAN, na słupach telefonicznych głównej ulicy, oni i jeszcze kilka osób. Wszyscy śpiewali hymny. Problem w tym, że katolicy pojawiali się zaraz po ich przejściu i zdzierali nalepione ulotki. W pewien sposób strasznie to było śmieszne... ale gdyby Brian był choć odrobinę starszy, zrobiłby wszystko, by własnym ciałem chronić ulotki, których dotykały święte ręce panny Ratcliffe.

Pomyślał o jej ciemnoniebieskich oczach, długich nogach tancerki i zdumiał się, jak zawsze na myśl o tym, że od stycznia

Sally z własnej woli przestanie być Sally Ratcliffe, co brzmiało, cudownie, a stanie się Sally Pratt, co dla Briana brzmiało, jakby gruba baba spadała z krótkich, ale bardzo stromych schodów.

No cóż, pomyślał, przechodząc przez ulicę w drodze do domu, może jeszcze zmieni zdanie? Nic nie jest niemożliwe. Albo może Lester Pratt będzie miał wypadek samochodowy, albo dostanie guza mózgu czy coś takiego? Może okaże się nawet, że jest narkomanem? Panna Ratcliffe nigdy nie poślubiłaby narkomana.

Myśli te sprawiły Brianowi ogromną ulgę, nie zmieniało to jednak faktu, że Hugh Priest przerwał mu sen na jawie tuż przed kulminacją (całował pannę Ratcliffe i nawet dotykał jej prawej piersi podczas jazdy tunelem miłości!). To jednak zwariowany pomysł, jedenastolatek zabierający nauczycielkę na jarmark. Panna Ratcliffe jest oczywiście piękna, ale także stara. Powiedziała przecież klasie, że w listopadzie skończy dwadzieścia cztery lata.

Brian złożył więc swoje marzenia wzdłuż zagięć, jak człowiek składający ukochany i często czytany dokument, po czym umieścił je na tylnej półce mózgu, gdzie było ich miejsce. Zamierzał wsiąść na rower i popedałować do domu.

W tej właśnie chwili minął nowy sklep. Zerknął na szyld, coś się w nim zmieniło. Zatrzymał rower i spojrzał uważnie.

Napis: OTWARCIE 9 PAŹDZIERNIKA — PRZYPROWADŹCIE PRZYJACIOŁ, zniknął. Zastąpiła go biała karteczka z czerwonym napisem: OTWARTE. Tylko to i nic więcej. Brian zapatrzył się na kartkę, z rowerem między nogami, a serce zaczęło mu bić odrobinę szybciej.

Wcale nie mam zamiaru wejść do środka — powiedział do siebie. — Nawet jeśli rzeczywiście otworzyli dzień wcześniej, nie muszę z tego skorzystać, prawda?

A czemu nie? — zadał sobie drugie pytanie.

No, bo okna wystawowe nadal są zamalowane, a roleta na drzwiach wciąż opuszczona. Jeśli wejść, wszystko może się przydarzyć, dosłownie wszystko.

Jasne. Facet, który prowadzi ten sklepik, jest jakimś Normanem Batesem, przebiera się w ubrania matki, dźga klientów nożem. Jaaasne!

Rany, daj sobie spokój — powiedziała nieśmiała część Briana, ale brzmiało to tak, jakby już wiedziała, że poniosła klęskę. W końcu rzeczywiście jest w tym coś dziwnego.

A potem Brian pomyślał o matce. Widział, jak mówi jej nonszalancko: „A tak przy okazji, mamo,

ten nowy sklep, ten »Sklepik z marzeniami«? No... otworzyli go dzień wcześniej. Byłem tam, rozejrzałem się trochę».

Mama z pewnością wyciszy wtedy telewizor i zerwie się z kanapy. Jasne, bez dwóch zdań! Będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego, dosłownie wszystkiego!

Temu obrazowi po prostu nie mógł się oprzeć. Postawił rower na podpórcie, wszedł pod markizę — w jej cieniu było wyraźnie chłodniej — i podszedł do drzwi „Sklepiku z marzeniami”. Kiedy nacisnął staroświecką mosiężną klamkę, uświadomił sobie, że tabliczka z napisem: OTWARTE, została pewnie zawieszona przez pomyłkę. Czekala tam, za szybką drzwi, na jutrzejszy dzień i ktoś ją powiesił przypadkiem. Zza rolety nie dobiegał nawet najcichszy dźwięk. Brian miał wrażenie, że „Sklepik z marzeniami” jest pusty.

Ale skoro już zaczął, poruszył klamką. Obróciła się łatwo. Stuknęła zapadka i drzwi „Sklepiku z marzeniami” stanęły przed nim otworem.

W środku było mroczno, ale nie ciemno. Brian dostrzegł, że w szynach na suficie zainstalowano ruchome lampy punktowe (specjalność „Dick Perry Siding and Door Company”) i że niektóre z nich były zapalone. Ich światło padało na gablotki, w większości puste, umieszczone wokół dużej sali. Lampy oświetlały te, w których coś się jednak znajdowało.

Podłoga — w czasach „Agencji Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine. Ubezpieczenia” gołe deski — pokryta była grubym dywanem w kolorze czerwonego wina. Ściany pomalowano na oślepiającą biel. Pasma światła, równie białego jak ściany, przenikały przez zamalowane okna.

To jednak pomyłka — pomyślał Brian. — Nie sprowadzili jeszcze towaru. Ktoś, kto przez pomyłkę umieścił na drzwiach napis: OTWARTE, przez pomyłkę także ich nie zamknął. W tych okolicznościach najgrzeczniej byłoby wyjść, zamknąć drzwi za sobą, wskoczyć na rower i odjechać.

A jednak bardzo nie chciał wyjść. Przecież właśnie widział, naprawdę widział, wnętrze nowego sklepu. Kiedy mama się o tym dowie, przegada z nim całe popołudnie, aż do wieczora. Najgorsze było jednak to, że Brian nie bardzo wiedział, co właściwie widzi. W gablotkach znajdowały się jakieś

*(eksponaty)*

towary, oświetlone blaskiem lamp punktowych — pewnie sprawdzają instalację — ale co to za

towary, nie miał najmniejszego pojęcia. Tylko jedno było jasne — nie są to sprężynowe łóżka i stare telefony na korbkę.

- Dzień dobry — rzucił niepewnie w przestrzeń. — Jest tu kto?

Stał na progu gotów do wyjścia, kiedy jakiś głos powiedział:

- Ja tu jestem.

Wysoka — na pierwszy rzut oka wydawało się, że niesamowicie wysoka — postać pojawiła się w drzwiach za jedną z gabletek. Drzwi zasłaniała aksamitna kotara. Przez moment Brian czuł paniczny strach, a potem twarz mężczyzny ukazała się w świetle jednej z lamp i lęk ustąpił. Mężczyzna był stary. Sprawiał wrażenie bardzo łagodnego. Patrzył na Briana z zaciekawieniem i z przyjaznym uśmiechem.

— Zostawił pan otwarte drzwi, więc pomyślałem...

— Oczywiście, że drzwi były otwarte. Zdecydowałem, że dziś po południu otworzę na kilka godzin... tak na próbę. Jesteś moim pierwszym klientem. Wchodź, przyjacielu, wchodź i podziel się ze mną odrobiną szczęścia, które ze sobą przynosisz.

Wysoki, stary mężczyzna z uśmiechem wyciągnął dłoń. Uśmiechał się zaraźliwie i Brian natychmiast go polubił. Musiał przekroczyć próg, wejść do środka, by uścisnąć wyciągniętą dłoń; wszedł jednak bez najmniejszego wahania. Drzwi same się za nim zamknęły i zapadka zaskoczyła sama, ale Brian tego nie zauważył. Zbyt był zajęty obserwowaniem mężczyzny o ciemnoniebieskich oczach, dokładnie takich, jak oczy panny Sally Ratcliffe. Mogli być ojcem i córką.

Uścisk dłoni właściciela „Sklepiku z marzeniami” był mocny i pewny, lecz nie bolesny. Mimo to było w nim coś nieprzyjemnego, dłoń miał jakby... śliską. I nieco zbyt twardą.

— Miło mi pana poznać — powiedział Brian.

Ciemnoniebieskie oczy wpatrzyły się w jego twarz jak latarnie lokomotywy.

— Mnie również, mnie również — powiedział mężczyzna.

W ten właśnie sposób Brian Rusk poznał właściciela „Sklepiku z marzeniami”, zanim poznała go reszta Castle Rock.

- Nazywam się Leland Gaunt — powiedział wysoki mężczyzna. — Ty zaś jesteś...
- Brian. Brian Rusk.
- Doskonale, panie Rusk. Ponieważ jest pan moim pierwszym klientem, sądzę, że mogę panu zaoferować wyjątkowo specjalną cenę na wszystko, co się panu spodoba.
- Nie, nie, dziękuję, w takim sklepie nie kupię chyba niczego. Kieszonkowe dostaję dopiero w piątek i... — Brian z powątpiewaniem rozejrzał się po gablotkach — ...chyba czeka pan jeszcze na dostawę.

Gaunt uśmiechnął się. Zęby miał krzywe, w przyćmionym świetle wydawały się także mocno żółknięte, ale mimo to jego uśmiech był czarujący. I znów Brian odpowiedział uśmiechem — niemal mimo woli.

— Tak — powiedział Gaunt. — Oczywiście. Dostawa, jak to ująłeś, przyjdzie dopiero wieczorem. Ale znajdziesz tu z pewnością kilka interesujących drobiazgów. Proszę, rozejrzyj się po sklepie, młodzieńcze. Z przyjemnością wysłucham twojej opinii, choćbyś nawet niczego nie kupił... a poza tym masz przecież mamę, prawda? Ależ oczywiście. Tak dzielny młody człowiek z całą pewnością nie jest sierotą. Mam rację?

Brian skinął głową, nie przestając się uśmiechać.

— Jasne. Mama jest teraz w domu. — Nagle coś przyszło mu do głowy. — Może chciałby pan, żebym ją przyprowadził? — Nim wypowiedział te słowa do końca, już ich pożałował. Nie miał ochoty przyprowadzić mamy! Jutro pan Leland Gaunt stanie się własnością miasteczka. Jutro mama i Myra Evans będą się nad nim znęcać... wraz ze wszystkimi innymi paniami z Castle Rock. Brian sądził, że pan Gaunt przestanie wydawać się takim oryginałem gdzieś pod koniec miesiąca — może nawet pod koniec tego tygodnia — ale na razie był oryginałem, na razie należał do Briana Ruska i tylko do Briana Ruska, i Brian nie miał zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy.

Tak więc sprawiło mu przyjemność, kiedy pan Gaunt podniósł dłoń (palce miał bardzo wąskie i bardzo długie; Brian natychmiast zauważył, że wskazujący oraz serdeczny są dokładnie tej samej długości) i przecząco potrząsnął głową.

— Nie, nie chciałbym — powiedział. — Właśnie tego najbardziej bym nie chciał. Pewnie przyszłaby z przyjaciółką, prawda?

- No... tak — Brian natychmiast pomyślał o Myrze.
- Albo nawet z dwiema przyjaciółkami. Nie, nie, tak jest znacznie lepiej, Brian... czy mogę ci mówić Brian?
- Oczywiście — odparł chłopiec, którego to pytanie rozśmieszyło.
- Dziękuję ci bardzo. Ty oczywiście nadal będziesz się do mnie zwracał „panie Gaunt”, ponieważ jestem starszy, choć nie koniecznie mądrzejszy... zgoda?
- Jasne. — Brian nie miał pojęcia, co pan Gaunt rozumie pod słowami „starszy i mądrzejszy”, ale strasznie spodobał mu się jego sposób mówienia. I oczy miał takie niezwykle, po prostu nie sposób było oderwać od nich wzroku.
- Teraz jest o wiele lepiej. — Pan Gaunt zatarł dłonie. Zaszcząły. To i tylko to wcale się Brianowi nie spodobało.



Kiedy pan Gaunt zacierał dłonie, brzmiało to jak syk rozzłoszczonego, gotowego kąsać węża. — Oczywiście, powiesz wszystko mamie, może nawet pokażesz jej, co kupiłeś, jeśli cokolwiek kupisz...

Brian rozważał, czy warto poinformować pana Gaunta, że ma przy sobie majątek wartości dokładnie dziewięćdziesięciu jeden centów, i zdecydował, że nie warto.

- ...mama zaś opowie o wszystkim przyjaciółkom, jej przyjaciółki porozmawiają ze swoimi przyjaciółkami... rozumiesz, Brian? Będziesz reklamą, o jakiej miejscowa gazeta zaledwie mogłaby pomarzyć. Nie mógłbym lepiej się zareklamować, nawet gdybym wynajął cię do noszenia naszej reklamy na plecach!

- Jeśli pan tak mówi... — zgodził się Brian. Nie miał pojęcia, jak mógłby nosić reklamę „Sklepiku z marzeniami” na plecach; z pewnością nigdy by się na to nie zgodził. — Fajnie móc się tak porozglądać — powiedział, myśląc jednocześnie „nie bardzo jest się tu po czym rozglądać!”.

- No to rozejrzyj się, Brian. — Pan Gaunt gestem wskazał gablotki. Brian zauważył, że ma on na sobie długą, aksamitną marynarkę. Pomyślał, że może to być nawet marynarka od smokin gu, taka, o jakiej czytał w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie. Ale fajna. — Nie krępuj się!

Brian podszedł powoli do gablotki najbliższej drzwi wejściowych. Obejrzał się pewien, że pan Gaunt pójdzie za nim, ale pan Gaunt stał przy drzwiach, obserwując go z przyjaznym rozbawieniem. Wyglądało na to, że odczytał myśli Briana i dowiedział się z nich, że Brian najbardziej nie lubi, kiedy właściciel sklepu

30

zagląda mu przez ramię. Przypuszczał, że właściciele na ogół boją się, że się coś stłucze albo podwędzi — albo jedno i drugie naraz.

- Nie spiesz się — powiedział pan Gaunt. — Zakupy sprawiają przyjemność wyłącznie wtedy, kiedy nikt się nie spieszy. A gdy

się ktoś spieszy, dokuczają jak wrzód w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

- Proszę pana, czy pan pochodzi z zagranicy? — Chłopca zainteresowało powiedzenie „kiedy kto się spieszy” zamiast „kiedy się spieszysz”. Przypomniało mu to tego starego grzyba, prezentera „Teatru Arcydziel”; matka oglądała czasami jakąś sztukę, jeśli w gazecie napisali, że będzie o miłości.

- Pochodzę z Akron — odparł pan Gaunt.
- Czy to w Anglii?

Głos pana Gaunta zabrzmiał nadzwyczaj uroczyście:

— W Ohio — i pan Gaunt znów ukazał swe krzywe, żółte zęby w szerokim uśmiechu.

Brianowi wydało się to strasznie zabawne; tak samo zabawne wydawały mu się czasami dowcipy w telewizyjnych serialach komediowych. Poczul się tak, jakby naprawdę znalazł się nagle w którymś z tych seriali, może nieco tajemniczym, ale z pewnością nie groźnym. Parsknął śmiechem.

Przez chwilę bał się, że pan Gaunt weźmie jego śmiech za dowód braku wychowania (prawdopodobnie dlatego, że matka zawsze oskarżała go o brak wychowania, wskutek czego miał wrażenie, że więzi go mocna, choć niewidzialna sieć etykiety), lecz pan Gaunt też się roześmiał. Śmiali się tak razem; Brian nie pamiętał już, kiedy spędził równie przyjemne popołudnie.

— Rozejrzyj się. — Pan Gaunt machnął ręką. — Pogadamy sobie innym razem, dobrze?

Brian zaczął się więc rozglądać. W największej gablotce znajdowało się pięć eksponatów, choć miał wrażenie, że mogłaby pomieścić jeszcze ze dwadzieścia albo i trzydzieści. Leżała tam fajka i zdjęcie Elvisa Presleya z czerwoną chustą na szyi, w tej jego słynnej białej kurtce z tygrysem na plecach. Król (tak mówiła o nim zawsze matka Briana) trzymał mikrofon przy namiętnych ustach. Trzecim eksponatem był aparat polaroid. Czwartym — kawałek polerowanej skały z wgłębieniem pełnym odłamków kryształu, mieniących się wspaniale w świetle lampy, piątym zaś kawałek drewna, długości i grubości mniej więcej jednego z palców Briana.

Brian wskazał na kryształ.

— To geoida, prawda? — spytał.

- Jesteś zdumiewająco wykształconym młodym człowiekiem — powiedział pan Gaunt. — Oczywiście, że to geoida. Mam plakiety do większości towaru, ale jeszcze ich nie rozpakowałem... jak i większości samego towaru. Będę musiał harować jak wół, jeśli mam zdążyć na jutrzejsze otwarcie. — Gaunt nie wydawał się jednak zmartwiony i najwyraźniej nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca.

- A to co? — Brian wskazał na kawałek drewna. Uważał, że to naprawdę bardzo dziwny sklep z dziwnym towarem, jak na małe miasteczko. Od pierwszego wejrzenia bardzo polubił Lelanda Gaunta, ale jeśli ma zamiar handlować czymś takim — pomyślał — to niedługo będzie robił interesy w Castle Rock. Jeśli chce się sprzedawać fajki, zdjęcia Króla i kawałki drewna, powinno się otworzyć sklep w Nowym Jorku. Tak przynajmniej działo się na oglądanych przez niego filmach.

- Ach, to wielce interesujące. Pozwól, że ci pokażę.

Pan Gaunt ruszył się z miejsca, podszedł do gablotki od tyłu, wyciągnął z kieszeni kółko pełne kluczy, wybrał jeden z nich pozornie na chybił trafił, otworzył gablotkę i bardzo ostrożnie wyjął z niej kawałek drewna.

- Wyciągnij rękę — polecił.

- Rany, może lepiej nie — odparł Brian. Wychowany w stanie, którego głównym przemysłem jest turystyka, swego czasu odwiedził sporo sklepów z pamiątkami i napatrzył się na wszelkiego rodzaju napisy głoszące: „Wygląda wspaniale w ręku trzymane, lecz jeśli upuścisz, zostało sprzedane”. Z łatwością wyobraził sobie wściekłą minę mamy; oto upuszcza drewnienko i pan Gaunt, już nie tak przyjacielski, oznajmia jej, że kosztowało pięćset dolarów.

- A czemuż to nie? — pan Gaunt podniósł brwi, a właściwie jedną brew, która rosła nad oczami i nosem krzywą, nieprzerwaną linią.

- No, bo jestem dość niezdarny.

- Nonsens! Potrafię rozpoznać niezdarnych chłopców na pierwszy rzut oka. Ty z pewnością nie zaliczasz się do tego plemienia. — Rzucił mu drewniko na dłoń. Brian spojrział na nie, zdumiony; nie miał pojęcia, kiedy otworzył dłoń, na której wylądowało.

W dotyku drewniko wcale nie przypominało drewnika, już bardziej...

— To chyba kamyk — stwierdził z powątpiewaniem, podnosząc wzrok na pana Gaunta.

32

- Zarówno drewno, jak i kamyk. Widzisz, to skamielina.
- Skamielina? — zdumiał się Brian. Popatrzył na drewniko z bliska, przesunął po nim palcem. Wydawało się jednocześnie gładkie i nierówne. Dziwne to było uczucie, nie całkiem przyjemne. — Musi być stara!

- Ma przeszło dwa tysiące lat — zgodził się poważnie pan Gaunt.

- Rany! — krzyknął Brian. Podskoczył i omal nie upuścił drewnika. Zaciśnął dłoń, w której spoczywało... i nagle poczuł się dziwnie, trochę strasznie, jakby nie wiedział, gdzie jest. Słabo? Nie, ale był daleko, jakby jakaś jego część wyrwała się z ciała, odpłynęła, zniknęła.

Widział pana Gaunta przyglądającego mu się z zainteresowaniem i rozbawieniem; jego oczy nagle nabrały rozmiarów spodków. Jednak uczucie zagubienia, którego doświadczał, nie było nieprzyjemne, lecz raczej podniecające i z pewnością miłsze od dotyku wyslizgującego się z palców drewnika.

— Zamknij oczy — powiedział pan Gaunt. — Zamknij oczy, Brian, i powiedz mi, co czujesz.

Chłopiec zamknął oczy. Przez chwilę stał nieruchomo, z wyciągniętą przed siebie prawą ręką; w pięści ścisnął drewniko. Nie widział, jak górna warga pana Gaunta podnosi się jak u psa,

obnażając krzywe, żółte zęby; podnosi się w grymasie mogącym oznaczać radość i oczekiwanie. Czuł ruch... falowanie... i cichy delikatny dźwięk: puk... puk... puk... Znał ten dźwięk, to odgłos fal uderzających...

- Łódź! — krzyknął radośnie, nie otwierając oczu. — Jestem na łodzi.

- Oczywiście — głos pana Gaunta dobiegł jakby z bardzo daleka.

Brian znacznie wyraźniej czuł teraz łódź kołyszącą się na długich, łagodnych falach. Słyszał dobiegający z dala krzyk ptaków, a bliżej obecność wielu zwierząt: muczenie krów, pianie koguta, niski pomruk jakiegoś wielkiego kota, nie pomruk wściekłości, lecz znudzenia. Przez sekundę czuł pod stopami drewno (drewno, którego ściskana w dłoni drzazga była częścią, nie miał co do tego żadnej wątpliwości) i to, że na nogach ma nie adidasy, lecz coś w rodzaju sandałów...

...nagle wrażenie to znikło w rozbłysku światła, które skupiło się w jedną rozżarzoną na biało kropkę niczym w wyłączonym nagle telewizorze i zgasło. Brian otworzył oczy, wstrząśnięty, wyczerpany.

Zaciskał drewnienko w dłoni z taką siłą, że musiał zmusić palce, by się rozluźniły, a kiedy je prostował, trzeszczały niczym zardzewiałe zawiasy.

— O, rany! — powiedział cicho.

- Fajne, nie? — stwierdził wesoło pan Gaunt, odbierając drewnienko Brianowi z obojętną zręcznością lekarza wyciągającego z palca drzazgę. Umieścił je na półce i uroczyście zamknął gablotkę.

- Fajne — zgodził się Brian, gwałtownie wypuszczając powietrze z płuc w czymś, co było niemal westchnieniem. Pochylił się i spojrzął na drewnienko. Palce, w których je trzymał, nadal lekko mrowiły. Wrażenia: kołysanie się łodzi, fale bijące w kadłub, drewniany pokład pod nogami... zostały, ale przypuszczał (i czuł na tę myśl prawdziwy smutek), że w końcu odejdą w niepamięć — jak odchodzą sny.

- Znasz opowieść o arce Noego? — zainteresował się pan

Gaunt.

Brian zmarszczył brwi. Był prawie całkowicie pewien, że chodzi o coś z Biblii, lecz niedzielne kazania i czwartkowe lekcje religii wpadały mu jednym uchem, a wypadały drugim.

— Czy to... tak... jak ta łódź, co opłynęła świat w osiemdziesiąt dni? — spytał niepewnie.

Pan Gaunt znów uśmiechnął się szeroko.

— Mniej więcej, Brian. Tak, prawie tak. Widzisz, podobno drewno to pochodzi z arki Noego. Rzecz jasna, nie mogę powiedzieć po prostu, że pochodzi z arki Noego, bowiem ludzie oczywiście wzięliby to za najbrzydliwsze w świecie łgarstwo. Z pewnością na całym świecie ładne parę tysięcy ludzi sprzedaje dokładnie w tej chwili drzazgi z arki Noego — a pewnie więcej niż paręset tysięcy ludzi próbuje sprzedać *drzazgi* Jedynego Prawdziwego Drzewa Krzyża Świętego — ale mówię ci po prostu, że ma przeszło dwa tysiące lat, ponieważ badano je metodą C czternaście lat<sup>1</sup> — oczywiście mogę też powiedzieć, że pochodzi z Ziemi Świętej, choć znaleziono je nie na górze Ararat, lecz na górze Boram.

Brian nie zwrócił uwagi na większą część tej tyrady, ale to, co ważne, zapamiętał.

- Dwa tysiące lat! — westchnął. — Jest pan pewien?
- Najzupełniej. Mam certyfikat z MIT, gdzie oznaczono jego wiek. Nabywca otrzyma go, oczywiście, wraz z towarem. Ale wiesz... naprawdę wierzę, że może pochodzić z arki. — Pan Gaunt przez chwilę wpatrywał się w drewno, a potem podniósł ośle-

34

piająco niebieskie oczy i spojrzał w orzechowe oczy Briana. Po raz kolejny unieruchomił chłopca spojrzeniem. — W końcu góry Boram i Ararat dzieli zaledwie trzydzieści kilometrów w linii prostej, a w historii wielokrotnie popełniano już większe błędy w lokalizacji łodzi... zwłaszcza gdy historia ta przez pokolenia przekazywana była z ust do ust, nim wreszcie została zapisana. Mam rację?

- Aaa... tak. Brzmi logicznie.

- A poza tym... jeśli weźmie się je w rękę, doświadcza się dziwnych wrażeń, prawda? Nie myślę się?

- No jasne!

Pan Gaunt uśmiechnął się i zwichrzył włosy chłopca. Czar prysnął.

- Podobasz mi się — powiedział. — Chciałbym, by wszyscy moi klienci byli równie ciekawi. Życie biednego handlarza, takiego jak ja, byłoby o wiele weselsze, gdyby w ten sposób kręcił się świat.

- Ile... ile kosztowałyby u pana coś takiego? — Brian wskazał drewniko lekko drżącym palcem. Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę, jak wielkie wrażenie wywarło na nim to doświadczenie. Czuł się tak, jakby przyłożył do ucha muszlę i usłyszał szum morza... tylko w trzech wymiarach i stereofonicznie. Bardzo chciał, by pan Gaunt pozwolił mu potrzymać je jeszcze przez chwilę, odrobinę dłużej, ale nie wiedział, jak o to poprosić, a pan Gaunt nie spieszył się z propozycją.

- Ach, ach — pan Gaunt podparł dłonią brodę i spojrzał na chłopca łobuzersko. — Jeśli o nie chodzi — i o większość mojego towaru, tego naprawdę dobrego towaru, interesującego towaru — zależałoby to od kupującego. Od tego, ile chciałby zapłacić klient. Ile ty chciałbyś za nie zapłacić?

- Nie wiem. — Brian pomyślał o swych dziewięćdziesięciu jeden centach. Przełknął. — Mnóstwo!

Pan Gaunt odrzucił głowę i roześmiał się szczerze. Brian dostrzegł, że jego pierwsze wrażenie było mylne — włosy właściciela „Sklepiku z marzeniami” były siwe tylko na skroniach. „Musiał stać pod którąś z lamp” — pomyślał.

- No, tak, bardzo sympatycznie sobie porozmawialiśmy, ale do jutra, do dziesiątej rano mam jeszcze mnóstwo roboty i...

- Jasne. — Brian drgnął. Dopiero teraz przypomniał sobie o dobrych manierach. — Muszę lecieć. Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu...

- Nie, nie, nie! — pan Gaunt położył wąską, długą dłoń na

ramieniu chłopca. Brian odsunął się natychmiast. Miał nadzieję, że nie zachował się niegrzecznie, ale nawet gdyby tak było, to i tak nic na to nie potrafił poradzić. Ręka pana Gaunta była twarda, sucha i w jakiś sposób odpychająca. W dotyku tak naprawdę niewiele różniła się od skamieniałego drewnianka, pochodzącego z arki Noego czy jak się ta łódź nazywała. Lecz pan Gaunt był zbyt przejęty, by zwrócić uwagę na ten ruch. Sprawiał wrażenie, jakby to on zachował się nieuprzejmie. — Chodziło mi tylko o to, że czas już przejść do interesów. Doprawdy, nie ma sensu, byś marnował czas na oglądanie reszty tych moich drobiazków, które zdołałem już rozpakować; nie jest ich wiele, a te najciekawsze już widziałeś. Jednak całkiem nieźle orientuję się w tym, co mam na składzie, nawet bez pomocy spisu, i być może coś z tego ci się spodoba. Co chciałbyś mieć?

- Raaany! — Istniały tysiące *rzeczy*, które chciałby mieć, i w tym tkwił problem. Zadane tak bezpośrednio pytanie natychmiast uświadomiło mu jego istnienie: nie wiadomo, co z tego tysiąca wymienić.

- Nad tego rodzaju sprawami lepiej się za głęboko nie zastanawiać — orzekł pan Gaunt. Wypowiedział te słowa obojętnie, ale w jego oczach nie było nic obojętnego — bardzo uważnie wpatrywał się w twarz Briana. — Gdybym spytał: „Briane Rusk, czego w tej chwili pragniesz najbardziej na świecie”, co byś mi odpowiedział? Szybko!

- Sandy'ego Koufaksa — odparł natychmiast Brian. Nie zdawał sobie sprawy, że wyciągnął rękę, póki drewnianko nie spadło mu na dłoń, i nie wiedział, co odpowiedzieć panu Gauntowi, póki słowa same nie znalazły się na jego ustach. Gdy je jednak wypowiedział, zrozumiał, że są całkowitą, absolutną prawdą.

- Sandy'ego Koufaksa — powtórzył w zamyśleniu pan Gaunt. — Jakież to interesujące.

- No... oczywiście nie samego Sandy'ego Koufaksa. Chciałbym mieć jego kartę baseballową.



- Topps czy Fleers?

Brian nie wyobrażał sobie, by popołudnie to mogło zrobić się jeszcze przyjemniejsze, ale właśnie tak się stało. Pan Gaunt znał się na kartach baseballowych równie dobrze jak na drewniakach i geoidach. Zdumiewające, doprawdy zdumiewające.

- Topps.

- Czyli pewnie chodzi ci o jego kartę debiutancką. — W głosie pana Gaunta brzmiał żal. — Niestety, nic nie mogę dla ciebie zrobić, ale...

- Nie. Nie kartę z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, tylko z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego. Tę właśnie chciałbym mieć. Kolekcjonuję karty baseballowe z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Tata mnie do tego namówił. To fajne, a tylko kilka z nich jest naprawdę drogich: Al Kalinę, Mel Parnell, Roy Campanella, kilka innych. Mam ponad pięćdziesiąt. Ala Kalinę też. Kosztował mnie trzydzieści osiem dolarów. Mnóstwo trawników ostrzygłem, żeby dostać Ala.

- No pewnie — pan Gaunt uśmiechnął się.

- No więc, jak mówiłem, większość kart z pięćdziesiątego szóstego roku nie jest taka znowu droga — kosztują pięć, siedem, czasami dziesięć dolarów. Ale Sandy Koufax w dobrym stanie kosztowałby jakieś dziewięćdziesiąt, może nawet sto. Nie był wielkim graczem w tym roku, ale oczywiście później okazał się wielki, a to było wtedy, kiedy Dodgersi nadal grali w Brooklynie. Wszyscy nazywali ich wtedy Bum-Bum. Przynajmniej tak twierdzi tata.

— Twój tata ma dwustuprocentową rację — przytaknął pan Gaunt. — Sądzę, że mam coś, co może uczynić cię bardzo szczęśliwym. Zaczekaj tu.

Zniknął za zakrytymi zasłoną drzwiami, pozostawiając Briana w towarzystwie gablotki z drewnikiem, polaroidem i zdjęciem Króla. Chłopiec, niecierpliwie oczekując niespodzianki, przestępował z nogi na nogę tak, że niemal tańczył. Powtarzał sobie, że nie powinien być aż takim idiotą, nawet jeśli pan Gaunt ma kartę Sandy'ego Koufafa, nawet jeśli jest to Topps z lat pięćdziesiątych, to pewnie będzie z 1955 albo 1957 roku. A nawet gdyby okazała się kartą z 1956 roku, to co? Co zwojuje z niespełna dolarem w kieszeni?

No, przynajmniej się napatrzę, nie? — pomyślał Brian. Patrzenie nie kosztuje, nie? To powiedzenie też należało do repertuaru mamy.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło go szuranie przesuwanych pudeł, co chwila któreś z nich z łagodnym stukiem stawiane było na podłodze.

— Jeszcze chwilka, Brian — zawołał pan Gaunt. Był chyba trochę zdyszany.

— Niech pan nie robi sobie przeze mnie kłopotu! — zawołał chłopiec z szaleńczą nadzieją, że właściciel „Sklepiku z marzeniami” zrobi sobie przez niego tyle kłopotu, ile okaże się konieczne.

— Może to pudło jeszcze nie dojechało? — stwierdził z powątpiewaniem pan Gaunt.

Serce Briana niemal przestało bić.

— Ale przecież byłem pewien... no! Mam! Jest!

Serce Briana ożyło... ba, wskoczyło mu do gardła i wykonało salto w tył!

Pan Gaunt wrócił do sklepu. Włosy miał nieco rozczochrane, na jednej z klap smokingu pozostała smużka kurzu. W dłoniach trzymał pudełko po koszykarskich trampkach Air Jordan. Postawił je na ladzie i zdjął przykrywkę. Brian stał obok niego, nieco po lewej. Zajrzał mu przez ramię...

Pudełko pełne było kart baseballowych, każda w plastikowej kopercie, zupełnie jak w specjalistycznym sklepie w North Conway, w New Hampshire.

— Myślałem, że może w środku jest karta inwentarzowa, ale to by było zbyt piękne — stwierdził pan Gaunt. — Mimo wszystko nieźle orientuję się w tym, co mam, jak ci już wspomniałem... tak trzeba, jeśli handluje się po trochu wszystkim... jestem niemal pewien, że widziałem...

Zawahał się i zaczął szybko przerzucać karty.

Brian przyglądał się, oniemiały z podziwu i oszołomienia. Facet, który prowadził sklep w North Conway, miał, według określenia taty, „całkiem niezłą jak na wiochę” kolekcję starych kart, ale wszystko, co miał, nie umywało się do zawartości tego pudełka. Były w nim karty z tytoni do żucia przedstawiające Ty'ego Cobba i Piego Traynora. Były karty papierosowe Babe'a Rutha i Doma DiMaggia, i Wielkiego George'a Kellera, i nawet Hiram'a Dissena, jednorękiego miotacza, grającego w Białych Skarpetach w latach czterdziestych. ZIELONY LUCKY STRIKE POSZEDŁ NA WOJNĘ — głosiło wiele z tych kart. A tam, przez mgnienie oka, szeroka, poważna twarz i koszulka Pittsburgha...

- Boże, czy to był Honus Wagner? — westchną } Brian. Serce niczym maleńki ptaszek podleciało mu do gardła i objało się tam, nie znajdując drogi wyjścia. — To najrzadsza karta baseballowa we wszechświecie!

- Tak, tak — stwierdził machinalnie pan Gaunt. Długimi palcami przewracał karty, twarze z innej epoki uwięzione w plastikowych okładkach, mężczyźni rzucający jak szatany, odbijający jak diabły, biegający jak sarny, bohaterowie minionej złotej ery,

38

ery, gdy chłopcy ciągle jeszcze śnili pogodne, urocze sny. — Odrobina wszystkiego — oto recepta na kwitnący biznes, Brian. Różnorodność, radość, zdumienie, spełnienie... oto recepta na szczęśliwe życie w ogóle, jeśli już przy tym jesteśmy... Nie udzielam rad, ale gdybym udzielał, to na tej z pewnością wyszedłbyś dobrze... Jeszcze, jeszcze, wszystko sprawdzimy... ach!

Ze środka pudełka wyjął karteczkę niczym czarnoksiężnik w finale sztuczki.

Położył ją przed Brianem.

Była to karta Sandy'ego Koufaksa.

Z 1956 roku. Topps.

Podpisana.

— „Mojemu dobremu przyjacielowi Brianowi z najlepszymi życzeniami, Sandy Koufax” — ochryplym szeptem przeczytał dedykację Brian.

I odkrył, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa.

Patrzył na pana Gaunta, poruszając wargami. Pan Gaunt uśmiechnął się.

— Niczego nie zaplanowałem i nawet nie przypuszczałem, że tak się to ułoży, Brian — powiedział. — Przypadek... ale jakże miły przypadek, nie sądzisz?

Brian nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu, więc tylko słabo skinął głową. Plastikowa okładka z cenną zawartością dziwnie ciążyła mu w dłoni.

— Wyjmij kartę — zaproponował pan Gaunt.

Brian zdołał wreszcie wykrztusić kilka słów, lecz jego głos był głosem schorowanego starca.

- Nie śmiem.

- No, a ja tak — powiedział pan Gaunt, odebrał Brianowi kopertkę, sięgnął do niej wyjątkowo długim palcem z wymanikiurowanym paznokciem i wydobył nim kartę. Włożył ją chłopcu w rękę.

Brian poczuł wgłębienia powierzchni — dzieło długopisu, którym Sandy Koufax wypisał na karcie swe imię... ich imiona. Jego odręczny podpis bardzo przypominał ten drukowany, tylko w druku było Sanford Koufax, zaś odręcznie: Sandy Koufax. Ten drugi podpis był też tysiąc razy lepszy... prawdziwy. Sandy Koufax

39

trzymał tę kartę w dłoni, wycisnął na niej swe piętno; piętno żywej dłoni i magicznego nazwiska.

Na karcie było nie tylko jego imię, lecz także to drugie... imię Briana. Jakiś Brian stał przy siatce Ebbets Field kiedyś, przed którymś z meczów i Sandy Koufax, prawdziwy Sandy Koufax, młody, silny, u progu wielkiej kariery, wziął podaną mu kartę i — prawdopodobnie mocno pachnącą słodką różową gumą do żucia — zostawił na niej swój ślad... „i mój także” — pomyślał Brian.

Nagle naszło go to samo uczucie, które poznał już, gdy ścisnął w dłoni skamieniałą drzazgę. Tylko tym razem uczucie to było o wiele, wiele mocniejsze.

Słodki zapach świeżo skoszonej trawy.

Ciężki odgłos uderzenia dębową pałką w piłkę z końskiej skóry.

Okrzyki i śmiechy z pola.

— Dzień dobry, panie Koufax, czy mógłby pan podpisać mi kartę?

Wąska twarz. Piwne oczy. Ciemne włosy. Koufax zdejmuje czapeczkę, drapie się w głowę tuż nad linią włosów, wkłada czapeczkę.

- Jasne, chłopcze. — Bierze kartę. — Jak ci na imię?
- Brian, proszę pana. Brian Seguin.

Drap, drap, drap długopisu po karcie. Magia, ręka mistrza.

- Chcesz grać w baseball, kiedy dorośniesz, Brian? — Koufax najwyraźniej zadaje to pytanie machinalnie, z przyzwyczajenia, nie podnosząc wzroku znad karty, którą trzyma w wielkiej prawej dłoni. Podpisuje się lewą, która wkrótce stanie się tak sławna.

- Oczywiście, proszę pana.
- Ćwicz podstawy — ręka oddaje kartę.
- Oczywiście, proszę pana.

Lecz Sandy Koufax odwrócił się już, odchodzi, biegnie lekko po świeżo skoszonej trawie w kierunku boiska, a obok niego biegnie jego cień...

— Brian? Brian!

Długie palce pstrykają mu przed nosem — palce pana Gaunta. Brian obudził się z transu. Właściciel „Sklepiku z marzeniami” obserwował go z uśmiechem.

- Hej, słyszysz mnie, Brian?
- Przepraszam — Brian zaczerwienił się mocno. Zdawał sobie sprawę, że powinien oddać kartę i wyjść ze sklepu, ale zaciśnięte palce nie chciały się rozluźnić. Pan Gaunt patrzył mu w oczy — zaglądał mu wprost w głowę! — i znów Brian nie był w stanie odwrócić wzroku.

— Założmy — powiedział cicho pan Gaunt — założmy, Brian, że chcesz kupić tę kartę. Ile byś za nią zapłacił?

Brian był w rozpacz. Na sercu zaciążył mu potężny głaz.

— Mam tylko...

Pan Gaunt gwałtownym ruchem podniósł w górę lewą dłoń.

— Ciii! — rozkazał stanowczo. — Ugryź się w język. Kupującemu nie wolno powiedzieć, ile ma przy sobie pieniędzy. Równie dobrze mógłbyś wręczyć handlarzowi portfel i wysypać z kieszeni drobne na podłogę. Jeśli nie umiesz kłamać, milcz! To pierwsza zasada uczciwego handlu.

Oczy... znowu te wielkie, ciemnoniebieskie oczy. Brian miał wrażenie, że w nich tonie.

- Za tę kartę płaci się w dwóch ratach. Pół na pół. Pierwsza rata to gotówka. Druga — to zadanie do wykonania. Rozumiesz?

- Tak. — Brian znów poczuł, jak odpływa daleko od Castle Rock, od „Sklepiku z marzeniami”, od samego siebie. W tej oddali jedyną rzeczywistością były ogromne oczy pana Gaunta.

- Pierwsza rata za kartę z autografem Sandy'ego Koufafa wynosi osiemdziesiąt pięć centów — stwierdził pan Gaunt. — Czy wydaje ci się ucziwa?

- Tak. — Głos Briana był słaby, daleki. Czuł, jak odpływa... odpływa... zbliżając się do punktu, w którym nie istnieje już nawet świadomość.

- Świetnie — powiedział pieszczotliwie pan Gaunt. — Jak na razie transakcja układa się nam doskonale. A teraz zadanie... czy znasz kobietę imieniem Wilma, Wilma Jerzyck?

- Jasne, Wilma — przemówił z mroku Brian. — Mieszka na sąsiedniej uliczce.

- Istotnie — zgodził się pan Gaunt. — Słuchaj mnie uważnie. — Pan Gaunt na pewno mówił dalej, lecz Brian nie pamiętał nic.

Świadomość odzyskał dopiero, gdy pan Gaunt nadzwyczaj delikatnie wyprosił go ze sklepu na ulicę, powtarzając, jak bardzo cieszy się z ich spotkania, i prosząc, by opowiedział matce i jej przyjaciółkom, jak wspaniale go potraktowano i jaką rozsądną zaproponowano cenę.

- Jasne — powiedział Brian. Był oszołomiony... lecz mimo to czuł się świetnie, jak po odświeżającej, popołudniowej drzemce.

- Mam nadzieję, że jeszcze tu wrócisz — powiedział pan Gaunt i natychmiast zatrzasnął drzwi. Brian przyjrzał się im.

Wisiała na nich tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE.

## Rozdział 2

Miał wrażenie, że spędził w „Sklepiku z marzeniami” kilka godzin, lecz zegar nad bankiem pokazywał za dziesięć czwartą, więc trwało to najwyżej dwadzieścia minut. Nim wsiadł na rower, oparł się brzuchem o kierownicę i sięgnął do kieszeni spodni.

Z jednej wyjął sześć błyszczących miedzianych jednocentówek.

Z drugiej podpisaną przez Sandy'ego Koufaksa kartę baseballową.

Najwyraźniej doszło do jakiejś transakcji, choć Brian za skarby świata nie mógłby sobie przypomnieć, o co chodziło. Pamiętał tylko, że w rozmowie padło nazwisko Wilmy Jerzyck.

„Mojemu dobremu przyjacielowi, Brianowi, z najlepszymi życzeniami. Sandy Koufax”.

Niezależnie od tego, ile zapłacił, warto było.

Taka karta jest praktycznie bezcenna.

Brian ostrożnie włożył ją do plecaka, tak żeby się nie pogięła, wsiadł na rower i pognął do domu. Przez całą drogę uśmiechał się radośnie.

Kiedy w małym miasteczku w Nowej Anglii otwiera się nowy sklep, mieszkańcy — choć w innych sytuacjach mogą uchodzić za wsioków — zachowują się z kosmopolityczną wręcz rezerwą. W Nowym Jorku czy Los Angeles nowo otwierany magazyn przyciąga pierwszego dnia niewielki tłumek przyszłych klientów czy po prostu gapiów; przed nowym klubem tworzy się nawet kolejka, a policja powstrzymuje napór *paparazzich*, uzbrojonych w aparaty z teleobiektywem i inne gadżety. Słysząc szum rozmów, podobnie jak przed premierą nowej sztuki na Broadwayu, i to niezależnie od tego, czy będzie hitem sezonu czy kompletną klapą.

Przed nowo otwieranym sklepem w Nowej Anglii rzadko ktoś się zatrzymuje, a o kolejce w ogóle nie ma mowy. W pierwszych dniach po podniesieniu rolet w witrynach sączy się leniwy

strumyk ciekawych, co nie wróży dobrych interesów właścicielowi.

A jednak to, co wydaje się brakiem zainteresowania, maskuje często gorączkowe oczekiwanie i jeszcze bardziej gorączkową ciekawość (nie tylko Córa Rusk i Myra Evans przepalały linie telefoniczne, spekulując na temat „Sklepiku z marzeniami” już na kilka tygodni przed jego otwarciem). Oczekiwanie i ciekawość nie zmieniają wszakże konserwatywnego zachowania klientów z małych miasteczek, gdzie pewnych rzeczy po prostu „się nie robi”. Szczególnie w małych jankeskich enklawach na północ od Bostonu, których mieszkańcy są najzupełniej samowystarczalni przez dziewięć z dwunastu miesięcy w roku i gdzie za złe wychowanie uważa się nadmierną ciekawość i zbyt żywe jej okazywanie.

Oglądanie malutkiego sklepiku na prowincji i uczestnictwo w prestiżowym przyjęciu w wielkim mieście budzą podobne

emocje wśród rzeczywistych i potencjalnych uczestników i rządzą się pewnymi niewypowiedzianymi, ale niewzruszonymi i zbliżonymi do siebie zasadami. Pierwsza i najważniejsza z nich głosi: nie wolno być pierwszym. Ktoś oczywiście musi złamać te kardynalną zasadę, inaczej nikt by w ogóle nie przyszedł, ale nowo otwarty sklep może być pusty nawet dwadzieścia minut po tym, jak w oknie wywieszka: OTWARTE, po raz pierwszy zastąpiła napis: ZAMKNIĘTE. Znający się na *rzeczy* obserwator może bez ryzyka założyć, że jako pierwsza przekroczy próg grupa osób: para, trio, a najpewniej damski kwartet.

Zasada druga nakazuje, by pierwszego dnia klienci okazywali właścicielowi uprzejmość tak doskonałą, że prawie nieróżniącą się od lodowatej obojętności. Trzecia: podczas pierwszej wizyty nie wolno pytać właściciela o jego życie ani „bona fides”. Czwarta — nikt nie powinien ofiarować mu powitalnego prezentu, a już zwłaszcza tak banalnego jak domowe ciasto. Ostatnia zasada obowiązuje równie ściśle jak pierwsza: „nie wolno wyjść ostatnim”.

Ten jakże formalny menuet — można byłoby nazwać go Płasem Damskiego Śledztwa — trwa nie krócej niż dwa tygodnie, ale nie dłużej niż dwa miesiące i nie dotyczy sytuacji, w której interes rozkręca ktoś z miasteczka. W tym ostatnim wypadku otwarcie ma na ogół wszystkie cechy rodzinnego przyjęcia w miejscowej parafii: jest nieformalne, wesołe i na ogół nudne. Lecz jeśli właściciel pochodzi Spoza Miasta (wymawia się to tak, by słychać było wielkie litery), Płasy Damskiego Śledztwa odbywają się z nieuchronnością właściwą śmierci i działaniu siły



gravitacji. Gdy wreszcie kończy się okres próbny (nie zamieszcza się informacji o jego zakończeniu w miejscowej gazecie, ale wszyscy jakimś cudem wiedzą zawsze, że to już), zdarza się jedna z dwóch rzeczy: napływ klientów staje się równomierny i normalny, pojawiają się także pierwsze nieuniknione powitalne prezenty i równie nieuniknione zaproszenia na kawę, albo nowy biznes upada. W miasteczkach podobnych do Castle Rock mówi się o nim „skończony” na wiele tygodni czy nawet miesięcy przedtem, nim właściciel samodzielnie dojdzie do tego bolesnego wniosku.

W Castle Rock mieszkała jednak przynajmniej jedna kobieta, która nie grała według powszechnie akceptowanych reguł, choć oczywiście obowiązują one wszystkich. Była nią Poily Chalmers, właścicielka Pracowni Krawieckiej — „Same Szyjemy”. Większość mieszkańców nie spodziewała się po niej normalnego za-

chowania; w opinii pań (i niejednego dżentelmena) Poily była „ekscentryczna”.

Filarom opinii publicznej Castle Rock Poily sprawiała wyłącznie kłopoty. Na przykład nie sposób było uzgodnić powszechnie kwestii najzupełniej podstawowej: czy pochodzi Z Miasta, czy Spoza Miasta? Urodziła się i wychowała w Castle Rock, zgoda, lecz mając osiemnaście lat, wyjechała z bocheneczkiem Duke'a Sheehana w piecyku. Było to w 1970 roku. Wróciła do miasta tylko raz, nim w 1987 roku osiedliła się w nim na dobre.

Krótki powrót miał miejsce jesienią 1975 roku, kiedy jej ojciec umierał na raka prostaty. Zaraz po jego śmierci Lorraine Chalmers przeżyła poważny atak serca; Poily została więc w miasteczku opiekując się matką. Drugi, tym razem śmiertelny, atak serca pani Chalmers miał miejsce na wiosnę 1976 roku. Po pogrzebie matki, która spoczęła na cmentarzu Homeland, Poily (w zgodnej opinii pań otoczona najprawdziwszą, stuprocentową „mgłą tajemnicy”) wyjechała znowu.

„Zniknęła na dobre” — brzmiała powszechnie wypowiedana opinia. Śmierć ostatniej z Chalmersów, starej ciotki Ewie, i nieobecność Poily na jej pogrzebie zdawały się potwierdzać te przypuszczenia. A jednak w cztery lata później Poily wróciła i założyła pracownię krawiecką. Choć nikt nie wiedział tego na pewno, przypuszczano, że do jej założenia posłużyły pieniądze starej ciotki Ewie. W końcu komu innemu mogła je zostawić ta zwariowana starucha?

Co wytrwali miasteczkowi tropiciele *la comedie humaine* (czyli większość jego obywateli) żyli przekonaniem, że jeśli interes Poily się utrzyma i nie wyjedzie ona z Castle Rock, sam czas ujawni im jej tajemnice. Lecz w tym szczególnym przypadku całe mnóstwo tajemnic pozostało tajemnicami. Można oszaleć!

Kilka lat wygnania Poiły spędziła w San Francisco — o tym wiedzano, lecz niemal o niczym więcej; matka Poiły jak wilczyca broniła tajemnicy życia swej zbląkanej córki. Czy Poiły ukończyła tam jakąś szkołę? A może ukończyła jakąś szkołę gdzie indziej? Pracownię prowadziła jak po kursach biznesu, i to skończonych z najwyższymi odznaczeniami, ale pewności nie miał nikt. Wróciła samotna, lecz czy miała męża — w San Francisco czy też tam, gdzie spędzała czas między Kiedyś a Teraz? Tego też nikt nie wiedział, z pewnością jednak nie poślubiła chłopaka Sheehanów — uciekł przed nią do Marynarki Wojennej, odsłużył kilka tur, a teraz handlował nieruchomościami gdzieś w New Hampshire.

Czemu wróciła po tych wszystkich latach?

Najbardziej dręczyło wszystkich pytanie, co się stało z dzieckiem. Czy śliczna Poiły zdecydowała się na aborcję? Może oddała je do adopcji? A może zatrzymała przy sobie? A jeśli tak, to czy zmarło? Czy żyło teraz gdzieś w szkole (ta idiotyczna bezosobowa forma) i pisało okazjonalne listy do matki? Nikt nic nie wiedział i to wielu ludzi denerwowało. Dziewczyna, która wyjechała autobusem Greyhounda z bocheneczkiem w piecyku, była teraz kobietą koło czterdziestki. Wróciła, mieszkała i prowadziła interesy w mieście już od czterech lat, a nikt nie znał nawet płci tego dziecka, przez które wyjechała.

Ostatnio Poiły Chalmers po raz kolejny zademonstrowała obywatelom Castle Rock swą ekscentryczność, jakby demonstracja ta w ogóle była potrzebna. Coraz częściej mianowicie widywano ją w towarzystwie szeryfa Pangborna, który zaledwie przed półtora rokiem pogrzebał żonę i młodszego synka. Zachowanie to nie było całkiem Skandaliczne, ale z pewnością Ekscentryczne, nikogo więc nie zdziwił widok Poiły, idącej rankiem dnia 9 października dwie minuty po dziesiątej po chodniku głównej ulicy w kierunku „Sklepiku z marzeniami”. Nikogo też nie zaskoczyło, że w ukrytych w rękawiczkach dłoniach niesie foremkę, w której znajdować się może tylko jedna rzecz: ciasto.

Obywatele Castle Rock, szeroko dyskutujący później tę sprawę, jednogłośnie zdecydowali, że „to do niej podobne”.

Okno wystawowe „Sklepiku z marzeniami” oczyszczono z farby. Ustawiono w nim kilkanaście przedmiotów: zegary, srebrną tackę, obraz, prześliczną potrójną oprawkę czekającą tylko, by ktoś

wypełnił ją ulubionymi fotografiami. Poily z aprobatą przyjrzała się wystawie, po czym podeszła do drzwi. Wisiała na nich wywieszka z napisem: OTWARTE. Kiedy postąpiła zgodnie z tą sugestią, zadzwonił dzwoneczek, zainstalowany już po odwiedzinach Briana Ruska.

Sklep pachniał nowiutką wykładziną i świeżą farbą. Całe wnętrze oświetlone było blaskiem słońca i już wchodząc, Poily pomyślała: „Sukces. Żaden klient nie przekroczył jeszcze progu — chyba że to mnie uznać można za klientkę — a sklep już odniósł sukces. Nieprawdopodobne”. Na ogół nie kształtowała sobie zdania na żaden temat tak pochopnie ani niczego tak pochopnie nie chwaliła, ale tym razem niewątpliwie uczyniła to spontanicznie.

Nad jedną z gablotek pochylał się wysoki mężczyzna. Kiedy zadzwonił dzwoneczek, podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

— Dzień dobry — powiedział.

Poily była praktyczną kobietą, pewną swego zdrowego rozsądku i zazwyczaj z niego zadowoloną, toteż zmieszanie, które poczuła, spojrzawszy mężczyźnie w oczy, było dodatkowo peszące samo w sobie.

Przez jej nieoczekiwanie zaćmiony rozsądek przedarł się błysk jednej myśli: „Znam go! Już go kiedyś spotkałam! Kiedy?”.

Nie знаła go jednak i nie spotkała — pewność ta ogarnęła ją w ułamek sekundy później. Najpewniej przeżyła *deja vu*, fałszywe wspomnienie od czasu do czasu zdarzające się każdemu, uczucie nadzwyczaj dezorientujące, jednocześnie tajemnicze i prozaiczne.

Na moment zamarła i tylko niepewnie się uśmiechała. Potem ruszyła lewą ręką, by pewniej uchwycić tacę z ciastem. Z grzbietu dłoni dwa szpikulce bólu wbiły się w ciało, sięgając aż do nadgarstka. Czuła, jak w jej rękę wbijają się zęby jakiegoś wielkiego widelca. Odezwał się artretyzm, bolało jak skurwysyn, ale przynajmniej oprzytomniała i odezwała się bez widocznej pauzy... choć pewnie ten mężczyzna mimo wszystko ją zauważył. Miał bystre, orzechowe oczy, którym najwyraźniej nie umykało nic.

— Dzień dobry. Nazywam się Poily Chalmers. Jestem właścicielką tej malutkiej pracowni krawieckiej i sklepu z odzieżą, dwa domy stąd. Pomyślałam sobie, że — skoro jesteśmy sąsiadami — przyjdę i powitam pana w Castle Rock, nim zrobi się u pana tłoczno.

Mężczyzna uśmiechnął się i twarz natychmiast mu się rozjaśniła. Poiły poczuła, że mimo woli odpowiada mu uśmiechem, choć dłoń nadal bolała ją jak diabli. Gdyby nie to, że kocham Alana — pomyślała — padłabym mu do stóp bez najmniejszego wahania. „Gdzie tu sypialnia, panie i władco? Pójdę, dokąd każesz, bez słowa protestu”. Z rozbawieniem zastanowiła się jeszcze, ile z pań, które przed zamknięciem pojawią się, by zerknąć na „Sklepek z marzeniami”, zadurzy się beznadziejnie w jego właścicielu. Nie dostrzegła obrączki na jego palcu: kolejna porcja oliwy do ognia.

— Jakże miło mi panią poznać, pani Chalmers — powiedział mężczyzna, robiąc krok w jej stronę. — Nazywam się Leland Gaunt. — Wyciągnął dłoń i lekko zmarszczył brwi, gdy Poiły cofnęła się o krok.

— Bardzo pana przepraszam — wyjaśniła. — Nie podaję dłoni. Nie przez brak uprzejmości, nie. Cierpię na artretyzm. — Odstawiła tacę na najbliższą z gabletek i uniosła dłonie w rękawiczkach z kożłęczą skóry. Nie sprawiały odpychającego wrażenia, choć oczywiście były zniekształcone, lewa nieco bardziej niż prawa.

W Castle Rock nie brakło pań pewnych, że Poiły jest wręcz dumna ze swej choroby — przecież tak chętnie się nią chwali. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Choć pozbawiona odrobiny próżności, Poiły zwracała uwagę na swój wygląd w stopniu wystarczającym, by krępowała ją brzydota dłoni. Pokazywała je więc tak szybko, jak to tylko możliwe, i za każdym razem, błyskawicznie i niemal nieświadomie, przelatywała jej przez głowę myśl: „No. Już po wszystkim. Teraz wreszcie możemy przejść do innych, ważniejszych spraw”.

Na widok jej dłoni ludzie manifestowali na ogół w jakiś sposób zażenowanie lub współczucie. Gaunt zachował się zupełnie naturalnie. Ujął w dłonie, sprawiające wrażenie nieprawdopodobnie silnych, jej ramię i potrząsnął nim. Powinna odczuć to jako niesmaczne spoufalanie się podczas pierwszego spotkania, ale nie odczuła. Gest ten był przyjacielski, krótki, w jakiś sposób nawet zabawny. Dotyk suchych dłoni Gaunta odczuła jako nieprzyjemny nawet przez lekki płaszcz, który miała na sobie.

— Chyba bardzo trudno jest prowadzić pracownię krawiecką, cierpiąc na tę szczególną przypadłość, pani Chalmers. Jakim

cudem się to pani udaje?

Niewielu ludzi zadawało jej to pytanie, nikt zaś, z wyjątkiem Alana, nie zapytał jej o to w sposób tak bezpośredni.

- Szyłam, jak długo mogłam — wyjaśniła Poiły. — Pewnie można by powiedzieć, że cierpiałam z uśmiechem. Teraz pracuje dla mnie kilka dziewcząt, ja zaś zajmuję się głównie projektowaniem. Choć czasami mam lepsze dni. — To ostatnie było kłamstwem, ale chyba nieszkodliwym; wypowiedziała je głównie po to, by poprawić sobie samopoczucie.

- Cóż, bardzo się cieszę, że zdecydowała się pani do mnie wpaść. Żeby nie skłamać, miałem straszliwą tremę.

- Doprawdy? A czemu to? — Poiły oceniała ludzi jeszcze ostrożniej niż miejsca i zdarzenia. Zaskoczyło ją, a nawet lekko zaniepokoiło, że tak dobrze, tak swobodnie czuje się w towarzystwie mężczyzny, którego poznała zaledwie przed minutą.

- Cały czas zastanawiałem się, co zrobię, jeśli nikt nie przyjdzie. Przez cały dzień, aż do wieczora.

- Ależ przyjdą zobaczyć, czym pan handluje. Nikt nie wie, czym można handlować w „Sklepiku z marzeniami” — ale przede wszystkim przyjdą obejrzeć sobie pana. Chodzi o to, że w małych miasteczkach takich jak Castle Rock...

- ...nikt nie chce uchodzić za ciekawskiego — dokończył Gaunt. — Wiem, wiem, czym są małe miasteczka, poznałem ich wiele. Rozsądek podpowiada mi, że to, co właśnie pani powiedziała, jest absolutną i świętą prawdą, ale jakiś inny głos nie przestaje powtarzać: „Nie przyjdą, Leland, oooch nie, nie będą chcieli, ukryją się, poczekaj tylko, a sam się przekonasz”.

Poiły roześmiała się na wspomnienie tego, co czuła, otwierając „Same Szyjemy”.

- A cóż to takiego? — Gaunt dotknął blachy. Poiły zauważyła to, co wcześniej dostrzegł także Brian Rusk — wskazujący i ser

deczny palec jego dłoni były dokładnie tej samej długości.

- Ciasto. Jeśli znam to miasteczko choć w połowie tak dobrze jak sądzę, że je znam, to zapewniam pana, że będzie jedynym, jakie pan dzisiaj dostanie.

Uśmiechnął się do niej, najwyraźniej szczerze uradowany.

— Dziękuję. Bardzo pani dziękuję, pani Chalmers. Jestem szczerze wzruszony.

Poiły, która nigdy, ale to nigdy nie przechodziła na „ty” przy pierwszym spotkaniu i zawsze traciła zaufanie do domokrażców, agentów ubezpieczeniowych, sprzedawców samochodów, którzy uzurpowali sobie ten przywilej, z pewnym niepokojem usłyszała wypowiedane przez nią samą słowa:

— Skoro jesteśmy sąsiadami, może mógłby pan mówić mi Poiły?

Ciasto było „pyszości”. Do stwierdzenia tego faktu Lelandowi Gauntowi wystarczyło podnieść pokrywkę i powąchać je. Poprosił Poiły, żeby została i zjadła z nim kawałek. Poiły odmówiła. Gospodarz nalegał.

— Ktoś przecież poprowadzi pracownię pod pani nieobecność — stwierdził — a w sklepie ludzka noga nie postanie jeszcze przez jakieś pół godziny... tyle powinno wystarczyć na dopełnienie protokołu. Chciałbym zadać pani tysiące pytań dotyczących Castle Rock.

W końcu Poiły się zgodziła. Gaunt znikł za przysłoniętymi kotarą drzwiami. Słyszała, jak wspina się po schodach — przypuszczała, że mieszka na górze, przynajmniej czasowo — by znaleźć talerzyki i widelce. Czekaając na niego, obeszła sklep i przyjrzała się jego zasobom.

Oprawiony napis przy drzwiach oznajmiał, że sklep będzie otwarty w poniedziałki, środy, piątki i soboty od dziesiątej do siedemnastej, we wtorki i czwartki zaś pan Gaunt przyjmować ma klientów „wyłącznie po wcześniejszym uzgodnieniu terminu” aż prawie do lata lub — pomyślała, uśmiechając się do siebie — do chwili, kiedy przyjadą ci zwariowani turyści, wymachując trzymanymi w garściach dolarami.

„Sklepek z marzeniami” — pomyślała — był w istocie sklepikiem z kuriozami. I z pretensjami — stwierdziła, choć po dokładniejszym przyjrzeniu się gablotkom doszła do wniosku, że niełatwo opisać

go jednym słowem.

Przedmioty, leżące w gablotce podczas wczorajszych, popołudniowych odwiedzin Briana — geoida, polaroid, zdjęcie Elvisa Presleya, kilka innych — znajdowały się tam nadal, ale pojawiło się sporo nowych. Na białej ścianie wisiał niewielki dywanik, na pewno wart fortunę — był turecki... i stary. W innej gablotce siało pudełeczko z ołowianymi żołnierzami — być może antyk, choć Poiły zdawała sobie sprawę, że ołowiane żołnierzyki, nawet te odlane w Hongkongu w zeszły poniedziałek, zawsze wyglądają na antyki.

Nic tu do niczego nie pasowało. Pomiędzy zdjęciem Elvisa — przynajmniej na oko wyglądającym jak coś, co kupić można na każdym jarmarku Ameryki za cztery dolary i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, i wyjątkowo brzydkim kurkiem w kształcie amerykańskiego orła stał kryształowy klosz do lampy warty co najmniej osiemset dolarów, a być może nawet pięć tysięcy. Poobijany, prostacki porcelanowy talerzyk leżał między dwiema cudownymi francuskimi laleczkami z porcelany; Poiły nie miała nawet pojęcia, ile mogą kosztować te cacuszka o zaróżowionych policzках, w podtrzymywanych gumkami skarpeteczkach na nóżkach.

Nie brakowało tu także kart baseballowych i tytoniowych, stert magazynów z lat trzydziestych (były tam „Opowieści Niesamowite” i „Dziwne Opowieści”, i „Przeróżające Historie”), na stole stało duże radio z lat pięćdziesiątych w obrzydliwym odcieniu czerwieni, który ówczesni obywatele akceptowali w zakresie urządzeń domowych, lecz nie w polityce.

Większość przedmiotów (choć nie wszystkie) zaopatrzona była w stojące przed nimi niewielkie plakietki. „Trzykrystaliczna geoida” — głosiła jedna z nich, „Specjalny zestaw kluczy nasadowych” — inna. Przed drewnianym, które tak oszołomiło Briana, stała tabliczka: „Skamieniała drzazga z Ziemi Świętej”. Na stojaku z magazynami i kartami widniał napis: „Większy wybór dostępny po uzgodnieniu”.

A wszystko to, śmiecie i skarby, miało jedną cechę wspólną — brak wywieszek z cenami.

Gaunt powrócił z dwoma małymi talerzykami, bardzo zwykłymi i z pewnością niedrogimi, nożem i kilkoma widelczykami do ciasta.

- Mam na górze straszny bałagan — wyznał, zdejmując przy krywkę. Odwrócił ją przy tym, by nie pozostawiła śladu po cukrze na gablotce, której używali jako stołu. — Poszukam sobie domu,

jak tylko opanuję jakoś ten chaos, ale jeszcze przez jakiś czas muszę mieszkać nad sklepem. Wszystko mam w kartonowych pudłach. Boże, nienawidzę kartonowych pudeł! Jak sądzisz, kto...

- Nie aż taki wielki — zaprotestowała Poily. — Nie dam rady...

- Doskonale — zgodził się wesoło Gaunt, kładąc gruby kawałek czekoladowego ciasta na swoim talerzyku. — Będzie dla mnie. Wszystko dobre, byle dużo — powtarzam zawsze. — Czy ten ci odpowiada?

- Za gruby.

- Cienie już nie da się ukroić — Gaunt położył na talerzu Poily cienki kawałek. — Pachnie bosko! — powiedział. — Jeszcze raz dziękuję ci z całego serca.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Ciasto rzeczywiście pachniało wspaniale, a Poily nie stosowała diety, ale jej reakcja nie wynikała tylko z grzeczności obowiązującej przy pierwszym spotkaniu z obcym mężczyzną. Przez ostatnie trzy tygodnie Castle Rock doświadczało cudownego babiego lata, lecz w poniedziałek mocno się ochłodziło i jej ręce wcale nie były zachwycone tą zmianą. Ból prawdopodobnie zmniejszy się trochę, gdy stawy pogodzą się z niższą temperaturą (przynajmniej o to się modliła, no i tak było do tej pory zawsze, Poily doskonale zdawała sobie jednak sprawę z postępującego charakteru swej choroby), lecz od rana ból był wyjątkowo ostry. Przy takim jego natężeniu nie miała żadnej pewności, co jeszcze będzie, a czego już nie będzie w stanie utrzymać; odmówiła, bojąc się żenującej sytuacji.

Zdjęła rękawiczkę i na próbę zacisnęła palce. Ból przeszył jej

ramię aż do łokcia. Powtórzyła gest, tym razem zaciskając zęby. Zabolało, lecz nie aż tak. Będzie w porządku, nie przyjemnie, nie tak przyjemnie, jak powinno być przy jedzeniu pysznego ciasta, ale w porządku. Ostrożnie ujęła widelczyk, próbując minimalnie zgiąć palce. Niosąc do ust pierwszy kęs, dostrzegła, że Gaunt przygląda się jej z sympatią. Teraz zacznie się nade mną litować — pomyślała ponuro — opowie mi, jaki straszny artretyzm miał jego dziadek. Albo była żona. Ktokolwiek. Wszystko jedno kto. Gaunt nie miał jednak zamiaru się nad nią litować. Spróbował ciasta i komicznie wywrócił oczami.

- Co tam krojenie i szycie — orzekł. — Powinnaś otworzyć



restaurację.

- Och, to przecież nie moje dzieło. Nie zapomnę przekazać wszystkich komplementów Nettie Cobb. Ona je upiekła.

- Nettie Cobb — powtórzył z namysłem Gaunt, odkrawając drugi kawałek ciasta.

- Tak... znasz ją?

- Och, bardzo wątpię. — Powiedział to jak człowiek nagle wracający do rzeczywistości. — Nie znam nikogo w Castle Rock. — Spojrzał na nią spod oka. — Może udałoby mi się ją podkupić?

- Z pewnością nie — roześmiała się Poily.

- Miałem zamiar zapytać cię o agencje handlu nieruchomościami. Którego z agentów uważasz za najsolidniejszego?

- Och, wszyscy to złodzieje, ale prawdopodobnie Mark Howepwell nie jest najgorszym z nich.

Gaunt zakrztusił się śmiechem. Przyłożył dłoń do ust, by nie parsknąć okruszkami. Rozkasłał się; gdyby nie artretyzm, po przyjacielsku klepnęłaby go w plecy. Może i znają się bardzo krótko, ale już zdążyła go polubić.

- Przepraszam — powiedział, nadal pokaszując. — Ale rzeczywiście, wszyscy to złodzieje.

- Oczywiście.

Gdyby Poily była inna — gdyby nie ukrywała swej przeszłości przed światem — zaczęłaby teraz zadawać Lelandowi Gauntowi ważne pytania. Dlaczego przyjechał do Castle Rock? Co porabiał przed przyjazdem? Jak długo zamierza zostać? Czy ma rodzinę? Ale że była, kim była, więc najzupełniej zadowalało ją odpowiadanie na pytania... więcej niż zadowalało, zachwycało, ponieważ żadne z jego pytań nie dotyczyło jej życia. Gaunt pytał o miasteczko, o to, czy na głównej ulicy panuje w zimie duży ruch, czy jest gdzieś

52

w pobliżu sklep, w którym mógłby kupić przyzwoity piecyk, jakie są stawki ubezpieczeniowe i o setki podobnych drobiazgów. Z kieszeni niebieskiej bluzy, którą miał na sobie, wyjął wąski, oprawiony w

skórę notes i bardzo poważnie zapisywał każde nazwisko, które wymieniła. Poily opuściła wzrok na talerz i stwierdziła, że udało się jej zjeść całe ciasto. Dłonie nadal ją bolały, ale znacznie mniej, niż kiedy wchodziła do sklepu. Omal nie zrezygnowała z wizyty, tak bardzo jej dokuczały, a teraz cieszyła się, że im nie uległa.

— Muszę lecieć — zerknęła na zegarek. — Rosalie pomyśli, że umarłam.

Jedli na stojąco, potem Gaunt porządnie ułożył talerzyki i widelce, przykrył blachę.

- Zwrócę ci ją, gdy tylko zjem ciasto — powiedział. — Zgoda?

- Doskonale.

- Więc pewnie dostaniesz ją z powrotem dziś po południu — stwierdził poważnie.

- Nie musisz aż tak się spieszyć — odparła, gdy odprowadzał ją do drzwi. — Miło było cię poznać.

- Dziękuję za wizytę. — Przez chwilę Poily sądziła, że ujmie ją pod ramię, z czymś w rodzaju obrzydzenia pomyślała o jego dotyku — co za głupie uczucie! — ale Gaunt jej nie dotknął. — Zmieniłaś dzień, którego tak się bałem — oznajmił — w jeden z najprzyjemniejszych od dłuższego czasu.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. — Poily na moment przystanęła w progu. Nie zadała mu żadnego osobistego pytania, ale jedna sprawa bardzo ją ciekawiła, nie chciała wychodzić, póki się nie dowie. — Masz tu mnóstwo interesujących rzeczy...

- Dziękuję.

—...ale na żadnej nie ma ceny. Dlaczego?

Gaunt uśmiechnął się.

- To także dziwactwo — wyjaśnił. — Zawsze sądziłem, że jeśli chcesz coś sprzedać i coś kupić, to chcesz się także trochę potargować. W ostatnim wcieleniu musiałem być handlarzem dywanów ze Wschodu. Pewnie z Iraku, choć w dzisiejszych czasach nie powinienem się chyba do tego przyznawać.

- Więc każesz płacić tyle, ile tylko zniesie rynek — powie

działa z delikatną kpina.

- Można tak powiedzieć — odparł poważnie i Poiły znów dostrzegła, jak głębokie, jak dziwnie piękne są jego oczy. — Wolę jednak inne określenie: wartość *rzeczy* oceniana jest przez to, jak bardzo ktoś jej pragnie,

53

—• Rozumiem.

- Doprawdy?
- No... tak mi się przynajmniej wydaje. Wyjaśnia to nazwę sklepu.

Uśmiechnął się.

- Rzeczywiście. Ach, tak... rzeczywiście.
- No tak, życzę panu miłego dnia, panie Gaunt...
- Leland. Albo po prostu Lee.
- Więc miłego dnia, Leland. I nie martw się o klientów. Moim zdaniem, w piątek będziesz musiał zatrudnić strażnika, by pomagał ci ich wyrzucić pod koniec dnia.

- Doprawdy? Byłoby świetnie.
- Do widzenia.
- Ciao! — rzucił i zamknął za nią drzwi.

Stał przy nich przez chwilę i patrzył, jak Poiły idzie ulicą, wygładzając rękawiczki na dłoniach, tak zniekształconych i tak różnych od niej samej, zgrabnej i ładnej, choć może nie olśniewająco pięknej. Uśmiechał się coraz szerzej, wargi podwinęły mu się, ukazując nierówne zęby; w jego uśmiechu było coś nieprzyjemnego, drapieżnego.

— Nadasz się — powiedział cicho czterem ścianom sklepu. —  
O tak, nadasz się doskonale.

Przepowiednia Poiły sprawdziła się całkowicie. W ciągu dnia niemal wszystkie mieszkancki Castle Rock — w każdym razie wszystkie te, które się liczyły — oraz niemało mieszkańców wpadło do

„Sklepiku z marzeniami" przyjrzeć się jego skarbowi. Niemal wszyscy goście zapewniali właściciela, że mają do dyspozycji „zaledwie chwileczkę" i bardzo spieszą się gdzie indziej.

Stephanie Bonsaint, Cynthia Rose Martin, Barbara Miller i Francine Pelletier zjawiły się jako pierwsze; Steffie, Cyndi Rose, Babs i Francine pojawiły się w ciasnym defensywnym szyku niespełna dziesięć minut po wyjściu Poiły (zaobserwowano, że wychodzi, i wiadomość o tym rozeszła się równie błyskawicznie co szeroko dzięki liniom telefonicznym oraz telegrafowi ustnemu biegnącemu przez wszystkie podwórka domów w Nowej Anglii).

Steffi wraz z przyjaciółkami rozejrzały się po sklepie. Ochały i achwały. Zapewniły pana Gaunta, że nie mogą zostać dłużej, bowiem tego właśnie dnia zawsze grają w brydża (nie informując go jednak, że cotygodniowe roberki nie zaczynały się nigdy przed drugą). Francie zapytała go, skąd pochodzi. Z Akron w Ohio — odparł Gaunt. Steffie zapytała go, czy od dawna handluje antykami. Odparł, że nie handluje antykami... no, w każdym razie nie tylko. Cyndi pragnęła wiedzieć, kiedy przyjechał do Nowej Anglii. Jakiś czas temu — usłyszała odpowiedź.

Wszystkie cztery panie zgodziły się co do tego, że sklep jest interesujący — tyle dziwnych rzeczy! — za to odpowiedzi na pytania okazały się wyjątkowo niesatysfakcjonujące. Pan Gaunt krył swe sekrety równie dobrze jak Poiły Chalmers, a może nawet i lepiej. Babs wskazała na coś, o czym wiedziały wszystkie (a w każdym razie wydawało im się, że wiedziały) — otóż Poiły była w sklepie pierwsza i przyniosła ciasto! Być może, zastanawiała się Babs, zna ona tego Gaunta z „przedtem", które spędziła „gdzieś tam".

Cyndi Rose wyraziła zainteresowanie wazą lalique i spytała pana Gaunta (który był w pobliżu, lecz nie narzucał się klientkom), ile kosztuje.

- A jak pani sądzi? — spytał z uśmiechem.

Odpowiedziała mu uśmiechem... raczej kokietyjnym.

- Och! Więc w ten sposób prowadzi pan interes?
- W ten sposób prowadzę interes — zgodził się Gaunt.

— No, to więcej pan straci, niż zyska. Targować się z Jankesami!

Przyjaciółki śledziły tę wymianę zdań z zainteresowaniem w oczekiwaniu na finał w Wimbledonie.

— A... zobaczymy — głos Gaunta nadal brzmiał przyjacielsko, lecz pojawiła się w nim także nuta wyzwania.

Cyndi dokładnie przyjrzała się wazie. Stephanie szepnęła jej coś do ucha. Cyndi skinęła głową. — Siedemnaście dolarów — zaproponowała. W rzeczywistości waza wyglądała nawet na pięćdziesiąt. W sklepie z antykami w Bostonie, jak przypuszczała, wyceniono by ją na sto osiemdziesiąt dolarów.

Gaunt podparł głowę na palcach wyprostowanej dłoni; ten gest Brian Rusk rozpoznałby bez problemu.

— Obawiam się, że warta jest co najmniej czterdzieści pięć dolarów — powiedział z czymś w rodzaju żalu.

Oczy Cyndi Rosę rozbłysły — a jednak kryły się tu pewne możliwości. Na początku waza nie zafascynowała jej, miała służyć wyłącznie jako punkt wyjścia do wydobycia informacji od tajemniczego pana Gaunta, teraz jednak przyjrzała się jej bliżej i stwierdziła, że jest naprawdę śliczna i pięknie wyglądałaby

w jej gościnnym pokoju. Wzór kwiatów otaczających szyjkę idealnie pasuje do tapety. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jej pragnie, dopóki Gaunt nie zaproponował ceny, którą niemal mogła zapłacić.

Skonsultowała się z przyjaciółkami.

Gaunt obserwował je z łagodnym uśmiechem na ustach.

Dzwonek nad wejściem zadzwonił — pojawiły się dwie kolejne panie.

W „Sklepiku z marzeniami” zaczął się pierwszy handlowy dzień.

Kiedy Klub Brydzowy z Ash Street w dziesięć minut później opuszczał „Sklepek z marzeniami”, Cyndi Rosę Martin niosła za rączki torbę-reklamówkę. W torbie tej miała wazę lalique, owiniętą ligniną. Kupiła ją za trzydzieści jeden dolarów plus podatek — niemal cały swój osobisty majątek w gotówce — mimo to była tak szczęśliwa, że aż prawie mruczała jak kot.

Zazwyczaj cierpiała napady zwątpienia i wstydziła się okropnie po niezaplanowanych zakupach, pewna, że co najmniej naciągnięto ją, a najprawdopodobniej po prostu bezczelnie okantowano. Ale dziś —nie. Nie! Tym razem to ona zwyciężyła, bez wątpienia. Pan Gaunt poprosił nawet, żeby znów do niego wpadła; powiedział, że w nowym transporcie, jeszcze w tym tygodniu, może nawet jutro, będzie miał drugą, identyczną wazę. Ta jedna z pewnością dobrze będzie wyglądała na niskim stolczku w

pokoju gościnnym, ale gdyby miała dwie, postawiłaby je na półce nad kominkiem, a to już byłoby wspaniałe!

Trzy przyjaciółki podzielały przekonanie, że poradziła sobie doskonale i choć nieco frustrowało je, że tak niewiele dowiedziały się o panu Gauncie, nabrały jednak o nim bardzo dobrej opinii.

- Ma takie piękne zielone oczy — powiedziała marząco Fran cie Pelletier.

- Zielone? — Cyndi nagle poczuła się niepewnie. Przysięgła by, że raczej szare. — Nie zauważyłam.

Nieco później w „Sklepiku z marzeniami” pojawiła się Rosalie Drake z „Same Szyjemy”, wykorzystując przerwę na kawę. Była

56

z nią gospodyni Poiły, Nettie Cobb. Kilka kobiet przechadzało się po sklepie, a przy ścianie naprzeciw drzwi wejściowych dwaj chłopcy z miejscowej szkoły przeglądali leżące w kartonowym pudle komiksy, szepcząc coś do siebie z podnieceniem. Obaj musieli pogodzić się z doprawdy zdumiewającym zjawiskiem: tyle było tu egzemplarzy uzupełniających ich kolekcje. Mieli tylko nadzieję, że komiksy nie okażą się za drogie na ich kieszeń — na plastikowych okładkach nie było ceny.

Rosalie i Nettie przywitały się z panem Gauntem. Pan Gaunt poprosił Rosalie, by jeszcze raz podziękowała Poiły za ciasto. Nie spuszczał oka z Nettie, która odeszła zaraz po przedstawieniu się właścicielowi i z pewnym żalem obserwowała kolekcję kryształów. Przy pierwszej okazji pozostawił Rosalie przy gablotce ze zdjęciem Elvisa Presleya i skamieniałym drewnianym z Ziemi Świętej i podszedł do Nettie.

— Lubi pani kryształy, panno Cobb? — spytał.

Nettie podskoczyła. Z jej twarzy, z jej aż boleśnie wstydliwego zaskoczenia łatwo było odgadnąć, że podskakuje, gdy tylko głos, choćby najcichszy i najłagodniejszy, rozlegnie się za jej plecami czy nawet obok — i uśmiechnęła się nerwowo.

- Pani Cobb, panie Gaunt. Mój mąż nie żyje.
- Przykro mi to słyszeć.

- Proszę się nie krępować. Zmarł czternaście lat temu. Minęło wiele czasu. Mam małą kolekcję kryształów. — Niemal drżała, tak zapewne drży mysz w obecności kota. — Ale na coś takiego z pewnością nie byłoby mnie stać. Są takie piękne. Pewnie tak pięknie jest w niebie.

- Cóż... coś pani powiem. Wraz z tymi kupiłem mnóstwo innych kryształów. Nie są wcale takie drogie, jak można by przypuszczać, i są znacznie ładniejsze. Nie zechciałaby pani przyjść jutro i dokładnie je sobie obejrzeć?

Nettie znów podskoczyła i odsunęła się o krok, jakby pan Gaunt poprosił, żeby przyszła jutro po to, by kilka razy szczypnąć ją w tyłek... tak mocno, aż zacznie krzyżeć.

- Och, nie sądzę... w czwartki jestem taka zajęta... u Poiły... trzeba będzie wszystko wysprzątać... właśnie w czwartek, wie pan...

- Jest pani pewna, że nie wpadnie pani do mnie choćby na chwilę? — kusił Gaunt. — Poiły powiedziała mi, że to pani zrobiła ciasto, którym mnie poczęstowała...

- Smakowało panu? — spytała nerwowo Nettie, jakby spodziewała się, że powie: „Nie, nie smakowało, Nettie, bolał mnie po nim brzuch, dostałem sraczki, więc dam ci nauczkę, Nettie, zabiorę cię do pokoju na zapleczu i zacznę ci wykręcać cycki, aż będziesz wrzeszczeć...”.

— Było wspaniałe — uspokoił ją Gaunt. — Przypominało ciasta, które robiła moja matka... a to było bardzo dawno temu.

Właśnie w ten sposób należało się zwracać do Nettie, która bardzo kochała własną matkę, choć ta biła ją bez litości rankami po nocach spędzanych na zabawach i w barach.

- No, to świetnie — powiedziała. — Strasznie się cieszę, że było takie dobre. Oczywiście to Poiły wpadła na pomysł, żeby je panu przynieść. Jest najśłodsza kobietą pod słońcem.

- Z pewnością. Teraz, kiedy już ją spotkałem, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. — Gaunt zerknął na Rosalie Drake, ale Rosalie nadal rozglądała się po sklepie. — Czuję, że mam wobec pani pewien dług...

- Och nie, nie! — Nettie znów strasznie się zdenerwowała. — Niczego nie jest mi pan winien. Niczego, ale to niczego, panie Gaunt.

- Proszę, niech pani do mnie zajrzy. Widzę przecież, że ma pani oko do kryształów... i mógłbym oddać pani blachę...

- No... może mogłabym wpaść podczas przerwy... — po oczach Nettie łatwo było poznać, że sama nie wierzy w słowa, które właśnie się jej wyrwały.

- Doskonale. — Gaunt odszedł szybko, nie dając jej okazji, by zmieniła zdanie. Podszedł do chłopców i spytał, jak sobie radzą. Chłopcy z wahaniem pokazali mu kilka starych egzemplarzy „Incredible Hulk” i „X-Mana”. Pięć minut później wychodzili ze „Sklepiku z marzeniami”, w rękach nieśli większość wymarzonych komiksów, na twarzach zaś mieli wyraz tępego zachwyty.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze za nimi zamknąć, kiedy znów się otworzyły. Weszły Myra Evans i Córa Rusk. Obie rozejrzały się natychmiast błyszczącymi, głodnymi oczami wiewiórek, kiedy przychodzi czas zbierania orzechów. Natychmiast podeszły do gablotki ze zdjęciem Elvisa. Pochyliły się nad nim, gruchając radośnie i wypinając tyłki szerokości co najmniej dwóch obosiecznych toporów.

Gaunt przyglądał się im z uśmiechem.

Dzwonek nad drzwiami zadzwieczał po raz kolejny. Nowa klientka była co najmniej równie wielka jak Córa, Córa jednak była gruba, ta kobieta zaś wydawała się silna — tak, jak silny wydaje się drwal z wielkim brzuchem. Do bluzki przypięty miała znaczek z napisem: „Casino Nite — dobra zabawa”. Jej twarz miała urodę łopaty do odgarniania śniegu. Włosy, blade, martwe, mysiobrazowe, przykrywała ciasno związana pod brodą chustka.

Kobieta rozglądała się po sklepie przez kilka chwil; jej małe, głęboko osadzone oczka biegały tu i tam jak oczka rewolwerowca stojącego w wahadłowych drzwiach saloonu i oceniającego sytuację przed wejściem do środka i rozpętanem prawdziwego piekła. Potem zrobiła kilka kroków w głąb.

Kilka kobiet zatrzymało na niej wzrok dłużej niż przez chwilę, Nettie Cobb zaś spojrzała na przybyłą dziwnie, z nienawiścią i wyzwaniem jednocześnie. Szybko odsunęła się od ukochanych kryształów. Ten ruch zwrócił na nią uwagę. Kobieta spojrzała na Nettie z miażdżącą pogardą i



przestała się nią interesować.

Nad drzwiami zabrzączał dzwonek — to Nettie uciekła ze sklepu.

Pan Gaunt przyglądał się temu wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem. Podszedł do Rosalie i powiedział:

— Obawiam się, że pani Cobb zostawiła panią samą.

Rosalie drgnęła, jakby obudziła się ze snu.

- Dlaczego... — powiedziała i nagle dostrzegła kobietę ze znaczkiem „Casino Nite” wiszącym złowrogo na piersi. Kobieta przyglądała się tureckiemu dywanikowi na ścianie z napięciem studenta historii sztuki na zajęciach w jakimś wielkim muzeum.

Ręce oparła na gigantycznych biodrach.

- Aha! No, chyba muszę lecieć — stwierdziła Rosalie.

— Zgaduję, że te dwie panie nie bardzo za sobą przepadają?

Rosalie uśmiechnęła się z roztargnieniem.

Gaunt jeszcze raz spojrział na kobietę w chustce.

— Kto to? — spytał.

Rosalie zmarszczyła nos.

- Wilma Jerzyck — odparła. — Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę złapać Nettie. Jest bardzo nerwowa.

- Oczywiście, oczywiście — powiedział Gaunt. Do siebie zaś dodał: „Jak my wszyscy”.

Córa Rusk poklepała go po ramieniu.

— Ile kosztuje to zdjęcie Króla? — spytała.

Leland Gaunt uśmiechnął się do niej swym porażającym uśmiechem.

— Cóż, porozmawiajmy — zaproponował. — Jak pani myśli, ile jest warte?

Najnowszy z kwitnących małych biznesów Castle Rock zamknięty był już od blisko dwóch godzin, kiedy — w drodze do Ratusza, w którym mieściło się zarówno Biuro Szeryfa jak i Komenda Policji — główną ulicą miasteczka przejechał powoli Alan Pangborn. Szeryf Pangborn prowadził najzwyklejszy ze zwykłych samochodów: forda kombi z 1986 roku. Takie rodzinne auto.

Po drodze Alan zerknął na „Sklepik z marzeniami”. Podobnie jak Brianowi Ruskowi, spodobała mu się ciemnozielona markiza. Niewiele wiedział o markizach (brakowało mu ojca pracującego w „Dick Perry Siding and Door Company” w South Paris), ale mimo to pomyślał, że dodała ona klasy ulicy, przy której do tej pory szczytem wyrafinowania była atrapa frontonu. Nie wiedział jeszcze, jakim to towarem handluje się w „Sklepiku z marzeniami” — Poity pewnie już wie, jeśli zawitała tam rano, jak planowała — jemu przypominał po prostu szykowną francuską restaurację w rodzaju tych, do których zaprasza się na kolację dziewczynę, żeby namówić ją na zakończenie wieczoru w łóżku.

Zapomniał o sklepie, gdy tylko go minął. Dwie przecznice dalej włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo, w wąską alejkę między niskim ceglany gmachem Ratusza i pomalowanymi na biało drewnianymi ścianami z zachodzących na siebie desek budynku wodociągów. Przed alejką znak oznajmiał: „Tylko dla pojazdów służbowych”.

Ratusz miał kształt odwróconego „L”; w rogu między jego ramionami znajdował się niewielki parking. Trzy miejsca na tym parkingu oznaczone były: „Dla Biura Szeryfa”. Jedno zajmował już poobijany garbus Norrisa Ridgewicka. Alan zajął drugie, wyłączył światła i zgasił silnik.

Depresja krążyła wokół niego, od chwili gdy wyszedł z „Błękitnych Drzwi” w Portland, niczym stado wilków krążące wokół ogniska pionierów w książkach, które czytał jako dziecko — i teraz właśnie wreszcie go dopadła. Puścił klamkę drzwi forda i po prostu siedział za kierownicą, mając tylko nadzieję, że wkrótce minie.

Szeryf spędził cały dzień w sądzie okręgowym w Portland, gdzie występował jako świadek oskarżenia w trzech prostych sprawach. Okręg obejmował cztery hrabstwa: York, Cumberland, Oxford i Castle; ze wszystkich funkcjonariuszy porządku publicznego służących w owych czterech hrabstwach Alan Pangborn miał najdłuższą drogę. Trzej sędziowie okręgowi robili wobec tego wszystko, by zestawiać ze sobą jego sprawy tak, aby mógł spędzać czas raczej w hrabstwie, którego obywateli winien był strzec, niż w drodze. Oznaczało to jednak, że po dniu w sądzie czuł się jak dzieciak, który przeszedł test IQ. Doskonale zdawał sobie sprawę, że najgorsza rzecz, jaką może zrobić, to picie, ale Harry Cross i George Crompton wybierali się akurat do „Błękitnych Drzwi” i

nalegali, by z nimi poszedł. Mieli zresztą pretekst: serię najoczywściej powiązanych ze sobą włamań, które zdarzyły się we wszystkich trzech hrabstwach, ale Alan wybrał się na piwo z powodu, który leży u podstaw wszystkich błędnych decyzji: wydawało mu się, że to dobry pomysł.

Siedział teraz za kierownicą niegdyś rodzinnego forda, zbierając plon przez siebie zasiany. Ćmiła go głowa. Mdlilo go całkiem wyraźnie. Ale najgorsza ze wszystkiego była depresja. Depresja rzuciła się na niego wręcz entuzjastycznie.

Cześć — krzyknęła ze swej twierdzy gdzieś w jego głowie. — Tu jestem, Alan! Miło cię widzieć! Wiesz co? Oto zbliża się koniec długiego, ciężkiego dnia, a Annie i Todd nadal nie żyją. Pamiętasz tę niedzielę, kiedy Todd rozlał koktajl mleczny na siedzenie, dokładnie w miejscu, w którym leży teraz twoja teczka, prawda? Wrzasnąłeś na niego. Rany! Nie zapomniałeś przecież, prawda? Zapomniałeś? Nie szkodzi, Alan, w porządku, jestem tu po to, żeby ci przypominać. Zawsze i wszystko.

Podniósł teczkę i spojrzął na siedzenie. Tak, plama została i krzyknął wtedy na synka: „Todd, czy ty musisz być taką niezdara!” czy coś w tym rodzaju, nic szczególnego, ale przecież nie odezwałby się tak do dziecka, gdyby wiedział, że został mu jeszcze niespełna miesiąc życia.

Pomyślał, że to nie piwo jest jego problemem, lecz samochód, który nie został właściwie oczyszczony. Spędził dzień na przejażdżce z duchami żony i synka.

Otworzył schowek, by wyjąć książeczkę mandatową — miał ją przy sobie zawsze, nawet jadąc na sesję sądową w Portland — przyzwyczajenie to druga natura człowieka — i sięgnął do środka. Jego ręka trafiła na jakiś okrągły przedmiot, który wypadł ze schowka na podłogę. Położył książeczkę na teczce i pochylił się, by podnieść to coś z podłogi. Podniósł, wystawił na światło jarzeniówek i patrzył... patrzył, siedząc bez ruchu, czując, jak rośnie w nim to straszliwe uczucie pustki i żalu. Poily cierpiała na artretyzm dłoni; jego artretyzm zaatakował najwyraźniej serce; nie wiadomo, który rodzaj był gorszy.

Puszka należała oczywiście do Todda — Todda, który nie wychodziłby z „Czarnoksięskiego Sklepu” w Auburn, gdyby tylko mu na to pozwolono. Fascynowały go sprzedawane tam tanie gadżety: piszczałki, proszek na kichanie, szkło rozpływające się od gorącej wody, mydło zmieniające barwę mytych w nim rąk na kolor wulkanicznego popiołu, plastikowe psie kupy.

To coś nadal tu jest. Zginął dziewiętnaście miesięcy temu, a to coś nadal tu jest. Jakim cudem nie znalazłem tego wcześniej? Chryste!

Alan Pangborn obrócił puszkę w dłoniach, wspominając, jak jego syn błagał, by pozwolono mu kupić ją z kieszonkowego, i jak on sam mu odmawiał, cytując często powtarzane przez jego ojca przysłowie: „głupiec i jego pieniądze szybko się rozstają”. I jak Annie na swój spokojny i łagodny sposób zmieniła jego decyzję.

— Niech pan posłucha, panie magiku amatorze, udający pury-tanina. Ale zabawa! Jak myślisz, skąd u niego to zamiłowanie do sztuczek i gagów? Nikt z mojej rodziny nie powiesił na ścianie swego pokoju oprawionego zdjęcia Houdiniego, możesz mi wierzyć. Chcesz mi powiedzieć, że w szalonych dniach swej szalonej młodości nie kupiłeś sobie raz i drugi tego miękkiego szkła? Że nie padłbyś z chęci posiadania węża w puszcze orzeszków, gdybyś kiedyś zobaczył coś takiego?

Protestował, narzekał i boczył się, nieuchronnie wychodząc na nadętego dupka. W końcu musiał kryć uśmiech zażenowania za podniesioną ręką. Annie dostrzegła jednak ten uśmiech. Annie zawsze wszystko dostrzegała. Taki miała dar... i ten dar ocalił ich nie raz i nie kilka razy. Poczucie humoru... zdolność widzenia spraw w perspektywie... w tym zawsze była lepsza od niego. Miała intuicję.

62

— Niech go sobie kupi, Alan... tylko raz w życiu jest się młodym. I w końcu jest to takie... zabawne.

Pozwolił. A...

...a w trzy tygodnie później Todd rozlał na siedzenie koktajl, a w cztery tygodnie po rozlaniu koktajlu nie żył. Oboje nie żyli. Rany! Wyobrażasz sobie? Ale ten czas leci, ale leci, nie, Alan? Nie obawiaj się. Nie zapomnisz, ja ci o wszystkim przypomnę. A tak! Przypomnę ci, bo od tego jestem i nie mam zamiaru się zaniedbywać!

Na puszcze widniał napis: „Mieszanka orzechowa. Pycha!”. Alan otworzył pokrywkę... i półtora metra zwiniętego w środku węża wyskoczyło, odbiło się od szyby i upadło mu na kolana. Spojrzał na węża, usłyszał radosny śmiech swego nieżyjącego syna i zaczął płakać. Cicho, spokojnie. Miał wrażenie, że łyzy mają wiele wspólnego z rzeczami naszych drogich zmarłych — nie sposób z nimi skończyć. Jest ich zbyt wiele. Właśnie kiedy zaczęłaś się uspokajać, kiedy upewniłeś się, że mieszkanie jest czyste, wyskakuje jakaś niespodzianka. I jeszcze jedna. I kolejna.

Dlaczego pozwolił, by Todd kupił sobie to cholerstwo! Dlaczego to cholerstwo ciągle leży w skrytce? I dlaczego w ogóle pojechał do Portland tym cholernym wozem!

Z bocznej kieszeni spodni wyjął chusteczkę. Wytarł oczy. Potem bez pośpiechu wepchnął węża

— kawałek sprężyny owiniętej zieloną bibułą — z powrotem do fałszywej puszki orzeszków. Zamknął pokrywkę. Z namysłem podrzucał puszkę w dłoni.

Wyrzuć ją, do cholery!

Nie wierzył jednak, by udało mu się ją wyrzucić. W każdym razie nie tej nocy. Włożył puszkę — ostatni gadżet, który Todd kupił w najwspanialszym jego zdaniem sklepie na świecie — z powrotem do schowka i zamknął go. Po raz kolejny złapał za klamkę, tym razem pociągnął za nią i wysiadł z samochodu.

Odetchnął głęboko powietrzem wczesnego wieczoru, z nadzieją, że mu to pomoże. Nie pomogło. Czuł zapach rozkładającego się drewna i chemikaliów, beznadziejny smród nieustannie wydzielany przez fabrykę papieru w Rumford, leżącym o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ od Castle Rock. Zadzwonił do Poily i poprosił, żeby do niego przyszła — zdecydował. Powinno pomóc.

Chyba nikt jeszcze nie wpadł na lepszy pomysł — wrzasnęła depresja. A przy okazji pamiętasz, jak straszliwie cieszył się z tego węża? Wszystkich nim straszyl. Biedny Norris Ridgewick prawie że dostał przez niego ataku serca, a ty śmiałeś się tak, że omal

63

nie zlałeś się w spodnie. Pamiętasz? Ale był z niego żywy dzieciak! Ale był z niego wspaniały dzieciak! A Annie — pamiętasz, jak śmiała się Annie, kiedy jej o tym opowiedziałeś? Jaka była żywa? Jaka była wspaniała? Oczywiście nie była taka żywa i wspaniała do końca, niedokładnie, ale ty nic nie dostrzegłeś, prawda? Miałeś swoje kłopoty. Ta historia z Thadem Beaumontem na przykład — po prostu nie potrafiłeś przestać o niej myśleć. Nie potrafiłeś przestać myśleć o tym, co się zdarzyło w jego domku nad jeziorem, i o tym, jak już po wszystkim upijał się coraz częściej i dzwonił do ciebie. Jego żona zabrała bliźniaczki i odeszła... wszystko to i zwykłe miejskie sprawy strasznie cię zaprzętały, nie? Aż tak strasznie, że nie widziałeś, co dzieje się w twoim własnym domu. Szkoda, że nic nie widziałeś, wielka szkoda. Bo gdybyś zauważył, być może ciągle by żyli. O tym nie powinieneś zapomnieć, więc będę ci przypominać, zawsze, zawsze...

Na karoserii samochodu, nad wlewem paliwa, dostrzegł długą na kilkanaście centymetrów rysę. Czy była tu przed śmiercią Annie i Todda? Nie pamiętał i w końcu nie było to przecież takie ważne. Przesunął po niej palcem, postanawiając, że zabierze wóz do Sunoco Sonny'ego, do lakiernika. Z drugiej strony... właściwie po co? Dlaczego nie zabrać tego cholernego kombi do dealara, „Harrie Ford” w Oxfordzie, i nie zamienić go na coś mniejszego. Na liczniku nie było

w końcu tak wiele, dobra okazja do zamiany...

Ale przecież Todd wylał tu na siedzenie koktajl! — zaniepokoił się rezydujący w jego głowie głos. — I zrobił to, kiedy jeszcze żył, Alan, stary przyjacielu. A Annie...

— Zamknij się — powiedział głosowi.

Doszedł do wejścia do Ratusza i przystanął. Blisko drzwi, tak blisko, że gdyby je szeroko otworzyć, wgniotłby blachę, stał duży czerwony cadillac seville. Nie musiał nawet patrzeć na tablicę rejestracyjną, by wiedzieć, że figuruje na niej napis KEETON I. Z namysłem przesunął dłonią po lśniącym lakierze i wszedł.

Sheila Brigham, telefonistka, siedziała w swej szklanej klatce, czytając „People” i popijając yoo-hoo. W połączonych Biurze Szeryfa i siedzibie Wydziału Policji Castle Rock oprócz niej i Norrisa Ridgewicka nie było nikogo.

Norris siedział przy elektrycznej maszynie do pisania IBM, pracując nad raportem z bolesną wręcz, całkowitą koncentracją, którą tylko on potrafił się wykazać przy papierkowej robocie. Patrzył z napięciem w maszynę, po czym nagle pochylał się jak uderzony w żołądek i zaczynał walić w klawisze. Przerывał, siedział pochylony, czytając to, co właśnie spłodził, po czym stękał cicho. Rozlegało się „klik-puk, klik-puk, klik-puk” — to pracowała taśma korekcyjna IBM, poprawiając jego ortografię, po czym Norris prostował się. Następowala brzemienne oczekiwaniem chwila ciszy i cały ten cykl powtarzał się od początku. Po mniej więcej godzinie tych męczarni Norris wrzucił skończony raport do koszyczka na korespondencję przychodzącą przy stanowisku Sheili. Raz, czasami dwa razy na tydzień jego raporty dawały się nawet przeczytać i zrozumieć.

Widząc Alana stojącego w ciasnym, odgrodzonym ladą korytarzyku, Norris Ridgewick uśmiechnął się.

- Cześć, szefie — powiedział. — Jak leci?
- No cóż, na jakieś dwa, trzy tygodnie mam Portland z głowy.

Zdarzyło się coś?

• Nie, nic niezwykłego. Wiesz, Alan, masz strasznie czerwone oczy. Znowu kopciłeś tę wstrętną marychę?

- Ha, ha! — odparł sucho Alan. — Wypiłem kilka piw z kil

koma glinami, a potem przez pięćdziesiąt kilometrów wpatrywałem się w długie światła jadących z przeciwka samochodów. Masz pod ręką aspirynę?

- Zawsze. Dobrze o tym wiesz. — Najniższa szuflada w biurku Norrisa zawierała jego prywatną aptekę. Wysunął ją, pogrzebał chwilę, wyciągnął wielki słoik truskawkowej aspiryny dla dzieci, przyjrzał się etykietce, potrząsnął głową, wrzucił go z powrotem do szuflady i wznowił poszukiwania. W końcu znalazł fiolkę zwykłej.

- Mam dla ciebie zajęcie. — Alan wytrząsnął na rękę dwie pastylki wraz z mnóstwem białego pyłu. Ciekawe, dlaczego zwykła aspiryna pyli się znacznie bardziej niż aspiryna produkowana przez którąś z renomowanych firm? — pomyślał. Ciekawe, czy tracę zmysły?

- Daj spokój, Alan, muszę jeszcze wypełnić dwa z tych cholernych formularzy E-dziewięć i...

- Dobra, dobra — Alan podszedł do zbiornika z wodą. Wziął z pojemnika papierowy kubek i podstawił pod kranik. Woda zabulgotała, spływając do kubeczka. — Masz tylko wstać, przejść

przez pokój i otworzyć drzwi, przez które właśnie tu wszedłem. Proste, nie? Nawet dziecko potrafiłoby to zrobić, nie?

- Co...

- Tylko nie zapomnij wziąć ze sobą książeczki mandatowej —

Alan przełknął tabletkę i popił wodą.

Norris Ridgewick zrobił się nagle bardzo ostrożny.

- Twoja książeczka leży o tu, na stole, obok teczki.

- Wiem. I tu pozostanie, przynajmniej dziś.

Norris przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. W końcu spytał:

— Granat?

Alan skinął głową.

— A tak, Granat. Znów zaparkował na miejscu dla kalek.

Poprzednim razem zapowiedziałem mu, że koniec z ostrzeżeniami.

Przewodniczącego Rady Miejskiej Castle Rock, Danfortha Keetona III, nazywali „Granatem” wszyscy, którzy go znali... ale pracownicy niemający ochoty pożegnać się z pracą w Ratuszu mówili do niego wyłącznie „Dań” albo „panie Keeton”. Tylko Alan, który uzyskał posadę w drodze wyborów, mówił mu czasem „Granat”, a i tak zdarzyło się to tylko dwa razy, gdy był bardzo zdenerwowany. Przypuszczał jednak, że ten trzeci nastąpi wkrótce. Na Dana „Granata” Keetona łatwo się było zdenerwować.

- Daj spokój. Ty mu wlep mandat!
- Nie mogę. W przy szły m'tygodniu mam spotkanie z Radą.

Omawiany będzie budżet Biura.

• On i tak mnie nienawidzi — stwierdził z rozpaczą Norris. —  
Przecież wiem.

• Granat nienawidzi całego świata z wyjątkiem matki i żony — stwierdził Alan. — Choć co do żony, to nie mam całkowitej pewności. Pozostaje jednak faktem, że w ciągu ostatniego miesiąca co najmniej kilkakrotnie zwracałem mu uwagę, żeby nie parkował na jedynym miejscu dla inwalidów, i teraz mam zamiar przejść od słów do czynów.

• Od twoich słów do mojego czynu. Prawdopodobnie ostatniego na tej posadzie. Jesteś świnia, Alan. Wcale nie żartuję. — Norris Ridgewick wyglądał jak reklama filmu „Kiedy nieszczęście spotyka przyzwoitego gościa”.

• Spokojnie. Włóż mu za wycieraczkę mandat na pięć dolców.  
Przyjdzie do mnie i przede wszystkim każe mi cię wywalić.

Norris tylko jęknął.

— Odmówię. Więc każe mi podrzeć mandat. Odmówię. Jutro w południe, kiedy już Granat odpuści sobie trochę pary, ustąpię w sprawie mandatu. A przy najbliższym spotkaniu Rady będzie mi winien przysługę.

- Jasne, ale co będzie winien mnie?
- Norris, chcesz mieć ten ręczny radar czy nie?



- No...
- I faks. Rozmawiamy o faksie już jakieś dwa lata.

Słusznie! — krzyknął radosny głos w jego głowie. Zaczęliście gadanie o faksie, kiedy Annie i Todd jeszcze żyli. Pamiętasz, Alan? Pamiętasz? Pamiętasz, jak to było, kiedy żyli?

- No... faks. — Norris wstał i sięgnął po książeczkę mandatu. Na twarzy miał wyraźnie wypisaną rezygnację pomieszaną z niezwykłym smutkiem.
- Dobry chłopak! — powiedział Alan ze śmiechem, choć wcale nie było mu do śmiechu. — Przez jakiś czas będę u siebie w biurze.

Alan zamknął drzwi i wykręcił numer Poiły.

- Halo? — usłyszał w słuchawce i od razu wiedział, że nie powie jej o depresji, która zawładnęła nim tak błyskawicznie i kompetentnie. Dziś Poiły pogrążona była w swych własnych problemach. Wystarczyło to jedno słowo, by wiedział, co się z nią dzieje. „L” w „halo” było lekko przeciągnięte, niewyraźne. Bywało takie tylko wówczas, gdy brała percodan — być może wzięła więcej niż jedną pastylkę — a brała percodan tylko wtedy, kiedy było z nią naprawdę źle. Choć nigdy nie zdobyła się na odwagę i nie powiedziała tego wprost, Alan wiedział, że żyje w panicznym strachu — boi się, że pewnego pięknego dnia perć przestanie działać.
- Jak się miewa piękna pani? — spytał, odchylając się w fotelu i przykładając dłoń do czoła. Aspiryna nie radziła sobie z bólem głowy. Może perć by pomógł? — pomyślał.
- Całkiem nieźle. Co u ciebie? Chyba jesteś zmęczony. — Słyszał, jak uważnie artykułuje słowa, stąpa po nich ostrożnie, jak ktoś przekraczający strumień po kamykach.

- To wina prawników. Prawnicy zawsze doprowadzają mnie do tego stanu. — Pomysł, by pójść do niej, trafił na półkę „do późniejszego wykorzystania”. Powiedziałyby: „Oczywiście, Alan”, byłaby szczęśliwa, widząc go — niemal tak, jak on byłby

szczęśliwy, widząc ją — ale dzisiejszego wieczoru wystarczająco dużo miała do udźwignięcia. — Chyba pójde dziś wczesnie do łóżka jak greczny chłopczyk. Nie obrazisz się, jeśli do ciebie nie wpadnę?

- Nie, kochany. Być może tak będzie nawet lepiej.
- Aż tak źle?
- Bywało gorzej — odparła Poiły, ostrożnie wymawiając te słowa.

- Nie o to pytałem.
- Nie jest najgorzej, nie.

Twój własny głos mówi mi, że kłamiesz, kochanie — pomyślał.

—No to świetnie. A jak z tym leczeniem ultradźwiękami, 0 którym mi opowiadałaś? Dowiedziałaś się czegoś nowego?

—No, byłoby świetnie, gdybym mogła zapłacić za sześciotygodniową kurację w Mayo... sami specjaliści... ale nie mogę.

1 nie mów mi, że mogę, Alan, bo jestem dziś zbyt zmęczona, by tak po prostu nazwać cię kłamcą.

- Wydawało mi się, że wspominałaś coś o szpitalu bostońskim.
- To w przyszłym roku. Mają zamiar otworzyć oddział leczący artretyzm ultradźwiękami w przyszłym roku. Być może.

Zapadła cisza. Alan miał właśnie powiedzieć „do widzenia”, kiedy odezwała się Poiły i jej głos zabrzmiał znacznie bardziej rześko.

- Dziś rano wpadłam do tego nowego sklepu — powiedziała. — Poprosiłam Nettie, żeby zrobiła ciasto, i zabrałam je ze sobą. Szczyt wszystkiego, wiesz? Damy nie przynoszą prezentów z okazji otwarcia nowego sklepu. Mojżesz zniósł tę zasadę z góry, wrytą w kamieniu.

- Co to za sklep? Co w nim można kupić?
- Praktycznie wszystko. Gdybyś przystawił mi pistolet do głowy, powiedziałabym, że to sklep z kuriozami, idealny dla kolekcjonerów, ale tak naprawdę nie sposób go opisać. Trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć.
- Widziałas właściciela?
- Pana Lelanda Gaunta z Akron w Ohio? — w głosie Poiły Alan rozpoznał cień uśmiechu. — Arystokratki Castle Rock będą w tym roku cierpieć na rany serca... tego się w każdym razie spodziewam.
- A co ty o nim sądzisz?

W jej słowach krył się uśmiech weselszy od tego, który usłyszał przedtem.

— No, Alan, szczerze mówiąc, jesteś moim chłopcem i mam nadzieję, że jestem twoją dziewczyną...

68

- Jesteś — zapewnił ją. Ból głowy zaczął ustępować, ale nie chciało mu się wierzyć, że ten cud jest dziełem aspiryny Norrissa Ridgewicka.
- ...ale nawet moje serce mocniej zabiło na jego widok. A nie widziałeś Rosalie i Nettie, kiedy wróciły ze „Sklepiku z marzeniami”...
- Nettie!?! — Alan zdjął nogi z biurka. Usiadł wyprostowany. — Nettie panicznie boi się własnego cienia.
- Oczywiście. Ale Rosalie pogadała z nią, poszły razem... wiesz, biedna Nettie nigdzie nie odważy się pójść sama... No więc kiedy po południu wróciłam do domu, spytałam ją, co sądzi o panu Gauncie. Alan, te jej biedne, błędne oczy zapłonęły żywym ogniem. „Ma takie piękne kryształy!” — prawie krzyknęła. „Piękne kryształy! Poprosił, żebym przyszła jutro i obejrzała te niewystawione!”. Takiej mowy nie wygłosiła do mnie chyba przez całe te cztery

lata. No więc ja na to: „To bardzo uprzejmie z jego strony, prawda, Nettie?”. A Nettie odparła: „Tak. I wiesz co?”. Więc oczywiście powiedziałam, że nie wiem. A Nettie na to: „Może nawet pójde!”.

Alan roześmiał się, głośno i szczerze.

- Jeśli Nettie decyduje się spotkać z nim bez przyzwoitki, to sprawa w sam raz dla szeryfa — powiedział. — Facet musi mieć wdzięk!

- To zabawne, nie jest przystojny, przynajmniej nie w stylu Hollywood, ale ma wspaniałe piwne oczy. Rozświetlają mu twarz!

- Uważaj, Poiły. Czuję, jak zaczyna mną szarpać zazdrość.

Poiły roześmiała się wesoło.

- Na razie nie masz się czego obawiać. Chociaż...

- Co takiego?

- Rosalie wspomniała, że Nettie spotkała się w sklepie z Wilmą Jerzyck.

- I co? Coś się stało? Awantura?

- Nie, nic. Nie. Nettie tylko na nią spojrzała... a ona wy szczyrzyła na Nettie zęby... przynajmniej tak powiedziała Rosalie... a potem Nettie uciekła. Czy Wilma dzwoniła do ciebie ostatnio? W sprawie tego psa?

- Nie. Nie miała żadnych powodów. Przez ostatnie sześć tygodni co najmniej kilkanaście razy przejechałem przed domem Nettie po dziesiątej. Nie słyszałem szczekania. Ten jej pies nie szczeka już po nocach, to były tylko takie szczenięce wybryki. Dorósł i ma dobrą panią. Nettie brakuje może kilku klepek, ale psa potrafiła wychować... jak właściwie nazywa się ten jej piesek?

- Śmiałek.

- Wilma Jerzyck musi znaleźć sobie jakiś inny powód do narzekań, bo Śmiałek został spacyfikowany. I znajdzie. Ludzie

tacy jak ona zawsze znajdują. W gruncie rzeczy nigdy nie chodziło jej o psa; wśród mnóstwa sąsiadów tylko Wilma skarżyła się na niego. Chodziło o samą Nettie. Wilma i jej podobni potrafią wyczuć ludzką słabość. A Nettie Cobb jest bardzo słaba.

- Oczywiście — głos Poiły brzmiał pełnym namysłu smutkiem. — Wiesz, że któreś nocy Wilma zadzwoniła do Nettie i powiedziała jej, że jeśli pies nie przestanie szczekać, to przyjedzie i poderżnie mu gardło?

Alan nie dał się wyprowadzić z równowagi.

— Wiem, że coś takiego powiedziała ci sama Nettie — stwierdził spokojnie. — Wiem także, że Wilma bardzo ją przestraszyła, a Nettie... ma swoje problemy. Nie twierdzę, że Wilmy nie stać na taki telefon, bo wiem, że owszem, stać. Ale może Nettie tylko to sobie wyobraziła?

Stwierdzenie, że Nettie „ma swoje problemy”, nie wyczerpywało tematu, nawet nie zaczęło go wyczerpywać, ale Alan nie musiał mówić nic więcej. Po latach piekła, katowana na wszystkie sposoby, na jakie mężczyzna może katować kobietę, Nettie Cobb przebiła gardło swego śpiącego męża widelcem do mięs. Pięć lat spędziła w Juniper Hill, szpitalu dla psychicznie chorych w Auguście. *Zaczęła* pracować dla Poiły w ramach specjalnego programu. Alan sądził, że nie mogła znaleźć lepszego towarzystwa, a stale poprawiający się jej stan umysłowy tylko dowodził słuszności tego przekonania. Dwa lata temu Nettie wynajęła mały domek na Ford Street, sześć przecznic od śródmieścia.

- Zgoda, Nettie ma swoje problemy — powiedziała Poiły — ale jej reakcja na tego Gaunta była doprawdy zdumiewająca. Wspaniały z niego człowiek.

- Muszę go sam zobaczyć — stwierdził Alan.
- Opowiesz mi, co o nim sądzisz. I koniecznie sprawdź jego piwne oczy.

- Wątpię, by wywarły na mnie takie wrażenie, jakie najwyraźniej wywarły na tobie.

Poiły znów się roześmiała, lecz tym razem jej śmiech wydał mu się nieco wymuszony.

- Spróbuj się przespać — powiedział.
- Spróbuję. I dzięki, że zadzwoniłeś.

• Cała przyjemność po mojej stronie. — Przez chwilę oboje milczeli. — Kocham cię, piękna pani — powiedział w końcu.

- Dziękuję ci. Ja też cię kocham. Dobranoc.
- Dobranoc.

Alan Pangborn odłożył słuchawkę, przekręcił lampę tak, by rzucała światło na ścianę, i złożył dłonie na piersiach, jakby miał zamiar się modlić. Wyprostował palce wskazujące. Na ścianie cień królika wystawił słuchy. Alan umieścił kciuki między palcami wskazującymi; królik zmarszczył nos. Szeryf zmusił go do skakania w rzucanej na ścianie plamie światła. Z cienia, w którym w końcu znikł, wyłonił się machający trąbą słoń. Dłonie Alana poruszały się już z niezwykłą, prawie czarnoksiężką zręcznością. Niemal nie zauważał zwierząt, które stwarzał, po prostu było to przyzwyczajenie, odpowiednik tego, co robią ludzie, by skupić uwagę.

Myślał o Poiły. O Poiły i jej dłoniach. Co powinien zrobić z Poiły i jej dłońmi?

Gdyby chodziło tylko o pieniądze! Ultradźwięki jako lekarstwo na postępujący artretyzm... nauka o ultradźwiękach jako leku na postępujący artretyzm była zaledwie w powijakach. Być może metoda okaże się równie skuteczna jak szczepionka przeciwko polio albo równie fałszywa jak frenologia. W każdym razie bez sensu jest namawiać Poiły na kurację właśnie teraz. Szansę na sukces były jak tysiąc do jednego. Nie bał się, że straci pieniądze... bał się, że Poiły straci nadzieję.

Kruk — równie żywy i prawdziwy co w filmie Disneya — przeleciał powoli na tle oprawionego dyplomu szkoły policyjnej w Albany. Skrzydła mu się wydłużyły, stał się prehistorycznym pterodaktylem, jego trójkątny łeb pochylił się, kiedy przelatywał nad szafkami na akta, by wylecieć wreszcie poza zasięg światła lampy.

Drzwi do gabinetu otworzyły się nagle. Pojawił się w nich smutny pysk basseta — twarz Norrisa Ridgewicka.

- Zrobiłem to, Alan — powiedział Norris, jakby przyznawał się do zabójstwa kilkunastu małych dziewczynek.
- Świetnie. I nie trafi cię żaden odprysk tej gównianej sprawy, obiecuję.

Norris przyjrzał mu się przez chwilę wilgotnymi oczami, po czym z powątpiewaniem skinął głową. Zerknął na ścianę.

— Zrób Granata, Alan.

Alan uśmiechnął się, potrząsnął głową, sięgnął po lampę.

— No zrób — kusił go Norris. — Wlepiłem mandat temu cholernemu Keetonowi. Zasłużyłem na nagrodę.

Alan zerknął mu przez ramię, zobaczył, że w biurze nie ma nikogo, i złożył dłonie. Na ścianie cień grubego faceta przeszedł kilka kroków; brzuch kołysał mu się z boku na bok. Facet zatrzymał się, podciągnął spodnie, podejrzliwie obrócił głowę w jedną i w drugą stronę.

Norris roześmiał się szczęśliwym, piskliwym śmiechem — śmiechem dziecka. Na moment Alanowi przypomniał się śmiech Todda; ale natychmiast o nim zapomniał. Jak na jeden wieczór miał tego dość... i jego podświadomość także, dzięki Bogu.

— Boże, już mi starczy — jęknął Norris, nie przestając się śmiać. — Za późno się urodziłeś, Alan, zrobiłbyś karierę w Ed Sullivan Show.

— Dobra, dobra. Wynoś się — powiedział Alan.

Norris zamknął za sobą drzwi, nie przestając się śmiać.

Alan zrobił jego samego, chudego i nieco nadętego, po czym zgasił lampę i z tylnej kieszeni spodni wyjął wygnieciony notes. Przerzucił strony, aż znalazł czystą. Napisał na niej: „Sklepik z marzeniami”. Niżej zanotował jeszcze: „Leland Gaunt, Cleveland, Ohio”. Czy tak powiedziała Poiły? Nie. Skreślił „Cleveland” i nad tym zapisał „Akron”. Może rzeczywiście tracę zmysły — powiedział. Jeszcze niżej zanotował: „Sprawdzić!”.

Schował notes do kieszeni, pomyślał o tym, że powinien wrócić do domu, i zamiast wyjść, zapalił lampę. Po ścianie przemaszerowała prawdziwa cyrkowa parada: lwy, tygrysy i niedźwiedzie. Rany, rany! Jak mgła nad jeziorem, depresja ogarnęła go, skradając się na swych malutkich kocich łapach. Znowu odezwał się głos mówiący o Annie i Toddzie. Po jakimś czasie Alan Pangborn zaczął słuchać tego głosu. Słuchał go wbrew woli, lecz z coraz większą uwagą.

Poiły leżała w łóżku i kiedy skończyła rozmawiać z Alanem, odwróciła się na lewy bok, żeby odłożyć słuchawkę. Słuchawka wypadła jej jednak z rąk i z trzaskiem spadła na podłogę. Sam

telefon zaczął się ślizgać po stoliku, najwyraźniej mając zamiar dołączyć do swej lepszej połowy. Poity próbowała go złapać, uderzyła w krawędź stolika i jej dłoń przeszył monstrialny cios bólu, z łatwością przebijający się przez słabiutką zasłonę, którą rozpostarł na jej nerwach środek przeciwbólowy. Ból dotarł aż do łopatki.

72

Musiała przygryźć wargi, żeby powstrzymać krzyk.

Telefon oczywiście spadł z hukiem i donośnym „brzęk!” umieszczonego w nim dzwonka. Słyszała idiotyczny szum linii niczym brzęczenie roju transmitowane na falach krótkich.

Pomyślała, że musi podnieść go szponami, które trzymała przyciśnięte do piersi, i że musi dokonać tego, obejmując aparat dłońmi, ściskając niczym przy grze na akordeonie, bo palce wcale nie chciały się jej zginać, i nagle poczuła, że ma dość, że nie potrafi nawet wykonać czynności tak prostej, jak podniesienie z podłogi telefonu.

Zaczęła płakać.

Ból przebudził się z drzemki, przebudził się i szalał, zmienił jej dłonie — zwłaszcza tę, którą uderzyła o stół — w jaskinie węży. Poity leżała w łóżku, wpatrując się w sufit oczami, w których zamazany był cały świat — i płakała.

Oddałabym wszystko, żeby się od tego uwolnić — pomyślała. Oddałabym wszystko, wszystko, byle tylko uwolnić się od tego bólu.

Tego dnia o dziesiątej wieczorem na głównej ulicy Castle Rock wszystko pozamykane było tak doskonale jak najlepszy sejf. LAMPY rzucały kręgi białego światła na chodnik i frontony malejących stopniowo w perspektywie budynków; do złudzenia przypominało to scenografię filmową opuszczoną chwilowo przez aktorów. Wkrótce pojawić się na niej powinien facet w cylindrze i surducie — Fred Astaire lub, powiedzmy, Gene Kelly — przebiegając w tańcu od jednego kręgu światła do drugiego i śpiewając o tym, jak samotnie czuje się chłopak, którego dziewczyna wystawiła do wiatru, a w dodatku wszystkie bary są zamknięte. Z drugiego krańca ulicy powinna wyłonić się po chwili inna postać — Ginger Rogers lub, powiedzmy, Cyd Charisse — w wieczorowej sukni. Powinna, tańcząc, zbliżyć się do Freda (lub Gene'a), śpiewając o tym, jak samotna jest dziewczyna, kiedy jej chłopak nie przyszedł na randkę. Obie postaci wykonałyby nagle artystyczne „stop”, a potem przebiegły w tańcu pod bank lub, powiedzmy, „Same Szyjemy”.



Jednak zamiast którejś z tych postaci w perspektywie ulicy pojawił się Hugh Priest.

Hugh Priest nie przypominał ani Freda Astaire'a, ani Gene'a Kelly'ego, nie było też dziewczyny idącej ku jakże romantycznemu spotkaniu, a już z całą pewnością nie tańczył. Za to pił od czwartej w „Potulnym Tygrysie”, równo i bez przerwy. Na tym etapie zabawy sztuką było utrzymać się na nogach i do diabła z wszystkimi tymi wymyślnymi krokami!

Hugh szedł powoli, mijał kolejne kręgi światła, a jego długi cień padał po kolei na zakład fryzjerski, na „Western Auto”, na wypożyczalnię wideo. Zataczał się lekko, gapił się przed siebie, w jeden punkt będący stale w tej samej odległości od niego. Zza paska spodni wielkim, łagodnym łukiem wypływało mu brzuszysko przykryte przepoconym podkoszulkiem z rysunkiem komara i podpisem: „Ptak — symbol Maine”.

Półciężarówka z Wydziału Robót Publicznych Castle Rock stała nieruchomo na klepisku uchodzącym za parking „Potulnego Tygrysa”. Hugh dzierżył niechlubny rekord miasteczka w dziedzinie mandatów za prowadzenie w stanie nietrzeźwym. Po ostatnim wyczynie, w którego rezultacie na pół roku odebrano mu prawo jazdy, ten sukinsyn Keeton i dwa jego współsukinsyny, Fullerton i Samuels, oraz sukincóra, Williams, wyraźnie dali mu do zrozumienia, że są już u kresu cierpliwości. Kolejny taki mandat spowodowałby zapewne definitywną utratę prawa jazdy, a z pewnością definitywną utratę pracy.

Nie powstrzymało to Hugh'a od picia — żadna siła we wszechświecie nie potrafiłaby powstrzymać go od picia! — ale skłoniło go do podjęcia stanowczego postanowienia: koniec z prowadzeniem po pijanemu. W końcu miał już pięćdziesiąt jeden lat, a to odrobinę za późno, żeby zmieniać pracę, zwłaszcza z takim balastem wykroczeń, który towarzyszyć mu będzie do śmierci jak psu puszka przywiązana do ogona.

Właśnie dlatego szedł do domu piechotą, a spacer miał przed sobą nielichy. Pewien pracownik Wydziału Robót Publicznych nazwiskiem Bobby Dugas będzie musiał mu coś jutro wytłumaczyć i lepiej dla niego, żeby tłumaczył się przekonująco, bo inaczej wróci do domu bez kilku zębów, choć miał je w drodze do pracy.

Kiedy mijał kawiarnię „U Nań”, zaczęło obrzydliwie mżyć. Nie poprawiło mu to humoru.

Hugh spytał Bobby'ego, który, wracając z pracy, musiał przejeżdżać obok jego domu, czy ma zamiar wpaść wieczorkiem do „Tygrysa” na szybkie piwo. „Jasne, jasne, Hubert” — Bobby Dugas zawsze mówił mu Hubert, choć nie było to jego cholerne

imię, możecie się założyć, że i to błyskawicznie ulegnie zmianie —  
„Jasne, Hubert, przyjadę pewnie koło siódmej, jak zawsze”.

l     Więc Hugh pewien, że ktoś odwiezie go do domu, jeśli piwka będzie nieco za dużo, by zasiąść za kierownicą, podjechał do „Tygrysa” tak mniej więcej za pięć czwarta (wyszedł z pracy trochę wcześniej, no, powiedzmy, półtorej godziny wcześniej, ale co tam, do kurwy nędzy, Deke'a Bradforda i tak nie było na miejscu) i niemal wbiegł do środka. Minęła siódma i wiecie co, panie i panowie? Ani śladu Bobby'ego Dugasa. Rany Julek! Minęła ósma, dziewiąta i wpół do dziesiątej, i wiecie co, panie i panowie? To samo, tylko jeszcze bardziej. O, kurwa!

Za dwadzieścia dziesiąta Henry Beaufort, barman i właściciel „Potulnego Tygrysa”, zaproponował, by Hugh zobaczył, czy nie ma go w domu, sprawdził, czy go nie szukają, założył sobie kółka i zjeżdżał — innymi słowy, by wynosił się w cholerę. Hugh dostał ataku szału. To prawda, kopnął szafę grającą, ale płyta tego cholernego Rodneya Crowella znowu przeskakiwała.

- To co mam według ciebie zrobić? — wrzasnął. — Siedzieć i słuchać tego jękały? Powinieneś wyjąć jego płytę, to wszystko. Facet śpiewa, jakby dostał jakiejś cholernej epilepsji!

- Nie masz dość, jak widzę — stwierdził Henry — ale tu już dość wypieś. Resztę znajdziesz we własnej lodówce.

- A jeśli powiem nie? — zainteresował się Hugh.

— To zadzwonię do szeryfa Pangborna — oznajmił Henry.

Reszta klientów „Tygrysa” — o tej porze, w środku tygodnia, nie było ich znowu tak wielu — przysłuchiwała się tej wymianie zdań z zainteresowaniem. Ludzie nauczyli się traktować Hugh'a z wielką ostrożnością, zwłaszcza kiedy sobie wypił, ale on z pewnością nie był kandydatem do zwycięstwa w konkursie na najpopularniejszego mieszkańca Castle Rock.

— Nie mam ochoty do niego dzwonić — mówił dalej Henry — ale jeśli będzie trzeba, to zadzwonię. Hugh, mam dość, naprawdę dość tego, jak kopiesz moją Rock-Olę.

Hugh rozważał sensowność stwierdzenia: „To, jak widać, powinienem teraz nakopać tobie, ty cholerny pieprzony żabojadzie”, a potem wyobraził sobie, jak ten tłusty skurwysyn Keeton

wręcza mu różową kartkę za nakopanie właścicielowi gospody. Oczywiście, gdyby został wylany, różowa karteczka przyszłaby pocztą, zawsze tak jest, świnie jak Keeton nie brudzą sobie rąk (i nie ryzykują podbitego oka), by załatwiać takie sprawy osobiście, ale nic nie szkodziło wyobrazić sobie taką scenę. Wskazówki zegarów

75

cofnęły się z czerwonego pola. No i w domu miał piwo: sześć puszek w lodówce, więcej w szopie na drewno.

- Dobra, dobra — powiedział. — Nie trzeba mi tego. Daj kluczyki.

- Nie. — Henry patrzył Hughowi wprost w oczy i wycierał dłonie ściereczką.

- Niel? Co to do diabła *znaczy* nie?

- To znaczy, że jesteś zbyt pijany, żeby prowadzić. Jestem tego pewien, a ty, kiedy się jutro obudzisz, zrozumiesz, że miałem rację.

- Słuchaj — Hugh był samą wcieloną cierpliwością — kiedy dałem ci te cholerne klucze, myślałem, że Bobby Dugas odwiezie mnie do domu. Obiecywał, że wpadnie na piwo. Przecież to nie moja wina, że ten pieprzony kutas się nie zjawił.

- Współczuję ci serdecznie — westchnął Henry — ale na szczęście to nie mój problem. Gdybyś kogoś przejechał, mogliby mnie postawić przed sądem. Być może ciebie to za cholerę nie wzrusza, ale mnie owszem. Muszę pilnować tyłka, przyjacielu. Na tym świecie nikt go za mnie nie przypilnuje.

Hugh poczuł żal, litość dla samego siebie i rodzącą się w nim przedziwną wściekłość zalewającą mu mózg niczym jakiś trujący płyn sączący się z pękniętej bańki z odpadami przemysłowymi. Popatrzył na kluczyki, wiszące za barem obok plakietki głoszącej: „Jeśli nie podoba ci się nasze miasteczko, sprawdź, kiedy odjeżdża następny autobus”, i przeniósł wzrok z powrotem na Henry'ego. Ze strachem stwierdził, że jest bliski łez.

Nad jego głową Henry przyglądał się obecnym jeszcze w barze kilku klientom.

— Hej, panowie, któryś z was jedzie może na Castle Hill?

Mężczyźni tylko wpatrywali się w stoliki, nie mówiąc nic. Ktoś z trzaskiem wyłamywał sobie palce. Charlie Fortin z wystudiowaną powolnością powędrował w stronę męskiej toalety. Nikt się nie odezwał.

— Widzisz — powiedział Hugh. — Daj spokój, Henry, oddaj kluczyki.

Henry pokręcił głową powoli, zdecydowanie.

- Jeśli chcesz tu jeszcze kiedyś przyjść — powiedział — to teraz grzecznie pójdiesz do domu.

- Już idę — wrzasnął Hugh głosem niegrzecznego dziecka, które właśnie ma zamiar dostać ataku hysterii. Ruszył do drzwi, głowę miał pochyloną, ręce zaciśnięte w pięści. Czekał na wybuch

76

śmiechu. Niemal miał nadzieję, że ktoś się roześmieje. Miałby pretekst do zrobienia porządku w tym gościnnym lokalu i do diabła z pracą. Ale nie odezwał się nikt, tylko Reba McEntire śpiewała coś o Alabamie.

— Kluczyki możesz odebrać jutro — rzucił mu na pożegnanie Henry.

Hugh milczał. Z całej siły powstrzymywał się, by jednym znoszonym, żółtym ciężkim butem nie rozwalić na kawałki cholernej ukochanej szafy grającej Henry'ego Beauforta. Minął ją, nie podnosząc głowy.

Wyszedł na dwór.

Mżawka, drobniutka jak mgła, zmieniła się po prostu w zwykłą mżawkę. Nim dojdę do domu, z tej mżawki będzie ulewny deszcz — pomyślał Hugh. Już takie mam szczęście. Parł jednak równo przed siebie i nawet mniej się zataczał; świeże powietrze trochę go otrzeźwiło. Nie przestawał rozglądać się dookoła. Nie był w najlepszym humorze; miał nadzieję, że pojawi się ktoś, kto zechce się z nim pokłócić. Wystarczyłby nawet najmniejszy powód. Przypomniawszy sobie gówniarza, który wczoraj po południu wszedł mu pod samochód. Pożałował, że go nie stuknął — ale tak, żeby gówniarz po prostu przeleciał przez ulicę. I to nie byłaby jego wina, nikt by go w to nie wrobił. Za jego czasów dzieciaki patrzyły, gdzie leżą.

Minął pusty plac, na którym — nim spłonęło do fundamentów — stało „Emporium Galorium”, minął „Same Szyjemy”, minął sklep przemysłowy... właśnie przechodził obok „Sklepiku z marzeniami”. Zerknął na wystawę, odwrócił głowę, spojrzął na ulicę (jeszcze najwyżej dwa kilometry, jeśli się pospieszy, może dotrze jednak pod dach, nim deszcz lunie na pełny regulator) i nagle stanął jak wryty.

Nogi same poniosły go pod „Sklepik z marzeniami”; musiał cofnąć się o kilka kroków. Nad oknem wystawowym świeciło pojedyncze światełko, rzucając ciepły blask na wystawione w nim trzy przedmioty. Oświetliło także twarz Hugh’a, dokonując w niej cudownej przemiany. Nagle Hugh zmienił się w małego, zmęczonego chłopca, który już dawno powinien być w łóżku, małego chłopca, który nagle zobaczył coś, co musi dostać pod choinkę;

77

musi, po prostu musi, i czego nie zastąpi mu nic na całym bożym świecie.

Po bokach tego, co zachwyciło Hugh’a, stały dwie wysokie wazy (ukochane kryształy Nettie Cobb, choć sam Hugh o tym nie wiedział, a gdyby wiedział i tak by go to nie obeszło).

Na wystawie „Sklepiku z marzeniami” leżał lisi ogon.

Nagle Hugh przeniósł się do 1955 roku. Właśnie dostał prawo jazdy i jechał na mistrzostwa szkół zachodniego Maine — na mecz Castle Rock z Greenspark — jechał na mecz fordem kabrioletem taty, zaledwie dwuletnim. Był wyjątkowo ciepły listopadowy dzień; tak ciepły, że można było złożyć płócienny dach i nakryć go pokrowcem, oczywiście jeśli było się gorącokrwistym dzieciakiem pragnącym poszaleć. W samochodzie siedzieli w szóstkę. Peter Doyon kupił butelkę whisky Log Cabin, Hugh Priest siedział za kierownicą, Perry Como śpiewał w radiu, do anteny zaś przyczepiony był powiewający wesoło lśniący lisi ogon — dokładnie taki jak ten na wystawie.

Pamiętał, jak wtedy, patrząc nań, obiecywał sobie, że kiedy dorośnie, kupi kabriolet i do anteny przyczepi taki sam, identyczny.

Pamiętał, jak koledzy podali mu butelkę, a on odmówił, bo przecież prowadzi — a kiedy prowadzisz, odpowiadasz za życie innych ludzi.

A przede wszystkim pamiętał, że pomyślał wtedy: oto najpiękniejszy dzień mego życia.

Wspomnienie to uderzyło go i zraniło tym, że było takie jasne, takie realistyczne: przypomniał sobie dymny zapach palonych liści, listopadowe słońce błyszczące w światłach odbłaskowych na barierce autostrady. Teraz, patrząc na lisi ogon na wystawie „Sklepiku z marzeniami”, uświadomił sobie, że rzeczywiście był to najpiękniejszy dzień jego życia. Jeden z ostatnich, nim alkohol złapał

go w swój śliski, lecz strasznie mocny uścisk i zmienił w przedziwną karykaturę króla Midasa — wszystko, czego się od tamtej pory dotknął, wydawało się zmieniać w gówno.

Hugh Priest pomyślał nagle: „przecież mogę się zmienić”.

Pomyślał to ze zdumiewającą jasnością.

Mogę zacząć od nowa.

Czy coś takiego w ogóle jest możliwe?

Tak, chyba tak, czasami. Mogę kupić ten lisi ogon i przyczepić go do anteny mojego buicka.

Będą się śmieli — pomyślał. Wszyscy będą się ze mnie śmieli.

Kto? Henry Beaufort? Ten mały sukinsyn Bobby Dugas? Niech

78

się śmieją. I niech się pieprzą. Kup sobie lisi ogon, przyczep go do anteny buicka i jedź...

Gdzie?

A co z czwartkowymi spotkaniami AA w Greenspark? Nada się?

Na moment sama ta myśl poraziła go i ucieszyła, tak jak więźnia, który odsiedział prawie całe dożywocie, porazić i ucieszyć mógłby widok klucza pozostawionego w zamku jego celi przez roztargnionego strażnika. Przez chwilę widział oczami wyobraźni, jak robi właśnie to, jak dostaje biały znaczek, później czerwony, a w końcu niebieski. Widział, jak trzeźwieje z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Nie dla niego już „Potulny Tygrys”. Kiepska sprawa. Ale też nie dla niego strach, że wraz z comiesięcznym czekiem w kopercie znajdzie różowy papierek — a to już nie taka kiepska sprawa.

W tej jednej chwili, wpatrzony w lisi ogon na wystawie „Sklepiku z marzeniami”, Hugh rzeczywiście widział przed sobą jakąś przyszłość. Po raz pierwszy od wielu lat widział przed sobą przyszłość, a w tej przyszłości kawałek rudego futerka z białą plamką na końcu powiewał jak sztandar wojsk gotowych bić się i zwyciężyć.

Nagle zwała się na niego rzeczywistość — rzeczywistość deszczu i wilgotnego, śmierdzącego ubrania. Nie dla niego lisi ogon, spotkania Anonimowych Alkoholików, znaczki, przyszłość. Ma pięćdziesiąt jeden lat, pieprzone pięćdziesiąt jeden lat! Pięćdziesiąt jeden lat to o wiele za późno, by myśleć o przyszłości. Kiedy ma się pięćdziesiąt jeden lat, trzeba z całych sił wiać przed lawiną własnej przeszłości.

Gdyby był dzień, spróbowałby jednak. Spróbowałby, cholera mu w bok, jeśli by nie spróbował! Wszedłby do sklepu, dumny i wyprostowany, i spytał, ile kosztuje ten lisi ogon na wystawie. Ale

przecież minęła dziesiąta wieczór, sklepy na głównej ulicy pozamykane były tak szczelnie jak pas cnoty na najozięblejszej z oziębłych księżniczek. A kiedy obudzi się jutro rano pewny, że w nocy ktoś wbił mu między oczy szpikulec do lodu, nie będzie już pamiętał o lisim ogonie — wspaniałym, jaskraworudym lisim ogonie.

Mimo to Hugh nie odchodził od wystawy. Głaskał szybę brudnymi, stwardniałymi palcami jak dziecko przed sklepem z zabawkami. Kąciki jego ust uniosły się w nieśmiałym uśmiechu; ten łagodny, dziecięcy uśmiech niezbyt pasował do twarzy. I nagle gdzieś, na wzgórzu, strzelił gaźnik samochodu; w wilgotnym

powietrzu dźwięk był tak ostry i donośny jak karabinowy wystrzał; Hugh drgnął i znów stał się sobą.

Pieprz się. O czym do cholery myślisz?

Odwrócił się od wystawy i ruszył przed siebie, do domu —jeśli dwupokojową ruderę plus szopa na drewno w ogóle można nazwać domem. Przechodząc pod markizą, zerknął na drzwi... i znów zamarł, wrósł w chodnik.

Na drzwiach wisiała, oczywiście, tabliczka z napisem: OTWARTE.

Niczym we śnie położył dłoń na klamce i poruszył nią. Obróciła się łatwo pod naciskiem jego dłoni. Gdzieś, z góry, dobiegł go srebrny brzęk dzwoneczka. Wydawał się strasznie, nieprawdopodobnie daleki.

Pośrodku sklepu stał mężczyzna. Mężczyzna odkurzał szczoteczką jedną z gablotek, nucąc coś sobie pod nosem. Kiedy zadzwonił dzwoneczek, odwrócił się i spojrzął na nocnego gościa. Nie wydawał się w najmniejszym nawet stopniu zaskoczony tym, że w drzwiach jego sklepu pojawił się klient, choć była środa i po dziesiątej wieczorem. Jediną rzeczą, która uderzyła zmieszanego Hugh Priesta, były jego oczy — czarne jak oczy Indianina.

Hugh zdał sobie sprawę, że mówi:

- Zapomniałeś zmienić tabliczkę na drzwiach, kolego.
- Ależ nie, nie — odparł uprzejmie mężczyzna. — Niestety,

nie śpiam najlepiej i czasami zostawiam sklep otwarty do późnej nocy. Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się ktoś taki jak pan...

ktos, komu coś bardzo się spodobało. Może zechce pan wejść i rozejrzeć się?

Hugh Priest wszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Ma pan lisi ogon... — powiedział schrypniętym głosem. Musiał odchrząknąć i zacząć jeszcze raz. Mówił tak niewyraźnie, że nie sposób go było zrozumieć. — Na wystawie ma pan lisi ogon.
- Oczywiście. Piękny, prawda? — Właściciel „Sklepiku z marneniami” trzymał teraz miotełkę do kurzu przed sobą; czarne oczy Indianina obserwowały Hugh’a z zainteresowaniem z nadkłębka piór zasłaniającego dolną część twarzy. Usta mężczyzny były niewidoczne, ale Hugh zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie skrzywione są w uśmiechu. Nie lubił, kiedy ludzie -r- zwłaszcza ludzie, których nie znał — uśmiechali się w jego obecności, natychmiast nabierał ochoty na bójkę, ale dziś jakoś było mu to obojętne. Może dlatego, że nie zdążył jeszcze wytrzeźwieć?
- Tak — zgodził się. — Jest przepiękny. Kiedy byłem mały, mój tata jeździł kabrioletem. Przy antenie wisiał identyczny. W tej cholerniej zapadłej wiosce mnóstwo jest ludzi, którzy nie uwierzyli by, że w ogóle byłem kiedyś dzieckiem, ale przecież byłem. Takim samym jak inne dzieciaki.
- Ależ oczywiście. — Mężczyzna nie spuszczał oczu z twarzy Hugh’a i nagle stało się coś przedziwnego — jego oczy zaczęły się powiększać. Hugh nie mógł wręcz oderwać od nich wzroku. Kiedy ktoś tak patrzył mu w oczy, też zaraz chciał się bić, ale dziś i to nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.
- Myślałem wtedy, że lisi ogon to najfajniejsza rzecz pod słońcem.
- Oczywiście.
- Wtedy mówiliśmy po prostu „fajna”. Nie „bombowa”, nie „wystrzałowa”; za cholerę nie rozumiem, co bomba i strzały mają



z tym wspólnego, a pan?

Właściciel „Sklepiku z marzeniami” stał, milcząc, po prostu stał, wpatrując się w Hugh’a Priesta znad miotełki do kurzu czarnymi oczami Indianina.

— No, w każdym razie chciałbym go kupić. Sprzeda mi go pan?

— Oczywiście — powiedział po raz trzeci Leland Gaunt.

Hugh poczuł ulgę i gwałtowną, wszechogarniającą radość. Nagle poczuł też pewność, że wszystko będzie dobrze, po prostu wszystko. Była to pewność najzupełniej szalona — miał przecież długi u niemal każdego w Castle Rock i trzech najbliższych miastach, od sześciu miesięcy żył w ciągłym strachu pewien, że prędzej czy później straci pracę, a jego buick trzymał się wyłącznie na klajster i modlitwę.

• Ile? — spytał. Nagle zaniepokoił się, czy będzie go stać na coś tak pięknego, i wpadł w panikę. A jeśli nie będzie? Gorzej, a jeśli jutro lub pojutrze zgromadzi pieniądze, a ogon kupi ktoś inny?

- Cóż, to zależy.
- Zależy? Od czego?
- Ile zechcesz mi zapłacić.

Niczym we śnie, Hugh wyjął z tylnej kieszeni spodni wymiętoszony skórzany portfel.

— Odłóż go, Hugh.

Czy ja przedstawiałem się temu facetowi? Nie pamiętał, ale posłusznie odłożył portfel.

— Wyjmij z kieszeni wszystko, co w nich masz. O tu, na tę gablotkę.

Hugh posłusznie wyrócił kieszenie. Scyzoryk, paczka tytoniu do papierosów, zapalniczka Zippo i dolar pięćdziesiąt w zabrudzonych tytoniem monetach. Monety na szkle zabrzączały.

Mężczyzna pochylił się i przyjrzał uważnie leżącym na gablocie przedmiotom.

— Mam wrażenie, że wystarczy — stwierdził, machnął miotełką nad nędznym majątkiem Hugh’a, a kiedy ją podniósł, na szkle w dalszym ciągu leżał scyzoryk, zapalniczka i tytoń. Tylko pieniądze zniknęły.

Hugh przyglądał się temu bez najmniejszego zdziwienia. Stał nieruchomo jak elektryczna zabawka bez baterii, mężczyzna tymczasem podszedł do wystawy i zdjął z niej lisi ogon. Wrócił i położył go na gablotce, obok uboższej teraz nieco zawartości kieszeni klienta.

Hugh Priest powoli wyciągnął dłoń i pogłaskał ogon. W dotyku wydawał mu się wspaniały, miękki i ciepły, trzeszczał jedwabistą elektrycznością. Głaskać go to było jak muskać ciepłą, czystą jesienną noc.

- Fajny — stwierdził właściciel „Sklepiku z marzeniami”.
- Fajny — powtórzył Hugh nieprzytomnym głosem i już prawie zacisnął dłoń na lisim ogonie.
- Nie! — powiedział ostro Gaunt, a ręka Hugh'a opadła natychmiast. Spojrzał na Gaunta z żalem tak wielkim, że niczym właściwie nie różnił się od rozpaczki. — Nie skończyliśmy się jeszcze targować.

• Nie skończyliśmy się jeszcze targować — powtórzył Hugh. Zahipnotyzował mnie — pomyślał. Niech to cholera, ten gość mnie zahipnotyzował. Ale i to nie zrobiło mu żadnej różnicy. W gruncie rzeczy czuł się... fajnie.

Znów sięgnął po portfel; poruszał się powoli, niczym pod wodą. — Zostaw go, osłe jeden! — powiedział niecierpliwie Gaunt i odłożył miotkę do kurzu.

Ręka Hugh'a znów opadła posłusznie.

- Dlaczego tylu ludzi sądzi, że odpowiedź na wszystkie pytania znajdują w portfelu? — spytał opryskliwie mężczyzna.
- Nie wiem. — Hugh nigdy nie zastanowił się poważniej nad tym problemem. — To chyba nieco głupawe — dodał.

• Gorzej! — warknął Gaunt. Mówił teraz nierównym głosem, świadczącym albo o wielkim zmęczeniu, albo o wielkim gniewie. Był zmęczony, miał za sobą długi, ciężki dzień. Osiągnął dużo, ale miał się jeszcze długo trudzić. — O wiele gorzej! To zbrodnicza głupota. Wiesz co, Hugh? Świat pełen jest ludzi w potrzebie,

którzy nie rozumieją, po prostu nie rozumieją, że wszystko jest na sprzedaż... jeśli tylko zgodzą się zapłacić. Och, w gębie są mocni, powtarzają tę prawdę do znudzenia, szczycą się swym zdrowym cynizmem, ale gadanie to gówno i tylko gówno!

- Gówno — zgodził się automatycznie Hugh.
- Jeśli człowiekowi rzeczywiście czegoś potrzeba, portfel mu nie pomoże. Najgrubszy portfel w tym mieście nie jest wart potu spod pachy ciężko pracującego mężczyzny. To gówno! A dusza? Gdybym dostawał centa za każdym razem, kiedy słyszę kogoś mówiącego „Oddałbym za to duszę”, kupiłbym sobie Empire State Building! — Mężczyzna pochylił się, rozciągnięte w szeroki, krzywym, nieprzyjemnym uśmiechu usta obnażyły nierówne, żółte zęby. — Powiedz mi, Hugh, co u diabła i wszystkich innych podziemnych bestii począłbym z twoją duszą?

- Nie miałby pan z niej żadnego pożytku. — Własny głos wydał się Hughowi bardzo daleki. Jakby wydostawał się z dna głębokiej mrocznej jaskini. — Ostatnio nie jest w najlepszym stanie.

Gaunt odprężył się nagle i wyprostował.

- Dość tych kłamstw i półprawd. Hugh, znasz kobietę nazwiskiem Nettie Cobb?

- Szaloną Nettie? Wszyscy w miasteczku znają Szaloną Nettie. Zabiła męża.

- Tak mówią. Teraz posłuchaj mnie uważnie, Hugh. Uważnie. Potem możesz zabrać ten lisi ogon i wracać do domu.

Hugh Priest słuchał go bardzo uważnie.

Na dworze rozpadało się na dobre. Zaczął wiać silny wiatr.

— *Brian!* — *powiedziała ostro panna Ratcliffe.* — *Brian Rusk! Nie uwierzyłabym, że jesteś do tego zdolny! Podejź no tu, natychmiast!*

*Siedział w tylnej ławce w salce w suterenie, gdzie odbywały się lekcje wymowy. Zrobił coś złego — sądząc z tonu głosu panny*

*Ratcliffe, nawet bardzo złego — ale nie wiedział co takiego, póki nie wstał. Dopiero wtedy zorientował się, że jest nagi. Zalala go gigantyczna fala wstydu, ale poczuł też nagle podniecenie i kiedy spojrzal na penis, dostrzegł, że zaczyna stawać. Zaniepokoiło go to, lecz także zachwyciło.*

*— Podejź, powiedziałam!!*

*Ruszył powoli ku tablicy, podczas gdy inni: Sally Meyers, Donny Frankel, Nonie Martin i biedny, tępawy Slopey Dodd gapili się na niego szeroko otwartymi oczami.*

*Panna Ratcliffe stała przed stołem. Ręce trzymała na biodrach, jej główkę otaczała cudowna chmura kasztanowatych włosów.*

*— Jesteś złym chłopcem, Brian, bardzo złym chłopcem.*

*Opuścił tępo głowę, a jego penis dumnie podnosił swoją i wydawało się, że tej jego części nie obchodzi wcale, że jest taka zła. Że ta jego część raduje się tym, jaka jest zła.*

*Panna Ratcliffe włożyła mu w dłoń kawałek kredy. Kiedy ich ręce się zetknęły, ciało przeszył mu słaby ładunek elektryczny.*

*• A teraz — powiedziała stanowczo panna Ratcliffe — napiszesz pięćset razy na tablicy: MUSZĘ ZAPŁACIĆ ZA MOJĄ, KARTĘ Z SANDYM KOUFAXEM!*

*• Oczywiście, panno Ratcliffe.*

*Pisał, stając na palcach, by dosięgnąć samej góry tablicy. Na nagich pośladkach czuł ciepły powiew. Napisał: MUSZĘ ZAPŁACIĆ... kiedy miękka, ciepła dłoń panny Ratcliffe objęła mu penis i zaczęła delikatnie go pociągać. Było mu tak strasznie dobrze, że przez chwilę omal nie zemdlął.*

*• Pisz dalej — usłyszał wypowiedziane za plecami stanowcze słowa — a ja dalej będę robiła to, co robię.*

*• Paa...nno Raa...tcliffe, a co z moi...mi ćwiczeeee...niami języko wy mi? — spytał Slopey Dodd.*

*• Zamknij się albo rozsmaruję cię po parkingu — powiedziała panna Ratcliffe. — Ani piśniesz, gówniarzu!*

*Mówiąc to, nadal delikatnie poruszała dłonią. Brian jęczał. Wiedział, że to, co się właśnie dzieje,*

*jest złe, ale czuł się tak dobrze! Czuł tylko szczerzy zachwyt. Tego akurat potrzebował. Akurat tego i niczego więcej.*

*Odwrócił się i to nie panna Ratcliffe stała za jego plecami, lecz Wilma Jerzych ze swą wielką, okrągłą bladą głową i małymi brązowymi oczkami niczym rodzynki wciśnięte głęboko w miękkie ciasto.*

*— Zabierze ci ją, jeśli mu nie zapłacisz — powiedziała. — I to nie wszystko, gówniarzu. Bo...*

Brian Rusk drgnął, budząc się, drgnął tak gwałtownie, że omal nie zleciał z łóżka na podłogę. Spocił się jak ruda mysz, serce waliło mu jak młotem, penis ukryty w spodniach pizamy miał malutki i twardy jak uschnięta gałązka.

Usiadł, drżąc na całym ciele. Odruchowo chciał otworzyć usta i wrzasnąć: „Mamo!”, jak wtedy, kiedy był mały i miał zły sen. Nagle zdał sobie jednak sprawę, że już nie jest mały, ma jedenaście lat... a takiego snu raczej nie opowiada się mamusi, nie?

Opadł na łóżko, wpatrując się w ciemność wielkimi, okrągłymi oczami. Stojący przy jego łóżku kwarcowy zegarek wskazywał cztery po dwunastej. Słyszał, jak niesiony potężnymi porywami wiatru deszcz bije w okna sypialni; brzmiało to niemal jak burza.

— Karta. Moja karta z Sandym Koufaxem zniknęła!

Nie zniknęła. Wiedział, że nie zniknęła, ale wiedział także, że nie zaśnie, póki na własne oczy nie sprawdzi, że jest na miejscu, w stale grubiejącym segregatorze, w którym trzymał kolekcję kart z 1956 roku. Wczoraj, nim wyszedł do szkoły, sprawdził, że rzeczywiście tam jest, sprawdził, że jest, kiedy wrócił do domu, i po kolacji przerwał ćwiczenie podań ze Stanleyem Dowsonem, by sprawdzić to raz jeszcze. Stanleyowi powiedział, że idzie do łazienki. Po raz ostatni obejrzał kartę przed pójściem do łóżka, gasząc światło. Zdawał sobie sprawę, że ma coś w rodzaju obsesji na jej punkcie, ale świadomość ta w niczym nie zmieniała sytuacji.

Wypelzł z łóżka, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, że od zimnego powietrza dostał gęsiej skórki na spoconym ciele i że jego penis kurczy się jeszcze bardziej. Powoli podszedł do szafki. Na prześcieradle pozostał zaznaczony potem ślad ciała. Segregator leżał na szafce, widoczny w kręgu światła rzucanego przez latarnię.

Zdjął go i zaczął szybko przewracać stronicę z przezroczystego plastyku z kieszonkami, do których wkładało się karty. Mela Parnella, Whiteya Forda, Warrena Spahna — skarbów, które tak

go niegdyś cieszyły — nie zaszczylił nawet spojrzeniem. Dotarł do ostatniej — jeszcze pustej kieszonki — i przez moment czuł straszliwą panikę; nie dostrzegł Sandy'ego Koufafa. W chwilę później zdał sobie sprawę, że w pośpiechu mógł przerzucić kilka kart naraz. Sprawdził... rzeczywiście, jest! Wąska twarz, lekki uśmiech, poważne oczy pod daszkiem czapki.

„Mojemu dobremu przyjacielowi Brianowi z najlepszymi życzeniami, Sandy Koufax”.

Przesunął palcem po lekkiej wypukłości pozostawionej na papierze przez długopis. Poruszał ustami, jakby coś mówił. Poczł spokój... czy też niemal spokój. Ta karta właściwie jeszcze nie była jego. Dostał ją... na okres próbny. Musi coś jeszcze zrobić i dopiero wtedy będzie ją miał na własność. Nie był całkiem pewien co takiego, ale z pewnością miało to coś wspólnego ze snem, z którego się właśnie obudził. Był także pewien, że wszystkiego dowie się we właściwym

*(jutro? to znaczy dzisiaj?)*

czasie.

Zamknął segregator — widniał na nim napis, wykaligrafowany artystycznie na kawałku tekturki przyklejonej taśmą do okładki: KOLEKCJA BRIANA, NIE DOTYKAĆ — i z powrotem położył go na szafce. Teraz już mógł wrócić do łóżka.

Martwiła go tylko jedna sprawa związana z kartą Sandy'ego Koufafa. Bardzo chciał pokazać ją ojcu. Wracając ze „Sklepiku z marzeniami”, wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy mu ją pokaże. On, Brian, powie tak, jakby nic się nie stało: „Cześć, tato, kupiłem nową kartę w tym »Sklepiku z marzeniami\*. Chcesz zobaczyć?”. Tata powie na to: „Aha, świetnie” — wcale nie tak znowu zainteresowany. Pójdzie z synem do jego pokoju, po prostu żeby go nie zmartwić. Ale mu oczy zabłysną, kiedy zorientuje się, jakiego jego syn miał farta! A kiedy jeszcze zobaczy dedykacje...!

Jasne, tata będzie zdumiony i bardzo ucieszony, bez dwóch zdań. Klepnie syna po plecach, przyklepią piątki...

A potem?

Potem zaczną się pytania... i w tym właśnie problem. Tata będzie chciał się dowiedzieć — po pierwsze, gdzie Brian znalazł kartę, a po drugie, skąd miał pieniądze na Sandy'ego Koufafa, który jest: a) rzadkością, b) w świetnym stanie i c) podpisany. Podpis nadrukowany na kartę głosił: „Sanford Koufax”, bo tak brzmiało imię legendarnego miotacza. On sam podpisał się jednak na karcie Sandy Koufax i w dziwnym, a czasami także drogim świątku kolekcjonerów mogło oznaczać to, że wolnorynkowa cena karty wynosi około stu pięćdziesięciu dolarów.

Brian zastanowił się nad jedną z możliwych odpowiedzi:

— Kupiłem ją w tym nowym sklepie, „Sklepiku z marzeniami”. Jego właściciel dał mi naprawdę zwariowany rabat... powiedział, że to zachęci ludzi, żeby do niego przychodzili... kiedy dowiedzą się, że ma niskie ceny.

Do tej pory wszystko brzmiało mniej więcej w porządku, ale nawet dzieciak, który dopiero za rok będzie musiał płacić pełną cenę za bilet do kina, zdawał sobie sprawę, że dalej może być tylko gorzej. Kiedy powiesz, że ktoś dał ci rabat, ludzie zawsze robią się ciekawi. Zbyt ciekawi.

- Tak, naprawdę? Ile? Trzydzieści procent? Czterdzieści?

Sprzedal ci za pół ceny? To oznacza sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt dolarów, a przecież wiem, że nie udało ci się zgromadzić w skarbonce aż takiej forsy.

- No wiesz, tato, zapłaciłem znacznie mniej.

- Dobra, mów. Ile zapłaciłeś?

- No... osiemdziesiąt pięć centów.

• Sprzedał ci podpisaną kartę Sandy'ego Koufafa z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku w idealnym stanie za osiemdziesiąt pięć centów?

No i w tym momencie zaczną się prawdziwe kłopoty. Oj, zaczną, zaczną!

Jakie właściwie kłopoty? Dokładnie nie wiedział, ale był oczywiście pewien, że cała ta sprawa zacznie śmierdzieć. I jakoś jego obciążą winą za ten smród, może i tata, ale mama z pewnością.

Być może nawet każą mu oddać kartę, a on nie ma zamiaru jej oddać, nie odda jej za nic! Była nie tylko podpisana, była podpisana: BRIAN!

Nie odda jej za nic!

Cholera, nie mógł nawet, choć bardzo chciał, pokazać jej Stanowi Dawsonowi, kiedy Stan przyszedł do niego poćwiczyć podania. Stan chyba wyskoczyłby ze spodenek. Ale miał spać u nich w nocy z piątku na sobotę i Brianowi aż za łatwo było wyobrazić sobie, jak Stan mówi do jego ojca, „Jak się panu podobała ta nowa karta Briana, panie Rusk? Ta z Sandym Koufakem? Bombowa, nie?”. To samo z resztą przyjaciół. Brian odkrył właśnie jedno z najświętszych praw małych miasteczek: tajemnice — w rzeczywistości wszystkie ważne tajemnice! — muszą być zachowane

w tajemnicy. Bo plotki jakoś dziwnie się rozchodzą. Dziwnie i bardzo szybko.

Brian znalazł się w nieoczekiwanej i niezbyt godnej polecenia sytuacji. Zdobył skarb i z nikim nie mógł podzielić się swą radością. Powinno mu odebrać to przyjemność z jego posiadania i do pewnego stopnia tak stało się rzeczywiście, ale sprawiało mu także brzydką, złośliwą satysfakcję. Okazało się, że karta nie tylko go cieszy — karta sprawia, że czuje się lepszy! W ten sposób

odkrył kolejną prawdę: radość w sekrecie i poczucie wyższości sprawiają człowiekowi swego rodzaju przyjemność. Było tak, jakby jakaś część jego szczerzej i radoszej osoby odgradzona została murem i oświetlona szczególnym, czarnym światłem, zarówno ujawniającym, jak i kryjącym to, co zostało odgradzone.

Nie miał zamiaru nic powiedzieć.

Nie miał zamiaru i już. Koniec, kropka.

— To lepiej zapłać wreszcie drugą ratę — szepnął jakiś ukryty w głębi głowy głos.

Zapłaci. Żaden problem. Nie sądził, by to, co miał zrobić, może było nazwać dobrym, ale miał też coś w rodzaju pewności, że nie jest to coś obrzydliwego. Po prostu...

Żart — szepnął głos z głębi głowy. Dostrzegł oczy pana Gaunta, ciemnoniebieskie jak morze w pogodny dzień i dziwnie uspokajające. Żart. To tylko żart.

Jasne. Żart. Niezależnie od tego, na czym miał polegać.

Nie ma sprawy.

Włazł pod pikowaną kołdrę, obrócił się na bok, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Kiedy zasypiał obok brata, przypomniało mu się coś jeszcze. Coś, co powiedział pan Gaunt. „Będziesz reklamą, o jakiej miejscowa gazeta mogłaby tylko marzyć!”. Tyle że nikomu nie mógł pokazać tej wspaniałej karty, którą u niego kupił. Jeśli odrobina zastanowienia wystarczyła, by dojść do tego wniosku — i zrobił to dzieciak, któremu brakowało tyle rozsądku, by nie wejść pod koła półciężarówki Hugh'a Priesta! — taki sprytny człowiek jak pan Gaunt powinien wpaść na to od razu.

No, może. A może nie. Dorośli nie myślą jak normalni ludzie, a poza tym ma kartę, nie? Ma kartę w segregatorze, dokładnie tam, gdzie powinna być, nie?

Odpowiedź na oba pytania brzmiała oczywiście „tak”, więc Brian postanowił po prostu zapomnieć o całej sprawie. Zasnął. Deszcz uderzał w okno, a w rynnach świszczwał niezmordowany wiatr.



## Rozdział 4

Deszcz przestał padać w czwartek o świcie. O wpół do jedenastej, kiedy Poiły wyjrzała przez okno „Same Szyjemy” i dostrzegła Nettie Cobb, niebo zaczęło się przecierać. Nettie niosła zwiniętą parasolkę; truchtała po głównej ulicy, ściskając torbę pod pachą, jakby za nią skradał się z rozwartą paszczą jakiś straszny burzowy potwór.

— Jak tam dziś z rękami, Poiły? — spytała Rosalie Drakę.

Poiły westchnęła. Na to samo pytanie, tylko wyrażone znacznie bardziej stanowczo, będzie pewnie musiała odpowiedzieć dziś po południu Alanowi — obiecała spotkać się z nim na kawie w „U Nań” koło trzeciej. Nie da się oszukać ludzi, którzy znają człowieka od dłuższego czasu. Potrafią dostrzec bladość twarzy, ciemne cienie pod oczami; co ważniejsze, widzą w tych oczach przerażenie.

- Znacznie lepiej, dziękuję — odparła. Przesadzała, i to wcale nie tak niewiele; było lepiej, ale żeby znacznie... no, co to, to nie.

- Myślałam, że deszcz no i...

- Nie da się przewidzieć, od czego ból się nasili. Chyba to właśnie jest najgorsze. Ale w tej chwili nie to jest najważniejsze. Podejdź tu jak najszybciej, Rosalie, wyrzyj przez okno. Moim zdaniem będziemy świadkami drobnego cudu.

Rosalie dobiegła do okna w samą porę, by dostrzec małą, skuloną postać ściskającą pod pachą parasolkę, mającą służyć jako kopia, sądząc po sposobie trzymania. Nettie wchodziła pod markizę „Sklepiku z marzeniami”.

- To Nettie? To naprawdę Nettie? — Rosalie aż westchnęła ze zdumienia.

- To naprawdę Nettie.

— Mój Boże, ona tam wchodzi!

Przez chwilę wydawało się jednak, że przepowiednia Rosalie wszystko popsuła. Nettie podeszła

wprawdzie do drzwi, ale cofnęła się w ostatniej chwili. Przekładała parasolkę z ręki do ręki, patrzyła na drzwi „Sklepiku z marzeniami”, jakby miała przed sobą węża, gotowego ugryźć ją w każdej chwili.

- Wchodź, Nettie — wyszeptała Poiły. — No już, kochanie.
- Pewnie wywiesił na drzwiach: ZAMKNIĘTE — powiedziała

Rosalie.

- Nie, nie, jest inna tabliczka. WTORKI I CZWARTKI TYLKO UMÓWIONE SPOTKANIA. Widziałam ją po drodze do pracy.

Nettie znów zbliżyła się do drzwi. Wyciągnęła rękę, dotknęła klamki i cofnęła się.

- Boże, to napięcie mnie zabija — powiedziała Rosalie. — Mówiła mi, że może tam pójdzie, wiesz, jak strasznie lubi kryształ.

Ale nie sądziłam, że się na to zdecyduje.

- Pytała mnie, czy podczas przerwy może „tam” pójść i przynieść blachę — szepnęła Poiły.

Rosalie skinęła głową.

- Cała Nettie. Kiedyś dowiadywała się nawet, czy może skorzystać z toalety.

- Miałam wrażenie, że jakaś jej część chciała, żebym powiedziała „nie”, że za dużo mamy roboty, inna zaś bardzo chciała usłyszeć „tak”.

Mówiąc te słowa, Poiły nie spuszczała wzroku z niewielkiej, bezkrwawej bitwy, jaką Nettie Cobb toczyła na ulicy z Nettie Cobb. Jeśli zdecyduje się jednak wejść, jakież ogromny zrobi krok w stronę normalnego świata!

Poiły poczuła tępy ból w dłoniach, opuściła wzrok i dostrzegła, że zaciska je mocno. Wysiłkiem woli zmusiła ręce, by opadły wzdłuż ciała.

— Tu nie chodzi ani o blachę, ani o kryształ. Chodzi o niego — powiedziała Rosalie.

Poiły zerknęła na przyjaciółkę. Przyjaciółka zarumieniła się i roześmiała.

- Nie, nie chodzi mi o to, że Nettie zadurzyła się w Lelandzie Gauncie, nic z tych rzeczy, choć te jej oczy, kiedy dogoniłam ją na ulicy... On był dla niej miły. To wszystko. Był szczery i miły.

- Wielu ludzi jest dla niej miłych. Alan wychodzi ze skóry,

żeby się jej przypodobać, a ona ciągle się go boi.

- Nasz pan Gaunt potrafi być naprawdę miły — stwierdziła po prostu Rosalie i — jakby na potwierdzenie jej słów — Nettie złapała za klamkę i obróciła ją. Otworzyła drzwi, lecz pozostała nieruchoma na chodniku, ściskając w dłoni parasolkę, jej śmiałość jak sucha studnia wyschła do końca. Poiły poczuła nagłą pewność, że Nettie zaraz zamknie drzwi i ucieknie. Mimo artretyzmu mocno zacisnęła dłonie.

Wchodź, Nettie, wchodź. Zaryzykuj. Powróć do Normalnego Świata!

I nagle Nettie uśmiechnęła się, niewątpliwie odpowiadając na to, co działo się wewnątrz sklepu, a czego żadna z obserwujących kobiet nie mogła zobaczyć. Opuściła parasolkę, którą do tej pory trzymała na wysokości piersi, i weszła do środka.

Drzwi „Sklepiku z marzeniami” zamknęły się za nią.

Poiły spojrzała na Rosalie i ze wzruszeniem dostrzegła, że Rosalie ma łzy w oczach. Obie przez chwilę tylko na siebie patrzyły, a potem padły sobie w objęcia.

- Brawo, Nettie! — krzyknęła Rosalie.
- Rzut za dwa punkty — zawtórowała Poiły i w jej prywatnym świecie słońce przedarło się przez chmury dobre dwie godziny wcześniej, niż udało mu się to w Castle Rock.

W pięć minut później Nettie siedziała na jednym z obitych aksamitem krzeseł o wysokich oparciach, które pan Gaunt ustawił wzdłuż jednej ze ścian sklepu.

Parasolka i torba, zapomniane, leżały na podłodze. Gaunt siedział obok niej, w dłoniach ściskał jej dłonie, a swym bystrym wzrokiem wpatrywał się w jej przyćmione, niepewne oczy. Na gablotce, obok blachy, stał kryształowy abażur lampy. Abażur był przeciętnym dziełem sztuki, w bostońskim sklepie z antykami mógł kosztować jakieś trzysta dolarów. Nettie Cobb kupiła go właśnie za dziesięć dolarów i czterdzieści centów, za całą gotówkę, jaką miała przy sobie. Mógł sobie być piękny, ale w tej akurat chwili nie pamiętała o nim, tak jak nie pamiętała o torebce i parasolce.

- Coś do zrobienia — powtórzyła. Mówiła jak ktoś pogrążony w głębokim śnie. Lekko poruszyła dłońmi — tak by móc mocniej ścisnąć dłonie Gaunta. Odwzajemnił jej uścisk i Nettie uśmiechnęła się radośnie.

- Tak, słusznie — powiedział. — Taki nieważny drobiazg.

Znasz pana Keetona, prawda?

- Ależ oczywiście. Pana Ronalda i jego syna, Danfortha.

Znam ich obu. O którego chodzi?

- O młodszego. — Gaunt gładził dłonie Nettie swymi długimi kciukami. Paznokcie miał żółtawe, nieprzycięte. — Przewodni czącego Rady Miejskiej.

- Za plecami mówią na niego „Granat”. — Nettie zachichotała. Był to ostry, niemal histeryczny chichot, ale Gaunt nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Wręcz przeciwnie — nienaturalne brzmienie śmiechu Nettie wydawało się go cieszyć. — Zawsze mówili, od czasu, kiedy był dzieckiem.

- Chcę, żebyś zapłaciła za lampę, robiąc psikusa Granatowi. — Psikusa? — Nettie wydawała się nieco niespokojna.

Gaunt uśmiechnął się.

- Taki nieszkodliwy żart. Nigdy nie dowie się, że to ty go zrobiłaś. Będzie myślał, że to sprawka kogoś innego.

- Aha. — Nettie popatrzyła na kryształowy abażur i na chwilę coś — może zachłanność, a może zwykły podziw i radość — wyostrzyło jej spojrzenie. — No...

- Wszystko będzie dobrze, Nettie. Nikt nigdy się nie dowie.

A ty zatrzymasz abażur...

Kiedy Nettie się odezwała, mówiła powoli, z namysłem.

- Mój mąż często robił mi różne psikusy. Pewnie miło byłoby zrobić komuś psikusa. — Spojrzała na Gaunta i teraz jej spojrzenie wyostrzył niepokój. — Jeśli tylko go to nie skrzywdzi. Ja skrzywdziłam męża, wie pan?

- To nie wyrządzi mu krzywdy — powiedział cicho Gaunt, gładząc jej dłonie. — Wcale go to nie skrzywdzi. Chcę tylko, żebyś zaniósła mu coś do domu.

- Jak dostanę się do domu Granata, kiedy...
- Masz. — Włożył coś w jej dłoń. Klucz. Nettie zacisnęła na nim palce.
- Kiedy? — spytała. Rozmarzonym spojrzeniem objęła abażur.
- Wkrótce. — Gaunt uwolnił jej dłoń i wstał. — Słuchaj, Nettie, naprawdę powinienem ci już spakować ten piękny abażur. Pani Martin przychodzi po wazę laliąue... — zerknął na zegarek — ...Boże, już za piętnaście minut. Ale, doprawdy nie znajduję słów, by wyrazić, jaki jestem szczęśliwy, że zdecydowałaś się mnie odwiedzić. Niewielu dzisiejszych ludzi docenia piękno kryształu... większość to handlarze z zamkniętymi sejfami zamiast serca.

Nettie wstała także. Przyglądała się abażurowi ciepłym spojrzeniem zakochanej kobiety. Nerwowe przerażenie, z jakim tu wchodziła, zniknęło całkowicie.

- Bardzo piękny, prawda? — powiedziała.
- Bardzo piękny — zgodził się ciepło pan Gaunt. — Nie potrafię ci powiedzieć... nie potrafię wyrazić... jaki jestem szczęśliwy, wiedząc, że znalazł dobry dom, w którym otrzyma coś więcej niż odkurzenie w środowe popołudnia do czasu, gdy nieostrożna gospodyni nie zbije go i nie zmiecie okruchów, by bez odrobiny żalu wrzucić je do śmietnika.
- Nigdy bym tak nie postąpiła! — krzyknęła Nettie.
- Ależ wiem, wiem przecież — uspokoił ją Gaunt. — W tym cały twój urok, Nettie.

Nettie spojrzała na niego zdumiona.

- Skąd zna pan moje imię? — spytała.
- Mam dar odgadywania. Nigdy nie zapominam imienia ani twarzy.

Zniknął za aksamitną zasłoną, a kiedy wrócił, w jednej ręce trzymał arkusz kartonu, w drugiej kłęb ligniny. Położył ligninę obok blachy (natychmiast zaczęła się rozwijać z tajemniczym szelestem, przyjmując kształt gigantycznego bukieciku), z kartonu zaś zaczął formować pudełko,

doskonale pasujące do abażuru.

- Wiem, że będziesz wspaniałą strażniczką kupionego u mnie kryształu — powiedział. — Tylko dlatego ci go sprzedałem.

- Naprawdę? Myślałam... że chodzi o pana Keetona... o ten psikus...

- Nie, nie, nie! — Gaunt śmiał się, lecz w jego śmiechu brzmiał gniew. — Każdy potrafi spłatać psikusa. Ludzie uwielbiają płatać figle! Lecz dać ludziom coś, co kochają i czego potrzebują... no, to zupełnie inna sprawa. Wiesz, Nettie, czasami myślę, że tak naprawdę handluję po prostu szczęściem. Co o tym sądzisz?

Nettie nie wahała się ani chwili.

— Uczynił mnie pan bardzo szczęśliwą, bardzo szczęśliwą, panie Gaunt.

Gaunt obnażył w szerokim uśmiechu krzywe, spiczaste zęby.

- Świetnie! Doskonale! — Wepchnął ligninę do pudełka, ułożył w nim lśniący biały abażur, zamknął i zakleił taśmą.

- Skończone — powiedział uroczyście. — Kolejny zadowolony klient wychodzi ze „Sklepiku z marzeniami” jako posiadacz swego marzenia.

Podał jej pudło. Nettie wzięła je; ich dłonie zetknęły się na moment i choć przed chwilą ścisnął jej rękę mocno, nawet bardzo

mocno, dopiero teraz poczuła obrzydzenie. Ich niedawna rozmowa wydała się jej snem, czymś zupełnie nierealnym.

Gaunt położył blachę na pudełku. Nettie coś w niej dostrzegła.

- Co to? — spytała.
- Liścik do twojej pracodawczyni.

Nettie natychmiast strasznie się zdenerwowała.

- O mnie?
- Ależ nie!

Śmiech pana Gaunta natychmiast ją uspokoił. Pan Gaunt śmiał się tak, że nie można go było nie lubić, nie można mu było nie ufać.

- Dbaj o abażur, Netitio, i odwiedź mnie jeszcze kiedyś — powiedział.

- Dobrze. — I choć można było to uznać za przyjęcie zaproszenia, w głębi serca (tego tajemnego skarbcza, w którym lęki i potrzeby przepychały się niczym pasażerowie w zatłoczonym metrze) była pewna, że choć może rzeczywiście zajrzy jeszcze kiedyś do „Sklepi ku z marzeniami”, abażur będzie jedyną rzeczą, jaką w nim kupiła.

I co z tego? Był taki piękny, zawsze pragnęła mieć coś tak pięknego, co uzupełniłoby jej skromną kolekcję. Zastanawiała się, czy nie po winna po wiedzieć panu Gauntowi, że jej mąż żyłby może po dziś dzień, gdyby przed czternastu laty nie stłukł bardzo podobnego abażura, że była to ostatnia kropla, że to było przyczyną jej szaleństwa.

Wielokrotnie tłukł ją na kwaśne jabłko, wytrzymywała, pozwalala mu żyć, aż w końcu stłukł coś, czego naprawdę potrzebowała, i wtedy odebrała mu życie.

Uznała, że nie musi tłumaczyć tego panu Gauntowi.

Pan Gaunt wyglądał jak ktoś, kto wie.

— Poiły, Poiły, wychodzi!

Poiły zostawiła w spokoju manekin, na którym powoli, mozolnie, upinała suknię, i pospieszyła do okna. Wraz z Rosalie patrzyły, jak Nettie opuszcza „Sklepi ku z marzeniami” w stanie, który można było określić tylko jako stan upojenia. Torbę trzymała pod jedną pachą, parasolkę pod drugą, w rękach zaś miała blachę balansującą niepewnie na wielkim kartonowym pudle.

- Może lepiej pójde jej pomóc — zaniepokoiła się Rosalie.
- Nie. — Poiły powstrzymała ją, delikatnie kładąc rękę na jej ramieniu. — Lepiej nie. Co najwyżej zaniepokoisz ją, zawstydzisz.

Patrzyły, jak Nettie idzie ulicą. Już nie uciekała przed kłami wyimaginowanego potwora; teraz niemal płynęła.

Nie, to nie tak — pomyślała Poiły. Idzie, jakby... unosiła się w powietrzu.

Nagle coś przeskoczyło jej w głowie niczym w dokonującym szybkich obliczeń kalkulatorze i

Poiły wybuchnęła śmiechem.

Rosalie uniosła brwi.

- Co cię tak śmieszy?

• To ten wyraz jej twarzy. — Poiły patrzyła, jak Nettie przechodzi przez Linden Street powoli, jakby pogrążona w marzeniach.

- O co ci chodzi?
- Wygląda jak kobieta, która właśnie wyszła z czyjś łóżka...

i miała najmarniej trzy orgazmy.

Rosalie zaczerwieniła się, jeszcze raz spojrzała na Nettie i nagle w głos się roześmiała. Poiły natychmiast jej zawtórowała. Trzymały się w ramionach, kiwały w przód i w tył, i chichotały jak wariatki.

- Rany! — powiedział Alan Pangborn, tkwiący w drzwiach pracowni. — Panie bawią się tak świetnie... i to przed południem.

Na szampana jeszcze za wcześnie, więc o co chodzi?

- Cztery. — Rosalie nie mogła przestać się śmiać. Po policzkach płynęły jej łzy. — Mnie to wygląda najmarniej na cztery!

Znów padły sobie w objęcia, znów kiwały się w przód i w tył, płacząc ze śmiechu. Alan stał z rękami w kieszeniach munduru i patrzył na nie zdziwiony.

Na dziesięć minut przed fabrycznym gwizdkiem oznajmującym dwunastą ubrany w cywilne ciuchy Norris Ridgewick pojawił się w Biurze Szeryfa. Miał służbę od dwunastej do dziewiątej wieczorem przez cały weekend — oby tak zawsze! Niech kto inny zdrapuje ofiary wypadków z asfaltu szos i obwodnic Castle Rock po pierwszej w nocy, po zamknięciu barów — Norris był w stanie to robić i nawet robił, nie raz, ale prawie zawsze wyrzygiwał z siebie duszę. Czasami wyrzygiwał z siebie duszę i wtedy, gdy ofiary wysiadały z rozbitych samochodów, łąziły wokół i wrzeszczały, że nikt ich nie zmusi do dmuchania w balonik, nikt a nikt, znamy przecież nasze cholerne konsp... kons... konstytucyjne prawa! Taki miał po prostu żołądek. Sheila Brigham żartował

sobie z niego, że jest jak zastępca Andy z telewizyjnego „Twin Peaks”, ale Norris doskonale



wiedział, że to nieprawda. Zastępca Andy na widok trupów płakał. Norris nie płakał, ale zdarzało mu się na nie rzygać; na przykład omal nie narzygał na zwłoki Homera Gamache'a, kiedy go znalazł w rowie przy cmentarzu Homeland, zatłuczonego na śmierć własną sztuczną ręką.

Norris zerknął na grafik, dowiedział się z niego, że Andy Clutterbuck i John LaPointe są na patrolu, a potem sprawdził ogłoszenia. Nic ciekawego, a więc nadal jest nieźle. Pełnia szczęścia — zwłaszcza jeśli spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy — a w dodatku jego mundur wrócił z pralni, dla odmiany w terminie. Nie musi jechać do domu, żeby się przebrać.

Do plastikowej torby, w której pralnia odesłała mundur, przyczepiona była karteczka: „Barney, pamiętaj, jesteś mi winien 5,25. Nie próbuj cyganić jeszcze raz, albo opuścisz posterunek jako człowiek starszy i mądrzejszy. Ciut”.

Nawet to nie odebrało humoru Norrisowi Ridgewickowi. Sheila Bringham była jedynym pracownikiem biura, który kojarzył Norrisa z „Twin Peaks” (i —jak sądził— jedynym, który w ogóle oglądał serial, oprócz niego). Reszta zastępców: John LaPointe, Seat Thomas i Andy Clutterbuck, nazywała go Barneyem od Dona Knotts'a, jednego z bohaterów starego Andy Griffith Show. To go czasami denerwowało, ale nie dziś. Cztery dni służby od dwunastej do dziewiątej, a potem trzy dni wolnego. Co za wspaniały tydzień. Życie bywa takie cudowne!

Wyjął z portfela piąta, dolca i położył pieniądze na biurku Cluta. „Masz, stary, pożycz trochę” — napisał na odwrocie raportu, podpisał się zamasyście i położył notatkę na forsie. Wyjął mundur z torby i poszedł do toalety. Przebijając się, pogwizdywał wesoło, a spojrzawszy na swe odbicie w lustrze, podniósł brwi z aprobatą. Na Boga, wyglądał regularnie, wyglądał absolutnie regularnie. Złoczyńcy Castle Rock, strzeżcie się...

W lustrze dostrzegł jakiś ruch za plecami, ale nim zdążył obrócić głowę, czyjeś ręce chwyciły go, obróciły i cisnęły na kafelki między urynałami. Walnął głową w ścianę, czapka spadła mu na podłogę i oto patrzył wprost w oczy okrągłej, mięsistej, zaczerwienionej twarzy Danfortha Keetona.

— Na co ty sobie pozwalasz, Ridgewick? — warknął Keeton.

Norris na śmierć zapomniał o mandacie, który poprzedniej nocy włożył pod wycieraczkę cadillaca. Teraz wszystko mu się przypomniało.

— Puść mnie! — próbował powiedzieć to bardzo stanowczo, ale jego głos zabrzmiał niczym pisk wystraszonego dziecka. Poczul, jak na policzki wstępuje mu rumieniec. Gdy przestraszył się lub zdenerwował — a teraz był zarówno przestraszony, jak i zdenerwował — a teraz był zarówno przestraszony, jak i zdenerwował

wowany — czerwienił się jak dziewczyna.

Keeton, wyższy od Norrisa o ponad dziesięć centymetrów i cięższy o jakieś pięćdziesiąt kilo, potrząsała nieszczęsnym zastępcą i puścił go. Z kieszeni wyciągnął mandat i podsunął mu pod nos.

— Twoje nazwisko jest na tym świstku, tak czy nie? — spytał, jakby Norris próbował czemuś zaprzeczać.

Norris doskonale wiedział, że na mandacie widnieje jego nazwisko, przybite stemplem, lecz czytelne i że mandat wyrwany został z jego książeczki.

- Zaparkowałeś na kalekach — powiedział, odrywając się od ściany i pocierając stłuczony tył głowy. Cholera, będzie guz jak marzenie. Zaskoczenie (Granat śmiertelnie go przestraszył, nie ma co zaprzeczać) mijało; teraz pojawiał się gniew.

- Co?

- Zaparkowałeś na miejscu dla niepełnosprawnych! — wrzasnął Norris. „A poza tym to Alan kazał wypisać ci mandat” — miał zamiar dodać, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Po co sprawiać tej tłustej świni satysfakcję, zwalając winę na kogoś innego? — Ostrzegaliśmy cię, Gra... Danforth, przecież pamiętasz.

- Coś ty powiedział? — spytał Granat powoli, złowrogo. Na policzkach i szczęce pojawiły mu się czerwone plamy wielkości mniej więcej główek kapusty.

- Mandat jest ważny — stwierdził Norris, ignorując pytanie. — Jeśli o mnie chodzi, lepiej zapłać go w ciągu miesiąca. I tak masz szczęście, że nie oskarżę cię o czynną napaść na funkcjonariusza!

Danforth Keeton roześmiał się; jego śmiech odbił się od gołych ścian i runął na podłogę.

— Nie widzę tu żadnego funkcjonariusza, tylko małe gówno w wielkiej torbie!

Norris pochylił się. Podniósł czapkę. Flaki wywracały mu się ze strachu — niedobrze było mieć wroga w Danforcie Keetonie — lecz jego gniew powoli przechodził w furję. Dłonie mu drżały. Mimo to poświęcił chwilę, by porządnie usadzić czapkę na głowie.

- Jeśli chcesz, możesz porozmawiać z Alanem...

- Rozmawiam z tobą!

- Aleja z tobą nie rozmawiam! Pamiętaj, masz zapłacić w ciągu miesiąca albo zostaniesz zatrzymany. —Norris wyprostował się

na całą swą wysokość, a miał metr sześćdziesiąt pięć. — Wiemy, gdzie cię szukać! — dodał.

Ruszył w stronę drzwi. Keeton, którego twarz wyglądała trochę jak zachód słońca na poligonie atomowym po wybuchu, zastawił je swym cielskiem. Norris szturchnął go palcem.

- Jeśli mnie dotkniesz, Granat, wylądujesz w celi. Masz to jak w banku.

- Doskonale, sprawa skończona — głos Keetona był dziwnie, niesamowicie spokojny. — To wszystko. Zostałeś wylany. Zdejmij mundur i zacznij szukać sobie innej prą...

- Nie! — rozległ się za nimi jakiś głos. W drzwiach toalety stał Alan Pangbom.

Keeton zacisnął dłonie w wielkie, zbielełe pięści.

— Trzymaj się od tego z daleka — warknął.

Alan wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim powoli.

— Nie — powtórzył. — To ja kazałem Norrisowi wypisać ci mandat. Powiedziałem mu także, że odpuszczę ci z okazji zebrania Rady Miejskiej. Ten mandat to pięć dolców, Dań. Cholera, co w ciebie wstąpiło!

W głosie Alana brzmiało zdumienie. I Alan rzeczywiście był zdumiony. Granat nie należał do ludzi łagodnych, nawet w najlepszym humorze, ale wybuch o tej sile rażenia był czymś niezwykłym nawet jak na niego. Pod koniec lata dostrzegł, że Granat jest zawsze napięty, zawsze zdenerwowany — podczas spotkań komitetu jego grzmiący głos docierał aż do Biura Szeryfa — w oczach zaś miał wyraz bliski strachowi. Przyszło mu nawet do głowy, że może Keeton jest chory, i zdecydował, że później się nad tym zastanowi. Teraz miał do czynienia z dość gównianą sytuacją.

- Nic we mnie nie wstąpiło — powiedział kwaśno Keeton. Przygładził włosy. Ze sporą satysfakcją Norris zauważył, że jemu też trzęsą się ręce. — Po prostu do szalu doprowadzają mnie takie

nadęte dupki jak ten tutaj... Wiele robię dla tego miasta... cholera, już wiele dla niego zrobiłem... do szafu doprowadza mnie to ciągle prześladowanie... Nazwał mnie Granatem! — wybuchł w końcu. — Przecież wiesz, co o tym myślę!

- Przeprosi — powiedział spokojnie Alan. — Przepraszasz, prawda, Norris?

- Nie wiem. — Żołądek nadal mu się wywracał, ręce dalej się trzęsły i nadal był wściekły. — Wiem, że nie lubi tego przezwiska, po prostu wyrwało mi się, nim zdołałem pomyśleć. Stałem tu sobie spokojnie, poprawiając krawat, a on złapał mnie i rzucił na ścianę. Walnąłem się w głowę, będę miał guza. Jezu, Alan, sam nie wiem, co mówiłem. Alan spojrzał na Keetona.

— Czy to prawda? — spytał.

Danforth Keeton spuścił oczy.

- Byłem wściekły — powiedział i szeryf pomyślał, że po tym człowieku nie można spodziewać się bardziej szczerych i bardziej bezpośrednich przeprosin. Znow zerknął na Norrisa, sprawdzając, czy to zrozumiał; wyglądało na to, że — być może — tak. Dobrze, zrobiliśmy wielki krok w kierunku rozbrojenia tego obrzydliwego śmierdziela.

- Czy możemy uważać sprawę za zamkniętą? — spytał ich obu. — Czy możemy po prostu *zmasać* ją z tablicy i *zacząć* od nowa?

- Dobrze, zgoda — powiedział po chwili Norris. Alana niemal to wzruszyło. Norris mógł sobie być chudy, zostawiać niedopite puszki z taką czy inną lemoniadą w radiowozach, których używał, pisać straszliwe wręcz raporty, ale miał wielkie serce. Wycofywał się, lecz nie ze strachu przed Keetonem, a jeśli gruby pan przewodniczący ma jakieś wątpliwości co do jego motywów, to niech lepiej się ich pozbędzie, bo może popełnić bardzo przykrą w skutkach pomyłkę.

- Przykro mi, że nazwałem cię Granatem — dodał jeszcze

Norris, choć wcale, ale to wcale nie było mu przykro. Lecz przecież kłamie w dobrej sprawie — pomyślał.

Alan spojrział na wielkiego grubasa w jaskrawej sportowej marynarce i rozpiętej pod szyją koszulce.

- Danforth?

- Dobrze, to się nigdy nie zdarzyło — powiedział Keeton jak władca wyświadczający łaskę poddanym. Szeryf poczuł przypływ niechęci do tego człowieka. Ukryty gdzieś w głębi umysłu głos — krokodyli głos podświadomości — powiedział jasno i wyraźnie: Nie mógłbyś dostać ataku serca, Granat? Nie mógłbyś wyświadczyć nam tej grzeczności i zdechnąć?

- W porządku — powiedział na głos. — Świetnie się składa...

- Jeśli... — Keeton podniósł palec.

- Jeśli? — brwi Alana powędrowały w górę.

- Jeśli zdołamy zrobić coś z tym mandatem. — Wyciągnął rękę w stronę szeryfa, trzymając papierek czubkami dwóch palców, jakby był ścierką, którą wytarto właśnie jakieś bardzo podejrzane nieczystości.

Alan tylko westchnął.

- Chodź do mojego biura, Danforth, pogadamy — powiedział.

A zwracając się do Norrisa, dodał: — Jesteś na służbie, prawda?

- Prawda — zgodził się Norris. Żołądek nadal zaciśnięty miał w twardą kulę. Dobre samopoczucie zniknęło i nie powróci prawdopodobnie aż do końca dnia, wszystko przez tę świnię, a Alan ma zamiar zniszczyć mandat. Rozumiał to — polityka — ale przecież nie musiał tego kochać!

- Masz zamiar tak tu stać? — Tylko w ten sposób mógł spytać

zastępcę, czy chce dalej ciągnąć sprawę. Keeton stał przecież obok, przyglądając się im spode łba.

- Nie. Mam sporo roboty. Pogadamy później. — Z tymi słowami Norris wyszedł, przeciskając się koło Granata, nawet nie podnosząc na niego wzroku. Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, Keeton z wielkim, niemal bohaterskim, choć irracjonalnym, wysiłkiem powstrzymał równie irracjonalne, lecz nieodparte pragnienie pogonienia go kopniakiem.

Alan bardzo troskliwie sprawdził w lustrze stan swego krawata, dając Norrisowi szansę na godne opuszczenie sceny. Keeton stał w drzwiach toalety, przyglądając mu się niecierpliwie. W końcu obaj wyszli do poczekalni biura; Granat niemal deptał szeryfowi po piętach.

Niewysoki schludny mężczyzna w kremowym garniturze siedział na jednym z krzeseł stojących przed drzwiami gabinetu Alana i ostentacyjnie czytał wielką, oprawną w skórę księgę, która mogła być tylko Biblią. Alanowi z miejsca odechciało się żyć. Był niemal pewny, że nic gorszego od Keetona już go tego ranka nie spotka — było za dwie, może za trzy dwunasta, więc przypuszczenie to wydawało się rozsądne — a tu proszę, jednak się pomylił.

Wielebny William Rosę zamknął Biblię (której oprawa doskonale pasowała do jego garnituru) i zerwał się na równe nogi.

- Szeryfie... un... Pangborn — powiedział. Wielebny Rosę był jednym z tych zatwardziałych baptystów, którzy zawsze cedzą słowa, kiedy są czymś poruszeni. — Czy mogę z panem porozmawiać?

- Proszę zaczekać pięć minut, wielebny. Muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

- Moja sprawa jest bardzo ważna.

Założę się — pomyślał Alan.

- Ta również. Pięć minut.

Otworzył drzwi i zagonił Keetona do gabinetu, nim wielebny Willie, jak nazywał go ojciec Brigham, zdołał zaprotestować choćby jednym słowem.

— Chodzi o „Casino Nite” — powiedział Keeton, kiedy Alan zamknął drzwi gabinetu. — Wspomnisz moje słowa. Ojciec John Brigham to twardogłowy Irlandczyk, ale wolę go na śniadanie, obiad i kolację od tego superaroganckiego fiuta.

Przyganiał kocioł garnkowi — pomyślał Alan.

— Siadaj, Danforth — powiedział głośno.

Keeton usiadł. Alan obszedł biurko, wyciągnął z kieszeni mandat, podarł go na drobne kawałeczki i wyrzucił do kosza.

- No i co, w porządku? — spytał.
- W porządku. — Keeton pochylił się, zamierzając wstać.
- Poczekaj jeszcze chwileczkę, dobrze?

Gęste, krzaczaste brwi Keetona zbiegły się poniżej jego gładkiego, różowego czoła w burzową chmurę.

- Proszę — dodał Alan i usiadł za biurkiem. Machinalnie ułożył dłonie tak, by rzucić na ścianę cień dziecięcia, opanował się jednak i położył je, nieruchome, na blacie.

- W przyszłym tygodniu mamy zebranie komisji przygotowującej budżet na zebranie Rady Miejskiej w lutym...

- Słusznie — burknął Keeton.
- ...i jest to sprawa polityczna. Ja to rozumiem i ty to rozumiesz. Podarłem właśnie ważny mandat... z powodów politycznych.

Keeton uśmiechnął się lekko.

— Żyjesz w tym miasteczku już od jakiegoś czasu — powiedział. — Wiesz, jak to jest, Alan. Ręka rękę myje.

Szeryf przesunął lekko obrotowe krzesło. Krzesło zapiszczało — jego pisk słyszał czasami w snach, które nawiedzały go po długich, ciężkich dniach w biurze. Tak długich i ciężkich jak ten.

— Oczywiście — zgodził się. — Ręka rękę myje. Ale tylko do pewnego momentu.

Krzaczaste brwi znów zbiegły się w burzową chmurę.

- A co to niby ma znaczyć?
- To znaczy, że nawet w małych miasteczkach istnieje granica,

przy której polityka się zatrzymuje. Powinieneś pamiętać, że szeryfa się nie mianuje. Rada trzyma sznurek sakiewki, ale pracę dostaje od wyborcy. Ludzie wybierają szeryfa, by ich chronił, by działał w imieniu prawa i prawo to szanował. Składałem przysięgę i staram się jej nie łamać.

- Straszysz mnie? Bo jeśli tak...?

W tej właśnie chwili powietrze rozdarł fabryczny gwizdek oznaj-

miający dwunastą. Jego dźwięk dotarł do pokoju stłumiony, lecz mimo to Danforth Keeton podskoczył, jakby ugryzła go osa. Oczy rozszerzyły mu się, dłonie zacisnęły jak szpony na poręczach fotela.

Alan zdumiał się znowu. Jest nerwowo jak grzejąca się klacz — pomyślał. Co w niego wstąpiło?

I po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy pan Danforth Keeton, przewodniczący Rady Miejskiej Castle Rock, na długo przedtem nim on sam w ogóle dowiedział się o istnieniu tego miasteczka, nie wplątał się przypadkiem w coś nie najczystsze.

- Nie grozę ci — powiedział. Keeton rozluźnił się nieco, ale ostrożnie — jakby bał się, że fabryczny gwizdek rozlegnie się znowu tylko po to, by go przestraszyć.

- To świetnie. Bo nie chodzi tylko o sznurki sakiewki. Rada Miejska, szeryfie Pangborn, wraz z trzema komisarzami trzech hrabstw zatwierdza zatrudnianie — i zwalnianie — zastępców. Ma również prawo aprobowania wielu innych spraw, o których pan niewątpliwie wie.

- To tylko formalność.

- W przeszłości rzeczywiście była to tylko formalność. — Keeton wyjął z kieszeni cygaro Roi-Tan. Obrócił je w palcach; celofan zaszeleścił cicho. — W przyszłości wszystko może się zmienić.



A teraz kto komu grozi? — pomyślał Alan, ale nie powiedział tego głośno. Oparł się wygodnie w fotelu i tylko patrzył na Granata. Przez kilka sekund Granat odpowiadał mu stanowczym spojrzeniem, lecz niemal natychmiast spuścił wzrok i zaczął zdejmować celofan z cygara.

— Jeśli jeszcze kiedyś zdarzy ci się zaparkować na miejscu dla niepełnosprawnych, osobiście wypiszę mandat i tego mandatu nie podrę — głos Alana był bardzo stanowczy. — A jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz mi szarpał któregokolwiek z zastępców, oskarżę cię o napad trzeciego stopnia. Niezależnie od tego, co może i czego nie może zatwierdzić Rada. Ponieważ istnieje granica polityki. Rozumiesz?

Przez długą chwilę Keeton przyglądał się cygaru, niczym pogrążony w transcendentnej medytacji. Kiedy spojrzął na Alana, w jego zwięzionych oczach widoczny był gniew.

— Jeśli chce pan osobiście przekonać się o tym, jaki mam twardy tyłek, szeryfie Pangborn, niech pan go dalej kopie.

Zarówno na twarzy Keetona, jak i w jego oczach, pojawiła się wściekłość, ale Alan zobaczył nie tylko gniew. Pomyślał, że jest tam także strach. Widział go? Czuł? Nie był pewien i nie miało

to najmniejszego znaczenia. Jeśli Keeton się bał — to czego? To dopiero miało znaczenie... wielkie znaczenie.

- Rozumiesz? — powtórzył.
- Tak — przytaknął Keeton. Nagłym, gwałtownym gestem zdał z cygara celofan i rzucił na podłogę. Z cygarem w ustach spytał: — A czy ty mnie rozumiesz?

Krzesło wydało z siebie przenikliwy skrzyp, to Alan gwałtownie pochylił się do przodu.

- Rozumiem, co mówisz, ale za cholerę nie wiem, dlaczego tak się zachowujesz, Danforth. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi...
- To z pewnością. — Keeton odgryzł czubek cygara. Przez moment Alan był pewien, że i on wylądował na podłodze, i gotów był milczeć — polityka — ale Granat wypluł go na dłoń i położył w stojącej na biurku, czyściutkiej popielniczce. Leżał tam przy

pominając do złudzenia psie gówienko.

- ...ale doskonale nam się ze sobą pracowało. A teraz to. Czy coś się stało? Jeżeli mogę ci w czymś pomóc...

- Nic się nie stało. — Keeton zerwał się z fotela. Znow był wściekły, bardziej niż wściekły; Alan widział niemal, jak para uchodzi z niego uszami. — Po prostu mam dość tych... tych... prześladowań!

Po raz drugi użył słowa „prześladowanie”. Było to dziwne, niepokojące słowo. W gruncie rzeczy cała ta rozmowa była dziwna i niepokojąca.

- W każdym razie znasz już moje stanowisko.
- Boże, oczywiście! — Keeton ruszył w kierunku drzwi.
- I bardzo cię proszę, Danforth, pamiętaj o miejscu dla niepełnosprawnych.
- Pieprzę niepełnosprawnych! — Keeton z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi.

Alan siedział przez chwilę za biurkiem, z niepokojem wpatrując się w zamknięte drzwi. Potem wstał, obszedł biurko, podniósł z podłogi zgniecioną celofanową rurkę, wrzucił ją do kosza na śmieci i poszedł zaprosić do siebie Parowego Williego.

— Pan Keeton sprawiał wrażenie raczej zdenerwowanego — stwierdził pastor. Wielebny Rosę usadowił się powoli w fotelu, który przed chwilą zajmował pan przewodniczący, spojrzął

z obrzydzeniem na leżący w popielniczce koniuszek cygara, po czym troskliwie ułożył Biblię na sękatych kolanach.

- W przyszłym miesiącu czeka go mnóstwo spotkań komisji budżetowych — Alan wołał nie wdawać się w szczegóły. — Jestem

pewien, że wszyscy członkowie Rady żyją teraz w ciągłym napięciu.

- Oczywiście — zgodził się wielebny Rose. — Jezus... uh... mówi nam przecież: „Oddajcie cesarzowi co cesarskie, a Bogu co boskie”.

- Uh, uh — przytaknął Alan. Nagle zamarzył o papierosie, luckym, pali mallu, czymś po brzegi pełnym smół i nikotyny. — Cóż ja mogę panu oddać wi... wielebny. — Z przerażeniem zorientował się, że omal nie nazwał wielebnego Rose’a Williem.

Pastor zdjął okulary bez oprawki, wytarł je i założył z powrotem, przykrywając nimi czerwone wgłębienie wysoko na nosie. Jego ciemne, przylizane jakąś pomadą (którą Alan czuł, lecz nie mógł zidentyfikować) włosy odbijały światło zainstalowanych pod sufitem lamp jarzeniowych.

- Przychodzę do pana w sprawie ohydy, którą ojciec John Brigham uparł się nazywać „Casino Nite” — oznajmił w końcu wielebny Rose. — O ile pan pamięta, byłem u pana zaraz po tym, gdy dowiedziałem się o tym strasznym pomysle, z żądaniem, by nie udzielił pan na to zgody w imię zwykłej przyzwoitości.

- Wielebny, jeśli pan pamięta...

Rose władczym gestem uniósł dłoń. Drugą włożył do kieszeni spodni, wyciągając z niej broszurkę grubości niemal książki. Przerażony (choć nie zaskoczony) Alan dostrzegł, że jest to skrócona wersja kodeksu cywilnego stanu Maine.

- Wielebny Rose...

- Rozdział dwudziesty czwarty, podrozdział dziewiąty, para graf drugi kodeksu cywilnego stanu Maine — cytował pastor, jakby w ogóle nie słyszał szeryfa. Policzki miał zarumienione i Alan zdał sobie sprawę, że w ciągu ostatnich paru minut zamienił jednego szaleńca na innego. — Z wyjątkiem wypadków... uh... — czytał Rose śpiewnym głosem kaznodziei, który tak dobrze znała uwielbiająca go niemal w całości kongregacja. — Gry losowe, tak jak definiuje je rozdział dwudziesty trzeci kodeksu, których warunkiem są zakłady pieniężne, zostają uznane za nielegalne. — Rose z trzaskiem zamknął kodeks i spojrzał na Alana. Oczy mu

plonęły. — Zostają uznane za nielegalne! — krzyknął.

Przez chwilę Alan miał ochotę wyrzucić ramiona w górę i krzyknąć: „Chwalcie Jezusa!”. Kiedy już mu przeszło, powiedział:

— Znam paragrafy kodeksu zakazujące gry, wielebny. Zapo znałem się z nimi po pańskiej pierwszej wizycie, poprosiłem także o opinię Alberta Martina, który sporządza wiele opinii prawnych dla Rady. Jego zdaniem rozdział dwudziesty czwarty nie dotyczy przedsięwzięć takich jak „Casino Nite”. — Przerwał, a potem dodał: — Moim zdaniem także.

- Niemożliwe! — warknął Rose. — Chcą zmienić Dom Boży w jaskinię gry, a pan mi mówi, że to legalne!
- Równie legalne jak bingo, w które gra się w sali Cór Izabeli od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku.
- Przecież... uh... to nie bingo! To... uh... ruletka! To gra w karty... uh... na pieniądze! To... — głos Rose'a zadrżał — to hazard!

Alan zorientował się, że znów składa dłonie do ptaszka, opuścił je na blat biurka i tym razem splótł mocno.

- Poprosiłem Alberta, by zwrócił się z prośbą o opinię do Jima Tierneya, stanowego prokuratora generalnego. Prokurator stwierdził, że „Casino Nite” nie łamie prawa. Bardzo mi przykro, wielebny. Wiem, że uraża ono pana. Ja na przykład nie znoszę dzieciaków jeżdżących na deskorolkach. Zabroniłbym ich używania, gdybym tylko mógł, ale nie mogę. W demokratycznym kraju musimy czasami pogodzić się z rzeczami, których nie aprobujemy.

- Przecież to hazard! — w głosie Rose'a brzmiało autentyczne cierpienie. — To gra o pieniądze! Jak można uznać ją za legalną, jeśli kodeks wyraźnie mówi...

- „Casino Nite” zorganizowano tak, że w rzeczywistości nie ma mowy o hazardzie. Każdy z... gości... składa przy wejściu ofiarę. Otrzymuje za nią odpowiednią sumę żetonów. Przed zamknięciem licytuje się pewną liczbę nagród, nie pieniędzy, a nagród:

magnetowid, opiekacz do grzanek, środki czystości, porcelanę i tak dalej. — Jakiś wesoły diabełek kazał Alanowi dodać jeszcze: — Naszym zdaniem opłatę wniesioną przed wejściem do „Casino Nite” będzie można nawet odliczyć od podatku.

- To grzeszna ohyda. — Rosę był teraz blady jak papier, nozdrza mu drgały.
- Wyraża pan opinię moralną, nie prawną. Przecież takie kasyna istnieją w całym kraju.
- Oczywiście. — Rosę wstał. Biblię trzymał przed sobą jak tarczę. — Katolicy! Katolicy kochają hazard! Mam zamiar położyć temu kres... uh... szefie. Z pana pomocą lub bez niej.

Alan wstał także.

— Jeszcze kilka słów, wielbny. Przede wszystkim jestem

szeryfem, nie „szefem”. A także: nie mogę dyktować panu kazań, podobnie jak nie mogę dyktować ojcu Brighamowi, co wolno, a czego nie wolno robić w jego kościele, w sali Cór Izabeli albo w sali Rycerzy Kolumba. Pod warunkiem że nie jest to zakazane przez prawo. Wolno mi jednak ostrzec pana, by był pan ostrożny; sądzę, że muszę nawet ostrzec pana, by był pan ostrożny! Rosę przyjrzał mu się chłodno.

- Co pan ma na myśli?
- Jest pan zdenerwowany. Wolno panu wywieszać plakaty, wolno pisać listy do gazet, istnieje jednak granica, której nie wolno panu przekroczyć. Moim zdaniem, powinien pan dać sobie z tym spokój.
- Kiedy... uh... Jezus zobaczył prostytutki i kupców w... uh... świątyni, nie konsultował tego z kodeksem swego kraju, szeryfie. Kiedy Jezus zobaczył, jak te złe kobiety i źli mężczyźni

kalają Dom Pański... uh... nie przejmował się granicami, których nie wolno przekroczyć. Jezus uczynił to, co uważał za słuszne!

- Oczywiście — zgodził się spokojnie Alan. — Ale pan nie jest Jezusem.

Rosę przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a oczy płonęły mu jak latarnie. Boże, jest szalony jak marcowy zając—pomyślał Alan.

— Do widzenia, szefie — powiedział chłodno pastor.

Tym razem Alan go nie poprawił, skinął tylko głową i wyciągnął rękę, zdając sobie sprawę z tego, że jego gest zostanie zignorowany. Rzeczywiście, Rosę tylko obrócił się i ruszył ku drzwiom, tuląc Biblię do piersi.

— Niech pan da sobie z tym spokój, wielebny! — krzyknął na pożegnanie Alan.

Rosę nie odwrócił się i nie powiedział nic. Zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że aż zadźwięczała szyba. Alan usiadł za biurkiem, przyciskając dłonie do skroni.

W kilka chwil później Sheila Brigham nieśmiało wsadziła głowę do jego gabinetu.

- Alan?
- Wszedł? — Alan nie podniósł na nią wzroku.
- Nasz kaznodzieja? Tak. Huknął drzwiami jak marcowy wiatr.
- Elvisa już nie ma — stwierdził szeryf słabym głosem.
- Co?
- Nie, nic. — Wreszcie na nią spojrział. — Daj mi czegoś naprawdę mocnego. Sprawdź, co mamy w magazynku na dowody, dobrze?

— Już sprawdziłam. — Sheila uśmiechnęła się. — Pusto. Może wystarczy kubek kawy?

Alan wreszcie odpowiedział jej uśmiechem. Zaczęło się popołudnie i to popołudnie musiało, po prostu musiało być lepsze niż rano.

- W porządku — powiedział.
- Bardzo rozsądnie. — Sheila wyszła, a Alan, nareszcie, wypuścił dłonie z więzienia. W plamie światła na ścianie naprzeciw okna pojawiły się ptaszki z cienia, jeden za drugim.

W czwartek ostatnią lekcją szkoły w Castle Rock były zajęcia własne. Brian Rusk należał do najlepszych uczniów i aż do zimy i serii zimowych meczów nie miał żadnych dodatkowych obowiązków, więc w czwartki wychodził ze szkoły wcześniej — bardzo ładnie współgrało to z wtorkami, kiedy wychodził później.

Tego czwartkowego popołudnia wybiegł ze szkoły niemal równocześnie z dzwonkiem kończącym szóstą lekcję. W plecaku miał nie tylko książki, lecz także płaszcz od deszczu, który matka kazała mu włożyć rano; podczas jazdy komicznie wydymał mu się na plecach.

Wskoczył na rower i odjechał szybko. Serce łomotało mu w piersi. Miał

*(zadanie)*

do wykonania. Drobną sprawą i będzie po wszystkim. Może być nawet fajna zabawa. Wiedział już, co powinien zrobić. Uświadomił to sobie jasno, śniąc na jawie na nudnej lekcji matematyki.

Kiedy zjeżdżał z Castle Hill School Road, słońce po raz pierwszy tego dnia wyjrzało zza poszarpanych wiatrem chmur. Zerknął w lewo; po mokrym chodniku towarzyszył mu cień chłopca jadący na cieniu roweru.

Będziesz musiał pedałować bardzo mocno, cieniu — pomyślał. Mam dziś sporo do zrobienia.

Przejechał główną ulicą, nie zaszczycając „Sklepiku z marzeniami” nawet jednym spojrzeniem. Na chwilę stanął na skrzyżowaniu, zerknął w jedną i w drugą stronę i ruszył dalej. Kiedy znalazł się wreszcie na skrzyżowaniu Pond (swojej ulicy) i Ford, skręcił w prawo zamiast jechać dalej prosto, do domu. Na rogu Ford i Willow skręcił w lewo. Willow biegła równoległe do Pond

Street. Podwórka domów na obu uliczkach stykały się, odgródzone od siebie przeważnie sztachetami.

Pete i Wilma Jerzyck mieszkali na Willow Street.

Teraz już powinieneś zachowywać się ostrożniej.

Oczywiście wiedział, jak ma się zachowywać. Przemyślał sobie wszystko, jadąc ze szkoły, i miał wrażenie, jakby plan istniał gotowy w jego głowie cały czas, tak jak cały czas tkwiła mu w głowie wiedza o tym, co powinien uczynić.

Dom Jerzycków był cichy, podjazd pusty, ale wcale nie oznaczało to, że wszystko jest fajnie, że wszystko jest w porządku. Brian wiedział, że Wilma pracuje co najmniej na pół etatu w „Hem-phill's

Market" przy drodze numer 117, bo widział ją tam, jak siedziała za kasą z nieodłączną chustką na głowie, ale wcale nie musiała akurat być w pracy. Jej poobijany mały yugo mógł spokojnie stać w garażu, którego wnętrza, oczywiście, nie widział.

Brian wjechał pod dom, zsiadł z roweru i ustawił go na podpórcie. Serce podskoczyło mu do gardła, słyszał jego bicie niczym huk bębnow. Podszedł do drzwi, ćwicząc słowa, które miał zamiar wypowiedzieć, gdyby okazało się, że Wilma Jerzyck jest jednak w domu.

— Dzień dobry, pani Jerzyck. Jestem Brian Rusk, mieszkam na sąsiedniej uliczce. Chodzę do szkoły, już wkrótce zaczniemy sprzedawać subskrypcję pism, żeby zdobyć pieniądze na nowe kostiumy dla orkiestry, więc pytam różnych ludzi, czy może są tym zainteresowani. Żeby wiedzieć, do kogo przyjechać, kiedy już zaczniemy. Ci, którzy sprzedadzą najwięcej subskrypcji, dostaną nagrody.

Brzmiało nieźle, kiedy powtarzał to sobie w pamięci, w ogóle brzmiało nieźle, ale mimo wszystko denerwował się. Przez dłuższą chwilę stał pod drzwiami, nasłuchując, czekał na jakiś dźwięk: radia, telewizora nastawionego na któryś z seriali (ale nie „Santa Barbara”, „Santa Barbara” będzie dopiero za parę godzin), może odkurzacza. Nie usłyszał nic, ale to także, podobnie jak pusty podjazd, o niczym nie świadczyło.

Nacisnął dzwonek. Gdzieś w przepaścistych głębiach domu odezwał się stłumiony głos gongu, bim-bom.

Stał przed drzwiami, czekał, rozejrzał się raz i drugi, by sprawdzić, czy nikt go nie dostrzegł. Ale Willow Street wydawała się spać mocno. Trawnik od frontu otaczał żywopłot. Doskonale. Kiedy masz wykonać

*(zadanie)*

coś, co niekoniecznie spodobałoby się tacie lub mamie, żywopłot jest chyba najlepszą rzeczą pod słońcem.

Pół minuty i nikt nie otwiera drzwi. Jak na razie nieźle... ale ostrożność jest matką sukcesu. Zadzwoił znowu, tym razem dwukrotnie przyciskając dzwonek. Bim-bom. Bim-bom.

A więc w porządku. Wszystko jest w porządku. W rzeczywistości wszystko jest absolutnie wspaniałe i cudowne.

Absolutnie wspaniałe i cudowne czy nie, Brian jeszcze raz rozejrzał się dookoła, tym razem nieco zbyt szybko i popchnął rower z opuszczoną podpórką przejściem między domem i garażem, które dobrzy ludzie z „Dick Perry Siding and Door Company” z South Paris nazywali „wewnętrzną



alejka". Pozostawił rower w „wewnętrznej alejce”, serce biło mu jeszcze mocniej. Kiedy serce biło mu tak mocno, czasami głos mu drżał; Brian miał tylko nadzieję, że jeśli zastanie panią Jerzyck w ogródku, sadzącą rośliny czy coś takiego i opowie jej o subskrypcji, głos mu drżeć nie będzie. Gdyby drżał, zaczęłaby pewnie podejrzewać, że nie mówi prawdy, a to z kolei mogłoby doprowadzić do kłopotów, o których nawet nie chciał myśleć.

Zatrzymał się, nie wychodząc z domu. Mógł stąd widzieć część ogródka Jerzycków, ale nie całość. Nagle zadanie przestało mu się podobać. Nagle wydało mu się złośliwym kawałem — niczym więcej, ale i z całą pewnością niczym mniej. Przestraszony głos szepnął mu w głowie: „Dlaczego nie wskoczysz na rower, Brian? Dlaczego nie pojedziesz do domu? Wypij szklankę mleka czy coś takiego i przemyśl tę sprawę od początku”.

Jasne. Ta rada wydała mu się bardzo dobra... bardzo rozsądna. Zaczął się nawet odwracać i nagle oczami Wyobraźni dostrzegł obraz potężniejszy niż najrozsądniejszy głos. Oczami wyobraźni zobaczył bardzo długi samochód — cadillaca lub może lincolna — podjeżdżający pod swój dom. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wysiadł pan Gaunt, tylko że pan Gaunt nie miał na sobie smokingu takiego, jaki w niektórych opowiadaniach nosił Sherlock Holmes. Pan Gaunt, przemierzający właśnie krainę wyobraźni Briana, miał na sobie imponujący czarny garnitur — garnitur właściciela domu pogrzebowego — i jego twarz też nie była już przyjacielska. Ciemnoniebieskie oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze z wściekłości, zza warg, nieukładających się bynajmniej w uśmiech, wyzierały krzywe zęby. Wielkimi krokami długich, chudych nóg pożerał chodnik prowadzący do drzwi ich domu, a obok niego biegł jego cień, straszny jak cień upiora w filmowych horrorach. Gdy pan Gaunt podejdzie do drzwi, nie zadzwoni — o nie! — po prostu wtargnie do środka; jeśli drogę zastąpi mu

mama, odepchnie ją, a jeśli tata będzie mu przeszkadzał, uderzy go i przewróci. A jeśli w drogę wejdzie mu mały braciszek Briana, Sean, rzuci nim jak rozgrywający w futbolu piłką w najdłuższym podaniu. Wejdzie na górę, krzyżąc „Brian!”, a gdy jego cień padnie na tapetę, nadrukowane na niej róże zwiędną...

Znalazłby mnie — pomyślał Brian. Jego twarz, kiedy tak stał przy ścianie domu Jerzycków, była studium rozpacz. Nie ma znaczenia, gdzie się schowam. Nie pomogłoby nawet, gdybym uciekł do jakiegoś cholernego Bombaju! Znajdzie mnie, a kiedy już mnie znajdzie, to...

Bardzo pragnął pozbyć się tego obrazu, wyłączyć go, ale nie mógł. Widział, jak oczy pana Gaunta zmieniają się w dwie straszliwe, puste, sięgające w nieskończoność dziury, jak ciemniej do jakiegoś

piekielnego granatu. Widział długie dłonie pana Gaunta z tymi jego niesamowitymi, równej długości palcami, jak zmieniają się w szpony i spadają mu na ramiona. Czuł, jak skóra zmienia mu się w galaretę pod ich obrzydliwym dotknięciem. Słyszał, jak pan Gaunt krzyczy: „Masz coś, co należy do mnie, Brian! Coś, za co nie zapłaciłeś!”.

I usłyszał swój własny, błagalny głos, usłyszał, jak w rozpacz krzyczy w skrzywioną, płonąca twarz:

— Oddam to! Oddam, oddam, oddam, tylko niech mnie pan nie krzywdzi!!!

Odzyskał przytomność równie oszołomiony co tego wtorkowego popołudnia po wyjściu ze „Sklepiku z marzeniami”. Tylko nie czuł się teraz tak dobrze.

Chodziło o to, że wcale nie chciał oddać karty Sandy'ego Koufafa.

Nie chciał jej oddać. Przecież to jego karta!

## 8

Myra Evans weszła pod markizę „Sklepiku z marzeniami” niemal dokładnie w tej samej chwili, w której syn jej najlepszej przyjaciółki wkroczył wreszcie do ogródka Jerzycków. Zerknęła najpierw za siebie, w potem w głąb głównej ulicy, jeszcze szybciej i bardziej nerwowo niż Brian, kiedy sprawdzał, czy Willow Street jest pusta.

Gdyby Córa — która rzeczywiście była jej najlepszą przyjaciółką — dowiedziała się o wizycie w „Sklepiku z marzeniami” lub, co gorsza, o powodzie tej wizyty, nigdy więcej nie ode-

zwałaby się do Myry nawet słowem. Ponieważ Córa też chciała mieć zdjęcie!

Nie ma o czym myśleć — powiedziała sobie Myra. Przypomniały się jej dwa powiedzenia, oba idealnie pasujące do sytuacji. Jedno z nich brzmiało: „Kto pierwszy, ten lepszy”. Drugie: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”.

Mimo wszystko przed wyjściem z domu Myra założyła na nos wielkie okulary przeciwsłoneczne. „Przezorny zawsze ubezpieczony” — przyszło jej do głowy kolejne porzekadło.

Powoli podeszła do drzwi. Przeczytała wiszącą na nich wy-wieszkę:

### WTORKI I CZWARTKI TYLKO UMÓWIONE SPOTKANIA

Myra nie była umówiona. Przyszła tu powodowana impulsem chwili. Zgalwanizował ją telefon

Córy, telefon sprzed zaledwie dwudziestu minut.

— Myślałam o nim cały dzień! Po prostu muszę je mieć, Myra! Powinnam kupić je od razu, w środę, ale miałam w portfelu jedynie cztery dolary i nie byłam pewna, czy przyjmie czek. Wiesz, jakie to żenujące, kiedy ktoś odmawia przyjęcia czeku. Od tamtej chwili ciągle jestem na siebie wściekła. Rany, ostatniej nocy w ogóle nie spałam. Wiem, pomyślisz sobie, że jestem głupia, ale to szczerą prawdą!

Myra wcale nie pomyślała sobie, że Córa jest głupia, i oczywiście wierzyła, że mówi szczerą prawdę, bo ona też nie przespalała ostatniej nocy. Córa myliła się za to, zakładając, że zdjęcie powinno należeć do niej, bo ona pierwsza je zauważyła. Jakby samo to dawało jej do niego boskie prawo albo coś.

— A w ogóle to nieprawda, że ona zobaczyła je pierwsza — powiedziała cichym, upartym głosem niegrzecznego dziecka. — Ja zobaczyłam je pierwsza!

Kwestia, która z nich pierwsza zobaczyła to rozkoszne zdjęcie, nie miała w gruncie *rzeczy* najmniejszego znaczenia. Istotna za to była odpowiedź na następujące pytanie: jak ona, Myra, będzie się czuła, przychodząc do domu Córy i widząc zdjęcie zawieszony nad kominkiem między stojącą na półeczce poniżej porcelanową figurką Króla i porcelanowym kuflem z podobizną Króla. Na samą myśl o czymś takim żołądek podjeżdżał Myrze aż do gardła, zatykając je jak mokra ścierka. Tak czuła się w pierwszym dniu wojny z Irakiem.

Jawna niesprawiedliwość! Córa miała różne śliczne pamiątki po Elvisie i nawet raz widziała go na koncercie, w Portland Civic Center, mniej więcej na rok przed tym, nim Bóg powołał go do siebie, by Król mógł połączyć się ze swą ukochaną matką.

— To zdjęcie powinno być moje — mruknęła i zbierając całą odwagę, zapukała do drzwi.

Otworzyły się, nim zdążyła opuścić rękę. Wątył mężczyzna, wybiegając na dwór, omal jej nie przewrócił.

— Przepraszam — wymamrotał, nie podnosząc głowy; z trudem rozpoznała w nim pana Constantine, farmaceutę z „La Yerdere Super Drug”. Pan Constantine wybiegł na ulicę i podreptał do

miejskiego parku, ściskając w dłoniach małą paczuszkę. Nie spojrzał ani w lewo, ani w prawo.

Kiedy odwróciła od niego wzrok, w drzwiach stał już pan Gaunt; jego błyszczące brązowe oczy uśmiechały się do niej.

- Nie byłam umówiona... — powiedziała cicho Myra. Brian, który słyszał, jak zawsze wypowiadała się grzmiąco i z wielkim przekonaniem, nie rozpoznałby tego głosu, nawet przysłuchując mu się przez milion lat.

- Ale już pani jest, szanowna pani. Proszę do środka, proszę, niech pani podzieli się z nami odrobiną swojego szczęścia!

Myra obejrzała się jeszcze raz, nie dostrzegła nikogo znajomego i weszła.

Drzwi same się za nią zamknęły.

Dłoń o długich palcach, woskowobiała jak dłoń trupa, wysunęła się z ciemności, *znalazła*, kółko umieszczonej na drzwiach rolety i zaciągnęła ją.

Brian nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, póki nie wypuścił powietrza z przeciągłym westchnieniem.

W ogródku domu Jerzycków nie było nikogo.

Wilma, najprawdopodobniej wierząc w poprawę pogody, przed wyjściem do pracy czy gdzie tam wyszła, wywiesiła w ogródku pranie, powiewające wesoło na trzech sznurkach na wiejącym coraz silniej wietrze. Brian podszedł do kuchennych drzwi i przez nie zajrzał do wnętrza domu, osłaniając oczy dłońmi. Zobaczył pustą kuchnię. Chciał zapukać, ale pomyślał, że to tylko kolejny pretekst, by nie zrobić tego, co powinien zrobić. W domu z całą

pewnością nie ma nikogo. Najlepiej, jeśli załatwi, co ma do załatwienia, i jak najszybciej się stąd wyniesie.

Powoli zszedł po schodach i znalazł się w ogródku Jerzycków. Pranie: koszule, gacie, bielizna, powłoczki i cała reszta, wisiało po jego lewej ręce. Po prawej znajdował się warzywnik; zebrano z niego wszystkie warzywa oprócz paru okrągłych dyń. Przed sobą miał płot ze sztachet, a za płotem, o

czym doskonale wiedział, znajdował się dom Haverhillów, który zaledwie cztery parcele dzieliły od jego domu.

Nocna ulewa zmieniła ogródek w bagno; większość dyń leżała do połowy zanurzona w kałużach. Brian pochylił się, nabrał ciemnobrązowego błota w obie dłonie i ruszył w kierunku prania; brudna woda ściekała mu między palcami.

Na najbliższym sznurze wisiały prześcieradła, nadal wilgotne, lecz szybko schnące na wietrze. Kłapały ciężko, były dziewiczo, lśniaco białe.

Dawaj, Brian — szepnął mu w głowie głos pana Gaunta. — Dawaj, Brian, jak Sandy Koufax. Dawaj!

Brian podciągnął ręce z dłońmi skierowanymi do góry. Wcale go szczególnie nie zdumiało, że ma erekcję, jak we śnie. Cieszył się, że nie stchórzył. Ale zabawa!

Zamachnął się mocno. Dwie kule ciemnego błota, rozciągnięte w locie, trafiły w powiewające prześcieradła i rozprysły się na nich w obrzydliwych zaciekach. Brian wrócił do warzywnika po dwa kolejne ładunki, cisnął je, wrócił po dwa kolejne, cisnął i jeszcze raz, i jeszcze. Jak w gorączce latał tam i z powrotem; na prześcieradłach Wilmy Jerzyck nie było już prawie białego miejsca.

Rzucalby tak pewnie do jutra, gdyby nie usłyszał krzyku. Najpierw pomyślał, że to ktoś krzyczy na niego, skulił się, zgarbił i pisnął w panice. Potem zdał sobie sprawę, że to po prostu pani Haverhill zawołała psa.

Mimo wszystko powinien zniknąć. Jak najszybciej.

Poświęcił jeszcze sekundkę, by zerknąć na swe dzieło; a kiedy na nie spojrzął, zadrżał z niepokoju i wstydu.

Prześcieradła osłoniły resztę prania, lecz one same grubo pokryte były błotem. Tylko kilka drobnych, czystych plamek świadczyło

o tym, jakiego były pierwotnie koloru.

Brian spojrzął na dłonie, pokryte skorupą błota. W rogu ogrodu dostrzegł kran — woda nie była jeszcze wyłączona — podbiegł i przekręcił go. Trysnął zimny strumień. Wsadził pod niego ręce,

trąc je z zapalem. Nie przeszkadzało mu wcale, że powoli tracił w nich czucie. Kiedy je wyjął, były czyste. Brud nie pozostał nawet pod paznokciami. Brian nie zapomniał również splukać mankietów koszuli.

Zakręcił wodę, wrócił po rower, podniósł podpórkę i wyprowadził go na podjazd. Straszliwie

przeraził Briana nadjeżdżający ulicą mały, żółty samochód, ale była to honda, nie yugo. Minęła go, nie zwalniając. Kierowca nie zwrócił najmniejszej uwagi na stojącego na podjeździe domu Jerzycków chłopca o czerwonych dłoniach zaciśniętych kurczowo na kierownicy roweru, chłopca, którego twarz była jak tablica z wypisanym na niej wielkimi literami jednym jedynym słowem: WINNY.

Gdy samochód zniknął, Brian wskoczył na rower i zaczął pedałowac jak szalony. Nie zwolnił, póki nie znalazł się na podjeździe własnego domu. Powoli odzyskiwał czucie w dłoniach, lecz teraz szczypały mocno... i nadal były czerwone.

Kiedy wszedł, matka zawołała z dużego pokoju:

- To ty, Brian?
- Tak, to ja, mamó! — odkrzyknął. Wyprawa do Jerzycków już wydawała mu się czymś w rodzaju snu. Z pewnością chłopiec stojący w słonecznej, bardzo zwykłej i normalnej kuchni, chłopiec mający właśnie zamiar wyjąć karton mleka z lodówki, nie mógł być tym samym chłopcem, który nurzał ręce po łokcie w błocie warzywnika Wilmy Jerzyck, a potem, raz za razem, obrzucał tym błotem jej prześcieradła.

Z pewnością ci dwaj chłopcy nie mogli być jedną osobą.

Jasne, że nie.

Brian nalał sobie szklankę mleka, studiując przy tym wygląd dłoni. Były czyste. Czerwone, ale czyste. Odstawił szklankę. Serce biło mu już normalnym rytmem.

- Jak tam w szkole? — dobiegł go głos Córy.
- Wszystko w porządku — odkrzyknął.
- Chcesz przyjść do mnie, pooglądać telewizję? Zaraz będzie „Santa Barbara” i jest mnóstwo czekoladek.
- Oczywiście. Tylko najpierw pójde jeszcze do siebie. Na chwilkę.
- Nie waż się zostawić tam mleka! Kwaśniej i szklanka nie chce się domyc w zmywarce!
- Przyniosę ją na dół, mamó.
- Lepiej nie zapomnij!

Brian poszedł na górę. Przez pół godziny siedział nad kartą Sandy'ego Koufaksa, nie myśląc o niczym. Kiedy Sean spytał go, czy nie wyskoczyłby z nim do sklepu, zatrzasnął segregator i kazał małemu wynosić się i nie wchodzić do jego pokoju, póki nie nauczy się pukać do zamkniętych drzwi. Słyszał brata płaczącego na korytarzu i ani trochę mu nie współczuł.

W końcu kiedyś trzeba nauczyć się dobrych manier.

## 10

*„Strażnicy zrobili sobie party w więzieniu,  
Grał zespół więźniów, grali jak szaleni,  
Skakali, śpiewali, aż mury zaczęły drżeć.  
Ach, że też nie słyszeliście, jak bawią się”.*

*Król stoi na lekko rozstawionych nogach, błękitne oczy ploną mu jak reflektory, guziki białego stroju podskakują na wielkim brzuchu. Świecidełka kostiumu odbijają blask scenicznych reflektorów. Kosmyk granatowoczarnych włosów opada mu na czoło. Mikrofon trzyma tuż przy ustach, Myra widzi jednak pełne wydęcie jego górnej wargi.*

*Myra widzi wszystko. Siedzi w pierwszym rzędzie.*

*I nagle, gdy wzmaga się huk perkusji, Myra widzi, że Król wyciąga rękę, wyciąga do niej rękę dokładnie tak, jak Bruce Springsteen (który nigdy, ale to nigdy nie będzie Królem, choćby nie wiem jak próbował) do tej dziewczyny na klipie „Dancing in the Dark”.*

*Przez moment jest zbyt zdumiona, by zareagować. Siedzący za nią ludzie popychają ją, jego dłonie zaciskają się na jej nadgarstkach, jego ręka wciąga ją na scenę. Myra czuje zapach Króla: pot, kosmetyki „English Leather” i rozgrzane, czyste ciało.*

*Jeszcze moment i Myra Evans wpada w ramiona Elvisa Presleya.*

*Czuje pod palcami śliski aksamit jego kostiumu. Czuje na sobie muskularne ramiona. Twarz, jego twarz, twarz Króla jest tylko kilka centymetrów od jej twarzy. Tańczą we dwoje: Myra Josephine Evans z Castle Rock, Maine, i Elvis Aron Presley z Memphis, Tennessee! Wtuleni aż nieprzyzwoicie w siebie, tańczą na wielkiej scenie, na oczach czterech tysięcy wrzeszczących fanów, chórek zaś śpiewa ten porywający, stary refren z lat pięćdziesiątych: „Let's rock... everybody let's rock”.*

*Biodra Elvisa poruszają się, wtulone w jej biodra, Myra czuje*

wyraźny, twardy ucisk na brzuchu. Nagle Elvis obraca nią gwałtownie, wirująca spódnica ukazuje jej nogi aż po koronkę majteczek; Elvis chwytą ją mocno za dłoń, przytula, dłoń Króla wędruje po jej plecach aż na pośladki. Przez moment Myra patrzy na audytorium i widzi tam wlepione w siebie oczy Córy Rusk. Twarz Córy jest twarzą wścieklej, zazdrosnej suki.

*Elvis odwraca ku sobie jej twarz i szepcze z tym słodziutkim, południowym akcentem:*

— *Czy nie powinniśmy patrzeć sobie w oczy, skarbie?*

*Nie daje jej szans na odpowiedź. Nakrywa jej usta swymi; jego zapach, jego ciało ogarnia cały jej świat. Król nagle wsuwa język w jej usta; Król rock and rolla całuje ją namiętnie na oczach Córy i całego cholernego świata. Znow ją do siebie przytula, trąbki grająprzeraźli-wie, a w jej łonie rodzi się goracafala. Och, nigdy nie przeżyła czegoś podobnego, nigdy, nawet wtedy, nad jeziorem, zAce 'em Merrillem, ileż to lat temu. Pragnie krzycheć, ale jego język wypełnia jej usta i Myra może tylko orać paznokciami aksamit kostiumu, może tylko poruszać biodrami, a trąbki zaczynają „My Way”.*

## 11

Leland Gaunt siedział na jednym z wyściełanych aksamitem krzeseł, z klinicznym zainteresowaniem obserwując, jak orgazm szarpie ciałem Myry Evans. Myra trzęsła się jak ktoś, komu praktycznie rozpadł się system nerwowy, w dłoniach ścisnęła zdjęcie Elvisa, oczy miała zamknięte, biust jej falował, nogi zacisnęły się i rozluźniły, znow się zacisnęły i znow rozluźniły. Sztuką fryzjerską skręcone loczki rozprostowały się, przylegając jej do głowy jak niezbyt piękny kask. Podwójny podbródek spływał potem, podobnie jak u samego Elvisa, kiedy wirował dostojnie na scenie podczas swych kilku ostatnich koncertów.

— Oooch! — jęknęła Myra, drżąc jak wyłożona na talerz galaretki. — Oooch! Oooch mój Booże! OOOOCH...!

Gaunt niedbale złapał płótno spodni między kciuk i palec wskazujący, potrząsnął nim, przywracając kantowi ostrość brzytwy, po czym pochylił się i wyrwał zdjęcie z rąk Myry. Myra natychmiast otworzyła pełne straszliwego zawodu oczy. Sięgnęła po zdjęcie, ale zdjęcie znajdowało się już poza zasięgiem jej dłoni. Próbowwała wstać.

— Siadaj — powiedział Gaunt.



Myra zamarła, jakby podczas wstawania skamieniała.

— Jeśli chcesz jeszcze kiedyś dotknąć tego zdjęcia, siadaj!

Usiadła, patrząc na niego w tępej męce. Na jej bluzce, pod pachami i przy biuście, pojawiły się wielkie plamy potu.

- Proszę! — skrzeknęła głosem tak suchym, że był jak powiew wiatru na pustyni. Wyciągnęła dłonie.

- Wymień cenę — rozkazał jej Gaunt.

Myślała. Przewracała oczami w spoconej twarzy. Grdyka wędrowała jej w górę i w dół.

- Czterdzieści dolarów! — wy szlochała.

Gaunt roześmiał się tylko i potrząsnął głową.

- Pięćdziesiąt!

- To śmieszne. Nie chcesz chyba tego zdjęcia aż tak bardzo, Myra.

- Ależ chcę! — Z kącików oczu Myry popłynęły łzy i na policzkach zmieszały się z kroplami potu. — Chceę!

- Dobrze, chcesz. Przyjmuję do wiadomości fakt, że go chcesz. Ale czy pragniesz? Czy pragniesz go z całego serca, Myra?

- Sześćdziesiąt! Tylko tyle mam. To cały mój majątek!

- Myra, czy wyglądam na dziecko?

- Nie.

- A jednak chyba tak. Jestem starym człowiekiem, nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział jak starym. Jak na swoje lata wyglądam nieźle — jeśli wolno mi powiedzieć coś takiego o samym sobie — ale w twoich oczach nadal muszę być dzieckiem, skoro pragniesz mnie przekonać, że ktoś mieszkający w nowiutkim bliźniaku zaledwie trzy przecznice od Castle View ma tylko sześćdziesiąt dolarów.

- Nie rozumie pan. Mój mąż...

Gaunt wstał, nie wypuszczając z dłoni zdjęcia. Uśmiechnięty przyjacielski człowiek, który otworzył jej drzwi sklepu, zniknął, jakby go nigdy nie było.

- Nie miałaś umówionego spotkania, prawda? Oczywiście, to prawda. Wpuściłem cię z dobroci serca. Obawiam się jednak, że będę cię musiał wyprosić.

- Siedemdziesiąt! Siedemdziesiąt dolarów.
- Obrażasz mą inteligencję. Wyjdź.

Myra padła przed nim na kolana. Chlipała obrzydliwie, spazmatycznie. Klęcząc, złapała go za kostki nóg.

— Proszę, proszę, panie Gaunt. Muszę mieć to zdjęcie. Muszę. Dzięki niemu... nie uwierzyłby pan, czego dzięki niemu doznałam.

Gaunt spojrział na zdjęcie Elvisa, na moment z obrzydzeniem krzywiąc wargi.

- Chyba nawet nie chcę wiedzieć. Było obrzydliwie... śliskie.
- Jeśli chce pan więcej niż siedemdziesiąt dolarów, będę musiała wypisać czek. Chuck się dowie. Będzie chciał wiedzieć, na co je wydałam. A jeśli mu powiem, on... on...

- To już nie mój problem — stwierdził Gaunt. — Prowadzę sklep, nie poradnię małżeńską. — Patrzył na Myrę z góry, wprost w czubek jej spoczonej głowy. — Jestem pewien, że kogoś, na przykład panią Rusk, stać będzie na ten jakże wierny portret nieodżałowanej pamięci pana Presleya.

Słyszając nazwisko Córy, Myra gwałtownie uniosła głowę. Małe, zmrużone oczka patrzyły wściekle. Zęby obnażyła jak warczący pies. W tej jednej jedynej chwili sprawiała wrażenie szalonej.

- Sprzedałby pan jej Elvisa? — syknęła.
- Wierzę w wolny handel — odparł poważnie Gaunt. — Wolny handel uczynił z tego kraju mocarstwo. Doprawdy, puść mnie, Myra. Ręce dosłownie ociekają ci potem. Będę musiał oddać spodnie do prania i mimo to plamy pewnie...

- Osiemdziesiąt! Osiemdziesiąt dolarów!

• Sprzedam ci to zdjęcie za sumę dokładnie dwukrotnie wyższą. Sto sześćdziesiąt dolarów. — Uśmiechnął się, ukazując duże, nierówne zęby. — I, Myra... z przyjemnością przyjmę czek.

Myra jęknęła przeraźliwie.

- Nie mogę! Chuck mnie zabije!
- Być może. Ale umrzesz w objęciach kochanka darzącego cię wielką i prawdziwą miłością, prawda?
- Sto! — Myra ponownie złapała Gaunta za nogi, choć próbował cofnąć się przed jej uściskiem. — Proszę, sto dolarów!
- Sto czterdzieści — odparł natychmiast Gaunt. — Więcej nie mogę opuścić. To moja najniższa oferta.
- Dobrze — wydyszała Myra. — Dobrze, dobrze, dobrze.

Zapłacę...

• I oczywiście będziesz musiała mnie wyssać. — Gaunt uśmiechnął się do niej szeroko.

Podniosła na niego wzrok, usta ułożone miała w niemal doskonałe „O”.

- Co pan powiedział? — szepnęła.
- Wyssij mnie! — wrzasnął na nią Gaunt. — Weź mnie w usta.

Otwórz tę wspaniałą ciężką od plomb buźkę i połknij mego fiuta!

- O mój Boże!

• Jak sobie życzysz. — Gaunt próbował się odwrócić. Myra złapała go, nim zdołał się odkręcić. Drżącymi dłońmi sięgnęła do rozporoka. Pozwolił jej pogmerać przy nim jeszcze przez chwilę, patrząc na nią z wyrazem rozbawienia na twarzy, po czym trzepnął ją po dłoniach.

• Daj sobie spokój — powiedział. — Seks oralny przyprawia mnie o amnezję.

- Co...?

- Nic. Daj spokój, Myra. — Rzucił jej zdjęcie. Zamachała rękami, złapała je jakimś cudem i natychmiast przycisnęła do piersi. — Ale... jest jeszcze jeden drobiazg.

- Co? — syknęła przerażona.

- Znasz człowieka, który prowadzi bar po drugiej stronie Błaszaka?

Już, już potrząsnęła przecząco głową, w jej oczach już niemal pojawiło się przerażenie, kiedy nagle zdała sobie sprawę, kogo Gaunt ma na myśli.

- Henry'ego Beauforta?

- Tak. Jak mniemam, jest on także właścicielem lokalu znanego pod nazwą „Potulny Tygrys”. Dość interesująca nazwa.

- No... nie znam go, ale chyba wiem, kim jest. — W życiu nie była w „Potulnym Tygrysie”, ale jak każdy w Castle Rock wiedziała, kto jest jego właścicielem.

- O niego właśnie chodzi. Chciałbym, żebyś spłatała panu Beaufortowi drobnego figła.

- Jakiego... jakiego figła?

Gaunt złapał ją za jedną ze śliskich od potu dłoni i pomógł wstać. — O tym — powiedział — możemy porozmawiać podczas wypisywania czeku. — Uśmiechnął się i jego twarz nagle znów pełna była uroku i ciepła. Brązowe oczy lśniły wesoło. — A przy okazji, czy życzysz sobie ozdobnego opakowania?

Alan wślizgnął się do łoża kawiarni „U Nań”, usiadł naprzeciw Poily i natychmiast zorientował się, że bardzo bolą ją dłonie—bolą tak, że po południu wzięła percodan, co nieczęsto się jej zdarzało. Wiedział o tym, nim Poily wypowiedziała pierwsze słowo, wyczytał to z jej oczu. Jej oczy lśniły. Znał ten blask, choć nie nauczył się go lubić i nie sądził, by polubił kiedykolwiek. Pomyślał — i nie po raz pierwszy — czy Poily przypadkiem nie jest już uzależniona od percodanu. W jej sytuacji nałóg byłby pewnie po prostu jeszcze jednym skutkiem ubocznym—czymś, czego należało oczekiwać, co należało zaobserwować, po czym oddzielić od głównego problemu; a głównym problemem było to, mówiąc po prostu, że Poily żyła za pan brat z bólem, którego on prawdopodobnie nie potrafił nawet pojąć.

Głosem, który nie wyrażał żadnej z tych myśli, Alan spytał:

— Co słyhać, piękna pani?

Poily uśmiechnęła się w odpowiedzi.

—r Cóż, był to bardzo interesujący dzień. Szaaalenie inter-rresujący, jakby powiedział ten gość, który prowadził „Laugh-In”.

- Jesteś za młoda. Tego nie możesz pamiętać.
- Pamiętam. Alan, kto to?

Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem wystarczająco szybko, by dostrzec kobietę tulącą do siebie mały, kwadratowy pakunek, przechodzącą właśnie obok kawiarni. Kobieta patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, idący z przeciwnego kierunku mężczyzna musiał uskoczyć jej z drogi, by uniknąć zderzenia. Alan przewertował zakodowaną w pamięci kartotekę twarzy i nazwisk i doszedł do tego, co Norris, zakochany w policyjnym żargonie, nazywał „pozytywną identyfikacją”.

— Nazywa się Evans. Mabel, Mavis... jakoś tak. Żona Chucka Evansa.

— Wygląda, jakby przed chwilą paliła dobrą, mocną panamską marihuanę — stwierdziła Poily. — Zazdroszczę jej.

By ich obsłużyć, pojawiła się sama Nań Roberts. Należała do Chrześcijańskiej Armii Baptystów wielebnego Rose'a i do fartucha nad lewą piersią przyczepiony miała mały żółty znaczek, trzeci, na który Alan dziś się natknął. Nie wątpił, że w najbliższych tygodniach zobaczy ich znacznie więcej. Na znaczku widniał jednoręki bandyta wpisany w przekreślony na czerwono czarny okrąg. To wszystko, żadnych napisów; nie wydawały się konieczne, by podkreślić, co noszący je ludzie myślą o „Casino Nite”.

Nań była kobietą w średnim wieku. Miała wielki biust i miłą twarz, na której widok człowiek natychmiast przypominał sobie mamę i mamina szarlotkę. Szarlotka u Nań — o czym wiedział i Alan, i wszyscy jego zastępcy — była rzeczywiście bardzo dobra, zwłaszcza ta z wielką porcją topniejących na szczycie lodów waniliowych. Oceniając Nań na oko, łatwo było się pomylić, o czym przekonało się, na swe nieszczęście, bardzo wielu ludzi, głównie handlarzy nieruchomości. Słodka twarz maskowała mózg jak komputer, macierzyński biust zaś krył księgi przychodów i rozchodów zastępujące serce. Nań Roberts była właścicielką sporego kawałka Castle Rock, w tym przynajmniej pięciu sklepów na głównej ulicy. I od kiedy Pop Merrill leżał w grobie, była także prawdopodobnie najbogatszą mieszkanką miasta. Alanowi przypominała burdelmamę, którą aresztował kiedyś w Utica. Burdelmama próbowała dać mu łapówkę, a kiedy odmówił, z wielkim zapalem starała się rozwalić mu łeb klatką na ptaki. Lokator klatki, wyliniała papuga oznajmiająca od czasu do czasu ponurym, pełnym namysłu głosem: „Pieprzyłem ci matkę, Frank”, była w niej cały czas. Czasami, kiedy widział, jak między oczami Nań pojawia się pionowa zmarszczka, uświadamiał sobie, że byłaby ona całkowicie zdolna do podobnego zachowania. Wydawało mu się także najzupełniej naturalne, że Nań, która ostatnio nie ruszała się prawie od kasy, sama obsłuży pana szeryfa. Odrobina osobistej troski o klienta, od której zależy tak wiele.

- Cześć, Alan — powiedziała. — Nie widziałam cię od tysiąca lat. Gdzieś ty bywał?
- Tu i tam. Taka praca, Nań.
- Nawet kiedy pracujesz, możesz pamiętać o starych przyjaciółach. — Obdarzyła go szerokim, macierzyńskim uśmiechem.

Trzeba ją naprawdę dobrze poznać — pomyślał Alan — by zauważyć, jak rzadko ten jej uśmiech sięga oczu. — Wpadnij do mnie od czasu do czasu.

— I oto jestem. We własnej osobie.

Nań roześmiała się tak głośno i soczyście, że stojący przy ladzie mężczyźni — przeważnie drwale — rozejrzeli się dookoła. Powiedzą przyjaciółom — pomyślał Alan — że widzieli, jak Nań Roberts i szeryf żartują sobie wesoło niczym najlepsi przyjaciele.

- Kawy?
- Poproszę.
- A może by tak i kawałek ciasta? Domowe, jabłka mam z sadów McSherry'ego w Sweden. Wczoraj zbierane. — Przy najmniej nie próbuje nam wmówić, że sama je zbierała — pomyślał Alan.

- Nie, dziękuję.

— Jesteś pewien? A ty, Poiły?

Poiły tylko potrząsnęła głową.

Nań poszła po kawę.

— Nie przepadasz za nią, prawda? — spytała Poiły niemal szeptem.

Rozważył jej pytanie, nieco zaskoczony — nie przyszło mu do głowy myśleć o tym w kategoriach sympatii i antypatii.

• Nań? Nie, jest w porządku. Po prostu lubię wiedzieć, jacy ludzie są naprawdę, jeśli tylko mogę.

- I czego naprawdę chcą?
- To zbyt trudne — stwierdził i roześmiał się. — Do szczęścia wystarczy mi wiedzieć, co planują.

Poiły uśmiechnęła się — kochał sprawiać, że się uśmiechała — i odparła:

— Jeszcze zrobimy z ciebie jankeskiego filozofa, Alan.

Odpowiedział także uśmiechem, lekko kładąc dłoń na jej okrytej rękawiczką dłoni.

Nań przyniosła mu kawę w grubym, czarnym kubku i natychmiast odeszła. Jedno trzeba jej przyznać

— pomyślał Alan — wie, kiedy uprzejmościom stało się zadość i kiedy już to, co chciała zademonstrować, zostało zademonstrowane. Nie wszyscy ojej zainteresowaniach i ambicjach potrafili tak bezbłędnie ocenić sytuację.

— A teraz — Alan podniósł kubek do ust — opowiedz mi o tym jakże interesującym dniu.

Poiły opowiedziała mu ze wszystkimi szczegółami o tym, jak wraz z Rosalie Drake obserwowały rano Nettie Cobb, jak Nettie

122

strasznie męczyła się pod drzwiami „Sklepiku z marzeniami” i jak w końcu zdobyła się na odwagę, by wejść do środka.

- Przecież to cudowne — powiedział naprawdę szczerze.
- Oczywiście, ale jeszcze nie skończyłam. Kiedy wyszła, miała w rękach pudło. Ona coś u niego kupiła! Nigdy nie widziałam jej takiej pogodnej i... ożywionej jak dziś rano. No właśnie, ożywionej! Wiesz, jaka na ogół jest ponura.

Przytaknął skinieniem głowy.

— No więc wyszła zarumieniona, włosy miała jakby w nieładzie i chyba nawet kilka razy zachichotała.

Alan wzniósł oczy do nieba.

— Jesteś pewna, że zajmowali się wyłącznie interesami? — spytał.

- Nie bądź głupi — odparła, jakby sama nie zasugerowała Rosalie czegoś bardzo podobnego. — W każdym razie czekała, póki nie wyjdiesz — wiedziałam, że poczeka — a potem przyszła i pokazała nam, co kupiła. Wiesz, że ma małą kolekcję kryształów?

- Nie, nie miałem pojęcia. Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, oznajmiam ci, że nie znam wszystkich sekretów miasteczka.
- Ma kilka sztuk. Większość odziedziczyła po matce. Powiedziała mi kiedyś, że było ich więcej, ale niektóre się stłukły. No, w każdym razie kocha ten swój zbiorek, a on sprzedał jej naj



piękniejszy kryształowy abażur, jaki widziałam w życiu. Najpierw pomyślałam, że to Tiffany. Myliłam się, oczywiście — to nie mógł być Tiffany, Nettie nigdy nie byłoby stać na Tiffany'ego — ale i tak wyglądał prześlicznie.

- Ile zapłaciła?

— Nie pytałam. Założę się jednak, że skarpeta, w której trzy mała oszczędności, jest pusta.

Alan lekko zmarszczył brwi.

- Jesteś pewna, że jej nie oszukał?

• Och, Alan, czy musisz być zawsze taki podejrzliwy? Nettie może nie jest najbystrzejszą osobą na świecie, ale z pewnością zna się na kryształach. Powiedziała, że cena była bardzo atrakcyjna, co oznacza, że najprawdopodobniej rzeczywiście była.

- Świetnie. „Właśnie tego szukasz”.

- Słucham?

- W Utica był taki sklep, nazywał się „Właśnie tego szukasz”.

Dawno temu, byłem jeszcze dzieckiem.

- I co, znalazłeś w nim to, czego szukałeś? — zakpiła.

- Nie znalazłem. W ogóle nigdy nie wszedłem do środka.

• Cóż, pan Gaunt najwyraźniej uważa, że znajdę u niego to, czego szukam.

- O czym mówisz?

• Nettie przyniosła blachę. Wraz z liścikiem od pana Gaunta. — Przesunęła torebkę w jego stronę. — Zajrzyj do środka. Nie mam dziś ochoty bawić się zatrzaskami.

Na moment zignorował torebkę.

- Aż tak źle, Poily? — spytał.

- Źle — odparła po prostu. — Bywało gorzej, ale nie mam zamiaru ci kłamać, nie o wiele gorzej. Trwa tak od tygodnia, od chwili, kiedy zmieniła się pogoda.

— Masz zamiar odwiedzić doktora Van Allena?

Poily westchnęła.

- Nie. Czekam, aż samo przejdzie. Zawsze, kiedy jest tak źle, poprawia mi się wtedy, kiedy jestem już całkowicie pewna, że za chwilę zwariuję. Przynajmniej tak było do tej pory. Przypuszczam, że któregoś dnia po prostu mi się nie poprawi. Jeśli do poniedziałku nie poczuję się lepiej, pójdę do niego. Ale on może jedynie wypisać receptę. Nie chcę zostać nałogowcem, Alan, o ile tylko będę miała jakieś inne wyjście.

- Ale...

- Dość — powiedziała cicho. — Na dziś dość tej rozmowy, dobrze?

- Dobrze — zgodził się, ale niezbyt chętnie.

— Przeczytaj list. Jest bardzo miły, bardzo... sympatyczny.

Alan otworzył jej torebkę. Obok portmonetki leżała wąska koperta. Wyjął ją. Zrobiona była z grubego, kremowego papieru. Napisano na niej charakterem pisma tak doskonale staroświeckim, jak z antycznego pamiętnika, trzy słowa: Pani Poily Chalmers.

— Ten styl nazywa się *copperplate* — powiedziała z namysłem Poily. — Myślałam, że przestali go uczyć gdzieś w epoce dinozaurów.

Alan wyjął z koperty pojedynczą kartkę karbowanego papieru. U góry widniał nadruk: „»Sklepik z marzeniami«, Castle Rock, Maine. Leland Gaunt, właściciel”.

List nie był napisany tak starannie i kaligraficznie jak adres na kopercie, ale zarówno charakter pisma, jak i język tchnęły miłą staroświecczyzną.

„Droga Poily,

Jeszcze raz bardzo dziękuję za ciasto czekoladowe, moje ulubione i doprawdy wspaniałe. Chciałbym także bardzo podziękować Ci za uprzejmość i troskę. Przypuszczam, że doskonale zdawałaś sobie sprawę, jaki byłem zdenerwowany w dniu otwarcia, zwłaszcza że wypadł poza sezonem.

Mam coś — nie dotarło jeszcze do sklepu, przyjdzie przesyłką lotniczą — co, jak sędzę, mogłoby cię bardzo zainteresować. Nie chcę powiedzieć więcej, wolałbym, żebyś zobaczyła to na własne oczy. W rzeczywistości to tylko drobiazg, ale myślę o nim niemal od chwili, kiedy wyszłaś z mojego sklepu, a lata udowodniły, że intuicja na ogół mnie nie zawodzi. Przesyłka powinna dotrzeć do mnie w piątek lub w sobotę. Jeśli znajdziesz wolną chwilę, może odwiedziłabyś mnie w niedzielę po południu? Będę na miejscu przez cały dzień, katalogując towar, i powitam Cię z największą przyjemnością. Na razie nie chcę powiedzieć nic więcej; to, o czym mówię, winno zaprezentować Ci się samo. W każdym razie będę miał szansę odwdziaczyć Ci się za Twą uprzejmość filiżanką herbaty.

Mam nadzieję, że Nettie podoba się nowy abażur. To urocza osoba, miałem wrażenie, że sprawił jej wielką przyjemność.

Z poważaniem Leland Gaunt".

- Jakież to tajemnicze! — Alan schował liścik do koperty i włożył ją z powrotem do torebki Poiły. — Masz zamiar sprawdzić źródło informacji, jak mówimy w sferach policyjnych?

- Po tym, co o nim słyszałam? I po tym abażurze Nettie? Jak mogłabym odmówić sobie tej przyjemności! Tak, chyba do niego wpadnę, jeśli tylko ręce mi na to pozwolą. Chciałbyś pójść ze mną? Może znajdzie się tam coś dla ciebie?

- Może? A może jednak dotrzymam towarzystwa Patriotom? W końcu kiedyś muszą przecież zacząć wygrywać.

- Wyglądasz na zmęczonego, masz podkrążone oczy.
- To był jeden z tych dni, wiesz? Musiałem powstrzymać przewodniczącego Rady Miejskiej próbującego w męskiej toalecie zbić na kwaśne jabłko mojego zastępcę.

Poiły pochyliła się zatroskana.

— Alan, o czym ty mówisz?

Opowiedział jej o starciu między Keetonem i Ridgewickiem i o tym, jak dziwnie zachowywał

się Granat, jak w najróżniejszych momentach rozmowy powtarzał słowo „prześladowania”.

Kiedy skończył, Poily przez długą chwilę milczała.

— I co? — spytał w końcu. — Co o tym sądzisz?

Myślałam właśnie, że minie wiele lat, nim dowiesz się o Castle Rock wszystkiego, co powinieneś wiedzieć. To samo dotyczy prawdopodobnie mnie, w końcu nie mieszkałam tu przez dłuższy czas, nie opowiadałam ludziom, co się ze mną działo i co stało się z moim „małym problemem”. Sądzę, że generalnie nie darzy się mnie zaufaniem. Ale ty, Alan, ty zbierasz informacje i pamiętasz je. Wiesz, jak się czułam, kiedy wróciłam do Castle Rock?

Potrząsnął głową. Ta rozmowa zaczynała go coraz bardziej interesować. Poily nie należała do kobiet rozwodzących się nad tym, co przeszło i minęło. Nie zwierzała się — nawet jemu.

— Czułam się, jakbym znów zaczęła oglądać serial, którego przez jakiś czas nie oglądałam. Nawet jeśli masz kilka lat przerwy, natychmiast rozpoznajesz ludzi i ich problemy, ponieważ ludzie i ich problemy prawie nigdy się nie zmieniają. Wrócić do takiego filmu, to jak zdjąć buty i włożyć wygodne, rozdeptane kaptcie.

- O czym właściwie mówisz?
- Jest tu mnóstwo wydarzeń rodem z takiego serialu, tyle że jeszcze o nich nie wiesz. Nie dowiedziałeś się na przykład, że wuj Danforth Keeton był w Juniper Hill w tym samym czasie co Nettie, prawda?

- Nie.

Poily skinęła głową.

- Zaczął mieć problemy tak mniej więcej około czterdziestki. Matka mówiła mi, że Bili Keeton ma schizofrenię. Nie wiem, czy to właściwy termin, czy mama po prostu najczęściej słyszała go w telewizji, ale z pewnością z Billem coś było nie tak. Widziałam, jak zatrzymywał ludzi na ulicy i coś im opowiadał — o długu narodowym, o tym, że John Kennedy jest komunistą, i innych takich. Byłam wtedy małą dziewczynką. Pamiętam tylko, że mnie

przerażał, Alan — to pamiętam doskonale.

- No, oczywiście!

- Czasami szedł ulicą z opuszczoną głową, mówiąc do siebie, głośno, ale niewyraźnie, jakby mruczał. Matka powiedziała, że gdy się tak zachowuje, nie wolno mi do niego podchodzić, nawet wtedy, kiedy i on, i my szliśmy do kościoła. W końcu Bili spróbował zastrzelić żonę. Tak przynajmniej opowiadano, ale wiesz jak to jest z plotkami —nie wiadomo, co stało się naprawdę. Może tylko postraszył ją rewolwerem, który miał z wojska. Cokolwiek zrobił, wystarczyło, żeby go wsadzić do więzienia. Zorganizowano coś na kształt przesłuchania z udziałem psychiatrów, a potem zapakowano go do Juniper Hill.

- Nadal tam jest?

- Już nie żyje. W szpitalu bardzo szybko degenerował się umysłowo. Umierał jako katatonik. Tak słyszałam.

- Jezu!

- To jeszcze nie wszystko. Ojciec Danfortha, brat Billa Keetona, Ronnie Keeton, w latach siedemdziesiątych spędził cztery lata na oddziale dla psychicznie chorych szpitala ogólnego w Togos. Teraz jest w domu starców. Choroba Alzheimera. Babcia czy też kuzynka — już nie pamiętani — popełniła samobójstwo w latach pięćdziesiątych w efekcie jakiegoś skandalu. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale mówiono, że wołała kobiety od mężczyzn.

- Dziedziczna choroba psychiczna, to chcesz powiedzieć?

- Nie. Nie ma żadnego morału, niczego nie próbuję sugerować.

Znam szczegóły z historii miasta, których ty nie znasz, to wszystko. Szczegóły tego rodzaju, o jakich nie wspomina się w mowach

z okazji Czwartego Lipca, podczas mityngów w parku. Przekazuję ci kilka z nich. Wyciąganie wniosków to robota policji.

Powiedziała to tak pewnie, że Alan musiał się roześmiać — ale mimo to czuł niepokój. Czy szaleństwo jest chorobą dziedziczną? Na zajęciach z psychologii uczono go, że to plotki starych bab. Kilka lat później wykładowca Akademii Policyjnej w Albany stwierdził, że to jednak prawda, a przynajmniej może się zdarzyć w szczególnych przypadkach; że chorobę psychiczną prześledzić można w historii niektórych rodzin tak, jak niebieskie oczy i podwójne stawy palców. Jako przykład podał alkoholizm. Czy wspominał coś o schizofrenii? Alan nie potrafił sobie przypomnieć. Akademię skończył ładnych parę lat temu.

- Chyba zacznę zadawać pytania na temat Granata — stwierdził, wzdychając ciężko. — Coś ci powiem, Poily. Możliwość, że nasz przewodniczący, Granat, zmienia się w prawdziwy granat, nie poprawiła mi samopoczucia.

- Rozumiem. Ale pewnie nic złego się nie dzieje. Ludzie z Castle Rock odpowiedzą na wszystkie pytania; jeśli wiesz, o co pytać. Jeśli nie wiesz, z rozkoszą i w milczeniu będą patrzeć, jak kręcisz się w kółko i potykasz o własne nogi.

Alan znów się uśmiechnął. Mówiła szczerą prawdę.

- Nie słyszałaś jeszcze wszystkiego — powiedział. — Po wyjściu Granata odwiedził mnie walebnny Willie i...

- Ciii! — Poily syknęła tak wściekle, że Alan zamilkł ze zdziwienia. Ona zaś rozejrzała się dookoła, doszła do wniosku,

- że nikt nie słucha ich rozmowy, i dopiero wówczas powiedziała: — Czasami doprowadzasz mnie do rozpacz, Alan. Jeśli nie opanujesz sztuki dyskrecji, za dwa lata przegrasz, staniesz przed ludźmi z głupim uśmiechem na ustach i zdumiony spytasz: „Coś się stało?”. Lepiej uważaj. Jeśli Danforth Keeton jest ręcznym granatem, to walebnny Willie jest wyrzutnią raketową! Alan pochylił się i powiedział cicho:

— Żadna z niego wyrzutnia. To po prostu nadęty kutasik, nic więcej.

— „Casino Nite”?

Skinął głową.

Poiły przykryła jego dłonie swoimi.

- Mój ty biedaku. A z dala Castle Rock sprawia wrażenie takiego spokojnego, sennego miasteczka.

- Na ogół jest spokojne i senne.

- Wyszedł wściekły?

- Oczywiście. Po raz drugi rozmawiałem z szanownym wielebny o legalności „Casino Nite”. Pewnie będzie takich rozmów więcej, póki katolicy nie wystartują z tym cholerstwem i cała sprawa nie przyschnie.

- Nadęty kutasik? Nie — powiedziała cicho Poiły. Głos miała poważny, lecz jej oczy błyszczały.

- A tak, owszem. A teraz jeszcze te znaczki. Nowość.

- Znaczki?

- Jednoręki bandyta. Przekreślony. Zamiast uśmiechniętej twarzy. Nań taki nosi. Ciekaw jestem, czyj to pomysł.

- Pewnie Dona Hemphilla. Nie tylko dobry z niego baptysta, ale też członek Stanowego Komitetu Republikańskiego. Don zna sekrety skutecznych kampanii, choć pewnie przekona się, że w sprawach religii trudniej jest mówić ludziom, co mają myśleć. — Poglądziła go po dłoniach. — Uspokój się, Alan. Bądź cierpliwy. Czekaj. Na tym mniej więcej polega życie w Castle Rock. Trzeba spokojnie i cierpliwie czekać, aż zdarzy się jakaś śmierdząca sprawa. Mam rację?

Alan uśmiechnął się, obrócił dłonie i ujął jej ręce... bardzo delikatnie. Bardzo, bardzo delikatnie.

- Masz rację — powiedział. — Masz ochotę na towarzystwo dziś w nocy?

- Och, Alan, sama nie wiem...

- Bez klepania i bez szczypania — zapewnił ją natychmiast. —

Napalę w kominku, usiądziemy w fotelach, a ty dla rozrywki wyciągniesz mi z miejskiej szafy jeszcze kilka trupów.

Poily uśmiechnęła się słabo.

- Przez te siedem czy osiem miesięcy wyciągnęłam dla ciebie chyba wszystkie trupy, łącznie z własnym. Jeśli masz zamiar pogłębić swą znajomość historii Castle Rock, powinieneś zaprzyjaźnić się albo ze starym Lennym Partridge'em... albo z nią. — Gestem głowy wskazała Nań, po czym lekko ściszyła głos. — Różnica między Lennym i Nań polega na tym, że jemu wystarczy wiedzieć, Nań Roberts zaś lubi wykorzystywać swą wiedzę.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie zapłaciła pełnej ceny rynkowej za każdą z kupionych nieruchomości.

Alan przyjrzał się Poily z namysłem. Nigdy jeszcze nie widział jej w takim nastroju, tak skłonnej do wynurzeń, tak rozmownej i tak przygnębionej, wszystko naraz. Po raz pierwszy od czasu, gdy został jej przyjacielem, a potem kochankiem, zadał sobie pytanie, czy rozmawia jeszcze z Poily Chalmers, czy już z narkotykiem.

- Myślę, że dzisiejszej nocy wolałabym zostać sama — po wiedziała nagle Poily, jakby właśnie podjęła jakąś ważną decyzję. — Kiedy czuję się tak jak dziś, nie jestem najlepszym towarzyszem na wieczór. Widzę to zresztą także w twoich oczach.

- Poily, to nieprawda.

- Mam zamiar wrócić do domu i wziąć długą, gorącą kąpiel.

Mam zamiar nie pić więcej kawy i wyłączyć telefon, pójść wcześniej spać, a kiedy się obudzę, będę pewnie inną kobietą. Potem może... no wiesz, żadnego klepania, mnóstwo szczypania.

- Martwię się o ciebie.

Jej ręce miękko i delikatnie poruszyły się w jego dłoniach.

— Wiem. Niewiele to pomaga, ale jestem ci bardzo wdzięczna, Alan. Nie uwierzyłybyś nawet, jak bardzo.



Mijając „Potulnego Tygrysa” w drodze z garażu do domu, Hugh Priest zwolnił... a potem mocno przycisnął gaz. Pojechał do domu, zostawił buicką na podwórku i wszedł do środka.

Dom składał się z dwóch pokoi, w jednym Hugh spał, w drugim robił wszystko inne. Stał tam stół z plastikowym blatem zastawionym aluminiowymi tackami po obiadach z mrożonek (w resztki wciśnięte były niedopałki papierosów). Hugh podszedł do otwartej

szafy, wspiął się na palce i obmacał najwyższą półkę. Przez chwilę myślał, że jego lisi ogon zniknął, że ktoś włamał się i ukradł go; panika jak płomień przeszła mu żołądek, lecz w tej właśnie chwili pod palcami wyczuł śliskie, gładkie futerko, więc z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

Przez cały dzień myślał o lisim ogonie, wyobrażał sobie, jak mocuje go do anteny buicka i jak wesoło będzie wyglądał, powiewając na wietrze. Rano już prawie go przymocował, niestety jeszcze padał deszcz i nie chciał, żeby wilgoć zmieniła delikatne futerko w mokry, zwisający martwo sznurek. Teraz wyniósł ogon na zewnątrz. Idąc, gładził futerko, Boże, jakie to było wspaniałe uczucie!

Wszedł do garażu — od mniej więcej 1984 roku zapełnionego złomem do tego stopnia, że samochód już się w nim nie mieścił — i po krótkich poszukiwaniach znalazł kawałek mocnego drutu. Już wiedział, co zrobi: najpierw przyczepi lisi ogon do anteny, potem zje jakąś kolację, a po kolacji pojedzie do Greenspark. Spotkanie grupy Anonimowych Alkoholików w sali Legionu zaczynało się

O siódmej. Może za późno już na nowe życie, ale z pewnością nie za późno, by to sprawdzić.

Zrobił mocną pętlę z drutu, przyczepił ją do ogona i drugi koniec już miał zamocować do anteny, kiedy jego palce, do tej pory poruszające się zręcznie i szybko, nagle straciły pewność. Radość z podjętej decyzji zaczęła odpływać, a pozostawioną przez nią próżnię wypełniły, oczywiście, wątpliwości.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak parkuje przed budynkiem, w którym zbierają się Anonimowi Alkoholicy. Na razie wszystko w porządku. Zobaczył siebie idącego na spotkanie. To też było w porządku. Lecz potem dostrzegł także, jak jakiś cholerny gówniarz, taki sam jak ten, który wczoraj wlaźł mu pod samochód, mija budynek Legionu akurat wtedy, gdy on sam przedstawia się:

„Nazywam się Hugh P. i nie potrafię poradzić sobie z piciem”. Dzieciak dostrzega coś niezwykłego: błysk czerwieni w jaskrawym świetle stojących wokół parkingu neonówek. Gówniarz podchodzi do buicka, ogląda lisi ogon... najpierw dotyka go, potem zaczyna głaskać. Rozgląda się wokół, nie widzi nikogo, przerywa drut

1 zabiera ogon. Hugh widział nawet, jak gówniarz idzie do salonu automatów, i słyszał, jak chwali się kumplom: „Zobaczcie, co gwizdnąłem na parkingu Legionu. Niezły, nie?”.

Hugh poczuł, jak pierś rozsadza mu bezsilny gniew — jakby to, co sobie wyobraził, rzeczywiście się zdarzyło. Pogładził lisi

130

ogon, a potem rozejrzał się w narastającej ciemności — była piąta po południu — jakby spodziewał się dostrzec wśród niej tłum gówniarzy zbierających się po drugiej stronie Castle Hill, czekających tylko, aż wejdzie do środka włożyć kilka porcji mrożonych obiadów do piecyka, by natychmiast gwizdnąć mu piękny, lisi ogon.

Nie, lepiej dać sobie spokój z wyjazdem. Te dzisiejsze dzieciaki niczego nie uszanują. Kradną tylko dlatego, że im to sprawia przyjemność. Ukradną coś, potrzymają przez kilka dni, a potem stracą zainteresowanie i wyrzucą to do kanału albo na pustą parcelę. Obraz — tak jasny jak wizja — pojawił się przed oczami Hugh'a: piękny lisi ogon leżący w ścieku wśród opakowań po big macach i pustych puszek po piwie, nasiąkający wodą, tracący swój wspaniały kolor. Obraz ten nappełnił go wściekłością... i bólem.

Szaleństwem byłoby podejmować takie ryzyko.

Odczepił drut od anteny, zaniósł ogon do domu i odłożył na najwyższą półkę w szafie. Tym razem próbował zamknąć drzwi, ale ledwie się trzymały.

Powinienem kupić do nich zamek — pomyślał. — Gówniarze wszędzie się włamią. Niczego nie uszanują. Niczego.

Zajrzał do lodówki, wyjął z niej puszkę piwa, obejrzał ją i odłożył z powrotem na miejsce. Piwo — nawet cztery czy pięć piw' — nie przywróci mu utraconej równowagi ducha. Nie teraz. Otworzył szafę, pogrzebał na jednej z niższych półek i pomiędzy garnkami i patelniami z pchlego targu znalazł na pół pełną butelkę Black Velvet, którą trzymał na wszelki wypadek. Nalał whisky do plastikowej szklanki, mniej więcej do połowy, zastanowił się chwilę i dopełnił ją. Wypił łyczek czy dwa, poczuł eksplozję ciepła w żołądku i natychmiast znów nappełnił szklankę. Samopoczucie nieco

mu się poprawiło. Z uśmiechem spojrzął na szafę. Lisi ogon jest w niej bezpieczny, a będzie jeszcze bezpieczniejszy, gdy jutro kupi w „Western Auto” dużą kłódkę i założy ją na drzwi. Dobrze jest mieć coś, o czym marzyło się i czego pragnęło, a jeszcze lepiej, jeśli to coś jest bezpieczne. Oczywiście, tak jest najlepiej.

Nagle Hugh przestał się uśmiechać.

Więc po to kupiłeś lisi ogon? Żeby leżał za zamkniętymi drzwiami, na najwyższej półce szafy?

Wypił, tym razem pow.oli. Zgoda, powiedział sobie, może wcale nie jest tak świetnie. Ale ł tak lepiej niż pozwolić, by rąbnął go jakiś gówniarz.

— W końcu — powiedział na głos — tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty rok dawno się skończył. Te dzisiejsze czasy.

Skinął głową, potwierdzając tym wagę swej obserwacji — ale wątpliwości nie chciały go opuścić. Co lisi ogon robi w szafie? Jaki z niego pożytek? Dla kogo?

Kilka kolejnych szklaneczek położyło kres tym wątpliwościom. Sprawilo, że schowanie ogona w szafie wydawało się najbardziej normalną, najracjonalniejszą w świecie decyzją. Hugh zdecydował się przełożyć kolację na później — tak normalna i racjonalna decyzja domagała się uczczenia jeszcze kilkoma szklaneczkami.

Usiadł na kuchennym krześle o stalowych nogach, zapalił papierosa i pił dalej. Pił i palił, strząsając popiół na jedną z tacek. Zapomniał o ogonie, a zaczął myśleć o Nettie Cobb. Szalona Nettie. Ma zrobić kawał Szalonej Nettie. Może w przyszłym tygodniu, może w jeszcze następnym... a najprawdopodobniej jeszcze w tym. Pan Gaunt powiedział mu, że należy do ludzi, którzy nie lubią marnować czasu, i Hugh był skłonny uwierzyć mu na słowo.

Tylko czekał na właściwą chwilę.

To jakiś sposób na nudę.

Hugh siedział, pił, palił i kiedy wreszcie stracił przytomność w sąsiednim pokoju, na wąskim łóżku, w brudnej pościeli, uśmiechał się szeroko.

Wilma Jerzyck kończyła pracę w „HemphiH's Market” o siódmej, wraz z zamknięciem sklepu. Do domu dotarła o siódmej piętnaście. Zza zasłon okna gościnnego pokoju sączyło się ciepłe światło. Weszła. Co to za zapach? Maccaroni z serem. Nieźle... przynajmniej jak na razie.

Pete leżał na kanapie, bez butów. Oglądał „Koło fortuny”. Na kolanach miał gazetę, portlandzki

„Press Herald”.

— Przeczytałem karteczkę — powiedział, siadając szybko i odkładając gazetę. — Zrobiłem zapiekankę. Będzie gotowa na siódmą trzydzieści. — Wpatrywał się w nią intensywnie łagodnymi, lekko zaniepokojonymi, brązowymi oczami. Jak pies, który bardzo pragnie przypodobać się panu. Pete Jerzyck nauczył się dobrych, domowych obyczajów wcześniej i bardzo szybko. Nie to, żeby nie popełniał błędów, ale już dawno nie widziała go leżącego na kanapie w butach, jeszcze dawniej po raz ostatni zapalił fajkę w domu. A śnieg spadnie w sierpniu, jeśli zapomni spuścić deskę w toalecie, kiedy już się wysusia.

— Ściągnąłeś pranie?

Na okrągłej, szczerzej twarzy Pete'a pojawił się grymas zaskoczenia i wstydu.

- Jeezu! Zapomniałem. Czytałem gazetę i zapomniałem.

Zaraz pójdę. — Już wkładał buty.

- Nic nie szkodzi. — Wilma ruszyła w kierunku kuchni.
- Słuchaj, ściągnę pranie i...
- Po co masz się męczyć? — spytała go słodko Wilma. —

Naprawdę nie chcę odrywać cię od gazety i Vanny White tylko dlatego, że ostatnie sześć godzin byłam cały czas na nogach, stojąc za kasą. Siadaj, Peter. Odpocznij sobie.

Nie musiała nawet oglądać się i sprawdzać, jak zareagował na jej słowa. Miała święte prawo wierzyć, że po siedmiu latach małżeństwa zachowanie Petera Michaela Jerzycka nie kryje przed nią żadnych tajemnic. Zrobi urażoną i nieco buntowniczą minę. Będzie stał przez kilka chwil, mimo że ona już zniknie mu z oczu, wyglądając jak ktoś, kto właśnie wyszedł z kibla i nie bardzo pamięta, czy się podtarł czy nie, a potem rzuci się nakrywać do stołu i nakładać zapiekankę. Będzie zadawał mnóstwo pytań na temat jej pracy w sklepie, będzie uważnie słuchał odpowiedzi i ani słowem nie wspomni o dniu, który spędził w Williams-Brown, wielkiej agencji handlu nieruchomościami w Oxfordzie, gdzie pracował. Bardzo to Wilmie odpowiadało, bowiem handel nieruchomościami uważała za najnudniejszy temat na świecie. Sam z siebie pozmywa po kolacji, a ona będzie sobie czytać gazetę. Zrobi to wszystko, ponieważ zdarzyło mu się zapomnieć o takim drobiazgu jak pranie. Wilmie wcale nie przeszkadzało, że musi je ściągnąć — tak naprawdę lubiła dotyk i zapach rzeczy, które przez cały dzień schły na słońcu — ale o tym nie miała zamiaru

poinformować Pete'a. Był to jej mały sekret.

Miała wiele takich małych sekretów i nie zdradzała ich z jednego prostego powodu: na wojnie wykorzystuje się każdą przewagę. Czasami wracała do domu, rozpoczynała bitwę i niemal dwie godziny trwało, nim w końcu Pete zarządził odwrót, a ona mogła zastąpić na swej sekretnej mapie białe szpilki reprezentujące jego siły swoimi, czerwonymi. Dziś wygrała w niespełna dwie minuty. Bardzo dobrze.

W głębi serca Wilma wierzyła święcie, że małżeństwo jest wieloletnim ćwiczeniem w wygrywaniu bitew. Przy tak długiej kampanii, kampanii, w której nie bierze się jeńców, nie zawiera rozejmów i nie omija najmniejszego skrawka terenu, łatwe

zwycięstwa mogą wprawdzie utracić kiedyś smak, ale dzień ten jeszcze nie nadszedł. Wysła wiec do ogrodu z koszem na lewym ramieniu i radosnym śpiewem w sercu.

Przeszła mniej więcej połowę drogi, kiedy coś do niej dotarło i zatrzymała się.

Gdzie, do diabła, są prześcieradła?

Powinna dostrzec je bez problemu — wielkie czworokątne płachty powiewające w mroku — ale ich nie widziała. Wiatr je porwał? Nonsens. Trochę dziś wiało, ale z pewnością nie był to huragan.

Powietrze drgnęło; usłyszała łopotanie. Dobra, są tu, ale gdzie? Kiedy jest się najstarszą córką w wielkim katolickim klanie trzynaściorga dzieci, na pamięć zna się łopot, jaki wydają wiszące na wietrze prześcieradła. Dźwięk, który usłyszała, wcale się jej nie spodobał. Był zbyt... ciężki.

Zrobiła krok naprzód. Jej twarz, z której nigdy nie schodził bojowy wyraz kogoś, kto na każdym kroku spodziewa się kłopotów, pociemniała. Dostrzegła prześcieradła... lub ich kształty... ale kształty te były ciemne.

Zrobiła jeszcze jeden, tym razem nieco krótszy, krok w przód. Znow powiał wiatr, ciemne kształty przesunęły się w jej kierunku, wydęły i nim zdążyła podnieść dłoń, uderzyło w nią coś ciężkiego i wilgotnego. Coś lepkiego opryskało jej twarz. Otuliło ją coś obrzydliwie mokrego, niemal jakby chwyciła ją jakaś ciężka, zimna, spocona dłoń.

Wilma nie należała do kobiet łatwo i często wrzeszczących ze strachu, teraz jednak wrzasnęła i upuściła koszyk. Usłyszała ciężkie kłapanięcie, próbowała się uchylić, nadepnęła na upuszczony wiklinowy kosz, który przed chwilą wypuściła, i opadła na kolana. Nie przewróciła się tylko dzięki szczęściu i błyskawicznemu refleksowi.

Po plecach przesunęło się jej coś oślizgłego i zimnego, po szyi na plecy pociekła woda. Wilma znow wrzasnęła i poczołgała się na kolanach. Kilka kosmyków włosów wysunęło się jej spod

chustki, opadło na policzki, połaskotało... nienawidziła tego uczucia, ale jeszcze gorsza była ta lodowata, wilgotna dłoń, która wysunęła się ku niej zza rozwieszzonego w ogrodzie prania.

Drzwi kuchenne otworzyły się z hukiem, rozległ się przestraszony głos Pete'a:

— Wilma! Wilma! Nic ci nie jest?

To kłapanie, takie obrzydliwe, jakby chichotał ktoś, komu

gardło zapchano błotem. Na sąsiednim podwórku zaszczekał kundel Haverhillów, przeraźliwe „jap, jap, jap”, które bynajmniej nie poprawiło Wilmie humoru.

Poderwała się na równe nogi, dostrzegła Pete'a ostrożnie schodzącego po schodach.

- Wilma? Wilma, upadłaś? Nic ci się nie stało?
- Tak! — wrzasnęła wściekle. — Tak, upadłam. Tak, nic mi

się nie stało! Zapal to cholerne światło!

- Nie zra...
- Zapal wreszcie to cholerne światło!!! — wrzasnęła, pocie rając dłonią przód ubrania. Pod palcami wyczuła coś lepkiego i zimnego. Była tak wściekła, że pod powiekami pojawiły się jaskrawe światełka... Najbardziej zaś wściekała się na siebie za to, że aż tak się przeraziła. Na sekundę, ale i to wystarczyło.

- Jap,jap,jap!

Ten cholerny kundel sąsiadów chyba się wściekł. Chryste, jak ona nienawidzi psów, a już zwłaszcza tych hałaśliwych.

Cień Pete'a wycofał się na najwyższy stopień kuchennych schodów. Pete otworzył drzwi i ręką namacał kontakt. Ogród zalało jaskrawe światło lampy.

Wilma spojrzała w dół. Na jej nowym jesiennym płaszczu widniały wielkie, ciemnobrązowe plamy. Wytarła wściekle twarz, spojrzała na dłoń i zobaczyła, że znów jest brązowa. Jakaś gęsta ciecz ściekała jej po plecach wzdłuż kręgosłupa.

- Błoto! — powiedziała z niedowierzaniem, kompletnie ogłupiała; tak ogłupiała, że nawet nie zdawała sobie sprawy, iż mówi na głos. Kto to jej zrobił? Kto się ośmielił?

- Mówiłaś coś, kochanie? — Pete szedł w jej kierunku, teraz

jednak zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Twarz Wilmy przybrała wyraz, który znał jako nadzwyczaj niepokojący; wyglądała, jakby tuż pod jej skórą wylęgły się małe węże.

- Błoto! — wrzasnęła, wyciągając ku niemu dłonie... jakby zamierzała go podrapać. Z jej paznokci ściekał brązowy brud. — Powiedziałam: błoto! Błoto!

Pete spojrział na pranie i nareszcie zrozumiał, co się stało. Aż otworzył usta ze zdumienia. Wilma obróciła się, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. Lampa zamontowana nad kuchennymi drzwiami oświetliła i pranie, i ogród bezlitosnym blaskiem, ujawniając wszystko, co domagało się ujawnienia. Prześcieradła, jej czyściutkie prześcieradła, wisiały teraz na sznurze ciężkie, mokre i brudne. Nie zabłocono ich tak po prostu, były oklejone błotem, całe, caluteńkie!

Wilma spojrzała na ogród i natychmiast dostrzegła głębokie bruzdy w ziemi. Stąd pochodziło błoto. W trawie wydeptany był ślad, wandal czerpał błoto dłońmi, podchodził do prania, obrzucał je błotem i wracał po jeszcze.

- Niech to cholera! — wrzasnęła.
- Wilmo, chodź do domu... skarbie... — Pete myślał rozpaczliwie, aż w końcu w głowie zaświtał mu znakomity pomysł. — Słuchaj... zrobię herbaty.

- Pieprzę herbatę! — ryknęła Wilma najgłośniejszym głosem jak potrafiła. Kundel Haverhillów znów rozszczękał się histerycznie, jap-jap-jap, nienawidzi psów, ten pies doprowadzi ją do szaleństwa, wstrętne wrzaskliwe bydlę...!

Wściekłość wreszcie się z niej wylała i Wilma rzuciła się na prześcieradła, zaatakowała je pazurami, zaczęła zrywać ze sznurka. Zawadziła go palcami, pękł jak struna gitary. Prześcieradła zwisły 'na nim jak ciężkie, mokre wcielenie nieszczęścia. Z zacisniętymi pięściami, ze zmrużonymi oczami, jak dziecko w histerycznym ataku wściekłości, Wilma i niczym monstrualna żaba skoczyła na jedno z nich. Prześcieradło syknęło i wydeło się, opryskując błotem jej pończochy. To załatwiło sprawę. Wilma otworzyła usta i zaczęła wyc z wściekłości. Och, znajdzie tego, kto to zrobił. Znajdzie, panie i panowie. Nie ośmielcie się nawet wątpić. A kiedy już go znajdzie...

- Czy u pani wszystko w porządku, pani Jerzyck? — głos pani Haverhill drżał z niepokoju.

- Jasne, cholera, pijemy piwo, oglądamy Lawrence'a Welka i niech pani uciszy tego swojego cholernego kundla! — zawyła Wilma.

Zlazła z mokrego prześcieradła, ciężko dysząc. Włosy jak strąki wisiały wokół czerwonej, mokrej i spoconej twarzy. Odgarnęła je z wściekłością. Ten cholerny pies doprowadzi ją do szaleństwa, cholerny, jazgotliwy...

Nagle coś w jej głowie zaskoczyło z niemal słyszalnym trzaskiem.

Pies.

Cholerny jazgotliwy pies.

Kto mieszka zaraz za rogiem, na Ford Street?

Poprawka: co za szalona baba z cholernym jazgotliwym psem o imieniu Śmiałek mieszka zaraz za rogiem?

No przecież Nettie Cobb, nikt inny.

Jej pies szczekał przez całą wiosnę, cienko i jazgotliwie, jak to szczeniak. Zalażł tym Wilmie za skórę, więc w końcu zadzwoniła do Nettie i oznajmiła jej, że skoro nie potrafi uciszyć swojego psa, powinna się go pozbyć. W tydzień później, nie widząc poprawy (a przynajmniej takiej, którą skłonna była zauważyć), zadzwoniła znowu i zapowiedziała, że skoro Nettie nie umie uciszyć własnego psa, ona, Wilma, dzwoni na policję. Następnego wieczoru, kiedy szczeniak szczeknął, rzeczywiście zadzwoniła.

Jakiś tydzień później Nettie pojawiła się w sklepie (w przeciwieństwie do Wilmy Nettie Cobb należała najwyraźniej do kobiet, które muszą o pewnych sprawach pomyśleć, muszą nawet przemyśleć je sobie bardzo głęboko, nim zaczną działać). Stała w kolejce do kasy Wilmy, choć koszyk miała pusty. Kiedy wreszcie podeszła, powiedziała cichym, zdyszonym, cienkim głosem:

— Przystań czepiać się mnie i mojego Śmiałka, Wilmo Jerzyck.

Śmiałek to dobry piesek, więc przestań się go czepiać!

Wilma, zawsze gotowa do wojny, w ogóle nie przejęła się tym, że będzie musiała stoczyć bitwę w pracy. W rzeczywistości nawet się jej to spodobało.

— Szanowna pani — powiedziała — nie wie jeszcze, co to znaczy „czepiać się”. Ale jeśli szanowna pani nie uciszy tego swojego cholernego psa, to z całą pewnością się dowie.

Zwariowana Cobb była blada jak ściana, ale wyprostowała się na całą wysokość, ściskając torebkę



tak mocno, że ściągnęła na jej chudych ramionach napięły się od nadgarstków aż po łokcie.

- Ostrzegam cię, Wilmo Jerzyck — powiedziała i popędziła do wyjścia.
- O mój Boże, aż się zsikałam w majtki — ryknęła za nią radośnie Wilma (smak walki zawsze wprawiał ją w doskonały humor), ale Nettie nawet się nie obejrzała, tylko lekko przyspieszyła kroku.

Po tym starciu pies trochę się uspokoił. Wilmę nieco to rozczarowało, ponieważ wiosna była nudna. Pete nie miał najmniejszego zamiaru się buntować i Wilma popadała w wiosenną śpiączkę, której nie były w stanie przerwać zieleńiąca trawa i pojawiające się na drzewach liście. Barwy i smak życia czuła tylko wtedy, kiedy miała z kim walczyć. Przez jakiś czas wydawało się, że szalona Nettie Cobb spełni pokładane w niej nadzieje, ale pies zachowywał się grzecznie. Wyglądało na to, że Wilma gdzie indziej będzie musiała poszukać rozrywki.

Lecz pewnej majowej nocy pies zaczął szczekać znowu. Wprawdzie zaraz przerwał, ale Wilma i tak popędziła do telefonu.

W książce już wcześniej zaznaczyła numer Nettie — czekała tylko na taką okazję. Nie marnując czasu na uprzejmości, od razu przeszła do *rzeczy*.

- Mówi Wilma Jerzyck, skarbie. Zadzwoiłam, by cię poinformować, że jeśli nie uciszysz psa, to ja go uciszę.
- Już przestał! — krzyknęła Nettie. — Zostaw mnie i mojego Śmiałka w spokoju. Ostrzegałam cię! Jeszcze pożałujesz!
- Tylko pamiętaj, co ci powiedziałam — przerwała jej Wilma. — Mam dość. Następnym razem jak zaczniesz ujadać, nie będę niepokoiła gliniarzy. Przyjdę i poderżnę mu to jego cholerne gardło.

Odwiśla słuchawkę, nim Nettie zdążyła coś powiedzieć. Podstawowa zasada starcia z nieprzyjacielem (krewnym, sąsiadem, mężem) głosiła: „Agresor musi mieć ostatnie słowo”.

Od tej pory pies już się nie odezwał. To znaczy, może i szczekał, ale Wilma już tego nie słyszała, a w ogóle wcale nie był taki hałaśliwy, bez przesady; poza tym Wilma wdała się w znacznie gwałtowniejszą wojnę z właścicielką salonu piękności na Castle View, więc niemal zapomniała o Nettie i Śmiałku.

A może Nettie nie zapomniała o niej? Spotkały się zaledwie wczoraj, w tym nowym sklepie.

Gdyby wzrok zabijał — pomyślała — zostałabym tam martwa.

Stojąc tak wśród brudnych, mokrych prześcieradeł, przypomniała sobie wyraz strachu... ale i buntu... widoczny w oczach tej szalonej suki i to, jak podwinęła wargi, gdy przez moment szczyrzyła na nią zęby. Wilma doskonale wiedziała, jak wygląda nienawiść i właśnie nienawiść widziała wczoraj w twarzy Nettie.

*Ostrzegam cię... pożałujesz.*

— Wilma, wejdź do domu — powiedział Pete, z wahaniem kładąc dłoń na jej ramieniu.

Strząsnęła ją błyskawicznie.

— Daj mi spokój — warknęła i Pete cofnął się o krok.

Może ona też zapomniała, pomyślała Wilma. I przypomniała sobie, kiedy zobaczyła mnie w sklepie. A może planowała coś

*(ostrzegam cię)*

*przez cały czas, ta wariatka, i kiedy mnie zobaczyła, pękła wreszcie.*

W którymś momencie tych ostatnich kilku sekund Wilma nabrała całkowitej pewności, że chodzi o Nettie — w końcu czy ostatnio skrzyżowała spojrzenie z kimś, kto miał do niej urazę? W Castle Rock byli inni, nieprzepadający za nią, ale tego rodzaju dowcip — sekretny, tchórzliwy dowcip — pasował do spojrzenia, którym wczoraj obrzuciła ją Nettie. Spojrzenia na pół przerażonego

138

*(pożałujesz)*

na pół nienawistnego. Nettie wyglądała niemal tak jak ten jej pies, ośmielający się ugryźć tylko wtedy, kiedy przeciwnik odwrócony jest plecami.

Tak, oczywiście, to mogła być tylko Nettie Cobb. Im dłużej Wilma o tym myślała, tym bardziej się upewniała. Nettie dokonała czegoś, o czym nie sposób było zapomnieć. Nie chodziło o pobrudzone prześcieradła. Nie chodziło o ten tchórzliwy wyczyn. Nie chodziło o to, że coś takiego zrobić mógł tylko szaleniec.

Chodziło o to, że Wilma się przestraszyła.

Tylko na sekundę, zgoda, tylko wtedy, kiedy oślizgła ciemna ręka, klapiąc, wysunęła się z mroku, kiedy chłodna ręka, ręka potwora, pogładziła ją po twarzy... ale nawet sekunda strachu to zbyt dużo, by zapomnieć.

— Wilma? — Odwróciła się i Pete spojrział jej w twarz. Nie podobał mu się jej wyraz, który

dostrzegł w świetle lampy, lśniącej bielą płaszczyzny i głębokie cienie. Nie spodobało mu się martwe spojrzenie jej oczu. — Kochanie? Dobrze się czujesz?

Wilma minęła go, nawet na niego nie patrząc. Pete pobiegł za nią truchcikiem, ona zaś skierowała się wreszcie do domu... i do telefonu.

Nettie siedziała w dużym pokoju, trzymając na kolanach abażur. U jej stóp leżał Śmiałek. Dzwonek rozległ się za dwadzieścia ósma. Nettie aż podskoczyła, mocniej przytuliła do siebie lampę i spojrzała na dzwoniący telefon nieufnie, ze strachem. Przez chwilę miała pewność — głupie to, oczywiście, ale jakoś nie potrafiła obronić się przed podobnymi uczuciami — że dzwoni jakaś Osoba U Władzy, że Osoba U Władzy każe jej oddać piękny, kryształowy abażur, powie, że należy do kogoś innego, jest zbyt ładny, by pasować do jej niewielkiego zbioru, i że sam ten pomysł jest po prostu śmieszny.

Śmiałek podniósł na nią wzrok, jakby chciał zapytać panią, czy odbierze ten telefon, czy nie, a potem z powrotem ułożył pysk na łapach.

Nettie ostrożnie odstawiła kryształ i podniosła słuchawkę. Pewnie to Poily — pomyślała — spyta, czy idąc jutro do pracy, nie kupiłabym czegoś na kolację w „HemphiH's Market”.

- Tak, dom Cobbów — powiedziała rześko. Całe życie bała się Osób U Władzy i już jakiś czas temu odkryła, że najlepiej poradzić sobie z tym strachem, udając, że samemu jest się U Władzy. Strach wprawdzie od tego nie ustępował, ale przynajmniej dawało się go kontrolować.

- Wiem, co zrobiłaś, zwariowana suko — syknął głos w słuchawce. Było to tak nagłe i potworne jak cios kolcem do lodu w brzuch.

Nettie sapnęła, jakby nadziała się na ten kolec; na jej twarzy zamarł wyraz straszliwej trwogi, serce podeszło jej do gardła, jakby chciało wyrwać się na wolność. Śmiałek podniósł łeb, spojrzął na nią pytająco.

- Kto... to...

- Cholernie dobrze wiesz kto — powiedział głos i Nettie już wiedziała, kto dzwoni. Oczywiście Wilma Jerzyck! Zła... zła kobieta!

- Nie szczekał! — krzyknęła piskliwym, histerycznie cienkim głosem, głosem kogoś, kto odetchnął zawartością całego balona helu. — Dorósł i nie szczeka! Leży sobie przy moich nogach!

- Dobrze się bawiłaś, rzucając błotem w moje prześcieradła, ty głupia cipo? — Wilma była po prostu wściekła. Ta wariatka usiłowała jeszcze udawać, że chodzi tylko o psa!

- Prześcieradła? Jakie prześcieradła? Ja... ja... — Nettie spojrzała na abażur, jakby czerpała z niego siłę. — Zostaw mnie w spokoju! To ty jesteś wariatką, nie ja!

- Zapłacisz mi za to. Nikt nie wchodzi do mojego domu i nie obrzuca błotem moich prześcieradeł, kiedy jestem w pracy. Nikt! NIKT!!! Zrozumiałaś? Dotarło to do tego twojego kurzego mózdzku? Nie dowiesz się gdzie, nie dowiesz się kiedy, a przede wszystkim nie dowiesz się jak, ale... zobaczysz... że... cię... do padnę!

Nettie z całej siły przyciskała słuchawkę do ucha. Twarz miała bladą jak prześcieradło, całą z wyjątkiem czerwonej pręgi biegnącej nad brwiami. Zaciskała zęby, policzki wydeły się jej — wydychała powietrze kącikami ust.

— Zostaw mnie w spokoju! — wrzasnęła tym swoim wysokim, zdyszonym, helowym głosem. Śmiałek zerwał się na równe nogi, postawił uszy, oczy błyszczały mu gniewnie. Wyczuł czające się w pokoju zagrożenie. Szczeknął raz, groźnie. Nettie nie usłyszała jego szczeknięcia. — Jeszcze pożałujesz! Znam lud.zi. Znam Ludzi U Władzy! Bardzo dobrze ich znam. Nie muszę tego znosić!

Powoli, niskim, szczerym, a przede wszystkim opętanym wściekłością głosem Wilma powiedziała:

— Zadzierając ze mną, popełniłaś największy błąd w życiu.

Nawet się nie spostrzeżesz, jak cię dopadnę.

W słuchawce coś trzasnęło.

— Nie ośmielisz się — zawyła Nettie. Po policzkach ciekły jej łzy, łzy przerażenia i strasznego, bezsilnego gniewu. — Nie ośmielisz się, ty zła kobieto. Ja... jeszcze... jeszcze...

Rozległ się drugi trzask i sygnał. Nettie odłożyła słuchawkę. Przez kilka minut siedziała w fotelu nieruchoma, zapatrzona w przestrzeń. Potem rozplakała się. Śmiałek szczerknął i wspiał się łapami na fotel. Nettie przytuliła go, pogłaskała, a psiak lizał ją w szyję.

— Nie pozwolę jej skrzywdzić cię, Śmiałku — powiedziała, wdychając jego słodki, czysty, psi zapach, próbując czerpać z niego pociechę. — Nie pozwolę skrzywdzić cię tej złej, złej kobiecie. Ona nie jest Osobą U Władzy, nie, wcale nie. Jest złą starą kobietą i jeśli spróbuje wyrządzić krzywdę tobie albo mnie, to pożałuje!

Wyprostowała się, znalazła papierową chusteczkę wciśniętą między oparcie i siedzenie fotela i wytarła nią oczy. Była przerażona, tak, lecz czuła także w całym ciele budzący się gniew. Poczowała ten gniew już przedtem, wtedy, kiedy z kredensu wyjęła widelec do mięs i wbiła go mężowi w gardło.

Wzięła ze stołu kryształowy abażur i przytuliła go delikatnie do piersi.

— Jeśli czegoś spróbuje, będzie żałować, będzie długo żałować — powiedziała.

Siedziała tak — z abażurem na kolanach i psem u stóp — przez wiele, wiele godzin.

Norris Ridgewick wolno jechał radiowozem główną ulicą, przyglądając się domom po jej zachodniej stronie. Kończył służbę i był z tego faktu bardzo zadowolony. Nadal pamiętał, jak wspaniale czuł się rano, nim dorwał go ten dureń, pamiętał, jak stał przed lustrem w toalecie, poprawiając czapkę i z satysfakcją myśląc, że wygląda bardzo regulaminowo. Pamiętał, ale wspomnienie to wydawało się stare i przyzółkle, jak dziewiętnastowieczna fotografia. Od kiedy dorwał go Keeton, aż do tej chwili nic nie szło

tak, jak powinno. Obiad zjadł w „Ko-Ko-Ko” przy 119, gdzie podawano przede wszystkim kurczaki. Żarcie było tam na ogół niezłe, ale dziś obiad przyprawił go najpierw o straszliwą zgagę, a potem o sraczkę. Mniej więcej o trzeciej najechał na gwóźdź na drodze miejskiej nr 7, koło starego domu Camberów i musiał zmieniać koło. Wytarł palce o przód świeżo wypranej bluzy, wcale nie myśląc o tym, co robi, próbując po prostu pewniej chwycić obluzowaną śrubę. Na kurtce pozostały cztery ciemne ślady smaru. Przyglądał im się ze zgrozą, kiedy znów dorwała go sraczka, pobiegł więc do najbliższej kępy krzaków. Był to wyścig z czasem: czy zdąży ściągnąć spodnie, nim się wypełnią, i ten wyścig udało mu się wygrać, ale poniewczasie przestał mu się podobać niski krzaczek, nad którym kucnął. Bardzo przypominał trujący bluszcz, a biorąc pod uwagę cały fatalny dzień, Norris był coraz mocniej przekonany, że rzeczywiście był to trujący bluszcz.

Powoli mijał budynki, które składały się na centrum Castle Rock: „Norway Bank and Trust”, „Western Auto”, „U Nań”, czarna dziura wypełniona poprzednio pałacem cudów Popa Mer-rilla, „Same Szyjemy”, „Sklepik z marzeniami”, sklep przemysłowy.

Nagle z całej siły wcisnął hamulec. Na wystawie „Sklepiku z marzeniami” dostrzegł coś zdumiewającego... no, w każdym razie wydawało mu się, że dostrzegł coś zdumiewającego.

Spojrzał we wsteczne lustro. Ulica była całkowicie pusta. Światła na skrzyżowaniu zgasły nagle i pozostały ciemne przez chwilę, podczas gdy coś w nich pozgrzytywało z namysłem. Nagle zapaliło się środkowe, żółte, i zaczęło migać regularnie. Dziewiąta — pomyślał Norris. Punktualnie jak w zegarku.

Włączył wsteczny bieg, podjechał kawałek i zaparkował przy krawężniku. Spojrzał na radio, pomyślał, czy nie nadać przypadkiem 10-22 — funkcjonariusz opuszcza pojazd — ale zdecydował, że nie ma po co. W końcu chciał przecież tylko przyjrzeć się wystawie. Przygłośnił je trochę i otworzył okno. To powinno wystarczyć.

Nie widziałeś tego, co sądzisz, że widziałeś — ostrzegł samego siebie, ruszając chodnikiem i podciągając spodnie. Nie licz na to. Dzisiejszy dzień to dzień rozczarowań, nie cudów. Widziałeś czyjeś stare zebco z kołowrotkiem...

Ale nie było to czyjeś stare zebco z kołowrotkiem. Wędka na wystawie „Sklepiku z marzeniami”,

ustawiona w sprytną kompozycję z podbierakiem i parą gumowych, żółtych rybackich butów, z pewnością nie była zebco, lecz bazunem. Norris nie widział bazuna od szesnastu lat, od dnia śmierci ojca. Kochał go zaś z dwóch powodów: za to, czym był, i za to, co reprezentował.

Czym był? Najlepszą cholerną wędką na jeziora i strumienie na świecie. To wszystko.

Co reprezentował? Szczęśliwe chwile. Zwyczajnie i po prostu. Szczęśliwe chwile, które chudy chłopak nazwiskiem Ridgewick spędzał ze swoim starym. Szczęśliwe chwile spędzane na przeszukiwaniu poszycia przy jakimś strumieniu pod lasem. Szczęśliwe chwile w małej łódce, nieruchomej pośrodku jeziora, o świecie, kiedy welon i wznoszące się w niebo kolumny mgły zamykały obu w ich własnym, prywatnym świecie. Świecie mężczyzn. W tym innym świecie mama niedługo przygotuje śniadanie i to też był niezły świat, ale nie tak wspaniały jak ten. Żaden świat nie był jeszcze tak wspaniały jak ten i żaden nie będzie. Żaden nie ma szansy.

Po zawale serca, na który umarł ojciec Norrisa, bazun wraz z kołowrotkiem zniknęły. Norris pamiętał, jak po pogrzebie szukał go w garażu i jak nie mógł znaleźć. Szukał w piwnicy, zajrzał nawet do szafy w sypialni rodziców (choć wiedział, że mama pozwoliłaby Henry'emu Ridgewickowi schować tam raczej słonia niż wędkę). Bazun po prostu zniknął. Norris nie przestał podejrzewać wujka Phila i nawet kilka razy zbierał się na odwagę, by go o wędkę zapytać, ale za każdym razem kiedy już, już miał to uczynić, wycofywał się.

Teraz, widząc bazuna z kołowrotkiem, identycznego jak bazun jego ojca, po raz pierwszy tego dnia zapomniał o Granacie Kee-tonie. Pamiętał tylko jedno, zwykłe i proste przeżycie: bardzo wyraźnie przed oczami pojawił mu się obraz ojca siedzącego na rufie łodzi z pudłem na przynęty między nogami, podającego synowi wędkę, by móc napić się kawy z wielkiego czerwonego termosu w szare prążki. Norris czuł nawet zapach kawy, gorącej i mocnej, czuł także zapach ojcowskiej wody po goleniu o nazwie „Dżentelmen z Południa”.

Poczuł także, jak gniew wznosi się i otula go szarą mgłą — chciał do ojca. Po wielu, wielu latach stary żal znów szarpał mu trzewia, tak świeży i tak żywy jak wtedy, kiedy matka wróciła ze szpitala, wzięła go za rękę i powiedziała: „Musimy być teraz bardzo dzielni, synku”.

Małe światło wystawy odbijało się jaskrawo od stalowej oprawy kołowrotka, a Norrisa ogarnął już nie tylko żal, lecz także miłość, ciemnozłota miłość. Patrzył na bazuna, wspominając zapach świeżej kawy unoszący się z czerwonego termosu w szare paski i wielkie, ciche jezioro. W dłoni poczuł dotyk korkowej oprawy rączki wędki. Uniósł dłoń, by obetrzeć sobie oczy.

— Panie władzo? — rozległ się jakiś cichy głos.

Norris krzyknął zduszonym głosem i odskoczył od wystawy. Przez jedną straszną chwilę wydawało mu się, że jednak narobi w spodnie — wspaniałe zakończenie wspaniałego dnia! — ale skurcz minął równie szybko, jak nadszedł. Obejrzał się. W otwartych drzwiach sklepu stał wysoki mężczyzna w tweedowej marynarce. Uśmiechał się lekko.

- Przestraszyłem pana? — spytał. — Bardzo mi przykro.
- Ależ nie — odparł Norris, a potem zdobył się na uśmiech.

Serce nadal waliło mu jak młot pneumatyczny. — No... może odrobinę. Oglądałem wędkę. Przypomniała mi dawne czasy.

- Dziś przyjechała — stwierdził mężczyzna. — Jest stara, ale w doskonałym stanie. To bazun, wie pan? Niezbyt dobrze znana marka, ale poważni wędkarze wypowiadają się o niej w samych superlatywach. Robią ją w...

- ...Japonii — dokończył Norris. — Wiem. Tata łowił bazunem.

- Doprawdy? — mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zęby miał krzywe, ale mimo to Norris uznał jego uśmiech za czarujący. — Co za przypadek, nie uważa pan?

- Rzeczywiście, co za przypadek — zgodził się Norris.
- Nazywam się Leland Gaunt. To mój sklep. — Leland Gaunt wyciągnął rękę.

Kiedy długie palce ujęły jego dłoń, Norris poczuł nagle, niesłychanie silne obrzydzenie. Uścisk Gaunta trwał jednak zaledwie chwilę i uczucie to minęło, gdy tylko cofnął rękę. Był prawie pewny, że to wina żołądka, nadal obolałego po zjedzonych na obiad nieświeżych małżach. Obiecał sobie, że jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się jeszcze zjeść w „Ko-Ko-Ko”, to tylko kurczaka, będącego w końcu specjalnością lokalu.

— Mógłbym sprzedać panu tę wędkę naprawdę tanio — powiedział Gaunt. •<sup>j</sup>— Dlaczego nie miałby pan zajrzeć do środka, panie Ridgewick? Porozmawiamy sobie.

Norrisa trochę zaskoczyły te słowa. Nie przedstawił się temu starcowi, tego był najzupełniej pewien. Już miał o to zapytać, ale w ostatniej chwili zamknął usta. Nad znaczkiem miał plakietkę



z nazwiskiem. Oczywiście.

- Nie powinienem. — Kciukiem wskazał zaparkowany za nim radiowóz. Słyszał radio, to *znaczy* szum radia. Przez cały dzień nie miał ani jednego wezwania. — Jestem na służbie, wie pan? To *znaczy* służba kończy się o dziewiątej, ale dopóki nie zdam samochodu...

- Zajmie nam to najwyżej małą minutkę — kusił Gaunt. Oczywiście błyszczały mu wesoło. — Kiedy zdecyduję już, że powinienem coś komuś sprzedać, panie władzo, nie tracę czasu. Zwłaszcza gdy chcę sprzedać coś człowiekowi, który nocą pilnuje mej własności.

Norris miał już powiedzieć Gauntowi, że dziewiąta wieczorem to przecież nie środek nocy, a strzeżenie własności biznesmenów z głównej ulicy w cichym, sennym miasteczku Castle Rock rzadko bywa ciężkim obowiązkiem, kiedy znów spojrzął na bazuna i poczuł przypływ zdumiewająco świeżej, zdumiewająco silnej tęsknoty. Pomyślał o tym, że mógłby wziąć wędkę i rankiem pojechać nad jezioro ze świeżo nałapaną przynętą i termosem gorącej kawy od Nań. Byłoby prawie tak, jak z jego starym.

- No...

- No niech już pan da spokój — kusił wciąż Gaunt. — Jeśli mnie wolno sprzedawać po godzinach, to panu wolno przecież coś kupić w godzinach pracy. Panie władzo, nikt chyba w tej chwili nie zamierza obrabować banku, prawda?

Norris spojrzął na bank, ukazujący się i niknący w rytm mignięć żółtego światła na skrzyżowaniu.

- Bardzo w to wątpię — stwierdził.

- A więc?

- Zgoda. Ale jeśli nie dojdziemy do porozumienia w kilka minut, będę musiał niestety zrezygnować.

Leland Gaunt jakby jednocześnie jęknął i roześmiał się.

- Zdaje się, że ktoś właśnie wywrócił mi kieszenie — powie dział. — Niech pan wchodzi, panie władzo. Mam wrażenie, że

wystarczy mi kilka minut.

- Bardzo chciałbym mieć tę wędkę — wykrztusił Norris. Nie był to najlepszy sposób na wytargowanie dobrej ceny, wiedział o tym, ale nie potrafił się oprzeć.

- I będzie pan ją miał. Złożę panu propozycję, jakiej w życiu pan jeszcze nie słyszał, panie władzo.

Wprowadził Norrisa do „Sklepiku z marzeniami” i zamknął drzwi.

## Rozdział 6

Wilma Jerzyck nie знаła swojego męża, Pete'a, tak dobrze, jak się jej wydawało.

Tego czwartkowego wieczoru poszła spać, planując, że zaraz po obudzeniu poleci do Nettie Cobb „Załatwić Sprawę”. Często zapominała o swoich licznych kłótniach, ale kiedy już wbiła sobie do głowy konieczność akcji, to ona wybierała czas, miejsce i broń. Pierwsza zasada jej poświęconego niemal wyłącznie walce życia brzmiała: „Musisz zawsze mieć ostatnie słowo”. Druga zaś: „Musisz zawsze wykonać pierwszy ruch”. To właśnie wykonanie pierwszego ruchu nazywała „Załatwieniem Sprawy”, załatwić zaś sprawę z Nettie zamierzała jak najszybciej. Pete'owi powiedziała, że może sprawdzić, ile razy obróci się głowa tej zwariowanej suki, nim spadnie jej z karku.

Spodziewała się, że noc spędzi w bezsennej furii, napięta jak cięciwa łuku; nie byłaby to jej pierwsza taka noc. Zasnęła jednak w niespełna dziesięć minut po zgaszeniu światła, obudziła się zaś odświeżona i dziwnie spokojna. W piątek rano, siedząc w kuchni, w szlafroku, pomyślała, że być

może za wcześnie jest „Załatwić Sprawę Raz Na Zawsze”. Jej wczorajszy telefon wystraszył Nettie niemal na śmierć; Wilma mogła być wściekła, ale nie aż tak, by nie usłyszeć paniki w głosie Szalonej Nettie.

Więc dlaczego właściwie nasza Miss Wariacji 1991 nie miałyby powariować jeszcze troszeczkę? Niech to ona spędza bezsenne noce, zastanawiając się, kiedy i jak osiągnie jej zemsta Wilmy. Przejedzie się jeszcze kilka razy pod jej domem, może zadzwoni się do niej jeszcze kilka razy. Kiedy tak siedziała i piła kawę (Pete, wystraszony, przyglądał się jej sponad dodatku sportowego),

pomyślała nagle, że jeśli Nettie jest rzeczywiście tak szalona, jak mówią ludzie, może nawet w ogóle nie trzeba będzie załatwiać żadnych spraw. Być może będzie to jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy to „Sprawy Załatwią się Same”. Ta myśl tak ją ucieszyła, że gdy Pete zabrał wreszcie teczkę i wychodził do pracy, pozwoliła mu się nawet ucałować.

Sama myśl o tym, by wystraszony mąż mógł podać jej środek uspokajający, nigdy nie powstała nawet w głowie Wilmy. Niemniej jednak Pete Jerzyck zrobił właśnie dokładnie to — i nie po raz pierwszy.

Wilma doskonale wiedziała, że mąż się jej boi. Nie zdawała sobie tylko sprawy z tego, do jakiego stopnia. Pete nie bał się jej tak po prostu, Pete był przerażony jak tubylcy z tropikalnych lądów, którzy żyją w strachu, że Wielki Bóg Grzmiąca Góra, przez lata lub nawet generacje stojący milcząco nad ich beztroskim, słonecznym życiem, wybuchnie nagle morderczym potokiem wrzącej lawy.

Nasi tubylcy — prawdziwi czy hipotetyczni, to bez *znaczenia* — niewątpliwie mają rytuały służące prześlągnięciu ich boga. Rytuały z pewnością niewiele pomagają, gdy Góra budzi się, miota grzmiotem i rzekami ognia w ich wioski, ale sprawiają, że kiedy milczy, wszyscy czują się o wiele lepiej. Pete Jerzyck nie stosował jednak rytuałów mających oddać jego uwielbienie dla Wilmy; znacznie bardziej prozaiczne środki wydawały się lepiej załatwiać s.prawę. Powiedzmy: pigułki zamiast opłatków.

Pete zgłosił się do Raya Van Allena, jedyne go praktykującego w Castle Rock lekarza rodzinnego. Powiedział, że potrzebuje czegoś, co uśmierzałoby stałe poczucie niepokoju. Pracuje w zwariowanych godzinach — powiedział Rayowi — i w miarę wzrostu procentów od transakcji coraz trudniej mu zapomnieć w domu o problemach zawodowych. Powiedział, że doszedł wreszcie do wniosku, by u lekarza poszukać sposobu na wygładzenie pewnych zbyt ostrych kantów.

Ray Van Allen nie miał pojęcia o presji, jaką wywiera na człowieka praca w handlu nieruchomościami, doskonale zdawał sobie natomiast sprawę, jakie ciśnienie musi wywierać na człowieka życie z Wilma. Podejrzał, że Pete Jerzyck czułby się znacznie spokojniej, gdyby w ogóle nie wychodził z biura, ale oczywiście nie do niego należało wygłaszanie takich opinii. Wypisał receptę na xanax, udzielił obowiązkowych przestróg i złożył pacjentowi życzenia szczęścia i opieki boskiej. Był pewien, że

Pete, ciągnący wózek życia w tandemie z tą szczególną klaczą, będzie bardzo potrzebował jednego i drugiego.

Pete używał xanaxu, nie nadużywając go. Nie wspominał też o nim ani słowem — Wilma dostałaby apopleksji, gdyby dowiedziała się, że BIERZE NARKOTYK! Pilnował, by receptę mieć zawsze w teczce zawierającej papiery, którymi wcale się nie interesowała. Brał pięć, może sześć pastylek miesięcznie, zazwyczaj w dniach, kiedy Wilmie zaczynał się okres.

Potem, w lecie, Wilma wdała się w spór z Henriettą Longman, prowadzącą salon piękności na Castle Hill. Chodziło o nietrwałą trwałą. Zaczęło się od kłótni, następnego dnia doszło do wymiany zdań w „HemphiH's Market”, a potem do wymiany oskarżeń na głównej ulicy; wymiany, która omal nie przerodziła się w bójkę.

Po tym ostatnim spotkaniu Wilma chodziła po domu jak lwica w klatce, obiecując całemu światu, że dorwie tę sukę, że dostarczy roboty szpitalowi.

— Sama będzie potrzebowała salonu piękności, kiedy z nią skończę — syczała przez zaciśnięte zęby. — Możesz być więcej niż pewien. Jadę do niej jutro z samego rana. Jadę do niej Załatwić Sprawę!

Z rosnącym przerażeniem Pete uświadomił sobie, że to nie żart, że Wilma mówi całkiem serio. Jeden Bóg wie, jakie zamierza popełnić szaleństwo. Oczami wyobraźni już widział, jak jego żona wpycha głowę Henrietty w jakieś żrące gówno, już widział Hen-riette, do końca życia łysą jak Sinead O'Connor.

Miał nadzieję, że rano sytuacja choć trochę się uspokoi, ale kiedy Wilma wstała z łóżka, była jeszcze bardziej wściekła. To, co poprzedniego dnia wieczorem nie wydawało mu się nawet prawdopodobne, następnego ranka okazało się prawdziwe. Ciemne sińce pod oczami głosiły całemu światu, że spędziła bezsenną noc.

- Wilma — powiedział słabo. — Naprawdę, moim zdaniem

powinnaś dzisiaj odpocząć. Jestem pewien, że kiedy wszystko sobie przemyślisz...

- Przemyślałam to sobie w nocy. — Wilma zwróciła na męża to swoje przerażające, absolutnie martwe spojrzenie. — Zdecydowałam, że kiedy z nią skończę, nie będzie już w stanie spalić cebulek czyichkolwiek włosów. Kiedy z nią skończę, będzie potrzebowała psa przewodnika, żeby trafić do kibla. A jeśli ty zaczniesz się ze mną spierać, Pete, oboje będziecie mogli kupić sobie psy z tego samego miotu owczarków alzackich.

Zrozpaczony, nie bardzo wiedząc, co począć, nie potrafiąc

148

wymyślić żadnego innego sposobu na zapobieżenie zbliżającej się katastrofie, Pete wyciągnął butelkę z wewnętrznej kieszeni teczki. Wrzucił pastylkę xanaxu do kawy Wilmy i pojechał do pracy.

W bardzo prawdziwym, bardzo rzeczywistym sensie tego słowa, była to Pierwsza Komunia Pete'a Jerzycka.

Dzień ten spędził, cierpiąc straszliwą niepewność. Do domu wrócił przerażony wizją tego, co mogło się stać (Henrietta nie żyje, a Wilmę aresztowano — laka była ostatnia wersja jego wyobrażeń). Zastał zaś Wilmę, rozśpiewaną, w kuchni — co oczywiście nappełniło go rozkoszą. Głęboko zaczerpnął powietrza, opuścił psychiczną tarczę antywybuchową i zapytał: „Co z tą Longman, kochanie?”.

- Otwiera dopiero o dwunastej, a o dwunastej po prostu nie byłam już tak wściekła — odparła Wilma. — Pojechałam jednak, żeby Załatwić Sprawę, w końcu przecież obiecałam to sobie. I wiesz, poczęstowała mnie kieliszkiem sherry i obiecała, że zwróci pieniądze!

- Och! Świetnie! — Peter poczuł zadowolenie i ulgę. Tak też skończyła się sprawa Henrietty. Cały dzień czekał, by atak gniewu Wilmy powtórzył się, ale to nie nastąpiło.

Przez pewien czas rozważał, czy nie zaproponować Wilmie, by poszła do doktora Van Allena po receptę na środek uspokajający, jednak po głębszym namyśle odrzucił ten pomysł. Wilma z pew-

nością wybiłaby mu go z głowy, po drodze pewnie wykopując go na orbitę; Wilma nie UŻYWAŁA NARKOTYKÓW. Narkomani UŻYWALI NARKOTYKÓW, środki uspokajające były zaś dla SŁABYCH NARKOMANÓW. Wilma miała zamiar stawić czoło życiu na jego własnych zasadach i cześć. W końcu Pete nie potrafił już nawet zaprzeczyć bardzo oczywistemu faktowi: Wilma uwielbiała się wściekać. Wściekła Wilma była Wilma spełnioną, Wilma mającą w świecie Prawdziwy Cel.

A Pete kochał ją — tak jak bez najmniejszych wątpliwości krajowcy z naszej tropikalnej wyspy kochają swego Wielkiego Boga Grzmiącą Górę. Strach, przerażenie tylko powiększały tę miłość; Wilma była WILMA, siłą natury, tak więc sprowadzał ją z kursu tylko wtedy, kiedy uważał go za kurs zagłady, kurs, na którym mogła doznać krzywdy... która to krzywda, przez tę zdumiewającą zdolność miłości, byłaby także jego krzywdą.

Od tej pory podał jej xanax tylko przy trzech okazjach, z których trzecią — i najbardziej przerażającą — była Noc Zabłoconych Prześcieradeł. Robił, co mógł, by wypić filiżankę herbaty, a kiedy

149

w końcu zgodziła się ją wypić (po krótkiej, ale wysoce satysfakcjonującej rozmowie z Szaloną Nettie Cobb), zaparzył bardzo mocną i wyspał do niej nie jedną, a dwie pastylki. Bardzo pocieszyło go to, że emocjonalny termostat Wilmy rankiem następnego dnia wyraźnie się ochłodził.

O tym Wilma Jerzyck, pewna władzy nad mężem, nie wiedziała. To właśnie powstrzymało ją w piątkowy ranek przed rozjechaniem swym yugo drzwi Nettie i przed rozbiciem (lub przynajmniej próbą rozbicia) jej tego pustego łba.

zasłona drgnęła dwukrotnie. W końcu, w pełni usatysfakcjonowana, odjechała.

Ta szalona baba będzie mnie wyglądać aż do zmroku — pomyślała, parkując przed domem i wysiadając z samochodu. Będzie się bała wystawić nogę za próg.

Lekkim krokiem i z lekkim sercem weszła do domu. Usiadła na kanapie i wzięła do ręki katalog. Szczęśliwa, wypełniła zamówienie na trzy komplety prześcieradeł: białe, żółte i kremowe.

Nie w tym rzecz, by Wilma zapomniała o Nettie albo żywiła najmniejsze nawet wątpliwości co do tego, kto zniszczył jej prześcieradła. Nie było na świecie lekarstwa zdolnego dokonać tego

rodzaju cudu.

Wkrótce po tym, jak Pete wyszedł do pracy, Wilma wsiadła do samochodu i bardzo powoli pojechała Willow Street (do tylnego zderzaka małego żółtego yugo przyklejona była plakietka z napisem: „Jeśli nie podoba ci się mój styl jazdy, zadzwoń 1 -800-Pieprz--Sie”). Skręciła w prawo w Ford Street i podjeżdżając do małego, schludnego domku Nettie Cobb jeszcze zwolniła. Miała wrażenie, że zasłona w jednym z okien drgnęła i był to dobry początek... ale tylko początek.

Zatoczyła koło (mijając dom Rusków na Pond Street, nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem), przejechała obok własnego domu na Willow Street i po raz drugi ruszyła Ford Street. Tym razem podjeżdżając pod dom Nettie, zatrąbiła dwukrotnie, a potem zaparkowała naprzeciw, nie wyłączając silnika.

Zasłona znów drgnęła i tym razem nie mogło być mowy o pomyłce. Nettie ją dostrzegła. Wilma wyobraziła ją sobie, ukrytą za zasłoną, drżącą ze strachu i poczucia winy, i stwierdziła, że bardzo się jej to podoba, bardziej nawet niż obraz, z którym szła do łóżka — ten, w którym wykręcała łeb tej wścieklej suki, aż kręcił się jak u nawiedzonej dziewczynki w „Egzorcystyce”.

— Trafione, ja cię widzę — stwierdziła ponuro, patrząc, jak zasłona opada na miejsce. — Nie łudź się, ja cię widzę.

Znów zatoczyła koło, znów zatrzymała się pod domkiem Nettie, znów zatrąbiła, oznajmiając ofierze, że sidła na nią są już zastawione. Tym razem czekała niemal pięć minut. Przez ten czas

150

Śmiałek siedział na środku dużego pokoju, przyglądając się swej pani. W końcu zapiszczał niepewnie, jakby chciał jej przypomnieć, że pora iść do pracy i że jest już pół godziny spóźniona. Dziś Nettie miała posprzątać piętro domu Poily, a poza tym przychodził ktoś z telefonów, by założyć nowe aparaty, takie z dużymi przyciskami. Podobno łatwiej było posługiwać się nimi ludzom z artretyzmem tak okropnym jak artretyzm Poily.

Tylko —jak może wyjść?

Ta zwariowana Polka czai się gdzieś na dworze; jeździ po okolicy swoim małym samochodzikiem.

Nettie siedziała na fotelu, trzymając na kolanach abażur. Trzymała go na kolanach od chwili, kiedy ta zwariowana Polka po raz pierwszy przejechała obok jej domu. Potem zaparkowała i trąbiła, a kiedy odjechała, Nettie sądziła, że może jest już po wszystkim, ale myliła się, bo ta zwariowana Polka przyjechała po raz trzeci. Nettie była pewna, że teraz spróbuje wejść. Siedziała, tuląc do

siebie jedną ręką abażur, a drugą Śmiałka. Próbowała wyobrazić sobie, jak będzie się bronić, kiedy ta kobieta wtargnie do środka — i nie wiedziała, jak to zrobić.

W końcu zebrała się na odwagę i znów wyjrzała przez okno. Zwariowana Polka odjechała. Najpierw poczuła wielką ulgę, lecz szybko ulgę tę zastąpił strach. Bała się, że zwariowana Polka patroluje ulice, czeka, aż ona, Nettie, wyjdzie z domu. Jeszcze bardziej bała się tego, że zwariowana Polka wtargnie do domu po jej wyjściu.

Wtargnie do domu, zobaczy ten piękny kryształowy abażur, rzuci go na podłogę i rozbije na tysiąc kawałeczków.

Śmiałek zapiszczał znowu.

— Wiem — powiedziała Nettie głosem, który niczym nie różnił się od jęku. — Wiem.

Musiała wyjść. Miała pracę, wiedziała, dla kogo pracuje, i wiedziała, komu pracę tę zawdzięcza. Poiły Chalmers była dla niej dobra. Poiły Chalmers przedstawiła rekomendację, która na dobre wyciągnęła ją z Juniper Hill, Poiły Chalmers żyrowała jej w banku pożyczkę na dom. Gdyby nie Poiły, której ojciec był najlepszym przyjacielem jej ojca, ona, Nettie, nadal mieszkałaby w wynajętym pokoju po drugiej stronie Blaszaka.

Tylko co będzie, jeśli wyjdę, a ta zwariowana Polka wdrze się dojnego domu? — pomyślała.

Śmiałek nie obroni jej ślicznego abażuru — jest dzielny, ale to tylko mały piesek. Zwariowana Polka może go nawet skrzywdzić, gdyby próbował go bronić. Nettie czuła, jak jej biedny mózg, postawiony przed tak strasznym dylematem, zaczyna szwankować. Znów jęknęła.

I nagle — dzięki Bogu! — znalazła rozwiązanie.

Wstała i nadal z abażurem w rękach przeszła przez pokój, bardzo ciemny przy zaciągniętych zasłonach. Weszła do kuchni i przez drzwi w przeciwległej ścianie przeszła do dobudowanej do domu szopy. W szopie leżało drewno do kominka i mnóstwo rupieci.

Z sufitu zwisała żarówka na długim kablu, którą zapalało się, po prostu wkręcając mocniej w oprawkę. Nettie wyciągnęła ku niej dłoń... i zawahała się. Jeśli ta zwariowana Polka kryje się gdzieś w ogródku, dostrzeże światło. A jeśli dojrzy światło, będzie wiedziała, gdzie szukać pięknego, kryształowego abażuru, prawda?

— O nie, nie, nie dostaniesz mnie tak łatwo — szepnęła. Po omacku precyzyjnie się między należącymi niegdyś do jej matki szafką i starym holenderskim regałem bibliotecznym. — Nie, nie dostaniesz mnie tak łatwo, Wilmo Jerzyck. Nie jestem głupia, wiesz? Ostrzegam cię, nie jestem głupia.



Przyciskając abażur do brzucha lewą ręką, prawą odgarnęła gęste, obrastające okno szopy pajęczyny. Obejrzała ogródek; jej oczy przeskakiwały nerwowo z jednego miejsca na drugie. Stała tak, nieruchomo, niemal minutę. Nie dostrzegła najmniejszego poruszenia. Raz niemal już miała pewność, że ta zwariowana Polka kryje się w lewym rogu ogródka, ale po chwili obserwacji doszła do wniosku, że to tylko cień dębu rosnącego w ogrodzie Fearonsów. Niższe jego gałęzie przechodziły na jej teren. Poruszały się nieco na wietrze i właśnie dlatego plama cienia przez moment wyglądała tak, jakby kryła się tam ta zwariowana kobieta (zwariowana Polka — poprawiła się Nettie).

Za jej plecami Śmiałek pisnął cicho. Nettie obróciła się i dostrzegła go w drzwiach szopy; czarna sylwetka z przekrzywionym łbem.

— Wiem, mały — powiedziała cicho. — Ale my ją oszukamy. Uważa mnie za wariatkę. Cóż, już ja jej pokażę, jaka ze mnie wariatka.

Cofnęła się po omacku. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku, postanowiła więc mimo wszystko nie wkręcać żarówki tak, żeby się zapaliła. Wspięła się na palce. Na samej górze szafki wymacała klucz, który otwierał drzwi wysokiego kredensu po lewej stronie. Klucz do szuflad zginął dawno temu, ale nie miało to przecież najmniejszego znaczenia. Miała wszystko, czego jej było potrzeba.

Otworzyła kredens i między kłębkami kurzu i kupkami mysich odchodów znalazła miejsce na abażur.

— Zasługuje na coś lepszego, wiem — wyznała Śmiałkowi. — Ale tu jest bezpieczny. Tylko to się liczy.

Przekręciła klucz w zamku, sprawdziła, czy trzyma. Zamek trzymał dobrze, ciasno i nagle Nettie poczuła, jak z jej serca spada wielki, wielki kamień. Szarpnęła drzwiczkami jeszcze raz, z satysfakcją skinęła głową i wsunęła klucz do kieszeni fartucha. Kiedy już dotrze do Poily, znajdzie kawałek sznurka i powiesi go sobie na szyi. Będzie to pierwsza rzecz, którą zrobi u Poily.

— No! — powiedziała Śmiałkowi, a Śmiałek zaczął machać ogonem. Być może wyczuł, że kryzys już się skończył. — Mamy to już za sobą, mój ty dzielny, a teraz muszę iść do pracy. Już jestem spóźniona.

Telefon zadzwonił, gdy wkładała płaszcz. Ruszyła w jego kierunku, ale zaraz się zatrzymała. Śmiałek szczerknął raz, groźnie, a potem spojrział na nią zdziwiony. Jego wzrok pytał wyraźnie:

„Czyżbyś zapomniała, co trzeba zrobić, kiedy dzwoni telefon? Nawet ja to wiem, a przecież jestem tylko psem!”.

— Nie odbiorę! — powiedziała Nettie.

*Wiem, co zrobiłaś, ty szalona suko. Wiem, co zrobiłaś, wiem, co zrobiłaś i... jeszcze... cię... dopadnę!*

— Nie odbiorę. Idę do pracy. To ona jest wariatką, nie ja.

Nigdy nie zrobiłam jej nic złego. Nic a nic!

Śmiałek szczechnął potakująco.

Telefon przestał dzwonić.

Nettie uspokoiła się trochę, ale serce nadal biło jej mocno.

— Bądź dobrym pieskiem — poprosiła, gładząc Śmiałka po

łbie. — Wrócę później, ponieważ wyszłam później. Kocham cię i jeśli o tym nie zapomnisz, będziesz dobrym pieskiem.

Żegnała go zawsze tymi słowami i Śmiałek znał je doskonale, więc pomerdał ogonem. Nettie otworzyła drzwi; nim wyszła, uważnie rozejrzała się po okolicy. Przestraszyła się bardzo, dostrzegłszy błysk czegoś żółtego, ale nie był to samochód tej zwariowanej Polki, tylko chłopak Pollardów zostawił na chodniku swój trójkołowy rowerek.

Nettie przekręciła klucz w zamku i obeszła dom, by sprawdzić, czy szopa też jest zamknięta. Była. Ruszyła więc w stronę domu Poiły, ściskając pod pachą torebkę i cały czas wypatrując samochodu tej zwariowanej Polki (próbowała zdecydować, co powinna zrobić, kiedy już się pojawi: czy kryć się za żywopłotem, czy też po prostu stanąć i nie ugiąć się). Doszła niemal do końca przecznicy, kiedy przyszło jej do głowy, że nie sprawdziła frontowych drzwi tak dokładnie, jak powinna. Z niepokojem spozjrzała na zegarek. Zawróciła. Sprawdziła drzwi — były zamknięte jak należy. Westchnęła z ulgą i postanowiła sprawdzić drzwi do szopy, no bo skoro i tak wróciła...

— Lepiej się upewnić — mruknęła do siebie, idąc w kierunku szopy.

Ujęła klamkę i zamarła.

W domu telefon znów dzwonił.

— To wariatka! — jęknęła Nettie. — Przecież nic jej nie zrobiłam.

Drzwi do szopy były oczywiście zamknięte, ale stała przy nich, póki telefon nie umilkł. Kiedy umilkł, ruszyła przed siebie. Torbę przewiesiła przez ramię.

#### 4

Przeszła prawie dwie przecznice, nim dopadła ją pewność, że tym razem nie zamknęła frontowych drzwi. Oczywiście wiedziała, że je zamknęła, a jednak bała się, że nie zamknęła.

Zatrzymała się przy niebieskiej skrzynce pocztowej na rogu Ford i Deaconess Way, miotana wątpliwościami. Już prawie zdecydowała się iść dalej, kiedy dostrzegła mały żółty samochód przejeżdżający skrzyżowanie o przecznicę dalej. Nie był to samochód tej zwariowanej Polki, tylko ford, Nettie uznała jednak, że może to być omen. Szybko wróciła do domu i znów sprawdziła obydwie drzwi. Zamknięte. Dotarła do furki, kiedy nagle przyszło jej do głowy, że powinna sprawdzić szafkę w kredensie, upewnić się, że ją także zamknęła.

Wiedziała, że tak, ale bała się, że jednak nie.

Otworzyła drzwi i weszła do domu. Śmiałek skoczył na nią, dziko merdając ogonem; głaskała go przez chwilę, ale tylko przez chwilę. Musiała zamknąć drzwi, bo przecież ta zwariowana Polka może pojawić się w każdej chwili, dosłownie w każdej chwili!

Zamknęła je więc i zarygłowała, po czym poszła do szopy. Kredens był, oczywiście, zamknięty. Wróciła do kuchni, zatrzymała się i stała tak, nieruchomo, przez kilka długich chwil. Już zaczynała się martwić, czy przypadkiem nie popełniła omyłki, czy rzeczywiście szafka w kredensie była zamknięta na klucz. Może nie szarpnęła za kółko wystarczająco mocno, może gdyby spróbowała szarpnąć mocniej, szafka otworzyłaby się, a drzwi są tylko zacięte?

Poszła sprawdzić to jeszcze raz, a kiedy była w szopie, zadzwonił telefon. Wróciła do domu pędem, ściskając klucz do kredensu w spoczonej dłoni. Walnęła golenią w stół, aż krzyknęła z bólu.

Nim dotarła do pokoju, telefon umilkł.

— Nie mogę pójść dzisiaj do pracy — szepnęła. — Muszę...  
muszę...

*Stać na warcie*

Tak! Właśnie! Musiała stać na warcie.

Podniosła słuchawkę i szybko wykręciła numer, nim wątpliwości zaczęły ją szarpać tak, jak Śmiałek szarpie swą kość-zabawkę.

- Halo? — powiedział głos Poiły. — Tu „Same Szyjemy”.

- Dzień dobry, Poiły, to ja.

- Nettie? Coś się stało?

- Nie, nic, ale dzwonię od siebie, Poiły. Mam coś z żołądkiem. — Wcale nie kłamała, żołądek rzeczywiście zdążył ją rozboleć. — Chciałam zapytać, czy nie mogłabym wziąć sobie wolnego dnia. Wiem, że trzeba byłoby odkurzyć górę... i że przychodzi ten człowiek z telefonów...

- Ależ wszystko w porządku — powiedziała natychmiast Poiły. — Umówiłam się z nim na po drugiej, a i tak postanowiłam dziś wyjść wcześniej. Za bardzo bolą mnie ręce, żebym miała pracować dłużej. Ja go wpuszczę.

- Jeśli bardzo mnie potrzebujesz, to...

- Nie, wszystko będzie dobrze — upewniła ją ciepło Poiły i Nettie poczuła, jak w oczach wzbierają jej łzy. Poiły była zawsze

- taka miła. — Czy to ostry ból, Nettie? Czy chcesz, żebym zadzwoniła do doktora Van Allena...

- Nie, to tylko brzuch. Nic mi nie jest. Jeśli będę mogła przyjść dziś po południu, przyjdę.

- Nie ma sensu — powiedziała raźnie Poiły. — Nigdy jeszcze nie prosiłaś o wolny dzień. Włóż do łóżka i śpij. Ostrzegam, jeśli przyjdiesz i tak odeślę cię do domu.

- Dziękuję — powiedziała Nettie. Niemal się popłakała. — Jesteś dla mnie taka dobra.

- Zasłużyłaś sobie na to, żeby ktoś był dla ciebie dobry, Nettie. No, muszę lecieć. Klienci. Połóż się. Zadzwonię po południu, chcę wiedzieć, jak się czujesz.

— Dziękuję.

- Doprawdy nie masz za co dziękować. Do zobaczenia, Nettie.
- Do zobaczenia, Poily.

Nettie odłożyła słuchawkę, podeszła do okna i lekko odchyliła firankę. Ulica była pusta — na razie. Poszła do szopy, otworzyła kredens, wyjęła z niego abażur. Gdy tylko wzięła go w ręce, natychmiast poczuła cudowny spokój. Zabrała go do kuchni, umyła wodą z mydłem, oplukała i wysuszyła troskliwie.

Z jednej z kuchennych szafek wyjęła rzeźnicki nóż. Razem z abażurem zabrała go do dużego pokoju. Usiadła w fotelu. Przesiedziała tak, nieruchomo, cały ranek, jedną ręką przytrzymywała leżący na kolanach abażur, w drugiej ścisnęła kurczowo rzeźnicki nóż.

Telefon zadzwonił dwukrotnie.

Nettie nie podniosła słuchawki.

## Rozdział 7

Piątek jedenastego listopada był dniem szczytowym w karierze najnowszego sklepu w Castle Rock. W miarę jak ranek przechodził w południe i ludzie wymieniali na gotówkę czeki z tygodniówkami, ruch nasilał się z minuty na minutę. Gotówka w kieszeni stwarza wręcz przymus zakupów, który podsycala też przekazywana z ust do ust plotka wychodząca od tych, którzy zdążyli odwiedzić sklep w środę. Wielu oczywiście wierzyło święcie, że ocena ludzi wystarczająco gruboskórnych, by odwiedzić jakiś sklep w dniu otwarcia, nie jest wiarygodna, lecz było to jednak zdanie mniejszości i w piątek srebrny dzwoneczek nad wejściem do „Sklepiku z marzeniami” brzęczał sobie wesolutko caluteńki dzień.

Od środy właściciel zdołał rozpakować, czy może przyjąć, nowy towar. Ci, którzy się tym interesowali, nie bardzo wierzyli w nową dostawę — nikt w Castle Rock nie widział ciężarówki — nie miało jednak większego znaczenia, czy było tak czy siak. W piątek w „Sklepiku z marzeniami” wystawiono na sprzedaż znacznie więcej towaru i tylko to się liczyło.

Były na przykład lalki. I przepięknie rzeźbione drewniane puzzle, niektóre dwustronne. I

wspaniały zestaw szachów: figurki, wykonane z kryształu górskiego przez jakiegoś prymitywnego, lecz bez najmniejszych wątpliwości utalentowanego tubylczego artystę, wyobrażały afrykańskie zwierzęta: żyrafy z długimi, giętkimi szyjami były laufkami, nosorożce z opuszczonymi niczym w szarzy łbami — wieżami, szakale — pionkami, lwy — królami, smukłe gepardy — królowymi. Był naszyjnik z czarnych pereł, niewątpliwie bardzo kosztowny (jak bardzo, nikt nie ośmielił się zapytać pierwszego dnia) i tak piękny, że patrzeć nań aż bolało.

Wielu z gości „Sklepiku z marzeniami” powróciło do domu w stanie dziwnej melancholii i rozdrażnienia, z obrazem naszyjnika pod powiekami — czarne perły na czarnym tle — ...i wśród owych gości znalazły się nie tylko kobiety.

Były dwa klauny na sznurkach. Była pozytywka, stara, pięknie zdobiona; pan Gaunt twierdził, że po otwarciu z pewnością gra coś bardzo pięknego, ale nie pamięta co, a pozytywka była zamknięta na głucho. Pan Gaunt twierdził też, że ktoś, kto ją kupi, będzie po prostu musiał dorobić kluczyk, powiedział również, że żyje jeszcze wystarczająco wielu starych ślusarzy-artystów, by nie była to zbyt trudna sprawa. Kilkakrotnie pytano go, czy pozytywkę będzie można zwrócić, jeśli właściciel dorobi klucz i odkryje, że melodyjka mu się nie podoba. Odpowiadając na te pytania, pan Gaunt uśmiechał się tylko i pokazywał najnowszą, wiszącą na ścianie tabliczkę, która głosiła:

„Nie zwracamy pieniędzy i nie dokonujemy wymiany zakupionych towarów. CAYEAT EMPTOR”.

- A co to ma znaczyć? — spytała Lucille Dunham. Lucille była kelnerką u Nań; wstąpiła do „Sklepiku z marzeniami” wraz z przyjaciółką, Rosę Ellen Myers, wykorzystując w tym celu przerwę na kawę.

- Oznacza to, że jeśli kupiłaś kota w worku, ty zatrzymujesz worek, a on zabiera kota — odparła Rosę Ellen. Dostrzegła, że pan Gaunt usłyszał jej uwagę (a mogłaby przysiąc, że jeszcze przed chwilą widziała go na samym końcu sklepu), i zarumieniła się po uszy. Pan Gaunt tylko się roześmiał.

- Słusznie — powiedział. — Dokładnie tak!

Był rewolwer z długą lufą w specjalnym pudełku; przyczepiona do pudełka karteczka oznajmiała: NED BUNTLINE SPECIAL. Była drewniana laleczka przedstawiająca chłopca z drewnianymi rudymi włosami, piegami i przylepionym do buzi przyjacielskim uśmiechem (PROTOTYPHOWDY'EGO DOODY'EGO — głosiła etykieta). Były pudełka bardzo ładnych, lecz niczym szczególnym się niewyróżniających papeterii, stare pocztówki, zestawy: wieczne pióro z ołówkiem, lniane chusteczki, wypchane zwierzęta. Bez najmniejszego trudu odnosiło się wrażenie, że „Sklepik z marzeniami” ma coś na każdy gust i — choć w całym sklepie nie było ani jednej karteczki z ceną — na każdą kieszeń.

Pan Gaunt dobił w tym dniu wielu wyśmienitych targów. Większość z tego, co sprzedawał, była ładna, ale przecież, broń Boże, wcale nie taka znów unikalna. Udało mu się jednak zawrzeć kilka

158

transakcji „specjalnych”, które dochodziły do skutku w chwilach, gdy w jego sklepie znajdował się tylko jeden klient.

— Kiedy nie ma u mnie nikogo, zaczynam się niepokoić — powiedział Sally Ratcliffe, nauczycielce wymowy Briana Ruska, uśmiechając się do niej przyjacielsko. — A kiedy jestem zaniepokojony, bywam bardzo nierozważny. Kiepska to cecha sprzedawcy, za to bardzo korzystna dla kupującego.

Sally Ratcliffe była żarliwą członkinią trzódki baptystów wielbnego Williego, w jego kościele spotkała swego narzeczonego, Lestera Pratta, i obok znaczka przeciw „Casino Nite” nosiła drugi, z napisem: „Będę zbawiona. A ty?”. Natychmiast zwróciła uwagę na SKAMIENIAŁE DREWNIENKO Z ZIEMI ŚWIĘTEJ. Nie zaprotestowała, kiedy pan Gaunt otworzył gablotkę i włożył je do jej ręki. Zapłaciła sumę siedemnastu dolarów plus obietnicę splątania niewinnego figla Frankowi Jewettowi, dyrektorowi szkoły podstawowej w Castle Rock. Sally spędziła w sklepie najwyżej pięć minut, a kiedy wyszła, miała na twarzy wyraz oszołomienia i rozmarzenia. Pan Gaunt zaproponował, że zapakuje jej drewnienko, ale nie chciała — powiedziała, że woli trzymać je w dłoni. Kiedy tak szła ulicą, doprawdy trudno byłoby powiedzieć, czy idzie po chodniku, czy też jej stopy unoszą się tuż nad nim.

Zadzwoił srebrny dzwoneczek.

Do „Sklepiku z marzeniami” weszła Córa Rusk, absolutnie zdecydowana kupić zdjęcie Króla. Córa

szalenie się zdenerwowała, kiedy pan Gaunt powiedział jej, że zdjęcie zostało już sprzedane, i natychmiast zażądała informacji o tym, kto je kupił.

- Bardzo mi przykro — powiedział pan Gaunt — ale pani ta pochodziła spoza stanu. Samochód, który prowadziła, zarejestrowany był w Oklahomie.

- No, niech mnie zarzną! — krzyknęła Córa z gniewem i najautentyczniejszym żalem. Dopiero teraz, kiedy dowiedziała się, że je sprzedano, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo pragnęła zdjęcia Króla.

W tym czasie w sklepie byli Henry Gendron i jego żona, Yvette. Pan Gaunt poprosił Córę, by zaczekała, aż ich obsłuży. Powiedział, że ma coś, co chyba sprawiłoby jej przyjemność, może większą niż zdjęcie Króla? Kiedy już sprzedał Gendronom pluszowego misia — prezent dla ich córki — i odprowadził ich do drzwi, poprosił Córę, by poczekała jeszcze sekundkę, bo musi znaleźć coś w innym pokoju. Córa czekała, nie spodziewając się niczego wielkiego i prawdziwie interesującego. Ogarnęło ją lepkie, szare przygnębienie. Widziała setki, może nawet tysiące zdjęć Króla, sama miała ich kilka, ale to wydawało się jej...

Pan Gaunt powrócił, trzymając w dłoni futerał na okulary zrobiony z jaszczurczej skóry. Otworzył go i pokazał Córce parę okularów lotniczych z przyciemnionymi szklami w kolorze ciemnej szarości. Córa niemal zachłysnęła się własnym oddechem. Nieświadomie podniosła dłoń do szyi.

- Czy to... — wykrztusiła i dalej nie była w stanie powiedzieć nic.

- Okulary Króla — przytaknął poważnie pan Gaunt. — Jedne z sześćdziesięciu par. Ale mówiono mi, że te lubił szczególnie.

Córa kupiła okulary za dziewiętnaście dolarów i pięćdziesiąt centów.

- Potrzebna mi także pewna informacja — pan Gaunt patrzył na nią wesoło błyszczącymi oczami. — Nazwijmy to opłatą manipulacyjną, dobrze?

- Informacja? — powtórzyła z powątpiewaniem Córa. — Jaka informacja?

- Wyrzyj przez okno, dobrze?

Córa wykonała polecenie. Po przeciwnej stronie ulicy, przy barze szybkiej obsługi, zaparkował



radiowóz numer jeden. Alan Pangborn stał na chodniku, rozmawiając z Billem Fullertonem.

- Widzisz tego faceta? — spytał Gaunt.
- Kogo? Billa Fuli...?
- Nie, kretynko. Tego drugiego.
- Szeryfa Pangborna?
- Słusznie.
- Tak. Widzę go. — Córa była oszołomiona, bezwolna. Miała

wrażenie, że głos Gaunta dobiega z wielkiej odległości. Nie potrafiła przestać myśleć o tych cudownych okularach, które właśnie kupiła. Bardzo chciała wrócić do domu i natychmiast je założyć, ale oczywiście nie mogła wyjść, póki pan Gaunt jej na to nie pozwoli; jeszcze nie powiedział, że je sprzedał.

- Wygląda na kogoś, kogo w moim zawodzie nazywa się „trudnym klientem” — stwierdził pan Gaunt. — A co ty o nim sądzisz. Córa?
- Jest sprytny. Nigdy nie będzie taki dobry, jak stary szeryf

160

George Bannerman — przynajmniej tak powtarza zawsze mój mąż — ale jest bardzo, bardzo sprytny.

— Doprawdy? — głos Gaunta znów stał się zrzędlawy, zmęczony. Oczy, których nie spuszczał z Alana Pangborna, zwęziły się w szparki. — Doprawdy? Czy chcesz poznać jeden z mych sekretów, Córa? Nie przepadam za sprytnymi ludźmi i nie znoszę opornych klientów. Ja ich wręcz nienawidzę. Nie ufam ludziom, którzy muszą wszystko sprawdzić, którzy szukają dziury w całym, nim zdecydują się coś kupić. A ty?

Córa milczała. Stała nieruchomo, ściskając w dłoni okulary Króla i tępo gapiąc się za okno.

- Chcę, żeby ktoś miał oko na naszego dobrego, sprytnego szeryfa. Jak myślisz, kto by się nadał?
- Poily Chalmers — odparła natychmiast Córa głosem narko

manki. — Poity jest dla niego strasznie słodka.

Gaunt natychmiast potrzęsnał głową. Nadal nie spuszczał oka z Alana, który podszedł właśnie do radiowozu, zerknął bez zainteresowania na „Sklepik z marzeniami”, wsiadł i odjechał.

- Nic z tego — orzekł.
- Sheila Brigham? — w głosie Córy brzmiało powątpiewanie. — Obsługuje centralkę w Biurze Szeryfa.
- Dobry pomysł, ale i to na nic. Kolejny oporny klient. Jest ich trochę w każdym miasteczku. Nieszczęsny to fakt, ale mimo wszystko fakt.

Córa zastanawiała się przez chwilę, nie bardzo wiedząc, nad czym się właściwie zastanawia. — Eddie Warburton? — spytała w końcu. — Jest głównym dozorcą Ratusza.

Twarz pana Gaunta rozświetliła się nagle.

— Dozorca! — krzyknął. — No przecież! Oczywiście! Co za pomysł! Wspaniały! — przechylił się nad ladą i pocałował Córę w policzek.

Córa odsunęła się od niego, skrzywiła i zaczęła trzeć dłonią miejsce, w które ją pocałował. Zacharczała, jakby miała zwymiotować. Wydawało się jednak, że pan Gaunt nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Twarz wykrzywił mu szeroki, radosny uśmiech.

Córa wyszła w końcu — nadal skrzywiona i nadal trąc policzek — dokładnie w chwili, w której do „Sklepiku z marzeniami” wchodziły Stephanie Bonsaint i Cyndi Rosę Martin z Klubu Brydżowego Ash Street. Omal nie przewróciła Stephanie, tak

spieszyła się do domu, tak bardzo pragnęła *znaleźć* się wreszcie, jak najszybciej, u siebie i przymierzyć te cudowne okulary. Nim je jednak przymierzy, umyje najpierw twarz, zmyje z niej ostatni ślad obrzydliwego pocałunku. Czują, jak policzek jej płonie niczym przy gorączce.

Nad drzwiami „Sklepiku z marzeniami” zadzwonił srebrny dzwoneczek.

Podczas gdy Steffie stała przy oknie, całkowicie pochłonięta podziwianiem wzorów układających się w staroświeckim kalejdoskopie, który znalazła, Cyndi Rosę podeszła do pana Gaunta i przypomniała mu, że wspominał, jakoby czekał na wazę lalią podobną do tej, którą kupiła w

środę.

Pan Gaunt uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć: „A czy umiesz dotrzymać tajemnicy?”.

— Może ją nawet mam? — powiedział. — Mogłabyś pozbyć się przyjaciółki na minutkę, dwie?

Cyndi Rosę powiedziała Steffie, że może już iść do Nań, zamówić kawę i dla niej, że przyjdzie tam za chwilę. Steffie wyszła, wyraźnie zdziwiona. Gaunt udał się do sąsiedniego pomieszczenia i wrócił z wazą w ręku. Waza ta bynajmniej nie była „podobna” do pierwszej — była jej identyczną bliźniaczką.

— Ile? — spytała Cindy Rosę, przesuając po delikatnym łuku wazy drżącym lekko palcem. Z żalem wspomniała okazijną cenę, którą udało się jej wywalczyć w środę. Najwyraźniej pan Gaunt zarzucił wówczas przynętę, którą natychmiast połknęła. Teraz zaczynał ściągać żyłkę. Tej wazy z pewnością nie uda się jej dostać za trzydzieści jeden dolarów, tym razem cena będzie znacznie, znacznie wyższa. Ale pragnęła jej na półkę nad kominem — obie wyglądałyby tam tak pięknie!

Nie wierzyła własnym uszom, kiedy pan Gaunt powiedział:

— W końcu to ciągle pierwszy tydzień mej działalności, więc co powiedziałaś na dwie za cenę jednej? Masz, kochanie, ciesz się nią.

Była tak zdumiona, że omal nie upuściła wazy, którą pan Gaunt włożył jej w rękę.

- Co...? Wydawało mi się, że powiedział pan...?
- Nie przesłyszalas się — upewnił ją Gaunt i Cyndi Rosę
- stwierdziła nagle, że nie potrafi oderwać wzroku od jego oczu. Francie nie miała racji — pomyślała mimowolnie i jakby niepewnie — wcale nie są zielone, tylko szare. Ciemnoszare. — Tylko jest jeszcze jedna sprawa...
- Tak?
- Oczywiście. Znasz zastępcę szeryfa, Norrisa Ridgewicka?

Zadzwoił srebrny dzwoneczek.

Everett Frankel, pielęgniarz zatrudniony u doktora Van Allena, kupił fajkę, którą Brian Rusk

dostrzegł w czasie swej pierwszej wizyty w „Sklepiu z marzeniami”, za dwanaście dolarów i żart spłatany Sally Ratcliffe. Biedny stary Slopey Dodd, jąkała, wraz z Brianem chodzący we wtorkowe popołudnia na lekcje wymowy, kupił śliczny metalowy spodeczek — prezent na urodziny mamy. Spodeczek kosztował go siedemdziesiąt jeden centów... i radośnie złożył obietnicę spłatania śmiesznego figła chłopakowi Sally, Lesterowi Prattowi. Pan Gaunt obiecał Slopeyowi, że w odpowiednim czasie dostarczy mu narzędzi koniecznych do jego spłatania, a Slopey odparł, że „o...o...ooczy...oczywiście, bbb...bbbaaar-dzo...bardzo dobrze”. June Gavineaux, żona najlepiej prosperującego w okolicy farmera-hodowcy, kupiła wazę cloissoné za dziewięćdziesiąt siedem dolarów i obietnicę spłatania śmiesznego figła ojcu Brighamowi od Matki Bożej Spokojnych Wód. Niedługo po jej wyjściu znalazł się ktoś, kto chętnie zgodził się spłatać podobnego figła wielebnemu Williemu.

Był to ciężki, lecz owocny dzień i kiedy pan Gaunt zawiesił wreszcie na drzwiach tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE i zaciągnął rolety, czuł zmęczenie... lecz było to radosne zmęczenie. Interes szedł wspaniale, udało się nawet podjąć kroki uniemożliwiające szeryfowi Pangbornowi próbę przeszkodzenia w jego rozkwicie. Doskonale. Otwarcie nowego sklepu było zawsze najprzyjemniejszą częścią całego przedsięwzięcia, lecz wywoływało napięcie, a czasami wiązało się nawet z pewnym ryzykiem. Jeśli o Pangborna chodzi, Gaunt czuł, że być może popełnia błąd, ale przez lata nauczył się ufać swemu instynktowi, a instynkt podpowiadał mu, że od szeryfa najlepiej trzymać się z daleka... przynajmniej do chwili, w której do konfrontacji dojdzie na jego, Gaunta, warunkach.

Pan Gaunt nabierał przekonania, że ma przed sobą ciężki tydzień... i że pod koniec tego tygodnia posypią się iskry. Wybuchną fajerwerki.

Mnóstwo fajerwerków.

Tego piątkowego popołudnia, piętnaście po szóstej, Alan wjechał na podjazd przed domem Poiły i wyłączył silnik. Poiły czekała na niego na progu; przywitała go ciepłym pocałunkiem. Dostrzegł, że włożyła rękawiczki nawet na tak krótki wypad na dwór, i na jego czole pojawiła się zmarszczka.

— Daj spokój — powiedziała Poiły, kiedy dostrzegła tę zmarszczkę. — Jest trochę lepiej. Przywiozłeś kurczaki?

Alan podniósł do góry dwie zatłuszczone papierowe torby.

- Sługa szanownej pani — stwierdził.

Poily odpowiedziała dygnięciem.

- I nawzajem.

Wzięła od niego torby z kurczakami i wprowadziła do domu. W kuchni Alan odciągnął krzesło od stołu, odwrócił je i usiadł z oparciem między nogami. Chciał zobaczyć, jak Poily zdejmuje rękawiczki i układa porcje na szklanym talerzu. Kupił tego kurczaka w „Ko-Ko-Ko” — obrzydliwie wiejska nazwa, ale podobno właśnie kurczaki są tam najlepsze (z małżami, według Norrisa, sprawa wygląda zupełnie inaczej). Jedyne problemy z daniami kupowanymi na wynos, kiedy mieszka się trzydzieści kilometrów dalej, to ten, że stygną... i stąd — pomyślał — kuchenki mikrofalowe. Alan wierzył głęboko, że kuchenki mikrofalowe mają tylko trzy praktyczne zastosowania: podgrzewanie kawy, przygotowywanie popcornu i odgrzewanie gotowych dań, jak na przykład kurczaków z „Ko-Ko-Ko”. •

- Rzeczywiście ci lepiej? — spytał, kiedy Poily włożyła już talerz do kuchenki i wcisnęła odpowiednie guziki. Nie musiał mówić dokładniej; oboje doskonale wiedzieli, o co chodzi.

- Odrobinę — przyznała Poily — ale jestem pewna, że nie długo będzie znacznie lepiej. Czuję ciepło w czubkach palców, a w ten sposób zawsze zaczyna się poprawa.

Pokazała mu dłonie. Kiedyś okropnie żenowało ją, że są tak strasznie zdeformowane, i uczucie zażenowania pozostało, ale po długim, długim czasie zrozumiała, że te pytania są częścią ich miłości. On zaś uważał jej ręce po prostu za sztywne, niezdarne, jakby Poily nosiła niewidzialne rękawice — rękawice uszyte przez niezdarne, nieprzykładające się do pracy krawca, który w dodatku przynitował je do dłoni na zawsze.

- Brałaś coś?
- Tylko raz. Rano.

164

W rzeczywistości były trzy razy — dwa rano, jeden wczesnym popołudniem. Od wczoraj też ból wcale się tak bardzo nie zmniejszył, a poza tym obawiała się, że uczucie ciepła w koniuszkach palców, o czym mu wcześniej wspominała, może być wyłącznie wytworem jej spragnionej poprawy wyobraźni. Poily nie lubiła okłamywać Alana, jej zdaniem miłość i kłamstwa rzadko szły w parze, ale tak długo była sama, że jakaś jej część nadal śmiertelnie bała się zainteresowania, które jej

okazywał. Ufała mu, ale bała się powiedzieć zbyt wiele o sobie.

Alan coraz bardziej nalegał na konsultacje w klinice Mayo. Wiedziała, że gdyby zdawał sobie sprawę z tego, jak straszny bywa czasami ból, nalegałby jeszcze mocniej. Ona tymczasem nie chciała, by jej cholerne dłonie stały się czymś najważniejszym w ich wspólnym życiu, a poza tym bała się wyników konsultacji w tej świetnej klinice. Potrafi żyć z bólem; nie umiała jednak powiedzieć, czy potrafi żyć bez nadziei.

- Wyjmiesz kartofle z piecyka? — spytała. — Chcę jeszcze zadzwonić do Nettie, a potem usiądziemy do stołu.
- Co się stało Nettie?
- Problemy żołądkowe. Nie przyszła dziś do mnie. Chcę się upewnić, że to nie grypa żołądkowa. Rosalie twierdziła, że jest coraz więcej przypadków, a Nettie śmiertelnie boi się lekarzy.

Alan, który znał myśli Poiły Chalmers lepiej, niż ona kiedykolwiek byłaby w stanie to odgadnąć, widząc, jak Poiły idzie do telefonu, pomyślał: „i kto to mówi”. Alan był policjantem i nie potrafił nie obserwować ludzi w chłodny, zawodowy sposób nawet po skończonej służbie — ten odruch był u niego automatyczny. Już nawet nie próbował z tym walczyć. Gdyby instynkt służył mu nieco lepiej w ciągu ostatnich miesięcy, Annie i Todd prawdopodobnie żyliby teraz szczęśliwie.

Zauważył, że wychodząc z domu, Poiły włożyła rękawiczki. Zaobserwował, że zdjęła je zębami, zamiast po prostu trąć dłonią o dłoń. Patrzył, jak układa kurczaka na talerzu, i zarejestrował lekki grymas bólu, kiedy wstawiała talerz do kuchenki. Nie były to dobre znaki. Przeszedł z kuchni do dużego pokoju, chcąc sprawdzić, jak łatwo (czy też jak trudno) przyjdzie jej użyć telefonu. Był to jeden z najważniejszych wskaźników, którymi mierzył jej ból. Tu przynajmniej zauważył pomyślny znak — a przynajmniej za taki go uznał.

Poiły wystukała numer Nettie szybko i pewnie, a ponieważ stał z daleka, nie dostrzegł, że telefon w tym pokoju — i we

wszystkich innych — zastąpiony został aparatem z dużymi przyciskami.

Wrócił do kuchni. Bezwiednie przysłuchiwał się rozmowie.

— Halo, Nettie?... Już miałam zrezygnować... Obudziłam cię?... Tak... Aha... No i jak?... Och, to świetnie. Myślałam o tobie. Nie, poradziłam sobie jakoś z kolacją. Alan przywiózł kurczaki z tego „Ko-Ko-Ko” w Oxfordzie... Tak, tak, prawda?

Alan wyjął półmisek z jednej z szafek nad kuchennym blatem myśląc: „Kłamie. Nie ma znaczenia, jak dobrze radzi sobie z telefonem — jest tak źle, jak w zeszłym roku, a może jeszcze gorzej”.

Świadomość, że jest okłamywany, nie wprawiła go bynajmniej w rozpacz; Alan miał znacznie bardziej elastyczne poglądy na kwestię naginania prawdy niż Poiły. Weźmy na przykład jej dziecko. Urodziła je na początku 1971 roku, mniej więcej siedem miesięcy po tym, jak autobusem Greyhounda opuściła Castle Rock. Powiedziała mu, że dziecko, chłopiec imieniem Kelton, zmarło w Denver, mając trzy miesiące. „Syndrom Nagłej Śmierci Niemowlęcej”, najgorszy koszmar wszystkich matek. Była to historia bardzo prawdopodobna i Alan nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Kelton Chalmers rzeczywiście nie żyje. Historia ta miała tylko jeden mankament — z pewnością nie była prawdziwa. Alan był gliniarzem i potrafił rozpoznać kłamstwo wtedy, kiedy je usłyszał.

*(z wyjątkiem kłamstw Annie)*

Tak — pomyślał. Z wyjątkiem kłamstw Annie. Uwaga została zaprotokołowana.

Skąd wiedział, że Poiły nie mówi mu prawdy? Czy winne było temu nagłe drgnięcie powiek zbyt szeroko otwartych, zbyt śmiało w niego wpatrzonych oczu? Sposób, w jaki podnosiła lewą rękę, skubiąc nią lewe ucho? Zakładanie nogi na nogę i zdejmowanie nogi z nogi, dziecięcy sygnał oznaczający: „nabieram cię”?

Wszystko to — i nic z tego. Najważniejszy był dzwonek, który odzywał mu się w głowie, dzwonek podobny do tego, jaki odzywa się, gdy lotniskową bramkę przekracza człowiek ze stalową płytą w głowie.

Kłamstwo to ani go nie rozgniewało, ani nie zmartwiło. Są ludzie, którzy kłamią dla zysku, i są ludzie, którzy kłamią z ucisku, ludzie, którzy kłamią tylko dlatego, że powiedzenie prawdy jest dla nich aktem całkowicie niepojętym... i ludzie, którzy kłamią, czekając, aż nadejdzie czas na prawdę. Alan sądził, że kłamstwa Poiły na temat Keltona należą do tej ostatniej kategorii; nie

Nie spieszy mi się — sama ta myśl wydawała się Alanowi luksusem.

Głos Poiły — spokojny, głęboki, w jakiś sposób doskonale pasujący do sytuacji — także wydawał mu się luksusem. Nie całkiem przewyciężył jeszcze poczucie winy spowodowane faktem, że jest w jej domu, że wie, gdzie są talerze i widelce, że wie, na której półce w szafce w sypialni Poiły trzyma pończochy i w którym dokładnie miejscu na jej ciele kończy się letnia opalenizna, ale kiedy słyszał jej głos, przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczył się tylko jeden fakt, jeden prosty fakt rządzący wszystkimi innymi faktami: dźwięk jej głosu oznaczał dla niego dom.

— Mogę wpaść do ciebie później, Nettie... Tak?... Tak, od poczynek pewnie będzie dla ciebie najlepszy... Jutro?

Poiły roześmiała się swobodnym, miłym śmiechem; dźwięk jej śmiechu jakimś cudem sprawiał, że świat wydawał się Alanowi świeższy. Pomyślał, że może długo czekać, aż jej sekrety wyjaśnią się — same — jeśli tylko Poiły od czasu do czasu będzie się tak śmiała.

— Boże, nie! Przecież jutro jest sobota! Mam zamiar nie ruszać się z łóżka i leniuchować!

Alan uśmiechnął się. Wyciągnął jedną z półek pod piekarnikiem, znalazł parę rękawic termicznych i otworzył drzwiczki. Jeden ziemniak, dwa ziemniaki, trzy ziemniaki, cztery. Na miłość boską, jak we dwoje mają zjeść cztery wielkie pieczone ziemniaki? Od początku przecież wiedział, że będzie ich za dużo, Poiły po prostu tak gotowała. Z pewnością te cztery wielkie ziemniaki były dowodem na istnienie jeszcze jakiegoś sekretu. Pewnego dnia, kiedy pozna odpowiedzi na wszystkie „dlaczego”, na część „dlaczego”, a może tylko na niektóre „dlaczego”, uczucie winy i obcości, być może, przeminie.

Wyjął ziemniaki z piekarnika. W chwilę później pisnęła kuchenka mikrofalowa.

- Muszę lecieć, Nettie...
- Wszystko w porządku! — krzyknął. — Kontroluję sytuację.

W końcu jestem policjantem, szanowna pani!

- ...ale zadzwoń do mnie, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

Jesteś pewna, że już wszystko dobrze?... Powiedz mi, gdyby nie było, dobrze, Nettie?... Dobrze... Co?... Nie, tylko pytam... I dla ciebie... Dobranoc, Nettie.

Kiedy Poiły weszła do kuchni, kurczaki czekały już na stole, a Alan zajęty był obieraniem dla niej ziemniaków.



- Alan, kochanie, nie musisz tego robić!

- Wliczone w cenę obsługi, szanowna pani. — Kolejną rzeczą, którą zrozumiał, było to, że kiedy dłonie naprawdę ją bolały, życie stawało się dla Poiły szeregiem drobnych potyczek z piekłem; banalne sprawy zwykłego życia zmieniały się w przeszkody, które należało koniecznie pokonać, ceną klęski był zaś nie tylko wstyd, lecz także cierpienie. Ładowanie naczyń do zmywarki. Ustawianie drewniek w kominku. Manipulowanie nożem i widelcem, żeby obrać pieczone ziemniaki.

- Siadaj — powiedział. — „Ko-ko-ko”.

Poiły roześmiała się i przytuliła do niego. Objęła go ramionami, nie dłońmi, co zauważył uwięziony w nim niezmordowany obserwator. Mniej świadoma jego część dostrzegła jednak i to, jak smukłe ciało Poiły wtula się w niego, poczuła słodki zapach używanego przez nią szamponu.

— Jesteś najwspanialszym mężczyzną na świecie — powie działa cicho.

Pocałował ją; najpierw lekko, później o wiele mocniej. Dłonie przesunął z jej pleców na pośladki. Materiał starych dżinsów wydawał mu się gładki i miękki jak aksamit.

- Siadaj, olbrzymie — powiedziała w końcu. — Najpierw jedzenie, później łaskotki.

- Czy to zaproszenie? — spytał. Jeśli nie czuje się lepiej — pomyślał — teraz się obruszy.

Poiły jednak odpowiedziała tylko: „Możesz się założyć”. Alan usiadł więc, usatysfakcjonowany. Na razie.

- Al wraca do domu na weekend? — spytała Poiły, kiedy już uprzątnęli naczynia po kolacji. Jedyne żyjące syn Alana chodził do Milton Academy pod Bostonem.

- Nie — mruknął Alan, zajęty skrobaniem talerza.

- Myślałam, że skoro w poniedziałek nie ma lekcji z okazji Dnia Kolumba... — powiedziała Poiły odrobinę zbyt beztrosko.

- Jedzie z Dorfem do niego, na Cape Cod — wyjaśnił Alan. — Dorf to jego przyjaciel, Carl Dorfman. Mieszkają w jed-

168

nym pokoju. Al zadzwonił we wtorek z pytaniem, czy mam coś przeciwko ich wspólnemu wyjazdowi na trzydniowy weekend. Powiedziałem, że nie, nie ma sprawy.

Poiły dotknęła lekko jego ramienia, a kiedy Alan odwrócił się ku niej, spytała:

- W jakim stopniu jestem temu winna?
- W jakim stopniu jesteś winna czemu? — zdziwił się szczerze Alan.

- Wiesz, o czym mówię. Dobry z ciebie ojciec i nie jesteś głupi. Ile razy Al odwiedził cię od początku roku szkolnego?

Alan zrozumiał nagle, co Poiły ma na myśli, i uśmiechnął się z ulgą.

- Tylko raz — odparł — i to wyłącznie dlatego, że musiał pogadać z Jimmym Catlinem, kumplem ze szkoły i czarodziejem od komputerów. Niektóre z jego najukochańszych programów nie chciały chodzić na Commodore sześćdziesiąt cztery, który kupiłem mu na urodziny.

- A widzisz? O to mi właśnie chodzi. Uważa, że zbyt wcześnie zajęłam miejsce jego zmarłej matki i...

- O raaany! Od jak dawna męczy cię myśl, że jesteś dla Ala okrutną macochą i...

Poiły zmarszczyła brwi.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale dla mnie wcale nie jest to takie wesołe jak dla ciebie.

Alan delikatnie ujął ją za rękę i pocałował w kącik ust.

— Dla mnie wcale nie jest to śmieszne. Są takie chwile... właśnie o tym myślałem... kiedy sam czuję się dziwnie. Wydaje mi się, że jest jeszcze zbyt wcześnie... na ciebie i mnie. Nie jest, ale czasami wydaje mi się, że jest. Wiesz, co mam na myśli.

Poiły skinęła głową. Czoło wygładziło się jej — lecz nie do końca.

- Oczywiście. W filmach albo w telewizji bohaterom taka dramatyczna decyzja zajmuje zawsze trochę więcej czasu, zauważyłeś?

- Święta racja. W filmach jest zawsze mnóstwo dramatycznych decyzji, a bardzo mało żalu. Ponieważ żal jest rzeczywisty. Żal jest... — puścił jej ramiona, wziął ścierkę i zaczął wycierać talerz. — Żal jest brutalny — dokończył.

- Jest.

- Więc czasem czuję się winny, zgoda. — Uśmiechnął się w duszy kwaśno; mówił tak, jakby próbował się usprawiedli-

- wić. — Częściowo dlatego, że wydaje mi się, iż zacząłem zbyt wcześnie, co nie jest prawdą, a częściowo dlatego, że wydaje mi się, iż zbyt łatwo doszedłem do siebie, co także nie jest prawdą. Przekonanie, że powinienem cierpieć dłużej, nadal mnie prześladuje, nie zaprzeczam, ale przynajmniej zdaję sobie sprawę z tego, że to szaleństwo... boja... czasem... nadal cierpię.

- Jesteś człowiekiem — powiedziała powoli Poiły. — Jakie to dziwne, jakie egzotyczne, jak podniecająco perwersyjne!

- Aha. A jeśli chodzi o Ala... Al radzi z tym sobie na swój własny sposób. Nieźle mu to idzie, wystarczająco dobrze, bym był z niego dumny. Tęskni za matką, lecz jeśli nadal cierpi — a wcale nie jestem tego pewien — to wyłącznie z powodu Todda. Ale sam pomyślał, że nie przyjeżdża do domu, bo nie aprobeuje ciebie... albo nas... przecież to szaleństwo!

- Bardzo się z tego cieszę. Nie wiesz nawet, jak wielki ciężar spadł mi z serca. Tylko nadal wydaje mi się...

— Że z jakiegoś powodu postępujemy źle?

Poiły skinęła głową.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Ale zachowanie dzieci, nawet dzieci stuprocentowo normalnych, dorosłym nigdy nie wydaje się całkiem normalne. Zapominamy, jak łatwo przychodzą do siebie, i prawie zawsze zapominamy, jak szybko się zmieniają. Al oddala się: ode mnie, od swoich starych kumpli, jak ten Jimmy Catlin,

od samego Castle Rock. Oddała się, to wszystko. W tempie rakiety, kiedy włączają się silniki trzeciego stopnia. Z dziećmi zawsze tak jest i chyba dla rodziców to zawsze przykra nie spodzianka.

- Ale tak wcześnie — powiedziała cicho Poily. — Siedem naście lat to tak wcześnie, żeby się... oddalić.

- Rzeczywiście, wcześnie. — W głosie Alana nie było prawdziwego gniewu. — Stracił matkę i brata w głupim wypadku. Jego życie się rozleciało, moje życie się rozleciało, zbliżyliśmy się do siebie, jak chyba zawsze w podobnych sytuacjach zbliżają się ojciec i syn; próbowaliśmy złożyć resztki w jakąś całość. I chyba wyszło nam całkiem nieźle, ale byłbym ślepy, gdybym nie za uważał, że wszystko się zmieniło. Moje życie jest tu, Poily, tu, w Castle Rock. Jego nie. Już nie. Myślałem, że może to się zmieni, ale ten wyraz jego oczu, kiedy zaproponowałem, żeby przeniósł się do liceum w Castle Rock, błyskawicznie przywołał mnie do rzeczywistości. Al nie chce wrócić, bo tu zostało zbyt wiele wspomnień. Może, z czasem, i to się zmieni, ale nie chcę na niego

nalegać. Tylko że jego decyzje nie mają nic wspólnego z nami, rozumiesz?

- Rozumiem. Słuchaj...
- Hmm.
- Tęsknisz za nim, prawda?
- Oczywiście — zgodził się po prostu Alan. — Myślę o nim codziennie. — Ze zdumieniem stwierdził, że oczy ma pełne łez. Odwrócił się, otworzył na ślepo którąś z szafek, starał się odzyskać panowanie nad sobą. Najlepszym na to sposobem było zmienić temat. Natychmiast.

- Co z Nettie? — spytał i z ulgą stwierdził, że jego głos brzmi normalnie.

- Powiedziała, że już lepiej, ale strasznie długo czekałam, aż

podniesie słuchawkę. Już wyobrażałam sobie, że leży na podłodze, nieprzytomna.

- Pewnie spała.
- Nie, spytałam ją o to. I mówiła całkiem przytomnym głosem.

Wiesz, jak mówią ludzie, kiedy nagle się ich obudzi?

Skinął głową. Kolejna rzecz, którą wie każdy policjant. Dzwonił i przyjmował wiele telefonów, które budziły kogoś w środku nocy.

- Powiedziała, że była w szopie, że przeglądała *rzeczy* po matce, ale...

- Jeśli to grypa żołądkowa, to pewnie siedziała akurat na tronie i nie chciała się do tego przyznać.

Poily milczała przez chwilę, a potem roześmiała się.

- Założę się, że tak! To akurat bardzo do niej podobne.
- Jasne. — Alan zajrzał do zlewu, po czym wyciągnął zatyczkę. — Kochanie, jesteście splukani — powiedział.

- Bardzo ci dziękuję. — Poily cmoknęła go w policzek.
- Och, zobacz, co znalazłem — Alan sięgnął do jej ucha i wyciągnął z niego pięćdziesięciocentówkę. — To tam trzymasz swoje oszczędności, księżniczko?

- Jak ty to robisz? — Poily przyglądała się monecie z dzieciinną fascynacją.

- Co takiego? — Pieniążek wydawał się płynąć między jego delikatnie poruszającymi się palcami. Zatrzymał się między środkowym i serdecznym. Alan odwrócił rękę dłonią do góry, a potem dłonią w dół. Pięćdziesięciocentówka zniknęła. — Myślisz, że mógłbym uciec i zacząć pracować w cyrku? — spytał.

- Nie. — Poily uśmiechnęła się. — Zostań ze mną. Słuchaj, czy jestem głupia, tak bardzo martwiąc się o Nettie?

— Nie. — Alan wsadził lewą rękę — tę, do której przełożył monetę — do kieszeni spodni, wyjął pustą i złapał ścierkę do wycierania naczyń. — Wyciągnęłaś ją z wariatkowa, dałaś jej pracę, pomogłaś kupić dom. Czujesz się za nią odpowiedzialna i moim zdaniem, do pewnego stopnia, jesteś za nią odpowiedzialna. Gdybyś się o nią nie martwiła, ja pewnie martwiłbym się o ciebie.

Poiły wyjęła ze zlewu ostatnią szklankę. Alan dostrzegł, jak nagle krzywi twarz z bólu, i już wiedział, że nie zdoła utrzymać szklanki, mimo że była prawie sucha. Błyskawicznie przykucnął, wyciągając jednocześnie ręce. Poruszał się z takim wdziękiem, że na Poiły sprawiło to wrażenie skomplikowanej figury tanecznej. Szklanka wypadła jej z ręki i miękko wylądowała w jego dłoni, nie więcej niż jakieś czterdzieści centymetrów nad podłogą.

Ból, który prześladował ją całą noc — i strach spowodowany przekonaniem, że Alan musi się domyślać, jak straszny ten ból jest — zalane zostały nagłą falą miłości tak potężną, że Poiły poczuła nie tylko zaskoczenie, ale wręcz strach. Miłość to trochę zbyt wyrafinowane słowo na to, co czujesz, prawda? — pomyślała. To, co czuła, było znacznie prostsze i najzupełniej pierwotne — nazywało się to „pożądanie”.

- Ruszasz się jak jakiś cholerny kot — powiedziała, kiedy Alan się prostował. Głos miała ochryply, niewyraźnie wymawiała słowa. Nie potrafiła zapomnieć, z jakim wdziękiem ugiął nogi, jak poruszały się długie mięśnie jego ud, jak napięły mięśnie łydek. — Jakim cudem facet tak wielki jak ty porusza się tak szybko?

- Nie wiem. — Alan spojrział na nią zaskoczony. — Coś się stało, Poiły? Dziwnie wyglądasz. Słabo ci?

- Słabo. Nogi się pode mną uginają.

I wtedy zrozumiał. Nagle nie trzeba już było nic wyjaśniać. Nic tu nie było ani dobre, ani złe — po prostu było.

- Podtrzymam panią — Alan zrobił krok w jej stronę z tym samym kocim wdziękiem, z tą samą błyskawiczną szybkością, z jaką przed chwilą złapał szklankę; z wdziękiem i szybkością, których nie sposób było podejrzewać, widząc, jak powoli idzie

chodnikiem głównej ulicy miasteczka. — Już ja się o to zatroszczę. — Lewą ręką odstawił szklanke, prawą wsunął jej między nogi, nim Poiły w ogóle zorientowała się, o co chodzi.

- Alan, co ty wyra...!? — Jego kciuk łagodnie przycisnął jej ciało, „wyr...” przeszło w „oooch!"; uniósł ją z ziemi bez najmniejszego wysiłku.

Zarzuciła mu ręce na szyję, nawet w tym jakże intymnym momencie pamiętając, by objąć go ramionami, nie dłońmi, dłonie sterczały jej jak kijki ze sztywną wiązką patyczków na końcu, ale była to jedyna sztywna część jej ciała; Poiły czuła, jak cała się rozplywa.

- Postaw mnie na ziemi!
- Chyba nie mam ochoty. — Alan podniósł ją jeszcze wyżej, lewą rękę położył jej między łopatkami i gdy zaczęła zsuwać mu się z dłoni, przytulił ją mocno. Nagle okazało się, że ją kołysze na trzymanej między jej nogami dłoni, Poiły kołysała się jak mała dziewczynka jadąca na koniu z biegunami i to on nią kołysał tak, że czuła się jak na jakiejś cudownej huśtawce, z nogami rozgarniającymi wiatr i włosami w gwiazdach.

- Alan...
- Trzymaj się, księżniczko — powiedział ze śmiechem. Śmiał się, jakby nie ważyła więcej niż piórko. Podniecona, odchyliła się do tyłu, niemal nie czując podtrzymującej ją dłoni, pewna jednego — że nie pozwoli jej spaść — a on znów przytulił ją, kciuk jego prawej ręki wyczyniał cudowne cuda tam, w dole, cuda, o których do tej pory nawet nie wiedziała, więc odchyliła się, z całej siły wykrzykując jego imię.

Jej orgazm wybuchł jak cudowny słodki pocisk, wystrzelony z centrum ciała w stronę głowy i nóg. Machała nogami piętnaście centymetrów nad podłogą (z jednej spadł jej kapeć i wylądował gdzieś w dużym pokoju). Odrzuciła głowę, aż ciemne włosy opadły jej na ramię długim, krętym strumieniem, Alan zaś natychmiast wykorzystał okazję i pocałował ją w szyję.

Postawił ją w końcu na podłodze. Pod Poiły ugięły się nogi, lecz złapał ją bez najmniejszego

problemu.

— O mój Boże —jęknęła Poiły i roześmiała się słabo. — O mój Boże, Alan, nigdy nie dopiorę tych dzinsów.

Alanowi z jakiegoś powodu wydało się to strasznie zabawne. Ryknął śmiechem. Padł na jeden z kuchennych stołków, wyciągnął przed siebie długie nogi i ryczał ze śmiechu, rękami przytrzymując brzuch. Poiły zrobiła krok w jego kierunku. Złapał ją, na moment posadził sobie na kolanach, po czym podniósł się, trzymając ją w ramionach. Poiły poczuła tę samą falę obezwładniającego, oszałamiającego uczucia ogarniającą ją po raz drugi, lecz tym razem uczucie to było czystsze, ostrzejsze.

Teraz to miłość — pomyślała. Tak bardzo kocham tego mężczyznę.

- Zabierz mnie na górę — powiedziała. — Jeśli nie doniesiesz mnie na górę, wystarczy kanapa. Jeśli nie doniesiesz mnie do kanapy, zróbmy to tu, w kuchni, na podłodze.

- Sądzę, że kanapa leży w moim zasięgu. Jak tam ręce, księżniczko?

- Jakie ręce? — spytała rozmarzonym głosem i zamknęła oczy. Skupiła się na tej jednej, radosnej chwili, na przemierzaniu przestrzeni i czasu w jego ramionach, w ciemności, od której odgradzały ją jego silne dłonie. Przytuliła twarz do piersi Alana, a kiedy położył ją na kanapie, pociągnęła go na siebie... tym razem dłońmi.

Spędzili na kanapie niemal godzinę, potem poszli pod prysznic, nie wiadomo na jak długo, w każdym razie wystarczająco długo, by wygnał ich spod niego ukrop. Po wyjściu z łazienki znaleźli się w łóżku Poiły. Poiły, zmęczona, zaledwie zdolna była zwinąć się w kłębek.

Spodziewała się, że tej nocy będzie się z nim kochać, lecz bardziej dlatego, by usnąć jego niepokój niż z rzeczywistej ochoty. Z całą pewnością nie spodziewała się takiej serii... lecz była szczęśliwa. Czowała ból, odzyskujący władzę nad jej dłońmi, lecz by zasnąć, dzisiaj nie potrzebowała percodanu.

- Jesteś wspaniałym kochankiem — powiedziała.



- I nawzajem.

- Decyzja zapadła jednogłośnie — stwierdziła, kładąc mu głowę na piersi. Słyszała, jak serce bije mu spokojnie i powoli, jakby chciało powiedzieć: hm... hm... napracowaliśmy się dziś, ja i mój szef. Znow pomyślała — i znow pojawiło się tamto pożądanie — o tym, jaki Alan jest silny, jaki szybki; przede wszystkim o tym, jaki szybki. Znała go od chwili, kiedy Annie zaczęła dla niej pracować, był jej kochankiem od pięciu miesięcy i dopiero dziś dowiedziała się, jak błyskawicznie potrafi się poruszać. Alan wydawał się jej pełnowymiarową wersją swej sztuczki z monetą, sztuczek z kartami i sylwetek zwierząt rzucanych na ścianę, o których wiedziało każde dziecko w miasteczku i o które dzieci prosiły Alana, gdy tylko spotkały go na ulicy. Wydawało się jej to z lekka przerażające... lecz także cudowne.

Zdawała sobie sprawę z tego, że powoli zasypia. Powinna zapytać go, czy zostaje na noc, powinna poprosić go, że jeśli tak, niech wstawi samochód do garażu — Castle Rock było małym miasteczkiem o wielu szybko obracających się językach — ale przecież nie musiała się o nic martwić. Alan zadba o wszystko. Nabierała pewności, że Alan zawsze dba o wszystko.

— Czy Granat i wielbny Willie sprawili ci ostatnio jakieś kłopoty? — spytała sennie.

Alan odpowiedział jej uśmiechem.

- Cisza na obu frontach, przynajmniej na razie. Lubię Keetona i wielbego Rose'a tym bardziej, im rzadziej się z nimi spotykam. Pod tym względem dzisiejszy dzień należałoby uznać za wyjątkowo udany.

- To świetnie! — mruknęła.

- Świetnie, ale zdarzyło się coś jeszcze lepszego.

- Co?

- Norrisowi wrócił dobry humor. Kupił sobie wędkę z koło wrotkiem u tego twojego przyjaciela, Gaunta, i wszystkim opo

wiada, jak to w weekend wybierze się na ryby. Moim zdaniem odmrozi sobie tylko tyłek — i nawet nie w tym rzecz, by rzeczywiście miał tam coś do odmrożenia — ale jeśli on jest szczęśliwy, ja też jestem szczęśliwy. Żał mi go było, kiedy Keeton tak wczoraj popsuł mu wejście. Wszyscy śmieją się z Norrisa, bo jest chudy i taki marudny, ale przez trzy lata zrobił się z niego naprawdę niezły małomiasteczkowy policjant. I jest wrażliwy, jak każdy. Nie jego wina, że wygląda na przyrodniego brata Dona Knotts.

- Hmm...

Poiły odpływała. Odpływała w słodką ciemność, w której nie było bólu. Odpływała bez sprzeciwu; zasnęła z lekkim, kocim uśmiechem szczęścia na twarzy.

Alana sen nie zmorzył od razu.

Znów odezwał się wewnętrzny głos, ale nie było w nim już tej złośliwej satysfakcji. Teraz wewnętrzny głos brzmiał pytająco, błagalnie, jakby mówił ktoś zagubiony. „Gdzie jesteśmy, Alan?” — pytał go. „Czy to nie obcy pokój? Obce łóżko? Obca kobieta? Niczego już nie pojmuję”.

Alan stwierdził nagle, że lituje się nad głosem. Nie litował się przy tym nad sobą — jego głos nigdy nie brzmiał mu w uszach tak obco jak teraz. Miał wrażenie, że głos ten wcale nie pragnie

mówić, podobnie jak reszta Alana — Alan istniejący w terażniejszości i Alan planujący przyszłość wcale nie pragną go słuchać. Głos ten był głosem obowiązku, głosem żalu. A także, nadal, głosem winy.

Przed przeszło dwu lata Annie Pangborn zaczęła miewać migreny. Niezbyt poważne, tak przynajmniej twierdziła; nienawidziła mówić o nich tak, jak Poiły nie znosi mówić o artretyzmie. Potem, pewnego ranka, przy goleniu — musiało to być gdzieś na początku 1990 roku — Alan dostrzegł, że duża butelka Anaciny 3, stojąca przy umywalce, jest niezamknięta. Wziął do ręki zakrętkę i zamarł. Sam użył tylko kilku z dwustu dwudziestu pięciu tabletek. Pod koniec poprzedniego tygodnia butelka była niemal pełna. Teraz zaś prawie pusta. Wytarł z twarzy resztkę kremu do golenia i poszedł do „Same Szyjemy”, gdzie Annie pracowała od chwili, gdy Poiły otworzyła pracownię. Zabrał żonę na kawę... z dodatkiem kilku pytań. Zapytał ją o aspirynę. Pamiętał, że był lekko wystraszony

*(lekką — zgodził się z nim żałośnie jego wewnętrzny głos)*

no dobrze, lekko wystraszony, nikt przecież nie bierze w ciągu tygodnia jakichś stu dziewięćdziesięciu aspiryn, nikt. Annie powiedziała mu, że jest głuptasem. Powiedziała, że wycierała półeczkę nad umywalką i strąciła butelkę. Butelka nie była dokładnie zakręcona i niemal wszystkie tabletki wpadły do umywalki. Zaczęły się rozpuszczać, więc je splukała.

Tak powiedziała.

On jednak, jako gliniarz, nawet po służbie nie potrafił zapomnieć Obędającej częścią owej służby sztuce obserwacji. Taki zawód. Jeśli obserwowało się ludzi odpowiadających na pytania, naprawdę obserwowało, niemal zawsze wiedziało się, w którym momencie kłamią. Alan przesłuchiwał kiedyś mężczyznę sygnalizującego każde kłamstwo postukiwaniem paznokcia kciuka w przednią trójkę. Więc wyciągnął rękę ponad stolikiem, ujął dłoń żony i poprosił, żeby mu powiedziała prawdę. I kiedy po chwili wahania Ann powiedziała mu, że tak, że jej migreny są nieco gorsze niż poprzednio i tak, brała sporo aspiryn, ale nie, nie wzięła wszystkich z tej butelki, tak, butelka naprawdę wpadła do umywalki — uwierzył. Nabrał się na najstarszą sztuczkę świata, na coś, co starzy więźniowie nazywali „popuść i ściągnij”: jeśli złapano cię na kłamstwie, wycofaj się i powiedz część prawdy. Gdyby obserwował ją nieco dokładniej, wiedziałby, że Annie nie mówi prawdy. Zmusiłby ją, by przyznała się do czegoś, co wydawało mu się

ciągle niemożliwe, ale co było teraz dla niego niepodlegającym dyskusji faktem; głowa bolała ją tak bardzo, że brała niemal dwadzieścia aspiryn dziennie. Gdyby się do tego przyznała, znalazłaby się w gabinecie neurologa w Portland lub Bostonie przed końcem tygodnia. Lecz przecież rozmawiał z żoną, a poza tym był wówczas mniej spostrzegawczy niż teraz.

Zadowolił się umówieniem jej wizyty u Raya Van Allena. Ray nie znalazł nic i Alan nigdy nie miał mu tego za złe. Ray przeprowadził zwykle testy odruchów, zajrzał jej w oczy starym oftalmoskopem, sprawdził jej wzrok, upewniając się, że nie ma podwójnego widzenia, i wysłał ją do szpitala rejonowego w Oxfordzie na prześwietlenie. Nie skierował jej jednak na badanie

tomo-graficzne, a kiedy Annie powiedziała, że migreny ustały, uwierzył jej. Alan podejrzewał, że miał wszelkie prawo jej uwierzyć. Lekarze umieją obserwować pacjentów niemal tak, jak gliniarze obserwują podejrzanych. Pacjenci lżą równie często co podejrzani i dokładnie z tego samego powodu — ze strachu. A kiedy Ray spotkał się z Annie, był na, nie po, służbie, więc może... może między dniem, w którym Alan dokonał swego odkrycia, a dniem, w którym Annie odwiedziła lekarza, bóle głowy rzeczywiście ustały. Prawdopodobnie ustały. Później, u siebie w domu, kiedy siedzieli z kieliszkami brandy, Ray powiedział Alanowi, że w przypadku, gdy guz znajduje się wysoko na pniu mózgu, objawy często pojawiają się i znikają.

— Z guzami na pniu mózgu najczęściej kojarzy się ataki z utratą przytomności. Gdyby taki atak miał miejsce... — powiedział Ray. Alan tylko wzruszył ramionami. Tak. Może. A może to mężczyzna imieniem Thad Beaumont był nieświadomym sprawcą śmierci jego żony i syna... lecz w głębi serca Alan nie potrafił winić za to nawet Thada Beaumonta.

Nie wszystkie zdarzenia z historii małego miasteczka znane są jego obywatelom, niezależnie od tego, jak bystre są oczy owych obywateli i jak energicznie chlapią oni ozorami. W Castle Rock wszyscy wiedzieli o Franku Doddzie, policjancie, który oszalał i zabił kilka kobiet jeszcze w czasach szeryfa Bannermana. Wszyscy wiedzieli o Cujo, bernardynie z domu przy drodze nr 3, i wiedzieli, że letni dom Thada Beaumonta, pisarza i miejscowej OSOBISTOŚCI, ten przy jeziorze, spłonął do fundamentów latem 1989 roku, ale nie wiedzieli, dlaczego spłonął, i nie wiedzieli, że Thada Beaumonta prześladował człowiek, który wcale nie był człowiekiem, lecz stworem, dla którego nie ma pewnie nawet nazwy.

Alan jednak wiedział wszystko i wiedzę tę odświeżały mu od czasu do czasu nocne koszmary. Wszystko skończyło się, nim zdał sobie sprawę z migren Annie... tylko, tak naprawdę, nic się nie skończyło. Pijany Thad zwykł był dzwonić do niego i dzięki tym telefonom Alan stał się mimowolnym świadkiem rozpadu jego małżeństwa i powolnego procesu postępującego szaleństwa. Chodziło także i o jego, Alana, szaleństwo. Kiedyś, w gabinecie lekarza przeczytał artykuł o czarnych dziurach — pustych miejscach w niebie, będących być może wirami antymaterii — żarłocznie wsysających wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu. Późnym latem i jesienią afery Beaumonta stała się jego prywatną czarną dziurą. Były dni, w których poczynął kwestionować istnienie najtrwalszych zasad rzeczywistości, zastanawiać się, czy coś z tego, co przeżył, naprawdę się wydarzyło. Były noce, podczas których leżał bezsennie, aż świt różowił niebo na wschodzie, bojąc się zasnąć, bojąc się koszmaru, w którym jechało na niego czarne tornado, czarne tornado z

rozkładającym się potworem za kierownicą i nalepką na zderzaku głoszącą: WYJĄTKOWY SUKINSYN. Były dni, kiedy na widok jednego jedyne wróbla, siedzącego na barierce tarasu lub skaczącego wesoło po trawniku, miał ochotę krzyknąć. Gdyby go zapytano, powiedziałby: „Kiedy zaczęły się kłopoty Annie, byłem roztargniony”. Lecz nie chodziło o roztargnienie — gdzieś, w najgłębszej głębi umysłu toczył rozpaczliwą walkę z ogarniającym go szaleństwem. WYJĄTKOWY SUKINSYN — te słowa ciągle do niego wracały. Prześladowały go. Słowa i wróble.

Był roztargniony także i tego dnia, kiedy Annie wraz z Toddem wsiedli do starej terenówki służącej do wypraw do miasta i pojechali do „HemphiH's Market”. Wielokrotnie później Alan analizował w pamięci zachowanie żony tego ranka i za każdym razem dochodził do wniosku, że nie było w nim nic dziwnego, nic niezwykłego. Kiedy wyjeżdżali, siedział w swoim pokoju. Wyjrzał przez okno, pomachał im na do widzenia. Todd odmachnął mu, nim wsiadł do samochodu. Wtedy po raz ostatni widział ich żywych. Na piątym kilometrze szosy 117, może kilometr od „HemphiH's Market”, samochód wyleciał z drogi i z dużą szybkością uderzył w drzewo. Na podstawie oględzin wraku policja stanowa oceniła, że Annie, normalnie najostrożniejszy z kierowców, prowadziła z szybkością co najmniej stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Todd miał zapięty pas, Annie — nie. Annie najprawdopodobniej już nie żyła, gdy wylatywała przez przednią szybę i pozostawiała za sobą całą nogę i połowę ręki. Todd mógł żyć, w momencie gdy zapalił się pęknięty zbiornik paliwa. To prześladowało Alana bardziej niż cokolwiek innego — fakt, że jego syn, który pisywał parodię horoskopów do szkolnej gazetki i cały żył Małą Ligą, mógł jeszcze żyć, że spalił się, próbując odpiąć pas.

Przeprowadzono sekcję zwłok, która ujawniła u Annie guz mózgu. Był to mały guz, wielkości orzeszka ziemnego — tak to ujął Ray. Nie powiedział Alanowi, że dałoby się go usunąć chirurgicznie, gdyby go w ogóle odkryto — tę wiadomość Alan wyczytał z jego zrozpaczonej twarzy i spuszczonego oczu. Van Allen powiedział mu, że najprawdopodobniej miała wreszcie atak, który zwróciłby ich uwagę na istotę problemu... gdyby zdarzył się wcześniej. Atak mógł zgalwanizować jej ciało jak potężny szok elektryczny, mógł sprawić, że wcisnęła gaz do deski i straciła panowanie nad samochodem. Ray nie powiedział tego z własnej woli; Alan przesłuchiwał go bezlitośnie, bez najmniejszej przerwy, a poza tym widać było, że bez względu na rozpacz chce znać prawdę... albo tyle prawdy, ile mógł znać ktoś niesiedzący tego dnia w samochodzie wraz z Annie i Toddem.

— Proszę — powiedział Van Allen delikatnie, z uczuciem, dotykając dłoni Alana. — To był

straszny wypadek, ale nic więcej niż straszny wypadek. Musisz się z tym pogodzić. Masz drugiego syna, który teraz potrzebuje cię co najmniej tak, jak ty jego. Musisz to zrozumieć i żyć.

Próbował. Irracjonalny strach spowodowany sprawą Thada Beaumonta, sprawą  
(*wróble wróble lecą*)

z ptakami, zbladł już i Alan naprawdę próbował ułożyć sobie życie od nowa. Wdowiec, małomiasteczkowy gliniarz, ojciec nastoletniego syna, który dorastał i oddalał się od niego zbyt szybko... nie, nie z powodu Poily, lecz z powodu wypadku. Przez to straszne, straszliwe przeżycie. „Synku, mam dla ciebie okropną wiadomość, musisz się na nią przygotować...”. Potem, oczywiście, Alan się rozplakał, a w chwilę później płakał także Al.

Mimo wszystko odbudowali swoje życie... nadal je odbudowywali. Ostatnio było już lepiej... byłoby lepiej, gdyby nie dwie sprawy.

Po pierwsze: to butelka aspiryny, niemal opróżniona w tydzień.

Po drugie: Annie nie zapięła pasa.

Przecież Annie zawsze zapinała pas.

Po strasznych, bezsennych dwóch tygodniach Alan, myśląc o tym, jak to zawsze jest się mądrym po fakcie, mimo wszystko umówił się z neurologiem w Portland. Umówił się, ponieważ neurolog mógł znać odpowiedź na kilka pytań i ponieważ zmęczony był już przyduszaniem Raya Van Allena. Neurolog nazywał się doktor Scopes. Przy spotkaniu z nim Alan po raz pierwszy w życiu użył pracy jako pretekstu. Powiedział Scopesowi, że jego pytania związane są z prowadzonym przez policję śledztwem.

Scopes potwierdził jego najgorsze przypuszczenia. Tak, ludzie z guzami mózgu zachowywali się czasem irracjonalnie, czasami zdradzali skłonności samobójcze. Kiedy ktoś z guzem mózgu popełnia samobójstwo — powiedział Scopes — popełnia je często pod wpływem impulsu; okres namysłu trwać może minuty, nawet sekundy.

— Czy ktoś taki może pragnąć zabrać ze sobą jeszcze ko

goś? — spytał Alan.

Scopes siedział za biurkiem, odchyłony w fotelu, z rękami założonymi na karku. Nie mógł widzieć dłoni Alana, ukrytych pod biurkiem, splecionych tak mocno, że palce były białe jak papier.

— Ależ tak! — powiedział. — Nie jest to zachowanie za skakujące w tych okolicznościach. Guzy pnia mózgu często powodują zachowania, w opinii laików wskazujące na chorobę psychiczną. Człowiek z guzem może na przykład uznać, że jego cierpienie dzieli z nim jego bliscy, a nawet wszyscy ludzie, może też uznać, że jego bliscy nie będą chcieli żyć, gdy on umrze. — Wspomniał Charlesa Whitmana, harcerza, który ze szczytu Texas Tower zabił ponad dwadzieścia osób, nim wreszcie ze sobą skończył, i pewną nauczycielkę-stażystkę ze szkoły podstawowej w Illinois, która zabiła kilkoro uczniów, nim wróciła do domu i wpała sobie kulę w łeb. W obu przypadkach autopsje wykazały guz mózgu. Coś takiego zdarzało się, ale nie we wszystkich ani nawet w większości przypadków. Guzy mózgu wywoływały najdziwniejsze, czasem wręcz nieprawdopodobne objawy, a czasami rozwijały się bezobjawowo. Niczego nie sposób powiedzieć na pewno.

*Niczego nie sposób powiedzieć na pewno. Wiać daj sobie spokój.*

Dobra rada, tylko jakoś trudno ją zastosować w praktyce.

Alan myślał przede wszystkim o pasie — myśl ta była jak mała czarna chmurka, której nie chciał rozwiać żaden wiatr. Annie nigdy nie ruszała z miejsca niezapiąwszy przedtem pasa. Nie

jechała bez zapiętego pasa nawet na sąsiednią uliczkę. A Todd jechał w pasie, jak zawsze. Czy miało to jakieś znaczenie? Gdyby rzeczywiście w którymś momencie po tym, jak po raz ostatni wyjechała z ich podjazdu na ulicę, zdecydowała się popełnić samobójstwo i zabrać ze sobą syna, czy nie zmusiłaby go do odpięcia pasa? Nawet cierpiąca, pogrążona w depresji, niezdarząca sobie sprawy z tego, co robi, nie chciałaby przecież, by jej synek niepotrzebnie cierpiał. Prawda?

*Nie sposób niczego powiedzieć na pewno. Więc daj sobie spokój.*

A jednak nawet teraz, leżąc w łóżku Poily, u boku śpiącej Poily, nie potrafił zastosować się do tej prostej rady. Pamięć przywoływała przed oczy to, co było niczym szczeniak, szarpiący ostrymi ząbkami tę samą starą szmatę.

W tym momencie pojawiał mu się obraz, który w końcu doprowadził go do Poily, ponieważ to Poily była najlepszą przyjaciółką Annie... i — biorąc pod uwagę, jakim ciężarem kładła się na jego psychice sprawa Beaumonta — w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy Poily więcej dała Annie niż on.

Był to obraz Annie odpinającej pas, wciskającej gaz do dechy i zdejmującej dłoń z kierownicy. Zdejmującej dłoń z kierownicy, ponieważ w ciągu tych kilku sekund jej dłoń miały co innego do roboty.

Zdjęła je z kierownicy, by móc odpiąć także pas Todda.

Pojawiał się taki obraz: stara terenówka pędzi drogą sto dwadzieścia na godzinę, skręca w prawo, w stronę stojących na poboczu pod bladym, marcowym, zapowiadającym deszcz niebem drzew, Annie próbuje odpiąć pas Todda, a Todd, krzycząc z przerażenia, odpycha jej ręce. Twarz Annie, ukochana twarz zmieniona w maskę wiedzmy, buzia Todda skrzywiona w przerażeniu. Czasami Alan budził się nocą z ciałem powleczonym kombinezonem zimnego potu, słysząc dzwoniący mu w uszach krzyk synka: „Mamo, drzewa! Uważaj na drzewa!”.

Więc pewnego dnia poszedł do Poily, kiedy już zamykała pracownię, i poprosił, żeby przyszła do niego na drinka, a jeśli wydaje się jej to niewłaściwe, zaprosiła go do siebie.

Siedzieli w jego (we właściwej — poprawił wewnętrzny głos) kuchni, on pił kawę, ona herbatę. Zacinając się, niepewnie, Alan opowiedział jej o swym koszmarze.

— Jeśli to tylko możliwe, chciałbym się dowiedzieć, czy Annie miała okresy depresji, których nie dostrzegłem albo o których nie wiedziałem. Czy zachowywała się irracjonalnie? Chciałbym wiedzieć... — zaciął się, nie wiedząc, co dalej. Słowa, które miał powiedzieć, nie przechodziły mu przez gardło. Czuł się tak, jakby kanał komunikacyjny między jego nieszczęsnym, zmaconym umysłem a ustami stawał się coraz węższy i płytszy, a wkrótce miał w ogóle zostać zamknięty. Zebrał się w sobie i zdołał wypowiedzieć następane zdanie.

— Chciałbym wiedzieć, czy miała skłonności samobójcze. Rozumiesz, zginęła nie tylko Annie. Był z nią Todd i jeśli były jakieś oznaki, oznaki... których nie dostrzegłem, to ja też jestem odpowiedzialny za jego śmierć. Więc uważam, że jest to coś, co



powiniennem wiedzieć.

Na tym poprzestał. Serce waliło mu w piersi. Otarł czoło i zdziwił się trochę, kiedy poczuł na dłoni pot.

— Alan... — Poiły położyła dłoń na jego dłoni. Patrzyła mu prosto w oczy ciemnoniebieskimi oczami — ...gdybym widziała coś podobnego i nie powiedziała nikomu, ponosiłabym za to wszystko winę równą tej, jaką najwyraźniej chcesz przypisać sobie.

Pamiętał, że spojrzał na nią z otwartymi ustami. Poiły mogła dostrzec w zachowaniu Annie coś, co on sam przeoczył — Alan poprzestał na tej konstatacji. Fakt, że jeśli zauważy się u kogoś nienormalne zachowanie, powinno się o nim komuś powiedzieć, całkowicie umknął jego uwagi. Aż do tej chwili.

— Więc ty nic nie widziałaś? — spytał w końcu.

- Nie. Nie potrafię przestać o tym myśleć. Nie mam zamiaru umniejszać twego żalu ani poczucia straty, ale nie jesteś jedynym człowiekiem, który nie przestaje myśleć o okolicznościach śmierci Annie. Przypominałam sobie wszystko, co zaszło w ciągu tych ostatnich dwóch tygodni, aż zakręciło mi się w głowie. Analizowałam jej zachowanie, nasze rozmowy, a wszystko w świetle tego, co wykazała autopsja. Robię to teraz jeszcze raz, bo powiedziałeś mi o butelce aspiryny. I wiesz co?

- Nie.

- Nic — powiedziała Poiły bez nacisku, co uczyniło to jedno słowo dziwnie przekonującym. — Kompletnie nic. Były chwile, kiedy wydawało mi się, że jest dziwnie blada. Pamiętam, że parę razy podczas fastrygowania albo rozpakowywania materiałów mówiła do siebie. To najdziwniejsze jej zachowanie, jakie zauważyłam, a ja sama często się tak zachowuję. A ty?

Alan tylko skinął głową.

— Zazwyczaj była po prostu taka, jaką ją poznałam: wesoła, przyjacielska, pomocna... dobra przyjaciółka.

— Ale...

Poiły nadal trzymała go za rękę. W tym momencie lekko zacisnęła palce.

- Nie, Alan. Nie ma żadnego ale. Ray Van Allen też to robi...

poniedziałkowa chandra, tak to chyba nazywają. Czy winisz i jego?

Czy sądzisz, że Ray jest winny temu, iż nie rozpoznał guza?

- Nie, ale...

• A co ze mną? Pracowałam z nią przez całe dni, większość czasu siedziałyśmy obok siebie, razem piłyśmy kawę o dziesiątej, razem jadałyśmy lunch o dwunastej i znów piłyśmy kawę o trzeciej.

W miarę upływu czasu, kiedy poznawałyśmy się coraz lepiej i coraz bardziej się zaprzyjaźniałyśmy, rozmawiałyśmy bardzo szczerze. Wiem, że sprawiała jej wielką radość jako przyjaciel i jako kochanek, wiem, że kochała chłopców, lecz czy na skutek choroby myślała o samobójstwie... nie, tego już nie wiedziałam.

Więc powiedz: czy winisz mnie? — Czystymi, niebieskimi oczami

Poiły patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie, ale...

Znów zacisnęła palce wokół jego dłoni, lekko, lecz rozkazująco.

— Chcę cię o coś zapytać. To ważne, więc przemyśl sobie odpowiedź.

Alan skinął głową.

— Ray był jej lekarzem i jeśli były jakieś objawy, nie za uważał ich. Ja byłam jej przyjaciółką i nic nie zauważyłam. Ty byłeś jej mężem i jeśli były jakieś objawy, też nic nie zauważyłeś. Uważasz, że to wszystko, że nikogo innego nie było, ale się mylisz.

- Kogo masz na my...?
- Alan, a co mówił Todd?

Alan tylko się w nią wpatrywał, nic nie pojmując. Miał wrażenie, że powiedziała coś w jakimś obcym języku.

- Todd — powtórzyła Poiły i tym razem w jej głosie słychać

było zniecierpliwienie. — Todd, twój syn. Twój syn, który nie daje ci spać w nocy. O niego chodzi, prawda? Nie o Annie?

- Tak. O niego. — Alan powiedział to wysokim, drżącym głosem, zupełnie innym niż normalnie, i poczuł, jak się coś w nim zmienia, coś wielkiego, coś absolutnie podstawowego. Nawet teraz, leżąc w łóżku Poily, pamiętał tę chwilę przy kuchennym stole z niemal nadnaturalną jasnością: jej dłoń na jego dłoni oświetlona skośnym promieniem popołudniowego słońca, jej włosy jak ciemne złoto, jej jasne oczy, jej łagodna nieustępliwość.

- Czy zmusiła Todda, żeby wsiadł z nią do samochodu? Czy Todd kopał? Krzyczał? Czy z nią walczył?

- Nie, oczywiście, że nie, przecież była jego mat...

- Kto wpadł na pomysł, żeby Todd pojechał tego dnia do sklepu? Ona czy on? Pamiętasz?

Już miał powiedzieć, że nie, ale nagle sobie przypomniał. Słyszał ich głosy dolatujące z dużego pokoju. Siedział przy biurku, przeglądając nakazy rewizji z całego hrabstwa.

*Muszę jechać do Hemphilla, Todd. Pojedziesz ze mną?*

*A będę mógł przejrzeć najnowsze kasety wideo?*

*No, chyba tak. Zapytaj tatę, czy czegoś chce.*

- To był jej pomysł — powiedział Poily.

- Jesteś pewien?

- Tak. Ale Annie go po prostu spytała! Niczego mu nie rozkazywała.

To coś, co zaczęło się w nim poruszać, poruszało się dalej. *Zaraz się przewróci* — pomyślał — i wyrąbie w ziemi wielką dziurę, bo korzenie zapuściło mocno i głęboko.

— Czy Todd się jej bał?

Poily niemal go przesłuchiwała, tak jak on przesłuchiwał doktora Van Allena, ale jakoś nie potrafił jej przerwać. Nie był nawet pewien, czy chce. O coś tu chodziło, z pewnością — o coś, o czym nawet nie pomyślał podczas wszystkich tych bezsennych nocy. O coś, co ciągle żyło.

- Czy Todd bał się Annie? Chryste, nie!
- Nawet przez te ostatnie kilka miesięcy?
- Nigdy!
- Kilka tygodni?
- Poily, zrozum, ja się wtedy nie bardzo nadawałem do jakichś dokładniejszych obserwacji. Coś się działo wokół Thada Beaumonta, tego pisarza... coś zwariowanego.

• Twierdzisz, że byłeś tak zajęty, że nie zauważałeś nawet obecności Annie i Todda i w ogóle to prawie nie bywałeś w domu?

— Nie... tak... nie, oczywiście, bywałem w domu, ale...

Dziwnie się czuł jako przesłuchiwany. Prawdę mówiąc, czuł się tak, jakby Poily nastrzykała go nowokainą i użyła w charakterze worka bokserskiego. I ta najważniejsza rzecz, czymkolwiek była, poruszała się nadal, powoli przekraczając granicę, za którą grawitacja zacznie pracować nie po to, żeby ją podtrzymać, lecz żeby ją obalić.

— Czy Todd kiedykolwiek przyszedł do ciebie i powiedział: „Tato, boję się mamusi?”.

- Nie...
- Czy kiedykolwiek przyszedł do ciebie i powiedział: „Tato, mama chyba chce się zabić i zabrać mnie ze sobą”.
- Poily, to śmieszne. Nigdy...
- Powiedział to?
- Nie!
- Czy kiedykolwiek powiedział ci, że mama mówi do siebie albo że dziwnie się zachowuje?
- Nie...
- Al był wtedy w szkole, prawda?
- A co to ma wspólnego...
- Annie został w gnieździe tylko jeden pisklak. Kiedy ty pracowałeś, w gnieździe byli już wyłącznie oni. We dwójkę.

Razem jedli kolację, razem oglądali telewizję. Pomagała mu odrabiać lekcje...

- Czytała mu książki... — wtrącił Alan niewyraźnym, jakby zupełnie nie swoim głosem, którego sam nie potrafił rozpoznać.
- Annie była prawdopodobnie pierwszą osobą, którą Todd widział rano, i ostatnią, którą widział wieczorem. — Poity nadal ścisnęła jego dłoń. Błagalnie patrzyła mu w oczy. — Jeśli ktokolwiek miał szansę dostrzec, że dzieje się coś niedobrego, to była to osoba, która zginęła razem z nią. Ale Todd nie wspominał o tym ani słowem.

Nagle to coś w jego wnętrzu upadło. Twarz Alana zaczęła się poruszać bez udziału jego woli. Czuł, jak się porusza — jakby w kilkudziesięciu przypadkowych miejscach doczepiono do niej sznurki, za które pociągały jakieś łagodne, lecz stanowcze dłonie. W gardle wyrosła gorąca kula i zatkała je. Policzki w jednej chwili stały się palące. Do oczu napłynęły mu łzy i nagle widział już nie jedną Poity Chalmers, lecz dwie, lecz trzy, lecz wiele, rozszczepionych niczym w pryzmacie. Jego pierś unosiła się i opadała, a jakoś nie udawało mu się zaczerpnąć tchu. Odwrócił dłoń z tą swoją niesamowitą szybkością i chwycił ją za rękę. Musiał sprawić jej straszny ból, ale nawet nie jęknęła.

- Tęsknię za nią — zapłakał, szlochając. — Tęsknię za nimi, Boże, jak strasznie za nimi tęsknię!
- Wiem — odparła spokojnie Poity. — Wiem. Przecież o to właśnie chodzi, że tak strasznie za nimi tęsknisz.

Płakał. Al płakał co noc przez dwa tygodnie i Alan był z nim, pocieszał go jak potrafił, ale sam nie zapłakał ani razu. Aż do dziś. Płacz poniósł go z sobą, gdzie chciał, nie potrafił przestać, nie potrafił się opanować. Nie potrafił złagodzić żalu i wreszcie stwierdził z wielką ulgą, że... wcale tego nie pragnie.

Na ślepo odsunął kubek po kawie, usłyszał, jak w jakimś innym świecie uderza o podłogę i rozbija się. Położył na stole rozgrzaną, pulsującą z bólu głowę, objął ją dłońmi i płakał.

W którymś momencie poczuł, jak podnoszą ją chłodne, łagodne, kalekie dłonie i Poity położyła jego głowę na swych kolanach. Z głową wtuloną w kolana Poity Alan płakał bardzo, bardzo długo.

Dłoń Poity zaczęła ześlizgiwać mu się z piersi. Alan przesunął ją lekko, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że jeśli trąci ją, nawet delikatnie, Poity z pewnością się obudzi. Wpatrując się w

sufit, pytał sam siebie, czy wtedy, w kuchni, świadomie obudziła jego żal. Przypuszczał, że tak właśnie było; wiedziała lub intuicyjnie wyczuła, że przede wszystkim musi wyrazić ten żal, bardziej niż znaleźć odpowiedzi, których najprawdopodobniej i tak *znaleźć* mu się nie uda.

Tak się między nimi zaczęło, choć Alan nie wiedział, że cokolwiek się *zaczyna*; wyglądało to bardziej na koniec. Między tamtym wieczorem a dniem, kiedy wzywając na pomoc całą swą odwagę, wreszcie zaprosił ją na kolację, często przypominał sobie wyraz jej oczu i dotyk dłoni spoczywającej na jego ręce. Wspominał, jak łagodnie, lecz nieustępliwie uświadamiała mu rzeczy, które przeoczył lub zignorował. Przez ten czas próbował sobie także poradzić z innymi uczuciami związanymi ze śmiercią Annie; kiedy już blokada dzieląca go od jego żalu zniknęła, owe inne uczucia zalały go całego. Najważniejszym i najbardziej przygnębiającym z nich była wściekłość na Annie za to, że ukryła przed nim chorobę, którą można było leczyć i wyleczyć... i za to, że wzięła wówczas ze sobą ich syna. O niektórych z owych uczuć rozmawiał z Poily, kiedy siedzieli w „The Birches” tego chłodnego i deszczowego ostatniego dnia kwietnia.

— Przystałeś myśleć o samobójstwie i zaczynasz rozważać możliwość morderstwa — powiedziała. — To dlatego jesteś taki zły, Alan.

Zaczął coś mówić, ale ona tylko pochyliła się nad stołem, na moment mocno przycisnęła jeden ze swych zniekształconych palców do jego warg. Ciii... Tak go tym zaskoczyła, że rzeczywiście ucichł.

- Oczywiście — powiedziała. — Tym razem nie mam zamiaru prawić ci kazań, Alan. Dużo czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni byłam na kolacji z mężczyzną i czuję się tu zbyt dobrze, by bawić się w prokuratora. Ale ludzie nie wściekają się na innych ludzi — w każdym razie tak jak ty jesteś teraz wściekły — za wypadki, chyba że w grę wchodzi wyjątkowa nieostrożność. Gdyby Annie i Todd zginęli dlatego, że zawiodły hamulce scouta, mógłbyś winić siebie za to, że tego nie dopilnowałeś, mógłbyś skarżyć Sonny'ego Jacketta za niedbałe przeprowadzenie przez głądu, ale nie winiłbyś jej, prawda? Prawda?

- Chyba tak.
- Ja wiem, że to prawda. A może był to swego rodzaju wypadek? Pomyślałeś o ataku, bo doktor Van Allen o nim wspo

mniał. Ale czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mogła szarpnąć kierownicą, próbując uniknąć zderzenia z jeleniem? Że mogło to być coś równie prostego?

- Ale pasy...

- Och, zostaw w spokoju te cholerne pasy! — Poily niemal krzyknęła z taką wściekłością, że ludzie przy sąsiednich stolikach aż się ku nim obrócili. — Może bolała ją głowa i dlatego ten jeden jedyny raz nie zapięła pasów? Nie oznacza to przecież, że świadomie się zabiła. Ból głowy — naprawdę ciężki ból głowy — wyjaśniałby także, dlaczego pasy Todda były zapięte. Ale nie o to przecież chodzi.

- No to o co?

- Za wiele jest wątpliwości, żebyś miał prawo tak się wściekać.

A poza tym nawet jeśli twe najgorsze podejrzenia są słuszne, nigdy nie dowiesz się, co zaszło, prawda?

- Oczywiście.

- A jeśli mimo wszystko byś się dowiedział... — spojrzała mu prosto w oczy. Na stoliku pomiędzy nimi paliła się świeca; w jej płomieniu oczy Poily były granatowe, w źrenicach widział małe tańczące światełka. — Przecież guz to też wypadek. Nie ma winnego. Nie ma... jak wy to nazywacie? — sprawcy. Póki tego nie zaakceptujesz, nie mamy szans.

- My?

- My — odparła spokojnie. — Bardzo cię lubię i nie jestem zbyt stara na podjęcie ryzyka, ale jestem wystarczająco stara, by wiedzieć, dokąd doprowadzić mnie mogą uczucia, jeśli im pofolguję. Nie mam więc zamiaru im folgować, póki nie dasz spocząć Annie i Toddowi.

Alan zaniemówił i tylko na nią patrzył. Odwzajemniła się poważnym spojrzeniem i tak siedzieli nad niedojedzoną kolacją w starym wiejskim zajeździe. Płomień z kominka barwił na po-

marańczowo jej gładki policzek i czoło, a za oknem wiatr wygrywał smętną melodię na parapetach.

— Powiedziałaś za wiele? — spytała Poiły. — Jeśli tak, chciałabym, żebyś teraz odwiózł mnie do domu. Nienawidzę czuć się zażenowana niemal tak bardzo, jak nienawidzę ukrywać, co czuję.

Alan sięgnął przez stół i delikatnie dotknął jej dłoni.

— Nie powiedziałaś za wiele — zapewnił ją. — Lubię cię słuchać, Poiły.

Uśmiechnęła się i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Więc będziesz miał swoją szansę — stwierdziła.

I tak to się dla nich zaczęło. Nie mieli poczucia winy, ale zdawali sobie sprawę, że muszą być ostrożni — nie tylko dlatego, że mieszkali w małym miasteczku, on piastował urząd z wyboru, a ona potrzebowała dobrej woli ludzi do egzystencji swojej pracowni, lecz dlatego, że oboje liczyli się z możliwością pojawienia się tego poczucia. Żadne z nich nie było chyba za stare, by zaryzykować, ale oboje byli zbyt starzy na bez troskę. Musieli uważać.

Potem, w maju, po raz pierwszy poszli do łóżka i Poiły opowiedziała mu o okresie między „wtedy” a „teraz”... opowiedziała mu tę historię, w którą nie do końca uwierzył, lecz która upewniła go, że kiedyś dowie się wszystkiego i że wtedy Poiły nie będzie tak uważnie wpatrywała mu się w oczy i nie będzie skubała lewego ucha lewą dłonią. Zdawał sobie sprawę, jak trudno jej było zdradzić to, co zdradziła, więc nie czuł się urażony, że będzie musiał poczekać na resztę. Nie mógł czuć się urażony. Musiał postępować bardzo ostrożnie. Wystarczało mu — zupełnie mu wystarczało — że zakochał się w niej podczas tej długiej, sennej wiosny w Maine.

Teraz, przyglądając się w mroku gipsowemu sufitowi sypialni, zaczął się zastanawiać, czy nie pora porozmawiać znów o małżeństwie. Raz już próbował, w sierpniu, i Poiły znów położyła mu palec na ustach. Ciii... Może...

Ale ogniwa logicznego łańcucha jego myśli zaczęły w tym momencie pękać i Alan zasnął bez najmniejszych kłopotów.

We śnie robił zakupy w jakimś gigantycznym sklepie. Szedł między półkami korytarzem tak długim, że zbiegał się w perspektywie w jeden punkt. W sklepie było wszystko, czego pragnął, lecz na co nigdy nie było go stać: zegarek mierzący ciśnienie krwi, najautentyczniejszy kapelusz-fedora



od Abercrombie & Fitch, ośmiomilimetrowa kamera filmowa Bell and Howell, setki różnych innych rzeczy... a za nim szedł ktoś, tuż za nim, kryjąc się za plecami tak, że nie sposób było go zobaczyć.

— My nazywamy to wszystko marzeniem głupców, przyjacielu — powiedział jakiś głos.

Ten głos Alan znał. Był to głos Wyjątkowego Sukinsyna jeżdżącego czarnym tornado, George'a Starka.

— Ten sklep nazywa się „Koniec wszystkiego” — powiedział głos — bo tu kończy się cały handel i wszystkie usługi.

Alan dostrzegł, jak spomiędzy stosu komputerów Apple stojących pod tabliczką z napisem: ZA DARMO wypelza wąż, wielki pyton z łbem grzechotnika. Odwrócił się, żeby uciec, lecz zatrzymała go silna dłoń o palcach całkowicie pozbawionych linii papilarnych.

— Kupuj — powiedział prosząco głos. — Bierz, co chcesz, przyjacielu. Bierz, co tylko chcesz... i płąć.

Alan wybierał, lecz wszystko, co ujmował w dłoń, zmieniało się w zniekształconą, stopioną kłamrę pasa bezpieczeństwa jego syna.

## Rozdział 8

Danforth Keeton nie miał wprawdzie guza mózgu, ale i tak, siedząc tego sobotniego ranka w gabinecie, cierpiał na straszny ból głowy. Na jego biurku leżał stos oprawionych na czerwono

miejskich ksiąg podatkowych z lat 1982—1989, zaśmiecały je także sterty korespondencji": listy Urzędu Skarbowego Stanu Maine i odbitki wysłanych przez niego odpowiedzi.

Keeton wznosił gmach, który właśnie walił mu się na głowę. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, choć nic nie potrafił na to poradzić.

Wczoraj późnym wieczorem pojechał do Lewiston. Do Castle Rock wrócił o wpół do pierwszej w nocy i aż do rana chodził po gabinecie, podczas gdy jego żona, nafaszerowana środkami uspokajającymi, spała na piętrze. W pewnej chwili zorientował się, że coraz częściej i częściej patrzy na małą szafkę w kącie gabinetu. W szafce tej leżały swetry, w większości stare i zjedzone przez mole, między swetrami zaś ukryte było pudełko, które jego ojciec zrobił, nim dopadła go choroba Alzheimera, kradnąc mu wszystkie umiejętności wraz z całym, całkiem obfitym, zasobem pamięci. W pudełku zaś znajdował się rewolwer.

Odkrył, że coraz częściej i częściej myśli o rewolwerze. Nie żeby chciał go użyć przeciw sobie, a przynajmniej nie zaraz. Rewolwer miał być przede wszystkim na Nich. Na prześladowców.

O wpół do szóstej wsiadł do samochodu i cichymi o świcie uliczkami pojechał do Ratusza. Wszedł po schodach odprowadzany czujnym spojrzeniem Eddiego Warburtona, trzymającego w dłoni szcztokę, a w zębach chesterfielda (szczerozłoty medalik ze świętym Krzysztofem, który Eddie kupił poprzedniego dnia w „Sklepiku

z marzeniami", ukryty był bezpiecznie pod niebieską bawełnianą koszulą). Eddie i Keeton nie zamienili ze sobą ani słowa. Warburton przyzwyczajony był już do tego, że Keeton pojawia się w budynku o najniezwyklejszych godzinach, sam Keeton zaś bardzo dawno temu przestał w ogóle dostrzegać Warburtona.

Danforth Keeton zgarnął papiery, zwalczył impuls każący mu podrzeć je na kawałeczki i porzucić po całym biurze, i zaczął je sortować. Listy Urzędu Skarbowego na jednej kupce, jego odpowiedzi na drugiej. Listy te trzymał w najniższej szufladzie szafki na akta; szufladzie, do której klucz miał tylko on.

Pod podpisem na większości jego listów widniała adnotacja DK/sl. DK to był oczywiście on sam, Danforth Keeton, sl zaś oznaczało Shirley Laurence, sekretarkę, której dyktował i która prowadziła jego korespondencję. Shirley nie prowadziła jednak jego korespondencji z Urzędem Skarbowym, mimo że na listach figurowały jej inicjały.

Pewne karty najlepiej jest trzymać przy orderach.

Segregując listy, machinalnie czytał ich fragmenty.

„...zauważyliśmy rozbieżności w kwartalnym Podatkowym Zeznaniu Miejskim formularz 11 za rok podatkowy 1989...”.

Szybko odłożył list na bok.

„...w związku z wyrywkową kontrolą składek emerytalnych pracowników miejskich za 1987 rok mamy pilne pytanie dotyczące...”.

Do segregatora.

„...według naszej oceny Wasze podanie o przełożenie kontroli wydaje się przedwczesne...”.

Zdania, zdania, zdania przemykały mu przed oczami tak szybko, że czuł się jak na rollercoasterze, który wyrwał się spod kontroli.

„...mamy następujące wątpliwości dotyczące szkółki...”

„...brak potwierdzenia wypełnienia przez Wasze miasto...”

„...inwestycje funduszy stanowych nie zostały przekonywająco rozliczone...”

„...fundusz reprezentacyjny musi zostać rozliczony do...”

„...kwity kasowe nie są dokumentami wystarczającymi...”

„...prosimy o przedstawienie kompletnego rozliczenia funduszu...”.

Ostatni z listów otrzymał! wczoraj. List ten spowodował wyjazd do Lewiston, choć Keeton obiecywał sobie, że jego noga nie postanie więcej na wyścigach, przynajmniej w sezonie kłusaków.

Granat tępo wpatrywał się w to pismo. Głowa pulsowała mu

bólem w rytm uderzeń serca, a po plecach wzdłuż kręgosłupa spływała wielka kropla potu. Pod oczami miał ciemne sińce świadczące o skrajnym wyczerpaniu. Na wardze, od chłodu, zrobił mu się wrzód.

„Urząd Skarbowy, Ratusz Stanowy, Augusta, Maine 04330”.

Ten nagłówek, umieszczony pod pieczęcią stanu, sam w sobie był zarzutem, tekst zaś pod nagłówkiem *zaczynał* się wręcz groźbą.

„Rada Miejska, Castle Rock”.

Tylko tyle. Skończyły się czasy „Drogiemu Dana” i „Szanownego Pana Keetona”. List nie

kończył się życzeniami zdrowia dla całej rodziny. Był chłodny i pełen nienawiści jak cios zadany soplem lodu.

Zapowiadają kontrolę ksiąg miejskich.

Wszystkich ksiąg miejskich.

Ksiąg podatkowych, uchwał o stanowym i federalnym podziale zysków, budżetu policji, budżetu wydziału Terenów Zielonych, chcą nawet sprawdzić księgi dotyczące eksperymentalnej, stanowej szkółki drzew.

Chcą zobaczyć wszystko. Chcą zobaczyć to wszystko do siedemnastego października. Termin upływa za pięć dni.

Chcą.

Oni.

List podpisał stanowy księgowy, stanowy poborca podatkowy i, co wyglądało najgroźniej, stanowy prokurator generalny, główny glina stanu Maine. I były to podpisy własnoręczne, a nie przy-stemplowane faksymile.

— Oni — zasyczał nad listem Keeton. Potrząsnął zaciśniętą pięścią, w której go trzymał; papier zaszeleścił cicho. Wyszczrzył zęby na list. — Oooniiii!

Rzucił arkusz papieru na wierzch kupki. Zamknął segregator. Segregator opatrzony był schludnie wydrukowaną nalepką: „Korespondencja. Urząd Skarbowy Stanu Maine”. Keeton przez chwilę przyglądał się zamkniętemu segregatorowi. Nagle wyrwał wieczne pióro z futerału (pióro to wraz z futerałem były darem Klubu Młodych Biznesmenów) i wielkimi, krzywymi literami, drżącą ręką, dopisał na etykietce: „Gówniany Urząd Stanu Maine”. Pomyślał chwilę i dodał pod tym: „Urząd Dupków Stanu Maine”. Przez chwilę trzymał pióro niczym nóż w zaciśniętej pięści, a potem rzucił je z wściekłością. Odbiło się od ściany i stuknęło, uderzając o podłogę.

Zamknął także drugi segregator, ten, w którym znajdowały się jego odpowiedzi na listy Urzędu Skarbowego, odpowiedzi, które pisał sam, choć zawsze na ich końcu umieszczał wypisane małymi literami inicjały sekretarki. Odpowiedzi te wymyślał podczas długich bezsennych nocy; w końcu okazało się, że na próżno.

Pośrodku czoła równomiernie pulsowała mu nabrzmiała żyła.

Wstał, odniósł oba segregatory do szafki, włożył je do dolnej szuflady, zatrzasnął ją i sprawdził, czy się zamknęła. Potem podszedł do okna. Patrzył na śpiące miasteczko, oddychając głęboko i starając się uspokoić.

Dopadli go. Prześladowcy. Po raz tysięczny zastanawiał się, kto ich w ogóle na niego napuścił. Gdyby znalazł tego kogoś, tego obrzydliwego Głównego Prześladowcę, wyjąłby rewolwer spod zjedzonych przez mole swetrów i zrobiłby z nim koniec. Ale nie od razu, o nie! Odstrzeliwałby kutasowi kawałki kutasa, każąc mu przy tym śpiewać na głos hymn narodowy!

Może to ten chudy zastępca szeryfa, Ridgewick? Czy to możliwe? Nie wydawał się wystarczająco bystry... ale pozory mylą. Pangborn twierdził, że Ridgewick wypisał ten mandat na jego rozkaz, ale przecież wcale nie musiał mówić prawdy. Wtedy, w toalecie, kiedy Ridgewick powiedział mu „Granat”, w jego oczach błysnęła wiedza, kpina i pogarda. Czy Ridgewick pracował, kiedy przyszły pierwsze listy z Urzędu Skarbowego? Keeton był niemal pewny, że tak. Jeszcze dziś, później, sprawdzi jego kartę. Żeby to potwierdzić.

A co z samym Pangbornem? Pangborn z pewnością był wystarczająco bystry, Pangborn z pewnością go nienawidził (jak wszyscy. Jak wszyscy!) i Pangborn znał mnóstwo ludzi w Augście. Znał Ich. Znał Ich doskonale. Do diabła, dzwonił do Nich codziennie. Rachunki telefoniczne, nawet te za specjalną linię, wołały o pomstę do nieba. A może współpracowali ze sobą? Pangborn i Ridgewick? Może współpracowali.

— Samotny jeździec i jego wierny indiański przewodnik, kurwa ich mać! — Keeton wypowiedział te słowa cicho, uśmiechając się złowrogo. — Jeśli to ty, Pangborn, to pożałujesz. A jeśli to wy dwaj, to obaj pożałujecie. — Powoli zaciskał dłonie w pięści. — Nie będę wiecznie znosił tych prześladowań, wiecie?

Starannie wymanikiurowane paznokcie wbiły mu się głęboko w ciało. Nie zauważył nawet, kiedy z rozcięć zaczęła płynąć krew. Może winny jest Ridgewick, może Pangborn, może Melissa Clut-terbuck, oziębła suka pełniąca funkcję skarbnika miejskiego, może Bili Fullerton, zastępca przewodniczącego rady (Keeton wiedzieli

z pewnością, że Fullerton chce jego posady i nie spocznie, póki jej nie dostanie), może...

Może oni wszyscy?

Wszyscy razem.

Wypuścił powietrze z płuc w długim, drżącym westchnieniu. Para osiadła kwiatkiem na wzmocnionym szkle szyb jego gabinetu. Prawdziwy problem brzmiał: co z tym zrobić? Co ma z tym zrobić od dzisiaj do siedemnastego tego miesiąca? Co ma zamiar z tym zrobić?

Na to pytanie istniała tylko jedna, w rzeczywistości bardzo prosta, odpowiedź.

Nie miał zielonego pojęcia.

Jako młody człowiek Danforth Keeton wiódł życie całkowicie czarno-białe i bardzo mu się to podobało. Poszedł do liceum w Castle Rock. Zaczął pracować w rodzinnym biznesie — salonie chevroleta — kiedy miał czternaście lat, myjąc wozy testowe i polerując samochody wstawiane do salonu. „Keeton Chevrolet” był jednym z najstarszych salonów tej firmy w Maine i stanowił fundament całej finansowej budowli wzniesionej przez ród Keetonów, a była to bardzo solidna budowla, przynajmniej do niedawna.

Podczas czterech lat nauki w liceum Danforth był Granatem prawie dla każdego. Potem skończył kursy handlowe z solidną czwórką, właściwie samodzielnie prowadząc całą radę studencką. Studiował w Szkole Handlowej Traynora w Bostonie. U Traynora miał same piątki; dyplom zrobił trzy semestry przed terminem. Kiedy wrócił do Castle Rock, bardzo szybko i bez najmniejszego problemu dał wszystkim do zrozumienia, że czasy Granata się skończyły.

Żył dobrym życiem aż do chwili, kiedy przed dziewięciu, może dziesięciu laty wraz ze Steve'em Frazierem pojechał do Lewiston. Wtedy zaczęły się jego kłopoty, wtedy to w jego czarno-białe życie wdarły się różne odcienie szarości.

Keeton nigdy nie grał. Nie grał jako Granat w liceum, nie grał jako Dań w Bostonie, nie grał jako pan Keeton z „Chevroleta” i Rady Miejskiej. O ile wiedział, w jego rodzinie nie grał nikt, nie pamiętał nawet, by umilano sobie czas takimi niewinnymi rozrywkami jak poker na zapalki albo brydż po cencie za punkt.

Nikt niczego nikomu nie zabraniał, nie było przykazania zaczynającego się od „nie będziesz...”, po prostu nie grano. Keeton nigdy w życiu się nie założył, nigdy w życiu nie postawił na nic aż do tej pierwszej wyprawy na wyścigi w Lewiston, tej ze Steve'em Frazierem. Nigdy w życiu nie postawił też na nic poza wyścigami w Lewiston. Nie musiał. Tor w Lewiston sam w sobie najzupełniej wystarczył, by doprowadzić go do ruiny.

Był wówczas drugim zastępcą przewodniczącego Rady. Steve Frazier, od jakichś pięciu lat w grobie, pełnił funkcję przewodniczącego. Keeton i Frazier wybrali się „na miasto” (zawsze mówiono tak o wypadach do Lewiston) wraz z Butchem Nedeau, kontrolerem miejskiego funduszu ubezpieczeniowego, i Harrym Samuelsem, który był członkiem Rady przez większość swego dorosłego życia i miał prawdopodobnie umrzeć jako jej członek. Okazją do wyjazdu była stanowa konferencja urzędników hrabstw poświęcona nowym prawom podziału zysków... no i oczywiście to podział zysków spowodował większość problemów Keetona. Bez podziału zysków Keeton kopałby

sobie grób łopata, dzięki podziałowi zysków mógł użyć do tego finansowego buldożera.

Konferencja trwała dwa dni. Pod koniec pierwszego Steve Frazier zaproponował, żeby się gdzieś wybrali, zażyli uciech wielkiego miasta. Butch i Harry odmówili. Keeton również nie spodziewał się interesującego wieczoru w towarzystwie Fraziera — grubego dupka z kurzym mózdzkiem. Przyjąłby jednak jego ofertę, nawet gdyby Steve kazał mu czyścić kible w piekle. W końcu to on był przewodniczącym. Harry Samuels mógł sobie przeżyć życie jako trzeci czy drugi zastępca, Butch Nedeau już oznajmił, że nie będzie się ubiegał o drugą kadencję... lecz Danforth Keeton był człowiekiem z ambicjami — a kluczem do jego ambicji był ten właśnie gruby dupek.

Więc „skoczyli na miasto”, zatrzymując się najpierw w „Świątoszku”. „Grzesz w Świątoszku” — brzmiało wypisane nad drzwiami motto i Frazier zabrał się do grzeszenia z zapalem, pijąc whisky z wodą, jakby w wodzie nie było ani odrobiny whisky i gwizdząc na striptizerki, wszystkie stare, wszystkie grube, wszystkie powolne. Keeton miał wrażenie, że wszystkie są również na prochach. Pamiętał, jak pomyślał wówczas, że będzie to długi wieczór.

A potem poszli na wyścigi i wszystko się zmieniło.

Trafili na piątą gonitwę. Frazier zapędził protestującego Keetona do okienka jak pies pasterski zaganiający do stada zbłąkaną owieczkę.

Steve, nie mam o tym najmniejszego pojęcia...

- I nie ma to najmniejszego znaczenia — stęknął wesoło Frazier, dmuchając mu w twarz oparami szkockiej. — Będziemy dziś mieli szczęście, Granat, już ja to czuję.

Keeton nie miał pojęcia, jak gra się na wyścigach, a nieprzerwana gadanina Fraziera uniemożliwiła mu słuchanie, co mówią inni, podchodząc do dwudolarowego okienka. Kiedy wreszcie się przed nim znalazł, podał kasjerowi pięciodolarówkę i powiedział: „Numer cztery”.

- Pierwszy, drugi czy trzeci? — spytał kasjer. Keeton usłyszał jego pytanie, ale przez moment nie był po prostu w stanie odpowiedzieć. Za plecami kasjera dostrzegł coś wręcz zdumiewającego. Trzej urzędnicy liczyli i banderolowali góry banknotów; takiej ilości gotówki nie widział jeszcze nigdy!

- Pierwszy, drugi czy trzeci? — powtórzył niecierpliwie kasjer. — Pospiesz się, przyjacielu, tu nie biblioteka.

- Pierwszy — powiedział Keeton. — Nie miał pojęcia, o co

chodzi z tym drugim i trzecim, ale słowo „pierwszy” rozumiał bezbłędnie.

Kasjer rzucił mu bilet i trzy dolary reszty —jedynekę i dwójkę. Kiedy stawał Frazier, Danforth w zdumieniu przyglądał się dwójce. Wiedział oczywiście, że istnieją banknoty dwudolarowe, ale chyba nigdy przedtem żadnego z nich nie widział. Był na nich portret Thomasa Jeffersona. Ciekawe. W gruncie rzeczy wszystko tu było ciekawe — zapach koni, popcornu i orzeszków, spieszące się tłumy, atmosfera niecierpliwości. To miejsce żyło w sposób, który natychmiast rozpoznał i na który natychmiast zareagował. Znał ten rodzaj... czujności... z własnego doświadczenia, tak, znał to doskonale, lecz po raz pierwszy zetknął się z tym w wielkim świecie. Danforth „Granat” Keeton, który rzadko czuł się tego świata częścią — tak właściwie to jeszcze nigdy się nią nie poczuł — znalazł tu miejsce dla siebie^ Miejsce wręcz doskonałe.

- Znacznie to ciekawsze niż „Świątoszek” — powiedział, kiedy Frazier wreszcie do niego dołączył.

- Aha. Wyścigi zaprzęgów to niezła zabawa. Nie zastąpią ligi, ale wiesz, jak to jest. Chodź, pójdziemy na trybuny. Na który numer postawiłeś?

Keeton nie pamiętał. Wygrzebał bilet i przyjrzał mu się dokładnie.

- Na czwórkę — powiedział.
- Drugie czy trzecie?

— No... pierwsze.

Frazier potrząsnął głową z dobroduszną pogardą i klepnął go w ramię.

— Obstawianie zwycięzcy to zakład dla frajerów, Granat. To dla frajerów, nawet jeżeli tablica zakładów mówi zupełnie co innego. Ale jeszcze się nauczysz.

No tak, oczywiście. Oczywiście Keeton nauczył się wszystkiego.

Gdzieś odezwał się dzwonek donośnym „brrrrr...rrank” i Danforth Keeton aż podskoczył na ten dźwięk. Przez głośniki poniósł się po terenie wyścigów okrzyk: „Poooszły!”. Tłum zagrzemiał rykiem, a Danforth poczuł coś jakby elektryczny wstrząs przesywający ciało. Po torze zadudniły końskie kopyta. Jedną ręką Frazier złapał go za ramię, łokciem drugiej utorował sobie drogę aż do barierki. Stali niespełna dwadzieścia metrów od linii mety.



Spiker komentował wyścig. Na pierwszym okrążeniu prowadziła Moja Piękna, drugi był numer ósmy, Zorane Pole, trzeci numer pierwszy, Jak Ci? Numer czwarty nazywał się Oczywiście — najgłupsze imię dla konia, jakie udało się usłyszeć Keetonowi — i szedł jako szósty. Keetona nic to nie obchodziło. Trwał nieruchomo, zachwycony kłusującymi końmi o skórze lśniącej w blasku reflektorów, zachwycony wirującymi kołami powozów z poślizgiem pokonujących zakręty i jaskrawymi jedwabnymi strojami woźniców.

Na przeciwległej prostej Zorane Pole zbliżył się do Mojej Pięknej. Moja Piękna straciła rytm i Zorane Pole ją wyprzedził. W tej samej chwili Oczywiście zaczęła przesuwać się do przodu po zewnętrznej; Granat dostrzegł ją, jeszcze nim jego obserwacje poświadczył boski głos spikera, grzmiący przez głośniki. Nie czuł nawet, jak Frazier szturcha go łokciem w żebra, nie słyszał jego wrzasku: „Twój typ, Granat, twój typ ma szansę!”.

Konie szły po prostej do mety, przy której obaj stali. Tłum wył. Keeton znów poczuł cios elektryczności; nie iskrę tym razem, lecz uderzenie pioruna. Ryczał wraz z tłumem, następnego dnia chrypiał tak strasznie, że mógł mówić tylko szeptem.

- Dawaj, Oczywiście, dawaj, ty suko. Galopem!
- Kłusem! — poprawił go Frazier, śmiejąc się tak, że aż łzy ciekły mu po policzkach. — „Dawaj, ty suko. Kłusem!” — tak powinienes krzyczeć.

Keeton nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Żył w jakimś innym świecie. Telepatycznie wysyłał Oczywiście promieniowanie z mózgu, promieniowanie dodające jej siły na finiszu.

— Zorane Pole pierwszy, Jak Ci, Jak Ci i Zorane Pole —  
grzmiał boski głos spikera — Oczywiście przesuwa się do przodu,  
jeszcze dwieście metrów...

Konie, ukryte w chmurze pyłu, były tuż przy nich. Oczywiście kłusowała z wygiętym w łuk grzbietem i wyciągniętym łbem, minęła Jak Ci i Zorane Pole, goniącego resztkami sił, wyprzedziła go dokładnie w miejscu, w którym stali Keeton i Frazier. Powiększała przewagę aż do linii mety.

Kiedy na tablicy pojawiły się wyniki, Keeton spytał Frazier, co właściwie oznaczają wszystkie te numerki. Frazier zerknął na jego bilet i spróbował zagwizdać, ale mu nie wyszło.

- Odzyskałem pieniądze? — spytał zaniepokojony Danforth.
- Lepiej, Granat, troszkę lepiej. Oczywiście obstawiano trzy dzieci do jednego.

Tej nocy Keeton wyszedł z wyścigów bogatszy o nieco ponad trzysta dolarów. Tak narodziła się jego obsesja.

Zdjął płaszcz ze stojącego w rogu gabinetu wieszaka, włożył go, ruszył w stronę drzwi i zatrzymał się z dłonią na klamce. Obejrzał się. Na ścianie naprzeciw okna znajdowało się lustro. Przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z głębokim zastanowieniem, a potem zdecydował się sprawdzić. Wiedział, jak Oni używają luster, oczywiście, że wiedział. Przecież nie urodził się wczoraj.

Zbliżył twarz do lustra, nie zwracając najmniejszej uwagi na odbicie swej bladej twarzy. Przyłożył dłonie do oczu, odcinając blask światła, i zmrużył je. Wypatrywał umieszczonej za lustrem kamery. Szukał Ich.

Pod długiej chwili zrobił krok do tyłu, niedbale przetarł zabrudzone szkło rękawem płaszcza i wyszedł z biura. Na razie nic — co nie oznacza przecież, że Oni nie pojawią się w nocy, nie zdejmą zwykłego lustra i nie umieszczą na jego miejscu jednostronnego. Szpiegowanie to jedno ze stałych zajęć Prześladowców. Od dziś będzie sprawdzał lustro codziennie.

— Poradzę sobie — oznajmił pustemu korytarzowi na piętrze. — Uwierzcie mi, doskonale sobie poradzę.

Eddie Warburton mył podłogę na parterze; nie podniósł nawet wzroku na Keetona, kiedy ten wychodził na ulicę.

Samochód stał na parkingu z tyłu, ale Keetonowi nie chciało się prowadzić. Był zbyt wytrącony z równowagi, by sięść za kierownicą; gdyby spróbował, prawdopodobnie wjechałby przez wystawę do czyjegoś sklepu. Zagubiony w rzeczywistości mózg nie poinformował go także, że zamiast do domu idzie w przeciwnym kierunku. Był sobotni ranek, godzina siódma piętnaście; w małym centrum Castle Rock oprócz Granata nie było nikogo.

Przez moment myślał o tej swej pierwszej nocy na wyścigach w Lewiston. Wszystko mu się

wtedy układało, po prostu nie mógł przegrać. Za to Frazier przegrał trzydzieści dolarów i po dziewiątej gonitwie oznajmił, że wychodzi. Keeton stwierdził, że zostanie jeszcze przez chwilę. Nie patrzył na Frazier'a i prawdę mówiąc, nie zauważył, kiedy Frazier wyszedł. Pamiętał, jak ucieszył się, że nie ma już przy nim nikogo mówiącego mu przez cały czas: Granat to, Granat tamto. Nie znosił swego przezwiska i Steve oczywiście o tym wiedział, inaczej by go nie używał.

W następnym tygodniu wrócił na wyścigi, sam, i przegrał sześćdziesiąt dolarów z poprzedniej wygranej. Nie obeszło go to. Choć często wspominał góry banderolowanych banknotów, nie chodziło mu o pieniądze, a przynajmniej nie tylko o pieniądze; pieniądze były wyłącznie pamiątką, którą zabierało się ze sobą, czymś, co przypominało człowiekowi, że choćby na krótko, jest aktorem w wielkim przedstawieniu. Naprawdę chodziło mu o to wielkie, miazdzące podniecenie, które czuło się, kiedy brzęczał dzwonek, kiedy z hukiem otwierały się boksy startowe, kiedy spiker krzyczał: „Poooszły!”. Chodziło mu o ryk tłumu, gdy konie łeb w łeb wychodziły na przeciwną prostą, i histeryczne wrzaski z trybun, gdy brały wiraż, gdy już zbliżały się do mety. Było w tym życie, prawdziwe życie, było w tym tyle życia...

...tyle życia, że aż się przestraszył.

Postanowił, że da sobie spokój. W końcu życie miał dokładnie zaplanowane. Gdy Steve Frazier wyciągnie wreszcie kopyta, zostanie przewodniczącym Rady Miejskiej, a po sześciu—siedmiu latach wygra wybory do kongresu. Później... kto wie? Jakiś federalny urząd z pewnością nie jest poza zasięgiem człowieka ambitnego, zdolnego i najzupełniej... normalnego.

Tu tkwił prawdziwy problem wyścigów. Keeton nie od razu zdał sobie sprawę z tego, na czym polega, ale zorientował się wystarczająco szybko. Szedłeś na wyścigi, wykladałeś pieniądze, brałeś bilet... i na krótką chwilę żegnałeś się z normalnością. Tymczasem on miał w rodzinie zbyt wiele przypadków szaleństwa,

by czuć się na wyścigach zupełnie swobodnie. Wyścigi były wilczym dołem o natłuszczonych ścianach, potrzaskiem z ukrytymi zębami, nabitą strzelbą z wymontowanym bezpiecznikiem. Wchodził na tor i nie potrafił wyjść przed końcem ostatniej gonitwy. Zdawał sobie z tego sprawę, bo próbował. Raz doszedł już nawet do bramek, nim zawróciło go coś, co zrodziło się w jego głowie, coś potężnego, tajemniczego i gadziego, co przejęło kontrolę nad jego ciałem. Bał się, że obudzi tego gada definitywnie. Lepiej pozwolić mu spać.

Przez trzy lata pozwolił gadowi spać. W 1984 roku Steve Frazier odszedł na emeryturę i Danforth Keeton wybrany został na przewodniczącego. Wówczas zaczęły się prawdziwe kłopoty.

Pojechał na wyścigi uczcić zwycięstwo, a skoro już czcił zwycięstwo, poszedł na całość. Ominął kasy za dwa i pięć dolarów; poszedł wprost do dziesięciodolarowej. Przegrał sto sześćdziesiąt dolarów — za dużo, żeby się tym nie przejmować (żonie powiedział, że stracił czterdzieści), ale za mało, żeby się martwić. O wiele za mało.

Wrócił na tor po tygodniu, pragnąc się odegrać, wyjść na zero. Prawie mu się udało. Prawie — to było najważniejsze słowo. Wtedy też prawie wyszedł z wyścigów. W następnym tygodniu przegrał dwieście dziesięć dolarów — co stanowiłoby dziurę w ich bieżącym rachunku, którą Myrtle musiałaby zauważyć. Więc pożyczył sobie trochę z miejskiego „funduszu gotówkowego”. Sto dolarów. Tyle co nic.

Zdarzenia, które nastąpiły potem, zaczęły mu się zlewać w jedno, Wilczy dół o wysmarowanych tłuszczem ścianach; kiedy już zacząłeś się zsuwać, nic nie jest w stanie ci pomóc. Można marnować energię, drapać ściany, zwolnić tempo upadku; to oczywiście przedłuży tylko cierpienia.

Jeśli istniał w ogóle punkt bez powrotu, Keeton przekroczył go w lecie 1989 roku. W lecie biegi kłusaków odbywały się co wieczór, a on w drugiej połowie lipca i przez cały sierpień nie opuścił chyba ani jednego. Przez jakiś czas Myrtle myślała, że wyścigi to tylko wymówka, że ma kochankę; jakie to śmieszne — naprawdę śmieszne. Keetonowi nie stanąłby już, nawet gdyby sama Diana zjechała rydwanem z Księżycy z chlamidą rozpiętą do pięt i tabliczką: „Pieprz mnie, Danforth”, na szyi. Wystarczyło, by uprzytomnił sobie, ile wziął ze skarbca miejskiego, i jego biedny mały małał do rozmiarów gumki z chińskich ołówków.

Kiedy Myrtle wreszcie przekonała się, że to prawda, że chodzi tylko o konie, poczuła ulgę. Konie trzymały go z dala od domu, gdzie zachowywał się jak tyran, a jej się wydawało, że nie może przegrywać za wiele, bo stan konta nie wahał się dramatycznie. Danforth znalazł sobie po prostu hobby, hobby mężczyzny w średnim wieku.

To tylko wyścigi — pomyślał Keeton, idąc główną ulicą z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza. Roześmiał się na tę myśl cienkim histerycznym śmiechem; głowy obróciłyby się na dźwięk tego śmiechu, gdyby oprócz niego był tu ktoś jeszcze. Myrtle pilnowała konta bieżącego. W głowie nie powstała jej myśl, że spieniężył akcje — oszczędności całego ich życia. Nie wiedziała, że „Keeton Chevrolet” balansuje na granicy przepaści. O tym wiedział tylko on.

Myrtle pilnowała konta bieżącego.

On był przysięgłym księgowym.

Jeśli chodzi o malwersacje, przysięgli księgowi radzą sobie z nimi lepiej od zwykłych ludzi, ale puszka Pandory musi się prędzej czy później otworzyć, nie pomoże sznurek ani taśma klejąca. Jego puszka *zaczęła*, się otwierać na jesieni 1990 roku. Robił, co mógł, żeby się nie otworzyła, pieszcząc nadzieję na wielką wygraną. Znalazł już bukmachera, u którego mógł stawiać więcej, niż przyjąłaby kasa.

Co nie odmieniło szczęścia.

W lecie tego roku zaczęły się prawdziwe prześladowania. Przedtem Oni tylko się z nim bawili. Teraz zabawa się skończyła, a Armageddon wyznaczony został za niespełna tydzień.

Dorwę Ich — pomyślał Keeton. Jeszcze mnie nie załatwili. Nadal mam kilka asów w rękawie.

Problem w tym, że nie wiedział, co rzeczywiście w tym rękawie ma.

Nie szkodzi. Jest sposób. Wiem, że istnieje jakiś...

W tym momencie przestał myśleć. Zamarł przed tym nowym sklepem, „Sklepikiem z marzeniami”. To, co zobaczył na wystawie, błyskawicznie wywiało mu z głowy wszystkie inne myśli.

Na wystawie leżało prostokątne tekturowe pudełko z jaskrawym obrazkiem na wierzchu. Pewnie jakaś gra — pomyślał. Tylko że była to gra w wyścigi, i mógłby przysiąc, że dwa kłusaki na obrazku mijające łeb w łeb linię mety biegną po torze w Lewiston. Jeśli to nie jego główna trybuna tam, w tle, to niech się zmieni w małą!

Gra nazywała się „Wielka wygrana”.

Keeton stał i przyglądał się jej przez niemal pięć minut, niczym dzieciak zahipnotyzowany jeżdżącymi po wystawie wielkiego supermarketu elektrycznymi kolejkami. Potem wszedł pod ciemnozieloną markizę, by sprawdzić, czy sklep otwarty jest w sobotę. Na drzwiach wisiała tabliczka, oczywiście, a na niej wypisane było tylko jedno słowo, a słowo to, oczywiście, brzmiało: OTWARTE.

Keeton wpatrywał się w nie przez chwilę, pewny — jak wcześniej Brian Rusk — że wisi na drzwiach przez pomyłkę. Sklepy na głównej ulicy Castle Rock nie otwierają się o siódmej, a już zwłaszcza w sobotni rano. Mimo wszystko spróbował przekręcić klamkę.

Klamka gładko obróciła mu się w dłoni.

Kiedy otwierał drzwi, nad głową zadzwonił mały srebrny dzwoneczek.

— Tak naprawdę to wcale nie jest gra — mówił w pięć minut później Leland Gaunt. — Myli się pan.

Keeton siedział na miękkim krześle z wysokim oparciem, na którym w tym tygodniu siedzieli już przed nim Nettie Cobb, Cyndi Rosę Martin, Eddie Warburton, Everett Frankel, Myra Evans i wielu innych obywateli miasteczka. W ręku trzymał filiżankę doskonałej jamajskiej kawy. Gaunt, który wydawał się cholernie przyzwoitym facetem jak na cepa z równin, nalegał, by poczęstować go kawą, a teraz właśnie sięgał na wystawę i ostrożnie zdejmował z niej pudełko z „Wielką wygraną”. Miał na sobie wiśniową bonzurkę, klasa sama w sobie, i był uczesany tak starannie, że nie odstawał mu od głowy ani jeden włos. Powiedział Keetonowi, że otwiera w różnych dziwnych godzinach, bo cierpi na bezsenność.

— Od młodości — wyjaśnił ze smutnym uśmiechem — a młody byłem niestety przed wielu, wielu laty. — Keetonowi wydawał się jednak rzeźki jak wietrzyk — z wyjątkiem oczu, tak przez krwionych, że kolor krwi wydawał się wręcz ich naturalną barwą.

Wydobył wreszcie pudełko i ustawił je na stojącym obok krzesła małym stoliku.

— Zwróciłem uwagę na pudełko — usprawiedliwiał się Danforth. — Wygląda mi to na tor w Lewiston. Bywam tam od czasu do czasu.

— Lubi pan smak wygranej? — uśmiechnął się Gaunt.

Keeton już miał powiedzieć, że nigdy w życiu nie grał, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Uśmiech Gaunta był nie tylko przyjacielski, ale wręcz porozumiewawczy; nagle Granat pojął, że ma oto do czynienia z kimś bardzo do siebie podobnym. Co tylko udowodniało, że strasznie się rozkleił, bo kiedy potrzęsął dłonią tego gościa, poczuł falę obrzydzenia tak nagłą i gwałtowną, że była niemal jak skurcz. Przez chwilę miał nawet całkowitą pewność, że znalazł swojego głównego prześladowcę. Trzeba zacząć uważać, nie ma sensu popaść w obsesję.

— Od czasu do czasu gram — przyznał.

- Niestety, to także moja słabość. — Gaunt spojrzał mu w oczy swymi przekrwionymi oczami i przez moment istniało

między nimi idealne porozumienie... a przynajmniej Keeton był tego całkowicie pewien. — Znam większość torów między Atlantykiem i Pacyfikiem — mówił dalej Gaunt — i jestem prawie pewien, że na tym pudełku jest Longacre Park w San Diego. Niestety, ten tor już nie istnieje. Teraz stoi tam kolonia domków.

- O!

- Proszę pozwolić, że zademonstruję panu tę „grę”. Jestem pewien, że pana zainteresuje.

Otworzył pudełko i ostrożnie wyjął z niego blaszaną miniaturkę toru mniej więcej na metr długą i czterdzieści centymetrów szeroką. Wyglądało to jak zabawka z rodzaju tych, którymi Danforth bawił się jako dziecko — tania zabawka zrobiona w Japonii zaraz po wojnie. Ten tor był miniaturą toru dwumilowego. Znajdowało się w nim osiem wąskich szczelin; na linii startu stało osiem smukłych blaszanych koni, każdy umieszczony na przymocowanej do brzucha podstawie.

- Rany! — westchnął i uśmiechnął się szeroko. Nie uśmiechał się od kilku tygodni; grymas ten wydał mu się dziwnie obcy i nieodpowiedni.

- Niczegoś pan jeszcze nie widział, jak tu mówią — Gaunt odpowiedział mu uśmiechem. — To coś zrobiono na początku lat trzydziestych; ma pan do czynienia z prawdziwym antykiem, panie Keeton. I dla ówczesnych wielbicieli wyścigów nie była to tylko zabawka.

- Nie?

- Nie. Wie pan, co to takiego „wirujący stolik”?

- Jasne. Zadaje się pytania i podobno otrzymuje odpowiedzi ze świata duchów.

— No tak. Wie pan, w czasie Wielkiego Kryzysu gracze twier

dzili, że „Wielka wygrana” to dla nich odpowiednik wirującego stolika.

Znów spojrzął na Keetona przyjaznymi, uśmiechniętymi oczami i Granat poczuł nagle, że nie potrafi odwrócić od nich wzroku, tak jak nie potrafił opuścić toru przed końcem ostatniej gonitwy. Chociaż próbował.

- Niemądre to, prawda? — spytał Gaunt.
- Tak. — Ale wcale nie wydało mu się to niemądre. Wydawało

mu się to stuprocentowo... stuprocentowo...

Racjonalne.

Gaunt wyjął z pudełka mały blaszany kluczyk.

— Za każdym razem wygrywa inny koń — oznajmił. — Wygrana jest zupełnie przypadkowa, mechanizm losowy w tej zabawce jest zapewne bardzo prymitywny, lecz działa. Niech pan patrzy.

Włożył kluczyk do dziurki z boku platformy, na której stały konie, i zaczął go obracać. Z wnętrza gry rozległy się zgrzyty i postukiwania — odgłosy zwijającej się do granic możliwości sprężyny.

- Którego pan wybiera? — spytał.
- Piątkę. — Keeton pochylił się nad „Wielką wygraną”, czując, jak serce zaczyna mu bić mocniej. Zachowywał się głupio (i prawdopodobnie jest to najdobitniejszy dowód nałogu — pomyślał), ale w tym momencie czuł, jak ogarnia go dawne podniecenie.

• Doskonale. Ja stawiam na szóstkę. Założymy się? Zabawa będzie znacznie bardziej interesująca.

- Oczywiście! Ile stawiamy?

• Nie miałem na myśli pieniędzy — wyjaśnił Gaunt. — Od dawna już nie gram o pieniądze, panie Keeton. Gra o pieniądze to najmniej interesujące. Powiedzmy, że jeśli pan wygra, będę panu winien drobną przysługę. Pan wybierze jaką. Jeśli ja wygram, pan będzie winien przysługę mnie.

- A jeśli wygra któryś z pozostałych koni, zakład zostaje



anulowany?

- Zgoda. Gotowy?
- Gotowy. — Keeton w napięciu pochylił się nad miniaturką

toru. Dłonie trzymał zaciśnięte między potężnymi udami.

Pomiędzy stojącymi na starcie końmi znajdowała się mała dźwigienka. „Poszły” — powiedział cicho Gaunt i przełożył ją.

Tłoki i dźwignie ukryte pod miniaturowym torem zaczęły zgrzytać. Konie ruszyły, poruszając się wzdłuż swych szczelin. Z po-

czątku przesuwwały się powoli, drżącymi ruchami, niepewnie, jakby sprężyna — lub cały układ sprężyn — powoli się rozkręcała, na zakręcie jednak zaczęły przyspieszać.

Na czoło wyszła dwójka, za nią szła siódemka, reszta trzymała się razem.

— Dawaj, piątka — krzyknął cicho Keeton. — Dawaj, suko, dawaj!

Jakby słysząc ten jego okrzyk, mały blaszany konik wysunął się przed stawkę. W połowie toru doszedł siódemkę. Szóstka — obstawiona przez Gaunta — także zaczęła nabierać szybkości.

„Wielka wygrana” drżała i wibrowała. Twarz Keetona wisiała nad nią jak wielki, niekształtny księżyc. Kropla potu spadła na małego blaszanego dżokeja dosiadającego małej blaszanej trójki; gdyby dżokej był prawdziwy, i on, i jego koń byliby przemoczeni do suchej nitki.

Na trzecim wirażu siódemka przyspieszyła i zrównała się z dwójką, piątka Keetona walczyła o życie, a na piąty następowała jej szóstka Gaunta. Ta czwórka wysunęła się wyraźnie przed stawkę; konie wibrowały tak mocno, że omal nie wyskoczyły z torów.

— Dawaj, ty wściekła suko! — wrzasnął Keeton. Zupełnie zapomniał, że ma do czynienia wyłącznie z blaszanymi figurkami zaledwie przypominającymi konie. Zapomniał, że jest gościem w sklepie człowieka, którego nigdy przedtem nie widział. Był podniecony jak niegdyś, gdy dopiero zaczynał grać; podniecenie to trzęsło nim jak rozwścieczony pies szczurem. — Dawaj, suko, dawaj, dawaj, dawaj...!

Piątka zrównała się z prowadzącym koniem... i zaczęła wysuwać się przed niego. Szóstka Gaunta prawie się z nią zrównała... ale to piątka pierwsza minęła linię mety.

Mechanizm ukryty w „Wielkiej wygranej” zaczął wyraźnie zwalniać, ale nim ucichł, większość

koni zdołała przekroczyć linię mety. Te, które stanęły wcześniej, Gaunt przepchnął przez nią palcem.

- Jejejej! — powiedział Keeton i dłonią starł pot z czoła. Był kompletnie wyczerpany... lecz czuł się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich długich miesięcy. — Ale zabawa.

- Jak ta lala — przytaknął Gaunt.

- Kiedyś wiedzieli, jak robić takie rzeczy, nie?

- Wiedzieli — przytaknął Gaunt i uśmiechnął się. — No i wygląda na to, że jestem panu winien przysługę.

- Och, nie ma o czym mówić. Ale zabawa!

— Ależ skąd! Dżentelmen zawsze płaci długi. Niech pan mnie tylko uprzedzi, kiedy będzie pan chciał, jak to mówią, wyrównać rachunki.

Wyrównać rachunki.

Rzeczywistość spadła na niego i przygniotła go do ziemi. Rachunki! Musi wyrównać rachunki z Nimi! Oni! Oni zamierzają w czwartek dobrać mu się do skóry... i co wtedy? Co wtedy?

W głowie zatańczyły mu nieuniknione nagłówki gazet z przyszłego tygodnia.

- Chciałby pan wiedzieć, jak wielcy gracze z lat trzydziestych używali tej zabawki? — spytał cicho Gaunt.

- Jasne — odparł Granat, ale tak naprawdę nic go to nie obchodziło... nic go to nie obchodziło, póki nie podniósł wzroku. A kiedy spojrzał w górę, oczy Gaunta chwyciły go, uwięziły i pomyśl, by za pomocą dziecinnej gry typować wygrane na torze, nagle znów nabrał sensu.

- No cóż, brali gazetę albo program i rozgrywali wyścigi, jeden po drugim. Na tej zabawce, wie pan? Każdemu koniowi, w każdej gonitwie, nadawali imię z gazety — robili to, wymawiając imię na głos i jednocześnie dotykając figurki — a potem zaczynał się wyścig. Grali osiem, dziesięć, dwanaście gonitw, a potem szli na wyścigi i obstawiali te konie, które wygrały.

- I to działało? — spytał Keeton. Miał wrażenie, że jego głos

dobiega z jakiegoś innego, bardzo odległego miejsca. Miał wrażenie, że we wzroku Gaunta pływa jak w oceanie. Pływa w czerwonej pianie. Dziwne to było uczucie, ale w rzeczywistości całkiem przyjemne.

- Najwyraźniej tak. Pewnie to tylko głupi przesąd... ale może chciałby pan kupić grę i samemu sprawdzić jej skuteczność?

- Tak — powiedział Keeton.

- Bardzo potrzebujesz wielkiej wygranej, prawda, Danforth? — Więcej niż jednej. Potrzebuję ich całej serii! Ile?

Leland Gaunt roześmiał się.

— No, nie! W ten sposób mnie nie weźmiesz! Przecież już jestem twoim dłużnikiem. Coś ci powiem: otwórz portfel i daj mi pierwszy banknot, jaki z niego wyciągniesz. Jestem pewien, że będzie to właściwy banknot.

Więc Danforth „Granat” Keeton otworzył portfel i — nie odrywając wzroku od oczu Gaunta — wyjął z niego banknot; no i oczywiście był to banknot z portretem Thomasa Jeffersona, banknot, który niegdyś spowodował wszystkie jego kłopoty.

Gaunt schował dwa dolary ze zręcznością magika wykonującego prostą sztuczkę.

- Jest jeszcze coś — powiedział.

- Co takiego?

Gaunt pochylił się. Spojrzał na Keetona z nadzieją, lekko dotknął jego kolana.

— Panie Keeton, czy pan wie o Nich?

Granat sapnął jak człowiek śniący najgorszy koszmar.

- Tak — szepnął. — Wiem.

- Miasto jest Ich pełne — poufnie szeptał Gaunt. — Miasto jest Nimi zarażone. Otworzyłem sklep przed niespełna tygodniem i już zdałem sobie z tego sprawę. Mam wrażenie, że Oni na mnie polują. W rzeczywistości jestem tego całkiem pewien. Być może będę potrzebował pomocy.

- Oczywiście — głos Keetona zaczął nabierać siły. — Na

Boga, pomogę we wszystkim, w czym tylko będę mógł.

— *Zaraz, zaraz*, zaledwie się poznaliśmy i nie jest pan mi nic winien...

Keeton, już całkowicie przekonany, że Gaunt jest najlepszym przyjacielem, jakiego udało mu się zdobyć od dziesięciu lat, otwierał usta, by zaprotestować, kiedy Gaunt podniósł dłoń i protesty natychmiast utknęły mu w gardle.

- ...nie ma pan nawet zielonego pojęcia, czy sprzedałem mu coś, co rzeczywiście działa, czy może tylko głupie marzenia... sny, które przy bliższym sprawdzeniu okazują się koszmarami. Jestem pewien, że teraz wierzy pan we wszystko, co panu opowiedziałem; los obdarzył mnie wielkim darem przekonywania, jeśli wolno mi powiedzieć coś takiego o sobie samym. Ja osobiście wierzę jednak w zadowolonych klientów, panie Keeton, i wyłącznie w zadowolonych klientów. Prowadzę ten interes od wielu lat i reputację zbudowałem sobie wyłącznie na zadowolonych klientach. Więc niech pan weźmie tę zabawkę. Jeśli pomoże, świetnie. Jeśli nie, proszę oddać ją Armii Zbawienia. Co pan straci? Dwa dolce!

- Dwa dolce! — zgodził się sennie Keeton.
- Lecz jeśli „Wielka wygrana” ci pomoże, jeśli pozbędziesz się tych swoich drobnych trosk finansowych, proszę, wróć do mnie. Napijemy się kawy, jak dziś... i porozmawiamy sobie o Nich.
- Tu nie chodzi już o zwrot pieniędzy — stwierdził Keeton

wyraźnym, lecz dziwnie nienaturalnym głosem człowieka mówiącego we śnie. — Zostawiłem więcej śladów, niż da się *zatrzeć* w pięć dni.

- Wiele może się zmienić w ciągu pięciu dni — powiedział z namysłem pan Gaunt i wstał z kocim wdziękiem. — Czekają cię wspaniałe dni... i mnie także.

- Ale Oni! Co z Nimi? — zaprotestował Keeton.

Gaunt położył mu na ramieniu smukłą, chłodną dłoń. Nawet w stanie takiego oszołomienia Keeton poczuł, jak od tego dotyku skręca mu się żołądek.

— Zajmiemy się Nimi później. Proszę się o nic nie martwić.

— John! — krzyknął Alan, gdy tylko John LaPointe wślizgnął się do Biura Szeryfa bocznym wejściem.—Jak to dobrze, że cię widzę!

Była sobota, dziesiąta trzydzieści rano i Biuro Szeryfa wydawało się całkiem opustoszałe. Norris gdzieś tam łowił ryby, Seaton Thomas pojechał w odwiedziny do swych dwóch sióstr — starych panien, Sheila Brigham zaś siedziała w kościele Matki Bożej Spokojnych Wód, pomagając bratu w pisaniu listu do gazety, po raz kolejny wyjaśniającego nieszkodliwą w gruncie rzeczy ideę „Casino Nite”.

Ojciec Brigham pragnął także wyrazić w tym liście swą opinię o tym, że wielebny William Rose jest zwariowany jak szczur, co wpadł w gówna. Oczywiście nie mógł tego tak po prostu napisać — nie w miejscowej gazecie — ale wraz z siostrą robił, co mógł, by czytając ich list, wszyscy bez problemu zrozumieli, co ma na myśli. Andy Clutterbuck pojechał na patrol; tak przynajmniej Alan sądził, bo Andy nie zameldował się ani razu przez cały czas jego pobytu w biurze. Nim przyszedł John, jedynymi osobami w Ratuszu byli najwyraźniej sam szeryf i Eddie Warburton, naprawiający stojący w rogu automat do napojów.

- Co się dzieje, doktoru? — spytał John, siadając na rogu biurka Alana.

- W sobotni ranek? Niewiele. Ale... tylko popatrz. — Alan odpiął guzik prawego mankietu koszuli i podwinął rękaw. — Zauważ, że nie zdejmuję jednej dłoni z nadgarstka drugiej.

- Dobra, dobra. — John wyjął z kieszeni owocową gumę do żucia, odwinął ze sreberka i wsadził sobie do ust.

Alan pokazał mu otwartą prawą dłoń, odwrócił, demonstrując jej grzbiet, i zwinął w pięść. Lewym palcem wskazującym wydłubał z pięści mały kawałek jedwabiu. Patrząc na Johna, kilkakrotnie uniósł brwi.

- Nieźle, co? — spytał.

- Jeśli to chustka Sheili, to nie będzie zachwycona, kiedy

dostanie ją z powrotem wygniecioną i pachnącą twoim potem — stwierdził John. Nie sprawiał wrażenia człowieka nieprzytomnego z zachwyty.

- Nie moja wina, że zostawiła ją na biurku. A poza tym my, czarodzieje, nie pocimy się. Abrakadabra! — Alan wyciągnął chustkę Sheili z pięści i dmuchnął w nią teatralnie. Chustka pofrunęła w powietrze i osiadła na maszynie do pisania Norrisa Ridgewicka niczym wielki, bajecznie kolorowy motyl. Alan spoj rzał na Johna i westchnął. — Nie zachwyciłem cię, co?

- Bardzo fajna sztuczka — odparł John — ale jakby parę razy już ją widziałem. Ze trzydzieści, może czterdzieści.

- A ty co sądzisz, Eddie? — krzyknął Alan. — Nieźle jak na wioskowego gliniarza, co?

Eddie ledwie pofatygował się podnieść głowę znad automatu, który już działał i napelniał się „Wodą Źródlaną” z plastikowych pojemników.

- Nie widziałem, szefie. Przepraszam.
- Obaj jesteście beznadziejni — stwierdził Alan. — Ale pracuję nad nowymi rozwiązaniami. Zwalą cię z nóg, John, obiecuję.
- Dobra, dobra. Powiedz, wciąż chcesz, żebym sprawdził kibelki w tej nowej restauracji na River Road?
- Ciągle chcę.
- Dlaczego ja zawsze dostaję gównianą robotę? Czy Norris nie mógłby...
- Norris sprawdzał toalety na kempingu „Szczęśliwy Szlak” w lipcu i w sierpniu. W kwietniu ja je sprawdzałem. Nie użalaj się nad sobą. Po prostu przyszła twoja kolej. I chcę, żebyś pobrał także próbki wody. Użyj tych specjalnych naczynek, które przysłali nam z Augusty. Jest ich trochę w szafce w holu. Chyba widziałem je za pudełkiem z krakersami Norrisa.
- Dobra, załatwię to. Zaryzykuję jednak twierdzenie, że nadal się nad sobą użalam, i powiem ci, że test wody należy do obowiąz

ków właściciela. Wiem, bo to sprawdziłem.

- Oczywiście, masz rację, ale my tu mamy do czynienia z Timmym Gagnonem. Co ci to mówi, Johnny?

- Nie kupiłbym hamburgera w tym jego „Riverside B-B-Q Delish”, nawet gdybym zdychał z głodu.

- Słusznie! — krzyknął Alan z tryumfem w głosie. Wstał i klepnął Johna po ramieniu. — Mam nadzieję, że zamkniemy interes temu brudnemu małemu sukinsynowi, nim wytłucze wszystkie bezpańskie psy i koty w Castle Rock.

- Cholera, Alan, rzygać się chce od tych twoich żartów.

- Nie. Rzygać to chce się wyłącznie od Timmy'ego Gagnona.

Pobierz próbki wody jeszcze dziś rano, a ja odwiozę je do wydziału sanitarnego w Auguście wieczorem pod koniec pracy.

— A co masz zamiar robić dziś rano?

Alan opuścił rękaw koszuli i zapiął mankiet.

- Chcę się spotkać z panem Lelandem Gauntem. Zrobił wielkie wrażenie na Poiły i z tego, co słyszałem w miasteczku, nie jej jednej się spodobał. Spotkałeś go?

- Jeszcze nie — powiedział John i obaj ruszyli w kierunku drzwi. — Parę razy mijalem tylko ten jego sklepik. Ma na wystawie ciekawą mieszankę wszystkiego.

Minęli Eddiego, zajętego czyszczeniem szklanego zbiornika automatu ścierką, którą wyjął z tylnej kieszeni spodni. Eddie nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, wydawał się zagubiony we własnym świecie, lecz gdy tylko usłyszał, jak zamykają się drzwi do biura, natychmiast pobiegł do centralki i podniósł słuchawkę telefonu.

na odpowiedź, złożył antenę i schował słuchawkę do kieszeni bonżurki. Roleta na drzwiach była opuszczona. Sięgnął między nią i szybę, zdjął tabliczkę z napisem: OTWARTE, i zawiesił nową, po czym podszedł do okna, by przyjrzeć się dokładniej zbliżającemu się do jego przybytku

szeryfowi Alanowi Pang-bornowi.

Alan stał przez dłuższą chwilę przy tym samym oknie, przy którym — z drugiej strony — stał Gaunt. Przysłonił nawet oczy i na kilka sekund przycisnął twarz do szyby, lecz choć Gaunt stał tuż przed nim z rękami złożonymi na piersiach, szeryf go nie dostrzegł.

Właściciel „Sklepiku z marzeniami” stwierdził, że znienawidził szeryfa na pierwszy rzut oka i wcale go to nie zaskoczyło. Lepiej potrafił czytać z twarzy niż je zapamiętywać, a słowa wypisane na tej twarzy, nietrudne do odczytania, wydały mu się także niebezpieczne.

Twarz Pangborna zmieniła się nagle; oczy mu się rozszerzyły, podniesione pogodnie kąćki ust opadły, a same wargi zacisnęły się w wąską szczelinę. Leland Gaunt poczuł nagły i bardzo niespodziany atak strachu. „Widzi mnie!” — pomyślał, choć to, oczywiście, nie było możliwe. Szeryf zrobił krok do tyłu i nagle wybuchnął śmiechem. Gaunt natychmiast zrozumiał, co się stało, ale w najmniejszym stopniu nie złagodziło to jego nienawiści.

— Wynoś się stąd, szeryfie — szepnął. — Wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju.

8

— Dobrze... tak... tak... rozumiem.

Leland Gaunt stał przy kasie, trzymając przy uchu słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Na ustach miał uśmiech, cienki jak księżyc po nowiu.

— Dziękuję ci, Eddie. Bardzo ci dziękuję.

Mówiąc to, podszedł do zasłony dzielącej sklep od zaplecza. Wsadził głowę i rękę za zasłonę; kiedy się cofnął, w dłoni trzymał tabliczkę.

— Tak, możesz iść do domu... tak, możesz być pewien, że nie zapomnę. Nigdy nie zapominam twarzy i przysługi, Eddie, i dlatego nie znoszę, by przypominano mi o jednym lub o drugim. Do widzenia.

Gaunt przycisnął guzik przerywający połączenie, nie czekając

Przez dłuższą chwilę Alan stał wpatrzony w wystawę „Sklepiku z marzeniami”. Zastanawiał się, co właściwie powodowało te wszystkie zachwyty. Przed wczorajszą wizytą u Poily rozmawiał z Rosalie Drake, która zrobiła ze „Sklepiku z marzeniami” coś w rodzaju północno-nowoangielskiej wersji Tiffany'ego, a tymczasem porcelanowy serwis na wystawie nie wyglądał na coś, o czym w środku nocy pisze się z zachwytem do mamusi. Jakością odpowiadał w najlepszym razie jakiejś



domowej wyprzedaży, większość talerzyków była obtłuczona, a przez środek jednego bieгло cienkie jak włos pęknięcie.

No, cóż — pomyślał Alan — nie to ładne, co ładne, lecz co się komu podoba. Ten serwis ma pewnie ze sto lat, wart jest fortunę, a ja jestem po prostu za głupi, by się w tym rozeznąć.

Oslonił oczy i przysunął twarz do szyby w nadziei, że dostrzeże wnętrze, ale nie dostrzegł nic — światła były wygaszone, a sklep najwyraźniej pusty. Nagle doznał wrażenia, że widzi coś... kogoś... dziwnego, przezroczystego, kogoś przyglądającego mu się ze złowrogim zainteresowaniem. Cofnął się, nim zdał sobie sprawę, że jest to odbicie w szybie jego własnej twarzy. Roześmiał się cicho, zażenowany własną pomyłką.

Podszedł do drzwi. Roleta była opuszczona; na przezroczystej przysawce wisiała odręcznie wypisana tabliczka:

WYJECHAŁEM DO PORTLAND PO ODBIÓR TOWARU.

SZKODA, ŻE SIĘ, NIE SPOTKALIŚMY. PROSZE, ODWIEDŹ MNIE JESZCZE  
KIEDYŚ

Alan wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni, wyjął służbową wizytówkę i na drugiej stronie napisał krótki liścik.

„Szanowny Panie Gaunt,

Wpadłem w sobotę rano, by Pana poznać i powitać w mieście. Przykro mi, że się nie spotkaliśmy. Mam nadzieję, że podoba się Panu w Castle Rock! Zajrzę raz jeszcze w poniedziałek. Może wypilibyśmy razem filiżankę kawy? Jeśli mogę coś dla pana zrobić, mój służbowy i prywatny numer telefonu są na wizytówce.

Alan Pangborn".

Alan pochylił się, wsunął wizytówkę pod drzwi. Już wyprostowany, jeszcze przez chwilę patrzył na wystawę, nie pojmując, kto pragnąłby tak pospolitej porcelany. Kiedy tak stał, doznał dziwnego, lecz przemożnego uczucia, że jest obserwowany. Gdy się obejrzał, nie dostrzegł nikogo z wyjątkiem Lestera Pratta, który wiesział na słupie telefonicznym jeden z tych ich cholernych plakatów i nawet nie spojrzął w jego kierunku. Wzruszył ramionami i poszedł z powrotem do Ratusza. Może zobaczy się z panem Gauntem w poniedziałek, poniedziałek będzie świetny na takie spotkanie.

Gaunt wyglądał przez okno, póki szeryf nie zniknął z pola widzenia, po czym podszedł do drzwi i podniósł wsuniętą przez Alana kartę. Przeczytał ją uważnie — z obu stron — i uśmiechnął się. Szeryf ma zamiar wpaść do niego w poniedziałek, co? No, to doskonale, doskonale; bowiem —jego zdaniem — nim niespiesznie nadejdzie poniedziałek, szeryf hrabstwa Castle będzie miał mnóstwo ważniejszych zajęć. Mnóstwo, mnóstwo ważniejszych zajęć. I to doskonale się składa, bo spotykał już ludzi takich jak Pangborn i wiedział, że należy trzymać się od nich z daleka, przynajmniej póki nie rozbuduje się interesu i nie wyczuje klienteli. Ludzie tacy jak Pangborn widzą zbyt wiele.

— Co się panu zdarzyło, szeryfie? — powiedział na głos. — Coś, co sprawiło, że jest pan niebezpieczniejszy, niż powinien pan być. To też wyczytałem z pańskiej twarzy. Ciekawe, co to było? Coś, co pan widział, coś, co pan zrobił, czy może jedno i drugie razem?

Gaunt stał, przyglądając się pustej już ulicy. Wargi powoli rozchyliły mu się w uśmiechu ukazującym duże, nierówne zęby. Mówił cichym, uspokajającym tonem człowieka, który przyzwyczajony jest słuchać swego głosu.

— Podobno jesteś czymś w rodzaju prestidigitatora-amatora, mój ty umundurowany przyjacielu. Lubisz magiczne triki. Nim wyjadę z miasta, pokażę ci kilka nowych sztuczek. Jestem pewien, że cię zdumieją.

Dłoń, w której trzymał wizytówkę, zwinął w pięść, najpierw zginając kawałek kartonu, a potem go gniotąc. Kiedy zacisnął pięść do końca, pomiędzy serdecznego i środkowego palca wystrzeliła błękitna iskra. Gdy Gaunt rozprostował dłoń, unosił się z niej dym, po wizytówce zaś nie pozostał nawet ślad, nawet popiół.

— Hej ho i abrakadabra — powiedział cicho.

## 10

Myrtle Keeton po raz trzeci tego dnia podeszła do drzwi gabinetu męża i zaczęła nasłuchiwać. Gdy wstała z łóżka o dziewiątej, Danforth był już u siebie i zamknął drzwi na klucz. Teraz dochodziła pierwsza, a on nadal siedział w gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Kiedy go zapytała, czy chce coś zjeść, jego stłumiony głos oznajmił, że nie i że ma się wynosić, bo on, Danforth, jest zajęty.

Myrtle podniosła dłoń, by znów zapukać... i nie zapukała. Zamarła z lekko przekrzywioną głową. Zza drzwi dobiegały ją jakieś dźwięki, jakieś stuki i zgrzyty; przypominały odgłosy, które wydawał zegar z kukułką jej matki mniej więcej na tydzień przedtem, nim zepsuł się beznadziejnie. Zapukała lekko.

- Danforth?

- Wynoś się! — krzyknął na nią mąż. Nie potrafiła powiedzieć, czy krzyczy z podniecenia, czy ze strachu.

- Danforth, nic ci się nie stało?

— Nie, nic, do cholery! Wynoś się! Zaraz przyjdę.

Zgrzyty i stuki, stuki i zgrzyty; brzmiało to jak piach w mikserze.

Trochę się przestraszyła. Miała tylko nadzieję, że Danforth nie przechodzi akurat załamania nerwowego. Ostatnio tak się dziwnie zachowywał.

— Danforth, mam zajść do piekarni i kupić ci kilka maślanek?

— Jasne! — Keeton wrzeszczał na cały głos. — Jasne! Maś lanki! Papier toaletowy! Chusteczki do nosa! Idź, gdzie chcesz! Kup, co chcesz! Tylko zostaw mnie w spokoju!

Stała jeszcze chwilę przed zamkniętymi drzwiami, nie wiedząc, co robić. Pomyślała, że mogłaby jeszcze raz zapukać, ale zrezygnowała. Nie była już taka pewna, że chce wiedzieć, co jej mąż robi w zamkniętym gabinecie. Nie była już nawet pewna, że chce, by otworzył drzwi.

Włożyła buty oraz ciężki jesienny płaszcz — świeciło słońce, ale było chłodno — i wsiadła do samochodu. Pojechała do „Wiejskiej piekarni” przy końcu głównej ulicy. Kupiła sześć maślanek: trzy z miodem dla siebie i trzy z czekoladą i kokosem dla Danfortha. Miała nadzieję, że go pocieszą; czekolada zawsze go pocieszała!

W drodze powrotnej przypadkiem rzuciła okiem na wystawę „Sklepiku z marzeniami”. To, co tam zobaczyła, skłoniło ją do mocnego wciśnięcia hamulców. Gdyby ktokolwiek za nią jechał, z pewnością doszłoby do wypadku.

Na wystawie leżała wspaniała lalka.

Roleta była już — oczywiście — podniesiona i wisząca na przezroczystej przyssawce tabliczka głosiła — oczywiście — OTWARTE.

Oczywiście.

Poiły Chalmers spędziła sobotnie popołudnie w sposób całkowicie dla siebie nietypowy — nie robiła nic. Siedziała przy

oknie na antycznym bujanym fotelu z giętego drewna z dłońmi złożonymi na kolanach, przyglądając się przejeżdżającym od czasu do czasu pod jej oknem samochodom. Alan zadzwonił do niej przed wyjazdem na patrol, powiedział, że minął się z Lelandem Gauntem, oraz spytał, czy czuje się dobrze i czy czegoś nie potrzebuje. Odparła, że czuje się doskonale i że niczego jej nie potrzeba, dzięki. Oba te stwierdzenia były kłamstwem; nie czuła się wspaniale i kilka rzeczy bardzo by się jej przydało. Przede wszystkim lekarstwo na artretyzm.

*Nie, Polly, tak naprawdę potrzeba ci trochę odwagi, tylko troszeczkę; tyle ile trzeba, by powiedzieć mężczyźnie, którego kochasz: „Alan, nagięłam prawdę w kilku miejscach, kiedy opowiadałam ci o latach spędzonych poza Castle Rock, i skłamałam, opowiadając o moim synku. Chciałam prosić cię o wybaczenie i powiedzieć prawdę”.*

Łatwo to brzmiało powiedziane wprost, tak jak teraz. Trudno tylko było powiedzieć to, patrząc kochanemu mężczyźnie w oczy, trudno było znaleźć klucz otwierający serce, lecz nierozdzierający go na krwawe kawałki.

Ból i kłamstwa, kłamstwa i ból. Wyłącznie wokół tych dwóch pojęć kręciło się ostatnio jej życie.

*Jak się czujesz, Poi?*

*Doskonale, Alan, doskonale.*

W rzeczywistości Polly była przerażona. Nie w tym rzecz, by dłonie bolały ją strasznie akurat w tej sekundzie; niemal żałowała, że nie bołą, bowiem największy nawet ból był lepszy niż oczekiwanie.

Wkrótce po dwunastej uświadomiła sobie, że przez jej dłonie bieżą ciepłe prądy, niemal wibracje. Wirowały wokół kostek u nasady palców i u podstawy kciuka; czuła, jak czają się pod każdym paznokciem niczym krzywe, pozbawione humoru uśmiechy. Coś takiego czuła już dwukrotnie i dokładnie wiedziała, co nastąpi. Czekало ją coś, co jej ciocia Betty, cierpiąca na tę samą przypadłość, nazywała „kiepskim okresem”. „Kiedy dłonie zaczynają mi mrowić, jakby ktoś przepuścił przez nie prąd — mówi-ja — to od razu wiem, że trzeba zacisnąć zęby”. Polly zaciskała właśnie zęby, ale niewiele jej to pomagało.

Pod jej oknem, na chodniku, pojawili się dwaj chłopcy, rzucający do siebie piłkę futbolową. Ten po prawej, najmłodszy syn Lawe-sów, próbował złapać wysokie podanie, piłka musnęła mu palce, odbiła się od nich i wylądowała na trawniku Polly. Chłopak

spojrzał w górę, dostrzegł ją wyglądającą przez okno i wesoło do niej pomachał. Poily podniosła dłoń, by mu odmachać... i poczuła wybuch znajomego, upartego bólu jak rozbłysk żarzących się węgielków na nagłym powiewie wiatru. Ból znikł równie nagle jak się pojawił, pozostało tylko to niesamowite mrowienie. Czasami skóra mrowi tak przed bardzo gwałtowną burzą.

Ból przyjdzie w swoim czasie i nic na to nie można poradzić. Kłamstwa, które opowiedziała Alanowi o Keltonie... no, to już zupełnie inna sprawa. Pomyślała, że przecież nie chodzi o to, że prawda jest tak straszna, niesamowita czy szokująca... i nie chodzi też o to, że Alan nic nie podejrzewał. Podejrzewał, a może już wiedział, że kłamała. Widziała to w jego twarzy. Więc czemu tak ciężko ci powiedzieć prawdę, Poily? Czemu?

Miała wrażenie, że ciężko jej powiedzieć prawdę częściowo z powodu artretyzmu, a częściowo dlatego, że tak bardzo uzależniła się już od środków przeciwbólowych. Ból i lekarstwa przyćmiewały jej zdrowy rozsądek, sprawiały, że nawet sprawy najprostsze wydawały się lekko krzywe. Chodziło jej też o ból Alana... i szczerść, z jaką jej o nim powiedział. Pozwolił jej zanalizować ten swój ból bez najmniejszych zahamowań.

Uczucia, jakie obudził w nim szczególny wypadek, w którym zginęli Annie i Todd, były mieszane; był w tym i wstręt, i inne negatywne emocje, lecz mimo wszystko nie robił z nich tajemnicy. Nie zrobił z nich tajemnicy, bo chciał wiedzieć, czy zdawała sobie sprawę ze stanu umysłowego Annie, o którym nie wiedział nic... i także dlatego, iż gra fair i stawianie spraw jasno jest częścią jego natury. Poily bała się, co zrobi Alan, kiedy odkryje, że gra fair nie zawsze jest częścią jej natury; że jej serce — podobnie jak dłonie — stało się ofiarą przedwczesnych przymrozków.

Niepewnie poruszyła się w fotelu.

Będę musiała mu powiedzieć — pomyślała. — Wcześniej czy później będę musiała mu powiedzieć. To, co mu powiem, samo przez się nie wyjaśni przecież, dlaczego było mi tak ciężko, nie wyjaśni mu przecież, dlaczego w ogóle zaczęłam od kłamstw. Bo przecież nie zabiłam synka...

Westchnęła — westchnienie to brzmiało niemal jak szloch — i znów poruszyła się w fotelu. Popatrzyła przez okno, ale bawiący się piłką chłopcy odeszli. Wygodniej usadowiła się w fotelu i przymknęła oczy.

Nie była pierwszą dziewczyną, która zaszła w ciążę w wyniku jednonocnych zapasów, i nie pierwszą, która o to właśnie pokłóciła się bardzo z rodzicami i krewnymi. Chcieli, żeby wyszła za mąż za Paula „Duke” a” Sheehana, chłopca, który wpędził ją w kłopoty. Powiedziała im, że nie wyszłaby za Duke’a, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi. Mówiła prawdę, ale duma nie pozwoliła jej wspomnieć, że Duke nie chce się z nią ożenić — jego najbliższy przyjaciel powiedział jej, że Duke nerwowo pragnie wstąpić do marynarki, gdy tylko skończy osiemnaście lat, co miało nastąpić za niespełna sześć tygodni.

— Pozwól, że to sobie wyjaśnimy — powiedział Newton Chalmers, zrywając tym samym ostatnie cienkie więzy łączące go z córką. — Był dobry, żeby się z nim pieprzyć, ale na męża się nie nadaje... mam rację?

Wtedy po raz pierwszy próbowała uciec z domu, ale matka ją złapała. Jeśli nie chcesz wyjść za mąż — tłumaczyła córce Lorraine Chalmers tym swoim słodkim, spokojnym i jakże rozsądnym głosem, który do szalu doprowadzał nastoletnią Poily — możemy przecież wysłać cię do ciotki Sary, do Minnesoty. Możesz mieszkać w Saint Cloud, póki dziecko nie przyjdzie na świat, a potem oddać je do adopcji.

— Wiem, dlaczego chcecie się mnie pozbyć — oświadczyła Poily. — To przez babcię Evelyn, prawda? Boicie się, że ktoś jej powie, że chlebek mi rośnie w piecyku, i wtedy pominie was w testamencie, nie? Chodzi o pieniądze, nie? Ja was wcale nie obchodzę. Ja was gównem ob...

Słodki, spokojny, rozsądny głos Lorraine Chalmers maskował zawsze jej iście diabelski temperament. Ostatnie cienkie więzy łączące ją z córką zerwała, mocno uderzając Poily w twarz.

I Poily uciekła. Bardzo, bardzo dawno temu — w lipcu 1970 roku. Przestała uciekać w Denver, gdzie w szpitalu utrzymywanym przez dobroczynność, nazywanym „Rajem Cpunów”, przyszło na świat dziecko. Poily miała szczerzy zamiar oddać je do adopcji, ale coś — być może to coś, co poczuła, kiedy położna tuż po porodzie włożyła jej dziecko w ramiona — spowodowało, że zmieniła zdanie.

Dała chłopcu na imię Kelton — po dziadku ze strony ojca. Kiedy już podjęła decyzję, że będzie wychowywać dziecko, przestraszyła się trochę, bo lubiła o sobie myśleć jako o dziewczynie

praktycznej i obdarzonej dużą dozą zdrowego rozsądku, a nic z tego, co przydarzyło się jej przez ostatni rok, nie potwierdzało tego przekonania. Najpierw praktyczna i obdarzona dużą dozą zdrowego rozsądku dziewczyna dała się wpędzić w ciążę, choć współczesne praktyczne i obdarzone dużą dozą zdrowego rozsądku dziewczyny po prostu tego nie robią. Potem praktyczna i obdarzona dużą dozą zdrowego rozsądku dziewczyna uciekła z domu i wydała dziecko na świat w mieście, w którym nigdy przedtem nie była. W dodatku praktyczna i obdarzona dużą dozą zdrowego rozsądku dziewczyna zdecydowała się wychować dziecko i z nim razem ruszyć w przyszłość, której anfnie widziała, ani nawet nie potrafiła wyczuć.

No, przynajmniej nie zatrzymała Keltona przez przekorę lub złośliwość — tego nikt nie mógł powiedzieć. Zaskoczyła ją miłość, najprostsze, najsilniejsze i najmniej wybaczące uczucie.

Przeprowadziła się. Nie — przeprowadzili się. Poiły wykonywała najprostsze fizyczne prace; skończyli wreszcie w San Francisco, gdzie najprawdopodobniej od początku zamierzała pojechać. Wczesnym latem 1971 roku był to hipisowski raj, jeden wielki, pagórkowaty sklepik z narkotykami i czym tam, co do narkotyków potrzebne, pełen pomyleńców, hipów i zespołów, które nazywały się „Wielkie Winogrono” albo „Winda na Trzynaste Piętro”.

Według piosenki Scotta McKenziego o San Francisco, bardzo popularnej w owych latach, lato na pewno spędzało się w demonstracjach na rzecz miłości. Poiły, która nawet wtedy nie przypominała w niczym hipisa, jakoś je przeoczyła. W domu, w którym mieszkała z Keltonem, nie zamykała się żadna skrzynka na listy, za to pełno było ćpunów noszących na szyi pacyfkę — najczęściej w parze z nożem w okutym, brudnym motocyklowym bucie. Stałymi gośćmi byli tu komornicy, kuratorzy i gliniarze, mnóstwo gliniarzy i nikt nie rzucał w twarz słowa „świnie”, ale gliniarze też nie załapali się na demonstracje i byli z tego powodu cholernie wkurzeni.

Poiły zgłosiła się po zasiłek i odkryła, że nie mieszka w Kalifornii wystarczająco długo, by jej przysługiwał. Teraz może już jest inaczej, ale w 1971 trudno było młodej niezamężnej matce przeżyć z dzieckiem w San Francisco, czy zresztą gdziekolwiek indziej. Zgłosiła się więc do Funduszu dla Potrzebujących Dzieci i czekała — z nadzieją — na cokolwiek. Keltonowi nigdy nie zabrakło jedzenia, ale Poiły żyła dosłownie z dnia na dzień; chuda, często głodna, zawsze przerażona, dziewczyna, której nie poznałby chyba

nikt z dawnych znajomych. Wspomnienia z tych trzech lat spędzonych na Zachodnim Wybrzeżu, które Poiły przechowywała gdzieś głęboko w zakamarkach pamięci jak stare ubrania na strychu,

były niekompletne, groteskowo skrzywione, niczym obrazy z koszmarnego snu.

Czy nie dlatego do tej pory nie wtajemniczyła w nie Alana? Nie chciała budzić licha. Nie ona jedna ponosiła straszne konsekwencje dumy, uporu, żelaznego postanowienia, że nie będzie prosić o pomoc, wraz z okrutnymi konsekwencjami hipokryzji, polegającej na głoszeniu idei wolnej miłości i jednoczesnym wyrzucaniu niezamężnych matek poza nawias społeczeństwa, nie, nie ona jedna, bo był także Kelton. Kelton był jej zakładnikiem, kiedy tak bezsensownie i beznadziejnie prowadziła swą idiotyczną krucjatę.

Najstraszniejsze było to, że jej sytuacja powoli się poprawiała. Na wiosnę 1972 zyskała wreszcie uprawnienia stanowe do świadczeń socjalnych. Pierwszy czek pomocy społecznej obiecano jej na następny miesiąc. Planowała nawet przeprowadzkę do nieco lepszego bloku, kiedy wybuchł pożar.

Zadzwoniono do niej do restauracji, w której pracowała; w snach przeżywała do dziś chwilę, kiedy Norville, kucharz barowy bez przerwy się do niej przystawiający, obraca się, obraca, obraca ze słuchawką w dłoni i mówi: „Poily, to policja. Chcą z tobą rozmawiać, to policja, chcą z tobą rozmawiać, to policja...”.

Rzeczywiście, policja chciała z nią rozmawiać, bo z pełnego czadu mieszkania na trzecim piętrze wydobyto właśnie zwłoki młodej kobiety i małego dziecka, spalone i nie do rozpoznania. Wiedzieli już, co to za dziecko; gdyby Poily nie było w pracy, wiedzieliby też, kim jest kobieta.

Jeszcze trzy miesiące po śmierci Keltona chodziła do pracy. Przeżywała samotność tak strasznie, że niemal oszalała; cierpiała tak beznadziejnie i okrutnie, że nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak strasznie cierpi. W końcu jednak napisała do domu, poinformowała rodziców, że jest w San Francisco, że urodziła dziecko i że jej dziecko już z nią nie jest. Nie napisała nic więcej, nawet gdyby miano ją przypiekać rozżarzonym żelazem. Nie planowała wówczas — a przynajmniej nie planowała świadomie — że wróci do domu, ale miała wrażenie, że jeśli nie odnowi przynajmniej niektórych starych kontaktów, *zacznie* po kawałeczku umierać, jak zdrowe, lecz pozbawione wody drzewo usycha, od gałęzi począwszy.

Matka odpisała jej natychmiast na poste restante. Błagała córkę, by wróciła do Castle Rock, do domu. Do listu dołączony był przekaz na siedemset dolarów. W kwaterunkowym lokalu, w którym Poily mieszkała od czasu śmierci Keltona, było bardzo gorąco; pamiętała, że przerwała pakowanie, by napić się wody. Pijąc wodę, zdała sobie sprawę, że szykuje się do powrotu do domu po prostu dlatego, że poleciła jej to matka — że błagała ją o to matka. To właśnie takie postępowanie: najpierw rób, potem myśl, wpędziło ją w kłopoty, a nie śmieszny mały Duke Sheehan.



Więc Poiły usiadła na swym wąskim łóżku samotnej kobiety i zaczęła myśleć. Myślała długo, dogłębnie. W końcu podjęła pieniądze i napisała do matki. Niespełna stronicowy list pisała prawie cztery godziny.

„Chciałabym wrócić, spróbować, jak by się to sprawdziło w praniu, ale nie pragnę wywlekania starych uraz, dyskusowania o tym, co przeszło, minęło. Nie wiem, czy to, czego pragnę — zacząć nowe życie w starym miejscu — jest w ogóle możliwe, ale chcę spróbować. Więc mam taki pomysł: na razie pozostanmy w kontakcie. Ty i ja, ja i tata. Wiem, że trudno wściekać się i gniewać na papier, więc przez jakiś czas lepiej do siebie piszmy, nim się spotkamy”.

Pisali do siebie niemal pół roku, a potem, pewnego dnia w styczniu 1973 roku, państwo Chalmers stanęli w jej progach z torbami w rękach. Oznajmili, że zameldowali się w Mark Hopkins Hotel i że nie wracają do Castle Rock bez niej.

Poiły przemyślała sobie tę sprawę bardzo wszechstronnie, doświadczając całego wachlarza uczuć: złości, że potraktowali ją tak z góry, smutku połączonego z rozbawieniem na myśl, jak naiwnie potraktowali ją z góry, strachu, że odpowiedzi, których tak łatwo unikała w listach, teraz nie sposób już będzie uniknąć.

Obiecała, że zje z nimi kolację, nic więcej — reszta będzie musiała poczekać. Ojciec oznajmił jej na to, że pokój w hotelu zarezerwowali tylko na jedną noc. Poiły poradziła mu, by przedłużył rezerwację. Chciała rozmawiać z nimi jak długo się da, nim będzie musiała podjąć ostateczną decyzję; była to bezpośrednia forma swoistego testu, który prowadziła już w listach. Jednak pierwszy wspólny wieczór okazał się ostatnim. Był to też ostatni wieczór, podczas którego widziała ojca zdrowego, w pełni sił — i kiedy niemal cały czas była na niego wściekła.

Stara kłótnia, której tak łatwo dawało się uniknąć w listach, rozpoczęła się, nim dopili aperitif. Najpierw przypominało to

trochę tlenie się leśnego runa, ale w miarę jak ojciec pił, zmieniało się powoli w pożar lasu. Pierwsza iskra padła, kiedy zauważył, że ich zdaniem Poiły otrzymała już nauczki i najwyższy czas zakopać wreszcie topór wojenny. Pani Chalmers dołała oliwy do ognia, swym słodkim, spokojnym i rozsądnym głosem pytając, co się stało z dzieckiem. Przecież z pewnością tyle możesz nam powiedzieć, kochanie. Przypuszczam, że oddałaś je do adopcji.

Poiły rozpoznała głos z przeszłości i zdawała sobie sprawę z tego, co on oznacza. Ojciec

wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie ma zamiaru zrezygnować z władzy, w końcu przecież musi być jakaś władza. Matka dała jej do zrozumienia, że miłość i troskę wyraża w jedyny znany jej sposób — domagając się informacji. Głosy z przeszłości, tak kochane i tak nienawidzone, obudziły w niej dawny, nieopanowany gniew.

Restaurację opuścili w połowie pierwszego dania; nazajutrz zaś państwo Chalmers wrócili do Maine — sami.

Po trzech miesiącach milczenia, powoli i z oporami, znów nawiązali korespondencję. Jako pierwsza napisała matka, przepraszając za tak strasznie nieudany wieczór. O powrocie do domu nie było już w jej liście nawet wzmianki. Zaskoczyło to Poily i jakąś jej część, część, której istnienia wolałaby raczej nie przyjąć do wiadomości, napęliło niepokojem. Miała wrażenie, że została, w końcu, odtrącona. Biorąc pod uwagę okoliczności, było to zarówno niemądre, jak i samolubne; w najmniejszym jednak stopniu nie zmniejszyło niepokoju, który odczuła.

„Zapewne sama najlepiej wiesz, czego chcesz — pisała matka — co trudno zaakceptować zarówno Twojemu ojcu, jak i mnie, ponieważ dla nas nadal jesteś małą dziewczynką. Ojciec chyba przeraził się, widząc, jaka jesteś dorosła i jaka piękna. Proszę, nie wiń go za jego zachowanie, nie czuł się najlepiej i znów ma poważne kłopoty z żołądkiem. Lekarze twierdzą, że to tylko woreczek żółciowy i kiedy zgodzi się na jego wycięcie, wszystko będzie dobrze, ale ja i tak się o niego martwię”.

Poily odpowiedziała w tym samym łagodnym tonie. Łatwiej jej było tak odpowiedzieć teraz, kiedy zaczęła studiować zaocznie zarządzanie, a plany powrotu do Maine odłożyła na półkę. Pod koniec 1975 roku dostała jednak od matki telegram, krótki i brutalny: TATA MA RAKA STOP UMIERA STOP PRZYJEDŹ NATYCHMIAST STOP KOCHAM STOP MAMA.

Ojciec żył jeszcze, kiedy Poily dotarła do szpitala w Bridgton. W głowie kręciło się jej od różnicy czasu i wspomnień, wywołanych przez wszystkie widziane na nowo stare miejsca. Jedna myśl towarzyszyła jej, kiedy siedziała w taksówce jadącej z lotniska w Portland przez górki i pagórki zachodniego Maine: „Po raz ostatni widziałam to jako dziecko!”.

Newton Chalmers leżał w separacie. Tracił przytomność, odzyskiwał ją i zaraz znowu tracił. Z nosa sterczały mu rurki, a wokół jego łóżka stały półkolem groźnie wyglądające maszyny. Umarł w trzy dni później. Poily zamierzała natychmiast wrócić do Kalifornii — Kalifornia była już dla niej prawie domem — lecz w cztery dni po pogrzebie ojca matka dostała ciężkiego ataku serca.

Wprowadziła się do rodzinnego domu. Przez trzy i pół miesiąca całymi dniami opiekowała się matką, a nocami śnił się jej Norville, kucharz barowy z „Pysznej Kolacyjki”, Norville bez końca obracający się ku niej, Norville trzymający słuchawkę w prawej dłoni, na której miał wytatuowanego orła i słowa: RACZEJ ŚMIERĆ NIŻ HAŃBA. „Poily, to policja — powtarzał Norville. — Chcą z tobą rozmawiać, to policja, chcą z tobą rozmawiać, to policja...”.

Matka wstała już z łóżka, pełna energii. Chciała sprzedać dom i przenieść się z córką do Kalifornii (Poily nigdy by się na to nie zgodziła, ale nie mogła jej rozczarować — była już znacznie starsza i łagodniejsza), kiedy nastąpił drugi atak. Tak więc tego deszczowego ranka w marcu 1976 roku Poily znalazła się na cmentarzu Homeland, stojąc obok babci Evelyn i patrząc na trumnę, ustawioną na stojakach obok świeżego jeszcze grobu ojca.

Ciało ojca przez całą zimę spoczywało w cmentarnej kaplicy, czekało na prawdziwy pogrzeb do momentu, kiedy rozmarznie ziemia. Przypadkiem, którego nie wymyśliłby żaden szanujący się pisarz, pochowano go na dzień przed śmiercią żony. Ziemi nad jego ostatnim domem nie przykryto jeszcze nawet darnią; grób sprawiał wrażenie obrzydliwie nagiego. Poily przyglądała się jemu raczej niż trumnie matki. Zupełnie jakby czekała, aż go wreszcie przyzwolicie pochowają — pomyślała.

Kiedy krótkie nabożeństwo dobiegło końca, babcia Ewie odeszła na bok i przywołała Poily. Ostatnia żyjąca jej krewna stała przy dziurze w ziemi; chuda jak patyk staruszka w czarnym męskim płaszczu i przedziwnie jaskrawych, czerwonych kaloszach, z herbertem tareytonem w kąciku ust. Gdy Poily zbliżała się do niej, babcia Ewie potarła drewnianą zapałkę o paznokcie kciuka i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko, po czym wydmuchnęła dym w chłodne powietrze wczesnej wiosny. Laskę (zwykłą, dębową — dopiero za trzy lata miała otrzymać laskę bostońskiego „Post” jako najstarsza obywatelka miasta) wbiła w ziemię między nogami.

Skulona w bujanym fotelu, który niewątpliwie podobałby się babci, Poily dopiero teraz obliczyła, że staruszka musiała mieć wówczas osiemdziesiąt osiem lat (miała osiemdziesiąt osiem lat i nadal kopciła jak komin), choć nie wydała się jej starsza od osoby, którą Poily zapamiętała jako małą dziewczynkę, polująca na jeden z tych cukierków, które babcia zawsze trzymała w kieszeni fartucha. Przez te wszystkie lata wiele zmieniło się w Castle Rock; wiele, ale nie babcia Ewie.

— No, skończone — powiedziała swym zachrypłym od papierosa głosem. — Oboje w grobie, Poily — ojciec i matka.

Dopiero wówczas Poiły rozpląkała się, strasznie się rozpląkała. Najpierw myślała, że babcia Ewie będzie próbowała ją pocieszać, i już kurczyła się na myśl o dotknięciu starczej dłoni; nie chciała, by ją pocieszano.

Niepotrzebnie się martwiła. Evelyn Chalmers nigdy nie była pocieszycielką cierpiących; później Poiły zastanawiała się nawet, czy babcia nie sądziła, że sam pomysł „pociechy” jest iluzją. W każdym razie stała wówczas z laską wspartą między tymi swoimi czerwonymi kaloszami, paląc i czekając, aż łyzy jej ciotecznej wnuczki obeschną, aż przestanie chlipać i odzyska panowanie nad sobą.

Gdy cel ten został osiągnięty, spytała:

— Twój mały... ten, który tak namieszał im w głowie... on nie żyje, prawda?

Choć tak strzegła tego sekretu przed wszystkimi, Poiły skinęła głową.

- Miał na imię Kelton — powiedziała.
- Dobre imię — babcia Ewie zaciągnęła się mocno, wydmuchnęła dym ustami w górę i ponownie wciągnęła go nosem; Lorraine Chalmers nazywała to „podwójną dawką” i wypowiadając te słowa, zawsze krzywiła się z niesmakiem. — Wiedziałam o tym, kiedy po raz pierwszy przyszedłś mnie odwiedzić po powrocie do domu. Wyczytałam to w twych oczach.

- Wybuchł pożar — powiedziała Poiły, patrząc babci w twarz. Miała chusteczkę, ale chusteczka była już zbyt mokra, by cokolwiek za jej pomocą osiągnąć, wytarła więc oczy pięściami jak mała dziewczynka, która spadła z roweru i stłukła sobie kolano. — Prawdopodobnie spowodowała go dziewczyna, którą wynajęłam do opieki nad synkiem.

— Aha. Chcesz poznać sekret, Trisha.

Poiły skinęła głową i uśmiechnęła się lekko. Naprawdę na imię miała Patricia, ale od dzieciństwa była Poiły dla wszystkich... oprócz babci Ewie.

— Mały Kelton umarł, a ty nie. — Staruszka wyrzuciła papierosa i dla podkreślenia wagi tych słów kościstym palcem stuknęła wnuczkę w pierś. — Ty nie. Więc co masz zamiar z tym zrobić?

Poiły zastanawiała się przez chwilę.

- Wracam do Kalifornii — powiedziała w końcu. — Tylko tyle wiem na pewno...

- No i na początek wystarczy. Ale tylko na początek. — Potem babcia Ewie powiedziała coś bardzo podobnego do czegoś, co w kilka lat później, podczas kolacji w „The Birches”, ona sama powiedziała Alanowi Pangbornowi. — Nie jesteś niczemu winna, Trisha. Czy już to sobie przemyślałaś?

- Ja... ja nie wiem.

- A więc nie przemyślałaś. Dopóki nie zdasz sobie z tego sprawy, nie będzie miało żadnego znaczenia, dokąd wyjedziesz lub co będziesz robić. Nie będziesz miała szansy.

- Jakiej szansy? — spytała zdumiona.

- Twojej szansy. Szansy na to, by żyć normalnym życiem.

W tej chwili wyglądasz jak ktoś, kto przed chwilą zobaczył ducha. Nie wszyscy wierzą w duchy, aleja — tak. Wiesz, czym są duchy?

Poiły powoli pokręciła głową.

- To mężczyźni i kobiety, którzy nie potrafią pogodzić się z przeszłością — wyjaśniła jej babcia Ewie. — To są prawdziwe duchy. Nie oni. — Machnęła ręką w stronę trumny, stojącej na podstawkach koło przypadkowo tak świeżo wykopanego grobu. — Martwi pozostają martwi. Chowamy ich i pozostają pochowani.

- Czuję...

- Tak. Wiem, że czujesz. Oni — nie. Twoja matka i mój bratanek nic już nie czują. Twój mały, który zmarł, kiedy byłaś daleko; on nic już nie czuje. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Rozumiała. W każdym razie coś rozumiała.

— Masz rację, że nie chcesz tu zostać, Poiły — no, przynajmniej masz rację na razie. Wróc tam, skąd przyjechałaś. Albo pojedź gdzie indziej: Salt Lake, Honolulu, Bagdad — gdzie ci się tylko podoba. To nie ma najmniejszego znaczenia, bo prędzej czy później i tak wrócisz tutaj. Jestem tego pewna, należysz do tego

miejsca i to miejsce należy do ciebie. Widać to w rysach twej twarzy, w sposobie chodzenia, nawet w tym, jak mrużysz oczy, kiedy spotykasz kogoś, kogo nigdy przedtem nie widziałaś. Castle Rock zostało stworzone dla ciebie, a ty dla Castle Rock. Więc nie ma pośpiechu. „Idź, dokąd chcesz” — jak mówi Dobra Księża. Lecz idź tam żywa, Trisha. Nie bądź już duchem. Jeśli masz zmienić się w ducha, lepiej by było, gdybyś nie wracała.

Staruszka ponuro rozejrzała się dookoła; jej głowa obracała się ponad rączką laski.

- W tym cholernym mieście i tak jest za dużo duchów — powiedziała.
- Spróbuję, babciu Ewie.
- Oczywiście. Wiem, że spróbujesz. Będziesz próbować, to już leży w twojej naturze. — Babcia przyjrzała się wnuczce uważnie. — Byłaś ładnym dzieckiem, miłym dzieckiem, choć jako dziecko nigdy nie miałaś szczęścia. Cóż, szczęście jest dla głupców. W nim tylko nadzieja dla tych biedaków. Moim zdaniem, nadal jesteś ładna i miła, a to najważniejsze. Sądzę, że sobie poradzisz. — I nagle staruszka dodała gwałtownie, niemal arogancko: — Kocham cię, Trisha. Zawsze cię kochałam.

- Ja też cię kocham, babciu Ewie.

Potem, w ten niepewny i ostrożny sposób, w jaki ludzie bardzo młodzi i ludzie bardzo starzy okazują emocje, babcia i wnuczka objęły się mocno. Poiły poczuła zapach bijący z ubrania staruszki — fiołki — i znów się rozplakała.

Kiedy się już rozdzieliły, babcia Ewie sięgnęła do kieszeni. Poiły była pewna, że wyjmie chusteczkę, myśląc w zdumieniu, że dopiero teraz, po tych wszystkich latach, zobaczy staruszkę płaczącą. Ale nie zobaczyła. Zamiast chusteczki Evelyn Chalmers wyjęła z kieszeni owinięty w papier cukierek, dokładnie tak jak wtedy, kiedy Poiły była małą dziewczynką z warkoczykami spadającymi na szelki krótkiej sukienki.

— Masz ochotę na cukierka? — spytała wesoło.

Na miasto powoli opadał zmierzch.

Poiły wyprostowała się w fotelu, zdając sobie nagle sprawę z tego, że niemal zasnęła. Uderzyła się w dłoń i ramię przeszył ból, zastąpiony po chwili charakterystycznym mrowieniem. Będzie źle, nie ma się co oszukiwać. Dziś w nocy, może dopiero jutro rano, ale będzie naprawdę źle.

*Nie myśl o tym, czego nie możesz zmienić, Polly. Myśl o tej jednej rzeczy, którą możesz zmienić, którą powinnaś zmienić. Musisz powiedzieć Alanowi cała prawdę o Keltonie. Musisz przestać ukrywać w głębi serca tego ducha.*

W odpowiedzi odezwał się jednak inny głos — zły, przerażony, zrzędlawy. Sądziła, że to głos dumy, po prostu dumy, lecz zdziwiła ją jego siła, i pasja, z którą domagał się, by dawne czasy, dawne życie pogrzebać i nie ekshumować dla nikogo... ani dla Alana, ani dla nikogo. I że przede wszystkim krótkie życie i straszna śmierć jej synka nie powinny stać się sprawą, na której ostrzą sobie zęby miejscowi plotkarze.

*Co to za głupota, Trisha? — przemówił w jej myślach głos babci Ewie — babci Ewie, która zmarła w tak podeszłym wieku, do końca ciągnąc podwójne dawki swych ulubionych herbertów tareytonów. — Co za różnica, czy Alan dowie się, jak umarł Kelton, czy nie? Co za różnica, jeśli wezmą to na języki wszystkie te stare plotkary (i starzy plotkarze) od Myrtle Keeton począwszy, a na Lennym Partridge'u skończywszy? Czy sądzisz, że naprawdę ktoś tu umiera jeszcze z ciekawości, co się stało z chlebkiem rosnącym ci w piecyku? Głupia gęś! Nie pochlebiaj sobie, to stare dzieje. Niewarte nawet drugiej filiżanki kawy u Nań.*

Może... ale Kelton był jej dzieckiem, do cholery, jej dzieckiem! W życiu i po śmierci był jej synkiem. I ona sama należy wyłącznie do siebie, nie do ojca, nie do matki i nie do Duke'a Sheehana, lecz do siebie! Ta przerażona, samotna dziewczyna, która co wieczór prała sobie majtki w przerdzewiałym kuchennym zlewie, bo miała ich tylko trzy pary, ta przerażona dziewczyna, której z chłodu wyskakiwało bezustannie zimno w kąciku ust lub pod nosem, ta dziewczyna, która czasami siadała przy oknie wychodzącym na szyb wentylacyjny, brała głowę w ramiona i płakała — ta dziewczyna należała wyłącznie do niej. Wspomnienia o niej i o dziecku, wspomnienia z mroku nocy — Kelton ssący małą pierś, ona czytająca książki Johna D. MacDonalda i chór syren wyjących na krętych, wąskich uliczkach — te wspomnienia należały wyłącznie do niej. Wypłakane łzy, wytrzymała cisza, mgliste popołudnia w restauracji spędzone na unikaniu nachalnych rąk i ruchliwych palców Norville'a Batesa, wstyd, z którym zaakceptowała wreszcie to, co się stało, niezależność i godność, o które walczyła tak ciężko i tak nieprzejeźdnie... to wszystko należało do

niej i nie może należeć do miasteczka.

*Polly, nie chodzi o to, co ma, a co nie ma należeć do miasteczka. Chodzi o to, co ma należeć do Alana.*

Siedząc w fotelu na biegunach, Polly kręciła głową, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że wykonuje gest przeczenia. Przypuszczała, że zbyt często nie spała o trzeciej nad ranem, zbyt wiele przeżyła mrocznych poranków bez końca, by oddać swe przeżycia bez walki. We właściwym czasie powie Alanowi wszystko — nie zamierzała taić nic przed nim tak długo — ale właściwy czas jeszcze nie nadszedł. Z pewnością nie... zwłaszcza że ręce mówiły jej, iż przez najbliższe kilka dni będzie zdolna myśleć wyłącznie o nich.

Zadzwoił telefon. To z pewnością Alan. Wrócił z patrolu i chce się dowiedzieć, co u niej słychać. Polly wstała, podeszła do stolika, ujęła słuchawkę ostrożnie, obiema dłońmi, gotowa powiedzieć mu to, co według niej chciał usłyszeć. Głos babci Ewie próbował interweniować, tłumaczyć jej, że głupio się zachowuje, że zachowuje się jak samolubne dziecko, że to może być nawet niebezpieczne. Polly wyłączyła ten głos natychmiast, brutalnie.

— Halo? — powiedziała pogodnie. — O, cześć, Alan. Jak się miewasz? Świetnie!

Słuchała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się. Gdyby spojrzała w swe odbicie w wiszącym w przedpokoju lustrze, zobaczyłaby kobietę, która wydaje się krzyżeć... ale nie spojrzała.

— Doskonale, Alan — powiedziała. — Tak, czuję się świetnie.

14

Niemal już nadszedł czas, by jechać na wyścigi.

Niemal.

— Dawaj — szepnął Danforth Keeton. Po twarzy ciekł mu tłusty pot jak olej. — Dawaj, dawaj, dawaj!

Siedział skulony nad „Wielką wygraną” — zgarnął z biurka wszystko, co na nim leżało, by zrobić miejsce na grę. Niemal cały dzień spędził, grając. Zaczął z egzemplarzem „Historii wyścigów: czterdzieści lat Derby Kentucky”. Rozegrał co najmniej dwa tuziny biegów, nadając figurkom imiona autentycznych koni — dokładnie tak, jak powiedział mu Leland Gaunt. Błaznane konie z



imionami autentycznych zwycięzców zawsze przychodziły pierwsze. Zawsze, za każdym razem. Zdumiewająco! Było to tak zdumiewające, że dopiero o czwartej zdał sobie sprawę, że do tej pory rozgrywał wyłącznie historyczne wyścigi, podczas gdy tego wieczoru w Lewiston miały się odbyć nowe.

Wygrane tylko na niego czekały.

Przez ostatnią godzinę po lewej stronie „Wielkiej wygranej” leżał egzemplarz lewistońskiego „Sun” otwarty na programie wyścigów, po prawej wyrwana z notatnika kartka papieru, na kartce zaś wielkimi literami, charakterystycznym pismem Granata nagryzmolone było:

1. Aśka Bazooka
2. Fila Delfia
3. Cud Tammy
4. Jestem Zdumiony
5. Cześć George
6. Mały Duszek
7. Casco Grzmot
8. Cudowny Syn
9. Tiko-Tiko

Minęła dopiero piąta, a Danforth Keeton rozgrywał już ostatnią gonitwę wieczoru. Konie ze zgrzytem i brzękiem poruszały się po torze. Jeden z nich prowadził o sześć długości i minął linię mety na długo przed innymi. Keeton jeszcze raz spojrzął na program. Twarz lśniła mu, wyglądał niemal jak święty. „Mala-bar!” — szepnął i potrzęsnał w powietrzu zaciśniętymi pięściami. W jednej z nich trzymał pióro; wyleciało i poszybowało w powietrzu jak uciekająca przed nadmiarem obowiązków igła do szycia.

— Malabar! Trzydzieści do jednego! Co najmniej trzydzieści do jednego! Boże, Malabar!

Zaczął pisać na wyrwanej z notatnika kartce, dysząc jak po ciężkim biegu. W pięć minut później „Wielka wygrana” spoczywała bezpiecznie zamknięta w stojącej w gabinecie szafie, a Danforth Keeton jechał swym cadillakiem do Lewiston.

## Rozdział 9

Za kwadrans dziesiąta tego niedzielnego ranka Nettie Cobb włożyła płaszcz i zapięła go szybko. Na twarzy miała wyraz ponurego zdecydowania. Stała w kuchni. Śmiałek siedział na podłodze, patrząc na nią tak, jakby chciał zapytać, czy tym razem rzeczywiście zdecydowała się wyjść.

— Tak, zdecydowałam się wyjść — powiedziała mu Nettie.

Śmiałek machnął ogonem, tłukąc nim o podłogę. Zachowywał się tak, jakby chciał potwierdzić, że rzeczywiście powinna wyjść.

— Zrobiłam dla Poiły pyszną lasagne i mam zamiar ją zanieść. Abażur zamknęłam w szafce; wiem, że zamknęłam go w szafce. Nie muszę wracać i sprawdzać — jestem pewna, że go zamknęłam. Ta zwariowana Polka nie uwięzi mnie w moim własnym domu! Jeśli się spotkamy, to dopiero jej nagadam! Ostrzegałam ją!

Musiała wyjść. Musiała wyjść i zdawała sobie z tego sprawę. Nie wychodziła z domu od dwóch dni; uświadomiła sobie wreszcie, że im dłużej siedzi w zamknięciu, tym trudniej będzie się jej z tego zamknięcia uwolnić. Im dłużej siedzi w dużym pokoju przy zasuniętych zasłonach, tym trudniej będzie jej zasłony rozsunać. Już czuła stary strach zmieszany z niepewnością, już opanowywał on wszystkie jej myśli.

Tego ranka wstała wcześniej — o piątej! — i zrobiła dla Poiły pyszną lasagne, dokładnie taką, jaką Poiły lubiła: z mnóstwem szpinaku i pieczarek. Pieczarki były z puszek, Nettie nie ośmieliła się pójść poprzedniego dnia po południu na targ, ale jej zdaniem mimo to lasagne okazała się wspaniała. Czekala już tylko, żeby ją zanieść; stojąca na kuchennym stole patelnia owinięta była aluminiową folią.

Nettie wzięła ją, wyszła z kuchni i przemaszerowała przez duży pokój do drzwi.

— Bądź dobrym pieskiem, Śmiałku—powiedziała. — Wrócę za godzinę. Chyba że Poiły poczęstuje mnie kawą, może wtedy posiedzę u niej troszeczkę dłużej. Ale nic mi nie będzie. Przecież nie mam się o co martwić. Co mnie obchodzą prześcieradła tej zwariowanej Polki, a jeśli mnie zaczepi, już ja odpowiem jej pięknym za nadobne!

Śmiałek szczerknął groźnie na znak, że rozumie i w pełni się z nią zgadza.

Nettie otworzyła drzwi, wyjrzała na zewnątrz i nie dostrzegła niczego. Ford Street była tak opustoszała, jak opustoszała potrafi być tylko mała uliczka w małym miasteczku w niedzielny poranek. Gdzieś, daleko, jeden dzwon wzywał na nabożeństwo baptystów wielebnego Rose'a, drugi zaś katolików ojca Brighamama.

Zebrawszy całą odwagę, Nettie wyszła z domu prosto w blask słońca. Postawiła na stopniu schodów naczynie z lasagne, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Kluczem drapanęła się w przedramię, pozostawiając na nim czerwony ślad. Pochylając się po lasagne, pomyślała: Kiedy przejdziesz kilkadziesiąt kroków, a pewnie nawet szybciej, zaczniesz myśleć, że nie zamknęłaś drzwi. Ale... przecież je zamknęłaś. Żeby zamknąć drzwi, postawiłaś lasagne na schodku, a jeśli to ci nie wystarczy, jeśli nadal nie będziesz wierzyć sama sobie, spójrz na rękę, podrapaną tym samym kluczem, którym zamknęłaś drzwi... już po tym, kiedy je zamknęłaś. Zapamiętaj to sobie, Nettie, a wszystkie te wątpliwości nic a nic cię nie obejdą.

Cudowna to była myśl, a podrapanie sobie ręki kluczem było cudownym pomysłem. Zadrapanie było czymś konkretnym — po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwóch dni Nettie rzeczywiście poczuła się lepiej. Energicznie ruszyła przed siebie; usta miała zaciśnięte tak mocno, że prawie nie widać było warg. Kiedy wyszła na ulicę, rozejrzała się, sprawdzając, czy w pobliżu nie widać żółtego samochodziku tej zwariowanej Polki. Gdyby go dostrzegła, natychmiast podeszłaby do niego i powiedziała tej zwariowanej Polce, żeby się od niej odczepiła. Samochodu nie było jednak na horyzoncie, tylko przy krawężniku stała zaparkowana pomarańczowa, pusta ciężarówka. Doskonale.

Nettie pozełgowała znanym kursem na dom Poiły Chalmers, a kiedy poczuła wątpliwości, powiedziała sobie, że zamknęła swój kryształowy abażur, że Śmiałek pilnuje domu i że drzwi wejściowe są zamknięte. Najważniejsze, że zamknęła drzwi. Zamknęła drzwi

i wystarczyło jej spojrzeć na blednącą ryse na ręce, by natychmiast nabrać pewności, że rzeczywiście je zamknęła.

Nettie parła więc przed siebie z podniesioną głową, a kiedy dotarła do skrzyżowania, skręciła w prawo, nie oglądając się za siebie.

Kiedy ta wariatka zniknęła z pola widzenia, Hugh Priest pojawił się na siedzeniu kierowcy

pomarańczowej półciężarówki, którą wziął z parkingu już o siódmej rano (gdy zobaczył Nettie Cobb na chodniku, natychmiast położył się na siedzeniu). Wrzucił luz i bezszelestnie zjechał z niewielkiego wzniesienia wprost pod jej dom.

Dzwonek do drzwi wyrwał Poiły z letargu, nie będącego prawdziwym snem, lecz raczej stanem zawieszenia spowodowanym przez środki przeciwbólowe. Gdy usiadła, zdała sobie sprawę, że ubrana jest w szlafrok. Kiedy go włożyła? Przez moment nie pamiętała i bardzo ją to wystraszyło, ale po chwili przypomniała sobie wszystko.

Ból, którego tak się obawiała, pojawił się dokładnie o czasie i był to z pewnością najgorszy ból w całym jej dotychczasowym życiu. Obudził ją o piątej. Poszła do łazienki, zrobiła siusiu, po czym odkryła, że nie może nawet oderwać z rolki kawałka papieru toaletowego, żeby się podetrzeć. Więc wzięła środek przeciwbólowy, włożyła szlafrok i usiadła w fotelu, czekając, aż środek zadziała. W którymś momencie musiało zachcieć się jej spać, więc wróciła do łóżka.

Jej dłonie sprawiały wrażenie wykonanych topornie ceramicznych figurek wypalonych do momentu, kiedy prawie już pękały. Ból był jednocześnie parzący i zimny; usadowił się głęboko w jej ciele jak skomplikowana sieć zatrutych drutów. Zrozpaczona, podniosła dłonie do góry — dłonie tak wstrętne, tak strasznie zdeformowane, dłonie stracha na wróble — kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Zaskoczyło ją to tak, że niemal krzyknęła.

Zeszła na dół, na półpiętro, trzymając ręce przed sobą jak piesak żebrzący o cukierka. „Kto tam?” — krzyknęła, głos miała ochrypły, niewyraźny, zaspany. Jej język smakował jak coś, czego użyto do wyścielenia pudełka dla kota.

—• To ja, Nettie! — usłyszała. — Dobrze się czujesz, Poiły?

Nettie! Dobry Boże, czego Nettie chce od niej w niedzielę, niemal o świcie?

— Świetnie! Muszę coś na siebie włożyć. Otwórz swoim kluczem, dobrze, kochanie?

Usłyszawszy *zgrzyt* klucza w zamku, uciekła do sypialni. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że świt nadszedł już ładnych parę godzin temu. Nie chodziło jej też o to, żeby coś na siebie włożyć; szlafrok najzupełniej wystarczał do przyjęcia tego szczególnego gościa. Poiły musiała wziąć coś na ból. Jeszcze nigdy, ale to nigdy, nie potrzebowała czegoś na ból aż tak bardzo!

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak strasznie jest z nią źle, póki nie spróbowała zażyć środka przeciwbólowego. Lekarstwo — kapsułki — znajdowało się w szklanym naczyniu stojącym na

pólecze nad ozdobnym kominkiem. Zdołała wsadzić dłoń do naczynia, ale w żaden sposób nie udawało się jej wyjąć z niego leku. Palce miała jak szczypcy maszyny, która z braku oleju zatarła się na amen.

Spróbowała jeszcze raz, koncentrując całą wolę na tym, by ująć w dwa palce małą, żelatynową kapsułkę. Jakby w nagrodę za te jej wysiłki palce poruszyły się... a ich ruchowi towarzyszył straszny, paraliżujący ból. Nie osiągnęła nic więcej. Pисnęła cicho, cierpiąca, zrozpaczona.

- Poity? — głos Nettie dobiegł ją ze schodów. Brzmiała w nim troska. Ludzie z Castle Rock mogą sobie uważać Nettie za ograniczoną — pomyślała Poity — ale jeśli chodzi o rozpoznanie stanu mojej choroby, nie zna żadnych ograniczeń. Zbyt długo, zbyt często bywała u mnie w domu... i za bardzo mnie kocha. — Poity, wszystko dobrze?

- Zaraz schodzę, kochanie — odrzyknęła Poity, starając się, by zabrzmiało to dziarsko i pogodnie. Wyjęła dłoń z misy, pochyliła się nad nią i pomyślała: Proszę, Boże, nie pozwól jej teraz wejść, nie pozwól, żeby zobaczyła, co robię.

Pochyliła się nad misą jak pies, który chce się napić wody. Wysunęła język. Ból, wstyd, obrzydzenie, a przede wszystkim straszna depresja otoczyły ją szarą poświatą. Lizała tabletki, aż jedna z nich przykleiła się jej do języka. Wciągnęła ją w usta; teraz nie przypominała już psa, lecz smakosza delektującego się rzadkim rarytasem.

Przełykając tabletkę, czuła, jak powoli spływa jej do gardła.

Poity pomyślała: Zrobiłabym wszystko, by uwolnić się od tego bólu. Wszystko, ale to wszystko.

Hugh Priest nie śnił już — od jakiegoś czasu nie tyle kładł się spać, co tracił przytomność. Ale zeszłej nocy miał sen, wspaniały sen, jak żywy. We śnie dowiedział się wszystkiego, co powinien wiedzieć; sen sprawił, że wiedział, co ma zrobić.

We śnie siedział przy kuchennym stole, popijając piwo i oglądając teleturniej pod nazwą „Wyprzedaż stulecia”. Rozdawano w nim ludziom *rzeczy*, które widział w tym sklepie, w „Sklepiku z marzeniami”. Uczestnicy krwawili z uszu i kącików oczu i choć się śmiali, sprawiali wrażenie przerażonych.

Nagle jakiś stłumiony głos zaczął wołać: „Hugh! Hugh! Wypuść mnie, Hugh!”.

Głos dobiegał z szafy. Hugh podszedł do szafy i otworzył ją, gotów załatwić tego kogoś, kto się w niej schował. Ale w szafie nie było nikogo, oprócz butów, szalików, płaszczy, podbieraków oraz obu jego strzelb.

— Hugh!

Spojrzał w górę; głos dobiegał z najwyższej półki.

Był to jego lisi ogon. To lisi ogon do niego przemawiał. Hugh z miejsca rozpoznał jego głos; mówił głosem Lelanda Gaunta. Zdjął go z półki, znów napawając się jego aksamitną miękkością; w dotyku był trochę jak jedwab, trochę jak wełna, a tak naprawdę jak nic innego niż on sam, piękny i tajemniczy.

- Dziękuję, Hugh — powiedział lisi ogon. — Duszno tam, na górze. W dodatku zostawiłeś na półce starą fajkę. Co za smród, rany!

- Chcesz, żebym ci znalazł jakieś inne miejsce? — Hugh czuł się nieco głupio, rozmawiając z lisim ogonem, nawet we śnie.

- Nie, zaczynam się przyzwyczajać. Ale musimy porozmawiać. Masz coś do zrobienia, prawda? Obiecałeś.

- Szalona Nettie — powiedział Hugh. — Miałem splatać figła Szalonej Nettie.

- Oczywiście — zgodził się ogon. — Masz to zrobić, jak tylko się obudzisz. Więc posłuchaj...

Hugh posłuchał. :

Lisi ogon powiedział mu, że u Nettie nie będzie nikogo oprócz psa, ale kiedy Hugh znalazł się już na miejscu, uznał, że najmądrzej będzie zapukać. Więc zapukał. Ze środka dobiegł go zgrzyt pazurów po drewnianej podłodze... i nic więcej. Zapukał jeszcze raz, tak dla bezpieczeństwa. Na pukanie odpowiedziało mu jedno groźne<sup>^</sup> szczeknięcie.

— Śmiałek? — zapytał Hugh. Lisi ogon powiedział mu, że tak się nazywa pies. Hughowi bardzo spodobało się to imię, choć pani zwierzaka była głupsza od buta.

Rozległo się kolejne szczeknięcie, tym razem już nie tak groźne.

Hugh wyjął klucze z kieszeni na piersiach zwykłej myśliwskiej kurtki, którą miał na sobie, i przyjrzał się im dokładnie. Miał je od bardzo dawna, zdążył już nawet zapomnieć, do czego

niektóre z nich służyły. Cztery były jednak kluczami uniwersalnymi, łatwymi do zidentyfikowania dzięki długim łebkom, i to one właśnie mogły mu się najbardziej przydać.

Rozejrzał się. Ulica była równie pusta jak wtedy, kiedy przyjechał. Włożył w zamek pierwszy klucz.

Kiedy Nettie zobaczyła bladą, spuchniętą twarz Poiły, kiedy zobaczyła cierpienie w jej oczach, strach, który gryzł ją jak ostre zęby łasicy od chwili, gdy wyszła z domu, natychmiast poszedł w zapomnienie. Nie musiała nawet patrzeć na dłonie, które Poiły nadal trzymała na wysokości talii (ból był nie do wytrzymania, kiedy je opuszczała), by wiedzieć, o co chodzi.

Lasagne wylądowała na stoliku przy schodach, ale nawet gdyby wylądowała na podłodze, Nettie i tak nie zaszczyliłaby jej spojrzeniem. Nerwowa kobieta, którą ludzie widywali codziennie na ulicach Castle Rock, kobieta, która sprawiała wrażenie, jakby uciekała po popełnieniu strasznego przestępstwa, nawet jeśli tylko szła na pocztę, zniknęła. Na jej miejscu pojawiła się nowa Nettie, własność Poiły Chalmers.

- Chodź — powiedziała energicznie nowa Nettie. — Do dużego pokoju. Założymy rękawice termiczne i...

- Nettie, nic mi nie jest — głos Poiły brzmiał bardzo słabo. — Właśnie wzięłam percodan, z pewnością za kilka minut...

Lecz Nettie już objęła ją ramieniem, już prowadziła ją do dużego pokoju.

— Co się stało? — spytała. — Może spałeś na nich albo...

- Nie. To by mnie obudziło. Tylko... — roześmiała się słabym, pełnym bólu śmiechem. — Po prostu bolą. Wiedziałam, że będą dziś bolały, ale nie wiedziałam jak bardzo. A te rękawice wcale nie pomagają.

- Czasami tak. Sama wiesz, że czasami pomagają. No siadaj, siadaj.

Ton głosu Nettie nie dopuszczał najmniejszego sprzeciwu. Stała przy Poiły, póki ta nie usiadła na

jednym z grubo wyściełanych foteli. Potem poszła do łazienki i przyniosła rękawice. Poily dała sobie z nimi spokój przed rokiem, Nettie jednak traktowała je najwyraźniej jak coś w rodzaju ósmego cudu świata. Tak jak ty rosół z kurczaka — zauważył kiedyś Alan i oboje serdecznie się roześmieli.

Poily oparła ramiona jak kawałki wyrzuconego przez morze drewna na brzegu fotela i z tęsknotą spojrziała na kanapę, na której kochali się z Alanem w piątkową noc. Ręce wcale jej wtedy nie bolały; miała wrażenie, że ta noc jest już odległa o tysiące lat. Pomyślała, że przyjemność, nawet wielka przyjemność, przemija i ulatnia się jak dym. Być może to miłość porusza Ziemię, ale była głęboko przekonana, że to krzyki skrzywdzonych i cierpiących obracają wszechświat na jego długiej szklanej osi.

Głupia kanapo — pomyślała — och ty głupia kanapo, i jaki mam teraz z ciebie pożytek?

Wróciła Nettie z rękawicami, wyglądającymi jak połączone kablem elektrycznym wyściełane rękawice kuchenne. Z lewej wychodził sznur z wtyczką. Poily znalazła ich reklamę w piśmie dla gospodyń domowych... całkiem nieprawdopodobne, nie? Zadzwoiła pod wolny od opłaty telefonicznej numer Narodowej Fundacji Artretycznej, gdzie potwierdzono, że rzeczywiście, w pewnych przypadkach rękawice te przynoszą chwilową ulgę. Kiedy pokazała tę reklamę doktorowi Van Allenowi, wypowiedział słowa, które straciły dla niej urok nowości jakieś dwa lata temu. Powiedział: „Spróbuj. Przecież nie zaszkodzą”.

- Nettie, jestem pewna, że za kilka minut...
- ...poczujesz się lepiej — skończyła za nią Nettie. — Oczywiście

cie, że tak. I może one trochę ci w tym pomogą? Podnieś rękę, Poily.

Poily poddała się i podniosła rękę. Nettie ujęła rękawice, otworzyła i wsunęła jej na dłoń z ostrożnością sapera przykrywającego ładunek C-4 płachtą przeciwołamkową. Dotknięcie jej palców było delikatne, czułe, pewne. Poily nie wierzyła, by rękawice miały pomóc, ale rzeczywista troska Nettie już odniosła pewien skutek.

- Jesteś dla mnie za dobra — powiedziała cicho. — Wiesz?
- To niemożliwe. — Głos Nettie był lekko schrypnięty, oczy miała zamglone, błyszczące. — To w ogóle niemożliwe. Poily, nie jestem tu od tego, żeby cię uczyć, ale dłużej już nie mogę milczeć. Musisz zrobić coś z tymi twoimi biednymi rękami. Musisz. Tak dalej być nie może.



- Wiem, kochanie, wiem. — Poily potrzebowała całej siły woli, by wznieść się ponad mur depresji, za którym zamknął się jej umysł. — A właściwie dlaczego przyszedłeś? Z pewnością nie po to, żeby mi usmażyć ręce.

Nettie rozjaśniła się wyraźnie.

- Zrobiłam ci lasagne!
- Doprawdy? Nettie, nie musiałaś...
- Nie? Mnie wydawało się, że właśnie tak. Moim zdaniem nie dasz rady gotować ani dziś, ani jutro. Wstawię ją do lodówki.
- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.
- Robiłam ją z przyjemnością. Teraz, kiedy cię zobaczyłam, jeszcze bardziej się z niej cieszę. — Nettie wyszła na korytarz. Obejrzała się, na twarz padł jej promień słońca. W tym momencie Poily mogłaby dostrzec, jak bardzo napięta, jaka zmęczona jest Nettie — gdyby sama nie cierpiała aż tak. — A teraz... nie ruszaj się!

Poily wybuchnęła radosnym śmiechem, co zaskoczyło je obie.

— Nie mogę. Jestem w pułapce!

Z kuchni dobiegł ją odgłos otwieranej i zamykanej lodówki — to lasagne trafiła na miejsce. Zaraz potem usłyszała:

- Zaparzyć kawy? Wypijesz filiżankę? Pomogę ci, jeśli chcesz.
- Chętnie się napiję — odparła Poily. Rękawice szumiały cicho i były już bardzo ciepłe. I może rzeczywiście pomogły, albo środek zadziałał lepiej niż ten, który wzięła o piątej; a najpewniej — pomyślała — jedno i drugie naraz. — Ale jeśli musisz wrócić do domu, to...

W drzwiach pojawiła się Nettie. Nałożyła wyjęty ze spizarki fartuch, w ręce trzymała stary blaszany imbryk do kawy. Nie chciała używać nowego, cyfrowego ekspresu Toshiba... trzeba jednak przyznać, że to, co nalewała z dzbanka, było znacznie lepsze.

- Nigdzie nie będzie mi lepiej niż tu — powiedziała. — Poza tym zamknęłam mieszkanie, no i pilnuje go Śmiałek.

- Śmiałek z pewnością sobie poradzi. — Poiły uśmiechnęła się. *Znała* Śmiałka doskonale. Ważył całe dziesięć kilogramów i przewracał się na grzbiet, żeby drapać go po brzuchu. Witał tak

każdego — listonosza, inkasenta z elektrowni, domokrażcę, ktokolwiek przekroczył próg domu.

- Poza tym przypuszczam, że zostawi mnie w spokoju — dodała Nettie. — Ostrzegłam ją. Nie widziałam jej ostatnio i nie dzwoniła, więc przypuszczam, że w końcu pojęła, iż mówiłam serio.

- Kogo ostrzegałaś? O co chodzi? — zdziwiła się Poiły, ale Nettie była już w kuchni, a ją przykuły do miejsca rękawice. Nim Nettie wróciła z kawą, percodan zadziałał, oszłamiając ją lekko, tak że zupełnie zapomniała o tych niezwykłych przecież słowach... co w końcu nie powinno dziwić, jako że Nettie często mówiła dziwne rzeczy.

Nettie wróciła z kawą, dołała do niej śmietanki, nasypała cukru i podtrzymała filiżankę tak, by Poiły mogła się z niej napić. Rozmawiały o tym i o owym i w końcu, nieuchronnie, rozmowa zesłała na nowy sklep. Nettie jeszcze raz opowiedziała o tym, jak kupiła abażur, ale znacznie spokojniej, niż można się było spodziewać, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jakim niezwykłym zdarzeniem było to kupno w jej życiu. Dzięki tej opowieści Poiły przypomniała sobie jedno — liścik, który dostała od Gaunta wraz z blachą po cieście.

- Omal nie zapomniałam — powiedziała — że pan Gaunt zaprosił mnie dziś po południu do swojego sklepu.

- Nie pójdziesz, prawda? Skoro ręce tak cię bolą...

- Może jednak pójde. Już czuję się lepiej; rękawice chyba mi pomogły, przynajmniej tym razem. Poza tym coś przecież muszę robić. — Spojrzała na Nettie z błaganiem w oczach.

- No, chyba tak. — Nagle Nettie wpadła na pewien pomysł. — Wiesz, mogę zająć do niego, wracając do domu i poprosić, żeby przyszedł do ciebie!

- Nie, nie, przecież ci nie po drodze...

- To tylko przecznica czy dwie. — Nettie spojrzała na Poiły spod oka ze wzruszającą chytrą. — A może ma jakieś nowe kryształy? — powiedziała. — Nie mam już pieniędzy, ale on o tym nie wie, a patrzenie nic nie kosztuje.

- Tylko prosić go, żeby przyszedł...

- Wyjaśnię mu, jak z tobą jest — stwierdziła stanowczo Nettie. — Przecież sprzedawcy często robią pokazy w domach... to znaczy, jeśli mają coś interesującego do sprzedania.

Poiły spojrzała na nią z rozbawieniem... i z uczuciem.

— Wiesz, kiedy jesteś u mnie, zachowujesz się zupełnie inaczej niż zwykle!

Nettie spojrzała na nią zdziwiona.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jak to, inaczej?

- Lepiej. Nie ma o czym mówić. Jeśli znów mi się nie pogorszy, to chyba wpadnę do pana Gaunta dziś po południu. Ale gdybyś przypadkiem przechodziła koło „Sklepiku z marzeniami”...

- Oczywiście! — Oczy Nettie błyszczały źle ukrywaną niecierpliwością. Kiedy już wpadła na pomysł odwiedzenia „Sklepiku z marzeniami”, chwyciła się go jak tonący brzytwy. Robienie przysług Poiły uspokajało ją, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

- ...i gdybyś go przypadkiem spotkała, daj mu mój domowy numer telefonu i poproś, żeby zadzwonił, kiedy to, o czym mi pisał, dotrze na miejsce. Możesz to zrobić?

- Jasne! — Nettie wstała. Po drodze zabrała tacę z zastawą do kawy i wyniosła do kuchni. Wróciła do pokoju już w płaszczu, by zdjąć rękawice z dłoni Poiły, która podziękowała jej jeszcze raz — i to nie tylko za lasagne. Dłonie nadal ją bolały, lecz teraz ból był już do zniesienia. Znów mogła poruszać palcami.

- Nie masz mi za co dziękować — stwierdziła Nettie. —

I wiesz co? Wyglądasz o wiele lepiej. Nie jesteś już taka blada. Przestraszyłam się, kiedy cię zobaczyłam. Mogę coś dla ciebie zrobić przed wyjściem?

- Nie, chyba już nic. — Poily niezdarnie wyciągnęła ręce i ujęła dłoń Nettie w obie swe dłonie. — Strasznie się cieszę, że przyszedłeś, kochanie.

Kiedy, jakże rzadko, Nettie się uśmiechała, uśmiechała się cała jej twarz, jakby słońce nagle przebijalo się przez chmury w ponury ranek.

- Kocham cię, Poily.

Wzruszona Poily odparła:

- I ja cię kocham.

Nettie wyszła. Poily nie zobaczyła jej już żywej.

Zamek w drzwiach domu Nettie Cobb równie trudno było otworzyć jak, powiedzmy, pudełko czekoladek; pierwszy z uniwersalnych kluczy po kilku próbach przekręcił się prawie bez oporu.

Hugh otworzył drzwi.

Na podłodze przedpokoju siedział płowy psiak z obrózką białego futra wokół szyi. Psiak szczeknął raz, groźnie, gdy padł na niego promień słońca, a gotem cień intruza.

— To ty jesteś Śmiałek, prawda? — spytał cicho Hugh, chowając rękę w kieszeni.

Psiak szczeknął jeszcze raz i natychmiast przewrócił się na grzbiet, szeroko rozkładając łapy.

— Hej, fajny jesteś!

Przycięty ogon Śmiałka stuknął o podłogę; pies najwyraźniej zgadzał się z opinią, że jest fajny.

Hugh zamknął drzwi i przyklęknął obok niego. Jedną ręką podrapał go z prawej strony po piersi, w magicznym miejscu najwyraźniej powiązonym jakoś z prawą tylną łapą, która zaczęła się gwałtownie poruszać. Drugą ręką wyjął z kieszeni scyzoryk.

— Dobry piesek, dobry — powiedział pieszczotliwie. — Dobry

z ciebie piesek, prawda.

Przestał drapać psa i z kieszeni na piersiach wyjął kartkę papieru, na której niezdamnym charakterem pisma ucznia podstawówki wypisał to, co powiedział mu lisi ogon; usiadł za stołem i zapisał sobie jego słowa, jak tylko wstał z łóżka, nim się nawet ubrał, tak bardzo bał się czegoś zapomnieć.

„Nikt nie będzie obrzucał błotem moich czystych prześcieradeł! Mówiłam, że cię dopadnę!”.

Otworzył korkociąg będący częścią wielofunkcyjnego noża i nabił nań kartkę. Zamknął scyzoryk w potężnej garści tak, że tylko korkociąg sterczał między wskazującym a środkowym palcem. Potem znów zaczął drapać Śmiałka, który przez cały czas przyglądał mu się wesoło. Fajny psiak — pomyślał. Sprytny.

— Jaki dobry z ciebie piesek — powtarzał, nie przestając drapać piersi Śmiałka. — Dobry z ciebie piesek, prawda? Najlepszy.

Poruszały się już obie tylne łapy; Śmiałek sprawiał wrażenie psa jadącego na niewidzialnym rowerze.

— Dobry piesek, dobry. Wiesz, co mam, piesku? Wiesz, co mam? Mam lisi ogon! Tak!

Hugh trzymał korkociąg tuż nad pasem białego futerka na szyi Śmiałka.

— Chcesz wiedzieć jeszcze coś? Mam zamiar go zatrzymać!

Z całej siły ugodził psa korkociągiem. Lewą ręką, którą go przedtem drapał, teraz przycisnął go do ziemi; jednocześnie trzykrotnie obrócił korkociąg. Trysnęła ciepła krew, zalewając mu

obie dłonie. Pies rzucał się przez chwilę, a potem znieruchomiał. Nigdy już nie szczeknie, tak groźnie i tak bezradnie.

Hugh wstał. Serce biło mu mocno. Nagle poczuł, że zrobił coś bardzo złego. Zemdlilo go. Być może Nettie Cobb jest szalona — pomyślał — być może nie, ale żyje samotnie, a on zabił jej, prawdopodobnie jedyne, przyjaciela.

Wytrzeł zakrwawione dłonie o koszulę. Na ciemnej wełnie niemal nie widać było plam. Nie mógł oderwać wzroku od zwłok Śmiałka. To jego dzieło. Tak, zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił, ale jakby nie potrafił uwierzyć własnym oczom. Musiał być w jakimś transie albo co?

Wewnętrzny głos, ten, który czasami przypominał mu o spotkaniach Anonimowych Alkoholików, odezwał się nagle.

— *Tak, i pewnie nawet w końcu sam w to uwierzysz, ale nie byłeś w żadnym pieprzonym transie, doskonale wiedziałeś, co robisz.*

I dlaczego.

Nagle Hugh wpadł w panikę. Musi jak najszybciej się stąd wynieść. Tyłem, powoli, wycofywał się korytarzem; krzyknął ochryple, kiedy trafił na zamknięte drzwi. Macał je, szukając klamki; w końcu znalazł, przekręcił ją i wyslizgnął się z domu Szalonej Nettie. Dziko rozejrzał się dookoła, pewny, że zobaczy zgromadzone na ulicy pół miasteczka, przyglądające mu się poważnie, w milczeniu, oskarżycielsko. Nie dostrzegł nikogo, tylko ulicą jechał na rowerze jakiś chłopak. Na bagażniku roweru wiózł małe termiczne pudełko piknikowe, komicznie przekrzywione. Mijając Hugh'a, nie podniósł nawet wzroku, a kiedy przejechał, tylko kościelne dzwony przerwały wiszącą w powietrzu ciszę... tym razem wzywały one na nabożeństwo metodystów.

Hugh niemal pobiegł chodnikiem. Powtarzał sobie, że nie wolno mu biec, ale ciężarówka dopadł truchtem. Otworzył drzwi, wślizgnął się za kierownicę, wsadził kluczyk w stacyjkę; musiał próbować trzy czy cztery razy, bo ten cholerny kluczyk nie chciał trafić na miejsce. Udało mu się dopiero wtedy, kiedy przytrzymał prawą dłoń lewą, a i tak pot gęsto zrosił mu czoło. Hugh przeżył w życiu mnóstwo kaców, nigdy jeszcze nie czuł się jednak aż tak źle, niczym podczas ataku malarii albo czegoś w tym rodzaju.

Silnik zapalił z hukiem, z rury wydechowej uniósł się kłęb niebieskiego dymu. Hughowi noga ześlizgnęła się ze sprzęgła; poczuł dwa mocne szarpnięcia, samochód odjechał nieco od krawężnika i silnik zgasł. Oddychając ciężko, przez usta, Hugh znów go zapalił i tym razem szybko odjechał.

Nim dojechał na parking (nadal bezludny jak góry na Księżycu) i przesiadł się do swojego poobtłukiwanego buicka, zapomniał już o Śmiałku i o tym, jakiego strasznego czynu dokonał za pomocą korkociągu. Myślał o czymś innym, o czymś znacznie ważniejszym. Jadąc do domu, nabrał całkowitej, strasznej pewności, że pod jego nieobecność ktoś się do niego włamał i ukradł mu lisi ogon.

Podjechał pod dom dziewięćdziesiątką, przyskajac żużlem, zahamował w chmurze unoszącego się

spod kół pyłu niespełna piętnaście centymetrów od rozchwianego ganku i wbiegł nań, przeskakując po dwa stopnie. Wpadł do środka, podbiegł do szafy, szarpnął jej drzwi, wspiął się na palce i gorączkowymi ruchami zaczął obmacywać półkę.

Pod drżącymi palcami czuł tylko drewno; nagle lewa dłoń utonęła mu w gładkim aksamicie, w dotyku jakże różnym i od wełny, i od jedwabiu; sam ten dotyk wystarczył, by ogarnęło go uczucie spokojnej błogości. Czuł się jak głodny, którego nakarmiono, jak zmęczony, który może położyć się i odpocząć... jak chory na malarię, któremu podano chininę. Szaleńcze bicie serca wreszcie zaczęło się uspokajać.

Zdjął ogon z półki. Usiadł przy kuchennym stole, położył lisi ogon na grubym udzie i zaczął go głaskać obydwoma rękami.

Siedział tak ponad trzy godziny.

Chłopcem, którego zauważył, lecz nie rozpoznał Hugh, tym jadącym ulicą przed domem Nettie na rowerze, był Brian Rusk. Brian także śnił w nocy, a w konsekwencji tego snu miał także zadanie do wykonania.

W jego śnie zaczynała się właśnie siódma gra w Serii Światowej; w jakiejś antycznej Serii Światowej gdzieś z czasów Elvisa miała się właśnie rozpocząć apokaliptyczna rozgrywka, baseballowy archetyp prawdziwej walki, mecz Dodgersów przeciw Jankesom. Sandy Koufax rozgrzewał się, gotów do swych słynnych „da bum”. Rozmawiał także z Brianem, stojącym za nim, pomiędzy słupkami. Sandy Koufax tłumaczył Brianowi, co ma zrobić. Nie owijał niczego w bawełnę, stawiał kropkę nad każdym „i”. Tu nie było problemu.

Problemem było natomiast to, że Brian nie chciał wykonać tego zadania.

Strasznie głupio mu było spierać się z legendą baseballu, jaką niewątpliwie był Koufax, ale mimo wszystko próbował.

- Nie rozumie pan, panie Koufax — tłumaczył. — Miałem spletać figla Wilmie Jerzyck. Spletałem go.

- I co z tego? O co ci chodzi, gówniarzu?
- No... taka była umowa. Osiemdziesiąt pięć centów i figiel.
- Jesteś tego pewien, gówniarzu? Jeden figiel? Jesteś tego pewien? Czy powiedziałem coś w rodzaju „Jeden i nie więcej niż

jeden"? Coś prawnie zobowiązującego?

Brian nie pamiętał rozmowy aż tak dokładnie, ale miał coraz silniejsze wrażenie, że został nabrany. Nie, nie nabrany. „Złapany” byłoby znacznie lepszym określeniem. Złapany w pułapkę. Jak mysz na kawałek sera.

— Pozwól, że ci coś powiem, gówniarzu. Nasz układ...

Sandy Koufax przerwał, stęknął „uuuhhh...” i rzucił szybką piłkę znad głowy. Odbierający złapał ją z odgłosem przypominającym strzał. Z jego rękawicy uniósł się kłęb kurzu, a Brian ze strachem zorientował się, że patrzył już kiedyś w niebieskie oczy widoczne spod tej maski. Były to oczy pana Gaunta.

Sandy Koufax złapał odrzuconą mu przez pana Gaunta piłkę, a potem spojrzał na Briana oczami bez wyrazu, przypominającymi brązowe szkło.

— Ja ci mówię, jaki zawarliśmy układ, gówniarzu. Ja o tym decyduję.

Jego oczy nie były już jednak brązowe; we śnie Brian zorientował się nagle, że też są niebieskie, co się oczywiście doskonale zgadzało, jako że Sandy był także panem Gauntem.

— Ale...

Koufax/Gaunt podniósł rękę w ciężkiej baseballowej rękawicy.

— Pozwól, że ci coś powiem, gówniarzu — powiedział. — Nienawidzę słowa „ale”. Ze wszystkich słów w ludzkim języku to jest z pewnością najgorsze. W każdym języku. Wiesz, co to jest „ale”, gówniarzu? To kompletne gówno!

Mężczyzna ubrany w staroświecki strój brooklyńskich Dodger-sów skrył piłkę w wielkiej rękawicy i obrócił się w stronę Briana. Tak, był panem Gauntem; Brian poczuł strach paralizujący mu serce.

— Chciałem, żebyś zrobił kawał Wilmie Jerzyck, Brian, to oczywiście prawda, ale nigdy nie powiedziałem, że chcę, byś zrobił jej tylko ten jeden jedyny kawał. Tak ci się wydawało, gówniarzu. Wierzysz mi, czy może chciałbyś wysłuchać nagrania naszej, rozmowy?

• Wierzę panu. — Brian niemal belkotał ze strachu. — Wierzę panu, ale...



- Czy nie wspomniałem ci przypadkiem, co myślę o tym słowie, gówniarzu?

Brian opuścił głowę. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć — powiedział Koufax/Gaunt. — O tym, jak się targować. Nie tylko ty, ale wszyscy obywatele Castle Rock. To jeden z powodów, dla których przyjechałem — poprowadzę wam seminarium na temat szlachetnej sztuki targowania się. Mieszkał tu kiedyś pewien gość nazwiskiem Merrill; on co nieco o tym wiedział, ale zniknął i nie sposób go odnaleźć. — Szeroki uśmiech ukazał krzywe zęby pana Gaunta w szczupłej, smutnej twarzy Sandy'ego Koufaksa. — A „okazja”, Brian? Znaczenia tego słowa także muszę was nauczyć.

- Ale... — słowo to wymknęło się Brianowi z ust, nim zdołał je powstrzymać.

- Na ten temat nie ma żadnego „ale” — stwierdził Koufax/Gaunt i pochylił się nad chłopcem. Przyglądał się mu uważnie spod daszka baseballowej czapki. — Pan Gaunt wie najlepiej. Potrafisz to powtórzyć?

Brian próbował, ale nie potrafił powtórzyć tych czterech słów. Czuł, jak do oczu napływają mu łzy.

Wielka, zimna dłoń spadła mu na ramię. Chwyliła je w miazdzącym uścisku.

- Powtórz!

- Pan Gaunt... — Brian musiał znów przełknąć, te słowa nie chciały mu przejść przez gardło. — Pan Gaunt... wie najlepiej.

- Doskonale, gówniarzu. Naprawdę doskonale. Więc masz zrobić, co mówię, albo...

Brian zmobilizował całą siłę woli.

— A co, jeśli mimo wszystko powiem „nie”? Co, jeśli powiem „nie”, bo nie zrozumiałem... jak pan to nazwał? Warunków umowy?

Koufax/Gaunt wyjął piłkę z rękawicy, zamknął ją w garści i ścisnął. Ze szwów poczęła

saczyć się krew.

— Nie możesz powiedzieć „nie” — szepnął. — Już nie. No bo przecież mamy siódmą grę w Serii Światowej. Kury siedzą na grzędach, czas powiedzieć „tak lub tak”. Rozejrzyj się. Nie spiesz się, po prostu się rozejrzyj!

Brian rozejrzał się i z przerażeniem stwierdził, że Ebbets Field są tak pełne, iż ludzie wręcz stoją w przejściach. Mama, tata i brat

Briana, Sean, siedzieli w łoży honorowej za ostatnią bazą. Cała klasa wymowy, z panną Ratcliffe z jednej strony a jej głupkowskim chłopakiem, Lesterem Pratem, z drugiej, siedziała na krytej trybunie wzdłuż linii baz, delektując się colą Royal Crown i hot dogami. Biuro Szeryfa zajęło miejsca w pierwszym rzędzie, popijając piwo z papierowych kubków z portretami aktualnych zwycięzców teleturnieju panny Rheingold. Brian dostrzegł też swą klasę ze szkoły niedzielnej, Radę Miejską, Myrę i Chucka Evan-sów, ciotki, wujków i kuzynów. Za trzecią bazą siedział Sonny Jackett, a kiedy krwawiąca piłka rzucona przez Koufafa/Gaunta z odgłosem wystrzału wpadła w rękawicę łapacza, Brian dostrzegł, że za jego maską kryje się twarz Hugh'a Priesta.

— • Rozsmaruję cię po asfalcie — powiedział Hugh, odrzucając piłkę. — Aż piśniesz!

— Widzisz, gówniarzu, nie chodzi już o kartę baseballową — powiedział mu zza pleców Koufafa/Gaunta. — Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Kiedy obrzuciłeś błotem prześcieradła Wilmy Jerzyck, coś się zaczęło. Byłeś jak ten, kto powoduje lawinę, mówiąc głośniejsze zimowe dni. Teraz możesz tylko wybierać — albo grasz dalej, albo nie... i idziesz do ziemi.

W tym śnie Brian zaczął wreszcie płakać. Zdawał sobie sprawę ze wszystkiego. Zdawał sobie sprawę ze wszystkiego... teraz, kiedy było już za późno.

Gaunt ścisnął piłkę, z której pociekło jeszcze trochę krwi; jego palce zagłębiły się w jej białą, miękką powierzchnię.

— Jeśli nie chcesz, żeby wszyscy mieszkańcy Castle Rock dowiedzieli się, kto obruszył lawinę, to lepiej zrób, co ci każę.

Brian szlochał jeszcze głośniejsze.

— Kiedy masz do czynienia ze mną — stwierdził pan Gaunt,

przymierzając się do rzutu — musisz pamiętać o dwóch rzeczach.

Pan Gaunt wie lepiej i umowa nie została dotrzymana, póki pan Gaunt nie powie, że została dotrzymana.

Rzucił kręconą, mocną piłkę, która czyniła piłki Sandy'ego Koufaksa tak trudnymi do odbicia (przynajmniej według skromnej i niefachowej opinii ojca Briana), a kiedy piłka wpadła w rękawicę Hugh'a Priesta, wybuchła. Krew, włosy i kawałki ciała wleciały w czyste, jesienne powietrze, Brian zaś obudził się, płacząc w poduszkę.

Teraz właśnie zamierzał zrobić to, co pan Gaunt kazał mu zrobić. Bez trudności wyrwał się z domu; po prostu powiedział rodzicom, że nie pójdzie dziś do kościoła, bo boli go brzuch (co wcale nie było kłamstwem), a kiedy wyszli, rozpoczął przygotowania.

Trudno mu było wjechać rowerem pod górę, a jeszcze trudniej utrzymać równowagę, a to wszystko z powodu ciężaru pudełka piknikowego w koszyku. Brian mocno się spocił i zadyszał, nim wreszcie dojechał do domu Jerzyków. Tym razem nie wahał się, nie próbował zadzwonić do drzwi, nie przygotowywał sobie odpowiedniej historii. W domu nie było przecież nikogo. Sandy Kou-fax/Leland Gaunt upewnił go we śnie, że Jerzyckowie zostaną w kościele po mszy na jedenastą, by przedyskutować uroczystości otwarcia „Casino Nite”, a potem pójdą jeszcze odwiedzić przyjaciół. Brian mu wierzył. Marzył tylko o jednym — skończyć z tym czymś wstrętnym tak szybko, jak to tylko możliwe. A kiedy już skończy, wróci do domu, zostawi rower w garażu i resztę dnia spędzi w łóżku.

Zdjął obiema rękami pojemnik z koszyka i postawił go na trawniku. Skrył się za żywopłotem tak, by nikt nie mógł go zauważyć. Zadanie, które miał wykonać, było dość hałaśliwe, ale Koufax/Gaunt powiedział mu, żeby się tym nie przejmował. Powiedział, że na Willow Street mieszkają głównie katolicy i że większość z tych, którzy nie poszli na mszę o jedenastej, była na mszy o ósmej, a potem wyjechała za miasto. Brian nie miał pojęcia, czy to prawda, czy też nie. Wiedział tylko z całą pewnością, że pan Gaunt wie lepiej i że umowa nie została dotrzymana, póki pan Gaunt nie powie, że została dotrzymana.

Tak się umówili.

Brian otworzył pojemnik. Było w nim kilkanaście sporych kamieni. Do każdego z nich przytwierdził gumką kartkę papieru ze szkolnego notesu, na każdej zaś kartce wielkimi literami wypisane było:

## MÓWIŁAM CI, ŻEBYŚ MI DAŁA SPOKÓJ. TO JEST OSTATNIE OSTRZEŻENIE!

Brian wziął jeden z kamieni i ruszył przez trawnik; zatrzymał się dopiero niespełna trzy metry od wielkiego okna dużego pokoju; we wczesnych latach sześćdziesiątych, kiedy dom ten postawiono, okno takie nazywało się „widokowym”. Odchylił rękę, zawahał się na maleńką chwilę, po czym rzucił jak Sandy Koufax stojący naprzeciw

najlepszego wybijającego przeciwnika w siódmej grze Serii Światowej. Rozległ się donośny i bardzo nieharmonijny brzęk, a potem stuk kamienia padającego i toczącego się po wykładzinie w dużym pokoju. Dźwięk ten wywarł na Brianie dziwne wrażenie. Przede wszystkim przestał się bać. Po drugie: niesmak wywołany koniecznością dokończenia zadania — którego nawet przy maksymalnym napięciu wyobraźni nie sposób było nazwać zwykłym żartem — zniknął. Brzęk tłukącego się szkła podniecił go... a nawet sprawił, że czuł się dokładnie tak, jak kiedy marzył o panie Ratcliffe. Jego marzenia o panie Ratcliffe były głupie, z czego doskonale zdawał już sobie sprawę, ale w tym, co czuł teraz, nie było nic głupiego. To, co się teraz działo, działo się naprawdę.

Poza tym Brian odkrył, że pragnie karty z Sandym Koufaxem bardziej, niż pragnął jej kiedykolwiek. Odkrył kolejne niepodważalne prawo posiadania i specyficznego stanu psychicznego, który sprawiał, że im więcej musiało się przeżyć, by dostać to, o czym się marzyło, tym bardziej pragnie się to coś zachować.

Wziął z koszyka jeszcze dwa kamienie i podszedł do wybitego okna. Kiedy przez nie zajrzał, dostrzegł rzucony wcześniej kamień, leżący teraz w przejściu między kuchnią i dużym pokojem. W tym akurat miejscu wyglądał on wręcz nieprawdopodobnie —• jak kalosz na ołtarzu albo róża na silniku traktora. Jedna z gumek przytrzymujących przytwierdzoną do kamienia kartkę papieru pękła, ale druga nadal trzymała. Brian spojrzął w lewo, wprost na wielki telewizor Sony Jerzycków.

W powietrze wleciał drugi kamień, trafiając telewizor w samą dziesiątkę. Wielkie Sony zachwiało się, ale nie zleciało na ziemię; rozległ się tylko przeraźliwy trzask, błysnął implodujący kineskop, a na wykładzinę posypało się szkło. „Rzuuu numer dwa!” — szepnął Brian i roześmiał się przedziwnym, zdławionym śmiechem.

Trzeci kamień rzucił w fajansowe figurki stojące przy stole na kanapie, ale chybił. Kamień trafił w ścianę, odłupując, z niej kawałek tynku.

Brian złapał pojemnik i obszedł dom Jerzycków. Wybił oba okna sypialni oraz — kamieniem

wielkości kromki chleba — szybę w górnej części kuchennych drzwi, przez którą wrzucił jeszcze kilka kolejnych; jeden z nich zniszczył mikser stojący na barku, inny stłukł szybę w drzwiczkach kuchenki mikrofalowej i wylądował w jej środku. „Rzuuuut numer trzy!” — krzyknął Brian. „Siadaj, gówniarzu!”. Roześmiał się histerycznie, omal nie zsikał się w majtki.

Kiedy już doszedł do siebie, okrążył dom do końca. Pojemnik

zrobił się lżejszy; stwierdził, że może nieść go jedną ręką. Ostatnimi trzema kamieniami wybił szybę w oknach piwnicy, widoczne między posadzonymi przez Wilnę kwiatami; wyrwał je, by dopełnić dzieła. Kiedy skończył, zamknął pojemnik, wsadził go do koszyka roweru i postanowił wrócić wreszcie do domu.

Obok Jerzycków mieszkali Mislaburscy. Gdy Brian zjeżdżał z podjazdu, pani Mislaburski ubrana w jaskrawozielony szlafrok wyszła przed dom. Włosy nawinięte miała na różowe lokówki; wyglądała jak reklama gwiazdkowa w piekle.

- Co się tam dzieje, chłopcze? — spytała ostro.
- Właściwie nie wiem — odkrzyknął Brian, nie zatrzymując się. — Państwo Jerzyck chyba się pokłócili. Przyjechałem zapytać, czy nie potrzebują kogoś do zgarniania śniegu z podjazdu w zimie, ale chyba wrócę innym razem.

Pani Mislaburski rzuciła jedno, krótkie i niechętne spojrzenie na dom Jerzycków. Z miejsca, w którym stała, ponad żywopłotem, widoczne było tylko piętro.

- Na twoim miejscu w ogóle bym nie wracała — stwierdziła. — Ta kobieta przypomina mi rybę, która żyje gdzieś tam, w południowej Ameryce. Tę, która potrafi zjeść całą krowę.

- Piranię?
- Tak, piranię.

Brian pedałował szybko, coraz bardziej oddalając się od kobiety w zielonym szlafroku i różowych lokówkach. Serce biło mu mocno, ale nie waliło, nie szalało, nic z tych rzeczy. Był właściwie pewny, przynajmniej częściowo, że to nadal sen. W ogóle nie czuł się sobą — nie czuł się chłopcem, który ma piątki i czwórki, nie był chłopcem, który został przewodniczącym rady uczniowskiej i członkiem Ligi Dobrych Obywateli Szkół Podstawowych, chłopcem, który miał zawsze celujący ze sprawowania.

- Któregoś z najbliższych dni ona kogoś zabije! — krzyknęła za nim pani Mislabski. — Wspomnisz jeszcze moje słowa.

- Wcale bym się nie zdziwił — burknął pod nosem Brian.

Resztę dnia rzeczywiście spędził w łóżku. W normalnych warunkach zaniepokoiłoby to Córę, być może nawet do tego stopnia, by zabrać go do doktora w Norway. Dziś jednak Córa zupełnie nie zainteresowała się tym, że jej syn nie czuje się najlepiej. A to z powodu cudownych okularów, które sprzedał jej pan Gaunt — była nimi po prostu zachwycona.

Brian wstał z łóżka około szóstej, mniej więcej piętnaście minut przed pojawieniem się w domu ojca, który pojechał na ryby z dwójką przyjaciół. Wziął sobie pepsi z lodówki, pił ją, stojąc oparty o kuchenkę, i czuł się o wiele, wiele lepiej.

Czuł się tak, jakby wreszcie wypełnił warunki umowy z panem Gauntem.

Był także całkowicie przekonany o tym, że pan Gaunt rzeczywiście wie lepiej.

Nettie Cobb, całkowicie nieświadoma przykrej niespodzianki, która czekała ją w domu, szła główną ulicą w kierunku „Sklepiku z marzeniami” w doprawdy doskonałym humorze. Była przekonana, iż — mimo niedzieli — sklep będzie otwarty, i oczywiście nie rozczarowała się.

— Pani Cobb! — rzekł radośnie Leland Gaunt, gdy tylko weszła do środka. — Jak miło mi panią zobaczyć!

— Ja też się cieszę — odparła Nettie. Najzupełniej *szczerze*.

Pan Gaunt podszedł do niej z wyciągniętą ręką, lecz Nettie uchyliła się przed jego dotknięciem. Zdawała sobie sprawę z tego, że to bardzo niegrzecznie, ale po prostu nic nie mogła na to poradzić. Pan Gaunt zresztą najwyraźniej doskonale ją zrozumiał, niech go Bóg błogosławi, uśmiechnął się tylko, ominął ją i zamknął drzwi. Ze zręcznością zawodowego gracza wyciągającego asa z rękawa odwrócił tabliczkę: OTWARTE, tak że głośno teraz: ZAMKNIĘTE.

- Niech pani usiądzie, pani Cobb. Bardzo proszę, niech pani usiądzie!

- No dobrze, usiądę... ale przyszedłam tylko dlatego, że Poiły... Poiły źle... — z jakiegoś powodu Nettie czuła się dziwnie. Nie źle, po prostu dziwnie. Kręciło się jej w głowie. Usiadła — a raczej opadła — na jedno z wyściełanych krzesel z wysokim oparciem.

Pan Gaunt pojawił się nagle obok niej, patrzył jej prosto w oczy, świat skupił się w jego spojrzeniu i wreszcie znieruchomiał.

- Poły źle się czuje, prawda? — spytał.
- Właśnie — odparła z wdzięcznością Nettie. — Jej ręce, wie pan? Ma...
  - Artretyzm, tak, to straszne, żyje się cierpiąc, a potem umiera, szkoda słów, ciężko jest, tak, wiem, Nettie. — Oczy pana Gaunta były coraz większe, coraz większe. — Ale nie muszę iść do niej do domu, nie muszę się jej narzucać. Ręce już jej tak nie bolą.
- Naprawdę? — głos Nettie brzmiał tak, jakby wcale jej to nie obchodziło.
  - Jasne, skarbie! Nadal dokuczają, oczywiście, co dobrze się składa, ale nie aż tak, by nie mogła odwiedzić mnie, co składa się jeszcze lepiej. Nie sądzisz, Nettie?
  - Oczywiście — zgodziła się słabo Nettie, nie mając właściwie pojęcia, z czym się zgadza.
  - Ale ciebie — powiedział pan Gaunt najcichszym, najweselszym ze swych głosów — czeka najwspanialszy dzień w życiu.
  - Naprawdę? — Do tej pory Nettie niczego takiego nie ocze kiwała; miała zamiar spędzić popołudnie w ulubionym fotelu ze Śmiałkiem u stóp, robiąc na drutach i oglądając telewizję.
  - Tak. Doprawdy wspaniały dzień. Więc proszę cię, siedź sobie spokojnie przez chwilę, odpocznij trochę. Ja muszę coś jeszcze przynieść. Dobrze?
  - Tak...
  - Doskonale, Nettie. I zamknij oczy, zgoda? Dlaczego nie miałabyś ich zamknąć? Przecież musisz odpocząć, Nettie!

Nettie posłusznie zamknęła oczy. Po pewnym, nieokreślonym czasie pan Gaunt powiedział, że może je znowu otworzyć. Otworzyła je i nieco się rozczarowała. Kiedy ludzie każą ci zamknąć oczy, to najczęściej chcą dać ci coś miłego. Prezent. Nettie miała nadzieję, że kiedy otworzy oczy, pan

Gaunt będzie miał dla niej drugi kryształowy abażur, ale pan Gaunt trzymał w ręku tylko kartki papieru, małe, różowe. Na każdej z nich nadrukowane były słowa: NARUSZENIE PRZEPISÓW DROGOWYCH.

- Och! — powiedziała. — Miałam nadzieję, że to kryształy.
- Nie sądzę, byś kiedykolwiek jeszcze kupiła kryształ, Nettie.
- Nie? — Nettie znów poczuła rozczarowanie. Tym razem głębsze.

- Nie. Smutne to, ale prawdziwe. Ciągle jednak mam nadzieję, że pamiętasz, co obiecałaś dla mnie zrobić. — Pan Gaunt usiadł obok niej. — Pamiętasz, prawda, Nettie?

- Tak. Chciał pan, żebym spłatała figła Granatowi. Chciał pan, żebym umieściła mu w domu jakieś papiery.

— Dobrze, Nettie, doskonale. Masz ten klucz, który ci dałem?

Powoli, jak w podwodnym balecie, Nettie wyjęła klucz z prawej kieszeni płaszcza. Podniosła go tak, by pan Gaunt mógł go zobaczyć.

— Doskonale — powiedział ciepło pan Gaunt. — A teraz włóż go z powrotem do kieszeni, Nettie. Niech spocznie tam, gdzie jest bezpieczny.

Nettie spełniła jego polecenie.

- Świetnie. A tu masz papiery. — Wsadził je w jej dłoń. W drugą wetknął rolkę taśmy samoprzylepnej. W głowie Nettie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, ale brzmiały słabo, z bardzo daleka.

- Mam nadzieję, że to nie zabierze mi wiele czasu. Muszę wrócić do domu. Muszę nakarmić Śmiałka. To mój piesek.

- Wiem o Śmiałku wszystko. — Pan Gaunt uśmiechnął się do niej szeroko. — Intuicja podpowiada mi jednak, że Śmiałek nie będzie miał dzisiaj wielkiego apetytu. Nie musisz się także obawiać, że zrobi siusiu na podłogę w kuchni.

- Ale...

Pan Gaunt dotknął jej warg swym długim palcem. Nettie zemdlilo straszliwie.



- Nie — jęknęła, wtulając się w krzesło. — Nie, to wstrętne.
- Ludzie ciągle to powtarzają — powiedział pan Gaunt. —

Więc jeśli nie chcesz, żebym zachowywał się wstrętnie, nie wolno ci powtórzyć tego okropnego słowa.

- Jakiego słowa?

• Słowa „ale”. Nie lubię go. Można chyba nawet powiedzieć, że go nienawidzę. Na najlepszym z możliwych światów słowo to nie powinno w ogóle istnieć. Chcę, żebyś wypowiedziała inne słowa, Nettie, słowa, które kocham. Słowa, które kocham do szaleństwa.

- Jakie słowa?

- Pan Gaunt wie lepiej. Powtórz.

• Pan Gaunt wie lepiej — powtórzyła i kiedy wypowiedziała te słowa, zrozumiała nagle, że są one absolutnie i całkowicie prawdziwe.

- Pan Gaunt zawsze wie najlepiej.

- Pan Gaunt zawsze wie najlepiej.

• Doskonale. Tak kazał tata. — Pan Gaunt zachichotał obrzydliwie. Był to dźwięk przypominający odgłos gładów ocierających się o siebie gdzieś w głębi ziemi. Jednocześnie zmienił mu się kolor oczu: z niebieskich zrobiły się zielone, z zielonych brązowe, z brązowych czarne. — A teraz, Nettie, posłuchaj uważnie. Musisz jeszcze tylko załatwić dla mnie tę drobną sprawę, a potem od razu wrócisz do domu. Rozumiesz?

Nettie zrozumiała go.

I wysłuchiwała bardzo uważnie.

South Paris to niewielkie, brzydkie miasteczko fabryczne leżące jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na północny wschód od Castle Rock. Nie było jedyną pipidową w Maine nazwaną od któregoś z miast lub państw Europy: jest tu Madryt, Szwecja i Etna, Calais (wymawiane tak, jakby rymowało się z Dallas), Cambridge oraz Frankfurt. Może i ktoś wie, dlaczego kilkanaście skrzyżowań wąskich dróg przyjęło tak egzotyczne nazwy, ale ja nie.

Wiem za to, że jakieś dwadzieścia lat temu bardzo dobry francuski szef kuchni zdecydował się wyjechać z Nowego Jorku i otworzyć własną restaurację na pojezierzu; zdecydował także, że najlepszym miejscem na to przedsięwzięcie będzie miasteczko South Paris; nie zniechęcił go nawet smród farbiarni. W rezultacie powstał lokal o nazwie „Maurice”, istniejący nadal na drodze 117, przy torach kolejowych, dokładnie naprzeciw McDonalda.

To właśnie do „Maurice'a” Danforth „Granat” Keeton zabrał żonę na lunch w niedzielę 13 października.

Myrtle spędziła niemal cały niedzielny ranek oraz przedpołudnie w stanie radosnego oszołomienia, i to bynajmniej nie z powodu doskonałego jedzenia w „Maurisie”. Przez ostatnie kilka miesięcy — właściwie rok — życie z Danforthem było dla niej wyjątkowo nieprzyjemne. Danforth ignorował ją niemal absolutnie... z wyjątkiem sytuacji, kiedy na nią wrzeszczał. Szacunek, który czuła dla samej siebie, zawsze niezbyt wielki, zmniejszył się do zera. Myrtle — jak wiele kobiet przed nią — dowiadywała się właśnie, że znęcać się nad kimś można bardzo efektywnie i bez bicia. Mężczyźni (i kobiety) potrafią przecież doskonale ranić językami, a Danforth umiał używać swojego języka bardzo skutecznie. Jego ostrze

pozostawiło na jej skórze tysiące małych ranek — i to wyłącznie w ciągu ostatniego roku.

Nie wiedziała o tym, że gra. Naprawdę wierzyła, że jeździ na wyścigi przede wszystkim dla rozrywki. Nie wiedziała także o nadużyciach. Wiedziała za to, że co najmniej kilka osób z jego rodziny cierpiało na choroby umysłowe, ale w żaden sposób nie kojarzyła tego z mężem. Danforth nie pił za wiele, nie zapominał ubrać się przed wyjściem z domu, nie rozmawiał z nieobecnymi,

założyła więc, że wszystko z nim w porządku. Innymi słowy —  
założyła, że coś jest nie w porządku z nią. Że coś, kiedyś, spo-  
wodowało, iż Danforth przestał ją kochać.

Ostatnie mniej więcej sześć miesięcy spędziła, próbując przyjąć do wiadomości, że czekają  
trzydzieści, może czterdzieści pozbawionych jakiegokolwiek uczucia lat przy boku tego właśnie  
mężczyzny; mężczyzny, który był w stosunku do niej zły, złośliwy  
i sarkastyczny, i kompletnie obojętny. Była dla Danfortha tylko  
jeszcze jednym meblem w domu; chyba że weszła mu w drogę. Jeśli  
zaś weszła mu w drogę —jeśli kolacja nie była gotowa wtedy, gdy  
on był gotowy, jeśli podłoga w gabinecie wydawała mu się brudna,  
nawet jeśli gazeta, którą czytał przy śniadaniu, złożona została  
w złej kolejności — mówił, że jest głupia. Mówił, że gdyby odpadł  
jej tyłek, nie potrafiłaby go odnaleźć bez pomocy. Mówił, że gdyby  
w głowie miała proch strzelniczy zamiast mózgu, nie mogłaby  
wysmarkać nosa bez zapalnika. Na początku Myrtle próbowała  
jakoś się bronić, ale ciąż wznoszone przez nią mury niczym ściany  
dziecięcego zamku z tektury. Kiedy wpadała w złość, odpowiadał  
furią, która ją przerażała, więc Myrtle przestała się złościć, utrzy-  
mując się w stanie beznadziejnej dekoncentracji. Ostatnio w obliczu  
jego gniewu uśmiechała się tylko smutno, obiecywała poprawę, szła  
do swojego pokoju, rzucała się na łóżko, płakała, zastanawiała się,  
co się z nią stanie, i marzyła... marzyła... marzyła, by mieć  
przyjaciółkę, której mogłaby wszystko opowiedzieć.

Zamiast z przyjaciółką rozmawiała ze swoimi lalkami. Zaczęła je kolekcjonować w pierwszych  
latach małżeństwa. Trzymała je zawsze w pudłach na strychu, dopiero w ostatnim roku zniosła do  
pokoju; czasami, kiedy łyż już obeschły, zakradała się tam i bawiła nimi. One nigdy na nią nie  
krzyczały. One nigdy jej nie lekceważyły. One nigdy nie pytały, czy taka głupota jest wrodzona,  
czy też trzeba się jej uczyć.

Wczoraj, w tym nowym sklepie, znalazła najcudowniejszą z lalek.

A dziś wszystko się zmieniło.

Mówiąc dokładniej, wszystko zmieniło się dziś rano.

Sięgnęła pod stół i uszczypnęła się (nie po raz pierwszy) — tylko po to, by upewnić się, że nie śni. Mimo uszczypnięcia nadal jednak znajdowała się w „Maurisie”, siedziała przy stoliku w promieniach październikowego słońca, a wraz z nią był jej mąż, zajadający ze zdrowym apetytem i... uśmiechnięty! Z uśmiechem na twarzy wydawał się jej niemal kimś obcym, od tak dawna bowiem nie uśmiechnął się ani razu.

Nie wiedziała, co spowodowało tę zmianę. Bała się zapytać. Wiedziała, że wczoraj wieczorem pojechał na wyścigi, jak niemal każdego wieczoru w sezonie (pewnie ludzie, których tam spotykał, byli dla niego o wiele bardziej interesujący niż ludzie, których spotykał w Castle Rock, na przykład żona). Kiedy obudziła się dziś rano, oczekiwała, że będzie w łóżku sama, bo mąż już wstał (albo w ogóle się nie położył, tylko resztę nocy przedrzemał na fotelu w gabinecie) i łązi po kuchni, mrucząc coś do siebie, zdenerwowany.

Ale Danforth leżał obok niej, ubrany w czerwoną piżamę w paski, którą w zeszłym roku dostał od niej pod choinkę. Po raz pierwszy widziała go w tej piżamie, być może dopiero teraz wyjął ją z pudełka. Nie spał. Przewrócił się na bok, by na nią spojrzeć, i już wtedy się uśmiechał. Najpierw uśmiech ten ją przeraził; myślała, że może gotowy jest ją już *zabić*.

*I wtedy Danforth dotknął jej piersi i mruknął:*

— Masz ochotę, Myrt? — spytał. — A może trochę dla ciebie za wcześnie?

Kochali się, po raz pierwszy od pięciu miesięcy kochali się i było naprawdę wspaniale, a teraz siedzą sobie w „Maurisie”, zajadając lunch, siedzą w promieniach popołudniowego słońca jak para młodych kochanków.

Myrtle nie wiedziała, co za cud zmienił tak jej męża, i nic ją to nie obchodziło. Chciała tylko cieszyć się tą zmianą z nadzieją, że będzie trwała.

— Wszystko w porządku, Myrt? — spytał Granat, podnosząc wzrok znad talerza. Energicznie wycierał twarz serwetką.

Nieśmiało wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

— Wszystko w porządku — powiedziała. — Wszystko jest w największym porządku.

Musiała cofnąć rękę, by wytrzeć serwetką napływające jej do oczu łzy szczęścia.

Keeton z apetytem zajadał boof borgnine, czy jak tam nazywają to żabojady. Był szczęśliwy z jednego bardzo prostego powodu: wszystkie konie, które wytypował wczoraj za pomocą „Wielkiej

wygranej", przyszyły pierwsze. Nawet Malabar w dziesiątej gonitwie, obstawiany trzydzieści do jednego. Wracał do domu, nie tyle prowadząc samochód, co ulatując nim wprost w chmury. W kieszeniach płaszcz miał ponad osiemnaście tysięcy dolarów. Bukmacher pewnie nadal zastanawia się, co się stało z tą forszą. Keeton wiedział, co się z nią stało — leżała sobie bezpiecznie w najniższej szufladzie jego biurka. Wsadził ją w kopertę, a kopertę włożył do pudełka od „Wielkiej wygranej”.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy spał doskonale, a kiedy się obudził, miał już pewien pomysł na to, jak poradzić sobie z kontrolą. Pomysł to oczywiście niewiele, ale to i tak lepsze niż czarna pustka, którą miał w głowie od czasu, gdy dostał ten straszny list. Najwyraźniej, żeby wreszcie ruszyć głową, potrzebował tylko jednej dobrej wygranej na wyścigach.

Nie zdoła zwrócić wszystkiego, nim spadnie topór, to już było jasne. Jedynie na torze w Lewiston wyścigi odbywały się jesienią co wieczór, to po pierwsze. A po drugie — niewiele tam stawiano. Mógłby jeździć z jednego wiejskiego jarmarku na drugi, zarabiając po kilka tysięcy na rozgrywanych tam wyścigach, ale i to by nie wystarczyło. Nie może także ryzykować takiej serii jak dzisiaj zbyt często, nawet w Lewiston. Bukmacher najpierw zrobi się ostrożny, a potem w ogóle przestanie przyjmować jego zakłady.

Keeton sądził jednak, że zdoła zwrócić przynajmniej część zagarniętych pieniędzy i zmniejszyć skalę klęski. Może także ich zagadać. Pewny interes w nieruchomościach, który niestety nie wypalił. Straszna pomyłka, ale przecież wziął winę na siebie i zwraca zagarnięte fundusze. Mógłby im powiedzieć, że prawdziwy złodziej wykorzystałby tych kilka dni, które mu dano, na zgarnięcie sporej forsy — takiej, jaką w ogóle dałoby się zwinąć, a potem wywiałyby gdzieś, gdzie świeci słońce, rosną palmy, plaże są białe, a dziewczyny paradują wyłącznie w bikini z dwóch sznurków i skąd nie dałoby się go za nic ściągnąć.

Mógłby zabawić się w Chrystusa i powiedzieć, że proszę, kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Może wtedy zaczęliby myśleć? Jeśli jest między nimi ktoś, kto nigdy

nie umoczył ryja w państwowej misce, on, Keeton, może zjeść jego gacie na śniadanie. Bez soli.

Musieliby dać mu więcej czasu. Teraz, kiedy minęła histeria i potrafił znów myśleć racjonalnie, rozumiał, że z całą pewnością daliby mu ten czas. W końcu oni też byli politykami. Zdawali sobie sprawę, że prasa nie oszczędzi im, strażnikom mienia społecznego, ani smoły, ani pierza, jak tylko skończy z nim samym. Wiedzą doskonale, jakie padłyby pytania w trakcie publicznego śledztwa

lub, nie daj Boże, procesu o nadużycie. Na przykład pytanie o to, jak długo — prosimy o posługiwanie się latami podatkowymi, panie i panowie — pan Keeton prowadził swe operacje? Na przykład pytanie o to, dlaczego stanowy Urząd Skarbowy nie przebudził się wcześniej i zawczasu nie wyczuł unoszącego się w powietrzu brzydkiego zapachu?

Pytania te człowiek ambitny z pewnością uznałby za niezbyt przyjemne.

Sądził, że mógłby przeżyć. Żadnych gwarancji, ale możliwość istniała.

Wyłącznie dzięki panu Lelandowi Gauntowi.

Pokochał pana Lelanda Gaunta.

- Danforth? — spytała niepewnie Myrtle.
- Hmm? — Granat podniósł na nią wzrok.
- To dla mnie najpiękniejszy dzień od wielu lat. Chcę, żebyś o tym wiedział. Żebyś wiedział, jaka ci jestem wdzięczna za tak miły dzień.

- Och! — I nagle przytrafiła mu się bardzo dziwna rzecz. Przez chwilę nie potrafił sobie przypomnieć, jak ma na imię siedząca naprzeciw niego kobieta. — No... Myrt... mnie też było bardzo miło.

- Masz zamiar pojechać dziś na wyścigi?
- Raczej nie. Ten wieczór chciałbym spędzić w domu.
- Miło z twojej strony.

Było jej tak przyjemnie, że znów musiała użyć serwetki do wytarcia oczu.

Uśmiechnął się do niej i choć nie był to jego dawny słodki uśmiech, uśmiech, którym podbił jej serce — to jednak bardzo go przypominał.

- Słuchaj, Myrt, zjesz deser?

Machnęła na niego serwetką. Zachichotała.

- Och, ty! — powiedziała.

Keetonowie mieszkali w piętrowym ranczerskim domu położonym na zboczu Castle View. Nettie długo szła pod górę. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce, nogi ją bolały i było jej bardzo zimno. Spotkała tylko troje czy czworo przechodniów, a oni nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi — szli otuleni, chowając twarze w kołnierzach kurtek; wiał mocny i przenikliwy wiatr. Kiedy skręcała na

prowadzący już bezpośrednio do posesji Keetonów podjazd, zobaczyła tańczący na tym wietrze dodatek reklamowy do niedzielnego „Telegramu”; w pewnym momencie uleciał on w niebo jak jakiś dziwny ptak. Pan Gaunt powiedział jej, że Granata i Myrtle nie będzie w domu, a oczywiście pan Gaunt wie lepiej.

Drzwi garażu stały otworem, a tego szpanerskiego cadillaca, którym jeździł pan Keeton, nie było.

Nettie weszła na schody, zatrzymała się przy drzwiach. Z kieszeni wyjęła stos kartek i taśmę samoprzylepną. Bardzo chciała być już w domu, obejrzeć niedzielny film ze Śmiałkiem u stóp — wróci, jak tylko wypełni swe obowiązki. Być może odpuści dziś sobie nawet robienie na drutach. Może po prostu usiądzie na krześle z abazurem na kolanach?

Wydarła z bloku pierwszą kartkę. Zakleiła nią tabliczkę przy dzwonku, natrętnie głoszącą całemu światu: PAŃSTWO .KEETONOWIE. NIE PRZYJMujemy DOMOKRAŹCÓW. Schowała blok oraz taśmę do lewej kieszeni płaszcza, wyjęła klucz z prawej i wsunęła go w zamek.

Nim otworzyła drzwi, przyjrzała się nalepionej przed chwilą karteczce.

Choć zmarznięta i zmęczona, po prostu musiała się uśmiechnąć. Rzeczywiście, doskonały żart, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak Granat prowadzi. Cud, że jeszcze nikogo nie zabił. Nie chciałaby jednak być w skórze człowieka, który podpisał się pod tą notatką. Granat potrafi się zemścić. Już jako dziecko nie wykazywał się przesadnym poczuciem humoru.

Klucz łatwo przekręcił się w zamku. Weszła do środka.

— Nic mi się już nie

- Jeszcze kawy? — spytał Keeton.

- Nie dla mnie — odparła Myrtle.

zmieści. — Uśmiechnęła się.

— To wracajmy do domu. Chciałbym obejrzeć w telewizji mecz Patriotów. — Keeton zerknął na zegarek. — Jeśli się po spieszymy, mogę nawet *zdażyć* na początek.

Myrtle skinęła głową, jeszcze szczęśliwsza. Telewizor stał w dużym pokoju i jeśli Dań będzie oglądał mecz, to nie zaszyje się na cały dzień w gabinecie.

— No, to spieszmy się! — stwierdziła.

Jej mąż podniósł palec przywołującym gestem.

— Kelner? Poproszę rachunek!

Nettie przestała się spieszyć. Podobało się jej w domu Granata i Myrtle.

Po pierwsze — było tu ciepło. Po drugie — czuła się tak, jakby miała jakąś władzę, jakby, z za zasłony obserwowała życie dwójki prawdziwych ludzi. Najpierw poszła na górę i obejrzała sobie wszystkie pokoje. Dużo ich było, zwłaszcza że Keetonowie nie mieli dzieci. Ale — jak lubiła powtarzać jej matka — pieniądz to potęga.

Otworzyła szufladę w jednej z szafek. Obejrzała sobie bieliznę Myrtle. Sporo było jedwabnej, w doskonałym gatunku, ale Nettie miała wrażenie, że to, co najlepsze, było także najstarsze. To samo dotyczyło wiszących w szafie sukien. Z sypialni poszła do łazienki, gdzie przyjrzała się wszystkim lekarstwom, a potem do pokoju do szycia, gdzie podziwiała lalki. Ładny dom. Piękny dom. Szkoda, że mieszkający w nim człowiek jest taką kupą gówna.

Zerknęła na zegarek. Powinna zacząć już rozwieszać różowe karteczki. I zaraz zacznie.

Tylko przedtem obejrzy sobie jeszcze parter.

— Danforth, czy nie jedziemy przypadkiem za szybko? —

westchnęła Myrtle, gdy cadillac wyprzedził ciężarówkę z drewnem. Jadący z przeciwka kierowca zatrąbił, ale Dań zdołał zjechać na swój pas.

— Chcę zdążyć na początek meczu — powiedział.

Skręcili w lewo, w Mapie Sugar Road. Na skrzyżowaniu stał znak głoszący: CASTLE ROCK — 15 KM.

Nettie włączyła telewizor — Keetonowie mieli wielkie kolorowe Mitsubishi — i obejrzała sobie kawałek niedzielного filmu. Grali w nim Gregory Peck i Ava Gardner. Gregory chyba kochał się w Avie, choć trudno to było stwierdzić na pewno; być może jednak kochał się w tej drugiej kobiecie. Była jakaś wojna nuklearna i Gregory pływał łodzią podwodną. Nic z tego jej nie zainteresowało, więc wyłączyła telewizor, nalepiła różową karteczkę na ekranie i poszła do kuchni. Zajrzała do kredensu (bardzo porządny serwis, ale patelnie i garnki niczym szczególnym się nie



wyróżniały) i do lodówki. Zmarszczyła nos. Za dużo resztek, wyraźny znak, że dom jest kiepsko prowadzony. Ale mogła się założyć, że Granat oczywiście nie zdaje sobie z tego sprawy. Ludzie jak on nie potrafiliby poruszać się po kuchni nawet z mapą i psem przewodnikiem.

Nettie jeszcze raz spojrzała na zegarek i aż się wzdrygnęła. Mnóstwo czasu spędziła, po prostu łażąc po domu Keetonów. Za dużo. Szybko zaczęła wrywać z bloku różowe karteczki i nalepiać je gdzie się dało: na lodówkę, kuchenkę, telefon wiszący na ścianie przy drzwiach do garażu, na barenki dzielący kuchnię i duży pokój.

Im szybciej pracowała, tym bardziej była zdenerwowana.

Nettie zabrała się wreszcie do roboty, a czerwony cadillac Keetonów przejechał przez Blaszk i Watermill Lane i zaczął się wspinać na Castle View.

— Danforth, czy mógłbyś wyrzucić mnie przy domu Amandy Williams? — spytała nagle Myrtle. — Wiem, że to trochę nie po drodze, ale ona ma moje naczynie do fondue. Myślałam — na jej twarzy znów pojawił się nieśmiały uśmiech — że mogłabym przygotować ci... nam... coś pysznego. Na mecz. Po prostu wypuść mnie przed jej domem.

Granat już otwierał usta, by powiedzieć jej, że Williamsowie mieszkają cholernie nie po drodze, że mecz właśnie się *zaczyna* i że Myrtle może odebrać sobie to cholerne naczynie do fondue choćby jutro. I tak nie przepadał za gorącym, płynnym serem, to świństwo z pewnością aż roilo się od bakterii.

Zamknął jednak usta i zaczął myśleć. Oprócz niego, Rada Miejska składała się z dwóch głupich sukinsynów i jednej głupiej sukki, a suką tą była Mandy Williams. Granat zrobił wszystko, by spotkać się wcześniej, w piątek, z fryzjerem Billem Fullertonem i z właścicielem jedyne w mieście zakładu pogrzebowego, Harrym Samuelsem. Zrobił także wszystko, by wizyty te wydały się przypadkowe, choć to mu się akurat nie do końca udało. Przecież zawsze istniała możliwość, że Urząd Skarbowy wysyłał listy także do nich. Okazało się, że nie, że nie dostali (jeszcze) żadnych listów, ale tej sukki Williams w piątek nie było w mieście.

- Dobrze — powiedział, a potem dodał: — Przy okazji możesz zapytać ją, czy nie pojawiły się jakieś nowe sprawy dotyczące miasta. Może chce, żebym się z nią skontaktował albo coś?

- Och, skarbie, wiesz, że nie potrafię nawet zapamiętać...
- Oczywiście, wiem, ale możesz przynajmniej zapytać, prawda? Nie jesteś zbyt głupia, żeby o coś zapytać, prawda?

- Oczywiście — odparła Myrtle pospiesznie, cicho.

Mąż poklepał ją po dłoni.

- Przepraszam — powiedział.

Spojrzała na niego zdumiona. Przeprosił ją! Miała wrażenie, że kiedyś, raz, coś takiego już zdarzyło się w ich małżeństwie, ale doprawdy nie pamiętała kiedy.

— Po prostu zapytaj ją, czy chłopcy z władz stanowych czymś się ostatnio zainteresowali. Kwalifikacja gruntów, cholerne ścieki... może podatki? Sam bym wszedł i zapytał, ale strasznie chcę zdążyć na początek meczu.

Dom Williamsów stał w połowie Castle View. Keeton skręcił w podjazd i zaparkował za stojącym tam samochodem. *Zagraniczny*, oczywiście, volvo. Dawno już domyślił się, że ta suka jest w głębi duszy komunistką. Albo lesbijką.

Albo jedno i drugie naraz.

Myrtle otworzyła drzwiczki i wysiadła, zegnając go wstydliwym, z lekka przestraszonym uśmiechem.

- Będę w domu za pół godziny — obiecała.
- Doskonale. I nie zapomnij zapytać jej o te miejskie sprawy. — Jeśli relacja Myrtle, która niewątpliwie wszystko popłacze (ale nie to jest przecież najważniejsze), spowoduje, że zjeży mu się choćby jeden włos, sam zatroszczy się o tę sukę... jutro. Nie dziś. Dzisiejszy dzień należy do niego. Czuł się za dobrze, by w ogóle patrzeć na Amandę Williams, a co dopiero z nią rozmawiać.

Nim Myrtle zdążyła zamknąć drzwiczki, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał na ulicę.

Nettie przykleiła ostatnią różową karteczkę na drzwiach szafy w gabinecie Keetona, kiedy usłyszała skręcający na podjazd samochód. Aż pisnęła stłumionym ze strachu głosem. Na moment

zamarła, niezdolna nawet drgnąć.

Złapał mnie! — pomyślała w panice; wielki, doskonale wytłumiony silnik cadillaca szumiał radośnie pod oknem. — Złapał mnie! O Jezusie, zbawco pokornego serca, złapał mnie! On mnie zabije!

Odpowiedział jej głos pana Gaunta. Nie był to już głos przyjazny, lecz chłodny i rozkazujący, i rozbrzmiewał gdzieś w samym centrum jej mózgu.

*Prawdopodobnie zabije cię, jeśli cię złapie, Nettie. A jeśli wpadniesz w panikę, złapie cię na pewno. Wyjście jest proste: nie wolno ci wpaść w panikę. Wyjdź z pokoju. Natychmiast. Nie biegnij, ale idź szybko i tak cicho, jak tylko potrafisz.*

Ruszyła jak tylko mogła najszybciej po używanym tureckim dywanie leżącym na podłodze gabinetu. Nogi miała sztywne jak kije, powtarzała „Pan Gaunt wie lepiej” niczym litanie; tak weszła do dużego pokoju. Różowe kartki papieru wyzierały na nią z każdego kąta, jedna zwisała nawet z żyrandola na długim kawałku taśmy.

Dźwięk silnika zmienił się, był płytszy, odbijał się echem. Granat wjechał do garażu.

— Teraz, Nettie, teraz. To twoja jedyna szansa.

Pobiegła przez duży pokój, potknęła się o leżącą na podłodze poduszkę, wywróciła. Uderzyła głową w podłogę tak mocno, że omal nie straciła przytomności; z pewnością straciłaby ją, gdyby nie leżący w tym miejscu cienki dywanik. Przed oczami zobaczyła wielkie, okrągłe krople światła. Udało się jej chwiejnie wstać; zdawała sobie sprawę, że z czoła leci jej krew; złapała za klamkę drzwi wejściowych i zaczęła je szarpać prawie dokładnie w chwili, gdy w garażu zamilkł silnik. Z przerażeniem obejrzała się za siebie, na kuchnię. Widziała drzwi do garażu, przez które zaraz przejdzie Granat. Przykleiła do nich jedną z różowych karteczek.

Klamka obróciła się, ale drzwi pozostały zamknięte, jakby zamek się zaciął.

Z garażu dobiegł ją trzask — Danforth „Granat” Keeton z rozmachem zatrzasnął drzwi samochodu. Zaklekotała opuszczająca się w prowadnicach brama. Słyszała zgrzyt butów po betonie.

Granat pogwizdywał.

Nettie opuściła wzrok na klamkę. Choć przerażona i z oczami zalanymi krwią z rany na czole, dostrzegła przecież, że zaskoczył zatrzaszek i dlatego drzwi nie chciały się otworzyć. Musiała je zatrzasnąć, wchodząc, ale wówczas nie zdawała sobie z tego sprawy. Zwolniła zamek i uciekła na dwór.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi między garażem i kuchnią. Do domu wszedł Danforth Keeton, rozpinając płaszcz. Wszedł i stanął jak wryty. Wesole pogwizdywanie ucichło. Stał nieruchomo, z rękami na jednym z dolnych guzików płaszcza, z ustami ciągle ułożonymi w dzióbek i rozszerzonymi oczami.

Gdyby od razu podszedł do okna w dużym pokoju, z pewnością dostrzegłby Nettie pędzącą w przerażeniu trawnikiem; niedopięty płaszcz powiewał za nią jak skrzydła nietoperza. Nie rozpoznałby pewnie tej kobiety, ale wiedziałby, że ma do czynienia z kobietą, a to zmieniłoby radykalnie przebieg wydarzeń. Widoczne wszędzie różowe karteczki sprawiły jednak, że stał jak wrośnięty w ziemię. Był w szoku, zdolny wymówić tylko jedno słowo, tylko jedno jedyne słowo. Słowo to pulsowało mu w głowie jak wielki neon o krwistoczerwonych literach: PRZEŚLADOWCY! PRZEŚLADOWCY! PRZEŚLADOWCY! PRZEŚLADOWCY!

Nettie znalazła się wreszcie na chodniku. Zbiegała z Castle View tak szybko, jak tylko potrafiła. Podeszwy pantofli wygrywały na kamiennych płytach rytm strachu, wydawało się jej, że słyszy nie tylko swoje kroki, że Granat jest tuż za nią, że ją goni, że jeśli ją złapie, to ją pobije, zrani... ale nie miało to żadnego znaczenia. Nie miało to żadnego znaczenia, bo Granat mógł zrobić coś gorszego niż pobić ją, zranić. Jest ważnym człowiekiem w mieście, jeśli zechce, z pewnością odeśle ją do Juniper Hill, odeśle ją do... Nettie pędziła przed siebie. Krew spływała jej z czoła do oczu; przez chwilę widziała świat niczym przez bladoczerwone okulary, jakby domy na Castle View nagle zaczęły krwawić. Wytarła czoło rękawem płaszcza i biegła dalej.

Chodnik był pusty, a większość mieszkańców okolicznych domów w to wczesne niedzielne popołudnie śledziła z napięciem przebieg meczu Patriotów. Dostrzegła ją tylko jedna osoba.

Osobą tą była Tansy Williams. Tansy wróciła niedawno z dwudniowej wycieczki do Portland, gdzie wraz z mamą odwiedzały dziadziusia, i stała właśnie przy oknie dużego pokoju z lizakiem w buzi. Pod pachą miała pluszowego misia, Owena. Pod oknem przebiegła Nettie, jakby u butów miała skrzydła.

— Mamo, właśnie przebiegła jakaś pani — doniosła mamie Tansy.

Amanda Williams siedziała przy kuchennym stole wraz z Myrtle Keeton. Piły kawę. Pomiędzy nimi, na stole, stało naczynie do fondue. Myrtle właśnie zapytała, czy jest coś nowego dotyczącego miasta, o czym Dań powinien wiedzieć, a Amandzie pytanie to wydało się bardzo dziwne. Jeśli Granat chciał się czegoś dowiedzieć, mógł przyjść i zapytać. A w ogóle kogo

obchodzą sprawy miasta — w niedzielne popołudnie?

— Skarbie, mama rozmawia z panią Keeton.

— Z tej pani ciekła krew — poinformowała jeszcze Tansy.

Amanda uśmiechnęła się do Myrtle.

— Mówiłam Buddy'emu, że jeśli pożyczą akurat „Fatalne zauroczenie”, to z oglądaniem powinien poczekać, aż mała zaśnie.

Tymczasem Nettie dalej biegła. Kiedy dobiegła do skrzyżowania Castle View i Laurel, musiała się na chwilę zatrzymać. Była tam biblioteka miejska, a trawnik przed nią okalał niski murek. Nettie oparła się on, szlochając i ciężko dysząc, wiatr zaś szarpał połami jej rozpiętego płaszcza. Rękami przyciskała lewy bok, w którym pojawił się ostry ból.

Spojrzała za siebie i dopiero teraz zorientowała się, że ulica jest pusta. Mimo wszystko Granat nie gonił jej, po prostu tak się jej tylko wydawało. Po chwili była już w stanie sięgnąć do kieszeni po papierową chusteczkę, by wytrzeć krew z twarzy. Szukając chusteczki zauważyła, że nie ma klucza do mieszkania Granata. Oczywiście, mógł wypaść, kiedy biegła, lecz wydało się jej znacznie bardziej prawdopodobne, że zostawiła go w zamku drzwi wejściowych. Ale co to miało za znaczenie? Umknęła, nim Granat ją zauważył, i tylko to się liczyło. Podziękowała Bogu za to, że głos pana Gaunta przemówił do niej w ostatniej chwili, nie pamiętała już, że to właśnie przez pana Gaunta w ogóle się tam znalazła.

Spojrzała na zakrwawioną chusteczkę i zdecydowała, że rozcięcie prawdopodobnie nie jest tak poważne, jak jej się wydawało. Krew nie leciała już tak obficie. Ból w lewym boku także ustępował. Puściła murek i ruszyła do domu, powoli i z opuszczoną głową, żeby nikt nie dostrzegł rany na jej czole.

Dom. Tylko o domu warto było myśleć. Dom i piękny kryształowy abażur. Dom i niedzielny film. Dom i Śmiałek. Kiedy usiądzie w pokoju z zaciągniętymi zasłonami, włączonym telewizorem i Śmiałkiem u stóp, wszystko to wyda się jej tylko złym snem — takim, jakie prześladowały ją w Juniper Hill po zabiciu męża.

Dom. To dla niej najważniejsze miejsce.

Przyspieszyła kroku. Wkrótce będzie na miejscu.

Pete i Wilma Jerzyck wpadli po mszy do Pułaskich na lekki lunch, a po lunchu Pete i Jake Pułaski usiedli przed telewizorem, by spokojnie popatrzeć, jak Patrioci kopią nowojorskie

dupy. Wilma nie przepadała za futbolem ani za koszykówką, ani za baseballlem, ani za hokejem i tak dalej, i tak dalej. Spośród zawodowych sportów interesowała ją jedynie wolna amerykanka. Pete nie miał o tym oczywiście zielonego pojęcia, ale bez chwili wahania rzuciłaby go dla Wodza Jaya Strongbowa.

Pomogła Friedzie pozmywać naczynia, po czym oznajmiła, że wraca do domu obejrzeć niedzielny film — dawali „Ostatni brzeg” z Gregorym Peckiem i Avą Gardner. Powiedziała też Pete'owi, że zabiera samochód.

- Doskonale — odparł, nie spuszczać wzroku z telewizora. — Przejdę się z przyjemnością.

- I cholernie dobrze ci to zrobi — burknęła pod nosem.

Tak naprawdę Wilma była w doskonałym humorze, a przyczyniło się do tego przede wszystkim „Casino Nite”. Ojciec John nie przestraszył się, jak tego oczekiwała, nie cofnął; podobało się jej, jak wyglądał podczas kazania, którego temat brzmiał: „Niech każdy z nas uprawia swój ogród”. Mówił je swym zwykłym spokojnym głosem, ale spokoju nie było ani w jego niebieskich oczach, ani w wojowniczo wysuniętym podbródku. Wymyślne ogrodnicze metafory nie zmyliły też ani Wilmy, ani zresztą nikogo innego. Tak naprawdę ojciec John mówił, że jeśli baptyści nadal będą wsadzać swój kolektywny nos w cudze proso, dostaną kopa w swój kolektywny tyłek.

Myśl o kopaniu w tyłek (zwłaszcza na taką skalę!) zawsze wprawiała Wilmę w doskonały humor. Nie tylko możliwość skopania czyjegoś tyłka umiała jej tę

niedzielę. Nie musiała także gotować obiadu, a Pete na długo zaparkował u Jake'a i Friedy. Jeśli szczęście jej dopisze, Pete całe popołudnie spędzi, oglądając mężczyzn próbujących nadwerężyć

jeden drugiego, a ona będzie mogła w spokoju obejrzeć film. Przed filmem zaś — pomyślała — zadzwonię do mojej starej przyjaciółki Nettie. Nettie jest już chyba nieźle wystraszona i to wystarczy... na razie. Ale tylko na razie. Nadal nie zapłaciła za zabłocone prześcieradła, a zapłacić musi, niezależnie od tego, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie. Nadszedł czas, by mocniej przycisnąć Miss Wariatów 1991. Na tę myśl Wilma wyprostowała się, uśmiechnęła i przycisnęła gaz.

wykroczeniach" postawiono krzyżyk, na wolnym miejscu zaś schludnymi drukowanymi literami wypisano: ZA BYCIE NAJGORSZYM SUKINSYNEM W CASTLE ROCK.

Na samym dole karteczki, w rubryce „Nazwisko funkcjonariusza wypisującego mandat" przybite było stemplem nazwisko Norrisa Ridgewicka.

Powoli, bardzo powoli, Danforth Keeton zacisnął dłoń na różowej karteczce. Karteczka zaszeleściła i zgnieciona, zniknęła w końcu w potężnej garści. Keeton stał pośrodku kuchni, patrząc na inne, identyczne karteczki. Żył na jego czole pulsowała w rytm wpływających sekund.

— Zabiję go — syknął w końcu. — Na Boga i wszystkich świętych przysięgam, że go zabiję.

Niczym lunatyk Danforth Keeton podszedł do lodówki i zdjął z niej różową karteczkę. Na górze wielkimi czarnymi literami napisane było: MANDAT ZA PRZEKROCZENIE PRZEPISÓW DROGOWYCH. Niżej znajdował się następujący tekst:

„To tylko ostrzeżenie, lecz prosimy o jego przeczytanie i zastosowanie się do zawartych w nim wskazówek!

Przekroczył Pan/Pani jeden lub więcej przepisów drogowych. Funkcjonariusz policji zdecydował poprzestać tym razem na ostrzeżeniu, zapisał jednak markę, model oraz numer rejestracyjny Pana/Pani samochodu. Następne wykroczenie ukarane zostanie mandatem.

Prosimy pamiętać, że przepisy drogowe są dla WSZYSTKICH!

Prowadź defensywnie!

Dojedź na miejsce żywy!

Miejscowy komisariat policji dziękuje za zastosowanie się do tych rad".

Poniżej kazania znajdowało się wykropkowane miejsce przeznaczone na zapisanie marki, modelu i numeru rejestracyjnego samochodu. Tu widniały słowa: Cadillac i seville. W miejscu

przeznaczonym na numer wpisane było schludnie i czytelnie GRANAT 1.

Większą część formularza zajmowała lista wykroczeń: niewłaż-czenie migacza przy skręcie, niezatrzymanie się przy znaku STOP, parkowanie w miejscu niedozwolonym; żadne z nich nie zostało zaznaczone. Na samym dole znajdowała się rubryka: „Inne wykroczenia” i dwie wykropkowane linie. To właśnie przy „innych

Kiedy Nettie doszła wreszcie do domu, było zaledwie dwadzieścia po pierwszej, miała jednak wrażenie, że nie było jej tu przez miesiące, może nawet lata. Szła po prowadzącej do drzwi cementowej ścieżce i czuła, jak strach opada z niej niczym wielki ciężar. Głowa nadal bolała ją po upadku — pomyślała, że ból głowy to niewielka cena za to, że zdołała bezpiecznie dotrzeć do swego małego domku.

Klucza do własnych drzwi nie zgubiła, leżał bezpiecznie w kieszeni sukienki. Wyjęła go i włożyła w zamek.

— Śmiałku! — zawołała, przekręcając klucz w zamku. —

Śmiałku, wróciłam do domu.

Otworzyła drzwi.

— Gdzie dzidzius mamusi, co? Gdzie jesteśmy? Jesteśmy głodni?

Przedpokój był ciemny, więc nie od razu dostrzegła leżące na podłodze bezwładne ciało. Wyjęła klucz z zamka i weszła do środka.

— Dwidzius mamusi jest głodny, prawda? Taaaaaki głodny że...

Nadepnęła na coś jednocześnie sztywnego i miękkiego. Umilkła w pół słowa. Opuściła wzrok i dostrzegła Śmiałka.

Najpierw próbowała wytłumaczyć sobie, że wcale tego nie widzi, nie widzi, nie widzi, nie widzi! To nie Śmiałek leży na podłodze z czymś sterczącym mu z piersi, jak to możliwe? Jak?

Zamknęła drzwi, zaczęła rozpaczliwie macać ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Znalazła go w końcu, w przedpokoju rozbłysło światło i to Śmiałek był na podłodze. Leżał na grzbiecie, jakby prosił, żeby podrapać go po brzuchu, z jego ciała zaś sterczało coś wyglądającego jak...  
wyglądającego jak...

Nettie zawyła cienko, rozpaczliwie — jej głos brzmiał jak bzyczenie jakiegoś gigantycznego komara — i padła na kolana obok martwego psa.

— Śmiałku, o Jezu łagodny i sprawiedliwy, o mój Boże, ty



żyjesz, prawda? Żyjesz?

Dłonią, taką zimną, zimną dłonią zaczęła szarpać to coś czerwone, sterczące z piersi pieska. W końcu złapała to coś wystarczająco mocno, pociągnęła z całej siły, siły, którą zrodziła rozpacz i ogromny strach. Korkociąg wyszedł z ciała wraz z kawałkami mięsa i kłębkami sierści, wydając przy tym odgłos, jakby coś się darło; z rany wypłynęło kilka kropel krwi. Pozostała po nim dziura jak po rewolwerowej kuli. Nettie wrzasnęła. Rzuciła zakrwawiony korkociąg, złapała w objęcia sztywne ciało.

— Śmiałek! — krzyknęła. — Mój mały piesku, nie, nieeeee! —  
Kołysała psa w ramionach, przytulała do piersi, próbując ożywić go swym ciepłem, ale nie miała w sobie żadnego ciepła, była zimna, taka zimna.

W jakiś czas później złożyła psa na podłodze. Po omacku znalazła scyzoryk z korkociągiem — narzędzie mordu. Podniosła go bezmyślnie. Widok przyczepionej do niego kartki wyrwał ją z bezwładu. Zdjęła papier pozbawionymi czucia palcami i podniosła do oczu. Kartka zesztwniała od krwi jej biednego pieska, ale wypisane na niej słowa dawały się odczytać:

„Nikt nie rzuca błota na moje czyste prześcieradła. Mówiłam, że cię dopadnę!”.

Wyraz bezradnego żalu i gniewu zniknął stopniowo z oczu Nettie. Zastąpiła go srebrna iskierka morderczej inteligencji. Na twarzy, bladej jak prześcieradło od chwili, gdy wreszcie pojęła, co zaszło, pojawił się ceglastoczerwony rumieniec. Nettie podwinęła wargi, ukazując zęby; szczyrzyła zęby na kartkę papieru!

— Ty... suko! — wykrztusiła ochryłym, wściekłym, zdyszonym szeptem.

Zgniotła kartkę, cisnęła nią o ścianę. Kartka odbiła się i upadła koło ciała Śmiałka. Nettie doskoczyła, przyklękła, podniosła ją, opluła, a potem rzuciła ją znowu. Wstała z klęczek. Powoli poszła do kuchni, zaciskając dłonie w pięści, prostując palce i zaciskając je znowu. I znowu. I znowu.

Wilma Jerzyck wjechała swym małym żółtym yugo na podjazd domu, wysiadła i rażno ruszyła do drzwi, szukając klucza w torebce. Pod nosem nuciała „To miłość sprawia, że kręci się świat”. Znalazła klucz, włożyła go w zamek... i znieruchomiała nagle, bowiem kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zerknęła w prawo i zamarła, nie wierząc własnym oczom.

Firanki w oknie dużego pokoju powiewały na rześkim popołudniowym wietrze. Powiewały na

zewnątrz! Powiewały na zewnątrz, bowiem wielkie francuskie okno, które kosztowało Clooneyów czterysta dolarów, kiedy wybił je piłką do baseballu ten ich głupi syn, znów zostało wybite. Odłamki szkła wskazywały na widniejącą pośrodku dziurę.

— Co do diabła! — krzyknęła Wilma i przekreśliła klucz w zamku tak mocno, że omal go nie złamała.

Weszła do środka, złapała drzwi, by je za sobą zatrzasnąć, i stanęła jak wryta. Po raz pierwszy w życiu Wilma Jerzyck doznała szoku, który ją sparaliżował.

Duży pokój był całkowicie zrujnowany. Telewizor — piękny, wielki telewizor, za który mieli do zapłacenia jeszcze jedenaście rat — stał roztrzaskany, z czarnymi, przepalonymi wnętrznościami na wierzchu. Tysiące drobnych kawałeczków kineskopu leżało na wykładzinie. W przeciwległej ścianie coś wybiło wielką dziurę. Poniżej tej dziury dostrzegła jakąś dużą paczkę w kształcie bochenka chleba, inna leżała na podłodze przy wejściu do kuchni.

Zamknęła drzwi i podeszła do tej drugiej paczki. Coś, niezbyt sensownie, mówiło jej, żeby zachować ostrożność, że to może bomba. Kiedy mijiała telewizor, poczuła nieprzyjemny zapach — coś pomiędzy stopioną izolacją a przysmażonym kawałkiem boczku.

Przykucnęła i natychmiast zorientowała się, że nie ma do czynienia z paczką, przynajmniej w zwykłym znaczeniu tego słowa. Był to kamień, owinięty wyrwaną z notatnika kartką papieru w jedną linię; papier przytrzymała na miejscu gumowa opaska. Wilma zdjęła ją i przeczytała następującą wiadomość:

**MÓWIŁAM, ŻEBYŚ ZOSTAWIŁA MNIE W SPOKOJU! TO JEST OSTATNIE  
OSTRZEŻENIE!**

Przeczytała te słowa dokładnie i spojrzała na drugi kamień. Podeszła i odczepiła z niego kolejną kartkę. Taka sama gumka,

ten sam papier, te same słowa. Wstała, w obu dłoniach trzymając karteczki, patrząc to na jedną, to na drugą; oczy poruszały się jej jak komuś oglądającemu szczególnie zacięty mecz ping-ponga. W końcu zdołała wykrztusić dwa słowa:

— Nettie. Suka!

Weszła do kuchni, stanęła w progu i z sykiem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Skaleczyła się w dłoń, wyjmując kamień z kuchenki mikrofalowej; machinalnie usunęła szkło z rany, nim zdjęła gumkę i odwinęła kolejną kartkę. Te same dwa zdania.

Szybko obeszła parter, dokonując inwentaryzacji zniszczeń. Zebrała wszystkie karteczki, po czym wróciła do kuchni. Przyglądała się ruinie, jakby nie wierzyła świadectwu własnych oczu.

— Nettie — powtórzyła.

Lodowa skorupa szoku zaczęła wreszcie topnieć. Uczuciem, które pojawiło się jako pierwsze, nie był gniew, lecz niedowierzenie. Ho, ho — pomyślała — ta baba rzeczywiście jest szalona. Musi być szalona, skoro zrobiła coś takiego mnie — mnie! — i sądzi, że dożyje nocy. Myśli, że z kim ma do czynienia, z Królową Śnieżką?

Kurczowo zacisnęła dłoń na pliku kartek. Pochyliła się i szybkim ruchem potarła kulkę zgniecionego papieru o swój szeroki tyłek.

— Podcieram sobie tyłek twoim ostatnim ostrzeżeniem! —  
wrzasnęła i cisnęła ją przed siebie.

Zdumionymi oczami dziecka rozejrzała się po kuchni raz jeszcze. Dziura w mikrofalówce. Wielkie wgniecenie w lodówce. Wszędzie mnóstwo rozbitego szkła. W dużym pokoju telewizor za prawie tysiąc sześćset dolarów śmierdzi jak grill, na którym smażą psie gówno. I kto dokonał tego cudu? Kto?

Oczywiście, Nettie Cobb. Nettie Cobb dokonała tego cudu. Miss Wariatów 1991.

Wilma uśmiechnęła się.

Ktoś, kto jej nie poznał, wziąłby ten uśmiech za łagodny, delikatny; uśmiech pełen miłości, a co najmniej przyjaźni. Oczy jej lśniły potężnym uczuciem; ktoś mógłby wziąć to za egzaltację. Lecz gdyby Pete Jerzyck, który wiedział najlepiej, dostrzegł w tej chwili jej twarz, uciekłyby ile sił w nogach, nie troszcząc się o kierunek.

— Nie — powiedziała Wilma cichym, niemal pieszczotliwym głosem. — O nie, kochanie. Nie wiesz. Nie wiesz, co to znaczy zdrzeć z Wilma. Nie masz najmniejszego pojęcia, co to *znaczy* zdrzeć z Wilma Wadlowski Jerzyck.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Ale się dowiesz.

Do ściany obok mikrofalówki przymocowane były dwa paski namagnetyzowanej stali. Większość wiszących na nich noży spadła, kiedy kamień Briana trafił w kuchenkę; leżały teraz na szafce w bezładnym stosie. Wilma wybrała najdłuższy — nóż Kingsforda do krajania mięsa, z kościaną

rękojeścią. Powoli przeciągnęła zranionym palcem po jego ostrzu, smarując je krwią.

— Już ja cię nauczę wszystkiego, co powinnaś wiedzieć.

Trzymając nóż w zaciśniętej pięści, Wilma przeszła przez duży

pokój, deptając szkło z wybitej szyby i roztrzaskanego kineskopu  
podeszwami czarnych butów, które wkładała, tylko idąc do kościoła.  
Nie zamknąwszy za sobą drzwi, wprost przez trawnik ruszyła w  
stronę Ford Street.

W tej samej chwili, w której Wilma zbroiła się w nóż, Nettie wyciągała z szuflady tasak do mięsa. Wiedziała, że jest ostry, bo Bili Fullerton, ten od fryzjera, naostrzył go przed niespełna miesiącem.

Obróciła się i powoli poszła w stronę drzwi. Zatrzymała się na moment i przyklękła przy ciałku psa, małego, biednego Śmiałka, który nigdy nie zrobił nikomu nic złego.

— Ostrzegałam ją — powiedziała, gładząc go po łbie. — Ostrzegałam ją, dałam tej zwariowanej Polce szansę, dałam jej szansę, mogła z niej skorzystać. Kochany, mały piesku. Zaczekaj na mnie. Zaczekaj na mnie, wkrótce do ciebie przyjdę.

Wstała. Wyszła, nie troszcząc się o drzwi bardziej niż Wilma. Bezpieczeństwo nie miało już dla Nettie żadnego znaczenia. Przez moment stała na ganku, oddychając głęboko, po czym przeszła przez trawnik i ruszyła w stronę Willow Street.

Danforth Keeton wbiegł do gabinetu, rzucił się w stronę szafy i z rozmachem otworzył drzwi. Wlazł do środka, aż prawie nie było go widać. Przez jedną straszną chwilę myślał, że wszystko skończone, że ten jego cholerny, ten pieprzony Prześladowca z Biura Szeryfa zabrał i to, a wraz z tym całą jego przyszłość, ale

nie. Namacał pudełko, otworzył je jednym szarpnięciem. W środku, bezpiecznie, leżała „Wielka wygrana”, a pod nią koperta. Keeton zgiął ją kilka razy, słuchając szelestu banknotów, po czym odłożył na miejsce.

Pospieszył do okna, wyglądając Myrtle. Myrtle nie może zobaczyć różowych karteczek. Musi je zdjąć, nim ona wróci, a ile ich jest? Sto? Rozejrzył się dookoła, zobaczył, że są dosłownie wszędzie. Tysiąc? Tak, być może. Może i tysiąc. Dwa tysiące — to też wydawało się całkiem

prawdopodobne. Cóż —jeśli Myrtle wróci, nim on zdąży posprzątać, będzie musiała po prostu zaczekać w progu. Nie wpuści jej tu przecież, póki wszystkie te cholerne prześladowcze karteczki nie spłoną w kuchennym piecu. Każda... cholerna... karteczka!

Zdjął tę wiszącą na żyrandolu. Taśma przykleiła mu się do policzka; zerwał ją jednym gniewnym ruchem. Na formularzu mandatu, w rubryce „Inne wykroczenia” wpisano tylko jedno słowo: NADUŻYCIA.

Podbiegł do lampy stojącej obok fotela. Zerwał karteczkę przyklejoną do abażura:

„Inne wykroczenia”: DEFRAUDACJA FUNDUSZY MIEJSKICH.

Na telewizorze: PIEPRZENIE KONI.

Na szkle oprawionego dyplomu członka Klubu Lwów, zawieszzonego nad kominkiem: PIEPRZENIE MAMUSI.

Na drzwiach kuchni: PRZYMUS WYRZUCANIA FORSY NA WYŚCIGACH W LEWISTON.

Na drzwiach do garażu: PSYCHOTYCZNA WARIACJA PARANOICZNA.

Zbierał kartki najszybciej jak potrafił, oczy w szerokiej twarzy wytrzeszczone miał tak, że omal nie wypadły z oczodołów, a włosy sterczały dziko. Wkrótce dyszał już, pokasływał; na policzki wystąpiły mu wstrętne, ceglastoczerwone rumieńce. Wyglądał jak dziecko z twarzą dorosłego, gorączkowo i rozpaczliwie poszukujące zaginionego skarbu.

Zdjął karteczkę wiszącą na szafie z porcelaną: SPRZENIEWIERZENIE MIEJSKIEGO FUNDUSZU EMERYTALNEGO I STAWIANIE NA KUCE.

Keeton pobiegł do gabinetu, trzymając w ręku plik karteczek — z pięści zwisały mu zwoje taśmy — i zaczął zrywać nowe. Te w gabinecie opisywały tylko jedno, straszliwie prawdziwe wykroczenie: DEFRAUDACJA. ZŁODZIEJSTWO. KRADZIEŻ.

DEFRAUDACJA. OSZUSTWO. NADUŻYCIA FINANSOWE. NADUŻYCIE STANOWISKA SŁUŻBOWEGO. DEFRAUDACJA.

To słowo powtarzało się najczęściej, wyskakiwało z każdego kąta, świeciło mu w oczy, oskarżało.

„Inne wykroczenia”: DEFRAUDACJA.

Nagle wydało mu się, że usłyszał coś na dworze, i znów podbiegł do okna. Może to Myrtle? A może przyjechał Norris Ridgewick, by wyśmiać i wykpić jego nieszczęście? Jeśli tak, to weźmie strzelbę i zastrzeli go. Ale nie strzałem w głowę, o nie, to byłoby zbyt proste. Strzeli mu w bebechy i zostawi na trawniku, żeby sukinsyn wrzeszczał, aż zdechnie.

Ale to tylko scout Garsona zjeżdżał z Castle View do miasta. Scott Garson był największym bankierem w Castle Rock. Granat z żoną jedli czasami obiad z Garsonami, a Scott był ważną postacią w polityce. Co sobie pomyśli, jeśli zobaczy te karteczki? Co sobie pomyśli, kiedy usłyszy słowo DEFRAUDACJA bijące z równych druczków mandatowych, słyszalne dosłownie wszędzie, wrzeszczące ze ścian i mebli jak kobieta gwałcona w środku nocy?

Pobiegł, dysząc, do dużego pokoju. Czy pominął którąś? Chyba nie. Zdjął je wszystkie, przynajmniej tu, na do...

Nie! Jedna karteczka została! Wywieszona na korkowej tablicy przy schodach! Jakim cudem ją pominął? Mój Boże!

Podbiegł i zerwał ją.

Marka: GÓWNOJAZD.

Model: STARY I ZARDZEWIAŁY.

Nr rejestracyjny: STARY PIERDOŁA 1.

Inne wykroczenia: OSZUSTWA FINANSOWE.

Czy jeszcze jakieś zostały? Zostały czy nie? Keeton truchcikiem obleciał parter domu. Koszula wyszła mu ze spodni, włochate brzuszysko podskakiwało nad paskiem. Niczego nie znalazł, przynajmniej tu, na dole.

Przestraszony Granat po raz kolejny wyrzał za okno, a upewniwszy się, że Myrtle jeszcze nie ma, pobiegł na górę. Serce waliło mu jak młotem.

Wilma i Nettie spotkały się na rogu Ford i Willow. Zatrzymały się, patrząc sobie w oczy jak rewolwerowcy w spaghetti-westernie.

Rzeński wiatr szarpał polami ich płaszczy. Słońce przeblyskiwało zza chmur, by znów się za nie schować; cienie obu kobiet pojawiały się i znikaly jak przypadkowi goście na przyjęciu.

Na obu ulicach nie było żadnego samochodu, nikt nie szedł chodnikiem. Tego popołudnia róg Ford i Willow należał wyłącznie do Nettie i Wilmy.

- Zabiłaś mi psa, suko!
- Stłukłaś mi telewizor! Wybiłaś okna! Zniszczyłaś mikrofalówkę, ty szalona pindo!
- Ostrzegałam cię!
- Wsadź sobie te swoje ostrzeżenia w brudny tyłek!

- Zabiję cię!
- Zrób tylko krok i ktoś rzeczywiście zginie, ale z pewnością

nie ja!

Wilma wypowiedziała te słowa z niepokojem i coraz silniejszym zdziwieniem; z twarzy Nettie wyczytała po raz pierwszy w życiu informację, iż spotkanie to może zakończyć się czymś poważniejszym niż szarpanie za włosy i darcie ubrania. I co w ogóle Nettie tu robi? Co się stało z elementem zaskoczenia? Jakim cudem sytuacja tak błyskawicznie doszła do groźnego punktu?

Lecz w naturze Wilmy było coś z polskiego Kozaka, coś, co uznało wszystkie te pytania za najzupełniej nieważne. Czekala ją walka i tylko to się liczyło.

Nettie rzuciła się na nią z tasakiem nad głową. Biegając, wyszczerzała zęby i wyla.

Wilma ugięła nogi, wysuwając przed siebie nóż jak wielkiego sprężynowca. Gdy Nettie zbliżyła się wystarczająco, pchnęła ją nim w brzuch i poderwała ostrze w górę, rozcinając przeciwniczkę żołądek, z którego wypłynęła cuchnąca masa. Przez chwilę czuła przeraźliwy strach na myśl o tym, co zrobiła — czyżby rzeczywiście trzymała w dłoni nóż wbity w Nettie aż po rękojęść? — mięśnie jej ręki zwiotczały i ostrze zatrzymało się, nim dosięgnęło pompującego krew w szaleńczym tempie serca.

— Och, ty sukooo! — wrzasnęła Nettie, uderzając tasakiem, który po rękojęść zagłębił się w ramieniu Wilmy, krusząc jej obojczyk z głuchym trzaskiem.

Ból, straszny tępy ból, wywiał z głowy Wilmy wszystkie wątpliwości. Wyszarpnęła nóż z rany Nettie. Nettie wyszarpnęła tasak z rany Wilmy. Musiała użyć do tego obu rąk, a kiedy wreszcie się jej udało, jelito wypłynęło jej na sukienkę i zawisło luźno, błyszcząc.

Kobiety krążyły wolno, rysując stopami wzór we własnej krwi. Chodnik zaczynał powoli wyglądać jak jakaś szalona etiuda baletowa ze szkoły Artura Murraya. Przed oczami Nettie świat to znikał, to znów się pojawiał, pulsował powoli i dostojnie — kolor wyciekał z rzeczy, które stawały się przezroczyście białe, a potem powoli napływał znowu. W uszach miała grzmiące bicie własnego serca. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest ranna, ale nie z tego, jak poważnie; myślała, że Wilma rozcięła jej bok albo coś.

Wilma za to miała pełną świadomość tego, jak poważna jest jej rana, wiedziała, że nie może podnieść prawej ręki i że plecy sukienki zalane ma krwią. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru uciekać. Nigdy w życiu nie uciekała i nie zacznie akurat teraz.

— Hej! — krzyknął cienkim głosem ktoś z drugiej strony ulicy. — Hej! Kobiety, co wy robicie! Przestańcie! Natychmiast przestańcie albo wezwę policję!

Wilma spojrzała w stronę, z której dobiegał głos. W tym momencie nieuwagi Nettie zrobiła krok w przód. Tasak zatoczył szeroki, płaski łuk. Uderzył Wilmę w kość biodrową, roztrzaskując ją. Krew trysnęła z rany. Wilma wrzasnęła. Próbowwała cofnąć się, wymachując przed sobą nożem, potknęła się o własną nogę i z łomotem upadła na chodnik.

— Hej! Hej! — krzyczała stara kobieta, stojąca na ganku domu. Kobieta przyciskała do ust szal w mysim kolorze. Okulary powiększały jej oczy w wodniste koła strachu. Wrzeszczała cieniem, przenikliwym starczym głosem: — Ratunku! Ratunku! Policja! Mordują! Mooordują!

Nie miało to żadnego wpływu na toczącą się na ulicy walkę. Wilma padła na chodnik obok znaku stopu; widząc zbliżającą się Nettie, usiadła z wysiłkiem, opierając się on plecami. Na kolanach trzymała nóż, ostrzem w górę.

— No chodź, suko — warknęła. — No już, zrób coś!

Nettie zbliżała się, poruszając ustami. Kląb wnętrzości wypłynął jej na sukienkę jak poroniony płód, kołysząc się w rytm kroków. Prawą stopą zahaczyła o wysuniętą lewą nogę Wilmy, upadła, nadziejąc się na nóż, który wbił się w jej ciało tuż poniżej mostka. Krew trysnęła jej z ust; podniosła tasak i opuściła go wprost na wierzch głowy Wilmy Jerzyck ze stłumionym „puk”. Wilma dostała konwulsji; jej ciało, na którym leżała Nettie, rzucało się dziko. Z każdym zaś drgnięciem nóż wbijał się coraz głębiej.

— Zabiłaś... mi... psa... — wydyszała Nettie, plując mgiełką

krwi na uniesioną twarz Wilmy, po czym jej ciało drgnęło i znieruchomiało. Opadająca głowa uderzyła w stojący nad nimi znak.

Drgająca stopa Wilmy zsunęła się do rynsztoka. Czarny, odświętny but, który wkładała wyłącznie do kościoła, zleciał i wylądował na kupce liści, celując niskim obcasem w przesuwające się po niebie chmury. Palce bosej nogi wyprostowały się jeszcze raz... i jeszcze... i znieruchomiały.

Obie kobiety spoczywały na ulicy objęte niczym kochankowie. Krew barwiła na cynamonowe leżące w rynsztoku liście.

— Mooordują! — wrzasnęła po raz kolejny stara kobieta z drugiej strony ulicy, po czym cofnęła



się o krok i padła na wznak w przedpokoju własnego domu, zemdlona.

Powoli w oknach i drzwiach sąsiednich domów zaczęli pojawiać się ludzie; wychodzili stopniowo na dwór, pytali, co się dzieje, schodzili z progów na trawniki, a potem ostrożnie na ulicę, i odkrywszy nie tylko, co się stało, lecz także jak krwawo się stało, cofali się pospiesznie z dłońmi na ustach.

W końcu ktoś wpadł na pomysł, by zadzwonić do Biura Szeryfa.

Idąc powoli główną ulicą Castle Rock w stronę „Sklepiku z marzeniami” w najcieplejszych mitenkach na obolałych dłoniach, Poiły usłyszała wycie syreny. Zatrzymała się i spojrzała na jeden z trzech brązowych plymouthów należących do hrabstwa przemykający teraz przez skrzyżowanie z Laurel i pobłyskujący wszystkimi światłkami. Leciał osiemdziesiątką i przyspieszał. Tuż za nim mknął drugi radiowóz.

Patrzyła za nimi ze zmarszczonym czołem, póki nie zniknęły jej z oczu. Syreny i pędzące radiowozy były rzadkością w Castle Rock. Co się stało? Z pewnością coś poważniejszego niż kotek, który nie potrafi zejść z drzewa. Alan zadzwoni wieczorem i wszystko jej opowie.

Odwróciła się, spojrzała przed siebie. W drzwiach sklepu stał Leland Gaunt i podobnie jak ona patrzył w ślad za radiowozami. Na twarzy miał wyraz lekkiego zdumienia. No, przynajmniej jedna wątpliwość została wyjaśniona — „Sklepek z marzeniami” jest otwarty. Nettie nie zadzwoniła, żeby ją o tym poinformować. Poiły nie była tym szczególnie zaskoczona, Nettie nie miała

doskonale szczelnej pamięci, czasami różne sprawy wyciekały z niej jak woda przez sito.

Ruszyła w stronę sklepu. Pan Gaunt odwrócił się, zauważył ją i twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech.

— Pani Chalmers! Jak to miło, że postanowiła pani do mnie zajrzeć.

Poiły uśmiechnęła się słabo. Ból, który dziś rano nieco ustąpił, powrócił w pełnej sile, przesywając jej dłonie cienkimi, stalowymi igłami.

- — Zdaje się, że miało być „Poiły” — przypomniała mu.
- A więc, Poiły, wejdź. Strasznie się cieszę, że cię widzę. Nie wiesz przypadkiem, co się stało?
- Nie mam pojęcia. — Pan Gaunt przytrzymał jej drzwi, po czym wszedł za nią do „Sklepiku z marzeniami”. — Chyba trzeba odwieźć kogoś do szpitala. Pogotowie z Norway w weekendy działa na

zwolnionych obrotach. Chociaż, dlaczego wysłano dwa radiowozy...

Pan Gaunt zamknął za nimi drzwi. Dzwoneczek zabrzączał cicho. Roleta na drzwiach była opuszczona, a ponieważ słońce padało akurat z drugiej strony, wewnątrz „Sklepiku z marzeniami” było mroczne... lecz — pomyślała — jeśli mrok w ogóle może być miły, ten z pewnością jest. Mała nocna lampka rzucała krąg światła na ladę przy staroświeckiej kasie. Na ladzie leżała otwarta książka — „Wyspa skarbów” Roberta Louisa Stevensona.

Pan Gaunt przyglądał się jej uważnie i Poiły musiała się znów uśmiechnąć — w jego oczach było tyle troski!

— Od paru dni dłonie po prostu nie dają mi żyć — wyjaśniła. — Mam wrażenie, że nie przypominam Demi Moore.

— Wygląda pani na kobietę bardzo zmęczoną i... cierpiącą.

Uśmiech zniknął z jej ust. W głosie Gauntabyło tyle zrozumienia i współczucia, że przez chwilę Poiły bała się, iż wybuchnie płaczem. Nie rozpląkała się, powstrzymała ją przed tym szczególna myśl: „Jego ręce, będzie próbował mnie pocieszyć, dotknie mnie!”. Zmusiła się do nowego uśmiechu.

- Jakoś wytrzymam, to nie pierwszy raz. Proszę mi powiedzieć, czy Nettie Cobb była dziś u pana?
- Dziś? — Gaunt zmarszczył czoło. — Nie, nie dziś. Gdyby przyszła, pokazałbym jej nowy kryształ, który akurat dostałem. Nie taki ładny jak ten, który kupiła poprzednim razem, ale moim zdaniem powinna być zainteresowana. Dlaczego pytasz?
- Och... bez żadnego szczególnego powodu. Powiedziała mi, że może do pana wpadnie, ale ona... ona często zapomina, wie pan?

- Sprawiała na mnie wrażenie kobiety, która miała ciężkie życie — stwierdził poważnie pan Gaunt.

- O tak, to prawda. — Poiły powiedziała to powoli, mechanicz

nie. Jakby nie potrafiła oderwać spojrzenia od jego oczu. Nagle jej dłoń musnęła jedną ze szklanych gablotek i to spowodowało, że spuściła wzrok. Niemal jęknęła z bólu.

- Czy coś się stało?

- Nie, nic, wszystko dobrze — odparła, ale kłamała. Z pewnością nie wszystko było dobrze, nic nie było dobrze.

Pan Gaunt najwyraźniej doskonale ją rozumiał.

- Nie czujesz się najlepiej — stwierdził stanowczo. — Więc mam zamiar darować sobie miłą pogawędkę. To coś, o czym pisałem, dotarło dziś do sklepu. Mam zamiar dać ci to i odesłać do domu.

- Dać?

- Och, nie mam na myśli prezentu. — Gaunt przeszedł za kasę. — Nie znamy się przecież wystarczająco dobrze, by dawać sobie prezenty, prawda?

Poiły uśmiechnęła się. Oczywiście, właściciel „Sklepiku z marzeniami” jest sympatycznym, uprzejmym człowiekiem pragnącym — co zupełnie naturalne — zrobić coś miłego dla osoby, która jako pierwsza w Castle Rock potraktowała go z sympatią. Nie była w stanie mu odpowiedzieć, z trudem śledziła sam tok rozmowy. Dłonie bolały ją potwornie, nie do zniesienia. Żałowała wręcz, że poszła do „Sklepiku z marzeniami”; pan Gaunt mógł być sobie wyjątkowo uprzejmy, lecz ona marzyła tylko o jednym:

0       powrocie do domu i wzięciu środka przeciwbólowego.

— Tego rodzaju towar trzeba jednak ofiarować na okres próbny — mówił dalej Gaunt — oczywiście, jeśli sprzedawca jest człowiekiem moralnym. — Wyjął z kieszeni klucze, wybrał jeden

1       otworzył szafkę pod kasą. — Wypróbujesz go przez kilka dni

i jeśli stwierdzisz, że jest bezwartościowy — uprzedzam, że moim zdaniem tak właśnie będzie — zwrócisz go. Jeśli jednak stwierdzisz, że przynosi ci ulgę, przedyskutujemy cenę. — Uśmiechnął się do niej promiennie. — Mogę cię zapewnić, że będzie to cena okazjna. Dla ciebie.

Poiły spojrzała na niego zaskoczona. Ulgę? O czym ten człowiek mówi!

Gaunt wydobyl z szuflady małe białe pudełeczko. Postawił je na ladzie. Dziwnymi rękami o strasznie długich palcach zdjął z niego pokrywkę i spośród kłębków waty wyjął srebrny wisiołek na cienkim łańcuszku; było to coś w rodzaju naszyjnika, tylko kiedy rozpostarł łańcuszek w dłoniach, okazało się, że sam naszyjnik przypomina łyżeczkę do parzenia herbaty lub bardzo duży naparstek.

- To egipskie, Poiły — wyjaśnił. — Bardzo stare. Nie tak stare jak piramidy, skądże znowu, niemniej jednak stare. Coś w tym jest, prawdopodobnie zioło, ale tego nie wiem na pewno. — Poruszył palcami. Srebrna łyżeczka do herbaty (jeśli tym *rzeczywiście* była) zakołysała się na łańcuszku. Coś się w niej przesunęło z suchym szelestem. Dźwięk ten wydał się Poiły nieprzyjemny.

- To coś nazywa się „azka” lub „azakah”. W każdym razie jest amuletem, który podobno strzeże przed bólem.

Poiły spróbowała się uśmiechnąć. Bardzo chciała być uprzejma, lecz doprawdy... czyżby zaproszono ją tu dla tego czegoś? Dla czegoś, co nie miało nawet żadnego waloru estetycznego. Było po prostu brzydkie i tyle tylko można powiedzieć — nie owijając w bawełnę!

- Doprawdy, nie sądzę...

- Ja też nie — przyznał Gaunt — lecz w sytuacjach rozpaczliwych sięga się do rozpaczliwych środków. Zapewniam cię, że jest to towar najzupełniej oryginalny... przynajmniej w tym sensie, że nie został wyprodukowany w Tajwanie. To artefakt egipski — być może nie antyk, ale z pewnością artefakt — z okresu schyłkowego. Mam do niego certyfikat pochodzenia, opisujący go jako „benka-litis”, narzędzie białej magii. Chciałbym, żebyś go przyjęła i nosiła. Przypuszczam, że brzmi to głupio, może nawet jest głupie, są jednak na niebie i ziemi *rzeczy*, o których nie śniło się filozofom.

- Naprawdę w to wierzysz? — spytała go Poiły.

- Tak. Widziałem *rzeczy*, przy których leczący medalion wydaje się czymś najzupełniej normalnym. — Orzechowe oczy

zabłyły... i zgasły niemal w tej samej chwili. — Widziałem wiele tego rodzaju rzeczy. W różnych zakątkach świata znajduje się cudowne rupiecie, Poily, ale przecież nie w tym rzecz. Chodzi o ciebie. Już wtedy, kiedy się spotkaliśmy, kiedy — jak mi się wydaje, ból nie był ani w połowie tak nieznośny jak teraz — zrozumiałem, w jak nieprzyjemnej znajdujesz się sytuacji. Sądziłem, że ten... drobiazg... wart jest wypróbowania. No, bo co masz do stracenia? Nic innego ci nie pomogło, prawda?

- Dziękuję, że pan o mnie pomyślał, panie Gaunt...
- Leland. Proszę.

..że o mnie pomyślałeś, Lelandzie, ale obawiam się, że nie jestem osobą przesadną.

Poily podniosła wzrok i stwierdziła, że orzechowe oczy wpatrzone są nieruchomo w jej twarz.

— Nie w tym rzecz, czy jesteś przesadna, czy nie, Poily... chodzi wyłącznie o to. — Poruszył palcami. Azka zakołysała się posłusznie na łańcuszku.

Poily znów otworzyła usta, ale tym razem nie padło z nich ani jedno słowo. Przypomniała sobie pewien wiosenny dzień. Nettie zostawiła u niej egzemplarz „Tajemnic świata”. Przeglądając go, wśród artykułów na temat dzieci-wilkołaków w Cleveland i geologicznej formacji na Księżycu wyglądającej dokładnie jak twarz JFK, znalazła reklamę czegoś, co nazywało się „Tarczą Modlitewną Starożytnych”. Tarcza miała leczyć bóle głowy, żołądka i art-retyzm.

Na reklamę składał się przede wszystkim czarno-biały rysunek przedstawiający staruszkę w spiczastym kapeluszu, z długą siwą brodą (to Nostradamus albo Gandalf, pomyślała wówczas), trzymającego coś niczym dziecinne kółeczko do toczenia nad ciałem siedzącego na wózku człowieka. Kółko rzucało na kalekę oślepiające światło i choć nie oszczędzono sobie jasnego

wyjaśnienia sytuacji, wyraźnie sugerowano, że za dzień, może dwa, kaleka przetańczy całą noc podczas karnawału w Rio. Oczywiście, że było to śmieszne, że była to irracjonalna bzdura dla ludzi, których umysł ugiął się, a być może nawet załamał, pod ciężarem cierpienia, ale...

Siedziała wówczas długo, wpatrzona w reklamę. Omal nie zadzwoniła pod wolny od opłaty numer podany w reklamie; numer, pod którym przyjmowano zamówienia. Bowiem wcześniej czy później...

- Wcześniej czy później ktoś, kto cierpi, będzie szukał ulgi najbardziej nawet wątpliwymi sposobami, jeśli dają mu one choćby najmniejszą szansę — powiedział pan Gaunt. — Nie mam racji?

- Nie... nie wiem...

- Leczenie lodem... rękawice termiczne... nawet naświetlania...

nic z tego ci nie pomogło, prawda, Poily?

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Dobry sprzedawca musi znać wszystkie potrzeby swych klientów. — Gaunt mówił cichym, hipnotyzującym głosem. Podszedł do niej; azka zwisała mu z dłoni, łańcuszek rozsunięty był szeroko. Poily skuliła się, postrzegając te ręce jak łapy o skórzastych paznokciach. — Proszę się niczego nie bać, szanowna pani.

- Nie dotknę nawet najmniejszego włoska na pani głowie, jeśli zachowa pani spokój... nie poruszy się...

I Poily natychmiast się uspokoiła. Poily stała całkowicie nieruchomo. Stała z dłońmi (nadal w wełnianych mitenkach) skromnie skrzyżowanymi na piersiach. Pozwoliła, by Gaunt założył jej łańcuszek przez głowę. Zrobił to z delikatnością ojca nakładającego córce ślubny welon. Poily miała wrażenie, że znajduje się bardzo daleko od pana Gaunta, od „Sklepiku z marzeniami”, od Castle Rock, nawet od samej siebie. Czuła się jak kobieta stojąca na najwyższym z piaszczystych *wzgórz* jakiejś równiny, pod nieskończonym niebem, setki kilometrów od najbliższej istoty ludzkiej.

Azka z lekkim brzękiem opadła na zamek błyskawiczny skórzanej samochodowej kurtki.

- Włóż ją pod kurtkę. A kiedy wrócisz do domu, pod bluzkę.

Najlepszy efekt daje noszona przy ciele.

- Nie mogę włożyć jej pod kurtkę — odparła Poily spokojnym, sennym głosem. — Zamek błyskawiczny... nie rozepnę go.

- Nie? Spróbuj.

Posłusznie zsunęła mitenkę i ku swemu wielkiemu zdumieniu odkryła, że może zgiąć kciuk i palec wskazujący prawej ręki w stopniu wystarczającym, by złapać za uchwyt i ściągnąć zamek na dół.

— Aha! Widzisz?

Mała srebrna kulka dotknęła jej bluzki. Wydawała się bardzo ciężka i nie sprawiała najmilszego wrażenia. Poily zastanawiała się przez chwilę, co jest w środku, co wywoływało ten szelest. „Zioła” — powiedział Gaunt, ale jej zdaniem nie był to szelest ani liści, ani żadnego proszku. Miała wrażenie, że coś tam poruszyło się samo z siebie.

Pan Gaunt zdawał się rozumieć jej uczucia.

— Zapewniam cię, że szybko się do tego przyzwyczaisz. Szybko, niż ci się teraz wydaje. Uwierz mi, tak będzie.

Na dworze, daleko stąd, syreny zawyły niczym żadne spoczynku upiory. Pan Gaunt odwrócił się, a kiedy spuścił z niej wzrok, zdolność koncentracji zaczęła powoli wracać. Poily była nieco oszołomiona, lecz także czuła się doskonale. Czuła się jak po krótkiej, bardzo odświeżającej drzemce. Wrażenie niepokoju połączonego z niewygoda minęło.

— Ręce nadal mnie bołą — powiedziała i była to prawda...  
lecz czy rzeczywiście bolały ją aż tak? Wydawało się jej, że

odczuwa ulgę, ale najprawdopodobniej była to tylko sugestia — miała uczucie, jakby Leland trochę ją zahipnotyzował, by tylko przyjęła azkę. A czuje się tak dlatego, że w sklepie jest o wiele cieplej niż na dworze?

— Bardzo wątpię, czy przypuszczalny efekt może być natychmiastowy — stwierdził sucho Gaunt. — Po prostu spróbuj... masz zamiar spróbować, Poily?

Wzruszyła ramionami.

— Dobrze — powiedziała.

W gruncie *rzeczy co* miała do stracenia? Kulka była tak mała, że pod bluzką i swetrem prawie niewidoczna. Jeśli nikt nie dowie się o azce, nie będzie kłopotliwych pytań i bardzo dobrze, inaczej Rosalie Drake natychmiast by się tym zainteresowała. Alan, przesądny mniej więcej tak jak kloc, pewnie zacząłby się śmiać, a Nettie...? Nettie najprawdopodobniej z niemym zachwytem przyjęłaby informację, że Poily nosi najprawdziwszy w świecie amulet, dokładnie taki, jakie reklamuje się w jej ukochanym piśmie „Tajemnice Świata”.

- Nie powinnaś go zdejmować, nawet pod prysznicem — zauważył Gaunt. — Zresztą nie ma potrzeby. To prawdziwe srebro, nie zardzewieje.

- A jeśli zdejmę?

Gaunt przysłonił usta dłonią i chrząknął, niczym z zażenowania.

— No cóż... azka ma działanie kumulatywne. Pierwszego dnia jest troszeczkę lepiej, drugiego troszeczkę lepiej niż pierwszego i tak dalej... tak przynajmniej słyszałem.

Od kogo? — pomyślała Poiły.

— Kiedy jednak zostanie zdjęta, następuje nie stopniowy, lecz natychmiastowy powrót do dokuczliwego stanu pierwotnego, a po ponownym jej włożeniu trzeba czekać dniami, a nawet tygodniami na odrobienie... straconego gruntu.

Poiły roześmiała się cicho. Nie potrafiła się powstrzymać. Poczowała ulgę, kiedy Leland jej zawtórował.

- Wiem, jak to brzmi — przyznał — ale pragnę tylko pomóc ci, na ile leży to w mojej mocy. Czy potrafisz w to uwierzyć?

- Oczywiście. Bardzo dziękuję.

Kiedy jednak Leland Gaunt odprowadzał ją do drzwi, Poiły zaczęła zastanawiać się i nad innymi rzeczami. Na przykład nad tym, że kiedy zakładał jej azkę na szyję, była jakby w transie. I nad tym, dlaczego dotyk jego dłoni wydaje się jej tak wstrętny. Nie zgadzało się to zupełnie z przyjaźnią, ze współczuciem, którymi

promieniował do tego stopnia, iż wydawało się, że otacza go widzialna aura.

Czyżby rzeczywiście ją zahipnotyzował? Co za głupi pomysł. Ale...? Próbowała przypomnieć sobie, co naprawdę czuła, kiedy rozmawiali o azce — i nie mogła. No, jeśli rzeczywiście została zahipnotyzowana, to z pewnością przypadkiem i przy swym własnym udziale. Bardziej prawdopodobne, że oszołomił ją zbyt często zażywany percodan, to się czasami zdarzało. Tego właśnie najbardziej w nim nie lubiła. Nie, nie najbardziej, prawie najbardziej. Najgorsze w środkach przeciwbólowych było to, że już nie zawsze działały tak jak powinny.

- Odwiózłbym cię do domu, gdybym prowadził — mówił właśnie Leland — ale, niestety, nigdy nie miałem nawet prawa



jazdy.

- Nic nie szkodzi. Doprawdy, doceniam twą uprzejmość.
- Podziękujesz mi, jeśli azka okaże się skuteczna. Życzę ci

najmilszego popołudnia, Poity.

W powietrzu znów niósł się dźwięk syren. Dobiegał ze wschodu, z rejonu ulic Elm, Willow, Ford i Pond. Poity odwróciła się w tamtą stronę. W wyciu syren, zwłaszcza w tak spokojne popołudnie, było coś, co wywołało w niej groźne przecucia — nie całkiem obrazy — nadchodzącego nieszczęścia. Cichły powoli, niczym niewidzialna sprężyna zegara rozwijająca się w czystym powietrzu.

Odwróciła się, by powiedzieć coś na ten temat Lelandowi, i stwierdziła, że już go przy niej nie ma. Na drzwiach „Sklepiku z marzeniami” wisiała wywieszka: ZAMKNIĘTE.

Powoli ruszyła w stronę domu. Nim dotarła do końca ulicy, minął ją kolejny pędzący prosto przed siebie radiowóz, tym razem policji stanowej.

— Danforth?

Myrtle weszła do domu, wprost do dużego pokoju. Pod pachą trzymała naczynie do fondue, które lada chwila mogło się jej wyslizgnąć, prawą ręką próbowała wyjąć klucz, zostawiony w zamku.

— Danforth, wróciłam!

Nie usłyszała odpowiedzi. Telewizor nie był włączony. Dziwne, tak bardzo chciał obejrzeć mecz od początku. Przez chwilę Myrtle

była niemal pewna, że dokąś poszedł, na przykład obejrzeć go sobie z Garsonami, ale przecież drzwi do garażu były zamknięte, co oznaczało, że odstawił samochód. Nigdy nigdzie nie chodził piechotą, jeśli tylko mógł. A już zwłaszcza nie w górę Castle View, dość stromym podejściem.

— Danforth, jesteś w domu?

Żadnej odpowiedzi. W jadalni leżało przewrócone krzesło. Ze zmarszczonym czołem odstawiła naczynie do fondue na stół i postawiła krzesło na nogach. Pierwsze pasma niepokoju, delikatne niczym babie lato, oplotły jej mózg. Podeszła do drzwi gabinetu męża. Zamknięte. Przyłożyła do nich ucho i zaczęła nadśluchiwać. Miała niemal całkowitą pewność, że usłyszała skrzypienie obrotowego krzesła.

— Danforth, jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi... ale chyba usłyszała cichy kaszel. Niepokój zmienił się w strach. Danforth żył ostatnio w napięciu — był jedynym radnym miejskim, który pracował naprawdę ciężko — i

ważył znacznie więcej, niż powinien. Co, jeśli dostał ataku serca? Co, jeśli leży tam na podłodze? Co, jeśli dźwięk, który usłyszała, to nie kasznięcie, lecz rozpaczliwa próba zaczerpnięcia oddechu?

Uroczy ranek i południe, które spędzili razem, sprawił, że wydało się jej to upiornie prawdopodobne — najpierw wspaniały lot, potem straszny upadek. Położyła rękę na klamce... a potem cofnęła ją i zaczęła szczytać się nerwowo w obwisły podbródek. Wystarczyło kilka tylko bolesnych lekcji, by nauczyła się, że spokoju męża nie wolno naruszyć bez pukania... i że nigdy, ale to nigdy, nigdy nie wchodzi się do niego bez wyraźnego zaproszenia.

Oczywiście... lecz jeśli miał atak serca albo... albo...

Przypomniała sobie wywrócone krzesło i przestraszyła się jeszcze bardziej.

Przypuśćmy, że wrócił do domu i zaskoczył włamywacza? A co, jeśli włamywacz uderzył go w głowę i nieprzytomnego zaciągnął do gabinetu?

Gwałtownie załomotała w drzwi.

— Danforth! Danforth! Nic ci nie jest?

Cisza. W całym domu słychać było tylko tykanie wielkiego, stojącego w dużym pokoju zegara i... tak, teraz była już niemal całkiem pewna, w gabinecie skrzypnęło krzesło.

Jej dłoń znów, powolutku, popęzła ku klamce.

— Danforth, czy...

Czubkami palców już dotykała klamki, kiedy ryknął na nią tak wściekle, że odskoczyła od drzwi ze stłumionym okrzykiem.

— Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie w spokoju, ty głupia suko!

Myrtle jęknęła. Serce waliło jej gwałtownie aż gdzieś w gardle. Nie tylko z zaskoczenia — w głosie Danforth'a brzmiała wściekłość i nieokiełznana nienawiść. Po spokojnym, uroczym poranku, który spędzili wspólnie w „Maurisie”, nie mógł skrzywdzić jej bardziej, nawet gdyby przejechał jej po policzku żyłką.

- Danforth... myślałam, że coś ci się stało... — Mówiła tak cicho, że z trudem słyszała własne słowa.

- Daj mi spokój!

Sądząc z bliskości dźwięku stał tuż za drzwiami.

O mój Boże, ma taki głos, jakby oszalał, czy to możliwe? Jak to możliwe? Co tu się stało, kiedy byłam u Amandy?

Na te pytania nigdy jednak nie otrzyma odpowiedzi. Pozostał tylko ból. Więc Myrtle weszła na piętro, wyjęła nową, piękną lalkę z szuflady w pokoju do szycia i poszła z nią do sypialni. Zdjęła buty. Trzymając lalkę w objęciach, padła na łóżko.

Gdzieś, z dala, dobiegło ją wycie syren. Nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi.

Jej sypialnia wyglądała pięknie o tej porze, oświetlona promieniami październikowego słońca. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Widziała tylko ciemność. Czuła rozpacz, mroczną, chorą rozpacz, której rozproszyć nie mogła nawet tak piękna lalka. Rozpacz dławiała ją, uniemożliwiała oddychanie.

Och, była dziś taka szczęśliwa — tak bardzo szczęśliwa. On także był szczęśliwy, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. A teraz zrobiło się gorzej niż kiedykolwiek przedtem. O wiele gorzej.

Co się stało?

Boże, co się stało i kto był za to odpowiedzialny?!

Myrtle tuliła lalkę, patrzyła w sufit, a po chwili zaczęła szlochać ciężkim, bezgłośnym szlochem, od którego drżało całe jej ciało.

## Rozdział 11

Piętnaście minut przed północą tej długiej, październikowej niedzieli otworzyły się drzwi w piwnicy jednego ze skrzydeł Szpitala Stanowego Kennebec Valley. Przeszedł przez nie szeryf Alan Pangborn. Szeryf szedł powoli, ze spuszczoną głową. Nogami w szpitalnych kapciach na gumce pociągał po linoleum. Drzwi zamknęły się za nim; można już było przeczytać umieszczony na nich

napis: KOSTNICA. OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

W przeciwległym końcu korytarza dozorca długimi, leniwymi ruchami jeździł po linoleum mechaniczną froterką. Alan ruszył w jego kierunku, zdejmując po drodze szpitalną czapkę. Odwinął połą zielonego fartucha, który miał na sobie, i schował czapkę do tylnej kieszeni zakrytych fartuchem spodni. Szum froterki sprawił, że poczuł się senny. Szpital w Auguście był ostatnim miejscem na ziemi, które wybrałby z własnej woli.

Dozorca dostrzegł go i przesunął wyłącznik.

- Nie wyglądasz najlepiej, przyjacielu — stwierdził.
- Wcale mnie to nie dziwi. Ma pan papierosa?

Dozorca wyjął z kieszeni na piersi paczkę lucky strike'ów. Wytrząsnął jednego na dłoń Alana.

— Tu nie wolno palić — ostrzegł. Gestem głowy wskazał drzwi kostnicy. — Doktorek Ryan dostałby ataku szału.

Alan skinął głową.

— Gdzie? — spytał.

Dozorca skierował go w stronę korytarza przecinającego ten, który prowadził do kostnicy, i wskazał znajdujące się mniej więcej w połowie jego długości drzwi.

— Można tędy wyjść na alejkę za budynkiem — wyjaśnił. — Proszę je czymś podeprzeć albo będzie pan musiał zasuwać z powrotem do głównego wyjścia, żeby się dostać do środka. Ma pan zapalki?

- Noszę zapalniczkę — wyjaśnił Alan i ruszył w stronę drzwi.
- Słyszałem, że dzisiaj mieliśmy dubla — krzyknął za nim dozorca.

- To prawda. — Alan nawet się nie obrócił.
- Cholerne są te autopsje, nie?
- Cholerne.

Za jego plecami froterka ruszyła z cichym szumem. Cholerne są te autopsje, to prawda. Sekcje Nettie Cobb i Wilmy Jerzyck były dwudziestą trzecią i dwudziestą czwartą w jego karierze; wszystkie były cholerne, ale te okazały się najcholerniejsze.

Drzwi, które wskazał mu dozorca, otwierały się przez przesunięcie w dół długiego pręta. Alan rozejrzał się za czymś, czym mógłby je podeprzeć, żeby się nie zamknęły. Niczego takiego nie znalazł, zdjął więc zielony fartuch, zwinął go i pchnął pręt. Do środka wpłynęło nocne powietrze, chłodne i nieprawdopodobnie orzeźwiający po zapachu starego alkoholu, którym przesiąknięta była kostnica i przyległa do niej sala sekcyjna. Położył fartuch przy framudze, wyszedł i delikatnie pozwolił drzwiom cofnąć się, sprawdzając, czy zamek nie zaskoczy mimo fartucha, ale nie, więc puścił je i natychmiast o nich zapomniał. Oparł się o ścianę z surowej czerwonej cegły tuż obok cieniutkiej linii światła przenikającej przez niedomknięte drzwi i zapalił papierosa.

Zaciągnął się mocno — natychmiast zakręciło mu się w głowie. Starał się rzucić palenie od dwóch lat i kiedy już niemal mu się udało, coś musiało wyskoczyć. Takie było zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo pracy policjanta; coś zawsze, ale to zawsze, wyskakiwało.

Spojrzał w niebo na gwiazdy, które zazwyczaj go uspokajały, ale tej nocy niewiele ich dostrzegł; blask gwiazd tłumili silne, otaczające szpital światła. Widział Wielkiego Miśka, Oriona i świecący słabą czerwienią punkt, najprawdopodobniej Marsa. Nic więcej.

Mars — pomyślał. Oczywiście. Około południa wylądowali w Castle Rock wojownicy z Marsa, a pierwszymi osobami, które spotkali, były Nettie Cobb i Wilma Jerzyck. Wojownicy pogryzli je. Zarazili wścieklizną. Tylko to wyjaśnienie pasuje do wszystkich faktów.

Pomyślał, że mógłby pójść i powiedzieć doktorowi Henry'emu Ryanowi, głównemu patologowi stanu Maine: „Panie doktorze, mieliśmy przypadek interwencji z kosmosu. Sprawa zostaje zamknięta”; wątpił jednak, by rozbawiło to lekarza. On też miał za sobą długą noc.

Alan znów zaciągnął się głęboko. Papieros smakował mu wspaniale, zawrót głowy czy nie zawrót głowy. Zrozumiał wreszcie, dlaczego zakazano palenia we wszystkich miejscach publicznych, w każdym szpitalu w Ameryce. Jon Calvin miał świętą rację: „Coś, co sprawia, że czujesz się aż tak wspaniale, po prostu nie może być dla ciebie dobre”. Na razie jednak nafaszeruj mnie tą wstrętną nikotyną, szefie, proszę — takie to wspaniałe uczucie.

Alan pomyślał także, jak wspaniale byłoby kupić karton identycznych lucky strike'ów, rozerwać go z obu stron i przypalić lampą lutowniczą. Pomyślał także, że dobrze byłoby upić się do nieprzytomności. Nie najlepszy to chyba czas, by upić się do nieprzytomności. Kolejna żelazna reguła życia: „Jeśli czujesz, że musisz się urząnąć, absolutnie nie możesz sobie na to pozwolić”.

Może alkoholicy tego świata to jedyni ludzie wiedzący doskonale, co w życiu najważniejsze?

Cienka linia światła na ścianie pogrubiała nagle. Alan obejrzał się i zobaczył Norrisa Ridgewicka. On także wyszedł i podobnie jak szeryf oparł się o ścianę. Nadal miał na głowie szpitalny, śmiesznie przekrzywiony czepek; wiązania zielonego fartucha zwisały mu luźno na plecach. Twarz miał tego samego koloru co fartuch.

- Jezu, Alan!
- To twoja pierwsza sekcja, prawda?
- Nie. Widziałem jedną, kiedy jeszcze byłem w North Wyndham. Zatrucie czadem. Ale to... Jezu, Alan!
- Aha. — Alan zaciągnął się papierosem. — Jezu.
- Masz papierosa?
- Nie, niestety. Wyżebrałem jednego u dozorca. — Alan spojrzał na swego zastępcę ze zdziwieniem. — Nie wiedziałem, że palisz, Norris.

— Nie palę. Pomyślałem, że mógłbym zacząć.

Alan roześmiał się cicho.

— Rany, nie mogę się doczekać, żeby wreszcie pojechać na ryby. A może wolne dni się wstrzymuje, kiedy wypadnie coś takiego?

Alan pomyślał przez chwilę, a potem potrząsnął głową. W końcu w Castle Rock nie pojawili się przecież żadni wojownicy z Marsa; cała sprawa wyglądała w rzeczywistości dość prosto. Do pewnego stopnia to właśnie czyniło ją tak straszną. Nie widział powodu, by wstrzymać Norrisowi wolne.

- Świetnie — ucieszył się jego zastępca, a potem dodał: — Ale jeśli chcesz, przyjdę. Nie ma problemu.
- Chyba nie będę cię potrzebował, wiesz? John i Ciut już się ze mną kontaktowali. Ciut pojechał z facetami z dochodzeniówki pogadać z Peterem Jerzykiem, a John jest z zespołem badającym sprawę Nettie. Obaj się ze mną skontaktowali. To jasna sprawa. Obrzydliwa, ale jasna.

I rzeczywiście... ale mimo to coś go tu niepokoiło. Coś tu bardzo go niepokoiło.

- Ale... co się właściwie stało? No, ta suka Wilma prosiła się o to od lat, ale myślałem, że jeśli ktoś kiedyś nie da się jej sterroryzować, skończy się co najwyżej na podbitym oku, złamanej ręce, a tu... Czyżby tym razem wybrała sobie złą ofiarę?

- Moim zdaniem o to właśnie chodzi — przyznał Alan. — W całym Castle Rock Wilma nie mogła wypowiedzieć wojny nikomu gorszemu.

- Wojny?

- Na wiosnę Poiły dała Nettie szczeniaka. Na początku psiak trochę szczeakał. Wilma robiła z tego powodu awantury.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie, żeby składała skargi.

- Była tylko jedna. Przechwyciłem ją. Poiły mnie o to po prosiła. Czowała się trochę odpowiedzialna, w końcu Nettie dostała tego psa od niej. Nettie obiecała, że będzie go przetrzymywać w domu najdłużej jak to tylko możliwe. To załatwiło sprawę. Pies przestał szczeakać, ale Wilma nie przestała robić awantur. Poiły powiedziała mi, że na widok Wilmy, choćby była nie wiem jak daleko, Nettie przechodziła na drugą stronę ulicy. Robiła co mogła, może tylko nie modliła się głośno. W zeszłym tygodniu przekroczyła jednak wszystkie granice. Kiedy Pete i Wilma byli w pracy, poszła do Jerzycków, zobaczyła wiszące na sznurze w ogrodzie prześcieradła i obrzuciła je błotem.

Norris aż gwizdnął.

— Czy przechwyciłeś i tę skargę, Alan?

Szeryf potrząsnął głową.

- Od tej pory aż do dzisiejszego popołudnia cała sprawa rozgrywała się wyłącznie między paniami.

- A co z Pete'em Jerzyckiem?

- Znasz Pete'a?
- Jaś... — Norris przerwał. Pomyślał o mężu Wilmy. Pomyślał o Wilmie. Pomyślał o obojgu razem i powoli skinął głową.

- Był pewny, że Wilma rozniesie go na strzępy, jeśli tylko spróbuje bawić się w arbitra?

- Coś w tym rodzaju. Ciut twierdzi, że Pete powiedział ludziom z dochodzeniówki, jakoby Wilma chciała lecieć do Nettie, gdy tylko zobaczyła brudne prześcieradła. Chciała pójść na całego. Najwyraźniej zadzwoniła do Nettie i powiedziała, że urwie jej głowę i nasra w szyję.

Norris skinął głową. Pomiędzy autopsjami Wilmy i Nettie zadzwonił do dyżurnego w Castle Rock i poprosił o listy skarg związane z ofiarami. Na liście Nettie była tylko jedna skarga: uderzyła męża ostrym narzędziem, pozbawiając go życia. Koniec, kropka. Tylko to i nic więcej, włączając w to ostatnie parę lat, które spędziła w miasteczku. Z Wilma sprawa miała się zupełnie inaczej. Nigdy nikogo nie zabiła, ale jej lista skarg — tych, które składała sama, i tych, które składano na nią — była bardzo długa

1 zaczynała się skargą z czasów, kiedy chodziła do szkoły pod stawowej i podbiła oko nauczycielce na zastępstwie za zawieszenie jej w prawach ucznia. W dwóch przypadkach przerażone kobiety, które miały pecha (albo brakowało im rozsądku) i zadarły z nią, poprosiły o ochronę policyjną. W ciągu tego czasu złożono na nią

' także trzy skargi o naruszenie nietykalności cielesnej. Wszystkie oskarżenia w końcu wycofano, ale nie trzeba było studiować papierów długo, by zorientować się, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby sobie Wilmy Jerzyck za wroga.

- Dobrały się w korcu maku — mruknął Norris.
- Niestety.
- Pete przekonał ją wtedy, żeby dała spokój Nettie?
- Nawet nie próbował, był na to za mądry. Powiedział Glutowi, że wsypał jej do herbaty dwa xanaxy i to ją nieco schłodziło. Powiedział także, że jego zdaniem to był koniec sprawy.

- Wierzysz mu, Alan?



- Tak, przynajmniej w stopniu, w jakim byłbym skłonny uwierzyć człowiekowi, z którym nie rozmawiałem osobiście.
- Co on jej wsadził w tę herbatę? Narkotyk?
- Środek uspokajający. Twierdzi, że dawał jej to wcześniej kilka razy, gdy zbliżał się kryzys, i że za każdym razem nieźle to działało. Podobno był pewien, że podziała także tym razem.
- To się pomylił.

• Moim zdaniem na początku xanax rzeczywiście podziałał. W każdym razie Wilma nie poleciała do Nettie i nie zaczęła się na niej wyżywać. Ale nie przestała jej dokuczać, co by się zgadzało z jej postępowaniem jeszcze z czasów wojny o psa. Telefony, jeżdżenie pod domem, tego rodzaju rzeczy. Nettie nie była osobą odporną. Coś takiego musiało mocno na nią podziałać. John LaPointe i ekipa, do której go przydzieliłem, około siódmej pojechali i do Poiły. Poiły powiedziała, że jej zdaniem Nettie musiała się czegoś bać. Była u niej rano i coś się jej wymknęło, ale wtedy tego nie zrozumiała. —<sup>^</sup> Alan westchnął. — Pewnie teraz żałuje, że nie słuchała uważniej.

- A jak Poiły to przyjęła?
- Chyba całkiem dobrze. — Rozmawiał z nią dwa razy, raz z domu sąsiadującego z miejscem zbrodni, drugi raz stąd, ze szpitala, kiedy przyjechał Norris. W obu przypadkach Poiły mówiła spokojnym, kontrolowanym głosem, ale pod tą starannie utrzymaną, obojętną powłoką wyczuł łzy i żal. Nie był szczególnie zdziwiony, kiedy podczas pierwszej rozmowy okazało się, że wie, co zaszło — wieści, zwłaszcza złe wieści szybko rozchodzą się po małych miasteczkach.

- Co spowodowało ten wielki wybuch?

Alan spojrzął na Norrisa zaskoczony. Dopiero teraz zorientował się, że jego zastępca jeszcze nie

wie. On sam otrzymał pomiędzy autopsjami mniej więcej pełny raport od Johna LaPointe; w tym czasie Norris z innego telefonu rozmawiał z Sheilą Brigham, kompletując listę skarg związanych z obu ofiarami.

- Jedna z nich zdecydowała się pójść na całość — wyjaśnił. —

Moim zdaniem Wilma, ale szczegóły nadal pozostają niejasne. Prawdopodobnie Wilma poszła do domu Nettie rano, kiedy ta była u Poiły. Nettie najwyraźniej nie zamknęła drzwi, nawet ich nie zatrzasnęła. Otworzyły się na wietrze; wiesz, jak dzisiaj wiało.

- Aha.

• No więc być może Wilma zamierzała tylko po raz kolejny przejechać pod domem Nettie, wyłącznie po to, by ją rozdrażnić. Zobaczyła otwarte drzwi i postanowiła wykorzystać okazję. Może nie było całkiem tak, ale moim zdaniem to pasuje.

Ledwie to powiedział, zorientował się, że kłamie. Nie pasowało i w tym problem. Powinno pasować, bardzo chciał, by pasowało, ale nie, nie pasowało. Złościło go to, że nie było właściwie powodu, żeby się czepiać, przynajmniej takiego, który mógłby konkretnie wskazać. Może tylko to, że skoro Nettie tak szaleńczo

bała się Wilmy, powinna sprawdzić, czy drzwi się zamknęły, i przekręcić klucz w zamku... lecz na tym nie mógł budować sprawy. Nie mógł, bo Nettie nie zawsze rozumowała logicznie i nie sposób było twierdzić z całą pewnością, co osoba taka jak ona chce, a czego nie chce zrobić. Mimo wszystko...

- I co ta Wilma zrobiła? Rozniosła dom w drobny mak?
- Zabiła psa.
- Co?
- Chyba słyszałeś.
- Jezu! Ale suka!
- No, co do tego od początku nie mieliśmy chyba żadnych

wątpliwości, prawda?

- Słusznie, ale...

Kolejne „ale”. Z ust Norrisa Ridgewicka, który nawet po wszystkich tych latach ciągle miał koszarne problemy z co najmniej dwudziestoma procentami papierkowej roboty, także padło

magiczne „ale”.

- Zabiła go scyzorykiem. Korkociągiem, do którego przy czepiła karteczkę z informacją, że to zemsta za zachłapanie prześcieradeł błotem. Więc Nettie wybrała się do Wilmy z kamieniami. Owinęła je w karteczki. Napisała, że to „ostatnie ostrzeżenie”. Wybiła nimi wszystkie szyby na parterze domu Jerzycków.

- Matko Boska! — w głosie Norrisa zabrzmiało coś w rodzaju podziwu.

- Około wpół do jedenastej Jerzyckowie wyjechali na mszę. Po mszy zjedli lunch z Pułaskimi. Pete został obejrzyć z Jakiem mecz Patriotów, więc tym razem nikt nawet nie próbował uspokoić Wilmy.

- I spotkały się na rogu przez przypadek?

- Bardzo wątpię. Moim zdaniem Wilma wróciła do domu, zobaczyła, co się stało, zadzwoniła do Nettie i zmusiła ją do wyjścia.

- Wyzwała na pojedynek? O to ci chodzi?

- O to mi chodzi.

Norris gwizdnął. Przez moment stał nieruchomo z rękami założonymi na plecach, patrząc w ciemność. Potem spytał:

- Alan, po co właściwie chodzisz na te cholerne autopsje?

- Chyba ze względu na protokół. — Ale dla niego było w autopsjach coś więcej. Jeśli coś w sprawie go niepokoiło (jak niepokoiły go fakty i wrażenia w tej sprawie), autopsja dawała szansę dostrzeżenia jakiegoś punktu zaczepienia. Haka, na którym można powiesić kapelusz.

— Najwyższy czas, żeby hrabstwo zafundowało nam protokolanta — burknął Norris i Alan się roześmiał.

Nie był to jednak śmiech najzupełniej szczery. I nie tylko dlatego, że to, co się stało, było ciosem zadany Poily, że przez wiele dni Poily będzie ciężko to przeżywać. W całej sprawie coś po prostu nie grało. Pozornie wszystko wydawało się w porządku, ale gdzieś w głębi, w której kryje się (czasami bardzo skutecznie) instynkt, nadal żył pomysł z wojownikami z Marsa... żył i wydawał się

mieć coraz więcej sensu. Przynajmniej dla niego.

*Daj spokój! Przecież wyjaśniłeś Norrisowi wszystko od A do Z w czasie krótszym, niż zajmuje wypalenie papierosa.*

Oczywiście, wyjaśnił. I to także była część problemu. Czy to możliwe, by dwie kobiety, nawet jeśli jedna jest nie całkiem normalna, a druga ma temperament grzechotnika, z tak zwykłych powodów pokroily się na paseczki na rogu ulicy jak naćpani narkomani?

Nie wiedział. A ponieważ nie wiedział, wyrzucił papierosa i postanowił przemyśleć to sobie jeszcze raz.

Wszystko zaczęło się od telefonu Andy'ego Clutterbucka. Właśnie wyłączył telewizor (Patrioci byli do tyłu o przyłożenie i gol z pola; druga ćwiartka meczu zaczęła się zaledwie przed trzema minutami) i wkładał kurtkę, kiedy zadzwonił telefon. Alan miał zamiar pójść do „Sklepiku z marzeniami” i sprawdzić, czy ten Gaunt już wrócił. Może nawet — myślał — spotkam u niego Poily?

Telefon od Cluta zmienił jego plany.

Ciut powiedział mu, że kiedy był na lunchu, telefony odbierał Eddie Warburton. Przy „tych małych uliczkach” — powiedział mu Eddie — jest jakieś zamieszanie. Kobiety się biją czy coś. Eddie powiedział także, że może dobrze byłoby skontaktować się z szeryfem i poinformować go o tym zamieszaniu.

- A co u diabła Eddie ma wspólnego z telefonami w Biurze Szeryfa? — spytał zirytowany Alan.

- No, moim zdaniem, kiedy zobaczył, że na centralce nie ma nikogo, pomyślał...

- Zna procedurę równie dobrze jak każdy z nas. Kiedy nikt nie odbiera telefonu na centrali, rozmowy przyjmuje Dziwka.

- Nie wiem, dlaczego przyjął telefon — w głosie Cluta

- 

brzmiało ledwie ukrywane zniecierpliwienie — i nie sędzę, żeby właśnie to było w tej chwili najważniejsze. Drugi telefon w tej sprawie odebrałem cztery minuty temu, kiedy rozmawiałem z Ed-diem. Dzwoniła starsza kobieta. Nie podała nazwiska; albo była zbyt zdenerwowana, żeby odpowiedzieć mi na pytanie, albo nie chciała się przedstawić. W każdym razie powiedziała, że na

rogu Ford i Willow ma miejsce jakaś poważna bójka. Dwie kobiety. Podobno używają noży.

- Nadal się biją?
- Nie. Leżą. Już po walce.
- Dobra. — Alan zaczynał myśleć coraz szybciej, jego mózg był jak pociąg pospieszny nabierający prędkości. — Zapisales rozmowę, Ciut?

- Jasne!
- Doskonale. Seaton ma dyżur dziś po południu? Wyślij go tam natychmiast.

- Już go wysłałem.
- Niech cię Bóg błogosławi. Teraz zadzwoń na policję stanową.

- Chcesz, żeby przyjechała ekipa dochodzeniowa?
- Na razie nie. Na razie poinformuj ich tylko o sytuacji. Spotkamy się na miejscu.

Alan zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, gdy tylko dojechał na róg ulic Ford i Willow. Natychmiast zawiadomił Oxford i zażądał przybycia ekipy dochodzeniowej — a lepiej dwóch ekip dochodzeniowych, jeżeli nimi dysponują. Ciut i Seaton Thomas zatrzymywali tłum rozłożonymi ramionami i wzywali ludzi, żeby się rozeszli. Pojawił się także Norris, rozejrzał dokoła, po czym z bagażnika samochodu wyjął żółtą taśmę z nadrukiem: MIEJSCE PRZESTĘPSTWA. WSTĘP WZBRONIONY. Taśma zdążyła się pokryć grubym pokładem kurzu; później Norris przyznał się Ala-nowi, że nie był pewien, czy się przyklej, taka była stara.

Jednak kleiła się. Norris rozpiął ją między dębami, formując trójkąt, wewnątrz którego leżały dwie kobiety, na pozór obejmujące się pod znakiem stopu. Ludzie nie wrócili do domów, ale przynajmniej wycofali się na własne trawniki. Na razie było ich mniej więcej pięćdziesięcioro, ale w miarę jak w ruch szły telefony i sąsiedzi spieszyli na miejsce „wypadku”, liczba gapiów rosła. Andy Clutterbuck i Seaton Thomas sprawiali wrażenie, że lada chwila wyciągną broń i zaczną strzelać w powietrze. Alan rozumiał ich doskonale.

W Maine Wydział Śledczy Policji Stanowej prowadzi wszystkie dochodzenia w sprawach o morderstwo, a dla miejscowych policjantów najgorszy jest czas pomiędzy zbrodnią a pojawieniem

się ekipy dochodzeniowej. Zarówno lokalne gliny, jak i tuzy hrabstw doskonale wiedzą, że najczęściej właśnie wtedy przerwany zostaje tak zwany „łańcuch dowodów”. Większość doskonale zdaje sobie także sprawę, że wszystkie wykonane w tym czasie czynności zostaną dokładnie sprawdzone przez prawników i ludzi z Biura Prokuratora Stanowego, którzy uważają policjantów z hrabstwa za bandę idiotów potykających się o własne nogi.

Milczące grupy ludzi na trawnikach okolicznych domów sprawiały niesamowite wrażenie. Przypominały Alanowi upiory z horrorów.

Wyjął tubę z bagażnika radiowozu i rozkazał im, by natychmiast wrócili do domów. Posłuchano. Potem jeszcze raz powtórzył sobie w myśli regulamin i połączył się z biurem. Przy centralce zasiadła Sandra McMillan, nie tak dobra jak Sheila Brigham, ale, biedacy nie wybierają... poza tym przypuszczał, że Sheila wkrótce dowie się o wszystkim i przyjedzie do pracy, jeśli nie z poczucia obowiązku, to z ciekawości.

Polecił Sandy, by znalazła Raya Van Allena. Ray był koronerem hrabstwa Castle i Alan chciał go mieć przy sobie, gdy pojawi się dochodzeniówka... jeśli to tylko możliwe.

— Przyjęte, szeryfie — odpowiedziała Sandy uroczyście. —

Baza czysta.

Alan wrócił do swych zastępców.

— Który z was sprawdził, że one rzeczywiście nie żyją?

Ciut i Seat Thomas spojrzeli na siebie niepewnie, zdziwieni i Alan jęknął w duchu: „punkt dla prokuratora”. A może nie? Pierwsza ekipa dochodzeniowa nie pojawiła się jeszcze na miejscu, choć słyszał zbliżający się głos syren. Przeszedł pod taśmą i ruszył w stronę znaku stopu. Szedł ukradkiem, na palcach, jak chłopak próbujący wymknąć się z domu, choć rodzice kazali mu iść spać.

Krew była przede wszystkim pomiędzy ofiarami i w zatkanym liśćmi kanale ściekowym za nimi, ale jej kropelki — specjaliści z Wydziału Zabójstw nazywali to „opadem wtórnym” — otaczały zwłoki nieregularnym kręgiem. Alan przyklęknął tuż za jego granicą. Wyciągnął rękę. Okazało się, że może dotknąć zwłok — nie miał wątpliwości, że są to zwłoki — pod warunkiem, że maksymalnie się wychyli.

Zerknął na Norrisa, Seata i Cluta. Stali w ciasnej grupce, przyglądając mu się szeroko otwartymi oczami.

— Sfotografujcie mnie — polecił.

Seat i Ciut nadal tylko się na niego gapili, jakby wydał polecenie w języku suahili. To Norris podbiegł do radiowozu szeryfa i grzebał w bagażniku tak długo, aż znalazł stary polaroid, jeden z dwóch, których używali do zdjęć na miejscu przestępstwa. Na najbliższym spotkaniu komisji finansowej Alan miał zamiar poprosić przynajmniej o nowy aparat, ale w tej chwili zebranie komisji finansowej wydawało mu się sprawą zupełnie nieistotną.

Norris wrócił z aparatem, wycelował i zrobił zdjęcie. Zabrzęczał silniczek przewijający film.

— Zrób jeszcze jedno, na wszelki wypadek — polecił Alan. — I sfotografuj pozycję ciała. Nie pozwolę, żeby ci goście zarzucili nam przerwanie łańcucha dowodów. Niech mnie diabli, nie pozwolę. — Zdawał sobie sprawę, że mówi nieco piskliwie, ale nie potrafił już na to nic poradzić.

Norris zrobił kolejne zdjęcie, dokumentujące pozycję szeryfa — poza kręgiem dowodów — i pozycję opartych o znak stopu ciała. Następnie Alan wyciągnął rękę i dotknął palcem okrwawionej szyi leżącej na wierzchu kobiety. Oczywiście nie wyczuł pulsu, ale pod naciskiem palca jej głowa się odchyliła. Rozpoznał Nettie i przede wszystkim pomyślał o Poily.

Sprawdził puls Wilmy, choć w jej głowie tkwił tasak do mięsa. Policzki i czoło pokryte miała kropelkami krwi wyglądającymi jak pogański tatuaż.

Podniósł się, przeszedł pod taśmą i stanął obok zbitych w kupkę zastępców. Ciągłe myślał o Poily, choć wiedział, że nie powinien. Musi dać sobie z nią spokój albo, jak Bóg na niebie, spieprzyć sprawę. Zastanowił się także, czy gapie nie zidentyfikowali Nettie już wcześniej. Jeśli tak, Poily dowie się o wszystkim, nim on zdąży do niej zadzwonić. Rozpaczliwie czepiał się nadziei, że nie przyjedzie sprawdzić, ile jest prawdy w plotkach, które do niej dotarły.

Nie wolno ci się o to martwić — surowo napomniął sam siebie. Z tego, co widać, masz w rękach podwójne morderstwo.

- Wyciągaj notes — polecił Norrisowi. — Właśnie zostałeś klubową sekretarką.

- Jezu, Alan, przecież wiesz, jak kiepsko u mnie z ortografią.
- Po prostu pisz.

Norris oddał polaroid Glutowi i wyciągnął notes z tylnej kieszeni spodni. Na chodnik upadł bloczek mandatowy ostemplowany jego nazwiskiem. Pochylił się, podniósł go i machinalnie schował do kieszeni.

— Masz zanotować, że głowa leżącej na górze kobiety, nazywanej ofiarą numer jeden, spoczywała na słupku znaku stopu.

Spadła z niego, kiedy niechcący popchnąłem ją podczas sprawdzania pulsu.

Jak łatwo jest używać policmowy — pomyślał — w której samochody stają się „pojazdami”, oszuści „specjalistami od wyłudzeń”, a martwi mieszkańcy miasta „ofiarami”. Policmowa — szklana bariera między człowiekiem a rzeczywistością.

Kazał Glutowi zrobić zdjęcie obecnego położenia ciał bezgranicznie wdzięczny losowi, że na jego polecenie Norris sfotografował pozycję pierwotną, jeszcze nim dotknął „ofiary numer jeden”.

Ciut zrobił zdjęcie.

Alan znów zwrócił się do Norrisa.

— Zanotuj jeszcze, że gdy głowa ofiary numer jeden zmieniła położenie, mogłem zidentyfikować ją jako Nettie Cobb.

Seaton aż gwizdnął.

- Masz na myśli Nettie?
- Tak. Mam na myśli Nettie.

Norris zapisał w notatniku, co kazano mu zapisać, po czym spytał:

- I co robimy teraz, Alan?
- Czekamy na ekipę dochodzeniową, a kiedy przyjedzie,

będziemy próbowali udawać, że się trzymamy.

Ekipa pojawiła się w trzy minuty później w dwóch samochodach, a za nią przyjechał także Ray Van Allen w swym stareńkim subaru. W kilka minut po nich niebieskim kombi przyjechali jeszcze ludzie z Wydziału Śledczego Policji Stanowej, wysiedli i wszyscy natychmiast zapalili cygara, czego Alan oczywiście się spodziewał. Choć morderstwo popełnione zostało na dworze, a ciała były jeszcze świeże, rytuałowi cygar musiało stać się zadość.

Rozpoczęła się nieprzyjemna robota, w języku policyjnym znana jako „zabezpieczanie miejsca przestępstwa”, i ciągnęła się aż do wieczora. Alan już wcześniej pracował z Henrym Paytonem, szefem dochodzeniówki z Oxfordu, a tym samym człowiekiem formalnie odpowiedzialnym za sprawę i za pracujące nad nią ekipy. Nigdy jeszcze nie dostrzegł u niego śladu wyobraźni. Henry był marudą, ale dokładnym, pedantycznym marudą. Wiedząc, że Henry zajął się sprawą, Alan wymknął się na chwilę z czystym sumieniem i zadzwonił do Poiły.

Kiedy wrócił, dłonie ofiar zawijano właśnie w wielkie plastikowe torby. Wilma Jerzyck straciła but; jej stopę w samej



pończosze potraktowano w ten sam sposób. Chłopcy z Wydziału Zabójstw zrobili około trzystu zdjęć. Pojawili się kolejni funkcjonariusze policji stanowej. Niektórzy z nich powstrzymywali ludzi, którzy tymczasem znów powychodzili z domów, inni zaganiali ekipy telewizyjne do Ratusza. Grafik policyjny wykonał szybki szkic — rzut miejsca zbrodni.

W końcu zabrano ciała... przedtem jednak trzeba było zrobić jeszcze jedno. Payton dał Alanowi parę jednorazowych rękawiczek chirurgicznych i zapytał:

- Tasak czy nóż?
- Tasak — odparł Alan. Tasak był obrzydliwszym z dwóch narzędzi zbrodni, trudniejszym do usunięcia — tkwił w końcu w mózgu Wilmy — ale nie chciał dotykać Nettie. Lubił ją.

Kiedy narzędzia zbrodni wyjęto ze zwłok, zostały opisane, zapakowane i wyprawione do Augusty, a obie ekipy dochodzeniowe ruszyły na przeszukanie terenu wokół ciał, nadal leżących w uścisku wśród krwi, która *zaczęła* już tężeć w substancję przypominającą emalię. Ray Van Allen mógł wreszcie zabrać je do karetki. Odbyło się to w świetle reflektorów policyjnych radiowozów, sanitariusze zaś musieli wręcz rozdzierać zwłoki.

A przez cały ten czas policjanci z Castle Rock stali znudzeni na boku i czuli się jak idioci.

Dziwny, lecz wdzięczny balet, znany pod nazwą „badania miejsca zbrodni”, kończył się już, gdy do stojącego z boku Alana podszedł Henry Payton.

- Cholerny sposób na spędzenie niedzieli — stwierdził.

Alan skinął głową.

- Przykro mi, że jej głowa się poruszyła. Pech.

Alan skinął głową po raz drugi.

- Nie sądzę jednak, żeby ktoś miał się za to do ciebie przy czepić. Masz co najmniej jedno dobre zdjęcie oryginalnej pozycji. — Payton spojrział na Norrisa, rozmawiającego z Glutem i Johnem LaPointe, który dopiero co przyjechał. — Szczęściem nasz przyjaciel nie zasłonił obiektywu palcem.

- Daj spokój, Norris jest w porządku.

- Jak nóżki w galarecie... we właściwym czasie i miejscu.

W każdym razie sprawa wydaje się całkiem prosta.

Alan zgodził się z nim. Na tym polegał problem. Sprawa wydawała mu się prosta na długo przedtem, nim wraz z Norrisem skończyli wypełnianie niedzielnych obowiązków w alejce za szpitalem Kennebec Valley. Prosta. Może nawet zbyt prosta?

- Masz zamiar przyglądać się krojeniu? — spytał go Henry.
- Aha. Czy to Ryan zrobi sekcję?
- Tak mi się zdaje.
- Pomyślałem, że mógłbym zabrać ze sobą Norrisa. Ciąła pojedą najpierw do Oxfordu, prawda?
- Tak. Tam wpiszemy je do rejestru.
- Jeśli wyjedziemy z Norrisem od razu, będziemy w Auguście przed nimi?

Henry skinął głową.

- Czemu nie miałbyś pojechać? Tu wszystko mamy już chyba zapięte na ostatni guzik.
- Chciałbym posłać po jednym z moich ludzi z dwoma twoimi zespołami. Jako obserwatorów. Czy to dla ciebie problem?

Payton przemyślał sobie jego prośbę.

—Nie — powiedział w końcu — ale kto będzie pilnował spokoju? Stary Seat Thomas?

Alan poczuł przyływ czegoś zbyt gwałtownego, by nazwać to tylko rozdrażnieniem i zlekceważyć. Miał za sobą długi dzień i dłużej nie miał ochoty wysłuchiwać uwag na temat swoich zastępców... a jednak nie mógł pozwolić sobie na rozłoszczenie Henry'ego, bo chciał wlepić mu swych ludzi, choć technicznie nie była to jego sprawa. Więc trzymał język na wodzy.

- Daj spokój, Henry. Przecież to niedzielny wieczór. Nawet „Potulny Tygrys” jest zamknięty.
  - Dlaczego taić się tym przejmujesz, Alan? Coś ci śmierdzi?
- Jak rozumiem, panie za sobą nie przepadały, a ta na górze ma już na koncie jednego trupa. Ni mniej, ni więcej tylko męża.

Alan zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Nic mi nie śmierdzi. A przynajmniej na razie nic nie czuję. Chodzi o to, że...

- Że nie całkiem ułożyłeś to sobie w głowie?

- Mniej więcej.

- Zgoda. Tylko uświadom swoim chłopcom, że mają słuchać i nic więcej.

Alan uśmiechnął się lekko. Mógł oczywiście powiedzieć Pay-tonowi, że gdyby kazał im zadawać pytania, Ciut i John LaPointe prawdopodobnie uciekliby natychmiast co sił w nogach, ale nie powiedział.

— Będą trzymali gęby na kłódkę — obiecał tylko. — Możesz na to liczyć.

Tak to znaleźli się tu, gdzie się znaleźli, on i Norris Ridgewick. Mieli za sobą najdłuższą niedzielę w życiu, lecz niedziela ta miała jedną cechę wspólną z Wilmą i Nettie — już się skończyła.

- Myślałeś może, żeby zatrzymać się na noc w jakimś hotelu? — spytał z wahaniem Norris. Nie trzeba być jasnowidzem, by wiedzieć, o czym myślał — o wyprawie na ryby, którą za planował na jutro.

- Do diabła, nie. — Alan pochylił się i wyjął fartuch, którym zablokował drzwi. — Ruszamy w drogę.

- Świetnie! — Norris uśmiechnął się nagle, po raz pierwszy od chwili, gdy Alan spotkał go na miejscu zbrodni. Jak szczęśliwe dziecko.

W pięć minut później jechali już drogą w stronę Castle Rock. Światła radiowozu wierciły dwie jasne dziury w wietrznej ciemności głębokiej nocy. Kiedy przyjechali, poniedziałek miał już całe trzy godziny.

Zatrzymali się przed Ratuszem. Wysiedli z radiowozu. Kombi Alana i poobijany volkswagen „garbus” stały obok siebie w przeciwnym rogu parkingu.

- Jedziesz wprost do domu? — spytał Norrisa Alan.

Norris uśmiechnął się zawstydzony i spuścił oczy.

- Jak tylko przebiorę się w cywilne ciuchy.

• Norris, jak często zabraniałem ci traktowania toalety jako przebieralni?

• Daj spokój, Alan, przecież nie przebieram się w niej co dziennie!

Obaj wiedzieli jednak, że Norris przebiera się w toalecie codziennie.

Alan tylko westchnął.

— Nic nie szkodzi — powiedział. — Ty też miałeś cholernie długi dzień. Przepraszam.

Norris wzruszył ramionami.

— Mamy do czynienia z morderstwem. Morderstwo nie *zdana* się tu za często, a kiedy już się *zdarzy*, to chyba wszyscy powinniśmy trzymać się razem.

- Powiedz Sheili albo Sandy, żeby wypisały ci nadgodziny.

Jeśli któraś z nich jest jeszcze w biurze.

• Mam dać Granatowi kolejny powód, żeby się na mnie wściekł? — Norris roześmiał się gorzko. — Chyba sobie odpuszczę. Ja stawiam, Alan.

• A co, dalej nie daje ci spokoju? — W ciągu kilku ostatnich dni Alan zupełnie zapomniał o słodkim przewodniczącym Rady Miejskiej.

• No nie, na razie mam spokój, ale kiedy mijamy się na ulicy, patrzy na mnie spode łba. Gdyby wzrok zabijał, już byłbym martwy jak Nettie i Wilma.

- Sam wypiszę ci nadgodziny. Jutro, z samego rana.

• Jeśli na formularzu będzie twoje nazwisko, to w porządku. — Norris ruszył w stronę drzwi z napisem: „Tylko dla pra

owników". — Dobranoc, Alan.

— Powodzenia na rybach!

Norris natychmiast się rozpromienił.

— Dzięki! Powinieneś zobaczyć wędkę, którą kupiłem w tym nowym sklepie. Prawdziwa ślicznotka.

Alan uśmiechnął się szeroko.

- Wierzę ci na słowo. Ciągle mam zamiar odwiedzić tego faceta. Najwyraźniej ma coś dla każdego, więc niby czemu nie dla mnie?

- Właśnie. Rzeczywiście, trzyma najdziwniejsze rzeczy. Ale się zdziwisz!

- Dobranoc, Norris. Jeszcze raz dziękuję.

— Nie ma za co. — Wyraźnie jednak był zadowolony.

Alan wsiadł do samochodu, wyjechał z parkingu i skręcił w główną ulicę. Rozglądał się naokoło, nawet nie zdając sobie z tego sprawy... nieświadomie, ale cały czas zbierał informacje. Jedną z nich był fakt, że w mieszkaniu nad „Sklepikiem z marzeniami” paliło się światło. Cholernie późno jak na ludzi z małego miasteczka. Może ten Gaunt cierpi na bezsenność? To przypomniało mu, że jeszcze do niego nie zajrzał — ale ta wizyta musi chyba zaczekać, póki nie zakończy się smutna sprawa Wilmy i Nettie.

Na rogu Laurel i Canyon wrzucił lewy migacz... po czym zatrzymał się pośrodku skrzyżowania i zamiast w lewo skręcił w prawo. Do diabła z powrotem do domu. Dom był zimny i pusty, zwłaszcza teraz, kiedy syn wraz z przyjacielem pojechali na Cape Cod. Za wiele było w tym domu zamkniętych drzwi i czających

się za nimi wspomnień. Po drugiej stronie miasta mieszkała żywa kobieta, która — być może — bardzo teraz kogoś potrzebuje.

W pięć minut później wyłączył silnik i światła i cicho wjechał na podjazd domu Poily. Drzwi będą zamknięte, ale wiedział, pod który róg prowadzących na ganek schodów zajrzeć.

— Co ty tu jeszcze robisz, Sandy? — spytał Norris, wchodząc do biura i rozluźniając krawat.

Sandra McMillan, płowa blondynka pracująca na pół etatu jako telefonistka w Biurze Szeryfa od prawie dwudziestu lat, właśnie wkładała płaszcz. Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

— Sheila miała bilety na występ Billa Cosby'ego w Portland. Powiedziała, że zostanie, ale zmusiłam ją, żeby poszła. No, bo przecież jak często Bili Cosby przyjeżdża do Maine?

Jak często kobiety kroją się na kawałki z powodu psa, który pewnie pochodził ze schroniska? — pomyślał Norris... ale zachował to dla siebie.

- Pewnie nieczęsto — powiedział tylko.
- Nigdy! — Sandy westchnęła ciężko. — Zdradzę ci pewną tajemnicę. Teraz, kiedy wszystko już się skończyło, żałuję prawie, że nie pozwoliłam Sheili zostać. To była szalona noc. Stacje telewizyjne z całego stanu wydzwaniały po kilkanaście razy. Do jedenastej biuro wyglądało jak sklep, który ogłosił gwiazdkową wyprzedaż.

- Wracaj do domu. Masz moje pozwolenie. Włączyłaś Dziwkę?

Dziwką nazywano w biurze maszynę, która przełączała rozmowy na dom Alana w przypadku, gdy nikt nie podnosił słuchawki na centralce. Jeśli i u Alana po czterech sygnałach nie było odpowiedzi, Dziwka włączała się i informowała dzwoniącego, by zatelefonował na policję w Oxfordzie. Stareńki system z pewnością nie zdałby egzaminu w wielkim mieście, ale w hrabstwie Castle, mającym najmniejszą liczbę ludności ze wszystkich szesnastu hrabstw w Maine, spisywał się całkiem dobrze.

- Włączyłam.
- Świetnie. Mam wrażenie, że Alan nie pojechał wprost do domu.

Brwi Sandy uniosły się tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że wie wszystko.

- Dzwonił może porucznik Payton?
- Nie. — Sandy zawahała się. — Czy to rzeczywiście było

takie straszne, Norris? — spytała. — Te dwie kobiety?

. — Było straszne, było. — Cywilne ubranie Norrisa wisiało schludnie na wieszaku, zaczepionym na klamce szafki na akta. Zdjął je i poszedł do męskiej toalety. Od trzech lat przebierał się w pracy, choć rzadko o tak dziwnych porach. — Możesz iść do domu, Sandy — powtórzył. — Zamknę, jak będę wychodził.

Wszedł do toalety. Wieszak zaczepił na drzwiach jednej z kabinek. Rozpinał właśnie koszulę munduru, kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi.

- Norris? — zawołała Sandy.
- Myślałem, że już poszłaś.
  
- Prawie zapomniałam — ktoś zostawił, ci prezent na biurku.

Norris znieruchomiał w trakcie rozpinania spodni.

- Prezent? Kto?

• Nie wiem. Przecież mieliśmy tu prawdziwy dom wariatów. Ale jest przy pudełku jakaś karteczka. I wstążka z kokardą. To pewnie ta twoja tajemnicza miłość.

• Moja miłość jest tak tajemnicza, że nawet ja o niej nie wiem — stwierdził z żalem Norris. Zdjął spodnie, powiesił je na drzwiach i włożył dzinsy.

Stojąca za drzwiami męskiej toalety Sandy uśmiechnęła się z odrobiną złośliwości.

• Pan Keeton też tu dziś był. Może to prezent od niego? Na przeprosiny?

- To by dopiero było! — roześmiał się Norris.
- Tylko nie zapomnij i zdradź mi jutro swą wielką tajemnicę.

Umieram z ciekawości. Ktoś to bardzo ładnie zapakował. Dobranoc, Norris.

- Dobranoc — odparł. Kto mógłby dać mi prezent? — pomyś

łał, zapinając rozporek.

Po wyjściu na dwór Sandy wysoko podniosła kołnierz płaszcza —• chłodna noc przypomniła jej o nadchodzącej zimie. Wśród osób, z którymi dziś rozmawiała, była też żona prawnika, Cyndi Rosę Martin. Nawet nie pomyślała, żeby wspomnieć o tym Nor-risowi; nie przepadał za wydumany kręgiem współpracowników i przyjaciół Martinów. Cyndi Rosę twierdziła, że szuka męża, co miało pewien sens (choć po wszystkich wariactwach wieczoru Sandy wierzyłyby jej nawet, gdyby oświadczyła, że szuka Michaiła Barysznikowa), gdyż Albert Martin przyjął kilka zleceń od władz miasta.

Sandy odpowiedziała, że nie, nie widziała pana Martina i że na górze jest pan Keeton, który być może wie coś więcej. Cyndi Rosę napomknęła, że już dawno chciała z nim porozmawiać. W tej samej chwili centrala znów zapłonęła światłami niczym świąteczne drzewko i Sandy nawet nie zauważyła, jak Cindy Rosę wyjęła ze swej przepastnej torebki prostokątną paczkę owiniętą barwną folią i przewiązaną niebieską aksamitką. Paczka trafiła na biurko Norrisa Ridgewicka. Ładna twarz Cyndi Rosę jaśniała uśmiechem, lecz ów uśmiech wcale nie był ładny. Prawdę mówiąc, był raczej okrutny.

Norris usłyszał, jak zamykają się drzwi biura, a potem, z parkingu, dobiegł go stłumiony warkot silnika samochodu Sandy. Wepchnął koszulę w spodnie, włożył pantofle, schludnie powiesił mundur na wieszaku, po czym powąchał koszulę pod pachami i zdecydował, że nie musi jeszcze iść do prania. I bardzo dobrze. Oszczędzony grosz to grosz zarobiony.

Wyszedł z toalety i powiesił wieszak na tej samej szafce na akta, szafce, którą po prostu musiał zobaczyć, wychodząc. I to dobrze, bo Alan cholernie się wkurzał, kiedy zdarzyło mu się zostawić mundur w biurze. Twierdził, że biuro to nie pralnia.

Podszedł do biurka. Rzeczywiście, ktoś zostawił mu prezent: pudełko zapakowane w jasnoniebieski papier cienki jak bibułka, przewiązane niebieską wstążką z wielką kokardą na górze. Do wstążki przymocowana była kwadratowa biała koperta. Bardzo zaciekawiony, odczepił kopertę i rozerwał ją. W środku znalazł kartkę, na której drukowanymi literami wypisany był bardzo zagadkowy tekst składający się z jednego słowa:



!!!! PRZYPOMINAMY!!!!

Zmarszczył brwi. Tylko dwie osoby bez przerwy mu o czymś przypominały — Alan i matka, a jego matka nie żyła od pięciu

lat. Rozerwał wstążkę, zdjął ostrożnie kokardę i rozwinął papier, w który zawinięte było zwykle białe kartonowe pudełko o długości mniej więcej trzydziestu centymetrów i dziesięciu szerokości. Dokładnie zaklejono je taśmą.

Norris zerwał taśmę i otworzył pudełko. Schowany w środku prezent kryła warstwa bibułki wystarczająco cienka, by widać było, że ukryty pod nią przedmiot jest płaski z biegnącymi po przekątnej wypukłymi liniami, a na tyle gruba, by nie widać było, co to jest.

Sięgnął do środka, pragnąc usunąć bibułkę. Palcem wskazującym mocno uderzył w coś — wypukły kawałek metalu. Ciężka stalowa szczęka zamknęła się z trzaskiem na bibułce — i na trzech palcach jego prawej ręki.

Norris poczuł przenikliwy ból paraliżujący mu całe ramię. Wrzasnął i zatoczył się do tyłu, chwytając prawy przegub lewą dłonią. Pudełko spadło na podłogę, bibułka zaszeleściła.

Cholera, ale boli! Złapał zgnieciony, wiszący pas bibułki i oddał go. Pod spodem znajdowała się stara, wiktoriańska pułapka na szczury. Ktoś ją naciągnął, wsadził do pudełka, a potem opakował w elegancki błękitny papier; a teraz wisiała mu na palcach prawej ręki. Zamykając się, zdarła mu paznokiec ze wskazującego palca, pozostał po nim tylko półksiężyc krwawiącego ciała.

— O, kurwa! — wrzasnął. Z bólu i szoku walnął pułapką o biurko Johna LaPointe, zamiast ją po prostu otworzyć. Udało mu się wyłącznie walnąć palcami w róg metalowego blatu; kolejna fala bólu powędrowała w górę ramienia.

W końcu zdołał otworzyć pułapkę. Rzucił ją na podłogę. Stalowa szczęka opadła, uderzając w drewnianą podstawkę.

Przez moment stał tylko, drżąc cały, a potem pobiegł do toalety, lewą ręką odkręcił kran z zimną wodą i podstawił pod nią zranioną dłoń. Pulsowała jak ułamany ząb mądrości. Stał tak z wyszczerzonymi w grymasie bólu zębami i patrzył, jak krew spływa do umywalki, znikając w odpływie. Powtarzał sobie w myśli słowa Sandy: „Wpadł pan Keeton... może to na przeprosiny?”.

I ta kartka: PRZYPOMINAMY.

Och, oczywiście, że to pomysł Granata. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Ty sukinsynu! — jęknął.

Od zimnej wody palce zaczęły mu drętwieć, nie bolały już, tylko nieprzyjemnie pulsowały, wiedział jednak, że nim dojedzie do domu, rozbolą go znowu. Aspiryna może mu trochę pomóc, ale miał wrażenie, że ze snem powinien się na tę noc pożegnać. I z wyprawą na ryby też, skoro już przy tym jesteśmy.

*Pójdę na ryby — pójdę na ryby, nawet gdyby ta pieprzona dłoń miała mi w ogóle odpaść! Planowałem to sobie od dawna i Żaden Danforth Kurwa Granat Keeton mnie nie powstrzyma.*

Zakręcił wodę i papierowym ręcznikiem, bardzo delikatnie, osuszył sobie rękę. Żaden z palców, na których zatrzasnęła się pułapka, nie był na szczęście złamany — tak mu się przynajmniej wydawało— ale już zaczęły puchnąć, mimo zimnej wody. Szczęki zostawiły na nich czerwono-fioletowy ślad, biegnący tuż pod kostkami. Z miejsca po zerwanym paznokciu palca wskazującego sączyły się kropelki krwi, pulsowanie powoli znów zmieniało się w ból.

Norris wrócił do pustego biura. Spojrzał na zamkniętą pułapkę, leżącą obok biurka Johna LaPointe. Podniósł ją, przeszedł do swojego biurka i schował do pudełka, które upchnął w szufladzie. Wziął trzy aspiryny. Bibułkę, papier, w który opakowane było pudełko, wstążkę i kokardę wyrzucił do śmieci, przykrywając je zgniecionym, zapisanym papierem maszynowym.

Nie miał zamiaru powiedzieć o wstrętym żarcie Granata ani Alanowi, ani w ogóle nikomu. Nie śmialiby się z niego, ale doskonale wiedział, co by sobie pomyśleli. „Tylko Norris Rid-gewick mógł dać się tak nabrać. Tylko Norris Ridgewick mógł wsadzić rękę w pułapkę na myszy. Aż trudno w to uwierzyć, prawda?”.

„To z pewnością twoja tajemnicza miłość... Pan Keeton wpadł tu wieczorem... może to prezent na przeprosiny?”.

— Sam to załatwię — stwierdził niskim, ponurym głosem.

Zranioną dłoń przyciskał do piersi. — Sam wybiorę sposób. I czas.

Nagle do głowy wpadła mu nowa, przerażająca myśl — a co, jeśli Granat nie zadowolili się tylko pułapką, która przecież wcale nie musiała zadziałać? Co, jeśli pojechał do niego do domu? Miał w domu wędkę, nawet jej nie zamknął, stała sobie w kącie szopy obok koszyka na ryby.

Co, jeśli Granat o niej wiedział i postanowił ją zniszczyć?

— Jeśli to zrobisz, połamię ci gnaty! — warknął niskim, groźnym głosem, którego nie rozpoznałby ani Henry Payton, ani żaden z jego kolegów. Wybiegł z biura, zapominając je zamknąć.

Zapomniał nawet o bólu dłoni. Liczyło się teraz tylko, by jak najszybciej wrócić do domu. Wrócić do domu i upewnić się, że bazun jest na miejscu.

Leżący pod kocem kształt nie poruszył się i Alan myślał najpierw, że Poiły zasnęła, zapewne pod wpływem percodanu. Rozebrał się cicho i położył obok niej. Kiedy kładł głowę na poduszkę, dostrzegł jej otwarte, wpatrzone w niego oczy. Zaskoczyło go to tak, że aż drgnął.

- Co za nieznajomy znalazł się w mym dziewiczym łóżku? — spytała cicho Poiły.

- To tylko ja — odparł, uśmiechając się lekko. — Wybacz, że cię obudziłem, dziewico.

- Nie spałam — powiedziała i zarzuciła mu ręce na szyję.

Objął ją w pasie i przytulił. Jej ciepło zaczęło rozgrzewać i jego — była jak senny piecyk. Przez chwilę czuł pod głową coś twardego; zauważył, że ma coś na szyi, pod bawełnianą piżamą, to coś jednak, zawieszona na cienkim srebrnym łańcuszku, natychmiast ześlizgnęło się między jej lewą pierś i ramię i zniknęło.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

Przytuliła mu głowę do policzka. Czuł jej ręce, splecione na karku.

— Nie. — Poiły wypowiedziała to słowo drżącym głosem i rozplakała się.

Tulił ją, płaczącą, do piersi, gładził po głowie.

- Dlaczego nie powiedziała mi, co ta kobieta wyprawia? — spytała Poiły, odsuwając się od niego odrobinę. Oczy *przyzwy* *czaiły* się już do ciemności, widział jej twarz: ciemne oczy, ciemne włosy, białą skórę.

- Nie wiem.

- Gdyby mi powiedziała, załatwiłabym wszystko sama. Po szłabym spotkać się z Wilmą Jerzyck i... i...

Nie był to właściwy czas, by powiedzieć jej, że Nettie grała w tę grę niemal z równym Wilmie temperamentem i złośliwością. Nie był to też właściwy czas, by powiedzieć jej, że nadchodzi chwila, w której kobietom takim jak Nettie — i prawdopodobnie takim jak Wilma — nie można już

pomóc i niczego nie da się już naprawić.

— Jest wpół do czwartej rano — powiedział za to. — To kiepski czas na zastanawianie się, co by było gdyby. — Zawahał się chwilę, a potem mówił dalej. — Z tego, co powiedział mi John LaPointe, wynika, że dziś rano, to znaczy wczoraj rano, Nettie wspomniała ci o Wilmie. Co to było?

Poły przez moment milczała.

- Nooo, nie wiedziałam, że mówi o Wilmie, przynajmniej wtedy. Przyniosła mi lasagne. Ręce... ręce bardzo mnie bolały. Od razu się zorientowała. Nettie jest... była... mogła być... nie wiem... niezbyt bystra w niektórych sprawach, ale mnie niczego nigdy nie udało się przed nią ukryć.

- Bardzo cię kochała — powiedział poważnie i Poły znowu zaczęła płakać. Wiedział, że to nastąpi, i wiedział również, że są łzy, które po prostu muszą zostać wylane. Póki nie spłyną, bolą i palą.

Po jakimś czasie Poły mogła już mówić dalej. Mówiąc, gładziła go po karku.

- Wyjęła te głupie rękawice termiczne, tylko tym razem chyba mi pomogły — w każdym razie poczułam się odrobinę lepiej — a potem zrobiła kawę. Spytałam, czy nie musi wracać do domu, a ona odparła, że nie, nie musi. Powiedziała, że domu pilnuje Śmiałek, a potem dodała jeszcze coś w tym rodzaju: „Myślę, że zostawi mnie w spokoju. Nie widziałam jej, nie dzwoniła, więc chyba wreszcie dotarło do niej, że się nie załamie”. Nie tymi słowami, rozumiesz, ale sens był dokładnie taki.

- O której godzinie przyszła?
- Jakieś piętnaście po dziesiątej. Może trochę wcześniej albo niewiele później. Dlaczego pytasz? Czy to ma jakieś znaczenie?

Wchodząc do łóżka, był pewien, że zaśnie w chwili, gdy położy głowę na poduszce. Teraz jednak był całkowicie rozbudzony. Myślał intensywnie.

- Nie — powiedział w końcu. — Nie sądzę, by to coś oznaczało, poza jednym: Nettie musiała mieć na myśli Wilmę.

- Nie potrafię w to uwierzyć! Miałam wrażenie, że tak się jej polepszyło. I naprawdę się polepszyło. Mówiłam ci, że miała odwagę pójść w czwartek do „Sklepiku z marzeniami”, i to sama?

- Mówiłaś.

Poiły wypuściła go z objęć i przewróciła się na wznak. Alan usłyszał metaliczny brzęk towarzyszący temu ruchowi i wcale nie zwrócił na niego uwagi. Cały czas zastanawiał się nad tym, co powiedziała przed chwilą. Obracał jej słowa w myślach, jak jubiler oglądający podejrzany klejnot.

— Muszę przygotować pogrzeb — powiedziała Poiły. — Nettie ma jakąś rodzinę w Yarmouth, ale ci ludzie nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, kiedy żyła, więc nic ich nie obejdzie, że umarła. Będę musiała zadzwonić do nich rano. Czy pozwolą mi wejść do domu Nettie? Muszę zajrzeć do jej notesu z telefonami.

- Przyniosę ci go. Nie wolno nam niczego zabierać, przynajmniej dopóki doktor Ryan nie poda wyników autopsji, ale nic się chyba nie stanie, jeśli przepiszesz z niego kilka numerów.

- Dziękuję.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

- Poiły, a o której Nettie wyszła od ciebie?

- Chyba za piętnaście jedenasta, ale równie dobrze mogła być nawet jedenasta. Dlaczego pytasz?

- Nie, nic. — Przez chwilę wydawało mu się, że gdyby Nettie nie wyszła od Poiły wystarczająco wcześnie, mogłaby nie mieć czasu na powrót do domu, znalezienie martwego psiaka, zebranie kamieni, napisanie liścików, pójście do Wilmy i wybicie jej okien. Ale skoro było za piętnaście jedenasta, to miała do dyspozycji ponad dwie godziny. Tyle wystarczyło jej najzupełniej.

*Hej, Alan* — odezwał się ów fałszywie radosny głos, który do tej pory ograniczał swe wypowiedzi do tematu Annie i Todda. — *Co się stało, że tak się tym katujesz, stary przyjacielu?*

Tego już nie wiedział. Były i inne *rzeczy*, których nie wiedział, na przykład jak Nettie dotarła pod

dom Wilmy obciążona taką ilością kamieni. Nie miała ani prawa jazdy, ani zielonego pojęcia, jak prowadzić samochód.

*Daj sobie spokój z tym gównem — powiedział głos. — Usiadła i napisała liściki u siebie w domu, prawdopodobnie w przedpokoju, obok trupa psa. Gumki miała w kuchni. Nie musiała nieść kamieni, nie brakowało ich przecież w ogrodzie Wilmy, prawda ?*

Prawda. Ale nie potrafił wyjaśnić wrażenia, że kamienie przyniesione zostały pod dom Wilmy już z przymocowanymi liścikami. Nie miał żadnego konkretnego powodu, by tak sądzić — ale zwyczajnie nie mogło być inaczej. Czegoś takiego człowiek po prostu spodziewa się po kimś, kto myśli jak dziecko.

Po kimś takim jak Nettie Cobb.

*Daj sobie z tym spokój. Spij.*

Nie potrafił dać sobie z tym spokoju. Ani spać.

Poiły delikatnie położyła mu palce na policzku.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Dla ciebie ten dzień też musiał być straszny.
- Miałem już lepsze. No, ale wreszcie się skończył. Powinnaś zapomnieć o wszystkim. Prześpij się. Jutro będziesz miała mnóstwo spraw do załatwienia. Mam przynieść ci lekarstwo?
- Nie. Z rękami jest trochę lepiej. Nareszcie. Alan... — zamilkła i tylko poruszyła się niespokojnie pod kocem.
- Tak?
- Nie, nic. Nic ważnego. Teraz, kiedy przyjechałeś, chyba uda mi się zasnąć. Dobranoc.
- Dobranoc, kochanie.

Poiły odsunęła się od niego, przykryła i znieruchomiła, on zaś przez chwilę zastanawiał się nad tym, jak go objęła, jak jej dłonie zacisnęły mu się na szyi. Jeśli zdołała aż tak zacisnąć palce, to z rękami musiało być o wiele lepiej. Dobrze, doskonale; była to najlepsza rzecz, jaka zdarzyła mu się od chwili, gdy Ciut zadzwonił podczas meczu. Oby tylko nic nie zmieniło się na gorsze...

Poiły miała lekko skrzywioną przegrodę nosową. Zaczęła cicho pochrapywać — Alan uważał, że to całkiem miły dźwięk. Miło było dzielić łóżko z kimś prawdziwym, z kimś, kto wydawał prawdziwe dźwięki... a czasami nawet ściągał na siebie całą kołdrę.

Uśmiechnął się w ciemności.

Potem zaczął znów myśleć o morderstwie i przestał się uśmiechać.

„Myślę, że zostawi mnie w spokoju. Nie widziałam jej i nie dzwoniła, więc chyba zrozumiała, że się nie załamie”.

„Nie widziałam jej i nie dzwoniła”.

„Zrozumiała, że się nie załamie”.

Sprawy takiej jak ta w ogóle nie trzeba było rozwiązywać. Użyto kuchennych utensyliów, a nie pistoletów o świcie, rezultat jednak był identyczny: dwa ciała w kostnicy szpitala okręgowego z naciętymi na nich przy sekcji „Y”. Pozostawała tylko jedna kwestia: dlaczego do tego doszło? Miał kilka pytań, kilka drobnych wątpliwości, ale wierzył, że rozstrzygną się one, nim Nettie i Wilma trafią do ziemi.

Teraz już wątpliwości zrobiły się nieco istotniejsze, a niektóre z nich

*(chyba zrozumiała, że nie dam się nastraszyć)*

można było nawet nazwać.

Dla Alana przypadek przestępstwa był jak ogród ukryty za wysokim murem. Musiał dostać się do środka, więc szukał wejścia. Czasami było ich wiele, lecz doświadczenie podpowiadało mu, że zawsze jest przynajmniej jedno. Oczywiście, zawsze jest przynajmniej jedno. Gdyby nie było, jak dostałby się do środka ogrodnik, jak wysiałby rośliny? Wejście mogło być wielkie, wskazane strzałką i pulsującym neonem z napisem: „Prosimy tędy”, albo małe i tak zarośnięte powojem, że trzeba go było mozolnie szukać, ale zawsze istniało i jeśli szukało się dość długo, jeśli nie bało się odcisków na dłoniach od wrywania zarastających je roślin, w końcu zawsze się je znajdowało.

Czasami wejściem był okruch dowodu znaleziony na miejscu zbrodni. Czasami świadek. Czasami przypuszczenie oparte na zdarzeniach i logicznych wnioskach. Przesłanka, na której opierał się w tej sprawie, mówiła: po pierwsze, Wilma postępowała zgodnie z utartym wzorcem działania prześladowcy, po drugie — tym razem ćwiczyła swe gierki na nieodpowiedniej osobie, po trzecie — Nettie straciła kontrolę nad sobą tak samo jak wtedy, kiedy zabiła męża.

Ale...

„Nie widziałam jej i nie dzwoniła”.

Jeśli Nettie rzeczywiście wypowiedziała te słowa, to co to zmienia? Ile założeń pada pod ciężarem tych słów?

Nie wiedział.

Patrzył w ciemność sypialni Poiły i zastanawiał się, czy rzeczywiście wie już, gdzie znajduje się wejście do ogrodu.

Może Poiły niedokładnie słyszała to, co powiedziała Nettie?

Teoretycznie było to oczywiście możliwe, ale nie potrafił w to uwierzyć. Postępowanie Nettie, przynajmniej do pewnego momentu, usprawiedliwiała to, co powiedziała Poiły. Nettie nie przyszła do pracy w piątek — rzekomo dlatego, że zachorowała. Może i tak, a może dlatego, że bała się Wilmy. To miało sens — od Pete'a Jerzycka dowiedzieli się, że kiedy jego żona odkryła obrzucone błotem świeżo wyprane prześcieradła, co najmniej raz zadzwoniła do Nettie z pogrózkami. Następnego dnia mogła dzwonić również; Pete nic o tym nie wiedział.

A jednak w niedzielę rano Nettie pojawiła się u Poiły z lasagne. Czy postąpiłaby w ten sposób, gdyby Wilma nadal ją straszyla?

Jego zdaniem, nie.

Była jeszcze sprawa kamieni, którymi powybiiała okna w domu Jerzyków. Na każdej z kartek, którymi zostały owinięte, widniały identyczne słowa: „Mówiłam ci, żebyś mnie zostawiła w spokoju. To jest ostatnie ostrzeżenie”. Ostrzeżenie oznacza zazwyczaj, że osoba ostrzegana ma trochę czasu, by zmienić swe postępowanie, ale Wilmie i Nettie czas już się skończył. Spotkały się na rogu ulicy zaledwie dwie godziny później.

Alan przypuszczał, że problem ten mógłby obejść, gdyby tylko mu na tym zależało. Kiedy Nettie znalazła martwego Śmiałka, musiała być bezgranicznie wściekła. Tak samo Wilma, kiedy zorientowała się, że praktycznie zrujnowano jej mieszkanie.

Wy starczyła jedna rozmowa telefoniczna, by sypnęły się iskry. Jedna z kobiet podniosła słuchawkę telefonu... i bomba poszła w górę.

Alan przewrócił się na bok, plecami do Poiły. Żałował, że minęły już dawne dobre czasy, kiedy można było dostać listę rozmów miejscowych. Gdyby znalazł dowód na to, że Wilma i Nettie rozmawiały przed spotkaniem, poczułby się o wiele lepiej. Dobrze, przyjmijmy, że taka rozmowa rzeczywiście się odbyła. Pozostaje jeszcze sprawa karteczek na kamieniach.

Musiało być tak — pomyślał. — Nettie wraca od Poiły do domu. W przedpokoju znajduje martwego psa. Czyta karteczkę przymocowaną do korkociągu. Potem pisze kilka identycznych słów na kilkunastu karteczkach, które wkłada do kieszeni płaszcza. Bierze także gumki. Idzie do domu Wilmy, wchodzi do ogrodu, zbiera kilkanaście kamieni, owija je karteczkami, a karteczki



mocuje gumkami. Musiała to zrobić, nim rzuciła choćby jeden kamień — za długo trwałoby przerywać zabawę i szukać nowych pocisków, do których można byłoby je przyczepić. Potem wraca do domu i jeszcze jakiś czas siedzi przy swym martwym piasku.

Nie podobało mu się to.

Bardzo mu się nie podobało.

Założył sposób myślenia i działania, który po prostu nie pasował do Nettie Cobb. Zabiła męża, który od wielu lat ją maltretował, ale samo morderstwo popełnione zostało pod wpływem chwili przez kobietę, która oszalała. Jeśli stare akta pozostawione w biurze przez George'a Bannermana mówiły prawdę, pan Albion Cobb z całą pewnością nie został w żaden sposób ostrzeżony.

Bardziej prawdziwy wydawał mu się znacznie prostszy scenariusz: Nettie wraca do domu od Poiły, znajduje zabitego psa, bierze z szuflady tasak i idzie do Wilmy Jerzyck zrobić z niej polską rąbankę.

Lecz jeśli tak, to kto wybił okna w domu Wilmy?

— A w dodatku wszystko tak dziwnie rozkłada się w czasie — mruknął do siebie.

John LaPointe przyglądał się pracy zespołu, który spędził niedzielne popołudnie, odtwarzając wszystkie ruchy Nettie. Nettie poszła do Poiły z lasagne. Powiedziała Poiły, że być może wracając do domu, wpadnie do „Sklepiku z marzeniami”, bo chce porozmawiać z jego właścicielem, panem Lelandem Gauntem. Poiły stwierdziła, że pan Gaunt zaprosił ją, by pokazać jej coś interesującego, a Nettie miała poinformować go, że Poiły najprawdopodobniej będzie mogła przyjść, choć bardzo bola ją dłoń.

Jeśli Nettie poszła do „Sklepiku z marzeniami”, jeśli szperała po półkach i rozmawiała z właścicielem, który zachwyił obywateli miasteczka, a którego on sam nie mógł jakoś spotkać, mogła nie mieć wystarczająco wiele czasu na dokonanie tego, czego podobno dokonała — a to z kolei znów wprowadzało na scenę tajemniczego nieznajomego z kamieniami. Ale nie poszła. Sklep był zamknięty. Gaunt powiedział zarówno Poiły, która wpadła do niego nieco później, jak i chłopcom z dochodzeniówki, że nie widział Nettie od chwili, gdy kupiła u niego kryształowy abażur. W każdym razie spędził rano na zapleczu, słuchając muzyki klasycznej i spisując towar. Gdyby ktoś zapukał, najprawdopodobniej i tak nie usłyszałby pukania. Więc Nettie musiała pójść prosto do domu, a to z kolei pozwalało dokonać jej wszystkiego tego, co on sam uznał za tak

nieprawdopodobne.

Wilma musiała walczyć z czasem jeszcze bardziej bohatersko. Jej mąż miał w piwnicy mały warsztat stolarski; w niedzielę spędził w nim mniej więcej dwie godziny, od ósmej do dziesiątej. Zorientował się, że jest już późno, wyłączył maszyny i poszedł przebrać się na mszę o jedenastej. Zeznał, że jego żona była wówczas pod prysznicem, a Alan nie miał najmniejszego powodu wątpić w słowa świeżo upieczzonego wdowca.

No, więc musiało być tak: o dziewiątej trzydzieści pięć, czterdzieści Wilma wychodzi z domu, by pojeździć sobie przed oknami Nettie. Pete w piwnicy robi domki dla ptaszków, czy co tam robił, i nie wie nawet, że wyszła. Wilma podjeżdża pod dom Nettie mniej więcej za piętnaście dziesiąta, zaledwie kilka minut po tym, jak Nettie wyszła do Poily. Widzi szeroko otwarte drzwi, niczym wypisane na czerpanym papierze zaproszenie. Parkuje, wchodzi do środka, zabija psa, powodowana kaprysem pisze karteczkę, wychodzi. Nikt z sąsiadów nie widział jej jaskrawożółtego yugo — to dziwne, ale niczego nie dowodzi. W każdym razie większości sąsiadów i tak nie było w domu — albo poszli na mszę, albo pojechali do miasta.

Więc Wilma wraca do domu, idzie na górę, podczas gdy Pete wyłącza heblarkę, piłę, czy co tam jeszcze, i rozbiera się. Kiedy jej mąż wchodzi do łazienki, by przed włożeniem marynarki i krawata zmyć z rąk wióry, ona właśnie znika pod prysznicem. To, że Pete Jerzyck zastał żonę pod prysznicem, było w tym całym burdelu jedyną rzeczą, którą Alan uznał za doskonale sensowną. Korkociąg, którym zabito psa, był wprawdzie bronią śmiertcionośną, ale krótką. Wilma musiała zmyć ślady krwi z dłoni i ramion.

Wilma podjechała pod dom Nettie tuż po tym, kiedy Nettie z niego wyszła, i weszła pod prysznic tuż przed tym, nim jej mąż wszedł do łazienki. Czy to możliwe? Tak. Nie za bardzo, ale jednak możliwe.

*Więc daj sobie z tym spokój. Daj sobie z tym spokój, idź spać.*

Ale nie mógł zasnąć, bo coś mu śmierdziało. Coś mu tu strasznie śmierdziało.

Znów przewrócił się z boku na bok. Usłyszał, jak zegar na dole cicho wybija czwartą. W ten

sposób nie osiągnie niczego, absolutnie niczego, a jakoś nie potrafił przestać myśleć.

Próbował wyobrazić sobie Nettie, siedzącą cierpliwie przy kuchennym stole, wypisującą: TO JEST OSTATNIE OSTRZEŻENIE, na kolejnych karteczkach papieru, podczas gdy niespełna pięć metrów dalej leżał jej martwy Śmiałek — i nie potrafił, niezależnie od tego, jak bardzo próbował. To, co uznał za bramę do tego szczególnego ogrodu, coraz bardziej wyglądało mu na sprytny rysunek bramy na solidnym, wysokim murze. Złudzenie optyczne.

Czy to Nettie wybiła okna w domu Wilmy Jerzyck? Nie wiedział, ale za to doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Nettie nadal budziła zainteresowanie Castle Rock — wariatka, która zabiła męża, a potem tyle lat siedziała w Juniper Hill. Czasem, gdy zrobiła coś, czego poprzednio nie robiła, była zauważana. Gdyby w niedzielny rano próbowała chyłkiem przemknąć się na Willow Street — prawdopodobnie mrucząc coś pod nosem, a prawie na pewno płacząc — zostałaby zauważona. Alan miał zamiar obejść rankiem domy na jej przypuszczalnej trasie i *zadać* kilka pytań.

Wreszcie, wreszcie zaczął zasypiać. Zapadał w sen, oczami wyobraźni widział kupkę kamieni, a każdy owinięty w kartkę papieru. Jeszcze raz pomyślał: „Jeśli nie użyła ich Nettie, to kto?”.

Powoli nadchodził świt poniedziałkowego ranka, zaczynał się nowy interesujący tydzień. Młody człowiek, Ricky Bissonette, wyjrzał właśnie zza żywoplotu plebanii kościoła baptystów. W schludnym jak spod igły domu wielebnego Rosę spał snem sprawiedliwych.

Ricky, nieobciążony nadmiarem szarych komórek dziewiętnas-tolatek, pracował u Sonny'ego, w Sunoco. Zamknął stację kilka godzin temu, ale kręcił się wokół niej, póki nie zrobiło się wystarczająco późno, czy też wystarczająco wcześnie, by spłatać niewinnego figla wielebnemu Rosę'owi.

W piątek po południu wpadł do tego nowego sklepu. Zaczął gawędzić z jego właścicielem, bardzo fajnym starszkiem. Rozmawiali tak sobie sympatycznie i w którymś momencie Rick zorientował się, że zdradza mu swe najskrytsze marzenie. Wymienił imię młodej, młodziutkiej, aktorki-modelki i powiedział, że dałby wszystko, ale to wszystko, by zdobyć jej zdjęcia... bez ubrania.

- A wiesz, mam coś, co mogłoby cię zainteresować — powie dział pan Gaunt. Rozejrzył się po sklepie, jakby pragnął upewnić się, że nikogo oprócz nich nie ma, a potem podeszedł do drzwi i przekręcił tabliczkę: OTWARTE na drugą stronę. Następnie wrócił na swoje

miejsce za kasą, poszukał czegoś pod ladą i wyciągnął szarą kopertę.

- Proszę się przyjrzyć jej zawartości, panie Bissonette — powiedział i zupełnie nieoczekiwanie puścił do Ricky'ego dość frywolne oczko, jak to między nami, mężczyznami. — Zapewne będzie pan zaskoczony. Być może nawet zdumiony.

Oszołomiony — okazało się najwłaściwszym słowem. Na zdjęciach była aktorka-modelka — to nie mógł być nikt inny! — bohaterka słodkich snów Ricky'ego, więcej niż naga: na niektórych w towarzystwie pewnego znanego aktora, na innych w towarzystwie dwóch znanych aktorów, z których jeden spokojnie mógłby być jej dziadkiem. A na jeszcze innych...

Lecz nim zdołał przyjrzyć się innym (w sumie w kopercie musiało być ponad pięćdziesiąt kolorowych zdjęć), pan Gaunt wyrwał mu je z ręki.

- To...! — Rick omal nie wykrztusił nazwiska doskonale znanego czytelnikom eleganckich brukowców i widzom, uwielbiającym eleganckie programy z życia gwiazd.

- O, nie! — oznajmił pan Gaunt, a jego jasnozielone oczy wyraźnie mówiły: „O, tak!”. — Jestem przekonany, że nie, ale podobieństwo jest zdumiewające, prawda? Oczywiście, sprzedaż takich zdjęć jest nielegalna, niezależnie od ich pornograficznej wymowy, dziewczyna ma przecież najwyżej siedemnaście lat, ale być może dałoby się mnie skłonić, bym je panu odstąpił, panie Bissonette. Chorobą, która mnie trawi, nie jest malaria, lecz handel. A więc? Pohandlujemy?

Pohandlowali. Ricky kupił w końcu siedemdziesiąt dwie pornograficzne fotografie za trzydzieści sześć dolarów... i splatanie tego właśnie drobnego figła.

Zgięty w pół przebiegł przez trawnik, zamarł na moment w cieniu ganku, upewnił się, że nie jest śledzony, i wspiął się na schody. Z tylnej kieszeni spodni wyjął zwykły biały kawałek papieru, uchylił zastawkę skrzynki na listy i wrzucił do niej karteczkę. Opuścił zastawkę, przytrzymując ją koniuszkami palców, by nie stuknęła. Następnie przeskoczył przez balustradę ganku i uciekł. Zaplanował już, co będzie robił przez pozostałe jeszcze dwie, trzy godziny ciemności — miał przecież siedemdziesiąt dwa zdjęcia i tubkę wazeliny.

Karteczka niczym biała ćma spłynęła na spłowiały dywanik w przedpokoju plebanii. Upadła

zapisaną stroną do góry.

„Co u ciebie, ty głupia baptystowska dziwko?

Piszemy, by ci powiedzieć, żebyś wreszcie przestał szczeakać na nasze »Casino Nite«. Chcemy tylko trochę się zabawić, nic ci do tego. W każdym razie grupa Lojalnych Katolików znudziła się już twoim baptystowskim gładzeniem. Wiemy, że wszyscy wy, baptyści, tylko liżecie cipy. Teraz lepiej zrób to, co ci każemy. Jeśli nie będziesz trzymał swego pijackiego nosa z dala od Naszych spraw, napierdzimy ci i twoim pedałowatym przyjaciółom w nosy tak, że będziecie Śmierdzieć Na Zawsze!

Zostaw nas w spokoju, ty głupia baptystowska dziwko, albo cholernie biedny będzie z ciebie skurwiel. To ostrzeżenie od Dobrych Katolickich Mężczyzn z Castle Rock".

Wielebny Rosę znalazł tę karteczkę w kilka godzin później, kiedy w szlafroku zszedł na dół po gazetę. Jego reakcję łatwiej sobie wyobrazić niż opisać.

Leland Gaunt stał z rękami założonymi na plecach w oknie dużego pokoju mieszkania nad „Sklepikiem z marzeniami" i przyglądał się miasteczku Castle Rock.

Jego czteropokojowe mieszkanie budziło zdumienie, ponieważ było puste, zupełnie puste. Nie było w nim łóżka, kaloryfera, ani jednego krzesła, w szafach nie wisiała ani jedna sztuka ubrania. W przeciągu, wiejącym tuż przy ziemi, po dziewiczej wykładzinie turlały się leniwie kłęбки kurzu. Tylko w oknach wisiały urocze kraciaste firanki. To tylko widać było bowiem z ulicy.

Na razie miasteczko spało spokojnie. Sklepy, okna domów... wszystko było ciemne. Tylko światełko na rogu głównej ulicy i Watermill leniwie mrugało na żółto.

Gaunt przyglądał się Castle Rock czułym, kochającym wzrokiem. Jeszcze nie należało do niego, ale to miało się wkrótce zmienić. Już miał je w garści. Ludzie nie wiedzieli o tym wprawdzie, ale niebawem się dowiedzą. O tak, niebawem się dowiedzą.

Wielkie otwarcie udało się doskonale.

Gaunt uważał się za elektryka ludzkiej duszy. W mieścinie takiej jak Castle Rock wszystkie skrzynki bezpiecznikowe wisiały porządnie jedna przy drugiej. Wystarczyło tylko otworzyć je... i pozmieniać połączenia. Podłączało się na przykład Wilnę Jerzyck do Nettie Cobb, używając kabli z dwóch innych skrzynek — tej młodego człowieka imieniem Brian Rusk, powiedzmy, i jako drugiej — starego pijaka Hugh'a Priesta. Z innymi ludźmi należało postępować podobnie, więc podłączył Granata Keetona do Norrisa Ridgewicka, Franka Jewetta do George'a Nelsona, a Sally Ratcliffe do

Lestera Pratta.

W którymś momencie trzeba było sprawdzić, czy ta wspaniała praca została właściwie wykonana. Sprawdził to wczoraj. Potem należało się tylko przyczaić, puszczając prąd z rzadka, wyłącznie po to, by nikt się nie nudził. By zapewnić wszystkim odrobinę rozrywki. Ale przede wszystkim należało się *przyczaić*, póki wszystko nie zostanie zrobione... a potem puścić prąd.

Maksymalne napięcie.

W jednej chwili.

Wystarczyło tylko dobrze rozumieć ludzką naturę i...

— Oczywiście to wyłącznie kwestia popytu i podaży — powiedział pan Gaunt cicho, do siebie, przyglądając się śpiącemu miasteczku.

A po co? Po prostu po to. Tylko po to.

To są ludzkie dusze, a po zlikwidowaniu sklepiku miał zamiar zabrać ich tyle, ile tylko zdoła; dla Lelanda Gaunta dusze były trofeami: jak poroże dla myśliwego czy wypchana ryba dla wędkarza. W dzisiejszych czasach dusze nie miały żadnego praktycznego znaczenia, ale nadal zbierał ich tyle, ile tylko dał radę — niezależnie od tego, co miał na ów temat do powiedzenia. Zbieranie dusz należało do reguł gry.

Jednak przede wszystkim nie chodziło mu o dusze, a o rozrywkę. Prostą rozrywkę. Po jakimś czasie tylko rozrywka się liczyła, bowiem im dłużej się żyło, tym bardziej była potrzebna.

Pan Gaunt złożył przed sobą dłonie — dłonie, które wprawiały w obrzydzenie każdego, kto miał nieszczęście poczuć ich dotknięcie — splótł palce i zacisnął je mocno, palce lewej ręki na wierzchu prawej dłoni, palce prawej ręki na wierzchu lewej dłoni. Długie, grube, żółte, a także bardzo ostre paznokcie po chwili przebiły skórę, z której pociekła gęsta czarna krew.

Brian Rusk krzyknął we śnie.

Myra Evans sięgnęła dłońmi do krocza i zaczęła się gwałtownie onanizować — wydawało się jej, że Król się z nią kocha.

Danforth Keeton śnił, że leży na ostatniej prostej toru wyścigowego w Lewiston; zakrył dłonią twarz, widząc pędzące na niego konie.

Sally Ratcliffe przyśniło się, że otworzyła drzwi mustanga Lestera Pratta i że był on pełen węży.

Hugh Priest krzyknął tak głośno, że aż się obudził. W jego śnie Henry Beaufort, barman z

„Potulnego Tygrysa”, oblał lisi ogon benzyną i podpalił go.

Everett Frankel, asystent Raya Van Allena, śnił, że wkłada do ust swą nową fajkę i odkrywa, że ustnik zmienił się w brzytwę, która odcina mu język.

Poity Chalmers westchnęła cicho, a w środku srebrnego amuletu wiszącego jej na szyi coś się poruszyło ze szmerem jakby cieniutkich skrzydeł. To coś pachniało słabo, niemal niezauważalnie... pachniało zwiędłymi fiołkami.

Leland Gaunt z wolna rozluźnił uścisk. W uśmiechu jednocześnie radosnym i nie do opisanego wręcz obrzydliwym ukazały się wielkie, krzywe zęby. Unoszące się nad Castle Rock sny uleciały, gnębieni koszmarami ludzie uspokoili się — i spali nadal.

Na razie.

Wkrótce wzejdzie słońce. Niedługo potem *zacznie* się nowy dzień, pełen cudów i niespodzianek. Jego zdaniem, najwyższy już czas, by znaleźć sobie asystenta... nie to, by był on odporny na coś, co właśnie się zaczęło, nie, o nie!

To popsułoby całą zabawę.

Leland Gaunt stał w oknie, przyglądając się śpiącemu bezbronnemu miasteczku, pogrążonemu w cudownej ciemności.

## CZĘŚĆ DRUGA

Wyprzedaż stulecia

Poniedziałek czternastego października, Dzień Kolumba, był w Castle Rock dniem upalnym i pięknym. Mieszkańcy miasteczka narzekali na upał i gdziekolwiek zbierali się w grupy — w parku miejskim, „U Nań”, na ławkach przed Ratuszem — natychmiast mówili jedni drugim, że to nienaturalne. Prawdopodobnie związane jest to z tymi cholernymi pożarami szybów naftowych w Kuwejcie albo może z ozonem, o którym tyle gadają w telewizji. Niektórzy ze starszków twierdzili, oczywiście, że w drugim tygodniu października temperatura nigdy nie sięgnęła trzydziestu stopni — w czasach ich młodości.

Nie było to prawdą i większość z nich (jeśli nie wszyscy) doskonale o tym wiedziała. Co dwa, trzy lata złota jesień wyrwała się nieco spod kontroli, trafiało się parę dni niczym z połowy lipca, a kiedy człowiek po tych paru dniach budził się rano, miał wrażenie, że złapał go sienny katar, i kiedy podszedł do okna, widział na trawniku szron, a w powietrzu jeden i drugi płatek śniegu. Jasne, wszyscy o tym wiedzieli, ale jako temat rozmowy pogoda była po prostu zbyt dobra, by ją zmarnować. Nikt nie miał zamiaru się z nikim kłócić — kłótnie podczas niespodziewanych jesiennych upałów to bardzo kiepski pomysł. Ludzie za bardzo się denerwują, a gdyby mieszkańcy Castle Rock potrzebowali przykładu na to, co się dzieje, kiedy ludzie za bardzo się zdenerwują, wystarczyło im pójść na spacer na skrzyżowanie Willow i Ford.

— Obie baby sobie na to zasłużyły — orzekł Lenny Partridge, najstarszy mieszkaniec miasteczka i główny plotkarz, stojąc na schodkach maleńkiego sądu miejskiego w zachodnim skrzydle

Ratusza. — Obie szalone jak marcowe koty. Ta Cobb zamordowała męża widelcem do mięsa, wiecie? — Lenny podrapał się w kroku przez workowate spodnie. — Nadziała go na niego jak świnię. Cholera. Niektóre baby to dopiero mają hysia. — Spojrzał w niebo. — W taki upał może się jeszcze co zdarzyć. Szeryf Pangborn powinien *kazać* Henry'emu Beaufortowi zamknąć „Potulnego Tygrysa”, póki się nie ochłodzi.

— To mi pasuje, staruszku — odparł Charlie Fortin. — Przez dzień czy dwa mogę kupować sobie piwo w sklepie Wandy i pić w domu.

Ten dowcip nagrodzony został wybuchem śmiechu zgromadzonych wokół nich mężczyzn i groźnym zmarszczeniem brwi samego Lenny'ego Partridge'a, po czym prawie wszyscy rozeszli się do swoich spraw. Upał czy nie upał, część musiała pracować. Niektóre z roztrzęsionych ciągników z przyczepami do zwózki drzewa już odjeżdżały z parkingu pod kawiarnią Nań, kierując się do Sweden, Nodd's Ridge i nad jezioro Castle.



Danforth „Granat” Keeton siedział w gabinecie, ubrany wyłącznie w gacie. Bardzo nieświeże gacie. Nie opuszczał pokoju od sobotniego popołudnia, kiedy to wyskoczył do Ratusza. Zabrał stamtąd korespondencję z Urzędem Skarbowym i przywiózł ją do domu.

Przewodniczący Rady Miejskiej Castle Rock po raz trzeci z rzędu oliwił kolta. W którymś momencie tego pięknego ranka zamierzał go naładować. Po naładowaniu zamierzał zastrzelić żonę. Po zastrzeleniu żony zamierzał udać się do Ratusza i zastrzelić Norrisa Ridgewicka (nie miał pojęcia, że Norris ma dzień wolny). Na końcu zamierzał zamknąć się w gabinecie i zastrzelić się sam. Uznał, że podejmując te kroki, wymknie się Prześladowcom na zawsze. Był głupcem, myśląc, że może mu się udać. Nawet magiczna gra, bezbłędnie typująca zwycięskie konie, nie zdołała Ich powstrzymać. O, nie! Przekonał się o tym wczoraj, kiedy znalazł te straszne różowe karteczki porozlepiane po całym domu.

Telefon na biurku nagle zadzwonił. Zaskoczony, Keeton pociągnął za spust kolta. Rozległ się suchy trzask. Gdyby broń była naładowana, przestrzeliłby drzwi do pokoju.

Wściekłym ruchem podniósł słuchawkę.

— Ludzie, nie możecie zostawić mnie w spokoju choćby na chwilę? — wrzasnął.

Spokojny głos, który mu odpowiedział, uciszył go natychmiast. Był to głos pana Gaunta; spłynął na duszę Keetona niczym najwspanialszy balsam.

- Czy zabawka, którą panu sprzedałem, przyniosła szczęście, panie Keeton?

- Oczywiście! — w głosie Granata brzmiała szaleńcza radość. Zapomniał, przynajmniej na chwilę, iż planował pracowity ranek pełen morderstw, zakończony samobójstwem. — Wygrałem we wszystkich gonitwach!

— Ach, to świetnie! — stwierdził ciepło pan Gaunt.

Twarz Keetona znów powlekła się chmurą. Ściszył głos, mówił już niemal szeptem.

- Ale... wczoraj... kiedy wróciłem do domu... — i nagle nie był w stanie powiedzieć nic więcej. W chwilę później zaś ku

swemu wielkiemu zdumieniu i jeszcze większej radości dowiedział się, że wcale nie musi.

- Odkrył pan, że Oni byli w pańskim domu?
- Tak! Tak! Skąd pan...
- Opanowali całe miasteczko. Wspomniałem o tym, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, prawda?

• Tak! I... — Keeton przerwał nagle. Niepokój wykrzywił mu twarz. — Mogli założyć podsłuch! Czy pan zdaje sobie z tego sprawę, panie Gaunt? Mogą nas podsłuchać, nawet teraz mogą słyszeć naszą rozmowę!

Pan Gaunt zachował jednak kamienny spokój.

• Mogą, ale tego nie zrobili. Proszę nie sądzić, że jestem człowiekiem naiwnym, panie Keeton. Spotkałem się już z Nimi. Nie raz.

• Ależ oczywiście — wykrztusił Keeton. Był w pełni świadom tego, że dzika radość, którą sprawiła mu „Wielka wygrana”, zbladła, zaćmiona radością odkrycia — po tym, co wydawało mu się stuleciami walki i mroku — bratniej duszy.

• W moim telefonie zainstalowane jest niewielkie urządzenie elektroniczne — mówił dalej Gaunt swym spokojnym, melodyjnym głosem. — Gdy na linii jest podsłuch, zapala się czerwone światło ko. Właśnie w tej chwili na nie patrzę, panie Keeton, i nie zapaliło się. Jest ciemne — tak ciemne jak wiele serc w tym mieście.

• Pan wie, prawda? — zdyszany głos Granata drżał, a on sam czuł się tak, jakby za chwilę miał zapłakać.

• Tak, wiem. I dzwonię, by powiedzieć panu, panie Keeton, że nie powinien pan podejmować pochopnych decyzji. — Głos Gaunta był cichy, hipnotyzujący; Keeton czuł, jak *zaczyna* ulatywać niczym dziecinny balon wypełniony helem. — Niech pan zbytnio nie ułatwia Im życia. Czy pan w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby pan umarł?

- Nie — szepnął Keeton, patrząc w okno tępym, nieprzytomnym spojrzeniem.

- Urządziliby przyjęcie! — krzyknął mu w ucho pan Gaunt, niegłośno, lecz przenikliwie. — Zalaliby się w biurze szeryfa Pangborna! Poszliby na cmentarz i nasikali na pański grób!

- Szeryf Pangborn? — powtórzył niepewnie Keeton.

- Chyba nie sądzi pan, że taki dureń jak ten jego zastępca, Ridgewick, mógłby brać udział w grze przeciwko panu bez pozwolenia zwierzchników.

- Nie, oczywiście, że nie. — Granat zaczynał wreszcie rozumieć. Oni, zawsze myślał o nich wyłącznie Oni, Oni otaczali go upiorną czarną chmurą, a kiedy sięgał w jej głąb, zaciskał pięści na pustce. Teraz — wreszcie — zaczynał rozumieć, że Oni mają twarze i nazwiska, a może nawet słabe punkty. Wiedza ta przyniosła mu ogromną ulgę.

- Pangborn, Fullerton, Samuels, ta Williams, nawet pańska żona... — to wszystko Oni. To wszystko Oni, panie Keeton, ale podejrzewam, tak, poważnie podejrzewam, że to szeryf Pangborn jest ich szefem. Jeśli się nie mylę, byłby zachwycony, gdyby zabił pan kilkoro spośród jego popychadeł, a potem sam usunął mu się z drogi. Oczywiście, moim zdaniem, od początku chodziło mu właśnie o to. Ale pan ich przechytrzy, panie Keeton, prawda?

- Tak! — szepnął wściekle Granat. — Co powinienem zrobić?

- Dzisiaj nic. Niech pan się zachowuje tak, jakby nic się nie stało. Jeśli ma pan ochotę, proszę iść na wyścigi. Niech pan cieszy się swym nowym nabytkiem. Jeśli pan tak postąpi, wytrąci Ich pan z równowagi. Posiejpan zamieszanie i niepewność w szeregach przeciwnika.

- Zamieszanie i niepewność — powtórzył Keeton powoli, jakby smakował te słowa.

- Oczywiście. Przygotowuję pewien plan. Zdradzę go panu, gdy przyjdzie właściwa chwila.

- Obiecuję mi pan?
- Ależ oczywiście, panie Keeton. Jest pan dla mnie bardzo

ważny. Posunąłbym się nawet do twierdzenia, że bez pana nic nie  
zdziałam.

Pan Gaunt odłożył słuchawkę. Keeton przesunął na bok rewolwer i przyrządy do czyszczenia, a potem poszedł na górę, wrzucił brudne gacie do pralki, wziął prysznic i przebrał się. Kiedy ponownie zszedł na dół, żona cofnęła się przed nim, przestraszona, ale zachował się łagodnie i nawet pocałował ją w policzek. Myrtle zaczęła się powoli rozluźniać. Niezależnie od tego, jaka była natura kryzysu, wydawało się, że zaczyna on wreszcie mijać.

Everett Frankel był wysokim, rudym mężczyzną — Irlandczykiem tak typowym, jak samo hrabstwo Cork, co nie powinno dziwić nikogo, ponieważ przodkowie jego matki wywodzili się właśnie stamtąd. Był asystentem Raya Van Allena od czterech lat, od chwili, gdy zakończył służbę w marynarce wojennej. W ten poniedziałkowy rano przyjechał do Castle Rock za piętnaście ósma. Nancy Ramage, przełożona pielęgniarek, poprosiła, by natychmiast pojechał na farmę Burgmeyerów. W nocy Helen Burgmeyer miała najprawdopodobniej atak epilepsji. Gdyby to potwierdził, niech przywiezie ją do miasta samochodem, by Ray, który miał się wkrótce pojawić w gabinecie, mógł ją zbadać i zdecydować, czy konieczne są badania szpitalne.

W normalnej sytuacji Everett nie byłby najszcześniejszy, zaczynając dzień od wizyty domowej, zwłaszcza wizyty domowej na dalekiej wsi, ale w ten nietypowy dla pory roku upalny rano wycieczka za miasto wydawała się samą przyjemnością.

A poza tym — miał fajkę.

Gdy tylko wsiadł do swego plymoutha, natychmiast wyjął ją ze schowka pod deską rozdzielczą. Była to prosta fajka z wrzosowego drzewa o szerokim, długim cybuchu, z pewnością wykonana przez mistrza w swym fachu — cybuch otaczał wzór ze zwierząt i dzikiego wina wydający się zmieniać w zależności od tego, pod jakim kątem się na niego patrzyło. Zostawił ją w samochodzie nie tylko dlatego, że w gabinecie nie wolno było palić; nie chciał także, by widzieli ją inni ludzie, a już zwłaszcza wścibskie plotkary jak Nancy Ramage. Najpierw zaczęliby wypytywać go, gdzie ją kupił. Potem, ile za nią zapłacił.

A niektórzy mogliby mu jej nawet pozazdrościć.

Wsadził sobie fajkę w zęby, po raz któryś już dziwiąc się, jakim cudem wydaje się tak doskonale do niego pasować, jakby

stworzona była tylko dla jego przyjemności. Przekręcił wsteczne lusterko, by przyjrzeć się sobie krytycznie, i to, co zobaczył, bardzo mu się spodobało. Jego zdaniem fajka sprawiała, że wyglądał starzej, mądrzej i przystojniej. Kiedy tak siedział z fajką w ustach, przechyloną pod jedynym odpowiednim i właściwym kątem, sam wydawał się sobie starszy, mądrzejszy i przystojniejszy.

Pojechał główną ulicą, zamierzając wydostać się z miasta przez Blaszak; przejeżdżając koło „Sklepiku z marzeniami”, zwolnił jednak. Zielona markiza przytrzymała go jak haczyk rybę. Poczul, że powinien, że musi się zatrzymać.

Zaparkował, otworzył drzwiczki i nagle uświadomił sobie, że nadal trzyma w zębach fajkę. Wyjął ją (czując przy tym ukłucie żalu) i ponownie zamknął w skrytce. Tym razem przeszedł nawet parę kroków chodnikiem, nim wrócił, by dokładnie zamknąć samochód. Kiedy ma się tak piękną fajkę, nie wolno ryzykować. Każdy może ją ukraść, dosłownie każdy.

Podszedł do drzwi sklepu i zatrzymał się, rozczarowany. Wisiała na nich tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE, DZIEŃ KOLUMBA.

Już, już odwracał się, by wrócić do samochodu, kiedy drzwi otworzyły się. Stał w nich pan Gaunt, doskonale i bardzo światowo wyglądający w rudobrazowej marynarce z łatami na łokciach i ciemnoszarych spodniach.

- Proszę do środka — powiedział. — Bardzo się cieszę, że pana widzę.
- No... właśnie miałem jechać za miasto... taka praca... pomyślałem sobie, że wpadnę do pana po drodze i jeszcze raz podziękuję za tak piękną fajkę. Przez całe życie marzyłem właśnie o takiej i...

Pan Gaunt uśmiechnął się szeroko.

- Wiem o tym — stwierdził.
- Ale zamknął pan sklep, więc nie będę panu przeszkadzał...
- Dla najlepszych klientów mój sklep jest zawsze otwarty, a pan figuruje na tej liście. Bardzo wysoko. — Gaunt wyciągnął

dłoń, lecz Everett uchylił się przed jego dotknięciem. Widząc to, właściciel „Sklepiku z marzeniami” roześmiał się i usunął, dając gościowi wolne przejście.

- Nie powinienem... — stopy młodego asystenta doktora Van Allena same poniosły go w mroczne wnętrza sklepu, jakby lepiej od niego wiedziały, co powinien, a czego nie powinien.

- Oczywiście, oczywiście. Uzdrawianie to wspaniały zawód, a uzdrowiciel musi odwiedzać nieszczęśników spętanych chorobą

i... — uśmiech Gaunta — uniesione brwi, wyszczerzone zęby — pojawił się i zniknął równie nagle, jak się pojawił — ...i płoszyć Szatana zaciskającego te więzy. Mam rację?

— Chyba tak.

Gaunt zamknął za nim drzwi i w tym momencie Everett nagle poczuł się niepewnie. Miał nadzieję, że fajce nie stanie się nic złego. Złodzieje okradają czasami samochody. Złodzieje okradają samochody czasami nawet w pełnym świetle dziennym.

- Nic się nie stanie pańskiej fajce — uspokoił go Gaunt, wyjmując z kieszeni zwykłą białą kopertę z napisanym na niej jednym słowem. Słowo to brzmiało: „Kochanie!”. — Czy pamięta pan swą obietnicę? Miał pan spłatać dla mnie figła pewnej osobie, prawda, doktorze Frankel?

- Nie jestem le...

Pan Gaunt zmarszczył brwi w sposób, który sprawił, że Everett przerwał i poddał się natychmiast; zrobił nawet krok do tyłu.

- Pamiętasz, czy nie pamiętasz? Lepiej szybko mi odpowiedz, młody człowieku... nie jestem już tak pewny losu twojej fajki, jak przed chwilą.

- Pamiętam! — niemal krzyknął Frankel. — Chodziło o Sally Ratcliffe. Nauczycielkę wymowy!

Brwi pana Gaunta wygładziły się, groźna zmarszczka zniknęła. Everett Frankel również nieco się rozluźnił.

— Słusznie. Nadszedł czas, by spłatać jej ten figiel, doktorku.

Proszę.

Wyciągnął dłoń, w której trzymał kopertę. Everett przyjął ją, dbając jednak, by ich palce się nie zetknęły.

— Dziś nie ma lekcji — tłumaczył Gaunt — ale panna Ratcliffe będzie uzupełniała dziennik. Zdaję sobie sprawę, że to nie po drodze do farmy Burgmeyerów...

— Skąd pan to wszystko wie? — spytał Frankel sennym głosem.

Gaunt tylko niecierpliwie machnął ręką.

- ...Ale przecież może pan nadrobić stracony czas w drodze powrotnej do miasta, prawda?

- Chyba tak...

- A ponieważ ktoś obcy na terenie szkoły, w dzień wolny, może wzbudzić podejrzenia, mógłby pan odwiedzić pielęgniarkę, co wyjaśniałoby pańską obecność w tym miejscu, prawda?

- Jeśli ją zastanę, to pewnie tak. Nawet powinienem, bo...

- ...bo nie odebrał pan jeszcze rejestru szczepień — skończył za niego Gaunt. — To będzie najzupełniej naturalne. Pielęgniarka

- nie przyszła dziś do pracy, ale przecież mógł pan tego nie wiedzieć, prawda? Proszę po prostu *zajrzeć* do jej gabinetu, a potem zająć się swoimi sprawami. Jednak kiedy przyjedzie pan do szkoły, lub może gdy będzie pan odjeżdżał, ma pafi włożyć tę kopertę do samochodu, który panna Ratcliffe pożyczyła od swego przyjaciela. Chcę, żeby włożył ją pan pod siedzenie kierowcy, ale nie do końca. Chcę, żeby sam jej rozek był wyraźnie widoczny.

Everett doskonale wiedział, kto jest przyjacielem Sally — Lester Pratt, nauczyciel wychowania fizycznego. Gdyby miał wybór, wolałby spłatać figla raczej jemu niż jego narzeczonej. Lester Pratt był postawnym młodym baptystą. Nosił najczęściej niebieskie podkoszulki i niebieskie dresowe spodnie z białymi pasami po zewnętrznej stronie obu nogawek. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy każdym porem ciała wydzielają pot i Jezusa w równych — i raczej imponujących — ilościach. Everett wcale za nim nie przepadał. Bez szczególnego przejęcia zadał sobie pytanie, czy Lester przespał się już z Sally. Dziewczyna z pewnością warta była grzechu, ale odpowiedź na to pytanie brzmiała: „najprawdopodobniej nie”. Pomyślał także, że kiedy Pratt podpałał się

niebezpiecznie podczas pieszczot na ganku jej domu, w letnią noc, Sally najprawdopodobniej karała go przysiadami lub kilkoma okrążeniami wokół domu.

- To Sally znów jeździ prattmobilem?

- A tak — odparł pan Gaunt, raczej kwaśno. — Czy skończył pan już z dowcipami, doktorze Frankel?

- Oczywiście! — Żeby nie skłamać, Eyerett odczuwał w tej chwili przede wszystkim wielką ulgę. Obawiał się „figla”, o którym mówił pan Gaunt, sprzedając mu fajkę, i dopiero teraz nabrał przekonania, że nie było się czego bać. W końcu nie musiał włożyć jej petardy do buta ani wsypać środka przeczyszczającego do koktajlu czekoladowego. Nic w tym rodzaju. Co złego może być w kopercie?

Na twarz pana Gaunta znów wypłynął szeroki, promienny uśmiech.

- To doskonale — stwierdził, podchodząc do klienta, który z przerażeniem zorientował się, że zaraz zostanie przyjacielsko objęty, i cofnął się o krok. W ten prosty sposób Gaunt zagonił go w kierunku drzwi.

- Mam nadzieję, że naprawdę podoba się panu ta fajka. Czy wspominałem, że należała niegdyś do sir Arthura Conan Doyle'a, twórcy nieśmiertelnego Sherlocka Holmesa?

- Ależ nie!

- Oczywiście, że nie — Gaunt uśmiechnął się szeroko — bowiem byłoby to kłamstwo, a ja nie kłamię w sprawach zawodowych, doktorze Frankel. Nigdy. Niech pan nie zapomni przypadkiem o tym, co ma pan zrobić.

- Nie zapomnę.

- Doskonale. W takim razie życzę panu miłego dnia.

- I wzajemnie...



Ale Everett mówił w przestrzeń. Pan Gaunt zniknął. Drzwi z zaciągniętą roletą już nawet się za nim zamknęły. Everett patrzył na nie przez chwilę, po czym ruszył w kierunku swego plymoutha. Gdyby miał zdać sprawę z tego, co mówił Gauntowi i co Gaunt mówił jemu, poszłoby mu kiepsko. Właściwie niezbyt pamiętał, o czym rozmawiali. Czuł się jak człowiek, któremu dano do powąchania lekki środek odurzający.

Kiedy już usiadł za kierownicą samochodu, przede wszystkim otworzył skrytkę, schował kopertę, wyjął fajkę i wsadził ją w zęby. Jedną rzecz zapamiętał — pan Gaunt zażartował sobie z niego, twierdząc, że fajka ta była niegdyś własnością sir Arthura Conan Doyle'a. Niemal mu uwierzył. Głupota! Wystarczyło wsadzić ją w usta, by zorientować się, że jej pierwszym właścicielem był Hermann Göring!

Everett Frankel wrzucił bieg i ruszył na farmę Burgmeyerów. Jadąc tam, zaledwie dwukrotnie zatrzymywał się na poboczu, podziwiając w lusterku, jak dalece wyprzystojniał dzięki nowemu nabytkowi.

Albert Gendron miał gabinet dentystyczny w ponurym ceglany budynku stojącym naprzeciw Ratusza i betonowego pudełka mieszczącego miejskie wodociągi. Gmach ten ód 1924 roku rzucał cień na strumień Castle i Błaszak; urzędowało zaś w nim trzech z pięciu praktykujących w hrabstwie prawników, okulista, laryngolog, kilku niezależnych handlarzy nieruchomości, konsultant do spraw kredytów, jednoosobowy serwis telefoniczny i ramiarz. Kilka innych biur było akurat wolnych.

Albert, jeden z filarów parafii Matki Bożej Spokojnych Wód jeszcze z czasów ojca O'Neala, starzał się powoli; kruczoczarne niegdyś włosy posiwiały mu już i garbił się jak nigdy w młodości,

ale nadal był mężczyzną imponujących rozmiarów: miał ponad dwa metry wzrostu i ważył sto czterdzieści kilogramów. Był najpotężniejszym mężczyzną w mieście, jeśli nie w całym hrabstwie.

Wspinał się po wąskich schodach na czwarte, ostatnie piętro, przystając na półpiętrach dla zacerpnięcia oddechu. Nie zapominał

o szmerze w sercu, o którym poinformował go Ray Van Allen.

Na półpiętrze, przed ostatnim podejściem, dostrzegł za matową szybą drzwi swego gabinetu karteczkę, zakrywającą część liter napisu: „Albert Gendron, dentysta”.

Nagłówek listu był w stanie odczytać pięć stopni od końca schodów; odczytał go i serce zaczęło

mu walić w piersi, nie zważając na groźny szmer. I nie z powodu zmęczenia, lecz wściekłości.

„SŁUCHAJCIE, WY DUPKI!” — wypisane było na kartce jaskrawoczerwonym grubym flamastrem. Albert zerwał liścik

i przeczytał go natychmiast. Oddychał przy tym przez nos, szybko, gwałtownie — parskał niczym szykujący się do szarży byk. „SŁUCHAJCIE, WY DUPKI! Próbowaliśmy przemówić wam do rozsądku, ale nie przyniosło to żadnego skutku. CZEKA WAS PO TĘPIENIE WIECZNE I PO CZYNACH ICH POZNACIE! Po godziliśmy się z waszym papistowskim bałwochwalstwem i z waszym kultem Babilońskiej Wszetecznicy, lecz teraz posunęliście się już za daleko. W CASTLE ROCK NIE BĘDZIE SIĘ GRAĆ W KOŚCI Z SZATANEM!

Uczciwi chrześcijanie czują piekielny OGIEŃ i SIARKĘ. Jeśli wy ich nie czujecie, to tylko dlatego, że nosy zatkane macie grzechem i upadkiem. WYŚLUCHAJCIE NASZEGO OSTRZEŻENIA I DOSTOSUJCIE SIĘ DO NIEGO: MACIE PORZUCIĆ PLANY OBRÓCENIA CASTLE ROCK W JASKINIĘ SZULERÓW I ZŁODZIEI ALBO POCZUJECIE ZAPACH PIEKIELNEGO OGNI! POCZUJECIE ZAPACH SIARKI!

Grzeszni trafią do piekła i wszystkie narody, które zapomniały Pana, Psalm 9:17.

SŁUCHAJCIE I USŁYSZCIE, ALBO WASZ PŁACZ I ZGRZYTANIE ZĘBÓW USŁYSZĄ WSZYSCY!

ZATROSKANI BAPTYŚCI Z CASTLE ROCK”.

— Ale gówno — stwierdził Albert i zmiął kartkę w pięści jak bochen chleba. — Ten kretyński baptysta z ich objazdowego cyrku wreszcie oszalał na dobre.

Otworzył gabinet i przede wszystkim zadzwonił do ojca Johna

z informacją, że przed otwarciem „Casino Nite” sytuacja może się jeszcze trochę zaostrzyć.

- Nie obawiaj się, Albercie — powiedział spokojnie ojciec Brigham. — Jeśli ci durnie mają zamiar nas uderzyć, przekonają się, że my, dupki, potrafimy odpowiedzieć ciosem na cios...  
prawda?

- Święta prawda, ojcze! — krzyknął radośnie Albert. W dłoni nadal ścisnął pomiętą kartkę. Spojrzał na nią i na jego ustach zagościł bardzo nieprzyjemny uśmieszek. — Święta prawda! — powtórzył.

O dziesiątej piętnaście cyfrowy termometr przed bankiem głosił wszem i wobec, że w Castle Rock temperatura sięgnęła trzydziestu stopni. Po drugiej stronie Blaszaka jaskrawe słońce odbijało się w asfalcie drogi 117; w miejscu, w którym wynurzała się ona zza horyzontu, by pobiec w stronę miasta, błyszczała fałszywa gwiazda. Alan Pangborn siedział w biurze, przeglądając raporty ze śledztwa w sprawie Jerzyck-Cobb; nie patrzył na drogę, nie dostrzegł jaskrawego rozbłysku, kiedy promienie słońca padły na szkło i chrom, a nawet gdyby go dostrzegł, nic by go to pewnie nie obeszło — co jest w końcu takiego interesującego w nadjeżdżającym samochodzie? A jednak jaskrawa kula błyszczącego chromu i światła, zbliżająca się do Castle Rock z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, oznajmiała przybycie przeznaczenia — dla niego i całego miasta. No, co najmniej sporego fragmentu przeznaczenia.

Ręka o długich palcach zdjęła z drzwi „Sklepiku z marzeniami” tabliczkę głoszącą: ZAMKNIĘTE, DZIEŃ KOLUMBA, na jej miejsce zaś powiesiła nową: POTRZEBNA POMOC.

Samochód jechał z prędkością przeszło stu kilometrów na godzinę w miejscu, w którym obowiązkowe ograniczenie wynosiło pięćdziesiąt. Przejechał przez Blaszak. Dzieciaki z pobliskiego liceum z pewnością obdarzyłyby go długim, pełnym zazdrości spojrzeniem: był to jaskrawozielony dodge challenger

z podniesionym tylnym zawieszeniem — jego maska mierzyła wprost w asfalt. Przez przyciemniane okna można było dostrzec belki wzmacniające karoserię, biegnące między przednimi i tylnymi siedzeniami. Tył oklejony był nalepkami: „HEARST”, „FU-ELLY”, „FRAM”, „QUAKER STATE”, „GOODYEAR WIDE OYALS”, „RAM CHARGER”. Silnik burczał sobie radośnie przez dwie uniesione rury wydechowe, napasiony dziewięćdzie-sięciosześciooktanową benzyną, którą można było kupić wyłącznie na autostradzie Oxford Plains, na północ od Portland.

Dodge zwolnił odrobinę na skrzyżowaniu głównej ulicy i Laurel, po czym wjechał na jedno z miejsc do parkowania przed fryzjerem. Zapiszczały opony. U fryzjera nikt się akurat nie strzygł, Bili Fullerton i jego pomocnik, Henry Gendron, siedzieli sobie na krzeselkach dla klientów, pod starymi plakatami reklamującymi brylantynę i maść na porost włosów, pochyleni nad jedną gazetą. Kiedy kierowca dodge'a przycisnął na moment gaz i z rury wydechowej strzeliło donośnie, obaj podnieśli wzrok.

— Prawdziwa śmierć na kółkach — orzekł Henry.

Bili skinął głową, ujął dolną wargę między kciuk i palec wskazujący prawej dłoni i pociągnął ją mocno.

- Aha — przytaknął. Obaj z ciekawością wpatrywali się w samochód. Kierowca wyłączył silnik i otworzył drzwi, zza których wyłonił się jako pierwszy jego ciężki, podkuty but, zaraz po nim noga opięta w ciasne wyblakłe dżinsy. W chwilę później właściciel challenger'a stanął już na chodniku, zdjął przeciwsłoneczne okulary, założył je za rozpięty kołnierzyk koszuli i rozejrzał się wokół leniwie, z pogardą.

- Oho! — mruknął Henry. — Znalazł się szpaner!

Bili Fullerton z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w przybysza jak w upiora znad sportowej wkładki gazety.

- Ace Merrill! Niech mnie Pan Bóg chroni!

- Co on tu, u diabła, robi? — zainteresował się Henry. — Myślałem, że siedzi sobie w Machanie Falls i im szczy w zupe.

- A nie. — Bili znów pociągnął się za wargę. — Tylko na niego popatrz. Siwy jak siwy szczur i pewnie ze dwa razy groźniejszy. Ile on ma teraz lat?

Henry wzruszył ramionami.

— Więcej niż czterdzieści, mniej niż pięćdziesiąt, tyle tylko wiem. Kogo to w końcu obchodzi? Nic nie zmądrzał z wiekiem. Nadal oznacza kłopoty.

Jakby usłyszał ich rozmowę, Ace obrócił się ku witrynie

zakładu fryzjerskiego i podniósł dłoń w kpiącym geście pozdrowienia. Dwaj starzy mężczyźni drgnęli i poruszyli się niespokojnie, niczym dwie stare panny, które raptem uświadomiły sobie, że to one są obiektem entuzjastycznych gwizdów dobiegających z sali bilardowej.

Merrill wsunął dłonie w kieszenie dzinsów i odszedł powolutku — obraz mężczyzny niemającego nic szczególnego do zrobienia, idącego ekranem wszystkich kin w znanym nam wszechświecie.

— Jak sądzisz, może powinniśmy zawiadomić szeryfa Pangborna? — spytał Henry.

Bili Fullerton jeszcze raz pociągnął się za wargę. Myślał i myślał, aż w końcu powiedział:

— Aż za szybko dowie się, że Ace Merrill jest w mieście. Nie potrzebuje ani twojej, ani mojej pomocy.

Henry i Bili siedzieli w milczeniu, patrząc, jak Ace idzie sobie główną ulicą ich miasteczka i w końcu znika im z oczu.

Patrząc na Ace'a Merrilla wędrującego sobie główną ulicą Castle Rock, nikt nie domyśliłby się, że człowiek ten ma rozpaczliwy problem. Problem, z którym do pewnego stopnia byłby skłonny zidentyfikować się także Granat Keeton: Ace winien był pewnym ludziom kupę forsy. Sporo ponad osiemdziesiąt tysięcy dolarów, mówiąc dokładniej. Najgorsze, co wierzyciele mogliby zrobić Granatowi, to wpakować go do więzienia, lecz jeśli on, Ace, nie zwróci długu przed pierwszym listopada, jego wierzyciele z pewnością wpakują go do grobu.

Ludzie, których niegdyś terroryzował — Teddy Duchamp, Chris Chambers, Vern Tessio — rozpoznaliby go dziś natychmiast, mimo siwiejących włosów. Jednak w ciągu wszystkich tych lat pracy w miejscowej fabryce włókienniczej (zamkniętej przed pięcioma laty) Ace nie miałby szansy zaciągnąć takiego długu. Wówczas oddawał się wyłącznie dwóm namiętnościom: piwu i drobnym kradzieżom. Pierwsza z tych słabostek spowodowała, że mocno przytył, drugiej zaś zawdzięczał uwagę, którą poświęcał mu nieodżałowanej pamięci szeryf Bannerman.

Lecz nieco później Ace odkrył kokainę.

Kokainie zawdzięczał utratę pracy i dwudziestu kilku kilogramów

żywej wagi — żył na wysokich, bardzo wysokich obrotach. Dzięki niej przekwalifikował się także na kradzieże z włamaniem. Jeśli zaś chodzi o sytuację finansową, zaczęła ona przypominać jo-jo na bardzo długiej gumce — oprócz handlarzy narkotyków znają to doskonale także spekulanci

giełdowi. Zdarzało się, że rozpoczynał miesiąc bez grosza przy duszy, kończył go zaś z pięćdziesięcioma lub nawet sześćdziesięcioma tysiącami dolarów zakopanymi pod wyschlą jabłonią rosnącą na Cranberry Big Road, przy kempingu, który służył mu za dom. Jednego dnia zjadał siedmiodaniowy obiad w „Maurisie”, drugiego makaron z serem w kuchence przyczepy. Zależało to wyłącznie od popytu i podaży —jak większość handlarzy kokainą Ace Merrill był swym najlepszym klientem.

Mniej więcej w rok po tym, gdy wytopił mu się tłuszcz, w który obrastał od momentu rozstania z publicznym systemem nauki, a na świat wyjrzał nowy, wysoki, szczupły, siwiejący i pogrążony z głową w morzu koki mężczyzna, Ace spotkał paru facetów z Connecticut. Faceci ci handlowali nie tylko koką, lecz także bronią. Natychmiast wpadli sobie w oko—podobnie jak Ace, bracia Corsonowie również byli swymi najlepszymi klientami. W rezultacie Merrill otrzymał od nich wysoki procent oraz wyłączność na środkowe Maine, co przyjął z wdzięcznością. Jeśli na świecie było coś, co kochał bardziej niż kokę i samochody, to tylko broń.

Przy jednej z okazji, kiedy zabrakło mu gotówki, poszedł do stryja, który pożyczał przeszło połowie Castle Rock i cieszył się opinią człowieka tarzającego się w forsie. Ace nie widział powodu, dla którego nie miałby kwalifikować się do pożyczki: był młody (no... czterdzieści osiem lat — względnie młody), miał przed sobą przyszłość, a poza tym byli przecież spokrewnieni.

Stryj jednak miał na tę sprawę diametralnie inny pogląd.

- Nie — powiedział mu z miejsca Reginald Marion „Pop” Merrill. — Wiem, na czym zarabiasz... kiedy w ogóle zarabiasz. Na białym świństwie.

- Och, stryjku Reginaldzie...
- Daj sobie spokój ze „strykiem Reginaldem”. Nawet teraz masz na nosie proszek. Nieostrożność. Jeśli ktoś używa białego proszku i handluje nim, zawsze w końcu robi się nieostrożny. Nieostrożni handlarze kończą w Shank. Jeśli mają szczęście. Jeśli nie mają szczęścia, nawożą kawał bagna, dwa metry wzdłuż i metr w głąb. Nie odbiorę długu ani zza krater, ani od trupa. Nawet gdybyś umierał na pustyni, nie pożyczylbym ci choćby szklanki wody, to właśnie chciałem ci powiedzieć.

Ace doznał skutków tej odmowy wkrótce potem, jak obowiązki szeryfa Castle Rock przejął Alan Pangborn. Pierwszym poważnym wyczynem Alana było przyłapanie Ace'a i dwóch jego przyjaciół, gdy próbowali rozbić sejf w biurze Henry'ego Beauforta w „Potulnym Tygrysie”. Aresztowania dokonał w klasyczny, podręcznikowy sposób i młody Merrill znalazł się w Shawshank niespełna cztery miesiące po tym, jak ostrzegł go przed nim stary Merrill. Przyznanie się do winy spowodowało jedynie zmianę kwalifikacji przestępstwa, ale i tak posiedział oskarżony o włamanie.

Wyszedł na wolność wiosną 1989 roku. Przeniósł się do Me-chanic Falls. Dostał tam pracę — wydział drogowy opiekujący się autostradą Oxford Plains partycypował w programie dla zwolnionych warunkowo i dał Ace'owi Merrillowi pracę robotnika drogowego oraz — na godziny — mechanika w garażach firmy.

Wielu z jego kumpli nadal kręciło się po okolicy, by nie wspomnieć już o dawnych klientach, wkrótce więc Ace był znowu w biznesie i znowu dostawał krwotoków z nosa.

Trzymał się pracy, póki nie upłynął mu wyrok. Rzucił ją następnego dnia. Latający Bracia Corsonowie z Danbury w Connecticut zadzwonili do niego pewnego dnia. Niewiele czasu upłynęło, jak oprócz cukru pudru miał już na składzie i fajerwerki.

Najwyraźniej wymagania zwiększyły się nieco, gdy siedział w pudle: zamiast na rewolwerach i koltach, największe obroty miał teraz na pistoletach i karabinach maszynowych. Najlepszej transakcji dokonał, sprzedając odpalaną z ziemi raketę Thunderbolt pewnemu mówiącemu z południowoamerykańskim akcentem żeglarzowi. Dżentelmen ukrył raketę pod pokładem jachtu, po czym wypłacił Ace'owi siedemnaście tysięcy dolarów nowiutkimi setkami o przypadkowych numerach serii.

- Do czego użyje pan czegoś takiego? — spytał Ace z pewnym podnieceniem.

- A na co miałby pan ochotę, senior? — odparł żeglarz bez śladu uśmiechu.

I nagle, w lipcu, wszystko diabli wzięli. Ace nadal nie pojmował, jak to się właściwie mogło stać, miał tylko wrażenie, że jednak lepiej by zrobił, gdyby koką i bronią handlował wyłącznie pod egidą Latających Braci Corsonów. Ale przyjął dostawę kilograma kolumbijskiego towaru od faceta z Portland, płacąc za nią ich forszą. Zapłacił osiemdziesiąt pięć tysięcy, choć ta szczególna dostawa wydawała się warta dwa razy tyle — testy wykazywały najwyższą jakość. Ace zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien

brać się do takiego hurt, ale był całkowicie pewien, że poradzi sobie doskonale. W owych szczęśliwych dniach jego bojowym zawołaniem było: „nie ma sprawy”. Wiele się od tego czasu zmieniło. Bardzo, bardzo wiele.

Pierwszą oznaką zmian był telefon Dave'a Corsona z Danbury, Connecticut. Dave spytał Ace'a, o co mu, kurwa, chodzi? Chce im sprzedać sodę kuchenną jako kokainę? Facet z Portland najwyraźniej nabrał Ace'a z testami i w ogóle, a kiedy Dave się zorientował, przestał rozmawiać z nim tak przyjacielsko. W rzeczywistości zaczął z nim rozmawiać zdecydowanie wrogo.

Ace mógł zniknąć, ale zamiast rozplynać się w powietrzu, zebrał się na odwagę — nie brakło mu jej, choć był już w średnim wieku — i poszedł na spotkanie z braćmi Corsonami. Przedstawił im własną wersję tego, co się stało. Przedstawił im ją w budzie półciężarówki Dodge, w której to budzie leżał gruby dywan, stało podgrzewane łóżko wodne i która zamiast sufitu miała lustro. Był bardzo przekonujący. Musiał być bardzo przekonujący, bowiem półciężarówka stała zaparkowana na końcu polnej dróżki gdzieś kawałek drogi na zachód od Danbury, za jej kierownicą siedział czarnoskóry gość, nazywany Wielkim Timmym, a Latający Bracia Corsonowie, Mikę i Dave, siedzieli po obu stronach Ace'a uzbrojeni w karabiny bezodrzutowe H & K.

Przedstawiając im swój punkt widzenia, Ace przypomniał sobie słowa stryja, wypowiedziane tuż przed wpadką w „Potulnym Tygrysie”: „Ludzie nieostrożni kończą w Shank. Jeśli mają szczęście. Jeśli nie mają szczęścia, kończą, nawożąc bagno, dwa metry wzdłuż i metr w głąb”. Cóż, pierwsze z twierdzeń Popa okazało się stuprocentowo słuszne — a teraz Ace musiał użyć całej dostępnej mu sztuki przekonywania, by i drugie nie okazało się równie prawdziwe.

Był bardzo przekonujący. I w którymś momencie wypowiedział dwa magiczne słowa: Ducky Morin.

— Kupiłeś to gówno od Duckiego? — spytał Mikę Corson, z niedowierzaniem, szeroko otwierając przekrwione oczy. — Jesteś pewien, że to był on?

— Jasne, że jestem pewien — odparł Ace — a co?

Latający Bracia spojrzeli sobie w oczy i jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Ace nie wiedział, z czego się śmieją, ale cieszył się z ich śmiechu; miał wrażenie, że to dobry znak.

- Jak wyglądał? — spytał Dave Corson.
- Wysoki. Nie taki wielki jak on — Ace wskazał palcem



kierowcę siedzącego za kółkiem z walkmanem na uszach i koły-

szącego się w rytm muzyki, którą tylko on słyszał — ale wysoki. To Kanuk. Mówi: jak tak, panie. Ma w uchu mały złoty kolczyk.

- To nasz stary Ducky, kaczonek Duffy — stwierdził Mikę Corson.
  - Prawdę mówiąc, cholernie dziwne, że nikt go jeszcze nie wykończył — powiedział Dave. Spojrzał na brata. Obaj potrząsnęli głowami, najwyraźniej zdumieni.
  - Myślałem, że jest w porządku. Ducky zawsze był w porządku.
  - Ale przecież ty przez jakiś czas siedziałeś, nie? — zaintrygował się Miko.
  - Urlop w hotelu „Pod Kratkami” — dodał Dave.
  - No więc pod twą nieobecność Ducky zaczął brać — wyjaśnił Mick. — I błyskawicznie zszedł na psy.
  - A ostatnio coraz częściej robi pewien stary numer — uzupełnił Dave. — Łapie rybki, wiesz? Z przynętą. Pojmujesz? Ace przemyślał to i przecząco pokręcił głową.
  - Pojmujesz, pojmujesz — zapewnił go Dave. — W ten sposób wystawił cię dupą pod wiatr. Ducky pokazał ci mnóstwo torebek pełnych białego proszku. W jednej była autentyczna koka, w innych gówno. I tak zrobił z ciebie gówniarza.
  - Przecież sprawdziłem. Wybrałem torebkę na chybił trafił! Sprawdziłem go!
- Mikę i Dave wymienili ponure spojrzenia.
- Sprawdził go — powiedział Dave.
- Wybrał torebkę na chybił trafił — powiedział Miko.
- Podnieśli oczy do nieba, spojrzeli na siebie w umieszczonym pod sufitem lustrze.
- Co? — Ace patrzył to na jednego, to na drugiego. Cieszył

się z tego, że znali Ducky'ego, cieszył się też, że wiedzą, iż nie miał zamiaru okantować ich, ale mimo wszystko był przygnębiony. Traktowali go jak durnia, a Ace Merrill nie jest przecież i nie może być durniem!

- Co „co”? — zainteresował się Mikę Corson. — Gdybyś nie był pewien, że sam wybrałeś torebkę, transakcja nie doszłaby do skutku, nie? Ducky jest jak uliczny magik, powtarzający do znużenia ten sam stary trick. „Wybierz kartę, jakąkolwiek kartę”. Słyszałeś to może, ty dupku?

Ace wściekł się — mimo karabinów.

- Nie mów do mnie w ten sposób! — wrzasnął.
- Będziemy do ciebie mówić, jak nam się podoba — stwierdził

Dave. — Wisisz nam na osiemdziesiąt pięć kawałków, zabezpieczonych na razie na ładunku głównianej sody kuchennej wartej może dolar pięćdziesiąt. Będziemy ci mówić „Panie Dupoasku”, jeśli tylko tak się nam spodoba.

Bracia spojrzeli sobie w oczy — najwyraźniej porozumiewali się bez słów. Dave wstał, klepnął Wielkiego Timmy'ego po ramieniu i oddał mu swój karabin, po czym obaj opuścili samochód, odeszli i wdali się w ożywioną rozmowę, stojąc blisko siebie wśród krzaczków na granicy pola jakiegoś farmera. Ace nie słyszał ich rozmowy, ale doskonale wiedział, czego ona dotyczy. Bracia uzgadniali, co mają z nim zrobić.

Czekając na wyrok, usiadł na krawędzi wodnego łóżka, pocąc się jak świnia. Wielki Timmy rozwalił się w skórzanym fotelu, w którym siedział poprzednio Mikę Corson; ścisnął w garści karabin i rytmicznie kiwał głową. Ze słuchawek jego walkmana dobiegały Ace'a cichutkie głosy Maryina Gaye i Tammi Terrell; Marvin i Tammi, wówczas na samym topie, śpiewali „To był mój błąd”.

Mikę i Dave wrócili do samochodu.

- Mamy zamiar dać ci trzy miesiące na zwrot długu — oznajmił Mikę. Ace odczuł ulgę tak wielką, że zrobiło mu się słabo. — Na dziś wygląda to tak, że forsa sprawi nam większą przyjemność niż możliwość obdarcia cię ze skóry. I jest jeszcze jedna sprawa.

- Mamy zamiar wykończyć Duckiego Morina — przejął pałeczkę Dave. — To gównu śmierdzi już zbyt długo.

- Facet psuje nam opinię — wtrącił Mikę.

- Naszym zdaniem znajdziesz go bez kłopotu — powiedział Dave. — Uzna, że kto raz był dupkiem, zawsze będzie dupkiem.

- Jakieś pytania, dupku? — zakończył Mikę.

Ace nie miał żadnych pytań. Na razie bezgranicznym szczęściem napelniał go sam fakt, że przeżyje jeszcze jeden weekend.

— Masz czas do pierwszego listopada — oznajmił jeszcze Dave. — Pierwszego listopada zwracasz nam forszę i bierzemy się do Duckiego. A jeśli nie będziesz miał forsy... no, zobaczymy, na ile kawałków dasz się pociąć, nim poddasz się i zdechniesz.

Kiedy bomba poszła w górę, Ace miał kilkanaście sztuk broni automatycznej i półautomatycznej. Większość podarowanych mu trzech miesięcy spędził, próbując wymienić cały zapas na gotówkę.

Gotówkę zamierzał zamienić na kokę. Koka była najlepsza jako walor, dający wymienić się na dużą sumę w krótkim czasie.

Ale rynek na broń akurat się załamał. Ace zdołał sprzedać zaledwie połowę zapasu, i to tę lżejszą — nic więcej. W drugim tygodniu września w pubie „Dobra Robota” w Lewiston spotkał obiecującego klienta. Klient dał do zrozumienia, jak najdobitniej się dało, że ma zamiar kupić co najmniej sześć, a może nawet dziesięć sztuk ciężkiej broni automatycznej, jeśli transakcji towarzyszyć będzie kontakt na odpowiedzialnego handlarza amunicją. Ace mógł mu dogodzić jak nikt — jeśli chodzi o amunicję, Latający Bracia Corsonowie byli najbardziej odpowiedzialnymi z handlarzy, których znał.

Tuż przed dobieciem targu Ace poszedł do ponurej toalety pocieszyć się parę razy. Otaczało go poczucie radosnej ulgi — odczuwał coś, co sprowadziło na złą drogę nawet kilku prezydentów: wierzył, że wreszcie dostrzegł światelko w tunelu.

Na zbiorniku toalety położył lusterko, które nosił zawsze w kieszeni koszuli, i właśnie wysypywał na nie kokę, kiedy od urynału najbliższego jego kabince rozległ się jakiś głos. Nigdy nie dowiedział się, kto go ostrzegł; był za to pewien, że anonimowy przyjaciel oszczędził mu do piętnastu lat w więzieniu federalnym.

— Facet, z którym rozmawiasz, ma przy sobie podsłuch — powiedział głos. Ace wyszedł z toalety i uciekł z pubu tylnymi drzwiami.

Cudem uniknąwszy nieszczęścia (w głowie mu nawet nie powstało, że ktoś mógł po prostu zabawić się jego kosztem), Ace pograżył się w czymś w rodzaju odrętwienia. Bał się zrobić cokolwiek oprócz kupienia od czasu do czasu odrobiny koki na własny użytek. Nigdy jeszcze nie doświadczył uczucia tak całkowitej bierności. Tego wręcz nie znosił, lecz nie wiedział, jak się z niego wyrwać. Każdego ranka zaraz po przebudzeniu patrzył w kalendarz. Pierwszy listopada wydawał się pędzić w jego kierunku.

Dziś przed świtem obudził się nagle, mając całkowitą, absolutną pewność świecąca mu w mózgu niczym dziwne niebieskie światelko: powinien wrócić do domu. Powinien natychmiast wrócić do Castle Rock. Tam znajdzie odpowiedź na wszystkie pytania, wszystkie wątpliwości. Wrócić do domu — to dopiero wydawało

mu się właściwe, lecz nawet gdyby okazało się niewłaściwe, zmiana otoczenia może przecież pomóc mu przewyciężyć ten przedziwny paraliż woli.

W Mechanic Falls był tylko Johnem Merrillem, byłym więźniem żyjącym w przyczepie z plastikowymi oknami i kawałkiem dykty zamiast drzwi. W Castle Rock był zawsze Ace'em Merrillem, upiorem pojawiającym się w koszmarach całego pokolenia dzieciaków. W Mechanic Falls był biednym białym śmieciem ze slumsów, właścicielem robionego na zamówienie dodge'a niema-jącym nawet garażu. W Castle Rock, przynajmniej przez jakiś czas, był kimś w rodzaju króla.

A więc wrócił, przyjechał, wszystko pięknie ładnie, tylko co teraz?

Nie miał pojęcia, co teraz. Miasteczko wydawało mu się mniejsze, bardziej ponure i puste niż

niegdyś. Pangborn pewnie kręci się tu gdzieś po okolicy; Bili Fullerton prędzej czy później zaśnie na telefonie, by poinformować szeryfa, kto powrócił do miasta. Pangborn znajdzie go wtedy i spyta: „A co ty właściwie tu robisz?”. Spyta, czy Ace ma pracę. Nie miał pracy i nie mógł nawet udawać, że chce odwiedzić stryja, bowiem stryj był w swej budzie, kiedy spłonęła do fundamentów. „No więc dobrze, Ace — powie w końcu Pangborn — wsiadaj w to swoje cudencko i wynoś się stąd w diabły”.

Co ma właściwie na to powiedzieć?

Nie miał pojęcia, ale jednego był pewien: płonące w mózgu niebieskie światełko nie przygasło ani na chwilę.

Parcela, na której stało „Emporium Galorium”, nadal była pusta, zarośnięta chwastami, pełna ulicznych śmieci; widział też kawałki nadpalonej dykty. Rozbite szkło odbijało blask słońca, rażący oczy. Nie było tam nic ciekawego, ale Ace mimo wszystko miał zamiar przyrzeć się działce. Przeszedł przez ulicę, dotarł już niemal do krawężnika, kiedy zauważył zieloną markizę nad sklepem o dwie parcele dalej.

„Sklepik z marzeniami” — przeczytał. Też mi nazwa dla sklepu! Postanowił przyrzeć mu się bliżej. Parcela, na której stryj ustawił kiedyś swą pułapkę na turystów, może poczekać — nie sądził, by ktoś miał zamiar ją ukraść.

Kiedy podszedł bliżej „Sklepiku z marzeniami”, dostrzegł tabliczkę POTRZEBNA POMOC, lecz nie zwrócił na to uwagi. Nie wiedział, po co właściwie przyjechał do Castle Rock, ale z pewnością nie po to, by zatrudnić się jako tragarz.

Na wystawie zauważył trochę ekstratowaru. Gdyby obrabiał dom jakiegoś bogaczowi, coś podobnego zabrałby w pierwszej kolejności. Rzeźbione szachy w kształcie dzikich zwierząt. Naszyjnik z czarnych pereł; wyglądał na drogi, tylko że pewnie perły są sztuczne, *przecież* nikogo z tej pipidowy nie stać byłoby na prawdziwy naszyjnik z czarnych pereł, ale niezła robota, wyglądają jak prawdziwe. I...

Zwężonymi oczami Ace przyjrzał się leżącej za naszyjnikiem książce. Leżała grzbietem do góry, tak że patrząc na wystawę, bez przeszkód widziało się jej okładkę, na której wyobrażono dwóch mężczyzn stojących nocą nad krawędzią wykopu. Jeden z nich miał w rękę łopatę, drugi łom. Mężczyźni najwyraźniej kopali w ziemi dziurę. Tytuł książki brzmiał: „Zakopane skarby Nowej Anglii”; nazwisko autora wypisano poniżej rysunku, małymi białymi literami.

Autorem zaś był Reginald Merrill. Ace podszedł do drzwi. Poruszył klamką, która obróciła się lekko. Zadzwonił poruszony skrzydłem drzwi dzwoneczek.

Ace Merrill wstąpił w progi „Sklepiku z marzeniami”.

- Nie — powiedział Ace, patrząc na książkę, którą zdjął z wystawy i wręczył mu sprzedawca. — To nie ta, o którą mi chodziło. Dał mi pan złą książkę.

- Zapewniam pana, że tylko ona leżała na wystawie — odparł sprzedawca, najwyraźniej nieco zdziwiony. — Proszę bardzo, jeśli mi pan nie wierzy, może pan sam sprawdzić.

Ace omal nie podszedł do wystawy, opanował się jednak i tylko westchnął ciężko.

— Nie, nie ma o czym mówić — stwierdził.

Książką, którą podał mu sprzedawca, była „Wyspa skarbów” Roberta Louisa Stevensona. Nietrudno było domyślić się, co się właściwie stało — tyle myślał o Popie, że się pomylił. Prawdziwą pomyłką był jednak powrót do Castle Rock. Do cholery, co mu właściwie strzeliło do głowy?

- Niech pan posłucha, bardzo sympatyczny jest ten pana sklepik, ale mam tu coś do załatwienia. Wpadnę jeszcze do pana, panie...

- Gaunt — przedstawił się sprzedawca i wyciągnął dłoń. — Leland Gaunt.

- Ace automatycznie podał mu rękę, która natychmiast została zamknięta w mocnym uścisku. W momencie, w którym ich dłonie się zetknęły, poczuł przypływ wielkiej, niemal paraliżującej siły, umysł zaś ponownie wypełnił mu blask błękitnego światła, niczym rozbłysk wschodzącego słońca. Cofnął dłoń, oszołomiony, kolana się pod nim ugięły.

— Co to było? — spytał słabym głosem.

— „Zwrócenie uwagi”, tak to się chyba nazywa — powiedział pan Gaunt, spokojnie, lecz stanowczo. — Lepiej, żeby uważał pan, kiedy do pana mówię, panie Merrill.

— Moje nazwisko! Nie przedstawiłem się panu.

- Och, przecież wiem, kim pan jest. Czekałem na pana.

- Na mnie? Jak to, na mnie?! Nie wiedziałem, że tu przyjadę,

póki nie wsiadłem do tego cholernego samochodu.

- Muszę na chwilę pana przeprosić.

Pan Gaunt podszedł do wystawy, pochylił się i zdjął z niej tabliczkę: POTRZEBNA POMOC, stawiając na jej miejsce inną, z napisem: ZAMKNIĘTE, DZIEŃ KOLUMBA.

- Co pan robi? — Ace czuł się jak facet, który upadł na elektrycznego pastucha pod całkiem sporym napięciem.
- Pracodawcy na ogół usuwają ogłoszenie: „potrzebuję pracownika”, jeśli już go znajdą — stwierdził stanowczo pan Gaunt. — Interes prowadzony przeze mnie w Castle Rock rozwija się bardzo dobrze, potrzebuję więc silnych ramion i pomocnej dłoni. Jestem starym człowiekiem i łatwo się męczę.

- Zaraz, zaraz...

• Potrzebny mi także kierowca. Prowadzenie samochodu, jak rozumiem, jest twą podstawową umiejętnością. Pierwszym zadaniem, jakie ode mnie otrzymasz, Ace, będzie wyprawa do Bostonu. W garażu czeka tam na ciebie automobil. Z pewnością cię zainteresuje — to tucker.

• Tucker? — Ace na moment zapomniał, że nie przyjechał do Castle Rock, by nająć się jako pomocnik w sklepie... czy też jako kierowca. — Taki jak na tym filmie?

• Niezupełnie — stwierdził pan Gaunt, podszedł do lady, na której stała staroświecka kasa, wyjął klucz i otworzył znajdującą się pod spodem szufladę. Wyjął z niej dwie małe koperty. Jedną z nich położył na ladzie, drugą wręczył Ace'owi. — Został... przerobiony. Tu masz kluczyki.

- *Zaraz, zaraz, chwileczkę! Przecież mówiłem...*

Pan Gaunt miał oczy w jakimś dziwnym kolorze, którego Ace

nie potrafił określić, lecz gdy najpierw pociemniały, a potem rozbłysły skierowanym na niego ogniem, nogi znów się pod nim ugięły.

— Wpadłeś w paskudną kabałę, Ace, ale jeśli nie przestaniesz zachowywać się jak struś i nie wyjmiesz głowy z piasku, to prawdopodobnie nie będę dalej martwić się, jak ci pomóc. Pomocników mogę mieć tuzin za grosz. Możesz mi wierzyć, mam doświadczenie. Przez te wszystkie lata zatrudniałem ich setki, może nawet tysiące. Więc przestań mi tu pieprzyć i bierz te kluczyki!

Ace wyciągnął rękę po kopertę. Czubki ich palców zetknęły się i znów w głowie rozbłysnął mu mroczny, szalejący płomień. Jęknął.

— Pojedziesz pod adres, który ci podam — polecił pan Gaunt. — Samochód zostawisz w garażu, na miejscu mojego. Spodziewam się, że wrócisz najpóźniej o północy, choć moim zdaniem zajmie ci to o wiele mniej czasu. Mój wóz jest znacznie szybszy, niż to się może wydawać na pierwszy rzut oka. — Uśmiechnął się, pokazując wielkie, krzywe zęby.

Ace spróbował jeszcze raz.

- Niech mnie pan posłucha, panie...
- Gaunt.

Merrill kilkakrotnie szybko skinął głową — wyglądał jak marionetka w rękach bardzo niewykwalifikowanego lalkarza.

• No... w innych okolicznościach chętnie skorzystałbym z pańskiej propozycji. Jest pan osobą... interesującą. — Nie było to słowo, którego szukał, ale tylko to potrafił w tej chwili wypowiedzieć. — Ale ma pan rację. Siedzę w gównie i jeśli w ciągu najbliższych dwóch tygodni nie zdobędę sporej forsy...

• No a książka? — spytał Gaunt głosem, w którym rozbawienie zmieszane było z wyraźnie słyszalną naganą. — Czy nie chciałeś przypadkiem kupić książki?

- Nie tę, ale...

Nagle Ace stwierdził, że nadal trzyma książkę w rękach. Spojrzał na nią; rysunek na okładce nie zmienił się, ale autor i tytuł tak. „Zakopane skarby Nowej Anglii”. Autor: Reginald Merrill.

— Co się dzieje? — spytał ochrypłym głosem, lecz oczywiście



wiedział, co się dzieje. Wcale nie przyjechał do Castle Rock; był w Mechanic Falls, leżał w brudnym łóżku przyczepy i wszystko to tylko mu się przyśniło.

— Mnie przypomina książkę — stwierdził pan Gaunt. — Czy pański stryj nie nazywał się przypadkiem Reginald Merrill? Co za przypadek!

- Mój stryj nie napisał w życiu niczego oprócz mnóstwa kwitów i zeznań podatkowych — powiedział Ace tym samym, ochryplym i sennym głosem. Spojrzał w oczy właściciela „Sklepiku z marzeniami” i stwierdził, że nie może się od nich oderwać. Oczy pana Gaunta zmieniały kolor; były niebieskie... szare... piwne... orzechowe... czarne...

- No cóż, być może nazwisko widniejące na okładce to tylko pseudonim. Może tę właśnie książkę napisałem ja?

- Pan?

Pan Gaunt podparł brodę na palcach złożonych rąk.

— A być może to wcale nie jest książka? Być może cały ten mój specjalny towar nie jest tym, czym się wydaje? Być może to tylko coś bez koloru i kształtu z jedną jedyną wyjątkową cechą — zdolnością przyjmowania kształtu *rzeczy*, o których śnią mężczyźni i kobiety. — Przerwał na chwilę, a potem dodał jeszcze, z namysłem: — A może po prostu sprzedaję sny?

— Nic z tego nie kapuję.

Pan Gaunt uśmiechnął się.

- Wiem, oczywiście. Nie szkodzi. Ale gdyby twój stryj napisał jakąś książkę, Ace, to czy nie dotyczyłaby ona zakopanych skarbów? Czy nie można by powiedzieć, że skarby — te zakopane w ziemi i w ludzkich kieszeniach — były tematem, którym bardzo się interesował?

- Jasne, uwielbiał forszę — przyznał ponuro Ace.

- Więc co się stało z jego forszą? — krzyknął właściciel „Sklepiku z marzeniami”. — Może zostawił ją tobie? Z pewnością tak, czy nie jesteś jedynym żyjącym jego krewnym?

- Nie zostawił mi zasranego centa — odwrzasnął Ace ze znacznie większą furią. — W mieście mówili, że stary ma jeszcze pierwszego centa, którego zarobił, ale kiedy umarł, miał na rachunku niespełna cztery tysiące dolców. Wystarczyło akurat na pogrzeb i na uprzątnięcie burdelu po tej jego ruderze. Kiedy otworzyli jego skrzynkę depozytową, wie pan, co w niej znaleźli?

- Wiem. — I choć twarz wyrażała powagę, a nawet współczucie, oczy Gaunta śmiały się. — *Znaczki* skarbowe. Sześć odcinków kraciastych i czternaście złotych.

- No jasne! — Ace zerknął wściekle na „Zakopane skarby Nowej Anglii”. Niepokój, uczucie sennej dezorientacji minęło, przynajmniej na razie, pod wpływem szalonej wściekłości. — W dodatku złotych znaczków nie można już wymienić z powrotem na pieniądze! Firma zbankrutowała. Wszyscy w Castle Rock bali

się starego — Chryste, ja sam się go bałem! Wszyscy myśleli, że jest bogaty jak jakiś cholerny pieprzony Rockefeller, a on nie miał grosza!

— A może nie ufał bankom? — zauważył spokojnie pan Gaunt. — Może zakopał swe skarby? Jak sądzisz, czy to możliwe, Ace?

Ace otworzył usta, zamknął i znów otworzył.

— Daj spokój. Przypominasz rybę w akwarium.

Młodszy Merrill znów spojrział na trzymaną w rękę książkę. Otworzył ją i zaczął przewracać kartki, ciasno pokryte drobnym drukiem. Spomiędzy nich coś nagle wyleciało — duży, mocno zniszczony kawałek brązowego papieru, nierówno złożony. Ace rozpoznał go natychmiast: był to kawałek brązowej torby na zakupy z „HemphiH's Market”. Jakże często jako mały chłopiec obserwował stryja oddzierającego kawałki identycznego brązowego papieru z toreb trzymany pod

starożytną kasą. Często widział, jak na takich kawałkach wypisuje, a potem dodaje, kolumny cyfr... lub pisze zeznanie podatkowe.

Rozłożył go drżącymi dłońmi.

Od razu zorientował się, że ma do czynienia z mapą, ale nie od razu rozpoznał, co to za mapa — widział tylko linie, koncentryczne koła, krzyżyki.

- Co do diabła?
- Potrzebujesz tylko czegoś, co pomogłoby ci skupić uwagę — stwierdził pan Gaunt. — Może to okaże się pomocne?

Ace podniósł na niego wzrok. Na wierzchu stojącej przy kasie gablotki pojawiło się lustro w ozdobnej srebrnej ramie, a obok niego druga z wyjętych poprzednio przez Gaunta kopert. Gaunt wysypał na lustro wielką porcję kokainy. W doświadczonych oczach Ace'a wyglądała ona na niezwykle czystą, w jej płatkach tańczyły iskierki rzucane przez stojącą na gablotce lampkę.

- Jezu, proszę pana — powiedział, marszcząc nos w oczekiwaniu. — Czy to kolumbijska?
- Nie, to specjalna hybryda pochodząca z równin Leng. — Pan Gaunt wyjął z kieszeni złoty nożyk do listów i zaczął dzielić kokainę na równe, ogromne porcje.

- Gdzie to jest?
- Za górami, za lasami — odparł Gaunt, nie podnosząc wzroku. — O nic nie pytaj, Ace. Ludzie po uszy tkwiący w długach lepiej robią, ciesząc się po prostu z okazji, które same wpadają im w ręce.

Schował nożyk i z tej samej kieszeni wyjął szklaną rurkę.

— Poczęstuj się — powiedział grzecznie.

Rurka była zdumiewająco ciężka. To nie szkło — pomyślał Ace — raczej jakiś rodzaj kryształu górskiego. Pochylił się nad lustrem i nagle znieruchomiał. A jeśli stary ma AIDS albo coś?

*O nic nie pytaj, Ace. Ludzie po uszy tkwiący w długach lepiej robią, ciesząc się po prostu z okazji, które same wpadają im w ręce.*

— Amen — powiedział głośno Ace i głęboko wciągnął powie

trze. Poczuł wyraźny, bananowo-limonowy smak, będący zawsze dowodem klasy koki. Ta była łagodna, lecz także cholernie mocna. Poczuł, jak serce *zaczynu* mu walić w piersiach, a jednocześnie myśli nagle szybciej przesuwały się w głowie, błyszcząc ostrymi, chromowanymi krawędziami. Przypomnił sobie, co jeden kumpel powiedział mu, gdy sam dopiero zaczynał brać: „Rzeczy mają więcej nazw, kiedy jesteś zaćpany. O wiele więcej nazw”.

Wówczas go nie zrozumiał. Teraz chyba już wiedział, o co chodzi.

Podał rurkę Gauntowi, ale stary tylko potrząsnął głową.

- Nigdy przed piątą — powiedział — ale nie krępuj się, Ace.
- Dzięki.

Ace Merrill spojrział na mapę i stwierdził, że teraz znacznie łatwiej mu ją zrozumieć. Dwie równoległe linie, między którymi umieszczono krzyżyk, oznaczały z pewnością Blaszak. Wystarczyło tylko to, by bezbłędnie rozszyfrować resztę. Zygzak biegnący między liniami, poprzez X i w górę karteczki był drogą numer 117. Małe kółeczko obok większego kółka symbolizowało farmę Gavineaux; większe kółko to z pewnością obora. Dobra, doskonale, wszystko jest krystalicznie jasne i czyste jak kupka koki, którą ten nieprawdopodobny dziadek wysypał przed chwilą z torebki.

Ace znów pochylił się nad lusterkiem.

- Cel, pal! — szepnęła i dwie kolejne porcje zniknęły jak zdmuchnięte. Pif, paf! — Chryste, co za potężne świństwo — wydyszał.

- Bez dwóch zdań — r przytaknęła poważnie Gaunt.

Ace podniósł na niego wzrok, nagle stuprocentowo pewny, że robią go w konia, ale twarz Gaunta była spokojna i najzupełniej poważna. Powrócił więc do studiowania mapy.

Co oznaczają krzyżyki? Siedem, nie, chwileczkę, osiem krzyżyków. Jeden znajduje się chyba na jałowej, bagnistej ziemi starego Treblehorna... tylko że stary Treblehorn nie żył już od czterech lat i czy przypadkiem nie mówiło się w miasteczku, że

stryj Reginald zajął większość jego ziemi w zamian za niespłacony dług?

Drugi wyrysowano na granicy parku po przeciwnej stronie Castle Rock — o ile się nie mylił — dwa przy miejskiej drodze numer 3; znajdujące się obok kółko symbolizowało najprawdopodobniej farmę Joego Cambera, „Siedem Dębów”, i kolejne dwa to była ziemia należąca podobno do Diamond Match, po zachodniej stronie jeziora Castle.

Ace spojrzał na Gaunta dzikimi, przekrwionymi oczami.

— Czy to tam schował pieniądze? Czy to oznaczają krzyżyki?  
Czy oznaczają miejsca, w których schował pieniądze?

Pan Gaunt lekko wzruszył ramionami.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Na to wskazywałaby logika, lecz stosowana do analizy ludzkich zachowań logika często za wodzi.

- Ale... to przecież możliwe! — Ace zaczął szaleć z podniecenia i od nadużycia kokainy; czuł się tak, jakby w mięśniach jego ramion i brzucha rozwijały się wiązki miedzianych kabli. Błada twarz ze śladami po młodzieńczym trądziku pokryła się ciemnym rumieńcem. — To przecież możliwe! Wszystkie te krzyżyki... wszystkie mogą być na ziemi należącej do Popa! Nie rozumie pan? Mógł zachować tę ziemię, zastrzec, że nikomu nie wolno jej sprzedać... żeby nikt nigdy nie odkrył, co...

Wciągnął resztę koki z lusterka, a potem przechylił się przez ladę. Wytrzeszczone oczy omal nie wyskoczyły mu z orbit.

- Może nie tylko wydostanę się z tej kupy gówna — powie dział drżącym szeptem. — Może jeszcze będę bogaty!

- Oczywiście — przytaknął mu poważnie pan Gaunt. — Powiedziałbym, że to nawet prawdopodobne. Ale nie zapomnij o jednym, Ace. — Wskazał gestem na wiszącą na ścianie plaketkę:  
**NIE ZWRACAMY PIENIĘDZY I NIE WYMIENIAMY TOWA  
RU. CAYEAT EMPTOR!**

Ace spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- A co to znaczy?
- Znaczy to, że nie jesteś pierwszym człowiekiem pewnym,

że stanie się bogaty dzięki starej książce. Oznacza to także, że nadal potrzebuję pomocnika i kierowcy.

Ace spojrział na niego, głęboko wstrząśnięty, a potem nagle roześmiał się.

— Co to za żarty? — wskazał mapę. — Mam przed sobą sporo kopania.

Właściciel „Sklepiku z marzeniami” westchnął ciężko, złożył kartkę brązowego papieru, włożył ją z powrotem do książki, książkę zaś wsunął do szuflady pod kasą — wszystko to z błyskawiczną wręcz szybkością.

- Hej! — wrzasnął Ace. — Co pan wyprawia!
- Właśnie przypomniałem sobie, że obiecałem już tę książkę innemu klientowi, panie Merrill. Przykro mi. A sklep jest zamknięty, mamy przecież Dzień Kolumba, prawda?

- *Zaraz, zaraz...*

- Oczywiście, jeśli przyjąłby pan propozycję pracy, to jestem pewien, że dałoby się coś załatwić. Ale rozumiem, jest pan człowiekiem zajęтым. Niewątpliwie zechce pan uporządkować swe sprawy, nim bracia Corsonowie pokroją pana na kawałeczki.

Ace znów otworzył usta, zamknął je, otworzył — jak ryba w akwarium. Próbował przypomnieć sobie, gdzie były wszystkie te krzyżyki, i stwierdził, że nie może. W jego rozchwianym, wzlatującym ponad chmury umyśle zlały się w jeden, zdumiewająco przypominający krzyż na nagrobku.

- Dobra! Dobra! Biorę tę cholerną robotę!
- W takim razie, jak sądzę, książka nadal jest na sprzedaż... — Gaunt wyjął ją z szuflady, sprawdził cenę na skrzydełku obwołu ty. — Półtora dolara. — Obnażył krzywe zęby w drapieżnym uśmiechu rekina. — Ze zniżką dla pracowników — dolar trzydzieści pięć.

Ace wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni, wypuścił go z drżących rąk i pochylając się, omal nie rozwalil sobie głowy o gablotkę.

- Ale muszę mieć trochę wolnego — powiedział.
- Rozumiem.
- Naprawdę czeka mnie sporo kopania.
- Oczywiście.
- *Zaczyna* mi brakować czasu.
- Jakież jesteś mądry, iż zdajesz sobie z tego sprawę!
- Dostanę wolne, kiedy wrócę z Bostonu?
- A nie będziesz przypadkiem zmęczony?
- Panie Gaunt, nie mogę pozwolić sobie na zmęczenie!
- Tu akurat może mógłbym ci pomóc. — Uśmiech właściciela „Sklepiku z marzeniami” stał się jeszcze szerszy; wyszczerzone zęby upodobniły się nagle do zębów trupiej czaszki. — Może będę miał dla ciebie odrobinę środka pobudzającego.

- Co? — Ace gapił się na niego wytrzeszczonymi oczami. — Co pan powiedział?

- Nie rozumiem.
- Nie, nic. Nic — zgodził się szybko Ace. — Doskonale. Masz jeszcze kluczyki, które ci dałem? Zdumiony Ace stwierdził, że kopertę z kluczykami zdążył już włożyć do tylnej kieszeni spodni.

- Doskonale. — Gaunt wybił na kasie dolar trzydzieści pięć, wziął z lady pięciodolarowy banknot Ace'a i wręczył mu trzy sześćdziesiąt pięć. Ace przyjął resztę niczym we śnie.

- A teraz, Ace, pozwól, że udzielę ci kilku wskazówek. Pa miętaj, co powiedziałem — masz wrócić przed północą. Jeśli nie wrócisz przed północą, będę bardzo niezadowolony. Kiedy jestem bardzo niezadowolony, czasami tracę cierpliwość. A wtedy chętnie unikałbym sam siebie.

- A co, zlałby pan mnie? — zakpił Ace.

Pan Gaunt spojrział na niego z uśmiechem, lecz spojrzenie miał tak straszliwe, że Ace cofnął się o krok.

— Tak. Kiedy tracę cierpliwość, zlałbym nawet ciebie, Ace.

Jedną ręką. A teraz słuchaj mnie bardzo uważnie.

Ace cały zmienił się w słuch.

Za piętnaście jedenasta, właśnie kiedy Alan wybierał się do Nań na szybką kawę, zadzwonił wewnętrzny telefon. Sheila Brigham powiedziała, że dzwoni Sonny Jackett i chce rozmawiać z szeryfem i nikim innym.

Alan podniósł słuchawkę.

- Cześć, Sonny — powiedział. — Co mogę dla ciebie zrobić?
- Nie chciałbym dokładać panu kłopotów po tym wczorajszym pasztecie, szeryfie, ale wygląda, jakby pana stary przyjaciel właśnie wrócił do miasta. — Jackett mówił z przeciągłym, wschodnim akcentem.

- Kto taki?
- Ace Merrill. Widzę stąd jego samochód, stoi zaparkowany przy głównej ulicy.

O, do diabła — pomyślał Alan. — Co mnie jeszcze czeka?

- A Ace'a widzisz?
- Nie, ale nie sposób pomylić się co do wozu. Dodge, zielony

jak rzygi, z tych, co się tak podobają „równym chłopakom”. Widziałem, jak wjeżdża do miasta.

- Dziękuję, Sonny.
- Nie ma o czym mówić. Jak pan sądzi, co to gównno robi w Castle Rock?
- Nie mam pojęcia. — Odkładając słuchawkę, Alan pomyślał



jeszcze: Będzie lepiej, jak się dowiem.

Koło zielonego challengera było wolne miejsce. Alan zaparkował na nim radiowóz numer jeden. Billy Fullerton i Henry Gendron wpatrywali się w niego z wielkim zainteresowaniem przez szybę zakładu fryzjerskiego. Pomachał im. Henry machnął ręką, wskazując na przeciwną stronę ulicy. Alan skinął głową i przeszedł na drugą stronę. Jednego dnia Wilma Jerzyck i Net-tie Cobb mordują się nawzajem wprost na ulicy, drugiego do miasta przyjeżdża Merrill. Castle Rock zmienia się najwyraźniej w cyrk.

Gdy wszedł na chodnik, dostrzegł Ace'a wyłaniającego się z cienia rzucanego przez markizę „Sklepiku z marzeniami”. Ace miał coś w dłoni, coś, czego Alan najpierw nie rozpoznał, a kiedy zbliżyli się do siebie, zrozumiał, że owszem, rozpoznał, tylko nie był w stanie uwierzyć własnym oczom. Ace Merrill nie należał do ludzi, których widzi się na ulicy z książką w ręku.

Spotkali się przy pustej parceli, na której stało niegdyś „Em-porium Galorium”.

— Cześć, Ace — powiedział Alan.

Ace Merrill nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdumiony jego widokiem. Wziął wiszące mu przy niedopiętym kołnierzyku koszuli przeciwsłoneczne okulary, potrząsnął nimi, aż się rozłożyły, i wsadził je na nos.

- No, no, no! Jak leci, szefie?
- Co robisz w Castle Rock? — spytał Alan bardzo spokojnie.

Ace z przesadnym, sztucznym zainteresowaniem przez dłuższą chwilę patrzył w niebo. Promienie słońca odbijały się iskierkami od ciemnych szkieł okularów.

- Ładny dzień, w sam raz na przejażdżkę. Jak w lecie.
- Tak, ładna pogoda. Masz ważne prawo jazdy?

W spojrzeniu Ace'a była wyraźna nagana.

- A czy jeździłbym samochodem, gdybym nie miał ważnego prawa jazdy? Przecież byłoby to nielegalne, prawda?
- Chyba nie odpowiedziałeś mi na pytanie.
- Zdałem powtórny egzamin tego samego dnia, kiedy skończył mi się wyrok. Jestem czysty, szeryfie. No i co? Odpowiedziałem

panu na pytanie?

- Może powinienem przekonać się na własne oczy?

• Boże, pan mi chyba nie dowierza! — Ace nadal mówił kpiącym, szyderczym głosem, lecz Alan wyraźnie wyczuł w nim gniew.

- Powiedzmy, że urodziłem się wczoraj.

Ace przełożył książkę do lewej ręki. Prawą wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni. Alan mógł wreszcie bliżej przyjrzeć się okładce: „Wyspa skarbów” Stevensona.

Spojrzał na prawo jazdy. Ważne, podpisane.

• Dowód rejestracyjny leży w schowku, jeśli zechce pan przejść na drugą stronę ulicy i rzucić nań okiem. — Gniew w głosie Ace'a stawał się coraz wyraźniejszy. Gniew oraz brzmiąca w nim zawsze arogancja.

• W tej sprawie mogę ci chyba zaufać. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, po co naprawdę wróciłeś do miasta?

• Popatrzeć na to! — Ace Merrill wskazał gestem puste miejsce po „Emporium Galorium”. — Nie wiem, dlaczego tego mi się akurat zachciało, i wątpię, by mi pan uwierzył, ale tak się składa, że to prawda.

Dziwne, ale w to akurat Alan był skłonny uwierzyć.

— Widzę, że kupiłeś sobie książkę.

- Umieć czytać. W to pewnie też pan nie uwierzy, co?

• No, no, no. — Alan wsadził kciuki za pas. — No, to pooglądałeś i poczytałeś...

- Poeta z pana, nie szeryf.

• Chyba masz rację. Dziękuję, że zwróciłeś mi uwagę na ten jakże istotny fakt. Pooglądałeś, poczytałeś, a teraz wyjedziesz?

• Znajdzie pan pewnie pretekst, żeby mnie przymknąć, nie? Czyżby nie znał pan słowa „rehabilitacja”, szeryfie Pangborn?

- Znam. Ale Ace Merrill zupełnie mi do niego nie pasuje.

- Nie prowokuj mnie, człowieku.
- Nie prowokuję. Kiedy zacznę, nie będziesz miał żadnych wątpliwości.

Ace zdjął okulary.

— Wy nigdy nie odpuszczacie, co? Wy... nigdy... nie... odpuścacie...

Na to Alan nie odpowiedział, Ace zaś po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Włożył okulary.

- Wie pan — stwierdził — chyba rzeczywiście wyjadę. Mam sporo roboty.

- Doskonale się składa. Kto pracuje, nie grzeszy.
- Lecz jeśli tylko zechcę, wrócę, rozumie pan?
- Oczywiście, Ace, i pragnę ci powiedzieć, że moim zdaniem nie byłby to najlepszy pomysł. Pojmujesz?
- Nie boję się pana.
- To widocznie jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem.

Ace przyglądał mu się przez chwilę przez lustrzane szkła okularów, a potem wybuchnął śmiechem. Alanowi nie podobał się ten śmiech, był złowrogi, dziwny, trochę szaleńczy. Stał i patrzył, jak Ace przechodzi przez ulicę tym swoim śmiesznym, rozkołysanym krokiem niegdysiejszego postrachu miasteczka, otwiera drzwiczki dodge'a i znika w jego wnętrzu. W sekundę później ryknął silnik. Z rur wydechowych wydobyły się kłęby spalin, ludzie stawali na ulicy i obracali się, sprawdzając, skąd pochodzi hałas.

Tłumik bez atestu — pomyślał Alan. Szklane włókno. Mógłbym mu wlepić mandat.

Tylko po co? Miał na głowie sprawy znacznie ważniejsze niż Ace Merrill, Ace zaś opuszczał Castle Rock. Miejmy nadzieję, że na dobre.

Patrzył, jak zielony challenger zawraca przez ciągłą linię i jedzie w kierunku rzeczki Castle i wyjazdu z miasta. Potem odwrócił się i z namysłem spojrział na zieloną markizę. Ace wrócił w rodzinne strony. Kupił książkę — dokładniej mówiąc „Wyspę skarbów”. Kupił ją w „Sklepiku z marzeniami”.

Byłem pewien, że dziś zamknięte — pomyślał Alan. — Czy na drzwiach nie wisiała tabliczka?

Podszedł do „Sklepiku z marzeniami”. Nie mylił się. Na drzwiach rzeczywiście wisiała tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE. DZIEŃ KOLUMBA.

Jeśli wpuścił Ace'a, może wpuści i mnie — pomyślał i właśnie podnosił rękę, by zapukać do drzwi, kiedy rozległ się brzęczyk pagera. Alan wyłączył go i stał przez chwilę, niezdecydowany... ale tak naprawdę nie wątpił ani przez chwilę, co powinien zrobić. Może prawnicy albo dyrektorzy wielkich firm mogą pozwolić sobie na to, by od czasu do czasu zignorować wezwanie, ale sze-

ryf — wybierany, nie mianowany — z pewnością nie może sobie na to pozwolić.

Ruszył w stronę samochodu, stanął nagle i odwrócił się błyskawicznie. Czuł się trochę jak dzieciak grający w komórki do wynajęcia, ten, co mówi stop i łapie kogoś, kto akurat nie zdążył usiąść. Powróciło uczucie — tym razem wyjątkowo silne, że jest obserwowany. Był pewien, że wisząca na drzwiach zasłona drgnie podejrzenie.

Nic takiego się jednak nie stało. „Sklepek z marzeniami” drzemał sobie jak przedtem w nienaturalnym październikowym upale i gdyby szeryf na własne oczy nie widział wyłaniającego się z jego wnętrza Ace'a, przysięgłby, że jest pusty.

Podszedł do radiowozu, zdjął mikrofon i zgłosił się.

- Dzwonił Henry Payton — poinformowała go Sheila. — Henry Ryan złożył wstępny raport dotyczący Nettie Cobb i Wilmy Jerzyck. Koniec.

- Zrozumiałem. Koniec.
- Henry mówi, że jeśli chcesz poznać treść raportu, będzie w biurze od zaraz do mniej więcej dwunastej. Koniec.
- Dobrze. Jestem na głównej ulicy, zaraz wracam. Koniec.
- Słuchaj, Alan...
- Tak?
- Henry spytał także, czy przed końcem tego stulecia za instalujemy sobie faks, żeby mógł nam wysyłać materiały, zamiast dzwonić do ciebie za każdym razem i czytać ci je na głos. Koniec.

- Następnym razem powiedz mu, żeby napisał w tej sprawie list do przewodniczącego Rady Miejskiej — powiedział z rozdrażnieniem Alan. — Nie ja ustaląm budżet i on o tym doskonale wie.

- Przecież powtarzam ci tylko jego słowa. Nie musisz się zaraz wściekać. Koniec.

Alan pomyślał, że to raczej Sheila sprawiała wrażenie wścieklej. — Koniec — powiedział, wsiadł do samochodu i odwiesił mikrofon. Spojrzał na budynek banku; wielki cyfrowy zegar z termometrem wskazywał dziesiątą pięćdziesiąt. Temperatura wynosiła trzydzieści dwa stopnie. Jezu, nie tego nam potrzeba—pomyślał. Każdy w miasteczku zastanawia się teraz, na kim mógłby się wyładować.

Wracał do Ratusza, prowadząc powolutku, zatopiony w myślach. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że w Castle Rock coś zaczyna się dziać, coś, co lada chwila może wyrwać się spod kontroli. To głupie, ale nie mógł pozbyć się tego wrażenia. Do diabła!

## Rozdział 13

Dziś nie było szkoły, ale Brian Rusk nie poszedłby na lekcje, nawet gdyby była.

Brian był chory.

Nie, nie cierpiał na żadną normalną chorobę: odrę, ospę ani nawet najbardziej poniżającą i paralizującą z nich wszystkich sraczkę. Nie była to także choroba umysłowa — oczywiście, że chodziło w niej o umysł, ale jego związek z chorobą wydawał się niemal trzeciorzędny. Chora była ta część Briana, która tkwiła w nim głębiej niż umysł — ta najważniejsza część, niedostępna igłom i mikroskopom lekarzy, postarzała się i zapadła na zdrowiu. Brian był zawsze pogodnym dzieckiem, ale słońce jego natury zaszło, skryło się za ciężkimi, coraz cięższymi chmurami.

Chmury zaczęły zbierać się po południu tego dnia, gdy obrzucił błotem prześcieradła Wilmy Jerzyck, zaczęły się zagęszczać wraz ze snem, w którym pojawił się pan Gaunt w kostiumie Dodgersów, oznajmiając mu, że nie skończył jeszcze płacić za kartę z Sandym Koufaxem... ale dziury w ich pokrywie istniały jeszcze, gdy rano schodził na śniadanie.

Ojciec, ubrany w szary kombinezon, który *zawsze* wkładał do pracy w „Dick Perry Siding and Door Company” w South Paris, siedział przy kuchennym stole, trzymając na kolanach portlandzkiego „Press-Heralda”.

- Cholerni Patrioci — powiedział, nie podnosząc wzroku znad gazety. — Kiedy wreszcie znajdą rozgrywającego, który potrafi rzucić tą cholerną piłką?

- Nie przeklinaj przy chłopcach — zwróciła mu uwagę stojąca przy kuchence Córa, ale w jej głosie nie było zwykłej, pełnej rezygnacji stanowczości; powiedziała to tak, jakby cały czas myślała o czymś innym. Brian usiadł i połał mlekiem płatki.

- Cześć, Bri! — powitał go radośnie Sean. — Miałbyś ochotę pójść dzisiaj do miasta? Pograć sobie na automatach?

- Może? Chyba... — Nagle Brian dostrzegł tytuł na pierwszej stronie czytanej przez ojca gazety i umilkł.

„W CASTLE ROCK BÓJKA DWÓCH KOBIEC KOŃCZY SIĘ ŚMIERCIĄ OBU!

To był pojedynek — twierdzi nasz informator w policji stanowej”.

Pod tytułem znajdowały się umieszczone obok siebie fotografie. Na jednej była Nettie Cobb, mieszkająca blisko nich, tuż za rogiem, na Ford Street. Mama twierdziła, że to wariatka, ale Brianowi zawsze wydawała się w porządku. Kilka razy zatrzymywał się na ulicy, żeby pogłaskać jej psa. Chyba niczym nie różniła się od innych mieszkańców miasteczka.

Kobietą na drugim zdjęciu okazała się Wilma Jerzyck.

Mieszał łyżką w talerzu, ale nic nie zjadł. Kiedy ojciec wyszedł do pracy, Brian wyrzucił płatki do śmieci, po czym zaszył się na górze, w pokoju. Spodziewał się, że mama zaraz przyjdzie, wypominając mu, że wyrzucił dobre jedzenie, podczas gdy w Afryce dzieci umierają z głodu (najwyraźniej uważała, że myśl o umierających z głodu dzieciach poprawia apetyt), ale mama się nie pojawiła; tego ranka sprawiała wrażenie zagubionej w swym własnym świecie.

Sean, jak zwykle, był jednak na miejscu i jak zwykle nudził.

- No więc, Bri? Chcesz pójść do miasta, prawda? Chcesz? — Przeształ w podnieceniu z nogi na nogę. — Pogramy sobie, a później może pójdziemy do tego nowego sklepu, o którym tyle opowiadają...

- Trzymaj się od niego z daleka! — krzyknął Brian, aż jego młodszy brat cofnął się o krok. Buzię miał przestraszoną.

- No, słuchaj, przepraszam, ale rzeczywiście nie chodź tam, Sean, dobra? Jest wstrętny.

Dolna warga Seana drżała.

- Kevin Pelkey twierdzi...
- Komu masz zamiar wierzyć? Temu głupkowi czy własnemu bratu? Ten sklep jest... — oblizwał wargi i nareszcie wypowiedział całą prawdę, tak jak ją rozumiał — ...jest zły.

- Co się z tobą dzieje? — spytał Sean wysokim, przenikliwym

głosem. — Od wczoraj zachowujesz się jak nieprzytomny. Mama też.

— Kiepsko się czuję, to wszystko.

- No cóż... — zamyślił się Sean i nagle twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. — To może gry wideo poprawią ci humor? Możemy *zagrać* w „Rajd powietrzny”, Bri! Mają „Rajd powietrzny”! Ten, w którym siedzi się w środku i wszystko się kołysze. Taki fajny!

Przez moment Brian rozważał ten pomysł, a potem go odrzucił. Nie wyobrażał sobie, by mógł pójść do salonu gier. Z pewnością nie dziś, a być może już nigdy. Spotkałby tam wszystkich kolegów — dzisiaj na dobrą grę, taką jak „Rajd powietrzny” — trzeba by pewnie czekać w kolejce; a on bardzo się już od nich różnił i być może na zawsze pozostanie inny.

W końcu ma przecież kartę Sandy'ego Koufafa z 1956 roku!

Mimo wszystko chciał zrobić coś dobrego Seanowi, komukolwiek — może jakoś wynagrodziłoby to tę potworność, którą wyrządził Wilmie Jerzyck. Więc powiedział bratu, że może pójdzie pograć po południu, ale na razie, proszę, weź sobie kilka moich ćwierćdolarówek, braciszku. Wytrząsnął monety z dużej plastikowej butelki po coli, która służyła mu za skarbonkę.

- Jezu! — Sean spojrział na niego okrągłymi ze zdumienia oczami. — To osiem... dziewięć...

dziesięć ćwiartek. Chyba naprawdę zachorowałeś!

- Aha, chyba naprawdę zachorowałem. Baw się dobrze, bracie. I nie mów nic mamie, bo każe ci odłożyć je na miejsce.
- Mama jest u siebie, nieprzytomna w tych okularach. Nie wie nawet, że żyjemy. — Sean zamilkł na chwilę, a potem dodał: — Nienawidzę tych ciemnych okularów. Są dziwne. Przyjrzał się starszemu bratu. — Naprawdę kiepsko wyglądasz, Bri — stwierdził.
- I nie czuję się najlepiej — powiedział Brian zgodnie z prawdą. — Chyba się położę.
- No... to może trochę na ciebie poczekam. Zobaczymy, czy poczujesz się lepiej; Będę oglądał filmy rysunkowe na kanale pięćdziesiątym szóstym. Zejdź, jak ci się poprawi. — Sean potrząsnął monetami w złożonych dłoniach.
- Oczywiście — powiedział Brian i cicho zamknął drzwi za swym małym braciszkiem.

Ale nie czuł się ani odrobinę lepiej. W miarę jak mijał dzień, czuł się

*(chmurniej)*

gorzej i gorzej. Myślał o panu Gauncie. Myślał o Sandym Koufaksie. Myślał o tym wielkim nagłówku w gazecie: W CAS-TLE ROCK BÓJKA DWÓCH KOBIET KOŃCZY SIĘ ŚMIERCIĄ OBU! Myślał o zdjęciach, znajomych twarzach wyłaniających się z rzędów kropek.

W którymś momencie zaczął nawet zasypiać, ale na parterze odezwał się mały adapter. Mama znów słuchała zdartych singli Elvisa Presleya. Ostatnio niemal bez przerwy.

W głowie chłopca myśli wirowały jak strzępki papieru pochwycone przez cyklon.

Śmiertelna bójka.

„Wiesz, mówią, że jesteś klasa... ale to zwykle kłamstwo...”.

Był to pojedynek.

Morderstwo: Nettie Cobb, pani z pieskiem.

„Nigdy nie złapałeś króliczka...”.

Kiedy masz ze mną do czynienia, lepiej pamiętaj o dwóch sprawach



Bójka: Wilma Jerzyck, pani od prześcieradeł.

Pan Gaunt wie lepiej

„...nie jesteś przyjacielem”.

Umowa o morderstwo nie została dotrzymana, póki pan Gaunt nie powie, że została dotrzymana.

Myśli wirowały mu w głowie, mieszanka strachu, winy i żalu pulsująca w rytm złotych przebojów Elvise Presleya. W południe Brian poczuł, jak ściska mu się i skręca żołądek. Popędził do toalety przy końcu korytarza, mając na nogach wyłącznie skarpetki; wymiotował jak najciszej potrafił. Żeby mama nie usłyszała. Mama była nadal w sypialni, Elvis mówił jej właśnie, że chce być jej pluszowym misiem.

Kiedy Brian wracał do swojego pokoju, czując się znacznie gorzej niż przedtem, nagle z całą, straszną pewnością pojawiła mu się w głowie myśl, że jego karta z Sandym Koufaxem znikła. Ktoś ukradł ją zeszłej nocy, kiedy spał. Współuczestniczył w morderstwie z powodu karty, a teraz karta znikła!

Pobiegł, niemal przewrócił się o leżący na podłodze dywanik, wyciągnął segregator z górnej półki szafy. Przewracał kartki tak gwałtownie, że kilka z nich wręcz zerwał z kółek. Karta — ta karta — była jednak na miejscu; na ostatniej stronie szczupła twarz patrzyła na niego zza plastikowej osłony. Była na miejscu; chłopiec poczuł, jak zalewa go fala wielkiej, żalosalnej ulgi.

Wyjął kartę z kieszonki, wrócił do łóżka i położył się, trzymając ją w złożonych dłoniach. Nie wyobrażał sobie, by w ogóle kiedykolwiek mógł ją puścić. To jedyne, co wygrał na tym koszmarze, tylko ona mu pozostała. Nie lubił jej już, ale to była jego karta. Gdyby mógł przywrócić do życia Nettie Cobb i Wilnę Jerzyck paląc ją, natychmiast pobiegłby do kuchni po zapalki (przynajmniej *szczerze* w to wierzył), ale nic nie przywróci im życia, a skoro tak, to stracić jeszcze i kartę, nie mieć nic, wydawało mu się nie do zniesienia.

Leżał na wznak, trzymając kartę w dłoniach, patrzył w sufit i słuchał dobiegającego z sypialni rodziców cichego głosu Elvise. Nic dziwnego, że Sean powiedział mu, jak źle wygląda — Brian miał bladą twarz, wielkie, podkrążone, pozbawione odrobiny życia oczy. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, serce także pozbawione było odrobiny życia.

Nagle nowa myśl przemknęła mu przez głowę, straszna i przerażająca rozcięła mrok błyskiem światła niczym pędząca poprzez ciemność kometa. Widzieli mnie!

Usiadł na łóżku, sztywno wyprostowany, przerażony, gapiąc się na odbicie samego siebie w lustrzanych drzwiach szafy. Jaskrawozielony szlafrok. Jaskrawoczerwona chustka na masie lokó-

wek. Pani Misluburski!

„Co tam się dzieje, chłopcze?”.

„Nie wiem, ale chyba państwo Jerzyckowie się pokłócili”. Brian zerwał się z łóżka. Podeszedł do okna pewien, że zaraz na ich podjazd wjedzie radiowóz prowadzony przez szeryfa Pang-borną. Na razie na podjeździe nie było żadnego radiowozu, ale z pewnością pojawi się jutro. Bowiemy kobiety zabijają się w bójce, z pewnością zaczyna się śledztwo. Pani Misluburski zostanie przesłuchana. I powie, że przed domem Jerzycków widziała chłopca. Chłopcem tym, powie szeryfowi Pangbornowi, był Brian Rusk.

Na dole rozdzwonił się telefon. Matka nie odbierała, choć jeden z aparatów znajdował się w sypialni. Po prostu śpiewała w duecie z Elvisem. W końcu słuchawkę podniósł Sean. — A kto mówi?

Wyciągnie to ze mnie — pomyślał Brian i nagle ogarnął go wielki spokój. — Nie umiem kłamać, a już zwłaszcza policjantowi, Nie potrafiłem nawet okłamać pani Leroux, gdy pytała, kto stłukł tę wazę na jej biurku, kiedy musiała pójść do pokoju nauczyciel-

skiego. Wyciągnie ze mnie wszystko. Pójdę do więzienia za morderstwo.

Właśnie wówczas Brian zaczął myśleć o samobójstwie. Nie były to myśli smutne i romantyczne, lecz chłodne i bardzo racjonalne. Ojciec miał w garażu strzelbę. Strzelba ojca stała się nagle odpowiedzią na wszystkie pytania.

- Briaaaaan! Telefon!
- Nie chcę rozmawiać ze Stanem! Powiedz mu, że zadzwonię

jutro.

— To nie Stan! — odwrzasnął Sean. — To jakiś facet. Dorosły!

Wielkie lodowate dłonie sięgnęły serca Briana i ścisnęły je mocno. Koniec. Dzwoni szeryf Pangborn.

*Brian? Chciałbym ci zadać kilka pytań. To bardzo ważne pytania i gdybyś nie chciał na nie odpowiedzieć, musiałbym chyba po ciebie przyjechać. Musiałbym przyjechać po ciebie policyjnym samochodem. Twoje nazwisko natychmiast trafiłoby do gazet, zdjęcie do telewizji. Obejrzeliby je wszyscy twoi przyjaciele. Zobaczyliby je tata i mama, i twój młodszy braciszek też. A kiedy będą pokazywali to zdjęcie, komentator powie: „ To Brian Rusk, chłopiec, który pomógł zamordować Wilnę Jerzyck i Nettie Cobb”.*

- P.. .p.. .p.. przedstawił się? — krzyknął cienkim, skrzeczącym głosem.

- Tak jakby ! — Telefon oderwał Seana od „transformersów”, co wprowadziło go w nie najlepszy nastrój. — Powiedział, że nazywa się Crowfix czy jakoś tak.

- Crowfix?

Brian stał w drzwiach pokoju. Serce mocno biło mu w piersi. Wysoko na półkach płonęły dwa małe, jaskrawe rumieńce.

Nie, nie Crowfix.

Koufax.

Sandy Koufax chce z nim rozmawiać przez telefon? Oczywiście, Brian wiedział doskonale, kim ten Koufax jest naprawdę.

Zszedł po schodach, powłócząc nogami, jakby były z ołowiu. Słuchawka telefoniczna wydawała się ważyć ze dwieście kilo.

- Cześć, Brian — powiedział cicho pan Gaunt.

- Cze...cze... cześć — odparł Brian tym samym piskliwym, skrzeczącym głosem.

- Nie musisz się o nic martwić — zapewnił go pan Gaunt. — Gdyby pani Misluburski widziała, jak rzucasz kamieniami, nie spytałaby cię przecież o to, co się dzieje u Jerzycków, prawda?

- Skąd pan o wszystkim wie? — Brianowi znów zebrało się na mdłości.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, Brian. Najważniejsze, że postąpiłeś właściwie. Postąpiłeś najwłaściwiej jak to tylko możliwe. Powiedziałeś, że twoim zdaniem państwo Jerzyckowie się pokłócili. Jeśli policja cię odnajdzie, pomyślą, że po prostu słyszałeś, jak ktoś rzuca kamienie. Pomyśli, że nie widziałeś go, bo był po drugiej stronie domu.

Brian zajrzał przez łuk do dużego pokoju — musiał upewnić się, że Sean nie podsłuchuje. Sean

nie podsłuchiwał, siedział przed telewizorem ze skrzyżowanymi nogami, zajadając uprażoną w kuchence mikrofalowej kukurydzę.

- Nie umiem kłamać — szepnął do słuchawki. — Kiedy próbuję, zawsze mnie na tym łapią.

- Tym razem będzie inaczej, Brian — zapewnił go pan Gaunt. — Tym razem zachowasz się jak prawdziwy bohater.

Gorsza od wszystkich poprzednich myśl przemknęła przez głowę Briana. Pan Gaunt wiedział lepiej — także o tym.

Podczas gdy starszy syn rozmyślał o samobójstwie, a potem rozpaczliwym szeptem konferował z panem Gauntem, Córa Rusk tańczyła zmysłowo po swej sypialni.

Tylko że nie była to jej sypialnia.

Kiedy wkładała okulary, które sprzedał jej pan Gaunt, przenosiła się do Gracelandu.

Tańczyła od jednego wspaniałego pokoju do drugiego wspaniałego pokoju; wszystkie pięknie pachniały, a jedynym w nich dźwiękiem był cichy szum klimatyzacji (rzeczywiście większość okien Gracelandu zamknięta była na głucho, a wszystkie zasłaniały kotary), szelest jej stóp, muskających puszyste dywany i błagalny głos Elvisa śpiewającego „My Wish Came True”. Przebiegła w tańcu pod wielkim kryształowym kandelabrem, wiszącym w jadalni, minęła słynne pawie na witrażach. Przesunęła dłońmi po miękkich, błękitnych aksamitnych draperiach. Pokój umeblowany był w stylu prowansalskim. Ściany miał czerwone jak krew.

Scena zmieniła się niczym w płynnym, filmowym ujęciu i oto Córa znalazła się w jaskini Elvisa w podziemiu. Na jednej ścianie wisiały rogi, inna wytapetowana była złotymi płytami. Trzecią

wypełniały wyłączone monitory telewizyjne. Półki za długim, wygiętym barem wypełnione były gatoradą: pomarańczową, cytrynową, limonową.

Na talerz jej starego, przenośnego adapteru, do którego winylowego wieczka przyklepiona była fotografia Króla, spadł kolejny singel i Elvis zaśpiewał „Blue Hawaii”. Córa zatańczyła hula-hula i oto znalazła się w pokoju tropikalnym, pełnym poważnych figurek bożków; stojąca w nim kanapa miała oparcia rzeźbione w mityczne potwory, ramę lustra stanowiły zaś pióra Wyrwane z

piersi żywym bażantom.

Córa Rusk tańczyła. Okulary ze „Sklepiku z marzeniami” zasłaniały jej oczy. Tańczyła w Gracelandzie, podczas gdy jej syn powoli wszedł po schodach, położył się do łóżka i patrząc w wąską twarz Sandy'ego Koufaksa, rozmyślał o alibi i o strzelbie.

Szkoła w Castle Rock stała niczym ponura ceglana góra pomiędzy pocztą a budynkiem biblioteki. Jej gmach był pamiątką z czasów, kiedy władze miejskie nie wyobrażały sobie, by szkoła mogła czymkolwiek różnić się od domu poprawczego. Ta wybudowana została w 1926 roku i wypełniała to szczególne zadanie w sposób prawie idealny. Co roku Rada Miejska zbliżała się o krok do podjęcia decyzji o budowie nowego gmachu, mającego prawdziwe okna zamiast wzierników, boisko nieprzypominające więziennego spacerniaka i klasy — cud na cudami! — ciepłe w zimie.

Klasa, w której Sally Ratcliffe prowadziła lekcje wymowy, wygospodarowana została z piwnicy i mieściła się między kotłownią a magazynem pełnym papierowych ręczników, podręczników i paczek wonnych, czerwonych trocin. Biurko i sześć uczniowskich ławek wypełniały ją tak dokładnie, że trudno było się nawet obrócić, ale mimo wszystko Sally próbowała urządzić tę salkę tak pogodnie, jak tylko się dało. Wiedziała doskonale, że dzieci skierowane na lekcje wymowy: jąkały, dyslektycy, chłopcy

1 dziewczęta sepleniący lub mający problemy z przegrodą nosową, chodzą na nie z przykrością i strachem. Koledzy kpili z nich, rodzice denerwowali siebie i swe pociechy. Jeśli klasa będzie do tego ponura i odpychająca...

W suficie na zakurzonych piwnicznych rurach wisiały więc

dwie lekkie konstrukcje poruszające się przy najdrobniejszych podmuchach wiatru, na ścianach fotosy z gwiazdami telewizji i rocka, na drzwiach zaś wielki portret kota Garfielda. W dymku wychodzącym z jego ust wypisano: „Jeśli taki fajny kot jak ja może gadać jak najęty, ty też możesz!”.

Sally miała beznadziejne zaległości w papierach, mimo że szkoła zaczęła się zaledwie pięć

tygodni temu. Miała zamiar spędzić nad dziennikiem cały dzień, ale piętnaście po pierwszej zebrała notatki, wsadziła je do szuflady biurka, w której drzemały do tej pory, i przekręciła kluczyk w zamku. Próbowwała przekonać samą siebie, że wychodzi wcześniej, bo dzień jest zbyt piękny, by tkwić w piwnicy, ale zdawała sobie sprawę, że nie była to cała prawda. Miała ściśle określone plany na popołudnie.

Chciała wrócić do domu, usiąść w fotelu przy oknie w padającej jej na kolana smudze słonecznych promieni i medytować nad tym cudownym drewnkiem, które udało się jej kupić w „Sklepiku z marzeniami”.

Z dnia na dzień coraz bardziej była pewna, że ma do czynienia z prawdziwym cudem, jednym z tych drobnych, cudownych skarbów, które Bóg rozrzucił po Ziemi, by mogli je *znaleźć* wierni. Kiedy trzymała je w dłoniach, czuła się tak, jakby w upalny dzień ktoś ofiarował jej łyk chłodnej studziennej wody. Jakby ktoś jej, głodnej, dał kąsek strawy. Jakby...

No, trzymać je w dłoni było rozkoszą.

Coś ją także niepokoiło. Schowała drzazgę na najniższej półeczce szafy w sypialni, pod bielizną, upewniła się, że dokładnie zamknęła dom, ale z minuty na minutę rosła w niej niepokojąca pewność, że ktoś włamał się i ukradł jej

*(relikwię świętą relikwię)*

drewnko. Zdawała sobie sprawę, że to bez sensu — jaki złodziej kradłby zwykły kawałek skamieniałego drewna, nawet gdyby go znalazł? Ale gdyby przypadkiem go dotknął... gdyby dźwięki i obrazy wypełniły mu głowę tak, jak wypełniały jej, ilekroć zamykała drewnko w swej małej dłoni... wówczas...

Więc musi wrócić do domu. Włoży szorty i bluzeczkę, i następną godzinkę spędzi pogrążona w cichej

*(ekstazie)*

medytacji, czując, jak podłoga pod stopami zmienia się w pokład wznoszący się i opadający na fali, słysząc zwierzęta ryczące, muczące, beczące, czując na skórze promienie innego słońca, czekając na tę wspaniałą chwilę — wiedziała, że chwila ta musi

nadejść, jeśli tylko ścisnąć będzie drewnko wystarczająco długo, jeśli będzie bardzo, bardzo spokojna i bardzo, bardzo rozmodlona — kiedy dziób wielkiej, ciężkiej łodzi ze zgrzytem dotknie wierzchołka zatopionej góry. Nie wiedziała, dlaczego Bóg zechciał jej aż tak pobłogosławić, cudem tym wyróżnić spośród wszystkich swych wiernych, ale skoro już się na to zdecydował, Sally miała

zamiar w pełni nacieszyć się jego łaskami.

Wyszła na boisko, idąc w kierunku parkingu: wysoka, ładna, młoda kobieta o ciemnoblonde włosach i długich nogach. U fryzjera sporo o tych nogach mówiono, kiedy mijała salon, maszerując dziarsko w praktycznych pantoflach bez obcasów, z torebką w jednej ręce i Biblią, zazwyczaj nabitą broszurkami, w drugiej.

- Chryste, ta dziewczyna ma nogi do samej szyi! — powiedział raz Bobby Dugas.

- Niech cię to nie cieszy — odparł mu na to Charlie Fortin. — Nie poczujesz ich nigdy na swoim tyłku. Należy do Jezusa i Lestera Pratta, w tej kolejności.

Stwierdzenie to skwitował wybuch zdrowego męskiego śmiechu — jak każdy Naprawdę Świetny Dowcip! Sally Ratcliffe zaś, nieświadoma niczego i niezważająca na nic, pomaszerowała na wieczorne zajęcia z „Biblii dla Młodzieży”, zorganizowane przez wielebnego Rose'a.

Kiedy Lester Pratt wpadał do fryzjera (odwiedzał go co najmniej raz na trzy tygodnie, by mu wyrównano języka), nikt nie ośmielił się żartować na temat nóg Sally i w ogóle jej całej. Wszyscy w mieście, których cokolwiek to obchodziło, wiedzieli, oczywiście, że dla Lestera Sally popierduje perfumami i sra kwiatkami, a w tak drobnych sprawach nie warto ryzykować sporu z człowiekiem takim jak Lester. Lester był na ogół łagodnym, całkiem sympatycznym facetem, ale poczucie humoru kończyło mu się na Sally i Bogu, należał zaś do tych ludzi, którzy mogą powyrywać każdemu ręce i nogi, po czym zamontować je na kadłubie w całkiem nowy i wielce interesujący sposób.

Podczas wspólnych wieczorów bywało między nimi gorąco, ale nigdy nie Poszli Na Całość. Po tak gorących sesjach Lester wracał do domu w stanie całkowitego oszołomienia, z płonącą głową i jądrami pełnymi zrodzonego z rozbudzonych, a niezaspokojonych pragnień bólu, marząc o nie tak znów odległej nocy, kiedy nie będzie musiał powstrzymywać się całą siłą woli. Czasami zastanawiał się także, czy nie utopi jej tej pierwszej nocy, kiedy już Będzie Mu Wolno.

Sally także tęskniła do małżeństwa i końca ciągłej seksualnej frustracji... choć w ciągu ostatnich kilku dni pieszczoty Lestera straciły nieco ze swej słodyczy. Rozważała, czy nie powiedzieć mu o drewniku z Ziemi Świętej, kupionym w „Sklepiku z marzeniami”, drewniku-cudzie, i w końcu zdecydowała, że nie powie. Oczywiście tylko na razie. Kiedyś zdradzi mu tę słodką tajemnicę,

cudami trzeba dzielić się z ludźmi, jeśli się nimi nie dzielisz, popełniasz grzech. Zaskakiwało ją — oraz lekko niepokoiło — uczucie zazdrości, które odczuwała za każdym razem, kiedy myślała o tym, jak pokaże mu drewnienko, jak poprosi, by wziął je w dłoń.

— Nie! — krzyknął jej w głowie jakiś zły, dziecinny głos, kiedy rozważała ten problem po raz pierwszy. — Nie, to moje!

Nie będzie miało dla niego takiego znaczenia, jakie ma dla mnie. Nie mogę!

Nadejdzie dzień, w którym podzieli się z nim swym cudem, tak jak nadejdzie dzień, w którym podzieli się z nim swym ciałem — ale nie nadszedł jeszcze właściwy dzień ani na jedno, ani na drugie.

Ten zaś gorący październikowy dzień należy wyłącznie do niej.

Na nauczycielskim parkingu stało zaledwie kilka samochodów — mustang Lestera był wśród nich najnowszy. Ona sama miała mnóstwo problemów ze swoim wozem — bezustannie nawalał wał czy coś — ale nie była to istotna sprawa. Kiedy dziś rano zadzwoniła do Lestera z prośbą, żeby znów pożyczył jej mustanga (po tygodniowej pożyczce zwróciła mu samochód zaledwie poprzedniego dnia w południe), natychmiast zgodził się jej go podprowadzić. Powiedział, że pobiega sobie w drodze do domu, a potem wraz z grupką przyjaciół pojedą zagrać w futbol. Sally przypuszczała, że nalegałby, by przyjęła jego samochód, nawet gdyby go potrzebował, i to wydawało się jej najzupełniej w porządku. Wiedziała — w niejasny, nieokreślony sposób, będący wynikiem intuicji raczej niż doświadczenia — że Les skoczyłby dla niej w ogień i ten tak dawno wykuty łańcuch adoracji przyjmowała z naiwnym zadowoleniem. Les ubóstwiał ją, oboje ubóstwiali Boga, wszystko było tak, jak powinno być, wspomniały jest nasz świat, amen.

Wsiadła do mustanga i kiedy kładła torebkę na półeczce pod przednią szybą, dostrzegła, że spod siedzenia kierowcy wystaje coś białego, przypominającego kopertę.

Pochyliła się i wyciągnęła to coś, myśląc, że jest w tym jakaś

tajemnica, dziwne to doprawdy — Les dbał przecież o samochód tak jak o swoje ciało i utrzymywał go w identycznej czystości. Na kopercie znajdowało się tylko jedno słowo, ale na widok tego słowa Sally Ratcliffe aż się wzdrygnęła.

„Kochanie!”.

Delikatny, ozdobny charakter pisma.

Kobięcy charakter pisma.



Obróciła kopertę. Nic. Zaklejona.

— Kochanie? — powiedziała na głos, zdziwiona. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że siedzi w samochodzie Lestera, okna są zamknięte i poci się jak szalona. Włączyła silnik, opuściła okno od strony kierowcy, po czym pochyliła się i otworzyła także okno z drugiej strony.

Miała przy tym wrażenie, że siedzenie pasażera pachnie perfumami. Jeśli tak, nie były to jej perfumy, bo ona nie używała ani perfum, ani makijażu. Jej religia głosiła, że robią to tylko kurtyzany (no i nie musiała przecież się upiększać).

*A poza tym wcale nie były to perfumy, lecz tylko koniczyna więdnąca przy ogrodzeniu boiska — to wiosnie ją poczulaś.*

— Kochanie? — powtórzyła, patrząc na kopertę.

Koperta nie odpowiedziała. Leżała sobie tylko spokojnie na jej dłoni.

Sally przesunęła po niej palcami, a następnie wygięła ją kilkakrotnie. W środku na pewno znajdowała się kartka papieru, co najmniej jedna — a oprócz niej coś jeszcze. Najprawdopodobniej fotografia.

Podniosła kopertę do okna, ale nic to nie dało, słońce świeciło jej w plecy. Po krótkiej wewnętrznej rozterce wysiadła i uniosła ją do słońca. Niewiele na tym zyskała. Dostrzegła tylko jasny prostokąt, najprawdopodobniej list, i drugi, ciemniejszy — fotografię od

*(Kochanie)*

kogoś, kto wysłał liścik Lesterowi.

Tylko, oczywiście, nikt Lesterowi tego listu nie wysłał. Nie było na nim ani znaczka, ani adresu. Tylko to jedno dziwne słowo. Koperta nie została otwarta — co to oznaczało? Że ktoś wsunął ją do mustanga, podczas gdy ona, Sally, wypełniała dziennik?

Całkiem możliwe. Ale możliwe też, że ktoś wsunął ją do samochodu nocą albo nawet wczoraj, a Lester niczego nie zauważył. W końcu spod siedzenia wystawał tylko maleńki rożek, mógł wysunąć się dopiero dziś rano, kiedy jechała do szkoły.

— Dzień dobry, panno Ratcliffe — krzyknął ktoś. Sally momentalnie opuściła kopertę, kryjąc ją w fałdach sukienki. Serce biło jej mocno ze wstydu i poczucia winy.

Mały Billy Marchant szedł po przekątnej boiska z deskorolką pod pachą. Sally pomachała mu i szybko wsiadła z powrotem do samochodu, mocno zarumieniona. Głupie to; zachowywała się tak, jakby Billy przyłapał ją na robieniu czegoś, czego nie powinna robić.

*A nie robiłaś? Nie próbowałaś dobrać się do cudzego listu?*

Wówczas dopiero poczuła pierwsze ukłucie zazdrości. Zresztą, może ten list przeznaczony był jednak właśnie dla niej, w końcu wielu obywateli Castle Rock wiedziało, że ostatnio równie często jeździ samochodem Lestera, co swym własnym. A jeśli sam list nie należał do niej, to Lester Pratt z całą pewnością należał. Czy przed chwileczką nie była pewna tą spokojną pewnością, którą mieć mogą tylko młode, ładne chrześcijanki, że skoczyłyby dla niej w ogień?

Kochanie.

Nikt nie napisałby takiego listu do niej, tego przynajmniej była całkiem pewna. Nie miała przyjaciół zwracających się do niej: „Skarbie”, „Moja Droga”, „Kochanie”. Tak więc to list Lestera. I...

Nagle zrozumiała, co się stało, i opadła na szaroniebieskie siedzenie mustanga z westchnieniem ulgi. Lester uczył wychowania fizycznego nie tylko chłopców, lecz także dziewczęta, młode, łatwo zakochujące się dziewczęta. I był w końcu całkiem przystojny.

Jakaś zakochana uczennica wsunęła mu liścik do samochodu. To wszystko. Nie odważyła się nawet zostawić go na desce rozdzielczej, gdzie zostałyby zauważony natychmiast.

— Nie miałby nic przeciwko temu, żebym go otworzyła — powiedziała głośno i rozdarła kopertę równo, porządnie, wrzucając oddarty kawałek do popielniczki, w której nigdy nie znalazł się żaden niedopałek. — Pośmiejemy się z niego dziś wieczorem.

Odwróciła kopertę. Wprost na kolana wypadło z niej małe zdjęcie. Dostrzegła je i poczuła, jak serce przestaje jej na chwilę bić. Aż westchnęła, zdumiona. Na jej policzkach pojawiły się jaskrawe rumieńce. Uniosła dłoń do ust, rozwartych w małym „o” zaskoczenia.

Sally nigdy nie przekroczyła progu „Potulnego Tygrysa”, więc nie wiedziała, co znajduje się w tle. Nie była jednak całkowicie niewinna, oglądała telewizję, chodziła do kina, potrafiła więc rozpoznać bar. Fotografia przedstawiała mężczyznę i kobietę siedzących przy stoliku w rogu (natychmiast przypomniała sobie określenie: „przytulny kącik”) dużej sali. Na stole stał dzbanek piwa i dwie szklanki z napisem „Pilsner”. Przy sąsiednich stolikach, obok i wokół nich, siedzieli ludzie. Dalej widać było parkiet.

Mężczyzna i kobieta całowali się.

Ona miała na sobie błyszczącą, krótką bluzę kończącą się powyżej talii i spódniczkę najwyraźniej z białego lnu. Króciuteńką spódniczkę. Mężczyzna jedną dłonią, intymnym, pewnym gestem obejmował jej nagą talię, drugą wsuniętą miał pod spódniczkę, spod której wyglądał rąbek majteczek.

Tania dziwka — pomyślała z wściekłością Sally.

On obrócony był tyłem do aparatu; na zdjęciu widać było wyłącznie brodę i jedno ucho. Był jednak bardzo muskularny, a ciemne włosy przycięte miał tuż przy głowie w króciutkiego języka. Miał na sobie obcisły niebieski podkoszulek — uczniowie nazywali go kulturystką — i niebieskie spodnie od dresu z białym pasem na nogawce.

Lester.

Lester z łapą pod spódniczką jakiejś dziwki!

Nie! — Gdzieś, głęboko w głowie Sally rozległ się paniczny krzyk sprzeciwu. To nie może być on! Lester nie chodzi do barów. W ogóle nie pije. I nigdy nie pocałował innej dziewczyny, bo kocha mnie. Wiem, przecież...

— Przecież sam mi to mówił — powiedziała bezbarwnym, bezdźwięcznym głosem, który zdumiał ją samą. Pragnęła zgnieść zdjęcie, wyrzucić przez okno, ale jakoś nie potrafiła tego zrobić. Ktoś przecież mógłby je odnaleźć i co by sobie wówczas pomyślał?

Znów się nad nim pochyliła. Studiowała je zazdrosnym, przenikliwym wzrokiem.

Twarz mężczyzny zasłaniała niemal całą twarz kobiety, ale można było dostrzec jej zarys czoła, kącik jednego oka, lewy policzek i linię szczęki. Co ważniejsze, bez problemu widziało się przycięte krótko ciemne włosy, z kosmykami opadającymi na czoło.

Judy Libby miała ciemne włosy. I czesała je dokładnie tak, z kosmykami opadającymi na czoło.

Mylisz się — pomyślała Sally. Gorzej — oszalałaś. Lester zerwał z Judy, kiedy Judy zerwała z Kościołem. A potem wyjechała. Do Portland, Bostonu czy gdzieś tam. Ktoś robi ci obrzydliwy, świński dowcip. Wiesz przecież, że Lester nigdy by nie...

*Naprawdę? Czy naprawdę jesteś tego pewna?* Cała jej poprzednia spokojna pewność obróciła się teraz przeciw niej, kpiła z niej i żartowała, a głos, z którego istnienia nie zdawała sobie poprzednio sprawy, odezwał się gdzieś, z najgłębszej głębi jej serca: „Ufność niewinnych jest

największym darem dla kłamcy".

Przecież to wcale nie musi być Judy, przecież to wcale nie musi być Lester. Przecież nie sposób powiedzieć, kim naprawdę są ludzie, którzy się całują. Nie sposób powiedzieć, kim są nawet gwiazdy całujące się na ekranie, jeśli akurat spóźniłaś się do kina, trzeba czekać, aż przestaną i spojrzą w kamerę.

To nie kino — uświadomił jej ten nowy głos — tylko prawdziwe życie. A jeśli to nie on, to co zdjęcie robi w tym samochodzie? Przyjrzała się dokładnie prawej dłoni kobiety, spoczywającej lekko na karku (*Lestera* ?)

*mężczyzny*. Paznokcie miała długie, starannie wymanikiurowane, pokryte jakimś ciemnym lakierem. Paznokcie Judy Libby były identyczne. Sally doskonale pamiętała, że wcale nie zaskoczyło jej, kiedy Judy przestała przychodzić do kościoła. Dziewczyna z takimi paznokciami — pomyślała wówczas — z pewnością ma na myśli nie tylko Pana Zastępów.

Dobrze, więc najprawdopodobniej to Judy Libby. Co wcale nie znaczy, że musi być z nią Lester. Być może to Judy chce się odegrać na nas obojgu, bo Lester rzucił ją, kiedy przekonał się, że jest mniej więcej równie dobrą chrześcijanką co Judasz Iskariot. W końcu przecież wielu mężczyzn strzyże się na jeża, a każdy z nich może włożyć niebieski podkoszulek i spodnie od dresu z białymi pasami przy nogawkach — mundur trenera.

I nagle Sally dostrzegła coś jeszcze. Poczowała, jak jej serce wypełnia się ołowiem. Mężczyzna miał na przegubie zegarek — kwarcowy. Rozpoznała go, choć na zdjęciu wyszedł trochę nieostro. Nie miała najmniejszego kłopotu z jego rozpoznaniem — w zeszłym miesiącu dała go Lesterowi w prezencie, na urodziny.

Najprawdopodobniej to czysty przypadek — pomyślała słabo. W końcu to tylko seiko, na nic innego nie było jej stać. Każdy może kupić sobie identyczny. Ale nowy głos roześmiał się chrypliwie, z rozpaczą. Nowy głos koniecznie chciał wiedzieć, kogo próbuje oszukać. Było także coś więcej. Nie mogła dostrzec wsuniętej pod spódnicę dziewczyny dłoni (i Bogu niech będą za to dzięki), ale wyraźnie widziała ramię, na tym ramieniu zaś, tuż

poniżej łokcia, dwa duże pieprzyki. Niemal się dotykały, na pierwszy rzut oka przypominając ósemkę.

Ile razy czule przesuwała po nich palcami, kiedy siedzieli z Lesterem na ganku, na bujanej ławeczce. Ile razy całowała je z miłością, kiedy on pieścił jej piersi (opancerzone ciężkim bius-

tonozem, troskliwie dobranym na tę okazję), dysząc jej w ucho czułe słówka i wieczyste obietnice miłości?

A więc z pewnością był to Lester. Zegarek można zdjąć i założyć, lecz pieprzyki... Przypomniała sobie fragment dyskotekowej piosenki: „Złe dziewczyny... o, ho, ho... a, jaj, jaj!”.

— Tania, tania, tania dziwka — syknęła na fotografię z nagłą wściekłością. Jak on mógł do niej wrócić! Jak mógł!

Może — powiedział głos — dała mu coś, czego ty nie chciałaś mu dać.

Sally westchnęła głęboko, wciągając powietrze ze świstem, przez zaciśnięte zęby.

— Przecież siedzą w barze! Lester nie...

Nagle zdała sobie sprawę, że to najzupełniej drugorzędna sprawa. Jeśli Lester widywał się z Judy, jeśli okłamał Sally w tej sprawie, to pytanie, czy pije piwo, nie wydaje się już najważniejsze, prawda?

Sally odłożyła fotografię. Drżącą ręką wyjęła z koperty liścik, napisany na pojedynczej brzoskwińowej kartce z papeterii o falistym brzegu. Karta pachniała lekko, słodko, dusząco. Podniosła ją do nosa, głęboko wciągnęła powietrze.

— Tania dziwka! — warknęła ochryłym, pełnym cierpienia głosem. Gdyby w tej chwili pojawiła się przed nią Judy Libby, Sally rzuciłaby się na nią z pazurami, choć były takie krótkie. Właściwie szkoda, że jej tu nie ma. I Lestera. Kiedy już by z nim skończyła, przez dłuższy czas nie byłby w stanie zagrać w futbol. Przez bardzo długi czas!

Rozłożyła liścik. Był krótki, napisany pochyłym charakterem pisma uczennicy.

„Les, kochanie,

Felicia zrobiła to zdjęcie tej nocy, kiedy byliśmy w »Tygrysie«. Powiedziała, że powinna nas nim szantażować, ale tylko żartowała. Dała je mnie, a ja przekazuję tobie jako pamiątkę naszej WSPA-NIAŁEJ NOCY. STRASZNIE BRZYDKI z ciebie chłopczyk, włożyłeś mi rękę pod spódnicę »w miejscu publicznym«, ale tak mnie to PODNIECIŁO. A poza tym jesteś TAKI SILNY! Im dłużej patrzyłam na to zdjęcie, tym się robiłam »gorętsza«. Jak się bliżej przyjrzeć, widać mi bieliznę! Dobrze, że Felicii nie było

później, kiedy nie miałam na sobie bielizny!!! Do zobaczenia jak najszybciej, a tymczasem zatrzymaj to zdjęcie na moją pamiątkę. Będę myślała o tobie i o twoim WIELKIM. Lepiej już

przestanę, bo będę taka »gorąca«, że zrobię coś brzydkiego. I proszę, nie martw się WIESZ KIM. Jest zbyt zajęta romąsem z Jezusem, żeby się martwić nami.

Twoja Judy".

Sally siedziała za kierownicą mustanga Lestera Pratta niemal pół godziny, czytając list raz za razem, gotując się z gniewu, zazdrości i poczucia krzywdy. Było w tym także sporo seksualnego podniecenia, ale do tego nie przyznałaby się nikomu, a już na pewno nie sobie.

Ta głupia dziwka nie wie nawet, jak się pisze „romans” — pomyślała.

Wodziła oczami po liście, wychwytyjąc poszczególne wyrazy, przede wszystkim te wypisane dużymi literami. WSPANIAŁA NOC. BRZYDKI chłopczyk. PODNIECIŁO. TAKI SILNY, twój WIELKI.

Jedno zdanie powracało jednak najczęściej, jedno podniecało jej wściekły gniew najskuteczniej, jedno bluźnierczo parodiowało rytuał komunii: „...weź to zdjęcie na moją pamiątkę”.

Przed oczami wyobraźni Sally pojawiły się obsceniczne obrazy. Usta Lestera zamykające się na sutce piersi Judy i Judy jęcząca: „To pij na moją pamiątkę”. Lester klęczący między jej rozwartymi udami i ona mówiąca mu: „bierz i jedz na moją pamiątkę”.

Zgniotła brzoskwiniową kartkę i cisnęła ją na podłogę samochodu. Siedziała za kierownicą sztywno wyprostowana, oddychała ciężko, włosy zwisały jej z głowy w spoconych strąkach (czytając list, nieświadomie raz za razem przesuwiała po nich dłonią). Po chwili podniosła ją z podłogi, wygładziła i wraz ze zdjęciem schowała do koperty. Ręce drżały jej tak bardzo, że udało się jej dokonać tego dopiero za trzecim razem, a w dodatku rozdarła kopertę wzdłuż brzegu niemal do połowy.

— Tania dziwka! — krzyknęła i wreszcie wybuchnęła płaczem. Płakała gorącymi, palącymi jak kwas łzami. — Suka! Ty...! Ty...! Ty... kłamliwy sukinsynu!

Gwałtownie przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik ryknął z gniewem niemal równym temu, który czuła ona sama. Sally szarpnęła

dźwignią automatycznej skrzyni biegów, ustawiając ją w pozycji dojazdu, wcisnęła gaz i wystrzeliła z parkingu w chmurze niebieskiego dymu, z piskiem topiących się na rozgrzanym asfalcie opon. Billy Marchant, ćwiczący zwroty na deskorolce, podniósł głowę zdumiony.

W piętnaście minut później siedziała już w sypialni, przekopując szufladę z bielizną, szukając swego drewnianka i nie mogąc go *znaleźć*. Gniew na Judy i tego kłamliwego sukinsyna, Lestera, przyćmiewał powoli narastający strach — co będzie, jeśli drewnienko zniknęło? Co będzie, jeśli jednak, mimo wszystko, zostało skradzione?

Podartą kopertę przyniosła ze sobą do domu. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nadal trzyma ją w dłoni i że koperta utrudnia jej poszukiwania. Odrzuciła ją i garściami zaczęła wyrzucać z szuflady praktyczną, wełnianą bieliznę. Kiedy poczuła, że dłużej już nie zdoła powstrzymać okrzyku strachu, wściekłości i żalu, dostrzegła drzazgę. Wyciągnęła szufladę tak gwałtownie, że przesunęła się ona w jej głąb aż do samego rogu.

Chwyliła drewnienko i natychmiast poczuła znajome uczucie łagodnego spokoju. Drugą ręką złapała list, po czym podniosła do oczu oba cuda: dobry i zły, święty i bluźnierczy, alfę i omegę.

Wsadziła kopertę do szuflady, przykrywając ją wrzuconą w nieładzie bielizną. Usiadła po turecku, pochyliła głowę nad drewnienkiem. Zamknęła oczy, spodziewając się, że zaraz poczuje znajome kołysanie, spodziewając się spokoju, który nawiedzał ją zawsze, gdy słyszała głos zwierząt, biednych głupich zwierząt ocalonych w czasach zepsucia przez łaskę Boga.

Zamiast tego z drewnianka przemówił do niej głos mężczyzny, który je jej sprzedał.

— Naprawdę, powinnaś zrobić z tym porządek — przemówił z głębi relikwii pan Gaunt. — Powinnaś zrobić porządek z tą wstrętną... wstrętną sprawą.

— Wiem — powiedziała Sally Ratcliffe. — Tak, wiem.

Całe popołudnie przesiedziała w swym rozgrzanym panieńskim łóżku, marząc i myśląc; drewnienko zaś rzucało wokół niej ciemny cień, cień przypominający głowę okularnika.

„Oto mój król, cały w zieleni, iko iko w ten cudowny dzień... nie mężczyzna, lecz miłości więzień”.

Podczas gdy Sally Ratcliffe medytowała w kręgu ciemności, Poily Chalmers siedziała w jaskrawych promieniach słońca przy oknie, które otworzyła, by wpuścić do pokoju niespodziewanie ciepłe powietrze październikowego popołudnia. Szyła na maszynie, śpiewając „Iko Iko” czystym, miłym, niskim głosem.

Rosalie Drake podeszła do niej ze słowami:

— Znam kogoś, kto lepiej się dziś czuje. Na ucho nawet znacznie lepiej.

Poiły podniosła na nią wzrok, uśmiechając się dziwnie dwuznacznym uśmiechem.

- Tak i nie — odparła.
- Oczywiście chcesz przez to powiedzieć, że czujesz się lepiej

i nic nie możesz na to poradzić, prawda?

Poiły zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym skinęła głową. Słowa Rosalie nie oddawały całej prawdy, ale też nie były od niej dalekie. Dwie kobiety, które wczoraj zginęły razem, dziś znów były razem, w zakładzie pogrzebowym Samuel-sa. Jutro rano w dwóch różnych kościołach odbędzie się ich pogrzeb, lecz po południu obie znów będą sąsiadkami — na cmentarzu. Poiły uważała, że jest częściowo odpowiedzialna za ich śmierć. W końcu gdyby nie ona, Nettie nigdy nie wróciłyby do Castle Rock; to ona napisała wszystkie niezbędne listy, chodziła na wszystkie niezbędne przesłuchania, znalazła jej nawet dom. Dlaczego? Dziwne, ale nie pamiętała nic więcej niż to, że postępowanie takie wydawało się jej kiedyś chrześcijańskie, a poza tym było obowiązkiem wobec starej przyjaciółki rodziny.

Nie zrzuciłyby z siebie tej odpowiedzialności, nie dałyby sobie niczego wytłumaczyć (Alan, bardzo mądrze, nawet nie próbował), ale nie była pewna, czy po raz drugi nie postąpiłyby tak samo. Istota szaleństwa Nettie Cobb najwyraźniej wymknęła się spod kontroli, nie dała zmienić, niemniej jednak Nettie przeżyła trzy szczęśliwe lata w miasteczku — a być może trzy takie lata są lepsze niż długie, niezmiennie godziny w szpitalu dla psychicznie chorych, podczas których czekałyby na śmierć ze starości lub z rozpacz. A jeśli jej uczynek równał się złożeniu podpisu na wyroku śmierci Wilmy Jerzyck... to czy nie Wilma osobiście wypisała sobie ten dokument? Przecież to Wilma, nie ona, zakłuła korkociągiem wesołego i łagodnego pieska Nettie.

Jakaś inna, prostsza część Poiły żałowała po prostu śmierci przyjaciółki, zdumiewała się faktem, że przyjaciółka zdolna była do czegoś takiego w chwili, gdy ona, Poiły, była tak pewna, że się jej poprawia.

Niemal cały ranek spędziła, przygotowując pogrzeb i wydzwanając do nielicznych krewnych Nettie (wszyscy oni dali jej do zrozumienia, że nie będą na pogrzebie, czego oczywiście się spodziewała). Zajęcie to, rzeczowe i urzędowe podejście do śmierci, pomogło jej skoncentrować się i opanować żal... co jest niewątpliwie celem pogrzebowego rytuału.



Zostało jednak kilka spraw, o których nie potrafiła zapomnieć. Na przykład lasagne. Lasagne nadal stała w lodówce przykryta aluminiową folią chroniącą ją od wyschnięcia. Może wraz z Alaniem zjedzą ją dziś na kolację — jeśli oczywiście Alan będzie mógł w ogóle przyjść. Sama nie da rady. Sama tego nie zniesie.

Wspominała, jak błyskawicznie Nettie zorientowała się, że bardzo bołą ją dłonie, jak znakomicie sobie z tym bólem poradziła, jak przyniosła jej rękawice termiczne, twierdząc stanowczo, że tym razem mogą pomóc. No i oczywiście jej ostatnie słowa brzmiały: „Kocham cię, Poily”.

— Ziemia do Poily, Ziemia do Poily, Poily, odezwij się, czy mnie słyszysz? — wyskandowała Rosalie. Wraz z Poily wspominała Nettie dziś rano, przypominały sobie nawzajem ten i ów drobiazg, popłakały się nawet wspólnie w magazynku, trzymając się w ramionach wśród bel płótna. Teraz Rosalie sprawiała wrażenie szczęśliwej — być może dlatego, że słyszała, jak Poily śpiewa.

A może dlatego — myślała Poily — że Nettie nie wydawała się im zupełnie rzeczywista. Tkwiła ukryta w cieniu — nie w całkowitej ciemności, oczywiście, lecz właśnie w mroku sprawiającym, że trudno było ją zauważyć. I dlatego ich żal był tak... nieokreślony.

- Słyszę cię — powiedziała do Rosalie. — Czuję się lepiej, nic na to nie poradzę i jestem za to bardzo wdzięczna. Czy to mniej więcej załatwia sprawę?
- Mniej więcej — zgodziła się Rosalie. — Nie wiem, co mnie bardziej zaskoczyło, kiedy przyszłam: to, że śpiewałaś, czy to, że szylaś na maszynie. Pokaż dłonie.

Z takimi dłońmi Poily nie miała oczywiście szans na wygranie

żadnego konkursu piękności: palce były wygięte, a guzy Heberdena groteskowo powiększały ich kostki, niemniej wyraźnie widać było, że opuchlizna zmniejszyła się znacznie od ostatniego piątku, kiedy to ból zmusił Poily do wcześniejszego wyjścia z pracy.

- Jejej! Nadal cię bołą?
- Oczywiście, ale nie czułam się lepiej od miesiąca. Patrz! —

Zgięła palce, powoli zacisnęła pięści. Potem rozprostowała je, równie powoli. — Co najmniej od miesiąca nie byłam w stanie dokonać czegoś takiego. — Prawda, o czym doskonale wiedziała, była jeszcze gorsza: nie była w stanie zacisnąć pięści, nie doświadczając przejmującego bólu przynajmniej od kwietnia, może maja.

- Jej!

— No, więc czuję się lepiej. Gdyby tylko Nettie była tu, by cieszyć się wraz ze mną, niczego by mi nie brakowało.

Trzasnęły drzwi do pracowni.

- Pójdiesz zobaczyć, kto to? — poprosiła Poiły. — Chciała bym skończyć wszywać ten rękaw.

- No pewnie! — Rosalie przystanęła w drzwiach i obejrzała się. — Nettie nie miałyby nic przeciwko temu, że czujesz się lepiej i jesteś wesoła.

Poiły poważnie skinęła głową.

— Wiem — powiedziała.

Rosalie wyszła przyjąć klienta. Poiły sięgnęła ręką do piersi i dotknęła niewielkiej wypukłości, nie większej od żołądka, spoczywającej pod różowym swetrem między jej piersiami.

Azka, co to za cudowne słowo — pomyślała, uruchamiając maszynę i obracając materiał sukienki, pierwszej sukienki od przeszło roku, pod błyskającą igłą.

Zastanawiała się także, ile pan Gaunt zażąda za azkę. Ile by zażądał i tak nie będzie to za dużo. Nie mogę podchodzić tak do handlu — powiedziała sobie — ale przecież to czysta prawda. Ile by zażądał, sprzeda ją za tanio.

## Rozdział 14

Członkowie (i jedna członkini) Rady Miejskiej Castle Rock mieli wspólną sekretarkę,

dziewczynę o egzotycznym nazwisku Ariadnę St. Claire. Była to wesoła osóbką, niezbyt wprawdzie bystra, lecz niezmordowana i całkiem ładna. Jej wielkie piersi falowały pod sweterkami z angory — których miała najwyraźniej niewyczerpany zapas — niczym wysokie, strome wzgórza, a cera była piękna. Za grubymi okularami w rogowej oprawie kryły się wielkie, nieprzytomne brązowe oczy. Granat całkiem ją lubił. Jego zdaniem była zbyt głupia, by należeć do Nich.

Za piętnaście czwarta Ariadnę zapukała do jego gabinetu.

- Przyszedł Dekę Bradford, panie Keeton — powiedziała. — Potrzebuje pana podpisu na formularzu zwolnienia funduszków na zakup. Podpisze pan?

- Cóż, zobaczymy, co tu mamy — powiedział Granat, błyskawicznie wsuwając do szuflady lewistońskie „Daily Sun”, otwarte na programie wyścigów.

Czuł się znacznie lepiej. Był skupiony, gotów do akcji. Wstrętne różowe karteczki spalił w kuchennym piecu, Myrtle przestała się kurczyć jak maltretowany kot, gdy tylko się do niej zbliżał (nie zależało mu już na Myrtle, ale strasznie denerwujące jest przecież życie pod jednym dachem z kimś, kto uważa cię za Kubę Rozpruwacza), spodziewał się także wrócić dziś z wyścigów z nową porcją gotówki. W dniu wolnym będzie więcej graczy, a więc i wypłaty będą wyższe.

Zaczął już myśleć kategoriami porządków i tripli.

A jeśli chodzi o zastępcę Dupka i szeryfa Skurwiela oraz resztę ich wesołej drużyny... cóż, on sam i pan Gaunt wiedzą o Nich, a miał wrażenie, że z panem Gauntem stworzy zespół nie do pobicia.

Ze wszystkich tych powodów uprzejmie powitał Ariadnę w swym gabinecie i nawet z odrobiną przyjemności obserwował, jak jej pierś faluje łagodnie w swej niewątpliwie imponującej uprzęży.

Sekretarka położyła mu na biurku rachunek do podpisu. Granat podniósł go i odchylił się w fotelu. Suma wpisana była w rubrykę na górze: dziewięćset czterdzieści dolarów. Pieniądze trafić miały do „Case Construction and Supply” w Lewiston. W rubrykę: Nabyte towary i/lub Usługi Dekę wpisał: „16 skrzynek dynamitu”. W rubryce Komentarze/Wyjaśnienia napisał zaś:

„Trafiliśmy wreszcie na granitową ścianę w kamieniołomie przy drodze miejskiej nr 5, tę, przed którą ostrzegali nas geolodzy stanowi w 1987 (szczegóły w moim raporcie). W każdym razie za ścianą jest jeszcze mnóstwo żwiru, ale żeby się do niego dostać, musimy ją rozwalić. Powinno się to zrobić przed zimowymi chłodami i opadami śniegu. Jeżeli przez zimę będziemy musieli kupować

zwir w Norway, podatnicy zażądają naszych głów. Trzy lub cztery ładunki powinny wystarczyć. Case ma duży zapas dynamitu wysokiej jakości — sprawdzałem. Możemy go mieć jutro w południe i zacząć rozwalać tę ścianę w środę. Miejsca zostały oznaczone, gdyby ktoś z biura rady chciał się pofatygować i obejrzeć je sobie, proszę bardzo".

Pod tekstem widniał podpis Deke'a.

Granat przeczytał notatkę dwukrotnie, z namysłem stukając palcem w zęby. Ariadnę cierpliwie czekała na jego decyzję. W końcu Granat pochylił się nad biurkiem, dokonał zmiany w formularzu, dopisał zdanie w „Uwagach”, podpisał zmianę i dodatek, po czym z rozmachem sygnował dokument i oddał go sekretarce. Wręczając jej kartkę różowego papieru, uśmiechał się.

— No i już — powiedział. — A ludzie twierdzą, że taki ze mnie skąpiec.

Ariadnę zerknęła na formularz. Granat skreślił sumę dziewięć-ciuaset czterdziestu dolarów, zmieniając ją na tysiąc czterysta dolarów. Pod notatką Deke'a wyjaśniającą, na co potrzebny mu dynamit, dopisał: „Lepiej kupić od razu co najmniej dwadzieścia skrzynek, póki można dostać je tanio”.

- Ma pan zamiar pojechać do kamieniołomu, panie Keeton? — spytała.

- Nie, nie, to nie będzie konieczne. — Granat rozparł się w fotelu, splatając dłonie na karku. — Tylko poproś Dekę'a, żeby

dał mi znać, kiedy przyjdzie dostawa. To kupa dynamitu. Nie chcemy przecież, żeby wpadł w niepowołane ręce, prawda?

— Ależ oczywiście — przytaknęła Ariadnę i wyszła. Z ulgą. W uśmiechu pana Keetona było coś... upiornego.

Granat tymczasem obrócił fotel i przyglądał się głównej ulicy Castle Rock, znacznie ruchliwszej niż poprzednio, w sobotni ranek. Wiele się od tego czasu zdarzyło, a on oczekiwał, że podczas kilku następnych dni zdarzy się jeszcze więcej. No pewnie, z dwudziestoma skrzynkami dynamitu w magazynie Departamentu Robót Publicznych (do którego miał oczywiście klucz) zrobić można niemal wszystko.

Nie „niemal”. Po prostu wszystko.

Ace Merrill przejechał przez Tobin Bridge i wjechał do Bostonu o czwartej, ale dopiero o piątej znalazł się w miejscu, w którym powinien się znaleźć.

W każdym razie miał nadzieję, że to właściwe miejsce.

Była to przedziwna, prawie całkowicie opuszczona dzielnica slumsów w Cambridge, w środku szalonej płataniny uliczek. Połowa z nich była jednokierunkowa, druga połowa kończyła się ślepo. Zrujnowane domy zrujnowanej dzielnicy rzucały na ulice długie cienie. Ace zatrzymał się wreszcie przed parterowym budynkiem z czerwonej cegły, stojącym na Whipple Street.

Dom stał na zarośniętej parceli, ogrodzonej siatką. Ogrodzenie nie przedstawiało najmniejszego problemu — bramę dawno już skradziono, pozostały po niej wyłącznie zawiasy. Ace dostrzegł na nich rysy po szczypcach. Przejechał przez wspomnienie po bramie i ruszył powoli w stronę pozbawionego okien budynku.

Koleiny w chaszcach prowadziły do zamkniętych drzwi garażu, znajdującego się od strony rzeki. Challenger, niezbyt szczęśliwy, podskakiwał i kołysał się na dziurach w zapewne asfaltowej niegdyś drodze. Minął porzucony wózek dziecinny ustawiony na kupce potłuczonego szkła. Z wózka przyglądała mu się jednym niebieskim okiem zgniła lalka z zapadniętą połową główki.

Wreszcie zatrzymał się przy wrotach garażu. Co do cholery miał teraz zrobić? Budynek sprawiał wrażenie opuszczonego od 1945 roku.

Wysiadł z samochodu. Z kieszeni na piersiach wyjął skrawek papieru, na którym zapisany był adres miejsca, gdzie znajdował

się podobno samochód pana Gaunta. Przyjrzał mu się z powątpiewaniem. Ostatnie kilka domów z numerami, które minął po drodze, sugerowało, że być może jest to Whipple Street 85, ale kto u diabła miał to wiedzieć na pewno? Na takich domach nigdy nie ma nazwy ulicy i numeru, a w pobliżu nie widział nikogo, kogo mógłby zapytać. W ogóle cała ta dzielnica wydawała się opuszczona i nieco przerażająca, w każdym razie Ace'owi wcale się nie podobała. Puste działki, szkielety samochodów, z których wymontowano wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, łącznie z każdym centymetrem miedzianych przewodów. Opuszczone budynki czekające, aż politycy uzgodnią wreszcie sumę łapówki i wpuszczą buldożery. Kręte uliczki kończące się wąskimi ścieżkami i odrapanymi murami. Godzinę szukał Whipple Street, a teraz zaczynał żałować, że ją w ogóle

znalazł. W takich dzielnicach policja znajduje czasami ciała niemowląt w zardzewiałych pojemnikach na śmieci i starych lodówkach.

Podszedł do bramy. Obejrzał ją dokładnie, szukając klamki lub dźwigni; nie znalazł. Przyłożył ucho do zardzewiałego metalu z nadzieją, że usłyszy ze środka jakiś dźwięk. A może to warsztat — pomyślał. — Gość mający dojście do takiej kokainy z pewnością zna ludzi sprzedających porsche i lamborghini za gotówkę wyłącznie po zachodzie słońca. Nic nie usłyszał.

Pewnie to w ogóle nie tu — pomyślał, ale przecież jeździł tą cholerną ulicą i był to jedyny budynek wystarczająco duży i mocny, by ukryć w nim stary samochód. Chyba że całkowicie spieprzył sprawę i znalazł się w nie tej dzielnicy. Ta myśl go zaniepokoiła. „Masz wrócić przed północą — powiedział mu pan Gaunt. — Jeśli nie wrócisz przed północą, będę niezadowolony. A kiedy jestem niezadowolony, czasami tracę cierpliwość”.

Uspokój się — powiedział niepewnie sam do siebie. To tylko stary dziadek z kiepską sztuczną szczęką. Pewnie pedał.

Nie potrafił się jednak uspokoić i tak naprawdę wcale nie sądził, by pan Gaunt był tylko starym dziadkiem z kiepską sztuczną szczęką. Wiedział też z pewnością, że nie ma zamiaru sprawdzać, kim jest naprawdę. Na razie myślał w ten sposób: „niedługo zrobi się ciemno, a ja nie chciałbym się tu znaleźć po zmroku”. Sam ten pomysł wydawał mu się okropny. Nie chodziło tylko o upiorne opuszczone domy o ślepych oknach i stojące w rynsztokach na obręczach kół samochodu. Od chwili gdy skręcił w Whipple Street, nie widział nikogo — ani na ulicy, ani na schodkach

prowadzących do wejścia domu, ani wyglądającego przez okno, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że jest obserwowany. Nadal miał to wrażenie — włoski na karku nie przestały mu się jeżyć ani przez chwilę.

Czuł się tak, jakby w ogóle nie był już w Bostonie. To miejsce przypominało raczej scenę jednego z odcinków jakiegoś horroru.

*Jeśli nie wrócisz przed północą, be.de niezadowolony.*

Ace zacisnęła pięści i zaczęła nimi walić w zardzewiałą blachę drzwi do garażu.

— Hej! — krzyknął. — Jest tam kto?! Może chcecie państwo obejrzeć naczynia kuchenne po bardzo przystępnej cenie!

Nikt mu nie odpowiedział.

U samego dołu drzwi znajdował się uchwyt. Szarpnął zań. Nic z tego. Drzwi nawet nie

zazgrzytały w zawiasach, a co dopiero mówić o poruszeniu.

Ace ze świstem wypuścił przez zęby powietrze i nerwowo rozejrzał się dookoła. Jego challenger stał tuż obok — jeszcze nigdy w życiu nie marzył o niczym tak gorąco jak teraz o tym, by wskoczyć do niego i odjechać gdzie oczy poniosą.

Ale nie śmiał.

Obszedł budynek dookoła. Nic mu to nie dało. Nic a nic. Ceglana ściana pomalowana na obrzydliwy zielony kolor. Na tylnej ścianie garażu znalazł graffiti; przyglądał się temu przez chwilę, nie rozumiejąc, dlaczego ścierpła mu skóra. YOG-SOTHOTH WŁADA — głosiły wypisane spłowiałą czerwoną farbą słowa.

Wrócił pod drzwi garażu i pomyślał: „Co teraz?”.

Ponieważ nie potrafił nic wymyślić, wsiadł do samochodu i po prostu siedział w nim, gapiąc się na garaż. W końcu położył obie ręce na klaksonie i przycisnął go z całej siły.

W tej chwili drzwi gładko powędrowały do góry.

Ace gapił się na nie z otwartymi ustami. W pierwszym odruchu miał zamiar po prostu włączyć silnik, wrzucić bieg i odjechać jak szybko się da i jak daleko się da. Mexico City wystarczyłoby na początek. Potem znów pomyślał o panu Gauncie i powoli wysiadł z samochodu. Podszedł do garażu, jego wrota spoczęły właśnie miękko pod sufitem.

Kilka dwustuwatowych żarówek zwisających na grubych kablach elektrycznych jasno oświetlało wnętrze. Każda z nich osłonięta była blaszanym, stożkowatym abażurem; na podłodze kładły się jasne kręgi światła. Naprzeciw drzwi stał okryty brezentową płachtą samochód, pod jedną ze ścian zarzucony narzędziami stół, pod

drugą trzy stojące jedna na drugiej skrzynie, na skrzyniach zaś stary magnetofon taśmowy.

Poza tym garaż był zupełnie pusty.

— Kto mi otworzył? — spytał suchym, cichym głosem. — Kto otworzył te pieprzone drzwi?!

Na to pytanie nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Wprowadził dodge'a do środka i zaparkował pod przeciwległą ścianą; miejsca było dość.

Podszedł do drzwi — obok nich znajdowały się dwa przyciski. Wcisnął dolny. Pusta działka, na której stał tajemniczy budynek, wypełniała się powoli cieniami, a cienie te grały mu na nerwach.

Miał wrażenie, że coś się w nich porusza.

Drzwi opuściły się miękko, cicho, nie brzęknąwszy nawet ani razu. Czekaając, aż opadną, Ace

rozglądał się za mikrofonem, który wychwycił sygnał jego klaksonu, nie dostrzegł go jednak. Co nie oznacza oczywiście, że nie było go w ogóle — drzwi garażu nie otwierają się same z siebie.

Chociaż — pomyślał — gdyby takie gównno mogło się *zdarzyć* gdziekolwiek na świecie, zdarzyłoby się właśnie na Whipple Street.

Podszedł do skrzyń, na których stał magnetofon. Buty skrzypiały mu głucho na cemencie podłogi. Yog-Sothoth włada — pomyślał bez związku i *zadrzał*. Nie miał pojęcia, kim jest Yog-Sothoth, pewnie jakiś pierdolnięty rastafariański muzyk reggae z pięćdziesięcioma kilogramami loków wyrastających z brudnego łba, ale nadal nie podobało mu się to imię. To imię w tym miejscu wydawało mu się kiepskim pomysłem. Niebezpiecznym pomysłem.

Do jednej z rolek magnetofonu przyklejona była kartka papieru, na której wielkimi literami wypisano dwa słowa: WŁĄCZ MNIE! Ace zdjął kartkę i wcisnął odpowiedni przycisk. Taśma ruszyła z sykiem i zaraz potem rozległ się głos, na którego dźwięk aż podskoczył. Ale... czyjego głosu mógł się właściwie spodziewać? Chyba nie Richarda Nixona?

— Cześć, Ace — mówił z taśmy pan Gaunt. — Witaj w Bostonie. Zdejmij brezent z mojego samochodu i załaduj skrzynie. Zawierają one dość specjalny towar, na który w najbliższych dniach mogę mieć zapotrzebowanie. Obawiam się, że przynajmniej jedną ze skrzyń będziesz musiał ustawić na tylnym siedzeniu; bagażniki w tuckerach pozostawiają wiele do życzenia. Twój

samochód będzie całkowicie bezpieczny. Po drodze do Castle Rock nie spotka cię żadna przygoda. I proszę, pamiętaj o jednym — im szybciej wrócisz, tym szybciej będziesz mógł zabrać się do badania oznaczonych na twojej mapie miejsc. Szerokiej drogi.

Rozległ się szum pustej taśmy, któremu towarzyszyło ciche wycie napędu.

Ace niemal minutę wpatrywał się w obracające się rolki. Cała ta sprawa była zdecydowanie dziwna... i z minuty na minutę stawała się coraz dziwniejsza. Pan Gaunt był w garażu dziś po południu — musiał być, ponieważ wspomniał o mapie, a on przecież dopiero dzisiaj dowiedział się o jej istnieniu... i o istnieniu samego pana Gaunta. Stary skurwiol musiał przylecieć tu samolotem, podczas gdy on tłukł się do Bostonu samochodem. Tylko po co? Co to całe kurewstwo miało oznaczać?

Jego tu nie było — pomyślał. — Nie obchodzi mnie, czy to możliwe, czy nie. Jego tu nie było! No, bo na przykład ten magnetofon. Nikt już dziś nie używa szpulowych magnetofonów. I ta warstwa kurzu na rolkach. I na kartce papieru. Wszystko to czekało tu na niego od dłuższego czasu.



Być może nawet od momentu, w którym Pangborn posłał go do Shawshank.

Przecież to szaleństwo.

Przecież to jakieś gówno.

W najskrytszych zakamarkach duszy Ace wierzył jednak, że to prawda. Pana Gaunta nie było dziś po południu w pobliżu Bostonu. Pan Gaunt spędził popołudnie w Castle Rock—tego był pewien. Stał przy oknie, obserwował przechodniów, może nawet od czasu do czasu zdejmował plakietkę: ZAMKNIĘTE. DZIEŃ KOLUMBA i zastępował ją inną, oznajmującą: OTWARTE. To znaczy, jeśli widział, że nadchodzi właściwa osoba — osoba nadająca się do ubicia interesu.

A właściwie o jakim interesie mówimy?

Ace nie był pewien, czy rzeczywiście chce wiedzieć. Chciał się za to dowiedzieć, co jest w skrzyniach. Miał je wieźć z Bostonu do Castle Rock, więc chyba ma prawo wiedzieć?

Zatrzymał magnetofon i odstawił go na bok. Ze stołu zdjął młotek, zabrał także stojący obok niego pręt. Wsunął go płaskim końcem pod wieko jednej ze skrzyń i oparł się na nim. Gwoździe puściły ze zgrzytem. Zawartość skrzyni przykryta była naoliwioną szmatą. Podniósł ją i zamarł, wpatrując się w swój ładunek.

Zapalniki.

Dziesiątki zapalników.

Być może nawet setki zapalników, spoczywających wygodnie w eleganckich gniazdkach wyłobionych w drewnie.

Jezu Chryste, co on ma zamiar zrobić?! Rozpocząć trzecią wojnę światową?

Gdy Ace odstawiał na bok skrzynię z zapalnikami, serce tłukło mu się w piersi. W drugiej spodziewał się *znaleźć* ułożone w rzędkę grube, pomarańczowe cylindry przypominające flary.

Lecz nie było w niej dynamitu, tylko broń. Dwadzieścia kilka sztuk dużych pistoletów automatycznych. Poczł zapach gęstego smaru bijący z opakowań. Nigdy przedtem nie widział podobnych — pewnie były niemieckie — ale doskonale wiedział, co *oznaczają*: od dwudziestu lat do dożywocia, jeśli zostanie z nimi złapany na terenie Massachusetts. Stan nie ufał broni, a już zwłaszcza pistoletom automatycznym.

Tę skrzynię odstawił na bok, nawet jej nie zamykając. Otworzył trzecią. Były w niej magazynki do pistoletów.

Ace zrobił krok do tyłu, usta pocierał nerwowo grzbietem lewej dłoni.

Zapalniki.

Pistolety.

Magazyunki.

I to się nazywa „towar”.

— Nie, nie — powiedział cicho, potrząsając głową. — Ja się w to nie bawię. Nie ja.

Pomysł z Mexico City zaczął mu się podobać coraz bardziej. Rio byłoby jeszcze lepsze. Nie miał pojęcia, czy pan Gaunt zajmuje się udoskonalaniem pułapek na myszy czy krzeseł elektrycznych, ale jednego był pewien — nie chce mieć z tym nic wspólnego. Ucieka, i to *zmas*.

Spojrzał na skrzynię pistoletów.

I zabieram ją ze sobą — pomyślał. — Będę miał coś za wykonaną pracę. Nazwijmy to pamiątką.

Ruszył w stronę skrzyni i w tej chwili taśma w magnetofonie zaczęła się obracać, choć nie wcisnął przycisku.

— Nawet o tym nie myśl — powiedział cicho głos pana Gaunta i Ace wrzasnął. — Nie próbuj mnie wystawić. Mogę zrobić z tobą coś, przy czym to, co planowali bracia Gorsonowie, wyglądałoby jak przechadzka po parku. Teraz należysz do mnie. Trzymaj się mnie, a będziemy mieli wspaniałą zabawę. Trzymaj się mnie, a odegrasz się na każdym obywatelu Castle Rock, który kiedykolwiek uczynił ci cokolwiek złego... a poza tym skończysz jako człowiek bogaty. Spróbuj mnie wystawić, a nie przestanieś wrzeszczeć.

Taśma znieruchomiła.

Wytrzeszczone oczy Ace'a pobiegły wzdłuż leżącego na podłodze sznura aż do wtyczki. Wtyczka też leżała na podłodze, pokryta warstwą kurzu.

A poza tym w zasięgu wzroku nie było żadnego kontaktu.

Ace uspokoił się nagle, co wcale nie było tak dziwne, jak mogło się wydawać. Jego emocjonalny barometr znieruchomiał z dwóch powodów.

Przede wszystkim był on swego rodzaju reliktem. Doskonale czułby się w towarzystwie jaskiniowców, wlokąc swe kobiety za włosy po ziemi w chwilach wolnych od obrzucania kamieniami przeciwników. Należał do ludzi, których odruchy są całkowicie przewidywalne tylko

wtedy, gdy stają oni twarzą w twarz z kimś silniejszym i bardziej zdecydowanym. Spotkania takie nie zdarzały mu się często, ale kiedy już się zdarzały, podporządkowywał się niemal natychmiast. Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, ta właśnie cecha charakteru powstrzymała go od zwykłej ucieczki przed braćmi Corsonami. U ludzi pokroju Ace'a Merrilla jedynym odruchem silniejszym od chęci dominowania jest odruch przewrócenia się na grzbiet, pokornego wystawienia na cios bezbronnego podbrzusza, gdy tylko na horyzoncie pojawia się prawdziwy wódz.

Drugi powód był znacznie prostszy. Otóż Ace był całkowicie pewien, że śni. Jakaś część jego umysłu wiedziała oczy wiście, że to nieprawda, ale łatwiej mu było zaufać temu kłamstwu niż świadectwu własnych zmysłów; nie chciał nawet rozważać możliwości rzeczywistego istnienia świata, godzącego się na obecność w nim kogoś takiego jak pan Gaunt. Łatwiej — bezpieczniej — było przestać myśleć i po prostu skończyć to, co się już zaczęło. Jeśli tak właśnie postąpi, być może nawet obudzi się w świecie, który znał? Bóg jeden wie, że nie był to świat bezpieczny — ale przynajmniej rozumiały.

Zamknął skrzynie z zapalnikami i pistoletami, przybił na obu gwoździe. Ściągnął brezent z samochodu — brezent także pokryty warstwą kurzu — a kiedy zobaczył, co się pod nim kryje, ze szczęścia na chwilę zapomniał o wszystkim, co się już zdarzyło.

Miał niewątpliwie do czynienia z tuckerem. Z pięknym tuckerem.

Samochód polakierowany był na kanarkowożółty kolor. Obłą karoseria błyszczała chromem z obu boków i pod przednim zderzakiem wygiętym w kształt litery „V”. Trzecie światło umieszczone było pośrodku maski, poniżej srebrnego ornamentu wyglądającego jak lokomotywa futurystycznego ekspresu.

Ace powoli obszedł tuckera, pochłaniając go wzrokiem.

Po obu stronach bagażnika znajdowały się chromowane wloty powietrza — nie miał pojęcia, do czego służyły. Białe, szerokie opony były tak czyste, że niemal błyszczały w świetle wiszących u sufitu lamp. Na bagażniku pochyłymi, ozdobnymi chromowanymi literami wypisane były dwa słowa: „Tucker talisman”. Nie miał pojęcia o istnieniu takiego modelu. Do tej pory był pewien, że torpeda to jedyny wóz wyprodukowany przez Prestona Tuckera.

Masz kolejny problem, przyjacielu — pomyślał — samochód bez tablic rejestracyjnych. Pojedziesz do Maine wozem sterczącym na ulicy jak obolały palec, wozem bez tablic

rejestracyjnych, wozem wyładowanym bronią i materiałami wybuchowymi?

Tak. Tak, pojedzie. Oczywiście był to kiepski pomysł, naprawdę kiepski pomysł, ale alternatywa — wystawienie pana Lelanda Gaunta — wydawała mu się znacznie gorsza. A poza tym przecież śni.

Wyjął kluczyki z koperty, stanął przy bagażniku i zaczął szukać zamka — na próżno. Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie film z Jefrem Bridgesem i zrozumiał. Podobnie jak niemiecki volkswagen garbus i chevy corvair, tucker miał silnik z tyłu, a bagażnik z przodu.

Bez problemu znalazł zamek pod tym dziwnym trzecim reflektorem. Otworzył bagażnik.

Rzeczywiście, nie był on wielki i znajdowała się w nim tylko jedna rzecz: mała buteleczka pełna białego pyłu z przypiętą łańcuszkiem do zakrętki łyżeczką. Do łańcuszka przyczepiona była karteczka. Ace oderwał ją i przeczytał dwa słowa, wypisane na niej wielkimi literami: ZAŻYJ MNIE. Natychmiast spełnił ten rozkaz.

Poczuwszy się nieco lepiej dzięki nieporównywalnej jakości kokainie pana Gaunta, która rozświetliła mu umysł, aż przypominał szafę grającą Henry'ego Beauforta, Ace załadował pistolety i magazynki do bagażnika, zapalniki zaś na tylne siedzenie. Przerwał tylko na chwilę, by znów zażyć lekarstwo pana Gaunta. Tucker pachniał tym nieprawdopodobnie słodkim zapachem nowych samochodów, nieporównywalnym z niczym (może oprócz piczki). Gdy Ace zasiadł za kierownicą, upewnił się, że samochód jest rzeczywiście nowy — na liczniku widniało: 00000.0.

Włożył kluczyk w stacyjkę i przekręcił.

Silnik zamruczał basem, syty, zadowolony. Ile koni kryło się pod maską? Nie miał zielonego pojęcia, ale czuł, że jest ich całe stado. W więzieniu było mnóstwo książek o samochodach, a on przeczytał chyba wszystkie. Tucker torpedo miał silnik sześć-cylindrowy z płaską głowicą, mniej więcej dwulitrowy, bardzo podobny do silników samochodów budowanych przez Forda w latach 1948—1952. O mocy stu pięćdziesięciu koni.

Ten sprawiał wrażenie większego. O wiele większego.

Ace zapragnął nagle wysiąść, obejść samochód, sprawdzić, czy nie udałooby mu się jakoś otworzyć maski... ale zaraz poczuł się tak, jak kiedy myślał o tym imieniu, Yog-cośtam. Jakoś nie wydawało się to najlepszym pomysłem. Miał za to jeden pomysł na dobry pomysł — wrócić do Castle Rock jak najszybciej.

Otworzył drzwiczki, niemal wysiadł z samochodu, by uruchomić bramę garażu, ale najpierw zatrąbił, właściwie tylko po to, by sprawdzić, co się stanie. Coś się rzeczywiście stało. Brama uniosła

się cichutko.

Musi tu gdzieś być czujnik dźwiękowy — wytłumaczył sobie natychmiast, ale prawdę mówiąc, wcale w to nie wierzył. Co więcej, niewiele obchodziło go już, w co ma wierzyć, a w co nie. Wrzucił jedynkę i samochód powoli wytoczył się z garażu. Zatrąbił raz jeszcze, ruszając zarośniętą dróżką prowadzącą do dziury w płocie, która niegdyś była bramą, i we wstecznym lusterku dostrzegł, jak gasną światła w garażu i jak powoli opuszczają się jego wrota. Pożegnał także wzrokiem swój wóz, stojący z maską niemal przylegającą do ściany tuż obok zmiętej, brezentowej płachty okrywającej przedtem tuckera. Miał wrażenie, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

Ace pomyślał, że to także nic go nie obchodzi.

Talisman nie tylko prowadził się jak marzenie — najwyraźniej znał także drogę do zjazdu na autostradę wiodącą na północ.

Migacze włączały się od czasu do czasu ot tak, same z siebie, a wtedy Ace po prostu skręcał na najbliższym skrzyżowaniu. Niemal natychmiast wyjechał z upiornego przedmieścia Cambridge, w którym znalazł samochód, i wkrótce pojawiła się przed nim sylwetka mostu Tobin lepiej znanego jako Mystic River Bridge; gigantyczny czarny łuk na tle ciemnego nieba.

Ace włączył światła i natychmiast droga przed nim rozjaśniła się stożkiem blasku rzucanego przez trzy reflektory. Kiedy obrócił kierownicę, światło powtórzyło jej ruch. Ten trzeci reflektor był doprawdy pomysłem geniusza. Nic dziwnego — pomyślał — że wyparli z biznesu tego nieszczęsnego durnia, skoro wymyślił taki samochód!

Mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów za Bostonem zauważył nagle, że wskaźnik paliwa opiera się o blok przy zerze. Przy pierwszej okazji zjechał z autostrady i powoli doprowadził wierzchowca pana Gaunta do stacji, znajdującej się tuż przy wjeździe. Chłopak od benzyny obszedł samochód, podziwiając go w każdym szczególe.

- Fajną ma pan maszynę — powiedział. — Gdzie ją pan dostał?

Nawet nie myśląc, Ace odparł natychmiast:

- Na równinach Leng. W Yog-Sothoth, „Stylowe wozy”.
- Gdzie?
- Mniejsza z tym, mały, to nie gra w dwadzieścia pytań.

— Oczywiście. — Chłopakowi wystarczyło raz spojrzeć na Ace'a, by natychmiast zmięknąć. — Jasne. Oczywiście.

Naprawdę próbował, ale dystrybutor zablokował się, nalawszy paliwa za czternaście centów. Chłopak spróbował napełnić zbiornik, wyłączając automat, ale benzyna tylko przelała się, ściekając po żółtym błotniku na asfalt.

- Chyba ma na czym jechać — powiedział nieśmiało.
- Chyba tak — przytaknął Ace.
- Może wskaźnik nawalił..
- Wytrzymaj benzynę z błotnika, dobra? Chcesz, żeby lakier

popękał? Co się z tobą dzieje!

Chłopak poderwał się jak oparzony, Ace zaś poszedł do łazienki pomóc swemu nosowi. Kiedy wrócił, stwierdził, że chłopak stoi w pełnej szacunku odległości od samochodu, mnąc nerwowo w dłoniach ścierkę.

Boi się — pomyślał Ace. — Czego się boi? Mnie?

Nie. Chłopak zaledwie zerknął na niego. Praktycznie bez przerwy gapił się na tuckera.

Próbował go dotknąć — pomyślał Ace.

Objawienie to — bo przeżył właśnie ni mniej, ni więcej tylko objawienie — wywołało na jego ustach ponury uśmiech.

Dotknął tuckera i coś się stało. Pytanie: „co właściwie?”, nie miało najmniejszego znaczenia. Wystarczyło, że dotknął go i dowiedział się, że owszem, patrzeć można, ale nic ponadto. Tylko to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Nic pan nie płaci — powiedział chłopak.
- Tu, przyjacielu, trafiłeś w dziesiątkę — odparł Ace, wślizgując się za kierownicę i odjeżdżając w pośpiechu. Co do talismana, to przyszedł mu do głowy nowy pomysł, z jednej strony właściwie straszny, z drugiej zaś — wspianiały. Przyszło mu do głowy, że może wskaźnik paliwa zawsze wskazywał zero, a zbiornik był

zawsze pełny...

Rogatki na pasach dla samochodów osobowych przy wjeździe na autostrady New Hampshire były automatyczne: wystarczyło wrzucić dolca drobnymi (Nie Przyjmujemy Jednocentówek) do koszyka, czerwone światło zmieniało się na zielone, i w drogę! Tylko kiedy Ace podjechał talismanem pod bramkę, światło samo z siebie zmieniło się na zielone, a tablica na bramce rozbłysła słowami: „Opłata Uregulowana. Życzymy Szerokiej Drogi”.

— O, kurwa — mruknął Ace, ruszając w kierunku Maine.

Zostawiwszy za sobą Portland, jechał równiutkie sto trzydzieści, nie nadwerężając nawet specjalnie silnika. Zaraz za zjazdem na Falmouth, wyskoczywszy na szczyt wzgórza, dostrzegł policyjny radiowóz zaparkowany na poboczu autostrady. Z okna po stronie kierowcy wystawał niemożliwy do pomylenia z niczym nos ręcznego radaru.

Oho! — pomyślał — ma mnie. Strzał w dziesiątkę. Jezu Chryste, co mnie podkuśło, żeby przekroczyć dozwoloną prędkość z takim gównem na pokładzie?

Wiedział jednak, co go podkuśło, i wiedział, że to nie koka, którą wziął na stacji benzynowej. Talisman sam chciał jechać szybciej. Ace na przykład patrzył na prędkościomierz, zdejmował nogę z gazu... a w kilka chwil później uświadamiał sobie, że znów przyspiesza, aż pedał wciśnięty jest mniej więcej w trzech czwartych.

Czekał, aż policjant w radiowozie obudzi się, włączy niebieski migacz i ruszy w pościg, ale nic takiego nie zaszło. Ace przemknął obok niego sto trzydzieści, a stanowy glina ani drgnął.

Jezu, chyba rzeczywiście przysnął.

Lecz Ace wiedział, że nie, nie przysnął. Jeśli z okna radiowozu wystaje radar, facet trzymający go jest z pewnością przytomny i gotów do akcji. Nie, zaszło coś zupełnie innego, a mianowicie gliniarz nie był w stanie dostrzec talismana. Brzmiało to po wariacku, ale tak było naprawdę. Wielki, żółty samochód z potrójnymi, przesywającymi mrok reflektorami był niewidzialny zarówno dla współczesnej elektroniki, jak i dla posługujących się nią ludzi.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Ace przyspieszył do stu sześćdziesięciu. Do Castle Rock przyjechał piętnaście po ósmej, mając niemal cztery godziny zapasu.

Pan Gaunt wyszedł ze sklepu; stojąc pod markizą, patrzył, jak Ace ostrożnie parkuje talismana na jednym z trzech ukośnych miejsc parkingowych naprzeciw „Sklepiku z marzeniami”.

- Szybko się z tym uporałeś — powiedział.
- A tak. To znakomity samochód.
- Jasne, kurwa mać — zgodził się pan Gaunt. Przeciągnął palcem po łagodnie wznoszącej się ku przedniej szybie masce tuckera. — Jedyny w swoim rodzaju. Rozumiem, że przywiozłeś towar?
  - Oczywiście, panie Gaunt. W drodze powrotnej przekonałem się o niektórych zaletach pana znakomitego samochodu, ale moim zdaniem dobrze byłoby go jednak zarejestrować. I może zrobić badania...
  - To nie jest konieczne — stwierdził obojętnie Gaunt. — Zaparkuj go w alejce za sklepem, dobrze? *Zajmę się nim później.*
  - Jak to? Gdzie? — Ace Merrill stwierdził nagle, że nie ma ochoty oddać samochodu panu Gauntowi. I nie w tym rzecz, że jego dodge został w Bostonie, a dziś w nocy potrzebny rriu będzie jakiś środek lokomocji. W porównaniu z talismanem wszystkie prowadzone przez niego niegdyś samochody, włączywszy w to challenger, wydawały się gruchotami.
  - To już moja sprawa. — Pan Gaunt spojrzał na Ace'a nie ruchomym wzrokiem. — Przekonasz się, że najlepiej dla ciebie będzie potraktować pracę u mnie jak służbę wojskową. W tej

chwili możesz wykonywać polecenia na trzy sposoby: właściwy, niewłaściwy i mój własny. Jeśli za każdym razem wybierzesz trzeci sposób, unikniesz wszelkich możliwych kłopotów. Jasne?

- Tak, tak, oczywiście.
- Świetnie. A teraz podjedź do tylnego wyjścia.

Ace powoli ruszył, skręcił, po czym skręcił raz jeszcze i znalazł się w wąskiej alejce biegnącej za sklepami i budynkami użyteczności publicznej stojącymi po zachodniej stronie głównej ulicy. Tyłne drzwi do „Sklepiku z marzeniami” były już otwarte; stał w nich jego właściciel, czekając w padającym z wnętrza kręgu żółtego światła. Nie pomógł Ace'owi, gdy ten, stękając, dźwigał ciężkie skrzynie.

Choć Ace o tym nie wiedział, wielu spośród licznych klientów „Sklepiku z marzeniami” byłoby



zaskoczonych widokiem tego wnętrza. Słyszeli, jak ukryty za aksamitną zasłoną odgradzającą sklep od magazynu pan Gaunt coś przestawia, przesuwa pudła... ale w rzeczywistości nie było w magazynie nic, póki Ace nie ustawił skrzyń w jednym z jego rogów, zgodnie z instrukcjami swego pracodawcy.

Choć nie — oprócz skrzyń coś jeszcze znajdowało się w magazynie. Pod ścianą naprzeciw wyjścia, w wielkiej, wiktoriańskiej pułapce leżał martwy brązowy szczur ze złamanym kręgosłupem i z wyszczerzonymi w śmiertelnym grymasie zębami.

- Doskonała robota, Ace. — Pan Gaunt uśmiechnął się i z radości zatarł dłonie o wyjątkowo długich palcach. — W sumie był to bardzo pracowity wieczór. Jako pracownik pokazałeś się z najlepszej strony. Z najlepszej strony.

- Bardzo panu dziękuję, sir — powiedział Ace i zdumiał się niezmiernie. Aż do tej chwili w całym życiu nigdy i nikomu nie powiedział jeszcze: „sir”.

- A oto wynagrodzenie za wykonaną pracę. — Pan Gaunt podał mu brązową kopertę. Ace ścisnął ją w palcach i poczuł, że znajduje się w niej jakiś proszek. — O ile się orientuję, masz zamiar przeprowadzić dziś w nocy coś w rodzaju poszukiwań, prawda? To paliwo da ci więcej zrywu, jak głosiła stara reklama „Esso”.

Ace drgnął.

— O, cholera! Cholera! Zostawiłem w samochodzie książkę, tę książkę z mapą! Zostawiłem ją w Bostonie! A niech to diabli! — Zaciśniętą pięścią uderzył się w udo.

Pan Gaunt uśmiechał się szeroko.

— Chyba się mylisz — powiedział. — Moim zdaniem jest w tuckerze.

- Niemożliwe, przecież...
- Przecież możesz sprawdzić.

Ace zajrzał do tuckera i rzeczywiście, książka leżała na półeczce, przyciśnięta grzbietem do patentowanej hartowanej szyby przedniego okna. „Zakopane skarby Nowej Anglii”. Przekartkował

ją szybko. Mapa nadal była w środku. Obrzucił pana Gaunta pełnym ślepej wdzięczności spojrzeniem.

— Nie będziesz mi potrzebny aż do jutra wieczorem. Spotkamy się mniej więcej o tej samej porze — powiedział pan Gaunt. — Sugeruję, byś spędził dzień u siebie, w Mechanic Falls. Powinno ci to odpowiadać; jak sądzę, wstaniesz dość późno. Jeśli się nie mylę, czeka cię pracowita noc.

Ace pomyślał o małych krzyżykach na mapie i potakująco skinął głową.

- Byłoby także dobrze, gdybyś przez najbliższy dzień lub dwa schodził z oczu szeryfowi Pangbornowi. Później najprawdopodobniej nie będzie to miało większego znaczenia. — Wargi wyciągnęły mu się w uśmiechu, ukazując wielkie, krzywe zęby drapieznika. — Pod koniec tygodnia mnóstwo spraw, które do tej pory tak wiele znaczyły dla mieszkańców miasteczka, przestanie mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Może jesteś podobnego zdania?

- Skoro pan tak twierdzi. — Ace stopniowo wpadał znów w ten dziwny stan odurzenia i wcale mu to nie przeszkadzało. — Tylko że nie mam przecież wozu...

- Ta sprawa została już załatwiona. Przed sklepem stoi zaparkowany samochód z kluczykami w stacyjce. Powiedzmy, że będzie to twój samochód służbowy. Obawiam się, że to tylko chevrolet — najzwyczajniejszy w świecie chevrolet — ale jest on pewnym i dyskretnym środkiem transportu. Oczywiście telewizyjny mikrobus będzie cię cieszyć znacznie bardziej, ale...

- Mikrobus? Telewizyjny? Jaki mikrobus?

Pan Gaunt zdecydował się nie odpowiedzieć mu na to pytanie.

- Chevrolet to wszystko, czego potrzebujesz, by bezpiecznie przemieszczać się z miejsca na miejsce, zapewniam cię. Tylko nie śmigaj nim przed nosem policjantów, prowadząc z niedozwoloną prędkością. W tym samochodzie nic ci to nie da. Nic a nic.

- Ale chciałbym mieć taki wóz jak ten tucker, panie Gaunt, sir. Jest wspaniały! — Ace ze zdumieniem słuchał wypowiedzianych przez siebie słów.

- Cóż, być może pohandlujemy, dlaczego nie. Widzisz, Ace, w interesach kieruję się jedną prostą zasadą. Chciałbyś wiedzieć, jaka to zasada?

- Oczywiście. — I to stwierdzenie było całkowicie zgodne z prawdą.

- Wszystko jest na sprzedaż. To moja zasada. Wszystko jest na sprzedaż.

- Wszystko jest na sprzedaż — powtórzył Ace jak we śnie. — O rany! Wspaniała sprawa!

- Słusznie. Wspaniała sprawa. A teraz pozwól, że coś prze gryzę. Dzień wolny czy nie — do tej pory nie miałem nawet chwili czasu. Zaprosiłbym cię do towarzystwa, ale...

- Jej, naprawdę nie mogę...

- Oczywiście, oczywiście, nie możesz. Mnóstwo miejsc do odwiedzenia, mnóstwo dziur do wykopania, prawda? Oczekuję cię jutro wieczorem, między ósmą a dziewiątą.

- Między ósmą a dziewiątą.

- Tak. Po zmroku.

- Gdy nikt nic nie wie i nikt nic nie widzi.

— Trafiłeś w dziesiątkę za pierwszym razem. Do widzenia, Ace.

Pan Gaunt wyciągnął rękę. Ace chciał ją uścisnąć, lecz dostrzegł, że właściciel „Sklepiku z marzeniami” coś w niej trzyma, że trzyma w niej brązowego szczura z pułapki w magazynku. Odsunął się, sieknąwszy z obrzydzenia. Nie miał pojęcia, po co pan Gaunt podniósł martwe zwierzę. A może był to inny szczur?

Zdecydował, że i tak nic go to nie obchodzi. Jednego był pewien, nie ma zamiaru ścisnąć łapy martwemu szczurowi niezależnie od tego, jakim wspaniałym facetem jest ten Gaunt.

- Wybacz — powiedział pan Gaunt z uśmiechem. — Z roku na rok robię się coraz bardziej roztargniony. Omal nie oddałem ci mojej kolacji, Ace.

- Kolacji? — głos Ace'a był słaby, piskliwy.
- No właśnie. — Gruby żółty paznokieć przejechał po białym futerku na brzuchu szczura i na całkowicie gładką dłoń wypłynęły wnętrzności zwierzęcia. Nim Ace zdołał dostrzec coś więcej, pan Gaunt już odwrócił się i zamykał drzwi. — A gdzie właściwie schowałem ser... — usłyszał jeszcze Ace i drzwi zamknęły się z metalicznym szczękiem zamka.

Ace zgiął się, pewien, że zaraz zwymiotuje na buty. Żołądek wykręcił mu salto, podszedł do gardła... i wrócił na miejsce.

Wrócił na miejsce, ponieważ Ace nie uwierzył świadectwu własnych oczu.

— To jakiś żart — szepnął. — Miał w kieszeni gumowego szczura albo coś...

Czyżby? Co z wnętrznościami w takim razie? I zimną, galaretowatą substancją, która je otaczała? Co?

Jesteś zmęczony — powiedział sobie. — To tylko wyobraźnia. Wyłącznie wyobraźnia. Widziałeś gumowego szczura. Co do reszty zaś — pah!.

Przez moment wszystko: opuszczony garaż, samoprowadzący się tucker, złowrogie graffiti „YOG-SOTHOTH WŁADA”, omal nie uświadomiły mu swego rzeczywistego istnienia, a jakiś donośny głos krzyknął mu w głowie: „Uciekaj stąd! Już! Póki jeszcze masz czas!”.

I to dopiero była szalona myśl. Gdzieś tam, w mroku nocy, czekała przecież na niego forsa. Najprawdopodobniej mnóstwo forsy. Może nawet cała fortuna?

Ace stał przez moment w mroku jak robot, któremu wyczerpały się baterie. Stopniowo powróciło mu jednak poczucie rzeczywistości — poczucie samego siebie — i zdecydował, że szczur nie ma żadnego znaczenia. Że żadnego znaczenia nie ma tucker talisman. Za to koka ma znaczenie, mapa ma znaczenie i pewnie prosta zasada pana Gaunta też ma znaczenie, ale to wszystko. Nie mógł sobie pozwolić, by coś innego też miało znaczenie.

Przeszedł alejką, skręcił za rogiem i po kilku krokach znalazł się przed „Sklepikiem z marzeniami”. Sam sklep był zamknięty, ciemny, jak wszystkie inne. Przed nim stał zaparkowany chevrolet, dokładnie tak, jak mu obiecał pan Gaunt. Ace próbował sobie przypomnieć, czy stał tu, kiedy przyjechał talismanem z Bostonu, i nie mógł. Za każdym razem, kiedy chciał przypomnieć sobie jakieś wydarzenie sprzed więcej niż kilku minut, napotykał ścianę: widział, jak omal nie

ujmuje wyciągniętej dłoni pana Gaunta — najnaturalniejszy gest na świecie — i nagle orientuje się, że w dłoni tej pan Gaunt trzyma wielkiego martwego szczura.

*Chyba teraz coś sobie przegryzę. Zaprosiłbym cię, ale...*

Cóż, jeszcze jedna rzecz niemająca najmniejszego znaczenia. Wóz stał gotów do drogi — i to miało znaczenie. Ace otworzył drzwiczki, położył książkę i bezcenną mapę na siedzeniu pasażera, po czym wyjął kluczyk ze stacyjki. Podszedł do bagażnika, otworzył klapę. Spodziewał się tego, co w nim znajdzie, i nie był rozczarowany. Schludnie skrzyżowane, leżały tam łom i szpadel z krótką rączką. Ace przyglądał się im przez chwilę; dostrzegł, że pan Gaunt wyposażył go nawet w ciężkie robocze rękawice.

— Szanowny panie, nie zapomina pan o niczym — powiedział, zatrzasnąwszy klapę bagażnika. Dostrzegł także, że na tylnym zderzaku naklejono nalepkę z napisem: KOCHAM ANTYKI.

Roześmiał się. Śmiał się, jadąc przez Blaszak w stronę farmy starego Treblehorna, gdzie miał zamiar zacząć poszukiwania. Wjeżdżając na Panderly's Hill, po drugiej stronie rzeki, minął kabriolet jadący w przeciwnym kierunku. W kabriolectic siedzieli młodzi mężczyźni śpiewający: „Jakiegoż przyjaciela mamy w Jezusie” na całe gardło; jak to baptyści, oczywiście w doskonałej harmonii.

Jednym z tych młodych mężczyzn był Lester Ivanhoe Pratt. Po meczu wraz z grupką kumpli pojechał do Lakę Auburn, miejscowości odległej od Castle Rock o jakieś trzydzieści kilometrów. Wędrowny kaznodzieja wygłaszał tam kazania na wolnym powietrzu; Vic Tremayne powiedział, że o piątej będzie specjalne spotkanie modlitewne połączone ze śpiewaniem hymnów — z okazji Dnia Kolumba. Ponieważ Sally jeździła jego samochodem i dziś wieczór nie mieli randki — ani w kinie, ani na kolacji w McDonąldzie w South Paris — pojechał tam z Yikiem i resztą kumpli, samymi dobrymi chrześcijanami.

Oczywiście wiedział, dlaczego przyjaciółom tak zależy na tej wycieczce. Wcale nie kierowali się motywami religijnymi, a w każdym razie nie tylko motywami religijnymi. Na takich nabożeństwach, powszechnych w Nowej Anglii między majem a ostatnim wiejskim jarmarkiem odbywającym się pod koniec października, zawsze było mnóstwo ładnych dziewczyn, a hymny (nie mówiąc o płomiennych kazaniach i odrobinie staroświeckiego religijnego ducha) wprawiały je w dobry humor i nastrój odpowiedni do flirtu.

Lester, mający dziewczynę, traktował plany przyjaciół z pobłażaniem, niczym poważny żonkoś,

sluchajacy wyglupow mlodych byczkow. Pojechał z nimi dlatego, że byli jego przyjaciółmi, a poza tym lubił płomienne kazania, lubił śpiewać hymny — zwłaszcza po południu spędzonym na tłuczeniu łbów i objaniu ciał. Nie znał lepszego relaksu niż ten. •

Nabożeństwo było całkiem udane, ale cholernie dużo ludzi pożałowało zbawienia i w związku z tym skończyło się nieco później, niż przypuszczał. Rozczarowało go to trochę, bo zamierzał zadzwonić do Sally i spytać, czy nie miałyby ochoty na lody

w Weeksie's albo coś. Zauważył, że dziewczęta lubią czasami robić coś pod wpływem chwili.

Przejechali przez Blaszak. Vic wypuścił go na rogu głównej ulicy i<sup>W</sup>atermill.

- Świetny mecz, Les! — krzyknął z tylnego siedzenia Bili MacFarland.

- No pewnie — odparł wesoło Lester. — Powtórzymy go w sobotę, może uda mi się złamać ci rękę, zamiast ją tylko naciągnąć.

Czterej młodzi baptyści wybuchem szczerego śmiechu skwitowali ten przedni dowcip, po czym Vic dodał gazu i odjechał. Słowa: „Jezus twym przyjacielem na wieki”, unosiły się w powietrzu, nadal przedziwnie letnim. Nawet w najcieplejsze dni babiego lata czuło się na ogół ukryty w nich chłód, zwłaszcza po zachodzie słońca. Ale nie dziś.

Lester ruszył powoli w kierunku domu, zmęczony, posiniaczony i całkowicie zadowolony z życia. Każdy dzień jest piękny, jeśli poświęcić go Jezusowi, ale niektóre są piękniejsze od innych, ten zaś należał do najpiękniejszych. Lester miał zamiar wziąć prysznic, zadzwonić do Sally i zaraz po telefonie wskoczyć do łóżka.

Na podjazd wszedł, gapiąc się w niebo w poszukiwaniu konstelacji Oriona, nic więc dziwnego, że nadział się jajami wprost na swego mustanga.

— Ufff! — stęknął, cofnął się o krok i złapał za obolałe jądra.

Dopiero po dłuższej chwili zdołał podnieść głowę, by spojrzeć na samochód — oczy nadal łzaawiły mu z bólu. I co do diabła jego wóz tu robi? Honda Sally miała być w warsztacie co najmniej do środy, a najprawdopodobniej czwartku lub nawet piątku, biorąc pod uwagę wolny dzień i w ogóle.

Nagle w głowie rozblysło mu pomarańczowe światło. Sally czeka na niego! Być może zdecydowała, że ta noc jest właściwą nocą! Seks przedmałżeński to oczywiście zło, ale czasami

trzeba zbić parę jajek, by zrobić omlet. Gotów był popełnić ten szczególny grzech, jeśli ona także była gotowa.

— Hejże hej! — krzyknął z wielkim entuzjazmem. — Słodka mała Sally w urodzinowej sukni!

Wbiegł na ganek drobnymi kroczkami, zgięty wpół, trzymając się za pulsujące jądra. Teraz jednak jądra pulsowały mu nie tylko z bólu, lecz także z oczekiwania. Wyjął klucz spod wycieraczki, otworzył drzwi.

— Sally? — zawołał. — Sal, jesteś tu? Przepraszam, że się

spóźniłem, pojechałem z przyjaciółmi do Lake Auburn na nabożeństwo i...

Umilkł. Nikt mu nie odpowiedział, co oznaczało, że Sally nie ma w domu, chyba że...

Pobiegł na górę najszybciej jak mógł, nagle absolutnie pewien, że zastanie ją śpiącą w swym łóżku. Sally otworzy oczy, usiądzie, koc opadnie z jej pięknych piersi (dotykał ich — no, powiedzmy, że ich dotykał — ale nigdy jeszcze nie widział), wyciągnie do niego ramiona, spojrzy na niego tymi swoimi wielkimi, sennymi, niebieskimi oczami i nim wybije dziesiąta, ani ona, ani on nie będą już dziewicami! Hejże ha!

Lecz sypialnia była tak samo pusta jak duży pokój i kuchnia. Prześcieradło i koc leżały na ziemi, jak niemal po każdej nocy — Lester należał do ludzi, których energia i duch święty rozpierają do tego stopnia, że rano nie potrafią po prostu najpierw usiąść w łóżku, a potem wstać. Wskakiwał z łóżka gotów nie tylko przeżyć dzień, ale pobić go, rzucić na matę, przydusić i odebrać mu piłkę.

Teraz jednak zszedł na dół powoli, z marsem na czole szerokiej, pocziwej twarzy. Jego samochód stał przed domem, ale Sally w domu nie było. Co to niby miało znaczyć? Nie wiedział, ale sytuacja wcale mu się nie podobała.

Zapalił światło na ganku i wyszedł, by sprawdzić, czy nie zostawiła mu kartki w samochodzie. Spojrzał na swojego mustanga i zamarł. Wiadomość była, owszem, ale nie została wypisana na kartce, lecz na przedniej szybie, różową farbą w sprayu, pochodzącą najprawdopodobniej z jego własnego garażu. Wielkimi, jaskrawymi literami Sally wypisała wściekle na szybie:

**IDŹ DO DIABŁA, TY WSTRĘTNY WIAROŁOMCO!**

Lester stał na ganku bardzo długo, czytając wiadomość od narzeczonej raz za razem.

Nabożeństwo? Czy chodziło jej o nabożeństwo? Czy sądziła, że pojechał na nabożeństwo do Lake Auburn, by spotkać się tam z jakąś panienką? Był tak przygnębiony, że tylko to wydawało mu się prawdopodobne.

Wrócił do domu. Zadzwoił do Sally. Telefon dzwonił ze dwadzieścia razy, nikt jednak nie podniósł słuchawki.

Sally wiedziała, że zadzwoni, poprosiła więc Irenę Lutjens, żeby ją przenocowała. Irenę, nieomal pękając z ciekawości,

powiedziała: „Dobrze, kochanie, dobrze, doskonale”. Sally była tak zrozpaczona, że wcale już nie wydawała się piękna. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Sama Sally nie miała zamiaru nawet wspomnieć Irenę o tym, co rzeczywiście zaszło. Cała ta sprawa była zbyt okropna, zbyt wstydliva. Była sekretem, który zabierze ze sobą do grobu. Odmawiała więc odpowiedzi na pytania przyjaciółki przez całe pół godziny, a potem, zalewając się łzami, opowiedziała jej wszystko. Irenę trzymała ją w ramionach, słuchała, a jej oczy robiły się coraz większe i okrągłejsze.

— Wszystko w porządku — gruchała, kołysząc Sally w ramionach. — Wszystko w porządku, Sally. Jezus cię kocha, nawet jeśli ten sukinsyn przestał. Ja też cię Kocham. I wielebny Rosę także. I z pewnością dałaś temu mięśniakowi do wiwatu, prawda?

Sally pociągnęła nosem, przytaknęła, a Irenę gładziła ją po włosach i szeptała coś uspokajającym tonem. Nie mogła wręcz doczekać się jutra, jutro będzie mogła opowiedzieć o wszystkim innym przyjaciółkom. Wcale jej nie uwierzą! Współczuła Sally, naprawdę współczuła, ale jednocześnie to, co się stało, sprawiało jej satysfakcję. Sally była taka śliczna, Sally była taka obrzydliwie święta! Miło było popatrzeć, jak na odmianę ponosi klęskę.

A Lester to przecież najprzystojniejszy chyba chłopak w kościele. Jeśli rzeczywiście ze sobą zerwali, to może mnie gdzieś zaprosi? Patrzy na mnie czasami tak', jakby się zastanawiał, jakiego koloru mam majtki, więc to wcale nie jest niemożliwe...

- Tak strasznie się czuję — łkała Sally. — Czuję się taka... nieczysta!

- Ależ oczywiście. — Irenę kołysała ją w ramionach, głaskała po głowie. — Pewnie nie masz przy sobie tego zdjęcia, prawda?



- Spa...spa...spaliłam je — krzyknęła Sally w płaską pierś przyjaciółki i rozszlochała się od nowa.
- Ależ oczywiście — szepnęła Ireneę. — Właśnie tak powinnaś postąpić. (Mogłaś jednak przecież poczekać, aż rzucę na nie okiem, ty samolubie).

Sally spędziła tę noc w gościnnym pokoju Ireneę, ale prawie wcale nie spała. W końcu przestała płakać. Leżała, wpatrując się w sufit suchymi oczami, snując mroczne, gorzkie, lecz w jakiś sposób rozkoszne myśli o zemście; myśli, jakie mogła snuć tylko zdradzona, a kiedyś tak pewna swego chłopca dziewczyna.

## Rozdział 15

Pierwszy umówiony klient — w tym wypadku klientka — pana Gaunta pojawił się w „Sklepiku z marzeniami” we wtorek rano, punktualnie o ósmej. Była to Lucille Dunham, jedna z kelnerek Nań. Lucille zapalała wielką, choć beznadziejną miłością do naszyjnika z czarnych pereł, wyeksponowanego tak atrakcyjnie w sklepowej gablotce. Zdawała sobie sprawę, że nie ma dla niej nadziei, że czegoś tak kosztownego nie kupi sobie nawet za milion lat — nie za pensję, którą płaci jej to skąpiradło Nań Roberts. Mimo wszystko pan Gaunt zaproponował, by porozmawiali na temat naszyjnika prywatnie, bez — metaforycznie mówiąc — połowy miasta zaglądającej im przez ramię. Lucille zareagowała na tę propozycję jak głodna ryba na smakowitą przynętę.

Opuściła „Sklepek z marzeniami” dwadzieścia po ósmej. Wychodząc, miała na twarzy wyraz nieprzytomnej, sennej rozkoszy. Kupiła naszyjnik za niewiarygodną sumę trzydziestu ośmiu dolarów i pięćdziesięciu centów oraz obietnicę splątania małego, całkowicie niewinnego figla temu nadętemu baptyście, Williamowi Rose'owi. Jeśli o nią chodzi, nie była to praca, lecz najczystsza przyjemność. Ten gówniarz z Biblią na ustach nigdy nie zostawił jej napiwku, nawet najmniejszego, nawet parszywej dziesiątki! Lucille (dobra metodystka, która nigdy nie miała nic przeciwko temu, by

potaćzyć sobie ostro a seksownie w sobotnią noc) słyszała o nagrodzie w niebie; ciekawa była, czy wolebny Rosę słyszał za to kiedyś, że lepiej jest dawać niż brać.

No więc trochę się na nim odegra, a poza tym pan Gaunt powiedział jej przecież, że to najzupełniej niewinny figiel.

Wspomniany dżentelmen obserwował odchodzącą Lucille z przyjemnym uśmiechem na ustach. Miał przed sobą trudny, naprawdę bardzo trudny dzień — klienci zapisani co pół godziny i jeszcze musi załatwić mnóstwo telefonów. Karnawał nadchodził jednak wielkimi krokami; jedna z jego atrakcji już wypaliła, wkrótce miały ruszyć wszystkie inne. Naraz. W tym punkcie, czy to w Libanie, czy w Ankarze, w zachodnich prowincjach Kanady czy tu w amerykańskiej pipidowie, czuł, że dzień ma po prostu zbyt mało godzin. Ale każdy sposób jest dobry, by osiągnąć cel, kto pracuje, nie grzeszy, praca uszlachetnia i...

I jeśli go oczy nie mylą, to Yvette Gendron, kolejna umówiona klientka, prawie biegiem zbliża się do jego sklepu.

— Ciężki, ciężki, ciężki dzień — powiedział do siebie pan Gaunt i przywołał na twarz szeroki, powitalny uśmiech.

Alan Pangborn pojawił się u siebie biurze o ósmej trzydzieści i natychmiast dostrzegł karteczkę przyklejoną do telefonu. Henry Payton z policji stanowej dzwonił do niego za piętnaście ósma. Prosi o telefon, jak najszybciej. Alan usiadł w fotelu, ramieniem przytrzymał słuchawkę przy uchu, po czym wcisnął przycisk automatycznie wywołujący Oxford Barracks. Z górnej szuflady biurka wyjął cztery srebrne dolarówki.

- Cześć — usłyszał głos Henry'ego. — Obawiam się, że mam złe nowiny w sprawie tego twojego podwójnego morderstwa.

- Ach, więc nagle to jest moje podwójne morderstwo? — Alan zamknął w dłoni cztery monety, zacisnął pięść i otworzył ją. Z czterech dolarówek zrobiły się trzy. Odchylił się w fotelu, położył nogi na biurku. — Te twoje nowiny muszą być doprawdy złe.

- Nie wydajesz się zaskoczony?

- Bo i nie jestem. — Ponownie zacisnął pięść. Małym palcem wypchnął monetę ze spoczywającej bezpośrednio na dłoni kupki.

Operacja ta wymagała pewnej delikatności, ale oczywiście poradził sobie z tym wyzwaniem. Moneta wypadła mu z garści do rękawa. Brzęknęła lekko, uderzając o pierwszą — gdyby był to prawdziwy pokaz, dźwięk ten zostałby z pewnością zagłuszony głosem iluzjonisty. Kiedy otworzył dłoń, były na niej już tylko dwie dolarówki.

- Czy byłbyś łaskawy wytłumaczyć mi dlaczego? — Henry sprawiał wrażenie lekko rozdrażnionego.
- Sporo o tym myślałem przez ostatnie dwa dni. — Stwierdzenie to nie było całkiem zgodne z prawdą. Od chwili, gdy w niedzielne popołudnie zobaczył, że to Nettie jest jedną z dwóch kobiet obejmujących się wzajemnie pod znakiem stopu, Alan nie myślał niemal o niczym innym. Morderstwo to nawet mu się śniło. Nie opuściła go pewność, że coś się tu nie zgadza, i z tego powodu telefon Henry'ego zamiast go zaniepokoić, przyniósł mu ulgę; nie musi sam do niego dzwonić.

Zacisnął pięść na dwóch dolarówkach. Cichy brzęk — i została mu już tylko jedna.

- I co cię tak niepokoi? — spytał Henry.
- Wszystko — odparł głosem bez wyrazu. — Począwszy od tego, że w ogóle doszło do morderstwa. Najgorsze jest chyba to, że nie potrafię ułożyć zdarzeń w czasie. Nie sposób ułożyć ich w czasie. Próbuję wyobrazić sobie Nettie Cobb znajdującą w domu martwego psiaka, siadającą spokojnie i wypisującą te wszystkie liściki do Wilmy, i do tej pory jakoś mi się to nie udało. A ilekroć nie mogę sobie tego wyobrazić, zastanawiam się, czego jeszcze w tej cholernej sprawie nie widzę.

Alan wściekle zacisnął pięść, po czym otworzył ją — pustą.

— Aha. Więc może moje złe wiadomości są dla ciebie dobrymi wiadomościami. Ktoś jeszcze brał w tym udział, Alan. Nie wiemy, kto zabił psa tej Cobb, ale mamy niemal całkowitą pewność, że nie Wilma Jerzyck.

Alan błyskawicznie zdjął nogi z biurka. Monety wysypały mu się z rękawa na stół małym strumieniem srebra. Jedna z nich spadła z biurka. Chwycił ją błyskawicznie w locie.

- Chyba lepiej będzie, jeśli powiesz mi, o co chodzi, Henry.

- Zaczynijmy od psa. Przekazano go Johnowi Palinowi, weterynarzowi z South Portland. Jest tym dla zwierząt, czym Henry Ryan dla ludzi. Twierdzi, że ponieważ korkociąg przebił mu serce i psiak zdechł niemal natychmiast, może nam podać dość precyzyjny czas śmierci.

Miła odmiana — stwierdził Alan. W powieściach Agaty Christie, którymi zaczytywała się Annie, prawie zawsze występował wiejski lekarz z ochotą oznaczający czas śmierci na pomiędzy wpół do piątej a piętnaście po. Niemal dwadzieścia lat policyjnej praktyki nauczyło Alana, że znacznie bardziej realistyczna odpowiedź na pytanie: „Kiedy zginął?” brzmi: „Jakoś tak w zeszłym tygodniu. Prawdopodobnie”.

— Prawda? W każdym razie ten doktor Palin twierdzi, że pies zdechł między dziesiątą a dwunastą w południe. Pete Jerzyck

twierdzi, że kiedy wszedł do sypialni, by przebrać się na mszę — odrobinę po dziesiątej — jego żona była pod prysznicem.

— Tak. Ale już wcześniej wiedzieliśmy, że kolejność wydarzeń w czasie jest w tej sprawie wyjątkowo napięta — powiedział Alan. Był nieco rozczarowany. — Ten twój Palin musi przecież dopuścić istnienie marginesu błędu. Nie jest Bogiem. Wystarczy piętnaście minut i Wilma znów nam pasuje.

— Tak? A jak ci ona do tego pasuje?

Rozważył pytanie, a potem odparł z westchnieniem:

- Żeby ci nie skłamać, przyjacielu, niezbyt. Nigdy mi nie pasowała. — Zmusił się, by dodać jeszcze: — Mimo wszystko głupio byśmy wyglądali, nie zamykając sprawy z powodu raportu jakiegoś weterynarza i niezgodności... jakiej? Piętnastominutowej?

- No dobrze, to porozmawiajmy o tym liście na korkociągu. Pamiętasz go?

- „Nikt nie brudzi błotem moich czystych prześcieradeł. Mówiłam, że cię dopadnę”.

- No właśnie. Grafolog z Augusta nadal nad nim medytuje, ale Peter Jerzyck dostarczył nam próbki pisma swej żony, mam tu ksero próbek i liściku i coś ci powiem. Nie zgadzają się. Zupełnie się nie zgadzają.

- Nie mów!

- A właśnie, że powiem. Myślałem, że to ty jesteś facetem, który niczemu się nie dziwi.

— Wiedziałem, że coś się nie zgadza, ale cały czas myślałem raczej o karteczkach na kamieniach. Kolejność *zdarzeń* wcale mi się nie podobała, nie byłem nią szczególnie zachwycony, ale tak w ogóle to chyba byłbym skłonny odpuścić to sobie. Głównie dlatego, że wszystko tak doskonale pasowało do Wilmy Jerzyck. Jesteś pewien, że nie zmieniła specjalnie charakteru pisma? — Ale sam w to nie wierzył. Wilma nie należała do osób, które chcą wystąpić incognito. Tę możliwość należało jednak rozważyć — mimo wszystko.

- Ja? Jestem całkowicie pewien. Ale żaden ze mnie ekspert, więc nie mogę zeznawać. Dlatego zatrudniliśmy grafologa.

- A kiedy grafolog złoży raport?

- Kto wie. Na razie możesz mi uwierzyć na słowo. Pasują jak pięść do nosa. Są zupełnie różne!

- Zgoda, ale jeśli to nie była Wilma, ktoś bardzo się starał, by Nettie uwierzyła, że to jednak Wilma. Kto? I dlaczego? Dla czego, na litość boską!

- Nie wiem, przyjacielu. To twoje miasto. Na razie mam do ciebie jeszcze dwie sprawy.

- Strzelaj! — Alan odłożył monety do biurka. Przez ścianę przemaszerował wysoki, chudy facecik w cylindrze. Zawrócił. Cylinder zmienił się w laskę.

- Ktokolwiek zabił psa Nettie, zostawił na klamce drzwi wejściowych jej domu, po ich wewnętrznej stronie, zestaw krwa

wych odcisków palców. To po pierwsze.

- O cholera.

• Obawiam się, że w najlepszym razie tylko sraczka. Zamażane. Sprawca najprawdopodobniej złapał za klamkę, uciekając z miejsca przestępstwa.

- Do niczego się nie nadają?

• Cóż, mogą być też dobre fragmenty, ale mamy niewielkie szansę, żeby się obroniły w sądzie. Wysłałem je do FBI, do tych magików z Wirginii. Potrafią dokonać cudów rekonstrukcji z fragmentów, ale ruszają się jak mucha w smole — odezwą się pewnie za tydzień, może nawet za dziesięć dni — więc na razie porównałem sobie te fragmenty z odciskami Wilmy Jerzyck, dostarczonymi mi wczoraj wieczorem przez nasze nieocenione Biuro Medycyny Sądowej.

- Nie pasują?

• No, wiesz, to jak z charakterem pisma, porównywanie części do całości. Gdybym zeznawał w sądzie, obrona rozdarłaby mnie na strzępki. Ale skoro tak sobie sympatycznie gadamy, rozumiesz w czym rzecz. Chodzi także o wielkość. Wilma Jerzyck miała małe dłonie. Odciski na klamce zostawił ktoś, kto miał wielkie łapy. Nawet biorąc pod uwagę, że są niewyraźne, mogę ci powiedzieć jedno: to były wielkie ręce.

- Męskie?

• Jestem tego pewien. Ale znowu, w sądzie się to nie utrzyma.

• Do cholery z sądem! — Na ścianie pojawiła się latarnia morska, zmieniona w piramidę, piramida otworzyła się jak kwiat i stała ulatującą w promieniach słońca gęsią. Alan próbował wyobrazić sobie twarz mężczyzny — nie Wilmy Jerzyck, lecz jakiegoś mężczyzny — który wszedł do domu Nettie Cobb w niedzielny rano. Mężczyzny, który zabił jej Śmiałka korkociągiem, a potem wrobił w to Wilmę. Próbował zobaczyć tę twarz, ale widział wyłącznie

cienie. — Henry, kto w ogóle wpadł na ten pomysł, jeśli nie Wilma?

- Nie wiem. Ale być może mamy świadka tego incydentu z kamieniami.

- Co? Kogo?
- Powiedziałem „być może”, nie zapomnij.
- Wiem, co powiedziałaś. Nie drażnij się ze mną, Henry! Kogo?
- Chłopaka. Sąsiadka Jerzycków usłyszała jakiś hałas i wyszła sprawdzić, co się dzieje. Powiedziała, że ciekawa była, czy „ta suka” — tylko cytuję — wściekła się aż tak, że wyrzuciła męża przez okno. Zobaczyła chłopaka jadącego na rowerze od domu Jerzycków. Sprawiał wrażenie przestraszonego. Zapytała, czy wie, co się dzieje. Powiedział, że może państwo Jerzyckowie się pokłócili. No, jej też wydawało się to możliwe, a skoro hałasy już ustały, przestała myśleć o całej sprawie.

- To z pewnością Jillian Misluburski. Sąsiadka Jerzycków. Dom z drugiej strony jest pusty, wystawiony na sprzedaż.

- Aha. Jillian Mislacośćam. Tak mam zapisane.
- A ten chłopak?
- Nie wiemy. Rozpoznała go, ale nie zdołała przypomnieć sobie nazwiska. Powiedziała, że jest z sąsiedztwa, może nawet z tej samej ulicy. Znajdziemy go.

- Ile ma lat?
- Jej zdaniem jedenaście do czternastu.
- Henry, bądź dobrym kumplem i pozwól mi go poszukać.

Dobrze?

- Oczywiście — zgodził się Henry i Alanowi ulżyło. — Nie mam pojęcia, dlaczego my musimy prowadzić śledztwo, skoro morderstwo zdarzyło się w stolicy hrabstwa. W Portland i Bangor śledztwo prowadzą miejscowi, to dlaczego nie w Castle Rock?

Chryste, nie wiedziałem nawet, jak wymówić nazwisko tej baby, póki nie wypowiedziałeś go głośno.

- Mamy tu wielu Polaków — powiedział z roztargnieniem Alan. — Wydarł z książeczki różowy mandat i na jego odwrocie zapisał: „Jill Misluburski. Chłopiec, 11—14”.

- Gdyby szukali go moi ludzie, zobaczyłby trzech wielkich mundurowych i przestraszył tak, że wszystkiego by zapomniał — powiedział Henry. — A ciebie zna. Odwiedzasz szkoły, nie?

- Tak. Opowiadam o programie zapobiegania przestępstwom wśród nieletnich. Zapraszają mnie w Dzień Prawa i Bezpieczeństwa. — Alan próbował przypomnieć sobie, jakie jeszcze rodziny mieszkają w tym kwartale, co Jerzyckowie i Misluburscy. Jeśli Jill Misluburski rozpoznała go, ale nie przypominała sobie na zwiska, to pewnie chłopak mieszka za rogiem, albo może na Pond Street. Na kawałku papieru zapisał szybko: DeLois, Rusk, Bellingham. Prawdopodobnie były i inne rodziny z chłopcami w odpowiednim wieku, których nie potrafił przypomnieć sobie od razu, ale te trzy na początek wystarczą. Nie trzeba będzie pewnie długo szukać, żeby *znaleźć* dzieciaka.

- Czy Jill potrafi powiedzieć, o której godzinie słyszała hałas i widziała tego małego?

- Nie jest pewna, ale jej zdaniem było po dwunastej.

- Więc to nie Jerzyckowie się kłócili. Jerzyckowie byli wów czas na mszy.

- Słusznie.

- Więc to ktoś wybijał okna kamieniami.

- Słusznie.

- To naprawdę dziwne, Henry.

- Po raz trzeci nie sposób odmówić ci racji. Jeszcze raz i wygrasz opiekacz do grzanek.

- Ciekawe, czy mały widział, kto rzuca tymi kamieniami.

- W normalnej sytuacji powiedziałbym: „zbyt dobre, by było



prawdziwe", ale ta Misluburski twierdzi, że sprawiał wrażenie przestraszonego, więc może i widział? A jeśli widział, założę się z tobą o kielicha i piwo, że nie była to Nettie Cobb. Moim zdaniem ktoś je przeciw sobie ustawił, przyjacielu, i to być może tylko po to, żeby zobaczyć, jak to będzie. Tylko dlatego.

Lecz Alan, znajdujący miasteczko w stopniu, w którym Payton nigdy nie miał go poznać, uznał ten pomysł za czystą fantazję.

- A może to był ten chłopak? Może dlatego sprawiał wrażenie przestraszonego — powiedział. — Może mamy tu do czynienia z prostym chuligaństwem?

- W świecie, w którym istnieje Michael Jackson i taki dupek jak Axel Rose, pewnie wszystko jest możliwe, ale pomysł z chuligaństwem podobałby mi się znacznie bardziej, gdyby dzieciak miał siedemnaście, osiemnaście lat, wiesz?

- Zgoda — przytaknął Alan.

- Po co w ogóle snuć jakieś takie dziwne przypuszczenia, jeśli znajdziesz chłopca? Bo znajdziesz go, prawda?

- Powinienem, bez problemu. Ale chcę poczekać, póki nie skończą się lekcje, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Sam powiedziałeś, że nie ma go co straszyć.

- Nie mam. Panie nigdzie się nie wybierają, jedynie do ziemi. Wszędzie kręcą się reporterzy, ale to tylko drobna przykrość, tłukę ich jak muchy.

Alan wyjrzał przez okno w sam czas, by zobaczyć wóz transmisyjny telewizji WMTW mijający powoli Ratusz; zapewne kierował się do głównego wejścia budynku sądów.

- Aha. Tu też się pojawili — powiedział.

- Mógłbyś zadzwonić do mnie o piątej?

- Zadzwonię o czwartej. Bardzo ci dziękuję, Henry.

- Nie ma o czym mówić. — Henry Payton odłożył słuchawkę.

Alan pomyślał najpierw, że dobrze byłoby poprosić Norrisa

Ridgewicka i opowiedzieć mu o wszystkim — jeśli nawet do niczego więcej, to do słuchania Norris nadawał się doskonale. Przypomnił sobie jednak, że najprawdopodobniej siedzi on teraz pośrodku jeziora Castle z wędką w ręku.

Puścił na ścianę jeszcze kilka zwierzątek, po czym wstał. Był niespokojny, dziwnie podniecony. Nie zaszkodziłoby przejechać się powoli po uliczkach w sąsiedztwie miejsca zbrodni. Może przypomniaby sobie jeszcze kilka rodzin z dziećmi we właściwym przedziale wiekowym; wystarczyłoby popatrzeć na domy. Kto wie, może to, co Henry powiedział o młodzieży, stosowało się także do polskich dam w średnim wieku, kupujących stroje u Lane'a Bryanta? Pamięć Jill Mislaburski będzie lepiej funkcjonować wobec kogoś o znajomej twarzy.

Podniósł rękę, by zdjąć czapkę od munduru wiszącą na wieszaku przy drzwiach, i zastygł w pół gestu. Oczywiście, lepiej, by akurat dziś wyglądał półoficjalnie. A w ogóle, nic by się nie stało, gdyby pojechał swoim kombi.

Wyszedł z gabinetu, stanął w drzwiach i ogarnął biuro zdumionym spojrzeniem. John LaPointe zmienił swe biurko i podłogę wokół niego w krajobraz po powodzi, i to takiej, która wymaga wręcz pomocy Czerwonego Krzyża. Wszędzie piętrzyły się góry papierów. Włożone jedna w drugą szuflady, ułożone na blacie biurka, do złudzenia przypominały konwencjonalne wyobrażenie wieży Babel, gotowej rozpaść się lada chwila. Sam John, *zazwyczaj* najweselszy z funkcjonariuszy biura, tym razem, czerwony i wściekły, klął ile wlezie.

— Mam zamiar umyć ci buzię wodą z mydłem — stwierdził Alan, uśmiechając się szeroko.

John drgnął, zaskoczony, i odwrócił się. Widząc Alana, również się uśmiechnął, jego uśmiech był jednak jednocześnie zawstydzony i niepewny.

— Przepraszam, Alan, ale...

Lecz Alan był już w ruchu. Przestrzeń od drzwi do biurka Johna przebył z tą samą błyskawiczną, płynną i cichą szybkością, która

tak zaskoczyła Poiły. Jego zastępca aż otworzył usta ze zdumienia i nagle kątem oka dostrzegł, o co chodzi: dwie szuflady na szczycie zbudowanej przez niego piramidy przechyliły się niebezpiecznie.

Alan był wystarczająco szybki, by zapobiec katastrofie, nie udało mu się jednak złapać pierwszej z szuflad, która wylądowała mu na nodze, siejąc wokół papiery, spinacze i porozrywane bloczki zszywaczy. Dwie inne przycisnął dłonią do bocznej ścianki biurka.

- Święty Jezu, Alan, jesteś szybki jak kot...
- Dziękuję ci bardzo, John — Alan uśmiechnął się boleśnie.

Szuflady zaczęły się osuwać, a kiedy próbował przycisnąć je mocniej, samo biurko drgnęło i przesunęło się odrobinę. A poza tym cholernie bolała go stopa. — Nie przeszkadzaj sobie w komplementowaniu mnie, nie, broń Boże, tylko przy okazji zdejmij mi tę cholerną szufladę z nogi!

- O, cholera, oczywiście, *zaraz, zaraz...* — John poderwał się do akcji z takim zapalem, że potrącił Alana, Alan zaś nieuchronnie stracił kontrolę na dwiema kolejnymi szufladami, które również wylądowały mu na nogach.

- Uch! — jęknął, złapał się za prawą stopę i zdecydował, że lewa jednak boli go bardziej. — O kurwa!

- Jezu Przenajświętszy. Alan, strasznie przepraszam.

- Co ty tam masz? — Alan podskakiwał, trzymając w dłoni lewą stopę. — Próbkę z kamieniołomów?

- Chyba za długo nie porządkowałem biurka. — John uśmiechnął się niepewnie i na chybił trafił zaczął wkładać papiery i inne biurowe akcesoria do stojących jeszcze na biurku szuflad. Pospolita przystojna twarz płonęła mu jaskrawym rumieńcem. Klęczał i kiedy obrócił się, by zebrać spinacze i zszywki, które trafiły aż pod biurko Gluta, trącił imponujący stos formularzy i starych raportów, ułożony na podłodze. Biuro Szeryfa z krajobrazu po powodzi awansowało na krajobraz po tornado.

- Jej! — krzyknął.

- Jej! — powtórzył Alan, siedzący na biurku Norrisa Ridgewicka. Właśnie próbował rozmasować sobie palce stóp przez ciężkie policyjne buty. — „Jej” to doskonałe określenie, John. Całkowicie odpowiada zaistniałej sytuacji. Takiego „Jej!” jeszcze nie słyszałem.

- Przepraszam — powtórzył John, wczółgując się na brzuchu

pod biurko i zagarniając rozrzucone po podłodze drobiazgi. Alan nie był całkiem pewien, czy ma się śmiać czy płakać. Stopy Johna poruszały się rytmicznie, gdy zamaszystymi gestami rąk równiutko rozkładał papiery po podłodze.

— Wyłaź stamtąd! — krzyknął Alan. Próbował nie roze śmiać się, lecz nabierał przekonania, że ta bitwa jest z góry przegrana.

John LaPointe drgnął, słysząc jego okrzyk, i oczywiście walnął głową w spód biurka. Kolejna góra papierów, spoczywająca niepewnie na samej krawędzi blatu, zepchnięta tam przez półki, runęła. Większość zleciała wprost na podłogę, niektóre kartki jednak opadały powoli, dostojnie, zasnuwając niemal całe biuro.

Będzie tu sprzątał cały dzień — pomyślał zrezygowany Alan. Cholera, cały tydzień. A potem nie mógł się już powstrzymać i ryknął śmiechem. Andy Clutterbuck, obsługujący centralkę, pojawił się w drzwiach biura ciekawy, co się tam dzieje.

- Szeryfie? — spytał. — Wszystko w porządku?
- Oczywiście. — Alan ogarnął wzrokiem białe od papieru biuro i roześmiał się znowu. — W naszym Johnie obudziło się zamiłowanie do porządku, to wszystko.

John wypelzł spod biurka. Stał niepewnie na nogach. Wyglądał, jakby marzył wyłącznie o tym, by ktoś kazał mu stanąć na bacność, a może raczej wykonać pad i czterdzieści pompek. Przód jeszcze przed chwilą nieskazitelnie czystego munduru pokryty miał grubą warstwą kurzu. Mimo rozbawienia Alan postanowił zwrócić uwagę Eddiemu Warburtonowi, który najwyraźniej od dawna nie zatroszczył się o zamiecenie podłogi biura. Nie mógł jednak przestać się śmiać. Po prostu nie mógł.

Ciut bezradnie patrzył to na jednego, to na drugiego.

- No, dobrze. — Alan zdołał się wreszcie opanować. — Może byś tak poinformował nas, czego właściwie szukałeś? Świętego Graala? Skarbów? Czego?

- Portfela — odparł John, bezskutecznie próbując oczyścić mundur. — Zgubiłem gdzieś ten cholerny portfel!

- Sprawdziłeś samochód?

- Oba. — John z niesmakiem obejrzał pas papierowych aste-

roidów otaczający go dookoła. — Radiowóz, którym jeździłem wczoraj, i pontiaca. Ale czasami, kiedy pracuję przy biurku, chowam portfel do szuflady, bo trudno mi na nim usiedzieć. Więc zabrałem się za biurko i...

- Nie miałbyś odcisków na tyłku, gdybyś nie trzymał w nim historii swego całego życia, John — stwierdził rozsądnie Andy Clutterbuck.

- Ciut — wtrącił się Alan — może tak pokierowałbyś ruchem albo co?

- Co?

Alan wzniosł oczy do nieba.

- Idź i znajdź sobie jakąś robotę. Myślę, że obaj z Johnem opanujemy sytuację, w końcu jesteśmy wykształconymi funkcjonariuszami policji. Jeśli jednak okaże się, że nie, nie zapomnimy po ciebie posłać.

- Jasne. Chciałem wam tylko pomóc, wiesz? Widziałem jego portfel. Wygląda, jakby nosił w nim Bibliotekę Kongresu i...

- Dziękujemy ci bardzo za wykład, Ciut. Do zobaczenia.

— No, dobrze. Cieszę się, że mogłem pomóc. Cześć, panowie.

Alan znów spojrzał w sufit. Chciało mu się śmiać, ale tym razem zdołał się opanować. Nieszczęśliwa mina Johna wyraźnie mówiła, że dla niego nie jest to temat do żartów. Zawstydział się, ale była to tylko część problemu. Alanowi raz i drugi także zdarzyło się zgubić portfel, więc wiedział, jakie to nieprzyjemne uczucie. Pieniądze i kłopoty z wymianą kart kredytowych stanowiły tylko część problemu, i to na ogół wcale nie najgorszą. Najgorsze były drobiazgi, które nagromadziły się przez lata, drobiazgi, które komuś mogłyby wydać się śmieciem, dla właściciela były jednak pamiątkami nie do zastąpienia. John siadł na podłodze. Zbierał papiery, sortował je i sprawiał wrażenie niepokieszonego. Alan zaczął mu pomagać.

— Nogi bardzo bolą? — spytał John.

- Nie, skąd. Znasz te buty, chodzi się w nich, jakby miało się cegły na stopach. Ile miałeś w portfelu, John?

- Najwyżej jakieś dwadzieścia dolców, ale w zeszłym tygodniu dostałem kartę myśliwską i tam ją schowałem. I MasterCard. Będę musiał zadzwonić do nich, żeby skasowali numer, jeśli nie znajdę tej cholery. Ale tak naprawdę zależy mi tylko na zdjęciach. Mamy, taty, sióstr — wiesz, jak to jest.

Ale Johnowi tak naprawdę nie chodziło o zdjęcia mamy, taty albo jednej z sióstr, chodziło mu o zdjęcie jego i Sally Ratcliffe. Ciut zrobił je im na jarmarku we Freyburgu, jakieś trzy miesiące przed zerwaniem, kiedy to Sally rzuciła go dla tego kretyna, Lestera Pratta.

- No, to akurat powinno się *znaleźć*. Forsa i karta praw dopodobnie przepadły, ale sam portfel i zdjęcia na ogół wracają. Przecież wiesz.

- Jasne. — John westchnął ciężko. — Tylko... cholera, próbuję sobie przypomnieć, czy miałem go dziś rano, idąc do pracy, i nie mogę!

- Cóż, mam nadzieję, że jednak się znajdzie. Dlaczego nie wywieszisz ogłoszenia na tablicy?

- Wywieszę. I posprzątam tu, obiecuję.

— Wierzę ci. Oczywiście. Nie przejmuj się tak.

Alan wyszedł na parking, potrząsając głową.

W głowie Babs Miller zagrała znajoma melodia. Babs Miller była zgubiona.

Zadzwonił mały srebrny dzwoneczek, wiszący nad drzwiami „Sklepiku z marzeniami”. Do środka, nieco wstydliwie, weszła Babs Miller, ceniona członkini Klubu Brydżowego z Ash Street.

- Pani Miller — powitał ją Leland Gaunt, sprawdzając coś na leżącej przy kasie kartce papieru i czyniąc na niej jakiś znak. — Jak to miło, że mogła pani przyjść. I tak punktualnie! Pani zainteresowana była pozytywką, prawda? Śliczny drobiazg.

- Tak, chciałam z panem o niej porozmawiać. Przypuszczam,

że została już sprzedana. — Nie potrafiła wyobrazić sobie, by coś tak pięknego nie zostało sprzedane. Czuła, jak na samą myśl o tym serce jej pęka. A melodyjka, którą grała... pan Gaunt twierdzi, że już nie pamięta, co to było, ale jej wydawało się, że wie doskonale — że to melodia, przy której tańczyła kiedyś w „Pavillon” na Old Orchard Beach z kapitanem drużyny futbolowej, która w remu nieco później tego samego dnia pod wspianiałym majowym niebem i wspianiałym majowym księżycem z radością oddała swe dziewictwo, on zaś dał jej pierwszy i jedyny w jej życiu orgazm; orgazm, który pamiętała doskonale aż do dziś, tak jak tę melodię, zawsze obecną, grającą gdzieś, w głębi jej duszy.

- Nie, jest tu. — Pan Gaunt wyjął ją z gablotki, w której znajdował się także polaroid, i postawił na ladzie. Twarz Babs Miller rozjaśniła się na ten widok.

- Jestem pewna, że nie mogłabym sobie na nią pozwolić, gdyby *zażądał* pan od razu całej sumy, ale może na raty...

Pan Gaunt uśmiechnął się pięknym, pocieszającym uśmiechem.

— Chyba niepotrzebnie się pani martwi — powiedział. — Z pewnością zaskoczy panią rozsądna cena tego drobiazgu, pani Miller. Bardzo zaskoczy. Proszę usiąść. Porozmawiamy.

Babs usiadła natychmiast.

Pan Gaunt postąpił w jej kierunku.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Teraz sobie przypominam — powiedziała Alanowi Jillian Misluburski. — To był chłopak Rusków. Ma chyba na imię Billy. A może Bruce?

Stali w dużym pokoju, w którym głównym elementem dekoracyjnym był wielki telewizor Sony i wielki gipsowy ukrzyżowany Jezus, wiszący za nim na ścianie. Z telewizora dobiegał głos Ophry Winfrey. Jezus miał oczy wzniesione do góry, jakby od Ophry wołał „Dynastię”. Pani Misluburski zaproponowała Alanowi filiżankę kawy. Alan odrzucił jej propozycję.

- Brian — powiedział.
- Ach, oczywiście. Brian!

Pani Misluburski miała na sobie przeraźliwie zielony szlafrok, ale tego ranka dała spokój czerwonym lokówkom. Liki wielkości tekturowych wałków, na które nawijany jest w fabryce papier toaletowy, tworzyły na jej głowie przedziwną koronę.

- Jest pani pewna, pani Misluburski?
- Tak. Przypomniałam sobie, że to on, dziś rano, kiedy tylko się obudziłam. Dwa lata temu jego ojciec montował nam w domu rozsuwane drzwi, takie na aluminiowej szynie. Raz przyszedł z synem. Chłopiec mu pomagał. Sprawiał wrażenie miłego dziecka.

- Nie wie pani, co tu właściwie robił?
- Powiedział, że chciał zapytać, czy wynajęli już kogoś do uprzątnięcia w zimie śniegu z podjazdu. Chyba o to mu chodziło. Powiedział, że wróci, kiedy nie będą się klócić. Biedny dzieciak sprawiał wrażenie śmiertelnie wystraszonego. Wcale mu się nie dziwie. — Potrząsnęła głową. Wielkie loki zakołysały się miękko. — Przykro mi, że zginęła w ten sposób — powiedziała cichym tonem zwierzenia — ale co to za szczęście dla Pete'a! Nikt nie wie, co przeżył jako mąż tej kobiety. Nikt! — Spojrzała groźnie na wiszące go na ścianie Chrystusa, a potem znów zwróciła wzrok na Alana.

- Aha. Czy zauważyła pani coś jeszcze? Coś dotyczącego tego domu, chłopca, jakieś dziwne odgłosy?

Pani Misluburski przyłożyła palec do nosa, przekrzywiła głowę i na chwilę zastygła w tej pozycji.

—No... nie, właściwie to nie — powiedziała w końcu. — Ten chłopiec, Brian Rusk, miał na bagażniku roweru taki pojemnik. Pamiętam go, ale chyba nie o to panu...

- Chwileczkę! — przerwał jej Alan, podnosząc w górę dłoń. Przez moment w jego mózgu zapaliło się jaskrawe światło. — Pojemnik?

- No wie pan, taki co się go używa na piknikach albo zabawach



pod gołym niebem. Taki termiczny. Pamiętam go tylko dlatego, że był zbyt wielki jak na bagażnik. Leżał w nim przekrzywiony i wyglądał, jakby miał zaraz wypaść.

- Dziękuję pani, pani Mislaburski — powiedział powoli

Alan. — Bardzo pani dziękuję.

- Czy to coś znaczy? Czy to trop?
- Och, bardzo wątpię.

Mimo wszystko dało mu to do myślenia. „Pomysł z chuligaństwem podobałby mi się znacznie bardziej, gdyby ten chłopak miał siedemnaście, osiemnaście lat” — powiedział Henry Payton. Alan podzielał jego przekonanie... ale zdarzyło mu się już spotkać dwunastoletnich chuliganów, a poza tym taki pojemnik pomieściłby przecież sporą ilość kamieni.

Nagle z większym zainteresowaniem zaczął myśleć o rozmowie, którą przeprowadzi dziś po południu z młodym Brianem Ruskiem.

Zadzwoił srebrny dzwoneczek. Do sklepiku wszedł Sonny Jackett. Wszedł powoli, ostrożnie, gniotąc w dłoniach brudną od smarów czapkę firmową „Sunoco”. Zachowywał się jak człowiek, który za chwilę zacznie tłuc wszystkie te kosztowne drobiazgi, choćby nie wiem jak się starał tego nie robić. Wyraz jego twarzy wyraźnie mówił, że choć wcale tego nie pragnie, tłuczenie wszystkiego w najbliższym otoczeniu jest po prostu jego przeznaczeniem.

— Pan Jackett! — Gaunt powitał go ze zwykłym zapalem, po czym maleńkim znaczkiem oznaczył nazwisko Sonny'ego na leżącej przy kasie kartce papieru. — Jakże się cieszę, że zdecydował się pan na wizytę!

Sonny zrobił całe trzy kroki w głąb sklepu, następnie zaś zamarł w bezruchu, tylko oczy biegały mu od gablotek do samego pana Gaunta i z powrotem.

— No tak — powiedział. — Nie przyszedłem tu nic kupić. Od razu to trzeba wyjaśnić. Stary Harry Samuels powiedział, że chciałby pan mnie zobaczyć, gdybym przyszedł, no to przyszedłem. Powiedział, że ma pan fajny komplet narzędzi. Szukałem czegoś takiego, ale to nie sklep dla mnie. Chcę być tylko grzeczny, no to przyszedłem.

- Cóż, doceniam pańską uczciwość, ale niech pan nie zastrzega się tak od razu, panie Jackett. To naprawdę doskonale narzędzia i w dodatku calowo-metryczne.

- Tak? — brwi Sonny'ego powędrowały bardzo wysoko. Wiedział, oczywiście, że coś takiego istnieje i umożliwia pracę tym samym kompletem zarówno przy samochodach krajowych, jak i zagranicznych, ale nigdy w życiu takich narzędzi nie widział. — Naprawdę?

- Oczywiście, panie Jackett. Odłożyłem je dla pana na za plecami, gdy tylko dowiedziałem się, że poszukuje pan czegoś takiego. Gdybym ich nie odłożył, sprzedałyby się niemal natychmiast, a chciałem, by przynajmniej rzucił pan na nie okiem, nim zaoferuję je innemu klientowi.

Sonny Jackett zareagował na tę rewelację z typowo jankeską podejrzliwością.

- A czemu, proszę, aż tak się pan trudził?

- Ponieważ sam mam stary klasyczny samochód, a stare klasyczne samochody wymagają ciągłej troski. Powiedziano mi, że jest pan najlepszym mechanikiem stąd aż do Derry.

- Ach! — Sonny rozluźnił się lekko. — Być może, rzeczywiście. A czym pan, proszę, *jeździł*

- Tuckerem.

Sonny znów uniósł brwi. Patrzył teraz na właściciela „Sklepiku z marzeniami” ze znacznie większym szacunkiem.

- Torpedo! Cud maszyna!

- Nie torpedo. Mam talismana.

- Nigdy nie słyszałem o talismanie.

- Istniały tylko dwa egzemplarze, prototyp i mój samochód.

Powstały w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku. Wkrótce potem Tucker przeniósł się do Brazylii, a po krótkim czasie umarł. — Oczy Gaunta zasnuły się mgłą. — Preston był przemyślnym człowiekiem i czarodziejem w dziedzinie projektowania samo

chodów... ale bardzo kiepskim biznesmenem.

- Tak?
- Tak. — Mgła naraz zniknęła. — Ale to dawne sprawy, dzisiaj mamy dzisiaj. Należy odwrócić kartkę w kalendarzu, prawda, panie Jackett? Należy odwrócić kartkę! Zawsze powtarzam,

że przyszłość trzeba zdobyć dziarskim marszem, nie odwracać się w stronę przeszłości.

Sonny spojrział na niego spode łba, nieufnie, i nie powiedział nic.

— Zaraz pokażę panu narzędzia.

Sonny nie zgodził się na to tak od razu, tylko jeszcze raz podejrzliwie przyjrzał się zawartości szklanych gablotek.

- Nie stać mnie na nic wymyślnego — oznajmił. — Mam górę rachunków do zapłacenia. Czasami zastanawiam się, czy nie rzucić interesu i nie pójść na zasiłek.

- Doskonale pana rozumiem. Moim zdaniem to wszystko przez tych cholernych republikanów!

Spięta, nieufna twarz Sonny'ego natychmiast się rozpromieniła.

- W tym to masz całkowitą rację, przyjacielu — wykrzyknął. — George Bush w ogóle zrujnił ten kraj... on i ta jego cholerna wojna. Ale czy pana zdaniem demokraci mogą wystawić przeciw niemu w przyszłym roku kogoś, kto miałby szansę wygrać?

- Bardzo wątpliwe.
- Na przykład Jesse Jackson... Murzyn.

Spojrzał wyzywająco na pana Gaunta, który z kolei lekko przechylił głowę, jakby chciał powiedzieć: „Tak, przyjacielu, nie obawiaj się, mów szczerze. Obaj jesteśmy ludźmi światowymi, niewahającymi się nazwać czarnucha czarnuchem”. Sonny Jackett odprężył się jeszcze bardziej. Zapomniał o brudnych od smaru dłoniach, poczuł się prawie jak w domu.

—• Nie mam nic przeciw smoluchom, rozumiesz pan, ale sam pomyślał, żeby któryś zasiadł w Białym Domu, naszym Białym Domu... brrr, aż dostaję dreszczy.

- To oczywiste.

- A ten kloc z Nowego Jorku — Mario KUUU...OOO... mooo. Myśli pan, że ktoś z takim nazwiskiem pobije tego cholernego okularnika?

- Nie — stwierdził stanowczo Gaunt. Podniósł prawą dłoń, dwa długie palce znajdowały się w odległości mniej więcej centymetra od ohydneho, płaskiego kciuka. — A poza tym nie ufam ludziom o małych łebkach — oznajmił.

Sonny gapił się na niego przez chwilę, a potem klepnął się w kolano i wybuchnął zdyszany śmiechem.

— Nie ufam ludziom o małych... jej, doskonale! Doskonale, szanowny panie.

Gaunt pozwolił sobie na uśmiech.

Szczerzyli do siebie zęby.

Pan Gaunt przyniósł wreszcie komplet narzędzi, umieszczony w skórzanej walizeczce wyłożonej czarnym aksamitem — najpiękniejszy komplet stalowych, chromowanych kluczy, jaki Sonny Jackett widział w życiu.

Szczerzyli do siebie zęby ponad walizeczką jak małpy, właśnie zbierające się do bójki.

Sonny go, oczywiście, kupił — za sto siedemdziesiąt dolarów plus kilka naprawdę zabawnych kawałów, jakie miał spłacać Donowi Hemphillowi i wielebnemu Rose'owi. Właścicielowi „Sklepiku z marzeniami” oznajmił, że cała przyjemność po jego stronie — z radością dołoży tym śmierdzącym psalmistom, cholernym republikanom, sukinsynom.

Uśmiechali się na myśl o żartach, których ofiarą padną Parowy Willie i Don Hemphill.

Sonny Jackett i Leland Gaunt — dwaj uśmiechnięci, światowi, uwielbiający niewinne rozrywki mężczyźni.

Zawieszony nad drzwiami blaszany dzwoneczek zadzwonił

Henry Beaufort, w jednej osobie barman i właściciel „Potulnego Tygrysa”, mieszkał w domu odległym o mniej niż pół kilometra od miejsca pracy. Myra Evans zostawiła samochód na parkingu „Tygrysa”, całkowicie opustoszałym w ten słoneczny, upalny, niepasujący do pory roku poranek i poszła do domu Beauforta piechotą. Zważywszy na naturę dzieła, którego miała dokonać, ostrożność ta wydawała się jej całkiem uzasadniona, okazało się jednak, że nie ma powodów do obaw. Bar

zamykano o pierwszej, Henry zaś wstawał najczęściej w równe dwanaście godzin później. Okna na parterze i piętrze domu były szczelnie zasłonięte, na podjeździe zaś stała jego duma i radość: doskonale utrzymany thunderbird z 1960 roku.

Myra miała na sobie dzinsy i jedną z mężowskich niebieskich koszul — tych, które nosił do pracy, wyrzuconą na wierzch i wiszącą jej niemal do kolan. Koszula ta ukrywała pas, z którego zwisała jej na udo wielka pochwa. Chuck Evans kolekcjonował broń z czasów drugiej wojny światowej (i choć jego żona nie miała o tym pojęcia, dokonał nawet zakupu w „Sklepiku z marzeniami”), w pochwie zaś znajdował japoński bagnet. Przed półgodziną Myra zdjęła go ze ściany pracowni męża w piwnicy. Przy każdym kroku obijał się jej o udo.

Myra marzyła o tym, by wykonać zadanie jak najszybciej i wrócić do zdjęcia. Odkryła, że kiedy trzyma to zdjęcie w dłoniach, przeżywa coś w rodzaju opowieści. Nie prawdziwej, oczywiście, ale jej zdaniem nawet lepszej od prawdziwej. Akcja aktu pierwszego toczyła się na koncercie, gdzie Król wciągnął ją na scenę, na której z nim tańczyła. Akt drugi rozgrywał się w Zielonym Pokoju po koncercie, akt trzeci w limuzynie. Jeden z goryli z Memphis prowadził limuzynę, a Król nawet nie zasunął zasłony na oddzielającej go od szofera szybie, tylko od razu zabrał się do roboty, wyczyniając z nią najwymyślniejsze i najrozkoszniejsze rzeczy w drodze na lotnisko.

Akt czwarty zatytułowany był „W samolocie”; jego akcja rozgrywała się na pokładzie „Lisy Marię”, prywatnego convaira Elvisa, w podwójnym łóżu oddzielonym przegrodą od właściwej kabiny. Ten właśnie akt przeżywała Myra wczoraj rano. Leciała samolotem na wysokości tysiąca metrów, leciała w łóżku z Elvisem Presleyem, oboje lecieli zaś w stronę aktu piątego: „Gracelandu”. Kiedy się tam znajdują, może im być tylko lepiej!

Ale najpierw musiała załatwić ten drobiazg.

Dziś rano, po wyjściu męża, leżała w łóżku, naga. Miała na sobie tylko pas od podwiązek (Król bardzo dobitnie wyraził życzenie, by go nie zdejmowała), trzymała zdjęcie w złożonych dłoniach, jęczała i wiła się w pościeli, gdy nagle podwójne łóżo zniknęło, zniknął cichy jak szept dźwięk silników odrzutowca i zapach „English Leather” Króla.

Miejsce tych cudów zajęła twarz pana Gaunta, tylko pan Gaunt nie wyglądał już jak wtedy, w sklepie. Twarz miał poparzoną, zwęgloną niczym w jakimś straszliwie gorącym płomieniu. Skóra na niej pulsowała i wiła się, jakby ukryte pod nią robaki próbowały wydostać się na powierzchnię. Kiedy uśmiechnął się, jego wielkie, nierówne zęby zmieniły się w podwójny rząd kłów.

— Już czas, Myra — powiedział pan Gaunt.

— Chcę być z Elvisem — jęknęła. — Zrobię to, ale później, nie teraz, proszę, nie teraz.

— A właśnie, że teraz. Obiecałaś i dotrzymasz obietnicy. Albo będziesz bardzo, bardzo żałować.

Rozległ się cichy trzask, a kiedy opuściła wzrok, dostrzegła zygzakowate pęknięcie na szkle zdjęcia, dokładnie na twarzy Króla.

- Nie! — krzyknęła. — Niech pan tego nie robi!
- Nic nie robię — pan Gaunt roześmiał się. — To twoje dzieło. To twoje dzieło, bo jesteś głupią, leniwą małą cipą. Żyjemy w Ameryce, Myra, a w Ameryce tylko kurwy załatwiają interesy w łóżku. W Ameryce ludzie godni szacunku wstają z łóżka, by zarobić na rzeczy, których potrzebują — a jeśli nie wstaną, to tracą je na zawsze. Ty chyba o tym zapomniałaś. Oczywiście, ja zawsze znajdę kogoś, kto spłata tego wesołego figla panu Beaufor-towi, lecz jeśli chodzi o twą piękną *affaire de coeur* z Królem... Trzask. Na pokrywającej zdjęcie szybko pojawiło się kolejne pęknięcie, twarz Króla na oczach przerażonej Myry zaczęła się starzeć, marszczyć i kurczyć pod niszczycielskim wpływem docierającego teraz do samego zdjęcia powietrza.

— Nie! Zrobię to! Zrobię to teraz! Widzi pan, już wstaję. Niech pan przestanie, tylko niech pan przestanie!

Myra wyskoczyła z łóżka, jakby właśnie odkryła, że dzieli je z gniazdem skorpionów.

- Jak tylko dotrzymasz słowa. — Pan Gaunt mówił teraz wprost z jakichś mrocznych głębi jej głowy. — Wiesz, co masz zrobić, prawda?

- Tak! — Myra z rozpaczą patrzyła na zdjęcie, na portret starego, chorego człowieka o twarzy opuchniętej od zbyt swobodnego życia i zbyt szkodliwych nałogów. Dłoń trzymająca mikrofon przypominała szpony sępa.

- Gdy wrócisz, wypełniwszy swą misję — powiedział pan Gaunt — zdjęcie będzie w porządku. Tylko niech cię nikt nie zobaczy, Myra. Gdyby ktokolwiek cię zobaczył, ty już nigdy go nie zobaczysz.

- Nie zobaczę! Obiecuję, nie! — Myra aż bełkotała z przejęcia.

Teraz, kiedy dotarła już do domu Henry'ego Beauforta, przypomniała sobie to ostrzeżenie. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie nadjeżdża, ale droga była całkowicie pusta. Gdzieś, na jałowym polu pod październikowym słońcem, rozległo się krakanie wrony. Poza tym nie słyszała nic. Dzień pulsował upałem i napięciem niczym żywa istota; ziemia, oszołomiona, kąpała się w tak nieoczekiwanie ciepłych promieniach słońca.

Myra ruszyła podjazdem, podciągając połą koszuli. Upewniła się, że bagnet jest na miejscu. Pot lał się jej wzdłuż kręgosłupa i pod biustonoszem, drażniąc skórę. Choć o tym nie wiedziała i nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, w tej wiejskiej ciszy wydawała się piękna. Jej pospolita, tępa twarz nagle — choć być może tylko na chwilę — nabrała nowego wyrazu, wynikającego z niezłomnej woli dokonania tego, czego miała dokonać. Kości policzkowe ostro rysowały się pod skórą — po raz pierwszy od czasu liceum, gdy zdecydowała, że jej życiową misją jest zjedzenie

wszystkich baloników czekoladowych świata. W ciągu ostatnich czterech dni zbyt zajęta była uprawianiem coraz bardziej wymyślnego seksu z Królem, by w ogóle jeść. Włosy, zwisające na ogół wokół twarzy niczym przyklejony do głowy mokry chodnik, związała w krótki koński ogon, odsłaniający czoło. Być może zszokowany przez nagłą inwazję hormonów, a także nagle odcięcie obfitego i stałego do tej pory dopływu cukru, organizm zaczął likwidować pryszcze, których nie mogła pozbyć się na dobre od dwunastego roku życia. Najpiękniejsze i najbardziej zdumiewające były jednak jej oczy: wielkie, niebieskie, groźne. Nie przypominały już oczu Myry Evans, lecz oczy dzikiej bestii, która lada chwila stanie się niebezpieczna dla otoczenia.

Podeszła do thunderbirda. Akurat teraz na drodze coś się pojawiło — stary, rozklekotany samochód dostawczy jakiejś farmy, jadący w kierunku miasta. Przykucnęła za przednim błotnikiem, czekając, aż zniknie jej z oczu, a kiedy wreszcie to zrobił, wstała. Z kieszeni na piersiach wyjęła złożoną kartkę papieru, wygładziła ją ostrożnie i wsadziła za jedną z wycieraczek; krótki liścik był wyraźnie widoczny dla każdego:

**NIGDY WIĘCEJ NIE WYRZUCISZ MNIE Z BARU I NIE ODBIERZESZ MI KLUCZYKÓW,  
TY CHOLERNY ŻABO-J ADZIE!**

Nadszedł czas użycia bagnetu.

Myra jeszcze raz rozejrzała się dookoła, ale jedyną rzeczą ruchomą w całym upalnym wszechświecie była wrona, być może ta, która wcześniej krakała. Ptaszysko przysiadło na słupie telefonicznym najbliższym podjazdu, choć znajdującym się po przeciwnej stronie szosy, i

wydawało się ją obserwować.

Myra wyjęła bagnet, zgarbiła się i z całej siły wbiła go w boczną ściankę przedniej opony od strony kierowcy. Wyszczrzyła zęby w szatańskim grymasie, spodziewając się usłyszeć głośnie „bang!”, ale rozległo się tylko zdławione „szzzzzz” niczym syk wielkiego chłopca uderzonego mocno poniżej pasa. T-bird wyraźnie pochylił się w lewo. Myra wyszarpnęła bagnet, powiększając rozcięcie — dzięki Bogu Chuck dbał o swoje zabawki.

Kiedy wreszcie wycięła szeroki uśmiech w błyskawicznie siadającej oponie, przeszła na drugą stronę samochodu i powtórzyła manewr z kołem po stronie pasażera. I choć marzyła, by *znaleźć* się w domu ze zdjęciem w ręku, to jednak odkryła, że rada jest, mogąc dotrzymać złożonej panu Gauntowi obietnicy. To, co robiła, było doprawdy ekscytujące. Próbowwała wyobrazić sobie twarz Henry'ego, gdy zobaczy, co się stało z jego ukochanym t-birdem, i na samą myśl o tym poczuła podniecenie. Jeden Bóg wie dlaczego pomyślała, że kiedy wróci wreszcie na pokład „Lisy Marie”, nauczy Króla paru *rzeczy*, o których nie miał zielonego pojęcia.

Zajęła się tylnymi kołami. Bagnet nie poruszał się już tak łatwo, ale nadrobiła jego słabości entuzjazmem, z jakim wzięła się do dzieła, energicznie piłując boczne ścianki opon.

Kiedy załatwiła już sprawę, kiedy wszystkie cztery koła były nie tyle dziurawe, co wypatroszone, zrobiła krok wstecz i przyjrzała się swemu dziełu. Oddychała szybko, pot z czoła otarła gwałtownym, niemal męskim gestem. Thunderbird Henry'ego Beauforta osiadł na co najmniej piętnaście centymetrów. Siedział na obręczach; drogie, radialne opony leżały wokół nich niczym kałuże stopionej gumy. Nagle, choć pan Gaunt wcale jej o to nie prosił, zdecydowała się na drobiazg; jeden z tych, które czasami znaczą tak wiele: przeciągnęła czubkiem bagnetu po lakierze, rysując na troskliwie wypolerowanej karoserii długą, zygzakowatą linię.

Rozległ się cichy, lecz przeraźliwy zgrzyt... Myra obejrzała się na dom, nagle pewna, że Henry Beaufort musiał usłyszeć ten dźwięk, że żaluzja w oknie sypialni uniesie się nagle, że właściciel zdewastowanego przez nią samochodu spojrzy przez okno i dostrzeże ją.

Nic takiego się nie stało, ale Myra Evans zdała sobie nagle sprawę, że pora na odwrót. Nie była tu mile widzianym gościem, a poza tym tam, w jej sypialni, czekał na nią... Król! Pobiegła podjazdem, chowając po drodze bagnet do pochwy i kryjąc ją pod długą połą mężowskiej koszuli. Nim dotarła pod „Potulnego Tygrysa”, minął ją samochód, ale jechał w kierunku, w którym szła — przyjąwszy, że kierowca nie nadużywał wstecznego lusterka, to dostrzegł tylko jej plecy.

Wskoczyła za kierownicę swego samochodu, zerwała gumkę z włosów, które natychmiast opadły



wokół jej twarzy cienkimi kosmykami, i ruszyła w kierunku miasta. Kierownicę trzymała jedną ręką, druga zbyt wiele miała do roboty pomiędzy nogami. Pędem wbiegła do domu, pobiegła na górę po dwa stopnie. Zdjęcie leżało przy łóżku tam, gdzie je zostawiła. Zrzuciła buty, zdjęła dzinsy, złapała fotografię i wskoczyła do łóżka. Pęknięcia na szkle zniknęły; Król znów był piękny i młody.

To samo można powiedzieć o niej samej — przynajmniej w tej chwili.

Srebrny dzwoneczek zagrał swą radosną melodyjkę. Otworzyły się drzwi „Sklepiku z marzeniami”.

- Dzień dobry, pani Potter! — krzyknął entuzjastycznie pan Gaunt, zakreślając kolejne nazwisko na leżącej przy kasie karteczce. — Niemal zwątpiłem już w pani wizytę.

- Niemal z niej zrezygnowałam — powiedziała Lenore Potter. Sprawiała wrażenie rozbitej i wyprowadzonej z równowagi. Piękne, siwe włosy, na ogół ufryzowane do perfekcji, związane miała w niedbały kok. Spod eleganckiej, drogiej spódnicy szarego koloru wyglądało co najmniej dwa centymetry halki, pod oczami zaś miała ciemne kręgi. Same oczy biegały tu i tam, rzucając złe, podejrzliwe spojrzenia na wszystko, na co padły.

- Interesowała panią laleczka, prawda? O ile pamiętam, powiedziała mi pani, że dysponuje sporą kolekcją dzieciennych zabawek i...

- Doprawdy nie sądzę, bym dziś potrafiła skupić się na czymś tak kruchym — przerwała mu Lenore. Była żoną najbogatszego prawnika w Castle Rock, sama także mówiła autorytatywnym, dobitnym, prawniczym głosem. — Jestem w najgorszym z możliwych nastrojów. Mam fatalny dzień. Nie po prostu zły, lecz fatalny.

Pan Gaunt ominął największą z gablotek. Podszedł do niej z twarzą pełną sympatii i troski jednocześnie.

- Szanowna pani, co się takiego stało? Wygląda pani strasznie!
- Oczywiście, że wyglądam strasznie! — warknęła na niego

Lenore. — Normalny przepływ mej psychicznej aury został zakłócony, poważnie zakłócony. Zamiast błękitu, koloru spokoju i łagodności, cała calava jest jaskrawopurpurowa. A wszystko przez tę sukę z przeciwnej strony ulicy. Przez tę nadętą sukę!

Pan Gaunt wykonywał dziwne, uspokajające ruchy, choć ani razu nie musnął nawet dłońmi ciała pani Potter.

- Jaką sukę, pani Potter? — spytał, doskonale znając od powiedź na to pytanie.
- Bonsaint, oczywiście! Bonsaint! Wstrętna, kłamliwa Stephanie Bonsaint! Moja aura nigdy jeszcze nie była purpurowa, panie Gaunt. Ciemnoróżowa, tak, to się parę razy zdarzyło, a raz, kiedy w Oxfordzie omal nie przejechał mnie pijak, chyba na kilka minut zrobiła się czerwona, ale nigdy nie była purpurowa. Tak nie da się żyć!

— Ależ oczywiście — powiedział uspokajająco pan Gaunt. — Nikt nie spodziewa się, że będzie pani tak żyła!

Wreszcie zdołał uchwycić jej spojrzenie. Nie było to wcale takie łatwe, rozglądała się wokół nic właściwie nie widząc i na nic nie zwracając uwagi, ale w końcu mu się udało, a kiedy już tego dokonał, Lenore Potter uspokoiła się niemal od razu. Odkryła, że spojrzenie w oczy pana Gaunta było niemal tak rozkoszne jak spojrzenie w jej własną aurę, kiedy wykonywała wszystkie właściwe ćwiczenia, kiedy żywiła się odpowiednio (głównie kielkami fasoli i soi) i utrzymywała calawę w normie co najmniej godziną medytacji po obudzeniu i kolejną godziną przed pójściem do łóżka. Oczy miał w jasnym, spłowiałym błękitnym kolorze pustynnego nieba.

- Niech pani podejdzie, o tu. — Pan Gaunt poprowadził ją do trzech obitych aksamitem krzeseł z wysokimi oparciami, na których tyłu obywateli Castle Rock siedziało w ciągu ostatniego tygodnia, a kiedy usiadła, zaproponował: — Niech mi pani o wszystkim opowie.

- Ona mnie zawsze nienawidziła — powiedziała Lenore. — Jest przekonana, że jej mąż awansował tak powoli przez mojego męża. I że to wszystko moja wina. To kobieta z kurzym mózdz

kiem, wielkim biustem i brudnoszarą aurą. Zna pan ten typ?

- Ależ oczywiście!
- Tyle że do dzisiejszego ranka nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mnie nienawidzi. — Lenore Potter znów się zdenerwowała mimo kojącego wpływu pana Gaunta. — Kiedy wstałam, zobaczyłam, że moje rabaty zostały zrujnowane. Zrujnowane! To, co wczoraj było tak piękne, dziś umiera. Wszystko, co łagodzi aurę, jest tak pożywne dla calawy, zostało zamordowane! Przez tę sukę. Przez tę pieprzoną sukę!

Lenore zacisnęła dłonie w pięści; elegancko wymanikiowane paznokcie aż wbiły się w ciało. Uderzyła pięściami w drewniane oparcie krzesła.

- Chryzantemy, astry, nagietki... ta suka wtargnęła w nocy do mojego ogrodu. Powyrywała je wszystkie. Powyrywała i wyrzuciła.

Wie pan, gdzie są moje ozdobne dynie?

- Nie. Gdzie? — spytał łagodnie pan Gaunt, nadal wykonując dziwne ruchy dłońmi wokół jej ciała. Oczywiście potrafił się domyślić odpowiedzi, a także bez najmniejszej wątpliwości wie dział, kto ponosi odpowiedzialność za te mordercze dla calawy zniszczenia: Melissa Clutterbuck. Lenore nie podejrzewała żony zastępcy szeryfa, ponieważ jej nie znała, a Melissa nie znała pani

Potter; tyle tylko, że mówiły sobie „dzień dobry” na ulicy. Melissa nie zniszczyła klombów pani Potter ze złości (oprócz, oczywiście — pomyślał pan Gaunt — normalnej złośliwej radości, którą każdy człowiek odczuwa, niszcząc bezpowrotnie coś, na czym komuś bardzo zależy). Zniszczyła je, by dopełnić zapłaty za serwis z porcelany Limoges. Kiedy się nad tym zastanowić, był to czysty interes. A przy tym podniecający, oczywiście, ale kto powiedział, że interesy muszą być nudne?

- Moje ozdobne dynie leżą na ulicy! — krzyknęła Lenore. — Pośrodku Castle View! Niczego sobie nie darowała! Zniszczyła nawet stokrotki afrykańskie. Wszystkie! Wszystkie!

- Widziała ją pani?

- Nie musiałam jej widzieć. Tylko ona nienawidzi mnie do tego stopnia, żeby zdobyć się na coś takiego. A na ziemi są ślady po wysokich obcasach. Założę się, że ta tania dziwka chodzi w szpilkach nawet do łóżka! Och, proszę pana! — zawyła Lenore. — Kiedy zamykam oczy, wszystko robi się purpurowe! Co mam teraz zrobić?

Pan Gaunt milczał przez chwilę, wpatrywał się w nią do momentu, aż się uspokoiła, znieruchomiła.

- Tak lepiej? — spytał w końcu.
- Tak — odpowiedziała mu cichym, pełnym ulgi głosem. —

Chyba znów dostrzegam błękit...

- Lecz jest pani zbyt zdenerwowana, by nawet myśleć o zakupach?

- Tak...
- Zwłaszcza tym, co zrobiła pani ta suka.
- Tak...
- Musi zapłacić.
- Tak.
- I jeśli jeszcze kiedykolwiek spróbuje czegoś podobnego,

zapłaci.

- Tak!
- Być może mógłbym pani pomóc. Niech się pani nie rusza z miejsca. Proszę snuć niebieskie myśli.
- Niebieskie — powtórzyła Lenore jak we śnie.

Pan Gaunt wrócił z zaplecza. W dłoń Lenore Potter włożył jeden z pistoletów przywiezionych przez Ace'a z Cambridge. Pistolet był załadowany; w świetle sklepowych lamp błyszczał smarem i granatowoczną stalą. Lenore podniosła go do oczu; przyglądała mu się z wielką przyjemnością i jeszcze większą ulgą.

- Nikomu nie doradzam, by strzelał do przeciwnika — oznaj

mił pan Gaunt — a przynajmniej nie bez bardzo ważnego powodu. Lecz pani jest niewątpliwie osobą mającą taki powód, pani Potter. I nie chodzi o kwiaty. Oboje wiemy, że kwiaty nie są tu ważne. Jedne kwiaty można zastąpić innymi. Lecz pani karma... pani calava... cóż innego my wszyscy naprawdę posiadamy? — i roze śmiał się lekceważąco.

- Nic. — Lenore Potter wymierzyła pistolet w ścianę. — Bam, bam, bam. To dla ciebie, ty zazdrosna mała dziwko na wysokich obcasach. Mam nadzieję, że twój mąż skończy jako śmieciarz. Zasluguje na to. Oboje na to zasługujecie.

- Widzi pani tę małą dźwigienkę? — pan Gaunt pochylił się i wskazał palcem.

- Oczywiście, widzę.

- To bezpiecznik. Jeśli ta suka znów pojawi się na pani ziemi, jeśli znów spróbuje coś zniszczyć, bezpiecznik należy najpierw przesunąć. Rozumie pani?

- Ależ oczywiście — powtórzyła Lenore niczym ktoś mówiący przez sen. — Doskonale rozumiem. Kap...uje.

- Nikt nie będzie pani za to winił. W końcu każdy ma prawo strzec swej własności. Strzec swej karmy. To złośliwe bydlę nie pojawi się już pewnie, ale gdyby... — spojrzał na nią znacząco.

- Jeśli się pojawi, będzie to jej ostatni występ. — Lenore podniosła krótką lufę pistoletu do ust i ucałowała ją delikatnie.

- A teraz proszę go schować do torebki i wrócić do domu. Boże, przecież ona może w tej właśnie chwili być na pani po dwórku. Może być w pani domu!

Lenore zaniepokoiła się tą możliwością. W jej błękitnej aurze pojawiły się pasemka złowrogiej purpury. Wstała, chowając pistolet do torebki. Pan Gaunt oderwał wzrok od jej oczu; zamrugła kilkakrotnie, dezorientowana.

- Przykro mi, ale obejrzę lalkę innym razem, panie Gaunt. Chyba lepiej będzie, jeżeli jak najszybciej wrócę do domu. Z tego,

co wiem, ta Bonsaint może w tej właśnie chwili być na moim podwórku. Może być w moim domu!

- Co za straszliwie podejrzenie — zdziwił się Gaunt.
- Oczywiście, ale własność oznacza odpowiedzialność i musi być chroniona. Należy stawiać czoło tego rodzaju przykrościom. Ile jestem panu winna za... za... — nie pamiętała, co właściwie jej sprzedał, choć miała wrażenie, że dowie się tego wcześniej niż później. Uzupełniła zdanie machnięciem torebką.

— Pani nic nie płaci. Ten towar jest dziś za darmo. Niech pani o tym myśli jak o... reklamie... przy pierwszym spotkaniu.

— Dziękuję panu bardzo. Czuję się o wiele lepiej.

Pan Gaunt skłonił głowę.

— Jak zawsze, wystarczającą nagrodą jest dla mnie to, że mogłem okazać się pomocny.

Norris Ridgewick nie pojechał na ryby.

Norris Ridgewick zaglądał przez okno do sypialni Hugh'a Priest'a.

Hugh leżał w łóżku bezwładnie, na wznak, spał i chrapał głośno. Miał na sobie tylko zasikane gacie. W wielkiej, kościstej pięści ścisnął kawałek matowego futra. Norris nie widział dokładnie, co to właściwie jest — Hugh miał doprawdy wielkie pięści, a okno było bardzo brudne — podejrzewał jednak, że to nadjedzony przez mole, stary lisi ogon. Zresztą nie obchodziło go żadne futro, a tylko fakt, że Hugh spał.

Norris wrócił trawnikiem do samochodu, zaparkowanego za buickiem Hugh'a. Otworzył drzwi od strony pasażera, zajrzał do środka. Podbierak stał na podłodze, bazun leżał na tylnym siedzeniu — Norris Ridgewick odkrył niedawno, że czuje się lepiej, bezpieczniej, jeśli ma go stale przy sobie.

Do tej pory nie łowił nim jeszcze ani razu. Cała prawda na ten temat wyglądała bardzo prosto: bał się nim łowić. Zabrał go wczoraj nad jezioro Castle, wypielęgowanego i gotowego do akcji... i nagle zawahał się, dokładnie w chwili, w której miał po raz pierwszy zarzucić wędkę. Czubek bazuna sterczał mu nawet za plecami.

A co będzie — pomyślał — jeśli weźmie naprawdę duża ryba? Na przykład „Smokey”?

„Smokey” był starym, brązowym pstrągiem, stworzeniem, wokół którego wśród wędkarzy Castle Rock narosła prawdziwa legenda. Według niej miał przeszło sześćdziesiąt centymetrów długości, był chytry jak lis, silny jak niedźwiedź i twardy jak stal. Zdaniem weteranów pysk lśnił mu od haczyków wędkarzy, którzy go mieli... lecz nie utrzymali.

A co, jeśli złamie wędkę?

Sam pomysł, by słodkowodny pstrąg, nawet wielki jak „Smokey” (założywszy, że „Smokey” w ogóle istnieje), złamał bazuna,

wydawał się zwariowany, ale zdaniem Norrisa nie było to całkowicie niemożliwe, przy pechu, który go ostatnio prześladował, wydawało się nawet prawdopodobne. Prawie słyszał suchy trzask, prawie czuł paraliżującą rozpacz, prawie widział wędzisko w dwóch częściach: jedna leżała na dnie łodzi, druga pływała w wodzie obok niej. A kiedy złamie się wędka, to już nic się nie da zrobić.

No więc w końcu łowił swoim starym zebco. Nie miał ryby na kolację — ale śnił o panu Gauncie. Pan Gaunt miał na sobie rybackie buty do bioder i stary kapelusz z piórami zatkniętymi za wstążkę. Siedział w łodzi, jakieś dziesięć metrów od brzegu, on sam zaś stał na zachodnim krańcu jeziora, słuchając jego słów. Pan Gaunt przypomniał Norrisowi o jego obietnicy i Norris obudził się z pełnym, stuprocentowym przekonaniem, że wczoraj postąpił całkowicie słusznie, odkładając bazuna i używając zebco. Bazun był zbyt piękny, tak piękny, że łowić nim byłoby po prostu zbrodnią.

Norris sięgnął do koszyka, wyjął z niego długi nóż do patroszenia ryb i trzymając go w ręku, podszedł do samochodu Hugh'a.

Nikt nie zasłużył sobie na to bardziej niż ten cholerny pijak — przekonywał sam siebie, ale coś w nim nie zgadzało się z tym kategorycznym twierdzeniem. Coś mówiło mu, że popełnia wielką, straszliwą pomyłkę, której skutki zaważyć mogą na całym jego życiu. Jest policjantem — a zadaniem policjanta jest aresztować ludzi robiących to, co miał za chwilę zrobić. Miał zamiar popełnić chuligański wybryk, a chuligani to źli faceci.

Decyzja należy do ciebie, Norris — odezwał się nagle w jego głowie głos pana Gaunta. To twoja wędka. I twój, od Boga dany dar wolnej woli. Masz wybór. Wybór istnieje zawsze. Ale...

Pan Gaunt w głowie Norrisa umilkł, Norris jednak doskonale zdawał sobie sprawę, jakie będą konsekwencje odmowy. Kiedy wróci do samochodu, jego bazun będzie złamany. Ponieważ jeśli się wybiera, zawsze ponosi się konsekwencje swego wyboru. Ponieważ w Ameryce można mieć wszystko, o czym się zamarzy, ale pod jednym warunkiem: że się zapłaci. Jeśli nie można zapłacić,

jeśli odmówi się zapłaty, marzenia pozostaną na półce sklepiku.

A poza tym, on by to mnie zrobił — pomyślał z dziecinną złośliwością Norris. I nie za taką piękną wędkę, za bazuna. Hugh Priest poderżnąłby gardło matce za butelkę taniego bourbona i paczkę papierosów.

W ten sposób Norris odsuwał od siebie poczucie winy. Kiedy coś w jego wnętrzu znów próbowało zaprotestować, próbowało mu powiedzieć: „proszę, pomyśl, nim zrobisz, pomyśl, proszę...”,

zdusił w sobie to coś, pochylił się i zaczął ciąć opony buicka. Podobnie jak Myra Evans, pracował z rosnącym entuzjazmem. Na deser stłukł klosze przednich i tylnych lamp auta, skończył zaś, wkładając za wycieraczkę przy szybie kierowcy następujący liścik:

„OSTRZEŻENIE.

WIESZ, CO ZROBIĘ NASTĘPNYM RAZEM. KOPNAŁEŚ ROCK-OLĘ PO RAZ OSTATNI. TRZYMAJ SIĘ Z DALA OD MOJEGO BARU!”.

Kiedy skończył, podkradł się ponownie pod okno sypialni. Serce waliło mu ciężko w wątlej piersi. Hugh Priest spał kamiennym snem z kawałkiem brudnego, wystrzępionego futra w dłoni.

Na litość boską, komu potrzebne coś tak obrzydliwego? — pomyślał Norris. Tuli je, jakby to był jakiś pieprzony pluszowy niedźwiadek.

Wrócił do samochodu, wsiadł, wrzucił luz. Garbus cichutko ruszył podjazdem. Norris włączył silnik dopiero wtedy, gdy znalazł się na szosie, przydepnął gaz i ruszył tak szybko, jak tylko mógł. Bolała go głowa. Żołądek podchodził mu do gardła. Powtarzał sobie, że nie ma to najmniejszego znaczenia, żadnego, cholera, znaczenia, czuje się dobrze, dobrze, kurwa, czuje się wyśmienicie!

Zaklęcia te niezbyt skutkowały, póki między siedzeniami nie wymacał smukłego, sztywnego wędziska i nie zacisnął na nim dłoni. Dopiero wówczas się uspokoił.

Trzymał je tak przez całą drogę do domu.

Zadzwoił srebrny dzwoneczek. Do „Sklepiku z marzeniami” wszedł Slopey Dodd.

- Cześć, Slopey — powitał go pan Gaunt.
- Dż...dż...dzień dooooo...
- Przy mnie nie musisz się jękać, Slopey. — Pan Gaunt



wyciągnął dłoń z wyprostowanymi, rozstawionymi dwoma palcami równej długości. Przeciągnął nimi z góry na dół przed twarzą chłopca, który poczuł nagle, że coś —jakiś splątany węzeł w mózgu — magicznie rozwiązuje się i znika. Aż rozdziawił usta ze zdumienia.

- Co mi pan zrobił? — stęknął. Słowa wylatywały mu z ust porządnie, w szyku, jak nanizane na sznurek koraliki.

- To sztuczka, którą niewątpliwie pragnęłaby poznać panna Ratcliffe. — Pan Gaunt z uśmiechem postawił krzyżyk przy nazwisku Slopeya. Zerknął na stojący w rogu wielki szafkowy, tykający dostojnie zegar. Zegar wskazywał za piętnaście pierwsza. — Powiedz mi, jak udało ci się opuścić szkołę? Nikt niczego nie podejrzewa?

- Nie. — Z buzi Slopeya nie zniknął jeszcze wyraz zdumienia. Wydawało się, że usiłuje spojrzeć w dół, na wargi, jakby rzeczywiście mógł dostrzec słowa wypływające mu z ust tak łatwo i w takim porządku. — Powiedziałem pani DeWeese, że boli mnie brzuch. Wysłała mnie do pielęgniarki. Powiedziałem pielęgniarce, że czuję się lepiej, ale brzuch nadal mnie boli. Spytała, czy dam radę wrócić sam do domu. Powiedziałem, że oczywiście. — Przerwał na chwilę. — Przyszedłem, bo kiedy zasnąłem w świetlicy, śniło mi się, że pan mnie wzywa.

- Wzywałem. — Pan Gaunt podparł głowę dziwnie długimi, równej długości palcami. — Powiedz mi, czy twojej matce spodobał się ten talerzyk, który u mnie kupiłeś?

Rumieniec sprawił, że policzki Slopeya nabrały koloru starej cegły. Próbował coś powiedzieć, ale w końcu dał sobie spokój i tylko gapił się w podłogę.

Swym najcichszym, najłagodniejszym głosem pan Gaunt spytał:

— Zatrzymałeś go dla siebie, prawda?

Nadal wpatrzony w podłogę Slopeya tylko skinął głową. Był zmieszany, zawstydzony, ale, co

wydawało mu się najgorsze, czuł także żal i ból, bo zmarnował taką szansę: oto pan Gaunt sprawił, że jest w stanie normalnie mówić i co z tego? Wstydzi się tak, że nie może wykrztusić ani słowa.

— A teraz, proszę, powiedz mi, po co dwunastoletniemu chłopcu taki talerzyk?

Sterczący nad czołem Slopeya kogut, który przed kilkoma sekundami podskoczył w górę i w dół, teraz zachwiał się najpierw w lewo, potem w prawo w rytm obracającej się w obie strony głowy. Slopey nie miał pojęcia, na co dwunastoletniemu chłopcu srebrny talerzyk, wiedział tylko, że bardzo chciał go zatrzymać. Podobał mu się. Nawet bardzo... bardzo... bardzo mu się podobał.

- ...trzymać — wykrztusił.
- Co? — pan Gaunt uniósł wysoko jedną ze swych gęstych brwi.
- Mówię, że bardzo lubię go trzymać!

— Slopey, Slopey — pan Gaunt wyszedł z za lady — nie musisz mi niczego wyjaśniać. Wiem wszystko o tym, co mądrzy ludzie nazywają „instynktem posiadania”. Na tym uczuciu oparłem całą mą karierę.

Slopey Dodd cofnął się o krok, przerażony.

- Niech mnie pan nie dotyka. Proszę, nie!
- Nie mam najmniejszego zamiaru cię dotknąć, tak jak nie mam najmniejszego zamiaru kazać ci oddać talerzyk mamie. Jest twój. Możesz zrobić z nim, co ci się żywnie podoba. Tak naprawdę, z całego serca pochwalam twą decyzję.

- Na...naprawdę?
- Tak. Naprawdę. Pochwalam. Egoiści zawsze są szczęśliwsi.

Wierzę w to całym sercem. Ale, Slopey...

Slopey podniósł wzrok i przez zasłonę rudych włosów przyjrzał się uważnie panu Gauntowi.

- ...nadszedł czas, byś zapłacił za niego do końca.
- Och! — Na twarzy chłopca pojawił się wyraz niebotycznej ulgi. — Tylko tego pan ode mnie chce? Myślałem, że... — nie mógł lub nie miał odwagi skończyć. Nie był pewien, czego pan

Gaunt od niego chciał.

- Tak. Pamiętasz, komu obiecałeś zrobić kawał?

- Jasne. Trenerowi Prattowi.

• Doskonale. Ten kawał składa się z dwóch części. Po pierwsze, musisz coś gdzieś położyć, po drugie musisz panu Prattowi coś powiedzieć. Jeśli spełnisz polecenia co do joty, talerzyk będzie twój na zawsze.

- A czy będę dalej tak mówił? — w głosie Slopeya brzmiało błaganie. — Czy już nigdy nie będę się jękał?

Pan Gaunt westchnął z żalem.

- Obawiam się, że wszystko wróci do normy, gdy tylko opuścisz mój sklep. Zdaje się, że mam gdzieś tutaj coś przeciw jękaniu...

- Proszę! Proszę, panie Gaunt. Zrobię wszystko, każdemu.

Nienawidzę się jękać.

- Oczywiście. I to właśnie jest problem, nie rozumiesz? Skoń czyły mi się kawały; można by powiedzieć, że zarezerwowane mam wszystkie tańce w karneciku. Tak więc nie możesz mi zapłacić.

Slopey wahał się przez długą chwilę, nim znów się odezwał, a kiedy zrobił to wreszcie, mówił cichym, pełnym wahania głosem:

— Czy nie mógłby pan... to znaczy... czy kiedyś dał pan coś komuś... w prezencie, panie Gaunt?

Twarz Lelanda Gaunta zasnuł wielki smutek.

- Ach, Slopey! Jakże często o tym myślałem, z jaką tęsknotą.

Dusza ma pełna jest niewyczerpanego miłosierdzia. Ale...

- Ale?

• Ale to już nie byłby interes — skończył pan Gaunt, rzucając chłopcu pełen współczucia uśmiech, tylko oczy błyszczały mu jak wilkowi, tak że Slopey aż się cofnął. — Rozumiesz, prawda?

- Co? Ach, tak, oczywiście.

- A poza tym, następne parę godzin ma dla mnie wielkie

znaczenie. Kiedy coś się wreszcie zaczyna dziać, na ogół nie sposób tego powstrzymać... ale jeszcze przez jakiś czas kierować się muszę wyłącznie ostrożnością. Gdybyś nagle przestał się jąkać, z pewnością wywołałoby to wiele pytań, a to byłoby bardzo złe. Szeryf już zadaje pytania, których nie ma prawa zadawać. — Twarz pociemniała mu na moment, lecz po chwili pojawił się na niej wstrętny, czarujący, pełen pewności siebie uśmiech. — Ale mam zamiar się nim zająć, Slopey. O tak!

- Szeryfem Pangbornem?

- Tak, tak, właśnie tak, szeryfem Pangbornem. — Jeszcze raz przesunął rozstawionymi dłońmi przed buzią Slopeya Dodda, od czoła do brody. — Ale my wcale o nim nie rozmawialiśmy, prawda?

- O kim? — spytał zdumiony chłopak.

- Oczywiście!

Gaunt miał dziś na sobie marynarkę z ciemnoszarego zamszu. Z jednej z kieszeni wyjął czarny skórzany portfel. Podał go Slopeyowi, który wziął portfel niezręcznie, starając się nie dotknąć trzymającej go dłoni.

- Znasz samochód trenera Pratta, prawda?

- Mustanga? Jasne!

- Włóż go tam, pod siedzenie pasażera, tak żeby wystawał tylko rożek. Teraz wracaj do szkoły, musisz zrobić to przed dzwonkiem, rozumiesz?

- Oczywiście.

- Potem *zaczekasz, aż* wyjdzie. A kiedy wyjdzie...

Pan Gaunt mówił coś przez dłuższą chwilę, a Slopey patrzył na niego pustym wzrokiem, z otwartymi ustami, co jakiś czas kiwając głową.

Wyszedł na ulicę z portfelem Johna LaPointe pod koszulą.

## Rozdział 16

Nettie leżała w zwykłej szarej trumnie, za którą zapłaciła Poiły Chalmers. Alan zaproponował, że pokryje część kosztów, ale Poiły odmówiła w prosty, lecz ostateczny sposób, który znał, szanował i akceptował. Trumna stała na metalowych szynach nad kwaterą na cmentarzu, znajdującą się niedaleko miejsca ostatecznego spoczynku członków rodziny Chalmersów. Wykopana ziemia pokryta była jaskrawozielonym dywanem sztucznej trawy, błyszczącej w gorących promieniach słońca. Sztuczna trawa zawsze przyprawiała Alana o drżenie. Było w niej coś obrzydliwego, coś wręcz obscenicznego. Nie znosił jej nawet bardziej od praktyki przedsiębiorców pogrzebowych — balsamowania zwłok i ubierania ich w najlepsze ubrania tak, że wyglądały, jakby zaraz załatwić miały jakiś świetny interes w Bostonie, a nie trafić na wieczność do ziemi, na żer roślin i robaków.

Na prośbę Poiły ceremonię sprawował wielebny Tom Killing-worth, pastor metodystów, który co dwa tygodnie odprawiał nabożeństwa w Juniper Hill i dobrze znał Nettie. Jego kazanie było krótkie, lecz ciepłe, pełne szacunku dla Nettie Cobb, którą znał, kobiety bohaterko, powoli wychodzącej z mroku szaleństwa; kobiety, która podjęła odważną decyzję stawienia czoła światu, choć świat ten tak strasznie ją skrzywdził.

— W moim domu, kiedy byłem dzieckiem — mówił — na ścianie szwalni matka powiesiła makatkę z tym wspaniałym irlandzkim powiedzeniem: „Obyś trafił do nieba pół godziny przed tym, nim diabeł dowie się o twojej śmierci”. Nettie Cobb miała życie trudne i pod wieloma względami nieszczęśliwe, ale nie wierzę, by ona i diabeł w ogóle o sobie wiedzieli. Mimo iż zginęła tak straszną, przedwczesną śmiercią, w głębi serca wierzę, że poszła do nieba i że diabeł nadal nic nie wie. — Pastor podniósł ręce w tradycyjnym geście błogosławieństwa. — Módlmy się — powiedział.

Z drugiej strony wzgórza, gdzie w tej samej chwili chowana była Wilma Jerzyck, dobiegał dźwięk głosów, wznoszących się i opadających w rytm odpowiedzi na modlitwę ojca Johna Brig-hama. Tam kolejka samochodów zajmowała przestrzeń od samego grobu aż do wschodniej bramy cmentarza — ludzie przyszli na pogrzeb dla Petera Jerzycka, który żył, a nie dla jego martwej żony.

Przy trumnie Nettie było tylko pięcioro żałobników: Poiły, Alan, Rosalie Drake, stary Lenny

Partridge (który dla zasady chodził na wszystkie pogrzeby pod warunkiem, że nie chowano kogoś z papieskiej armii) i Norris Ridgewick. Norris był blady, jakby roztrzęsiony. Ryba nie brała — pomyślał Alan.

— Niech was Bóg błogosławi i pomoże zachować w waszych sercach obraz Nettie Cobb żywej i szczęśliwej — powiedział pastor. Stojąca obok Alana Poiły znów się rozplakała. Objął ją; przytuliła się do niego z wdzięcznością, dłonią znalazła jego dłoń i uściśniła ją mocno. — „Niech Bóg pochyli nad wami głowę, niech obdarzy was swą łaską, niech pocieszy was i da pokój waszym душom, amen”.

Upał panował jeszcze większy niż w Dzień Kolumba i kiedy Alan podniósł głowę, oślepiło go słońce odbite od metalowych szyn, na których stała trumna. Wytarł dłonią czoło, pokryte warstwą prawdziwie letniego potu. Poiły znalazła w torebce papierowe chusteczki. Jedną z nich wytarła zalane łzami policzki.

- Kochanie... nic ci nie jest? — spytał ją Alan.
- Nie, ale muszę pożegnać ją łzami. Biedna, biedna Nettie.

Dlaczego to się w ogóle zdarzyło? Dlaczego?

Alan, który zadawał sobie identyczne pytanie, przytulił ją mocniej. Ponad jej ramieniem dostrzegł Norrisa, idącego w kierunku zaparkowanych pod cmentarzem samochodów. Norris szedł jak człowiek, który nie wie właściwie, dokąd idzie, albo jeszcze się nie obudził. Rosalie Drake podeszła do niego, powiedziała coś, a on ją objął.

Rozpoznał ją — pomyślał Alan. — Jest po prostu smutny, nic więcej. Zrobiłeś się ostatnio straszliwie podejrzliwy. Może należałoby raczej spytać, co się dzieje z tobą?

Tom Killingworth podeszedł do nich, Poiły wysunęła się ramion Alana, podziękowała mu, już opanowana. Pastor wyciągnął do niej rękę. Ze zdumieniem, którego ledwie udało mu się nie okazać,

Alan przyglądał się, jak Poiły bohatersko podaje mu dłoń i jak znika ona w uścisku dużej, męskiej dłoni. Od kiedy się poznali, nie widział, by Poiły tak bez zastanowienia podała komuś rękę.

Nie tyle się jej poprawiło, co jakby zaczęła zdrowieć. Co się takiego stało?

Z drugiej strony wzgórze dobiegł ich nosowy, nieco irytujący głos ojca Brigham:

- Odejdźcie w pokój.
- Bogu niech będą dzięki — odpowiedzieli chórem żalobnicy.

Alan spojrział na zwykłą szarą trumnę, na plamę ohydnej sztucznej trawy i pomyślał: I ty odejdziesz w pokój, Nettie. Być może wreszcie doświadczysz pokoju.

Kiedy dwa bliźniacze pogrzeby dobiegały końca, Eddie War-burton zaparkował przed domem Poily. Wyślizgnął się z samochodu — nie takiego nowego i pięknego jak ten, który zniszczył mu ten kurewski sukinsyn z Sunoco, po prostu cztery kółka — i rozejrzał się uważnie dookoła. Wszystko wydawało się w porządku — ulica drzemała w promieniach słońca niczym na początku sierpnia.

Eddie ruszył w kierunku drzwi, wyjmując po drodze zza koszuli bardzo oficjalnie wyglądający list. Pan Gaunt wezwał go zaledwie dziesięć minut temu, powiedział, że pora uregulować dług za medalion, a on przybiegł natychmiast. Oczywiście. Pan Gaunt należał do ludzi, których polecenia wykonuje się bardzo posłusznie.

Wszedł po schodach na ganek. Powiew gorącego jak z pieca wiatru poruszył roletę nad drzwiami. Zadzźwięczała cicho — był to jeden z najbardziej cywilizowanych odgłosów we wszechświecie, Eddie jednak aż podskoczył. Rozejrzał się po raz drugi, nie dostrzegł nikogo. Spojrzął na trzymaną w dłoni kopertę. Zaadresowana do pani Patricii Chalmers — ale kultura. Nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że Poily ma naprawdę na imię Patricia, i nic go to nie obchodziło. Spłata jej figla i wyniesie się stąd w cholerę.

Wrzucił kopertę przez szczelinę w drzwiach. List wylądował na poczcie dostarczonej przez listonosza: dwóch katalogach i broszurze telewizji kablowej. Zwykła urzędowa koperta z nazwiskiem, adresem, stemplem pocztowym w górnym prawym i adresem nadawcy w górnym lewym rogu.

„Wydział Opieki nad Dziećmi w San Francisco  
666 Geary Street  
San Francisco, California 94112”

— Co się stało? — spytał Alan, kiedy schodzili powoli zboczem wzgórza do miejsca, w którym stał zaparkowany jego kombi. Miał nadzieję, że zamieni parę słów z Norrisem, ale Norris zdołał już wskoczyć do garbusa i odjechać. Pewnie nad jezioro — pomys

łał. — Chce złapać coś przed zachodem słońca.

Poiły spojrzała na niego; ciągle była blada i oczy miała zaczerwienione, ale uśmiechała się niepewnie.

- Jak to, co?
- Z twoimi dłońmi. Skąd ta nagła poprawa? To chyba jakieś

czary?

• A tak. — Wyciągnęła je, rozstawiła palce; przyglądali się im oboje. — Prawdziwe czary. — Teraz już uśmiechała się nieco naturalniej.

- Nie, serio, szanowna pani.
- Nie jestem pewna, czy chcę ci powiedzieć. Właściwie, to

trochę się wstydę.

Zatrzymali się i pomachali Rosalie, odjeżdżającej właśnie starą niebieską toyotą.

- Daj spokój. Spowiadaj się.
- No cóż, chyba wreszcie spotkałam właściwego doktora. —

Policzki Poiły zaczerwieniły się.

- Kogo?
- Doktora Gaunta — wyznała i zachichotała nerwowo. —

Doktora Lelanda Gaunta.

• Gaunta? — Alan spojrzał na nią zdumiony. — Co on ma wspólnego z twoimi dłońmi?

- Zawieź mnie do jego sklepu, to opowiem ci po drodze.
- W pięć minut później (jedną z najmilszych cech życia w Castle Rock — myślał czasem Alan — jest to, że niemal wszędzie dotrzeć można w pięć minut) zaparkował przed „Sklepikiem

z marzeniami". Na drzwiach wisiała tabliczka, którą widział już wcześniej.

**WE WTORKI I CZWARTKI TYLKO UMÓWIONE SPOTKANIA.**

Nagle dotarło do niego, dopiero teraz, wcześniej nawet o tym nie pomyślał, że zamykanie sklepu na dwa dni w tygodniu dla wszystkich (z wyjątkiem z góry umówionych) klientów to cholernie dziwny sposób prowadzenia biznesu w małym miasteczku.



- Alan? — spytała nieśmiało Poiły. — Sprawiasz wrażenie wściekłego.

- Nie jestem wściekły. Dlaczego miałbym się wściekać? Żeby nie skłamać, powiem ci, że nie wiem, co właściwie powinienem czuć. Chyba... — przerwał i roześmiał się, potrząsając głową. — Chyba — zaczął od nowa — chyba jestem, jak mówił Todd — „zwariowany”. Czarodziejskie lekarstwa? To po prostu do ciebie niepodobne, Poi.

Poiły natychmiast zaciśnęła usta, a kiedy odwróciła się i spojrzała mu w oczy, w jej wzroku było wyraźne ostrzeżenie.

— „Czarodziejskie” to nie jest słowo, którego użyłabym w tym wypadku. „Czarodziejskie” to jak magia... jak młynki modlitewne z reklamy. „Czarodziejskie” to nie słowo, którego używa się, kiedy lekarstwo działa. Czy się mylę?

Otworzył usta, choć nie miał zielonego pojęcia, co powie za chwilę, lecz zaraz je zamknął, bo Poiły mówiła dalej.

- Popatrz tylko. — Podniosła dłoń i w promieniu słońca, padającym przez przednią szybę samochodu, bez wysiłku kilka krotnie zaciśnęła ją w pięść.

- Zgoda. Użyłem złego słowa. Ale...
- Oczywiście. Użyłeś bardzo złego słowa.
- Przepraszam.

Odwróciła się zupełnie w jego kierunku, usiadła bokiem na siedzeniu, na którym tak często siadywała Annie, kiedy był to jeszcze rodzinny wóz Pangbornów. Dlaczego go nie sprzedałem? — pomyślał Alan. — Co ja jestem, chory?

Poiły delikatnie przykryła jego dłoń swoją.

— Wiesz, nagle poczułam się nieswojo. Nigdy się nie kłóciliśmy. Nie mam zamiaru zaczynać teraz. Pochowałam dziś dobrą przyjaciółkę. Nie mam zamiaru pokłócić się w dodatku ze swoim chłopcem.

Alan uśmiechnął się drapieźnie.

— To tak? Więc jestem twoim chłopcem?

— No... w każdym razie przyjacielem. Tyle przynajmniej wolno mi powiedzieć, prawda?

Przytulił ją zdumiony łatwością, z jaką omal nie doszło między nimi do kłótni. I to nie dlatego, że czuła się gorzej, lecz dlatego, że poczuła się lepiej!

— Skarbie, możesz mówić, co ci się żywnie spodoba. Bardzo cię kocham.

- I nie będziemy się kłócić, choćby nie wiem co?

Bardzo poważnie skinął głową.

- Choćby nie wiem co — powtórzył.

- Ja też cię kocham, wiesz?

Pocałował ją w policzek i wypuścił z objęć.

- Pokaż mi tę Aśkę, którą od niego dostałaś.

— To nie Aśka, tylko azka. I nie dostałam jej od niego, tylko wypożyczyłam na okres próbny. Przyjechałam po to, żeby ją kupić. Mam nadzieję, że nie przesadzi z ceną.

Alan spojrzął na wiszącą na drzwiach tabliczkę i na opuszczoną roletę. Obawiam się, że przesadzi, skarbie — pomyślał.

Wcale mu się to nie podobało. Zorientował się, że podczas pogrzebu nie spuszcza wzroku z rąk Poiły. Widział, jak bez najmniejszego problemu manipuluje zameczkiem, wyciąga papierową chusteczkę, a potem zamyka torebkę czubkami palców zamiast przekładać ją niezręcznie, by móc użyć kciuków, które na ogół bolały ją znacznie mniej. Wiedział, że bardzo się jej poprawiło, ale ta historia z magicznym talizmanem — bo o to przecież chodzi, wystarczy tylko odpuścić sobie piękne słówka — wyprowadziła go z równowagi. Śmierdziała oszustwem, zwykłym nadużyciem zaufania.

**WE WTORKI I CZWARTKI TYLKO UMÓWIONE SPOTKANIA.**

Nie. Od czasu gdy przyjechał do Maine, nie widział firmy przyjmującej tylko umówionych klientów — z wyjątkiem eleganckich restauracji typu „Maurice”. A nawet do „Maurice'a” w czterech przypadkach na pięć można było wejść i natychmiast dostać stolik, oczywiście z wyjątkiem lata, kiedy lokal okupowali turyści.

**TYLKO UMÓWIONE SPOTKANIA.**

A mimo wszystko wiedział — choć nie zdawał sobie z tego w pełni sprawy — że w ciągu

tygodnia wokół „Sklepiku z marzeniami” ludzie kręcili się niemal bezustannie. Może i nie oblegały go tłumy, ale wydawało się oczywiste, że sposób, w jaki Gaunt

prowadzi biznes, wcale mu nie szkodzi, choć może wydawać się dziwny. Klienci czasami odwiedzali go w małych grupkach, częściej jednak przychodzili pojedynczo... przynajmniej tak wydawało się Alanowi teraz, kiedy w myśli odtwarzał sobie zdarzenia zeszłego tygodnia. Czy nie tak działają wszyscy oszuści? Wyłuskują cię z tłumu, przyjmują po królewsku, a potem tłumaczą, że właśnie teraz i tylko teraz możesz dostać Empire State po bardzo korzystnej cenie.

— Alan? — Poily popukała go lekko pięścią w czoło. — Alan, jesteś tam?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Jestem, Poily.

Na pogrzeb Nettie Poily włożyła granatowy pulower i pasującą do niego apaszkę. Podczas gdy Alan trwał w zamyśleniu, zdjęła apaszkę i prowokacyjnie rozpięła dwa górne guziki białej bluzki.

- Jeszcze! — Na ten widok Alan uśmiechnął się szeroko. — Piersi! Chcemy widzieć piersi!

- Przestań — odparła stanowczo, choć z uśmiechem. — Jesteśmy na głównej ulicy, jest wpół do trzeciej po południu, a poza tym zapomniałeś chyba, że wracamy z pogrzebu.

Alan drgnął.

- Wpół do trzeciej? Naprawdę jest już tak późno?
- Jeśli wpół do trzeciej to późno, jest późno. — Stuknęła palcem w przegub jego ręki. — Patrzysz kiedyś na to, co tu nosisz?

Dopiero wówczas spojrzał na zegarek i stwierdził, że właściwie to dochodzi już za dwadzieścia trzecia. Szkoła kończyła się o trzeciej. Jeśli ma zamiar dopaść dziś Briana Ruska, musi natychmiast ruszać.

— Pokaż mi to чудо — powiedział.

Poily pociągnęła za łańcuszek, wyciągając spod bluzki mały srebrny przedmiot. Trzymała go na dłoni... i zamknęła ją, kiedy próbował go dotknąć.

- No... nie wiem, czy powinieneś — powiedziała z rozbawie

niem, ale bez wątpienia przestraszyła się, kiedy próbował dotknąć azki. — Popsujesz promieniowanie albo coś.

- Och, daj spokój, Poi.

- Słuchaj, powiedzmy coś sobie otwarcie. — W jej głosie znów pojawił się gniew; próbowała go opanować, ale niewątpliwie tam był. —Tobie łatwo się śmiać. To nie ty masz telefon z wielkimi przyciskami i recepty z wielkimi dawkami percodanu.

- Hej, Poiły, to...

— Nie, żadne „Hej, Poiły”! — Wysoko na jej policzkach pojawiły się czerwone plamki. Kiedy później przypominała sobie tę scenę, zrozumiała, że jej gniew przynajmniej w części wziął się z tego, że jeszcze w niedzielę myślała dokładnie tak, jak Alan teraz. Od niedzieli zdarzyło się coś, na skutek czego zmieniła zdanie i wcale nie najłatwiej było jej uporać się z tą zmianą. — To coś działa! Wiem, że brzmi to wręcz idiotycznie, ale rzeczywiście działa. W niedzielę rano, kiedy przyszła Nettie, ból był tak straszny, że zaczęłam myśleć o najradykalniejszym z lekarstw. Uznałam, że najlepszym sposobem na ból będzie amputacja. Było tak źle, że myślałam o amputacji zdziwiona, że ten pomysł dopiero teraz przyszedł mi do głowy. „No tak, przecież można obciąć dłonie. Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?!”. Teraz, zaledwie w dwa dni później czuję ból, który doktor Van Allen nazywa „śladowym”, a nawet i on wydaje się zanikać. Doskonale pamiętam, że dwa lata temu przez tydzień odżywiałam się wyłącznie brązowym ryżem, bo taka dieta podobno mogła pomóc. Czy to coś innego?

Gniew stopniowo zanikał w jej głosie. Patrzyła na niego niemal błagalnie.

— Nie wiem, Poiły. Doprawdy nie wiem.

Otworzyła zaciśniętą dłoń, trzymając azkę kciukiem i palcem wskazującym. Alan pochylił się, by ją sobie obejrzeć, ale tym razem nie próbował nawet jej dotknąć. Azkabyła mała, w kształcie zbliżonym — ale tylko zbliżonym — do kuli. W jej dolnej części znajdowały się otworki wielkości

kropek, z jakich składa się zdjęcie w gazecie. W jasnym słońcu błyszcząca łagodnym światłem.

Patrząc na nią, Alan doznał potężnego i całkowicie irracjonalnego uczucia niechęci. Azka mu się nie podobała, zupełnie mu się nie podobała. Przez moment doświadczył przemożnej ochoty, by zerwać ją z szyi Poily i wyrzucić za okno.

Aha! Świetny pomysł, przyjacielu. Spróbuj, a będziesz pluł zębami dalej, niż widzisz.

- Czasami mam wrażenie, że coś się w niej porusza. — Poily uśmiechnęła się. — Jak ta meksykańska skacząca fasola albo coś.

Śmieszne, nie?

- Nie wiem.

Patrzył, jak chowa wisiołek pod bluzką, i nadal czuł tę przedziwną niechęć, która zniknęła, gdy palce, tak niezwykle zręczne palce Poily zapięły guziki. W odróżnieniu od przekonania, że ten Gaunt kantuje jego ukochaną... i z pewnością nie ją jedną.

- Pomyślałaś, że może... — poruszał się z ostrożnością kogoś, kto przekracza rwący strumień po śliskich kamieniach. — No że od czasu do czasu następuje przecież znaczna poprawa, prawda?

A potem...

- Myślałam. — Cierpliwość Poily wydawała się wyczerpywać. — Przecież to moje ręce.

- Skarbie, próbuję tylko...

- Wiedziałam, że zareagujesz dokładnie tak, jak zareagowałeś. Prawda jest bardzo prosta — doskonale wiem, co znaczy przejść ciowa ulga i, na litość boską, różnica jest kolosalna. W ciągu tych ostatnich pięciu czy sześciu lat były chwile, kiedy czułam się całkiem dobrze, ale nigdy nie czułam się nawet w przybliżeniu tak dobrze jak teraz. Teraz jest zupełnie inaczej. Jest tak, jak by... — przerwała, zdenerwowana, wzruszyła ramionami, rozłożyła ręce — ...jakbym znów była zdrowa. Nie spodziewam się, żebyś był w stanie zrozumieć, co mówię, ale inaczej nie jestem w stanie ci tego wytłumaczyć.

Alan skinął głową, marszcząc brwi. Doskonale rozumiał, co mówi Poily, i doskonale zdawał sobie sprawę, że jest najzupełniej szczerą. Być może azka tylko pomogła jej wyleczyć się dzięki jakiejś

wewnętrznej sile Poiły? Czy to możliwe, skoro choroba, na którą cierpiała, nie była chorobą psychosomatyczną? Według różokrzy-żowców coś takiego zdarza się bez przerwy. Wierzą w to także miliony ludzi, którzy kupili książki Hubbarda o dianetyce. Alan nie miał na ten temat wyrobionego zdania, ale nigdy nie słyszał o ślepcu, który siłą woli odzyskuje wzrok, nie widział ofiary wypadku zdolnej skoncentrować się do tego stopnia, by przestać krwawić.

Jednego tylko był pewien — w całej tej sprawie coś mu śmierdziało. Śmierdziało jak zdechła ryba, która przeleżała trzy dni na gorącym słońcu.

— Załatwmy tę sprawę od razu — zaproponowała Poiły. — Próbuję się na ciebie nie wściec, a to cholernie męczące. Chodź ze mną. Sam porozmawiasz z panem Gauntem. Najwyższy czas, byś poznał go osobiście. On pewnie lepiej wytłumaczy ci, co ten amulet robi, a czego nie.

Alan znów spojrział na zegarek. Za czternaście trzecia. Przez krótką chwilę zastanawiał się nawet, czy nie przyjąć jej propozycji i nie zostawić chłopca na później, lecz przecież spotkanie z Brianem Ruskiem pod szkołą, z dala od domu, miało naprawdę wielkie znaczenie. Brian będzie rozmawiał z nim szczerzej bez czającej się obok niego jak lwica matki, matki przerywającej mu bez przerwy, a nawet, być może, zabraniającej mu odpowiadać na pytania. Tak, właśnie o to chodzi. Jeśli okaże się, że chłopiec ma coś do ukrycia, jeśli pani Rusk wyda się, że coś ukrywa, trudno mu będzie uzyskać konieczne informacje. Być może nawet nie uzyska ich wcale.

Ten Gaunt pewnie jest oszustem, ale Brian Rusk może się okazać kluczem do rozwiązania sprawy podwójnego morderstwa.

- Nie mogę, skarbie. Może wpadnę do niego trochę później.

Teraz muszę pojechać do szkoły, porozmawiać z kimś, i muszę to zrobić zaraz.

- Chodzi o Nettie?

• Chodzi o Wilnę Jerzyck, ale jeśli się nie mylę, dotyczy to także Nettie. Jeśli się czegoś dowiem, powiem ci później, dobrze?

- Alan, ja kupię tę azkę. To nie twoje ręce.

• Oczywiście. Byłem pewien, że ją kupisz. Chciałbym tylko, żebyś zapłaciła mu czekiem, to wszystko. Nie ma powodu, by go nie przyjął — oczywiście jeśli jest człowiekiem uczciwym. Miesz

kasz w tym miasteczku, twój bank znajduje się przy tej samej ulicy co jego sklep. Ale, jeśli coś okaże się nie tak, zawsze masz te kilka dni, by wstrzymać wypłatę.

- Rozumiem. — Głos Poiły był bardzo spokojny, ale Alan ze ściśniętym sercem zdał sobie sprawę, że poślizgnął się wreszcie na jednym z tych śliskich kamieni i głową naprzód wleciał do strumienia. — Uważasz go za oszusta, prawda? Uważasz, że poluje na oszczędności biednej głupiej dziewczyny, a kiedy je wreszcie zagarnie, ucieknie pod osłoną nocy?

- Nie wiem — przyznał spokojnie. — Ale wiem, że jest w mieście zaledwie od tygodnia. Czeka wydaje się całkiem rozsądnym środkiem ostrożności.

Poiły doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Alan ma rację, że jest ostrożny, że jest rozsądny. Właśnie ten jego rozsądek, uparta trzeźwość w obliczu czegoś, co miało wszelkie cechy cudownego wyleczenia, denerwowały ją teraz coraz bardziej. Siłą wstrzymała się przed podniesieniem dłoni, przed strzelaniem mu z palców przed nosem, przed krzyknięciem mu w twarz: „Widzisz to, Alan? Widzisz? Czy może oślepieć?”. Oczywiście, miał rację, czeka nie sprawi panu Gauntowi najmniejszych problemów pod warunkiem, że nie jest oszustem — miał rację i to złościło ją jeszcze bardziej.

Uważaj — przemówił głos z głębi jej serca. — Uważaj, nie działaj pochopnie, myśl, nim zaczniesz mówić, i pamiętaj, że kochasz tego mężczyznę.

Doprawdy? — przemówił inny głos, chłodny głos, który z trudem rozpoznała jako swój. —  
Doprawdy?

- Doskonale — powiedziała przez zaciśnięte zęby, przesuwa jąc się po siedzeniu w stronę drzwi. — Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz. Wiesz, czasami zapominam, że jest mi potrzebny ktoś, kto prowadziłby mnie za rączkę. Oczywiście, wypiszę mu czeka.

- Poiły...

- Nie. Nie rozmawiajmy już. Nie potrafię więcej się na ciebie

wściekać. — Otworzyła drzwiczki i zręcznie wysunęła się z samo chodu. Spódnica podjechała w górę, na jedną zapierającą dech w piersiach chwilę odsłaniając długie udo.

Alan chciał wsiąść, chciał złapać ją, nim wejdzie do sklepu; pragnął ją uspokoić, wytłumaczyć, że dał wyraz swym wątpliwościom, ponieważ mu na niej zależy, lecz tylko po raz trzeci spojrzął na zegarek. Za dziewięć trzecia. Nawet jeśli się pospieszy, może nie *zdążyć* złapać Briana Ruska.

- Zadzwoń wieczorem! — krzyknął przez okno.
- Doskonale. Zadzwoń. — Poily szła w stronę sklepu, nawet się nie odwróciła. Weszła pod markizę. Nim zdążył wrzucić wsteczny, by wyjechać na ulicę, usłyszał dźwięk małego dzwo neczka.

- Pani Chalmers! — wykrzyknął radośnie Leland Gaunt, robiąc krzyżyk przy widniejącym na liście nazwisku Poily. Pracowity dzień już się niemal kończył — nieoznaczone pozostało zaledwie jedno nazwisko.

- Poily... proszę.
- Wybacz — pan Gaunt uśmiechnął się szeroko — Poily.

Odpowiedziała mu uśmiechem, który kosztował ją sporo wysiłku. Teraz, kiedy Alan zniknął jej z oczu, martwiło ją, że tak się z nim rozstała. Zaskoczona, zdała sobie sprawę, że całą siłą woli walczy, by nie rozplakać się ąłośnie.

- Pani Chalmers? Poily? Źle się czujesz? — Pan Gaunt wyszedł zza lady. — Strasznie zbladłaś. — Twarz zmarszczyła mu się w wyrazie prawdziwej, nieudawanej troski. A Alan ma go za oszusta — pomyślała Poily. Gdyby tylko mógł go teraz zobaczyć.

- To przez to słońce — powiedziała głosem, który lekko drżał. — Na dworze jest tak gorąco.



— A tu chłodno — odparł kojąco właściciel „Sklepiku z marmurami”. — Chodź, Poiły. Usiądź tu.

Poprowadził ją, trzymając dłoń tuż przy jej ramieniu, ale ani na chwilę go nie dotykając, ku krzesłom z wysokim oparciem. Poiły usiadła na jednym z nich, sztywno, ze ściśniętymi nogami.

- Przypadkiem wyglądałem przez okno. — Pan Gaunt usiadł na sąsiednim krześle i złożył swe smukłe dłonie na kolanach. — Miałem wrażenie, jakbyś pokłóciła się z szeryfem.

- Nie, nic się nie stało. — Ale jedna wielka łza spłynęła jej z kącika lewego oka na policzek.

- Ależ wręcz przeciwnie. Co się stało?

Zaskoczona, podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Gaunta. Zamarła. Czy jego oczy wydawały się jej kiedyś orzechowe? Nie była tego całkiem pewna, za to z całą pewnością czuła, że kiedy się tak w nie wpatruje, niknie wszystko, co tego dnia wydawało się jej złe; pogrzeb biednej Nettie, głupia kłótnia z Alanem, wszystko to nagle przestało się liczyć.

- Na...naprawdę?

- Polly, moim zdaniem, wszystko dobrze się skończy. Zaufaj mi, proszę. Ufasz mi?

- Tak — odparła, mimo że wewnętrzny głos, choć słaby i prawie niesłyszalny, rozpaczliwie próbował ją ostrzec. — Tak. Alan może sobie mówić, co chce, ale ja ci ufam.

- No to świetnie. — Pan Gaunt z uśmiechem ujął jej dłoń. Twarz Polly skrzywiła się z obrzydzenia, lecz po chwili przybrała poprzedni senny, rozmarzony wyraz. — To doskonale. Wiesz, twój przyjaciel szeryf niepotrzebnie się martwi — czek od ciebie ma dla mnie wartość szereg złota.

Alan zorientował się, że nie zdąży; chyba żeby wystawił na dach migacz, a tego wolałby uniknąć. Nie chciał, by Brian Rusk zobaczył policyjny radiowóz. Lepiej, by widział podniszczone kombi, takie, jakim najprawdopodobniej jeździ jego ojciec.

Zbyt późno już było, by jechać do szkoły, zaparkował więc na rogu ulic głównej i Szkolnej — zgodnie z wszelkimi zasadami logiki chłopiec tędy powinien wracać do domu. Być może tego zwariowanego dnia przydarzy się w końcu coś logicznego.

Wysiadł, oparł się o błotnik samochodu i wyjął z kieszeni gumę

do żucia. Zdzierał z niej papierek, kiedy usłyszał trzy uderzenia szkolnego zegara, ciche i tajemnicze w ciepłym powietrzu.

Zdecydował, że porozmawia z panem Gauntem z Akron w Ohio, gdy skończy z Brianem Ruskiem, tylko umówione spotkania czy nie tylko umówione spotkania... a potem, równie nagle, zmienił zdanie. Najpierw zadzwoni do biura prokuratora generalnego w Auguście i sprawdzi, czy nazwisko Gaunt nie figuruje przypadkiem na liście naciągaczy. Jeśli niczego nie znajdą, sprawdzi je w komputerze LAWS R&I w Waszyngtonie. Zdaniem Alana LAWS był jedną z bardzo niewielu dobrych rzeczy, których udało się dokonać administracji Nixona.

Grupa uczniów pojawiła się już na ulicy; szli, śmiejąc się, popychając, krzycząc. Nagle Alanowi przyszedł do głowy pewien pomysł; otworzył więc drzwiczki samochodu od strony kierowcy, sięgnął poprzez siedzenie do skrytki i zaczął w niej macać na oślep. Przy okazji strącił na podłogę fałszywą puszkę orzeszków, pamiątkę po Toddzie.

Już miał zamiar dać za wygraną, kiedy wreszcie *znalazł* to, czego szukał. Wypełził z samochodu, zatrzasnął drzwiczki. W dłoni trzymał kartonową kopertę z naklejoną na nią plakietką: „Magiczny bukiet Blackstone Magic Co. 19 Greer St., Paterson, N.J.”.

Wyciągnął z koperty małą kwadracik — sztywną składkę kolorowej bibułki. Wsunął go pod pasek od zegarka. Każdy iluzjonista ma swoje ulubione „skrytki” na ciele i w ubraniu. Ulubiona skrytka Alana mieściła się pod paskiem od zegarka.

Zatroszczywszy się o słynny „Magiczny bukiet”, przybrał niedbałą pozę i dalej czekał na Briana Ruska. Zobaczył chłopca, manewrującego szaleńczo na rowerze wśród tłumów większych od niego przechodniów, i natychmiast przeszedł w stan pogotowia, ale gdy zorientował się, że to jeden z bliźniaków Kanionów, rozluźnił się znowu.

— Zwolnij albo dostaniesz mandat za przekroczenie szybkości — warknął, gdy mały Hanlon mijał go w szaleńczym pędzie. Chłopiec obejrzał się zdumiony, omal nie wylądował na drzewie, ale skręcił w ostatniej chwili i popedałował dalej w znacznie dostojniejszym tempie.

Alan patrzył za nim przez chwilę rozbawiony, po czym powrócił do oczekiwania Briana.

Pięć po trzeciej Sally Ratcliffe weszła po schodach prowadzących z jej klasy w piwnicy na parter szkoły i ruszyła szybko korytarzem. Na korytarzu było już właściwie pusto —jak zawsze przy pięknej pogodzie dzieciaki nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie znajdą się na świeżym powietrzu. Za oknami widziała uczniów, wesołych i rozkrzyczanych, maszerujących przez trawnik do drzemiących przy krawężnikach autobusów szkolnych numer trzy i cztery. Pantofle Sally postukiwały cicho o podłogę. W ręce trzymała dużą, szarą kopertę. Widniejące na niej nazwisko, Frank Jewett, kryło się w delikatnym wzgórku jej piersi.

Zatrzymała się przy sali numer 6, sąsiadującej przez ścianę z pokojem nauczycielskim. Zajrzała do środka przez szybę ze zbrojonego szkła. Pan Jewett przemawiał właśnie do kilku nauczycieli — trenerów drużyn sportów zimowych. Frank Jewett, pulchny, niski mężczyzna, przypominał Sally pana Weatherbee — dyrektora szkoły z komiksów. I —jak panu Weatherbee — okulary oczywiście zjeżdżały mu na sam czubek nosa.

Obok niego siedziała Alice Tanner, sekretarka, najwyraźniej robiąc notatki.

Pan Jewett spojrział w lewo, dostrzegł Sally za szybą i obdarzył ją jednym ze swych krzywych uśmiezków. Sally podniosła rękę, pomachała i zmusiła się, by odpowiedzieć mu uśmiechem. Nadal pamiętała czasy, kiedy uśmiech pojawiał się na jej wargach zupełnie naturalnie; obok modlitwy wydawał się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

Niektórzy z uczestniczących w zebraniu nauczycieli obejrżeli się, pragnąc sprawdzić, kogo to wyróżnił ich pan i władca. Obejrzała się również Alice Tanner i widząc Sally, pokiwała jej żartobliwie palcem, uśmiechając się ze sztuczną słodyczą.

Wiedzą — pomyślała Sally. — Wszyscy wiedzą, że między mną i Lesterem skończone. Irene była w nocy taka słodka... taka współczująca... i tak tęskniła do chwili, kiedy będzie mogła wszystko rozgadać. A to suka!

Sally natychmiast odmachnęła Alice, czując, jak równie słodki — i całkowicie udawany — uśmiech rozciąga jej wargi. Mam nadzieję, że po drodze do domu walnie cię śmieciarka, ty dziwko — pomyślała i poszła dalej, postukując praktycznymi pantoflami na płaskim obcasie.

Kiedy podczas przerwy zadzwonił pan Gaunt i powiedział, że

czas uregulować zapłatę za to cudowne drewno, Sally zareagowała z entuzjazmem i dziwnym, kwaśnym poczuciem radości. Wyczuwała, że drobny figiel, który miała spłacać panu Jewettowi, może być groźny w skutkach, ale nawet jej to odpowiadało. Czuła się groźna.

Położyła dłoń na klamce drzwi sekretariatu i zamarła na chwilę.

Co się z tobą dzieje? — zapytała, zdumiona, samą siebie. — Masz drewno, cudowne drewno kryjące w sobie wspaniałą, świętą moc. Czy takie cuda nie powinny sprawiać, by ktoś, kto ich doświadczył, czuł się lepiej? Spokojniej? Bliżej Boga Ojca Wszechmogącego? Ale przecież nie jesteś spokojniejsza, nie czujesz się bliższa Bogu. Czujesz się, jakby ktoś wypchał ci głowę drutem kolczastym.

— Tak, ale to nie moja wina i nie wina drewna — szepnęła — tylko Lestera. Pana Wielkiego Kutasa Lestera Pratta.

Niska dziewczynka w okularach i grubych klamrach na zębach, studiująca plakat Pep Klubu, odwróciła się i spojrzała na nią dziwnie.

- Na co się tak gapisz, Indno? — spytała ją Sally.
- Na nic, panno Ratcliffe.
- To idź i gap się na nic gdzie indziej. Szkoła już się skończyła, wiesz?

Irvina ruszyła korytarzem, niemal biegnąc. Od czasu do czasu rzucała Sally przez ramię nieufne spojrzenie.

Sally weszła do sekretariatu. Koperta, którą ścisnęła w dłoni, znajdowała się dokładnie tam, gdzie — według słów pana Gaun-ta — miała się znajdować: za kubłami na śmiecie przy wejściu do stołówki. Nazwisko pana Jewetta wypisała na niej sama.

Obejrzała się szybko przez ramię, by sprawdzić, czy ta dziwka Alice Tanner przypadkiem nie wchodzi, po czym wślizgnęła się do gabinetu dyrektora, niemal przebiegła przezeń i położyła kopertę na biurku.

A teraz jeszcze to.

Wysunęła najwyższą szufladę, wyjęła z niej duże nożyczki. Pochyliła się i szarpnęła najniższą szufladę po lewej stronie. Zamknięta; pan Gaunt uprzedzał ją, że najprawdopodobniej będzie zamknięta. Sally rzuciła okiem na sekretariat, stwierdziła, że nadal jest pusty i że drzwi na korytarz nadal są zamknięte. Dobrze. Doskonale. Wbiła ostrze nożyczek w szczelinę u góry szuflady i mocno poderwała je do góry. Trzasnęło pękające drewno; poczuła, jak nagle sutki jej piersi przyjemnie i gwałtownie sztywnieją. Fajne to. Trochę straszne, ale fajne.

Jeszcze raz wbiła nożyczki w szparę — tym razem weszły głębiej — i jeszcze raz poderwała je w górę. Zamek puścił, a szuflada wysunęła się. Sally otworzyła usta, zaskoczona i zszokowana. Gapiła się na zawartość szuflady, po chwili zaczęła chichotać zdyszczanym, krótkim chichotem, bardziej przypominającym krzyk niż śmiech.

— Och, panie Jewett! Brzydki z pana chłopczyk!

W szufladzie leżał stos magazynów małego formatu i ten na wierzchu rzeczywiście nazywał się „Brzydki Chłopczyk”. Zamazane zdjęcie na okładce pokazywało mniej więcej dziewięcioletniego chłopca, ubranego wyłącznie w motocyklowy kask w stylu lat pięćdziesiątych.

Sally wyjęła magazyny z szuflady — było ich dziesięć, może trochę więcej. „Szczęśliwe Dzieci”, „Nagie Rozkoszniczki”, „Dmuchane z wiatrem”, „Na farmie Bobby'ego”. Patrzyła na nie, niezdolna uwierzyć własnym oczom. Gdzie można kupić coś takiego? Z pewnością nie sprzedają ich w sklepie, nawet z tych najwyższych półek, o których mówił czasami z ambony wielbny Rosę, z tych, na których napisane było: „Tylko dla osób powyżej osiemnastego roku życia”.

Głos, który doskonale znała, przemówił nagle w jej głowie: „Pospiesz się, Sally, zebranie już prawie skończone. Nie chcesz, żeby cię tu złapano, prawda?”.

Przemówił do niej także inny głos, kobiecy, głos, który potrafiła niemal nazwać. Słyszała go, jakby rozmawiała przez telefon z kimś, kto jest w pokoju z kimś innym, przemawiającym w tle.

To więcej niż świetna zabawa! — powiedział ten drugi głos. — To wręcz boskie!

Sally zrobiła to, co kazał jej zrobić pan Gaunt: rozrzuciła magazyny pornograficzne po całym gabinecie dyrektora Jewetta. Następnie schowała nożyczki i szybko wyszła do sekretariatu. Uchyliła prowadzące na korytarz drzwi. Wyjrzała ostrożnie. Pusto... ale z sali numer 6 dobiegały ją donośne głosy i śmiechy. Rzeczywiście, kończyli już — było to bardzo krótkie zebranie.

— Boże, dziękuję ci za pana Gaunta — szepnęła i wyślizgnęła się na korytarz. Już prawie wychodziła ze szkoły, kiedy usłyszała, jak uczestnicy zebrania opuszczają salę nr 6. Nie obróciła się. Nagle uświadomiła sobie, że od pięciu minut ani razu nie pomyślała o Panu Wielkim Kutasię Lesterze Pracie. Bardzo fajnie. Pomyślała też, że powinna pojechać do domu, zrobić sobie wspaniałą gorącą kąpiel w pianie, zanurzyć się w wannie z dREWNIKIEM W DŁONI i spędzić następne dwie godziny, ani razu nie myśląc o Panu Lesterze Wielkim Kutasię Pracie — co by to była za wspaniała odmiana. Wspaniała. Wspa...

*Coś ty tam zrobiła? Co było w tej kopercie? Kto ją tam polo-żył, w śmietniku, obok stalówki? Kiedy? I najważniejsze pytanie, Sally — coś ty właściwie spowodowała?!*

Stała przez chwilę nieruchomo. Czuła, jak pot spływa jej z czoła. Zdumione oczy otworzyła szeroko — przypominały teraz oczy przerażonej łani. Nagle zwięzły się, a Sally ruszyła przed siebie. Miała na sobie spodnie; drażniły ją przyjemnie, przypominając wieczory pieszczot Lestera.

Nie obchodzi mnie, co zrobiłam — pomyślała. — A w ogóle to mam nadzieję, że coś bardzo złego. Zasłużył sobie na to. Wygląda jak pan Weatherbee, ale trzyma te obrzydliwe gazety. Mam nadzieję, że udławi się, kiedy wejdzie do gabinetu.

— Mam nadzieję, że zdechniesz pieprzoną śmiercią z udławienia — powiedziała. Po raz pierwszy w życiu wypowiedziała głośno słowo na „p”, sutki znów jej stwardniały, drażniły ją niczym naelektryzowane. Przyspieszyła kroku, nie w pełni świadomie rozważając, że w wannie może zrobić coś jeszcze. Stwierdziła nagle, że dziewczyna też ma swoje potrzeby. Nie była całkiem pewna, czy odkryje, jak je zaspokoić... ale wydawało się jej, że jednak odkryje.

Pomóż sobie sam, a i Bóg ci dopomoże, nie?

— Czy według ciebie to uczciwa cena? — spytał pan Gaunt.

Poiły chciała odpowiedzieć mu natychmiast, ale nie odpowiedziała. Pan Gaunt jakby przestał zwracać na nią uwagę; patrzył w przestrzeń, a usta poruszały mu się niczym w modlitwie.

— Proszę pana...

Drgnął, ale spojrzał na nią od razu z ujmującym uśmiechem.

- Wybacz, Poiły, czasami bywam nieco roztargniony.
- Więcej niż uczciwa. Boska! — Poiły wyjęła z torebki ksią żeczkę i zaczęła wypisywać czek. Od czasu do czasu przez głowę przelatywała jej zabłąkana myśl — o co właściwie chodzi? — a kiedy myśl ta pojawiała się, natychmiast czuła na sobie spojrzenie pana Gaunta, podnosiła głowę, patrzyła mu w oczy i od razu zapominała o wątpliwościach i pytaniach.

Czek, który mu wręczyła, wypisany był na sumę czterdziestu ośmiu dolarów. Pan Gaunt złożył go schludnie i wsunął do kieszonki sportowej marynarki.

- Nie zapomnij go wpisać. Twój wścibski przyjaciel z pew

nością sprawdzi, czy nie zapłaciłaś gotówką.

- Chce się z tobą zobaczyć — powiedziała Poiły, wypełniając polecenie Gaunta. — Uważa cię za oszusta.

- Dużo myśli, snuje plany, ale jego plany zmieniają się, a myśli rozwiewają jak mgła w wietrzny poranek. Możesz mi wierzyć na słowo.

- Nie... nie skrzywdzisz go, prawda?

- Ja? To ty krzywdzisz mnie takimi podejrzeniami, Patricio Chalmers. Jestem pacyfistą —jednym z największych pacyfistów na świecie! Nie podniosę nawet paluszka na naszego szeryfa. Chodzi mi tylko o to, że dziś po południu, po drugiej stronie mostu, będzie miał do załatwienia pewien interes. Nic jeszcze nie wie, ale się dowie.

- Och!

- Ostatnia sprawa, Poiły.

- Tak?

- Czek to tylko część zapłaty za azkę.

- Część?

- Część. — W dłoni pana Gaunta pojawiła się koperta. Poiły nie miała pojęcia, skąd się wzięła, ale wszystko wydawało się w największym porządku. — Uregulujesz swe zobowiązania do piero wtedy, gdy pomożesz mi spłatać komuś figla.

- Alanowi? — Nagle przeraziła się jak zając, który w suchym letnim powietrzu wywęszył lekki zapach dymu. — Mam spłatać figla Alanowi?

- Z całą pewnością nie! Kazać ci spłatać figla komuś, kogo znasz, komuś, kogo, jak ci się zdaje, kochasz... przecież byłoby to nieetyczne, kochanie!

- Nieetyczne?

- Oczywiście... chociaż moim zdaniem powinnaś bardzo do kładnie przemyśleć swe stosunki z szeryfem. Z pewnością dojdiesz

do wniosku, że stoisz przed prostym wyborem: odrobina bólu teraz oszczędzi ci wielkiego bólu później. Innymi słowy ktoś, komu spieszno było do ślubu, ma zazwyczaj wiele czasu, by żałować pośpiechu.

- Nic z tego nie rozumiem.
- Oczywiście. Wiem, że nic z tego nie rozumiesz, ale zrozumiesz,
- 

kiedy przeczytasz dzisiejszą pocztę. Widzisz, Poily, nie jestem jedynym w tym mieście człowiekiem, który znalazł zajęcie dla swego wielkiego i wścibskiego nosa. Na razie pozwól, że przedyskutujemy kwestię małego figła, o którym wspomniałem. Jego ofiarą ma paść ktoś, kogo właśnie zatrudniłem. Nazywa się Merrill.

— Ace Merrill?

Słynny uśmiech pana Gaunta znikł jak zdmuchnięty.

— Nie przerywaj mi, Poily. Bez względu na okoliczności nie wolno mi przerywać! Chyba, oczywiście, że chcesz, by dłonie ci spuchły jak dętki wypełnione trującym gazem.

Poily skuliła się. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

— Ja... ja bardzo przepraszam!

— Dobrze, dobrze. Przyjmuję twe przeprosiny — tym razem. A teraz posłuchaj mnie. Posłuchaj mnie bardzo uważnie!

Frank Jewett i Brion McGinley, nauczyciel geografii oraz trener szkolnej drużyny siatkarskiej, wyszli razem z sali nr 6. Do sekretariatu weszli tuż za Alice Tanner. Frank śmiał się, opowiadając Brionowi dowcip, który usłyszał rano od komiwojażera — sprzedawcy podręczników. Chodziło o lekarza, który ma kłopoty z diagnozą choroby pacjentki. Badania pozostawiły alternatywę: choroba Alzheimera albo AIDS. Nic więcej nie dało się powiedzieć.

- No więc mąż bierze doktora na bok... — mówił Frank, kiedy wchodzili do sekretariatu. Alice pochyliła się nad biurkiem, na którym leżała kupka kartek z zapisanymi rozmowami telefonicznymi, i Frank zniżył głos. Jego sekretarka dość gwałtownie re



agowała na dowcipy z najdrobniejszym nawet podtekstem.

- I co? — Teraz i Brion zaczął się uśmiechać.
- No właśnie. Gość jest zdenerwowany. Mówi: „Jezu, doktor-ku, nic więcej mi pan nie powie? Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, na którą z tych chorób cierpi?”.

Alice wybrała ze stosu dwie karteczki i ruszyła w stronę gabinetu. Dotarła do otwartych drzwi, po czym stanęła jak wryta, jakby trafiła na niewidoczną ścianę. Żaden z nauczycieli nie zwracał na nią uwagi.

— „Jest. Nic trudnego — odpowiada lekarz” — mówił Frank. — „Niech pan ją wywiezie jakieś trzydzieści kilometrów w las i tam zostawi. A jeśli zdoła wrócić, niech jej pan na Boga nie pieprzy!”.

Brion McGinley przez chwilę gapił się na swojego szefa z głupim wyrazem twarzy, a potem wybuchnął szczerym śmiechem. Obaj śmieli się tak zdrowo, że w pierwszej chwili żaden z nich nie usłyszał Alice wołającej: „Frank!”. Dopiero za drugim razem, kiedy wrzasnęła, ile sił w płucach, Frank pobiegł do niej.

— Alice? Co... — zdążył spytać, nim zobaczył „co” i poczuł straszny, lodowaty, ostry jak odłamki szkła strach. W gardle zaschło mu tak, że nawet gdyby chciał, nie zdołałby wypowiedzieć ani słowa. Na jądrach poczuł gęsią skórkę; najwyraźniej próbowały wleźć z powrotem tam, skąd niegdyś wyszły.

Gazetki.

Jego gazetki z najniższej szuflady.

Porozrzucane po gabinecie: chłopcy w mundurkach, chłopcy na sianie, chłopcy w słomianych kapeluszach, chłopcy okrakiem na konikach na biegunach.

- Co do diab...! — Głos, ochryply z przerażenia (i fascynacji) doleciał go z lewej strony. Frank obrócił głowę (ścięgną szyi aż mu przy tym zatrzeszczały) i dostrzegł Briona McGinleya, hipnotycznie wpatzonego w podłogę dyrektorskiego gabinetu. Gdyby McGinley w tej chwili mrugnął, oczy z pewnością wyleciałyby mu z czaszki.

- To kawał — próbował powiedzieć Frank Jewett. — To

głupi kawał, nic, tylko głupi kawał. To nie moje. Przecież wystarczy tylko na mnie spojrzeć, by wiedzieć, że coś takiego nie... nie interesowałoby mężczyzny... mężczyzny na moim... moim...

Moim czym?

Nie miał pojęcia i prawdę mówiąc, bez sensu było układać sobie przemowę, skoro całkowicie utracił zdolność mowy. Całkowicie.

Trójka dorosłych — dwaj nauczyciele i sekretarka — stała w niemym osłupieniu, hipnotycznie wpatrzona w gabinet dyrektora szkoły podstawowej w Castle Rock, Franka Jewetta. Przez okno wpadł do środka podmuch ciepłego wiatru, poruszając stronami jednego z magazynów, leżącego na samej krawędzi krzesła. Ten podmuch wystarczył, by magazyn ześlizgnął się na podłogę, pierwszą stroną okładki do góry. „Śliczni Chłopcy” — oznajmiał tytuł.

*Dowcip. Tak, dowcip. Powiem im, że to dowcip, ale czy mi uwierzą? Zalóżmy, że zamek szuflady został wylamany. Czy uwierzą mi, jeśli rzeczywiście został wylamany?*

— Pani Tanner? — odezwał się za nimi jakiś dziewczęcy głos.

Wszyscy troje: Jewett, Alice i McGinley — odwrócili się jak na komendę. Wszyscy troje mieli niewyraźne miny. W sekretariacie stały dwie dziewczynki w biało-czerwonych strojach zespołu dopingującego na szkolnych meczach. Alice Tanner i Brion McGinley jak na komendę poruszyli się, by zasłonić im widok na gabinet (sam Frank stał jak wmurowany w ziemię, niczym kamienny posąg), ale nie zdążyli. Oczy obu dziewczynek rozszerzyły się jak na komendę. Jedna z nich — Darlene Yickery — zakryła dłonią różane usteczka, gapiąc się na dyrektora z niedowierzaniem.

- Wyjdźcie, dziewczęta — powiedziała pani Tanner. — Ktoś zrobił panu Jewettowi złośliwy dowcip... wyjątkowo złośliwy dowcip. Nie wolno wam powiedzieć o tym ani słowa. Rozumiecie?

- Tak, pani Tanner — wykrztusiła Erin McAvoy. Pięć minut później opowiedziała swej najlepszej przyjaciółce, Donnie Beau-lieu, że gabinet pana Jewetta udekorowany był zdjęciami chłopców mających na sobie ciężkie metalowe bransolety i nic więcej.

- Tak, pani Tanner — przytaknęła Darlene Yickery, która w pięć minut później opowiedziała o wszystkim swojej najlepszej przyjaciółce, Natalie Priest.

- Wyjdźcie — rozkazał im Brion McGinley. Bardzo pragnął powiedzieć to rześko i wesoło, ale głos miał nadal bezdźwięczny od przeżytego szoku. — No, już!

Dziewczynki uciekły. Spódniczki aż powiewały im wokół tłusciutkich kolan.

Brion odwrócił się powoli w stronę Franka.

—• Moim zdaniem... — zaczął, ale Frank Jewett nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wszedł do swego gabinetu, poruszając się powolutku, jak lunatyk. Powoli zamknął drzwi, na których wisiała tabliczka z wypisanym na niej prostymi czarnymi literami słowem: „Dyrektor”, i zaczął zbierać magazyny.

Dlaczego nie przyznasz się do wszystkiego? — krzyczało mu coś w głowie.

Zignorował ten głos. Dobiegający z jakiejś najdalszej głębi jego duszy, tej, którą rządzi prymitywny instynkt przetrwania, inny głos podpowiadał mu, że teraz jest najtrudniej. Jeśli teraz zechce porozmawiać z Alice lub Brionem, jeśli teraz spróbuje wszystko im wyjaśnić, sam wykopie sobie grób głęboki jak odwiert na polu naftowym.

Alice zapukała do drzwi. Frank nie odpowiedział. Nadal chodził po gabinecie niczym we śnie, podnosząc magazyny, które zbierał od dziewięciu lat, rzadko, ostrożnie odbierając je na poczcie w Gates Falls. Za każdym razem był pewien, że policja stanowa lub zespół inspektorów pocztowych spadnie na niego jak tona cegieł. Nigdy nic się nie stało. Dopiero teraz...

Nie uwierzą, że należały do ciebie — powiedział instynkt przetrwania. — Nie ośmielą się tak myśleć. Podważyłoby to zbyt wiele ich wygodnych, małomiasteczkowych poglądów na życie. Gdy tylko zdołasz się opanować, uda ci się pokonać ten kryzys. Ale... kto mógł mu coś takiego zrobić? Kto był w stanie zrobić mu coś takiego? (Frankowi Jewettowi nie powstało nawet w głowie pytanie, co za szaleństwo kazało mu trzymać te magazyny w szkole. Właśnie w szkole!).

Do głowy przyszło mu tylko jedno nazwisko, nazwisko jedyne człowieka z Castle Rock, który znał jego sekret. George T. Nelson, nauczyciel robót ręcznych. George T. Nelson, na oko surowy, stuprocentowy mężczyzna, w rzeczywistości — stuprocentowy pedał. George T. Nelson, z którym Frank bawił się kiedyś w Bostonie na przyjęciu, gdzie było wielu mężczyzn w średnim wieku i mała grupka nagich chłopców. Impreza, za którą grozi dożywocie.

Na biurku leżała szara koperta z wypisanym pośrodku jego nazwiskiem. Frank Jewett poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, jak by opadał wraz z urwaną windą. Podniósł wzrok — Alice i

Brion wpatrywali się w niego, niemal przytuleni do siebie. Oczy mieli szeroko otwarte, gęby rozdziawione. Teraz wiem, jak czuje się ryba w akwarium — pomyślał Frank.

Machnął na nich ręką — wynoście się! — nie wynieśli się jednak, ale to jakoś wcale go nie zdziwiło. To zły sen, a w złych snach nic nie dzieje się tak, jak by się chciało. Dlatego właśnie są koszmarami. Czuł wielkie przygnębienie, był kompletnie zdezorientowany... ale pod przygnębieniem i dezorientacją, niczym węgielek pod stosem mokrego drewna, kryła się gorąca iskierka gniewu.

Ułożył na podłodze stos gazet. Usiadł za biurkiem, dostrzegł, że zamek dolnej lewej szuflady został wyłamany, dokładnie tak, jak się obawiał. Rozerwał kopertę. Wysypał na biurko jej zawartość, na którą składały się przede wszystkim fotografie. Fotografie jego i George'a T. Nelsona, zrobione na przyjęciu w Bostonie. Uczestnicy tej szampańskiej zabawy zajęci byli przede wszystkim kilkunastoma miłymi młodymi ludźmi (najstarszy z owych miłych młodych ludzi miał najwyżej dwanaście lat). Na każdym ze zdjęć twarz George'a zamaskowano, natomiast twarz Franka Jewetta widoczna była z krystaliczną czystością.

To także niezbyt go zaskoczyło.

W kopercie był również liścik następującej treści:

„Franku, Stary Przyjacielu,

Żałuję, że ci to robię, ale muszę wyjechać z miasta i nie mam czasu na pierdoły. Chcę 2000 dolarów. Przynieś je do mnie do domu o siódmej wieczorem. Jak na razie, możesz jeszcze uratować sytuację, będziesz miał kłopoty, ale nie za duże dla takiego sprytnego sukinsyna, jak ty. *Zapytaj* jednak sam siebie, co będzie, kiedy znajdziesz odbitki tych fotek przybite do każdego słupa telefonicznego w Castle Rock, zaraz pod tymi plakatami »Casina Nite«. Wywiozą cię z miasta na taczkach, stary przyjacielu. Pamiętaj, 2000 dolców u mnie, najpóźniej do siódmej piętnaście albo pożałujesz, że nie urodziłeś się bez fiuta.

Twój przyjaciel George".

Twój przyjaciel.

Twój przyjaciel!

Gapił się na te ostatnie słowa listu z osłupiałym, pełnym niedowierzania przerażeniem.

Ty kurewski, zdradziecki, morderczy PRZYJACIELU!

Brion McGinley walił pięścią w futrynę, ale kiedy Frank podniósł wreszcie wzrok znad tego czegoś, co tak go zainteresowało, pięść zawisła w powietrzu w pół gestu. Twarz dyrektora była kredowo-biała, z dwiema plamkami czerwieni wysoko na policzkach, jak u wymalowanego klauna.

Rozciągnięte w niesamowitym, okrutnym uśmiechu wargi odsłaniały zęby.

Jakoś wcale nie przypominał pana Weatherbee.

Przyjaciel — myślał Frank. Zgniół liścik, zgarnął fotografie z powrotem do koperty. Iskierka gniewu nie tliła się już, lecz zaczynała płonąć wystarczająco intensywnie, by zajęło się od niej mokre drewno.

Przyjdę, oczywiście, punktualnie. Przyjdę przedyskutować tę sprawę z moim przyjacielem George' em T. Nelsonem.

— Oczywiście — powiedział Frank Jewett. — Ależ oczywiście.

I uśmiechnął się szeroko.

Dochodziło piętnaście po trzeciej. Alan był już niemal pewny, że Brian Rusk musiał wybrać inną drogę; strumyczek wracających do domu uczniów wysechł całkowicie. Nagle, gdy sięgał do

448

kieszeni po kluczyki, dostrzegł samotną sylwetkę na rowerze, jadącą w jego kierunku ulicą Szkolną. Chłopiec jechał bardzo powoli; wydawało się, że wisi na kierownicy. Opuścił głowę tak nisko, że szeryf nie widział jego twarzy.

Widział za to bagażnik, a na bagażniku pojemnik piknikowy Playmate.

- Rozumiesz? — spytał pan Gaunt. Poły trzymała w dłoni kopertę.
- Tak... ja... rozumiem. Doskonale rozumiem. — Ale na jej nieprzytomnej niczym we śnie twarzy widać było grymas niechęci.
- Nie wyglądasz mi na zadowoloną.
- Cóż... bo...
- Różne amulety typu azki nie skutkują czasami w przypadku ludzi, którzy nie są szczęśliwi. — Wymierzył palcem w małą wypukłość pod jej bluzką, a Poły znów poczuła, że wewnątrz azki coś się porusza. W tej samej chwili dłonie przeszył jej

straszliwy ból, niczym ukłucia dziesiątek stalowych igieł. Jęknęła głośno.

Pan Gaunt zgiął palec i kiwnął nim, jakby kogoś przyzywał. W srebrnej kuli coś poruszyło się znowu, tym razem wyraźniej, i ból zniknął równie nagle, jak się pojawił.

- Przecież nie chcesz, Poiły, by znów było tak jak dawniej? — spytał jedwabistym głosem właściciel „Sklepiku z marzeniami”.

- Nie! — Poiły aż krzyknęła. Piersi poruszały się jej gwałtownie, jakby dyszała, dłońmi wykonywała gorączkowe gesty, pocierając je jak przy praniu; rozszerzonymi oczami wpatrywała się w jego oczy. — Proszę, nie!

- Bo choć jest źle, zawsze jeszcze może być gorzej, prawda?

- Tak! Tak, oczywiście.

-r- A nikt nic nie rozumie, prawda? Nawet szeryf? Nawet szeryf nie wie, jak to jest, kiedy ktoś budzi się o drugiej w nocy, wierząc, że piekło mieści się we wnętrzu jego dłoni, prawda?

Poiły tylko potrząsnęła głową i rozplakała się.

— Rób, co mówię, a takie przebudzenia nigdy więcej nie będą ci już grozić. I jeszcze jedna sprawa — jeśli zrobisz, jak mówię, to nawet gdy ktoś w Castle Rock dowie się, że twój syn spłonął podczas pożaru w San Francisco, to z pewnością nie ode mnie.

Poiły krzyknęła rozpaczliwym, ochrypłym krzykiem, krzykiem kobiety uwięzionej w koszmarze bez wyjścia. Pan Gaunt uśmiechnął się.

- Istnieje więcej niż jedno piekło, prawda, Poiły?

- Skąd o nim wiesz? — szepnęła. — Nikt nie wie. Nie powiedziałam nikomu, nawet Alanowi. Alanowi powiedziałam, że...

- Wiem, bo wiedzieć to mój zawód. Podejrzewać zaś to jego zawód, Poiły... Alan nigdy nie uwierzył w to, co mu powie działaś.

- Alan twierdzi...

- Różne rzeczy może sobie twierdzić, ale nigdy ci nie uwierzył.

Kobieta, którą wynajęłaś do pilnowania synka, była narkomanką, prawda? Nie ponosisz winy za to, co się stało, ale oczywiście do jego śmierci doprowadziły twoje kolejne wybory, prawda? A wy bierałaś sama. Dziewczyna, którą wynajęłaś do pilnowania Keltona, straciła przytomność. Papieros — a może był to skręt — wylądował w kubie na śmieci. Mówiąc metaforycznie, to jej palec nacisnął spust, ale broń załadowała twoja duma, niezdolność do ugięcia karku przed rodzicami i całą resztą dobrych ludzi z Castle Rock.

Poiły szlochała rozpaczliwie.

— Lecz czy młoda kobieta nie ma prawa do dumy? — spytał pan Gaunt łagodnym głosem. — Jeśli straci wszystko, czy nie ma prawa choćby do odrobiny dumy — monety, bez której jej portfel byłby całkowicie pusty?

Podniosła zapłakaną, ale zaciętą twarz.

- Wierzyłam, że to tylko moja sprawa — powiedziała. — Nadal jestem tego pewna, a jeśli to duma, cóż z tego?

- Oczywiście. Powiedziane, jak na bohaterkę przystało, ale oni przyjęliby cię do domu, prawda? Matka i ojciec. Może i nie byłoby to najprzyjemniejsze doświadczenie — nie z dzieckiem, które cały czas przypominałoby im o tym, co zaszło, nie z rozplotkowanymi obywatelami miłego prowincjonalnego miasteczka, ale oni najprawdopodobniej przyjęliby cię do domu, prawda?

- Oczywiście, i resztę życia spędziłabym, próbując wyrwać się spod kontroli matki — Poiły wybuchnęła wściekłym, wstrętnym głosem całkowicie różnym od tego, jaki miała na co dzień.

- Oczywiście — przytaknął pan Gaunt w ten sam, kojący sposób. — Więc zdecydowałaś się żyć na własny rachunek. Miałaś Keltona i swą dumę. A kiedy Keltona zabrakło, pozostała tylko duma, prawda?

Poily krzyknęła rozpaczliwie, boleśnie i ukryła wilgotną twarz w dłoniach.

— To boli bardziej niż ręce, prawda?

Poily skinęła głową, nadal ukrytą w dłoniach. Gaunt założył swe obrzydliwe, długie dłonie za głowę i powiedział tonem, który na ogół słyszy się z okazji wygłaszanych nad grobem mów:

- Ludzkość! Jakaż ona szlachetna! Jakże chętna do poświęcenia... kogoś innego!

- Proszę przestać! — jęknęła Poily. — Przestań!

- To tajemnica, prawda, Patricio?

- Tak.

Dotknął jej czoła. Zachłysnęła się pełnym obrzydzenia westchnieniem, ale nie cofnęła.

— Te szczególne wrota do piekła wolałabyś trzymać zamknięte, prawda?

Głowa i ręce poruszyły się. Przytaknęła.

— Więc rób, co mówię, Poily. — Ujął ją za rękę, odciągnął jej dłonie od twarzy, zaczął gładzić. — Rób, co mówię, i trzymaj gębę na kłódkę. — Przyjrzał się zapłakanej twarzy, załzawionym, czerwonym oczom; na moment z obrzydzeniem wyduł wargi. — Nie wiem, co brzydzi mnie bardziej — stwierdził — zapłakana kobieta czy śmiejący się mężczyzna. Wytrzymaj tę swoją cholerną buźkę, dobra?

Powoli, jak we śnie, Poily wyjęła z torebki obszytą koronką chusteczkę. Wytarła oczy.

— Świetnie — stwierdził pan Gaunt i wstał. — Pozwalam ci wrócić teraz do domu, w końcu czeka cię sporo pracy. Pragnę ci tylko oznajmić, że robienie z tobą interesów sprawiło mi ogromną przyjemność. Zawsze bardzo ceniłem dumne kobiety.

— Cześć, Brian... chcesz zobaczyć sztuczkę?

Jadący na rowerze chłopiec natychmiast podniósł głowę, odrzucając opadające na czoło włosy. Alan dostrzegł na jego twarzy wyraz, który nie sposób pomylić z niczym innym: nagi, najczystszy



strach.

— Sztuczkę? — spytał chłopiec drżącym głosem. — Jaką sztuczkę? Alan nie wiedział, czego tak bardzo boi się Brian, ale jedno zrozumiał na pewno — magia, której często używał jako środka oswajającego dzieciaki, z którymi przyszło mu rozmawiać, tym razem okazała się całkowitym niewypałem. Lepiej szybko zacząć wszystko od nowa.

Uniósł lewą rękę — tę, na której miał zegarek — i uśmiechnął się, patrząc wprost w bladą, skupioną i przerażoną twarz Briana Ruska.

— *Zwróć uwagę, że nie chowam niczego w rękawie i że ramię podnoszę wysoko. A teraz... presto!*

Powoli przesunął otwartą, prawą dłoń wzdłuż lewego ramienia, bez najmniejszego trudu wyluskując kciukiem zza paska zegarka maleńki zwitek. Zaciskając dłoń w pięść, przesunął niemal mikroskopijny zameczek, który go zamykał. Złożył dłonie, odczekał chwilę i rozłożył je — wielki bukiet bibułkowych kwiatów wykwitł w miejscu, w którym przed chwilą nie było niczego.

Pokazywał tę sztuczkę setki razy, lecz ani razu nie wyszła mu ona lepiej niż w ten upalny, październikowy dzień. Widownia zawsze reagowała w ten sam sposób: chwila pełnej zaskoczenia ciszy i uśmiech, na który w jednej trzeciej składało się zdumienie, w dwóch trzecich podziw; ale uśmiech ten nie pojawił się na twarzy Briana. Brian zaledwie zerknął na kwiaty (w jego spojrzeniu dawało się zauważyć ulgę, jakby spodziewał się, że magiczna sztuczka nie będzie wcale taka niewinna), po czym przeniósł spojrzenie na twarz szeryfa.

- Fajne, nie? — Alan rozciągnął usta w uśmiechu równie prawdziwym co sztuczna szczęka jego dziadka.

- Aha.

- Aha. Widzę, że aż zwałem cię z nóg. — Alan złożył dłonie wraz z bukietem. Przyszło mu to bardzo łatwo, aż zbyt łatwo. Najwyższy czas kupić nowy „Magiczny bukiet”; żaden z nich nie był wieczny. Sprężynka w tym egzemplarzu była już zbyt luźna, a bibułkowe kwiaty zaczęły się drzeć.

Rozłożył dłonie z uśmiechem — tym razem znacznie szerszym. Bukiet zniknął — znów był tylko małym zwitkiem papieru schowanym za paskiem zegarka. Brian Rusk nie uśmiechnął się jednak. Tak naprawdę jego twarz nic nie wyrażała. Pozostałości letniej opalenizny nie maskowały jej

śmiertelnej bladości ani przedwczesnego chyba stadium dojrzewania: pryszcze na czole, nieco większy w kąciu ust, wągry po obu stronach nosa. Wyraźnie widoczne pod oczami chłopca fioletowe cienie dowodziły, że od dłuższego czasu nie sypia najlepiej.

Coś jest z nim nie w porządku — pomyślał Alan. Coś jest z nim znacznie bardziej niż nie w porządku. Coś w nim zostało poważnie naciągnięte, być może nawet złamane. Natychmiast, oczywiście, rysowały się dwie możliwości — albo Brian widział, kto obrzucił kamieniami dom Jerzycków, albo było to jego dzieło. Obie możliwości rzucały na chłopca cień, lecz jeśli w grę wchodziła druga ewentualność, Alan nie potrafił wręcz wyobrazić sobie ciężaru winy, który dźwigał w tej chwili ten mały chłopiec.

- Wspaniała sztuczka, naprawdę — stwierdził Brian bezbarwnym, całkowicie pozbawionym emocji głosem. — Naprawdę.
- Dzięki. Miło mi, że ci się podobała. Czy wiesz, o czym chciałbym z tobą porozmawiać?
- Taaa... chyba tak. — Alan poczuł nagle pewność, że Brian przyzna się do zamachu na dom Jerzycków. Przyzna się tu, na środku ulicy i będzie to wielki krok naprzód w sprawie Nettie i Wilmy.

Lecz Brian umilkł. Uniósł tylko głowę i patrzył na Alana zmęczonymi, przekrwionymi oczami.

- Co się stało, synu? — spytał Alan spokojnym, cichym głosem. — Co się właściwie stało, kiedy byłeś w domu Jerzycków?
- Nie wiem. — Głos chłopca pozbawiony był jakiegokolwiek wyrazu. — Ale śniło mi się to tej nocy. I w niedzielę też. Śniło mi się, że idę do ich domu, tylko we śnie widziałem, kto tak strasznie tam hałasował.
- Kto ci się przyśnił?
- Potwór. — Głos Briana nie zmienił się, tylko w kąciach oczu pojawiły się dwie wielkie łzy. — We śnie pukam do drzwi zamiast odjechać, jak to zrobiłem, drzwi otwierają się, widzę potwora i potwór... zjada... mnie. — Łzy wezbrały i powoli płynęły po pryszczach na policzkach Briana Ruska.

Oczywiście — pomyślał Alan — być może w grę wchodzi także to — zwykły strach. Strach

tego rodzaju, jaki może poczuć dziecko, kiedy otworzy drzwi do sypialni rodziców i zobaczy, jak ojciec i matka pieprzą się — tylko jest za małe, żeby wiedzieć, że się pieprzą, więc myśli, że się biją. A jeśli robią przy tym dużo hałasu, może nawet myśleć, że się mordują.

Tylko...

Tylko coś tu się nie zgadzało. Takie to było proste. Miał wrażenie, że dzieciak kłamie jak najęty mimo wyrazu oczu, wyrazu mówiącego „chcę ci powiedzieć wszystko”. Co to znaczy? Nie wiedział, ale doświadczenie mówiło mu, że Brian najprawdopodobniej wie, kto

rzucił kamieniami. Być może by } to ktoś, kogo czuł się w obowiązku chronić. Lub może ten ktoś, kto rzucał kamieniami, widział chłopca, a Brian wiedział, został zauważony. Być może mały bał się zemsty.

— Ktoś obrzucił kamieniami dom Jerzycków — powiedział Alan cichym i (przynajmniej miał taką nadzieję) uspokajającym głosem.

— Tak, proszę pana. — Brian niemal westchnął. — Chyba tak. Chyba tak właśnie mogło być. Ktoś rzucał kamieniami. Myślałem, że się kłóca, ale to mogło być to. Brzdęk, bum, łup.

Brzmi to jak refren jakiegoś przeboju — pomyślał Alan.

- Więc myślałeś, że się pokłócili?
- Tak, proszę pana.
- Naprawdę tak myślałeś?
- Tak, proszę pana.

Tym razem westchnął szeryf.

• No... a teraz wiesz, co to naprawdę było. I wiesz, że była bardzo zła rzecz. Rzucać komuś kamieniami w okna to poważna sprawa, nawet jeśli nie wynika z tego nic więcej.

- Tak, proszę pana.
- Tym razem jednak wynikło. Wiesz o tym, prawda, Brian?
- Tak, proszę pana.

Alan zaczął powoli rozumieć te oczy, patrzące na niego z nieruchomej, bladej buzi. Brian chce

powiedzieć mu, co zaszło, i niemal na pewno mu tego nie powie.

- Nie sprawiasz wrażenia szczęśliwego, wiesz?
- Tak, proszę pana?
- „Tak, proszę pana”... Czy ma to znaczyć, że rzeczywiście

jesteś szczęśliwy?

Brian skinął głową. Po policzkach spłynęły mu kolejne dwie łzy. Alan doświadczał w tym momencie przeciwstawnych uczuć: współczuł mu, a jednocześnie był na niego wściekły.

- Dlaczego nie jesteś szczęśliwy? Powiedz mi, dobrze?

• Miałem kiedyś taki naprawdę miły sen — powiedział chłopak tak cicho, że niemal nie było go słychać. — Głupi, ale jednocześnie miły. O pannie Ratcliffe, która uczy mnie wymowy.

Teraz wiem, że był głupi. Kiedyś nie wiedziałem i tak było lepiej.

Wie pan co? Teraz wiem lepiej.

Ciemne, okropnie nieszczęśliwe oczy znów spojrzały w górę, w twarz Alana.

— Sen, który mam teraz... sen o potworze... ja się go boję,

szeryfie Pangbom... ale naprawdę jestem nieszczęśliwy przez to, co wiem. To jak wiedzieć, w jaki sposób iluzjoniści robią te swoje sztuczki.

Brian pochylił głowę. Alan gotów był przysiąc, że chłopak patrzy na pasek jego zegarka.

— Teraz wiem, że czasami lepiej nie wiedzieć.

Szeryf położył mu dłoń na ramieniu.

• Brian, darujmy sobie te bzdury, dobrze? Powiedz mi, co się stało. Powiedz mi, co widziałeś i co zrobiłeś.

• Przyjechałem dowiedzieć się, czy potrzebują kogoś, żeby w zimie uprzętał im podjazd ze śniegu — wyrecytował Brian mechanicznym, automatycznym głosem, który mocno wystraszył Alana. Chłopak sprawiał wrażenie typowego amerykańskiego jedenaste- czy dwunastoletniego dziecka: adidas, dzinsy, podkoszulek z Bartem Simpsonem — mówił jednak jak źle zaprogramowany robot, któremu w każdej chwili grozi spięcie. Po raz pierwszy Alanowi przyszło do głowy, że Brian być może widział, jak któreś z jego rodziców wybija okna w domu

Jerzycków.

- Usłyszałem hałas — Brian mówił prostymi oznajmującymi zdaniami; policjantów uczy się w ten właśnie sposób zeznawać przed sądem. — Dziwny hałas: huk, trzaski i dźwięk taki, jakby coś się tłukło. Przestraszyłem się. Odjechałem najszybciej jak potrafiłem. Na progu sąsiedniego domu stała jakaś pani. Zapytała mnie, co się dzieje. Sądzę, że też się wystraszyła.

- Racja. To była Jillian Misluburski. Rozmawiałem z nią. — Dotknął pojemnika, krzywo ustawionego na bagażniku roweru. Nie uszło jego uwagi, że widząc to, Brian zacisnął wargi. — Miałeś go ze sobą w niedzielę rano?

- Tak, proszę pana. — Chłopiec wytarł policzek grzbietem dłoni, nie spuszczać z Alana uważnego spojrzenia.

- Co w nim miałeś?

Nie odpowiedział, ale wydawało się, że drżą mu wargi.

- Co w nim miałeś, Brian?

Cisza. Tylko cisza.

- Kamienie?

Brian pokręcił głową powoli, z przekonaniem. „Nie”. Alan spytał po raz trzeci:

- Co w nim miałeś?

- To samo co teraz — szepnął chłopiec,

- Mogę otworzyć i sprawdzić?

— Tak, proszę pana. — Mówił ledwie słyszalnym, bezdźwięcznym szeptem. — Chyba tak.

Alan uchylił pokrywkę i zajrzał do pojemnika. Pojemnik wypełniony był kartami baseballowymi: Topps, Fleer, Donruss.

- Na wymianę — powiedział Brian. — Wożę je ze sobą niemal wszędzie.

- Co? Wozisz je ze sobą?

- Tak, proszę pana.

- Dlaczego, Brian? Dlaczego wozisz ze sobą pojemnik piknikowy pełen kart baseballowych?
- Przecież powiedziałem. Na wymianę. Nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się dobra okazja. Nadal szukam Joego Foya... był w Cudownej Drużynie Marzeń w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku... i karty Mike'a Greenwalla z jego pierwszego roku w lidze. Krokodyl jest moim ulubionym graczem. — Alanowi wydawało się, że oczy chłopca błysnęły nagle dziwnym, niezdrowym uczuciem tryumfu, niemal odebrał od niego telepatycznie słowa: „Mam cię, durniu. Mam cię!”, lecz z pewnością to tylko wyobraźnia; to jego własna frustracja podszyła się pod ten dziwny głos.

*Prawda ?*

*No... a co właściwie spodziewałeś się znaleźć w pojemniku? Kamienie 7. przyczepionymi do nich gumką liścikami? Czyżbyś naprawdę spodziewał się, że jedzie powtórzyć ten numer gdzie indziej?*

Musiał przyznać, że tak, że tego się właśnie spodziewał. Jakaś jego część była nawet najzupełniej pewna, że złapał Briana Ruska, Maleńki Postrach Castle Rock. Najgorsza ze wszystkiego była jednak pewność, że chłopiec bez problemu czyta w jego myślach i że wie wszystko.

Mam cię! Mam cię, durniu, panie szeryfie!

— Brian, proszę, powiedz mi, co tu się dzieje. Jeśli wiesz, proszę, powiedz mi!

Milczał. Zamknął pokrywkę pojemnika, która wskoczyła na miejsce z trzaskiem, takim wyraźnym w ciepłym powietrzu sennego jesiennego popołudnia.

— Nie możesz mi powiedzieć, prawda?

Chłopiec skinął głową, co prawdopodobnie oznaczało, że rzeczywiście, nie może powiedzieć.

— Przynajmniej jedno muszę wiedzieć: czy boisz się czegoś?

Boisz się, Brian?

Kolejne powolne, potakujące skinienie.

- A czego się boisz, synu? Może potrafię cię ochronić. —

Stuknął palcem w znaczek na lewej kieszeni koszuli. — Chyba za to mi płacą i dlatego noszę tę gwiazdę. Czasami potrafię odpędzić strachy.

- Ja... — powiedział Brian i w tej samej chwili radio policyjne, zainstalowane w samochodzie trzy, może cztery lata temu, z trzaskiem pobudziło się do życia.

— Jedyńka, Jedyńka, tu baza. Słyszysz mnie? Odbiór.

Brian opuścił wzrok; już nie patrzył Alanowi w oczy. Patrzył na samochód, słuchał dobiegającego z radia głosu Sheili Brig-ham, głosu władzy, głosu policji. Alan natychmiast zorientował się, że nawet jeśli chłopak chciał mu coś powiedzieć (a być może wcale nie chciał, być może z jego strony było to tylko pobożne życzenie), to teraz nic już nie powie. Zamknął się w skorupie jak ostryga.

- Jedź do domu, Brian, dobrze? O tym twoim... śnie... porozmawiamy później, zgoda?

- Tak, proszę pana. Chyba tak.

- Tymczasem pomyśl trochę nad tym, co ci powiedziałem.

Praca szeryfa w zasadzie sprowadza się do tego, żeby odpędzać strachy.

- Muszę wracać do domu, szeryfie. Jeśli zaraz nie wrócę, mama będzie wściekła.

Alan skinął głową.

— Tego na pewno nie chcemy, prawda? Jedź.

Patrzył za odjeżdżającym chłopcem. Brian znów opuścił głowę; nie tyle jechał na rowerze, co włókł się, mając rower między nogami. Coś tu było nie tak, do tego stopnia nie tak, że Alanowi nagle wydało się sprawą ważniejszą odkryć, co wywołało na twarzy chłopca ten wyraz zmęczenia i tępego strachu, niż to, co właściwie zaszło między Wilmą i Nettie.

W końcu obie już nie żyły i zostały pochowane. Brian Rusk zaś żył.

Podszedł do starego, zaniedbanego kombi, które powinien sprzedać co najmniej rok temu, złapał mikrofon taniego radyjka, przycisnął guzik nadawania.

- Tak, Sheila, tu Jedyńka. Słyszę cię. Co się stało? Odbiór.

- Dzwonił Henry Payton. Twierdzi, że ma do ciebie bardzo

ważną sprawę. Chce, żebym łączyła cię z nim natychmiast. Zgoda?

- Dobra. Nie ruszam się z miejsca. Czekam.

Oparł się o błotnik i w cieniu drzewa, z mikrofonem w ręku czekał ciekaw, co tak ważnego i pilnego ma mu do zakomunikowania Henry Payton.

Poiły wróciła do domu dwadzieścia po trzeciej, rozdarta między dwoma całkowicie przeciwstawnymi pragnieniami. Z jednej strony chciała wykonać zadanie, które jej zlecił pan Gaunt (nie myślała o tym jako o „figlu” — Poiły Chalmers nie była śmieszka), i stać się wreszcie prawowitą właścicielką azki (myśl, że nie skończy płacić, póki pan Gaunt nie powie, że skończyła, nawet nie przysła jej do głowy), z drugiej zaś strony aż drżała z pragnienia, by skontaktować się z Alanem i opowiedzieć mu o tym, co zaszło w „Sklepiku z marzeniami”... a przynajmniej o tym, co jeszcze pamiętała. Jedno pamiętała z pewnością i napelniało ją to wstydem pomieszanym z tępym strachem: pan Gaunt nienawidził człowieka, którego kochała, i pan Gaunt szykował coś... coś... bardzo złego. Alan powinien o tym wiedzieć. Nawet jeśli azka przestanie działać, Alan powinien wiedzieć.

*Czyżbyś naprawdę była tego zdania?*

Tak. Przynajmniej część Poiły Chalmers była tego zdania. Ta część, która tak straszliwie bała się Lelanda Gaunta, choć Poiły nie pamiętała, co pan Gaunt zrobił, by aż tak ją przerazić.

*Chcesz, żeby znów było jak przedtem, Polly? Chcesz znów mieć dłonie, w których rozerwał się pocisk?*

Nie, nie tego chciała... ale nie chciała również, by Alanowi stała się jakaś krzywda. Nie chciała też, by panu Gauntowi udało się to, co planuje i co (jak podejrzewała) może obrócić się przeciw miastu. Nie chciała także być częścią jego planów, nie chciała jechać do opuszczonego domu Camberów stojącego przy drodze miejskiej numer 3, by spłatać komuś figła, którego sensu nie pojmowała.

Te głośno niemal domagające się od niej uwagi, a całkiem sprzeczne pragnienia szarpały nią, gdy powoli, na piechotę, wracała ze „Sklepiku z marzeniami”. Jeśli pan Gaunt jakoś ją zahipnotyzował (wychodząc z jego sklepu, była tego całkowicie pewna, ale owa całkowita pewność topniała powoli), skutki tej hipnozy z czasem słabły (naprawdę w to wierzyła). Jeszcze nigdy w życiu aż do tego stopnia nie była tak bezradna. Czuła się, jakby wszystkie zapasy jakiegoś związku chemicznego, odpowiadającego za zdolność podejmowania decyzji, ukradziono jej wprost z mózgu.



W końcu jednak wróciła do domu, by zrobić to, co poradził jej pan Gaunt (choć właściwie to nie pamiętała już jego rady). Sprawdzi pocztę, a potem zadzwoni do Alana i opowie mu, czego pan Gaunt od niej żąda.

*Jeśli to zrobisz — włączył się wewnętrzny głos — azka ostatecznie przestanie działać.*

Oczywiście — ale problem dobra i zła nadal istnieje. Nadal istnieje. Zadzwoni do Alana, przeprosi, że tak go potraktowała, i powie mu, czego od niej chce pan Gaunt. Być może da mu nawet kopertę, którą na polecenie pana Gaunta miała włożyć do blaszanej puszki.

Być może.

Poczuła się nieco lepiej. Włożyła klucz w zamek drzwi swego domu — jak zawsze przy tej okazji, choć już niemal nieświadomie, radując się łatwością, z jaką wykonywała tę czynność — i przekręciła go. Poczta leżała, jak zwykle, na dywanie; tym razem było jej niewiele. Zazwyczaj po dniu wolnym zbierało się więcej śmiecia. Broszura telewizji kablowej z uśmiechniętym, nieprawdopodobnie przystojnym Tomem Cruise na pierwszej stronie, jakieś katalogi oraz...

Dostrzegła list i żołądek wywrócił się jej ze strachu. Adresowany do Patricii Chalmers z Castle Rock, nadawca Wydział Opieki nad Dziećmi w San Francisco, 666 Geary. Doskonale pamiętała ten adres, 666 Geary, była tam kilkakrotnie, a ściślej — trzykrotnie. Trzy rozmowy z urzędnikami Wydziału Opieki nad Dziećmi; dwaj z nich byli mężczyznami i patrzyli na nią jak na coś, co podczas spaceru przyklepia się do buta. Trzecią urzędniczką była bardzo tęga Murzynka, Murzynka wiedząca, jak słuchać i jak się śmiać; od niej Polly dostała wreszcie zgodę na udzielenie zapomogi dla samotnych matek. Ale zapamiętała 666 Geary, drugie piętro, doskonale zapamiętała. Pamiętała, jak słabe światło wpadające przez wielkie okna na końcu korytarza kładło się mlecznymi cieniami na linoleum, pamiętała dźwięczny stukot maszyn do pisania dobiegający z biur, których drzwi zawsze były otwarte, pamiętała grupy mężczyzn palących papierosy przy wypełnionej piaskiem skrzynce na samym krańcu holu, ale najlepiej pamiętała to, jak czuła się ubrana w swój jedyny wyjściowy strój: ciemny kombinezon ze sztucznego tworzywa, białą jedwabną bluzkę, „Mikroskopijne majteczki” L'Eggs, pantofle bez obcasów i to,

jaka była przerażona, bowiem mroczny korytarz drugiego piętra 666 Geary wydawał się miejscem pozbawionym serca i duszy. Podanie o pomoc dla jej dziecka tam właśnie w końcu przyjęto, ale przede wszystkim pamiętała oczywiście, jak je odrzucano — oczy mężczyzn wlepione w jej piersi (ubierali się lepiej niż Norville, kucharz z baru, ale poza tym chyba niczym się od niego nie różnili),

wargi mężczyzn, skrzywione z niesmakiem, gdy rozpatrywali przypadek Keltona Chalmersa, bękartą tej małej dziwki gotowej naciągnąć wydział na Bóg wie co; nie, nie wygląda na hipiskę, ale bez wątpienia jak tylko stąd wyjdzie, ściągnie jedwabną bluzkę i ten przyzwoity kombinezon, by nie wspomnieć już o biustonoszu, włoży parę dzinsów pod pępek i farbowany podkoszulek tak obcisły, żeby widać jej było cycki. Oczy mężczyzn mówiły to i nie tylko to, i choć odpowiedź przyszła pocztą, Poiły od razu wiedziała, że odmówią jej pomocy. Za pierwszym i drugim razem, wychodząc z budynku, płakała, a teraz wydawało się jej, że pamięta, jak każda z przelanych wówczas łez pali jej policzki niczym stężony kwas. Pamiętała ludzi, gapiących się na nią na ulicy. W ich oczach nie było troski, tylko ta szczególna, tępa ciekawość.

Nie chciała nigdy więcej myśleć o tamtych dniach o mrocznym korytarzu drugiego piętra budynku przy 666 Geary, lecz teraz wszystko do niej wróciło — tak jasno, że poczuła nawet zapach pasty do podłóg, widziała mleczne cienie światła rzucane na podłogę przez wielkie okna, słyszała dźwięczny stukot maszyn do pisania, przezerających się przez kolejny dzień we wnętrzościach biurokratycznej maszyny.

Czego od niej chcą? Boże jedyny, czego mogą od niej chcieć ludzie z 666 Geary teraz, po tylu, tylu latach?

Podrzyj ten list! — rozkazał jej wewnętrzny głos tak dobitnie, że omal go rzeczywiście nie podarła. W końcu jednak otworzyła kopertę. Znalazła w niej pojedynczą kartkę papieru, odbitkę ksero. I choć na kopercie znajdował się jej adres, ze zdumieniem stwierdziła, że list skierowany był do kogo innego — do szeryfa Alana Pangborna.

Spojrzała na dół kartki. List podpisał zamasyżycie niejaki John L. Perlmutter — nie było to nazwisko zupełnie jej nieznanne, ale z niczym szczególnym się nie kojarzyło. Pod nazwiskiem, drobnym drukiem, dopisano: do wiadomości Patricii Chalmers. Nie była to wprawdzie kopia, lecz odbitka, ale list ten skierowano jednak do niej, nie do Alana (w pierwszej chwili, wytrącona z równowagi, miała wrażenie, że doręczono go jej przez pomyłkę).

Poiły usiadła na drewnianej ławeczce w przedpokoju i zabrała się do czytania. Podczas lektury doświadczyła całego spektrum uczuć, przesuwających się po jej twarzy niczym formacje chmur po niebie w wietrzny dzień: zdziwienie, zrozumienie, wstyd, strach, złość i — wreszcie — niepohamowana wściekłość. Raz krzyknęła na całe gardło „Nie!”, a potem zmusiła się, by przeczytać list jeszcze raz, powoli.

„Wydział Opieki nad Dziećmi 666 Geary Street San Francisco, California 94112 23

września 1991

Szeryf Alan J. Pangborn Biuro Szeryfa Hrabstwa Castle 2 Ratusz Castle  
Rock, Maine 04055

Szanowny szeryfie Pangborn,

Jestem w posiadaniu Pańskiego listu z dn. 1 września br. Informuję niniejszym, że w poruszonych przez Pana kwestiach nie mogę udzielić Panu żadnej pomocy. Zasadą wydziału jest, że informacje o osobach ubiegających się o Pomoc dla Dzieci (PDD) podaje się tylko na podstawie prawomocnego wyroku sądowego. Kopię pańskiego listu przekazałem Martinowi D. Chungowi, naszemu radcy prawnemu, który poinstruował mnie, bym przekazał Panu, że została ona przesłana do Biura Prokuratora Generalnego Stanu Kalifornia w celu zaopiniowania, czy Pańska prośba może zostać uznana za naruszenie prawa ze względu na swą formę lub treść. Niezależnie od wyników ekspertyzy muszę stwierdzić, że Pańskie zainteresowanie życiem tej kobiety wydaje mi się nietaktowne i obraźliwe.

Sugeruję Panu, szeryfie Pangborn, by zostawił Pan tę sprawę w spokoju, nim popadnie Pan w kłopoty natury prawnej.

Z poważaniem John L. Perlmutter Zastępca dyrektora

do wiadomości: Patricia Chalmers".

Poily przeczytała ten straszny list po raz czwarty, po czym wstała z ławki i poszła do kuchni. Poruszała się płynnie, z wdziękiem, jakby raczej płynęła, niż szła. Oczy, jeszcze przed chwilą zasnutę mgłą oszołomienia i niepewności, rozbłysły uczuciem. Kiedy zdejmowała ze ściany słuchawkę, by wystukać numer Biura Szeryfa na nietypowo wielkiej klawiaturze, płonął w nich gniew tak silny, że prawie nie sposób było odróżnić go od nienawiści.

Kochanek węszył wokół jej przeszłości — sam ten pomysł wydawał się jednocześnie dziwny i nieprawdopodobny. W ciągu ostatnich czterech czy pięciu miesięcy wielokrotnie porównywała się do Alana i w rankingu tym nieodmiennie zajmowała drugie miejsce. Jego łyzy przeciw jej fałszywemu spokojowi kryjącemu wielki wstyd, ciężkie urazy, chowaną w sekrecie, wyzywającą dumę. Jego uczciwość przeciw kłamstwom, których tyle nagromadziła. Jakież wydawał się jej święty!

Jakież nieznośnie doskonały. Jakież fałszywe wydawały się przy tym jej argumenty, że przeszłość należy zostawić w spokoju.

A w tym czasie Alan nie przestał węszyć wokół niej, próbując poznać prawdę o losach Keltona Chalmersa.

— Ty sukinsynu! — szepnęła, a kiedy wreszcie rozległ się sygnał, kostki ściskających słuchawkę palców aż pobieleły z napięcia.

Lester Pratt prawie zawsze wychodził ze szkoły w towarzystwie przyjaciół; zwykle szli napić się czegoś do „HemphiH's Market”, a potem wędrowali do kogoś pośpiewać hymny, *zagrać* w coś albo zwyczajnie pogadać o niczym. Dziś jednak wyszedł po lekcjach sam. Szedł z plecakiem na plecach (pogardzał typowymi szkolnymi teczkami) i pochyloną głową. Gdyby Alan Pangborn widział go idącego tak przez trawnik w stronę parkingu, byłby uderzony podobieństwem Lestera do Briana Ruska.

Tego dnia trzykrotnie dzwonił do Sally, by dowiedzieć się, co w imię Pana Boga Zastępów wpędziło ją w taką wściekłość. Po raz ostatni spróbował na przerwie po piątej lekcji. Wiedział, że jest w tej swojej podstawówce, ale zamiast rozmowy z nią osiągnął tylko tyle, że zadzwoniła do niego Mona Lawless, nauczycielka matematyki w szóstej i siódmej klasie, a także przyjaciółka Sally.

- Nie może podejść do telefonu — stwierdziła Mona, przemieniając ciepłym niczym lodówka zapakowana lodami.
- Czemu nie? — spytał niemal z jękiem. — Daj spokój, Mona, powiedz mi, o co tu chodzi?
- Nie wiem. — Lodówka z lodami zmieniła się w pojemnik z ciekłym azotem. — Wiem tylko, że zeszłą noc spędziła z Irenę Lutjens, że wygląda, jakby nie spała, tylko płakała, i że nie chce z tobą rozmawiać. „Wszystko przez ciebie — napłynęło w po dmuchu przeraźliwego zimna — wiem, bo jesteś mężczyzną, a wszyscy mężczyźni to łobuzy i jesteś tylko kolejnym dowodem prawdziwości tego twierdzenia”.
- Nie mam najmniejszego pojęcia, o co tu chodzi! — krzyknął

Lester. — Mogłabyś przynajmniej przekazać jej to ode mnie?  
Powiedz jej, że nie mam pojęcia, dlaczego się na mnie wścieka.  
Powiedz jej, że to musi być jakieś nieporozumienie, bo ja nie  
wiem, o co chodzi!

Przez dłuższą chwilę Mona milczała, a kiedy się wreszcie odezwała, jej głos był odrobinę  
cieplejszy.

— Dobrze, Lester. Powtórzę.

Podniósł głowę, spodziewając się wbrew wszelkiej nadziei, że zobaczy Sally siedzącą w mustangu  
na fotelu pasażera, gotową pocałować go i wybaczyć, ale w samochodzie nie było nikogo. W  
pobliżu znajdował się tylko ten opóźniony w rozwoju Slopey Dodd, próbujący nauczyć się jazdy na  
desce.

Steve Edwards podszedł do niego od tyłu i klepnął go po ramieniu.

- Les, przyjacielu! — wykrzyknął. — Nie wpadłbyś do mnie  
na colę? Kilku kumpli zapowiedziało, że zajrzą. Musimy poroz  
mawiać o tych odrażających prześladowaniach, jakich doznajemy  
ze strony katolików. Dziś wieczorem mamy spotkanie w kościele,  
nie zapomnij; dobrze by było, gdybyśmy my, młodzi, wystąpili  
zjednoczeni, kiedy przyjdzie czas na przedyskutowanie, co mamy  
robić. Wspomniałem o tym Donowi Hemphillowi; powiedział:  
„Doskonale, w porządku, próbujcie”. — Popatrzył na Lestera  
jakby w oczekiwaniu, że zostanie pogłaskany po główce.

- Dziś po południu nie mogę, Steve. Może innego dnia.

- Les, nie rozumiesz? Możemy nie doczekać „innego dnia”.

Ta papieska banda już dawno przestała żartować.

- Dziś nie mogę — powtórzył Lester, a jego twarz mówiła  
wyraźnie: „Jeśli nie jesteś skończonym durniem, daj mi spokój”.

- Ale... dlaczego?

Bo muszę się dowiedzieć, dlaczego moja dziewczyna jest na mnie wściekła, do cholery! —  
pomyślał Lester. — I dowiem się, choćbym miał to z niej wytrząsnąć! Głośno zaś powiedział:

— Mam sporo do roboty, Steve. Ważne sprawy. Uwierz mi.

— Jeśli chodzi ci o Sally, to...

W oczach Lestera pojawił się niebezpieczny błysk.

— Ani słowa więcej, Steve!

Steve Edwards, młody, spokojny chłopak, którego sprawa „Ca-sino Nite” mocno wyprowadziła z równowagi, zachował jeszcze tyle, by nie przekroczyć tak jasno zarysowanej granicy. Nie miał jednak zamiaru kapitulować bez walki. Bez Lestera Pratta spotkanie Młodzieżowego Komitetu Spraw Bieżących byłoby kpina, niezależnie od tego, ilu członków by przyszło. Starając się, by zabrzmiało to jak najrozsądniej, spytał:

- Wiesz o tym anonimowym liście, który dostał Bili?
- Oczywiście. — Wielebny Rosę znalazł go na podłodze korytarza plebanii na parterze: słynny list do „Baptystowskich dziwek”. Wielebny pokazał go zgromadzonym w pośpiechu mężom — członkom Komitetu Młodzieżowego, ponieważ, jak stwierdził, nie sposób uwierzyć w tak wielkie zło, nie zobaczywszy go na własne oczy. Trudno także w pełni pojąć głębię... uh... grzechu, w jaką skłonni są wpaść katolicy, by zwalczyć słuszną... uh... opozycję wobec swych szatańskich planów hazardu; być może, widząc owoc owego szatańskiego nasienia, „czyści młodzieńcy” rozumieją, czemu muszą się przeciwstawić.
- Czyż bowiem nie mówimy: „ostrzeżony... uh... uzbrojony”? — zakończył dostojnie, a potem puścił wśród zebranych list w plastikowej koszulce, jakby samo jego dotknięcie groziło jakąś straszliwą chorobą.

Po przeczytaniu listu Lester miał ochotę wywichnąć parę katolickich szczęk, teraz jednak cała ta sprawa wydawała mu się nieważna i nieco dziecinna. Kogo obchodzi, że katolicy pograją sobie na żetony, by potem rozdać wśród graczy kilka nowych opon albo naczyń kuchennych? Zmuszony do wyboru między katolikami i Sally Ratcliffe nie miał wątpliwości, co wybierze.

— ...zebranie mające zdecydować, jaki będzie nasz następny krok! — mówił właśnie Steve, który znów nabral rozędu. — Musimy przejąć inicjatywę, Les, naprawdę musimy. Wielebny Bili obawia się, że ci tak zwani „Zatroskani Katolicy Mężczyźni”

skończyli z dyskusjami. *Teraz mogą...*

— Słuchaj, Steve, rób, co chcesz, ale zostaw mnie w spokoju!

Steve umilkł i tylko się na niego gapił, najwyraźniej zdumiony, równie wyraźnie czekając na to, że Lester, zazwyczaj niezwykle zrównoważony, oprzytomnieje i przeprosi go. Szybko zorientował się jednak, że o przeprosinach nie ma mowy, więc odwrócił się, by pójść do szkoły... i *znaleźć* się tak daleko od przyjaciela, jak to tylko możliwe.

- Rany, ale humorek — powiedział jeszcze.
- Właśnie, humorek! — rzucił za nim drwiąco Lester Pratt,

zaciśnięte wielkie dłonie w pięści i oparł je na biodrach.

Lecz Lester był nie tylko zły; cierpiał, cholera, cierpiał cały, a najbardziej chyba cierpiał jego umysł, więc oczywiście chciał komuś dołożyć. Nie biednemu Edwardsowi; sam fakt, że tak wkurzył się na Steve'a, świadczył, że włączyło się w nim coś, co zaczęło wysyłać prądy do różnych mentalnych urządzeń, zazwyczaj ciemnych i martwych. Po raz pierwszy od chwili, gdy zakochał się w Sally, Lester — zazwyczaj wyjątkowo łagodny — poczuł, że wścieka się i na nią. Jakie miała prawo powiedzieć mu, żeby szedł do diabła? Jakie miała prawo nazwać go sukinsynem?

Rozzłościła się na coś, prawda? No dobra, więc jest zła. Może nawet dał jej jakiś powód, żeby się złościła. Nie dał jej najmniejszego powodu, ale powiedzmy (dla dobra dyskusji), że jednak dał. Dobra, ale jakie Sally ma prawo tak na niego napaść, nie dając mu nawet szansy wytłumaczenia się? Jakie ma prawo kryć się u Irenę Lutjens, tak że nie może nawet z nią porozmawiać, jakie ma prawo posługiwać się Moną Lawless jako pośredniczką?

Znajdę ją — obiecał sobie Lester — i dowiem się, o co jej chodzi. Kiedy się dowiem, pogodzimy się. A kiedy się pogodzimy, powiem do niej to samo co pierwszej klasie podczas pierwszego treningu koszykówki: bez wzajemnego zaufania nie ma drużyny.

Zdjął plecak, rzucił go na tylne siedzenie i wsiadł do samochodu. Nagle zobaczył, że coś wystaje spod siedzenia pasażera. Coś czarnego. Wyglądało jak portfel.

Lester wyciągnął go natychmiast, w pierwszej chwili pewny, że należy do Sally. Jeśli zgubiła go podczas przedłużonego weekendu, to teraz musi już bardzo jej go brakować. Pewnie się niepokoi. Jeśli znalezienie portfela nastawi ją do niego odrobinę przychylniej, reszta rozmowy będzie pewnie łatwiejsza.

Ale to nie był jej portfel; zorientował się natychmiast, gdy tylko wziął go do ręki. Ten był czarny, skórzany, Sally zaś używała o wiele mniejszego portfelika z okutego niebieskiego zamszu.

Zaciekawiony, zajął do środka. Najpierw zobaczył legitymację zastępcy szeryfa wypisaną na nazwisko John LaPointe i poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu potężny cios w splot słoneczny.

Na litość boską, co John LaPointe robił w jego samochodzie?

*Sally używała go przez cały weekend* — szepnął mu w głowie

cichy głos. — *Jak sądzisz, co John LaPointe robił w twoim samochodzie?*

— Nie, nie — powiedział głośno. — No nie, nic z tego. Nie ma mowy.

Ale przecież spotykała się z Johnem. Chodzili ze sobą przeszło rok, mimo rosnącego napięcia między baptystami i katolikami. Zerwali przed wybuchem tej burzy wokół „Casino Nite”, lecz...

Lester wysiadł z samochodu. Przejrzał dokumenty umieszczone za plastikowymi szybami. Uczucie nierzeczywistości narastało w nim w szybkim tempie. Prawo jazdy: na zdjęciu John LaPointe miał małe wąsiki, które nosił, kiedy chodził z Sally. Lester wiedział, że niektórzy mężczyźni nazywają takie wąsiki „piczko-drapki”. Karta wędkarska. Zdjęcie ojca i matki. Licencja myśliwska. A tu... tu...

Lester wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w fotografię. Fotografię przedstawiającą Johna i Sally. Chłopak i jego dziewczyna. Stali przed czymś, co wyglądało jak jarmarczna strzelnica. Patrzyli sobie w oczy i śmiali się. Sally trzymała w ręku wielkiego pluszowego misia. LaPointe pewnie właśnie go dla niej wygrał.

Lester gapił się na zdjęcie. Na czoło wystąpiła mu pulsująca rytmicznie żyła.

Jak go nazwała? Kłamliwym sukinsynem?

— I kto to mówi — szepnął.

Czuł narastającą wściekłość. Pojawiła się błyskawicznie. Kiedy ktoś dotknął jego ramienia, obrócił się jak kot, upuszczając portfel, i zwinął dłonie w pięści. Niemal uderzył tego biednego jakałę Slopeya Dodda wystarczająco mocno, by po jego ciosie biedny Slopey wzleciał wprost do nieba.

- Ppp...anie ttt...rrr...enerze? — Slopey patrzył na niego wielkimi oczami, ale nie sprawiał wrażenia przerażonego, był raczej zaciekawiony. — Czczczcz...y ccc...oś się sttt...aaa...o?

- Nic się nie stało — odparł Lester schrypniętym głosem. — Do domu, Slopey. Nie masz nic do roboty na parkingu, i to z deskorolką.

Pochylił się, by podnieść portfel, ale Slopey miał przeszło pół metra bliżej do ziemi, więc go



ubiegł. Chłopiec z zaciekawieniem spojrział na fotografię Johna LaPointe, nim oddał portfel nauczycielowi.

— Jasne! — stwierdził. — Ttt...o t...en faaa...cet.

Wskoczył na deskę i już miał odjechać, ale Lester zdążył złapać go za podkoszulek. Deska wyjechała spod chłopca, podskoczyła na dziurze w asfalcie i wywróciła się. Koszulka AC/DC („Tym, dla których życiem jest rock and roli, pozdrowienia” — głosił nadrukowany na niej napis) pękła pod szyją, ale Slopeyowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, najwyraźniej nie zaskoczyło i najwyraźniej nie był także przestraszony. Lester niczego nie zauważył. Lester nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Należał do tych wielkich i spokojnych mężczyzn, których spokój ukrywa wybuchowy temperament — prawdziwe potencjalne tornado. Niektórzy z nich przez całe życie nic nie wiedzą o owym oku cyklonu. Lester jednak odkrył jego istnienie (czy raczej ono odkryło jego istnienie i opanowało go całkowicie).

Trzymając koszulkę Slopeya w garści, która wielkością dorównywała prawie bochenkowi chleba, pochylił spoconą twarz ku twarzy chłopca. Żyła pośrodku czoła pulsowała mu z oszalamiającą szybkością.

- O co ci chodziło, kiedy mówiłeś „to ten facet”?
- Ttt...o ttt...en sam fffaaa...cet, który spooo...tkał się z ppppa-aa...nną Ratcliffe www... ppp...iąą...tek ppp...ooo... szkkk...ole.
- Spotkał się z nią po szkole? — powtórzył ledwo słyszalnie Lester.
- Tak. Ppp...ojehaaa...li ppp...aaa...na sss...aaa...mochodem, ppp...aaa...nie ttt...renerze. Ppp...rowadziiii...ł ttt...en ggg...ooo...ś.

Prowadził? John LaPointe? John LaPointe prowadził mój samochód? Z Sally?

- Nnn...ooo... ttt...en gooo...ś — Slopey wskazał palcem zdjęcie w prawie jazdy. — Aaa...le nim odjechaaa...li, to ją ppp...ocalooo...wał.
- Naprawdę? — twarz Lestera znieruchomiała. — Pocałował?
- Nooo... ppp...ewnie. — Na twarzy Slopeya pojawił się szeroki, raczej dwuznaczny uśmiech.

Miękkim i jedwabistym głosem, tak niepodobnym do zwykłego, szorstkiego i męskiego, Lester

zadał kolejne pytanie.

— A ona? Też go pocałowała? Jak sądzisz, Slopey?

Slopey radośnie wznosił oczy do nieba.

- Nnn...ooo ppp...ewnie! Aż się w nnn...ieeee...go wessaaa...ła, ppp...anie treneeee...rze.

- Wessała — powtórzył Lester, jakby chciał wypróbować ten swój nowy, miękki i jedwabisty głos.

- Aha.

- Aż się w niego wessała — zdziwił się Lester, nadal wypróbując swój nowy, miękki i jedwabisty głos.

- Nnn...o ppp...ewnie.

Lester puścił Slopester (tak nazywali chłopca jego nieliczni przyjaciele) i wyprostował się. Żyła na czole wzdymała się i kurczyła. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Był to bardzo nieprzyjemny uśmiech, ukazujący światu znacznie więcej dużych, białych, równych zębów niż ma ich normalny człowiek. Niebieskie oczy zwężyły mu się w cienkie trójkąciki. Jezyk sterczał dziko.

- Ppp...aaa...nie ttt...renerze? Ppp...000...wiedziałem coś zzz...łego?

- Nie — odparł Lester Pratt swym nowym, miękkim i jedwabistym głosem, nie przestając się uśmiechać. Wyobrażał sobie, jak zaciska dłonie na szyi tego kłamliwego papistycznego jar marczonego strzelca, tego złodziejskiego gównianego żabojada, Johna LaPointe. Żabojada, który najwyraźniej nauczył dziewczynę, którą kochał, dziewczynę, która dla niego zaledwie rozchyłała usta, jak „wessać się w twarz”.

Najpierw musi załatwić sprawę pana Johna LaPointe. Żaden problem. Kiedy ją już załatwi, będzie musiał porozmawiać z Sally. Albo coś.

— Nie stało się nic, czego nie mógłbym naprawić — powiedział swym nowym, miękkim i jedwabistym głosem, wślizgując się za kierownicę mustanga; samochód wyraźnie pochylił się w lewo pod ciężarem stu dziesięciu kilogramów mięśni sadowiących się

w kubelkowym siedzeniu. Zapalił, wcisnął gaz przy wtórze strzałów z rury wydechowej przypominających ryk zamkniętego w klatce tygrysa i z wyciem wystrzelił do przodu. Slopester, kaszląc teatralnie i machając dłonią w chmurze dymu, podszedł do przeciwnej deski.

Kołnierzyk jego koszulki został całkowicie oderwany; spoczywał na wystających obojczykach chłopca niczym dziwny czarny naszyjnik. Mimo to Slopey uśmiechał się szeroko. Zrobił dokładnie to, o co prosił go pan Gaunt, a w dodatku wszystko poszło jak z płatka. Trener był wściekły jak wściekły byk.

Mógł teraz pojechać do domu, pooglądać talerzyk. Slopey wskoczył na deskę i odjechał.

Sheila musiała mocno popracować, by połączyć Alana z Henrym Paytonem — w pewnym momencie była nawet pewna, że zgubiła Henry'ego, który sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego,

i będzie znów musiała go wywoływać — a kiedy wreszcie dokonała tego technicznego wyczynu, zapaliło się światełko prywatnej linii szeryfa. Odłożyła papierosa, którego właśnie miała zapalić, i podniosła słuchawkę.

- Biuro Szeryfa hrabstwa Castle, prywatna linia szeryfa Pangborna, słucham?
- Cześć. Chciałabym pogadać z Alanem.
- Poily? — Sheila zmarszczyła brwi. Nie miała wątpliwości, że to Poily, ale nigdy nie słyszała takiego jej głosu: chłodnego, ostrego niczym głos sekretarki właściciela naprawdę wielkiej firmy.
- Tak, to ja. Chcę rozmawiać z Alanem.
- Jezu, Poily, nie możesz. Właśnie połączyłam Henry'ego Paytona i...
- Poczekam.

Sheila poczuła się nieco niepewnie.

- Taaa... no... chętnie, ale to nieco bardziej skomplikowane.

Rozumiesz, Alan jest... no... w terenie. Henry'ego połączyłam przez radio.

- Jeśli Henry'ego mogłaś połączyć przez radio, to mnie też możesz — stwierdziła zimno Poiły. — Prawda?

- Tak, oczywiście, ale nie wiem jak długo...

- Mogą sobie gadać do skończenia świata. Poczekam, a kiedy skończą, daj mi Alana. Nie prosiłabym cię o to, gdybym nie uważała sprawy za ważną, prawda?

Oczywiście, Sheila nie miała wątpliwości, że to ważna sprawa. Nie miała także wątpliwości, że Poiły ją przestraszyła.

— Poiły, jesteś tam?

Musiała czekać przez dłuższą chwilę, nim — zamiast odpowiedzi — usłyszała dziwne pytanie.

— Sheila, pisałaś dla szeryfa Pangborna jakiś list adresowany do Wydziału Opieki nad Dziećmi w San Francisco? Albo może widziałaś, jak wysyłał list?

W głowie Sheili zaczęły migać czerwone, ostrzegawcze światełka. Ubóstwiała niemal Alana Pangborna, a Poiły próbowała go o coś oskarżyć. Nie wiedziała o co, ale bezbłędnie rozpoznała ton oskarżenia w jej głosie. Bezbłędnie.

- Tego rodzaju informacji nie wolno mi udzielać — powiedziała i tym razem temperatura jej głosu opadła o jakieś dwadzieścia stopni. — Chyba lepiej, żebyś zadała to pytanie szeryfowi, Poiły.

- Tak, chyba masz rację. Poczekam. Połącz mnie z szeryfem, kiedy tylko to będzie możliwe, dobrze?

- ^Słuchaj, co się stało? Gniewasz się na Alana? Bo jeśli tak, musisz wiedzieć, że nigdy nie zrobił niczego, co byłoby...

- Ja już nic nie wiem — przerwała jej Poiły. — Jeśli zapytałam cię o coś, o co nie powinnam cię pytać, przepraszam. A teraz, połączysz mnie z nim, kiedy tylko będziesz miała okazję, czy mam wyjść i szukać go na ulicach?

- Oczywiście, że cię połączę — obiecała Sheila. Serce ciążyło

jej, jakby przed chwilą stało się coś strasznego. Jak wiele kobiet z Castle Rock, wierzyła, że Poily i Alan bardzo się kochają, i jak wiele kobiet z Castle Rock, widziała w nich parę bohaterów ponurej bajki, w której wszystko jednak dobrze się kończy... miłość zwycięża. Poily sprawiała wrażenie nie tylko rozgniewanej, lecz również rozżalanej, cierpiącej... i nie tylko. Miała wrażenie, że w jej głosie słyszy także nienawiść.

- Zaczekaj, Poily. Uprzedzam, to może potrwać.
- Rozumiem, dobrze. Dziękuję ci.

— Nie ma za co. — Sheila odłożyła słuchawkę i zapaliła.

Zaciągnęła się głęboko, ze zmarszczonym czołem patrzyła na *żarzący* się jasno czubek papierosa.

- Alan? Alan, jesteś tam? — Głos Henry'ego przypominał głos radiowego disc jockeya wrzeszczącego z głową w blaszanym wiadrze.

- Jestem, jestem, Henry.
- Pół godziny temu dzwoniło do mnie FBI — powiedział Henry z głębin wiadra. — Mieliśmy cholerne szczęście z tymi paluchami. Serce Alana gwałtownie przyśpieszyło.

- Tymi na kłamce drzwi w domu Nettie? Tymi częściowymi?
- A tak. Mamy wstępną identyfikację człowieka z twojego miasteczka. Notowany, drobna kradzież, tysiąc dziewięćset siedem dziesiąt siedem. Mamy także jego odciski z wojska.

- Bez żartów, Henry. Kto?
- Ten gość nazywa się Hugh Albert Priest.
- Hugh Priest! — Alan aż krzyknął. Nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby Henry powiedział na przykład J. Danforth Quayle. Był przekonany, że obaj jednakowo dobrze znali Nettie. — Czemu Hugh miałby zabić psa Nettie? Albo powybijać okna w domu Jerzyków?

- Nie znam tego obywatela, więc trudno mi powiedzieć.

Dlaczego go nie zgarniesz i nie zapytasz? A skoro przy tym jesteśmy, dlaczego nie zgarniesz go natychmiast? Nim się zdenerwuje i zdecyduje, że na zdrowie wyszłyby mu odwiedziny u krewnych w Środku Niczego, Dakota Północna.

- Świetny pomysł. Później pogadamy, dobra?
- Tylko nie zapominaj składać mi raportów, przyjacielu. Po

dobno to moja sprawa.

- Jasne. Będziesz wiedział wszystko.

Głośny metalowy trzask — brzęk! — oznaczał przerwanie połączenia. Alan słyszał już tylko szum linii telefonicznej. Przez chwilę zastanawiał się, co Nynex i AT & T powiedzieliby na gierki uprawiane z nim przez szeryfa z Castle Rock, a potem pochylił się, by odwieść mikrofon. W tym momencie szum zniknął, zastąpiony dziwnie niepewnym głosem Sheili Brigham.

— Szeryfie, Poily Chalmers czeka na rozmowę. Prosiła, żeby ją z panem połączyć, jak tylko będzie to możliwe. Odbiór.

Alan zamrugał kilkakrotnie ze zdziwienia.

• Poily? — I nagle poczuł strach, taki strach, jaki każdy z nas czuje, gdy telefon zadzwoni o trzeciej nad ranem. Poily nigdy tak nie robiła; gdyby go spytano, Alan z pełnym przekonaniem powiedziałby, że nigdy tak nie postąpi. Sprzeciwiało się to jej pojęciu właściwego zachowania, a dla Poily właściwe zachowanie było rzeczą wielce istotną. — O co chodzi, Sheila? Powiedziała? Odbiór.

- Nie, szeryfie. Odbiór.

Nie, oczywiście, że nie powiedziała. Nie musiał pytać, żeby wiedzieć. Poily nie spowiadała się wszystkim wokół ze swych kłopotów. Sam fakt, że zadał to pytanie, świadczył o tym, jak bardzo był zaskoczony.

- Szeryfie?
- Połącz ją. Odbiór.

— Łączę.

Brzdęk.

Alan stał w pełnym blasku słońca. Serce biło mu zbyt mocno i szybko. To też wcale mu się nie podobało.

Brzęk rozległ się po raz drugi, a potem głos Sheili, cichy, niemal niesłyszalny, oznajmił:

— Mów, Poily, powinien cię słyszeć.

— Alan? — Głos Poily był tak głośny, że Alan aż się odsunął.

Był to głos giganta... gniewnego giganta. Wystarczyło jedno słowo, by rozpoznał ten gniew.

— Słucham, Poily. Co się stało?

Odpowiedziała mu cisza. Gdzieś, głęboko w tej ciszy, ukryte były inne głosy ludzi. Zdążył nawet pomyśleć, że połączenie zostało przerwane... i zdążył też poczuć ulgę.

— Słuchaj, zdaję sobie sprawę z tego, że to otwarta linia — odezwała się Poily — ale ty będziesz wiedział, o czym ja mówię. Jak mogłeś? Jak mogłeś!?

W ich dialogu było coś znajomego. Coś.

- Poily, nie rozumiem o czym...
- Och, jestem pewna, że rozumiesz. — Jej głos chrypl, stawał się coraz mniej wyraźny; Alan zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet Poily jeszcze nie płacze, to rozpłacze się w każdej chwili. — Bardzo ciężko jest zdać sobie sprawę z tego, że nie znało się kogoś tak dobrze, jak to się człowiekowi wydawało.

Coś znajomego, tak — nagle zdał sobie sprawę co. Rozmowa z Poily przypominała mu koszmary, jakie miewał po śmierci Annie i Todda, koszmary, w których stał na poboczu drogi, widział, jak mijają go w scoucie. Jechali, żeby umrzeć, a on o tym wiedział, lecz nic nie mógł zrobić. Próbował machać rękami, ale były za ciężkie, próbował krzyknąć, ale nie wiedział, jak otworzyć usta. Mijali go, jakby był niewidzialny i tym razem było bardzo podobnie — dla Poily, w jakiś dziwny sposób, również stał się niewidzialny.

- Annie... — z przerażeniem zdał sobie sprawę, co powie dział. — Poily — poprawił się — nie wiem, o czym mówisz, ale...
- Wiesz! — krzyknęła nagle Poily. — Dlaczego mówisz, że nie wiesz, kiedy wiesz? Dlaczego nie mogłeś *zaczekać*, aż sama

ci o wszystkim opowiem? A jeśli już nie mogłeś się doczekać, dlaczego nie zapytałeś? Dlaczego próbowałeś dowiedzieć się wszystkiego za moimi plecami? Dlaczego zadawałeś pytania za moimi plecami!?

Alan zamknął oczy. Próbował opanować jakiś chaos wirujących mu w głowie myśli, ale nic z tego nie wyszło. Oczami wyobraźni dostrzegł za to ohydny obraz: Mikę Horton z „Journal-Register” z Norway, pochylony nad radiem, stenografuje w notatniku ich rozmowę.

- Nie wiem, co twoim zdaniem zrobiłem, ale z pewnością nie to, o co mnie podejrzewasz. Spotkajmy się, porozmawiamy...

- Nie. Nie sądzę, bym była w stanie się z tobą spotkać.

- Tak. Spotkajmy się. Musimy się spotkać. Przyjadę... — Nagle usłyszał głos Henry'ego Paytona: „Dlaczego nie zgarniesz go natychmiast, nim zdecyduje, że najzdrowiej będzie odwiedzić krewnych w Środku Niczego, Dakota Północna?”.

- Przyjedziesz? Gdzie przyjedziesz?

- Właśnie coś sobie przypomniałem •—• powiedział powoli.

- Och, naprawdę? Może list z pierwszego września? List do kogoś w San Francisco?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Poiły. Nie mogę teraz przyjechać, coś się zdarzyło w tej... drugiej... sprawie. Później...

Poiły, szlochając głośno, odezwała się. Jej słowa powinny być niezrozumiałe, ale jakimś cudem nie były.

- Czy ty nic nie rozumiesz, Alan? Nie będzie żadnego „później”. Już nie. Ty...

- Poiły, proszę...

- Nie! Masz mnie zostawić w spokoju! Masz mnie zostawić w spokoju, ty cholerny, ty wścibski sukinsynu!

Brzęk. I nagle Alan słuchał już tylko szumu wolnej linii telefonicznej. Rozejrzał się po skrzyżowaniu jak człowiek, który nie ma pojęcia, gdzie się znajduje; nie wie również, jakim cudem trafił tu, gdzie jest. W oczach miał zdumienie, tak często pojawiające się u bokserów na ułamek sekundy przed tym, nim ugną się pod nimi kolana, nim padną na deski i pogrążą się w



długim, zimowym śnie.

Jak to się mogło zdarzyć? Jak to się mogło zdarzyć tak błyskawicznie?

Nie miał zielonego pojęcia. W ciągu ostatniego tygodnia całe miasto dostało jakby lekkiego hyzia... a teraz padło i na Poiły.

Brzęk.

— Szeryfie? — powiedziała Sheila. Z jej niepewnego, ściśzonego głosu łatwo było wywnioskować, że słyszała co najmniej końcówkę jego rozmowy z Poiły. — Alan, jesteś tam? Odpowiedz. Alan?

Poczuł zdumiewająco gwałtowną pokusę, by wyrwać radio, wyrzucić je w rosnące na poboczu krzaki i odjechać. Gdziekolwiek. Przestać myśleć o tym, co się stało, i odjechać w słońce. Jednak całą siłą woli opanował się i zmusił, by myśleć o Hughu Prieście. Nie miał wyboru; powoli zaczynało wyglądać na to, że Hugh mógł spowodować śmierć dwóch kobiet. Musi się zająć Hughiem, nie Poiły, oczywiście... decyzja ta przyniosła mu wielką ulgę.

Wcisnął guzik nadawania.

— Jestem, Sheila, odbiór.

- Alan, chyba straciłam połączenie z Poiły. Nie chciałam...

no wiesz... słuchać, ale...

- W porządku, Sheila, to już skończone (kryło się coś straszego w tych słowach, ale teraz nie chciał o tym myśleć). — Kto jest z tobą? Odbiór.

- John zaraz tu będzie. — Sheila najwyraźniej z ulgą przyjęła zmianę tematu. — Ciut jest na patrolu, sądząc z jego ostatniego meldunku gdzieś na Castle View.

- Doskonale. — Przez moment widział twarz Poiły, skrzywioną w jakże niezwykłym u niej wyrazie gniewu. Odpędził od siebie ten obraz, ponownie skoncentrował się na Prieście, ale przez jedną straszną chwilę nie widział nic, tylko przeraźliwą ciemność.

- Alan? Jesteś tam? Odbiór.

- Jestem. Oczywiście, jestem. Wywołaj Cluta i każ mu podjechać pod dom Hugh'a Priesta przy końcu Castle Hill Road. Będzie wiedział, gdzie to jest. Hugh pewnie jest w pracy, ale jeśli przypadkiem wziął sobie dzień wolny, Ciut ma go zatrzymać celem przesłuchania. Odbiór.

- Zrozumiałam, Alan.

- Powiedz mu, że ma postępować z całą ostrożnością. Powiedz, że Hugh zostanie przesłuchany w związku ze śmiercią Nettie Cobb i Wilmy Jerzyck. Reszty powinien domyślić się sam. Odbiór.

- Tak! — Sheila wydawała się równie zaniepokojona, co podniecona. — Rozumiem, szeryfie.

- Ja jadę do bazy samochodowej. Spodziewam się zastać tam Hugh'a. Koniec.

Odwiesił mikrofon (miał wrażenie, jakby trzymał go w ręku przez co najmniej cztery lata), myśląc: gdybyś powiedział Poiły to, co przed chwilą podałeś przez radio Sheili, sytuacja mogłaby być nieco mniej wstrętna.

A może i nie? Jak może wypowiadać się tak autorytatywnie, skoro nie ma nawet pojęcia, co to za sytuacja? Poiły oskarżyła go o węszenie... o wścibstwo. Oskarżenie dość nieokreślone, prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Poza tym poinformować centralę, że wkrótce ma dojść do zatrzymania podejrzanego, to jego praca. Ludzie, którym zlecał to zadanie, musieli wiedzieć, że człowiek, którego mają zatrzymać, może być niebezpieczny. Przekazać tę informację przyjaciółce, otwartą linią radiowo-telefoniczną... no, to zupełnie inna sprawa. Postąpił słusznie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Nie ulżyło to jednak jego obolałemu sercu; jeszcze raz zmusił się, by myśleć wyłącznie o Hughu Priestcie: o tym, jak go zatrzymać, o tym, żeby sprowadzić mu jakiegoś cholernego prawnika, jeśli takowego zażąda, o tym, żeby spytać go, czemu, do cholery, wbił korkociąg w serce psiaka Nettie, Śmiałka.

Na chwilę pomogło, ale kiedy włączył silnik samochodu i ruszał, przed oczami miał nadal twarz Poiły, nie Hugh'a.

## Rozdział 17

Dotknął rysy, która była dziełem Hugha, zmiął karteczkę i odrzucił ją precz. W „Tygrysie” zastanie Billy’ego Tuppera, zamiatającego podłogę i spuszczającego pianę z beczek piwa. Pójdzie tam, weźmie obrzyna, pożyczycy pontiaca Billa i uda się na odstrzał.

Kopnął leżącą na ziemi karteczkę, aż poleciała w trawę.

— Znowu zaczęłeś brać te swoje pigułki na głupotę, Hugh, ale po dzisiejszym dniu nie zażyjesz już ani jednej. Masz to jak w banku. — Jeszcze raz przeciągnął palcem po rysie. W życiu nie był tak wściekły. — Masz to jak w jakimś kurewskim banku!

Ruszył drogą w stronę „Potulnego Tygrysa”. Szedł szybko.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Alan jechał przez miasto, by aresztować Hugha Priesta, Henry Beaufort stał przed domem, przyglądając się swemu thunderbirdowi. W dłoni trzymał kartkę, którą znalazł za wycieraczką. To, że łobuz zniszczył mu opony, bolało, ale opony można wymienić. Dopiero rysa po prawej stronie, ciągnąca się od bagażnika do maski, naprawdę zapiekła go do żywego.

Jeszcze raz zerknął na karteczkę. Przeczytał głośno zapisane na niej słowa: „Nie wyrzucisz mnie więcej z baru i nie zatrzymasz moich kluczyków, ty cholerny żabojadzie!”.

Kogo ostatnio wyrzucił z baru? Och, mnóstwo ludzi. Wieczór, podczas którego nie musiał nikogo wyrzucać, należał do rzadkości. Ale wyrzucić i zatrzymać przy tym kluczyki, powiesić je na desce za barem? Ostatnio zdarzył mu się tylko jeden taki wypadek.

Tylko jeden.

— Ty cholerny sukinsynu — powiedział spokojnym, pełnym namysłu głosem właściciel i barman „Potulnego Tygrysa”. — Ty dumny, jebany, pierdolony sukinsynu!

Pomyślał, że mógłby wrócić do domu i uzbroić się w strzelbę na jelenie, ale się rozmyślił. Od „Tygrysa” dzielił go maleńki kawałek drogi, a tam, w pudle pod barem, trzymał coś wyjątkowego: dubeltówkę Winchester z obciętymi lufami i kolbą. Trzymał ją tam od czasu, gdy — przed ładnych paru laty — ten dupek Ace Merrill próbował go obrabować. Tego rodzaju broń była bez żadnych wątpliwości nielegalna, ale Henry nigdy jej jeszcze nie użył.

Być może dzisiejszy dzień okaże się przełomowy w historii dubeltówki.

Dewastując radośnie sypialnię George'a T. Nelsona, Frank Jewett znalazł pod matercem jego podwójnego łóżka pół uncji kokainy. Spłukał ją w toalecie, a kiedy patrzył na spływającą wirem wodę, poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Rozpiął pasek, lecz zamiast siąść na tronie wrócił do zrujnowanego pokoju. Miał wrażenie, że oszalał, ale w zasadzie nic go to już nie obchodziło. Szaleńcy nie muszą myśleć o przyszłości. Dla szaleńców przyszłość jest najmniej ważną rzeczą pod słońcem.

Wśród bardzo niewielu całych przedmiotów było wiszące na ścianie zdjęcie, przedstawiające leciwą damę, oprawione w kosztowną złotą ramę, co podpowiedziało Frankowi, że dama owa musi być świętą mamą George'a. Skurcz powtórzył się. Frank zdjął zdjęcie ze ściany, położył je na podłodze, ściągnął spodnie, przykucnął, celując jak najdokładniej, i zrobił to, co przychodzi człowiekowi zupełnie naturalnie.

Był to najwspanialszy moment bardzo nieudanego do tej pory dnia.

Lenny Partridge, najstarszy mieszkaniec Castle Rock oraz posiadacz laski bostońskiego „Post”, która była niegdyś własnością ciotki Ewie Chalmers, jeździł także najstarszym w miasteczku samochodem: chevroletem „Bel-Air” z 1966 roku, niegdyś białym, dziś uniwersalnie szarawym — barwę tę nazwać można byłoby chyba „Szarym Kurzem Szos”.

Chevroletowi wiele brakowało do doskonałości. Tylną szybę od lat zastępowała powiewająca płachta grubego plastyku. Podłoga przerdzewiała do tego stopnia, że widać było przez nią drogę. Rura wydechowa wisiała jak ramię kogoś, kto dawno temu zmarł w kraju o bardzo suchym klimacie. Pierścienie tłokowe były już także całkiem zużyte. Za chevroletem zawsze unosiła się chmura smrodliwego błękitnego dymu; pola, które mijał w swej codziennej drodze do miasta, wyglądały tak, jakby jakiś lotnik-samobójca spryskał je śmiercionośnym herbicydem. Chevy pożerał do dwóch litrów oleju dziennie, lecz ta jego żarłoczność wcale Lenny'ego nie martwiła. U Sonny'ego Jacketta kupował regenerowany „Diamond” w tanich, pięciogalonowych puszkach, skrupulatnie pilnując przy tym, by Sonny zawsze odliczył mu dziesięć procent — zniżkę dla seniora. A ponieważ od dziesięciu lat maksymalna prędkość, z jaką prowadził, nie przekraczała pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, samochód miał wszelkie szansę, by przeżyć samego Lenny'ego.

Gdy po jednej stronie Blaszkaka, jakieś osiem kilometrów stąd, Henry Beaufort ruszał dziarsko w stronę „Potulnego Tygrysa”, Lenny wjeżdżał na Castle Hill swym przerdzewiałym gruchotem.

Ze szczytu wzgórza dostrzegł mężczyznę stojącego pośrodku drogi. Mężczyzna wznosił ramiona w dostojnym geście „Stop!”. Miał na sobie jedynie spodnie koloru khaki z rozpiętym rozporkiem i, na szyi, kawałek przeżartego przez mole futra.

Serce Lenny'ego wykonało wysokie, powolne salto w jego wątlej piersi, obie nogi zaś, przystrojone rozpadającymi się butami z cholewami, nacisnęły pedał hamulca, który wpadł niemal w podłogę. Hamulce zawyły niczym stado upiórów. Samochód zatrzymał się niespełna metr od stojącego pośrodku drogi mężczyzny, w którym Lenny dopiero teraz rozpoznał Hugh'a Priesta.

Hugh ani drgnął. Kiedy chevy wreszcie stanął, szybkim krokiem podszedł do drzwi od strony kierowcy. Lenny siedział skulony, przyciskając dłonie do termicznej koszulki na wysokości piersi, próbując złapać oddech i zastanawiając się, czy ten ból to już śmiertelny zawał.

— Hugh! — sapnął. — Co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz! Niemal cię przejechałem. I...

Hugh otworzył drzwiczki i pochylił się. Futro, które miał na szyi, znalazło się pod nosem Lenny'ego, który natychmiast się uchylił. Przypominało nadgniły lisi ogon, w wielu miejscach oblaźło i w dodatku nie pachniało najpiękniej.

Hugh złapał go za szelki spodni i wyciągnął z wozu. Lenny krzyknął ze strachu i oburzenia.

- Przykro mi, stary — powiedział Hugh spokojnym głosem kogoś, kto ma znacznie większe problemy niż wkurzony dziadek w starym samochodzie. — Potrzebny mi twój wóz. Mój chwilowo wypadł z obiegu.

- Nie możesz...

Ale Hugh Priest oczywiście mógł. Rzucił Lennym przez drogę jak kłębkem szmat. Staruszek wylądował, rozległ się ostry trzask, a krzyk oburzenia zastąpiło głośne, rozpaczliwe wycie. Pękł mu obojczyk i dwa żebra.

Nie zwracając na niego uwagi, Hugh wskoczył do chevroleta i wcisnął gaz do dechy. Silnik skrzeknął ze zdumienia, z wiszącej bezwładnie rury wydechowej uniosła się chmura dymu. Zjeżdżając ze wzgórza, samochód pędził już dobrą dziewięćdziesiątką, i to zanim Lenny zdołał przewrócić się na wznak.

Andy Clutterbuck skręcił w Castle Hill Road około trzeciej trzydzieści pięć po południu. Po drodze minął stary samochód Lenny'ego Partridge'a, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Myślał wyłącznie o Hughu, a przerdzewiały stary „Bel-Air” był po prostu częścią miejscowego krajobrazu.

Ciut nie miał najmniejszego pojęcia, jak i dlaczego Hugh Priest związany jest ze śmiercią Wilmy i Nettie, ale to go nie niepokoiło — jest szeregowcem, niczym więcej. Jak i dlaczego, to nie jego sprawa; dziś akurat sprawiało mu to kupę radości. Wiedział jednak, że Priest to pijak o gwałtownym charakterze, którego nie łagodzą mijające lata. Tego rodzaju człowieka stać na wszystko... zwłaszcza kiedy sobie popije.

Najprawdopodobniej jest w pracy — pomyślał, ale kiedy podjeżdżał do zrujnowanej budy, którą Hugh nazywał domem, mimo wszystko odpiął kaburę służbowego rewolweru. W chwilę później dostrzegł błysk światła na szkle i chromie, i nerwy napięły mu się jak druty elektryczne pod wysokim napięciem. Na podjeździe stał samochód, a kiedy przed domem stoi samochód, jego właściciel na ogół jest u siebie — to jedno z praw wiejskiego życia.

Kiedy Hugh Priest wyszedł z domu — na piechotę, a jakże — skręcił w prawo, oddalając się od miasta, i poszedł ku Castle Hill.

Gdyby Ciut spojrzął w tę stronę, dostrzegłby Lenny'ego Partridge'a leżącego na poboczu drogi, a raczej tarzającego się na nim jak kąpiący się w piachu kurczak, ale nie spojrzął. Całą uwagę skupił na domu. Cienkie, ptasie krzyki Lenny'ego wpadały mu do głowy jednym uchem, a wypadały drugim, nie wzbudzając alarmu. Nim wysiadł z radiowozu, Ciut wyjął rewolwer z kabury.

William Tupper był chłopcem zaledwie dziewiętnastoletnim i raczej nie miał powodu kandydować do stypendium Rhodesa, ale wystarczyło mu rozsądku, by na pierwszy rzut oka zorientować się, że Henry Beaufort wchodzący do „Tygrysa” tego ostatniego dnia w historii prawdziwego Castle Rock, o godzinie za dwadzieścia czwarta, zachowuje się w sposób wręcz przerażający. Wystarczyło mu także rozsądku, by wiedzieć, że nie ma sensu odmówić mu kluczyków do pontiaca; biorąc pod uwagę jego nastrój, Henry, w normalnych okolicznościach najlepszy z szefów, jakiego Bili kiedykolwiek miał, po prostu da mu w pysk i sam je sobie weźmie.

Więc po raz pierwszy — i chyba ostatni — w życiu Billy spróbował podstępu.

— Henry — powiedział nieśmiało — wyglądasz mi na kogoś, komu przydałby się drink. Mnie na pewno. Może pozwolisz mi przygotować dwie szklaneczki, nim wyjdiesz?

Henry zniknął za barem. Billy słyszał, jak grzebie tam i klnie pod nosem. Wreszcie wyłonił się, trzymając w dłoniach kwadratowe pudełko zamknięte na małą kłódkę. Postawił je na barze i zaczął przekładać wiszące mu u pasa na kółku klucze.

Rozważył propozycję Billy'ego, już miał zamiar odmówić, ale się rozmyślił. Być może to nawet dobry pomysł — mały drink uspokoi mu i dłonie, i nerwy. Znalazł właściwy klucz, otworzył pudełko i położył kłódkę obok, na barze.

- Zgoda — powiedział. — Ale jeśli już mamy zamiar to zrobić, zróbmy to dobrze. Chivas. Podwójna dla mnie, pojedyncza dla ciebie. — Wymierzył w Billy'ego palec; chłopak uchylił się, nagle pewien, że Hugh doda: „Ale idziesz ze mną”. — Tylko nie mów matce, że pozwoliłem ci tu pić, rozumiesz?

- Tak, proszę pana — powiedział Billy z ulgą. Poleciał po butelkę, spiesząc się, by zdążyć, nim szef zmieni zdanie. — Do skonała pana rozumiem.

Dekę Bradford, kierownik największego i najbardziej kosztownego departamentu w Castle Rock — Departamentu Robót Publicznych — sprawiał wrażenie człowieka ogarniętego skrajnym obrzydzeniem.

- Nie, nie ma go tu — powiedział Alanowi. — Nie pojawił się dziś w ogóle. Jeśli spotkasz go pierwszy, zrób mi tę grzeczność i powiedz mu, że został wylany.

- Dlaczego właściwie trzymałeś go tak długo, Dekę?

Stali w upalnym, popołudniowym słońcu przy garażu miejskim numer 1. Po lewej stronie, obok magazynu, trzech mężczyźni wyładowywali niewielkie, lecz ciężkie, drewniane skrzynie z ciężarówki „Case Construction and Supply”. Czerwony znak diamentu — symbol materiałów wybuchowych — wymalowany był na każdej z nich. Z magazynu dolatywał ich szum aparatury klimatyzacyjnej. Brzmiało to dziwnie o tej porze roku, ale ten weekend i tak należał do najdziwniejszych w historii miasteczka.

- Trzymałem go dłużej, niż powinienem — przyznał Dekę, przesuając dłonią po krótkich, siwiejących włosach. — Wierzyłem, że gdzieś w głębi drzemie w nim przyzwoity facet. — Dekę należał do tych niewysokich, krępych mężczyzn, którzy zawsze wyglądają tak, jakby zaraz mieli się komuś dobrać do tyłka. W rzeczywistości był jednak najspokojniejszym i najzyczliwszym z ludzi, jakich Alan znał w Castle Rock. — Kiedy nie był zbyt pijany albo nie leczył akurat ciężkiego kaca, nikt w tym mieście nie pracował ciężiej niż on. I miał w twarzy coś, co mówiło mi, że nie musi skończyć tak, jak na ogół kończą pijacy, czyli zapić się na śmierć. Myślałem, że mając stałą pracę, może jeszcze dojść do siebie i żyć normalnie. Ale ten ostatni tydzień...

- Co takiego zdarzyło się w tym tygodniu?

- Zszedł na psy, i to błyskawicznie. Sprawiał wrażenie, jakby przez cały czas szukał pociechy, choć niekoniecznie w alkoholu. Oczy mu wpadły, a kiedy się do niego mówiło, to gapił się na coś za twoimi plecami, a nie na ciebie. W dodatku gadał do siebie.

- Co?

- Nie mam pojęcia. Wątpię, by inni wiedzieli więcej. Niena widzę wyrzucać ludzi, ale co do Hugh'a, to zdecydowałem się, jeszcze nim przyjechałeś. Skończone.

- Przepraszam cię na chwilę. — Alan podszedł do samochodu, wywołał Sheilę i poinformował ją, że Priesta przez cały dzień nie było w pracy

- Spróbuj złapać Cluta i ostrzeż go, niech pilnuje tyłka. I wyślij mu do pomocy Johna. — Nim powiedział następne parę zdań,



przez chwilę się zastanawiał. Zdawał sobie sprawę, że tego typu ostrzeżenia wywołały niejedną zbędną strzelaninę. Mimo wszystko dodał: — Ciut i John mają traktować go jako uzbrojonego i niebezpiecznego. Rozumiesz?

- Uzbrojony i niebezpieczny, przyjęłam.

- Dobrze. Jedyńka wyłącza się.

Odwiesił mikrofon i wrócił do Deke'a.

- Myślisz, że wyjechał z miasta?

— On? — Deke się spojrzał w bok i splunął sokiem tytonio wym. — Tacy jak on nigdy nie wyjeżdżają z miasta. Większość z nich po prostu nie pamięta, które drogi prowadzą w świat, wszyscy oni mają cholerną sklerozę.

Dostrzegł coś i błyskawicznie odwrócił się w stronę mężczyzn noszących drewniane skrzynki.

- Uważajcie, panowie, dobra? Macie nosić te skrzynki, a nie upuszczać!

- Masz tu tego sporo — zauważył Alan.

- Aha. Dwadzieścia skrzynek. Będziemy wysadzać granitową ścianę w kamieniołomie przy drodze numer pięć. Myślę, że gdybyś chciał, moglibyśmy wysłać Hugh'a wprost na Marsa.

- Dlaczego kupiłeś aż tyle?

- Nie ja. Granat dołożył coś do mojego zamówienia. Jeden Bóg wie po co. Jedno mogę ci powiedzieć — zesra się w gacie, kiedy zobaczy rachunek za elektryczność, chyba że przyjdzie zimno. Klimatyzacja źre prąd jak cholera, a dynamit trzeba trzymać w chłodzie, inaczej się poci. Podobno ten nowy rodzaj tego nie potrzebuje, ale ja tam wolę przesadzić z ostrożnością.

- Granat dodał coś do zamówienia?

- Aha. Cztery, może sześć skrzynek, nie pamiętam dokładnie.

A mówią, że cuda się nie zdarzają!

- Chyba jednak nie mają racji. Mogę skorzystać z telefonu

w biurze?

- Jasne, obsłuż się.

Alan usiadł przy biurku Deke'a. Przez całą minutę siedział nieruchomo, słuchając, jak telefon u Poity w domu dzwoni raz, drugi i dziesiąty, i tylko pocił się coraz bardziej. W końcu rzucił słuchawkę na widelki.

Wyszedł na dwór powoli, ze zwieszoną głową. Dekę zamykał właśnie kłódkę na drzwiach magazynu z dynamitem. Kiedy od-

wrócił się w stronę Alana, miał zmartwioną, niemal nieszczęśliwą twarz.

— Hugh Priest mógł być naprawdę dobrym człowiekiem — powiedział. •— Przysięgam na Boga. Taki dobry człowiek na ogół w końcu wyłazi z ukrycia. Sam to nieraz widziałem, częściej, niż ludzie byliby skłonni uwierzyć. Ale z nim... — wzruszył ramionami — ...z nim po prostu nie wyszło.

Alan tylko skinął głową.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakby coś ci się stało.
- Nic. Dobrze. — Alan uśmiechnął się lekko. Dekę powiedział prawdę — coś mu się stało. Poity też. I Hughowi. I Brianowi Ruskowi. Wyglądało na to, że dziś wszystkim coś się stało.
- Chcesz szklankę wody? Albo mrożonej herbaty? Mam jedno i drugie.
- Dzięki, ale muszę jechać.
- Dobra. Zawiadom mnie, jak się to skończyło.

Tego już nie mógł mu obiecać, ale w sercu miał bolesną, choć nie do końca jasną pewność, że jak się to skończy, będzie można przeczytać w gazecie. Albo obejrzeć w telewizji.

Na krótko przed czwartą stary chevrolet Lenny'ego Partridge'a zaparkował na jednym ze skośnych miejsc parkingowych przed „Sklepikiem z marzeniami”. Bohater chwili, który z niego wysiadł, nadal miał rozpięty rozporek, nadal świecił gołym torsem i nadal nosił na szyi lisi ogon. Hugh Priest ruszył w stronę drzwi — jego bosa stopy kłapały na gorącym betonie — i otworzył je. Zadzwoił srebrny dzwoneczek.

Jedyną osobą, która go w owej chwili obserwowała, był Charlie Fortin, stojący przy wejściu do „Western Auto” i palący jednego ze swych śmierdzących skrętów.

— Nasz Hugh dostał wreszcie kuku na muniu — stwierdził, nie adresując tych słów do nikogo w szczególności.

W „Sklepiku z marzeniami” czekał już na gościa pan Gaunt. Powitał go miłym, choć pytającym uśmiechem... jakby bosy, półnaczy faceci z wyżartymi przez mole lisimi ogonami na szyi pojawiali się w jego sklepie co najmniej raz dziennie. Pan Gaunt postawił krzyżyk przy zapisanym na leżącej obok kasy kartce nazwisku — ostatnim nazwisku.

- Mam problem — stwierdził Hugh, ruszając w jego kierunku. Wywracał oczami, przypominały kulki w bilardzie elektrycznym. — Tym razem wpadłem w cholerne gówna.

- Wiem — powiedział pan Gaunt swym najbardziej uspokajającym głosem.

- Wydawało mi się, że powinienem przyjechać tu... nie wiem... pan mi się śnił. Nie... nie wiedziałem, co zrobić.

- Powinieneś tu przyjechać, Hugh. To właściwe miejsce.

- Pociął mi opony — szepnął Hugh Priest. — Beaufort, ten sukinsyn, właściciel „Potulnego Tygrysa”. Zostawił kartkę. „Wiesz, po co przyjdę następnym razem, Hubercie” — tak mi napisał. Wiem, o co mu chodziło. Z całą pewnością. — Jedna z wielkich dłoni o grubych paluchach dotknęła nadgniętego futra. Na twarzy Hugh’a pojawił się wyraz ekstazy; gdyby nie był tak autentycznie szczery, wydawałby się wręcz tandetnie łzawy. — Mój śliczny, śliczny lisi ogon.

- Być może powinieneś załatwić go, nim on załatwi ciebie — powiedział z głębokim namysłem pan Gaunt. — Wiem, że wydaje się to wyjściem nieco... ekstremalnym... ale biorąc pod uwagę...

- Tak! Właśnie! Tak trzeba załatwiać sprawy!

- To chyba mam coś dla ciebie. — Gaunt zniknął za ladą,

a kiedy pojawił się znowu, w lewym ręku trzymał automatyczny pistolet. Pchnął go po szkle gabloty. — Naładowany — oznajmił.

Hugh zacisnął na nim dłoń; ciężar broni w ręku sprawił, że z jego zmieszania nie pozostało nic, że rozwiało się ono jak mgła na wietrze. Czuł zapach specjalnego smaru, ciężki, wonny.

- Portfel... zostawiłem portfel w domu.
- Och, o to nie musisz się martwić. Tu, w „Sklepiku z marzeniami” sprzedajemy wyłącznie towar ubezpieczony. — Twarz Gaunta nagle znieruchomiała w twardą, bezlitosną maskę. — Dorwij go! — krzyknął niskim, ochryplym głosem. — Dorwij sukinsyna, który chce zniszczyć to, co twoje. Dorwij go, Hugh! Broń się! Broń swej własności!

Hugh Priest nagle uśmiechnął się szeroko.

- Dzięki, panie Gaunt. Strasznie panu dziękuję.
- Ależ nie ma o czym mówić. — Głos właściciela „Sklepiku z marzeniami” błyskawicznie wrócił do swego normalnego tonu, a srebrny dzwoneczek zabrzączał, ogłaszając światu, że Hugh wyszedł na ulicę (chowając broń za paskiem niedopiętych spodni).

Pan Gaunt podszedł do okna. Patrzył, jak Hugh siada za kierow-

nicą, wrzuca wsteczny i wyjeżdża na ulicę. Jadąca powoli ciężarówka z reklamą „Budweisera” zatębiała na niego donośnie i skręciła, unikając zderzenia.

— Dorwij go, Hugh — powtórzył po cichu. Z uszu i włosów uniosły mu się w górę cienkie pasma dymu. Grubsze wypłynęły z nozdrzy i pomiędzy wielkich, nierównych białych zębów. — Dorwij ich wszystkich. *Zaczyna się zabawa, przyjacielu.*

Odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

John LaPointe ruszył w kierunku bocznych drzwi prowadzących do Biura Szeryfa; tych, które wychodziły na parking Ratusza. Był mocno podekscytowany. Uzbrojony i niebezpieczny. Nieczęsto trafia się człowiekowi okazja aresztowania uzbrojonego i niebezpiecznego przestępcy; nie w takim sennym miasteczku jak Castle Rock. Zaginiony portfel całkowicie wyleciał mu z głowy (przynajmniej na jakiś czas), o Sally Ratcliffe zaś nie myślał w ogóle.

Sięgnął do klamki dokładnie w chwili, gdy ktoś otworzył drzwi z drugiej strony. Nagle i niespodziewanie stanął naprzeciw stu dziesięciu kilogramów wściekłego nauczyciela wychowania fizycznego.

— No proszę, a tak bardzo chciałem się z tobą spotkać — powiedział Lester Pratt swym nowym, miękkim i jedwabistym głosem, wyciągając przed siebie czarny skórzany portfel. — Zgubiłeś coś, ty wstrętny hazardzisto, ty zdradliwy bezbożny sukinyś?

John nie miał zielonego pojęcia, co Pratt tu w ogóle robi i jakim cudem znalazł jego portfel. Wiedział za to, że ma osłaniać Gluta i że powinien ruszyć w drogę jak najszybciej.

- O cokolwiek ci chodzi, pogadamy później — powiedział, wyciągając rękę po portfel. Kiedy Lester najpierw cofnął dłoń z portfelem, a potem uderzył go nim prosto w twarz, John LaPointe był bardziej zaskoczony niż rozgniewany.

- Nie mam ochoty z tobą gadać — stwierdził Lester swym nowym, miękkim i jedwabistym głosem. — Szkoda czasu. — Rzucił portfel, złapał Johna za ramiona, podniósł i wrzucił wprost do Biura Szeryfa. Policjant LaPointe szybował w powietrzu blisko dwa metry i wylądował na biurku Norrisa Ridgewicka. Wyorał na nim tyłkiem korytarz wśród gór papieru, strącił koszyk na

korespondencję przychodzącą/wychodzącą i wraz z koszykiem opadł boleśnie na podłogę.

Sheila Brigham patrzyła na nich zza szyby centralki. Usta miała otwarte bardzo szeroko.

John zaczął się zbierać z ziemi. Wstrząśnięty, oszołomiony, nadal nie miał najbliższego pojęcia, co się tu właściwie dzieje.

Lester szedł w jego stronę, tańcząc jak bokser. Pięści miał uniesione w staroświeckiej pozycji bokserskiej, tak typowej dla Johna L. Sullivana; powinien wyglądać śmiesznie, ale jakoś nie wyglądał.

— Mam zamiar dać ci lekcję — powiedział swym nowym, miękkim i jedwabistym głosem. —

Mam zamiar pokazać ci, co spotyka katolików kradnących dziewczyny baptystom. Mam zamiar wbić ci to do głowy tak mocno, że nigdy nie zapomnisz tej lekcji.

Podszedł na odpowiednią do tej nauki odległość.

Billy Tupper nie był może intelektualistą, ale umiał słuchać, a tego popołudnia właśnie nastawione ucho było najlepszym lekarstwem na wściekłość Henry'ego Beauforta. Popijając whisky, opowiedział Billowi, co się stało... a mówiąc, uspokajał się powoli. Pomyślał sobie, że gdyby wziął dubeltówkę i zrealizował swój pierwotny plan, skończyłby dzień nie za barem, lecz w areszcie. Bardzo kochał swój samochód, ale chyba jednak nie kochał go tak bardzo, by dać się za niego zamknąć. Opony można łatwo wymienić, a rysa pewnie z czasem zniknie sama. Jeśli zaś chodzi o Hugh'a Priesta, najlepiej niech zajmie się nim prawo.

Dopił drinka i wstał.

- Ma go pan zamiar dorwać, panie Beaufort? — spytał z wahaniem Billy.

- Szkoda czasu — odparł Henry. Chłopak westchnął z ulgą. — To sprawa Alana Pangborna. Przecież płacę podatki, nie?

- Jasne. — Billy spojrzał w okno i rozjaśnił się wyraźnie. Przerdzewiały stary samochód, samochód, który niegdyś był biały, teraz zaś nie miał żadnej barwy — nazwijmy jej brak „Szarym Kurzem Szos” — jechał pod górę w kierunku „Potulnego Tygrysa”, przychając gęstym niebieskim dymem z oberwanej rury wydechowej.

- Niech pan popatrzy! Stary Lenny! Od wieków go u nas nie było.

— Dobra, ale i tak otwieramy dopiero o piątej. — Henry wszedł za bar. Musiał załatwić jeszcze jeden telefon. Pudło z dubeltówką zostało na miejscu. Chciałem jej użyć — pomyślał, zdziwiony. — Chyba rzeczywiście chciałem jej użyć. Co też, cholera, napada ludzi? Szaleństwo?

Samochód Lenny'ego wjechał na parking. Billy poszedł otworzyć staremu drzwi.

— Lester — wychrypiął John LaPointe i w tym momencie pięść wielkości bochna chleba —

lecz znacznie od niego twardsza — trafiła go w sam środek twarzy. Rozległ się zgrzyt gniecionych chrząstek nosa, któremu towarzyszył przeszywający ból. Oczy Johna zamknęły się same, w ciemności pod powiekami wykwitły zaś jaskrawe, kolorowe iskierki. Poleciał przez pokój, kręcąc się i wymachując rękami, walczył o to, by utrzymać się na nogach, i przegrał bitwę. Lecąca z nosa krew zalewała mu usta. Uderzył w tablicę ogłoszeniową i strącił ją ze ściany.

Lester ruszył za nim. Pod sterzącym sztywno językiem czoło zmarszczone miał ze skupienia.

Siedząca w centralce Sheila próbowała wywołać Alana. Wrzeszczała histerycznie.

Frank Jewett miał już opuścić dom swego dobrego, starego „przyjaciela” George'a T. Nelsona, kiedy nagle przestrzegł go przed czymś jakiś wewnętrzny głos. Wewnętrzny głos powiedział mu, że kiedy George T. Nelson wróci, kiedy zorientuje się, że jego koka spłynęła z gównem, że sypialnia została całkowicie zniszczona, a portret matki obsrany, pewnie ruszy w pościg za swym rozrywkowym kumplem. Doszedł do wniosku, że szaleństwem byłoby nie skończyć tego, co się zaczęło... a jeśli „skończyć” oznacza palnąć sukinsynowi i szantażystę w łeb, niechże i tak będzie. Na parterze stała szafka z bronią; w pomysł, by strzelić George'owi w głowę jego własnym pistoletem było, według Franka, coś w rodzaju poetyckiej sprawiedliwości. Jeśli nie zdoła otworzyć szafki ani wyłamać zamka, pracę domową

wykona za pomocą któregoś z kuchennych noży. Stanie za drzwiami; kiedy George je otworzy, to albo rozwali mu jego pierdoloną makówkę, albo złapie go za szyję i poderżnie mu jego pierdolone gardło. Broń palna gwarantowała większe bezpieczeństwo, ale im barwniej Frank wyobrażał sobie strumień krwi tryskający z rozciętego gardła George'a wprost na jego ręce, tym bardziej podobał mu się ten drugi pomysł. *Et tu, George. Et tu, ty szantażysto, ty sukinsynu.*

Te rozkoszne myśli przerwała mu nagle Tammy Faye, papuga George'a T. Nelsona, która wybrała sobie ten najniezwyklejszy w swym ulotnym życiu moment, by radośnie zaśpiewać. Słuchając jej, Frank zaczął się bardzo niemiło uśmiechać. Jakim cudem nie zauważyłem do tej pory tego gównianego ptaka? — zadał sobie pytanie, po czym wybrał się do kuchni.

Znalazł tam szufladę pełną ostrych noży. Po dokonaniu wyboru przez dziesięć minut drażnił się z ptakiem, doprowadzając go do nieprzytomnego, panicznego strachu, aż wreszcie znudził się jego płasami i przebił papugę na wylot. Następnie zszedł na dół sprawdzić, czego zdoła dokonać w

sprawie szafki. Zamek okazał się niezbyt skomplikowany, więc ponownie wspinając się po schodach na piętro, Frank śpiewał sobie nieco przedwczesną, ale za to bardzo pogodną kolędę:

„Och... nie kłóćcie się lepiej i lepiej nie płaczcie,  
Nie ma co się obrażać, lepiej sobie przebaczyć:  
Święty Mikołaj jest w mieście!  
Widzi was, kiedy śpicie,  
I kiedy się budzicie.  
Wie, czy byliście dobrzy, czy też źli,  
Nie grzeszcie, a nie będziecie oglądać go przez łyży!”.

Frank, który co sobota oglądał Lawrence'a Welka ze swą własną ukochaną mamą, zaśpiewał ostatnią linijkę basem Lar-ry'ego Hoopera. Jezu, ale wspaniale się czuł! Jak mógł — zaledwie przed godziną! — wierzyć, że jego życie właśnie się skończyło? Nie był to żaden koniec, lecz początek! Niech precz idzie stare — zwłaszcza stary przyjaciel, George T. Nelson — niech przybywa nowe!

Stanął za drzwiami, uzbrojony jak na niedźwiedzia. O ścianę oparł winchestera, za pasem miał lłamę 32, w rękę nóż do mięsa Sheffingtona. Z miejsca, w którym stał, doskonale widział kłęb żółtych piór, który był niegdyś Tammy Faye. Na jego ustach, ustach pana Weatherbee, zakwitł uśmiezek, a jego oczy, oczy pana Weatherbee — teraz już całkiem szalone — poruszały się nieustannie za okrągłymi okularami bez oprawki — okularami pana Weatherbee.

„Nie grzeszcie, a nie będziecie oglądać go przez łyży!” — napomniiał świat pod nosem. Tę jedną linijkę kolędy odśpiewał kilkakrotnie, stojąc za drzwiami, a potem śpiewał ją znowu, kiedy przyjął wygodniejszą pozycję: usiadł na podłodze, oparł się plecami o ścianę, broń zaś trzymał na kolanach.

Zaniepokoiło go tylko, że zrobił się tak bardzo senny. Trochę i głupio tak przysypiać w oczekiwaniu na poderżnięcie komuś gardła. Wydawało mu się, że gdzieś czytał (być może jako lekturę na zajęciach na Uniwersytecie Stanu Maine w Farmington, wsiowej uczelni, którą skończył bez żadnych wyróżnień), iż poważny szok może mieć czasami taki właśnie wpływ na system nerwowy... a on przecież doznał poważnego szoku, to się zgadza. Cud, że serce nie trzasnęło mu jak stara dętka, kiedy zobaczył te wszystkie magazyny rozrzucone po podłodze gabinetu.

Zdecydował, że nie ma co ryzykować. Odsunął od ściany długą, piaskową kanapę, wpełzł za nią i ułożył się na wznak na podłodze. Dubeltówkę trzymał w lewej ręce, prawą zaciskał na rączce noża.



No. O wiele lepiej. Puchate wykładziny podłogi domu George'a T. Nelsona okazały się całkiem wygodne.

„Nie grzeszcie, a nie będziecie oglądać go przez łyż” — zaśpiewał cicho. Podśpiewywał sobie te słowa przez dziesięć minut, po dziesięciu zaś minutach, posapując z cicha, zapadł wreszcie w sen.

12

— Jedyńka! — wrzeszczała Sheila przez radio umieszczone w samochodzie Alana przejeżdżającym właśnie przez Blaszak w drodze do miasta. — Odezwij się, Jedyńka! Natychmiast!

Alan poczuł w żołądku ciężar ołowianej kuli. Ciut nadepnął na gniazdo szerszeni tam, w domu Hugh'a Priesta na Castle Hill Road, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Na rany Chrystusa, dlaczego nie powiedział mu, żeby zaczekał na Johna?

*Wiesz dlaczego. Kiedy wydawałeś rozkazy, nie byłeś w pełni skupiony na pracy. Jeśli przez to coś stało się Ciulowi, częściowo*

488

489

*będzie to twoja wina. I będziesz musiał z tym żyć. Ale o tym potem. Na razie masz robotę — musisz wykonać robotę. No więc, Alanie, zapomnij o Polly i rób, cholera, swoje! Wyrwał mikrofon z widełek.*

- *Jedyńka, wracam do miasta.*
- *Ktoś' bije Johna! — wrzeszczała Sheila. — Wracaj prędko,*

*Alan, on go strasznie bije!*

*Informacja ta do tego stopnia nie zgadzała się z oczekiwaniami Alana, że przez chwilę nie mógł wręcz wykrztusić słowa.*

- *Co? — spytał wreszcie. — Kto? Tu?*
- *Pospiesz się, on go zabije!*

*Nagle wszystko stało się jasne. Oczywiście, to Hugh Priest. Hugh Priest z jakiegoś powodu pojechał do Biura Szeryfa, znalazł się tam, nim John zdołał dołączyć do Cluta, i puścił w ruch*

*pięści. John LaPointe, nie Ciut, był w niebezpieczeństwie.*

*Złapał migacz, włączył i postawił na dachu. Zjeżdżając z mostu, przeprosił w myślach stareńkie kombi i wcisnął gaz do dechy.*

### 13

Ciut domyślił się wreszcie, że nikogo nie ma w domu. Wydatnie pomógł mu w tym fakt, że wszystkie cztery opony stojącego na podjeździe samochodu zostały nie tyle przedziurawione, co wręcz pocięte na strzępki. Mimo wszystko zdecydował się wejść do środka i wszedłby, gdyby nie dotarły w końcu do niego chrypliwe okrzyki: „Ratunku!”.

Na moment zamarł w miejscu, nie umiejąc podjąć decyzji, a potem zawrócił i szybkim krokiem ruszył w kierunku drogi. Dostrzegł wreszcie leżącego na poboczu Lenny'ego. Pobiegnął ku niemu; pusta kabura podskakiwała przy każdym kroku.

- Ratunku! — wychrypiał Lenny, gdy Ciut klęknął obok niego. — Hugh Priest oszalał, ten piekielny dureń załatwił mnie na amen.

- Jesteś ranny, Lenny? — Wystarczyło, że dotknął ramienia starego, a natychmiast otrzymał przekonującą odpowiedź w postaci wrzasku bólu. Wstał, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinien teraz zrobić. Jednego tylko był pewien: tej sprawy spieprzyć mu nie wolno!

- Nie ruszaj się — powiedział w końcu. — *Zaraz* zadzwonię po pogotowie.

- Nie mam zamiaru wstać i zaprosić cię do tanga — wykrztusił Lenny. Jęczał z bólu, po policzkach płynęły mu łzy. Sprawiał wrażenie starego wyżła ze złamaną nogą.

- Słusznie — stwierdził Ciut, ruszył biegiem w stronę radio wozu, ale zaraz zawrócił. — No więc zabrał ci samochód, tak?

- Nie! — stęknął stary, przyciskając dłoń do połamanych

żeber. — Dał mi po dupie, a potem odleciał na pierdolonym latającym dywanie! Jasne, że zabrał samochód. A jak myślisz, dlaczego tu leżę? Żeby się opalić?

- Słusznie. — Ciut ruszył biegiem. Dziesiątki i ćwierćdolarówki poleciały mu z kieszeni na asfalt srebrnym łukiem.

Pochylił się do otwartego okna radiowozu tak energicznie, że omal nie znokautował sam siebie o dach. Złapał mikrofon. Powinien powiedzieć Sheili, żeby przysłała pomoc dla starego, ale nie to było najważniejsze. Alan i policja stanowa koniecznie muszą się dowiedzieć, że Hugh Priest jeździ teraz starym chevroletem Lenny'ego Partridge'a. Nie wiedział dokładnie, z którego roku to model, ale tego zdezelowanego olejożercę łatwo było rozpoznać na kilometr.

Nie udało mu się jednak połączyć z Sheila. Próbował trzykrotnie, bez rezultatu. Bez żadnego rezultatu.

Lenny Partridge znów się rozkrzyczał. Ciut poszedł do domu Hugh'a, by przez telefon wezwać pogotowie z Norway.

Nasza Sheila! — pomyślał. — Też sobie wybrała moment na posiedzenie w kiblu.

## 14

Henry Beaufort także próbował dodzwonić się do Biura Szeryfa. Stał za barem ze słuchawką przyciśniętą do ucha i słuchał sygnału.

— No, panowie — powiedział. — Niech który ruszy tyłek. Co wy tam robicie? W karty gracie?

Billy Tupper wyszedł na dwór. Henry usłyszał krzyk i zniecierpliwiony spojrzął na drzwi. W tej samej chwili rozległ się głośny huk. Pierwszą myślą Henry'ego było, że musiała strzelić któraś ze stareńkich opon chevroleta, ale po pierwszym huku rozległy się trzy dalsze.

Billy pojawił się w drzwiach „Tygrysa”. Szedł powolutku, jedną ręką trzymał się za gardło; przez palce płynęła mu krew.

— Enry! — krzyknął dziwnym, zduszonym głosem, nie wstawiając „h” jak londyński ulicznik. — Enry! En...!

Doszedł do szafy grającej, przystanął przed nią na chwilę, po czym, jakby wszystkie nerwy jego ciała przestały działać w tym samym ułamku sekundy, po prostu opadł na podłogę.

Na jego stopy padł cień, po czym pojawił się właściciel cienia. Właściciel cienia miał na szyi nadgniły lisi ogon, w ręku zaś dymiący jeszcze pistolet. Wśród włosów, porastających mu gęsto tors, niczym małe klejnociki lśniły krople potu. Worki skóry pod oczami były prawie brązowe. Przeszedł nad ciałem Billy'ego Tuppera, wchodząc w mrok sali „Potulnego Tygrysa”.

— Cześć, Henry — powiedział Hugh Priest.

## 15

John LaPointe nie miał pojęcia, dlaczego bierze lanie, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli tak dalej pójdzie, Lester go zabije; Lester zaś pracował w równym tempie i nie miał zamiaru zwolnić. John spróbował ześlizgnąć się po ścianie poza jego zasięg, ale został złapany za koszulę i postawiony na baczność. Lester nawet się nie zdyszał. Podkoszulek nie wyszedł mu nawet zza gumki spodni od dresu!

— Proszę cię bardzo, Johnny, przyjacielu — powiedział i walnął Johna w górną wargę. John poczuł, jak miażdży się ona o zęby. — Wyhoduj sobie na tym pieprzone piczkodrapki!

W ostatecznej rozpaczy John podstawił mu nogę i pchnął jak potrafił najmocniej. Lester krzyknął ze zdumienia, ale padając, zdołał złapać przeciwnika za zakrwawioną koszulę i pociągnąć go na siebie. Potoczyli się po ziemi, wzajemnie okładając się pięściami.

Obaj byli zbyt zajęci, by dostrzec, jak Sheila Brigham wybiega z centralki i pędzi do gabinetu Alana. Tam zerwała ze ściany dubeltówkę, załadowała ją i wróciła do biura, które nie zasługiwało już na tę nazwę. Lester siedział na Johnie, pracowicie waląc jego głową o podłogę.

Wiedziała, jak posługiwać się bronią; strzelała do celu od ósmego roku życia. Wymierzyła więc, pewnie osadzając kolbę między ramieniem i piersią, i wrzasnęła:

— Uciekaj, Johnny. Daj mi czyste pole!

Usłyszawszy jej głos, Lester obrócił się. Oczy mu płonęły. Wyszczerył na nią zęby jak goryl, po czym powrócił do swego przerwane zajęcia, czyli walenia głową przeciwnika o podłogę.

## 16

Podjeżdżając do Ratusza, Alan dostrzegł pierwszą niewątpliwie dobrą w owym dniu rzecz: z

przeciwnej strony zmierzał do tego samego celu garbus Norrisa Ridgewicka. Norris miał wprawdzie na sobie cywilne ciuchy, ale to żaden problem. Taki też mu się przyda. Cholera, jeszcze jak!

Lecz szlag trafił nawet i tę drobną radość.

Wielki czerwony samochód — cadillac z numerem rejestracyjnym KEETON 1 — wystrzelił nagle z wąskiej alejki prowadzącej na parking Ratusza. Z otwartymi ze zdumienia ustami Alan gapił się na cadillaca z Granatem za kierownicą, uderzającego wprost w bok volkswagena. Granat nie jechał szybko, ale jego wóz był ze cztery razy cięższy od garbusa. Rozległ się brzęk gnieczonego metalu; volkswagen przewrócił się na prawy bok z głuchym „bum” i trzaskiem rozpryskującego się szkła.

Alan kopnął hamulce. Wyskoczył z samochodu.

Granat właśnie wysiadał z cadillaca.

Norris pracowicie wypelzał z garbusa przez wybite okno. Na twarzy miał wyraz całkowitego osłupienia.

Na ugiętych nogach Granat natychmiast ruszył w jego stronę. Dłonie zacisnął w pięści; na tłustej, okrągłej gębie miał radosny uśmiech.

Dostrzegłszy ten uśmiech, Alan zaczął biec.

## 17

Pierwszy strzał Hugh'a Priesta strzaskał stojącą na półce za barem butelkę wild turkey. Drugi strzaskał szkło, za którym na ścianie, tuż nad głową Henry'ego, wisiało pozwolenie na sprzedaż alkoholu i wypalił w nim wielką czarną dziurę. Trzeci rozerwał Henry'emu prawy policzek, zmieniając go w krwawy strzęp.

Henry Beaufort wrzasnął, złapał pudło z obrzynem i padł na ziemię za barem. Zdawał sobie sprawę z tego, że został postrzelony, ale nie wiedział jak bardzo. Świadom był tylko jednego, że prawa

strona twarzy pali go niczym przypiekana w piecu i że krew, ciepła, mokra i lepka, zalewa mu szyję.

— Porozmawiajmy o samochodach, Henry — zaproponował Hugh, podchodząc do baru. — Nie, lepiej porozmawiajmy o moim lisim ogonie. No, to jak?

Henry otworzył pudło, wyłożone czerwonym aksamitem. Drżącymi, słabnącymi rękami wyjął z niego obrzyna. Chciał go złamać, ale zorientował się, że na to nie ma po prostu czasu. Musi żyć

nadzieją, że dubeltówka jest naładowana.

Pozbierał się z podłogi, gotów lada chwila wyskoczyć zza baru, sprawiając Hughowi — taką przynajmniej miał nadzieję — największą niespodziankę w życiu.

## 18

Sheila zdała sobie wreszcie sprawę, że John nie wydostanie się spod tego szaleńca, jakim był najprawdopodobniej Lester Platt czy Pratt... w każdym razie nauczyciel gimnastyki w liceum. John najwyraźniej nie był w stanie się spod niego wydostać. Lester przestał walić jego głową o podłogę, za to swe wielkie łapska zacisnął mu na szyi.

Złapała dubeltówkę za lufę, zamierzyła się nią niczym wybijający w baseballu, po czym uderzyła z całej siły idealnym, płaskim łukiem.

Lester odwrócił się w ostatniej chwili, w sam czas, by orzechowa, okuta stalą kolba trafiła go wprost między oczy. Kolba z obrzydliwym trzaskiem wybiła mu dziurę w czaszce. Odłamki kości utkwily głęboko w mózgu; dźwięk przy tym był taki, jakby ktoś całym ciężarem nadepnął na torebkę popcornu.

Lester Pratt zmarł, nim jego ciało uderzyło o podłogę.

Sheila Brigham przyjrzała się swemu dziełu i zaczęła wrzeszczeć.

## 19

— Naprawdę, sądziłeś, że nie dowiem się, kto to zrobił? — warknął Granat Keeton, wyciągając Norrisa przez okno volks-wagena. — Naprawdę sądziłeś, że się nie dowiem, choć twoje nazwisko było na każdej z tych cholernych karteczek, które rozwiesiłeś w moim domu?

Zamachnął się do uderzeniami w tym momencie Alan zamknął mu kajdanki na nadgarstku. Ślicznie, zgrabnie i całkiem bezboleśnie.

— Co...? — zdumiał się Granat, obracając się dostojnie.

W głębi Ratusza ktoś zaczął strasznie wrzeszczeć. Alan zerknął w tym kierunku, a potem użył kajdanków jak smyczy, ciągnąc Granata ku otwartym drzwiczkom cadillaca. Granat próbował się bronić, kilka razy nieszkodliwie walnął go w ramię, aż wreszcie przykuty został do klamki.

Alan odwrócił się i dostrzegł stojącego tuż obok Norrisa. Miał wystarczająco wiele czasu, by

zauważyć także, że Norris wygląda strasznie. Złożył to jednak na karb staranowania garbusa przez cadillaca pana przewodniczącego.

— Chodź — powiedział. — Mamy problem.

Norris zignorował go jednak całkowicie, przynajmniej na razie. Przecisnął się obok szefa i z całej siły walnął Granata w oko. Granat krzyknął ze zdumienia, padając na drzwi swego samochodu. Drzwi zamknęły się pod jego ciężarem, przycinając białą, prze-poconą koszulę.

— To za pułapkę na szczury, ty tłusta świni! — wrzasnął

Norris

—• Dorwę cię — odkrzyknął Granat. — Nie myśl sobie! Was wszystkich dorwę.

• No to masz! — warknął Norris, podchodząc do niego z dłońmi przyciśniętymi do wątlutkiej piersi. Alan złapał go i przytrzymał.

• Daj spokój! — wrzasnął mu wprost w twarz. — Mamy problem w biurze. Wielki problem!

Powietrze przeszył kolejny krzyk. Na chodnikach głównej ulicy gromadzili się ludzie. Norris spojrzał na nich, a potem na szefa. •Najwyraźniej oprzytomniał — dostrzegł z ulgą Alan — i już nawet przypominał dawnego siebie. Mniej więcej.

• O co chodzi? Czy ma to coś wspólnego z nim? — wskazał brodą cadillaca, przy którym stał Granat, patrząc na nich spode łba i majstrując wolną ręką przy kajdankach. Wydawało się, że w ogóle nie słyszał krzyków.

• Nie. Masz broń?

Norris potrząsnął głową. Alan odpiął kaburę, wyjął swą służbową trzydziestkęsemkę i wręczył ją Norrisowi.

• A ty?

• Chcę mieć wolne ręce. Dobra, idziemy. Hugh Priest wdarł się do biura. Kompletnie oszalał.

Oczywiście, że Hugh Priest kompletnie oszalał, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości, ale oszalał dobre pięć kilometrów od Ratusza Castle Rock.

— Porozmawiajmy... — powiedział i w tym momencie niczym diabeł z pudełka nad barem pojawił się Henry Beaufort; koszula po prawej stronie kompletnie nasiąkała krwią, w dłoniach trzymał obrzyna.

Obaj wystrzelili równocześnie. Trzask pistoletu zgubił się całkowicie we wściekłym, drapieżnym ryku dubeltówki. Z obciętych luf strzelił dym i płomień. Hugh uniósł się w powietrze, przeleciał przez salę, sunąc po podłodze bosymi stopami; zamiast piersi miał czerwoną galaretę. Końce lisiego ogona płonęły.

Kula, przebijając płuco, rzuciła Henry'ego na półki za barem. Natychmiast stracił czucie w górnej połowie ciała; upuścił obrzyna i *zataczając* się, ruszył w stronę telefonu. Powietrze przesyciła woń rozlanego alkoholu i płonącego futra. Próbował zaczerpnąć tchu i choć pierś mu się poruszała, nie czuł dopływu powietrza. Z cienkim świstem wysysała je dziura w ciele.

Telefon wydawał się ważyć tonę, ale w końcu podniósł go do ucha, zdołał też nacisnąć przycisk automatycznie wybierający numer Biura Szeryfa.

Buuu... buuu... buuu...

— Co się z wami, kurwa, dzieje, ludzie? — jęknął. — Przecież ja tu umieram! Podnieście tę pieprzoną słuchawkę.

Telefon tylko dzwonił i dzwonił.

## 21

Norris dogonił A lana w połowie alejki; na parking weszli już ramię w ramię. Norris trzymał pistolet lufą wymierzoną w roz-prażone, październikowe niebo i z palcem nie na spuście, lecz na kabłąku spustowym.

Na parkingu stał saab Sheili oraz radiowóz nr 4, wóz Johna i nic więcej. Alana zdziwiło, że nie widzi samochodu Hugh'a; zastanawiał się nad tym, gdy nagle tylne drzwi do Biura Szeryfa otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich ktoś trzymający w zakrwawionych dłoniach dubeltówkę wiszącą zwykle na ścianie w gabinecie Alana. Norris celował trzydziestkąósemką, kładąc jednocześnie palec na spuście.

W tej samej chwili Alan zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze, Norris zaraz wystrzelił, a po drugie: wrzeszcząca osoba uzbrojona w dubeltówkę to nie Hugh Priest, lecz Sheila Brigham.

Jego cudowny refleks ocalił tego popołudnia życie Sheili, ale ledwie mu się to udało. Nie



próbował nawet krzyknąć ani uderzyć dłonią w lufę pistoletu; jedno i drugie praktycznie nie dawało szansy na sukces. Zamiast dłoni użył łokcia — wystawił go i poderwał w górę, niczym wiejski byczek na zabawie, przepychający się przez parkiet do najładniejszej dziewczyny. Łokieć trafił Norrisa w rękę trzymającą broń niemal w momencie strzału. Lufa podskoczyła, strzał rozległ się głośnym hukem w zamkniętej studni parkingu, a okno na drugim piętrze Biura Służb Miejskich rozprysło się z trzaskiem. Sheila rzuciła dubeltówkę, której użyła, by dokopać się do mózgu Lestera Pratta, i właśnie biegła w ich kierunku, krzyżąc i szlochając.

— Jezu — powiedział Norris cichym, zdumionym głosem.

Rzucił pistolet, rękojeścią w przód, wprost w Alana, twarz miał białą jak papier. —• Omal nie zabiłem Sheili... Jezu Chryste!

— Alan — szlochała Sheila. — Dzięki Bogu!

Podbiegając do niego, niemal zbiła go z nóg. Alan złapał pistolet, schował do kabury, po czym objął mocno dziewczynę. Drżała jak kabel, przez który płynie prąd o zbyt wielkim napięciu; on sam zaś poważnie podejrzewał, że również drży i że omal nie zsiadł się w spodnie. Sheila była w ataku hysterii czy też w stanie paraliżującej paniki, co prawdopodobnie wyszło jej tylko na dobre; jego zdaniem nie zdawała sobie sprawy, że przed chwilą omal nie zginęła.

— Co się tam dzieje, Sheila? — spytał. — Mów, szybko. —

W uszach dzwoniło mu od strzału i jego echa; prawie jakby słyszał dzwoniący gdzieś uporczywie telefon.

## 22

Henry Beaufort czuł się jak topniejący powoli na słońcu śnieżny bałwan. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Opadł na kolana, nadal trzymając przy uchu słuchawkę. W głowie kręciło mu się od woni alkoholu i spalonego futra, do których dołączyło coś nowego. Podejrzewał, że zapalił się także sam Hugh Priest.

Zdawał sobie sprawę, że powinien zadzwonić po pomoc gdzie

indziej, ale chyba po prostu nie był w stanie. Nie był w stanie wystukać innego numeru — jakie to proste! Wiec tylko klęczał za barem w powiększającej się kałuży własnej krwi, słuchał poświstywania powietrza w dziurze w swej własnej piersi i rozpaczliwie próbował nie zemdleć. „Tygrys” otwierał się dopiero za godzinę, Billy nie żył, więc jeśli ktoś szybko nie podniesie

słuchawki, będzie trupem, nim pierwsi klienci pojawią się w drzwiach jego przybytku, by zakosztować eliksiru szczęścia.

— Proszę—jęknął błagalnie. — Proszę, podnieście słuchawkę, proszę, podnieście tę pierdoloną słuchawkę!

23

Sheila Brigham odzyskiwała powoli panowanie nad sobą i Alan zdołał wreszcie dowiedzieć się od niej o najważniejszym: kolbą dubeltówki spisała Hugh'a Priesta na straty. Nikt więc nie spróbuje ich zastrzelić, kiedy będą wchodzili do biura.

Być może.

- No dobra — powiedział Norrisowi. — Idziemy.
- Alan... kiedy wybiegła... myślałem...
- Wiem, co myślałeś, i nie stało się nic złego. Zapomnij

o tym, Norris. John jest gdzieś tam. Chodźmy.

Podeszli do drzwi, stanęli po obu stronach, Alan spojrzał na Norrisa.

— Idziesz dołem — powiedział.

Norris mężnie skinął głową.

Alan złapał za klamkę, otworzył drzwi i szczupakiem rzucił się do środka. Norris postępował za nim w przysiadzie.

John zdołał pozbierać się jakoś, stanął na nogach i nawet zrobił kilka kroków do wyjścia. Alan i Norris walnęli w niego jak atak Pittsburgh Steelers w dawnych, dobrych latach, rozkładając go w sposób ostateczny i nieodwołalny; padł na tyłek, przejechał po podłodze jak bilardowa kula po świetnym rzucie, walnął z hukiem w ścianę i wrzasnął z bólu; ten jego krzyk był wprawdzie donośny, lecz także jakby nieco zużyty.

- Jezu, to John! — zdumiał się Norris. — Pożar w burdelu, jak rany!

- Pomóż mi go podnieść — zarządził Alan.

Podeszli do Johna, któremu udało się jakoś usiąść o własnych siłach. Twarz miał całkowicie pokrytą krzepnącą krwią, nos znacz-

nie skrzywiony w lewo, a górną wargę spuchniętą jak przepompowana dętka. Kiedy szeryf z

zastępcą wyciągnęli ku niemu ręce, podkładał sobie właśnie dłoń pod brodę. Wypluł na nią ząb.

- Karaczeka piepsiony — powiedział stłumionym, niewyraźnym głosem. — Sheila szczeliła go dubtówką. Chyba zdechł.
- John, nic ci nie jest? — zainteresował się Norris.
- Żalaćwil mnie na amien — stwierdził John, pochylił się i udowadniając to, zwymiotował obficie między własne, rozrzucone na boki, nogi.

Alan rozejrzał się dookoła. Powoli uświadamiał sobie, że to nie wina uszu — rzeczywiście dzwoni telefon, ale to nie jest w tej chwili najważniejsza sprawa. Hugh leżał na brzuchu pod ścianą; podszedł do niego i przyłożył ucho do jego pleców, próbując doszukać się bicia serca, słyszał jednak wyłącznie dzwonięcie w uszach. Telefony oszalały, brzęczał chyba każdy aparat w biurze!

— Odpowiedz albo odwieś słuchawkę! — warknął na Norrisa.

Norris podszedł do najbliższego aparatu — przypadkiem tego, który stał na jego biurku, nacisnął błyskający przycisk i podniósł słuchawkę.

— Proszę nam nie przeszkadzać. Mamy problemy. Proszę zadzwonić później. — Rzucił słuchawkę na widełki, nie czekając na odpowiedź.

24

Henry Beaufort odsunął słuchawkę — ciężką, tak strasznie i' ciężką słuchawkę — od ucha i spojrzał na nią zamglonymi oczami, w których mieściło się już tylko jedno uczucie: niedowierzanie. — Coś ty powiedział? — szepnął.

Nagle nie mógł już jej utrzymać, była po prostu za ciężka. Upuścił ją, opadł powoli na podłogę i tylko leżał, ciężko dysząc.

25

Alan mógł stwierdzić jedynie, że z Hughiem koniec. Złapał go za ramiona, odwrócił... i okazało się, że to wcale nie Hugh. Twarz była wprawdzie do tego stopnia ukryta pod maską krwi, mózgu

i kości, że pozytywna identyfikacja jej właściciela wydawała się niemożliwa, ale z pewnością nie był nim Hugh Priest.

— O kurwa — powiedział cichym, zdumionym głosem — co tu się właściwie dzieje?

26

Danforth „Granat” Keeton stał pośrodku głównej ulicy przykuty do swego cadillaca i patrzył na Nich patrzących na niego. Teraz, kiedy Główny Prześladowca wraz z Zastępcą Głównego Prześladowcy zniknęli, Oni nie mieli się na kogo gapić.

Patrzył na Nich i wiedział, kim Oni są, każdy z Nich.

Bili Fullerton i Henry Gendron wyszli przed zakład fryzjerski. Bobby Dugas stał między nimi nadal we fryzjerskim fartuchu, przypominającym wyrośnięty dziecinny śliniaczek. Charlie Fortin stał przed „Western Auto”. Scott Garson i jego obrzydliwi przyjaciele prawnicy, Albert Martin i Howard Potter, stali przed bankiem, w którym najprawdopodobniej rozmawiali o nim, kiedy zaczęło się to całe zamieszanie.

Oczy.

Pieprzone oczy.

Wszędzie te pieprzone oczy.

A wszystkie wpatrzone w niego.

— Widzę was — wrzasnął nagle. — Widzę was wszystkich! I wiem, co robić! Tak! Możecie się założyć!

Otworzył drzwi cadillaca. Spróbował wsiąść, ale przykuty był do zewnętrznej klamki, a łańcuch kajdanek był wprawdzie długi, ale nie aż tak.

Ktoś się roześmiał.

Granat bardzo wyraźnie usłyszał jego śmiech.

Rozejrzał się.

Mieszkańcy Castle Rock stali przed sklepami i zakładami na głównej ulicy, przyglądając się mu czarnymi błyszczącymi oczkami inteligentnych szczurów.

Byli tu wszyscy z wyjątkiem pana Gaunta.

Ależ nie, pan Gaunt też tu był, był w głowie Granata i właśnie mówił mu, co zrobić.

Granat wysłuchał go... i uśmiechnął się szeroko.

Cieżarówka „Budweisera”, w którą omal nie walnął Hugh, zatrzymywała się przy różnych sklepikach po drugiej stronie mostu. Na parking „Potulnego Tygrysa” wjechała dopiero o czwartej zero jedna. Kierowca wysiadł, złapał faktury, podciągnął drelichowe zielone spodnie i ruszył do baru. Zatrzymał się metr przed drzwiami. Oczy mu się rozszerzyły, gdy jego wzrok objął wnętrze.

— O Jezu! — wykrzyknął. — Nic ci nie jest, przyjacielu?

Cichy, jękliwy głos wyszeptał: „Ratunku!”.

Kierowca wbiegł do środka, gdzie znalazł ledwie żywego, skulonego za barem Henry'ego Beauforta.

- Cio Leśtel Piac — jęknął John LaPointe. Podtrzymywany z jednej strony przez Norrisa, z drugiej przez Sheilę, dokuśtykał do klęczącego przy ciele Alana.

- Kto? — Alan czuł się tak, jakby przypadkowo trafił na plan zwariowanej komedii „Ricky and Lucky idą do diabła”. Hej, Lester, masz nam coś do powiedzenia, nie?

- Leśtel Piac — wyjaśnił John z bolesną wręcz cierpliwością. — Nauciciel w liceum.

— A co on tu miał do roboty?

John tylko potrząsnął głową.

- Nie mam zielonego pojęcia, Alan. Po plośtu wsiedł i zabawił się w Blusia Lee.

- Niech ktoś się nade mną zlituje! Gdzie jest Hugh Priest? Gdzie jest Ciut? Co się tu, do cholery, dzieje, na litość boską?!

George T. Nelson stał w drzwiach sypialni, rozglądając się wokół z niedowierzaniem. Wypieszczony pokój wyglądał, jakby jakaś punkowa kapela — Sex Pistols albo lepiej Sraczka —

urządziła w nim balangę dla wszystkich swoich fanów.

— Co do... — powiedział i zamilkł, niezdolny wykrztusić nic więcej. Zresztą wcale nie musiał pytać. Wiedział „co”. Kokaina. Nic innego tylko kokaina. Od sześciu lat handlował kokainą

501

w szkole (nie wszyscy nauczyciele kochali to, co Ace Merrill nazywał czasami magicznym boliwijskim pyłkiem, ale ci, co kochali, kochali go strasznie) i pod materacem miał uncję niemal czystego towaru. Z pewnością chodziło o kokę i o nic innego. Ktoś powiedział coś komuś, kto się schyrzył. Pewnie podświadomie zdawał sobie z tego sprawę od chwili, gdy wjechał na podjazd i zobaczył wybite okno w kuchni.

Przeszedł przez pokój. Kompletnie pozbawionymi czucia, nie swoimi dłońmi podniósł materac. Nic, tylko sprężyny. Znikła czysta koka za jakieś dwa tysiące dolców. Jak lunatyk podreptał do kuchni sprawdzić, co z jego prywatnym zapasem schowanym w butelce aspiryny na najwyższej półce apteczki. Nigdy jeszcze tak bardzo nie potrzebował czegoś pobudzającego.

Zatrzymał się w progu z szeroko rozwartymi oczami. Nie bałagan zwrócił na siebie jego uwagę, choć i to pomieszczenie przewrócono do góry nogami z wielkim zapalem. Chodziło o ubikację. Deska sedesu była podniesiona, on sam zaś zasypyany białym proszkiem.

George nie spodziewał się, by owym białym proszkiem był puder dla dzieci Johnsona.

Podszedł to toalety, polizał palec i dotknął nim pyłu, po czym spróbował. Język skołowaciał mu natychmiast. Między ubikacją a wanną leżała na podłodze plastikowa torebka. Żadnych wątpliwości. Szaleństwo, ale niestety, żadnych wątpliwości. Ktoś się do niego włamał, znalazł kokę... i splukał ją w klozecie. Dlaczego? Dlaczego, cholera!?! Nie wiedział, ale postanowił sobie, że jeśli znajdzie osobę odpowiedzialną za to dzieło, powtórzy pytanie. A zaraz potem urwie jej łeb. Kto pyta, nie błądzi.

Jego własne trzy gramy ocalały. Zaniósł je do sypialni i zamarł — szok sparaliżował go doszczętnie. Tej obrzydliwości nie dostrzegł, wchodząc do pokoju z korytarza, kiedy jednak patrzyło się z łazienki, nie można było jej przeoczyć.

Stał tak przez bardzo długą chwilę, w wytrzeszczonych oczach miał wyraz zdumienia i strachu, grdyka skakała mu konwulsyjnie. Żył na skroniach pulsowały szybko, drgając jak skrzydła małych ptaszków.

W końcu zdołał wykrztusić jedno jedyne słowo: „...mamusiu...!”.

Na parterze, ukryty bezpiecznie za piaskową kanapą, Frank Jewett spał snem sprawiedliwego.

### 30

Gapie, których na główną ulicę przywołały krzyki i odgłos strzałów, cieszyli obecnie oczy rozrywką zupełnie nowego rodzaju: Ślamazarną Ucieczką Pana Przewodniczącego.

Granat włączył do cadillaca tak głęboko, jak mu na to pozwalały kajdanki, i zdołał przekręcić kluczyk w stacyjce do pozycji, w której uaktywniały się elektryczne urządzenia samochodu. Następnie przycisnął guzik opuszczający okno po stronie kierowcy, a potem znów zamknął drzwi i przez owo boczne okno począł włączyć do środka.

Nogi od kolan miał nadal na zewnątrz, lewa dłoń zaś była niebezpiecznie wykręcona przez przymocowane do zewnętrznej klamki drzwi kajdanki, których łańcuch przyciskał mu grube lewe udo, kiedy na horyzoncie pojawił się Scott Garson, bankier.

— Ech... Danforth? — powiedział z wahaniem. — Chyba nie wolno ci tego zrobić, prawda? Zdaje się, że jesteś aresztowany.

Granat zerknął na niego pod prawą pachą, wachając całą pełni swego aromatu — bardzo ostrego aromatu, bardzo, bardzo ostrego — i zobaczył Scotta do góry nogami. Scott stał bezpośrednio za nim. Wyglądało na to, że może spróbować wyciągnąć go z jego własnego samochodu! Podciągnął więc nogi jak tylko się dało, a potem wyprostował je nagle, jak kucyk brykający na pastwisku. Podeszwami butów trafił Garsona w twarz z trzaskiem, który uznał za całkiem zadowalający. Okulary w złotych oprawkach roztrzaskał mu w każdym razie na kawałki. Bankier zawył, cofnął się o krok, kryjąc zakrwawioną twarz w dłoniach, i padł na wznak pośrodku ulicy.

— Ha! — szczechnął radośnie Keeton. — Nie spodziewałeś się tego, co? Wcale się tego nie spodziewałeś! Ty sukinsynu!

W końcu udało mu się wleźć do samochodu. Co prawda, ramię zatrzęszczało ostrzegawczo, ale w końcu obróciło się w stawie na tyle, by mógł się pod nim okręcić i wylądować tyłkiem na siedzeniu. Tylko przykuta do klamki ręka sterczała mu zewnątrz.

Włączył silnik.

Scott Garson usiadł w samą porę, by zobaczyć pędzącego na niego cadillaca. Chromowa kratownica maski wydawała się uśmiechać szyderczo; wielka srebrna góra gotowa wpaść na niego

całym swym ciężarem.

Rzucił się rozpaczliwie w lewo, unikając śmierci o włos. Wielkie przednie koło przetoczyło mu się po dłoni, bardzo skutecznie ją

płaszcząc. Tylnie dokończyło dzieła. Garson leżał na wznak, patrząc na groteskowo dwuwymiarowe palce. Po chwili wrzasnął w gorące błękitne niebo.

### 31

— TAAAMEEE FAYYYYE!

Okrzyk ten był wystarczająco głośny, by wyrwać Franka Jewetta z coraz głębszego snu. W kilku pierwszych sekundach po przebudzeniu Frank nie miał zielonego pojęcia, gdzie się właściwie znajduje — tyle tylko, że było mu ciasno. Nieprzyjemnie ciasno. I trzymał coś w dłoni. Ciekawe co? Podniósł rękę, omal nie wydziobując sobie oka nożem do mięsa.

— OOOCH! AAACH! TAAAMEEEFAAAAYEEEE!

Nagle wszystko mu się przypomniało. Leżał za kanapą w domu swego dobrego starego przyjaciela George'a T. Nelsona, który to George T. Nelson w ten oto hałaśliwy sposób oplakiwał swą ukochaną papuzkę. Przypomniało mu się wszystko: rozrzucone po podłodze gabinetu magazyny, szantaż, możliwa (nie, raczej prawdopodobna — im więcej o niej myślał, tym bardziej wydawała mu się prawdopodobna) ruina zawodowa i prywatna.

Nie do wiary, ale usłyszał, jak George T. Nelson płacze. Płacze z powodu jakiejś cholernej pierzastej fabryczki gówna! No cóż — pomyślał Frank — uwolnię cię od cierpień, George. Kto wie, może trafisz nawet do ptasiego nieba?

Szloch zbliżał się do jego kryjówki. Coraz lepiej! Wskoczy zza kanapy — „Cześć, George, niespodzianka!” — i sukinsyn będzie trupem, nim w ogóle zorientuje się, co się stało. Frank szykował się właśnie do śmiertelnego skoku, kiedy George, nadal płacząc, opadł ciężko na kanapę. Nie był ułomkiem, mebel pojechał więc lekko po wykładzinie, a pełne zdumienia „uuuch!” zagłuszyły hałaśliwe chlipnięcia. George sięgnął po telefon, zadzwonił, zalewając się obficie łzami, i jakimś cudem złapał Freda Rubina, który podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

— Fred! Fred! Stało się coś strasznego! Może nadal się dzieje?

Jezu, Fred! Jezu, Fred!



Za (i nieco pod) nim Frank Jewett rozpaczliwie walczył o oddech. Przez głowę przemknęły mu czytane w dzieciństwie opowiadania Edgara Allana Poe, te o pogrzebanych żywcem ludziach. Twarz czerwieniała mu na kolor starej cegły. Ciężka drewniana

noga kanapy, która wbiła mu się w pierś, gdy George wykonał zamaszysty siad, ciążyła mu niczym ołowiana belka. Tył mebla przyciskał mu do ściany ramiona i policzek.

Z góry dobiegała go chaotyczna opowieść o tym, czego dokonał. George zamilkł wreszcie na chwilę, a potem wybuchnął:

— Nie obchodzi mnie, czy powinienem opowiadać o tym przez telefon! Co mnie to może obchodzić, kiedy on zabił Tammy Faye! Ten skurwiel zabił Tammy Faye! Kto to mógł zrobić, Fred? Kto? Musisz mi pomóc!

George umilkł, zapewne słuchając, Frank zaś zorientował się z rozpaczą, że wkrótce zemdleje. Pojął nagle, co powinien zrobić. Powinien strzelić przez kanapę! Najprawdopodobniej nie zabije w ten sposób George'a T. Nelsona, być może go nawet nie trafi, ale z pewnością zwróci na siebie uwagę, a jeśli tego dokona, istnieje duża szansa, że George poderwie swój tłusty tyłek z kanapy, nim Frank umrze za nią z nosem wciśniętym w kaloryfer.

Wypuścił z garści nóż. Spróbował sięgnąć za pasek i — jak w sennym koszmarze — uświadomił sobie, że nie jest w stanie, zaciskał i otwierał palce dobre pięć centymetrów nad kościaną kolbą pistoletu. Używając całej pozostałej mu w rezerwie siły, starał się opuścić dłoń jeszcze odrobinę, ale ściśnięte między kanapą a ścianą ramię nawet nie drgnęło. Ciężar mebla dodany do znacznego ciężaru George'a okazał się nie do pokonania. Równie dobrze mógł być przyklejony lub wręcz przybity gwoździami.

Czarne płatki — zwiastuny zbliżającego się w szybkim tempie niedotlenienia — zatańczyły przed wytrzeszczonymi oczami Franka Jewetta.

Niczym zza horyzontu słyszał, jak jego stary przyjaciel wrzeszczy na Franka Rubina, niewątpliwie swego partnera od kokaino-wych transakcji:

— O czym ty, do cholery, gadasz?! Dzwonię, żeby ci powie dzieć o zamordowaniu Tammy Faye, a ty mi każesz iść do sklepu? Nie potrzebuję cudeniek, Fred, potrzebuję...

Przerwał, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Ostatnim — dosłownie! — wysiłkiem Frank przesunął kanapę o kilka centymetrów. Niewiele to było, ale zdołał przynajmniej złapać kilka haustów cudownie

słodkiego powietrza.

— Co sprzedaje? — wrzasnął George T. Nelson. — Jezu! Jezu Chryste! Dlaczegoś mi tego od razu nie powiedział!

Cisza. Frank Jewett leżał za kanapą jak wyrzucony na plażę

wieloryb, wdychając powietrze i mając nadzieję, że jego straszliwie walące serce nie wybuchnie. Za chwilę wstanie i zastrzeli swojego starego przyjaciela Georga T. Nelsona. Za chwilę. Kiedy czarne płatki wielkości liści łośpucha, które ciągle latają mu przed oczami, wreszcie znikną. Za chwilę. Najmarniej za dwie!

— Dobrze. Wpadnę do niego. Wątpię, czy taki z niego cudo twórca, jak mówisz, ale w czasie burzy każdy port dobry, nie? Tylko powiem ci jedno: nie obchodzi mnie, czy handluje czy nie. Znajdę sukinsyna, który mi to zrobił — to dla mnie teraz najważniejsza sprawa — i przybiję go hufnalami do najbliższej ściany. Pojmujesz, stary?

Ja tam pojmuję, pomyślał Frank, ale kwestią otwartą pozostaje, kto kogo do niej przybije, mój ty towarzyszu uciech.

— Tak, pamiętam nazwisko! — wrzasnął George. — Gaunt. Gaunt, kurwa, Gaunt.

Rzucił słuchawkę na widełki, po czym najprawdopodobniej cisnął telefonem przez pokój, w każdym razie rozległ się brzęk tłuczonego szkła. W chwilę później, głośno poprzysięgając zemstę, wybiegł z domu. Ryknął silnik jego terenówki. Odpychając powoli kanapę od ściany, Frank słyszał, jak samochód cofa się na podjeździe, po czym rusza z wyciem opon. Jego stary przyjaciel George zniknął.

W dwie minuty później w powietrze wzniosły się zza piaskowej kanapy dłonie, opadając na jej oparcie. W chwilę później między dłońmi pojawiła się twarz Franka M. Jewetta — blada, obłąkana, z okularami pana Weatherbee ze stłuczonym szkiełkiem na nosie. Na jednym policzku oparcie kanapy pozostawiło odbicie wzorku w kratkę, w rzadziejących włosach tańczyło kilka kłębków kurzu.

Powoli, niczym rozdęty trup wznoszący się z dna rzeki, by wypłynąć tuż pod jej powierzchnią, na twarzy Franka pojawił się uśmiech. Tym razem nie dorwał swego starego przyjaciela, ale jego stary

przyjaciel nie miał zamiaru wyjeżdżać z miasta, co łatwo było wywnioskować z rozmowy telefonicznej. Da się go znaleźć jeszcze przed końcem dnia. W miasteczku wielkości Castle Rock tylko cud mógłby w tym przeszkodzić.

Sean Rusk stał przy kuchennym wejściu domu, z niepokojem obserwując garaż. Pięć minut wcześniej poszedł tam jego starszy brat; Sean widział go właściwie przypadkiem, wyglądał właśnie przez okno w sypialni. Brian trzymał coś w ręku. Z tej odległości nie sposób było zobaczyć co takiego, ale Sean nie musiał wiedzieć — wiedział, że to ta nowa karta baseballowa — ta, do której Brian bez przerwy łąził na górę. Brian nie wiedział oczywiście, że jego brat wie o karcie, ale brat oczywiście wiedział. Wiedział nawet, kto na niej jest, bo dziś pierwszy wrócił ze szkoły i poszedł do sypialni Briana, żeby ją sobie obejrzyć. Nie miał pojęcia, dlaczego Bri tak ją ubóstwia — była stara, brudna, postrzępiona i spłowiała. O przedstawionym na niej graczynie nic nie wiedział — miotacz Los Angeles Dodgers nazwiskiem Sammy Koberg, życiowy rekord to jedno zwycięstwo, trzy przegrane. Facet nie spędził nawet pełnego sezonu w pierwszej lidze. Po co komu taka bezwartościowa karta?

Sean nie miał zielonego pojęcia. Ale pewien był po pierwsze tego, że Brian miał hyzia na punkcie tej właśnie karty, po drugie, że brat zachowywał się w sposób trochę dziwny i... straszny. Jak na tych poglądówkach, które pokazują, jak zachowują się dzieci po narkotykach. Ale Brian nie brałby przecież narkotyków, prawda?

Coś w twarzy idącego do garażu brata wystraszyło Seana do tego stopnia, że poszedł do matki. Nie był pewien, co powinien jej powiedzieć, ale okazało się to bez znaczenia, ponieważ nie miał okazji powiedzieć nic. Mama tańczyła w sypialni ubrana w szlafrok, na nosie zaś miała te głupie okulary z tego nowego sklepiku.

- Mamo, Brian... — powiedział Sean i nie miał okazji powiedzieć nic więcej.
- Idź sobie, Sean, mama jest zajęta.
- Ale mamo...
- Powiedziałam, wynoś się!

Nim zdołał cokolwiek powiedzieć, został bezceremonialnie wypchnięty z pokoju. Kiedy mama pchała Seana, jej szlafrok rozchylił się i nim chłopiec zdołał odwrócić wzrok, dostrzegł, że nie ma

pod nim nic, nawet nocnej koszuli.

Mama zatrzasnęła za nim drzwi. I zamknęła je na klucz. Więc stał teraz, zaniepokojony, w kuchennych drzwiach, czekając, aż Brian wyjdzie z garażu. Ale Brian się nie pokazał.

Niepokój rósł w nim powoli, w ukryciu, aż zmienił się w niemożliwy do opanowania strach. Sean wyszedł na dwór, przeszedł przez alejkę i wszedł do garażu. W środku było ciemno, strasznie

gorąco i pachniało olejem. Przez moment nie dostrzegł brata w mroku i już nawet pomyślał, że pewnie drugimi drzwiami wyszedł na podwórko, ale potem zobaczył go i krzyknął słabo.

Brian siedział pod ścianą obok kosiarki do trawy. Wziął strzelbę taty, oparł ją kolbą o podłogę, a lufę wycelował we własną twarz. Trzymał ją jedną ręką, drugą zaś zaciskał brudną kartę, która jakoś tak opanowała przez ostatni tydzień całe jego życie.

- Brian! Co ty wyprawiasz?
- Nie podchodź bliżej, Sean. Ubrudzę cię.
- Brian, nie! — Sean rozplakał się. — Nie bądź świnia. Ja

się boję!

- Chcę, żebyś mi coś obiecał. — Brian zdjął buty i skarpetki, wielki palec u nogi próbował wcisnąć pod kabłąk spustowy remingtona.

Sean poczuł, jak między nogami robi mu się ciepło i mokro. W życiu nie był taki przerażony.

- Brian, proszę. Proszę!
- Chcę, żebyś mi obiecał, że nigdy nie pójdziesz do tego

nowego sklepu. Słyszysz?

Sean zrobił krok w stronę brata i zamarł. Palec nogi Briana przyciskał spust.

— Nie! — wrzasnął, cofając się natychmiast. — To znaczy tak, tak!

Widząc, że brat się cofnął, Brian lekko opuścił lufę. I unióś paluch ze spustu.

- Obiecaj.
- Tak! Wszystko obiecuję! Tylko mi tego nie rób! Nie... nie drażnij się ze mną. Chodźmy, obejrzymy „Transformersy”. Nie... ty wybierzesz! Co tylko chcesz! Nawet Wapnera. Możemy oglądać Wapnera, jeśli tylko chcesz. Cały tydzień! Cały miesiąc! Będę go

z tobą oglądał! Tylko mnie nie strasz, Bri, proszę, tylko mnie nie strasz!

Brian Rusk pewnie go nawet nie słyszał. Jego oczy zdawały się pływać w spokojnej, nieprzeniknionej twarzy.

- Nie wolno ci tam pójść — powiedział. — „Sklepek z marzeniami” to trujące miejsce, a pan Gaunt to trujący człowiek. Tylko że naprawdę to nie jest człowiek. To wcale nie człowiek. Obiecuj mi, że nigdy nie kupisz żadnej z tych trujących rzeczy, które sprzedaje pan Gaunt.

- Obiecuję, obiecuję! — bełkotał Sean. — Obiecuję na życie mamy!

- Nie, tego nie możesz zrobić, bo on ją też ma. Przysięgnij na swoje życie, Sean. Przysięgnij na całe swoje życie.

- Przysięgam! — krzyknął stojący w ciemnym, gorącym garażu chłopczyk, błagalnie wyciągając rączki do brata. — Przysięgam, przysięgam ci na swoje życie. A teraz odłóż to, Bri i...

- Kocham cię, braciszku — powiedział Brian. Przez chwilę przyglądał się trzymanej w dłoni karcie. — Sandy Koufax to gówno — stwierdził spokojnie i nadepnął na spust.

Przeraźliwy, cienki, pełen panicznego strachu krzyk Seana wzbił się ponad tępy, donośny huk strzału, rozsadzający niemal ciemny, gorący garaż.

### 33

Leland Gaunt z łagodnym uśmiechem na ustach stał w oknie sklepu i przyglądał się głównej ulicy. Echo strzału dobiegło tu z Ford Street bardzo słabo, ale pan Gaunt słuch miał dobry.

Uśmiechnął się nieco szerzej.

Zdjął wiszącą w oknie tabliczkę, tę oznajmiającą, że przyjmuje tylko umówionych klientów, i na jej miejscu powiesił nową:

ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA.

— *Zaczyna się zabawa* — powiedział do siebie. — Oooo, tak!

## Rozdział 18

Poity Chalmers nie miała pojęcia o tym, co dzieje się w miasteczku. Podczas gdy w Castle Rock dojrzewały pierwsze owoce trudów pana Lelanda Gaunta, znajdowała się przy końcu drogi miejskiej nr 3, w posiadłości należącej niegdyś do Camberów. Pojechała tam, gdy tylko skończyła rozmawiać z Alanem.

Skończyła? Rozmawiać? O mój Boże — pomyślała Poity — „koniec rozmowy” to określenie z pewnością zbyt cywilizowane. Kiedy rzuciła słuchawkę w pół słowa — czy nie to miałam przypadkiem na myśli?

No więc dobrze. Kiedy rzuciłam słuchawkę. Ale on węszył mi za plecami. A kiedy do niego zadzwoniłam, najpierw się plątał, a potem skłamał. Skłamał! Zdaje mi się, że łgarz nie zasługuje na cywilizowane traktowanie.

Coś się w niej na tę myśl poruszyło, coś, co może doszłoby do głosu, gdyby miało na to i czas, i miejsce. Poity nie dała mu jednak ani jednego, ani drugiego. Nie miała zamiaru słuchać wewnętrznego głosu, nie miała nawet zamiaru myśleć o ostatniej rozmowie z Alanem Pangbornem. Miała za to zamiar skończyć robotę przy drodze nr 3, a potem wrócić do domu, a kiedy znajdzie się w domu, miała zamiar wziąć chłodną kąpiel i pójść do łóżka na dwanaście, może nawet szesnaście godzin.

Zbuntowany głos zdołał wykrztusić kilka słów: „Ale... Poity... czy pomyślałaś...”.

Nie. Nie pomyślała. Zapewne będzie musiała pomyśleć, ale na razie jeszcze na to za wcześnie. Wraz z myśleniem przyjdzie ból. Na razie zamierzała tylko załatwić sprawę... i nie myśleć.

Dom Camberów sprawiał dość przeraźliwe wrażenie, niektórzy mówili nawet, że jest nawiedzony.

Nie tak znowu dawno na jego podwórku zginęły dwie osoby: mały chłopiec i szeryf George Bannerman. Dwie inne, Gary Pervier i Joe Camber, zginęły po drugiej stronie wzgórza. Poity zaparkowała samochód w miejscu, w którym kobieta nazwiskiem Donna Trenton zaparkowała kiedyś fordą „Pinto”, popełniając tym samym straszliwy błąd. Kiedy wysiadała, azka przesunęła się jej między piersiami.

Przez moment rozglądała się niepewnie. Dostrzegła zapadnięty ganek, odrapane ściany porośnięte gęsto bluszczem oraz okna — w większości powybijane i odpowiadające bezmyślnie na jej spojrzenie. Świerszcze wyśpiewywały w trawie swe głupie piosenki, a na niebie świeciło rozpalone słońce, dokładnie takie jak wtedy, gdy Donna Trenton walczyła tu rozpaczliwie o życie swoje i swojego synka.

Co ją tu robię? — pomyślała Poity. — Jezu Chryste, co ja właściwie tu robię!?

Oczywiście, znała odpowiedź na to pytanie. Jej obecność tu nie miała nic wspólnego z Alanem Pangbornem, z Keltonem, z Wydziałem Opieki nad Dziećmi z San Francisco. Ta odrobina pracy w terenie nie miała nic wspólnego z miłością, a wszystko z bólem. To wszystko... i to wystarczało.

W małym, srebrnym amulecie zamknięte było coś. Coś żywego. Jeśli nie dotrzyma układu zawartego z panem Gauntem, to coś umrze. Poity nie wiedziała, czy zniesie powrót do bólu, straszego bólu miażdżonych dłoni, z którym obudziła się w niedzielny ranek. Mając przed sobą perspektywę życia z takim bólem, wolałaby raczej popełnić samobójstwo.

— I nie chodzi mu o Alana — powiedziała cicho, idąc w stronę stodoły. Jej wrota stały otworem, dach zapadł się złowrogo. — Obiecał, że nie tknie go nawet paluszkciem.

A co cię to w ogóle obchodzi? — szepnął ów przerażający głos.

Obchodziło ją, bo nie chciała skrzywdzić Alana. Była na niego zła, tak, nawet wściekła, ale nie oznaczało to przecież, że ma się zniżyć do jego poziomu, że ma go potraktować tak obrzydliwie, jak on potraktował ją.

Ale, Poity, czy pomyślałaś...

Nie! Nie!!!

Zrobi kawał Ace'owi Merrillowi, który jest jej całkiem obojętny — nie poznała go nigdy, wiedziała tylko, jaką cieszy się powszechnie opinią. Zrobi kawał Ace'owi, tylko...

Tylko że Alan, który wysłał niegdyś Ace'a do Shawshank, miał w tym wszystkim jakieś miejsce. W głębi serca była tego pewna.

Ale... czy istnieje droga odwrotu? Przecież teraz chodzi także o Keltona. Pan Gaunt nie powiedział jej wprawdzie wyraźnie, że jeśli go zawiedzie, wieść o tym, co zdarzyło się z Keltonem, obiegnie calutkie Castle Rock... ale dość wyraźnie dał jej to do zrozumienia. Nie zniosłaby ujawnienia tej tajemnicy.

Czy kobieta nie ma prawa do dumy? Kiedy nie zostało jej już nic, czy nie ma prawa przynajmniej do dumy, ostatniej monety, bez której jej portfel byłby zupełnie pusty?

Tak. Oczywiście. Oczywiście!

Pan Gaunt powiedział, że jedyne narzędzie, którego będzie potrzebowała, znajdzie w stodole, Poiły ruszyła więc powoli w tym kierunku.

— Idź gdziekolwiek, lecz idź tam żywa — powiedziała jej babcia Ewie. — Nie bądź duchem. — Lecz teraz, wchodząc do stodoły Camberów przez wrota otwarte na oścież, zamarłe w zardzewiałych zawiasach, Poiły czuła się jak duch. Azka poruszyła się między piersiami... sama z siebie. Coś w niej było. Coś w niej żyło. Niezbyt to się Poiły podobało, ale perspektywa życia, gdy to coś umrze, podobała się jej jeszcze mniej.

Więc robi to, co pan Gaunt kazał jej zrobić, przynajmniej ten jeden raz, zerwie ostatecznie z Alanem Pangbornem (popelniła błąd, w ogóle się z nim wiążąc — dostrzegła to właśnie teraz, jasno to dostrzegła) i zachowa przeszłość dla siebie. Czemu nie?

W końcu to przecież taki drobiazg.

Łopata znajdowała się dokładnie tam, gdzie pan Gaunt powiedział, że będzie się znajdowała, oparta o ścianę, drzemiąca w promieniu słońca. Złapała za jej wygładzone latami użycia stylisko.

Nagle usłyszała cichy, groźny warkot dobiegający z głębokiego cienia, jakby wściekły bernardyn, który zabił Wielkiego George'a Bannermana i spowodował śmierć Tada Trentona, powrócił do życia jeszcze groźniejszy niż niegdyś. Z gęsią skórką na ramionach Poiły uciekła na dwór. Podwórko nie sprawiało wrażenia radosnego — nie z tym pustym domem przyglądającym się jej ponuro — ale wydawało się o wiele przyjemniejsze od stodoły.

Co ja tu robię? — żałośnie spytała sama siebie jeszcze raz.

— Stajesz się duchem — odpowiedział jej głos babci Ewie. — To właśnie robisz. Stajesz się duchem.

Poiły zacisnęła powieki.



- Przestań! — szepnęła. — Przestań!
- No właśnie — zabrzmiał jej w głowie głos pana Gaunta. —

A poza tym, o co ci właściwie chodzi? Przecież to tylko niewinny żarcik. A nawet gdyby miało z niego wyniknąć coś poważnego — nie wyniknie, oczywiście, że nie wyniknie, ale przypuśćmy, tylko przypuśćmy, dla dobra dyskusji, że jednak wyniknie — to czyja to będzie wina?

- Alana, oczywiście — szepnęła. Rozglądała się nerwowo dookoła, splatała i rozplatała złożone na piersiach dłonie. — Gdyby przyjechał, porozmawiałabym z nim... gdyby nie uraził mnie, wtykając nos w sprawy, które do niego nie należą...

Cichy głos znów próbował się odezwać, lecz pan Gaunt zagłuszył go z łatwością.

— No właśnie — powtórzył. — A jeśli chodzi o to, co właściwie tu robisz, Poiły, odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Płacisz. Płacisz i nic więcej. Duchy nie mają z tym nic wspólnego. Zapamiętaj sobie jedno — najcudowniejszy i najwspanialszy aspekt handlu — kiedy już za coś zapłacisz, jest twoje. Nie spodziewałaś się przecież, by rzecz tak cudowna, jak azka, kosztowała tanio, prawda? Lecz gdy skończysz za nią płacić, będzie twoja. Do rzeczy, za którą się zapłaciło, ma się jasno określone prawo. Więc co? Będziesz tak stała, słuchając płaczliwych, wystraszonych głosów, czy zrobisz, co masz do zrobienia?

Poiły otworzyła oczy. Azka wisiała nieruchomo między jej piersiami. Jeśli się ruszała — a wcale nie była tego tak pewna, jak przedtem — to teraz w każdym razie przestała. Dom zaś był tylko domem, zbyt długo niezamieszkanym, chylącym się ku nieuchronnej ruinie. Okna nie przypominały już oczu; były po prostu dziurami pozbawionymi szkła przez przedsiębiorczych chłopców z kamieniami. Jeśli rzeczywiście usłyszała coś tam, w stodole — a tego wcale nie była już tak pewna — to z pewnością był to tylko dźwięk, jaki wydały drzewa rozgrzane nietypowo jak na tę porę roku gorącymi promieniami słońca.

Rodzice Poiły nie żyli. Nie żył jej słodki mały chłopczyk. I pies, który tak okrutnie i tak bezwzględnie rządził tym podwórkiem przez trzy letnie dni i trzy letnie noce, nie żył już także.

Duchów nie ma.

— Nawet jeśli wziąć pod uwagę mnie — powiedziała Poiły i ruszyła dookoła stodoły.

— Kiedy obejdiesz stodołę — powiedział jej pan Gaunt — zobaczysz szczątki starej przyczepy.

Rzeczywiście, ujrzała ją natychmiast: niemal zasłoniętą przez krzaki i gąszcz jesiennych słoneczników.

— Po lewej stronie obok przyczepy zobaczysz duży, płaski kamień.

Znalazła go bez najmniejszego problemu. Był rzeczywiście duży — prawie jak płyta chodnikowa.

— Odsuń go i kop. Mniej więcej pół metra pod ziemią zakopana jest puszka po proszku do pieczenia.

Poiły odsunęła kamień i zaczęła kopać. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy łopata zgrzytnęła po puszcze. Odrzuciła łopatę i zaczęła rozgarniać miękką ziemię palcami, palcami rwała też cienkie sploty korzeni. W minutę później trzymała w dłoniach puszkę, zardzewiałą, lecz nienaruszoną. Zgniła nalepka zeszła z niej natychmiast, na odwrocie był przepis na ciasto ananasowe „Niespodzianka” (większości składników nie udało się jej odczytać, zarosła je ciemna pleśń) i kupon na herbatniki, którego ważność minęła w 1969 roku. Wsunęła palce pod pokrywkę, zrywając ją bez problemu. W twarz buchnęło jej zgniłe powietrze, aż się przed nim uchyliła. Płaczliwy głos jeszcze raz spróbował zapytać ją, co właściwie tu robi, ale wyłączyła go bez problemu.

Zajrzała do puszki. Znalazła w niej dokładnie to, co według pana Gaunta miała *znaleźć*: zwitek złotych znaczków skarbowych i kilkanaście białych zdjęć, a wśród nich fotografię kobiety w trakcie stosunku z owczarkiem collie. Wyjęła te skarby, wsunęła do tylnej kieszeni dżinsów, po czym natychmiast wytarła dłoń o spodnie. Umyję się przy pierwszej okazji — obiecała sobie. Dotykała rzeczy zbyt długo leżących w ziemi. Czuła się brudna.

Z drugiej kieszeni wyjęła zaklejoną długą kopertę, na której dużymi literami wypisane były słowa: DO NIEUSTRASZONEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW. Włożyła ją do środka, wcisnęła wieczko na miejsce i wrzuciła puszkę do wykopanej wcześniej dziury. Zakopała ją szybko i niezbyt

starannie. Marzyła tylko, by

wynieść się stąd do diabła, więc kiedy skończyła, poszła do samochodu szybkim krokiem. Łopatę wyrzuciła w chwasty. Nie miała zamiaru po raz drugi wejść do stodoły, niezależnie od tego, jak doskonale wytłumaczyła sobie hałas, który w niej słyszała.

Najpierw otworzyła drzwi od strony pasażera, a potem skrytkę. Grzebała wśród stosu nagromadzonych w niej śmieci, póki nie znalazła starej paczki zapalek. Zmarnowała trzy, dopiero czwarta zapłonęła niewielkim płomykiem. Dłonie prawie wcale już jej nie bolały, ale drżały za to tak bardzo, że w trzech pierwszych zapalkach złamała główki.

Czwartą, zapaloną, przytrzymała w prawej dłoni — w jasnym słońcu niemal nie widać było płomyka — lewą zaś wyjęła z kieszeni znaczki i zdjęcia. Podpaliła cały zwitek, upewniła się, że nie zgaśnie, i wyrzuciła zapalkę. Obróciła dłoń do dołu, podstawiając znalezisko pod coraz większy płomień. Kobieta na zdjęciu była wygłodzona, oczy miała podkrążone, pies sprawiał wrażenie chorego na egzemę, lecz na tyle inteligentnego, by się wstydzić. Poily czuła ulgę, patrząc, jak brązowieje i płonie jedyne zdjęcie, które widziała. Kiedy fotografie zaczęły się kurczyć, rzuciła płonący zwitek na ziemię, na której inna kobieta zabiła psa — bernardyna — kijem do baseballu.

Ogień płonął; zdjęcia i znaczki szybko zmieniły się w czarny popiół, który na chwilę błysnął i zgasł... i w tej samej chwili nagły powiew wiatru poruszył nieruchome przez cały dzień powietrze, rozerwał ciemny popiół na płatki i uniośł je w powietrze. Poily uniosła w ślad za nim rozszerzone naraz, przerażone oczy. Skąd właściwie powiał ten nieprawdopodobny wiatr?

Daj spokój z tymi cholernymi...

W tej samej chwili z mroku rozgrzanej słońcem stodoły rozległ się niski warkot niczym dźwięk wielkiego, pracującego na wolnych obrotach silnika. Nie był on dziełem jej wyobraźni, nie wydały go rozgrzane słońcem deski.

Warczał pies.

Przerażona Poily spojrzała w tamtą stronę. W ciemności psie oczy błyszczwały jak małe czerwone światełka.

Obiegła samochód, boleśnie uderzając biodrem w zderzak, wsiadła, zamknęła oczy, zablokowała drzwi, przekreśliła kluczyk w stacyjce. Rozrusznik działał, ale silnik nie zapalił.

Nikt nie wie, gdzie jestem — uświadomiła sobie. Nikt oprócz pana Gaunta... a on nic nikomu nie powie.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że została złapana w pułapkę,

w którą wpadła kiedyś Donna Trenton i jej synek. Kiedy silnik zaskoczył, cofnęła tak szybko, że tylne koła omal nie wylądowały w rowie. Wrzuciła bieg i odjechała najszybciej jak się dało. Zupełnie zapomniała o tym, że chciała umyć ręce.

Ace Merrill wypełził z łóżka mniej więcej w tej samej chwili, w której pięćdziesiąt kilometrów dalej Brian Rusk strzelił sobie w głowę.

Poszedł do kibelka, zrzucając po drodze brudne szorty. Sikał z godzinę, może dwie. Podniósł ramię. Powąchał się pod pachą. Spojrzał na prysznic, ale kąpiel mogła poczekać. Ma przed sobą wielki dzień. Kąpiel może poczekać.

Wyszedł z toalety, nie spuściwszy wody. Samo spłynie — tę filozofię uprawiał już od dłuższego czasu. Ważniejsza była szafka, na której, na lusterku do golenia, leżała resztką koki jego pracodawcy. Wspaniała to była koka, przyjemna dla nosa i mocna. Noc miał ciężką, wymagającą dopingu — dokładnie tak, jak przewidział pan Gaunt — ale spodziewał się, że znajdzie go jeszcze trochę tam, gdzie się wybiera.

Krawędzią prawa jazdy podzielił biały proszek na porcje. Wciągnął je zwiniętą w rulon pięciodolarówką i coś w rodzaju rakiety Shrike wybuchło mu w głowie.

— Bum! — krzyknął swym najlepszym głosem Warnera Wolfa. — A teraz obejrzyjmy sobie taśmę!

Na goły tyłek wciągnął dzinsy, a potem włożył podkoszulek z emblematem „Harleya Davidsona”. Tak ubierają się w tym sezonie najmodniejsi poszukiwacze skarbów — pomyślał i roześmiał się dziko. Fajna była ta koka.

Szedł już do drzwi, kiedy przypadkiem spojrzął na trofea ostatniej nocy. Przypomniało mu się, że miał zadzwonić do Nata Copelanda w Portsmouth. Wrócił więc do sypialni, powyrzucił skłębione na najwyższej półce szafki ubrania i — wreszcie — znalazł zniszczony notatnik. Z nim w ręku poszedł do kuchni, usiadł i zaczął wykręcać numer. Bardzo wątpił, czy złapie Nata pod telefonem, ale co mu szkodziło spróbować? Koka szumiała mu w głowie radośnie, czuł jednak, że jej efekt powoli słabnie. Tak, tak, po dobrej porcji stajesz się nowym człowiekiem. Problem jedynie w tym, że ów nowy człowiek natychmiast pragnie kolejnej porcji, a zapasy były już na wyczerpaniu.

- Tak? — powiedział mu w ucho ostrożny głos. Ace zdał sobie sprawę, że znów wygrał jak na loterii. Szczęście wyraźnie mu dopisywało.

- Nat! — krzyknął radośnie.

- Kto, do kurwy nędzy, mówi mi po imieniu?

- Ja, przyjacielu. To ja!

- Ace? To ty?

- A któżby inny. Jak ci leci, Natty?

- Bywało lepiej. — Nat wcale nie wydawał się szczęśliwy, słysząc głos kumpla z warsztatów w Shawshank. — Czego chcesz?

- To tak rozmawiasz teraz ze swym starym kumplem? — Ace, ze słuchawką między szyją i ramieniem, dłońmi przyciągnął do siebie dwie przerdzewiałe puszki. Jedna z nich pochodziła z ziemi starego Treblehorna, druga z dziury po piwnicy dawnej farmy Mastersów, która spaliła się, gdy Ace miał zaledwie dziesięć lat. W jednej znalazł cztery arkusze zielonych znaczków S & H oraz kilka rulonów kuponów z papierosów Raleigh. Druga zawierała kilka arkuszy różnych znaczków i sześć rulonów jednocentówek. Tyle że nie wyglądały one na zwykłe jednocentówki.

Były białe.

- Może miałem tylko ochotę pogadać o dawnych czasach? — sztychł Ace. — No wiesz, dowiedzieć się, ile masz i ile bierzesz, tego rodzaju rzeczy.

- Czego chcesz, Ace? — powtórzył Nat Copeland zmęczonym głosem.

Ace wydobył z puszki dwa rulony jednocentówek. Papier, w który były owinięte, niegdyś fioletowy, spłowieł do koloru mdłego różu. Wytrząsnął na dłoń dwie monety i przyjrzał się im z zainteresowaniem. Jeśli ktokolwiek cokolwiek może mu o nich powiedzieć, to z pewnością Nat, który był kiedyś właścicielem sklepu numizmatycznego i kolekcjonerskiego. Miał także prywatny zbiór monet, jego zdaniem najlepszy w Nowej Anglii. Potem odkrył rozkosze kokainy i w ciągu

czterech lat po tym odkryciu numizmaty jeden po drugim wychodziły mu nosem. W 1985 policja, wezwana podłączonym do komisariatu alarmem, znalazła go na zapleczu sklepu, John Silver Coins" napychającego płócienną torbę srebrnymi dolarówkami.

Spotkali się niedługo później.

- No tak, przypomniałeś mi, że rzeczywiście mam do ciebie pytanie.

- Pytanie? I nic więcej?

- Absolutnie nic, stary przyjacielu.

- No dobrze. — Nat jakby trochę się rozluźnił. — Pytaj. Nie poświęcę ci całego dnia.

- Słusznie. Jesteś bardzo zajęty. Załatwiasz sprawy, załatwiasz ludzi, prawda, Nat? — Roześmiał się szaleńczo. Nie tylko koka wprowadziła go w cudowny nastrój, to po prostu cudowny dzień! Wrócił nad ranem, koka nie pozwoliła mu zasnąć niemal do dziesiątej mimo zasuniętych zasłon i fizycznego zmęczenia, a przecież był gotowy pożerać stalowe pręty i srać gwoździami. Czemu nie? O kurwa, czemu nie!? Fortuna już na niego czekała. Czuł to każdym nerwem, każdym włóknem ciała.

- Ace, czy tobie naprawdę chodzi coś po tym, co nazywasz głową, czy tylko chcesz się nade mną poznęcać?

- Nie, nie chcę się nad tobą znęcać. Dasz mi coś dobrego, Natty, a i ja dam ci coś dobrego. Nawet bardzo dobrego.

- Naprawdę? — Głos w słuchawce nagle złagodniał, ścisł, zabrzmiało w nim oddanie. — Co za gówno mi wciskasz, Ace?

- Najlepsze gówno ekstraklasa prima sort, Natty Bumppo, kochanie.

- Działka dla mnie?

- Na twoim miejscu nie wątpiłbym w to nawet przez sekundę — stwierdził Ace, ani przez sekundę nie biorąc tego poważnie. Wyciągnął ze starego, spłowiałego opakowania jeszcze kilka jednocentówek, palcem ułożył je w rzędzie, jedna za drugą. —

Tylko musisz mi uczynić grzeczność.

- Strzelaj.
- Co wiesz o białych jednocentówkach?

Nat nie odpowiadał przez chwilę, a potem spytał ostrożnie:

- Białych? Masz na myśli stalowe?
- Nie wiem, co mam na myśli — ty zbierasz monety, nie ja.
- Spójrz na daty. Zobacz, czy są z lat tysiąc dziewięćset

czterdzieści jeden—tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć.

Ace odwrócił leżące przed nim monety. Jedna była z roku 1941, trzy z 1943, ostatnia z 1944.

- Owszem, są. Ile mogą za nie dostać? — próbował opanować drzenie głosu i nie bardzo mu się udało.

- Za pojedyncze sztuki niewiele, ale i tak więcej niż centa.

Może dwa dolce. Trzy za dziewicze.

- Jakie?
- Dziewicze. Niewprowadzone do obiegu. Dużo ich masz?
- Sporo, całkiem sporo, przyjacielu. — Ale Ace był mocno

rozczarowany. Miał sześć rulonów, w sumie trzysta sztuk, a te, które leżały na stole, nie sprawiały wrażenia dziewiczych. Nie były może całkiem wytarte, ale i nie błyszczały nowością. Sześćset dolców, maksimum osiemset. Nie taką forszę nazywa się fortuną.

- Dobra, przywieź je, to rzucę na nie okiem. Dam ci dobrą cenę. — Nat zawahał się. — Ale weź ze sobą trochę proszku.

- Pomyślę o tym.
- Hej, Ace, nie odwieszaj słuchawki.
- Bardzo cię pieprzę — powiedział Ace i odwiesił słuchawkę.

Siedział na krześle pogrążony w ponurych myślach o jednocentówkach i zardzewiałych puszkach. Wszystko to wyglądało jakoś dziwnie. Bezwartościowe znaczki i sześćset dolarów drobnymi. Co z tego wynika?

Kurwa — pomyślał — najgorsze, że dokładnie nic z tego nie wynika. Gdzie są prawdziwe pieniądze? Gdzie FORTUNA!?

Wstał, poszedł do sypialni i zużył resztkę koki pana Gaunta. Kiedy wyszedł, w rękę trzymał książkę i oczywiście nastawiony był do świata znacznie przychylniej. Coś z tego jednak wynika. Oczywiście, że wynika. Teraz, kiedy ożywił szare komórki, widział to doskonale.

W końcu na mapie było mnóstwo krzyżyków. Znalazł dwie kryjówki dokładnie tam, gdzie powinny być, każda oznaczona wielkim płaskim kamieniem. Krzyżyki + płaskie kamienie = zakopany skarb. Najwyraźniej Pop na stare lata stracił kontakt z rzeczywistością w stopniu większym, niż myśleli ludzie z miasteczka, miał pewne problemy z odróżnieniem złota od gówna, ale fortuna: złoto, waluta, może jakieś walory, gdzieś jednak musi być. Gdzieś pod któryś z tych płaskich kamieni.

W końcu zdobył dowód. Stryj zakopał nie tylko zgniłe, bezwartościowe znaczki, ale także forszę. Na starej farmie Mastersów znalazł sześć rulonów jednocentówek wartych sześćset dolarów. Samo w sobie to niewiele, ale jako wskazówka...

— Ta forsa gdzieś tu jest — szepnął Ace. Oczy skrzyły mu się szaleńczo. — Jest gdzieś w jednej z tych siedmiu dziur. Jednej lub kilku.

Był tego pewien.

Wyjął z książki wyrysowaną na brązowej papierowej torbie mapę. Wodził palcem po krzyżykach, zastanawiając się, które z oznaczonych nimi miejsc jest najbardziej cenne. W końcu trafił na farmę Joego Cambera. Tylko tam dwa krzyżyki niemal na siebie zachodziły. Powoli przesuwając palcem od jednego do drugiego.

519

Joe Camber zginął na skutek tragedii, która zabrała jeszcze i trzy życia. Jego żony i syna nie było w tym czasie w domu. Pojechali na wakacje. Ludzie typu Camberów zazwyczaj nie jeżdżą na wakacje, ale Ace przypominał sobie mglście, że Charity Camber wygrała, zdaje się, na loterii stanowej. Próbował przypomnieć sobie coś jeszcze, ale niewiele z tej historii zostało mu w głowie. Miał wówczas swe własne problemy — całą kupę własnych problemów.

Co pani Camber zrobiła, kiedy wraz z synem wróciła z wycieczki i dowiedziała się, że Joe — sukinsyn pierwsza klasa, jak głosiła powszechna opinia — odszedł z padółu łez? Wyjechała za granice stanu, prawda? A farma? Może chciała pozbyć się jej — jak najszybciej. Jeśli chodzi o sprzedanie czegoś jak najszybciej, w Castle Rock zwracano się z tym problemem do jednego człowieka: Reginalda Mariona „Popa” Merrilla. Czy do niego więc poszła pani Camber? Pop postawiłby



twarde warunki — zawsze stawiał twarde warunki — ale jeśli bardzo chciała wynieść się z miasteczka, twarde warunki mogły jej odpowiadać. Innymi słowy, farma Camberów również mogła należeć do Popa w chwili jego śmierci.

Podejrzenia zmieniły się w pewność zaledwie na moment przed tym, nim Ace zdał sobie z tego sprawę.

— Camberowie — powiedział głośno. — Założę się, że to właśnie tam. Jestem pewien, że to właśnie tam!

Tysiące dolarów. Może dziesiątki tysięcy? Święty Jezu!

Porwał mapę i wsadził ją z powrotem do książki. Niemal pobiegł do samochodu, który pożyczył mu pan Gaunt.

Jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi: jeśli Pop rzeczywiście potrafił odróżnić złoto od gówna, to czemu w ogóle zakopywał znaczki?

Ace odsunął od siebie to pytanie. Popędził do Castle Rock.

Danforth Keeton dojechał do domu na Castle View w chwili, gdy Ace wyjeżdżał zwiedzić wiejskie okolice Castle Rock. Nadal przykuty był do klamki samochodu, ale mimo to czuł jakąś dziką euforię. Dwa lata walczył z cieniami, a w dodatku cienie wygrywały. *Zaczai* się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie oszalał... Oni zaś, oczywiście, pragnęli, by w to uwierzył.

Po drodze uwagę jego zwróciło kilka anten satelitarnych. Zauważył je już wcześniej i już wcześniej zastanawiał się, czy nie są przypadkiem częścią tego, co dzieje się w mieście. Teraz wreszcie nabrał całkowitej pewności — to nie żadne „anteny”, tylko zakłóczacze pracy mózgu. Może nie wszystkie nastawione były na jego dom, ale pozostałe z pewnością kierowano na domy tych niewielu ludzi, którzy — jak on — rozumieli, co się tu dzieje.

Zatrzymał się na podjeździe. Drzwi do garażu otworzył sterownikiem przymocowanym do osłony przeciwsłonecznej nad przednią szybą. W tym momencie jego głowę przeszył straszliwy ból. Oczywiście, to także część konspiracji: wymieniono zwykły sterownik na coś, co wprawdzie otwierało drzwi, ale i nasycalo mu mózg złym promieniowaniem.

Nim wjechał do garażu, odczepił sterownik i wyrzucił go za okno.

Wyłączył silnik, otworzył drzwiczki i wysiadł. Kajdanki przykuwały go do samochodu równie

skutecznie co łańcuch krowę do palika. Na ścianie, co prawda, wisiały odpowiednie narzędzia, ale nie mógł ich dosięgnąć. Nacisnął klakson.

Kiedy rozległo się przeraźliwe trąbienie, Myrtle Keeton, która tego popołudnia zrobiła już, co miała do zrobienia, leżała w łóżku w sypialni na górze i drzemała niespokojnie. Usiadła gwałtownie z oczami wytrzeszczonymi ze strachu.

— Przecież zapłaciłam! — sapnęła. — Zrobiłam, co mi pan kazał zrobić, proszę niech mnie pan zostawi w spokoju!

W końcu zdała sobie sprawę z tego, że śni, że pana Gaunta tu nie ma. Westchnęła z ogromną ulgą.

Biiiiip! Biiiiip! Biiiiiiiiiiiiip!

Brzmiało to jak klakson cadillaca. Podniosła leżącą obok niej lalkę, piękną lalkę, którą kupiła w sklepie pana Gaunta, i przytuliła ją mocno. Zrobiła dziś coś, co jakaś jej wystraszona, niepewna siebie część uważała za złe, za bardzo złe; od tej chwili lalka stała się dla niej wręcz bezcenna. Odpowiednia cena — powiedziała by z pewnością pan Gaunt — zawsze podnosi wartość towaru... przynajmniej w oczach kupującego.

Biiiiip!

Rzeczywiście, klakson cadillaca. Czemu Danforth siedzi w garażu i trąbi? Chyba najlepiej będzie zejść na dół i sprawdzić.

— Tylko nie skrzywdź lali — powiedziała cicho, odkładając ją w cień po swojej stronie łóżka. — Tylko nie skrzywdź lali. Tego już bym nie zniosła.

Myrtle należała do licznego grona ludzi, którzy tego dnia odwiedzili „Sklepik z marzeniami”; była po prostu jeszcze jednym nazwiskiem na liście. Przyszła jak wielu innych, ponieważ pan Gaunt kazał jej przyjść. Przekazał jej polecenie w sposób, który dla Granata byłby najzupełniej logiczny i zrozumiały: przemówił w jej głowie. Powiedział, że przyszedł czas do końca uregulować należność za lalę... jeśli oczywiście chce ją zatrzymać. Jeśli chce, ma zanieść list i metalową kasetkę do Sali Izabeli koło kościoła Matki Bożej Spokojnych Wód. Ścianki i wieczko kasetki zrobione były z siatki. Z wnętrza dobiegało ciche cykanie. Spróbowała zajrzeć do środka przez okrągłe oczka siatki przypominającej oprawę głośników w staroświeckim radiu, ale dostrzegła tylko, i to z trudem, jakąś kostkę. Prawdę mówiąc, nie bardzo się wysilała. Wydawało się, że lepiej...

bezpieczniej... jest nie próbować zbyt usilnie.

Kiedy dotarła na miejsce, to choć na kościelnym parkingu zauważyła jeden samochód, sala jednak była pusta. Zęby się upewnić, zajrzała do środka nad wiszącym w przeszklonych drzwiach plakatem, a potem przeczytała plakat.

CÓRY IZABELI SPOTYKAJĄ SIĘ WE WTOREK O 17.00. POMÓŻ NAM TWORZYĆ „CASINO NITE”!

Myrtle wślizgnęła się do środka. Po lewej stronie znajdowały się pomalowane na wesołe kolory schowki, w których dzieci z przedszkola parafialnego trzymały kanapki, a uczniowie szkółki niedzielnej rysunki i zeszyty. Skrzynkę miała ukryć w jednym z nich; okazało się, że pasuje idealnie.

Pośrodku stał stół przewodniczącej spotkań ozdobiony z lewej strony flagą amerykańską, z prawej zaś sztandarem z wizerunkiem Dziecięcia Pragi. Wszystko przygotowane już było do dzisiejszego spotkania, na stole leżały pióra, ołówki, formularze do zbierania podpisów popierających „Casino Nite”, a pośrodku porządek obrad. Kopertę, którą dał jej pan Gaunt, Myrtle położyła pod nim tak, by Betsy Yigue, która była tego roku Przewodniczącą Cór Izabeli, dostrzegła ją, kiedy tylko podniesie kartkę.

PRZECZYTAJ TO NATYCHMIAST, TY PAPIESKA KURWO — głosił znajdujący się na kopercie, wypisany wielkimi literami napis.

Czując, jak serce wali jej w piersi, z ciśnieniem krwi orbitującym gdzieś wokół Księżyca, Myrtle na paluszkach uciekła z sali spotkań Cór Izabeli. Na dworze przystanęła na chwilę, trzymając się za wielki biust i próbując złapać oddech.

W tym momencie dostrzegła kogoś wybiegającego z sali Rycerzy Kolumba, znajdującej się za kościołem.

Była to June Gavineaux. Wydawała się tak przepelniona strachem i poczuciem winy jak sama Myrtle. Po drewnianych schodach zbiegła na parking tak szybko, że niemal się wywróciła, odzyskała jednak równowagę i już nieco stateczniej, choć z pośpiechem, popędziła do tego jedyne go na parking samochodów. Jej pantofle na płaskim obcasie rażno stukały po asfalcie.

June rozejrzała się, dostrzegła Myrtle i zbladła. Kiedy dokładniej przyjrzała się twarzy przyjaciółki, zrozumiała.

— Ty też? — spytała cicho i wargi wykrzywił jej dziwny uśmiech, wesoły, lecz pełen obrzydzenia. Tak mogło się uśmiechać

grzeczne, spokojne dziecko, które z powodów, których nie jest w stanie dociec, wsadziło mysz do szuflady biurka ulubionego nauczyciela.

Myrtle odpowiedziała jej identycznym uśmiechem. Zagrała jednak na zwłokę.

- Na litość boską, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Masz, masz. — June rozejrzała się dokoła, ale ten fragment popołudnia i to miejsce obie panie miały dla siebie. — Pan Gaunt.

Myrtle skinęła głową; na twarz wypełził jej gorący, niepohamowany rumieniec.

- Co kupiłaś? — spytała ją June.

- Lalkę. A ty?

- Wazę. Piękniejszej *cloissone* nie zobaczysz, żebyś nie wiem jak długo żyła.

- Co zrobiłaś?

- A ty? — June uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie ma o czym mówić. — Myrtle obejrzała się na salę Cór Izabeli. Pociągnęła nosem. — Nie ma o czym mówić. To tylko katolicy.

- Słusznie — przytaknęła jej June (upadła katoliczka), po czym poszła do samochodu. Myrtle nie poprosiła przyjaciółki o podwiezienie, a i przyjaciółka jej tego nie zaproponowała. Poszła szybko w stronę parkingu i nawet nie podniosła głowy, gdy minął ją rozpędzony biały wóz. Jednego tylko pragnęła:

wrócić do domu, zasnąć z lalą w objęciach i zapomnieć o tym, co zrobiła.

Właśnie odkryła, że nie będzie to takie proste, jak się jej wydawało.

Biiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiip!

Granat położył dłoń na klaksonie i przytrzymał go. Ryk omal nie rozsadził mu głowy. Piekło i szatani, gdzie się podziała ta suka?!

Drzwi między garażem a kuchnią otwały się w końcu. Myrtle wychyliła zza nich głowę. Oczy

miała wielkie, wystraszone.

- No, wreszcie. — Granat zdjął dłoń z klaksonu. — Myślałem, że szlag cię trafił w kibelku.

- Danforth? Stało się coś złego?

- Nic. Wszystko układa się lepiej niż przez ostatnie dwa lata.

Musisz mi tylko pomóc, nic więcej.

Myrtle nie poruszyła się.

— Kobieto, rusz ten swój tłusty tyłek!

Nie miała ochoty — Danforth ją przeraził — ale posłuszeństwo zakorzeniło się w jej duszy już dawno, wrosło, stwardniało i nie dało się złamać. Podeszła do męża, stojącego na kawałku wolnej przestrzeni za otwartymi drzwiami cadillaca. Szła powoli, szurając kapciami po betonowej podłodze z dźwiękiem tak obrzydliwym, że Granat aż zacisnął zęby.

Dostrzegła kajdanki. Jeszcze bardziej wytrzeszczyła oczy.

- Danforth, co się stało?!

- Nic, z czym nie potrafiłbym sobie poradzić. Podaj mi piłkę,

Myrt. Tę, co wisi na ścianie. Nie, nie piłkę, na razie się nie przyda.

Daj mi duży- śrubokręt. I ten młotek.

Myrtle próbowała się odsunąć, uniosła dłonie i splótła je nerwowo na piersiach. Szybki jak kot, Granat wysunął wolną rękę przez otwarte okno i złapał ją za włosy, nim zdążyła znaleźć się poza jego zasięgiem.

— Auuu! — krzyknęła Myrtle, łapiąc go za pięść. — Auuu, Danforth! Auuu!

Przyciągnął ją do siebie, twarz wykrzywił mu przerażający grymas. Dwie wielkie żyły pulsowały na czole. Nie czuł, jak Myrtle bije go po dłoni, tak jak nie czułby uderzających ptasich skrzydełek.

— Rób, co ci każe! — wrzasnął, szarpiąc jej głowę. Uderzyła czołem w ramę otwartych drzwiczek, raz, drugi i trzeci. — Urodziłaś się taka głupia, czy potem zgłupiałaś? Słyszysz! Słyszysz! Słyszysz!

- Danforth, boliii!

- I dobrze — odkrzyknął i jeszcze raz walnął nią o drzwiczki, tym razem mocniej. Skóra na czole Myrtle pękła, po lewym policzku pociekła krew. — Będziesz posłuszna?

- Tak, tak, tak!
- To dobrze. — Zwolnił nieco uścisk. — Podaj mi duży

śrubokręt i młotek. I nie próbuj być sprytne.

Myrtle pomachała prawą ręką w stronę ściany.

— Nie mogę dosięgnąć!

Pochylił się i pozwolił jej zrobić krok w kierunku ściany, na której wisiały narzędzia. Myrtle macała po ścianach na ślepo, on zaś nadal mocno trzymał ją za włosy. Duże krople krwi padały na cement pomiędzy jej kaptcie.

Palcami trafiła na jakieś narzędzie. Danforth energicznie potrząsnął jej głową, podobnie jak terier potrząsa martwym szczurem.

- Nie to, idiotko. To wiertarka. Prosiłem cię o wiertarkę? Co?
- Ale... auuu!... nic nie widzę.
- I pewnie chciałabyś, żebym cię puścił? Żebyś mogła uciec

do domu i zadzwonić do Nich, co?

- Nie wiem, o czym mówisz!

• Ależ oczywiście, nie wiesz. Jesteś takim niewinnym małym jagniątkiem. Tylko przez przypadek wyciągnęłaś mnie z domu w niedzielę, żeby ten pieprzony zastępca szeryfa mógł porozwieszać kłamliwe karteczki po całym domu, co? Mam w to uwierzyć?

Spojrzała na niego poprzez zasłaniające oczy pasma włosów. Krew zwisała jej kroplami na rzęsach.

— Ale... Danforth... przecież to ty zaprosiłaś mnie! Powiedziałaś...

Szarpnął ją za włosy. Krzyknęła.

— Zrób, co każę. O tym możemy porozmawiać później.

Myrtle znów zaczęła macać po ścianach. Głowę miała opuszczoną, włosy (z wyjątkiem pasma, na którym zaciskał rękę jej mąż) spadały jej na oczy. W końcu trafiła na śrubokręt.

— To ten. Może tak zdubłujemy? Co ty na to?

Jeszcze kilka chwil i w końcu drżącymi palcami trafiła na gumę pokrywającą rękojeść młotka.

— Doskonale. Podaj mi je.

Zdjęła młotek z uchwytów. Granat natychmiast przyciągnął ją do siebie. Puścił jej włosy, gotów

złapać żonę natychmiast, gdyby

próbowała się cofnąć, ale nie próbowała. Została ujarzmiona. Pragnęła tylko jednego — żeby pozwolił jej wrócić na górę. Pragnęła skulić się ze swą cudowną lałą w objęciach i zasnąć. Mogłaby wcale się nie obudzić.

Wyjął narzędzia z jej bezwładnych dłoni. Oparł śrubokręt o klamkę, a potem kilkakrotnie uderzył w niego młotkiem, aż wreszcie klamka odpadła. Wyjął z niej kajdanki, klamkę wraz ze śrubokrętem rzucił po prostu na podłogę, po czym nacisnął przycisk zamykający drzwi garażu. Kiedy opuszczały się z klekotem, zwrócił się ku żonie. W dłoni nadal trzymał młotek.

- Przespałaś się z nim? — spytał cicho.
- Co? — Myrtle spojrzała na niego bezmyślnym, apatycznym

wzrokiem.

Granat zaczął uderzać trzymanym w ręce młotkiem wewnątrz lewej dłoni. Rozległo się ciche łup, łup, łup!

- Przespałaś się z nim, kiedy już rozwiesiliście te cholerne różowe karteczki?

- Granat, o czym ty...

Stanął jak wryty, oczy mu się rozszerzyły.

— Coś ty powiedziała?

Cierpliwość i apatia zniknęły ze wzroku Myrtle, jakby nigdy ich tam nie było. Zaczęła się cofać, uniosła ramiona w obronnym geście. Za jej plecami zamknęły się drzwi garażu. Ich brzęk ucichł, pozostał tylko szelest stóp przesuwających się po cemencie i cichy brzęk kołyszących się kajdanek.

— Przepraszam — szepnęła Myrtle. — Bardzo cię przepraszam, Danforth. — Obróciła się i pobiegła w stronę drzwi prowadzących do kuchni.

Granat dopadł ją trzy kroki przed nimi i — jak poprzednio — złapał za włosy.

- Coś ty powiedziała?! — wrzasnął, unosząc młotek.

Myrtle podniosła nań wzrok.

- Danforth, nie, proszę!

— Coś ty powiedziała? Coś ty powiedziała? — wrzeszczał Granat w rytm zadawanych młotkiem ciosów. Łup! Łup! Łup!

Ace wjechał na podwórze Camberów o piątej. Mapę wsunął do tylnej kieszeni spodni, po czym otworzył bagażnik. Wyciągnął z niego łom i łopatę, w które tak przewidująco zaopatrzył go pan Gaunt. Podeszedł do zapadniętego, zarośniętego ganku, biegnącego przez całą długość domu. Wyjął mapę, usiadł na schodkach i zaczął ją studiować. Natychmiastowy efekt koki minął, ale serce nadal mocno waliło w piersi. Właśnie odkrywał, że poszukiwanie skarbów także może być narkotykiem.

Rozejrzał się po zarośniętym chwastami podwórzu, popatrzył na zapadniętą stodołę, na gapiące się ślepo w niebo słoneczniki. Nędza, pomyślał, ale przecież to tu. To tu nie tylko odczepię się wreszcie od braci Corsonów, ale w dodatku stanę się bogaty. Tu jest fortuna lub przynajmniej część fortuny. Właśnie tu. Wyczuwał ją na odległość.

Właściwie było to nawet więcej niż przecucie. Słyszał jej śpiew, cichy, kuszący. Śpiew dobiegający z głębi ziemi. Śpiew nie dziesiątków, a wręcz setek tysięcy dolarów. Być może nawet miliona.

— Milion dolarów — powiedział zdławionym, pełnym nabożnego zdumienia głosem i pochylił się nad mapą.

W pięć minut później badał już teren po zachodniej stronie domu Camberów. Niemal przy samym jego końcu, ukryty wśród wybująłych chwastów, znalazł duży, płaski kamień. Podniósł go, odepchnął i zaczął gorączkowo kopać. Po dwóch minutach usłyszał metaliczny brzęk — trafił w zardzewiałą blachę. Padł na kolana i zaczął rozgrzebywać dziurę rękami jak pies poszukujący zakopanej kości. Jeszcze minuta i miał oto w ręku puszkę po farbie.

Większość narkomanów namiętnie obgryza paznokcie. Ace nie był pod tym względem wyjątkiem. Nie miał paznokci, by podważyć wieczko, nie mógł więc go otworzyć. Farba zaschła na puszcze, zaklejając ją lepiej niż jakikolwiek klej. Z wściekłym pomrukiem wyciągnął z kieszeni scyzoryk, wsadził ostrze pod wieczko i wreszcie, wreszcie, udało mu się je ściągnąć.

Zajrzał do środka.

Forsa!

Mnóstwo forsy!

Krzyknął, wyciągnął zwitki banknotów... i dostrzegł, że nadzieja znów go zawiodła. Jeszcze więcej znaczków. Tym razem Red Bali. Można je było wykupywać tylko do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku, bo potem firma zawiesiła działalność.



— Kurwa w dupę kopana...! — wrzasnął Ace. Rzucił znaczki, jakby go parzyły; ich karty rozwinęły się i odleciały na skrzydłach

lekkiego, gorącego wiatru, który właśnie zaczął wiać. Niektóre zaplątały się w chwasty, powiewając na nich jak stare, zniszczone sztandary. — O kurwa! Sukinsyn! Kurwa mać!

Grzebał w puszcze, nawet odwrócił ją, by sprawdzić, czy coś nie zostało przyklejone do denka. Nie znalazł nic. Wyrzucił puszkę, patrzył, jak toczy się po ziemi, podbiegł jeszcze i kopnął ze złością jak piłkę.

Pomacał kieszeń w poszukiwaniu mapy. Przez jedną przerażającą sekundę był pewien, że ją zgubił, ale nie, wepchnął tylko głębiej do kieszeni, kiedy z zachwytem brał się do kopania. Wyciągnął ją teraz, rozpostarł i zaczął oglądać. Kolejny krzyżyk znajdował się za stodołą... i nagle do głowy przyszła mu cudowna myśl, rozpraszając mrok zawodu jak pochodnia zapalona w nocy czwartego lipca.

Puszka, którą odkopał, była zmyłką! Pop przewidział, że ktoś odkryje jego system: maskowanie skrytek płaskimi kamieniami, więc tu, u Camberów, zastosował prostą zmyłkę. Dla bezpieczeństwa. Poszukiwacz znajdujący bezwartościowy skarb nigdy nie domyśli się, że w pobliżu jest druga skrytka, że druga skrytka jest tu, na tym samym terenie, tylko lepiej ukryta i żeby ją znaleźć...

— Trzeba mieć mapę — szepnął. — A ja ją mam!

Złapał łom i łopatę. Ruszył pędem w stronę stodoły, przepocone, siwiejące włosy mocno przylegały mu do głowy.

Najpierw dostrzegł starą przyczepę. Biegł w jej kierunku, raptem potknął się o coś i runął jak długi. Usiadł natychmiast i zaczął rozglądać się dookoła. Od razu dostrzegł niespodziewaną przeszkodę.

Łopata. Łopata, na której ostrzu była jeszcze świeża ziemia.

Natychmiast opanowały go złe, naprawdę bardzo złe przecucia. Najpierw ścisnął mu się żołądek, potem serce, a w końcu jądra. Spod warg, ściągniętych we wściekłym uśmiechu, wyrzały zęby.

Kiedy wstał, dostrzegł płaski kamień leżący w trawie — na nim też widać było świeżą ziemię. Ktoś podniósł go i przewrócił, ktoś zjawił się tu pierwszy... i jak widać, całkiem niedawno. Ktoś okradł go z jego skarbu!

— Nie — powiedział Ace. Słowo to wypłynęło mu ze skrzywionych ust jak kropla krwi, jak

jadowita ślina. — Nie!

Obok łopaty i przewróconego kamienia dostrzegł także kupkę ziemi, którą ktoś niedbale wsypał we wcześniej wykopaną dziurę. Zapomniawszy zarówno o własnych narzędziach, jak i pozostawionej przez tego kogoś łopacie, Ace padł na kolana i rękami zaczął odkopywać dziurę. Bez żadnego kłopotu znalazł puszkę.

Wydobył ją i zdjął wieczko.

W środku znalazł jedynie białą kopertę.

Wyciągnął ją i otworzył. Wypadła z niej zapisana karteczka i druga, mniejsza koperta. Kopertę tę zignorował (na razie), interesując się wyłącznie listem, napisanym na maszynie. Czytał go z szeroko otwartymi ustami.

„Drogi Ace,

Nie mam pewności, że znajdziesz mój list, ale prawo nie zabrania mieć nadziei. Wysłałem cię do Shawshank, co dostarczyło mi pewnej rozrywki, ale to teraz okazało się znacznie zabawniejsze. Szkoda, że nie zobaczę Twojej miny, kiedy skończysz czytać mój list.

Niedługo po tym, jak zacząłeś odsiadkę, poszedłem spotkać się z Popem. Widywaliśmy się dość często — żeby nie skłamać, raz na miesiąc. Zawarliśmy układ: odpalał mi stówę miesięcznie, a ja nie przeszkadzałem mu w udzielaniu nielegalnych pożyczek. Bardzo kulturalne rozwiązanie. W połowie tego szczególnego spotkania przeprosił mnie i wyszedł: »Zjadłem coś niedobrego« — powiedział. Ha, ha! Wykorzystałem tę okazję, by przeszukać jego biurko, które zostawił otwarte. Nie należał, oczywiście, do ludzi nieostrożnych, ale pewnie przestraszył się, że ładunek trafi w gacie zamiast do kibla. Ha, ha!

Znalazłem tylko jedną interesującą rzecz; jedną, ale za to bardzo ciekawą! Coś w rodzaju mapy. Było na niej mnóstwo krzyżyków, lecz jeden z nich — tylko jeden — wyrysowany został na czerwono. Nim wrócił, wsadziłem mapę na miejsce. Nie miał pojęcia, że ją widziałem. Kiedy zmarł, natychmiast się tu zjawiłem i jako pierwszy wykopałem puszkę. Było w niej ponad dwieście tysięcy dolarów, Ace. Nie masz jednak powodu do zmartwienia — zdecydowałem się dokonać »sprawiedliwego podziału«. Każdemu tyle, ile mu się należy. Pozostawiam Ci więc to, co należy się Tobie.

Witaj w mieście, Acedupo!

Twój

Alan Pangborn

Szeryf Hrabstwa Castle

PS. Słówko dla ludzi mądrych, Ace: teraz, kiedy już wiesz, bierz tyłek w troki, znikaj i o wszystkim zapomnij. Znasz takie stare powiedzenie: »kto pierwszy ten lepszy«? Jeśli kiedykolwiek spróbujesz szarpać mnie o pieniądze stryja, wyrwę Ci nową aso-dupę rozmiarów odpowiednich, by zatkać ją Twą główką.

Możesz mi zaufać.

Ace wypuścił kartkę ze zdrętwiałych palców. Otworzył kopertę. Wypadł z niej jednodolarowy banknot.

Jeden jedyny dolar.

„Zdecydowałem się dokonać sprawiedliwego podziału. Każdemu tyle, ile mu się należy. Pozostawiam Ci więc to, co należy się Tobie”.

— Ty zawszony sukinsynu! — szepnął Ace, ujmując dolarówkę drżącymi palcami.

„Witaj w mieście, Acedupo!”.

— Ty cholerny sukinsynu! — wrzasnął Ace tak głośno, że coś w gardle omal mu nie pękło.

„synu... synu... synu...” — odpowiedziało mu echo.

Miał zamiar podrzeć banknot, ale pohamował się w ostatniej chwili.

O, nie. Nie ma szans.

Zachowa go. Ten sukinsyn chciał forsy Popa, prawda? Ukradł to, co prawnie należało się ostatniemu żyjącemu krewnemu Popa, prawda? Świetnie. Doskonale. No więc dostanie wszystko. Ace miał zamiar dopilnować, by szeryf rzeczywiście dostał wszystko. Więc obetnie mu jaja scyzorykiem i wsadzi dolarówkę w krwawą dziurę, która po nich zostanie.

— Chcesz forsy, staruszk — powiedział cichym, zadumanym głosem. — Świetnie. Doskonale. Nie ma sprawy. Nie ma najmniejszej sprawy.

Wstał i ruszył sztywno w kierunku samochodu, lekko się chwiejąc — wyglądało to jak parodia filmowego kroku twardego faceta. Kiedy dostrzegł wóz, ruszył biegiem.

## CZEŚĆ TRZECIA

Wszystko na sprzedaż

### Rozdział 19

Za piętnaście szósta w Castle Rock zaczął zapadać niesamowity zmierzch. Na południowym horyzoncie gromadziły się ciężkie, burzowe chmury. Rozległy się pierwsze, głuche grzmoty. Chmury zbliżały się do miasta, rosnąc i pęczniejąc. Światła uliczne, sterowane jedną centralnie umieszczoną fotokomórką, zapaliły się pół godziny wcześniej niż normalnie.

Na głównej ulicy, przynajmniej w pobliżu śródmieścia, panował całkowity chaos. Oblegały ją policyjne radiowozy i wozy transmisyjne stacji telewizyjnych. W gorącym, nieruchomym powietrzu krzyżowały się skrzekliwe rozmowy radiowe. Technicy wrzeszczeli na ludzi — głównie na dzieci — potykających się o ułożone luźno i nieprzymocowane jeszcze taśmą do chodników kable. Fotoreporterzy z czterech dzienników stali przy barykadach otaczających Ratusz, robiąc zdjęcia, które następnego dnia miały ukazać się na pierwszych stronach gazet. Grupka mieszkańców — gdyby ktoś przyjrzał się im bliżej, doszedłby do wniosku, że jest to zdumiewająco mała grupka — gapiła się na to wszystko z ciekawością. Korespondent telewizji stał, mając w tle budynek Ratusza, i w świetle upiornie mocnych lamp nagrywał reportaż. „Fala bezsensownej przemocy przewaliła się dziś po południu przez Castle Rock” — powiedział i przerwał.

— Przewaliła? — spytał sam siebie z niesmakiem. — Kurka wodna, zaczynamy od nowa.

Po jego lewej stronie inny telewizyjny ważniak przyglądał się ekipie przygotowującej nagranie na żywo, mające nastąpić za jakieś dwadzieścia minut. Większość gapiów wpatrywała się w twarze znanych telewizyjnych dziennikarzy, a nie w barykadę, za

którymi nie działo się nic szczególnego od chwili, kiedy dwaj sanitariusze wynieśli do karetki nieszczęsnego Lestera Pratta zapakowanego w czarną plastikową torbę i odjechali.

Dalej, w części handlowej, poza zasięgiem błyskających niebieskich świateł radiowozów i jaskrawymi plamami światła telewizyjnych jupiterów, ulica była mroczna i niemal całkowicie

wyludniona. Niemal.

Od czasu do czasu samochód osobowy lub nawet półciężarówka parkowały na jednym z miejsc przed „Sklepikiem z marzeniami”. Od czasu do czasu pod zamkniętymi drzwiami „Sklepiku z marzeniami”, w którym światła były wygaszone, rolety zaciągnięte i który był „Zamknięty do odwołania”, przystawał przechodzień. Od czasu do czasu jeden z gapiów spod Ratusza odłączał się od grupy, ruszał ulicą, mijając pustą działkę, na której stało niegdyś HIT, „rium Galorium, mijając „Same szyjemy”, ciemne i opuszczone, i trafiał wprost na nowy sklep.

Nikt nie zwracał uwagi na ten strumyczek klientów — ani policja, ani kamerzyści, ani korespondenci, ani sami gapie. Gapie, zafascynowani, patrzyli na scenę zbrodni odwrócenii plecami do miejsca, w którym zbrodnia właśnie się odbywała.

Gdyby ktoś niezainteresowany obserwował jednak „Sklepik z marzeniami”, szybko odkryłby wśród jego gości pewien wzór zachowania. Gość podchodził do drzwi. Dostrzegał wiszącą w oknie karteczkę: „Zamknięte aż do odwołania”. Robił krok w tył z wyrazem twarzy, jaki mieli wszyscy wcześniejsi goście — wyrazem twarzy narkomana na głodzie odkrywającego właśnie, że jego handlarz nie pojawił się w zwykłym miejscu. „Co ja teraz zrobię?” — zdawał się pytać sam siebie. Większość podchodziła, by przeczytać kartkę po raz drugi, jakby mogło to w jakiś sposób zmienić jej treść.

Niektórzy — niewielu — wsiadali do samochodów albo pieszo szli pod Ratusz, by pogapić się na darmowe przedstawienie; sprawiali tam wrażenie nieprzytomnych, nieobecnych. Na większości twarzy jednak pojawiał się wyraz nagłego olśnienia — ci sprawiali wrażenie ludzi pojmujących nagle jakąś banalną prawdę, na przykład jak zanalizować gramatycznie zdanie proste albo jak sprowadzić dwa ułamki do najmniejszego wspólnego mianownika. I ci skręcali w alejkę biegnącą za budynkami równoległe do ulicy, alejkę, na której Ace Merrill zaparkował zeszłej nocy tuckera talismana.

534

Jakieś dwanaście metrów w głębi alejki z otwartych drzwi na zapleczu sklepiku padało na beton światło — coraz jaskrawsze, w miarę jak zapadał zmierzch. Pośrodku plamy światła ostro rysował się cień — jak sylwetka wycięta z czarnej krepy. Cień ten należał, oczywiście, do pana Gaunta.

Pan Gaunt przed otwartymi drzwiami postawił stolik, na którym leżało pudełko od cygar „Roi-Tan”. Do pudełka wkładał wręczane mu przez klientów pieniądze, z niego też wydawał im resztę. Klienci podchodzili do niego z wahaniem, czasami nawet ze strachem, mieli także inną wspólną cechę:

urazy i potrzebę wyrównania rachunków. Niektórzy — nieliczni — odwracali się i odchodzili, nie zbliżając się nawet do stolika, większość jednak załatwiała interesy. I kiedy pan Gaunt zaczynał się z nimi targować, traktując ten dziwny handel od zaplecza jako miłą rozrywkę po ciężkim dniu, powoli się odprężali.

Pan Gaunt lubił swój sklep, ale pod dachem, za wystawowym oknem, nie czuł się tak swobodnie jak tu, na wolnym powietrzu, gdzie włosy rozwiewał mu pierwszy podmuch wiatru nadchodzącej burzy. Sklep, specjalnie rozmieszczone, ruchome, wbudowane w sufit światła... sklep był w porządku, ale tu jest lepiej. I zawsze było lepiej.

Zaczął handlować przed wielu, wielu laty; wędrował wtedy po jałowych ziemiach dalekich krain, nosząc towar na plecach. Przychodził najczęściej o zmroku, a odchodził przed świtem, pozostawiając za sobą krew, nieszczęścia i strach. Znacznie później, w Europie, wśród szalejącej zarazy i wozów pełnych trupów jeździł od miasta do miasta wózkiem zaprzężonym w chudego jak szkielec siwka o strasznych, płonących ślepiach i wywalonym języku, czarnym jak serce mordercy. Handlował wprost z wózka... i znikał, nim klienci, płacący małymi, wytartymi monetkami lub nawet towarem za towar odkrywali, co naprawdę kupili.

Zmieniły się czasy, metody, nawet twarze. Lecz kiedy ludzie kupowali u niego marzenia, mieli zawsze takie same twarze, twarze jak mordki owiec, które straciły pasterza. Prowadząc taki handel, pan Gaunt czuł się najswobodniej; czuł się jak ów wędrowny handlarz sprzed wieków, kiedy stanął nie za lśniąca ładą uzbrojoną w elektroniczną, komputerową kasę, lecz za zwykłym drewnianym stołem, a resztę wydawał z pudełka od cygar i sprzedawał to, co zawsze. Zawsze.

Zawsze.

Towar, który zrobił taką furorę w Castle Rock: czarne perły, cudowne relikwie, kryształy, fajki, stare komiksy, karty baseballowe, antyczne kalejdoskopy... wszystko zniknęło. Pan Gaunt na serio wziął się do interesów, a to oznaczało tylko jeden rodzaj towaru. Jego egzemplarze zmieniały się przez lata — jak wszystko — lecz zmiany te były wyłącznie powierzchowne: różnokolorowy lukier na zawsze tym samym ciemnym, gorzkim cieście.

Na serio pan Gaunt zawsze sprzedawał broń... i zawsze znajdował chętnych nabywców.

- Och, dziękuję, panie Warburton — powiedział, biorąc piątkę od czarnego dozorca. Podał mu dolara i pistolet z tych przywiezionych przez Ace'a z Bostonu.

- Dziękuję, panno Milliken! — wziął od niej dziesięć dolarów, a wydał osiem reszty.

Kazał sobie płacić według możliwości kupujących, nie brał ani grosza więcej, ani grosza mniej. Każdemu według jego możliwości — taką kierował się dewizą — a nie jego marzeń, w końcu prowadził sklepik z marzeniami, przyjechał tu, by ziścić marzenia, skrócić ich cierpienia.

— Ach, pan Emerson! Co za niespodzianka!

Czuł się dobrze, tak dobrze — bo przecież znów handlował jak niegdyś. I jak niegdyś nie brakowało mu klientów.

Alana Pangborna nie było w Castle Rock. Podczas gdy policja i dziennikarze zgromadzili się przy końcu głównej ulicy, w połowie wzgórza zaś pan Gaunt prowadził wyprzedaż wszystkiego, Alan siedział w pokoju pielęgniarek, w skrzydle Blumera, w Northern Cumberland Hospital w Bridgton.

Skrzydło Blumera było niewielkie — mieściło zaledwie czternastu pacjentów — ale brak przestrzeni z nawiązką rekompensowało kolorystyką. Ściany w pokojach chorych pomalowane były na jaskrawe kolory. Z sufitu dyżurki pielęgniarek zwisała na lince cienka konstrukcja, na której zawieszono bibułkowe ptaszki, wirujące wdzięcznie w podmuchach powietrza.

Alan siedział naprzeciw wielkiego fresku zapisanego wierszykami Mamy Gąski. Jedna jego część przedstawiała przechylonego przez stół mężczyznę, podającego coś małemu chłopcu, najwyraźniej wsiowemu prostaczkowi sprawiającemu wrażenie zarówno

przerażonego i zafascynowanego. Coś w tym obrazku uderzyło Alana z wielką siłą, przypominając mu wierszyk z dzieciństwa.

*Szymon Prostaczek spotkał handlarza w drodze na targ.*

*Spróbuj mych ciastek, powiedział handlarz, Słodycz spłynie ci z warg.*

Na ramiona wystąpiła mu nagle gęsia skórka niczym kropelki zimnego potu. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale wydawało mu się to całkiem naturalne. W życiu nie czuł się jeszcze tak przerażony, wstrząśnięty, całkowicie zagubiony jak teraz. W Castle Rock działo się coś, co znajdowało się absolutnie poza jego zasięgiem. Stało się to jasne dopiero dziś, późnym popołudniem, kiedy nagle, bez dania racji, lecz za to spektakularnie, miasteczko oszalało. Ale zaczęło się to pewnie przed kilkoma dniami, może tygodniami. Nie wiedział, co się dzieje, ale

był pewien, że śmierć Nettie Cobb i Wilmy Jerzyck była pierwszą widoczną oznaką tego szaleństwa.

Bał się także, strasznie się bał, że kiedy tak siedzi tu sobie w towarzystwie Szymona Prościzka i handlarza, szaleństwo to narasta.

Pielęgniarka, pani Hendrie według małej plakietki na piersi, przeszła korytarzem, poskrzypując cicho drewniakami i zręcznie lawirując wśród porzrzuconych zabawek. Kiedy przyjechał do szpitala, kilkoro dzieci, niektóre w gipsie albo z rączkami na temblakach, niektóre częściowo łyse, co natychmiast skojarzyło mu się z chemioterapią, bawiło się klockami i samochodzikami, wesoło do siebie pokrzykując. Nadeszła pora kolacji, przeniosły się więc do stołówki albo do swoich pokojów.

- Jak on się czuje? — zapytał Alan.
- Bez zmian. — Pani Hendrie spojrzała na niego spokojnie, ale w jej wzroku była wrogość. — Śpi. Powinien spać. Przeżył

straszny szok.

— Czy odezwali się jego rodzice?

- Zadzwoniliśmy do firmy w South Paris, w której pracuje jego ojciec. Dziś po południu był na budowie w New Hampshire. Zdaje się, że wyjechał już do domu. Powinien dotrzeć na miejsce chyba około dziewiątej i wtedy oczywiście zostanie o wszystkim poinformowany.

- A matka?

- Nie wiem. — Wrogość pani Hendrie ujawniła się znacznie wyraźniej, ale tym razem nie była skierowana przeciw Alanowi. — Nie ja dzwoniłam. Wiem tylko to, co widzę — że tu jej nie ma. Na oczach tego chłopczyka jego brat zastrzelił się z karabinu, a chociaż nastąpiło to w domu, matka nie dojechała jeszcze do szpitala. Musi mi pan wybaczyć, mam do wypełnienia karty chorych.

- Oczywiście — szepnął Alan. Patrzył za odchodzącą kobietą, a potem wstał z krzesła.



- Pani Hendrie, muszę porozmawiać z Seanem Ruskiem. To niezwykle ważna sprawa.

- Tak? — spytała bardzo chłodno pielęgniarka.

- Coś... — pomyślał nagle o Poiły i głos mu się załamał.

Odchrząknął i mówił dalej: — ...coś dzieje się w moim mieście. Sądzę, że samobójstwo Briana Ruska to tylko część tego czegoś. Mam podstawy przypuszczać, że Sean Rusk dysponuje informacjami mogącymi wyjaśnić tę sprawę.

- Szeryfie Pangborn, Sean Rusk ma zaledwie siedem lat. Jeśli rzeczywiście coś wie, dlaczego nie ma tu innych policjantów?

Innych policjantów — pomyślał. Pyta o wykwalifikowanych policjantów. Policjantów, którzy nie wypytywają na ulicy jedenastoletnich chłopców i nie wysyłają ich potem do domu, by popełnili samobójstwo w garażu.

- Bo są zajęci — odparł. — I nie znają miasteczka tak dobrze jak ja.

- Rozumiem. — Pielęgniarka odwróciła się, chcąc odejść.

- Pani Hendrie...

- Szeryfie, jestem dziś sama i bardzo za...

- Brian Rusk nie był dziś jedyną ofiarą w Castle Rock. Zginęły jeszcze co najmniej trzy osoby. Mężczyzna, właściciel baru, za brany został do Norway z ciężkim postrzałem. Być może przeżyje, ale przez najbliższe trzydzieści sześć godzin będzie walczył o życie. Mam wrażenie, że to jeszcze nie koniec.

Nareszcie udało mu się skupić na sobie jej uwagę.

- Sądzi pan, że Sean Rusk coś o tym wie?

- Być może wie, dlaczego jego brat popełnił samobójstwo.

Jeśli wie, może nam udzielić decydującej wskazówki. Więc czy powie mi pani, jeśli się obudzi?

Pielęgniarka zawahała się.

— To zależy od tego, w jakim stanie się obudzi, szeryfie — powiedziała w końcu. — Nie pozwolę, by pogorszył pan jeszcze

samopoczucie rozhisteryzowanego małego chłopca. Niezależnie od tego, co dzieje się w pańskim mieście.

- Rozumiem.
- Doprawdy? To doskonale. — Popatrzyła na Alana, mówiąc mu wyraźnie spojrzeniem: „Więc niech pan tu spokojnie siedzi i nie sprawia mi kłopotu”, po czym ulokowała się za ladą w dyżurce. Usiadła. Słyszał, jak ustawia na wózku butelki i pudełeczka leków.

Alan wstał, poszedł do automatu wiszącego na ścianie korytarza i po raz kolejny wykręcił numer Poily. Znow nikt nie podniósł słuchawki. Spróbował do „Same szyjemy”. Odezwała się automatyczna sekretarka, więc odłożył słuchawkę. Wrócił na poprzednie miejsce, usiadł i pograżył się w kontemplacji fresku.

Zapomniała mi pani zadać jedno pytanie, siostró — pomyślał. Zapomniała pani zapytać mnie, co tu robię, skoro tyle dzieje się w stolicy hrabstwa, które przysięgałem zachować i bronić. Zapomniała mnie pani spytać, dlaczego nie prowadzę śledztwa, podczas gdy ktoś mniej ważny — powiedzmy, Seat Thomas — siedzi w szpitalu, czekając na przebudzenie się Seana Ruska. Zapomniała mnie pani o to spytać. A ja mam swój sekret. Cieszę się, że pani zapomniała zadać mi te pytania. To mój sekret.

Powód, dla którego to on tu siedział, był równie prosty co upokarzający. Z wyjątkiem Portland i Bangor spraw morderstwa nie rozpatrywało Biuro Szeryfa, lecz policja stanowa. Henry Payton przymknął oczy na tę zasadę w przypadku morderstwa Nettie i Wilmy, ale już ich nie przymykał. Nie mógł sobie na to pozwolić. Przedstawiciele wszystkich gazet i stacji telewizyjnych albo właśnie przybywali do Castle Rock, albo byli w drodze. Koledzy z reszty stanu mieli wkrótce do nich dołączyć... a jeśli — jak podejrzewał — to jeszcze nie koniec, w mieście pojawią się wkrótce dziennikarze z całego południa.

Tak po prostu wyglądała rzeczywistość, ale nie zmieniało to przecież jego uczuć. Czuł się jak kapitan drużyny niezdolny wykonać zadań nałożonych nań przez trenera i w związku z tym odesłany do szatni. Okropnie gówniane to uczucie. Gapiąc się na Szymona Prościzka, po raz kolejny dokonał inwentaryzacji.

Lester Pratt. Nie żyje. Pojawił się w Biurze Szeryfa, by w szaleńczym napadzie zazdrości zaatakować Johna LaPointe. Najwyraźniej chodziło o dziewczynę, choć przed przyjazdem karetki

John powiedział Alanowi, że nie widywał się z Sally Ratcliffe od przeszło roku.

— Widziwałem ją tylko właściwie od ciasiu do ciasiu na ulicy, ale ona nawet nie chciała ze mną gadzać. Żdecidowała, że trafię do piekła. — John dotknął złamanego nosa i skrzywił się.  
— Chyba już trafiłem — wyznał.

Teraz przebywał w szpitalu w Norway ze złamanym nosem, złamaną szczęką i nieokreślonymi bliżej obrażeniami wewnętrznymi.

Sheila Brigham także znalazła się w szpitalu. Szkok.

Hugh Priest i Billy Tupper nie żyli. Tę informację otrzymał dokładnie w chwili, w której Sheila zaczęła się załamywać. Dzwonił dostawca piwa, który miał zresztą wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by zadzwonić do szpitala, nim zawiadomił Biuro Szeryfa. Facet był niemal tak rozdygotany jak Sheila. Alan wcale go za to nie winił. Wtedy już sam czuł się mocno rozhisteryzowany.

Henry Beaufort — stan krytyczny w wyniku zadanych ran postrzałowych.

Norris Ridgewick... Norris znikł i z jakiegoś powodu to bolało najmocniej.

Alan zaczął go szukać po otrzymaniu informacji z „Potulnego Tygrysa”, ale Norris po prostu się ulotnił. Wówczas przypuszczał, że poszedł dokonać formalnego aresztowania Danfortha Keetona i że wróci z panem przewodniczącym na holu, lecz nieco późniejsze zdarzenia udowodniły, że Granata nie aresztował nikt. Sądził, że zrobi to policja stanowa pod warunkiem, że przy okazji ważniejszych zajęć wpadnie na niego przypadkiem, ale szukać go specjalnie nie będzie nikt. Norris tymczasem najwyraźniej zniknął, gdziekolwiek się jednak udał, poszedł na piechotę. Jego garbus nadal leżał na boku pośrodku ulicy.

Świadkowie potwierdzili, że Granat wlaźł do samochodu przez okno i najzwyczajniej w świecie odjechał. Jedyne człowiek, który próbował go zatrzymać, zapłacił za to wysoką cenę. Scott Garson trafił tu, do szpitala Northern Cumberland, ze złamaną szczęką, złamaną kością policzkową, złamanym nadgarstkiem i trzema palcami dłoni. Mogło być jednak znacznie gorzej — świadkowie potwierdzili, że Danforth Keeton celowo próbował rozjechać leżącego na ulicy bankiera.

Lenny Partridge ze złamanym obojczykiem i Bóg wie iloma żebrami również leżał gdzieś w pobliżu. Andy Clutterbuck dobił go tą nowiną, gdy Alan usilnie próbował przyjąć do wiadomości, że przewodniczący rady miejskiej Castle Rock ucieka przed prawem w charakterze zbiegłego więźnia, przykuty do wielkiego

czerwonego cadillaca. Hugh Priest najwyraźniej zatrzymał staruszka, wyrzucił go na pobocze i odjechał jego samochodem. Sam samochód stał sobie najprawdopodobniej na parkingu „Potulnego Tygrysa”, ponieważ tam właśnie skończył Hugh.

No i był jeszcze, oczywiście, Brian Rusk, który palnął sobie w łeb w dojrzałym wieku lat jedenastu. Ciut zaledwie zaczął swą opowieść, kiedy w biurze zadzwonił telefon. Odebrał go Alan. Półprzytomny, rozhisteryzowany dzieciak — Sean Rusk — powiadał mu o tym fakcie. Zakomunikował mu także, że wykręcił numer z „dużej pomarańczowej nalepki przyklejonej na ścianie przy kuchennym telefonie”.

Licząc do kupy, tego popołudnia randkę w Castle Rock wyznaczyły sobie karetki pogotowia i karetki szpitalne z czterech różnych miast.

Teraz, siedząc plecami do Szymona Prościzka i wpatrując się w wiszące u sufitu ptaszki, Alan powrócił myślami do Hugh'a i Lenny'ego Partridge'a. Ich „spotkanie” nie należało bynajmniej do największych wydarzeń tego dnia, było jednak najdziwniejsze. Wyczuwał, że klucz może kryć się właśnie w tej jego dziwności.

- Na miłość boską, skoro Hugh tak bardzo chciał dołożyć Henry'emu, to czemu nie wziął swojego samochodu? — spytał wówczas Cluta, mierzwiąc dłonią i tak już zmierzwione włosy. — Czemu zabrał Lenny'emu tego wraka?

- Bo jego buick miał cztery kapcie. Ktoś chyba porzwał opony nożem. — Ciut wzruszył ramionami. Najwyraźniej czuł się nie swoje, widząc ruinę, w jaką zmieniło się biuro. — Może sądził, że to robota Henry'ego?

Tak — pomyślał teraz Alan. Być może. Głupie to, oczywiście, ale nie głupsze niż fakt, że Wilma była pewna, iż to Nettie obrzuciła błotem jej prześcieradła i wybiła okna kamieniami, i fakt, że Nettie była pewna, iż to Wilma zabiła jej psa.

Nim zdołał wypytać Cluta dokładniej, pojawił się Henry Payton i najłagodniej jak umiał wyjaśnił, że przejmuje sprawę. Alan skinął głową.

- Jednego musisz się dowiedzieć — powiedział — i to naj szybciej, jak się da.

- Czego mianowicie? — spytał Henry, lecz Alan dostrzegł z rozpaczą, że pyta bez przekonania. Stary przyjaciel, jego pierwszy

przyjaciel w policji po wygraniu wyborów na szeryfa i — jak się okazało — przyjaciel bardzo wartościowy, miał już głowę za przatniętą innymi sprawami. Prawdopodobnie najważniejszą z nich

było, jak rozłożyć siły, biorąc pod uwagę rozmiar terenu, na którym zdarzyły się wszystkie te wypadki.

- Musisz się dowiedzieć, czy Henry Beaufort miał coś przeciwko Hughowi Priestowi, tak jak Hugh Priest najwyraźniej miał coś przeciwko niemu. Nie możesz go spytać od razu, zdaje się, że jest nieprzytomny, ale kiedy się ocknie...

- Zrobione — Henry klepnął go po ramieniu. — Zrobione — powtórzył i podniósł głos. — Brooks! Morrison! Pozwólcie no tu!

Alan patrzył, jak jego przyjaciel odchodzi. Myślał, by pójść za nim. Myślał, że powinien złapać go za kłapy, zmusić do słuchania. Nie zrobił tego jednak, bo Henry, Hugh, Lester, John — nawet Wilma i Nettie — powoli przestali mu się wydawać w jakikolwiek sposób ważni. Umarli. Odeszli. Ranni mają właściwą opiekę. Zbrodnie zostały już dokonane.

Lecz w serce niczym wąż zaczęło mu się wkradać straszne podejrzenie, że prawdziwa zbrodnia odbywa się nadal.

Kiedy Henry poszedł wydać rozkazy swym ludziom, Alan ponownie wezwał Cluta. Ciut trzymał ręce w kieszeniach i wyglądał żałośnie.

- Odsunęli nas, Alan — powiedział. — Wymazali z rzeczywistości. O, cholera!

- Nie, nie całkiem. — Miał nadzieję, że kłamię przekonywająco. — Będziesz tu moim łącznikiem, Clqt.

- A ty gdzie jedziesz?

- Do domu Briana Ruska.

Lecz kiedy tam dotarł, nie było już ani Briana, ani Seana. Karetka, która zabrała nieszczęsnego Scotta Garsona, podjechała także po Scana; obaj znajdowali się już w drodze do Northern Cumberland. Drugi karawan Harry'ego Samuela, stary, przerobiony lincoln zabrał ciało Briana Ruska do Oxfordu, na autopsję. Pierwszy karawan Harry'ego — ten lepszy, nazywał go „firmowym” — nieco wcześniej pojechał w tym samym kierunku z ciałami Hugh'a i Billy'ego Tuppera.

W ich maleńkiej kostnicy ciała ułożą w stos, jak drewno na opał, pomyślał Alan.

Dopiero w domu Rusków Alan zarówno sercem, jak i głową pojął, na jak daleki boczny tor go usunięto. Dwaj ludzie z kryminalnego byli na miejscu; obaj wyraźnie dali mu do zrozumienia, że może zostać pod warunkiem, że powstrzyma się od udzielania dobrych rad. Przez chwilę stał w drzwiach kuchennych, przyglądając się im i czując się mniej więcej tak jak trzecie koło w skuterze. Córa Rusk prawie nie reagowała, jakby wzięła silne środki uspokajające. Pomyślał, że to pewnie szok albo że lekarz pogotowia, odwożący do szpitala jej jedyne już syna, zlitował się nad nią i zajrzał do torby. W jakiś dziwny sposób przypominała mu Norrisa, kiedy wysiadał z przewróconego samochodu. Niezależnie jednak od tego, czy była w szoku czy na prochach, detektywi niewiele z niej wyciągnęli. Nie płakała wprawdzie, ale i nie potrafiła skoncentrować się na ich pytaniach wystarczająco, by udzielić im spójnych odpowiedzi. Powtarzała, że nic nie wie i że drzemała w sypialni. Biedny Brian, powtarzała, biedny, biedny Brian; właściwe słowa wypowiediane martwym, w jakiś sposób niesamowitym głosem. Przez cały czas bawiła się okularami, leżącymi za nią na kuchennym stole. Okulary sklezione były taśmą, jedno szkło miały pęknięte.

Wyszedł, czując mdłości, i przyjechał do szpitala.

Znów wstał i poszedł do automatu w korytarzu. Zadzwoił do Poily, nikt nie podniósł słuchawki, więc wykręcił numer Biura Szeryfa. „Policja stanowa” — usłyszał w słuchawce i poczuł gwałtowny przypływ dziecięcej zazdrości. Przedstawił się, poprosił Cluta. Czekał prawie pięć minut, nim usłyszał jego głos.

- Przepraszam, Alan. Po prostu położyli słuchawkę na biurku.

Miałeś szczęście, że akurat wpadłem coś sprawdzić, bo inaczej nadal byś czekał. Ta cholerna stanówka ma nas za nic.

- Nic się nie martw, Ciut. Czy ktoś dopadł Keetona?
- No... nie wiem, jak ci to powiedzieć...

Alan poczuł ssącą pustkę w żołądku. Zamknął oczy. Miał rację, to nadal trwa.

- Po prostu powiedz. Do cholery z dobrymi manierami!
- Granat... znaczy Danforth... pojechał do domu. Śrubokrętem wyłamał klamkę, no wiesz, tę, do której był przykuty.

• Tak, wiem, że był przykuty do klamki. — Alan nie otworzył oczu.

- Nooo... więc zabił żonę. Młotkiem. Nie znalazł go nikt ze

stanówki, bo Granat jeszcze dwadzieścia minut temu nic ich nie obchodził, tylko Seat Thomas. Podjechał do niego do domu, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Podał przez radio, co znalazł, i wrócił tu jakieś pięć minut temu. Twierdzi, że ma bóle w piersi, a ja wcale się mu nie dziwię. Powiedział, że Granat całkiem rozwalił jej twarz. Powiedział, że wszędzie jest krew i włosy. Cała armia Paytonowców pojechała na Castle View. Posadziłem Seata w twoim gabinecie. Uznałem, że powinien usiąść, nim się przewróci.

- Jezu Chryste, Ciut, zabierz go do Raya Van Allena. Natychmiast. Seat ma sześćdziesiąt dwa lata i chyba od urodzenia kopci te cholerne camele!

- Ray jest w Oxfordzie. Pomaga im złożyć do kupy Henry'ego Beauforta.

- A jego pomocnik... jak mu tam? Frankel. Eyerett Frankel.

- Nie ma go ani w gabinecie, ani w domu. Sprawdziłem.

- A co mówi jego żona?

- Ev jest kawalerem.

—• O, Chryste! — Nad telefonem ktoś wyskrobał: „Nie przejmuj się. Żyj szczęśliwie!”. Alan skrzywił się, czytając te słowa.

- Sam mogę go podrzucić do szpitala — zaproponował Ciut.

- Potrzebuję cię tam, gdzie jesteś. Czy pojawili się już dzien-  
nikarze i telewizja?

- Jasne. Tyle ich co karaluchów.

- Dobra, jak tylko skończymy, sprawdź co z Seatem. Jeśli nie czuje się lepiej, zrób tak: idź pod Ratusz, dorwij dzien-  
nikarza, który nie wyda ci się idiotą już na pierwszy rzut oka, mianuj go zastępcą i każ mu odwieźć go tu, do Northern Cum-  
berland.

- Dobra. — Ciut zawahał się i nagle wybuchnął: — Chciałem pojechać do Keetonów, ale stanowi... nie chcieli mnie wpuścić na

miejsce zbrodni! Jak ci się to podoba? Te sukinsyny nie wpuściły na miejsce zbrodni zastępcy szeryfa hrabstwa.

- Wiem. Mnie też wcale się to nie podoba, ale oni po prostu robią swoją robotę. Widzisz Seata z miejsca, gdzie stoisz?
- Aha.
- No i co? Żyje?
- Siedzi za twoim biurkiem, pali papierosa i przegląda najnowszy numer „Zastosowania prawa w małych społecznościach”.
- Doskonale. — Alan nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać, czy może śmiać się i płakać naraz. — W porządku. Czy dzwoniła może Poiły Chalmers, Ciut?
- Nieee... chociaż, zaczekaj chwilkę. O, jest dziennik, a już myślałem, że gdzieś wsiąkł. A tak, dzwoniła. Tuż przed wpół do czwartej.

Alan skrzywił się.

- Wiem o tej rozmowie. A później?
- Nie ma wpisu, ale to nic nie znaczy. Sheila odjechała, a z tymi cholernymi stanowcami nigdy nic nie wiadomo.
  
- Dzięki. Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?
- Aha. Parę rzeczy.
- Dawaj.
- Mają broń, z której Hugh postrzelił Henry'ego. David Friedman ze stanowej balistyki mówi, że nie wie co to takiego. Na pewno jakiś rodzaj pistoletu, ale podobno nigdy czegoś podobnego nie widział.
- Dave Friedman? Jesteś pewien tego nazwiska?
- Aha. Jestem pewien. Friedman.
- Musi wiedzieć. Ten facet wie wszystko o broni!



- A jednak nie wie. Stałem tu, gdzie stoję, kiedy rozmawiał z tym twoim przyjacielem, Henrym Paytonem. Powiedział, że przypomina niemieckiego mausera, ale brak pewnych cech charakterystycznych i suwadło jest inaczej skonstruowane. Wysłali go chyba do Augusty z toną innych dowodów.

- Co jeszcze?

- Na podwórku Henry'ego Beauforta znaleźli anonimowy liścik. Leżał zgnieciony przy jego samochodzie. Ten thunderbird też został uszkodzony. Dokładnie jak wóz Hugh'a.

Alan poczuł się tak, jakby w twarz uderzyła go wielka, miękka dłoń.

- Co było na tej kartce, Ciut?

- Chwileczkę. — Słyszał szelest przewracanych kartek notatnika. — O, mam! „Nawet nie próbuj mnie znów wyrzucić i za trzymać kluczyki od samochodu, ty przeklęty żabojadzie”.

- Żabojadzie?

- Tak jest w liściku. — Ciut zachichotał nerwowo. — Słowa „znów” i „żabojadzie” są podkreślone.

- I mówisz, że samochód został uszkodzony?

- Tak. Opony miał pocięte, dokładnie jak wóz Hugh'a. I rysę na karoserii, po stronie pasażera. Uuuf!

- No, dobrze. Kolejne zadanie: idź do fryzjera, a potem do sali bilardowej, jeśli będzie trzeba. Dowiedz się, kogo Henry wyrzucił z „Tygrysa” w tym albo w zeszłym tygodniu.

- Ale policja stanowa...

- Pieprzyć policję stanową! — powiedział Alan z wielkim uczuciem. — To nasze miasto. Wiemy, kogo pytać i gdzie go *znaleźć*. Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś w stanie *znaleźć* kogoś znającego całą tę historię? W pięć minut?

- Oczywiście, że jestem. Kiedy wracałem z Castle Hill, widziałem Charliego Fortina z grupką kumpli. Jeśli Henry miał

z kimś na pieńku, Charlie musi wiedzieć. Do diabła, on praktycznie nocuje w „Tygrysie”.

- Racja. Czy stanówka go wypytywała?
- No... nie.
- Wiec ty go wypytaj. Ale sędzę, że obaj znamy już odpowiedź

na to pytanie, prawda?

- Znamy. Hugh Priest.
- Muszę przyznać, że brzmi mi to całkiem znajomo — po wiedział Alan. Może —• pomyślał — pierwsze przypuszczenia Henry'ego Paytona wcale nie były takie złe?

- Dobra, Alan, zaraz biorę się do roboty.
- I zadzwoń, kiedy tylko będziesz coś wiedział na pewno. —

Podał Glutowi numer i kazał mu go odczytać — tak dla pewności.

- Dobrze, zadzwonię. — Ciut zamilkł na chwilę, a potem wybuchnął, bardzo gwałtownie. — Alan, co tu się dzieje? Co tu się, do cholery, dzieje!?

- Nie mam pojęcia. — Alan czuł się staro, był bardzo zmęczony... i bardzo rozgniewany. Już nie na Paytona, który przejął jego sprawę, lecz na tego kogoś, kto ponosił odpowiedzialność za te krwawe fajerwerki. Był także niemal całkowicie pewien, że kiedy dotrą wreszcie do sedna sprawy, okaże się, iż to, co działo się, i to, co się dzieje w Castle Rock, ma jedną przyczynę: Wilma i Nettie, Henry i Hugh, Lester i John. Ktoś popodłączał ich do siebie niczym bomby z zapalnikami. — Nie wiem, Ciut. Ale z pewnością się dowiemy.

Odwiesił słuchawkę i znów wykręcił numer Poiły. Potrzeba, konieczność naprawienia wszystkiego, zrozumienia, co wprawiło ją w taką furję, zaczęła słabnąć. Teraz pojawiło się inne uczucie, niesamowite, niepokojące, niejasne — uczucie, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Sygnał buczał, lecz nikt nie podnosił słuchawki.

Poiły, Kocham cię. Musimy porozmawiać. Proszę, podnieś słuchawkę. Poiły, Kocham cię, musimy porozmawiać, proszę, podnieś słuchawkę, Poiły, Kocham cię i...

Powtarzał te słowa coraz ciszej — jak grająca zabawka, której wyczerpują się baterie. Chciał zadzwonić do Cluta, polecić mu, by przede wszystkim sprawdził co u niej, ale nie mógł. Nie mógł, bo byłoby to złe — przynajmniej póki w Castle Rock ukryto jeszcze inne bomby z zapalnikami.

Tak... Tylko, słuchaj Alan... Poity może być jedną z tych bomb.

Myśl ta z czymś mu się skojarzyła, ale skojarzenie to uleciało, nim zdołał w pełni zdać sobie z niego sprawę.

Powoli odwiesił słuchawkę. Ucichł ucięty w połowie sygnał.

Nie, dłużej już tego nie zniesie. Przekręciła się na bok, sięgnęła po słuchawkę... i sygnał ucichł, ucięty w połowie.

Świetnie, pomyślała.

Naprawdę?

Poity leżała w łóżku, przysłuchując się grzmotom nadchodzącej burzy. Na piętrze było gorąco — gorąco jak w połowie lipca — lecz nie mogła otworzyć okna. Dave Phillips, złota rączka, miejscowy specjalista od wszystkiego, przed tygodniem wstawił jej zimowe okna i drzwi. Zdjęła więc stare dzinsy i koszulę, które włożyła specjalnie z okazji wyprawy na wieś, i powiesiła je schludnie na oparciu stojącego przy drzwiach krzesła. Leżała na łóżku jedynie w bieliznie. Chciała zdrzemnąć się przed prysznicem, lecz nie mogła zasnąć.

Częściowo z powodu syren, ale przede wszystkim chodziło jej o Alana. Nie pojmowała, jak mógł tak upiornie ją zdradzić, tak groteskowo zaprzeczyć wszystkiemu, w co wierzyła, wszystkiemu, w czym pokładała ufność — i nie potrafiła przestać o tym myśleć. Zwracała uwagę na coś innego (na przykład na syreny, brzmiące tak, jakby zwiastowały koniec świata) i nagle przypominała sobie, jak niuchał za jej plecami, jak w sekrecie niuchał za jej plecami. Czuła się tak, jakby ktoś wsuwał jej pełną drzazg deskę w naj-sekretniejsze z miejsc.

Jak mogłeś, Alan? — spytała jego (i siebie). Po raz kolejny.

Głos, który jej odpowiedział, zdumiał ją niepomierne. Był to bowiem głos babci Ewie, jak zwykle suchy, pozbawiony cienia uczucia, lecz teraz także nabrzmiały wyraźnie słyszalnym, wielkim gniewem.

Gdybyś powiedziała mu prawdę, dziewczyno, nie miałby powodu niuchać ci za plecami.

Poity błyskawicznie usiadła na łóżku. Niepokoił ją ten głos, oczywiście, a najbardziej w nim

niepokojące było to, że należał do niej. Babcia Ewie zmarła przed wielu laty. Jej własna podświadomość używała tego głosu dla wyrażenia złości — podobnie wstydlivy brzuchomówca użyłby głosu swej lalki, by zaprosić ładną dziewczynę na randkę.

Daj spokój, mała. Czy nie wspomniałam ci kiedyś, że to miasteczko pełne jest duchów? Być może to jednak ja? Właśnie ja.

Poiły krzyknęła zdławionym ze strachu głosem. Natychmiast zakryła usta dłonią.

A może nie. W końcu nie ma to przecież żadnego znaczenia, prawda? Właściwe pytanie brzmi tak, Trisha: kto zgrzeszył pierwszy? kto skłamał pierwszy? kto pierwszy ukrył prawdę? kto pierwszy rzucił kamieniem?

— To nie w porządku! — krzyknęła w pusty pokój, a potem szeroko otwartymi oczami spojrzała w swe przerażone odbicie w lustrze. Czekala, aż babcia Ewie jej odpowie, lecz głos milczał, więc z powrotem padła na łóżko.

Być może rzeczywiście zgrzeszyła pierwsza, jeśli pominięcie kilku szczegółów, wypowiedzenie kilku niewinnych półprawd rzeczywiście jest grzechem. Być może pierwsza ukryła prawdę. Lecz nie dawało to Alanowi prawa do wszczęcia przeciw niej śledztwa w sposób, w jaki policjant rozpoczyna śledztwo przeciw podejrzanemu o dokonanie przestępstwa. Nie dawało mu to prawa wysyłania za nią listu gończego... puszczenia za nią ogona, tak to chyba nazywają... albo... albo...

Nie przejmuj się, Poiły — powiedział doskonale jej znany głos. — Przestań szarpać się z powodu zachowania, które było ze wszech miar słuszne. No przecież! Przecież słyszałaś, mówił, jakby był wszystkiemu winien, prawda?

Tak, szepnęła wściekle w poduszkę. Tak, oczywiście, słyszałam. No i co, babciu Ewie?

Nie usłyszała odpowiedzi, ale coś ścisnęło jej duszę.

*(Właściwe pytanie brzmi Trisha)*

O czymś zapomniała, coś pozostawiła bez odpowiedzi...

*(Chcesz cukierka, Trisha)*

coś wymazała z równania.

Poiły przewróciła się niespokojnie z boku na bok; azka przylgnęła jej do piersi. Słyszała, jak zamknięte w jej środku coś szura łapkami po ścianach swego więzienia.

Nie, pomyślała, coś tylko przesunęło się w środku. Sam pomysł, że tam coś zamknięto... sam ten pomysł to wyłącznie wyobraźnia.

Szur... szur... szur...

Srebrna kulka, spoczywająca między białym bawełnianym stanikiem i pościelą, przesunęła się odrobinę.

Szur... szur... szur...

To coś żyje, Trisha — powiedziała babcia Ewie. — To coś, żyje, a ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Nie bądź głupia — odparła jej Poiły przewracając się na drugi bok. — Jakim cudem zmieściłoby się tam coś żywego? Może mogłoby oddychać przez te małe otworki, ale co by jadło?

Może... — odpowiedziała babcia Ewie, spokojna, nieugięta — ...może to coś je ciebie, Trisha?

— Poiły — szepnęła Poiły. — Nazywam się Poiły, nie Trisha. Tym razem coś mocniej wstrząsnęło jej duszą, jej podświadomością — coś starało się zwrócić na siebie uwagę — i przez chwilę była nawet w stanie to coś ogarnąć. Lecz nagle, znów, zadzwonił telefon. Poiły zachłysnęła się własnym oddechem i usiadła. Na twarzy miała wyraz zmęczenia i zawodu. Walczyła w niej duma i tęsknota.

Porozmawiaj z nim, Trisha. Co to szkodzi? Albo lepiej wysłuchaj go. Do tej pory nie bardzo ci to wychodziło, prawda?

Nie chcę z nim rozmawiać. Nie po tym, co mi zrobił.

Ale nadal go kochasz.

Tak, to przynajmniej było prawdą. Problem w tym, że teraz nienawidziła go równie mocno.

Głos babci Ewie niczym chłodny wiatr powiał jej w głowie.

Przez resztę życia chcesz być duchem, Trisha? Co się z tobą dzieje, dziewczyno?!

Poiły sięgnęła po telefon—kpiąca karykatura niezdecydowania. Dłoń—zręczna, niebożąca już ani trochę dłoń, zawisła nad słuchawką. Może to wcale nie Alan? Może to pan Gaunt pragnie poinformować ją, że jeszcze z nią nie skończył, że nie skończyła jeszcze płacić?

Znów wyciągnęła rękę w stronę telefonu — tym razem nawet dotknęła słuchawki! — i znów ją cofnęła. Złączyła dłonie, zacisnęła je nerwowo i złożyła na kolanach. Bała się martwego głosu babci Ewie, bała się tego, co zrobiła dziś po południu i tego, co pan Gaunt (albo Alan!) mogą powiedzieć miasteczku ojej nieżyjącym synu, i tego, co oznaczają dźwięki syren i ryk silników pędzących samochodów.

Lecz odkryła właśnie, że najbardziej z tego wszystkiego boi się pana Gaunta. Czuła się tak, jakby ktoś przywiązał ją do serca wielkiego dzwonu, mogącego ogłuszyć ją, doprowadzić do szaleństwa i zgnieść na miazgę, kiedy zacznie dzwonić.

Telefon umilkł.

Za oknem zawyła kolejna syrena i kiedy cichła powoli, oddalając się w kierunku Blaszkaka, rozległ się kolejny huk grzmotu. Bliższy niż przed chwilą.

Zerwij azkę, szepnął głos babci Ewie. Zerwij ją, skarbie. Potrafisz, on włada marzeniami, nie wolą. Zerwij z mocą, którą ma nad tobą.

Lecz Poiły patrzyła na telefon wspominając wieczór — czyżby rzeczywiście odległy o niespełna tydzień? — kiedy to uderzyła go palcem, zrzuciła na podłogę. Pamiętała ból, który wgryzł się jej w ramię niczym głodny szczur o połamanych zębach. Nie może do tego wrócić. Po prostu nie może.

Nie może?

Coś strasznego dzieje się dziś w Castle Rock, powiedziała jej babcia Ewie. Czy chcesz obudzić się jutro i zacząć dzień od rozmyślań, ile z tego spowodował twój strach? Czy rzeczywiście chcesz dodać te punkty do wyniku, który już osiągnęłaś, Trisha?

Nie rozumiesz, jęknęła Poiły. Nie chodziło o Alana, tylko o Ace'a! Ace'a Merrilla! A on sobie na to zasłużył — cokolwiek ma go spotkać!

Nieubłagany głos babci Ewie odpowiedział jej:

Ty też, skarbie. Ty też.

W ten wtorkowy wieczór, dwadzieścia po szóstej, wśród huku piorunów zbliżającej się burzy i zapadającej nad Castle Rock prawdziwej ciemności, funkcjonariusz policji stanowej zastępujący w centralce Sheile Brigham wszedł do sali Biura Szeryfa. Ominął mniej więcej sześciokątny w kształcie kawałek pokoju odgradzony taśmą z napisem „Miejsce przestępstwa” i podszedł pośpiesznie do Henry'ego Paytona.

Payton sprawiał wrażenie zmordowanego i nieszczęśliwego. Poprzedzając tę chwilę pięć minut spędził z szacownymi przedstawicielami środków masowego przekazu obojga płci; czuł się teraz tak, jak zawsze po tego rodzaju konfrontacji, a mianowicie jakby wysmarowano go miodem tylko po to, by natychmiast wytarzać w kupie psiego gówna, którym zawładnęły mrówki. Nie przygotował sobie dobrze oświadczenia, nie było ono zagadkowo ogólnikowe, toteż nie czuł się nim usatysfakcjonowany. Telewizja postawiła na swoim. Chciała wywiadu na żywo między szóstą i

szóstą trzydzieści, w porze, w której większość stacji nadawała dzienniki — musiała mieć te wywiady! — i gdyby nie rzucił im kości, w dziennikach o jedenastej zostałyby zwyczajnie ukrzyżo-

550

wany. I tak omal go nie ukrzyżowano. Nigdy jeszcze, jeszcze nigdy w ciągu całej swej pieprzonej kariery zawodowej nie był tak bliski przyznania się do tego, że nie ma pojęcia, co tu się, do cholery, dzieje! Nie opuścił sali, w której odbywała się improwizowana konferencja prasowa, on z niej zwyczajnie uciekł!

Żałował poniewczasie, że nie wysłuchał uważniej Alana Pang-borny. Kiedy się tu zjawiał, miał wrażenie, że praca ograniczy się w zasadzie do minimalizowania szkód. Teraz nie był już tego taki pewien; w końcu po przejściu przez niego sprawy nastąpiło kolejne morderstwo — zginęła kobieta nazwiskiem Myrtle Keeton, a jej mąż nadal był na wolności. Prawdopodobnie uciekł już w wielki świat, lecz być może nadal porusza się swobodnie po tej upiornej małej pipidówie. Facet, który wyłączył żonę za pomocą młotka. Innymi słowy — autentyczny wariat.

Cały problem w tym, że nie znał tych ludzi. Znali ich Alan i Ridgewick, ale obaj zniknęli. LaPointe siedział w szpitalu, żyjąc prawdopodobnie nadzieją, że lekarzom uda się naprostować zmasakrowany nos. Rozejrzał się w poszukiwaniu Clutterbucka i jakoś wcale nie zdziwiło go, że Clutterbuck także zniknął.

Sam tego chciałeś, Henry, powiedział mu w głowie głos Alana. No i świetnie, chciałeś, to masz. A jeśli potrzebna ci lista podejrzanych, to tu jest książka telefoniczna.

- Panie poruczniku! Panie poruczniku! — Przy jego boku pojawił się funkcjonariusz obsługujący centralkę.

- Co? — warknął Henry.

- Doktor Van Allen właśnie zgłosił się przez radio. Chce z panem porozmawiać.

- O czym?

— Nie mówił. Powiedział tylko, że musi koniecznie mówić z panem.

Henry Payton poszedł do centralki, coraz bardziej czując się jak dzieciak zjeżdżający rowerkiem bez hamulców ze stromej góry, mający po jednej stronie skałę, po drugiej zaś przepaść, ścigany w dodatku przez stado wilków z twarzami dziennikarzy.

Podniósł mikrofon.

- Mówi porucznik Payton. Odbiór.
- Panie poruczniku, tu doktor Van Allen. Koroner hrabstwa. — Głos lekarza, płaski, stłumiony, zagłuszony został wściekłym szumem zakłóceń. Mamy w drodze burzę — pomyślał Henry. Ale zabawa!

- Tak, wiem, kim pan jest. Zabrał pan do Oxfordu pana Beauforta. Co z nim?

- Nie...

Szumy, trzaski, zgrzyty.

- Nie odbieram pana, doktorze Van Allen — powiedział Payton tak cierpliwie, jak tylko potrafił. — Mamy tu burzę z wyładowaniami pierwsza klasa. Proszę powtórzyć. Odbiór.

- Nie żyje! — wrzasnął lekarz, przekrzykując zakłócenia. — Zmarł w karetce, ale naszym zdaniem jego śmierć nie została spowodowana postrzałem ani wywołanym przez ów postrzał szokiem. Czy pan rozumie? Nie umarł w wyniku postrzału! Ciśnienie śródczaszkowe wzrosło nietypowo, po czym po prostu rozsadziło mu mózg. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że w momencie postrzału jakaś substancja toksyczna, wyjątkowo toksyczna, przeniknęła do krwi. Substancja ta spowodowała również, że serce praktycznie mu się rozerwało. Potwierdzić odbiór.

O, Jezu! — pomyślał Henry Payton. Rozluźnił krawat, odpiął guzik koszuli i dopiero wówczas wcisnął guzik nadawania.

- Potwierdzam przyjęcie transmisji, doktorze Van Allen, ale niech mnie diabli, jeśli rozumiem z tego choćby słowo. Odbiór.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa zatrute były kule, którymi go postrzelono. Zatrucie najwyraźniej rozwija się najpierw powoli, a potem bardzo szybko. W tym przypadku mamy dwie



wyraźnie zidentyfikowane rany, w policzku i w piersi, przez które trucizna mogła przeniknąć do krwiobiegu. Najważniejsze, by...

Trzask, trzask, bzzz...

- ...dzić odbiór.

- Proszę powtórzyć, doktorze Van Allen. — Na Boga, czy ten facet nie mógł po prostu zadzwonić? — Proszę powtórzyć. Odbiór.

- Kto ma broń! — skrzeknął Van Allen. — Odbiór.

- David Friedman. Wydział balistyki. Zabrał ją do Augusty.

Odbiór.

- Czy najpierw ją rozładował? Odbiór.

- Oczywiście. To standardowa praktyka.

- Czy był to rewolwer czy pistolet, poruczniku Payton? W tej chwili to najważniejsza sprawa, odbiór.

- Pistolet, odbiór.

- Czy wyjął naboje z magazynka? Odbiór.

- Zrobi to w Augustcie. — Payton usiadł ciężko na fotelu telefonistki. Jeszcze nigdy w życiu nie spieszyło mu się tak do toalety. — Odbiór?

- Nie! Nie może! Nie wolno mu tego zrobić. Rozumie pan?

- Potwierdzam odbiór. Zostawię mu wiadomość w laboratorium. Nie wolno mu otworzyć tego pieprzonego magazynka i wyjąć z niego pieprzonych pocisków, póki nie rozpracujemy tego całego burdelu. — Świadomość, że słowa te poszły w eter, sprawiła mu jakąś dziecinną przyjemność... i nagle przyszło mu do głowy pytanie: ilu reporterów w okolicy słucha tej rozmowy na przenośnych szerokopasmowych radiach? — Niech pan posłucha, doktorze, nie powinniśmy rozmawiać o tym w ten sposób.

- Niech szlag trafi dziennikarzy — odparł Van Allen ochryp

łym głosem. — Tu chodzi o ludzkie życie, poruczniku Payton... Próbowałem się do pana dodzwonić, ale nie dostałem połączenia. Niech pan powie temu Friedmanowi, że musi poszukać na rękach najdrobniejszych nawet zadrapań, ranek... groźny może być nawet zadarty paznokieć! Jeśli znajdzie cokolwiek, ma natychmiast udać się do najbliższego szpitala. Nie mam zielonego pojęcia, czy to gówno było tylko na pociskach, czy także na magazynku. A w żadnym wypadku nie wolno nam ryzykować, prawda? Ta trucizna jest śmiertelna. Odbiór.

- Potwierdzam — usłyszał Henry swój własny głos. Żałował, że nie może być gdzieś, byle gdzie, byle nie tu. Żałował też, że skoro już się tu znalazł, nie ma przy nim Alana Pangborna. Od chwili przybycia do Castle Rock czuł się jak Kojot Willie ścigany przez Strusia Pędziwiatra. — Co to za trucizna? Odbiór.

- Nie wiemy. Nie kurara, bo nie wystąpił paraliż. Kurara jest także względnie bezbolesna, a pan Beaufort bardzo cierpiał. Na razie możemy tylko powiedzieć, że działa początkowo powoli, a potem błyskawicznie jak pędzący ekspres. Odbiór.

- To wszystko? Odbiór.

- Jezu Chryste! — wrzasnął Van Allen. — Jeszcze panu mało? Odbiór!

- Nie. Chyba starczy. Odbiór.

— Niech się pan...

Trzask, trzask, brrr...

— Proszę powtórzyć, doktorze Van Allen. Proszę powtórzyć.

Odbiór.

Głos Van Allena przedarł się przez ocean zakłóceń:

- Niech się pan cieszy, że broń została zabezpieczona. Nie spowoduje kolejnych ofiar. Odbiór.

- Trafiłeś w sedno, przyjacielu. Koniec.

Córa Rusk skręciła w główną ulicę i wolnym krokiem ruszyła w stronę „Sklepiku z marzeniami”. Po drodze minęła mikrobus z napisem na karoserii „WPDT Kanał 5 Najświeższe Wiadomości”. Z okienka od strony kierowcy, nie mrugnawszy nawet okiem, przypatrywał się jej Granat Keeton, ale nie zauważyła go, a nawet gdyby zauważyła, i tak by go pewnie nie rozpoznała — pod pewnymi względami Granat stał się nowym człowiekiem. Nawet gdyby go rozpoznała, nic by jej z tego nie przyszło. Miała własne problemy, własne smutki, lecz ważniejszy od nich był jej własny gniew. Żadne z tych uczuć nie wiązało się ze śmiercią jej syna.

W rękę Córa Rusk trzymała pęknięte okulary.

Miała wrażenie, że policja będzie ją wypytywać do skończenia świata... a przynajmniej do chwili, w której wreszcie oszaleje. Pragnęła wrzasnąć na nich: „Wynoście się! Skończcie z tymi głupimi pytaniami o Briana! Zaresztujcie go, jeśli coś zbroił, jego ojciec wszystko naprawi, to jedyne co potrafi robić, a mnie zostawcie w spokoju. Mam randkę z Królem. Król nie może czekać!”.

W pewnym momencie dostrzegła szeryfa Pangborna opierającego się o framugę drzwi prowadzących z kuchni na ganek z tyłu, stojącego tak z rękami na piersiach i omal nie wykrzyczała do niego tego wszystkiego, co tak bardzo chciała wykrzyzczyć. Była pewna, że szeryf ją zrozumie. Nie był jak ci inni — mieszkał w Castle Rock, z pewnością wiedział o „Sklepiku z marzeniami”, na pewno coś sobie w nim kupił, zrozumie. Z pewnością zrozumie.

Tylko że dokładnie w tej chwili w jej głowie przemówił pan Gaunt, spokojny i rozsądny jak zwykle.

— Nie, Córa — powiedział. — Nie rozmawiaj z nim. On nie zrozumie. Nie jest podobny do ciebie. To trudny klient. Powiedz im, że chcesz pojechać do szpitala, zobaczyć młodszego synka. Wtedy oni wszyscy się wyniosą, przynajmniej na jakiś czas. Potem nic już nie będzie ważne.

No więc to im właśnie powiedziała. Zadziałało jak czar. Uroniła nawet jedną i drugą łzę, nie myśląc o Brianie tylko o tym, jaki smutny jest Król, chodząc po Gracelandzie samotnie. Biedny, smutny Król!

Więc poszli sobie, z wyjątkiem tych kilku kręcących się po garażu. Nie miała pojęcia, czego chcą i co tam robią, i nic jej to nie obchodziło. Złapała ze stołu magiczne okulary i prawie pobiegła

na górę. Kiedy już znalazła się w sypialni, zrzuciła szlafrok, położyła się do łóżka i natychmiast je założyła.

Znów znalazła się w Gracelandzie. Poczowała ulgę, radosne oczekiwania, a także wielkie, ogromne

pożądanie.

Wbiegła po krętych schodach, spokojna i naga. Korytarzem pierwszego piętra dotarła do znajdujących się na jego krańcu podwójnych drzwi. Bose stopy grzęzły jej w grubym dywanie. Wyciągnęła dłoń, nacisnęła klamkę. Jeden ruch i była już w sypialni Króla, sypialni czarno-białej — czarne ściany, biała wykładzina, czarne kotary zasłaniające okna, biały wzór na czarnej pościeli — z wyjątkiem sufitu, granatowoniebieskiego z mnóstwem świecących na nim elektrycznych gwiazd.

Spojrzała na łóżko... i zamarła w szoku.

W łóżku leżał jej Król, ale nie był w nim sam. Na jej Królu siedziała Myra, ujeżdżała go jak konia. Kiedy drzwi się otworzyły, odwróciła się i spojrzała na nią. Król tylko wpatrywał się w Myrę, mrugając tymi swoimi sennymi, pięknymi oczami.

- Myra! Co ty tu robisz?

- No — odparła Myra wyjątkowo z siebie zadowolona — przecież nie sprzątam, prawda?

Niebotycznie zdumiona Córa walczyła o oddech.

- No... no... no niech mnie zarzną! — krzyknęła. Zdążyła zaczerpnąć oddechu, był to bardzo satysfakcjonujący krzyk.

- A niech! — Myra coraz szybciej poruszała biodrami. — Przy okazji, zdejmij te kretyńskie okulary. Głupio w nich wyglądasz. I wynoś się. Wracaj do Castle Rock. Jesteśmy zajęci, prawda, Elvisku?

- Święta prawda, kochaniutka — odparł Król. — Jesteśmy tak zajęci jak dwa świerszcze w trawie.

Przerażenie zmieniło się w szaleńczy gniew i Córa odzyskała zdolność ruchu. Rzuciła się na tę swoją „najlepszą przyjaciółkę”, marząc tylko o tym, by wydrzeć jej oczy z głowy, lecz kiedy wysunęła przed siebie dłonie jak szpony, Myra — nie przestając rytmicznie poruszać biodrami — błyskawicznie zerwała jej okulary.

Córa mocno zacisnęła powieki, zdumiona... a kiedy otworzyła oczy, była znów w swym własnym łóżku, okulary zaś leżały obok, na podłodze. Oba szkła miały stłuczone.

— Nie! — jęknęła, zrywając się na równe nogi. Omal nie krzyknęła, lecz jakiś wewnętrzny głos — nie jej głos — ostrzegł ją, że jeśli policjanci w garażu usłyszą krzyk, przylecą tu pę

dem. — Nie, proszę nie, nieee...

Próbowała wcisnąć kawałki szkła w złote, eleganckie oprawki, lecz to oczywiście nie było już możliwe. Okulary! Ta mała brudna kurwa stukła jej okulary. „Przyjaciółka"! Jej „przyjaciółka" jakimś cudem znalazła drogę do Gracelandu i teraz, właśnie teraz, kiedy ona, Córa, bez skutku próbuje naprawić zniszczone magiczne okulary, kocha się z Królem.

Córa spojrzała w przestrzeń czarnymi, zwężonymi, wściekłymi oczkami.

— Zarżnę ją — szepnęła ochryple. — Spróbujcie mi przeszkodzić.

która umyślnie niszczy ukochaną własność innej kobiety... cóż, to znacznie poważniejsza sprawa. Prawda?

Córa uśmiechnęła się twardym, bezlitosnym uśmiechem, całkowicie, stuprocentowo szaleńczym.

— Jak cholera — powiedziała. — Prawda.

Pan Gaunt odwrócił się na chwilę, a kiedy znów zwrócił się do niej, w ręku miał pistolet.

— Czyżbyś szukała czegoś w tym rodzaju? — spytał.

Córa Rusk zobaczyła wywieszkę w oknie „Sklepiku z marzeniami", zastanowiła się przez chwilę, po czym ruszyła w alejkę. Po drodze otarła się o Francine Pelletier, idącą w kierunku ulicy i chowającą coś do torebki. Nawet na nią nie spojrzała.

W połowie alejki dostrzegła pana Gaunta, stojącego za drewnianym stołem, który niczym barykada zastawiał tylne wejście do „Sklepiku z marzeniami".

• Ach, Córa! — wykrzyknął. —

Właśnie się zastanawiałem,

kiedy wpadniesz.

- Ta suka! Ta zdradziecka suka!
- Wybacz mi, Córo — przerwał

jej pan Gaunt z wyszukaną  
uprzejmością — ale czy przypadkiem  
nie zapomniałaś o jednym  
czy drugim guziku?

Córa narzuciła na gołe ciało co  
tylko jej wpadło w ręce, a w dodatku  
zdołała zapiąć tylko górny guzik. Ze  
szczeliny materiału wylaniał się jej  
mocno zaokrąglony od baloników i  
pochłanianych podczas „Santa  
Barbara” (oraz wielu innych seriali)  
wiśni w czekoladzie brzuszek, a pod  
nim widać było włosy łonowe.

- Kogo to obchodzi — warknęła.
- Nie mnie — zgodził się

spokojnie pan Gaunt. — W czym  
mogę ci pomóc?

- Ta suka pieprzy Króla! Stłukła moje okulary! Chcę ją zabić.
- Doprawdy? — brwi pana Gaunta

uniosły się lekko. — Cóż,  
nie powiem, bym się z tobą nie  
zgadzał, Córo. Być może kobieta,  
która kradnie mężczyznę innej,  
zasługuje na to, by żyć — na ten  
temat nie mogę się wypowiedzieć,  
bo przez całe życie byłem  
biznesmenem i niewiele wiem o  
sprawach serca. Ale kobieta,

## Rozdział 20

Kiedy Granat skończył z Myrtle, popadł w głęboką apatię. Nic mu się nie chciało, nie wiedział, co ma robić. Myślał o Nich — całym mieście Ich — lecz zamiast czystego, uczciwego gniewu, który myśl ta wywoływała w nim jeszcze przed chwilą, czuł tylko zmęczenie i przygnębienie. Straszliwie bolała go głowa. Ręka i ramię dokuczały mu także; to od machania młotkiem.

Opuścił wzrok i — tak — nadal ścisnął go w dłoni. Wyprostował palce. Młotek stuknął o kuchenne linoleum, pozostawiając na nim krwawą plamę. Stał i gapił się na tę plamę chyba przez minutę, w napięciu, niczym idiota. Przypominała mu szkic twarzy ojca wykonany we krwi.

Przeszedł przez duży pokój do gabinetu, masując sobie po drodze rękę i ramię. Łańcuszek kajdanek brzęczał, doprowadzając go do szaleństwa. Otworzył drzwi szafy, klęknął, włożył pod wiszące na wieszakach ubrania i wyjął spod nich pudełko z kłusakiem na wierzchu. Wylazł z szafy niezdarnie (łańcuch zaczepił o jeden z butów Myrtle; wrzucił go do szafy, klnąc); zaniósł pudełko na biurko i usiadł, gapiąc się na nie. Zamiast podniecenia czuł wyłącznie smutek. „Wielka wygrana” była oczywiście wspaniała, ale co mógł teraz na niej skorzystać? Wszystko jedno — zwróci pieniądze, czy nie zwróci. Zamordował żonę. Niewątpliwie zasłużyła sobie na to, ale Oni tego nie rozumieją. Wtrącą go radośnie do najciemniejszego, najgłębszego lochu w Shawshank, zamkną i wyrzucą klucz.

Zorientował się, że na pudełku pozostawił wielkie, krwawe plamy. Przyjrzał się sobie. Dopiero teraz dostrzegł, że cały jest we krwi. Jego grube ramiona wyglądały tak, jakby należały do chicagowskiego rzeźnika. Depresja ogarnęła go miękkimi, czarnymi ramionami. Oni go pobili... dobrze. Ucieknie Im. Mimo wszystko Im ucieknie.

Wstał wolno. Tak strasznie był zmęczony! Powoli ruszył na piętro, rozbierając się po drodze. Buty zostawił w dużym pokoju, spodnie u stóp schodów, na półpiętrze usiadł i ściągnął skarpetki. Nawet skarpetki miał zakrwawione. Najtrudniej poszło z koszulą, zdjąć koszulę, kiedy na przegubie ma się zatrzęsnięte kajdanki... diabli biorą.

Od chwili zamordowania żony do momentu wejścia pod prysznic minęło dwadzieścia minut. Przez te

dwadzieścia minut można go było bez większego problemu aresztować... lecz na głównej ulicy odbywała się właśnie ceremonia przejścia władzy, Biuro Szeryfa ogarnął chaos, a Danforth „Granat” Keeton nikomu jeszcze nie wydawał się zbyt ważny.

Wziąwszy prysznic i wytarłszy się do sucha, Granat włożył czyste spodnie oraz podkoszulek — nie miał siły walczyć z długimi rękawami — po czym wrócił do gabinetu. Usiadł za biurkiem. Wpatrzył się w „Wielką wygraną”. Miał nadzieję, że depresja, którą czuł, okaże się przelotna, że wróci choćby cień tej radości, którą budziła w nim niegdyś gra. Obrazek na pudełku wydawał mu się jednak spłowiały, blady. Najbardziej jaskrawa była plama krwi Myrtle na boku powoziku.

Zdjął przykrywkę. Dostrzegł, wstrząśnięty, że blaszane koniki leżą na torze, połamane. Pokrywająca je farba zbladła także. Z dziurki na kluczyk, którym nakręcało się mechanizm, wystawał kawałek ułamanej sprężyny.

Ktoś tu był! — krzyknęło mu coś w głowie. Ktoś zniszczył grę! Jeden z Nich! Nie wystarczyło Im, że zniszczyli mnie, musieli także zniszczyć grę!

Jakiś inny, cichszy głos, być może głos rozsądku, szepnął, że to nieprawda. „Taka była od początku — szeptał. — Po prostu nie widziałeś”.

Podszedł do szafy po pistolet. Najwyższy czas go użyć. Macał po półce, kiedy zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł bardzo powoli. Doskonale wiedział, kto dzwoni.

I nie zawiódł się.

— Cześć, Dań — powiedział pan Gaunt. — Jak się czujesz w tak piękny wieczór?

- Strasznie — odparł Granat przeciągłym, ochrypłym głosem. — Świat zszedł na psy. Mam zamiar popełnić samobójstwo.

- Och! — Pan Gaunt był być może nieco rozczarowany, ale nic więcej.

- Nic mi już nie zostało. Nawet pańska gra jest do niczego.

- Och, bardzo wątpię — stwierdził jego rozmówca nieco ostrzej. — Wyjątkowo dokładnie kontroluję jakość sprzedawanych w moim sklepie towarów, panie Keeton. Wyjątkowo dokładnie. Proszę obejrzeć grę jeszcze raz.



Granat zrobił to i zdumiał się niezmiernie. Koniki stały prosto gotowe do startu; lśniły wszystkie niczym świeżo wymalowane, nawet oczy się im skrzyły! Blaszyany tor pokryty był jaskrawą zielenią i jesiennym brązem. Wydaje się szybki — pomyślał marząco Granat, zerkając na pudełko.

Albo wprowadziły go w błąd oczy, zamglone depresją, albo też barwy pudełka zmieniły się magicznie w ciągu kilku sekund, jakie upłynęły od chwili, gdy zadzwonił telefon. Nie widział już krwi Myrtle, wysychającej, bladobrązowej.

- O, mój Boże! — szepnął.

- No i co? No i co, Dań? Czyżbym się mylił? Jeśli *rzeczywiście* się omyliłem, musisz odłożyć samobójstwo co najmniej do chwili, w której zwrócę ci zapłacone za grę pieniądze. Jestem na to przygotowany. Muszę być, wiesz? Muszę dbać o reputację, muszę ją chronić w świecie, w którym żyją miliardy Ich i tylko jeden ja.

- Nie... nie! — wykrztusił Granat. — Jest... jest piękna!

- A więc to ty się omyliłeś? — naciskał Gaunt.

- Ja... tak, chyba tak.

- Przyznajesz, że się omyliłeś?

- Tak... przyznaję.

- Doskonale. — Głos w słuchawce złagodniał wyraźnie. —

A więc nie musisz się krępować. Świetnie, możesz popełnić samobójstwo. Choć przyznaję, że głęboko mnie rozczarowałeś. Byłem pewien, że spotkałem wreszcie mężczyznę wystarczająco twardego, by pomógł mi nakopać Im dupy. Ale ty mocny jesteś tylko w gębie. Jak wszyscy.

Pan Gaunt westchnął, jak człowiek odkrywający, że to nie światełko dostrzegł w ciemnym tunelu.

A z Granatem działo się coś dziwnego. Nagle wróciła mu żywotność i poczucie misji do spełnienia. Jaskrawe, wesołe kolory znów rozbłysły mu w głowie.

- Więc... pana zdaniem nie jest jeszcze za późno?
- Nie uważałeś na lekcjach angielskiego, Dań. „Nigdy nie jest za późno na poszukiwanie lepszego świata”. Nie, jeśli jest się prawdziwym mężczyzną. Przygotowałem wszystko z myślą o panu, panie Keeton. Rozumie pan, ja na pana liczyłem.

- Wolałbym po prostu Dań — powiedział Granat, nieco wstydliwie.

- Ależ oczywiście, Dań. Czyżbyś rzeczywiście zdecydował się już na tak tchórzliwą ucieczkę przed życiem?

- Nie! — wrzasnął Granat. — Tylko... tylko myślałem, po co żyć? Jest Ich za wielu.

- Trzej dobrzy ludzie wiele mogą zniszczyć, Dań.

- Trzej? Powiedział pan „trzej”?

- Tak. Jest jeszcze ktoś. Ktoś, kto widzi niebezpieczeństwo i wie, czego chcą Oni.

- Kto? — spytał Granat radośnie. — Kto?

- We właściwym czasie. A czasu właśnie zaczyna nam brakować. Oni po ciebie przyjdą, wiesz?

Granat wyjrzał przez okno. Oczy zmrużone miał jak łasica wietrząca niebezpieczeństwo. Ulica była pusta — na razie pusta. Czuł Ich jednak; wyczuwał, jak gromadzą się, by go zaatakować.

- Co powinienem zrobić?

- A więc grasz w mojej drużynie? A więc mimo wszystko mogę na ciebie liczyć?

- Tak!

- Bezwzględnie?

- Do końca świata! Albo jeszcze dłużej!

- Doskonale. Słuchaj uważnie, Dań. — W miarę jak pan Gaunt mówił, Granat, słuchający go z zapartym tchem, popadł powoli w ów hipnotyczny stan, w który Gaunt wprowadzał ludzi, kiedy tylko chciał, na dworze zaś powietrze rozdarł pierwszy

pomruk zbliżającej się burzy.

W pięć minut później Granat wyszedł z domu. Na podkoszulek narzucił lekką kurtkę, rękę z zamkniętymi na niej nadal kajdankami wsadził głęboko do kieszeni. W połowie drogi do najbliższej przecznicy, dokładnie tak, jak mu to powiedział pan Gaunt, znalazł zaparkowany przy krawężniku mikrobus, jaskra-

wozółty — co praktycznie gwarantowało, że przypadkowy przechodzień zainteresuje się raczej jego kolorem niż kierowcą — niemal całkiem pozbawiony okien, z wymalowanym po obu stronach znakiem firmowym jednej ze stacji telewizyjnych z Portland.

Rozejrzał się szybko na boki i nie zauważywszy nikogo, wszedł do samochodu. Pan Gaunt powiedział mu, że klucze znajdzie pod siedzeniem. Znalazł. Na siedzeniu pasażera leżała papierowa torba z blond peruką, parą okularów w drucianych oprawkach a la yuppie i małą szklaną buteleczką.

Perukę założył niechętnie. Długie, zmierzwiłe włosy wyglądały jak skalp zdarty z głowy martwego piosenkarza rockowego. Kiedy jednak przyjrzał się sobie we wstecznym lusterku, zdumiał się, że tak świetnie pasuje. Dzięki niej wyglądał młodziej, znacznie młodziej. Zamiast soczewek okulary a la yuppie miały zwykłe szkło, lecz zmieniały go (przynajmniej w jego własnej opinii) nawet bardziej niż peruka. Wyprzystojniał. Przypominał trochę Harrisona Forda. Przyglądał się sobie, zafascynowany. Nagle odmłodził; wyglądał raczej na trzydzieści kilka niż na pięćdziesiąt dwa lata. Z tym wyglądem mógł spokojnie pracować w telewizji. Może nie jako korespondent, to za dużo, ale co najmniej jako kamerzysta, a może nawet producent.

Odkręcił buteleczkę i skrzywił się — ze środka śmierdziało starym kwasem akumulatorowym. W powietrze uniosły się smużki dymu.

Muszę uważać — pomyślał. Muszę bardzo uważać.

Podłożył puste oczko kajdanek pod prawe udo. Napiął łańcuch, po czym wylał nań kilka kropel z butelki, tuż przy drugim oczku, nadal zamkniętym na jego przegubie. Zrobił to bardzo ostrożnie, pilnując, by płyn, broń Boże, nie kapnął mu na skórę. Stał natychmiast zadymia i zaczęła się topić. Kilka kropel padło na gumowy samochodowy dywanik; guma także zaczęła dymić i topić się ze straszliwym smrodem. Po krótkiej chwili wyjął puste oczko spod uda i mocno za nie szarpnął.

Łańcuch puścił jak papier, po czym wylądował na podłodze. Granat nadal miał na ręku zamknięte oczko, ale z tym dało się żyć — najbardziej dokuczały mu łańcuch i to drugie, puste oczko.

Wsadził klucz w stacyjkę, uruchomił silnik i odjechał.

W niespełna trzy minuty później na podjazd domu Keetona wjechał radiowóz szeryfa z Seatonem Thomasem za kierownicą. Stary Seat znalazł ciało Myrtle Keeton leżące w drzwiach z garażu

562

do kuchni. Niedługo potem pojawiły się cztery wozy policji stanowej. Gliniarze przewrócili dom do góry nogami, szukając Granata lub przynajmniej jakiejś wskazówki, dokąd mógł pojechać. Nikt nie zwrócił uwagi na grę leżącą na biurku w jego gabinecie. Starą, brudną, najwyraźniej zepsutą grę wyglądającą tak, jakby trafiła tu ze strychu domu jakichś ubogich krewnych.

Eddie Warburton, dozorca Ratusza, był zły na Sonny'ego Jacketta od dwóch lat. W ciągu ostatnich kilku dni złość ta przemieniła się we wściekłą furię.

Kiedy w lecie 1989 roku zatarła się skrzynia biegów w jego ślicznej hondzie civic, nie oddał jej do najbliższego autoryzowanego warsztatu hondy. Za dużo kosztowałoby holowanie. Bieda, że musiała wysiąść w trzy tygodnie po upływie gwarancji. Więc najpierw poszedł do Sonny'ego Jacketta i spytał go, czy ma doświadczenie z zagranicznymi wozami.

Sonny zapewnił go, że owszem, ma. Mówił w ten swobodny, pewny siebie sposób, w jaki mówiła do niego większość wsiowych Jankesów. „Nie jesteśmy uprzedzeni, chłopcze” — sygnalizował wyraźnie ich sposób mówienia. „W końcu to przecież Północ, prawda? Nie dla nas to południowe gówno. Oczywiście, jesteś czarny, wszyscy to widzą, ale dla nas nie ma to najmniejszego znaczenia. Czarny, żółty, biały czy zielony, dla nas to wszystko jedno. Dawaj, chłopcze”.

Sonny naprawił w jego hondzie skrzynię biegów — ale rachunek za naprawę był o sto dolarów wyższy, niż obiecał, i pewnej nocy w „Tygrysie” omal się przez to nie pobili. Potem prawnik Sonny'ego (Jankesi czy nie, z doświadczenia Eddiego wynikało, że wszyscy biali mają prawników) zapowiedział Eddiemu, że czeka go sprawa o wykroczenie. Eddie zubożał przez nią jeszcze o pięćdziesiąt dolarów, honda zaś spaliła mu się w pięć miesięcy później. Stała wtedy na parkingu Ratusza. Ktoś krzyknął, Eddie wyskoczył na dwór z gaśnicą, lecz nim dobiegł do samochodu, w środku szalały już żółte płomienie. Nic się nie dało zrobić.

Od tamtej pory zastanawiał się prawie bez przerwy, czy to Sonny Jackett podpalił mu samochód.

Inspektor ubezpieczeniowy zapewniał wprawdzie, że to wypadek spowodowany zwarciem... jedna szansa na milion, ale co on tam wiedział? Pewnie nic

i w końcu nie były to przecież jego pieniądze. Ubezpieczenia nie wystarczyło, by odkupić wóz. Teraz Eddie już wiedział. Wiedział na pewno. Dziś rano dostał pocztą małą paczuszkę. Jej zawartość nie pozostawiała wątpliwości: kilka poczerńiałych metalowych zacisków, stara postrzępiona fotografia i liścik.

Zaciski doskonale nadawały się do spowodowania spięcia i pożaru. Wystarczyło zdjąć izolację z właściwych przewodów we właściwych miejscach, połączyć je i gotowe.

Na zdjęciu był Sonny i kilku jego przyjaciół-białasów z tych, co to siedzieli na stacji na kuchennych krzesłach, ile razy wchodziło się do biura. Nie zrobiono go jednak na stacji Sunoco, lecz na złomowisku Robicheau, przy drodze miejskiej numer 5. Białascy stały przy wraku jego hondy, popijały piwo, śmiały się i zajadały melona.

Liścik był krótki, konkretny. „Drogi Czarnuchu, wkurzyć mnie, to nie był Twój najlepszy pomysł”.

Eddie najpierw zastanawiał się trochę, dlaczego właściwie Sonny przesłał mu taki liścik (choć wcale nie skojarzył go z listem, który doręczył Poiły na żądanie pana Gaunta). W końcu zdecydował, że Sonny jest po prostu głupszy i złośliwszy niż większość białasów. No, ale... skoro nadal się tym wszystkim przejmował, to dlaczego właściwie czekał aż do dziś? Im więcej jednak czasu poświęcił rozważaniu nad dawnymi czasy (*Drogi Czarnuchu*)

tym mniej ważne wydały mu się te pytania. Liścik, zaciski i zdjęcie zagnieździły mu się w głowie. Użyczały w niej niczym stado żarłocznych komarów. Wieczorem kupił od pana Gaunta pistolet. Jarzeniówki biura stacji Sunoco rzucały białe, kanciaste plamy światła na szorstki asfalt parkingu przy stacji, gdy Eddie podjechał tam używanym oldsem (który zastąpił hondę). Wsiadł; dłoń, zaciśniętą na kolbie pistoletu, trzymał w kieszeni kurtki.

Przez dobrą minutę stał przed drzwiami, obserwując biuro. Sonny siedział za kasą, na plastikowym, odchylonym do tyłu krzeselku. Widział czapkę i otwartą gazetę. Czyta gazetę. Oczywiście. Biali zawsze mają prawników i kiedy w ciągu dnia znużą się kantowaniem czarnych, takich jak on, zawsze siedzą na odchylonym do tyłu krzesle, czytając gazetę. Pieprzone białascy z ich pieprzonymi prawnikami i pieprzonymi gazetami.

Wyjął pistolet. Wszedł do środka. Jakaś część jego duszy, do tej pory śpiąca, przebudziła się i zaczęła wrzeszczeć, żeby tego nie robił, że popełnia błąd, nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, bo Eddie nagle przestał być sobą. Zmienił się w ducha, wiszącego nad swym własnym ramieniem, przyglądającego się temu, co się dzieje. Kontrolę nad nim przejął upiór.

- Mam coś dla ciebie, ty oszukańczy sukinsynu — wypowiedziały jego usta, a jego palec dwukrotnie pociągnął za spust pistoletu. Dwie małe czarne dziurki pojawiły się w wielkim tytule: „Poparcie dla McKernana rośnie astronomicznie”. Sonny Jackett drgnął i wrzasnął. Tylne nóżki krzesła przesunęły się i Sonny Jackett spadł na ziemię niczym wór ziemniaków. Krew ciekła po kombinezonie... na którym złotą nicią wyhaftowane było imię RICKY. Nie był to wcale Sonny Jackett, tylko Ricky Bissonette!

- O, cholera! — wrzasnął Eddie. — Zastrzeliłem nie tego białasa!

- Cześć, Eddie! — powiedział stojący za jego plecami Sonny. — Szczęśliwą chwilę wybrałem sobie na sranie, nie?

Eddie próbował się obrócić. Trzy kule z pistoletu, który tego dnia po południu Sonny kupił u pana Gaunta, trafiły go nisko, w plecy; nim zdążył wykonać pół obrotu, nie miał już kręgosłupa.

Szeroko rozwartymi oczami, bezradnie, wpatrywał się w pochylającego się nad nim Sonny'ego. Lufa pistoletu w jego dłoni była wielka jak wlot tunelu, czarna jak wieczność, widoczna nad nią twarz zaś blada, zacięta. Jedynie policzek miał poplamiony smarem.

— Twój błąd nie polegał na tym, że chciałeś mi ukraść klu cze — stwierdził Sonny, przykładając lufę do środka czoła Eddiego. — Napisać i uprzedzić mnie, że masz zamiar to zrobić — to był twój błąd.

Oślepiające białe światło rozbłysło nagle w głowie Eddiego. Zrozumiał. Przypomniał sobie kopertę, którą wrzucił tej Chalmers przez szczelinę w drzwiach, skojarzył ją z listem, który otrzymał i z listem, o którym właśnie wspomniał Jackett.

- Słuchaj — szepnął. — Musisz mnie wysłuchać, Jackett.

Z nas obu zrobiono idiotów. My...

- Żegnaj, czarnuszk. — Sonny nacisnął spust. Przez niemal minutę stał nad tym, co pozostało z Eddiego Warburtona. Za stanawiał się, czy nie powinien go przypadkiem wysłuchać.

- 

Zdecydował, że jednak nie. Co takiego ważnego mógłby mu powiedzieć facet wystarczająco głupi, by napisać taki list?

Wstał, poszedł do biura, przeszedł nad nogami Ricky'ego, otworzył sejf i wyjął z niego klucze, które sprzedał mu pan Gaunt. Przyglądał się im, gładził je z miłością, od czasu do czasu podnosił któryś, by natychmiast odłożyć go na jego miejsce wyłożone aksamitem. Tak zastał go patrol policji stanowej.

Granat wyszczerzył zęby w uśmiechu. Potem roześmiał się głośno. Zahuczał grzmot. Błyskawica strzeliła z ciężkiego brzucha chmury wprost w rzekę. Granat śmiał się histerycznie. Śmiał się tak, aż mikrobus zaczął się kołysać.

— Oni! — krzyknął. — Och, Boże, mamy tu coś dla Nich! Czegoś takiego jeszcze nie widzieli!

Zaparkuj na rogu Birch i głównej ulicy — powiedział Granatowi przez telefon pan Gaunt. — I czekaj. Przyśle ci kogoś.

Granat dokładnie zastosował się do tej instrukcji. Z miejsca w którym stanął, z łatwością mógł obserwować natężony ruch u wylotu alejki; miał wrażenie, że tego wieczoru robili z panem Gauntem interesy wszyscy jego sąsiedzi i przyjaciele. Przed chwila przeszła obok niego ta Rusk w rozpiętej sukience. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie przebudził się ze złego snu. Potem, w jakieś pięć minut po jej wyjściu (chowała coś po drodze w kieszeni nadal rozpiętej sukienki, sporo było widać, ale zdaniem Granata tylko wariat nie odwróciłby oczu), gdzieś dalej na głównej ulicy rozległy się strzały. Trudno było mieć pewność, ale najprawdopodobniej strzelano na stacji Sunoco. Z parkingu Ratusza wystrzeliło kilka radiowozów z wyjącymi syrenami i błyskającymi światelkami. Reporterzy rozprysnęli się na bok jak błoto. Mimo przebrania Granat zdecydował, że lepiej jednak będzie ukryć się z tyłu mikrobusu.

Radiowozy przeleciały obok jego samochodu; w niebieskim świetle kogutów dostrzegł coś

opierającego się o tylne drzwi mikrobusu — wysoką, zieloną płócienną torbę. Bardzo zaciekawiony rozsznurował ją, otworzył i *zajrzał* do środka. Na wierzchu leżało pudełko, cała zaś torba wypełniona była zapalnikami. *Zapalnikami* zegarowymi. Było ich przynajmniej dwadzieścia parę. Gładkie, białe, gapiły się na niego jak pozbawione źrenic oczy upiórów. Otworzył pudełko, pełne zacisków takich, jakich elektrycy używają do łączenia przewodów.

Granat zmarszczył brwi... i nagle przypomniał sobie kartkę z zamówieniem, a dokładniej rzecz biorąc, z zamówieniem na materiały wybuchowe. W rubryce „Towary i/lub usługi” wpisane były dużymi literami słowa: „16 skrzynek dynamitu”.

Henry Payton, który przyjechał do Castle Rock wyciągnąć gorące kasztany z ognia za szeryfa Pangborna, stał w drzwiach prowadzących do wnętrza stacji Sunoco. Usta miał szeroko otwarte. Jeszcze dwóch. Jeden czarny, jeden biały, obaj martwi.

Trzeci mężczyzna — właściciel tej stacji, sądząc po wyhaftowanym na kombinezonie imieniu — siedział obok otwartego sejfu, tuląc do piersi brudną, stalową skrzynkę, jakby to było dziecko. Obok niego, na podłodze, leżał pistolet. Henry spojrzał na ten pistolet i omal nie narobił w gacie. Wyglądał jak bliźniak broni, z której Hugh Priest zastrzelił Henry'ego Beauforta.

— Rany! — powiedział stojący za Paytonem funkcjonariusz cichym, niebotycznie zdumionym głosem. — Jeszcze jeden.

Henry gwałtownie obrócił głowę, aż zatrzeszczały mu mięśnie szyi. Kolejny — trzeci — pistolet leżał obok rozpostartej dłoni Murzyna.

- Niczego nie dotykajcie — uprzedził swych ludzi. — Nawet się do nich nie zbliżajcie. — Przesząpił jeziorko krzepnącej krwi, złapał Sonny'ego za kłapy i podniósł na nogi. Sonny nie stawiał oporu, tylko mocniej przytulił skrzynkę do piersi.

- Co tu się stało? — wrzasnął Payton. — Na miłość boską, co tu się stało!?

By nie upuścić skrzynki, Sonny łokciem wskazał trupa Eddiego..

— Wszedł tu — powiedział. — Miał broń. Oszalał. Przecież widzicie, że oszalał, zobaczcie, co zrobił z Rickym. Myślał, że Ricky to ja. Chciał mi ukraść klucze. O, te! — Sonny uśmiechnął się. Przechylił skrzynkę, pokazując Henry'emu stos zardzewiałego



żelastwa. — Nie mogłem mu przecież na to pozwolić, prawda?

Przecież... to moje! Zapłaciłem za nie. Są moje!

Henry otworzył usta. Nie miał pojęcia, co właściwie chciał powiedzieć, i nigdy się tego nie dowiedział, bowiem w tej właśnie chwili na Castle View rozległy się nowe strzały.

Lenore Potter stała nad ciałem Stephanie Bonsaint. W dłoni trzymała pistolet. Z lufy pistoletu unosił się dym. Ciało Stephanie leżało na grządce — jedynej, której ta zła, mściwa suka nie zdążyła zniszczyć w czasie swych dwóch poprzednich wizyt.

- Nie powinnaś była wracać — powiedziała Lenore. Pierwszy raz w życiu posłużyła się bronią, w dodatku zabiła człowieka... ale czuła tylko ponurą radość. Ta baba wtargnęła na teren jej posiadłości, niszczyła jej ogród (Lenore zaczekała, aż Stephanie rzeczywiście zabierze się do roboty, jej mamuśkanie wychowywała idiotek), więc miała prawo. Tak, z pewnością prawo było po jej stronie.

- Lenore? — zawołał jej mąż. Wychylał się z okna łazienki na piętrze, na twarzy miał krem do golenia. — Lenore, co się dzieje?

- Zastrzeliłam sobie intruza — odparła Lenore, nie podnosząc wzroku. Podłożyła nogę pod bezwładne zwłoki i wyprostowała ją gwałtownie. Poczowała, jak stopa grzęźnie w miękkim ciele, sprawiło jej to wściekłą radość. — To Stephanie Bon...

Ciało odwróciło się. I nie była to wcale ta suka Bonsaint, tylko żona tego miłego zastępcy szeryfa.

Zastrzeliła Melissę Clutterbuck.

Całkiem nagle calava Lenore Potter z niebieskiej zrobiła się nie fioletowa i nawet nie fioletowoczerwona, lecz czarna jak północ w piekle.

Alan Pangbom siedział, patrząc na swe dłonie, lecz właściwie obserwował rozciągającą się za nimi ciemność tak głęboką, że można ją było tylko wyczuć. Właśnie uświadomił sobie, że tego popołudnia być może utracił Poiły. Nie na jakiś czas — póki nie wyjaśni sobie

dzisiejszego nieporozumienia — lecz na zawsze. Ma przed sobą jakieś trzydzieści pięć lat bezsensownego życia.

Usłyszał ciche szuranie i szybko podniósł głowę. W jego kierunku szła pani Hendrie, pielęgniarka. Sprawiała wprawdzie wrażenie zdenerwowanej, lecz widać też było, że podjęła jakąś decyzję.

— Ten mały Rusk zaczyna przytomnieć — powiedziała. — Dostał środki uspokajające, więc tak naprawdę nie obudzi się przez jakiś czas, ale to nie potrwa długo.

- Naprawdę? — spytał cicho. I czekał. Pani Hendrie przygryzła wargę.

- Tak. Pozwolę panu go zobaczyć, szeryfie Pangborn, jeśli tylko będę w stanie, ale... naprawdę, nie powinnam. Pan rozumie, prawda? To znaczy... wiem, że ma pan kłopoty w swoim mias teczku... ale ten chłopczyk ma zaledwie siedem lat.

- Tak.

- Idę na dół, do kawiarni. Napiję się herbaty. Evans się spóźnia, to u niej normalne, ale przyjdzie pewnie za parę minut. Jeśli pójdzie pan do jego pokoju — sala numer dziewięć — zaraz po moim wyjściu, nikt nie zorientuje się pewnie, że ktoś w ogóle był w szpitalu. Rozumie pan?

- Tak — przytaknął Alan z wdzięcznością.

- Obchód jest dopiero o ósmej, więc jeśli będzie pan w pokoju chłopca, Evans z pewnością pana nie zauważy. Jeśli jednak pan na nią wpadnie, niech jej pan powie, że zabroniłam panu odwiedzić chorego i że wślizgnął się pan do środka, kiedy na chwilę wyszłam. Prawda?

- Jasne. Oczywiście.

- Wyjdzie pan schodami po drugiej stronie korytarza. To znaczy, jeśli w ogóle pójdzie pan do Seana. Czego, oczywiście,

panu zabroniłam.

Alan wstał i z wdzięczności ucałował ją w policzek. Pani Hendrie zarumieniła się.

- Dziękuję — powiedział.
- Za co? Przecież nic nie zrobiłam. Chyba pójdę teraz napić

się herbaty. Niech pan siedzi i nie rusza się z miejsca, póki nie wyjdę, szeryfie.

Alan usiadł posłusznie. Siedział tak z głową pomiędzy Szymonem Prostaczkim i handlarzem, póki rozsuwane drzwi prawie nie zamknęły się za panią Hendrie, po czym wstał i cicho poszedł wesoło pomalowanym korytarzem, zarzuconym zabawkami i układankami, wprost do pokoju numer dziewięć.

Sean Rusk sprawiał wrażenie całkowicie przytomnego.

Znajdowali się w skrzydle pediatrycznym, łóżeczka w pokojach były małe, dziecinne, ale chłopiec wydawał się ginąć w swoim. Jego ciało prawie się nie odznaczało pod kołdrą; na poduszce

leżała jakby odcięta głowa. Był bardzo blady, pod oczami miał fioletowe niczym guzy cienie. Patrzył na Alana spokojnie, bez najmniejszego zaskoczenia. Kosmyk ciemnych włosów przygłął mu do czoła niczym przecinek.

Alan sięgnął po stojące pod oknem krzesło. Przysunął je do poręczy łóżka, zabezpieczających chłopca przed wypadnięciem. Sean powiódł za nim oczami, ale nie odwrócił głowy.

- Cześć — Alan przywitał go cicho. — Jak się miewasz?
- Zaschło mi w gardle — odpowiedział chłopiec szeptem. Na

stole przy łóżku stał dzbanek i dwie szklanki. Alan nalał wody do jednej z nich. Pochylił się nad poręczą.

Sean próbował usiąść, lecz nie zdołał. Opadł na poduszki z westchnieniem, które zraniło duszę Alana. Pomyślał o swym synu, biednym, martwym Toddzie. Podpierając dłonią głowę Seana, pomagając mu się podnieść, wrócił do owego dnia, kiedy stojącemu z Annie przy terenówce synowi pomachał na do widzenia i kiedy syn odmachnął mu wesoło. Tylko teraz dziwne, ciemne światło oświetlało każdą z ukochanych linii jego buzi.

Ręka mu drżała. Trochę wody pociekło po szpitalnej piżamce.

- Przepraszam.
- Nie, nic — szepnął Sean. Wypił prawie całą szklankę.

Beknął. Alan pomógł mu ułożyć głowę na poduszkę. Dzieciak wydał mu się teraz nieco bardziej ożywiony, ale oczy nadal miał martwe, spokojne. Pomyślał, że nigdy nie widział dziecka, które wydawałoby mu się bardziej samotne; przed oczami duszy znów mignął mu Todd.

Odepchnął od siebie ten obraz. Miał tu pracę do wykonania. Pracę obrzydliwą, nieprzyjemną także ze względów osobistych... ale nabierał coraz większej pewności, że jest wyjątkowo ważna. Niezależnie od tego, co teraz akurat działo się w Castle Rock, żywił coraz mocniejsze przekonanie, że odpowiedź znajdzie tu, ukrytą za bladym czółkiem i smutnymi, martwymi oczami.

Rozejrzał się po pokoju, zmusił twarz do uśmiechu.

- Niezbyt tu ciekawie — stwierdził.
- Aha. — Sean nadal szeptał ochryple. — Do luftu.
- To może kilka kwiatków? — Alan przesunął prawą dłoń po lewym przedramieniu, zgrabnie wyciągając zza paska zegarka złożony bukiet. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nadużywa szczęścia, ale pod wpływem chwili zdecydował się zaryzykować. Rezultat sprawił mu niemal przykrość. Dwa bibułkowe kwiatki rozdarły się podczas otwarcia magicznego bukietu. Słyszał jęk

zmordowanej sprężyny. Z pewnością był to już benefis tego egzemplarza... lecz jednak udało mu się, a w odróżnieniu od brata Seana rozbawiła i zdumiała sztuczka — mimo przygnębienia i lekarstw, które wraz z krwią płynęły mu w żyłach.

- Fajoskie. Jak pan to zrobił?
- Takie tam czary... chcesz je? — Pochylił się, by wstawić bukiet do karafki z wodą.
- Nie. Przecież to papierowe. I trochę się podarły. — Sean zamilkł, najwyraźniej zastanawiając się nad tym, co powiedział. Musiał dojść do wniosku, że okazał się niewdzięcznikiem, bo

dodał: — Ale sztuczka była fajna. Może pan sprawić, żeby znikły?

Bardzo w to wątpię, synu — pomyślał Alan, a głośno powiedział: „Spróbuję”.

Wyciągnął bukiet przed siebie, by chłopiec widział go wyraźnie, po czym lekko zgiął dłoń i opuścił ją. Zrobił to znacznie wolniej niż zazwyczaj — z szacunku dla podniszczonej zabawki — i rezultat zachwyił nawet jego samego. Zamiast po prostu zamknąć się błyskawicznie, jak zwykle, bukietek wydawał się nikać mu w dłoni jak dym. Czuł, jak stara sprężyna nawija się z oporami, zacina, ale w końcu decyduje: „No, jeszcze ten jeden raz...”.

- Naprawdę, genialne — oznajmił z uczuciem Sean, Alan zaś, choć w milczeniu, zgodził się z nim całkowicie. Piękna była ta wariacja sztuczki, którą od lat bawił dzieci w szkołach, wątpił jednak, by dało się ją powtórzyć z nowym „Składanym bukietem”. Sprężyna zamknęłaby go błyskawicznie, bez tej sennej powolności.

- Dziękuję — odparł i po raz ostatni schował pakietek za pasek zegarka. — Nie chcesz kwiatów, to może przyda ci się ćwiartka na colę? — Pochylił się i wyjął chłopcu z nosa ćwierćdolarówkę. Sean uśmiechnął się.

- Och, zapomniałem. Cola kosztuje dziś siedemdziesiąt pięć centów. Inflacja. Dla nas to nie problem. — Drugą ćwiartkę znalazł w jego ustach, trzecią we własnym uchu. Przez ten czas uśmiech Seana zbladł, Alan zaś zdał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej przejść do interesów. Położył trzy ćwiartki na wierzchu szafki.

- Będzie jak znalazł, kiedy poczujesz się lepiej — powiedział.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co.

- Gdzie mój tata? — głos Seana był odrobinę mocniejszy.

Pytanie to wydało się Alanowi dość dziwne. Spodziewał się

raczej, że chłopiec zapyta o matkę. W końcu dzieciak miał zaledwie siedem lat.

- Niedługo tu będzie — odparł.
- Mam nadzieje. Potrzebuję go.
- Przyjedzie. — Alan umilkł na chwilę. — Mama też — dodał.

Sean przemyślał to sobie, po czym powoli i stanowczo potrząsnął głową. Zaszleściła powłoczka poduszki.

- Nie, mama nie przyjedzie. Jest zbyt zajęta.
- Zbyt zajęta, żeby cię odwiedzić?

— Tak. Jest bardzo zajęta. Mama spotyka się z Królem. To dlatego nie wolno mi już wchodzić do jej pokoju. Zamyka drzwi, wkłada okulary i spotyka się z Królem.

Alan widział, jak Córa Rusk odpowiada na pytania zadawane jej przez policję stanową. Mówiła powoli, chaotycznie. Na stoliku obok niej leżały okulary. Nie potrafiła o nich zapomnieć. Cofała rękę, jakby bała się, że ktoś zauważy ten jej gest, a potem, zaledwie po kilku sekundach, znów ją wyciągała, jakby nie potrafiła nad nią zapanować. Wtedy myślał, że to z powodu szoku lub środków uspokajających. Teraz zaczął się zastanawiać. Zastanawiał się także, czy powinien wypytywać Seana o brata, czy pójść tym nowym tropem. A może i jedno, i drugie to ten sam trop?

• Pan nie jest prawdziwym magikiem, prawda? Pan jest policjantem? — zainteresował się Sean.

• Aha.

• Z policji stanowej? Ma pan taki niebieski samochód? Bardzo szybki?

• Nie. Jestem szeryfem. Mam brązowy samochód z gwiazdą na boku, dość szybki, ale dzisiaj przyjechałem moim starym kombi, które ciągle zapominam sprzedać. — Alan uśmiechnął się. — Baaardzo powolnym.

To stwierdzenie wzbudziło pewne zainteresowanie.

— A dlaczego nie przyjechał pan tym brązowym, policyjnym?

Żeby nie przestraszyć Jill Misluburski ani twojego brata — pomyślał Alan. Może i udało mi się z Jill, ale chyba nie zadziałało w przypadku Briana.

- Nie pamiętam — powiedział. — To był długi, ciężki dzień.
- Pan jest szeryfem jak w „Młodych strzelbach?”.
- Aha. Chyba tak. Mniej więcej.

— Wypożyczyliśmy sobie ten film z Brianem. Był absolutnie fajoski. Chcieliśmy pojechać na „Młode strzelby II”, kiedy grali je w „Latarni magicznej” w Bridgton, ale mama się nie zgodziła,

bo „zawierał sceny nieodpowiednie dla młodzieży”. Nie wolno nam chodzić na takie filmy, czasami tata tylko pozwala obejrzeć jakiś na wideo. Mnie i Brianowi strasznie podobały się „Młode strzelby”. — Sean przerwał, twarz mu się ściągnęła. — Ale to oczywiście było, nim Brian dostał kartę.

— Jaką kartę?

Na twarzy chłopca po raz pierwszy pojawiło się silniejsze uczucie. Strach.

- Kartę baseballową. Wspaniałą, niezwykłą kartę baseballową.
- Ach! — Alanowi przypomniał się pojemnik piknikowy na bagażniku roweru pełen kart baseballowych. Brian powiedział mu, że są „na wymianę”. — Brian lubił karty baseballowe, prawda?

- Aha. On tak go dostał, wie pan? Chyba używa różnych rzeczy dla różnych ludzi.

Alan pochylił się.

- Kto, Sean? Kto go dostał?
- Brian się zastrzelił. Widziałem to. Zastrzelił się w garażu.
- Wiem. Strasznie mi przykro.
- Z tyłu głowy wyleciało mu coś wstrętnego. Nie tylko krew, to coś też. Było żółte.

Alan nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Serce waliło mu w piersi mocno, powoli, usta miał suche jak pustynia w południe, czuł mdłości. Imię syna huczało mu w głowie niczym dzwon pogrzebowy, poruszony w środku nocy przez idiotę.

- Żałuję, że to zrobił. — Głos Seana był przedziwnie rzeczowy,

ale z oczu na policzki powoli spłynęły mu dwie łzy. — Nie obejrzymy razem „Młodych strzelb II”, kiedy pojawią się na kasecie. Obejrzę je sam, ale to będzie nudne bez tych jego głupich dowcipów. Wiem, że będzie.

- Kochałeś brata, prawda? — spytał Alan ochryłym głosem, wyciągając dłoń przez poręcz szpitalnego łóżka. Zacisnęła się na niej mocno rączka Seana Ruska, gorąca i mała. Taka mała.

- Tak. Powiedział, że kiedy dorośnie, chciałby miotać dla „Czerwonych Skarpet”. Powiedział, że nauczy się rzucać rogalem, jak Mikę Boddicker. Teraz się nie nauczy. Powiedział, żebym nie podchodził, bo mnie zabrudzi. Płakałem. Strasznie się bałem. To nie był żaden film, tylko nasz garaż.

- Wiem. — Alan przypomniał sobie samochód Annie. Roztrzaskane okna, na siedzeniu krew; wielkie ciemne kałuże. To też nie wyglądało jak na filmie. Rozplakał się. — Wiem, synku.

- Kazał mi coś obiecać. Obiecałem i dotrzymam. Dotrzymam do końca życia.

- Co mu obiecałeś, synku?

Alan przetarł twarz swobodną ręką, ale łzy nie przestały płynąć. Leżał przed nim chłopiec blady jak szpitalne prześcieradło, chłopiec, który widział, jak jego brat popełnia samobójstwo, widział mózg brata rozpryskujący się na ścianie garażu jak wielki smark, a gdzie była jego matka? Odwiedzała Króla — powiedział Sean. „Zamyka drzwi, wkłada okulary i odwiedza Króla”.

- Co mu obiecałeś, synku?

- Chciałem przysiąc na życie mamy, ale Brian mi nie pozwolił. Powiedział, że mam przysiąc na swoje własne życie. Bo on ją też dopadł. Brian powiedział, że dopada każdego, kto przysięga na czyjeś życie. Więc przysięgłem na swoje życie, tak jak chciałem, ale Brian i tak wystrzelił. — Sean rozszlochał się na dobre, lecz podniósł oczy i poprzez łzy wpatrywał się w Alana z napięciem. — To nie była tylko krew, panie szeryfie. To coś. To żółte coś.



Alan ścisnął jego rączkę.

- Wiem, Sean. Co obiecałeś bratu?
- Może Brian nie pójdzie do nieba, jeśli panu powiem?
- Pójdzie. Obiecuję ci. I jestem szeryfem.
- Czy szeryfowie łamią obietnice?
- Nigdy nie łamią obietnic złożonych dzieciom w szpitalach.

Szeryfowie nie mogą złamać takich obietnic.

- Gdyby złamali, poszliby do piekła?
- Tak. Właśnie. Gdyby złamali, poszliby do piekła.
- Czy przysięga pan, że Brian pójdzie do nieba, nawet jeśli powiem? Czy przysięga pan na swoje życie?
- Na swoje własne życie — przysięgł Alan.
- No dobrze. Kazał mi przysiąc, że nie pójdę do tego nowego sklepu, w którym kupił tę swoją niezwykłą kartę. Myślał, że jest na niej Sandy Koufax, ale to nie był Sandy Koufax, tylko jakiś inny gracz. Karta była stara i brudna, ale chyba tego nie wiedział. — Sean przerwał, zastanawiał się przez chwilę, a później mówił tym samym, niesamowicie spokojnym głosem: — Kiedy raz wrócił do domu, miał błoto na rękach. Zmył je, a potem zamknął się w swoim pokoju. Słyszałem, jak płakał.

Prześcieradła — pomyślał Alan. Prześcieradła Wilmy. Więc jednak to był Brian.

- Brian powiedział, że „Sklepik z marzeniami” to trujące miejsce, że to trujący człowiek i że nie wolno mi tam pójść.
- Brian tak powiedział? Powiedział „Sklepik z marzeniami”?
- Tak.
- Sean... — Alan przerwał. Myślał. Czuł, jak ciało przeszywają mu miliony elektrycznych iskerek, zapalających się, tańczących i gasnących w ciemności.
- Co?

- Czy... czy twoja mama kupiła okulary w „Sklepiku z marzeniami”?

- Tak.

- Powiedziała ci, że tam je kupiła?

- Nie. Ale i tak to wiem. Wkłada je i w ten sposób odwiedza Króla.

- Jakiego króla, Sean? Wiesz?

Sean spojrział na Alana, jakby uważał go za szalonego.

- Elvisa. Przecież on był Królem.

- Elvisa — szepnął Alan. — Oczywiście. Kogóżby innego.

- Chcę do taty.

- Wiem, synku. Jeszcze tylko kilka pytań i zostawię cię samego. Zaśniesz, a kiedy się obudzisz, tata już tu będzie. — Przynajmniej taką miał nadzieję. — Sean, czy Brian powiedział, kto jest tym trującym człowiekiem?

- Tak. Pan Gaunt. Właściciel sklepu. On jest trującym czło-  
wiekiem.

Alan nagle przypomniał sobie Poiły, Poiły po pogrzebie, mówiącą: „Po prostu wreszcie chyba spotkałam właściwego lekarza. Doktora Gaunta. Doktora Lelanda Gaunta”.

Przypomniał sobie, jak pokazywała mu srebrną kuleczkę, którą kupiła w „Sklepiku z marzeniami”... i jak osłoniła ją zazdrośnie, kiedy chciał jej dotknąć. W tej jednej chwili miała w twarzy coś, czego nie dostrzegł u niej nigdy przedtem: wyraz podejrzliwej zazdrości. Później napiętym, drżącym od powstrzymywanych łez, także nie swoim głosem, powiedziała mu: „Ciężko jest odkryć, że twarz, którą się kochało, jest tylko maską... Jak mogłeś węszyć mi za plecami?.. Jak mogłeś?”.

- Coś ty jej powiedział? — szepnął. Nie zdawał sobie sprawy, że jedną ręką złapał szpitalną kołderkę, którą przykryty był Sean, i że mnie ją w dłoni. — Coś ty jej powiedział? I jak do cholery udało ci się sprawić, że uwierzyła?

- Panie szeryfie? Pan się źle czuje?

Alan z wysiłkiem rozwarł pięść.

- Nie... Nie. Wszystko w porządku. Jesteś pewien, że Brian mówił o panu Gauncie, prawda, Sean?

- Tak.

- Dziękuję ci. — Pochylił się, ujął dłoń Seana i pocałował go w chłodny, blady policzek. — Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną porozmawiać. — Puścił dłoń chłopca. Wstał.

Cały ostatni tydzień planował zrobić coś, czego zrobić mu się w końcu nie udało. Chciał wpaść z wizytą do nowego sklepu w Castle Rock. Nic wielkiego, przyjacielska wizyta typu: witamy w mieście plus krótka informacja o tym, co robić na wypadek kłopotów. Planował tę wizytę, raz nawet zapukał do drzwi, ale w końcu jakoś do niej nie doszło. A dziś, kiedy zachowanie Poiły sprawiło, że zaczął podejrzewać pana Gaunta o fałszywą grę, śliwka wpadła wreszcie w gównno i znalazł się tu, trzydzieści kilometrów od miasta.

Czy to on trzymał mnie z dala od siebie? Czy to on przez cały ten czas trzymał mnie z dala od siebie?

Sam ten pomysł powinien wydać mu się śmieszny, ale jakoś się nie wydawał. Nagle Alan poczuł, że musi wrócić. Że musi wrócić tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Panie szeryfie?

Spojrzał na leżącego w łóżku chłopca.

- Brian powiedział mi coś jeszcze.

- Tak? Co takiego, Sean?

- Brian powiedział, że pan Gaunt tak naprawdę wcale nie jest człowiekiem.

Alan szedł korytarzem w stronę drzwi, nad którymi napisane było: „Wyjście”, najciszej jak potrafił, w każdej chwili spodziewając się głośnego krzyku następczyni pani Hendrie, paraliżującego go w pół kroku, lecz po drodze spotkał wyłącznie małą dziewczynkę. Dziewczynka stała w drzwiach swojej salki, jasne włosy związane miała w warkoczki spadające na spłowiałą flanelową koszulkę nocną. W rękę trzymała kocyk, mocno zużyty, więc najprawdopodobniej jej ulubiony, była bosa, wstążki w warkoczkach miała przekrzywione, a wielkie oczy w chudej bladej buzi wyraźnie świadczyły, że wie

o bólu więcej niż jakiegokolwiek dziecko ma prawo wiedzieć.

- Pan ma pistolet — oznajmiła.
- Mam.
- Mój tata też ma pistolet.
- Naprawdę?
- Tak. Jego pistolet jest większy. Największy na świecie. Czy

pan jest Straszycłem?

- Nie, skarbie — powiedział uspokajająco. Straszycło jest dziś w nocy w moim miasteczku — pomyślał.

Wyszedł na klatkę schodową, zszedł na parter, otworzył kolejne drzwi i znalazł się na dworze. Zapadał zmierzch, ciepły jak w środku lata. Poszedł w stronę parkingu, niemal biegł. Od zachodu, od strony Castle Rock, dobiegł go przytłumiony huk grzmotu.

Otworzył drzwiczki samochodu, wsiadł i zdjął z widełek mikrofon swego taniutkiego radia.

— Jedynka do bazy, odbiór.

Słyszał tylko ten idiotyczny szum zakłóceń.

Ta cholerna burza.

Może pan Straszycło zawinszował ją sobie na benefis — szepnął jakiś głos z głębi jego duszy. Mocno zaciśnięte wargi skrzywiły mu się w uśmiechu.

Spróbował jeszcze raz, z identycznym skutkiem, po czym wezwał policję stanową w Oxfordzie. Słyszał ich czysto, wyraźnie. Poinformowali go, że połączenia radiowe szwankują w pobliżu Castle Rock z powodu wyładowań elektrycznych. Nawet telefony działają, kiedy chcą.

- Dobra, spróbujcie złapać Henry'ego Paytona. Powiedzcie mu, żeby zatrzymał mężczyznę nazwiskiem Leland Gaunt. Na razie jako świadka. Powtarzam, Gaunt, „G” jak George. Zrozumieście? Odbiór.

- Zrozumieliśmy, szeryfie. Gaunt, „G” jak George.
- Poinformujcie go, że według mego najgłębszego przekonania Gaunt może być współnikiem przed faktem morderstw Nettie Cobb i Wilmy Jerzyck. Odbiór.

- Przyjęte.

- Zrozumiałem. Koniec.

Odwiesił mikrofon, włączył silnik i ruszył z powrotem do Castle Rock. Na przedmieściach Bridgton zjechał na parking supermarketu; była tam budka, z której spróbował zadzwonić do biura. W słuchawce usłyszał trzaski, po czym nagrany na taśmę głos poinformował go, że numer, z którym pragnie się połączyć, jest „czasowo uszkodzony”.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu — tym razem już biegiem. Nim wyjechał z parkingu, włączył migające światło i umieścił je na dachu samochodu. Nie przejechał nawet kilometra, gdy zdumiony, drżący i protestujący ze wszystkich sił stary ford ciągnął sto trzydzieści.

## 11

Ace Merrill i zmierzch pojawili się w Castle Rock jednocześnie.

Chevrolet celebrity wjechał do miasta przy akompaniamencie gromu przewalającego się ciężko po niebie i błyskawic bijących w bezbronną ziemię. Okna samochodu otwarte były na przestrzał — deszcz nie spadł jeszcze, powietrze było gęste jak miód.

Ace był brudny, zmęczony i wściekły. Mimo liściku pojechał jeszcze w trzy inne zaznaczone na mapie miejsca. Nie wierzył, że stało się to, co się stało; nie potrafił uwierzyć, że to w ogóle możliwe. Powiedzmy sobie wprost: nie wierzył, by jakimś cudem komuś udało się przebić Ace'a. W każdym z tych miejsc znalazł płaski kamień i zakopaną pod nim puszkę. W dwóch były, oczywiście, zatęchłe znaczki, w ostatniej zaś, zakopanej w błotnistej ziemi za farmą Stroutów, jedynie stary długopis. Długopis z figurką kobiety uczesanej w stylu lat czterdziestych, w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym w stylu lat czterdziestych. Kiedy trzymało się ten długopis pionowo, kostium zniknął.

Też mi skarb!

Ace pruł do Castle Rock z maksymalną szybkością, oczy miał dzikie, dzinsy do kolan zachłapane bagiennym błotem. Przyświecał mu jeden i tylko jeden cel: chciał zabić Alana Pangborna. Potem wyjedzie po prostu na Zachodnie Wybrzeże; właściwie powinien to zrobić już dawno. Być może wyciągnie jeszcze od Pangborna jakąś forszę, ale niezależnie od forsy jedno było pewne — sukinsyn umrze i nie będzie to lekka śmierć.

Jakieś pięć kilometrów przed mostem uświadomił sobie nagle, że nie ma broni. Miał zamiar *zabrać* sobie jeden z pistoletów z bostońskiego ładunku, ale nagle odezwał się ten cholerny magnetofon i wystraszył go na śmierć. Wiedział jednak, gdzie może się zaopatrzyć.

Wiedział doskonale.

Przejechał przez most... i zatrzymał się gwałtownie na rogu głównej i Watermill Lane, chociaż miał pierwszeństwo przejazdu.

— Co do kurwy nędzy?! — mruknął.

Przed nim ulicę blokowały radiowozy policji stanowej z migającymi światłami, wozy transmisyjne telewizji i grupki ludzi. Najwięcej działo się wokół Ratusza. Wyglądało to trochę, jakby ojcowie miasta nagle zdecydowali się ogłosić karnawał.

Ace'a nic to wszystko nie obchodziło, dla niego miasto mogło wyschnąć na drzazgę, utopić się w rzece albo wylecieć w powietrze. Ale chciał Pangborna, chciał zawiesić sobie u pasa skalp tego kurewskiego złodzieja — a jak miał to zrobić, kiedy tak na oko cała policja stanowa Maine kręciła się wokół Biura Szeryfa?

Odpowiedź wpadła mu do głowy niemal natychmiast.

„Pan Gaunt będzie wiedział. Pan Gaunt ma pukawki wraz z odpowiedziami na wszystkie pytania. Idź, zobacz się z panem Gauntem”.

Zerknął w lusterko. Na szczycie najbliższego wzgórza, po drugiej stronie mostu, dostrzegł więcej niebieskich światełek. Kolejna porcja glin. Co tu się do cholery dzieje? — pomyślał, ale nie poświęcił czasu na rozważanie tej kwestii. Mogła poczekać. Jeśli już przy tym jesteśmy, to w ogóle mogła pozostać nie rozwiązana, bez bólu. Na razie miał do załatwienia własne sprawy — a pierwszą z nich było zjechać z drogi gliniarzom, nim wjadą mu w bagażnik.

Skręcił w lewo w Watermill Lane, potem w prawo w Cedar Street; w ten sposób, nim z powrotem znalazł się na głównej ulicy, objechał śródmieście. Na moment przystanął na światłach, patrząc na prawdziwą dyskotekę odbywającą się u stóp wzgórza, po czym podjechał pod „Sklepik z marzeniami”.

Kiedy wysiadł z samochodu i dostrzegł wiszącą w oknie tabliczkę, przez chwilę czuł straszliwe rozczarowanie. Potrzebował nie tylko broni, lecz także przynajmniej odrobiny cudownego proszku pana Gaunta. Szybko przypomniał sobie jednak o tylnym wejściu. Skręcił w najbliższą przecnicę, nie dostrzegając ani jaskrawożółtej półciężarówki zaparkowanej jakieś trzydzieści—czterdzieści metrów dalej, ani siedzącego w niej i przyglądającego się mu mężczyzny (Granat przesiadł się z powrotem na przednie siedzenie).

Wchodząc w alejkę, otarł się o mężczyznę w nasuniętej głęboko na oczy tweedowej czapce.

— Hej, uważaj, jak idziesz, dziadku! — powiedział.

Mężczyzna w czapce podniósł głowę, wyszczerzył na niego zęby i warknął, wyjmując jednocześnie z kieszeni pistolet i mierząc nim mniej więcej w niego.

— Nie drażnij mnie, przyjacielu. Chyba że i ty chcesz dostać.

Ace uniósł dłonie i zrobił krok do tyłu. Był zbyt zdumiony, by czuć choć odrobinę strachu.

- Nie, panie Nelson — powiedział. — Chcę tylko przejść.
- Doskonale. Widziałeś może tego sukinsyna Jewetta?
- Co? A, tego ze szkoły?
- Tak, tego ze szkoły. A mieszka tu jakiś inny Jewett? Oprzytomniej, na litość boską!

- Dopiero przyjechałem. — Ace uznał, że zdrowiej będzie dla niego, jeśli zachowa daleko idącą ostrożność. — Nikogo jeszcze nie spotkałem, panie Nelson.

- Dobra. I tak go znajdę. A jak go znajdę, to będzie cholernie żałował, że go znalazłem. Zabił mi papugę i nasrał na mamę. — Oczy George'a T. Nelsona zwężyły się złowrogo. — Tej nocy lepiej trzymać się ode mnie z daleka.

Na ten temat Ace nie miał zamiaru się spierać.

Nelson schował pistolet do kieszeni i zniknął za rogiem. Szedł szybkim, zdecydowanym krokiem — jak człowiek, który się rzeczywiście wkurzył. Jeszcze przez chwilę Ace stał nieruchomo z podniesionymi rękami. Ten facet uczył go w szkole robót ręcznych i zawsze wydawał mu się kimś, komu brakuje odwagi, by zabić srającą mu w oko muchę. Teraz musiał zmienić to przekonanie. Co więcej, rozpoznał pistolet. Nic dziwnego, zeszłej nocy z Bostonu przywiózł ich całą skrzynkę.

- Ace! — wykrzyknął pan Gaunt. — Najwyższy czas!
- Potrzebna mi broń. I trochę tego cudownego lekarstwa na

wściekłość, jeśli jeszcze je pan ma.

- Świetnie, doskonale, wszystko we właściwym czasie. Wszystko we właściwym czasie. Pomóż mi z tym stołem.

- Mam zamiar załatwić Pangborna. Skradł mi mój pieprzony skarb i mam zamiar go załatwić.

Leland Gaunt spojrział na niego żółtymi oczami bez wyrazu — patrzył na niego, jak kot patrzy na mysz... i w tej chwili Ace czuł się jak mysz.

— Nie marnuj czasu, mówiąc mi to, o czym doskonale wiem. Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, pomóż mi.

Ace złapał stół z drugiej strony; wspólnie zanieśli go do magazynu. Gaunt podniósł z podłogi stojącą tam, opartą o ścianę tabliczkę z informacją: TYM RAZEM SKLEP ZOSTAŁ NAPRAWDĘ ZAMKNIĘTY. Umieścił ją na drzwiach i zamknął je. Ace Merrill zauważył, że tabliczka nie powinna trzymać się na drzwiach. Nie mocowała jej tam ani taśma, ani gwóźdź z nitką, nic. A jednak się trzymała.

Zerknął na skrzynie, w których przywiózł pistolety i magazynki. Zostały zaledwie trzy sztuki — jednego i drugiego.

- Święty Jezu, gdzie się podziała reszta?
- Dziś wieczór handel szedł świetnie. — Pan Gaunt zatarł dłonie o długich palcach. — Po prostu znakomicie. A będzie jeszcze lepiej. Mam dla ciebie robotę.

- Mówiłem panu, szeryf ukradł mój...

Leland Gaunt doskoczył do niego, nim Ace zdążył dostrzec, że w ogóle się poruszył. Długie, wstrętne dłonie złapały go za koszulę, uniosły w powietrze, jakby zamiast ciałem wypchany był pierzem. Zdążył tylko stęknąć ze zdumienia. Trzymające go ręce były twarde niczym z żelaza. Wisiał w powietrzu, wysoko; patrzył z góry w płonące, piekielne oczy, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, jak się tu właściwie znalazł. Mimo straszliwego przerażenia zauważył jednak, że dym — lub może para — bucha z uszu i nozdrzy pana Gaunta. Pan Gaunt wyglądał jak smok, który przybrał postać człowieka.

— Nic mi nie mów! — ryknął na niego. Językiem przesunął po wielkich, nierównych zębach i Ace dostrzegł, że język ten jest rozdwojony, jak u węża. — Ja powiem ci wszystko! Kiedy jesteś



w towarzystwie starszych i lepszych od siebie, masz milczeć!

Milczeć i słuchać! Milczeć i słuchać! Milczeć i słuchać!!!

Dwukrotnie obrócił nim nad głową jak zapaśnik w wolnej amerykance stosujący na przeciwniku „śrubę” i rzucił nim o ścianę. W samym środku czaszki Ace'a wybuchły fajerwerki, a kiedy już mógł coś widzieć, pierwsze, co zobaczył, to rzucający się na niego pan Gaunt z twarzą składającą się wyłącznie z przerażających oczu, przerażających zębów i dymu.

— Nie! Nie! Panie Gaunt, nie, proszę!

Dłonie zmieniły się w szpony, w ułamku sekundy wyrosły na nich i wyostrzyły się pazury... a może zawsze tam były? — myślał Ace panicznie i w zamęcie. — Może on zawsze tak wyglądał, tylko my tego nie widzieliśmy?

Pazury przecięły mu koszulę.

— Będziesz mnie słuchał? — Przy każdym słowie usta i policzki

owiewał mu piekący dym. — Będziesz słuchał, czy mam ci raczej wypruć flaki i zyskać wreszcie odrobinę spokoju?

- Nie — chlipnął Ace. — To znaczy tak! Będę słuchał!
- Czy masz zamiar być dobrym żołnierzem i wypełniać

rozkazy?

- Tak.
- Czy wiesz, co cię czeka, jeśli ich nie wypełnisz?
- Tak! Tak! Tak!

• Jesteś obrzydliwy — stwierdził pan Gaunt. — Bardzo lubię tę cechę u współpracowników. — Rzucił go na ścianę, po której Ace się osunął i zamarł, klęcząc, drżąc i szlochając. Patrzył w podłogę. Bał się podnieść wzrok, bał się, że znów ujrzy przed sobą potwora.

• Jeśli kiedykolwiek jeszcze przyjdzie ci do głowy sprzeciwić się moim życzeniom, dopilnuję, byś z paradą odbył wycieczkę do piekła. Dostaniesz tego swojego szeryfa, nie obawiaj się. Na razie jednak szeryfa nie ma w mieście. A teraz wstań.

Ace wstał chwiejnie. Bolała go głowa, koszulka wisiała na nim w strzępach.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. — Pan Gaunt znów był uprzejmy i wytworny... a także starannie uczesany. Każdy włoszek spoczywał dokładnie na swoim miejscu. — Czy lubisz to mięso teczko? Czy kochasz je? Czy powiesiłeś na ścianach tej swojej cholernej budy zdjęcia świadczące bezsprzecznie o jego wiejskim uroku, o dawno minionych dniach, gdy psy jeszcze gryzły, a pszczoły żądliły?

- O kurwa, nie! — odpowiedział Ace drżącym głosem. Jego głos wznosił się i opadał w rytm uderzeń serca. Z największym trudem usiłował wstać. Miał wrażenie, że nogi zastąpiło mu rozgotowane spaghetti. Oparł się o ścianę, uważnie obserwując pana Gaunta.

- Czy wstrząsnęłoby całym tobą, gdybym polecił ci wymazać tę głównianą pipidowę z powierzchni ziemi jeszcze przed *przyjazdem* pana szeryfa?

- Ja... ja nie wiem, czego pan ode mnie chce.

- Jeszcze się dowiesz. Chyba jednak wyczuwasz mnie, prawda? Prawda?

Ace myślał przez chwilę o przeszłości. Myślami wrócił do dzieciństwa, do chwili, kiedy to czterech zarozumiałych gówniarzy okantowało go i jego przyjaciół (Ace miał jeszcze wtedy przyjaciół, no, przynajmniej coś w tym rodzaju), nie dało im tego, czego chcieli. Później dorwali jednego z tych zarozumiałców — nazywał się Gordie LaChance — i sprawili mu takie lanie, że omal nie zdechł. Tylko... nie miało to przecież żadnego znaczenia. LaChance jest teraz wielkim pisarzem, mieszka gdzieś z drugiej strony stanu i pewnie podciera sobie dupę dziesięciodolarówkami. Zarozumiałcy jakimś cudem wygrali i to zmieniło całkowicie świat Ace'a. Zmienił się ze szczęściarza w pechowca. Drzwi, niegdyś zawsze przed nim otwarte, zaczęły się zamykać. Powoli, powoli docierało do niego, że nie jest królem i że Castle Rock to nie jego królestwo — a jeśli kiedykolwiek nim było, świat zmienił się właśnie tego dnia, kiedy miał szesnaście lat i czterej zarozumiali gówniarze nie dali mu czegoś, co chciał im zabrać. Kiedy wreszcie dorósł do legalnego kufelka w „Potulnym Tygrysie”, z króla zdążył się już zmienić w szeregowca bez munduru kryjącego się po krzakach na terenie przeciwnika.

- Nienawidzę tego śmierdzącego kibla! — wyznał panu Gauntowi.

- Bardzo dobrze. Świetnie. Mam przyjaciela — siedzi w samo chodzie zaparkowanym niedaleko stąd — który pomoże ci coś z tym zrobić. Dopadniesz szeryfa... a na dodatek jeszcze rozniesiesz na strzepy całe to miasteczko. Brzmi nieźle, prawda? — Pan Gaunt spojrzał Ace'owi prosto w oczy; Ace, stojący przed nim w porwanej koszulce, przestał się nagle trząść, a zaczął uśmiechać. I głowa już go nie bolała.

- Tak — powiedział. — To brzmi wspaniale.

Pan Gaunt sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął z niej foliową torebkę na kanapki wypełnioną białym proszkiem. Podał ją Ace'owi.

— Robota czeka — powiedział.

Ace wyciągnął rękę, nie patrząc jednak na torebkę. Nie spuszczał wzroku z oczu pana Gaunta.

— Świetnie — stwierdził. — Jestem gotów.

### 13

Granat patrzył, jak mężczyzna, którego zauważył poprzednio, wchodzi w alejkę, a potem z niej wychodzi. Podkoszulek gościa zwisał, podarty na strzepy. Niósł skrzynię, a za pas wetknięte miał dwa pistolety.

Nagle oderwał się od szyby, przerażony. Mężczyzna, w którym

rozpoznał Johna „Ace'a” Merrilla, podszedł do jego samochodu, postawił skrzynię na ziemi i swobodnie zastukał w szybę.

— Otwórz tył, tatuśku! — powiedział. — Mamy robotę.

Granat otworzył okno.

- Wynoś się — prawie krzyknął. — Wynoś się, łobuzie. Albo zawołam policję.

- Życzę szczęścia — burknął Ace, wyjmując jeden z pistoletów zza pasa. Granat zeszytniał, lecz ku jego niebotycznemu zdu

mieniu Merrill rzucił mu go przez okno, kolbą do przodu. — Bierz go — powiedział niecierpliwie — i otwórz tył. Jeśli nie wiesz, kto mnie przysłał, jesteś głupszy, niż na to wyglądasz. — Wolną ręką pociągnął za loki peruki. — Piękne włosy — przyznał z krzywym uśmiechem. — Prawie że się zakochałem.

- Przestań. — Lecz w głosie Granata nie było już ani gniewu, ani zdumienia. „Trzej ludzie sporo mogą zniszczyć” — powiedział mu pan Gaunt. — „Przyślę ci kogoś”.

Ale jego? Ace'a Merrilla? Przecież Ace Merrill to kryminalista!

- Słuchaj — mówił mu właśnie Ace — jeśli chcesz przedyskutować to sobie z panem Gauntem, to chyba ciągle jeszcze jest u siebie. Ale jak widzisz — przesunął dłonią po skrawkach pod koszulka wiszącego mu na piersi i brzuchu — humorek nie bardzo mu dopisuje.

- To ty masz mi pomóc pozbyć się Ich?
- Słusznie. Zmienimy to miasto w dobrze wysmażonego hamburgera. — Ace podniósł skrzynię. — Chociaż nie wiem, jakich zniszczeń dokonamy, mając tylko skrzynkę zapalników. Pan Gaunt twierdzi, że ty wiesz.

Granat uśmiechnął się, najpierw półgębkiem, później znacznie szerzej. Przeszedł na tył mikrobusu i otworzył drzwiczki.

- Chyba wiem — stwierdził radośnie. — Niech pan wsiada, panie Merrill. Jedziemy.

- Dokąd?
- Na początek do miejskich garaży. — Granat nadal uśmiechał się szeroko.

Wielebny William Rosę, który w 1983 roku po raz pierwszy wstąpił na kazalnicę Zjednoczonego Kościoła Baptystów w Castle Rock, był bez dwóch zdań bigotem pierwszej wody. Na nieszczęście był również człowiekiem energicznym, czasami w jakiś okrutny sposób dowcipnym, a także kapłanem popularnym wśród swej trzódki. Pierwsze kazanie, które wygłosił jako przywódca prawdziwych wiernych Castle Rock, zwiastowało to, co dopiero miało nadejść. Nadał mu tytuł: „Dlaczego katolicy muszą pójść do piekła”. Od tej pory nie zmienił tematu, bardzo zresztą wziętego w jego kongregacji. Katolicy — tłumaczył — to bluźniercy, którzy zeszli z jedynej słusznej drogi; modlą się nie do Jezusa, lecz do kobiety, która wybrana została, by go porodzić. Nic dziwnego więc, że skoro popełnili taki błąd, popełniają i inne, prawda?

Katolicy — wyjaśniał — w czasie Inkwizycji udoskonalili sztukę tortur. Inkwizytorzy palili prawdziwych wiernych na... uh... płonących stosach aż do początku dziewiętnastego wieku; dopiero wówczas bohaterscy protestanci (przede wszystkim baptyści) doprowadzili do zaniechania tych praktyk. Czterdziestu różnych papieży poznało swe matki, siostry, nawet nieślubne córki w... uh... sposób... uh... seksualnie niewłaściwy. Watykan zbudowano ze złota pomordowanych protestanckich męczenników i ograbionych narodów. I tak dalej.

Tego rodzaju bełkot Kościół katolicki znał od dawna; podobne herezje głoszone nieprzerwanie od dwustu lat. Wielu księży przeszłoby nad nim do porządku dziennego, w odwecie stosując co najwyżej łagodny żart, ojciec John Brigham nie należał jednak do

ludzi, którzy potrafią przejść nad czymś takim do porządku dziennego. Wręcz przeciwnie. Krzywonogi Irlandczyk z charakterem należał do tego rodzaju całkowicie pozbawionych poczucia humoru facetów, którzy nie znoszą durniów, a *zwłaszcza* durniów manifestujących — jak wielebny Rosę — swą głupotę.

Znosił te kazania w milczeniu przez blisko rok, aż wreszcie odpowiedział na nie ze swej kazalnicy. Jego homilia, „Grzechy wielebnego Williego”, nic nie pozostawiała wyobraźni i charakteryzowała pastora jako: „Głupiego dupka, pewnego, że Billy Graham chodzi po wodzie, a Billy Sunday zasiada po prawicy Boga Ojca Wszzechmogącego”.

Tej samej niedzieli, nieco później, wielebny Rosę złożył mu wizytę w towarzystwie czterech spośród swych najpotężniejszych diakonów. Oznajmił, że wstrząsnęły nimi i rozgniewały ich słowa,

które ośmielił się wypowiedzieć ojciec Brigham.

— Masz czelność pouczać mnie, co powinienem mówić — zdenerwował się ojciec Brigham — po tym, jak cały ranek tłu maczyłeś wiernym, że służę babilońskiej nierządnicy?

Policzki i prawie cała łysina wielbnego Rose'a zaczerwieniły się niemal natychmiast. Wielbny Rose wyjaśnił, że nigdy nie mówił o babilońskiej nierządnicy, wspomniawszy natomiast, rzecz jasna, nierządnicę rzymską. Uderz w stół — powiedział — a nożyce...

Ojciec Brigham wyskoczył z drzwi plebanii z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— Jeśli masz zamiar przedyskutować to ze mną na dworze, przyjacielu — wykrztusił — to każ tym swoim gestapowcom trzymać się z boku i porozmawiajmy.

Wielbny Rose, dziesięć centymetrów wyższy od ojca Brighama, lecz prawdopodobnie dziesięć kilogramów lżejszy, cofnął się

0      krok z kpiącym uśmiechem na wargach.

— Nie będę... uh... brudził rąk — oznajmił.

Jednym z jego diakonów był Don Hemphill, i wyższy, i cięższy od wojowniczego księdza.

— Ja to z tobą przedyskutuję — oznajmił — i wymiotę ścieżkę tym twoim zasranym papieskim tyłkiem...

Dwaj inni diakoni, w pełni świadomi faktu, że Don jest w stanie dokonać tego, co obiecał, powstrzymali go w mgnieniu oka, ale wojna ruszyła na całego.

Aż do października była to raczej wojna podjazdowa — żarty

1      złośliwe dowcipy wymieniane w męskich i żeńskich grupkach wyznawców obu Kościołów, szkolne bójki dzieci rodziców z obu frakcji, a przede wszystkim oratorskie granaty miotane z kazalnicy na kazalnicę każdej niedzieli — owym dniu pokoju, w którym, jak uczy historia, zaczynała się większość wojen. Od czasu do czasu zdarzały się poważniejsze wybryki: podczas tańców Stowarzyszenia Młodzieży salę baptystów obrzucono jajkami, raz nawet w okno dużego pokoju plebanii rzucono kamieniem — ale przede wszystkim gadano.

Jak podczas każdej wojny, były dni bitew i dni rozejmu, ale tych pierwszych zrobiło się znacznie więcej, gdy Córy Izabeli ogłosiły plan otwarcia „Casino Nite”. Jeszcze nim wielbny Rose otrzymał list zaczynający się od słów o „Baptystowskich dziwkach”, zapewne za późno już było, by uniknąć

konfliktu; bezprecedensowe chamstwo owej epistoły gwarantowało jednak, że konflikt ten osiągnie gigantyczne rozmiary. Przygotowano suche drwa; potrzebny był jedynie tylko ktoś z zapalkami.

Jeśli ktoś straszliwie nie docenił sytuacji, to tylko ojciec Brigham. Zdawał sobie sprawę, że jego koledze-baptyście pomysł „Casina Nite” się nie spodoba, nie potrafił jednak wyobrazić sobie, do jakiego stopnia idea popieranego przez Kościół hazardu obrazi go i do jakiej furii doprowadzi. Nie miał pojęcia, że ojciec Parowego Williego był nałogowym graczem, który porzucił rodzinę natychmiast, gdy tylko nadarzyła się okazja do gry; nie wiedział, że zastrzelił się on w tylnym pokoiku tancbudy po pechowej nocy spędzonej przy kościach. Niesympatyczna prawda wyglądała tak: gdyby nawet wiedział, najprawdopodobniej nic by to nie zmieniło.

Wielebny Rosę zmobilizował armię i przygotował ofensywę. Baptyści rozpoczęli od kampanii listów pisanych do lokalnego „Cali” (żona Dona, Wanda, była autorką niemal wszystkich), po listach zaś pojawiły się plakaty „Hazard i Szatan”. Betsy Yigue, przewodnicząca komitetu Kasyna i przewodnicząca Cór Izabeli, zorganizowała kontratak. W ciągu trzech tygodni „Cali” rozrósł się do szesnastu stron tylko po to, by pomieścić głosy w dyskusji (choć był to raczej konkurs wrzasku niż rozsądna wymiana sprzecznych poglądów). Błyskawicznie pojawiały się nowe plakaty, równie błyskawicznie zdzierane. Artykułów redakcyjnych, wzywających wszystkich do zachowania umiaru, nie czytał nikt, ani z jednej, ani z drugiej strony. Niektórzy z walczących bawili się doskonale — podniecała ich świadomość, że tak nagle znaleźli się w środku burzy w szklance wody — lecz w miarę jak biegł czas, robiło się groźnie, bowiem ani Parowy Willie, ani ojciec Brigham nie czuli się rozbawieni.

- Nienawidzę tego nadętego własną prawością gówna! — ryknął ojciec Brigham na zdumionego Alberta Gendrona w dniu, w którym Albert przyniósł mu niechlubny list: „Słuchajcie, wy dupki”, przyklejony do drzwi jego gabinetu dentystycznego.
- Wyobraźcie sobie, że ten skurwysyn oskarża o coś takich uczciwych baptystów — warknął wściekle wielebny Rosę do równie zdumionych Normana Harpera i Dona Hemphilla. Zdarzyło się to w Dniu Kolumba, po telefonie ojca Brighamama. Ojciec Brigham próbował przeczytać list wielebnemu, wielebny (zgodnie z przekonaniem swych diakonów, jak najśluszej) odmówił jego

wysłuchania.

Norman Harper, ważący dziesięć kilo więcej niż Albert Gendron i niemal równie wysoki jak on, zaniepokoił się piskliwym, niemal histerycznym brzmieniem głosu swego duszpasterza, ale nie wspomniał o tym ani słowem.

- Powiem wam, co jest grane — oznajmił szorstko. — Ten stary dureń zdenerwował się kartką przysланą ci na plebanię, Bili. To wszystko. Zdał sobie sprawę, że posunęli się za daleko. Wyobraża sobie, że jak nam powie, że jego ludzie też dostali coś tak obrzydliwego, to nikt nie będzie bardziej winny.

- Nic z tego! — krzyknął wielebny jeszcze bardziej piskliwie. — Nikt z mej kongregacji nie brał udziału w czymś tak obrzydliwym! Nikt! — Na tym ostatnim słowie głos mu się załamał. Rosę konwulsyjnie rozwierał i zaciskał dłonie. Norman i Don wymienili szybkie, niepewne spojrzenia. W ciągu ostatnich kilku tygodni kilkakrotnie rozmawiali o tego rodzaju zachowaniu wielebnego. Ciężko odchorowywał „Casino Nite”; obawiali się nawet, czy nie przypłaci całej sprawy załamaniem nerwowym.

- Nie przejmuj się tak — powiedział uspokajająco Don. — Przecież znamy prawdę, Bili.

- Tak! — Rosę spojrział im wprost w oczy. Wzrok miał nieprzytomny, oczy mętne. — Tak, wy dwaj wiecie. Wy dwaj! Ale co z... uh... resztą miasta? Czy oni też wiedzą?

Ani Norman, ani Don nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie.

— Mam nadzieję, że tego bałwochwalcę wywiezie ktoś stąd na taczkach! — wrzasnął Willie, zaciskając pięści i wymachując nimi w powietrzu. — Na taczkach! Gotów jestem za to zapłacić! Dobrze bym za to zapłacił!

Nieco później w ten sam poniedziałek ojciec Brigham zadzwonił w kilka miejsc, prosząc „zainteresowanych atmosferą religijnych represji w Castle Rock”, by tego wieczoru wpadli do plebanii na



krótką rozmowę. Zainteresowanych pojawiło się tylu, że zebranie trzeba było przenieść do niedalekiej sali Rycerzy Kolumba.

Brigham rozpoczął od przeczytania listu doręczonego Albertowi Gendronowi — listu podpisanego przez „Zatroskanych Baptystów z Castle Rock”, po czym zrelacjonował niewiele wnoszącą do sprawy rozmowę telefoniczną z wielebnym Williem. Kiedy oznajmił, iż Rosę twierdzi, że także otrzymał list podpisany podobno przez „Zatroskanych Katolików z Castle Rock”, rozległ się pomruk najpierw zaskoczonego, potem zagniewanego tłumu.

— A to cholerny kłamca! — zawołał ktoś z tyłu sali.

Ojciec Brigham próbował jednocześnie skinąć głową i nią potrząsnąć.

— Być może, Sam — powiedział — ale nie o tym mówimy.

Oszalał i sądzę, że o tym powinniśmy mówić.

Rewelację tę przyjęto z pełną namysłu, być może nawet trwogi, ciszą, ojciec Brigham czuł jednak niemal rozkoszną ulgę. „Oszalał” — po raz pierwszy wypowiedział to słowo na głos, choć już co najmniej od trzech lat wielokrotnie przychodziło mu ono na myśl.

— Nie dam się powstrzymać przez religijnego szaleńca — mówił dalej. — Nasze „Casino Nite” nikomu nie przynosi szkody i z pewnością nie jest bluźnierstwem, niezależnie od tego, jakie zdanie na ten temat ma Parowy Willie. Uważam jednak, że wobec jego ataków szaleństwa i wobec tego, że najwyraźniej nie panuje nad sobą, powinniśmy zdecydować się na głosowanie. Jeśli wo lelibyście zaniechać pomysłu... ugiąć się pod jego naciskiem w imię bezpieczeństwa... możecie teraz mi o tym powiedzieć.

Jednogłośnie zdecydowano, że prace nad kasynem mają postępować zgodnie z planem.

Ojciec Brigham skinął głową, najwyraźniej bardzo zadowolony, po czym spojrzał na Betsy Yigue.

- Spotykacie się na waszym zwykłym zebraniu jutro wieczorem, prawda, Betsy?
- Tak, ojczu.
- W takim razie proponuję, byśmy my, mężczyźni, zebrali się w sali Rycerzy Kolumba o tej samej porze.

Albert Gendron, mężczyzna potężny, niełatwo denerwujący się i niełatwo uspokajający, gdy już coś go zdenerwowało, uniósł się powoli i wyprostował na całą swą imponującą wysokość. Ludzie odwracali się, by na niego spojrzeć.

— Czy sugerujesz, ojcze, że te łobuzy mogą zechcieć niepokoić nasze panie?

- Nie, nie, skądże — uspokoił go Brigham. — Ale sądzę, że powinniśmy przedyskutować plany zabezpieczenia samego „Casina Nite”.

- Straż! — krzyknął ktoś entuzjastycznie. — Straż, ojcze?

- No... oczy i uszy. — Ojciec Brigham nie zostawił najmniej szych wątpliwości co do tego, że oczywiście ma na myśli straż. — A jeśli spotkamy się we wtorek, równolegle z paniami, będziemy na miejscu na wypadek jakichś kłopotów.

Tak więc gdy Córy Izabeli spotykały się po jednej stronie parkingu, mężczyźni katolicy spotykali się po drugiej. A po przeciwnej stronie miasta, o tej samej porze, wielbny Rosę zwołał zebranie baptystów celem przedyskutowania ostatniej z katolickich bezczelności oraz przygotowania transparentów i organizacji pikiet „Casina Nite”.

Przeróżne zdumiewające i przerażające wydarzenia, które nastąpiły nieco wcześniej tego wieczoru, miały na członków obu kościołów wpływ niemal zerowy. Większości gapiów kręcących się wokół Ratusza wśród zbierającej się burzy „Casino Nite” nie wzruszało. A jeśli chodzi o katolików i baptystów, których niewątpliwie wzruszało, tych kilka morderstw ani umywało się do dobrej świętej wojenki. W końcu przecież nie ma na świecie nic ważniejszego od religii, prawda?

Przeszło siedemdziesiąt osób zjawilo się na zebraniu tego, jak ochrzcił go wielbny Rosę, Oddziału Chrześcijańskiej Armii An-tyhazardowej. Wspaniały rezultat; na przedostatnim zebraniu frekwencja była niewielka, ale wiadomość o obrzydliwym liście wrzuconym na plebanie natchnęła baptystów nowym entuzjazmem. Wielbny Rose'a liczebność zgromadzonych ucieszyła, ale miał i problem — nie było wśród nich Dona Hemphilla, a Don był jego mocną prawą ręką.

Zerknął na zegarek. Pięć po siódmej — nie ma co dzwonić do sklepu, sprawdzać, czy

przypadkiem nie zapomniał. Ci, którzy zamierzali uczestniczyć w zebraniu, już przyszli; trzeba przemówić do nich w chwili, gdy gniew i ciekawość są największe. Dał Hemphillowi jeszcze minutę, a potem wszedł na kazalnicę i uniósł chude ramię w geście powitania. Ludzie zajęli miejsca na długich, prostych drewnianych ławkach.

— Zacznijmy nasze wysiłki tak, jak wszystkie wielkie, owocne wysiłki... uh... zaczynało — powiedział Rosę. — Skłonmy głowy w modlitwie.

Głowy pochyliły się. W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się tak gwałtownie, że ich skrzydło uderzyło w ścianę z hukiem armatniego strzału. Stanął w nich Don Hemphill.

Don był w swym własnym sklepie rzeźnikiem i nadal miał na sobie zakrwawiony biały fartuch. Jego twarz przypominała krwisty befsztyk. Z dziko patrzących oczu ciekły łzy. Smarki schły mu na nosie, górnej wardze i w kącikach ust.

Śmierdział potwornie.

Don śmierdział jak stado skunksów, które najpierw zanurzono w kadzi z siarką, potem opryskano świeżym krowim gównem, by w końcu pozwolić im rozładować napięcie w zamkniętym pokoju. Smród był przed nim, smród szedł za nim, ale przede wszystkim otaczał go gęstą, trującą chmurą. Kobiety siedzące między ławkami przy przejściu odsuwały się jak najdalej, szperały w torebkach w poszukiwaniu chusteczek, on zaś parł naprzód; przed nim powiewał fartuch, za nim zaś biała koszula, która wyszła ze spodni. Obecne na sali nieliczne dzieci zaczęły płakać. Mężczyźni krzyczeli, niektórzy z obrzydzenia, niektórzy ze zdumienia.

• Don! — wrzasnął cienkim, zdumionym głosem wielebny Rosę. Dłonie jeszcze miał wzniesione, ale w miarę jak Don Hemphill zbliżał się do kazalnicy, opuszczał je i w końcu wbrew woli jedną przykrył nos, drugą zaś usta. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Jeszcze nigdy w życiu nic mu tak strasznie nie śmierdziało.

• Co... Co się stało? — spytał słabo.  
• Co się stało? — ryknął Hemphill. — Co? Powiem ci, co się stało. Wszystkim wam powiem.

Odwrócił się, stanął twarzą w twarz z zebranymi i mimo że tak strasznie śmierdział, że wręcz promieniował smrodem, ludzie, których przeszywał wściekłym, oszalałym spojrzeniem, stopniowo się uspokajali.

• Co się stało? Te sukinsyny puściły mi w sklepie śmierdziela!

Oto, co się stało! Miałem tylko kilku klientów, wywiesiłem informację, że dziś zamykam wcześniej i Bogu niech będą dzięki, ale zniszczyli mi cały towar! Cały! Towar za czterdzieści tysięcy! Zniszczyli! Nie wiem, z czego sukinyzny go zrobiły, ale będzie śmierdzieć jeszcze długo!

- Kto? — spytał wielebny Rosę cieniutkim, zduszonym głosem. — Kto ci to zrobił, Don?

Hemphill pogrzebał w kieszeni fartucha. Wyjął z niej okrągłą

czarną opaskę z białym rozcięciem i zwitek zadrukowanych karteczek. Opaską była koloratka katolickiego księdza. Pokazał ją wszystkim obecnym.

— A jak myślicie, kto mi to zrobił? — wrzasnął. — Sklep! Towar! Wszystko poszło do diabła, jak myślicie, kto?

Rzucił karteczkami w zdumionych żołnierzy Chrześcijańskiej Armii Anty hazardowej. Karteczki zawirowały w powietrzu i spadły na nich jak konfetti. Niektórym z zebranych udało się je złapać. Wszystkie były identyczne, na wszystkich narysowano śmiejących się ludzi — mężczyzn i kobiety — stojących wokół ruletki.

TO TYLKO ZABAWA — głosił napis nad rysunkiem. Pod nim zaś znajdował się następujący tekst: PRZYŁĄCZ SIĘ DO NAS! POROZMAWIAMY O „CASINO NITE”. SPOTKANIE W SALI RYCERZY KOLUMBA 31 PAŹDZIERNIKA 1991 ROKU. WSPOMÓŻ KATOLICKI KOMITET BUDOWY KASYNA!

- Gdzie to znalazłeś, Don? — spytał Len Milliken grzmiącym, groźnym głosem. — I koloratkę?

- Ktoś położył to przy wejściu do sklepu na chwilę przed tym, nim rozpętało się piek...

Drzwi wejściowe po raz drugi huknęły jak wystrzał z działa, tym razem nie otwierały się jednak, lecz zamykały.

— Podoba się wam zapach, wy baptystowskie pedały? — krzyknął ktoś i roześmiał się piskliwym, wstrętnym śmiechem.

Zebrani jak jeden mąż wpatrywali się w wielebnego Rose'a wystraszonymi oczami. Wielebny odpowiedział im spojrzeniem oczu co najmniej równie wystraszonych. W tym momencie ukryte

w chórze pudełko zasyczało. Podobnie jak w pudełku umieszczonym w sali Cór Izabeli przez świętej pamięci Myrtle Keeton, w tym (umieszczonym w kościele baptystów przez Sonny'ego Jacketta, teraz już także świętej pamięci) także znajdował się cykający niez mordowanie zapalnik zegarowy.

Przez zastępującą ścianki siatkę wydobyła się chmura straszliwie śmierdzącego dymu.

W Zjednoczonym Kościele Baptystów w Castle Rock zaczął się bal.

Babs Miller skradała się, skulona, wzdłuż ściany sali Cór Izabeli, zamierając w bezruchu za każdym razem, gdy na niebie błękitno-białym światłem wybuchała błyskawica. W jednym ręku miała ciężki, metalowy pręt, w drugim jeden z pistoletów pana Gaunta. Pozytywkę, którą kupiła w „Sklepiku z marzeniami”, schowała w kieszeni męskiego płaszcza, który na siebie narzuciła. Gdyby ktoś próbował jej wykraść skarb, nakarmiłaby go chętnie. Ołowiem.

Ale kto chciałby zrobić jej coś tak obrzydliwego, tak wstrętnego, tak... złego?

Kto chciałby ukraść jej pozytywkę, nim odkryła, jaką gra melodyjkę?

Ujmijmy to w ten sposób — pomyślała. — Mam nadzieję, że Cyndi Rosę Martin nie pokaże mi dziś swej ślicznej buźki, a jeśli tak się stanie, to nigdy już nie pokaże jej nikomu, w każdym razie nikomu z tej strony piekła. Co ona sobie myśli, że jestem głupia?

Na razie miała jeszcze spłatać figła. Drobiazg. W każdym razie tak powiedział pan Gaunt.

— Znasz Betsy Yigue? — spytał ją. — Znasz, prawda?

Oczywiście, znała Betsy Yigue. Znała Betsy od pierwszej klasy podstawówki. Często razem dyżurowały w korytarzu. Były nierozłącznymi przyjaciółkami.

- Doskonale. Patrz przez okno. Ona usiądzie. Podniesie kartkę papieru i zobaczy to, co pod nią leży.

- Co takiego? — zainteresowała się zaciekawiona Babs.

- Nie twoja sprawa. Jeśli spodziewasz się kiedykolwiek znać kluczyk otwierający pozytywkę, to lepiej zamknij się i zamień w słuch, rozumiesz, skarbie?

Zrozumiała. I rozumiała coś jeszcze. Pan Gaunt potrafił przerazić. Potrafił strasznie przerazić.

— Podnieście to, co znajdzie. Zacznie oglądać. Wtedy powinnaś już być przy drzwiach. Czekaj, póki wszyscy nie będą patrzeć na coś w lewym tylnym kącie sali.

Babs bardzo pragnęła spytać, dlaczego niby mieliby tam patrzeć, ale zdecydowała, że bezpieczniej będzie zachować milczenie.

- Kiedy się obejrzą, wsuniesz rozdwojony koniec tego pręta pod klamkę. Drugi koniec oprzyj o ziemię. Wbij go jak najmocniej.

- Kiedy mam krzyknąć? — spytała Babs.

- Sama się zorientujesz. Oni wszyscy będą wyglądali tak, jakby ktoś wsunął im w tyłki pompki pełne czerwonego pieprzu i zaczął pompować. Pamiętaj, co masz krzyknąć, kochanie?

Pamiętała. Miała wrażenie, że to trochę zbyt złośliwy kawał w stosunku do Betsy Yigue, z którą chodziły do szkoły, trzymając się za ręce, lecz z drugiej strony wydawał się nieszkodliwy (no,

przynajmniej względnie nieszkodliwy). Nie były już dziećmi — i ona, i ta kobieta, którą kiedyś, z jakiegoś dawno zapomnianego powodu, nazywała zawsze La-La—wszystko to działo się bardzo dawno temu. No i —jak słusznie powiedział pan Gaunt—nikt jej z tym nigdy nie skojarzy. Bo niby dlaczego? Babs wraz mężem byli Adwentystami Dnia Siódmego —jeśli o nią chodzi i katolicy, i baptyści w pełni sobie na to wszystko zasłużyli. Włącznie z Betty La-La.

Błysnęło. Babs zamarła. Po chwili podpełza do najbliższego okna sprawdzić, czy Betsy nie usiadła aby za stołem.

Pierwsze krople deszczu zwiastującego nadejście groźnej burzy uderzyły w ziemię.

Smród wypełniający kościół baptystów tylko jednym różnił się od smrodu unoszącego się wokół Dona Hemphilla: był tysiąckrotnie gorszy.

- O, kurwa! — ryknął Don. Zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje, a gdyby nawet pamiętał, najpewniej nie zrobiłoby mu to najmniejszej różnicy. — Są tu! Wychodzić! Wychodzić! Wszyscy wychodzą!

- Ruszcie się! — wrzasnęła Nań Roberts swym dźwięcznym barytonem, tak często słyszany w kawiarni w godzinie popołudniowego szczytu. — Ruszcie się! Tyłki w górę, ludzie!

Wszyscy widzieli, skąd wydobywa się dym: jego gęste, białe-żółte kłęby płynęły nad balustradką chóru i przez wycięcia w kształcie rombu w jej dolnej części. Boczne drzwi znajdowały się z boku pod chórem, ale nikt nie próbował nawet ruszyć w tamtym kierunku. Tak silny smród musiałby człowieka zabić... tylko przedtem włosy wypadłyby mu z głowy, oczy z oczodołów, a tyłek zamknąłby się z przerażającego panicznego strachu.

Chrześcijańska Armia Anty hazardowa baptystów została rozproszona, pokonana i zmuszona do panicznej ucieczki w niespełna pięć sekund. Dławiąc się i wrzeszcząc, jej żołnierze popędzili do wyjścia. Jedna z ławek, przewrócona, z głośnym hukiem upadła na ziemię, przytraskując nogę Debory Johnstone. W chwili gdy próbowała się wydostać, Norman Harper uderzył w nią z całej siły. Dziewczyna znów upadła, a upadkowi towarzyszył głośny trzask łamiącej się kości. Krzyczała z bólu, nogę nadal miała uwięzioną, ale jej krzyk ginął wśród wszystkich innych głosów.

Wielebny Rosę znajdował się najbliżej chóru. Smród ułożył się na nim jak wielki, miękki worek. Tak śmierdzą katolicy płonący w piekle — pomyślał bez związku, i zeskoczył z kazalnicy, obiema nogami lądując na brzuchu Debory Johnstone. Jej krzyk przeszedł w głośny, zdławiony jęk, który ucichł, gdy za moment straciła przytomność. Wielebny, nieświadom tego, że właśnie pozbawił przytomności jedną ze swych najwierniejszych parafianek, przedzierał się dzielnie w stronę drzwi.

Ci, którzy pierwsi dotarli do drzwi, odkryli, że wyjść z kościoła się nie da. Ktoś zablokował drzwi. Nim przywódcy nieudanego exodusu zdążyli poinformować o tym innych, zostali wręcz zmiażdżeni podążającą za nimi ludzką falą.

Krzyki, wrzaski i wściekłe przekleństwa wypełniły powietrze. Na zewnątrz zaczął padać deszcz, wewnątrz ludzie zaczęli wymiotować.

Betsy Yigue zajęła miejsce za stołem prezydium, pomiędzy flagą amerykańską a sztandarem Dziecięcia z Pragi. Popukała palcem w stół, przywołując zebranych do porządku. Panie — w sumie około czterdziestu — zaczęły zajmować miejsca. Z dworu dobiegały huki grzmotów. Rozległo się kilka krzyków, a potem nerwowe śmiechy.

— Otwieram zebranie Cór Izabeli — oznajmiła Betsy, podnosząc ze stołu kartkę z porządkiem dnia. — Jak zwykle zaczniemy od...

Przerwała. Na stole leżała zwykła biała koperta, ukryta pod porządkiem dnia. Wypisane na niej słowa wstrząsnęły nią niewymownie.

**PRZECZYTAJ TO NATYCHMIAST TY PAPIESKA KURWO.**

Oni — pomyślała. Ci baptyści, ci obrzydliwi ludzie o kurzych mózdkach.

- Betsy? — odezwała się Naomi Jessup. — Coś się stało?
- Nie wiem. Chyba tak.

Otworzyła kopertę, z której wypadła kartka papieru z następującym tekstem:

**TAK ŚMIERDZĄ KATOLICKIE PIZDY.**

Odgłos z lewej strony, przy tylnej ścianie sali, przypominał syk pary uciekającej z rur pod wysokim ciśnieniem. Podniosły się

głosy zdumienia, głowy obróciły się w tamtym kierunku. Huknął grzmot; tym razem krzyków było więcej. I głośniejszych.

Białożółty dym wydobywał się z jednej z szafek. Nagle mały budynek, mający tylko tę jedną salę, wypełnił się smrodem tak obrzydliwym, jakiego w życiu nie doświadczyła jeszcze żadna z obecnych kobiet.

Betsy zerwała się na równe nogi, przewracając krzesło. Otworzyła usta — nie mając zielonego pojęcia, co właściwie chce powiedzieć — kiedy od drzwi dobiegł ją kobiecy głos.

— To za „Casino Nite"! Pokutujcie! Pokutujcie!

Nim śmierdząca chmura przysłoniła świat, Betsy dostrzegła jeszcze niewyraźną sylwetkę... a potem było jej już wszystko jedno. Smród był wręcz nie do wytrzymania.

Rozpętało się pandemonium. Córy Izabeli miały się po zadymionej sali bez sensu, jak spanikowane owce. Antonia Bissette upadła, uderzyła szyją o stalową krawędź blatu stołu przydzielanego, złamała kark i umarła, lecz nikt tego nie zauważył.

Na zewnątrz szalały błyskawice i huczał grzmot.

Katolicy-mężczyźni obecni w sali Rycerzy Kolumba zgromadzili się wokół Alberta Gendrona,



który — mając za pretekst list (och, to jeszcze nic, powinniście być tam kiedy...) — wtajemniczał ich właśnie w straszną, lecz fascynującą historię pogromu i zemsty katolików w Lewiston w latach trzydziestych.

— Więc kiedy zobaczył, jak ta banda tępych świętoszków obsmarowała krowim gównem stopy Najświętszej Panienki, na tychmiast wskoczył do samochodu i pojechał...

Albert przerwał nagle. Nadśluchiwał.

- A to co?
- Grzmot — odparł Jake Pułaski. — Będzie spora burza.
- Nie... to! — Albert wstał. — To krzyki!

Grzmot ucichł; huczał tylko gdzieś w oddali. We względnej ciszy, która po nim nastąpiła, wszyscy wyraźnie usłyszeli krzyki. Krzyki kobiet.

Obrócili się ku ojcu Brighamowi, który natychmiast zerwał się na równe nogi.

— Ruszamy, panowie! — zakomenderował. — Zobaczymy...

Rozległ się syk. Z tyłu sali podpełzł smród ogarniający stojących

w luźnej grupce mężczyzn. Trzasnęło okno; po wyszlifowanej latami tańców podłodze potoczył się kamień. Rozległy się krzyki, niektórzy próbowali uskoczyć mu z drogi. Kamień, podskakując, potoczył się aż pod ścianę, odbił od niej i znieruchomiał.

— Ogień piekielny od baptystów — krzyknął ktoś z dworu. — Nie będzie hazardu w Castle Rock! Powiedzcie to wszystkim, wy gwałciciele zakonnice!

Wyjście z sali Rycerzy Kolumba także zablokowano prętem. Przy zamkniętych drzwiach błyskawicznie rosła kupka ciał.

— Nie! — krzyknął ojciec Brigham. Przedarł się poprzez smród do tylnego wyjścia. Było otwarte. — Tędy! Tędy!

Początkowo nikt go nie słuchał; panika kazała zebrany walić bezradnie w zablokowane drzwi. W końcu Albert Gendron złapał jakieś dwa łby w swe wielkie dłonie i stuknął nimi o siebie.

— Róbcie, jak każe ojciec! — ryknął. — Mordują kobiety!

Przedarł się do tylnego wyjścia jedynie dzięki swej wielkiej sile.

Inni poszli za jego przykładem. Krztusząc się, kaszląc i zataczając, jeden po drugim wydostali się na zewnątrz. Meade Ros-signal nie wytrzymał, otworzył usta i wyrzygał wprost na szerokie plecy Alberta, który nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Ojciec Brigham, potykając się, wchodził już po schodkach prowadzących na parking, po przeciwnej stronie którego znajdował się budynek Cór Izabeli. Od czasu do czasu przystawał i krztusił się, ale nie wymiotował. Smród oblepiał go jak lep na muchy. W ślady swego duszpasterza ruszyła żałosna procesja; nikt nie zwracał uwagi na deszcz, który zdążył już rozpadać się na dobre.

W połowie schodów, w świetle błyskawicy, ksiądz dostrzegł pręt blokujący drzwi sali Cór Izabeli. W chwilę później okno po prawej stronie budynku prysnęło i zaczęły przez nie wypadać kobiety. Padały na trawnik bezwładnie, jak lalki, które ktoś nauczył wymiotować.

Wielebny Rosę nie miał szans dotrzeć do wyjścia, zbyt wielu było przed nim ludzi. Obrócił się, zatykając sobie nos palcami, i ruszył z powrotem do kościoła. Próbował krzyczeć na innych, ale kiedy otworzył usta, zwymiotował obficie i daleko. Potknął się o własne stopy, upadł, mocno uderzył głową w jedną z ławek. Próbował wstać, ale nie był już w stanie. Nagłe jakieś wielkie łapska złapały go pod pachy i uniosły z podłogi.

- Przez okno, wielebny! — wrzasnęła Nań Roberts. — Rusz tyłek!

- Szkło...

- Do cholery ze szkłem! Udusimy się tu.

Mocno pchnęła go na szybę. Wielebny Rosę zaledwie zdołał osłonić oczy dłonią i już wylatywał, tłukąc witraż ukazujący Chrystusa jak żywego, w jaskrawych kolorach galaretki owocowej, prowadzącego swe owce po zboczach wzgórz. Leciał przez chwilę, po czym wylądował dość twardo na trawniku, gubiąc przy lądowaniu górną sztuczną szczękę. Stęknął...

...i usiadł, nagle świadom ciemności, deszczu i cudownego zapachu powietrza. Nie miał jednak czasu się nim zachwycać. Nań Roberts złapała go za resztkę włosów i poderwała na równe nogi.

— Ruszaj się, wielebny! — wrzasnęła. W białoniebieskim świetle błyskawic jej skrzywiona twarz była twarzą harpii. Miała

na sobie biały nylonowy fartuch — zawsze ubierała się dokładnie tak, jak kazała ubierać się swym kelnerkom — na wielkim biuście wykwitł teraz ornament z wymiocin. Wielebny szedł obok niej, niepewnie, ze zwieszoną głową. Próbował prosić ją, by dała spokój włosom, ale każdą jego prośbę zagłuszał huk grzmotu.

Niektórym udało się wydostać przez wybite okno, ale większość baptystów nadal znajdowała się w kościele, waląc w zamknięte drzwi. Nań natychmiast dostrzegła, dlaczego nie dają się otworzyć — ktoś podparł je dwoma stalowymi prętami. W chwili gdy w końcu usunęła je kopniakami, piorun uderzył w estradę — przy której, niegdyś, straszliwie cierpiący młody mężczyzna nazwiskiem Johnny Smith odkrył tożsamość mordercy — rozłupując ją na płonące szczapki. Wiatr wył, chłoszcząc niebo sylwetkami ciemnych drzew.

Gdy tylko znikła przeszkoda w postaci prętów, drzwi otworzyły się gwałtownie z siłą tak wielką, że wyrwała je z zawiasów i odrzuciła na klomb po lewej stronie schodków. Wylała się przez nie fala rozszalałych baptystów, potykających się i przewracających jeden na drugiego, spadających ze schodów, śmierdzących, płaczących, kaszlących i wściekłych jak cholera.

Ryccerze Kolumba pod przewodem ojca Brigham i Córy Izabeli, prowadzone przez Betsy Yigue, spotkali się pośrodku parkingu w deszczu, który lał się już z nieba strumieniami. Betsy chwyciła kapłana za klapy i przytuliła się do niego. Z przekrwionych oczu ciekły jej łzy, włosy przyklejone miała do głowy, potargane i mokre.

- Zostali w środku! — krzyknęła. — Naomi Jessup... Tonią Bissette... nie wiem, wiele!
- Kto to zrobił?! — ryczał Albert Gendron. — Do diabła, kto to zrobił?!
- No przecież baptyści! Oczywiście, że baptyści! — krzyknęła Betsy i rozszlochała się; na niebie zaś przeskakiwały błyskawice niczym światło w zepsutej, rozgrzanej do białości żarówce. — Nazwali mnie papieską kurwą! To baptyści! Baptyści! Przekłęci przez Boga baptyści!

Ojciec Brigham tymczasem zdołał uwolnić się z objęć Betsy. Podskoczył do drzwi, wykopał pręt — drewno wokół niego było popękane od uderzeń — i otworzył je na oścież. Na dwór wypadły trzy niemal nieprzytomne kobiety i chmura śmierdzącego dymu. Poza nimi dostrzegł Antonię Bissette,

śliczną Tonie tak wspaniale posługującą się igłą, zawsze gotową pomóc w każdej kościelnej sprawie. Leżała przy stole, częściowo ukryta za przewróconym sztandarem wyobrażającym Dziecię z Pragi. Obok niej klęczała Naomi Jessup, zanosząc się płaczem. Głowa Toni odchylona była pod straszny, nieprawdopodobnym kątem, ślepe oczy nieruchomo wpatrywały się w sufit. Smród nie dokuczał już Antoni Bissette, która niczego u pana Gaunta nie kupiła i nie brała udziału w żadnej z jego małych gier.

Naomi dostrzegła stojącego w drzwiach księdza, wstała i zataczając się, ruszyła w jego kierunku. Była w szoku; wydawało się, że ona też nie zwraca uwagi na smród.

— Proszę księdza! — krzyknęła. — Dlaczego? Dlaczego nam to zrobili? To przecież miała być tylko zabawa... tylko zabawa, nic więcej. Dlaczego?

Ojciec Brigham objął ją i przytulił.

— Dlatego, że ten człowiek oszalał — odparł.

Za jego plecami odezwał się cichy, lecz śmiertelnie groźny głos.

— No to bierzmy się do nich! — powiedział Albert Gendron.

Chrześcijańska Armia Antyhazardowa baptystów szła w lejącym niemiłosiernie deszczu Harrington Street, prowadzona przez Dona Hemphilla, Nań Roberts, Normana Harpera i Williama Rose'a.

Oczy żołnierzy były czerwone, wściekle; niemal wychodziły z pod-puchniętych, podrażnionych orbit. Większość miała wymiociny na spodniach, koszulach, butach lub na wszystkim razem. Mimo deszczu wokół nich roztaczał się smród zgniłych jaj; po prostu nie chciał ustąpić.

Na rogu Harrington i Castle Avenue, która niespełna kilometr dalej przechodziła w Castle View, zatrzymał się radiowóz policji stanowej. Wsiadł z niego policjant, przyglądając się im w zdumieniu.

- Hej, ludzie! — krzyknął. — Dokąd idziecie?
- Nakopać papieskie dupy — odkrzyknęła Nań Roberts. —

Jeśli wiesz, co dla ciebie zdrowe, lepiej trzymaj się od tego z daleka.

Don Hemphill otworzył usta i zaśpiewał pięknym, czystym barytonem:

— Naprzód żołnierze Chrystusa do walki w obronie swej duszy...

Dołączył do niego chór głosów. Wkrótce śpiewali już wszyscy;

szli także szybciej, nie wlokąc się, lecz maszerując do taktu. Baptyści o bladych, złych i

bezmysłnych twarzach nie śpiewali już, lecz raczej wrzeszczeli. Wrzeszczał także wielebny Rosę, choć z braku górnej sztucznej szczęki straszliwie sepleniał.

„Chrystus nas wiedzie na wroga, naprzód pod Jego sztandarem”.

Szli szybciej. Niemal biegli.

## 10

Szeregowy Morris stał w drzwiach radiowozu, trzymając w dłoni mikrofon i gapiąc się na odchodzących ludzi. Z przykrytego brezentem, szerokoskrzydłego kapelusza woda lała się strumieniami.

—: Odbiór, szesnastka, odbiór — zatrzeszczało radio głosem Henry'ego Paytona.

- Niech pan lepiej przyśle tu ludzi! — krzyknął Morris głosem równie przestraszonym, co podnieconym. Pracował w policji niespełna rok. — Tu się coś dzieje! Coś złego! Właśnie minął mnie tłum około siedemdziesięciu osób! Odbiór!

- Dobrze, co robili ci ludzie? — spytał Payton.
- Śpiewali „Naprzód żołnierze Chrystusa”. Odbiór.
- To ty, Morris? Odbiór.
- Tak jest! Odbiór.
- Cóż, o ile wiem, szeregowy Morris, nie wprowadzono jesz-

cze zakazu śpiewania hymnów, nawet w ulewnym deszczu. Osobiście tego rodzaju rozrywkę uważam za głupią, ale jest to głupota legalna. Powtórzę po raz ostatni: prowadzę w tej chwili co najmniej cztery sprawy, nie wiem, gdzie jest szeryf i jego cholerni zastępcy i nie będę się zajmował bzdurami! Rozumiecie? Odbiór! Szeregowy Morris przełknął gwałtownie.

— Rozumiem, tak jest, oczywiście rozumiem, ale ktoś z tego tłumy, chyba kobieta, powiedziała mi, że „idą nakopać papieskie dupy”, tak to chyba ujęła, panie poruczniku. Wiem, że nie ma w tym wiele sensu, ale nie spodobało mi się to. — I młody policjant dodał, jakby nieśmiało: — Odbiór?

Cisza w eterze trwała nieskończenie długo i już zamierzał wywołać porucznika — powietrze

było tak nasycone elektrycznością, że na dłuższy dystans nie sposób było dogadać się przez radio, nawet w granicach miasta komunikacja rwała się co chwila — lecz w końcu Payton powiedział głosem, w którym słyhać było wielkie zmęczenie:

- Jezu Przenajświętszy Chryste, co tu się dzieje...
- No, ta pani powiedziała, że...
- Już to słyszałem! — wrzasnął Payton tak głośno, że aż zachrypiało radio. — Jedź do kościoła katolickiego. Jeśli coś się zdarzy, masz interweniować, ale przede wszystkim uważaj na siebie. Powtarzam, uważaj na siebie! Przyślę ci posiłki, jak tylko dam radę... jeśli jakieś posiłki mi zostaną. Ruszaj natychmiast. Odbiór.
- Ale... panie poruczniku... gdzie tu jest katolicki kościół?
- A skąd ja mam wiedzieć?! — wrzasnął Payton. — 'Nie praktykuję w tej cholernej dziurze! Jedź za tłumem! Koniec!

Morris odwiesił mikrofon. Ludzi już nie widział, ale słyszał ich ciągle pomiędzy jednym grzmotem a drugim. Wrzucił bieg i pojechał tropem pieśni.

## II

Ścieżka prowadząca do kuchennego wejścia domu Myry Evans wyłożona była kamykami pomalowanymi w wesołe pastelowe kolory. Córa Rusk wybrała niebieski — podniosła go i podrzucała w dłoni, w której nie trzymała pistoletu, sprawdzając, czy jest odpowiednio ciężki. Położyła rękę na klamce — jak przypuszczała, drzwi okazały się zamknięte. Wybiła kamieniem szybę, lufą pistoletu oczyściła ramę z odłamków szkła, po czym przełożyła rękę

na drugą stronę, odblokowała zamek i weszła do środka. Mokra włosy rzadkimi kosmykami przylegały do policzków. Sukienkę nadal miała rozpiętą, krople deszczu spływały jej po obwisłych, przyszczatych piersiach.

Chucka Evansa nie było w domu, powitał ją za to Garfield, angorski kot Evansów. Garfield wbiegł do kuchni, miaucząc i domagając się jedzenia, Córa nakarmiła go więc tym, co miała w ręce. Kot rozprysnął się w chmurę krwi i futra.

- Smacznego, Garfield — powiedziała uprzejmie, przeszła

przez chmurę dymu pozostałą po strzale i weszła w korytarz. Zaczęła wspinać się po schodach. Doskonale wiedziała, gdzie znajdzie tę dziwkę. W łóżku, oczywiście. Była tego tak pewna, jak swego imienia.

- Najwyższy czas pójść spać, Myra, kochanie. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Mówiąc to, uśmiechała się.

## 12

Ojciec Brigham wraz z Albertem Gendronem prowadzili armię wkurzonych katolików w dół Castle Avenue, ku Harrington Street. W połowie drogi usłyszeli śpiew. Wymienili spojrzenia.

- Jak sądzisz, Albercie, nauczymy ich śpiewać na inną nutę? — spytał cichym głosem ksiądz.

- Oczywiście, ojcie — zgodził się z nim Gendron.

- Nauczymy ich śpiewać: „Wialiśmy gdzie pieprz rośnie”?

- Wspaniała pieśń, ojcie. Nawet tacy kretyni powinni opanować ją błyskawicznie.

Błysnęło. W jaskrawym świetle błyskawicy ukazała się cała Castle Avenue z grupą ludzi idącą pod górę. W upiornym świetle błyszcząły im oczy, białe i ślepe jak oczy posągów.

- Tu są! — krzyknął ktoś, a jakiś kobiecy głos wrzasnął: —

W tyłek im, wstrętnym protestantom.

- No to im dołożymy — westchnął radośnie ojciec Brigham i zaszarżował na baptystów.

— Amen! — Albert Gendron podążył w jego ślady.

Obie grupy ruszyły na siebie biegiem.

Szeregowy Morris wyjechał zza rogu i w świetle kolejnego pioruna, który powalił stary wiąz przy Castle Stream, zobaczył dwie pędzące na siebie grupy. Jedna biegła z górki, druga pod górkę, obie żądne krwi. Pożałował nagle, że nie wziął na dziś zwolnienia lekarskiego.

Córa otworzyła drzwi sypialni Chucka i Myry i zobaczyła dokładnie to, czego się spodziewała: ta suka leżała naga w zburzonej pościeli, w podwójnym łóżku, które wyglądało jakby służyło doprawdy ostatkiem sił. Jedną rękę założoną miała za głowę, pod poduszkę, w drugiej trzymała oprawione zdjęcie. Zdjęcie spoczywało między jej grubymi udami; sprawiało to wrażenie, jakby się z nim pieprzyła. Oczy miała przymknięte z rozkoszy.

— Oooooch, Elvisku! — jęknęła. — Oooooch! Eeeelvisku!

Straszliwa zazdrość zalała serce Córy; podeszła jej do gardła gorzkim smakiem żółci.

— Ach ty cholerna kurwo! — westchnęła i uniosła pistolet.

W tej chwili Myra spojrzała na nią... z uśmiechem. Wyciągnęła rękę spod poduszki, w której ścisnęła swój własny pistolet.

— Pan Gaunt uprzedził mnie, że przyjdiesz — powiedziała i pociągnęła za spust.

Córa poczuła na policzku powiew powietrza od przelatującej blisko kuli, usłyszała, jak wbija się w gipsową ścianę. Ona także wystrzeliła — między nogi Myry, roztrzaskując zdjęcie Elvisa i trafiając ją wysoko w udo.

— Zobacz, co zrobiłaś! — wrzasnęła Myra. — Postrzeliłaś Króla, ty głupia dziwko!

Oddała trzy strzały. Dwukrotnie chybiła, za trzecim razem zaś trafiła Córę w gardło, rzucając ją na ścianę w strumieniu różowej krwi. Padając, Córa zdołała wystrzelić jeszcze raz, trafiając Myrę w kolano i wyrzucając ją z łóżka. Leżąc z twarzą na wykładzinie, z pistoletem wypuszczonym ze sztywniejącej dłoni, pomyślała: „Idę do ciebie, EMsie”... ale coś tu było niedobrze, bardzo niedobrze, bo widziała tylko ciemność i w tej ciemności była kompletnie sama.

## 14

Baptyści z Castle Rock pod wodzą wielbego Williama Rosę'a i katolicy z Castle Rock pod wodzą ojca Johna Brighamą wpadli

na siebie u stóp Castle Hill z niemal słyszalnym trzaskiem. Nie był to bynajmniej klasyczny pojedynek bokserski, nikt nie przejmował się regułami markiza Queensberry'ego; walczący pragnęli tylko wydrapać przeciwnikom oczy i pourywać nosy. Bardzo prawdopodobne, że pragnęli także



zabijać.

Albert Gendron, potężny dentysta, którego tak trudno było wyprowadzić z równowagi i który raz wyprowadzony z równowagi stawał się tak straszliwie groźny, złapał Normana Harpera za uszy, szarpnął jego głowę ku sobie i jednocześnie uderzył bykiem. Zderzyli się czołami z odgłosem, jaki wydaje tłukąca się podczas trzęsienia ziemi porcelana, Norman zadrżał i zawisł mu w rękach, Albert zaś odrzucił go jak worek z brudną bielizną, po czym sięgnął po Billa Sayersa, sprzedającego narzędzia w „Western Auto”, Bili zdołał się jednak uchylić. Wyprowadził cios, trafiając przeciwnika wprost w usta; Albert otrząsnął się, wypłuł ząb, złapał Billa i ścisnął w niedźwiedzim uścisku, póki nie trzasnęło żebro. Wrzeszczący wniebogłosy Bili przeleciał przez niemal całą ulicę. Wprawdzie szeregowy Morris nacisnął hamulce wystarczająco mocno, by go nie przejechać, ale niewiele brakowało.

Spokojną ulicę ożywiły walczące, wyjące, bijące się i kopiące postaci. Wierni obu Kościołów przewracali się nawzajem, walili, dusili, ślizgali w deszczu i wstawali, sprawiali i brali lanie. W migającym świetle błyskawic sprawiało to wrażenie przedziwnego tańca, w którym zamiast obrotu rzuca się partnerką o drzewo, a zamiast tulić partnera, kopie się go w jaja.

Nań Roberts złapała Betsy Yigue — zajętą tatuowaniem paznokciami policzków Lucille Dunham — za sukienkę na plecach, przyciągnęła ją do siebie, obróciła i wsadziła jej palce w nos, prawie do samego końca. Betsy ryknęła jak przeziębiona latarnia morska w czasie mgły, Nań tymczasem potrząsała nią entuzjastycznie.

Frieda Pułaski znokoutowała torebką Nań, która padła na kolana, uwalniając nos przeciwniczki z wyraźnie słyszalnym „plum”. Próbowała wstać, Betsy jednak wykorzystała okazję i kopnęła ją prosto w twarz; Nań padła na ulicę jak długa.

- Dy sugo złamałaś mi knos — wykrztusiła Betsy i próbowała przydepnąć jej żołądek. Nań złapała ją za stopę i pociągnęła, Betsy La-La padła na twarz. Nań podpełzła do niej; w chwilę później obie tarzały się po ulicy, gryząc i drapiąc.

- STOP! — ryknął szeregowy Morris, lecz huk grzmotu, który wstrząsnął ulicą, całkowicie zagłuszył jego głos. Morris wyciągnął więc służbowy rewolwer, skierował lufę w niebo... lecz nim zdążył wystrzelić, ktoś — jeden Bóg wie kto — postrzelił go w krocze z najpopularniejszego towaru pana Gaunta. Szeregowy poleciał do tyłu, uderzył w błotnik radiowozu i osunął się na ziemię z obydwoma dłońmi na ruinie

swych seksualnych skarbów. Nie mógł nawet krzyknąć.

Nie sposób było powiedzieć, ilu walczących uzbrojonych zostało na tę okazję przez właściciela „Sklepiku z marzeniami”. Niewielu — a niektórzy z tych, którzy mieli pistolety, pogubili je, uciekając przed smrodem. Padły jednak, niemal jeden za drugim, co najmniej jeszcze cztery strzały, na które, wśród ryku walczących i huku grzmotów, prawie nikt nie zwrócił uwagi.

Len Milliken dostrzegł Jake'a Pułaskiego mierzącego w Nań, która puściła Betsy i właśnie próbowała udusić Meade'a Rossig-nola. Złapał go za przegub i poderwał mu dłoń w lśniące od błyskawic niebo dokładnie w momencie strzału. Następnie szarpnął jego ramię do dołu. Złamał je na kolanie jak suchą szczapę; Jake zaczął wyć. Len zrobił krok do tyłu, zdążył jeszcze powiedzieć: „To cię nauczy...” i w tej właśnie chwili ktoś wbił mu w kark scyzoryk, przerywając rdzeń kręgowy.

Nadjeżdżały kolejne radiowozy. Walczący nie słyszeli wykrzykiwanych przez głośniki rozkazów, próśb i błagań, a kiedy policja siłą próbowała zakończyć bójkę, policjanci z przerażeniem zdali sobie nagle sprawę, że sami zostają w nią wciągnięci.

Nań Roberts dostrzegła ojca Brighamę z tą jego cholerną czarną koszulą rozerwaną na plecach po sam kołnierzyk. Ksiądz jedną ręką trzymał wielebnego Rosę'a za szyję, drugą zaś, zaciśniętą w pięść, raz za razem walił go w nos. Jedna ręka, ta zaciśnięta w pięść, wykonywała zamaszysty ruch, druga ręka odskakiwała trochę, po czym podciągała wielebnego i wszystko zaczynało się od początku.

Rycząc wściekle, nie zwracając najmniejszej uwagi na przestraszonego policjanta, błagającego ją, żeby dała spokój, żeby natychmiast dała spokój, Nań odrzuciła od siebie Meade'a Ros-signola i jak wściekła lwica zaatakowała ojca Brighamę.

## Rozdział 22

Burza niemal zatrzymała Alana. Pełzł przed siebie jak zółw mimo rosnącego w nim przekonania, że czas stał się bardzo ważny, stał się najważniejszy i że jeśli wkrótce nie znajdzie

się w Castle Rock, równie dobrze może nie wracać tam w ogóle. Miał wrażenie, że od samego początku dysponował niezbędnymi mu informacjami, tyle że tkwiły one zamknięte za bardzo mocnymi drzwiami. Na drzwiach tych wisiała wizytówka, ale nie z napisami: GABINET PREZESA, RADA NADZORCZA czy nawet PRYWATNE. WSTĘP WZBRONIONY. Napis na wizytówce na owych zamkniętych drzwiach w głowie Alana głosił: TO BEZ SENSU. Żeby otworzyć owe drzwi, potrzebował właściwego klucza... a ten dostał od Seana Ruska.

Co znajdowało się za drzwiami?

No przecież „Sklepek z marzeniami”! I jego właściciel, pan Leland Gaunt.

Brian Rusk kupił u niego kartę baseballową — i nie żył. Nettie Cobb kupiła abażur — i także już nie żyła. Ilu obywateli Castle Rock udało się do studni i kupiło trującą wodę u trującego człowieka? Norris: wędka. Poily: amulet. Matka Briana: tanie okulary, mające coś wspólnego z Elvisem Presleyem. Nawet Ace Merrill kupił tam książkę. Alan skłonny był założyć się o duże pieniądze, że klientami pana Gaunta byli także Hugh Priest, Danforth Keeton...

I kto jeszcze? Kto jeszcze?

Znalazł się przy Blaszaku dokładnie w chwili, w której piorun uderzył w wielki wiąz po drugiej stronie rzeki. Rozległ się trzask wyładowania elektrycznego, błysnęło oślepiająco białe światło. Alan poderwał dłonie do oczu, ale pod powiekami cienie tego błysku wirowały mu jeszcze, gdy radio zatrzeszczało od zakłóceń, a wiąz powoli, godnie, zwałił się do strumienia.

Opuścił dłonie i nagle krzyknął — grzmot huknął mu tuż nad głową z siłą zdolną chyba rozsadzić świat. Przez moment, oślepiony, nie widział nic; bał się, że drzewo runęło na most, tarasując mu drogę do miasta, lecz po chwili dostrzegł je nieco wyżej w górze strumienia, widoczne niewyraźnie pośród przelewającej się przezeń wody. Wrzucił bieg i przejechał po starym, zardzewiałym moście, wsłuchując się w wycie wiatru — a właściwie już wichury — wśród metalowych kratownic i podpór. Był to ponury, straszny dźwięk.

Deszcz bębnił o szyby starego forda; widziany przez nie świat sprawiał wrażenie halucynacji. Gdy Alan znalazł się na rogu głównej ulicy i Watermill Lane, lało tak, że wycieraczki, nawet na szybkim biegu, nie nadążały z czyszczeniem szyby. Musiał otworzyć okno, wystawić przez nie głowę i tylko ten sposób pozwalał na względnie bezpieczną jazdę. Natychmiast przemókł na wylot.

Przed Ratuszem aż roilo się od radiowozów i telewizyjnych wozów transmisyjnych, lecz mimo to ulica sprawiała niesamowite wrażenie opuszczonej, jakby kierowcy i pasażerowie wszystkich tych

pojazdów przeteleportowani zostali przez atakujących przybyszy z kosmosu gdzieś na Neptuna. Z okienek kilku telewizyjnych wozów dziennikarze wyglądali na świat, jeden policjant biegł alejką ku Ratuszowi, woda pryskała mu spod butów... i to wszystko.

Trzy przecznice dalej w kierunku Castle View jadący Laurel Street na zachód radiowóz policji stanowej przemknął przez skrzyżowanie z główną ulicą. W sekundę później inny radiowóz przeciął ją, jadąc Birch Street w przeciwnym kierunku. Przejechały tak szybko — bzyk, bzyk — jak na jakiejś komedii o niezdarnych gliniarzach, na przykład „Mistrz kierownicy ucieka”, Alan jednak nie dostrzegł w tym nic śmiesznego. Miał wrażenie, że obserwuje pozbawione celu działania; paniczne, chaotyczne ruchy raz w tę, raz w tamtą stronę. Nagle nabrał całkowitej pewności, że Henry Payton stracił kontrolę nad sytuacją w Castle Rock, to znaczy, jeśli założymy, że w ogóle kiedykolwiek kontrolował sytuację, co wydawało się bardzo wątpliwe.

Miał wrażenie, że słyszy dobiegające od strony Castle Hill słabe krzyki. Biorąc pod uwagę burzę, deszcz i wycie wiatru, nie mógł być tego całkiem pewien, ale nie bardzo wierzył, że mu się tylko wydawało. Jakby na dowód, że ma rację, sprzed

Ratusza wystartował z rykiem silnika radiowóz, błyskający wszystkimi światłami, odbijającymi się srebrem w kroplach deszczu. Pojechał w tamtym kierunku; skręcając, omal nie uderzył wozu transmisyjnego telewizji WMTW.

Alan przypomniał sobie towarzyszące mu przez kilka ostatnich dni uczucie, że w miasteczku coś jest nie tak — że chociaż na pierwszy rzut oka nie widzi się niczego, wkrótce nastąpić musi jakiś straszliwy kataklizm. Teraz właśnie nastąpił, zaplanował go zaś człowiek

*(Brian powiedział, że pan Gaunt wcale nie jest człowiekiem)*

z którym nie udało mu się spotkać.

Nocną ciszę rozdarł cienki, przeraźliwy wrzask. Towarzyszył mu brzęk tłukącego się szkła. Gdzieś rozległ się strzał, a zaraz po nim wybuch idiotycznego, chrapliwego śmiechu. Huknął grzmot, jakby w niebie na podłogę posypały się deski.

Nareszcie mam czas, pomyślał Alan. Tak. Mam mnóstwo czasu, panie Gaunt. Sądzę, że powinniśmy spotkać się wreszcie twarzą w twarz i najwyższy chyba czas, by przekonał się pan, co dzieje się z ludźmi, którzy próbują rozwalić mi miasto.

Ignorując słabe odgłosy świadczące o przestępstwach i zbrodniach, ignorując Ratusz, z którego najprawdopodobniej Henry Payton koordynował działania sił prawa i porządku — lub

przynajmniej próbował koordynować — Alan pojechał główną ulicą w stronę „Sklepiku z marzeniami”. A kiedy ruszył, fioletowobiała błyskawica jak płonące drzewo przecięła niebo, huknęła kanonada grzmotów i nim ucichły, w Castle Rock zgasły wszystkie światła.

Zastępca szeryfa, Norris Ridgewick, stał na stołku w szopie przylegającej do schludnego małego domku. Do 1986 roku mieszkał w nim z matką, a kiedy zmarła na wylew, pozostał sam. Norris miał na sobie mundur, który wkładał tylko przy wyjątkowo uroczystych okazjach. Z jednej z belek podtrzymujących dach zwisał gruby sznur z pętlą na końcu. Wsadził w tę pętlę głowę; zacisnął ją właśnie przy prawym uchu, gdy huknął grzmot i dwie oświetlające szopę żarówki zgasły.

Mimo to nadal widział swego bazuna, opartego o ścianę koło prowadzących do kuchni drzwi. Tak bardzo pragnął tej wędki, tak bardzo cieszył się, że kupił ją tanio, lecz w końcu okazało się, że cena była bardzo wysoka. Wyższa, niż skłonny byłby zapłacić.

Dom Norrisa stał w górze Watermill Lane, w miejscu, w którym ulica skręcała ku Castle Hill i Castle View. Podmuchy wiatru niosły w tę stronę odgłosy bójki: krzyki, wrzaski, od czasu do czasu strzały.

To ja jestem za to odpowiedzialny — myślał Norris. — Nie za wszystko, nie, do diabła, ale brałem w tym udział. To *przeze* mnie Henry został ranny, umiera, a może nawet już umarł tam, w Oxfor-dzie. To *przeze* mnie Hugh Priest leży w kostnicy. *Przeze* mnie, a ja zawsze chciałem być policjantem, pomagać ludziom, zawsze, od dziecka. Głupi śmieszny niezdara, naiwny Norris Ridgewick, któremu wydawało się, że marzy o bazunie i może go tanio kupić.

— Żałuję tego, co zrobiłem — powiedział Norris. — Niczego to nie naprawi i niewiele jest warte, ale naprawdę żałuję tego, co zrobiłem.

Gotów był zeskoczyć ze stołka, gdy w głowie przemówił mu nagle jakiś gniewny głos.

- Więc czemu nie próbujesz naprawić tego, co popsujesz, ty cholerny tchórze?
- Nie potrafię — odparł mu Norris. Błysnęło; jego cień za tańczył szaleńczo po ścianie szopy, jakby już szarpał się na sznurze. — Już za późno.

- Więc przynajmniej spojrzysz na to, dla czego zrobiłeś to, co zrobiłeś. Na tyle chyba cię stać, prawda? Przyjrzyj się. Wytęż wzrok!

Błysnęło. Norris poszukał wzrokiem bazuna... i aż krzyknął z niedowierzania i bólu. Podskoczył; omal nie spadł ze stołka i nie powiesił się przypadkiem.

Tego pięknego, cudownego, takiego mocnego bazuna nie było przy kuchennych drzwiach. Zastąpił go brudny, popękany kawałek bambusa, niewiele więcej niż kij z przyczepionym do niego zardzewiałą śrubą dziecięcym kołowrotkiem.

- Ktoś ukradł mi wędkę! — wrzasnął Norris. Cała jego gorzka zazdrość, cała jego paranoiczna nieufność powróciły natychmiast, w mgnieniu oka. Norris gotów był biec na ulicę, szukać złodzieja. Jeśli to konieczne, zabije każdego w Castle Rock, każdego męża czyżnę i każdą kobietę, ale dopadnie złodzieja. — Ktoś ukradł mi bazuna! — wrzasnął, chwiejąc się na stołku.

- Nie — odpowiedział mu gniewny głos. — Twoja wędka zawsze tak wyglądała. Znikły tylko klapki, które sam, z własnej woli, nałożyłeś sobie na oczy!

- Nie! — Gigantyczne dłonie złapały go za głowę i zaczęły się zaciskać. — Nie, nie, nie!

Błysnęło. Na miejscu bazuna stał brudny bambusowy kij. Sam postawił wędkę przy drzwiach; miała być ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu. Nikogo tu nie było, nikt jej nie poruszył, a więc ten gniewny głos w jego głowie musi jednak mieć rację.

— Zawsze taki był, ten twój bazun — powtórzył z naciskiem głos. — Pozostaje tylko pytanie: czy masz zamiar coś z tym zrobić, czy uciekniesz w mrok?

Norris sięgnął dłonią do pętli i w tym momencie poczuł, że nie jest sam. Poczul zapach tytoniu, kawy i jakiejś wytwornej wody kolońskiej — „Dzentelmen z Południa”? — zapach pana Gaunta.

Być może stracił równowagę, a być może ze stołka zepchnęły go jakieś gniewne dłonie. Spadając, zawadził o niego stopą i przewrócił go.

Węzeł zacisnął się, tłumiąc krzyk. Norris machnął rozpaczliwie rękami, jedną udało mu się

uchwycić belki. Podciągnął się, sznur rozluźnił się lekko. Wolną dłonią macał pętlę. Ostre włókna drażniły mu skórę na szyi.

— Nie, nie! — usłyszał gniewny głos pana Gaunta. — Za służyłeś sobie na to, ty, ty... niewypłacalny oszuście!

Pana Gaunta nie było tu, nie było; Norris doskonale zdawał sobie sprawę, że nikt go nie zepchnął ze stołka. A jednak był również całkiem pewny, że część pana Gaunta tu jest... i że pan Gaunt nie jest szczęśliwy, bo nie tak to się powinno zakończyć. Gówniarze nie powinni dostrzec niczego. Przynajmniej do chwili, w której jest już za późno.

Szarpał za pętlę, ale miał wrażenie, że węzeł zanurzono w szybko schnącym cemencie. Ręka, na której wisiał, drżała mu strasznie. Machał nogami; pięty miał prawie metr nad podłogą. Nie powisi tak długo — na jednej ręce! Zdumiewające, że zdołał zmniejszyć nieco napięcie sznura na tak długo.

W końcu udało mu się wcisnąć pod pętlę dwa palce i rozluźnić ją nieco. W momencie gdy wyjmował z niej głowę, złapał go straszny kurcz. Opadł na podłogę, skulił się na ziemi, przycisnął obolałe ramię do piersi. Błyskało, ślina na wyszczerzonych zębach lśniła fioletowo. Zemdlał — na jak długo, nie wiedział, ale kiedy odzyskał przytomność, burza trwała i deszcz padał z niezmnieszoną siłą.

Podniósł się, stanął chwiejnie i — ciągle trzymając się za rękę — podszedł do wędki. Kurcz ustępował powoli, ale Norris nadal dyszał ciężko. Ujął wędkę i obejrzał ją sobie dokładnie.

Bambus. Stary, brudny bambus. Niewart był wszystkiego, lecz nic.

Norris nabrał powietrza w płuca i krzyknął ze wstydu i złości. Jednocześnie uniósł kolano i bez wysiłku złamał wędkę. Jej dotyk był nieprzyjemny, niemal obrzydliwy... jakiś taki fałszywy. Od-rzucił połówki; potoczyły się i zatrzymały przy przewróconym stołku; dwa zwykłe kijki.

— Macie! — krzyknął. — Macie, macie, macie!

Przypomniał sobie pana Gaunta. Srebrzyste włosy pana Gaunta, pana Gaunta w tweedach, pana Gaunta o zachłannym, szerokim uśmiechu.

— Dopadnę cię! — szepnął. — Nie wiem, co się potem wydarzy, ale dopadnę cię. Obiecuję.

Wyszedł z szopy w lejący z nieba deszcz. Przed domem stał radiowóz numer dwa. Norris pochylił swe chude ciało pod wiatr i ruszył w stronę samochodu.

— Nie wiem, kim jesteś — powiedział — ale dorwę cię, ty fałszywy, ty kłamliwy oszuście.

Wsiadł do radiowozu i tyłem wyjechał z podjazdu. Żal, wstyd i gniew kotłowały mu się w duszy. Zjechał z podjazdu, skręcił w lewo. Ruszył w stronę „Sklepiku z marzeniami” tak szybko, na ile tylko miał odwagi.

Poiły Chalmers śniła.

We śnie szła do „Sklepiku z marzeniami”, ale tam, za ladą, stał nie pan Gaunt, lecz babcia Ewie. Babcie Ewie miała na sobie najlepszą błękitną suknię i niebieską chustę, tę obszytą na czerwono. Spomiędzy dużych, nieprawdopodobnie wręcz równych, sztucznych zębów zwiisał jej papieros.

— Babciu Ewie! — krzyknęła we śnie Poiły. Wielka radość i jeszcze większa ulga — radość i ulga, których doświadcza się tylko w szczęśliwym śnie i po przebudzeniu z koszmaru — wypełniły ją jak światło. — Babciu Ewie, ty żyjesz!

Ale babcia Ewie niczym nie zdradziła, że ją rozpoznaje.

- Proszę wybrać sobie, co tylko się panience podoba — powiedziała. — A przy okazji, panienska nazywa się Poiły czy Patricia? Bo tak jakoś nie pamiętam.

- Babciu Ewie, przecież wiesz, jak się nazywam. Jestem Trisha. Dla ciebie zawsze byłam Trisha.

Babcia Ewie nie zwróciła na to najmniejszej nawet uwagi.

- Obojętnie, jak się nazywasz, panienko, dziś jest niezwykle dzień. Wszystko na sprzedaż!

- Babciu Ewie, a co ty tutaj robisz?

- To moje miejsce. To miejsce wszystkich mieszkańców miasteczka, panienko Dwojga Imion. Tak naprawdę, to miejsce Całego Świata, bo ludzie na całym świecie uwielbiają okazje. Każdy chciałby dostać coś za nic, nawet jeśli przyszłoby mu zapłacić za to wszystkim.

Dobre samopoczucie skończyło się nagle; zastąpił je strach. Poiły przyjrzała się szklanym pojemnikom, dostrzegła buteleczki ciemnego płynu z etykietkami: „Elektryczny tonik Doktora



Gaun-ta". Pełno tu było nakręcanych zabawek w bardzo złym stanie — takich, które po drugim nakręceniu wykaszlą z siebie kółka i wypłują sprężyny. Pełno tu było ordynarnych zabawek seksualnych. W małych buteleczkach zamknięty był pył przypominający kokainę; na etykietkach widniał napis: „Środek na potencję i energię wewnętrzną doktora Gaunta". Mnóstwo tu było tanich gadżetów: plastikowych psich rzygów, swędzącego pudru, wybuchających papierosów, brzęczyków wydających obrzydliwe dźwięki. Były tu okulary rentgenowskie, dzięki którym podobno można podglądać kobiety przez ściany, ale tak naprawdę gwarantowały one tylko czerwone kręgi wokół oczu. Były tu plastikowe kwiaty, talie znaczonej kart, buteleczki tanich perfum z etykietkami: „Eliksir miłości doktora Gaunta. No 9. Słabość zmieniają w pożądanie".

Znajdowało się tu wszystko, co ponadczasowe, prymitywne i absolutnie zbędne.

- Chcesz czegoś, panienko Dwojga Imion? — spytała babcia

Ewie.

- Dlaczego tak do mnie mówisz, babciu Ewie? Proszę... nie poznajesz mnie?
- Gwarantujemy skuteczność wszystkiego. Oprócz jednej rzeczy. Po sprzedaży nie gwarantujemy skuteczności klienta. Wykozystaj szansę — kupuj, kupuj, kupuj!

Spojrzała wprost na Poiły... a ją samą przerażenie przeszło jak nóż. W oczach babci Ewie dostrzegła współczucie; straszne, bezlitosne współczucie.

— Jak masz na imię, dziecko? Mam wrażenie, że kiedyś chyba wiedziałam?

We śnie (i leżąca w łóżku) Poiły rozplakała się.

— Czy ktoś inny też zapomniał twego imienia? Mam wrażenie, że tak.

- Babciu Ewie, ty mnie straszysz!
- Sama się straszysz, dziecko. — Babcia Ewie po raz pierwszy spojrzała wprost na Poiły tak, jakby rzeczywiście ją widziała. —

Tylko pamiętaj, panienko Dwojga Imion, że kiedy tu kupujesz, także coś sprzedajesz.

- Ale mi to potrzebne! — Poily szlochała głośniej. — Moje dłonie...

- Oczywiście, przecież o dłoniach właśnie rozmawiamy, panno Poily Frisco. — Babcia Ewie zdjęła z półki i postawiła przed nią jedną z buteleczek z napisem „Elektryczny tonik doktora Gaunta”. Postawiła na ladzie niską, pękatą buteleczkę wypełnioną czymś, co na pierwszy rzut oka wydawało się rzadkim błotem. — Bólu to coś nie zlikwiduje, oczywiście — na ten ból nie ma sposobu — ale go przeniesie.

- Co to znaczy? Dlaczego mnie straszysz?
- Przeniesie artretyzm, panno Dwojga Imion — zamiast dłoni zaatakują on serce.

- Nie!
- Tak.
- Nie! Nie! Nie!
- Ależ tak. Tak. Serce i oczywiście duszę. Ale dumą ci zostanie. Przynajmniej dumę będziesz miała aż do końca. Bo czyż kobieta nie ma prawa do dumy? Kiedy nic jej już nie zostanie — ani serce, ani dusza, ani nawet mężczyzna, którego kocha — będziesz miała dumę, mała Poily Frisco, prawda? Tę jedną monetę, bez której twój portfel byłby całkowicie pusty. Niech będzie ci ona mroczną, gorzką pociechą na resztę życia. Niech będzie. Musi być, bo jeśli nie przestaniesz robić tego, co robiłaś do tej pory, nic innego ci nie pozostanie.

- Zamilcz, proszę, nie możesz...

— Zamilcz — mruknęła przez sen Poily. — *Zamilcz, proszę...*

Przewróciła się na drugi bok. Azka otarła się o łańcuszek z cichym brzękiem. Błysnęło;

piorun uderzył w stary wiąz nad rzeką Castle, Stream, zwalając go do wezbranej wody. Alan Pangborn oślepiiony błyskiem siedział za kierownicą starego forda.

Grzmot, który huknął po błysku pioruna, obudził Poiły. Otworzyła oczy, podniosła dłoń i zacisnęła ją wokół azki obronnym

gestem. Nie miała z tym najmniejszych problemów, palce poruszały się jej niczym na dobrze naoliwionych łożyskach. Panno Dwojga Imion... panienko Poiły Frisco.

— Co...? — szepnęła. Głos miała ochryply od snu, ale myślała jasno i szybko, jakby wcale nie spała, lecz tylko znajdowała się w stanie oszołomienia tak głębokim, że przypominał trans. Coś utkwilo jej w głowie, coś czaiło się w niej, coś wielkości mniej więcej wieloryba. Na dworze błyskało raz za razem; niebo wyglądało, jakby nad całym miastem gorzały jaskrawe fioletowe fajerwerki.

Ktoś inny także zapomniał twego imienia? Mam wrażenie, że tak.

Zapaliła stojącą na nocnym stoliku lampę. Koło telefonu z wielkimi niepotrzebnymi już przyciskami leżała koperta, którą znalazła w przedpokoju wraz z resztą poczty. Przeczytała ten straszny list, złożyła kartkę i włożyła ją z powrotem do koperty.

Gdzieś ze środka nocy, w przerwie między kolejnymi grzmotami, dobiegły ją słabe krzyki. Zignorowała je. Myślała o kukułce podrzucającej jajo do gniazda pod nieobecność właścicielki. Kiedy wracała, czy zastanawiała się nad tym, że w jej domu pojawiło się coś nowego? Nie, oczywiście, przyjmowała kukułcze jajo jako swoje. Dokładnie tak samo i ona potraktowała list — tylko dlatego, że znalazła go wraz z katalogami i broszurką telewizji kablowej.

Potraktowała go jak swój... ale przecież każdy może wrzucić list do domu przez szczelinę w drzwiach, prawda?

— Panno Dwojga Imion — powtórzyła niepewnie. — Panienko Poiły Frisco. — I o to właśnie chodziło, prawda? Podświadomość doskonale pamiętała, stworzyła nawet babcię Ewie, by powiedzieć coś jej świadomości. Poiły była panienką Poiły Frisco.

Dawno, dawno temu. Sięgnęła po kopertę.

— Nie! — powiedział głos. Ten głos znała doskonale. — Nie dotkniesz jej, Poily. Przecież wiesz, co dla ciebie dobre.

Ból, ciemny i mocny jak parzona doba kawa, przeszył jej dłoń.

Nie wyleczy bólu... ale go przeniesie.

To coś wielkości wieloryba wypływało na powierzchnię. Głos pana Gaunta nie mógł tego czegoś powstrzymać. Nic na świecie nie mogło go powstrzymać.

— Ty sama możesz go powstrzymać, Poily — powiedział pan Gaunt. — I, uwierz mi, musisz.

Cofnęła dłoń, nim dotknęła koperty. Objęła azkę obronnym

gestem. Czują, jak coś się wewnątrz niej porusza, coś ogrzanego jej ciepłem krąży gorączkowo wewnątrz srebrnego amuletu; poczuła obrzydzenie tak wielkie, że żołądek wywrócił się jej, jakby połknęła zgniłą rybę.

Puściła azkę. Sięgnęła po list.

- To ostatnie ostrzeżenie, Poily — powiedział głos pana Gaunta.

- Tak — odezwał się głos babci Ewie. — Pewnie zrobi to, o czym mówi. Lubi dumne kobiety, ale wiesz co? Nie przepada chyba za kobietami, dla których są sprawy ważniejsze od dumy. Sądzę, że najwyższy czas, byś zdecydowała wreszcie, jak masz na imię.

Poily wzięła kopertę ze stolika, lekceważąc ostrzegawczy sygnał bólu. Spojrzała na porządnie wydrukowany adres. Ten list... pozór listu... pozór ksero... zaadresowany był do „Pani Patricii Chalmers”.

— Tak — szepnęła. — Imię. Imię się nie zgadza. — Powoli, mocno zacisnęła dłoń w pięść, gniotąc w niej białą kartkę papieru. Poczuła tępy ból, ale zignorowała go. Oczy błyszczały jej jasno, gorączkowo. — W San Francisco dla wszystkich byłam Poily... dla wszystkich, nawet dla Wydziału Opieki nad Dziećmi.

Wybrała to jako jeden ze sposobów zerwania z dawnym życiem, życiem, które — jak się jej wówczas wydawało — tak strasznie ją skrzywdziło; nawet w najciemniejsze noce nie pozwalała sobie na refleksję, że to raczej ona sama się skrzywdziła. W San Francisco nie była Trishą, nie była Patricia, lecz wyłącznie Poily. Jako Poily wypełniła trzy podania o pomoc dla dziecka, jako Poily Chalmers, bez inicjału drugiego imienia, je podpisała.

Gdyby Alan rzeczywiście napisał do Wydziału Opieki nad Dziećmi, najprawdopodobniej podałby imię Patricia, lecz wówczas niczego by przecież nie znaleziono. Prawda? Oczywiście, prawda. Nawet adres by się nie zgadzał, bo w rubryce „poprzednie miejsce zamieszkania” podawała zawsze adres rodziców, a to było po przeciwnej stronie miasta.

Przypuśćmy, że podał im oba imiona: Poily i Patricia?

No i co? Wystarczająco wiele wie przecież o działaniu rządowej maszyny biurokratycznej, by zdawać sobie sprawę, że obojętne, jakie imię lub imiona podałyby Alan, list i tak zaadresowano by według informacji zawartej w aktach. Poily miała przyjaciółkę w Oxfordzie; korespondencja z Uniwersytetu Stanu Maine nadal przychodziła do niej na panięskie nazwisko, choć przyjaciółka ta była mężatką od dwudziestu lat.

Ten list zaś zaadresowano do Patricii Chalmers, nie do Poily Chalmers. A kto z przyjaciół powiedział dziś do niej „Patricio”?

Ta sama osoba, która wiedziała, że prawdziwe imię Nettie brzmi Netitia. Dobry przyjaciel, pan Gaunt.

- Cała ta sprawa imion jest rzeczywiście bardzo interesująca — odezwała się nagle babcia Ewie — ale przecież nie najważniejsza. Najważniejszy jest on — twój mężczyzna. Bo jest twoim mężczyzną, prawda? Nawet teraz. Wiedziałaś, że nie weszłyby za twoimi plecami, choć list świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Obojętnie, jakim imieniem cię w nim nazwali, tego mimo wszystko byłaś pewna, prawda?

- Tak — szepnęła Poily. — Przecież go znam.

Czy rzeczywiście uwierzyła w coś takiego? Czy może odsunęła od siebie wątpliwości wobec tego absurdalnego, tego całkowicie fantastycznego listu w strachu, że Alan odkryje obrzydliwą prawdę azki i postawi ją przed wyborem: ona albo on?

— O, nie — szepnęła. — To zbyt proste. Uwierzyłam; na kilka godzin zaledwie, ale uwierzyłam. Jezu, Jezu, co ja najlepszego zrobiłam?

Rzuciła list na ziemię, z obrzydzeniem, jak ktoś, kto właśnie zorientował się, że trzyma za ogon zdechłego szczura.

— Nie powiedziałam mu, o co się wściekam, nie pozwoliłam mu niczego wytłumaczyć, tylko... tylko uwierzyłam. Dlaczego? Na litość boską, dlaczego?

Oczywiście, wiedziała dlaczego. Nagle — co za wstyd! — nagle przeraziła się, że ktoś odkrył przyczynę śmierci Keltona, że ktoś podejrzewa, jak straszne było jej życie w San Francisco, że ktoś zastanawia się, w jakim stopniu ona sama odpowiedzialna jest za śmierć swego synka... i że tym kimś jest jedyny człowiek, na którego opinii tak bardzo jej zależało.

Lecz i to nie wszystko. To nawet nie było najważniejsze. Chodziło przede wszystkim o dumę — jej zranioną, wściekłą, rozdętą, pulsującą bólem, złą dumę. Dumę — monetę, bez której jej portfel byłby zupełnie pusty. Uwierzyła, ponieważ popadła w gorączkę wstydu; wstydu narodzonego wprost z dumy.

— Zawsze cenilem kobiety, które wiedzą, co to duma.

Jej dłońmi szarpnął ból; Poiły jęknęła i przytuliła je do piersi. — Nie jest za późno, Poiły — powiedział pan Gaunt. — Nawet teraz nie jest jeszcze za późno.

— Och, pieprzę dumę! — krzyknęła nagle w ciemność za mknącej, dusznej sypialni i zerwała azkę z szyi. Trzymała ją nad głową w wyciągniętej ręce, srebrny łańcuszek kołysał się dziko; nagle poczuła, jak amulet pęka jej w dłoni niczym jajo. — Pieprzę dumę!

W dłonie natychmiast wgryzł się ból jak małe głodne zwierzątko... lecz nawet teraz, nawet w tej chwili, od razu zdała sobie sprawę, że nie jest tak straszny, jak się spodziewała; nie jest nawet w przybliżeniu tak straszny, jak się obawiała. Była tego tak pewna, jak pewna była, że Alan nie napisał do Wydziału Opieki nad Dziećmi.

— Pieprzę! Pieprzę! Pieprzę! — krzyczała, ciskając azką przez pokój.

Amulet uderzył o ścianę, odbił się, upadł na podłogę i pękł. Błysnęło; w świetle błyskawicy dojrzała dwie włochate łapki. Szczelina rozszerzyła się, wypełził przez nią mały pajak i natychmiast popędził do łazienki. W świetle kolejnej błyskawicy dostrzegła na podłodze jego wydłużony,

jajowaty cień jak elektryczny tatuaż.

Wyskoczyła z łóżka i pogoniła za pająkiem. Musi go zabić — i to szybko, bowiem pająk rósł jej w oczach. Żywił się czerpaną z jej ciała trucizną i teraz, wyzwolony z więzienia, może rosnąć bez ograniczeń.

Uderzyła w wyłącznik przy drzwiach. Zapaliła się lampka nad lustrem. Pająk biegł w stronę wanny. Kiedy przebiegał przez drzwi, miał rozmiar niewielkiego żuczka. Teraz był już wielkości myszy.

Widząc ją, obrócił się natychmiast i pobiegł w jej kierunku — słyszała wstrętny szmer nóżek ocierających się o kafelki podłogi — miała jeszcze czas pomyśleć: „trzymałam go między piersiami, przylegał mi do skóry, przez ten cały czas przylegał mi do skóry...”.

Ciało pokryte miał brązowoczarnymi włoskami. Na łapkach także sterczały mu włoski. Wpatrywał się w nią oczkami matowymi jak fałszywe rubiny... Dopiero teraz Poily dostrzegła, że z pyska sterczą mu dwa kły, zagięte jak kły wampira, z których ściekał jakiś przezroczysty płyn. Padając kropelkami na kafelki podłogi, zostawiał w tych miejscach małe, dymiące kratery.

Poily krzyknęła i złapała przepychaczkę stojącą obok toalety. Dłonie aż wrzasnęły jej z bólu; mimo to zacisnęła je na drewnianej ręczce, zamachnęła się i uderzyła pająka. Wycofał się, jedną z nóg miał złamaną; wisiała mu krzywo, bezużyteczna. Pobiegł w stronę wanny, a Poily za nim.

Mimo złamania pająk nadal rósł. Wielkim brzuchem włókł po

kafelkach, ale na zasłonę wspiał się z niesamowitą wręcz zręcznością. Nóżkami uderzał w plastik z dźwiękiem przypominającym kapanie wody. Pierścienie zadzwoniły o stalowy pręt.

Poily zamachnęła się przepychaczką jak pierwszoligowy base-ballista kijem. Ciężki gumowy koniec z szumem przeciął powietrze. Zasłona wygięła się i pająk spadł do wanny z głośnym „plum”.

W tym momencie zgasło światło.

Poily stała w ciemności, ściskając w dłoni przepychaczkę. Wsłuchiwała się w szelest, z jakim pająk biegł po dnie wanny. Błysnęło — dostrzegła jego okrągły, włochaty grzbiet przy splywie. Coś, co wydostało się z azki wielkości napastrka, było teraz rozmiaru kota — żywiła je swą serdeczną krwią, to coś zaś pożerało jej ból.

Koperta, którą zakopałam pod domem Camberów... co w niej było?

Zdjęła azkę, dłonie bolały ją okrutnie; nie mogła już tłumaczyć sama sobie, że nie miało to nic

wspólnego z Alanem.

Kły pająka zadzwoniły o porcelanową krawędź wanny, jakby ktoś uderzył monetą w twarde podłoże, by zwrócić na siebie uwagę. Martwe, jak oczy lalki, ślepią wpatrywały się w nią nieruchomo.

Za późno, wydawały się mówić. Za późno dla Alana, za późno dla ciebie, za późno dla wszystkich.

Poiły rzuciła się na pająka.

— Coś ty mi kazał zrobić? — krzyknęła. — Coś ty mi kazał zrobić? Och, potworze, coś ty mi kazał zrobić?

Pająk wstał na tylne nóżki, przednimi wymachiwał obrzydliwie, czepiając się zasłony, by zachować równowagę. Czekał na jej atak.

Ace Merrill nabrał nieco szacunku dla tego dziadka, kiedy wyjął z kieszeni klucz otwierający drzwi magazynu, na których umieszczono ostrzegający znak w kształcie diamentu: „Materiały wybuchowe”. Nabrał go jeszcze więcej, kiedy poczuł podmuch zimnego powietrza, usłyszał równy szum klimatyzacji i dostrzegł ustawione jedno na drugich skrzynie. Dynamit przemysłowy. Mnóstwo przemysłowego dynamitu. Lepszy byłby oczywiście arsenał składający się z nieograniczonej liczby rakiet Stinger, ale i tak nieźle. Wystarczy, żeby się zabawić. Zupełnie wystarczy.

W skrytce między siedzeniami mikrobusu znaleźli potężną, ośmiobaterijną latarkę wraz z mnóstwem innych użytecznych narzędzi. Teraz — gdy stary ford Alana zbliżał się do Castle Rock, gdy Norris Ridgewick siedział w kuchni, wiążąc pętlę na mocnym konopnym sznurze, gdy sen Poiły Chalmers z babcią Ewie w roli głównej powoli zbliżał się do końca — Ace świecił latarką po skrzyniach. Deszcz walił w dach magazynu tak mocno, że miał wrażenie, jakby znów był pod więziennym prysznicem.

- No to jedziemy! — powiedział Granat cichym, ochrypłym głosem.

- Sekundkę, tatuśku. Robimy przerwę. — Ace wręczył mu latarkę, po czym wyjął z kieszeni plastikową torebkę, którą dał mu pan Gaunt. Wysypał sobie trochę koki na dłoń i zażył ją



błyskawicznie.

- Co to? — spytał go podejrzliwie Granat.
- Południowoamerykański cudowny pyłek, pyszny jak cze

kolada.

- Ach! — parsknął Keeton. — Kokaina. Oni sprzedają ko  
kainę.

Ace nie musiał pytać, kim są Oni. Przez całą drogę stary mówił tylko o Nich; prawdopodobnie nie zmienił tematu aż do rana.

— Błąd, tatuśku. Nie sprzedają jej, chcą całość dla siebie. —  
Nasypał koki na rękę i wyciągnął ją do Granata. — Sam spróbuj  
i powiedz mi, że się mylę.

W nagrodę obdarzony został spojrzeniem pełnym zwątpienia, ciekawości i podejrzeń. Naraz.

- Dlaczego nazywasz mnie tatuśkiem? Nie jestem wystar  
czająco stary, żeby być twoim ojcem.

• No, pewnie nie czytasz undergroundowych komiksów, ale  
jest taki facet. Nazywa się Crumb. Rysuje komiksy o Zippym.  
Wyglądasz kubek w kubek jak ojciec Zippy'ego.

- A to... jest dobre?
- Wspaniale — odparł entuzjastycznie Ace. — Ale mogę  
mówić: „panie Keeton”, jeśli chcesz. — Przerwał i dodał z pre  
medytacją: — Jak Oni.

• Nie — powiedział natychmiast Granat. — Dobrze jest, jak  
jest. Jeśli tylko mnie nie obrażasz.

- Ależ nie, oczywiście, że nie. No, spróbuj. Wystarczy odro  
bina tego gówna, żebyś do białego rana śpiewał: „Hej ho, hej ho,  
do pracy by się szło!”.

Granat jeszcze raz zerknął na niego podejrzliwie, po czym

uraczył się koką. Zakaszał, kichnął i natychmiast przyłożył obie dłonie do nosa. Załzawionymi  
oczami groźnie wpatrywał się w Ace'a.

- Piecze! — poskarżył się.
- Tylko za pierwszym razem — zapewnił go wesoło Ace.
- W każdym razie nic nie czuję. Skończmy z wygłupami

i bierzmy się do roboty.

- Jasne, tatuśku!

W niespełną minutę załadowali do samochodu skrzynie dynamitu. Kiedy skończyli, Granat oznajmił:

- Może mimo wszystko to coś jednak zadziało? Dostanę jeszcze trochę?

- Jasne, tatuśku! — Ace wyszczerzył zęby w uśmiechu. —

No, to zdrówko!

Podratowali się i pojechali do miasta. Prowadził Granat i wcale nie wyglądał już jak tata Zippy'ego, lecz raczej jak pan Żaba z filmu Disneya. Oczy świeciły mu gorączkowym blaskiem. Zdumiewające, jak błyskawicznie rozjaśnił mu się umysł; miał wrażenie, że wreszcie zrozumiał wszystko, co było Ich dziełem: każdy szczegół Ich planów, każde kłamstwo, każde oszustwo. Opowiedział o tym wszystkim Ace'owi, siedzącemu z tyłu mikrobusu ze skrzyżowanymi nogami i uzbrajającemu zapalniki zegarowe. Przynajmniej na razie Granat zupełnie zapomniał o Alanie Pangbornie, Ich przywódcy; oczarował go pomysł wysadzenia do diabła Castle Rock — a jeśli nie zdołają wysadzić całego, wysadzą tyle, ile się da.

Szacunek Ace'a zmienił się w podziw. Stary był oczywiście kompletnie szalony, ale to mu nie przeszkadzało, zawsze dobrze czuł się w towarzystwie wariatów. I — jak u większości ludzi na pierwszym haju — mózg Granata krążył gdzieś wraz z pierścieniami Saturna. Gadał jak najęty, nie potrafił przestać. Wystarczało tylko wtrącać od czasu do czasu: „Aha”, „Słusznie” i „Trafiłeś w sedno, tatuśku”.

Parę razy zamiast „tatuśku” omal nie powiedział mu „żabo”, ale zdołał pohamować się w ostatniej chwili. Miał wrażenie, że niezbyt bezpiecznie byłoby nazywać go teraz „żabą”.

Przejechali przez Blaszak, od którego Alana dzieliło jeszcze jakieś pięć kilometrów, i po drugiej stronie mostu wysiedli. W skrzyni pod jedną z ławek z tyłu Ace znalazł koc, którym owinał laski dynamitu i jeden uzbrojony zapalnik.

- Mogę pomóc? — spytał nerwowo Granat.
- Lepiej daj mi to załatwić samemu, tatuśku. Jeszcze wpadłbyś

do tego pieprzonego strumyka, musiałbym cię wylawiać i tylko stracilibyśmy czas. Wystarczy, żebyś oczy miał otwarte, dobra?

- Jasne. Ace, słuchaj... może zażylibyśmy jeszcze trochę tej kokainy?

- Nie teraz — odparł radośnie Ace, klepiąc Granata po grubym ramieniu. — Jest prawie czysta. Chcesz polecieć do nieba?

- Nie polecę — zapewnił go Granat. — Świat niech sobie leci, ale nie ja. — I wybuchnął śmiechem szaleńca. Śmiali się tak szaleńczo obaj.

- Dobrze się bawisz, nie, tatuśku?

Granat, niebotycznie zdumiony, zdał sobie nagle sprawę, że rzeczywiście doskonale się bawi. Depresja, w którą wpadł po... no, wypadku... Myrtle, była odległa o całe lata. Czuł, że wraz ze swym dobrym przyjacielem Ace'em Merrillem mają Ich wreszcie tam, gdzie zawsze chcieli Ich mieć: w garści.

— No pewnie — powiedział. Patrzył, jak Ace ześlizguje się po mokrej trawie pod most, z przyciśniętą do brzucha i owiniętą kocem paczką dynamitu.

Okazało się, że na dole jest względnie sucho, nie miało to jednak znaczenia, bo i dynamit, i zapalniki były wodoodporne. Ace wcisnął paczkę w kąt między dwiema podporami. Zapalnik, od którego prowadziły przewody z końcówkami bez izolacji — ktoś dobrze to sobie przemyślał! — przymocował, wkładając je w jedną z lasek. Na wielkiej, białej tarczy zegara ustawił liczbę 40. Zegar zaczął cykać.

Wlaził z powrotem po śliskim zboczu.

- No i co? — spytał go zaniepokojony Granat. — Jak myślisz, wybuchnie?

- Oczywiście — upewnił go Ace, wsiadając do samochodu. Przemókł do suchej nitki, ale nic mu to oczywiście nie szkadzało.

- A jeśli Oni znajdą dynamit? Jeśli go rozbiją?

- Posłuchaj tylko, tatuśku. Wystaw głowę na zewnątrz i po słuchaj!

Granat wystawił głowę na deszcz. Miał wrażenie, że pomiędzy grzmotami słyszy jakieś krzyki. Nagle, bardzo wyraźnie, usłyszał też trzask pistoletowego wystrzału.

- Pan Gaunt znalazł już Im robotę. Cwany z niego sukin syn. — Wysypał sobie kokainę na dłoń, zrobił z niej użytek i poczęstował partnera.

- No, tatuśku, tylko szybko.

Granat pochylił głowę. Tym razem nie trzeba go było namawiać. Odjechali. W siedem minut później przez Blaszak przejechał Alan. Na tarczy wyskoczyła liczba 30.

Ace Merrill i Danforth Keeton — alias Granat, alias Tata Zippy'ego, alias Żaba z Żabiego Wzgórza — niczym święty Mikołaj i jego pomocnik jechali sobie powolutku po głównej ulicy, tu i tam zostawiając małe paczuszki. Dwukrotnie mijaly ich radiowozy policji stanowej, policjanci jednak nie zainteresowali się jednym z wielu mikrobusów telewizyjnych. Ace miał rację. Pan Gaunt znalazł im już robotę.

Pięć lasek dynamitu z zapalnikiem zostawili w drzwiach „Zakładu Pogrzebowego Samuela”. Za zakładem znajdował się fryzjer. Ace owinął sobie ramię i stłukł szybę. Wątpił, by zakład fryzjerski zabezpieczony był alarmem... poza tym policja nie interweniowałaby pewnie, nawet gdyby był. Granat podał mu świeżo przygotowaną bombę — drutem, znalezionym w pojemniku pod jedną z ławek, mocno owinęli dynamit i zapalniki — a Ace wrzucił ją do środka. Patrzyli, jak toczy się i zatrzymuje pod pierwszym fotelem. Tarcza zegara wskazywała 25.

— Tu już nikt się przez jakiś czas nie ogoli — wydyszał Ace.

Granat zachichotał chrypliwie.

Potem się rozdzielili. Ace wrzucił jedną z bomb do „Galaxii”, Granat wepchnął inną do bankomatu. Kiedy przez deszcz przedzierali się do samochodu, huknęło i nad Castle Stream zwałił się wielki wiąz. Przez chwilę stali na chodniku, patrząc w tamtym kierunku; obaj byli pewni, że bomba wybuchła jakieś dwadzieścia minut przed czasem, ale nie dostrzegli ognia.

— Błyskawica — orzekł w końcu Ace. — Walnęła w drzewo.

No, to jedziemy.

Kiedy ruszali — za kierownicą usiadł Ace — minął ich stary ford Alana. W strugach deszczu kierowcy nie rozpoznali się nawzajem.

Podjechali do „U Nań”. Ace wybił szybę. Bombę nastawioną na 20 zostawili pod drzwiami, przy kasie. Kiedy wychodzili, strzeliła nieprawdopodobnie wręcz jaskrawa błyskawica i wszystkie światła na ulicy zgasły.

— Elektryczność! — ryknął radośnie Granat. — Nie ma prądu!  
Wspaniale! Jedźmy do Ratusza! Wywalmy go do nieba!

- Tatuśku, tam aż roi się od gliniarzy. Nie widziałeś?
- Kręcą się za własnymi ogonami — stwierdził niecierpliwie Granat. — A kiedy wybuchną bomby, zaczną się kręcić dwa razy szybciej. Poza tym jest ciemno, a my możemy wejść do środka z drugiej strony, od sądów. Mój klucz otwiera także tamte drzwi.
- Masz jaja tygrysa, tatuśku. Wiesz?  
Zaciśnięte wargi Granata rozciągnęły się w uśmiechu.  
— Ty też, Ace. Ty też.

Alan zaparkował na jednym z miejsc przed „Sklepikiem z marzeniami”, wyłączył silnik i przez chwilę po prostu siedział nieruchomo, wpatrując się w sklep. Wisząca w oknie tabliczka oznajmiała:

MÓWISZ „DZIEŃ DOBRY”

JA MÓWIĘ „DO WIDZENIA, DO WIDZENIA, DO WIDZENIA”

NIE WIEM, CZEMU MÓWISZ „DZIEŃ DOBRY”

SKORO JA MÓWIĘ „DO WIDZENIA”.

Błysnęło kilkakrotnie, raz za razem; niebo wyglądało jak uszkodzony neon, a okno jak ślepe, martwe oko.

Instynkt ostrzegał go, że „Sklepiak z marzeniami”, choć cichy, ciemny i zamknięty, być może wcale nie jest pusty. W całym tym bałaganie, w burzy, w deszczu, z gliniarzami ganiającymi w kółko niczym kurczaki, którym obcięto łebki, pan Gaunt spokojnie mógł wyjechać z miasta, nie miałby z tym wielkiego problemu. Podczas długiej, wariackiej jazdy ze szpitala Alan stworzył sobie jednak rozumowy portret pana Gaunta, który przypominał nemezis Bat-mana, Jokera. Miał wrażenie, że pan Gaunt należy do ludzi, dla których szczytem dowcipu jest zainstalowanie u przyjaciela zaworu zwrotnego w spływie toalety. Czy ktoś taki — ktoś, kto położy ci pinezkę na krześle albo wsadzi

zapaloną zapalkę do buta tak, ot, dla żartu — pójdzie sobie do domu, nim zapalą ci się skarpetki i mankiety spodni? Oczywiście, że nie pójdzie. Nie miałby żadnej uciechy.

Sądzę, że gdzieś się tu kręcisz — pomyślał. — Sądzę, że przyglądasz się całej tej zabawie. Prawda, ty cholerny sukinsynu?

Siedział w samochodzie wpatrzony w zieloną markizę. Próbował odtworzyć sposób myślenia kogoś, kto najpierw wykoncypował,

a potem wprowadził w życie coś tak złośliwego, tak złego. Zbyt był zajęty myśleniem, by zauważyć, że zaparkował po prawej stronie starego, choć wręcz aerodynamicznie skonstruowanego, bardzo zadbanego samochodu. Stał obok tuckera talismana pana Gaunta.

Jak ci się udało do tego doprowadzić? Wielu rzeczy chciałbym się dowiedzieć, ale dziś zupełnie wystarczyłaby mi jedna. Jak ci się udało do tego doprowadzić?

*Brian powiedział, że pan Gaunt wcale nie jest człowiekiem.*

W świetle dnia Alan uśmiełby się z czegoś takiego; nie uwierzył przecież, by amulet Poiły był w stanie wyleczyć ją z artretyzmu. Teraz jednak, kiedy tak siedział w samochodzie szarpanym wicherą, wpatrując się w okno jak ślepe oko, czuł, że pomysł ten ma swój mroczny, ponury urok. Pamiętał dzień, kiedy poszedł do „Sklepiku z marzeniami” właśnie po to, by spotkać się z Gauntem, pamiętał, jak stał, wpatrując się w szybę wystawową z oczami osłoniętymi przed blaskiem słońca, pamiętał, co wówczas poczuł: że jest obserwowany. I nie tylko to. Czuł, że jest obserwowany z nienawiścią. Uczucie to było tak silne, że przez chwilę własne odbicie wydawało mu się nieprzyjemną (i półprzezroczystą) twarzą obserwującego. A przecież sklep był zupełnie pusty.

Jak silne było to uczucie. Jak strasznie silne.

Przypomniał sobie także coś jeszcze — coś, co powtarzała mu babcia, kiedy był bardzo mały. „Głos diabła słodko brzmi”.

*Brian powiedział...*

Skąd Gaunt wiedział wszystko, co wiedział? I dlaczego, u Boga Ojca, zainteresował się taką dziurą, jak Castle Rock?

*...że pan Gaunt wcale nie jest człowiekiem.*

Alan pochylił się nagle i zaczął macać podłogę samochodu od strony pasażera. Przez chwilę był pewien, że nie ma tu już tego, czego szuka, że w którymś momencie dzisiejszego dnia

wypadło przez otwarte drzwi, w końcu namacał jednak metalową puszkę. Wtoczyła się pod siedzenie, nic wielkiego. Wydobył ją... i żaloszny głos, milczący od momentu odwiedzin u Seana Ruska (a może tylko był przez cały ten czas zbyt zajęty, by go słuchać) odezwał się jak zwykle głośno i jak zwykle niepokojąco wesoło:

*Cześć, Alan. Opuściłem cię na jakiś czas, bardzo przepraszani, no, ale już jestem, nie? Co my tu mamy? Puskę orzeszków? Nie, chyba nie. To coś wygląda jak puszka orzeszków, ale nie jest puską orzeszków, prawda? To ostatni zakup, jakiego Todd dokonał w tym sklepie z cudami, prawda? Fałszywa puszka „Mieszanki Orzechowej. Pycha!” z zielonym węzłem w środku — z zieloną bibułką owiniętą wokół sprężyny. Kiedy pokazał ci tę puszkę, oczy mu błyszczały, uśmiechał się szeroko, wesoło, a ty kazałeś mu odłożyć ją na miejsce, pamiętasz? Posmutniał natychmiast, a ty udałeś, że wcale tego nie zauważyłeś, powiedziałeś mu wtedy... zaraz, niech pomyślę... co mu wtedy powiedziałeś?*

- Że jest głupcem i że pieniądze szybko się z nim rozstają — powiedział Alan bezdźwięcznym głosem. Obracał puszkę w dłoni, nie potrafił zapomnieć buzi Todda. — Tak mu wtedy powiedziałem.

- *Aaaależ oococzywiście* — zgodził się natychmiast głos. — *Jak mogłem zapomnieć o czymś tak ważnym? No to co, pogadamy o tym, kto tu jest złośliwy? Jezu słodki! Dobrze, że mi o tym przypomniałeś. Dobrze, że przypomniałeś o tym nam obu! Annie uratowała sytuację. Powiedziała, że może kupić sobie tę puszkę. Powiedziała... zaraz, zaraz, co właściwie powiedziała?*

- Powiedziała, że to właściwie zabawne, że Todd jest podobny do mnie i że będzie młody tylko raz. — Głos Alana drżał i brzmiał ochryple. Płakał — i czemu nie miałby płakać? Czemu, kurwa, nie miałby właściwie płakać? Stary ból wrócił z nową siłą, ścisnął mu obolałe serce jak mokra szmata.

- *Boli, nie?* — spytał go ten żalobny głos — pełen winy, pełen nienawiści głos — z sympatią, którą Alan (czy też jego część) uważał za stuprocentowo fałszywą. — *Za bardzo boli, jakbyś przeżywał piosenkę country, piosenkę o pięknej miłości, co zniknęła, i o pięknym dziecku, co umarło. Coś, co Boli aż tak, nie*

*może być dla ciebie dobre, przyjacielu. Schowaj tę puszkę do skrytki, dobrze? Daj sobie z tym spokój, przyjacielu. A w przyszłym tygodniu, kiedy skończy się to całe szaleństwo, sprzedasz forda z puszką w skrytce. Właściwie to czemu nie? Tego rodzaju złośliwy żart jest akurat w guście dziecka... albo dorosłego typu Gaunt. Daj z tym sobie spokój. Daj z tym sobie spo...*

Alan uciął głos w pół słowa. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że coś takiego jest możliwe; dobrze było wiedzieć, ta wiedza mogła mu się przydać w przyszłości — jeśli, oczywiście miał przed sobą jakąś przyszłość. Przyjrzał się puszcze dokładnie, obrócił ją w palcach... właściwie to przyjrzał się jej po raz pierwszy, niejako łzawej pamiętce po synku, lecz jako pozorowi... takiemu, jakim w gruncie rzeczy jest czarodziejska różdżka czy jedwabny cylinder z podwójnym dnem. Albo „Magiczny bukiet”, który nadal tkwił za paskiem zegarka.

Magia... czyż od początku nie chodziło tu właśnie o magię? Złośliwą magię, oczywiście, magię stosowaną nie po to, by zdumieni ludzie uśmiechali się wesoło, lecz by atakowali jak byki na korridzie, ale mimo wszystko magię. Pozór. Jak półtorametrowy wąż ukryty w puszcze orzeszków — pomyślał. Albo, w przypadku Poiły, choroba sprawiająca wrażenie lekarstwa.

Otworzył drzwiczki samochodu, wysiadł w ulewny deszcz. Nadal miał w dłoni fałszywą puszkę orzeszków. Teraz, kiedy oddalił od siebie łatwe wyjście — żal — wspominał własny sprzeciw wobec jej kupna z czymś w rodzaju zdumienia. Przez całe życie zafascynowany był magią. Jako dziecko zafascynowany byłby, oczywiście, starym dowcipem takim, jak „diabeł z pudełka”. Więc czemu potraktował Todda tak okrutnie, kiedy chciał kupić tę fałszywą puszkę? Czemu odmówił mu i udał, że nie widzi jego rozczarowania? Czyżby zazdrościł mu młodości, entuzjazmu? Czyżby nie pamiętał już, jak cieszyć się ze zwykłych rzeczy! Dlaczego?

Nie wiedział. Wiedział tylko, że dowcip tego rodzaju Gaunt z pewnością zrozumie, chciał więc móc mu go pokazać.

Wsadził głowę do samochodu. Z leżącego na tylnym siedzeniu małego pudełka z narzędziami wziął latarkę. Przeszedł przed tuckerem (nadal go nie zauważając) i wszedł pod ciemnozieloną markizę „Sklepiku z marzeniami”.



Jestem tu. Wreszcie tu dotarłem — pomyślał.

Serce waliło mu w piersi mocno, lecz równo. Oczami wyobraźni widział twarze żony, synka i Seana Ruska złożone jakby w jedną twarz. Spojrzał na wywieszkę, spróbował poruszyć klamką. Zamknięte. Wiszącą nad głową markizą szarpał upiornie silny wiatr.

Puszkę z wężem miał w kieszeni koszuli. Dotknął jej; napelniła go niewytłumaczalną, ale jak najbardziej rzeczywistą siłą.

— No i dobrze — szepnął. — Może nie jestem jeszcze gotów... ale wchodzę. — Rączką latarki wybił dziurę w szklanych drzwiach; wewnątrz przygotował się na dźwięk alarmu, ale alarm się nie odezwał. Albo nie został włączony, albo nigdy go tu nie było. Przełożył dłoń przez najeżoną odłamkami szkła dziurę, spróbował klamki od środka. Obróciła się.

Alan Pangborn po raz pierwszy przekroczył próg „Sklepiku z marzeniami”.

Najpierw zarejestrował zapach: ciężki zapach kurzu w nieruchomym powietrzu. Tak nie pachnie nowy sklep, lecz raczej miejsce opuszczone od miesięcy, być może nawet całych lat. Trzymając rewolwer w prawej dłoni, lewą omiół wewnątrz światłem latarki: naga podłoga, nagie ściany, kilka szklanych gablotek. Pustych — po wystawionym na sprzedaż towarze nie pozostało nic. Pokrywała je gruba warstwa kurzu — kurzu bez najmniejszego nawet śladu.

*Nikogo tu nie byto od bardzo, bardzo dawna.*

Jak to możliwe, skoro przez tydzień widywał ludzi wchodzących do „Sklepiku z marzeniami” i wychodzących ze „Sklepiku z marzeniami”?

*Bo to nie człowiek. Głos diabła brzmi słodko.*

Jeszcze dwa kroki. Badał sklep w świetle latarki, kawałek po kawałku, wdychając wiszący w powietrzu ciężki kurz muzeum. Obejrzał się; w świetle latarki dostrzegł ślady swych butów, odcisnięte w kurzu. Poświecił przed siebie, obejrzał sobie skrzynię, służącą za ladę panu Gauntowi... i zamarł.

Na skrzyni stał magnetowid oraz przenośny telewizorek Sony — jeden z tych nowych, okrągłych raczej niż prostokątnych modeli w czerwonej jak wóz strażacki obudowie. Wokół telewizora zwinięty był sznur, na magnetowidzie zaś leżało coś z daleka przypominającego książkę, choć zdaniem Alana wcale nie była to książka.

Podszedł bliżej i najpierw przyjrzał się telewizorowi. Tak jak podłogę i gabloty, pokrywała go gruba warstwa kurzu. Owinięty był krótkim kablem koncentrycznym z wtyczkami po obu końcach.

Poruszył latarką. Na magnetowidzie nie leżała oczywiście książka, lecz kasetka w czarnym pudełku bez żadnych napisów.

Obok kasety znalazł zakurzoną białą kopertę, na której wypisane było:

„Dla szeryfa Alana Pangborna”.

Odłożył latarkę i rewolwer na jedną z gablotek, otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru. Wziął latarkę, skierował silny strumień światła na krótki list.

„Drogi szeryfie Pangborn,

Z pewnością odkrył już Pan, że jestem niecodziennym rodzajem biznesmena — należę do tych niewielu, którzy rzeczywiście robią wszystko, by mieć na składzie »Coś dla każdego«. Żałuję, że nie mogliśmy się spotkać twarzą w twarz, ale oczywiście rozumie Pan, że spotkanie takie byłoby bardzo nierozsądne, przynajmniej

z mojego punktu widzenia. Ha, ha! W każdym razie pozostawiam Panu ten drobiazg, który z pewnością bardzo Pana zainteresuje. Nie jest to prezent — w niczym przecież nie przypominam świętego Mikołaja, z czym z pewnością się Pan zgodzi — obywatele Castle Rock jak jeden mąż zapewniali mnie jednak, że jest Pan człowiekiem honoru, więc jestem pewien, że zapłaci Pan moją cenę. W cenę tę wchodzi drobna przysługa, przysługa, która w Pana przypadku jest raczej dobrym uczynkiem niż figłem. Jestem pewien, że w tym punkcie całkowicie się Pan ze mną zgodzi, Szanowny Panie.

Wiem, że nie przestał się Pan nigdy zastanawiać, jakie były ostatnie chwile życia Pańskiej żony i młodszego syna. Jak sądzę, na pytanie to wkrótce otrzyma Pan odpowiedź.

Proszę mi wierzyć, iż życzę Panu wszystkiego najlepszego i pozostaję

Pańskim uniżonym sługą.

Leland Gaunt”.

Alan powoli odłożył list.

— A to sukinsyn — szepnął.

Oświetlił sklep latarką i stwierdził, że wtyczka na kablu magnetowidu nie sięga do najbliższego kontaktu. Nie miało to jednak znaczenia w związku z przerwą w dostawie prądu.

A wiesz, co? — pomyślał. — Chyba nie ma to najmniejszego znaczenia. Najmniejszego

znaczenia. Bo sędzę, że jeśli podłączę magnetowid do telewizora, telewizor i magnetowid do kontaktu, jeśli włożę kasetę, wszystko pięknie będzie działało. Bo nie mógł zrobić tego, co zrobił, wiedzieć tego, co wie... nie, jeśli jest człowiekiem. Głos diabła słodko brzmi, Alanie, i cokolwiek zrobisz, nie wolno ci obejrzeć tego, co ci pozostawił.

Mimo wszystko odłożył latarkę i podniósł kabel. Przez chwilę przyglądał mu się, a potem włożył go w gniazdko telewizora. Kiedy się pochylił, fałszywa puszka orzeszków wyslizgnęła mu się z kieszeni. Złapał ją tak charakterystycznym dla siebie, błyskawicznym ruchem, nim upadła na podłogę, i odstawił na gablotkę przy magnetowidzie.

W połowie drogi do „Sklepiku z marzeniami” Norris Ridgewick zdecydował nagle, że byłoby szaleństwem — o wiele większym

niż wszystkie, które popełnił do tej pory, a to doprawdy coi — gdyby próbował samodzielnie dorwać pana Gaunta. Zdjął mikrofon z uchwytu.

— Dwójka do bazy — powiedział. — Tu Norris, zgłóście się.

Zwolnił przycisk nadawania. Nie usłyszał nic oprócz przeraźliwych trzasków zakłóceń. Burza wisiała dokładnie nad Castle Rock.

— Pieprzyć radio! — powiedział i zawrócił do Ratusza. Być może zostanie tam Alana, a jeśli nawet nie, to ktoś mu powie, gdzie jest Alan. Alan będzie wiedział, co zrobić... a nawet jeśli nie, przynajmniej wysłucha, jak to on, Norris, pociął opony w samo chodzie Hugh’a Priesta, jak to on skazał Hugh’a na śmierć, bo bardzo chciał mieć bazuna — takiego, jakiego miał tata.

Podjeżdżał do Ratusza, gdy zegar na ładunku pod mostem wskazywał „5”. Zaparkował za jaskrawożółtym, chyba telewizyjnym mikrobusem.

Wysiadł w lejący z niezminiejszą siłą deszcz i poszedł do Biura Szeryfa.

Poiły zamachnęła się przepychaczką na obrzydliwego, wyprostowanego pająka, lecz tym razem pająk nawet nie próbował się uchylić. Włochatymi nóżkami złapał uchwyt; dłonie Poiły wrzasnęły z bólu spowodowanego dodatkowym ciężarem. Rozluźniła uścisk, przepychaczką opadła lekko... i oto pająk maszerował błyskawicznie po jej rączce jak grubas po grubej linie.

Wciągnęła powietrze, lecz nim zdążyła krzyknąć, opadł jej na ramię, czuła jego nóżki na skórze, jak dłonie jakiegoś włochatego, taniego Lotharia. Tępyimi rubinowymi ślepkami wpatrywał się w jej oczy. Otworzył pysk; doleciał ją zapach gorzkich przypraw i zepsutego mięsa.

Kiedy otworzyła usta do krzyku, wpakował jej w nie nóżkę. Sztywne, ohydne włoski drapały jej wargi i język. Popiskiwał cicho, tęsknie.

Poiły zwalczyła pierwszy odruch i nie wypluła nóżki. Złapała pająka za inną nóżkę i z całej siły zacisnęła zęby. Coś trzasnęło i jak herbatnik, usta wypełnił jej gorzki smak zepsutej herbaty. Pająk krzyknął z bólu, próbując się cofnąć. Jego nóżka poruszyła się; skórę Poiły podrażniły ostre włoski. Zacisnęła obie ręce, nie

zważając na ból... i obróciła je, jakby próbowała urwać nogę pieczonego indyka. Pająk znów jękliwie krzyknął z bólu. Ponownie spróbował ucieczki, lecz Poiły, spluwając gorzką, ciemną wydzieliną, która wypełniła jej usta, w pełni świadoma tego, że wiele wody upłynie, nim zdoła pozbyć się tego wstrętnego smaku, szarpnęła go mocno z powrotem. Jakąś oderwaną cząstkę jej umysłu zdumiała ta manifestacja siły, inna udzieliła jej natychmiastowego wyjaśnienia. Boję się — pomyślała Poiły — czuję bezgraniczne obrzydzenie, ale przede wszystkim, bardziej niż cokolwiek innego, jestem wściekła.

Posłużono się mną — błysnęła jej w głowie myśl i zaraz zgasła. — Sprzedałam życie Alana. Za tego potwora.

Pająk próbował ugryźć ją, ale ześlizgnął się z uchwytu przepychaczki. Spadłby, gdyby Poiły do tego dopuściła. Chwyliła tłuste cielsko w ramiona i zacisnęła je z całej siły. Podniosła pająka tak, że wierzgał nóżkami nad jej głową, starając się dosięgnąć twarzy. Jakiś płyn zmieszany z czarną krwią ściekał jej po skórze parzącym strumieniem.

— Koniec! — wrzasnęła. — Koniec! Koniec! Koniec! Odrzuciła pająka. Walnęła w ścianę za wanną i rozerwał się, bluzgając jakąś galaretą. Przez chwilę wisiał tak, przyklejony wnętrznościami do kafelków, a potem zleciał z obrzydliwym pluskiem.

Poiły złapała przepychaczkę i skoczyła na niego. Zaczęła go walić jak kobieta bijąca mysz kijem od szczotki. Niewiele tym osiągnęła. Pająk, drżąc, próbował uciec, skrobiąc pozostałymi nóżkami gumową matę w żółte stokrotki. Złapała przepychaczkę za gumową końcówkę i uderzyła nią z całej siły niczym dzidą, trafiając w sam środek i przebijając spuchnięte cielsko. Rozległ się dziwny odgłos niczym przedziurawionej dętki; wnętrzności wylały się z włochatego ciała i pociekły po macie cuchnącą falą. Pająk skulił się, objął trzonek przepychaczki nóżkami, jakby pragnął go wyrwać, drgnął i — wreszcie — znieruchomiał.

Poiły cofnęła się krok, zamknęła oczy i poczuła, jak świat wiruje wokół niej. Prawie straciła przytomność, lecz nagle imię Alana wybuchło jej w głowie jak uszkodzony fajerwerk. Zaciśnęła dłonie w pięści i z całej siły uderzyła nimi o siebie, kostki palców w kostki palców. Ból był jaskrawy, nagły, wszechogarniający. Świat znieruchomiał gwałtownie.

Otworzyła oczy, podeszła do wanny i spojrzała do środka. Początkowo wydawało się jej, że nic tam nie ma, a potem, obok

gumowej końcówki przepychaczki, dostrzegła pajęczka, nie większego niż paznokieć małego palca i całkiem, nieodwołalnie martwego.

*Niczego więcej nie było. Wszystko inne to wyobraźnia.*

— Żadna tam pieprzona wyobraźnia — powiedziała drżącym głosem.

Pająk nie był jednak najważniejszy. Najważniejszy był Alan. Alan, z jej winy, znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Musiała go znaleźć. Musiała go odnaleźć, nim będzie za późno.

Jeśli już nie jest za późno.

Pojedzie do Biura Szeryfa. Ktoś tam wie z pewnością...

— Nie! — usłyszała w myślach głos babci Ewie. — Jeśli tam pojedziesz, z pewnością będzie za późno. Wiesz, gdzie powinnaś pojechać. Wiesz, gdzie jest.

Wiedziała.

Tak, oczywiście, wiedziała.

Pobiegła do drzwi. Jedna jedyna myśl tłukła się jej po głowie jak ćma wokół lampy: „Boże, proszę, tylko niech nic nie kupi. Och Boże, proszę, proszę, tylko niech nic tam nie kupi!”.

## Rozdział 23

Zegar zapalnika umieszczonego pod mostem nad Castle Stream, od niepamiętnych czasów znanym mieszkańcom Castle Rock jako Blaszak, osiągnął punkt, 0" o siódmej trzydziści osiem po południu we wtorek, dnia 15 października Roku Pańskiego 1991. Drobną iskierka elektryczna — jej zadaniem było niegdyś włączyć dzwonek przy drzwiach — przeskoczyła po nagich przewodach, które Ace podłączył do dziewięciowoltowej baterii zasilającej całą tę zabawkę. Dzwonek nawet rzeczywiście zadzwonił, ale — podobnie jak reszta urządzenia — w następnym ułamku sekundy zniknął w ogniu. Został uruchomiony zapalnik, ten zaś z kolei odpalił dynamit.

Tylko kilka osób w Castle Rock pomyliło huk wybuchu z hukiem piorunu. Pioruny były ciężką niebieską artylerią, dynamit strzałem z karabinu. Południowy kraniec starego mostu, nie wyciętego bynajmniej z blachy, lecz zmontowanego z zardzewiałego ze starości żelaza, uniósł się w górę na jakieś trzy metry, upodabniając się do łagodnie wzniesionej rampy, a potem opadł ze zgrzytem kraszonego betonu i trzaskiem łamanego żelaza. Północny kraniec wyrwał się z zamocowań i cała konstrukcja legła krzywo w korycie wzburzonego strumienia. Południowy koniec oparł się na przewróconym wcześniej przez piorun wiązcie.

Na Castle Avenue, gdzie katolicy i baptyści — w towarzystwie kilkunastu policjantów stanowych — nadal prowadzili ostrą debatę, zapanował chwilowy pokój. Wszyscy dyskutanci zamarli wpatrzeni w kulę ognia na granicy miasta. Albert Gendron i Phil Burgmeyer, udowadniający z wielkim zapalem swe racje pięściami, stanęli ramię przy ramieniu wpatrzeni w blask. Lewy policzek Alberta

zalany był krwią sączącą się z rozcięcia na głowie, z koszuli Phila pozostały wyłącznie strzępy. Obok nich Nań Roberts siedziała na ojcu Brighamie niczym bardzo wielki (i w nylonowym fartuchu kelnerki bardzo biały) sęp. Trzymała dobrego pasterza za włosy; jeszcze przed chwilą unosiła za nie jego głowę, po czym waliła nią w chodnik. Obok nich leżał wielebny Rosę, obrzędami katolickiego księdza doprowadzony do utraty przytomności.

Henry Payton, który po przybyciu na Castle Avenue stracił ząb (nie wspominając o wszelkich złudzeniach na temat amerykańskiej harmonii religijnej), zamarł w wysiłkach ściągnięcia Tony'ego

Mislaburskiego z dziekana baptystów, Freda Mellona.

Wszyscy zamarli niczym posągi.

— Jezu Chryste, to most — szepnął Don Hemphill Henry Payton zdecydował się wykorzystać chwilę ciszy. Rzucił Tonym, przyłożył dłonie do okrwawionych ust i wrzasnął ile sił w płucach:

— W porządku, ludzie! Jestem policjantem! Nakazuję wam...

Nań Roberts wrzasnęła również. Spędziła lata, wykrzykując polecenia w kuchni swego lokalu; słyszano ją zawsze, niezależnie od panującego akurat hałasu. Payton nie miał z nią żadnych szans.

— CI CHOLERNI KATOLICY WALĄ DYNAMITEM!

Liczba uczestników debaty zmniejszyła się drastycznie, przyływ entuzjazmu z nawiązką wyrównał jednak braki kadrowe. W sekundę po okrzyku Nań walka rozpoczęła się od nowa, tyle że przybrała formę szeregu indywidualnych pojedynków toczonych wzdłuż pięćdziesięciometrowego odcinka zalanej deszczem ulicy.

Norris Ridgewick tuż przed wybuchem wpadł do Biura Szeryfa i krzyczał ze wszystkich sił:

— Gdzie jest szeryf Pangborn!? Muszę *znaleźć* szeryfa Pan...

Przerwał. Oprócz Seatona Thomasa i policjanta stanowego, chyba za młodego jeszcze, by wolno mu było legalnie pić piwo w miejscu publicznym, biuro było całkowicie puste.

Cholera, gdzie się wszyscy podziali? Na dworze stało przecież chyba ze sześćdziesiąt bezładnie zaparkowanych pojazdów. Wśród nich znajdował się również jego garbus, który otrzymałby chyba czek w nagrodę za najgorzej zaparkowany pojazd, gdyby za coś takiego dawano w nagrodę czek. Garbus nadal leżał na boku w miejscu, w którym staranował go cadillac Granata.

— Jezus, Maria! — krzyknął Norris. — Gdzie się wszyscy podziali?

Policjant wyglądający jakby ciągle jeszcze nie wolno mu było legalnie pić piwa spojrzął na jego mundur.

- Gdzieś tam toczy się jakaś bitwa. Chrześcijanie przeciw kanibalom, coś takiego. Mam czuwać nad łącznością, ale w tej

burzy nawet gówna nie da się ani nadać, ani odebrać. A pan kto? — dodał ponuro.

- Zastępca szeryfa, Ridgewick.
- Ja się nazywam Joe Price. A co wy tu macie za miasto, panie zastępcu? Wszyscy kompletnie poszaleli!

Norris całkowicie go zignorował. Podszedł do Seatona Thomasa. Seat twarz miał szarą, oddychał z trudem, a jedną z pomarszczonych dłoni z całej siły przyciskał do piersi.

- Gdzie Alan? — spytał.
- Nie mam zielonego pojęcia — odparł staruszek, patrząc na niego tępy, przerażonym wzrokiem. — Coś złego tu się dzieje, Norris, coś bardzo złego. W całym mieście. Telefony nie działają, choć powinny, bo prawie wszystkie kable pociągnięto pod ziemią. Ale... wiesz co? Cieszę się, że nie działają. Cieszę się, bo nie chcę wiedzieć.

- Powinieneś być w szpitalu. — Norris przyjrzał się mu z niepokojem.
- Powinienem być w Kansas — odparł gorzko Seat. — Na razie mam zamiar nie ruszać się stąd i doczekać końca. Mam zamiar...

W tym momencie wybuchł most, przerywając mu w pół słowa — potężny huk, niczym strzał, rozszarpał noc jak gigantyczna łapa.

— Jezu! — krzyknęli zgodnym chórem Norris i Joe Price. — Aha — przytaknął im Thomas zmęczonym, przestraszonym, pełnym bólu, lecz pozbawionym cienia zdziwienia głosem. — Rozwałą miasto. Chyba teraz to już rozwałą miasto.

I nagle — wstrząsnęło to Norrisem jak jeszcze nic dotąd — staruszek rozplakał się.

— A gdzie Henry Payton? — krzyknął Norris do szeregowca Price'a, ale Price pobiegł do drzwi obejrzeć sobie wybuch.

Zerknął na Seata, lecz Seat tylko ponurym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Po policzkach płynęły mu łzy, dłoń nadal przyciskał do piersi. Norris wyszedł za Joem Price'em; znalazł go na parking, niemal dokładnie tam, gdzie przed jakimś tysiącem lat wsadził mandat za wycieraczkę czerwonego cadillaca Granata Keetona. Na tle ciemnego nieba widoczny był słup gasnącego



powoli ognia; w jego blasku widać było wyraźnie, że most nad Castle Stream zniknął. Podmuchał wzbuch zrzucił na ziemię światła sygnalizacji przy końcu ulicy.

— Matko Boska — powiedział Price pełnym podziwu głosem. — Cholera, cieszę się, że tu nie mieszkam. — Na policzkach miał rumieńce, oczy mu płonęły.

Norris poczuł, że teraz już naprawdę musi znaleźć Alana. Postanowił, że wróci do radiowozu i najpierw poszuka Henry'ego Paytona — jeśli rzeczywiście gdzieś tu biją się ludzie, to pewnie nietrudno go będzie znaleźć. Może przy okazji trafi i na Alana?

Już prawie wszedł na chodnik, kiedy w blasku kolejnej błyskawicy dostrzegł dwie postaci okrążające róg gmachu sądów, tuż obok Ratusza. Kierowały się chyba ku jaskrawożółtemu mikrobusowi. Jednej nie rozpoznał, lecz z drugą, tęgą i odrobinę krzywo-nogą — nie miał najmniejszego problemu. To Danforth Keeton.

Norris Ridgewick zrobił dwa kroki w prawo, oparł się plecami oceglaną ścianę tuż przy wylocie alejki, wyjął służbowy rewolwer, podniósł go na wysokość ramienia z lufą skierowaną w górę i z całej siły wrzasnął: „Stój!”.

Poily wyjechała z podjazdu, włączyła wycieraczki i skręciła w lewo. Do bólu dłoni dołączył jeszcze ciężki, palący ból ramion w miejscach, w których padła na nie krew pająka. Zatruta krew; trucizna powoli wsączała się w jej ciało. Ale nie miała teraz czasu, by się tym przejmować.

Kiedy wybuchł most, dojeżdżała do znaku stopu na rogu Laurel i głównej ulicy. Uchyliła się przed hukiem; przez chwilę, zdumiona, patrzyła na jaskrawy wytrysk płomienia wstającego z Castle Stream. Przez moment widziała jeszcze kratownicę mostu, czarną na tle jaskrawego blasku, po czym Błaszak zniknął, połknięty przez ogień.

Skręciła w lewo, w główną ulicę. Jechała do „Sklepiku z marzeniami”.

Był czas, kiedy Alan Pangborn sam kręcił filmy. Nie miał pojęcia, ile osób zanudził na śmierć swymi amatorskimi produkcjami

wyświetlanymi na prześcieradle przyczepionym do ściany w dużym pokoju. Dzieci w pieluchach łązące chwiejnie przy ścianach, Annie kąpiąca je, przyjęcia urodzinowe, zebrania rodzinne. Na wszystkich tych filmach wszyscy machali do kamery i robili głupie miny. Niemal jakby stosowali się do jakiegoś powszechnie obowiązującego prawa: jeśli ktoś wyceluje w ciebie kamerę, musisz albo pomachać, albo skrzywić się, albo jedno i drugie naraz. Jeśli nie, zaaresztują cię za obojętność drugiego stopnia i skażą na co najmniej dziesięć lat oglądania cudzych, amatorskich filmów. Rolka za rolką.

Pięć lat temu kupił kamerę wideo, tańszą i łatwiejszą w obsłudze. Dzięki niej zamiast nudzić ludzi przez dziesięć, piętnaście minut — tyle trwała projekcja zmontowanych trzech lub czterech rolek ośmiomilimetrowego filmu — mógł ich zanudzać na śmierć godzinami i nawet nie musiał zmieniać kasety.

Wyjął z pudełka kasetę Gaunta. Przyjrzał się jej uważnie — żadnych oznaczeń. W porządku — pomyślał. Wszystko jest w całkowitym porządku. Sam muszę się przekonać, co na niej jest, nie? Położył palec na przycisku włączającym magnetowid... i zawahał się.

Układanka z twarzy Todda, Seana i jego żony zniknęła nagle — zastąpiła ją blada, przerażona buzia Briana Ruska — widział ją tego popołudnia.

Nie wydajesz się szczęśliwy, Brian.

Tak, proszę pana.

Czy znaczy to, że jesteś nieszczęśliwy?

Tak, proszę pana. I jeśli włączy pan ten magnetowid, to pan również będzie nieszczęśliwy. On chce, żeby pan obejrzał film, ale nie dlatego, że chce zrobić panu przysługę. Pan Gaunt nie robi przysług nikomu. Chce pana zatruć, to wszystko. Tak jak zatruł innych.

A jednak musiał obejrzeć ten film.

Dotknął przycisku, przesunął palcem po gładkim, czworokątnym kawałku plastyku. Zatrzymał się, rozejrzał dookoła. Tak, Gaunt gdzieś tu cały czas był. Wyczuwało się jego obecność, potężną, jednocześnie groźną i uspokajającą. Przypomniał sobie znaleziony w „Sklepiku z marzeniami” list: „Wiem, że nie przestał się Pan nigdy zastanawiać, jakie były ostatnie chwile życia Pańskiej żony i młodszego syna...”.

Niech pan tego nie robi, szeryfie Pangborn — szepnął Brian Rusk. Alan widział jego bladą, pełną bólu twarz samobójcy pa-

trzącą na niego zza stojącego na bagażniku roweru pojemnika pełnego kart baseballowych. — Niech przeszłość odejdzie w przeszłość. Tak będzie lepiej, a poza tym on kłamie. Wie pan, że on kłamie.

A owszem. Wie. Wie doskonale.

A jednak musi obejrzeć film.

Alan włączył magnetowid.

Małe, zielone światełko zapaliło się od razu. Magnetowid działał doskonale nawet bez prądu — dokładnie tak, jak należało się spodziewać. Włączył zgrabny, czerwony telewizorek Sony; białe światło kanału magnetowidowego oświetliło po chwili jego twarz. Przycisnął przycisk „Eject”.

Niech pan tego nie robi — szepnął Brian Rusk, ale Alan wcale go już nie słuchał. Włożył kasetę, zamknął karetkę, poczekał, aż ucichnie szum mechanizmu nawijającego taśmę na głowicę, odetchnął głęboko i nacisnął „Play”. Śnieg na ekranie zastąpiła aksamitna czerń. Po chwili ekran zszarzał i zaczęły na nim przeskakiwać cyferki: 8... 7... 6... 5... 4... 3... 2... X.

Pojawił się drżący obraz filmowanej z ręki wiejskiej drogi. W tle, nieco rozmazany, lecz nadal czytelny znak informował, że jest to droga 117, ale Alanowi nie był on do niczego potrzebny. Jeździł tą drogą wielokrotnie, znał ją doskonale. Rozpoznał sosnowy lasek rosnący tuż przy zakręcie — w ten lasek wpadł scout, rozbijając się o najgrubsze z drzew.

Lecz na drzewach widocznych tu, na ekranie, nie było najmniejszych śladów wypadku, choć w rzeczywistości ślady te do dziś były widoczne dla tych, którzy jadąc drogą 117 szukali ich (on sam jeździł i szukał ich wielokrotnie). Zdumienie i strach zalały duszę Alana, gdy zorientował się — nie tylko po drzewach i zakręcie, lecz dzięki zwykłej intuicji — że film nakręcono w dniu śmierci Annie i Todda.

Zaraz zobaczy, jak to się stało.

Niemożliwe... lecz prawdziwe. Zobaczy, jak giną jego żona i syn. Zobaczy na własne oczy.

Wyłącz to! — krzyknął Brian. — Ten człowiek to trucizna i sprzedaje zatrute rzeczy. Wyłącz to, nim będzie za późno!

Lecz Alan nie mógł już wyłączyć magnetowidu, tak jak nie mógł siłą woli zatrzymać serca. Zamarł, złapany w pułapkę.

Kamera, drżąc, zwróciła się w lewo. Przez chwilę droga była pusta, aż nagle dostrzegł błysk światła. Scout. Nadjeżdżał scout. Samochód zmierzał w kierunku drzew, wśród których

...  
miał skończyć i on, i jadący nim ludzie. Zmierzał do tego punktu na Ziemi, w którym wszystko się kończy. Nie jechał zbyt szybko, nie zataczał się po drodze. Nie widać było żadnej oznaki tego, że Annie straciła bądź za chwilę straci panowanie nad samochodem.

Alan pochylił się nad szumiącym magnetowidem. Po policzkach spływał mu pot, krew huczała w skroniach. W gardle czuł gorzki smak wymiocin.

To nieprawda. To kłamstwo. Jakoś udało mu się sprokurować to oszustwo. To nie oni, to aktorka i młody aktor siedzą w samochodzie, naśladowując ich, to nie oni, niemożliwe.

A jednak wiedział, że to oni. Niepodłączony do kontaktu magnetowid mógł przekazywać niepodłączonemu do kontaktu telewizorowi wyłącznie prawdę!

Kłamstwo! — krzyknął głos Briana Ruska, głos cichy i łatwy do zignorowania. — Kłamstwo, szeryfie, kłamstwo, kłamstwo! Mógł już dostrzec numer rejestracyjny nadjeżdżającego scouta. 24912V. Rejestracja samochodu Annie.

Nagle znów rozbłysło światło. Ten drugi samochód jechał szybko, zbliżał się. Blaszak wyleciał w powietrze z hukiem gigantycznego karabinowego wystrzału. Alan nawet się nie obejrzał, nic nie słyszał. Całą uwagę skupił na ekranie telewizora. Annie i Todd zbliżali się do drzewa, które stało między nimi a całą resztą ich życia. Samochód za nimi jechał sto trzydzieści, może nawet sto czterdzieści. Scout podjechał do miejsca, z którego robiono film, a ten drugi wóz, o którym nie wspomniano w żadnym raporcie, dogonił go. Teraz najwyraźniej zauważyła go także Annie. Przyspieszyła, ale jednak ciągle jechała zbyt wolno. I było już za późno.

Tym drugim samochodem okazał się jasnozielony dodge chal-lenger z tylnym zawieszeniem podniesionym do tego stopnia, że maską prawie orał drogę. Przez przydymione szyby, niewyraźnie, widać było biegnącą pod sufitem, wzmacniającą kabinę rurę. Tył wozu pokryty był nalepkami: „HEARST”, „FUELLY”, „FRAM”, „QUAKER STATE”... Choć film był niemy, Alan słyszał niemal huk silnika, niewyciszony tłumikiem.

— Ace! — krzyknął z bólu. Dopiero teraz zrozumiał. Ace! Ace Merrill! Zemsta! Oczywiście! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał?!

Scout przejechał przed kamerą; kamerzysta obrócił się w prawo. Przez moment widać było wnętrze wozu i... tak!... siedziała w nim

Annie z wzorzystą opaską we włosach, którą założyła tego dnia i Todd w podkoszulku z napisem „Star Trek”. Todd obrócił się! patrzył na ścigający ich samochód. Annie wpatrywała się we wsteczne lusterko. Nie dostrzegł jej twarzy, ale widział, jaka jest napięta, jak pochyła się w siedzeniu, widział opinający jej plecy pasek biustonosza. Przez tę króciutką chwilę, w której po raz ostatni oglądał swą żonę i syna, zdążył jeszcze uświadomić sobie, że nie chce ich tak widzieć, skoro niczego nie jest w stanie zmienić; nie chce widzieć strachu towarzyszącego im w ostatnich chwilach życia.

Ale teraz nie mógł się już wycofać.

Challenger trącił scouta. Nie mocno, ale Annie przyspieszyła i to wystarczyło. Scout nie wszedł w zakręt; zjechał z drogi wprost w las, gdzie czekała na niego wielka sosna.

— Nie! — krzyknął Alan. Scout wjechał w rów i wyskoczył z mego na dwóch kołach. Opadł, po czym z całej siły uderzył w pień drzewa. Szmaciana lalka z wzorzystą opaską na włosach wyleciała przez przednią szybę, walnęła w pień i spadła na ziemię.

Jasnozielony challenger zatrzymał się na poboczu.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

Wysiadł z niego Ace Merrill.

Ace patrzył na wrak terenówki, zaledwie widoczny w chmurze wyciekającego na rozgrzany silnik płynu z przedziurawionej chłodnicy. Śmiał się.

Nie! — krzyknął Alan jeszcze raz i zepchnął magnetowid z gablotki. Magnetowid zleciał na podłogę, nie rozbił się jednak a kabel był odrobinę za długi, by wyrwać się z gniazda telewizora. Na ekranie pojawiły się zakłócenia, ale tylko na chwilę. Alan bez przeszkód obejrzał sobie, jak Ace wsiada do samochodu, nadal roześmiany, a potem złapał telewizor, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i rzucił nim o ścianę. Błysnęło, rozległ się tępy trzask i pozostał już tylko szum nadal pracującego magnetowidu. Alan kopnął go z całej siły; magnetowid zlitował się nad nim i umilkł.

Załatw go! Mieszka w Mechanic Falls.

Słowa te wypowiedział nowy głos, głos zimny, szalony ale mający jakąś własną, bezlitosną logikę. Głos Briana Ruska ucichł i został tylko ten, powtarzający w kółko te same dwa zdania-

Załatw go! Mieszka w Mechanic Falls. Załatw go! Mieszka w Mechanic Falls. Załatw go!  
Mieszka w Mechanic Falls.

Rozległy się dwa kolejne huk niczym wystrzały z gigantycznych

strzelb — to wyleciał w powietrze fryzjer i — niemal w tej samej chwili — „Zakład Pogrzebowy Samuela”. Alan nie zwrócił na nie najmniejszej nawet uwagi.

Załatw go! Mieszka w Mechanic Falls.

Chwycił fałszywą puszkę orzeszków — najzupełniej machinalnie, tylko dlatego, że przyniósł ją tu, więc chyba powinien zabrać ze sobą. Podszedł do drzwi, zacierając przy tym swe ślady w kurzu, aż zrobił się z nich labirynt nie do ogarnięcia. Wyszedł ze „Sklepiku z marzeniami”. Wybuchy nic dla niego nie znaczyły. Najeżona resztkami muru dziura w linii budynków po drugiej stronie głównej ulicy nic dla niego nie znaczyła. Leżące na ulicy odłamki drewna, cegieł i okruchy szkła nic dla niego nie znaczyły. Castle Rock i wszyscy mieszkający w miasteczku ludzie, łącznie z Poily Chal-mers, nic dla niego nie znaczyli. Miał do załatwienia pewną sprawę w Mechanic Falls, pięćdziesiąt kilometrów stąd. To już coś dla niego znaczyło. To i tylko to.

Otworzył drzwi swego starego forda. Rzucił na siedzenie rewolwer, latarkę i fałszywą puszkę. Wyobrażał sobie, że już trzyma palce na gardle Ace'a Merrilla. I mocno je zaciska.

— Stać! — krzyknął jeszcze raz Norris. — Stać i nie ruszać się!

Wydawało mu się, że ma niesamowite szczęście. Cela, w której miał zamiar zamknąć na przechowanie Dana Keetona, znajdowała się niespełna sześćdziesiąt metrów stąd — a jeśli chodzi o tego drugiego gościa, to... no cóż, wszystko zależy od tego, co zrobił, prawda? Obaj nie sprawiali jakoś wrażenia ludzi, którzy skończyli właśnie opatrywać rannych i pocieszać strapionych.

Wzrok szeregowego Price'a biegał od Norrisa do dwóch mężczyzn stojących pod staroświeckim znakiem głoszącym „Sąd Hrabstwa Castle” i z powrotem do Norrisa. Ace i tata Zippy'ego spojrzeli na siebie, a potem jak na komendę opuścili dłonie ku zatkniętym za spodnie pistoletom.

Lufa rewolweru Norrisa skierowana była w niebo; tak nauczono go postępować w podobnych sytuacjach. Teraz, nadal zgodnie z regułami, Norris objął prawy nadgarstek lewą dłonią i wycelował. Jeśli podręczniki miały rację, nie zorientują się, że mierzy dokładnie pomiędzy nich; każdy będzie przekonany, że to on jest celem.

— Dłonie precz od broni, przyjaciele. Już!

Granat oraz jego kumpel znów spojrzeli po sobie i przysunęli ręce jeszcze bliżej ciała. Norris zaryzykował spojrzenie na Price'a.

- Ty — powiedział. — Słuchaj, może byś mi pomógł. To *znaczy*, jeśli nie jesteś zbyt zmęczony.
- Co pan wyprawia? — spytał Price. Sprawiał wrażenie przestraszonego i najwyraźniej nie chciał się do niczego mieszać. Wydarzenia wieczoru, zwieńczone wybuchem mostu, uczyniły z niego obserwatora. Wyraźnie nie miał ochoty brać w niczym aktywniejszego udziału. Zbyt wielkie *rzeczy* się tu działy. I na stępowały zbyt szybko po sobie.
- Aresztuję tych dwóch! — warknął Norris. — A ty co, do cholery, myślałeś?
- Aresztuj to, przyjacielu! — krzyknął Ace i pokazał mu ptaszka. Granat roześmiał się piskliwym śmiechem, jakby jodłował.

Price zerknął na nich niepewnie i znów spojrzął na Norrisa.

— A... za co?

Przyjaciel Granata zachichotał.

Norris skupił uwagę na obu mężczyznach i z niepokojem stwierdził, że już zdążyli się od siebie odsunąć. Kiedy na nich krzyknął, stali niemal ramię przy ramieniu. Teraz dzieliło ich jakieś półtora metra i nadal się przesuwali.

— Nie ruszać się! — krzyknął. Znieruchomieli, znów wymieniając spojrzenia. — Przysuńcie się do siebie, już!

Stali nieruchomo w strumieniach deszczu. Dłonie zwisały im po bokach, obaj gapili się na niego.

— Aresztuję ich za nielegalne posiadanie broni. Tak na początek! — wrzasnął wściekle Norris. — A teraz rusz dupę i pomóż mi!

To wreszcie poruszyło Price'a. Spróbował wyjąć rewolwer z kabury, niemal natychmiast zorientował się jednak, że kabura jest zapięta, więc zaczął ją rozpinać. Nadal z nią walczył, kiedy w powietrze wyleciał fryzjer i zakład pogrzebowy.

Granat, Norris i szeregowy Price jak jeden mąż obrócili się w kierunku, z którego doleciał ich huk wybuchu. Ace nawet nie drgnął. Na taką właśnie okazję czekał. Błyskawicznie, niczym rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu, wyrwał pistolet zza paska. Wystrzelił. Kula trafiła Norrisa wysoko w pierś po lewej stronie, uszkadzając mu płuco i miażdżąc obojczyk. Tuż przedtem, Norris widząc, że zatrzymani zaczynają się rozchodzić, odstąpił od ściany o krok; teraz został na nią rzucony. Ace wystrzelił po raz drugi, wierząc dziurę w cegle prawie przy policzku Norrisa.

- Och, Jezu! — krzyknął szeregowy Price i z daleko większym entuzjazmem zabrał się do zmagania z kaburą.

- Załatw tego drugiego, tatuśku! — wrzasnął uśmiechnięty Ace. Jeszcze raz strzelił do klęczącego już Norrisa. Kula wyłobowała mu rowek w lewym boku. Błysnęło. Nieprawdopodobne, ale Norris wyraźnie słyszał trzask opadających na ulicę odłamków drewna i kawałków cegieł po podwójnej eksplozji.

Choć, niestety, późno, szeregowy Price zdołał wreszcie odpiąć kaburę. Wyszarpował rewolwer, kiedy wystrzelona przez Granata Keetona kula strzaskała mu głowę od brwi w górę. Price wyleciał z butów i z całej siły walnął w znajdującą się za nim ceglana ścianę.

Norris podniósł rewolwer, który wydawał się ważyć z pięćdziesiąt kilo. Trzymając go w obu dłoniach, wymierzył w Keetona. Keeton był wyraźniejszym celem, a także ważniejszym od swego przyjaciela. Właśnie zastrzelił policjanta, a taki numer nie mógł przejść. Nie w Castle Rock. Być może Castle Rock to wiocha, ale w tej wiosce nie mieszkają przecież sami barbarzyńcy! Pociągnął za spust dokładnie w chwili, gdy Ace strzelił do niego po raz czwarty.

Odrzut cisnął go do tyłu. Kula wystrzelona przez Ace'a ze świstem przecięła powietrze w miejscu, gdzie przed ułamkiem sekundy była jego głowa. Granat Keeton także przewrócił się do tyłu, łapiąc się rękami za brzuch. Spomiędzy palców ciekła mu krew.

Norris pólleżał obok zwłok szeregowca Price'a, oparty o ceglana ścianę, i dyszał ciężko. Dłoń przyciskał do rany na ramieniu.

Chryste — pomyślał. Co za pechowy dzień.

Ace wymierzył do niego z pistoletu, ale rozmyślił się — przynajmniej na razie. Podszedł do Granata i przyklęknął obok niego na jednym kolanie. Gdzieś, na północ od nich, wyleciał w powietrze bank, w niebo trysnął płomień wraz z odłamkami granitu. Ace nie spojrzał nawet w tym kierunku.



Przesunął rękę tatuśka, by rzucić okiem na ranę. Żałował, że tatuśka trafili. Zaczynał go naprawdę lubić.

— Boooli! Boooli! — wrzeszczał Granat.

Ace gotów był założyć się o każde pieniądze, że go rzeczywiście bolało. Kula z czterdziestkapiątki trafiła tatuśka tuż powyżej pępka. Otwór wejściowy miał wielkość hufnala. Nie musiał odwracać ciała, by wiedzieć, że wyjściowy jest pewnie rozmiarów spodka i że najprawdopodobniej kawałki strzaskanego kręgosłupa sterczą z niego jak jakieś cholerne paluszki w czekoladzie.

- Boooli! Boooli! — wrzeszczał Granat w czarną noc i lejący deszcz.

- Boli — zgodził się Ace, przytykając mu do skroni lufę pistoletu. — Pech, tatuśku. Zaraz dostaniesz narkozę.

Trzykrotnie pociągnął za spust. Ciało Keetona podskoczyło i znieruchomiało.

Ace wstał. Zamierzał skończyć z tym cholernym zastępcą — jeżeli było w ogóle z czym kończyć — kiedy rozległ się strzał i kula przeleciała mu wysoko nad głową. Rozejrzał się. W drzwiach prowadzących z Biura Szeryfa na parking stał jakiś glina wyglądający na starszego od Boga. Strzelał do niego jedną ręką, drugą przyciskał do piersi nad sercem.

Drugi strzał Seata Thomasa przeorał ziemię tuż przy nogach Ace'a, opryskując mu błotem ciężkie buty. Stary za cholerę nie umiał strzelać, ale za to przypomniał Ace'owi, że najwyższy czas wynosić się z tego burdelu. W sądach zostawili tyle dynamitu, że wystarczyłoby na wystrzelenie gmachu na Księżyc, zapalnik nastawili na pięć minut, a on, proszę, stoi tu sobie prawie oparty o tę cholerę i służy za tarczę jakiemuś Matuzalemowi!

Dynamit dokończy sprawy za niego.

Najwyższy czas zobaczyć się z panem Gauntem.

Stary gliniarz strzelił jeszcze raz, ale chyba w ogóle w drugą stronę; Ace pobiegł ulicą. Przebiegł obok żółtego mikrobusek, nie próbując nawet do niego wsiąść. Jego chevrolet „Celebrity” stał zaparkowany koło „Sklepiku z marzeniami”. Idealny wóz do ucieczki, ale najpierw musi znaleźć pana Gaunta, pan Gaunt musi mu zapłacić. Pan Gaunt da mu to, co ma mu dać, tak, z pewnością.

Trzeba będzie także znaleźć pewnego szeryfa.

— Zemsta to kurwa! — mruknął Ace, biegnąc główną ulicą

w stronę „Sklepiku z marzeniami”.

Frank Jewett stał na stopniach gmachu sądów, gdy wreszcie zobaczył człowieka, którego szukał. Stał tak już od dłuższego czasu i nic z tego, co działo się w Castle Rock, nie znaczyło dla niego zbyt wiele. Ani wrzaski i strzały gdzieś przy Castle Hill, ani Danforth Keeton wraz z przyjacielem wyglądającym jak podstarzały Anioł Piekiel, zbiegający z tych schodów jakieś pięć minut temu, ani wybuchy, ani ta ostatnia kanonada, tym razem dobiegająca zza rogu, z parkingu przylegającego do Biura Szeryfa. Frank miał do załatwienia inne sprawy, musiał pilnować własnych interesów. Frank miał do załatwienia interes ze swoim starym „przyjacielem”, George'em T. Nelsonem.

No i patrzcie, patrzcie! Nareszcie! George T. Nelson we własnej osobie idzie sobie chodnikiem u stóp schodów gmachu sądów. Gdyby nie pistolet włożony za pasek luźnych roboczych spodni (i gdyby nie fakt, że nadal lało jak cholera), George T. Nelson mógłby spokojnie wybierać się na piknik.

W deszczu, po chodniku maszerował sobie pan George T. Sukinsyn Nelson pełen poczucia ważności i chrześcijańskiej wręcz prawości, a co było w tym liściku? Och, tak: „Pamiętaj, 2000 dolców u mnie najpóźniej o 7.15 albo pożałujesz, że nie urodziłeś się bez fiuta”. Frank zerknął na zegarek, zobaczył, że jest bliżej ósmej niż siódmej piętnaście, ale zdecydował, że nie ma to wielkiego znaczenia.

Podniósł hiszpańską lłamę — własność jego przyjaciela George^ — wycelował w łeb temu sukinsynowi od wychowania technicznego, sukinsynowi, który wciągnął go we wszystkie te kłopoty.

— Nelson! — wrzasnął ile sił w płucach. — George Nelson!

Obróć się i spójrz na mnie, ty chuju!

George T. Nelson obrócił się natychmiast. George T. Nelson opuścił dłoń na kolbę pistoletu, ale nie wyjął go — dostrzegł, że Frank ma go na muszce. Oparł więc dłonie na biodrach i popatrzył na stojącego na schodach „przyjaciela”, któremu woda kapiała z nosa, brody i lufy ukradzionego pistoletu.

- Masz zamiar mnie zastrzelić? — spytał.
- A pewnie! — warknął Frank.
- Zastrzelisz mnie jak psa, co?

- Czemu nie? Tylko na to zasłużyłeś!

Ku jego zdumieniu George uśmiechnął się i skinął głową.

— Jasne — stwierdził. — Tylko czegoś takiego można się spodziewać po tchórzliwym sukinsynu, który włamuje się do domu przyjaciela i zabija mu bezbronnego ptaszka. No już, ty dwulicowy tchórz. Zastrzel mnie i do diabła z tym.

Huknął grzmot, lecz Frank go nie słyszał. W sekundę później wyleciał w powietrze bank, ale i na to nie zwrócił uwagi. Zbyt był zajęty, próbując opanować wściekły gniew... i szalone zdumienie. Zdumienie bezczelnością, zwykłą, prostą bezczelnością szanownego pana George'a T. Pieprzonego Nelsona. W końcu jednak odzyskał władzę nad językiem.

- Zabija bezbronnego ptaszka, co? Sra na szacowny portret szacownej mamusi, co? A ty co zrobiłeś, George? Nic, prawda? Tylko pozbawiłeś mnie pracy z gwarancją, że już nigdy w życiu nie będę uczył! Boże, szczęście, jeśli nie skończę w więzieniu! — Dotarła wreszcie do niego cała niesprawiedliwość tego, co się stało, wreszcie ją pojął — i było to jak wcieranie soli w otwartą ranę. — Dlaczego nie przyszedłeś i nie poprosiłeś mnie o pieniądze, jeśli tak ich potrzebowałeś? Dlaczego nie przyszedłeś i nie poprosiłeś? Coś byśmy wymyślili, ty głupi sukinsynu!

- Nie wiem, o czym do diabła mówisz! — odkrzyknął Nelson. — Wiem tylko, że wystarczy ci odwagi, żeby zabić małą papużkę, ale nie na to, by walczyć uczciwie!

— Nie wiesz... nie wiesz... o czym mówię! — wycharczał Frank. Lufa lłamy chwiała się dziko w górę i w dół. Nie potrafił wręcz uwierzyć w taką bezczelność, taką niesamowitą bezczelność. Stać tak, jedną nogą na chodniku, a drugą w grobie i kłamać... po prostu dalej kłamać...

Wściekły i z wściekłości tej niemal nieprzytomny, Frank Jewett nie potrafił wymyślić na to

żadnej odpowiedzi... z wyjątkiem zapamiętanego z dzieciństwa:

- Kłamczuch, kłamczuch, brzydki kłamczuch...
- Tchórz! — odparł natychmiast George. — Śmierdzący

tchórz, zabójca ptaszków!

- Szantażysta.
  
- Szaleniec. Opuść broń, wariacie! Walcz uczciwie!

Frank uśmiechnął się szeroko.

- Uczciwie? A co ty wiesz o uczciwej walce?

George T. Nelson uniósł dłonie do góry. Pokiwał palcami.

— Wygląda na to, że więcej od ciebie.

Frank otworzył usta, ale nic nie powiedział. Na puste dłonie George'a nie miał żadnego argumentu.

— No, dalej — zachęcał go Nelson. — Odłóż broń. Załatwmy to jak w westernach, Frank. Jeśli masz jaja, oczywiście. Szybszy wygrywa.

Dlaczego nie? — pomyślał Frank. Cholera, właściwie dlaczego nie?

Jak się tak głębiej zastanowić, to nie miał właściwie po co żyć, a tak przynajmniej udowodni staremu „przyjacielowi”, że nie brak mu odwagi.

— Dobra — zgodził się i schował lłamę za pasek spodni.

Wysunął rękę tak, że niemal dotykała kolby pistoletu. — Jak to załatwimy, Georgie, przyjacielu? George T. Nelson uśmiechnął się.

- Zacznesz schodzić. Ja będę wchodził. Najbliższy grzmot...
- Doskonale. Świetnie. No, to ruszamy.

Zaczął schodzić ze schodów. George T. Nelson zaczął po nich wchodzić.

Poily dostrzegła właśnie zieloną markizę „Sklepiku z marzeniami”, kiedy w powietrze

wyleciał fryzjer i zakład pogrzebowy. Błysk i huk były tak ogromne, że aż ogłupiające. Dostrzegła szczątki wylatujące z serca eksplozji jak asteroidy na filmie science fiction, więc instynktownie skuliła się. I mądrze zrobiła — kilka kawałków drzewa i stalowa wajcha z fotela numer dwa — fotela Henry'ego Gendrona — uderzyły w przednią szybę toyoty. Wajcha z dziwnym, tęsknym jękiem przeleciała przez samochód na wylot, wybijając również tylną szybę. Odłamki szkła jak po strzale rozsypały się w powietrzu.

Toyota wjechała na krawężnik, uderzyła w hydrant i zatrzymała się. Oszołomiona Poily usiadła i przez dziurę w szybie zobaczyła, jak ktoś wychodzi ze sklepu pana Gaunta, kierując się w stronę jednego z trzech zaparkowanych przed nim samochodów. W jasnym świetle płonącego po przeciwnej stronie ulicy pożaru bez problemu rozpoznała Alana.

— Alan! — krzyknęła, ale on nawet się nie odwrócił. Szedł przed siebie równym, mechanicznym krokiem, jak robot.

Wyskoczyła z samochodu i pobiegła ku niemu, raz za razem wykrzykując jego imię. Z głębi ulicy dobiegł ją huk strzałów. Alan nie odwrócił się, nie spojrział też nawet na morze płomieni, w które zmienił się zakład pogrzebowy i fryzjer. Sprawiał wrażenie, jakby przebywał w jakimś własnym świecie, i Poily nagle zorientowała się, że przyjechała za późno. Leland Gaunt go dorwał. Alan mimo wszystko kupił coś u niego i jeśli nie uda się jej dopaść jego samochodu, nim ruszy na jakieś szalone poszukiwania, do których zmusił go Gaunt, Alan po prostu odjedzie... a wtedy jeden Bóg wie, co się zdarzy.

Biegła jak tylko mogła najszybciej.

## 8

- Pomóż mi — poprosił Norris, objął Seatona Thomasa za szyję i wstał powoli.
- Chyba go przepłoszyłem — oznajmił Seat. Dyszał ciężko, ale na jego twarzy pojawił się rumieniec.
- To świetnie — powiedział Norris. Ramię bolało go jak cholera; ból drążył w głąb piersi, jakby szukał serca. — Teraz tylko mi pomóż.
- Nic ci nie będzie — pocieszył go stary. Tak bał się o Norrisa, że zapomniał, iż — według jego własnych słów — kładzie go atak serca. — Jak tylko wejdziemy do środka...

- Nie — sapnął Norris. — Radiowóz.
- Co?

Norris Ridgewick spojrział na Seata rozgorączkowanymi, pełnymi bólu oczami.

— Zaprowadź mnie do radiowozu. Muszę jechać do „Sklepiku z marzeniami”.

Oczywiście. W chwili gdy wypowiadał te słowa, poczuł, jak wszystko nagle układa mu się w głowie. W „Sklepiku z marzeniami” kupił swojego bazuna. W stronę „Sklepiku z marzeniami” pobiegł mężczyzna, który go postrzelił. W „Sklepiku z marzeniami” wszystko się zaczęło, w „Sklepiku z marzeniami” wszystko musi się skończyć.

W powietrze wyleciała „Galaxia”, główna ulica zalana została kolejną falą blasku. Jeden z automatów wyfrunął z ruin, wykręcił w powietrzu podwójne salto i z trzaskiem wylądował na środku ulicy, do góry nogami.

- Słuchaj, jesteś ranny...
- Oczywiście, że jestem ranny! — wrzasnął Norris. Na usta wypłynęła mu krwawa piana. — A teraz zaprowadź mnie do radiowozu!

- To kiepski pomysł...
- Nie — zaprzeczył Norris. — To jedyny pomysł. Rusz się.

Pomóż mi.

Seat Thomas poprowadził go w stronę radiowozu numer 2.

Gdyby Alan nie spojrział we wsteczne lusterko, nim puścił sprzęgło, przejechałby Poily. Dopełniłby ironii tego dnia, miażdżąc

ciało kobiety, którą kochał, tylnymi kołami swego starego forda. Nie poznał jej, widział tylko ciemną kobiecą sylwetkę na tle morza płomieni szalejących po przeciwnej stronie ulicy. Kopnął hamulec... a w chwilę później Poily już tłukła pięściami w szybę od strony kierowcy.

Nie zwrócił na nią uwagi i zaczął się cofać. Tej nocy nie miał czasu na rozwiązywanie problemów miasteczka, zaprzątnięty był swymi własnymi. Niech się nawzajem powyrzynają jak zwierzęta, jeśli tylko tego pragną. On pojedzie do Mechanic Falls. Dorwie faceta, który z zemsty za cztery lata

więzienia zabił mu żonę i synka.

Poiły złapała za klamkę; samochód pociągnął ją za sobą na środek zasypanej szczątkami domów ulicy. Nie zważając na ogłupiający ból, wcisnęła guzik klamki i zawisła na otwartych drzwiach, wlokąc stopami po asfalcie. Stary ford skręcił i stanął maską w stronę Castle Stream. Z żalu i wściekłości Alan zapomniał, że nie ma tam już mostu.

— Alan! — krzyczała. — Alan!

Dotarł do niego jej krzyk. Dotarł do niego mimo grzmotów, deszczu i wiatru, mimo głośnego trzasku wszystkożernego ognia. I mimo tego, co musiał zrobić. Spojrzał na nią. Widząc, jak na nią patrzy, Poiły poczuła, że serce się jej kraje. Sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w oceanie koszmaru.

- Poiły? — spytał cicho.
- Alan, musisz się *zatrzymać*.

Tak bardzo pragnęła puścić klamkę — konała z bólu — ale obawiała się, że jeśli ją puści, Alan po prostu odjedzie, zostawiając ją tu, pośrodku ulicy.

Nie, nie obawiała się. Była tego pewna.

- Poiły, muszę jechać. Przykro mi, że jesteś na mnie zła... myślisz, że zrobiłem coś... ale wszystko sobie wyjaśnimy. Tylko teraz muszę jechać...

- Już nie jestem na ciebie zła. Wiem, że to nie ty. To on nastawił nas przeciwko sobie. Jak chyba wszystkich w Castle Rock. On tak właśnie działa. Rozumiesz? Słyszysz? On tak właśnie działa. A teraz zatrzymaj się, wyłącz ten cholerny silnik i wysłuchaj mnie!

- Muszę jechać, Poiły. — Głos Alana jemu samemu wydawał się odległy... sprawiał trochę takie wrażenie, jakby dobiegał przez radio. — Ale kiedy wró...

- Nie wrócisz! — Poiły poczuła nagle, że jest na niego wściekła, że jest wściekła na nich wszystkich, na wszystkich tych zachłannych, przerażonych, skąpych mieszkańców miasteczka, z nią samą na czele. — Nie wrócisz, bo jeśli teraz wyjedziesz, nie będziesz miał do czego wrócić!

W powietrze wyleciał salon gier komputerowych. Odłamki posypały się wokół stojącego

pośrodku ulicy samochodu Alana, on sam zaś swą jakże zręczną prawą ręką chwycił fałszywą puszkę orzeszków, jakby w jej dotyku szukał pocieszenia, i położył ją sobie na kolanach. Poiły nie zwróciła uwagi na wybuch; patrzyła na Alana ciemnymi, pełnymi bólu oczami.

- Poiły...

- Patrz! — krzyknęła i rozdarła sobie bluzkę pod szyją. Deszcz zmoczył jej piersi, blask ognia odbił się we wgłębieniu pod gardłem. — Widzisz, zerwałam ją... azkę. Ten amulet. Teraz ty zerwij swój. Jeśli jesteś mężczyzną, zerwij go!

Nie bardzo ją rozumiał, słowa nie docierały w głąb koszmaru, w którym tkwił, koszmaru, który pan Gaunt osnuł wokół niego niczym zatruty kokon... i nagle, w szybkim olśnieniu, Poiły zrozumiała, co to za koszmar. Nie było innej możliwości.

— Powiedział ci, co stało się z Annie i Toddem? — spytała cicho.

Głowa drgnęła mu, jakby dostał cios otwartą dłonią, i Poiły wiedziała już, że trafiła w sedno.

— No, oczywiście. Przecież to jedyna na świecie bezużyteczna wiedza, której pragnąłeś tak mocno, że wydało ci się, iż jest potrzebna. To twój amulet... a on okręcił ci go wokół szyi.

Puściła klamkę i *-obie* ręce wsadziła przez okno do samochodu. Oświetliła je palącą się na suficie lampka. Skóra ramion była ciemnoczerwona, podrażniona, spuchnięta tak, że łokcie zmieniły się w płytkie wgłębienia.

- W moim amulecie siedział pająk — powiedziała cicho. — „Maleńki pajaczek siedział sobie w ścieku. Przyszedł wielki deszcz i splukał go daleko”. Maleńki pajaczek. Ale pajaczek rósł. Pożerał mój ból i rósł. Pożerał ból i rósł, póki nie zabiłam go i nie odebrałam mu mego bólu. Tak bardzo pragnęłam, żeby mnie więcej nie bolało, Alan. Pragnęłam... ale nie potrzebowałam. Potrafię kochać ciebie, potrafię kochać życie, potrafię znosić ból... wszystko naraz. Być może z bólem potrafię kochać mocniej — diament piękniej wygląda we właściwej oprawie, prawda?

- Poiły...

- Oczywiście, że mnie zatrul — mówiła dalej z namysłem —



i ta trucizna pewnie może mnie zabić, jeśli coś się nie stanie. Ale... czemu nie? Tak powinno być. Ciężko o tym mówić, ale tak powinno być. Kupując amulet, kupiłam truciznę. W ostatnim tygodniu w tym swoim obrzydliwym sklepiku sprzedał mnóstwo takich amuletów. Jedno trzeba przyznać, sukinsyn szybko działa. „Malańki pajaczek siedział sobie w ścieku”. Malańki pajaczek siedział sobie w moim amulecie. A w twoim? W twoim siedzieli Annie i Todd, prawda? Prawda?

- Poły, Ace Merrill zabił Annie i Todda. Zabił Todda! Ace...
- Nie! — krzyknęła i ujęła jego twarz w płonące bólem dłonie. — Posłuchaj mnie! Zrozum mnie! Alan, tu nie chodzi tylko o twoje życie, rozumiesz? Sprawia, że kupujesz swą chorobę z powrotem... i że płacisz za nią podwójnie! Nie rozumiesz? Nie potrafisz tego zrozumieć?

Alan gapił się na nią z otwartymi ustami... i powoli zaczął je zamykać. Nagle na jego twarz wypłynął wyraz zagubienia, zdumienia.

- Zaraz... Tam coś było nie tak. Coś było nie tak z taśmą, którą mi zostawił. Tylko nie mogę...

- Możesz! Cokolwiek sprzedał ci ten sukinsyn, sprzedał ci łgarstwo! Imię na liście także było łgarstwem.

Po raz pierwszy naprawdę ją usłyszał.

- Na jakim liście?
- Nieważne. Opowiem ci o tym później, o ile będzie jakieś później. Cała rzecz w tym, że przesadza. Moim zdaniem zawsze przesadza. Tak się nadyma nieomylnością, że cudem tylko nie wybucha. Alan, proszę, zrozum: Annie nie żyje, Todd nie żyje i jeśli będziesz tropił Ace'a Merrilla, kiedy miasto wali ci się na głowę...

Zza pleców Poły, z ciemności wynurzyła się dłoń. Jakieś ramię otoczyło jej szyję, szarpnęło ją do tyłu. Nagle zza Poły wyłonił się Ace Merrill, unieruchamiając ją, celując do niej z pistoletu i szeroko uśmiechając się do Alana.

— Skoro już o mnie mowa... — powiedział Ace i w tym momencie...

...rozległ się huk gromu.

Frank Jewett i jego dobry stary „przyjaciel” George T. Nelson już od czterech minut stali naprzeciw siebie na schodach gmachu

sądów niczym dwaj dziwaczni rewolwerowcy w okularach. Nerwy grały im na podobieństwo strun skrzypiec napiętych na najwyższą oktawę.

— Och! — sapnął Frank, sięgając po pistolet tkwiący za paskiem spodni.

— Uch! — sapnął George, powtarzając jego ruch.

Sięgnęli po broń jednocześnie — na twarzach mieli identyczne uśmiechy kojarzące się bardziej z niemym wrzaskiem niż z uśmiechem — i jednocześnie wymierzili. Jednocześnie pociągnęli za spust. Dwa strzały zlały się ze sobą tak idealnie, że zabrzmiały jak jeden. Dwie kule wyleciały w chwili, w której znów błysnęło... i otarły się o siebie w powietrzu, zmieniając kierunek na tyle, by chybić.

Frank Jewett poczuł powiew wiatru przy lewej skroni.

George T. Nelson poczuł coś jak ukąszenie owada po prawej stronie szyi.

Popatrzyli na siebie ponad dymiącymi jeszcze lufami. Obaj patrzyli z niedowierzaniem.

— Uch! — sapnął George.

— Co...? — wykrztusił Frank. Uśmiechnęli się identycznymi, pełnymi niedowierzania uśmiechami. George zrobił jeden, niepewny krok naprzód. Frank zrobił jeden, niepewny krok naprzód. Być może w następnej chwili padliby sobie w objęcia, zapominając o sporze zdmuchniętym w niebyt tym drobnym powiewem nie skończoności... lecz Ratusz wybuchł nagle z takim hukiem, jakby świat pękł na połowy i obaj zmienili się w parę.

Ten ostatni wybuch przyćmił wszystkie poprzednie. Ace z Granatem podłożyli w Ratuszu po dwadzieścia lasek dynamitu w dwóch ładunkach. Jeden z nich położyli na sędziowskim fotelu w

gmachu sądów. Drugi, na co nalegał Keeton, na biurku Amandy Williams w skrzydle rady.

— W polityce nie ma miejsca dla kobiet — orzekł Granat. Huk tej eksplozji wręcz oszałamiał; przez moment każde okno w skazanym na zagładę największym budynku miasta wypełnione było nadnaturalnym, fioletowo-pomarańczowym światłem. I nagle płomień runął na świat przez okna, przez drzwi, przez otwory wentylacyjne i klimatyzacyjne niczym nieubłagane, muskularne ramiona

siłacza. Pokryty dachówką dach uniósł się w powietrze na kolumnie ognia, nienaruszony, jak przedziwny statek kosmiczny z mansardami i rozsypał w powietrzu na tysiące kawałków.

W następnej chwili eksplodował sam budynek, zamieniając główną ulicę w piekło cegieł i szkła, piekło, którego nie miała prawa przeżyć istota większa od karalucha. W wybuchu zginęło dziewiętnaście osób, wśród nich piątka dziennikarzy, którzy przybyli do Castle Rock, by zdać światu relację o jego groźnych dziwactwach. Sami stali się częścią historii, jaką mieli relacjonować.

Radiowozy policji stanowej i wozy transmisyjne telewizji wyleciały w powietrze niczym małe blaszane samochodziki w powiewie huraganu. Żółty mikrobus, który dzięki uprzejmości pana Gaunta służył Ace'owi i Granatowi jako środek transportu, pożegłował statecznie dwa i pół metra nad ulicą z obracającymi się kołami i tylnymi drzwiami wiszącymi na oberwanych zawiasach, sypiąc przez nie narzędziami oraz zapalnikami; uchwycony przez wiejące z siłą huraganu, gorące prądy powietrza skręcił w lewo, po czym przebijając okno na ulicę, wylądował w biurze „Agencji Ubezpieczeniowej Dostie”, zgniecioną maską pchając przed sobą wyposażenie biurowe w postaci maszyn do pisania i szafek na akta.

Główna ulica wzniosła się i opadła jak przy trzęsieniu ziemi. W całym mieście szyby powypadały z okien. Wiatromierze wskazujące kierunek wiatru (który cichł już jakby zawstydzony rozpetanym właśnie szaleństwem) na północny wschód zaczęły kręcić się szaleńczo. Niektóre wręcz zerwały się z prętów; jeden z nich znaleziono następnego dnia wbity głęboko w drewniane drzwi kościoła baptystów na podobieństwo zabłąkanej we współczesności indiańskiej strzały.

Na Castle Avenue, gdzie katolicy osiągnęli wreszcie zdecydowaną przewagę, walka nagle ustała. Henry Payton stał przy radiowozie, trzymając rewolwer w opuszczonej dłoni; patrzył w stronę gorejącego na południu pożaru. Po policzkach krew ściekała mu jak łzy. Wielebny William Rose usiadł, dostrzegł obraz piekielnego ognia na horyzoncie i pomyślał, że nadszedł oto koniec świata i że widzi Gwiezdnego Potwora. Ojciec John Brigham podszedł do niego, zataczając się jak pijany. Nos skrzywiony miał w lewo, niemal przylegający do policzka, z warg zaś pozostała mu wyłącznie

krwawa masa. Przez moment rozważał, czy nie strzelić głową Williego decydującego w meczu gola, ale zamiast strzelać, pomógł mu wstać na równe nogi.

Castle View. Andy Clutterbuck nawet nie podniósł wzroku na niebo. Andy siedział na schodkach domu Potterów, trzymając w ramionach ciało żony. Dwa lata dzieliły go jeszcze od chwili, gdy w sztok pijany wpadł do zamrożonego jeziora i utopił się, ale ten dzień był ostatnim jego trzeźwym dniem na ziemi.

Na Dell Lane równa, prosta linia robaczków pełzła po szwie sukienki Sally Ratcliffe. Sally dowiedziała się o losie Lestera i pojęła, że w jakiś sposób ona sama ponosi za to winę (przynajmniej nabrała pewności, że pojęła, w gruncie *rzeczy* nie stanowiło to żadnej różnicy), więc powiesiła się na pasku szlafroka. Jedną z dłoni trzymała głęboko w kieszeni tegoż szlafroka, w niej zaś zaciskała kawałek drewna, pociemniały przez lata i zgniły. Komiki opuszczały go właśnie, poszukując pewniejszego domu na niepogodę. Trafiły na szew sukienki i schodziły nim na podłogę, formując nierówny szereg.

W powietrzu fruwały cegły; nawet dość odległe oficyny stawały się budynkami frontowymi... i to po wymianie ciężkiego ognia artylerii. Te nieco bliższe błyskawicznie upodabniały się do plasterków ementalera... albo waliły w gruzy.

Noc ryczała jak lew trafiony zatrutą włócznią w gardło.

## 12

Seat Thomas, siedzący za kierownicą radiowozu, który kazał mu prowadzić Norris Ridgewick, poczuł, jak bagażnik samochodu łagodnie unosi się w górę niczym podniesiony ręką giganta. W chwilę później rozpętało się wokół niego cegłobicie. Kilka cegieł przebiło bagażnik, jedna odbiła się od dachu, inna spadła na maskę, rozpryskując się na proszek koloru zaschłej krwi i zasypując szybę.

- Jezusku, Norris, miasto wyleciało do diabła! — krzyknął piskliwie.
- Jedź i nie myśl — odparł Norris. Norris czuł trawiącą go gorączkę; na spoconą, czerwoną twarz wystąpiły mu wielkie krople potu. Miał wrażenie, że nie doznał śmiertelnej rany, że Ace tylko postraszył go i za pierwszym, i za drugim razem, ale coś tu

wyglądało naprawdę źle. Czuł, jak choroba wnika mu w ciało coraz głębiej, świat jakby pragnął mienić mu się przed oczami. Z uporem zachowywał przytomność umysłu. W miarę jak wzrastała gorączka, coraz bardziej był pewny, że Alan go potrzebuje i że jeżeli będzie bardzo, bardzo odważny i będzie miał bardzo, bardzo

wiele szczęścia, może jeszcze odkupić ów wielki grzech, który popełnił, tnąc opony samochodu Hugh'a Priesta.

Przed maską dojrzał grupę ludzi, stojącą w pobliżu zielonej markizy „Sklepiku z marzeniami”, oświetloną płomieniem z nieistniejącego już Ratusza niczym płaskorzeźba, niczym aktorzy na scenie. Widział kombi Alana i samego Alana, wysiadającego z samochodu. Zwrócony twarzą do niego, a tyłem do radiowozu, stał mężczyzna uzbrojony w pistolet. Mężczyzna ten trzymał przed sobą jak tarczę kobietę. Norris nie potrafił jej rozpoznać, ale mężczyzna miał na sobie porwany podkoszulek z emblematem Harleya-David-sona. Ten właśnie mężczyzna próbował zabić go przed Ratuszem, ten mężczyzna strzelił w łeb Granatowi Keetonowi. Choć nigdy się przedtem nie spotkali, Norris był całkiem pewien, że oto staje twarzą w twarz ze złym duchem miasteczka, Ace'em Merrillem.

— Jezusie słodki, to przecież Alan! Co tu się dzieje?

Kimkolwiek jest ten facet, nie może nas słyszeć — pomyślał

Norris. Nie w tym hałasie. Jeśli Alan nie spojrzy w tę stronę, nie rozdepcze tej torby gówna...

Na kolanach Norris miał swój służbowy rewolwer. Otworzył okno od strony pasażera i podniósł broń. Poprzednio ważyła, zdaje się, z pięćdziesiąt kilogramów? No, teraz to już ze dwa razy tyle.

- Prowadź powoli, Seat. Tak wolno, jak tylko dasz radę.

Kiedy kopnę cię w nogę, zatrzymasz się. Natychmiast. Nic nie myśl, tylko rób jak mówię.

- Kopniesz mnie? O co ci cho...
- Zamknij się — powiedział Norris łagodnym, zmęczonym

głosem. — I pamiętaj, o co cię prosiłem.

Obrócił się, wystawił głowę i ramiona przez okno, złapał za pręt, na którym zamocowany

był kogut. Powoli, z wysiłkiem podciągnął się, aż usiadł w oknie samochodu. Bolało straszliwie, z rany poląła się świeża krew. Od stojącej na ulicy trójki dzieliło ich już tylko trzydzieści metrów; oparłszy łokieć na dachu, bez problemu wymierzył w tego trzymającego kobietę kogoś. Nie mógł jednak strzelać, przynajmniej na razie — łatwo byłoby postrzelić zakładniczkę. Lecz jeśli któreś z nich się poruszy...

Nie miał odwagi podejść bliżej. Kopnął Seata w nogę, Seat zaś łagodnie zatrzymał radiowóz. Ulica zasypana była okruchami cegieł, ułamkami drewna i pozostałymi po wybuchu śmieciami.

Niech ktoś się poruszy — modlił się Norris. Proszę, niech któreś z was się poruszy. Nie obchodzi mnie które, wystarczy, żeby któreś z was poruszyło się choćby odrobinę...

Nie dostrzegł otwierających się drzwi „Sklepiku z marzeniami”; całą uwagę poświęcił mężczyźnie z bronią i jego zakładnicze. Nie widział też pana Gaunta, który wyszedł i stanął pod zieloną markizą.

13

— To była moja forsa! — krzyknął Ace. — Jeśli chcesz dostać tę sukę z powrotem całą i nienaruszoną, masz mi powiedzieć, co zrobiłeś z forszą!

Alan wysiadł z forda.

- Ace — powiedział spokojnie — nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Nie trafiłeś! — wrzeszczał Merrill. — Doskonale wiesz, o czym mówię. Mówię o forsie Popa! Forsie w puszkach! Jak chcesz tej suki, musisz mi powiedzieć. Czas oferty ograniczony, skurwysynu!

Kątem oka Alan zauważył ruch na ulicy. Od strony miasta podjeżdżał do nich radiowóz, prawdopodobnie radiowóz Biura Szeryfa, ale nie ośmielił się nań spojrzeć. Jeśli Ace zorientuje się, że ktoś zachodzi go od tyłu, zabije Poiły. Wystarczy mu tyle czasu, ile trwa jedno mrugnięcie. Więc patrzył prosto w jej twarz. W ciemnych oczach Poiły widział ból,

zmęczenie... ale nie dostrzegł w nich strachu.

Czuł, że krok po kroku wraca z krainy szaleństwa. Dziwna rzecz — być normalnym. Nie wiesz, kiedy przestajesz być normalny. Dowiadujesz się, że jesteś normalny, kiedy wracasz z krainy szaleństwa. Normalność jest jak dziwny, dziki ptak, który śpiewa ci w duszy nie dlatego, że musi, ale dlatego, że chce.

- Pomylił się — powiedział cicho do Poily. — Gaunt pomylił się z tą taśmą.

- O czym ty, kurwa, gadasz?! — wrzasnął Ace cienkim, załamującym się głosem, przyciskając lufę pistoletu do skroni Poily.

Jedynie Alan widział otwierające się ukradkiem drzwi „Sklepiku z marzeniami”, i to tylko dlatego, że tak bardzo starał się nie patrzeć na nadjeżdżający powoli ulicą radiowóz. Tylko Alan dostrzegł niewyraźną, zaledwie widoczną, upiorną wysoką postać, która wyszła na ulicę, postać ubraną nie w sportową marynarkę, nie w smoking, lecz w czarny ciężki płaszcz.

Płaszcz odpowiedni do podróży.

Pan Gaunt niósł staroświecką walizkę; komiwojażer lub wędrowny handlarz sprzed wielu, wielu lat mógłby trzymać w takiej walizce próbki towaru. Walizka ta zrobiona była ze skóry hieny... i drżała. Drżała, gięła się, wydymała pod ściskającą rączkę bladą dłonią o bardzo długich palcach. Ze środka zaś, niczym odległy wiatr lub szum przewodów elektrycznych pod bardzo wysokim napięciem, dobiegały ciche krzyki. Alan nie słyszał tego straszego, niepokojącego dźwięku uszami, lecz umysłem i sercem.

Gaunt stał pod markizą i doskonale widział zarówno ich grupę, jak i nadjeżdżający radiowóz, w jego oczach zaś błyszczał rodzący się właśnie gniew... i, być może, nawet strach.

Nie wie, że go widzę, pomyślał Alan. Jestem tego prawie pewien. Boże, proszę cię tylko o jedno. Obym się nie mylił.

## 14

Nie mówił do Ace'a, lecz wprost do Poily. Dłoń zaciskał na fałszywej puszcze orzeszków, której Merrill nie dostrzegł — najprawdopodobniej dlatego, że Alan wcale nie próbował jej ukryć.

- Annie nie zapięła pasa. Może ci o tym wspominałem?
- Nie... nie pamiętam.

Norris pracowicie wyczołgiwał się z radiowozu przez okno.

- Właśnie dlatego wyleciała przez przednią szybę. — Za moment będę musiał wziąć się za któregoś z nich — pomyślał. Za Ace'a czy za Gaunta? Jak? Za którego!?! — Nigdy nie prze stałem się nad tym zastanawiać. Dlaczego nie zapięła pasa? Nie musiała przecież o tym specjalnie pamiętać, zawsze zapinała pas automatycznie. Ale tego dnia go nie zapięła.

- Masz ostatnią szansę, glino — skrzeknął Ace. — Biorę moją forsę albo tę sukę. Wybieraj!

Alan zignorował go całkowicie.

— Ale na filmie miała zapięty pas — powiedział i nagle wiedział już, wiedza pojawiła mu się w umyśle niczym kolumna srebrnego ognia. — Na filmie miała zapięty pas. Spieprzyłś to, Gaunt!

Błyskawicznie odwrócił się do stojącej nieruchomo pod markizą jakieś dwa i pół metra od niego wysokiej postaci. Chwył wieczko fałszywej puszki, zrobił jeden długi krok w kierunku najnowszego biznesmena Castle Rock i nim Gaunt zdołał zareagować — nim

zdążył w zdumieniu szeroko otworzyć oczy — wypuścił na wolność węża — ostatni żart Todda; żart, który chłopiec zawdzięczał jedynie matce, bo to jego matka przypomniała Alanowi, że młodym jest się tylko raz.

Wąż wyskoczył z puszki i tym razem nie był to żaden żart. Tym razem wąż był tam naprawdę.

Był naprawdę tylko przez kilka sekund — Alan nie wiedział nawet, czy zobaczył to ktoś oprócz niego — ale Gaunt z pewnością go dostrzegł. Wąż był znacznie dłuższy niż owinięta bibułka sprężyna, którą ostatni raz Alan oglądał na parkingu przed biurem, po długim, samotnym powrocie z Portland. Łuska płonęła mu wszystkimi barwami tęczy, a wśród niej błyszczały czarne i czerwone diamenty niczym u jakiegoś baśniowego grzechotnika.

Wąż otworzył pysk, uderzając w osłonięte grubą tkaniną płaszcz ramię pana Lelanda Gaunta; Alan aż zmrużył oczy na widok błyszczących kłów węża. Widział, jak trójkątny łeb tej wcielonej śmierci cofa się i uderza w szyję. Gaunt chwycił i przytrzymał węża, lecz nim go złapał, potwór ukąsił go kilka razy. Łeb uderzał i cofał się jak igła maszyny do szycia.



Leland Gaunt krzyknął — Alan nie potrafił powiedzieć, czy krzyczy z bólu, z gniewu, czy też i z bólu, i z gniewu — i puścił walizkę, próbując przytrzymać węża obydwoma dłońmi. Alan wykorzystał ten moment. Skoczył przed siebie — dokładnie w chwili, w której Gaunt złapał wreszcie węża i rzucił go na chodnik u swych stóp. Gad wylądował na ziemi już jako półtora-metrowy kawałek sprężyny owiniętej spłowiałą zieloną bibułą; tylko dzieciom takim jak Todd mógł się kiedyś podobać... i tylko stwory takie jak właściciel „Sklepiku z marzeniami” poznawały jego prawdziwą naturę.

Z trzech par dziurek ciekły wąskie strumyki krwi. Gaunt wytarł je machinalnie grzbietem dziwnej dłoni o długich palcach, pochylił się po walizkę... i zamarł. Pochylony tak na zgiętych długich nogach, z wyciągniętą ręką, wyglądał jak karykatura złowrogiego gнома. Tego, po co sięgał, nie było już w miejscu, w które sięgał. Walizka ze skóry hieny, z poruszającymi się we wstrętnej parodii oddechu bokami, znajdowała się już między nogami Alana. Alan zabrał ją, gdy pan Gaunt zajmował się wężem. Zrobił to z tą charakterystyczną dla niego błyskawiczną szybkością i zręcznością iluzjonisty.

Nikt nie mógł już mieć wątpliwości, co naprawdę wyraża twarz Gaunta: wykrzywiła ją wybuchowa mieszanka wściekłości, nie-

nawości i niedowierzania. Górna warga zwinęła się jak u psa szczerzącego długie, ostre kły. I kły te okazały się nagle ostre, wyostrzone jakby specjalnie na tę okazję. Gaunt wyciągnął otwartą dłoń.

— Oddaj ją. Jest moja — syknął.

Alan nie wiedział, że pan Gaunt zapewniał dziesiątki obywateli Castle Rock — od Hugh’a Priesta począwszy na Slopeyu Doddzie skończywszy — że nie interesuje się w najmniejszym nawet stopniu ludzkimi duszami; żalonymi, drobnymi, jakże nieważnymi. Gdyby jednak wiedział, roześmiałby się tylko, mówiąc, że kłamstwa to główny towar, którym pan Gaunt handluje. Och, wiedział oczywiście, co znajduje się w walizce — co, ukryte w niej, wyje niczym przewody elektryczne na wietrze, co dyszy w niej niczym starzec na łożu śmierci. Wiedział doskonale.

Pan Gaunt wyszczerzył zęby w makabrycznym uśmiechu. Straszliwe dłonie wyciągnął w kierunku Alana.

- Ostrzegam cię, szeryfie, nie baw się ze mną. Nie jestem człowiekiem, z którym bezpiecznie jest igrać. Powtarzam — ta

torba należy do mnie.

- Ośmielam się wątpić, panie Gaunt. Podejrzewam, że jej zawartość została skradziona. Moim zdaniem, lepiej będzie dla pana...

Ace z szeroko otwartymi ustami przyglądał się powolnej, stopniowej przemianie pana Gaunta z biznesmena w potwora. Ramię zaciśnięte na szyi Poily rozluźniło się lekko. Poily wykorzystawsza niespodziewaną okazję, obróciła głowę i aż po dziąsła zatopiła zęby w przegubie trzymającej ją dłoni. Ace Merrill odepchnął ją i Poily jak długa upadła na ulicę. Wymierzył w nią pistolet.

— Suka! — wrzasnął.

## 15

— No... — szepnął pełen wdzięczności Norris Ridgewick. Lufę służbowego rewolweru już wcześniej oparł na szynie łączącej koguta z dachem radiowozu. Wstrzymał oddech, przycisnął zębami dolną wargę i delikatnie naciągnął spust. Ace Merrill przeleciał nagle nad leżącą na ulicy kobietą — Poily Chalmers, oczywiście; Norris zdążył nawet pomyśleć, iż powinien domyślić się tego wcześniej — tył głowy zaś rozpadł mu się na wilgotne kawałki kości i mózgu.

Norris poczuł się nagle bardzo słabo. I bardzo, bardzo, bardzo dobrze.

## 16

Alan nie zwrócił najmniejszej uwagi na śmierć Ace'a Merrilla.

Leland Gaunt również.

Stali zwrócenii do siebie twarzami, Gaunt na chodniku, Alan obok swego starego forda zaparkowanego na ulicy, trzymając między nogami potworną, oddychającą walizkę.

Gaunt głęboko zaczerpnął powietrza i zamknął oczy. Coś niczym delikatne drzenie powietrza przemknęło przed jego twarzą, a kiedy spojrzał na Alana, znów był tym panem Gauntem, któremu udało się oszukać tak wielu mieszkańców Castle Rock; czarującym, pełnym wielkomiejskiego szyku panem Gauntem. Spojrzał pod nogi na papierowego węża, skrzywił się z niesmakiem i czubkiem buta zepchnął go do kanału ściekowego, po czym podniósł wzrok i wyciągnął rękę.

- Szeryfie, proszę, nie spierajmy się. Godzinę mamy późną, jestem już bardzo zmęczony. Pan pragnie pozbyć się mnie z miasta,

ja bardzo pragnę wyjechać. I wyjadę... gdy tylko odda mi pan to, co należy do mnie. Bo to należy do mnie, upewniam pana.

- Udław się tym swoim „upewniam pana”. Nie wierzę ci, przyjacielu.

Gaunt spojrział na niego niecierpliwie, gniewnie.

- Walizka i jej zawartość należą do mnie. Czyżby nie wierzył pan w wolny handel, szeryfie Pangborn? Kim pan jest, komunistą? Targowałem się o wszystkie egzemplarze znajdujące się teraz w walizce. Kupiłem je, płacąc uczciwie. Jeśli chce pan nagrody, znaleźnego, procentu od obrotu; jeśli chce się pan załapać, .na chapać czy jakkolwiek to nazwiemy — doskonale pana rozumiem i zapłacę. Lecz musi pan zrozumieć, że rozmawiamy o interesach, nie o prawie...

- Oszukiwałeś! — krzyknęła Poiły. — Oszukiwałeś, kłamałeś, popełniałeś nadużycie za nadużyciem!

Gaunt obrzucił ją spojrzeniem pełnym goryczy i znów zwrócił wzrok na Alana.

— To nieprawda. Pan wie? Robiłem to, co zawsze. Pokazywałem klientom towar... i pozwalałem im podjąć decyzję. Więc... jeśli pan uprzejmy...

- Chyba jednak zatrzymam walizkę — stwierdził spokojnie Alan. Uśmiech, ostry, lodowaty, nieprzyjemny jak listopadowy poranek, niemal niedostrzegalnie skrzywił mu wargi. — Nazwijmy ją dowodem, dobrze?

- Obawiam się, że tego panu nie wolno, szeryfie. — Pan Gaunt zszedł z chodnika na jezdnię. W oczach płonęły mu czerwone ogniki. — Wolno panu umrzeć, ale nie wolno zatrzymać mej własności. Nie, bo zamierzam ją odzyskać. I zrobię to. — Ruszył przed siebie, oczy coraz silniej płonęły mu czerwonymi iskierkami. Wdepnął w szarą bryłkę mózgu Ace'a, pozostawiając w niej ślad buta.

Alan poczuł, jak żołądek zwija mu się do środka, ale nie cofnął się. Instynkt, coś, czego nawet nie próbował zrozumieć, kazał mu złożyć dłonie przed płonącym lewym reflektorem forda. Skrzyżował je i gwałtownie poruszył przegubami.

Wielki ptak z cienia rąk — jastrząb raczej niż wróbel, niepokojąco rzeczywisty jak na bezcielesny cień — przeleciał nagle po fałszywym frontonie „Sklepiku z marzeniami”. Gaunt dostrzegł go kątem oka, obrócił się gwałtownie, westchnął i cofnął się.

— Wynocha z miasta, przyjacielu — powiedział Alan. Inaczej złożył dłonie i teraz wielki pies z cienia, być może nawet bernardyn, przebiegł po ścianie „Same szyjemy” w świetle reflektora forda. Gdzieś w pobliżu — być może był to przypadek, a być może nie — rozległo się szczekanie. Szczekanie pokaznego psiska.

Gaunt obrócił się w stronę, z której dobiegał dźwięk. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego... a już z pewnością wytrąconego z równowagi.

- Masz szczęście, że pozwalam ci odejść — mówił dalej Alan. — Ale, szczerze mówiąc, nie mam cię o co oskarżyć. Za kradzież dusz karę przewiduje być może kodeks Brighama lub Rose'a, ale mój, mam wrażenie, nie. Mimo wszystko radzę ci wynieść się stąd, póki jeszcze możesz.

- Oddaj walizkę!

Alan popatrzył na niego i choć serce dziko waliło mu w piersi, w jego spojrzeniu było tylko niedowierzanie i pogarda.

— Nic nie pojąłeś? Nic do ciebie nie dotarło? Przegrałeś! Czyżbyś zapomniał, jak sobie z tym poradzić?

Przez sekundę Gaunt stał nieruchomo, wpatrując się w twarz przeciwnika.

— Wiedziałem, że powinienem trzymać się od pana z daleka — powiedział w końcu tak, jakby mówił do siebie. — Doskonale

zdawałem sobie z tego sprawę. Dobrze. Wygrał pan. — Zaczął się odwracać, Alan odprężył się lekko. — Wyjeżdżam...

Błyskawicznie niczym wąż, tak szybko, że Alan w porównaniu z nim sprawiał wrażenie

ślamazarnego, obrócił się z powrotem. Jego twarz była twarzą demona, policzki miał pobrużdżone, oczy podbite, płonące złotopomarańczowym ogniem.

— ...ale nie zostawię tego, co moje! — wrzasnął, rzucając się na walizkę.

Gdzieś — być może blisko, być może dziesiątki tysięcy kilometrów stąd — Poily krzyknęła: „Uważaj!”, Alan nie miał jednak czasu na nic więcej oprócz zarejestrowania jej okrzyku. Upiór śmierdzący siarką i przypaloną skórą, z jakiej robi się buty, był tuż-tuż. Musiał jakoś zareagować... lub umrzeć.

Prawą dłonią przesunął po wewnętrznej części lewego nadgarstka, próbując złapać pętelkę z cienkiej gumki wystającą zza paska zegarka. Właściwie pewien był, że to nic nie da, że żadna nowa przemiana już mu nie pomoże, fałszywy bukiet zużył przecież do cna i...

Kciukiem *zahaczył* pętelkę.

Otworzyła się mała papierowa paczuszka.

Alan wysunął dłoń, po raz ostatni zwalniając pętelkę.

- Abrakadabra, ty kłamliwy sukinsynu! — krzyknął, a z dłoni wykwitł mu nagle nie bukiet kwiatów, lecz snop światła, rozświetlającego całą ulicę jasnym, bajkowym, pulsującym blaskiem. Lecz Alan natychmiast zorientował się, że płonące w dłoni barwy są w istocie jednym kolorem, tak jak wszystkie kolory rozbite przez pryzmat, przez tęcze, są tylko składnikami tego jedyne go koloru. Przez ramię przepłynęła mu moc, przez jedną jedyną chwilę czuł wszechogarniającą, choć chaotyczną ekstazę.

- Biel! Oto czas bieli!

Gaunt zawył z bólu, z wściekłości, ze strachu... lecz nie cofnął się. Być może było właśnie tak, jak podejrzewał Alan; od tak dawna nie zdarzyło mu się przegrać, iż zapomniał, jak się przegrywa. Próbował umknąć pod płonącym na dłoni jego wroga światłem, przez moment dotknął wręcz palcami rączki walizki, lecz nagle stopa w domowym kapciu •— stopa Poily — nastąpiła mu na dłoń.

Zostaw to!

Leland Gaunt spojrział w górę z wyszczerzonymi zębami i Alan skierował snop światła w jego twarz. Pan Gaunt zawył z bólu i strachu wysokim, przerywanym głosem i cofnął się; we włosach

tańczyły mu niebieskie płomyki. Ostatnim wysiłkiem wyciągnął dłoń po walizkę, lecz teraz palce przydepnął mu Alan.

- Po raz ostatni powtarzam: wynoś się — powiedział głosem, który brzmiał obco w jego własnych uszach; był to głos zbyt silny, zbyt pewny, zbyt zdecydowany. Alan wiedział, że najprawdopodobniej nie uda mu się skończyć ze stworem, który przypadł mu do stóp, szponiastą ręką, zakrywając twarz przed zmieniającym się bezustannie snopem Światła, ale może uda się wygnać go z miasta. Miał po swej stronie moc... jeśli wystarczy mu odwagi, by jej użyć. Jeśli mu się? przeciwstawi, jeśli będzie wierny. — I po raz ostatni mówię ci, że odejdiesz bez tego!

- Jeżeli mnie zabraknie, umrą — załkał stwór, który był Gauntem. Ramiona zwisały mu teraz między nogami, szpony wlokły się po ziemi, z trzaskiem zaczepiając leżące na ulicy szczątki murów Castle Rock. — Umrze każdy, jeśli mnie nie będzie, jak pozbawiona wody roślina na pustyni. Czy tego chcecie? Czy tego chcecie?

Poiły stała przytulona do Alana.

— Tego chcemy — powiedziała zimno. — Lepiej, żeby umarli tu i teraz, jeśli nie ma innego wyjścia, niż gdyby mieli zostać z tobą i żyć. Uczynili... uczyniliśmy... wiele złego, cena jednak wydaje się nam zbyt wysoka.

Stwór, który był Gauntem, syknął i zamachał łapami. Alan podniósł walizkę i wraz z Poiły, powoli, wycofał się na jezdnię. Uniósł dłoń — fontanna światła rzuciła ów zdumiewający blask wszystkich barw na Gaunta i jego talismana. Wciągnął w płuca powietrze — więcej powietrza, niż miało prawo się w nich zmieścić, a kiedy przemówił, jego słowa zabrzmiały z mocą, której sam nie potrafiłby w sobie wzbudzić:

— Idź precz, demonie! Zostałeś wygnany!

Stwór zaskwierczał, jakby polano go jadowitą ciecżą. Zielona markiza „Sklepiku z marzeniami” stanęła w płomieniach, szkło wystawy implodowało odłamkami niczym diamenty. Ponad wzniesioną,

zaciśniętą pięścią Alana promienie światła: błękitnego, zielonego, pomarańczowego, purpurowego, wybuchły wokół i przez chwilę wydawało się, że dzierży w dłoni maleńką gwiazdę.

Walizka ze skóry hieny rozpadła się z mokrym plaśnięciem, żalose głosy umknęły z niej chmurą, której nikt nie widział, lecz której istnienie odczuł każdy: Alan, Poiły, Norris, Seaton.

Poiły poczuła, jak rozplywa się w niebyt parząca trucizna paraliżująca jej ramię i pierś.

Zaciskająca się wokół serca Norrisa gorąca obręcz znikła. Ktokolwiek w Castle Rock ścisnął jeszcze pistolet czy choćby sztchetę, upuszczał ją teraz na ziemię; śmiertelni przed chwilą wrogowie patrzyli na siebie zdumionymi oczami ludzi, którzy przebudzili się z przerażającego snu. - Deszcz ustał.

## 17

Wrzeszcząc wniebogłosy, stwór, który był Gauntem, koślawym biegiem, potykając się co krok, popędził do samochodu, otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. Silnik ożył z rykiem, lecz takiego ryku nie wydawał żaden twór ludzkich rąk. Z rury wydechowej strzelił pomarańczowy płomień. Zapaliły się tylne światła — lecz bardziej niż światła przypominały one błyszczące czerwono, małe złośliwe oczka, oczka złowrogiego demona.

Poiły Chalmers krzyknęła i wtuliła twarz w pierś Alana, Alan jednak nie potrafił odwrócić wzroku od tego, co się działo. Przekleństwem Alana było pamiętać aż po kres życia to, co dostrzegł, tak jak na zawsze zapamiętał najwspanialsze cuda tej nocy: bibułkowego węża stojącego się na moment prawdziwym grzechot-nikiem i bukiet papierowych kwiatków zmieniający się w źródło światła, źródło mocy.

Zapłonęły trzy reflektory tuckera. Samochód wyjechał na ulicę, topiąc pod kołami asfalt w śmierzące błoto. Na wstecznym biegu, skręcając w prawo, zbliżył się do forda Alana i choć z całą pewnością go nie dotknął, stareńkie kombi odskoczyło od niego na ponad metr niczym odbite potężnym magnesem. Maskę wozu rozjarzyła się; a za tym blaskiem niewątpliwie zachodziła w nim jakaś zmiana.

Talisman z rykiem wycelował w stronę stosu ofiarnego, jakim stał się teraz Ratusz, w stronę barykady rozbitych samochodów — w tym wozów transmisyjnych telewizji — w stronę strumienia, którego brzegów nie spinał most. Silnik wył na najwyższych, szalonych obrotach, a mglisty, stłumiony blask ogarnął całego tuckera.

Przez chwilę demon siedzący z rozdziawioną paszczą za jego kierownicą wpatrywał się w Alana

przez topiącą się, ciekącą szybę wąskimi, błyszczącymi czerwono ślepiami, jakby chciał go zapamiętać.

I nagle talisman ruszył.

Jechał z góry, błyskawicznie nabierając szybkości, a im szybciej jechał, tym szybciej następowały w nim zmiany. Samochód przekształcał się płynnie — dach odwinął się, ze lśniących deklin kół wyrosły szprychy, same koła powiększyły się i jednocześnie zwężyły. Wyłoniła się sylwetka czarnego konia z oczami czerwonymi jak oczy demona, który był Gauntem, czarnego konia otoczonego mglistym blaskiem, konia, którego podkowy krzeszały iskry z asfaltu, pozostawiając w nim głębokie, dymiące ślady kopyt.

Talisman zmienił się w otwarty powóz. Na koźle siedział garbaty karzeł, opierając stopy na hamulcu; jego buty wydawały się płonąć.

Lecz bynajmniej nie był to kres zmian. Jarzący się powóz mknął główną ulicą w stronę Castle Stream, a jego burty uniosły się, z bezcielesnego blasku rozkwitł nad nim drewniany dach ze zwisającymi po bokach płóciennymi ściankami. Pojawiło się okno. Szprychy przybrały upiornie wesołe barwy, koła zaś... oraz kopyta czarnego konia... oderwały się wreszcie od ziemi.

Talisman zmienił się w powóz, ten zaś w wóz handlarza — z tych, które przemierzały ten kraj przed stu laty. Na bocznej ścianie wypisane były dwa słowa, które Alanowi udało się, choć z trudem, przeczytać:

CAYEAT EMPTOR.

Pięć metrów nad ziemią, cały czas wznosząc się w powietrze, wóz przepłynął przez płomień palącego się Ratusza. Kopyta czarnego konia mknęły po niewidzialnej, wznoszącej się w niebo drodze, nadal krzesząc jaskrawe niebieskie i pomarańczowe iskry. Nad Castle Stream przeleciało coś niewiele większego od płonącego pudełka; to coś przeleciało nad resztkami Blaszkaka spoczywającego na dnie wąwozu niczym szkielet dinozaura.

Płonące ruiny Ratusza wypłuły z siebie dym zasłaniający całą główną ulicę, a gdy dym ten się rozwiął, po panu Gauncie i jego piekielnym wehikule nie było ani śladu.

Alan poprowadził Poiły do radiowozu, którym na miejsce przyjechali Norris i Seat Thomas. Norris nadal siedział w oknie, trzymając się szyny koguta. Brakło mu sił, by opuścić się z po-



wrotem na siedzenie — gdyby próbował to zrobić, wypadłby **po** prostu na ulicę.

Alan ujął go wpół, podkładając dłoń pod brzuch (taki, jaki może mieć ktoś zbudowany na podobieństwo namiotowego śledzia) i opuścił na ziemię.

- Norris?
- Co? — Norris płakał.
- Słuchaj — powiedział Alan — od dziś możesz się przebierać w kiblu, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota, wiesz?

Czuł krew przesiąkającą przez koszulę jego pierwszego zastępcy.

- Ciężko cię ranił?
- Niezbyt. Nie, chyba niezbyt ciężko. Ale to... — szerokim ruchem dłoni ogarnął wszystkie pożary, wszystkie ruiny — ...to wyłącznie moja wina. Wyłącznie!

- Mylisz się —• powiedziała Poiły.
- Nie rozumiesz! — Twarz Norrisa skrzywiona była w męce wstydu i żalu. — To ja pociąłem opony w samochodzie Hugh'a Priesta. To przeze mnie tak się wściekł.

- Oczywiście. Prawdopodobnie wściekł się przez ciebie. Będziesz musiał z tym żyć. A przeze mnie Ace Merrill zaatakował Alana i ja będę musiała żyć z tym. — Wskazała rozchodzących się na wszystkie strony katolików i baptystów; ci nieliczni policjanci, którzy jeszcze trzymali się na nogach, bynajmniej nie próbowali im przeszkadzać. Niektórzy z rycerzy Chrystusa szli sami, inni w towarzystwie. Ojciec Brigham podtrzymywał słaniającego się najwyraźniej na nogach wielbnego Rosę'a, Nań Roberts obejmowała w pasie Henry'ego Paytona. — A ich kto napuścił... i na kogo, Norris? A Wilma? A Nettie? Cała reszta? Jedno mogę powiedzieć, jeśli to twoje dzieło, byleś naprawdę napalony na robotę.

Norris rozszlochał się głośno.

— Ale tak mi przykro! — chlipnął.

- Mnie też — odparła spokojnie Poiły. — Mam złamane serce.

Alan uściskał ich oboje, po czym pochylił się do okna radiowozu.

- A ty jak się czujesz, staruszkę? — spytał Seata.

- Bomba! — Rzeczywiście, Seat po prostu kwitł. Patrzył przed siebie raczej tępo, ale bez wątpienia kwitł. — Wy, moi złoci, wyglądacie znacznie gorzej ode mnie!

- Chyba lepiej będzie zabrać Norrisa do szpitala, Seat. Jeśli się zmieścimy, to chyba wszyscy powinniśmy z tobą pojechać.

- Jasne, Alan! Wsiadajcie! Który szpital masz na myśli?

- Northern Cumberland. Leży tam pewien chłopiec. Chcę się z nim zobaczyć. Chcę się upewnić, że ojciec już do niego dotarł.

- Alan, czy ja widziałem to, co mi się wydawało? Czy ten samochód rzeczywiście zmienił się w wóz, który poleciał do nieba?

- Nie wiem, Seat — odparł Alan. — I powiem ci najprawdziwszą prawdę: nic chcę wiedzieć.

W tym momencie objawił się Henry Payton i klepnął go w ramię. Patrzył przed siebie nieprzytomnie. Sprawiał wrażenie człowieka, który za moment zmieni sposób życia, sposób myślenia, bądź i jedno, i drugie łącznie.

— Co tu się stało? — spytał. — Co naprawdę stało się w tym cholernym miasteczku?!

Odpowiedziała mu Poily.

— Mieliśmy wyprzedaz. Największą, jaką zdarzyło ci się wi dzieć... ale w końcu niektórzy z nas zdecydowali, że nic nie kupią.

Alan otworzył drzwiczki i pomógł Norrisowi usiąść na przednim siedzeniu, a polem dotknął ramienia Poily.

- Jedziemy. Norris cierpi, no i stracił mnóstwo krwi.

- Hej! — oburzył się Henry. — Mam mnóstwo pytań i...

- Daj sobie spokój. — Alan usiadł koło Poily i zatrzasnął

drzwi. — Porozmawiamy jutro, dziś już nie jestem na służbie.  
Tak naprawdę, to tu już nigdy nie będę na służbie. Ciesz się  
jednym — wszystko skończone. Cokolwiek działo się w Castle  
Rock — wszystko skończone.

- Ale...

Alan pochylił się; teraz z kolei Seat Thomas klepnięty został w kościste ramię.

— Jedziemy. Gaz do dechy.

Radiowóz ruszył na północ główną ulicą. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo, w stronę Castle Hill i Castle View. Kiedy wjechali na szczyt wzgórza, Alan i Poily obejrzeni się jednocześnie na miasto. Płomienie pożarów błyszczały jak rubiny. Alan czuł smutek; wiedział, że coś stracił, i żałował tego, co stracił, niczym człowiek, który został oszukany.

Moje miasto — pomyślał. To było moje miasto. Ale już nie jest. I nigdy nie będzie.

Oboje zaczęli się odwracać jak na komendę... i spojrzeli sobie w oczy.

— Nigdy nie dowiesz się, co stało się tego dnia z Annie  
i Toddem — powiedziała cicho Poily. — Nigdy się tego nit dowiesz.

— I nie chcę wiedzieć — odparł Alan Pangborn, delikatnie całując ją w policzek. — Ta mroczna przeszłość niech pozostanie mrokiem. I przeszłością.

Ze szczytu View zjechali na drogę numer 119. Castle Rock zniknęło; i ono odeszło w mrok.

No przecież, pamiętam, pamiętam. Nigdy nie zapominam twarzy.

Podejdz no bliżej, niech ci uścisknę dłoń. Coś ci powiem, rozpoznałem cię po tym, jak szedłeś, zanim dostrzegłem twą twarz. Nie mogłeś wybrać piękniejszego dnia na powrót do Junction City, najpiękniejszego miasteczka w Iowa — przynajmniej po tej stronie Ames. Dobra, dobra, możesz się śmiać, jeśli chcesz, w końcu przecież to był żart.

Nie siądziesz na chwilkę? Tu, na ławce przy pomniku ofiar wojny, będzie nam doskonale. Słoneczko przygrzewa i widać stąd niemal całe śródmieście. Tylko uważaj na drzazgi. Ławeczka stoi tu od czasu, kiedy Hektor był szczeniakiem. A teraz popatrz. Nie tu, trochę w prawo. Widzisz ten dom, ten z zamalowanymi szybami? Kiedyś miał tam biuro Sam Peebles. Handlował nieruchomością, cholernie był w tym dobry, a potem ożenił się z Naomi Higgins z sąsiedniej Proverbii i wyjechali gdzieś. Prawie wszyscy ostatnio gdzieś tam wyjeżdżają.

Budynek ten stał pusty tak jakoś rok — kiepsko wiedzie tu się ludziom, od czasu gdy wystartowały wszystkie te biznesy na Środkowym Wschodzie — ale w końcu ktoś go jednak wynajął. I mnóstwo

się o tym gada. Możesz mi wierzyć. Wiesz przecież jak to jest, w miasteczkach takich jak Junction City, gdzie rok w rok wszystko wygląda tak samo, otwarcie nowego sklepu to wielka sprawa. Wygląda na to, że ten sklep otworzy się niedługo, ostatni z robotników spakował narzędzia i wyniósł się w piątek. Myślę tak sobie...

Kto?

Ach tak, ona. Przecież to Irma Skillings. Była kiedyś dyrektorką szkoły średniej... pierwszą kobietą piastującą taką funkcję! w tej części stanu, jak słyszałem. Przeszła na emeryturę dwa lata temu i w tym samym czasie zrezygnowała chyba ze wszystkiego. Nawet nie śpiewa już w kościelnym chórze. Pewnie trochę przez reumatyzm — a reumatyzm bardzo jej dokucza. Widzisz, jak opiera się | na tej swojej lasce? Kiedy jest tak źle, człowiek odda chyba < wszystko, żeby było choć odrobinę lepiej.

Popatrz, popatrz! Bardzo dokładnie przyjrzała się temu nowemu sklepowi. No bo i czemu nie? Może jest stara, ale w końcu jeshczokl nie umarła i nieprędko umrze. Poza tym wiesz przecież, co mówią:J| ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a zaspokojona ciekawe to krok w przeciwnym kierunku.

Czy potrafię przeczytać szyld? No pewnie! Dwa lata ten dostałem okulary, ale tylko do czytania, nigdy nie miałem lepszeg wzroku. Na górze jest napisane: „Wkrótce otwarcie”, a pod sp dem: „Wysłuchane modlitwy”. Ta ostatnia linijka, zaczekaj chw»l| kę, tak! „Nie uwierzysz własnym oczom!”. Choć z tym pewn nie będę miał najmniejszych problemów. Eklezjasta powiada „nj| nowego pod słońcem”, a ja w zupełności się z nim zgadzam. Irma wróci. Jeśli nic innego jej tu nie sprowadzi, z pewnością zechce dowiedzieć się, kto założył tę czerwoną markizę starym biurem Sama Peeblesa.

Może i sam zajrzę do tego sklepu? Pewnie wszyscy go odwie nim skończy się ta cała sprawa.

Ciekawa nazwa dla sklepu, nie? „Wysłuchane modlitwy”, wiesz, co tam będzie do kupienia?

Z taką nazwą to przecież może być wszystko.

Wszystko bez wyjątku.

24 października 1988 — 28 stycznia 15